



Zygmunt Zieliński

POWROTY MINIONEGO CZASU

POWROTY MINIONEGO CZASU

zagnieżdżone w pamięci

CENTRALNY
PROJEKT
BADAWCZY

IPN

WŁADZE KOMUNISTYCZNE
WOBEC KOŚCIOŁÓW
I ZWIĄZKÓW
WYZNANIOWYCH
W POLSCE 1944–1989

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
KOMISJA ŚCIGANIA ZBRODNI PRZECIWKO NARODOWI POLSKIEMU

Zygmunt Zieliński

POWROTY MINIONEGO CZASU

zagnieżdżone w pamięci

wstęp i opracowanie Rafał Łatka



WARSZAWA 2020

Recenzenci

DR ZBIGNIEW STANUCH

DR MONIKA WIŚNIEWSKA

Projekt okładki

MAŁGORZATA PODZIOMEK-KOTECKA

Projekt graficzny, skład i łamanie

MAŁGORZATA PODZIOMEK-KOTECKA

Redakcja

LIUCIJA CEPULIONIS

EWA DULNA-RAK

Korekta

KATARZYNA ZIĘBIK

Zdjęcia na okładce:

ze zbiorów ks. Zygmunta Zielińskiego

© Copyright by Instytut Pamięci Narodowej

– Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 2020

ISBN 978-83-8376-859-5

Zapraszamy

ipn.gov.pl

ksiegarniaipn.pl

Wstęp

Ksiądz profesor Zygmunt Zieliński bez wątpienia należy do grona najwybitniejszych historyków polskich w XX stuleciu. Jest autorem wielu niezwykle cennych prac poświęconych przede wszystkim dziejom Kościoła katolickiego w XIX i XX w. Dorobek naukowy badacza wywodzącego się z Cerkyna liczy obecnie prawie 900 publikacji o różnorodnym charakterze: poczynając od monografii, a skończywszy na tekstach popularnych publikowanych w prasie codziennej.

Ksiądz Zieliński jest autorem bądź redaktorem naukowym 48 książek. Wśród najważniejszych prac autorskich należy wymienić: *Papiestwo i papieże dwóch ostatnich wieków* (trzy wydania, pierwsze w 1983 r.); *Katolicyzm w III Rzeszy przed sądem historii* (Katowice 1992); *Niemcy. Zarys dziejów* (Katowice 1998, drugie wydanie: Katowice 2003); *Katolicka mniejszość niemiecka w Wielkopolsce i na Pomorzu 1918–1939* (Poznań 2001); *Kościół w Polsce 1944–2007* (Poznań 2009, współudział Sabiny Bober); *Kulturkampf w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej w latach 1873–1887* (Poznań 2011).

Warto sięgnąć także po prace zbiorowe pod redakcją ks. Zielińskiego. Miały one często charakter prekursorski w badaniach nad danym zagadnieniem z zakresu historii najnowszej: *Kościół w II Rzeczypospolitej* (Lublin 1980, drugim redaktorem był ks. Stanisław Wilk); *Życie religijne w Polsce pod okupacją hitlerowską 1939–1945* (Warszawa 1982); *Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939–1945. Metropolie wileńska i lwowska, zakony* (Katowice 1992); *Polacy–Niemcy. Przeszość, teraźniejszość, przyszłość* (Katowice 1993, drugi wydanie: Katowice 1995); *Prymas Tysiąclecia w komunistycznym państwie* (Radom 2003); *Z więzienia na stolicę arcybiskupią. Arcybiskup Antoni Baraniak 1904–1977* (Poznań 2010). Ponadto w 1990 r. ukazał się przygotowany przez ks. Zielińskiego przekład książki autorstwa ks. Helmuta Holzapfela *Kościół między Odrą a Bałtykiem*. W 2002 r. zaś opublikowano cykl rozmów – *Boski czy ludzki? Kościół w Polsce i na świecie, wczoraj i dziś* (Częstochowa 2002) – które z lubelskim profesorem przeprowadził red. Mariusz Deckert.

Autor wspomnień w dalszym ciągu pozostaje aktywny, m.in. recenzuje prace naukowe badaczy młodszego pokolenia, jest członkiem rady naukowej czasopisma wydawanego przez IPN „Pamięć i Sprawiedliwość”.

Duchowny w czasie wieloletniej pracy na KUL kierował Katedrą Historii Kościoła XIX i XX w. w Instytucie Historii Kościoła na Wydziale Teologii. Objął ją w 1972 r. po swoim mistrzu, ks. prof. Mieczysławie Żywczyńskim. Tytuł naukowy profesora nadzwyczajnego otrzymał w 1980 r., zwyczajnego zaś w 1988 r. Ksiądz Zieliński był nauczycielem wybitnych historyków. W sumie pod jego kierunkiem doktorat obroniło 47 badaczy. Wielu wychowanków – ponad trzydziestu! – zdobyło już stopnie naukowe doktorów habilitowanych i profesorów. W gronie tym należy wymienić ważne dla nauki polskiej osoby: ks. prof. Anastazego Nadolnego, ks. prof. Rolanda Prejsa, ks. prof. Bogdana Stanaszka, ks. prof. Stanisława Wilka, ks. prof. Józefa Wołczańskiego, ks. prof. Dominika Zamiatąłę. Uczniowie ks. Zielińskiego są nie tylko wybitnymi naukowcami, lecz także pełnili bądź w dalszym ciągu pełnią liczne funkcje. Warto w tym miejscu przywołać choćby przykład rektora KUL w latach 2004–2012 ks. prof. Stanisława Wilka, metropolity przemyskiego abp. Adama Szala i bp. Mariusza Leszczyńskiego, sufragana diecezji zamojsko-lubaczowskiej.

Bez cienia wątpliwości można powiedzieć, że wśród badaczy XIX i XX w. (szczególnie w zakresie historii Kościoła katolickiego) istnieje szkoła ks. Zielińskiego (nazywanego przez swoich uczniów „Zielem”). Jak wynika z relacji wielu jego wychowanków naukowych, profesor był niezwykle wymagający oraz przykładał wielką wagę do metodologii analizy źródeł archiwalnych. Znalazło to odzwierciedlenie w licznych pracach wspomnianych wyżej naukowców, cenionych za sumienność i rzetelność badawczą. Równocześnie ks. Zieliński zawsze dbał o klarowny język wypowiedzi naukowej w pracach przygotowywanych pod jego kierunkiem.

Autor podzielił tekst wspomnień na trzy części. Pierwsza obejmuje czas od wczesnej młodości do końca pracy duszpasterskiej i rozpoczęcia nauki na studiach specjalistycznych na KUL. Druga jest w całości poświęcona okresowi studiów i pracy na wspomnianej uczelni katolickiej. Trzecia część dotyczy z kolei rozmaitych inicjatyw naukowych, w których uczestniczył ks. Zieliński, oraz jego zaangażowania w innych niż KUL ośrodkach naukowych.

W pierwszej części wspomnień znalazło się wiele ciekawych refleksji i spostrzeżeń na temat drugiej wojny światowej widzianej z perspektywy dziecka czy opis trudów powojennej edukacji w Polsce rządzonej przez komunistów. Młody Zygmunt oparł się presji i nie wstąpił do ZMP. Nie dał się też zwerbować przez aparat bezpieczeństwa, choć zostały podjęte w stosunku do niego dwie takie próby. Co ciekawe, przyszły profesor nie był w gimnazjum i liceum wybitnym uczniem.

Ujawniła się już wówczas jego niechęć do wpisywania się w schematy komunistycznej szkoły. Autor opisał również okres przygotowań do matury. Liczył się z tym, że nie zaliczy egzaminu ze względu na „reakcyjne” poglądy. Mimo tych obaw przyszedł duchowny zdał maturę, ale nie wiedział, co dalej począć.

W kolejnych miesiącach rozważał wstąpienie do seminarium duchownego. Wspomniany wybór nie był dla młodego Zygmunta oczywisty. Tak o tym pisał: „Zastanawiam się często, co czułem wtedy w pociągu do Gniezna, który był w pewnym sensie pociągiem mojego przeznaczenia. Trudno to odtworzyć, a przecież to ważne. Większość kolegów, jak ja pierwszorocznych, przejawiała trochę sztuczną wesołość. To mnie zupełnie nie przekonywało. Nie byłem skłonny do radosnych uniesień. Wydawało mi się, że oto zapada klamka, a ja wcale nie jestem pewien, czy naprawdę tego chcę. Zawsze się dziwiłem, kiedy klerycy opowiadali, jak to radośnie przeżywali swe wstąpienie do seminarium i jak zawsze tylko o tym marzyli. Zwłaszcza że po latach jeden czy drugi powiesił sutannę na kołku. Zdarzało się to przecież niejednokrotnie i to właśnie u tych kiedyś tak radośnie witających progi seminaryjne. Oczywiście takich myśli wtedy w pociągu nie miałem, ale byłem nieco ogłuszony i może nawet wystraszony własną decyzją. Moje obawy podzielał chyba tylko Kazik Zięba, siedzący jak ja, raczej w milczeniu, na drewnianej ławie pociągu” (s. 165).

Niezwykle wartościową częścią wspomnień jest opis pobytu w seminarium duchownym w latach 1951–1957, a więc w najtrudniejszym dla Kościoła okresie ofensywy stalinowskiej. Ksiądz Zieliński opisuje warunki, w jakich kształcili się przyszli duchowni z archidiecezji gnieźnieńskiej. Bardzo ciekawe są zwłaszcza fragmenty poświęcone rządcom w diecezji (i poniekąd także w seminarium) ks. infułata Stanisława Brossa. Stanowi to kolejny dowód, że kard. Wyszyński miał całkowitą rację, gdy po swoim uwolnieniu wysłał duchownego na emeryturę. Najbardziej skandalicznym momentem było powiedzenie przez ks. Brossa o prymasie: „mój poprzednik”. Warto dodać, że wśród kolegów z seminarium alumna Zielińskiego był m.in. przyszły prymas Józef Glemp czy też bp Jerzy Dąbrowski, w przyszłości zastępca sekretarza episkopatu Polski. W czasie studiów w seminarium kleryk Zieliński po raz kolejny zetknął się z aparatem bezpieczeństwa, tym razem podczas przeszukania seminarium w celu znalezienia ulotek Świątły.

Ksiądz Zieliński opuszczał seminarium pełen obaw o to, jak będzie wyglądała przyszłość, czy poradzi sobie jako kapłan i czy sprostą swojemu ideałowi kapłaństwa. Pierwsze lata posługi, czyli cztery lata pracy duszpasterskiej, zostały opisane

jako okres rozmaitych trudów i ofiarnej pracy. Poznajemy sylwetki proboszczów kolejnych parafii, w których pracował wówczas młody duchowny, oraz stosunki panujące w Gołańczy, Bydgoszczy i Pleszewie. Duże zainteresowanie budzi opowieść o pracy w Gołańczy, gdzie ks. Zieliński dwukrotnie pełnił posługę: najpierw jako wikariusz, potem jako wikariusz substytut, czyli osoba zastępująca proboszcza. W tym czasie młody duchowny borykał się z niełatwymi warunkami bytowymi. Kilka lat później musiał się zmierzyć z większymi problemami, m.in. konfliktem w parafii wywołanym po odejściu wikariusza.

Druga część wspomnień dotyczy studiów i pracy naukowo-dydaktycznej na KUL. Ksiądz Zieliński mimo wielu wątpliwości zdecydował się wyjechać z rodzinnego Nakła do Lublina. Autor niezwykle obrazowo przedstawił życie studenta na uczelni katolickiej, zarówno pod względem warunków bytowych, jak i sposobu kształcenia. O wyjątkowej sytuacji KUL wiele mówi następujący fragment wspomnień: „Co jednak najważniejsze, to ta ówczesna, niepowtarzalna atmosfera. Byliśmy wszyscy świadomi, że jesteśmy na cenzurowanym. KUL w systemie komunistycznym nie miał właściwie racji bytu. Likwidowano kolejno kierunki studiów: prawo, ekonomię, pedagogikę, filologię romańską i w ogóle kierunki filologiczne, oprócz polonistyki i klasyki. KUL był więc uczelnią okaleczoną. Na przekór temu pozostawione kierunki prężnie się rozwijały, a absolwenci KUL mimo wiadomych restrykcji władz przy zatrudnianiu byli w wielu instytucjach naukowych kraju mile widziani. [...] Brać studencka była bardzo zintegrowana. Zwłaszcza dotyczyło to kontaktów między księżmi studentami a świeckimi. Wspólne imprezy, niekończące się dysputy, mniej częste niż dziś kawki i goszczenie się z różnych okazji. Wyprawy do Komitetu Wojewódzkiego PZPR na prelekcje światopoglądowe i blokowanie tam dyskusji, co niekiedy kończyło się agresywnymi sprzeczkami z trabantami partyjnymi, były na porządku dziennym” (s. 325). Tego typu refleksji we wspomnieniach ks. Zielińskiego znajdziemy znacznie więcej. Należy też zwrócić uwagę na przedstawienie dysput intelektualnych studentów KUL z adwersarzami wywodzącymi się z PZPR.

Warto także sięgnąć do uwag księdza profesora na temat jego mistrzów naukowych na czele z ks. Żywczyńskim¹, opisu początku pracy naukowej na KUL i kolejnych etapów kariery naukowej. Nie brakowało w tym czasie różnego rodzaju

¹ Ksiądz Zieliński wielokrotnie wspomina swojego mistrza naukowego. Pisze zarówno o jego działalności naukowo-dydaktycznej, jak i o cechach charakteru oraz dość nietuzinkowej osobowości.

trudności. Ksiądz Zieliński nie pomija spraw budzących emocje. Autor poczynił również wiele trafnych spostrzeżeń odnoszących się do systematycznego obniżania poziomu nauki polskiej na poziomie akademickim.

Sporo miejsca ks. Zieliński poświęcił opisowi licznych podróży naukowych i kwerend przeprowadzonych za granicą. Szczególnie interesujący jest rozdział dotyczący wyjazdów do USA. Istotne są także fragmenty obrazujące reakcje słuchaczy podczas wystąpień profesora związanych z tematem ratowania Żydów przez duchowieństwo polskie (m.in. w Izraelu). Udowadniają dobitnie, że antypolonizm nie był rzadkim zjawiskiem na uczelniach zachodnich już w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX w.

Trzecia część wspomnień to opis inicjatyw naukowych podejmowanych przez ks. Zielińskiego, m.in. przygotowania księgi pamiątkowej dla ks. Żywczyńskiego, kontaktów z Niemcami, spojrzenia na trudne relacje polsko-żydowskie czy pracy nad książką o dziejach papiestwa. Autor nie stroni od zdecydowanych, ale dobrze uargumentowanych opinii. Przykładem może być następująca wypowiedź lubelskiego badacza na temat polityki pamięci: „Moim zdaniem Polacy przegrali batalię o jakiś sprawiedliwy osąd ich postawy wobec Żydów w czasie okupacji, a także wcześniej, zwłaszcza w okresie międzywojennym” (s. 696).

W tej części wspomnień znalazł się też opis reakcji ks. Zielińskiego na rewolucję Solidarności czy wprowadzenie stanu wojennego. Szczególnie celna wydaje się następująca refleksja autora: „Stan wojenny był uciążliwy, ale pracować trzeba było dalej. Nawoływano do strajku, ale jakiego? Można było nic nie robić, strajkując, ale kto miał z tego pożytek? Ci, przeciwko którym się strajkowało. Pogłębiał się chaos, nędza zaglądała do niejednego mieszkania, dostarczano usprawiedliwienia dla brutalnych poczynań władz. W istocie w stanie wojennym i po nim panowała ta sama degrengolada w umysłach i pojęciach jak w czasach PRL. I tak już pozostało” (s. 713). Autor w dalszej części odtworzył również okres pracy na uczelniach w Częstochowie i w Chełmie oraz przedstawił rozstanie z KUL.

Należy podkreślić, że w 2017 r. ks. Zieliński został odznaczony przez prezydenta RP Andrzeja Dudę Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Najważniejszą cechą wspomnień ks. Zielińskiego jest ich niezwykła szczerość. Autor nie boi się pisać o sprawach trudnych, o rozterkach wewnętrznych, które przeżywał jako kleryk, a następnie jako młody kapłan czy wreszcie już jako doświadczony naukowiec o uznanej renomie, nie tylko zresztą na „polskim podwórku”. Z kolei ważną cechą ks. Zielińskiego, wyraźnie ujawniającą się

we wspomnieniach, jest skromność. Profesor utwierdza czytelnika w przekonaniu, że warto postępować moralnie i w zgodzie ze sobą, mimo że może to skutkować brakiem zaszczytów i uznania. W mojej ocenie to właśnie przesądza, że wydawane wspomnienia są tak interesujące. Ich dodatkowym atutem jest żywy język oraz płynność narracji. Jestem przeświadczony, że wspomnienia ks. Zygmunta Zielińskiego okażą się ciekawą lekturą nie tylko dla osób wywodzących się ze środowiska KUL czy też kręgu badaczy historii najnowszej, lecz także dla każdego, kogo interesują dzieje naszej ojczyzny.

Przygotowując opracowanie naukowe wspomnień, starałem się minimalizować aparat naukowy. Z tego powodu zrezygnowałem z zamieszczania biogramów osób powszechnie znanych i ograniczyłem komentowanie wydarzeń opisywanych przez ks. Zielińskiego. W zdecydowanej większości udało się ustalić dane biograficzne osób pojawiających się na kartach wspomnień. Głównie są to osoby duchowne i naukowcy z różnych dziedzin humanistycznych. Struktura przypisów osobowych z kolei ma możliwie jednolity charakter.

Rafał Łatka

Młodość i praca kapłańska

Kolebka i pierwsze niepewne kroki

Nurtuje mnie często pytanie, od kiedy pamiętam zdarzenia z mojego życia. To, co opowiem, nie stanowi może ścisłej odpowiedzi, jest to jednak najwcześniejszy obraz, jaki jestem w stanie przywołać. Miałem niewiele ponad 2 lata. Było to w Nakle nad Notecią, gdzie wówczas mieszkaliśmy całą rodziną. Uciekłem mamie, która na chwilę zatrzymała się z jakąś znajomą, i wdrapałem się na drugie piętro czynszowej kamienicy u wylotu ul. Dąbrowskiego, niemalże przy pl. Konopnickiej. Ten dom stoi do dziś. Co pamiętam? Nie tyle samą ucieczkę, ile wspinanie się na dość wysokie stopnie, co kosztowało mnie sporo wysiłku, i moje przerażenie, kiedy spojrzałem w dół klatki schodowej. Zacząłem wówczas płakać i zostałem wykryty. Matka opowiadała mi później często, ile strachu się najadła, zanim usłyszała mój płacz. Przypominam sobie tylko schody.

Moje dzieciństwo do 1939 r. było pasmem wielkich przyjemności i mikroskopijnych zmartwień. Wyraźnie powraca ostatnie przed wojną Boże Narodzenie. Forteca, którą wykonał dla mnie ojciec.

Chyba w 1938 r. grałem w jasełkach przełożonego krasnoludków i pobiłem się na scenie z podwładnym, w cywilu Frankiem. Nie chciał mi oddać zapalek, którymi miałem zapalić świecę. Matka uznała, że jestem zakałą rodziny. Uspokoiła się dopiero wówczas, kiedy po przedstawieniu sąsiadka powiedziała, że mam talent aktorski. Nie rozumiałem, co to znaczy, i przez dłuższy czas chowałem urazę do owej niewiasty, gdyż podejrzewałem ją o mocną krytykę mojej osoby.

Pamięć zaczyna się układać w jakiś logiczny ciąg dopiero od czasu Pruszcza Pomorskiego, dokąd rodzice przeprowadzili się ze mną, wówczas czteroletnim chłopcem, w 1935 r. Na dobre zaś wydarzenia zaczęły się utrwalać, gdy miałem około 6 lat. Z czasów wcześniejszych pojawiają się pojedyncze epizody, błyski flesza, zdarzenia trudne do powiązania w całość. Niekiedy jednak nachodzą mnie takie właśnie niewyraźne obrazy i Bogiem a prawdą nie wiem, czy jest to rzeczywistość czy też transmisja czegoś, czego nie potrafię zdefiniować. Powroty w coraz bardziej z wiekiem

oddalającą się przeszłość są męczące jak cyklicznie powracający sen, którego treści nie można odtworzyć po przebudzeniu, a tak bardzo by się chciało. Orientuję się czasem, że opowiadania mamy o tym, co działo się w Cekcynie czy w Nakle, kiedy byłem jeszcze w powiatach, przyswoiłem sobie jak coś przeżytego. Opowiedziane tu projekcje pamięci, rzeczywiste czy też niekiedy z drugiej ręki, stwarzają nie mały kłopot. Rodzą obawę, że także to, co zostało z czasów dzieciństwa w pełni już świadomego, także może być produktem jakiegoś promieniowania. Nie mojej, ale czyjejś pamięci.

Rodzina

Początki mojej ziemskiej wędrówki znam z opowieści. To oczywiste. Urodziłem się 16 grudnia 1931 r. w Cekcynie, dużej wsi oddalonej 8 km od Tucholi, dosłownie w gmachu poczty, której mój ojciec, Paweł, był naczelnikiem. W tym budynku też mieszkaliśmy. Po pół roku już mnie w Cekcynie nie było, gdyż *via* Nakło trafiliśmy do Pruszcza Pomorskiego. Nieraz mówię o sobie, że jestem boruszem. Tak nazywa się ludzi pochodzących z Borów Tucholskich. Jednak w tej okolicy przyszedłem na świat zgoła przypadkowo. Było to związane wyłącznie z miejscem pracy mojego ojca. Inna rzecz, że całą okupację spędziłem w Borach Tucholskich, ale o tym później.

Co działo się potem? Mam w pamięci lukę. Przewijają się zamglone obrazy, przeżycia, także osoby dorosłe i rówieśnicy. Miałem może 5 lat. Już wtedy mieszkaliśmy w Pruszczu Pomorskim, gdzie ojciec objął posadę naczelnika poczty. Byłem blisko wydarzeń dnia powszedniego tej małej, ale ruchliwej społeczności. Na pocztu i na małej stacyjce koncentrowało się życie, przychodziło mnóstwo ciekawych ludzi, w lecie stacjonowało wojsko: letnie leże, jak mówiono, i chyba jakieś manewry.

Niektóre wspomnienia z tych czasów są żywe: kuchnia polowa, kawał wołowiny i rosół żołnierski. W domu niejadek, opychałem się tym z lubością tylko dlatego, że obok siedzieli żołnierze z menażkami. Duma, a wręcz pycha, wprost mnie rozsadzała, zwłaszcza gdy widziałem zazdrosne spojrzenia kumpli. Kiedyś odpłacili mi za to, że nie chciałem ich dopuścić do tego wspólnego kotła żołnierskiego. Wepchnęli mnie, ubranego tylko w jakieś majtaski i koszulkę, do rowu pełnego pokrzyw. Już nie chodzi o ten ryk, z jakim pędziłem do domu, czy o kąpiel w mleku z pobliskiej mleczarni pana Papkego (Niemca) i nacieranie maściami.

Najgorsze było spojrzenie w lustro, bo całe ciało łącznie z twarzą pokryte było pęcherzami. Stale dopytywałem się, czy znikną. Matka odpowiadała niezmiennie:

– Do wesela się zagoi...

Nic nie rozumiałem. Do jakiego wesela? Był to czas, kiedy płęć piękna budziła zarówno we mnie, jak i w większości kolegów głęboką pogardę. Nawet ubiór choćby tylko lekko podobny do dziewczęcego stanowił dotkliwą karę. To, co mnie spotkało, było silnym przeżyciem i ważnym doświadczeniem. Nic dziwnego, że wraca.

Czas tuż przed rozpoczęciem nauki w szkole (1938) był w ogóle bogaty w wydarzenia kształtujące sposób myślenia. Kolegów miałem o rok, dwa, a nawet trzy lata starszych. Łatwo można było namówić mnie na różne eskapady, nierzadko graniczące z kryminałem. Pasją moją wówczas było odlewanie żołnierzy ołowianych. Formy pożyczaliśmy sobie wzajemnie, ale skąd pozyskać ołów? Na stacji towarowej leżało sporo plomb zerwanych z otwieranych wagonów. To była moneta wymienna. Gdy zebraliśmy wszystkie z ziemi, zaczęliśmy kolejne zrywać z wagonów stojących na bocznicy.

Oczywiście proceder nie trwał długo i pewnego razu spostrzegłem ojca z naczelnikiem stacji, panem Biernackim, idących w naszym kierunku. Kiedy czmychnęli, a ja ufnie oczekiwałem spotkania z rodzicem. Dowiedziałem się wówczas, jak wielkim jestem winowajcą i że pan policjant przyjedzie na rowerze, by mnie zabrać do kozy. Nie muszę opisywać paniki, jaka mnie ogarnęła. Prowadzony przez obu panów, zaproponowałem naczelnikowi stacji, że odrobię straty poniesione przez PKP. Zapytali, jak chcę to uczynić. Odparłem, że mogę być panem Radeckim.

Było to chytne, ów jegomość bowiem codziennie chodził po peronach i czyścił lampy naftowe (elektryczność dopiero była zakładana). Marzyłem, by robić to za niego: chodzić z drabiną i wchodzić na lampy ze szczotką, polerować zabrudzone cylindry, a nade wszystko lampy te zapalać i gasić. W wyobraźni już widziałem zzieleniałe z zazdrości twarze kolegów, bo kto nie chciałby być takim dygnitarzem?

Pan Biernacki łatwo się zgodził, pod warunkiem że będę również zamiatać peron, w którym to celu miałem przynieść własną miotłę. Wysokości wynagrodzenia już nie pamiętam. Następnego dnia paradowałem po ulicy z miotłą na ramieniu w kierunku peronu położonego prawie naprzeciw poczty. Zatrudnienia jednak nie uzyskałem. Wszystkiemu winien był pan Radecki, który mi nie ustąpił miejsca. Było to jedno z moich największych w owym czasie życiowych niepowodzeń i rozczarowań.

Byłem chyba nieco nietypowy wśród rówieśników, ale tylko wtedy, gdy z mojego Pruszcza przenosiłem się na krótko do miasta. Zwykle było to Nakło nad Notecią, gdzie mieszkaliśmy kilka lat po moim urodzeniu i gdzie mieliśmy krewnych. Tutaj moja odmienność objawiała się niekiedy drastycznie.

Kiedyś, miałem wtedy bodajże 6 lat, posłano mnie z moim o dwa lata młodszym kuzynem, Ignasem, do przedszkola prowadzonego przez zakonnice, siostry Rodziny Maryi¹. Tamtejsze zabawy wydały mi się ogromnie dziecinne: budowanie domków z klocków, chodzenie w kółko i śpiewanie o niedźwiedziu, który mocno śpi, a tym niedźwiedziem był jakiś malec siedzący w kole i zasłaniający oczy dłońmi. Namówiłem najpierw kilku chłopców do wejścia na kasztan, a następnie, zgromiony przez siostrę, skłoniłem kuzyna do ucieczki z przedszkola. Szukało nas sporo osób, w tym matka kuzyna. My tymczasem dobrnęliśmy do domu i siedzieliśmy na schodkach, nie mogąc wejść do mieszkania w kamienicy przy ul. Staszica. Obaj dostaliśmy lanie. Przyszedł też wyraźny dezyderat siostry przełożonej, że gorszyiciel, czyli ja, nie będzie mile widziany. Tyle było tego mojego przedszkola, czyli ochronki, jak wtedy tę instytucję nazywano. Zawsze kojarzyło mi się ono potem z czymś nieprzyjemnym, choć przecież to ja zawiniłem, a nie siostry. Taka jest jednak natura ludzka bez względu na wiek. Kuzyna przed karą cielesną chronił młodociany wiek, ale mnie uważano już za złoczyńcę w pełnym wymiarze. Dziś na pewno czytelnik się oburza, że nas wychłostano. Wtedy był to środek wychowawczy nader skuteczny i nieszkodliwy. Rodzice zawsze wiedzieli, ile zniesie ta niewymowna część ciała.

Zapewne mógłbym przywołać jeszcze wiele innych wydarzeń, ale w okresie przed pójściem do szkoły w 1938 r. najważniejsze bodajże były te opowiedziane tutaj. Może jeszcze jedno. Otóż w czasie letnich leży wojska w Pruszczu i okolicy furgon z żołnierzem na koźle jeździł codziennie do Przechowa koło Świecia do tamtejszych młynów po mąkę. Jakoś udało mi się przekonać matkę i owego żołnierza, żeby mnie do tego Przechowa zabrał. Zwykle żołnierz miał przewieszony karabin przez ramię. Było to dla niego niewygodne, więc go zdjął i postawił na dnie furgonu, tak że mogłem trzymać karabin za lufę. Któż zdoła opisać rozkosz, jaką to dawało, zwłaszcza że widziała to cała wieś i wszyscy moi zawistni rówieśnicy.

¹ Wspomniane przedszkole istnieje do dziś pod nazwą: Niepubliczne Katolickie Przedszkole „Słoneczko”, ul. Kościelna 6, Nakło nad Notecią. Zgromadzenie Sióstr Franciszkanek Rodziny Maryi założył w 1857 w Petersburgu ks. Zygmunt Szczęsny Feliński w celu opieki nad sierotami, dziećmi z ubogich rodzin oraz nad chorymi i starcami.

Wojskowi, szczególnie łącznościowcy, przebywali stale w pobliżu poczty, z tego wynikała moja zażyłość z nimi. Był to pułk piechoty, chyba 63. z Grudziądza². Zawsze 3 maja³ odbywała się defilada i grała orkiestra pułkowa. To były przeżycia niezapomniane, czekałem na nie z wielką niecierpliwością. Żołnierze pochodzili przeważnie z Kresów Wschodnich i mówili z białoruska. Któryś powtarzał często słowo „chalera”. Myślałem, że to jego imię, i kiedy prosił mnie o szklankę wody, krzyczałem do matki:

– Mamo, Chalera chce wody!

Mój ojciec był oficerem rezerwy i u nas w domu także było dość wojskowo, mimo że matka patrzyła na to krzywym okiem.

Ojciec wywodził się z Brodnicy nad Drwęcą, gdzie dziadek mój był nauczycielem w pruskiej szkole; w polskiej już nie zdążył, zmarł bowiem w 1918 r. Babka była Niemką, katoliczką, także z nauczycielskiej rodziny z Nysy. Krokerowie przybyli na Śląsk prawdopodobnie z głębi Niemiec – dokładnie tej historii nie znam. Co do rodziny dziadka, to była to rodzina polska. Jednym z jego braci był ks. Władysław Zieliński⁴, do 1942 r., czyli do swej śmierci, proboszcz w Parzęczewie w archidiecezji poznańskiej. Wyświęcony jeszcze w kulturkampfie⁵, autor krótkich wspomnień z tego okresu, zagorzał patriotą polski. Z opowiadań wiem, że Niemcy w 1939 r. aresztowali i zamordowali jego wikariusza. Jemu powiedzieli, że i tak wkrótce umrze. Podobno inaczej to wyrazili (*krepieren* znaczy po polsku zdychać i takiego słowa ponoć użyli). Ksiądz Zieliński doznał paraliżu i wskutek tego zmarł. Dziwna to była rodzina. W Czersku jest ul. Bronisława Zielińskiego⁶, wielkiego społecznika. Dużo mu ta miejscina zawdzięcza. To także jeden ze stryjów ojca.

Rodzina matki, Aleksandry – Danielscy – pochodziła z Wielkopolski. Matka urodziła się (1897) i wychowała w małym miasteczku – w Mroczy – niedaleko

² Chodzi o 64. Pomorski Pułk Piechoty Murmańskiej stacjonujący w Grudziądzu. Jego dowódcą w 1938 był ppłk dypl. Bolesław Ciechanowski.

³ Rocznica ustanowienia Konstytucji 3 maja w okresie II RP była jednym z najważniejszych świąt państwowych na podstawie uchwały Sejmu Ustawodawczego z 29 IV 1919 r.

⁴ Władysław Zieliński (1852–1940), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Administrator, a następnie proboszcz parafii w Parzęczewie 1892–1940.

⁵ *Niem.* walka o kulturę – określenie antykościelnych inicjatyw środowisk liberalnych 1870–1887 w niektórych krajach niemieckich (Prusy, Bawaria, Badenia, Austria, Szwajcaria), równoległe z próbami podporządkowania Kościoła władzy państwowej. Pojęcie użyte w sejmie pruskim 1873 do nazwania ustawodawstwa ograniczającego w sferze prywatnej oficjalnej Kościoła katolicki w Prusach. Zob. szerzej: Z. Zieliński, *Kulturkampf* [w:] *Encyklopedia katolicka*, t. 10, Lublin 2004, k. 205–207.

⁶ Bronisław Zieliński (1854–1944), doktor, podpułkownik WP, znany społecznik w Czersku. Obecnie jego imieniem nazwana jest jedna z głównych ulic Czerska. Zob. J. Borzyszkowski, C. Obracht-Prondziński, *Ludzie Czerska i okolicy w XIX i XX w.*, Czersk 2007.

Nakła nad Notecią. Dziadek Stanisław miał zakład stolarski, ale bardziej zajmował się stowarzyszeniami polskimi, teatrem amatorskim i innymi sprawa-



Paweł Zieliński

wami natury społecznej, m.in. występował jako volksanwalt⁷ przed sądami pruskimi – pośredniczył przy rozprawach, reprezentując osoby nieznające języka niemieckiego. Spuścizna w Archiwum Wojewódzkim w Bydgoszczy w postaci kilku teczek mu poświęconych najlepiej uzasadnia ironiczny, a jednak zaszczytny tytuł „Polenkönig” – król polski, jakim hakatyści⁸ honorowali takich jak on działaczy, a którym go także wyróżniono. Dziadek, którego już nie poznałem, gdyż zmarł nagle w 1923 r., to temat na osobną historię. Był człowiekiem absolutnie nietypowym. Miał zostać nauczycielem, ale nie chciał Niemczyć dzieci polskich w pruskiej szkole. Postanowił zostać stolarzem. Uczył się w Berlinie stolarki artystycznej. Był to wówczas zawód opłacalny, gdyż mebli rzeźbionych robiono sporo, nie znano jeszcze tandety z płyty paździerzowej,

królującej dziś na rynku meblarskim. Podobno miał wybitne uzdolnienia artystyczne i to nie tylko w dziedzinie swego fachu. Nigdy nie uczył się gry, mimo to pięknie grał na pianinie i organach. Rysował, robił scenografię do sztuk scenicznych, które sam reżyserował. Po prostu ideał – z małą tylko skazą. Nie dbał o swój warsztat, dlatego – choć mógł być człowiekiem zamożnym – raczej z trudem wiązał koniec z końcem.

Matka opowiadała wiele ciekawostek z życia miasteczka na przełomie XIX i XX w. Niektóre przez nią zapamiętane fakty i wydarzenia pozwalają poznać panującą ówczesnie atmosferę. W miasteczku przeważała ludność polska. Żydów było niemal tyle samo co Niemców, w sumie niewielki procent. Uważali się za Niemców i podkreślali swój patriotyzm. Po polsku nie

⁷ Niem. adwokat ludowy, obrońca, rzecznik ludu. Zob. L. Molenda, *Dawne zawody i statusy. Glosariusz niemiecko-polski opatrzone przykładowi odręcznego zapisu z akt pruskich urzędów stanu cywilnego z terenu Wielkopolski (1874–1918)*, Mnichowo–Gdańsk 2016, s. 156.

⁸ Potoczna nazwa działaczy organizacji nacjonalistycznej Deutscher Ostmarkenverein (Niemiecki Związek Marchii Wschodniej), założonej w Poznaniu 3 XI 1894. Nazwa powstała od pierwszych liter nazwisk założycieli: Ferdynanda von Hansemanna, Hermanna Kenemanna, Henryka von Tiedemanna. Celem organizacji była germanizacja ziem polskich pod zaborem pruskim.

mówili, choć z Polakami łączyło ich wiele interesów. Kiedy nastała Polska, wojsko dokonywało symbolicznego zajęcia tych terenów. Wiązało się to zawsze z lokalną uroczystością. Niemcy – zwłaszcza właściciele okolicznych majątków ziemskich – przypatrywali się tym obchodom wprawdzie z pewną przykrością, ale nie manifestowali swego sprzeciwu. Bywało natomiast, że Żydzi rozpaczali z powodu końca niemieckiego panowania i klęski wojennej Rzeszy. Żona miejscowego lekarza tak głośno lamentowała, że odgłosy słychać było na zewnątrz.

Moi dziadkowie mieszkali przez pewien czas w domu, gdzie żyła też rodzina żydowska. Sam także pamiętam, iż w miejscowości, w której mieszkalem jako dziecko, były dwie lub trzy takie rodziny. Sądziliśmy, że są to Niemcy, gdyż nigdy nie mówili po polsku. Tuż przed wojną chadzaliśmy przed ich domy i na melodię *Mazurka Dąbrowskiego* śpiewaliśmy piosenki urągające Hitlerowi:

Marsz, marsz na Hitlera,
Niech go weźmie cholera,
Niech mu życie zgaśnie,
Niech go piorun trzaśnie.

Starsi strofowali nas, uświadamiali, jaka jest tożsamość mieszkańców tych domów, a ja nie rozumiałem w ogóle, co znaczy „Żyd”. Wprawdzie raz, gdy byłem z matką w Bydgoszczy, słyszałem to słowo. Przed sklepem, do którego wstąpiła, stał młody człowiek, który zwrócił jej uwagę, że nie godzi się kupować u Żyda. Sądziłem wówczas, że tak się nazywa sklep. Dopiero w Lipnie w czasie ucieczki po raz pierwszy ujrzałem gromady Żydów w ich charakterystycznych strojach i wówczas objaśniono mi w końcu znaczenie tego niezrozumiałego słowa. Dziwię się niekiedy, gdy słyszę i czytam o wpajaniu dzieciom przed wojną antysemityzmu. Może tu i ówdzie tak bywało, ale w środowisku, w którym dorastałem – a było ono wyraźnie endeckie – tego nie było. Matka odpowiedziała wtedy młodzieńcowi, że kupuje, gdzie jej się podoba, a on powinien się wstydzić tego, że uczestniczy w bojkocie.



Aleksandra
z d. Danielska,
zdjęcie
panieńskie



Jubileusz 50-lecia kapłaństwa ks. Władysława Zielińskiego, Parzęczewo, lipiec 1936 r.



Dziadkowie Anna z d. Kroker i Mieczysław Zieliński. Srebrne gody, 3 lipca 1916 r.

Babcia Bronisława, z domu Turowska, wywodziła się z rodziny, która po powstaniu listopadowym przybyła do Poznańskiego z Kongresówki, gdzie utraciła jakiś majątek ziemski. Dziadek babci był organistą w Górcie Klasztornej koło Łobżenicy, jedyne bowiem, co potrafił poza uprawą roli, to była gra na pianinie. Organistostwo pozostało już w rodzinie. W opowiadaniach babci, także przeze mnie zasłyszanych, wiele było ciekawostek o kulturkampfie, którego była naocznym świadkiem. Stały się one inspiracją tematu mojego późniejszego magisterium na KUL i rozprawy doktorskiej⁹. Miejscem pracy ojca mojej babci było Mąkowarsko, gdzie był organistą i uprawiał spore gospodarstwo należące do jego uposażenia.

Gdy się czyta o marnych warunkach bytowych organistów w innych częściach Polski, uderza odmienna sytuacja w zaborze pruskim. Organista był powszechnie szanowanym obywatelem, nierzadko nauczycielem, kancelistą parafialnym, organizatorem życia kulturalnego. Miało to

swą przyczynę m.in. w dostatnim statusie materialnym. Nie wszędzie był on taki sam, ale na ogół organiści byli uposażeni w ziemię, a nadto mieli jakąś część *iura stolae*¹⁰. Na przykład ojciec mojej babki miał gospodarstwo liczące 80 morgów (20 ha). Nie był to gospodarz duży – gbur, jak tam mawiano – ale równał się rolnikowi średniemu. Mógł kształcić dzieci i sporo odłożyć.

⁹ Tytuł rozprawy doktorskiej ks. Zielińskiego: *Kulturkampf w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej w latach 1883–1887*. Promotor: ks. Mieczysław Żywczyński. Zob. Z. Zieliński, *Kulturkampf w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej w latach 1873–1887*, Poznań 2011.

¹⁰ Łac. prawa stół. Dobrowolne ofiary składane przez wiernych Kościoła łacińskiego za posługi duchowne jako jedna z form zapewnienia utrzymania osobom duchownym.

Rodzina, o której tu mowa, była w posiadaniu sporego kapitaliku w złocie. Niestety, jak wielu, uległa namowom, żeby powierzyć oszczędności bankowi. Po I wojnie światowej otrzymała tyle ze swego majątku, ile wart był papier, na którym wydrukowano marki. Takie zubożenie dotknęło mnóstwo ludzi, którzy byli przyzwyczajeni do rzetelności pruskiej, także w dziedzinie finansowej. Wojna wiele w tym względzie zmieniła. Ojciec mój, który wychował się w środowisku niemieckim, w 1939 r. przed aresztowaniem mówił do matki, że Niemcy, których teraz widzi, to nie ci sami, jakich zna¹¹. To jest też problem nie lada, jak może zmienić się morale narodu w tak krótkim czasie. A jednak tak się stało i powinno być ostrzeżeniem także dla nas.

Nie chcę się rozwodzić o rodzinie, choć byłoby o czym pisać – w domu mojego ojca dorastało bowiem dziesięcioro dzieci, ze strony matki zaś przy życiu pozostały tylko dwie jej siostry, a obaj bracia, Alojzy i Zygmunt, polegli w I wojnie światowej – chcę tylko oddać atmosferę, w której się wychowywałem. Wpajano mi zawsze, że coś w życiu obowiązuje, a zdrowy koreń, z którego się wyrasta, automatycznie sprawia, iż owoc nie pójdzie na marne. Ten ogranicznik wmontowany w psychikę zabezpiecza przed wykołajeniem, ale nakłada też niemały ciężar. Doświadczyłem tego w czasach stalinowskich, przed maturą, kiedy rozsądek podpowiadał, iż należy wstąpić do ZMP¹², a nie pozwalało na to sztywne rusztowanie przekonań. Bo jakże to ty, katolik, przeciwnik komunizmu, masz nosić ten znaczek



Ksiądz Władysław Zieliński ze swoim wikariuszem, 1939 r.



Od lewej stoją: Paweł Zieliński; Teodozja Danielska, starsza siostra matki; N.N.; Alfons Trybuszewski, mąż Melanii. Siedzą od prawej: Bronisława Danielska, babcia; Melania, siostra matki; Aleksandra Zielińska

¹¹ Tego typu reakcja nie była odosobniona wśród wielu Polaków, szczególnie tych, którzy mieli wcześniej kontakty z Niemcami.

¹² Związek Młodzieży Polskiej – młodzieżowa organizacja komunistyczna działająca w Polsce ludowej w latach 1948–1957, wzorowana na sowieckim Komsomole. Jej głównym celem była indoktrynacja młodzieży zgodnie z założeniami marksistowskimi. Do członkostwa w jej szeregach często zmuszano lub nawet zapisywano całe klasy uczniów bez pytania o zgodę.



Zygmunt Danielski, młodszy brat matki, w mundurze żołnierza pruskiego. Poległ we Francji w 1918 r.

i udawać nie wiadomo kogo? I nie wstąpiłem jako jeden z nielicznych w klasach maturalnych. Inni poszli, choćby tylko po to, by przejść przez maturę, dostać się na studia. W naszej rodzinie zawsze były tylko dwie barwy: biała i czarna. Tak było w wypadku volkslisty¹³ w czasie wojny. Odmowa jej podpisania mogła kosztować znacznie więcej niż podarcie deklaracji wstąpienia do ZMP. Dzisiaj niejeden powie: „Niemądre wychowanie”. Może i niemądre, ale z takim potem przy goleniu zawsze łatwiej spoglądać w lustro.

Kiedy się zastanawiam nad tym, jak ta bezkompromisowość się we mnie zadomowiła, przychodzi na myśl jedna ważna sprawa. Dwa czynniki odgrywały decydującą rolę:

rodzina i szkoła, w ścisłym współdziałaniu. Krytyka nauczyciela, przynajmniej w obecności dziecka, była w normalnej rodzinie nie do pomyślenia. W głowie mam komentarz rodziców na temat pewnej blisko nas mieszkającej mamy, która obrzucała kierownika szkoły niewybrednymi słowami, gdyż ten jakoby niesłusznie obniżył ocenę ze sprawowania jej synkowi. Nie przyjmowała do wiadomości, że chłopak był biczem Bożym dla otoczenia. Rodzice mówili o tym, że tak postępuje tylko „dziadostwo”, czyli ludzie najpodlejszej kondycji. Jakże silnie utknęło mi to w pamięci.

Szkoła powszechna (do 1939 r.)

W 1938 r. poszedłem do Szkoły Powszechnej w Pruszczu Pomorskim. Kierownikiem był pan Krankowski. Jego postać do dziś mam przed oczyma. Byli także inni nauczyciele, ale nas uczył kierownik. Była chyba pani Majkowska, energiczna, młoda osoba, mimo że nam wydawała się już dość leciwa. Uczyła starsze klasy, których „studenci” zwykli nas nią straszyć. Wiem, że przez to bardzo się martwiłem, jak to będzie w drugiej klasie, choć zapewne uczył tam inny nauczyciel. Zapamiętałem tylko kierownika i tę panią, może dlatego, że robiono z niej postrach dla mniej pilnych uczniów, do których się zaliczałem.

¹³ Volkslista – niemiecka lista narodowościowa wprowadzona 2 IX 1940 na podstawie aktu normatywnego Heinricha Himmlera jako komisarza ds. wzmacniania niemczyzny. Na terenach Rzeczypospolitej anektowanych przez Niemców wprowadzono ją zarządzeniem z 4 III 1941.

Widzę też wyraźnie skrzypce, a zwłaszcza smyczek. Od I klasy kształcono nas wokalnie. Smyczek służył też do wybijania taktu na różnych częściach naszej powłoki cielesnej. Szkołę znosiłem źle. Trudno mi było wytrzymać w klasie kilka godzin. Nie potrafiłem sobie radzić z łupkową tabliczką zastępującą początkowo zeszyt, zawsze zamazaną; gubiłem gąbki, suchą i wilgotną, obowiązkowe wyposażenie. Rysik służył mi nie tylko do pisania i zawsze był stępiony lub nadłamany wskutek zadawanych nim razów, był to bowiem oręż, którym można było bronić się przed dokuczliwym sąsiadem w ławce lub atakować nieprzyjaciół, których nie brakowało.

W domu rodzice z troską spoglądali na moje kulfony na tabliczce i w zeszytach, którego także używałem, głównie do rysunków. Rysować nie potrafiłem nawet najprostszych rzeczy. Podśluchiwałem niekiedy, jak ojciec mówił do matki, że dziewczęta (moje obie starsze siostry) pójdą do Bydgoszczy do prywatnego gimnazjum, do którego najstarsza Gabrysia już dojeżdżała. Młodsza, Krysia, miała pójść jej śladem.

– A chłopak pójdzie do państwowego do Świecia.

Ojcu przysługiwało zwolnienie z czynnego za jakieś odznaczenia z wojny, zdaje się, że za Odznakę Frontu Pomorskiego.

Pójście do państwowego gimnazjum oznaczało prawie spisanie na straty. Matka w takich chwilach wzdychała, a na mnie, jeśli nawinałem się pod rękę, patrzyła surowym wzrokiem. Nie rozumiałem do końca, w czym zawiniłem, ale czułem, że to także szkoła i moje „osiągnięcia” są powodem tego zatroskania. Właściwie z pierwszej klasy wyniosłem mało wspomnień, wszystko przesłaniał problem, czy uda się uniknąć smyczka czy też nie.

Ogromnie nudne były różnego rodzaju święta, a jednocześnie wpojono mi świadomość, że nie pójdzie 3 maja na pochód (odbywał się nawet we wsi) to świętokradztwo. Chcąc nie chcąc, trzeba było iść. Stale dręczyła mnie



Alojzy Danielski, starszy brat matki. Zdjęcie wykonane przed I wojną światową



Paweł Zieliński (klęczy w środku) na kursie oficerskim, 1929 r.

myśl, że trzeba będzie uczestniczyć w czymś tak mało interesującym. Jedyne, co osładzało tę perspektywę, to orkiestra dęta, podobno nawet – jak na wieś – dobra, choć daleko jej było do zespołów takich jak orkiestry górnicze czy kolejowe (w tym czasie PKP miały dobrą oprawę muzyczną). Tak było nawet jeszcze po wojnie. Od dziecka lubiłem orkiestry dęte, cokolwiek by grały. Najbardziej podobała mi się orkiestra pułku piechoty, który latem nawiedzał naszą miejscowość.

Czytam sporo wspomnień, bo jest to literatura nieskażona doborem treści, które wypada zamieścić, i eliminowaniem rzeczy zbędnych (na ogół tak się postępuje w opracowaniach, naukowych nie wyłączając). Nie wiem, czy szczerze są wyznania autorów pamiętników dotyczące ich lat szkolnych. Na ogół wspominają je z łezką w oku jako chwile sielskie i anielskie. Czy jest to szczerze? Wspominam naukę już od pierwszej klasy bez wzruszeń, a co do późniejszych czasów – gimnazjum i liceum – to przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie powiedzieć nader nieprzyjemną prawdę na ten temat. Moja rezerwa powodowała cokolwiek niezwykłą u ucznia niewrażliwość na jakość ocen. Pozostało mi to nawet na czas studiów, choć wtedy już liczyłem na coś lepszego. Szkoła była dla mnie *malum necessarium*¹⁴, zatem zgodnie z moim usposobieniem starałem się znosić ją w duchu pewnego pragmatyzmu. Polegał on na unikaniu ocen negatywnych na wszelkiego rodzaju świadectwach. Kiedy dziś przeglądam spory ich plik zebrany w ciągu wszystkich lat edukacji, zauważam tylko dwie pały, które trafiły na świadectwa półroczne, bo takowe kiedyś bywały. Swoją drogą, nieraz zastanawiałem się, dlaczego tak bardzo nie lubiłem szkoły i to od początku? Przecież wielu moich rówieśników z niecierpliwością czekało na pierwszy dzwonek po wakacjach. Ja z pewnością nie. Może to brak przedszkola w moim życiu sprawił, że nie byłem do niej przygotowany i traktowałem jako ograniczenie mojej swobody. Coś w tym było.

Wakacji natomiast oczekiwałem z utęsknieniem. Dopiero tuż przed końcem pierwszego (i ostatniego) roku studiów prusieckich jeden z kolegów (doświadczony, bo repetent) zdradził mi tajemnicę, że podobno Krankowski mówił, iż ja oraz jeszcze kilku kolegów pozostaniemy na drugi rok w pierwszej klasie. Strasznie się zmartwiłem. Głównie tym, że trzeba będzie tę nudę powtarzać, podczas gdy inni pójdą do drugiej klasy, a tam podobno to już same ciekawe rzeczy, choć

¹⁴ Łac. zło konieczne, niemożliwe do uniknięcia.

z drugiej strony może i pani Majkowska. W końcu pogodziłem się do tego stopnia z myślą o „siedzeniu” w pierwszej klasie, że w dniu zakończenia szkoły poszedłem odświętnie ubrany, oczywiście w towarzystwie „wybitniejszych” osobistości szkolnych, na rowy palić suchą trawę. Po co iść po świadectwo, skoro zostaje się na drugi rok? Ojciec był innego zdania i po długich poszukiwaniach przyprowadził mnie do domu, gdzie zostałem gruntownie wyszorowany i przebrany. Po zainkasowaniu zaliczki w postaci paru razów korbaczem (tak nazywano dyscyplinę killkurzenienną, wiszącą stale na drzwiach od kuchni) musiałem pójść przeprosić pana Krankowskiego i odebrać świadectwo oraz oświadczenie, iż jestem uczniem drugiej klasy. Podważyło to zdecydowanie moje zaufanie do „pewnych” informacji z ust doświadczonych (przez los i wątpliwe zdobycze życiowe) kolegów. Byłem więc w klasie drugiej, co sprawiło, że perspektywa wakacji spędzonych u cioci Toli w Gotelpiu straciła na atrakcyjności.

W Agencji Pocztowej, którą prowadziła ciocia, bywało bardzo przyjemnie. Pachniało jabłkami, ziołami oraz miodem i w ogóle było inaczej niż w domu rodzinnym. Były atrakcje w postaci hulajnogi i różnych wykonanych przez stolarza zabawek. Cóż jednak z tego, skoro były one wydzielane tylko jako nagroda za dobre sprawowanie, a to był wymóg przerastający moje uzdolnienia. Hulajnoga, rzecz najcenniejsza, spoczywała więc zamknięta w szopie. Z biegiem czasu znalazły się inne rozrywki i zupełnie przestałem się tym jednośladem zajmować. Ciocia spostrzegła, że jej pedagogia nie daje spodziewanych rezultatów, i pewnego dnia wspaniałością wystawiła sprzęt z szopy. Miejscowi koledzy wyśmiali mnie, że będąc w zasadzie drugoklasistą, a więc człowiekiem dorosłym, bawię się jak maminsynek. Wszystko to już przerabiałem, dlatego wyjazd do Gotelpia wcale mnie nie cieszył. Była jeszcze jedna okoliczność, która zniechęcała mnie do wyjazdu. Otóż postanowiono, że pojedzie cała trójka, tzn. moje obie siostry i ja. W owych czasach mój stosunek do kobiet był zdecydowanie negatywny. Najgorsze ze wszystkiego było to, że musiałem niekiedy z siostrami gdzieś pójść, np. do kościoła. Po drodze znosić musiałem pogardliwe miny i docinki:

– Patrzcie, prowadzą cielaka na łańcuchu, żeby go nikt nie ukradł...

Hańba, żeby powszechnie we wsi szanowany młody człowiek musiał znosić kuratelę kobiet. W dodatku, kiedy spotykały się z koleżankami już dorosłymi, bo liczącymi 12–14 lat, te zapytywały, czy to konieczne, żeby „ten mały” się tu pętał. To było nie do zniesienia. Perspektywę wakacji miałem całkowicie zepsuta.

Wakacje

Ostatnie wakacje przed wybuchem wojny spędzałem właśnie u ciotki Toli w Gotelpiu pod Czerskiem. Ciocia Tola, czyli Teodozja Danielska,

starsza siostra mojej mamy, była osobą wyjątkową. Jeszcze niejednokrotnie przyjdzie o niej wspomnieć. Zasadnicza – zdawać by się mogło – bez cienia tolerancji dla jakiegokolwiek słabości, a w istocie niezwykle czuła, opiekuńcza i gotowa wszystko wybaczyć, a obwinionego bronić do upadłego. Czegóż tam dla mnie nie było?! Od hulajnogi do szczudeł, ale – jak się już rzekło – wszystko wydzielane w postaci



Paweł Zieliński
(pierwszy z lewej)
jako kometant Poczto-
wego
Przysposobienia
Wojskowego

nagrody za dobre sprawowanie, inaczej mówiąc: za posłuch natychmiastowy bez tego denerwującego „załaz” (nie wymawiałem „r”). Mało więc korzystałem ze wspaniałych zabawek, za to były wyprawy z ciotką przez las do kolejnych jej znajomych. Same wędrówki były niezapomniane, ale to wysiadywanie w czasie pogawędek starszych i stałe przez nich nagabywanie:

- A co kawaler by jeszcze zjadł?
- Poziomki ze śmietaną!
- O, one zrobią, że wszystkie panny za kawalerem będą się oglądały.

Jakaż bzdura, przecież nic nie było u mnie w większej pogardzie niż panny, oczywiście te w wieku 7–10 lat. Starsze to były już w ogóle jakieś babiny, staruszki, z którymi (nawet jeśli to były własne siostry) „kawaler” wstydził się iść po ulicy choćby kilka kroków. Zaraz by mówiono, że ten babiniec go pilnuje, wszystkiego mu zabrania, a on musi słuchać. Takie upokorzenie eliminowało człowieka z życia wiadomych elit.

Wiele spraw było dla mnie niezrozumiałych, np. dlaczego matka, załamując ręce, powtarzała:

- Czy ty musisz zawsze iść tam, gdzie rej wodzą łobuzy?

A przecież ci grzeczni chłopcy, stawiani nieustannie za wzór, to byli maminsynkowie, bojące się wszystkiego łamagi, którym mamy obcierały

umorusane gębusie. Obrzydzenie brało na sam ich widok, a tu każą ich naśladować! Mogło być coś gorszego? Miało się więc trochę trosk i kłopotów. Mimo wszystko wakacje te były wspaniałe jak żadne inne. Codziennie pytałem, czy jeszcze długo potrują? Ale ciocia i listonosze byli coraz bardziej zatroskani. Pewnej nocy obudziłem się – spałem na tapczanie w pomieszczeniu biurowym – i nad sobą ujrzałem postać w hełmie, z lornetką na piersi. Żołnierz, świecący latarką wokół centrali telefonicznej. Już spania nie było. Przez okno ujrzałem w poświacie księżycy jakieś zaprzęgi, działka, ludzi na koniach. To wojsko szło zajmować pozycje w Borach Tucholskich – zgrupowanie gen. Bortnowskiego¹⁵. O tym dowiedziałem się jednak znacznie później.

Rano ciocia wyekspediowała nas do Czerska i stamtąd pociągiem, z przeładką w Więcborku, dotarliśmy do domu, do Pruszcza. Tam trwało już pakowanie i panował nerwowy rwetes. Do mojej świadomości dotarło słowo „wojna”, ale zamiast strachu wzbudziło zaciekawienie. Śpiewało się przecież *Jak to na wojence ładnie* i *Strzelcy maszerują*. Piosenki przemieniały się w rzeczywistość. Pamiętam, jak jeszcze przed wyjazdem z Gotelpia poszliśmy z cicią do pewnej rodziny, której syn otrzymał kartę mobilizacyjną. Ten rosty wiejski chłopak rzewnie płakał. Nigdy tego nie zapomnę. Wówczas pociełem się ze wstydu za niego. Myślałem sobie, że gdybym był starszy, nie płakałbym. Oczywiście o wojnie wiedziałem tyle, ile zasłyszałem w opowieściach starszych. Wtedy mówiło się o pierwszej wojnie światowej. Nikt jednak, nawet jej uczestnicy, w tym mój ojciec, nie przeczuwali, jak inna będzie – zwłaszcza dla cywilów – wojna, która właśnie nadchodziła.

W czwartek, na dzień przed wybuchem wojny, słyszało się różne opinie. Mnie interesowało przede wszystkim to, czy następnego dnia pójść do szkoły. Tornister z wszystkimi przyborami już stał gotowy. Pomyśleć, że do klasy drugiej szkoły polskiej już nigdy nie poszedłem. Ani do żadnej innej, bo na-
zajutrz, w piątek, rozpoczęła się nasza gehenna, której końca właściwie nie doczekaliśmy przez następne pół wieku. Tak zwane wyzwolenie w 1945 r. nie było niczym innym jak zmianą jednego reżimu totalitarnego na inny. Mówi się niekiedy, że była to nowa okupacja, tyle że polskojęzyczna. Wiele w tym prawdy, choć może nie cała.

¹⁵ Chodzi o armię „Pomorze”, związek operacyjny WP utworzony w marcu 1939 i dowodzony przez gen. Władysława Bortnowskiego; armia w czasie kampanii wrześniowej otrzymała zadanie utrzymania jak najdłużej rozdziału sił niemieckich po obu stronach Wisły.

Było jeszcze całkiem jasno, gdy matka zagnała nas do łóżek, bo „nie wiadomo, co jutro przyniesie”. Spać się nie chciało, a potem krótki to był sen.



Dom rodzinny
dziadków Daniel-
skich w Mroczy

Na dworze panowała jeszcze szarość, kiedy mama bezcere-
monialnie zerwała mnie z łóżka
i kazała się ubierać. Doskwierał
typowy poranny jesienny chłód,
ale nakładanie na siebie ciepłej
bielizny, swetra i czegoś tam
jeszcze wydawało mi się prze-
sada. Okazało się później, że to
odzienie na wyrost było wprost
błogosławieństwem. Nie w cza-

sie ucieczki, gdyż wrzesień był wyjątkowo ciepły. Tylko tę odzież udało nam
się ocalić na pierwsze czasy okupacji, gdyż po powrocie do naszego miesz-
kania Niemcy nie pozwolili już niczego zabrać.

Wojna i ucieczka

W piątek, 1 września 1939 r., zamiast pójść na lekcje, już o świcie sie-
działem wraz z innymi na zaprzęgniętym w dwa konie wozie, który zawiózł
nas do Sartowic. Tam na promie przeprawiliśmy się przez Wisłę. Zaczęła
się dwutygodniowa odyseja. Wszystko odbywało się zbyt szybko, by móc
zarejestrować w pamięci ciągłość wydarzeń. Przeprawa przez Wisłę odby-
wała się w panice, gdyż ktoś puścił wieść, że niemieckie oddziały są tuż-tuż.
Z daleka rzeczywiście słychać było grzmoty, przypuszczalnie artyleryjskie.
Szczęśliwi, że byliśmy na promie, nie słyszeliśmy zapewne krzyków i błagań
ludzi, którzy brodząc w wodzie, usiłowali wejść na przeciążony statek. Jedna
z pań w futrze i trzewikach na wysokich szpilkach goniła prom najwytrwalej,
ale w końcu i ona stanęła bezradna, a w mule tkwiły jej buciki.

Nie wiem, jakim środkiem lokomocji dotarliśmy do Chełmna. Tam po raz
pierwszy przeżyliśmy bombardowanie. Schronienie, dość wątpliwe, znaleźli-
śmy w klasztorze Szarytek. Bomby spadły głównie do Wisły i chyba zatopiły
jakąś barkę. Spodziewaliśmy się spotkać ojca, który z nami nie uciekał. Jako
oficer rezerwy i komendant Pocztowego Przysposobienia Wojskowego
w powiecie świeckim miał zadanie ochraniać urządzenia łączności. Podobno

przechodził przez Chełmno, ale w tej ciżbie ludzi odnalezienie się graniczyło z cudem.

Losy ojca potoczyły się potem inaczej niż nasze. My wróciliśmy po dwóch tygodniach do Pruszcza, a ojciec jako oficer rezerwy niezmobilizowany (39 lat) szedł dalej z wojskiem, uczestniczył w kilku bitwach i dostał się za Bug, gdzie wraz z innymi został ogarnięty przez bolszewików. Tylko opanowaniu zawdzięczał wydostanie się z niewoli, puszczali bowiem *raboczych*¹⁶, a on podał się za *pocztaliona*¹⁷. Dokumenty zniszczył i wyrzucił, podobnie osobistą broń, kiedy poddanie się bolszewikom było już sprawą pewną. Większość oficerów w poczuciu obowiązku czy po prostu nie przeczuwając tego, co się stać miało stać, poszła do niewoli wraz z żołnierzami. Był to straszliwy błąd. Żołnierzom oficer w sowieckiej niewoli nie mógł w żaden sposób pomóc, gdyż Sowietci z szeregowcami obchodzili się bardziej po ludzku. Oficerów natychmiast odseparowali i ślad po nich zaginął.

Bolszewicy oglądali każdemu ręce. Kto miał spracowane, szedł do jednej grupy, a kto miał ręce delikatne – do drugiej. Ręce ojca pokryte były pęcherzami, brudne, bo przecież przez trzy tygodnie rzadko myte. Uznany został za *raboczego*. Pytany o zawód, podał listonosza. Mógł albo zostać w ZSRS, albo wrócić pod okupację niemiecką. Wraz z wieloma kolegami wybrał to drugie. Władanie sowieckie budziło większy lęk aniżeli niemieckie¹⁸. Trzeba jednak zaznaczyć, że był to czas, kiedy żaden z najeźdźców nie dał jeszcze poznać, co potrafi. Śmierć była wszakże ojcu pisana, nie w Katyniu wprawdzie, ale gdzieś pod Chojnicami, w Borach Tucholskich, z rąk Niemców.

Z Chełmna jakimś cudem, już pociągiem, dostaliśmy się do Kornatowa pod Toruniem, gdzie transport został zbombardowany. Utraciliśmy wszystko prócz podręcznych bagaży. Kiedy ustało bombardowanie i wróciliśmy do pociągu, większości pozostawionych rzeczy już nie zastaliśmy. Widocznie złodzieje nie bali się bomb, podobnie jak Boga, okradanie ludzi w takiej sytuacji było bowiem przejawem braku podstawowych zasad moralnych. Wojna dopiero się rozpoczynała, ale już pierwsze jej chwile wyzwalały w ludziach odruchy występku.

¹⁶ Ros. robotnicy.

¹⁷ Ros. listonosz.

¹⁸ Tego typu przekonanie było dość powszechne wśród ludności polskiej, szczególnie na Kresach Wschodnich, gdyż ich mieszkańcy mieli w pamięci działalność wojsk bolszewickich w czasie wojny 1919–1920.

Po powrocie do Pruszcza zastaliśmy mieszkanie obrabowane. Czego nie ukradli rodacy, zasekwestrowali Niemcy. Jak się podobno wyraził do mojej matki jeden z miejscowych volksdeutschów¹⁹, członek osławionego Selbstschutzu²⁰:

– *Hier gibt es nur deutsches Eigentum*²¹.

Okazało się, że nawet albumy ze zdjęciami rodzinnymi, nie mówiąc o osobistej bieliźnie i rzeczach codziennego użytku. Miejscowi Niemcy – nie wszyscy, ale większość – okazywali Polakom zupełnie niezrozumiałą nienawiść i pałali żądzą mordy. Młody człowiek, który tak się do matki odezwał, udając, że nie zna polskiego, przed wojną nisko się kłaniał i zapraszał do sklepu swoich rodziców. Nie był też przez Polaków źle traktowany. Być może także jego ojcu mój ojciec pisywał podania do władz. Wszystko się zmieniło w momencie, kiedy Niemcy zajęli te ziemie. Obywatele polscy, a takowymi byli miejscowi Niemcy, zapomnieli o tym, komu winni byli lojalność. To było coś, co na zawsze zamknęło im drogę do współżycia z Polakami na tej samej ziemi. Nie wspominają dziś o tym ludzie pokroju Eriki Steinbach, a i wielu polskich historyków i polityków woli zapomnieć.

Wracam jednak do Kornatowa. Zatrzymaliśmy się w pierwszym z brzegu gospodarstwie, jak najdalej od torów kolejowych. Okazało się, że to kolonisci niemieccy. Patrzyli spode łba. O zakwaterowaniu nie było mowy; było nas zresztą kilka rodzin. Do jedzenia coś się znalazło. Obserwowaliśmy wtedy po raz pierwszy bitwę powietrzną. Bombowce atakował mały samolot, pewnie nasz PZL 11²². Ktoś mówił, że kilka kilometrów dalej jeden z heinkli 111²³, a może dornier²⁴, spadł w płomieniach. Prawda czy próba dodania sobie i nam otuchy?

W czasie naszego pobytu u wspomnianych Niemców, od których matka moja zresztą chciała jak najszybciej się wydostać, szwendaliśmy się z kolegami

¹⁹ Volksdeutsch – określenie stosowane w III Rzeszy do 1945 wobec osób pochodzenia niemieckiego zamieszkujących poza granicami Niemiec na koniec 1937 i nieposiadających obywatelstwa niemieckiego lub austriackiego. Określenie zostało użyte po raz pierwszy w memorandum Adolfa Hitlera z 1938.

²⁰ Niem. Samoobrona – niemiecka organizacja paramilitarna złożona z osób wywodzących się z mniejszości niemieckiej na terenie II RP. Utworzono ją na podstawie rozkazu Heinricha Himmlera z 26 IX 1939. Selbstschutz działał przede wszystkim na terenach dawnego zaboru pruskiego i liczył około 80–100 tys. osób.

²¹ Niem. Tutaj wszystko jest własnością niemiecką.

²² Samolot PZL 11 – polski samolot myśliwski konstrukcji inż. Zygmunta Puławskiego. W latach 1933–1934 jeden z najnowocześniejszych samolotów myśliwskich na świecie. Szybki postęp w technice lotniczej sprawił jednak, że w 1939 była to już przestarzała maszyna.

²³ Samolot Heinkel He 111 – podstawowy bombowiec średni niemieckiej Luftwaffe wykorzystywany w początkowej fazie drugiej wojny; skonstruowany przez Ernesta Heinkla.

²⁴ Samolot Dornier Do 17 – niemiecki samolot rozpoznawczy i bombowy z okresu drugiej wojny, produkowany w zakładach Dornier Flugzeugwerke (kolejne wersje to Dornier Do 215 i Dornier Do 217).

po ogrodzie, zaglądając do ogródka kwiatowego, gdzie rosły śliwy i była altana. W niej zauważyliśmy kopiec ziemi, a spod niego wystający cienki drut. Nie pozwalał się wyciągnąć; kiedy zatem zauważyliśmy kilku żołnierzy Obrony Narodowej²⁵ przechodzących drogą, zwróciliśmy ich uwagę na ową kupkę ziemi. Trzeba pamiętać, że wielkie było uwrażliwienie na szpiegów, co dzieciom udzielało się może bardziej niż dorosłym. Żołnierze coś tam wydobyli, nas niezwłocznie wyprowadzono z ogródka i oddano pod opiekę starszych. Za chwilę zobaczyliśmy, że w domu pojawili się inni wojskowi, przeprowadzili rewizję, po czym zabrali dwóch mężczyzn, zdaje się ojca i dorosłego syna, właścicieli zagrody, oraz kilka przedmiotów, m.in. to coś wygrzebane w altanie. Ponieważ moja matka, obawiając się, że zemsta owych Niemców spadnie na nas, interweniowała u jakiegoś oficera, dano nam wóz i dwa konie i nakazano natychmiastowy wyjazd.

Nikt nie wiedział, dokąd należy się udać. Pojechaliśmy szosą warszawską, najczęściej jednak przemieszczaliśmy się wzdłuż niej, bocznymi drogami. Na głównych szosach panował niesamowity tłok, wojsko stale nawoływało do opuszczenia tych szlaków, informowało o niebezpieczeństwie dostania się cywilów pod ogień w razie bitwy. Jeszcze gorsze były całkowicie bezkarne samoloty niemieckie, siejące panikę wśród ludności.

Kolejne bombardowanie przeżyliśmy w Lubiczu. O mało nie skończyło się to tragicznie. Wóz nasz pozostał w brzozowym zagajniku tuż przy wjeździe do wsi. Ponieważ babka moja nie chciała się ruszyć z miejsca, pozostawiono ją na straży resztek naszego mienia. Wszyscy inni poszli do wsi szukać ewentualnego schronienia i paszy dla koni. Weszliśmy do pierwszej z brzegu chaty, ale łatwo było zauważyć, że właścicielami było starsze małżeństwo niemieckie. Był tam też ich dorosły syn. Nalegał, by rodzice opuścili dom, co było zrozumiałe ze względu na trwający nalot. On sam był bardzo zdenerwowany i stale wchodził na poddasze. W pewnym momencie zbiegł po drabinie ustawionej w sieni i siłą chciał wypchnąć rodziców z domu; zaczął też mówić po niemiecku, choć dotąd on i jego rodzice mówili wyłącznie po polsku. Ich wyjściu z domu przeciwstawił się jeden z naszych listonoszy, grożąc w razie oporu pistoletem. W czasie szamotaniny nagle posłyszeliśmy straszny huk, drewniane ściany zachwiały się i cały dom się przechylił. Bomba padła kilka metrów od progu. W niedługim czasie zjawili

²⁵ Obrona Narodowa – terytorialna formacja wojskowa istniejąca w latach 1937–1939, podporządkowana dowództwom okręgów korpusów, a po rozpoczęciu działań wojennych – konkretnym armiom WP.

się dwaj żołnierze, chyba z jednostki kawaleryjskiej stojącej nieopodal w lesie, w którym znajdował się także nasz wóz. Syn gospodarzy uciekał przez okno, ale zaraz został przyprowadzony przez innych żołnierzy, przypuszczalnie otaczających dom. Zabrano go, a nam powiedziano, że dawał znaki białą płachtą, którą powiewał z dymnika. W Lubiczu samoloty latały tak nisko, że widać było nawet twarze pilotów. Trzeba pamiętać, że szybkość samolotów była wtedy wielokrotnie niższa niż obecnie. Rodzice zabranego młodzieńca zaklinali się, że ich syn nie dawał żadnych znaków, a tylko usiłował zabrać z linki suszące się pranie. Nic jednak nie pomogło i wojsko chłopaka zabrało. Inna sprawa to oznakowanie niemieckich gospodarstw, co zauważyliśmy już na terenie dawnej Kongresówki. Na wielu stodołach i chlewach ułożony był na dachach z białych dachówek *hakenkreuz*²⁶. Miało to uchronić te zabudowania od ataku z góry.

Dalsza droga wiodła przez Kikół, strasznie zbombardowany. Po raz pierwszy widziałem wtedy zabitych. Jeden zwisał z drutów telefonicznych. Nie wiem dokładnie gdzie, ale raz przeżyliśmy ostrzeliwanie, zdaje się, że przez JU 88²⁷, samolot nurkujący. Widać było głowę strzelca, który musiał dokładnie widzieć, że strzela do cywilów. Leżeliśmy za sporym krzakiem, z którego pozostały tylko kikuty. Nikt nie zginął. Do dziś się zastanawiam, jak to możliwe, że wszyscy ocaleli. Jadąc dalej, w rowach przydrożnych widzieliśmy sporo bomb niewypałów. Wszystko to budziło grozę. Zdążaliśmy do Włocławka, ewentualnie do Płocka, gdzie miały być wypłacone pocztowcom pobory. Do celu nigdy nie dotarliśmy. Na jednym z postojów we wsi, której nazwy nie pamiętam, zamieszkałej jednak wyłącznie przez Polaków, odradzono nam dalszą podróż. Było to już po minięciu Lipna i Sierpca, ale od tego ostatniego miasta niezbyt daleko. Chętnie skorzystaliśmy z zaproszenia niejakiej pani Umińskiej, która okazała nam wiele serca, ale miała bardzo złośliwego kozła, co mnie osobiście zrażało do tej gościny. Moja matka zdecydowała się na pozostanie, chyba pod wpływem dramatycznego wydarzenia z nocy poprzedzającej nasz przyjazd do owej wsi.

Jechaliśmy przez las, długi wąż wozów uciekinierów. Najpierw spotkaliśmy kolumny piechoty. Oficer błagał, by zjeżdżać z głównej drogi, spodziewano się bowiem, że w jej rejonie może dojść do bitwy. Cywile byli w 1939 r. wielką zawadą dla wojska. To sprawiło, że czoło naszego pociągu wojskowego

²⁶ Niem. swastyka.

²⁷ Samolot Junkers Ju 88 – niemiecki dwusilnikowy samolot z okresu drugiej wojny.

zjechało na polną drogę i tak znaleźliśmy się w owym lesie. W pewnej chwili ktoś krzyknął:

– Gaz!

W górze warczał samolot, pozostawiał za sobą smugę kondensacyjną. Uznano to za atak gazowy. Trudno sobie wyobrazić, co zaczęło się dziać. Panika. Ludzie wyjmowali, co kto miał pod ręką: chusteczki, gałganki, darli nawet bieliznę; cóż, kiedy nie było nigdzie wody, nawet rosy. Siusiano więc w te szmatki i przykładano do ust, zwłaszcza chciano chronić dzieci. Konie się rozbiegły, nikt ich bowiem nie pilnował. Przy tym ciemna noc i mgły unoszące się nad drogą i nad łąkami, również kojarzone z gazem. Do rana rodzice szukali swych dzieci, odnajdywano wozy, usiłowano zgromadzić porzucone dobro. Gazu bano się w przekonaniu, że Niemcy go zastosują. Przemawiały za tym doświadczenia z pierwszej wojny światowej i szkolenia przeprowadzane przed wybuchem wojny przez LOPP²⁸. Nikomu nie przyszło do głowy, że to samoloty przelatujące w nocy pozostawiały za sobą smugi kondensacyjne.

Po około tygodniu wyruszyliśmy z gościnnej wsi, nie wiedząc, jak przebiega front i gdzie się znajdują Niemcy. Zobaczyliśmy ich jednak już po ujechaniu zaledwie kilku kilometrów. Była to ciężarówka z kilkunastoma żołnierzami, dowodził nimi bardzo opasły *feldfelbel*²⁹, którego mam przed oczyma, jakby to było wczoraj. Dokonali pobieżnej rewizji, zaznaczając, że jeśli znajdą broń, której zaraz nie oddamy, to wszyscy, łącznie z dziećmi, zostaną rozstrzelani. Matka miała mały pistolet, podobnie jak jeden z listonoszy. Po oddaniu ich zaniechano ledwo rozpoczętej rewizji, a gruby *feldfelbel* zaczął żartować i pytać, czy nie znudziła się nam wycieczka w takim upale i kurzu. Matka rozpłakała się, co go rozwścieczyło. Wrzeszczał, że Polska nigdy więcej nie powstanie, bo Polacy sami ją przepili, przełamać i przeżarli. Pocieszył jednak wszystkich, że Hitler zaprowadzi porządek, co również nam wyjdzie na dobre. Wspominał przy tym o polskich bandytach, którzy w Bydgoszczy wymordowali Niemców. To była pierwsza wieść o Bromberger Blutsonntag³⁰. Odtąd spotykani Niemcy stale nam o tym przypominali, grożąc

²⁸ Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej – polska masowa organizacja paramilitarna utworzona w 1928 z połączenia Ligi Obrony Powietrznej Państwa i Towarzystwa Obrony Przeciwgazowej. W 1939 liczyła około 2 mln członków. Na rozwój lotnictwa polskiego przekazała ponad 70 mln zł.

²⁹ *Niem.* podoficer, odpowiednik polskiego sierżanta.

³⁰ *Niem.* krwawa niedziela – wprowadzone w propagandzie III Rzeszy przez Josepha Goebbelsa określenie wydarzeń, jakie rozegrały się 3–4 IX 1939 w Bydgoszczy po agresji III Rzeszy na Polskę. Chodziło o pacyfikację przez WP wymierzonej w polskie oddziały wojskowe dywersyjnej akcji mniejszości

odwetem. Inni żołnierze ze spotkanego patrolu nawet na nas nie spojrzeli, mieli ponure miny i – jak się wydawało – humor sierżanta nie robił na nich wrażenia.

Jedno było jasne: trzeba jechać z powrotem, do domu. Już nie umiem dziś wytłumaczyć, dlaczego wracaliśmy inną drogą, przez Rypin i Brodnicę. Najprawdopodobniej wieś, w której spędziliśmy tydzień, znajdowała się gdzieś między Sierpcem a Rypinem, do Sierpca bowiem już nie wracaliśmy, ruszyliśmy wprost na Brodnicę. Matka mówiła później, iż chciała w Brodnicy wstąpić do rodziny ojca, którego matka, moja babcia, jeszcze podówczas żyła. Ponadto w domu był brat ojca, a także, jak się okazało, dwie siostry z rodzinami. Nie utrzymywaliśmy z nimi bliższych kontaktów, ojciec sam zresztą raczej o to nie zabiegał. Jednak przyjęcie, jakiego doznaliśmy, wprost trudno opisać. Wystarczy, że powiem, iż nawet nie weszliśmy do domu. Konwersacja odbywała się na schodach wiodących do głównego wejścia. Kiedy matka, płacząc, użała się nad losem kraju, jedna z ciotek zauważyła:

– *Ach, das war doch früher alles Westpreussen*³¹.

O ojcu oczywiście nic nie wiadano. Bardzo ubolewano, że w domu tak ciasno, bo zjechały córki z dziećmi. Nasz wygląd nie wzbudzał entuzjazmu, przecież od dwóch tygodni byliśmy w drodze, zabiedzeni, głodni. Matkę zraziły manifestowane sympatie proniemieckie, uspokajanie, że kiedy się wszystko unormuje, sprawy się ułożą. Może po dwóch godzinach, dłużej z pewnością nie zabawiliśmy, ruszyliśmy w dalszą drogę. Niewiele z tej trasy pamiętam, bo ciężko chorowałem na żołądek, przejadłszy się węgierek w ogrodzie pani Umińskiej.

O czymś muszę jeszcze opowiedzieć. Tydzień albo dwa przed wybuchem wojny moja matka, chorująca przez całe życie na serce, wspominała nam, że miewa budzące grozę sny. Widzi nieznane miejscowości, pożary, zwłoki ludzkie i że co noc są to inne obrazy, choć zawsze o podobnej treści. Kiedy następnie jechaliśmy w czasie naszej ucieczki przez wsie i miasteczka, powtarzała nieustannie:

– Tak, to już widziałam, a może jutro będzie to czy tamto.

Mało kto zwracał na to uwagę, ale my, dzieci, dobrze pamiętałyśmy, o czym matka mówiła przed wojną. Później pytałem wielu psychologów, psychiatrów, co mogło spowodować te prorocze – jak się okazało – sny, ale nikt nie potrafił tego w sposób przekonujący wyjaśnić.

niemieckiej zamieszkałej w Bydgoszczy. Te działania Niemcy wykorzystali jako pretekst do masowych egzekucji Polaków mieszkańców Bydgoszczy i Pomorza Nadwiślańskiego po wkroczeniu armii niemieckiej.

³¹ Niem. Ach, przecież to były kiedyś Prusy Zachodnie.

Z powrotem w Pruszczu

Pamiętam dobrze moment, kiedy wjeżdżaliśmy do Pruszcza. Zaraz na początku wsi zatrzymali nas cywile niemieccy, Selbstschutz, uzbrojeni w karabiny, z opaskami i *hackenkreuzem* na ramieniu. Przeszukali wóz, pytając, gdzie ojciec. Znali matkę i wszystkich na wozie bardzo dobrze, teraz jednak patrzyli z zawziętością, pokrzykiwali i grozili. Dla mnie było to coś niezrozumiałego. Przecież znałem każdego z nich. Był tam syn fryzjera, mającego zakład o trzy domy od poczty, zawsze uśmiechniętego, stojącego w białym kitlu w drzwiach i czekającego na klientów. Był któryś ze znanych gospodarzy, często widywany na pocztce i rozmawiający z ojcem. I wielu innych, ale teraz byli to groźni ludzie, których się bałem.

Zajechaliśmy pod gmach poczty, gdzie mieszkaliśmy. Listonosze rozeszli się do swoich mieszkań. Matkę wpuszczono wprawdzie do mieszkania, ale nie pozwolono jej niczego zabierać. Widać było jednak, że wiele rzeczy zginęło. Podobnie ze skrzyni zakopanej przed wyjazdem w drewnutni pozostały resztki, m.in. mundur oficerski ojca, szabla i mały pistolecik. Oba ostatnie przedmioty zabrał niemiecki oficer, ktoś w rodzaju komendanta placu, który wezwał matkę na przesłuchanie i oznajmił, że do mieszkania nie mamy więcej wstępu. Znaleźliśmy się na ulicy.

Rękę podał nam właściciel młyna, Erich Schmidt (imienia nie jestem pewny), który bardzo dobrze znał się z moim ojcem i nie bał się przygarnąć nas w swoim domu, gdzie otrzymaliśmy obszerny, umeblowany pokój. Mimo nalegań miejscowych hitlerowców młynarz nie ugiął się i przez cały czas naszego pobytu w Pruszczu mieszkaliśmy u niego. Gdzieś na początku października zjawił się ojciec, którego z Bydgoszczy przywiózł samochodem brat naszego dobroczyńcy, Bruno. Właściciel młyna wyraźnie się stropił, ujrawszy ojca, robił wyrzuty bratu, że ten go przywiózł, zamiast ostrzec, że miejscowi Niemcy obiecali ojcu zemstę. Za co, tego nie wiedział ani ojciec, ani nikt inny, ojciec bowiem utrzymywał z miejscowymi Niemcami dobre, z niektórymi nawet przyjacielskie, stosunki.

Już następnego dnia zjawili się ludzie z Selbstschutzu i zabrali ojca, zdaje się do remizy strażackiej, gdzie przetrzymywani byli już inni Polacy. Został okropnie skatowany, podobno miał odbite nerki i prawdopodobnie nie przeżyłby tego, nawet gdyby go później nie zamordowano. Erich Schmidt, a także nasz sąsiad mleczarz Papke wymogli na oficerze, który przesłuchiwał matkę, zwolnienie ojca. Przedtem jednak matka została ponownie wezwana w celu wyjaśnienia, skąd w naszej skrzyni schowanej przed ucieczką znalazły się szabla i ów pistolecik. Przy przesłuchaniu był jeden z miejscowych Niemców, bardzo młody człowiek, któremu ojciec wyświadczył

niejedną przysługę, a który w obecności matki postulował rozstrzelanie ojca z tej racy, że ojciec był oficerem polskim i urzędnikiem państwowym. Zdenerwowany wehrmachtowiec wrzasnął na niego w pewnym momencie, zapytując, na czym konkretnie polega wina ojca i czy on, oficer niemiecki, też jest wobec kogoś winny, ponieważ jest tym, kim jest? Kiedy wreszcie się go pozbył, powiedział do matki:

– Nic nie rozumiem, nie wiem, dlaczego tutejsi Niemcy tak was nienawidzą. Mieli tu dobrze, choć uskarżają się na prześladowania. Nie rozumiem tu czegoś, ale wiem jedno: państwo, cała rodzina, musicie natychmiast stąd uchodzić i przyznamniej na jakiś czas gdzieś się przyczyać, bo ja dziś tu jestem, jutro mnie nie ma, a skoro wejdzie inna władza (zapewne miał na myśli gestapo³²), zabiją was. Pani mąż zostanie uwolniony jeszcze dziś, jutro ma was tu nie być. Niech pani zabierze mundur, rekwirujemy tylko broń.

Z tego munduru miałem potem ubranie, które nosiłem przez prawie całą wojnę. Wyrosłem z niego chyba dopiero w 1943 r.

Ojciec wrócił zmaltretowany, był nie do poznania, nie tylko bowiem go bito, ale razem z wójtem musiał ciągnąć przez całą wieś wóz wypełniony śmieciami. Popędzali ich młodzi członkowie Selbstschutzu. Niektórzy Niemcy podczas tej szuky szybko zniknęli z ulicy, ale gawiedź podszczuwała konwojentów, rzucała złośliwe uwagi pod adresem maltretowanych. Ojciec nigdy nie powiedział, kto go bił, choć matka się dopytywała. Argumentował, że wzbudziłoby to nienawiść do tych ludzi, a chrześcijaninowi nie wolno nienawidzić. Taka była jego religijność – bez ostentacji, ale bezwarunkowo konsekwentna. Matka była bardziej bezkompromisowa i skłonna do rygoryzmu w rzeczach drugorzędnych. Ojciec miał bardzo wiele do czynienia z ludźmi i zawsze potrafił różne ich poczynania tłumaczyć na ich korzyść. Nie pamiętam, by się unosił, by używał mocnych słów. Jedyne jego przekleństwo to było słowo „psiakręc”.

Po zwolnieniu z aresztu ojciec był fizycznie i psychicznie w tak fatalnym stanie, że trudno mu było podjąć jakąkolwiek decyzję. Na ogół zawsze pełen optymizmu, stracił generalnie dobre mniemanie o Niemcach, wśród których wzrastał, których język poznał wcześniej, może nawet lepiej niż polski. Bardzo cenił niemiecką, a ściśle mówiąc pruską, praworządność. Wiedział o nielojalności wielu miejscowych

³² Gestapo (*niem.* Geheime Staatspolizei) – tajna policja państwowa utworzona w Niemczech 26 IV 1933 w celu bezwzględного zwalczania wszelkich przeciwników rządów nazistowskich. Rozwiązana w momencie upadku III Rzeszy w 1945. W 1946 gestapo zostało uznane przez Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze za organizację przestępczą winną ludobójstwa i zbrodni wojennych.

Niemców wobec państwa polskiego, ale nie dopuszczał myśli, że jest to naród, w którym zbrodnia stanie się chlebem powszednim dla wielu wczoraj jeszcze niby dobrych sąsiadów, rzemieślników, kupców, nawet inteligentów, skądinąd ludzi dobrotliwych, uczciwych, którzy szczylic się ową niemiecką *Gemütlichkeit*³³. Powtarzał stale, iż świat, w którym dotąd żył, przestał istnieć. Jak żyć w tym nowym, którego nie rozumie. Zadawał też często pytanie, dlaczego ludzie, którym starał się czynić dobrze, tak bestialsko go bili. Zarzucano mu tylko to, że jako Polak, urzędnik polski, dbał o powierzone mu zadania, co rzekomo miało godzić w interesy miejscowych Niemców.

Rola miejscowych Niemców, choć zapewne nie wszystkich, w organizowaniu terroru antypolskiego i związanych z nim zbrodni w pierwszym okresie okupacji jest nie do zanegowania. Mieli oni świadomość tego, co zadecydowało o ich ucieczce w 1945 r. Inaczej niż na ziemiach starej Rzeszy (Altreich), gdzie wielu zostało na miejscu, pomorscy Niemcy, nawet ci bez winy, nie wazyli się pozostać, licząc się z odwetem.

Wielokrotnie spotkałem się później w Niemczech z zarzutem, iż Polacy wysiedlili nawet tych Niemców, którzy przed 1939 r. mieszkali w Polsce. Nigdy do końca tych pretensji nie mogłem zrozumieć. Przecież jako obywatele polscy zdradzili swój kraj i działali tak czy inaczej na jego szkodę. Już po 2000 r. spotkałem się z w RFN z prof. Georgiem Stroblem³⁴, Niemcem, a przed wojną obywatelem Polski, który w czasie wojny był w Abwehrze³⁵. Na sesji naukowej wygłosił on prelekcję bardzo obraźliwą dla Polski i jej dziejów. Kiedy w dyskusji zarzuciłem mu jego sprzeniewierzenie się krajowi, który go przygarnął, wyraził później pod moim adresem zarzut, że użyłem w dyskusji argumentu *ad hominem*. Oczywiście tak było, ale jakże mogło być inaczej?

W czasie kwerendy w archiwum państwowym w Bydgoszczy natknąłem się na rejestry miejscowych Niemców sporządzone przez gestapo w czasie wojny z adnotacją, iż jako sprzyjający Polakom mieli oni być zlikwidowani po ostatecznym zwycięstwie. Była pewna liczba takich osób i – moim zdaniem – należało

³³ Niem. jowialność.

³⁴ Georg Waldemar Strobel (1923–2010), historyk i politolog niemiecki, nauczyciel akademicki. Autor m.in.: *Quellen zur Geschichte des Kommunismus in Polen 1878–1918. Programme und Statuten*, Koln 1968; *Die Partei Rosa Luxemburgs, Lenin und die SPD. Der polnische „europäische“ Internationalismus in der russischen Sozialdemokratie*, Wiesbaden 1974.

³⁵ Abwehra – nazwa niemieckiego wywiadu i kontrwywiadu wojskowego działającego w latach 1921–1944. W 1935–1944 kierował nim adm. Wilhelm Canaris.

to uwzględnić przy wysiedleniach powojennych, powinny one mieć prawo do pozostania w Polsce. Niestety, postąpiono rutynowo i skrzywdzono wielu z tych, których należałoby raczej nagrodzić. Ogólnie jednak rzecz biorąc: Niemcy zamieszkujący przedwojenną Polskę zapisali bardzo złą kartę okupacyjną i nie było już dla nich miejsca w Polsce. Na szczęście o wysiedleniach trudno w tym wypadku mówić, gdyż zazwyczaj sami uchodzili przed frontem i nie pojawili się ponownie.

Nieraz wracam myślą do czasów bezpośrednio po zakończeniu działań wojennych w 1945 r. Znałem także w czasie okupacji Niemców niegodzących się z reżimem hitlerowskim i sposobem traktowania Polaków. Choćby rodzina Erdmannów z Dziedzienka, u których z polecenia *arbeitsamtu*³⁶ pracowała moja siostra. Nie zasłużyli na tak straszny los, jaki spotkał ich w czasie zimowego *exodusu*. Ale czasy były wtedy tak skomplikowane, często bezmyślna nienawiść do wszystkich bez wyboru Niemców była tak wielka, że nie zważano na żadne względy. Refleksja przychodziła niekiedy później, często zbyt późno. Niemiec okazujący Polakowi życzliwość w czasie wojny ryzykował wiele i o tym nie należy zapominać.

Gotelp i aresztowanie ojca

Stan psychiczny ojca po uwolnieniu z rąk Selbstschutzu sprawił zapewne, że nie szukaliśmy miejsca, gdzie faktycznie można by się było ukryć. Trzeba było wyjechać do Generalnego Gubernatorstwa (GG). W końcu zapadła inna decyzja: pojechaliśmy wszyscy do cioci do Gotelpia. Mała wioska zagubiona w lasach, ale tym bardziej na widoku był każdy obcy, zwłaszcza jeśli mieszkał w byłej agencji pocztowej. Tuż przed 11 listopada 1939 r. Niemcy nasilili akcję wyłapywania Polaków mogących ich zdaniem stanowić jakieś zagrożenie albo była to po prostu jedna z akcji wyniszczania warstw kierowniczych społeczeństwa.

Pewnego ranka dom, w którym się schroniliśmy, otoczyli miejscowi Niemcy. Jedni w czarnych mundurach, inni ubrani po cywilnemu, ale uzbrojeni, zapewne Selbstschutz. Kilku weszło do środka. Spytały o mojego ojca. Kazali mu się ubrać, jednocześnie przeprowadzili pobieżną rewizję. Oświadczyli, że jeśli znajdą choćby tylko pałkę policyjną, wszyscy pójdziemy natychmiast pod ścianę. Ciotka miała z czasów, kiedy prowadziła agencję, stary bębenkowiec i flagę polską. Bardzo przytomnie

³⁶ Niem. urząd pracy. Organ administracji państwowej w nazistowskich Niemczech. Na okupowanych przez Niemców ziemiach polskich pierwsze *arbeitsamty* powstały we wrześniu 1939. Zajmowały się głównie egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz dostarczaniem do Niemiec pracowników na roboty przymusowe.

włożyła prawie na oczach gestapowców oba przedmioty do pieca kuchennego, udając, że pragnie rozniecić ogień. Nie zauważyli. Któryś z cywilów szukających w ogrodzie znalazł magazynek od erkaemu czy coś podobnego z akcesoriów wojskowych, ale kierujący akcją machnął na to ręką. Tego samego dnia zabierali z sąsiedztwa także ukrywającego się nauczyciela i, podobno przypadkowo, urzędnika będącego w odwiedzinach u rodziny. Spieszono się, toteż rewizja skończyła się dość szybko i kazali ojcu iść ze sobą. Już w progu rzuciłem się, by zatrzymać ojca, a wtedy jeden z czarnych odtrącił mnie nogą. Warkot auta uświadomił nam, że ojca zabrano.

Umieszczono go wraz z innymi aresztowanymi w dawnym Zakładzie Poprawczym w Igłach pod Chojnicami. Kiedy ciocia po pewnym czasie poszła na gestapo w Chojnicach, by zapytać, co się z nim dzieje, gestapowiec otworzył sporą księgę i długo ją wertował, po czym oświadczył, że taki u nich nie figuruje. Udało się cioci zobaczyć, że przy niektórych nazwiskach były krzyżyki. Ojca nazwiska nie mogła dostrzec, mieliśmy więc do końca wojny nadzieję, że ojciec znajduje się w obozie koncentracyjnym. Ciocia dowiedziała tuż po Bożym Narodzeniu w 1939 r. (które spędziliśmy już na nowym miejscu, w Pruszczu-Bagienicy, gdzie mieszkaliśmy przez całą okupację), że ojca wraz z grupą nauczycieli i kilku księży 22 grudnia wywieziono ciężarówką z Igł w nieznanym kierunku. Po jakimś czasie ciężarówka wróciła pusta. Powiedział to jeden z zatrudnionych w zakładzie strażników, Polak, który był tego świadkiem.

Nie wiedzieliśmy wtedy nic o Dolinie Śmierci w lesie pod Chojnicami, gdzie masowo zabijano inteligencję, nauczycieli, księży, urzędników i wielu innych denuncjowanych jako wrogów Niemiec czy mających jakieś porachunki z miejscowymi volksdeutschami. Tam właśnie zginął ojciec. Na Pomorzu było sporo takich miejsc kaźni. Nie tylko znana szeroko Piaśnica pod Wejherowem, ale też Rudzki Most pod Tucholą, Paterek niedaleko Nakła nad Notecią, Górna Grupa, Fordon – Dolina Śmierci. Długo trzeba by wymieniać miejsca zbrodni popełnionych przez Niemców na Polakach bez sądu, bez konkretnego powodu – wystarczyło, że ktoś był Polakiem, który mógłby podtrzymywać polskość u innych, bardziej podatnych na germanizację. Zadziwiają pretensje kierowane do Polaków z powodu cierpień, jakich doznali niektórzy Niemcy w 1945 r. Potrzeba pokuty narodowej byłaby w tym wypadku znacznie ważniejsza i być może choć w części wyrównałaby popełnione wówczas występki. Oczywiście w czasie wojny przebąkiwano niekiedy o takich miejscach mordu na Polakach, niewielu jednak wiedziało coś bardziej konkretnego, a nawet jeśli taka wiedza była – bano się o tym mówić.

Pruszcz-Bagienica – przystań okupacyjna

Z Gotelpia musieliśmy uciekać natychmiast po zabranii ojca, chodziły bowiem pogłoski, że wszystkich nas mają wywieźć; dokąd, nie wiedzieliśmy. Na początku grudnia, a może wcześniej, znaleźliśmy się w Pruszcze-Bagienicy – taką nazwę miała stacja kolejowa, wtedy węzłowa, okazała, łącząca aż cztery kierunki. Sama wieś nosiła nazwę Pruszcz. Siostra matki, ciocia Tola Danielska, odziedziczyła bardzo mały domek, wówczas mający jeszcze jedną właścicielkę w osobie jej kuzynki, dla nas ciotki Kasi (pod koniec wojny zginęła w Niemczech w czasie bombardowania). My, tzn. matka, obie moje siostry i ja, mieszkaliśmy w wynajętym pokoju w domu Głowczewskich. Właściwie byliśmy bez środków do życia; gdyby nie ciocia Tola, która podjęła pracę w młynie jako księgowa i ogólnie była bardzo zaradna, chyba nie przetrwalibyśmy.

Była to osoba niezwykła pod wieloma względami. Przedsiębiorcza, konsekwentna w działaniu, bezkompromisowa, gdy chodzi o uczciwość. Nas umieściła w Pruszcze, a sama likwidowała mieszkanie w Gotelpiu i starała się zdobyć jakiegokolwiek wieści o ojcu. W Boże Narodzenie była z nami w Pruszcze, ale do Gotelpia udawała się jeszcze kilkakrotnie i m.in. w czasie jednej z bytności dowiedziała się o jego domniemanej śmierci. Do końca okupacji nikomu o tym nie powiedziała.

Pamiętam pierwsze Boże Narodzenie. Poszliśmy – moja najstarsza siostra, syn sąsiadów Kazik, który był w moim wieku, i ja – do lasu, by zdobyć choinkę. Śnieg sięgał mi dosłownie do pasa, a buty miałem letnie, niczego bowiem nie wolno nam było zabrać z domu, kiedy nas Niemcy wypędzali we wrześniu 1939 r. Już w drodze powrotnej blisko wsi natknęliśmy się na leśniczego Wolnika, Polaka, ale ogromnego służbistę. Odebrał nam choinkę, siekierkę i strasznie nas skłął. Kazik Karolczyk najbardziej biadał z powodu tych klątw miotanych na nasze głowy. Mnie one jakoś nie przstraszyły, być może wtedy nie byłem jeszcze świadom destrukcyjnej siły takich złorzeczeń. Sprawa jednak była nieprzyjemna, bo zabrane nam przedmioty powędrowały do nadleśniczego Dutkiewicza. Można się było spodziewać kary, a nawet nieprzyjemności ze strony policji rezydującej w Gostycynie.

Nadleśniczy (później też zamordowany w obozie koncentracyjnym) okazał się jednak człowiekiem i nie nadał sprawie biegu. Cioci powiedział, że zawsze da nam drzewko, nie wolno natomiast brać na własną rękę. Tym razem choinki nie było. Nie było też niczego, nawet nafty do lampy. Siedzieliśmy z matką wokół żelaznego piecyka kuchennego, zwanego tam krusiem, i jedliśmy gotowane w skórkach ziemniaki z solą i odrobiną twarogu, w ostatniej chwili przyniesionego

przez ciocię. Jedynym oświetleniem izby były kręgi światła z piecyka odbijające się na suficie. Robiło to wtedy na mnie niesamowite wrażenie. Właściwie przez cały czas modliliśmy się. Nie do końca rozumiałem, co się wtedy działo, bo w pamięci miałem zawsze tak radosne święta Bożego Narodzenia, dostarczające tak wielu emocji. Nagle wszystko to streściło się w trwającej zbyt długo, jak na moją dziecięcą wytrzymałość, modlitwie. Wspólne modlitwy odbywaliśmy przez całą okupację. Może przeżyłbym je głębiej, ale musiałem klęczeć, a strasznie bolały mnie kolana i mocno się wierciłem, za co byłem strofowany przez mamę i siostry.

Jeszcze w grudniu albo już na początku 1940 r. reaktywowano szkołę, oczywiście tylko niemiecką. Język polski w ogóle był zakazany w każdym miejscu publicznym. Początkowo uczyliśmy się razem z dziećmi niemieckimi, których zresztą nie było wiele. Dopiero kiedy nastał czas volkslisty (od początku 1942 r.), a także kiedy z Rzeszy przybyło kilka rodzin urzędników, zwłaszcza kolejarzy, dokonano podziału na szkołę dla dzieci niemieckich i niemiecką szkołę dla dzieci polskich.

Zaraz na początku Albert Thiess, dawny nauczyciel polski narodowości niemieckiej, katolik (wyraźnie zawiedziony postępowaniem okupanta, choć przed wybuchem wojny, jak wielu pomorskich młodych Niemców, uciekł do Gdańska), został zmuszony do przeprowadzenia testu na niemieckość uczniów. Pytania były bodajże trzy. Pierwsze – pamiętam to bardzo dobrze – brzmiało: *Wie sprichst du zu Hause?*³⁷ Drugie pytanie: *Was sagst du, wenn du in die Schule gehst?*³⁸ Co do trzeciego pytania, mam wątpliwości, ale wydaje mi się, że chodziło o poczucie przynależności narodowej. Odpowiedzi napisał pan Thiess na tablicy i musieliśmy je na naszych tabliczkach łupkowych przepisać. W domu mówisz po niemiecku (prawie nikt tego języka nie znał). Wychodząc do szkoły, mówisz: *Heil Hitler* lub *Aufwiedersehen*³⁹. Oczywiście na trzecie pytanie należało odpowiedzieć, że czujesz się Niemcem.

Moja starsza siostra, Krystyna, będąca już w V klasie (wszyscy uczyliśmy się razem w jednym pomieszczeniu), została tego samego dnia uznana przez nauczyciela za obłożnie chorą i nakazano jej przez najbliższe dni pozostawać w domu.

Pierwszy egzamin (*Prüfung*) odbył się w ten sposób, że połowa klasy od razu odpowiedziała po myśli nauczyciela, reszta dawała inne odpowiedzi. Ci zostali poddani karze cielesnej, przy czym dowiedzieli się, że dla opornych repertuar

³⁷ Niem. W jakim języku rozmawiasz w domu?

³⁸ Niem. Co mówisz, kiedy idziesz do szkoły?

³⁹ Niem. Do widzenia.

kar będzie się poszerzał. Odpytywanie trwało tydzień, może nawet trochę dłużej. Ponieważ matka zastrzegła, że w żadnym wypadku nie mogę odpowiadać tak, jak każe Thiess, codziennie powtarzało się to samo:

– W domu mówimy po polsku. Gdy idę do szkoły, mówię: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. I – oczywiście – narodowość moja jest polska.

Regularnie też następowała wypłata leszczynowym kijem, w języku pedagoga zwanym Arznei⁴⁰. Od lekarstwa nie mogłem siedzieć, klęczałem zatem przy stole. Matka miała dla mnie jedyną tylko pociechę:

– Nas w strajku szkolnym 1906 r. bito jeszcze srożej i nikt nie umarł.

Wytrwało nas bodaj czterech chłopaków, zdaje się, także bracia Szukalscy. Pewnego dnia Prüfung się skończył. Pan Thiess, który miał dość dobry kontakt z moją ciocią, powiedział jej, że serce go bolało, ale rodacy podejrzewają go o sympatie propolskie, zatem nie miał wyjścia. Dodał, że cieszy się, iż choć kilku się nie poddało. Dowiedziałem się o tym jeszcze w czasie okupacji i nic z tego nie rozumiałem. Nie rozumiałem też, dlaczego ów nauczyciel krótko po egzekucji, spotkawszy mnie w odosobnionym miejscu, dał mnóstwo cukierków. To był jedyny raz, kiedy w czasie wojny jadłem prawdziwe cukierki. Chciałem je wprawdzie, powodowany nienawiścią do mojego oprawcy, wrzucić do dołu kloacznego za stodołą domu, w którym mieszkaliśmy, ale koledzy byli innego zdania. Szkoda cukierków, wystarczy wrzucić papierki do fekaliiów, co w dostateczny sposób wyrazi niechęć do darczyńcy. Symbolikę tego rozwiązania nie do końca pojmowałem, ale się zgodziłem i tak się stało.

Szkoła nie stanowiła problemu, bo języka większość z nas nauczyła się w szybkim tempie. Po Thiessie (któremu w końcu obniżono grupę narodowościową do III⁴¹ – żona jego, Polka, nie umiała mówić po niemiecku, a on podobno, będąc członkiem SA⁴², nie chciał chodzić na wysiedlanie Polaków – i którego wzięto do

⁴⁰ Niem. lekarstwo.

⁴¹ Volksdeutschow dzielono na cztery kategorie: volksdeutscher – osoby narodowości niemieckiej, aktywne politycznie, działające na rzecz III Rzeszy w okresie międzywojennym; deutschstämmige – osoby przyznające się do narodowości niemieckiej, posługujące się na co dzień językiem niemieckim, kultywujące kulturę niemiecką, zachowujące się biernie; eingedeutschte – osoby autochtoniczne, uważane przez Niemców za częściowo spolonizowane (Górnoślązacy, Kaszubi, Mazurzy), oraz Polacy pochodzenia niemieckiego (osoby pozostające w związkach małżeńskich z Niemcami); rückgedeutschte – osoby pochodzenia niemieckiego, które się spolonizowały i współpracowały w okresie międzywojennym z władzami polskimi bądź działały w polskich organizacjach społeczno-politycznych.

⁴² Die Sturmabteilungen der NSDAP (SA), Oddziały Szturmowe NSDAP – utworzone w Republice Weimarskiej w 1920 bojówki do ochrony zgromadzeń partyjnych, a następnie oddziały masowej organizacji wojskowej Narodowosocjalistycznej Niemieckiej Partii Robotników (NSDAP). Narzędzie terroru niemieckiej partii nazistowskiej w walce z bojówkami i sympatykami innych ugrupowań

Wehrmachtu) przyszedł na krótko jakiś Nadreńczyk, kontuzjowany na froncie, chyba w Afryce. Ogromnie się denerwował, kiedy niemieckie dzieci przeżywały nas od Pollacken⁴³ albo jeszcze gorzej, a my zresztą nie pozostawialiśmy dłużni. Krzyczał:

– *Hier gibt es weder Deutsche noch Polen, hier gibt es nur Schulkinder!*⁴⁴

Wiele nas nie nauczył, ale wbił nam w głowę niemiecką fonetykę (z którą dziś borykają się niektórzy studenci). Był to prawdziwy nauczyciel z zawodu, a nie siła pomocnicza czasu wojny, jak te nauczycielki, które po nim nas uczyły. W zasadzie nie bił, nie przypominam sobie, żeby w ogóle brał kij do ręki. Robił dobre wrażenie. Niekiedy miewał takie przerwy, jak gdyby chwycił go ból głowy – siadał i trwał bez ruchu przez kilka minut. O sobie nie mówił nic, choć przedstawienie się uczniom było przez nauczycieli praktykowane. Śpiewał niekiedy w Plattdeutsch pieśni, które znaliśmy w hochdeutsch⁴⁵. Polubiliśmy go za sprawiedliwość i łagodność. Pewnego dnia po prostu się nie zjawił. Chyba pojechał z powrotem na front.

Po nim nastała młoda dziewczyna ze Stralsundu. Miała na imię Elsa i chociaż opowiedziała nam cały swój życiorys, zapomniałem jej nazwiska. Ogromna, typowo nordycka blondynka, ale nie nazbyt mocno przejęta swą rolą nosicielki kultury niemieckiej (deutsche Kulturträgerin)⁴⁶, natomiast bardzo interesowali ją chłopcy z Arbeitsdienst⁴⁷. Dużo wtedy grywaliśmy w piłkę na dziedzińcu szkolnym, bo Turnen, czyli gimnastyka, była zdaniem tej pani najważniejszym przedmiotem. W ferworze gry wrzeszczeliśmy po polsku, a ona, zazwyczaj opalając się w oknie swego mieszkania na poddaszu, krzyczała wtedy:

– *Ihr sollt nicht polnisch quatschen!*⁴⁸

Paradowała w czasie tego opalania, a niekiedy też na łące nad stawkiem zwanym oborą, w kostiumie kąpielowym bikini i w gruncie rzeczy nic jej to nie

politycznych (głównie komunistami). Po nocy długich noży z 29 na 30 VI 1934, kiedy w wyniku walk wewnątrzpartyjnych wymordowano jej przywódców, straciła na znaczeniu na rzecz Schutzstaffel (SS). Rozwiązana w 1945 po kapitulacji III Rzeszy.

⁴³ Niem. Polaczki.

⁴⁴ Niem. Nie ma tu ani Niemców, ani Polaków, tylko dzieci w wieku szkolnym.

⁴⁵ Niem. wysoki niemiecki – odmiana języka niemieckiego używana w literaturze i sytuacjach urzędowych.

⁴⁶ Określenie stosowane w propagandzie III Rzeszy w celu podkreślenia rzekomej wyższości kultury niemieckiej nad kulturą okupowanej Polski.

⁴⁷ Reichsarbeitsdienst (RAD), Służba Pracy Rzeszy – masowa organizacja przystosowania obywatelskiego i wojskowego młodzieży w III Rzeszy. W czasie drugiej wojny wykonywała funkcje pomocnicze względem Wehrmachtu, m.in. budowała umocnienia.

⁴⁸ Niem. Macie nie gadać po polsku.

obchodziło, w jakim języku się nawoływaliśmy, ale przecież język polski był zakazany, teoretycznie nawet w domach rodzinnych. Była w zasadzie niezłą dziewczyną, a do jej nieco lżejszej konduity zastrzeżenia mieli raczej miejscowi Niemcy. Dla parobków była pretekstem do czynienia uwag, których treści w owych czasach nie rozumiałem. Wydawało się, że nie miała żadnych kontaktów z mieszkańcami wsi, okazało się jednak, że było inaczej i po wojnie prowadziła korespondencję z kilkoma rodzinami, które w czasie wojny były eingedeutscht, czyli przyjęły III listę narodowościową. Jeszcze w latach osiemdziesiątych przysyłała im paczki.

Po niej przysłała mała osóbką z Brauschweigu o imieniu Eva i chyba nazwisku Braun, chociaż nie jestem tego pewny. Może miała takie nazwisko, a inne imię? Wydaje mi się, że w latach osiemdziesiątych, przebywając w RFN, natknąłem się na jej ślad właśnie w Brauschweigu, co oznaczałoby, że w owym mroźnym styczniu 1945 r., kiedy Niemcy z naszych stron uciekali, udało jej się dotrzeć bezpiecznie do rodzinnego miasta. Rodzina, u której się wówczas zatrzymałem, była ciekawa, skąd pochodzę i gdzie przebywałem w czasie wojny. Wymieniłem Pruszcz w niemieckim brzmieniu: Prust, a pan domu wspomniał o ich znajomej, która pracowała w takiej miejscowości jako nauczycielka. Podał też nazwisko: Braun. Podówczas była to już emerytka. Zabrakło mi czasu, żeby do niej dotrzeć. Najprawdopodobniej była to ta sama osoba, którą poznałem w czasie okupacji, również z opisu wynikało, że tak może być. Podobno bardzo serdecznie wspominała pobyt w Pruszczu i ludzi. Po wojnie dalej studiowała i następnie uczyła do emerytury w swym rodzinnym mieście.

Obie panie, o których mowa, nie były mężatkami, co jest zrozumiałe, gdyż ich rówieśnicy spoczywali najczęściej gdzieś w Rosji lub na innych polach bitew, których Hitler Niemcom nie poskąpił. Panna Braun bardziej utkwiała mi w pamięci jako nauczycielka, która starała się nas jednak czegoś nauczyć. Przy ówczesnym systemie rozdziału szkoły na dwie grupy narodowościowe Polacy chodzili do niej tylko trzy razy w tygodniu i więcej niż nauki było Lumpen- czy Alteisensammlung (zbieranie szmat i złomu), względnie innych tego typu zajęć. Nauczycielka ta często mówiła, iż mimo wszystko musimy się pilnie uczyć, bo będzie to nam potrzebne. Działała wbrew zaleceniom władz niemieckich, które dla polskich dzieci przewidywały wyłącznie naukę pisania, czytania, podstawowych rachunków i przyswajanie treści propagandowych ugruntowujących posłuszeństwo wobec III Rzeszy. Nie przypominam sobie, by nas biła, natomiast wiele opowiadała o zwyczajach regionu, z którego pochodziła, i pytała nas o nasze. Utrzymywała bardzo

bliskie kontakty z rodziną treuhändera (zarządcy majątku proboszczowskiego), pochodząca chyba też z Reichu i przynajmniej neutralną w stosunku do Polaków.

Zainteresowanie kulturą regionalną i zwyczajami ludowymi to był konik tej nauczycielki. Wiele nam opowiadała, śpiewała piosenki ludowe, a następnie wypytywała nas o nasze tradycje. Niewiele się dowiedziała, ale takim postępowaniem łamała zasady, jakie obowiązywały nauczycieli niemieckich uczących dzieci Reichsschutzangehörige⁴⁹ – tak nazywano Polaków. Obywatelstwo polskie według Niemców wygasło wraz z likwidacją państwa polskiego, byliśmy zatem „pod opieką” Rzeszy. Był to jeden z ponurych przejawów ironii, jakich nie brakowało w diabelskim systemie znęcania się nad podludźmi stosowanym w III Rzeszy.

Warto przy okazji nadmienić, że przez całą okupację nie było w Pruszczu księdza. Niekiedy przyjeżdżał natomiast ksiądz niemiecki i wtedy była msza św. Przez dłuższy czas zadanie to spełniał ks. Walerian Labenz⁵⁰, pochodzący z Kosznejderii. Najprawdopodobniej nazwisko jego brzmiało niegdyś Łabędź. Nikt nie wiedział, czy jest on Niemcem czy Polakiem. Po polsku oczywiście mówił, ale w kościele tego języka nie mógł używać, nawet przy spowiedzi. Takie było rozporządzenie gauleitera Gdańska i Prus Zachodnich Alberta Forstera⁵¹. Inna sprawa, że biskup gdański Karl Maria Splett⁵² na taką praktykę się godził. Podobno wywiesił nawet w kurii napis: *Hier wird nur deutsch gesprochen*⁵³. To można jeszcze zrozumieć, ale spowiedź to kwestia sumienia i zmuszanie ludzi do spowiadania się w nieznanym im języku jest czymś niewybaczalnym. Po wojnie wysłuchiwałem w RFN skarg Niemców na krzywdy wyrządzone Splettowi przez władze polskie. Nikt natomiast nie uważał, że Splett skrzywdził wielu takich jak ja. Dopiero jako uczeń gimnazjum w 1945 r. mogłem przystąpić do pierwszej komunii św. O tym, ilu z jego winy przestało się spowiadać, nawet nie ma co mówić.

⁴⁹ Niem. przynależność ochronna Rzeszy. Na ziemiach wcielonych do Rzeszy wprowadzono dla Polaków „przynależność ochronną” (Schutzangehörigkeit) na wzór przynależności kolonialnej. Zob. szerzej: K.M. Pospieszalski, *Hitlerowskie „prawo” okupacyjne w Polsce*, cz. 2: *Generalna Gubernia. Wybór dokumentów i próba syntezy*, Poznań 1966, s. 36.

⁵⁰ Walerian Labenz (1900–1953), niemiecki ksiądz polskiego pochodzenia. Świecenia kapłańskie 1925. Proboszcz parafii w Tucholi, Cekcynie, Gostycynie. Po 1945 administrator parafii w Bysławie do 1949 i Miechowie 1949–1953.

⁵¹ Albert Forster (1902–1952), polityk niemiecki, członek NSDAP, zbrodniarz wojenny. Namiestnik Okręgu Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie 1939–1945.

⁵² Carl Maria Splett (1898–1964), ksiądz niemiecki. Świecenia kapłańskie 1921. Biskup diecezjalny gdański 1938–1964. Administrator apostolski diecezji chełmińskiej od 1939. W obu diecezjach sprawował rządy do 1945. Aresztowany i więziony przez władze komunistyczne 1945–1956. Po zwolnieniu wyjechał do Düsseldorfu. Nie zrezygnował z tytułu biskupa gdańskiego.

⁵³ Niem. Tutaj mówi się tylko po niemiecku.

Najdziwniejsze – i dla nas, dzieci, szczególnie niezrozumiałe – było to, że we wsi mieszkał dawny proboszcz, ks. Aleksander Brząkała⁵⁴, którego wypuszczone z obozu koncentracyjnego, nie dano mu jednak prawa sprawowania posługi duszpasterskiej. Pracował jako urzędnik w zarządzie dawnego gospodarstwa proboszczowskiego. Ludzie zachodzili w głowę, czy i gdzie odprawia on mszę św. Potem się okazało, że robił to w szkole, gdzie mieszkał na poddaszu, a obsługiwał mu nauczyciel Thiess. Z ks. Brząkałą był pewien kłopot – bo jakże to tak, mijać na ulicy księdza (co prawda ubranego w bryczesy, długie, białe skarpety z owczej surowej wełny i drewniaki, tzw. pantyny), a nie pozdrowić: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”? Myślę, że i on czuł się nieswojo, toteż rzadko pokazywał się we wsi. Niekiedy przyjeżdżał też do Pruszcza ksiądz niemiecki, jeden z tych, których przysłano do Reichsgau Danzig-Westpreussen⁵⁵ z Niemiec jako germanizatorów, którzy mimo to często zapisali się dobrze jako duszpasterze. Kiedy w 1942 r. zmarła moja babcia, taki właśnie ksiądz ją chował. Nad grobem powiedział, że nie potrafi jeszcze pocieszyć nas po polsku, ale pozdrowił wszystkich słowami:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Nauki przedkomunijnej nie było przez całą wojnę. Początkowo chodziliśmy do oddalonego o 5 km Mąkowska, gdzie proboszczem był ks. Antoni Tyrakowski⁵⁶, pamiętający jeszcze kulturkampf. Byłem na takiej nauce religii tylko raz, miała się ona bowiem odbywać po niemiecku, ale kiedy staruszek zaczął z nami *Vater unser*⁵⁷, rozplakał się i lekcję zakończył. Ktoś nam powiedział, że ksiądz proboszcz zaniemógł, i odesłano nas do domu. To była moja jedyna nauka przedkomunijna w czasie wojny. Do Mąkowska chodziliśmy też na mszę św., ilekroć tam była sprawowana. Ksiądz Tyrakowski zmarł w 1941 lub 1942 r., nie miał nawet 70 lat (ur. 1874). Był już bardzo schorowany. Do pierwszej komunii świętej przystąpiłem w 1945 r. już jako gimnazjalista. Zrządzeniem losu pierwszą spowiedź odbyłem u ks. Ottona Krimpenforta⁵⁸, jednego z tych księży niemieckich, których w czasie

⁵⁴ Aleksander Brząkała (1893–1968), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1923. Wikariusz parafii św. Józefa w Tczewie 1926–1928, parafii w Rykowisku-Błędziniu 1928–1931. Proboszcz parafii w Pruszczu-Bagienicy 1931–1946. Po drugiej wojnie m.in. dziekan dekanatu i kanonik Kapituły Kolegiackiej w Kamieniu. W 1945 skazany przez sąd komunistyczny na 8 lat więzienia za „współpracę z okupantem”.

⁵⁵ Niem. Okręg Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie.

⁵⁶ Antoni Tyrakowski (1874–1944), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1899. Wikariusz w parafii w Trzemesznie 1899, w Płonkowie 1899–1903. Administrator, a następnie proboszcz parafii św. Michała w Gnieźnie 1903–1911. Proboszcz parafii w Mąkowsku 1911–1944.

⁵⁷ Niem. *Ojcze nasz*.

⁵⁸ Otto Krimpenfort – ksiądz niemiecki, proboszcz parafii Mrocza 1942–1945.

okupacji przysłano na teren diecezji chełmińskiej. Pracował on w Mroczynie niedaleko Nakła i po wojnie jeszcze przez dwa lata tam pozostał.

Życie okupacyjne z biegiem lat jakoś się normowało, chociaż bez przerwy żyliśmy w zagrożeniu. Przede wszystkim jako jedna z trzech czy czterech rodzin – zarówno my, jak i ciocia – nie złożyliśmy wniosku o niemiecką listę narodowościową (Eindeutschung). Odezwa gauleitera Forstera z Gdańska z 6 lutego 1942 r. nakazywała składanie takich podań przez wszystkich poczuwających się do łączności z niemczyzną, czyli w zasadzie tych, którzy pochodzili z dawnego zaboru pruskiego. Osobom pochodzącym z dawnego Królestwa Polskiego było to wzbronione. Niezłożenie wniosku było równoznaczne z przyznaniem się do nastawienia antyniemieckiego. Ponieważ moja matka przy spisie ludności nie podała nazwiska rodzowego teściowej, która była Niemką i nazywała się Kroker, sołtys (Ortsvorsteher), pan Radtke, wyjątkowo porządny człowiek, kilkakrotnie domagał się uzupełnienia tej rubryki. Matka tłumaczyła się małą znajomością rodziny męża, co miało tłumaczyć zapomnienie nazwiska teściowej. Niemiec nie uwierzył, ale zaprzestał indagacji. Kiedyś powiedział do naszej cioci, iż domyśla się powodu zatajenia tej sprawy i rozumie motywy postępowania mojej matki. Musimy jednak mieć świadomość, że może się to dla nas źle skończyć, gdyż jako osoby półniemieckiego pochodzenia (przynajmniej my, dzieci) kwalifikujemy się do II grupy (volksdeutsch).

– *Und sie wissen, Frau Danielski, dass kein Tropfen deutsches Blut darf verlorengehen, wie es so heute heisst*⁵⁹.

Powiedział to, uśmiechając się zagadkowo. Dodał też, że na ile będzie mógł – pomoże, ale sam także nie jest dobrze notowany. Rozmowa ta dowodziła dwóch rzeczy. Po pierwsze, antyhitlerowskiego nastawienia owego sołtysa, zasiedziałego Niemca miejscowego, właściciela wielkiego gospodarstwa, niemalże majątku ziemskiego. Po drugie, zaufania, jakim darzył moją ciocię. Ciekawe, że nie tylko on, lecz także wiele innych osób mówiło jej o sprawach, których ujawnienie mogło kosztować życie.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej niejedno się zmieniło. Przede wszystkim Polacy przestali być na celowniku władz hitlerowskich, a także miejscowych Niemców. Mieli oni inne zmartwienia. Przede wszystkim były to ogromne straty

⁵⁹ *Niem.* A pani wie, pani Danielska, że żadna kropla niemieckiej krwi nie może się zmarnować, jak to się dziś mówi.

na froncie. Drżano o swoich bliskich. Ponadto potrzeba było polskich rąk do pracy. Niemcy sami sobie narobili kłopotów, ściągając z Besarabii (tak było w wypadku Pruszcza, gdzie indziej przesiedlano też Niemców bałtyckich – Baltendeutsche) osiadłych tam od dziesięcioleci Niemców, często posługujących się na co dzień językiem rosyjskim. Ci „Arabowie”, jak ich nazywano, nie potrafili pracować na lek- kich gruntach Pomorza. Tęsknili do swoich stron, które zmuszeni byli opuścić; mówili w domu często po rosyjsku albo żargonem niemieckim, który denerwował Niemców z Rzeszy czy nawet miejscowych. Polscy gospodarze, nocami wysiedlani i osadzani jako robotnicy rolni w majątkach niemieckich, przysparzali Rzeszy więcej pożytku niż Besarabiendeutsche⁶⁰. To w jakiś sposób łagodziło stosunek Niemców do Polaków. Różni Hannemannowie czy Gerstenbergowie początkowo byli wobec Polaków nieufni, ale z biegiem czasu otwierali się i jeśli bywali szczerzy, to tylko w stosunku do nich.

Moja najstarsza siostra pracowała u takiego bauera, gdzie mówiono jej wprost, iż wcale nie myślą stosować wobec niej Sonderbehandlung⁶¹, zalecanego im przez arbeitsamt i kreisleitera⁶², ponieważ to, co im o Polakach opowiadano, okazało się wierutną bzdurą. Mimo nakazu, żeby polscy robotnicy jedli oddzielnie, a nie razem z Niemcami, choćby z rodziną bauera, siostra zawsze dostawała posiłki przy wspólnym stole. Warto zaznaczyć, że kiedy poprzednio pracowała u pol- skiego gospodarza, zanim go wysiedlono, jadła wraz z innym gimnazjalistą tam zatrudnionym w świńskiej kuchni, czyli pomieszczeniu, gdzie gotowano paszę dla zwierząt. U Niemców z Besarabii siostra nigdy nie słyszała pod swoim adresem ordynarnego wyzwiska, Polak natomiast najczęściej nazywał ją gimnazjalną mał- pą i puszył się, jak to teraz, za Hitlera, musi taka u niego gnój wynosić z chlewa. Nic nie pomagały napomnienia jego teściowej czy żony, które bolały nad takim zachowaniem. Był to człowiek zwyczajnie zły – nazwiska nie wymienię. Nie wiem, czy to kara Boża, ale syn przepił gospodarstwo, a jego samego traktował jak najgorzej.

Gdy chodzi o miejscowych Niemców, byli wśród nich i tacy, którzy nie po- chwalali polityki Hitlera wobec Polaków i nie bali się okazywać swym polskim sąsiadom życzliwości, kiedy nikt nie widział. Bywało jednak różnie. Pamiętam dzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. To była piękna niedziela, już od rana

⁶⁰ Niem. Niemcy z Besarabii.

⁶¹ Niem. specjalne traktowanie.

⁶² Niem. kierownik powiatowy NSDAP.

upalna. Pasłem krowy pod lasem. Mój gospodarz, Polak, dotąd niewysiedlony (może dlatego, że był zarazem stelmachem, ponadto gospodarstwo miał małe), przyszedł na pole, gdzie spotkał swego sąsiada, Niemca, Megera. Ten z kolei pałał do mnie jakąś niewytłumaczalną wprost niechęcią; gdzie tylko mógł, prześladował mnie, przezywając od „przebrzydłych knopów”⁶³. Groził mi i wykrzykiwał pod moim adresem różne inwektywy, posługując się przy tym na ogół językiem polskim, miejscowym żargonem.

Kiedy zobaczyłem ich razem, schowałem się na miedzy, w wysokim już o tej porze zbożu. Nie spostrzegli mnie i rozmawiali dość głośno po polsku. Podśluchałem ich rozmowę. Meger rzekł:

– Nasz dziś poszedł na Ruska.

Długa cisza. Wreszcie znowu on:

– Józef, co ty na to?

Mój gospodarz mruczał coś, czego nie zrozumiałem.

I znowu Meger:

– To tero je kuniec.

Instynkt mi podpowiadał, żeby się jeszcze bardziej utaić. Wyczołgałem się miedzą aż do drogi i tam podniosłem się, by myśleli, że przez cały czas tam byłem. Rozmowy tej właściwie nie rozumiałem. Dopiero znacznie później dotarło do mnie to, że w wypowiedzi Niemca było zwątpienie w zwycięstwo III Rzeszy. Mało Niemców wtedy tak myślało, w każdym razie tych z mego otoczenia. Meger był teściem gospodarza Gerta, z którego dziećmi aż do rozdzielenia szkoły według narodowości byłem w jednej klasie. Chłopak, nieco starszy ode mnie, niekiedy paradował w mundurku Hitlerjugend⁶⁴ i był z tego powodu bardzo dumny. Raz chyba powiedział coś pod adresem Scheisspolen⁶⁵, ale na ogół zachowywał się przyzwoicie. Podobnie jak jego siostra. Rodzice jego też nie interesowali się szczególnie miejscowymi Polakami. Z niektórymi dorastali razem jako sąsiedzi, co też miało wpływ na ich zachowanie. O Gercie przebąkiwano, że jako esaman jeździ nocami na wysiedlanie Polaków. Było to raczej pewne, gdyż miejscowych Niemców zobowiązywano do akcji niemczenia terenu.

⁶³ Tu: chłopak.

⁶⁴ Hitlerjugend, dosł. młodzież Hitlera – niemiecka organizacja młodzieżowa NSDAP utworzona na wzór militarny w 1922. Od 1943 wykorzystywana przy niektórych działaniach wojennych. Rozwiązana w momencie upadku III Rzeszy w 1945.

⁶⁵ Niem. kurewskich Polaczków.

Nowym zjawiskiem, obok najazdu „Arabów”, było pojawienie się we wsi rodzi-ny „ruskiej” spod Witebska. Ogromnie zabiedzony mężczyzna, jego żona w trochę lepszym stanie i imponująca postawą córka, silna, zawsze roześmiana dziewczyna, może niewiele ponaddwudziestoletnia.

W tym czasie już dość regularnie pasąłem bydło, głównie z tej racji, by coś lepszego zjeść, zarówno matka, jak i ciocia biadały bowiem nad tym, że rośłem powoli lub wcale nie rośłem. Przypisywano to słabemu wyżywieniu. W domu Józefa Sassa, gdzie najchętniej, także ze względu na warsztat kołodziejski, szukałem zajęcia, dostawałem na pole ogromną pajdę wiejskiego chleba, a właściwie dwie – złożone, posmarowane smalcem, z długim paskiem wędzonego boczku w środku. To był rarytas, na który codziennie z utęsknieniem oczekiwałem. Muszę wszakże przyznać, że pasienie krów to było dla mnie najgorsze zajęcie, a to z tego powodu, że nie dopadł mnie jeszcze bakcyl czytania, a i książek nie było nawet na lekarstwo. Moja matka, która czytała wprost nałogowo, dostawała skądś powieści niemieckie. To mnie nie interesowało. W ogóle nie znałem smaku żadnej literatury, w końcu w polskiej szkole przeszedłem do klasy II. Pobyt godzinami z krowami na pastwisku – bez kolegów, bez zajęcia – dłużył się i ział nudą. Ale pajda miała moc magiczną, potrafiła przewyciężyć najpotężniejsze lenistwo. Smak tego chleba do dziś mam w ustach. Jestem przekonany, że nic smaczniejszego nigdy w życiu nie jadłem. Kiedyś przyniosłem połowę porcji do domu dla matki. Obie siostry były już w przymusowej służbie; średnia, Krysia, została przeznaczona do dzieci u Niemców Erdmannów w Dzidzienku, jakieś 8 km od Pruszcza (o tej rodzinie napiszę jeszcze kilka słów przy innej okazji). Ileż mnie kosztowała ta ofiara i jak szczerze się cieszyłem, kiedy matka wielkodusznie jej nie przyjęła! A przecież nie cierpieliśmy głodu! Ciocia chowała trochę drobiu, był ogród i kawałek pola, więc były warzywa. Pracowała też w młynie, mieliśmy więc wystarczającą ilość mąki.

Przydział na kartki żywnościowe dla Polaków właściwie się nie liczył. Nieco margaryny, mikroskopijne ilości mięsa, brotaufstrich, czyli marmolada z odpadków buraczanych i innych, zazwyczaj już fermentująca, czerpana przez sklepikarza chochlą z dużej beczki i nalewana do miski, którą każdy kupujący musiał przynieść z domu. Po drodze często ilość tej marmolady rosła, a w domu matka niekiedy po prostu ją wylewała albo gotowała, żeby zatrzymać fermentację. Można w niej było znaleźć różne przedmioty – kawałki drewna, sznurka, a już zawsze piasek, który zbierał się na dnie miski. Przeważnie więc w ogóle tej marmolady dla Polaków nie używaliśmy. W jesieni była melasa, czyli wywar z buraków cukrowych,

bardzo dobre smarowidło na chleb. Dziewczęta dodawały do niej maślanek i robiły cukierki ciagutki. Mleka pełnego także nie dostawaliśmy, trzeba było natomiast iść po magermilch, czyli mleko odciągane albo – jak dziś byśmy powiedzieli – odłuszczone. Było wodniste, wprost przezryste, przy małej ilości w kance można było zobaczyć dno. Niekiedy sprzedawczyni w sklepie mlecznym kazała przynieść naczynie na maślanek, a bywało i tak, że zamiast maślanek wlewała pełne mleko. Maśła nie dostawaliśmy w ogóle. Na fettmarkę dawali margarynę, łój wołowy, nie pamiętam, czy też smalec. Przydział mięsa był mikroskopijny i było to mięso najgorszego gatunku. Kto miał prawo do uboju (Schlachtschein)⁶⁶ i zabijał świnie czy inne zwierzę, nie otrzymywał kartek na mięso przez określony czas. Żywił nas też las. Grzyby, jagody i inne owoce leśne to był rarytas letni, którego wówczas chyba nie docenialiśmy.

Nie lubiłem kilku czynności, których uniknąć nie mogłem, chociaż bardzo chciałem. Jedną z nich to zbieranie jagód. O ile grzyby same wchodziły mi w ręce, to jagody ode mnie uciekały. Nigdy nie pojąłem, jak to się działo, że mama miała już pełne wiadro, a ja zaledwie litrowy słoik. Matka zawsze mówiła:

– Więcej jagód wydusisz, niż pozbierasz.

Nie wiedziała, że potrafiłem jeszcze więcej zjeść.

Jagody i grzyby odgrywały znaczną rolę w naszym bilansie, nie tylkożywienia. Przejeść tego nie można było żadną miarą. Ale były punkty skupu (Sammelstelle), gdzie płacono lichy, coś jednak można było zarobić. Moja siostra jako służąca do wszystkiego otrzymywała 25 marek i jeden posiłek – obiad – dziennie, niekiedy jeszcze coś ponadto do zjedzenia. Ja jako pastuch dostawałem 5 marek i jedzenie. Druga siostra w Dwidzienku dostawała chyba 20 marek i pełne utrzymanie z przyzwoitym pokoikiem. Prawie wszystkie pieniądze przynosiła do domu. Erdmannowie, u których służyła, kupowali jej niekiedy coś z ubrania i traktowali ją jak członka rodziny. Dodatkowe zarobki latem dawały w sumie w sezonie ponad 100 marek. Ponieważ wszystko było na kartki, nawet drewniaki, trudno było to wydać. W 1945 r. matka miała nawet oszczędności w wysokości około 200 marek.

Warto tu zrobić małą dygresję, która wiele mówi o ówczesnych stosunkach. Otóż wysłała mnie kiedyś matka do Tucholi (18 km pociągiem), bym zrealizował talon na takie właśnie drewniaki. Kosztowały one, o ile pamiętam, półtorej marki. Mojemu nieodłącznemu koledze, Kazikowi Karolczykowi, matka powierzyła

⁶⁶ Ubój bez pozwolenia był niezwykle surowo karany, nawet śmiercią.

podobną misję: miał nabyć przydziałowe jabłka, jeden czy dwa kilogramy, przeznaczone dla jego malutkiej wówczas siostry, Jadzi. Rodzina ta miała przypisaną III grupę i przysługiwał im taki przydział. Sęk w tym, że jabłka te można było nabyć tylko w wyznaczonym sklepie w Tucholi, choć przecież we wsi jabłek było zatrzęsienie. Niemiecki porządek był tu jednak decydujący, nawet jeśli był – jak w tym wypadku – nonsensowny. Nasze matki uznały widocznie, iż lepiej będzie, jeśli pojedziemy razem i „jeden drugiego będzie pilnował”.

Było wprost odwrotnie, jeden drugiemu podsuwał pomysły. Każdy z nas miał po 10 marek, ogromną sumę. Cały zakup wraz z biletem kolejowym nie przekraczał 3 marek, a od pociągu do pociągu mieliśmy trzy czwarte dnia. Spędziliśmy go na dworcu, gdzie była restauracja, a w niej obiady bezkartkowe. Trzeba Niemcom jedno przyznać. Potrafiли z niczego zrobić smaczne danie. Kotlet z kapusty, sałatka jarzynowa, herbata z jabłek (właściwie ze skórek od jabłek – Apfelschallen). Było to bardzo smaczne. Zamówiliśmy sobie po takim bezkartkowym obiedzie w cenie 1,20 marki i oczywiście herbatę za kilka fenigów. Po jakimś czasie uznaliśmy, że jeszcze jeden obiad nie zawadzi, tym razem z innego menu. Wreszcie, gdy do odjazdu została może dobra godzina, zdecydowaliśmy się na kolejny posiłek (zawsze z herbatą). Bufetowa spoglądała na nas z troską, ale płaciliśmy i nic nam nie można było zarzucić. Po obliczeniu wydatków każdy z nas dźwigał w kieszeni po kilkanaście fenigów.

W pociągu, który jechał około pół godziny, Kazik częstował podróżnych owymi przydziałowymi jabłkami. Wracalem z drewniakami i to całkowicie uspokajało moje sumienie, Kazik natomiast – im bliżej było z dworca do domu, popadał w tym większy niepokój.

Bomba wybuchła jednocześnie w mieszkaniu Kazika i moim, oba leżały naprzeciwko siebie. Moja matka po prostu zaniemówiła i usiadła, a następnie musiałem wysłuchać pouczeń, gorszych stokrotnie od bicia. Kim to ja jestem, jak marnotrawię krwawy trud moich sióstr i tej biednej ciotki, która zabiega, byśmy z głodu nie pomarli! Jeszcze gorsze były opinie na temat mego charakteru, ewentualnych cech dziedziczonych po jakimś sto lat temu zmarłym stryju czy wuju, który w podobny sposób miał przehulać rodowy majątek. Wyobrażnia moja była zawsze, i tak pozostało, dość pragmatyczna. Okazując zatem skrucę, kombinowałem sobie, jakież to musiał być majątek, skoro był równy 10 markom? Sumie dla mnie wtedy dość znacznej (moje dwie pensje miesięczne), ale w porównaniu z majątkiem ziemskim?! Wątpliwości swoje nieśmiało zgłosiłem, a mama, wsłuchując

się w krzyki bitego Kazika, oświadczyła, że ze mną także jest możliwa tylko taka dyskusja, jaką toczy mama kolegi.

Mój tok myślenia do reszty wywróciła ciocia, która wracając z pracy z oddalonego o 2 km Motyla, wstąpiła nas odwiedzić. Kiedy dowiedziała się o moim utracjuszostwie, nie mogła wypowiedzieć słowa, trzęsła się bowiem ze śmiechu. Uznała, że chłopak wie, jak używać tych nic niewartych pieniędzy niemieckich, że w ogóle to postąpiłem słusznie, bo kto dzieciaka wysyła na cały dzień po głupie drewniaki itd. Doszło do ostrej wymiany zdań z moją mamą. Nic z tego nie rozumiałem, gdyż normalnie ciotka krytykowała każdy mój krok, a często nawet stwierdzała, że mam jakieś kainowe nawyki, które trzeba jak najenergiczniej tępić. Niestety, wtedy nie byłem jeszcze z Biblią za pan brat. Jedna z moich sióstr oświeciła mnie, że Kain kogoś zabił, co mnie do reszty wprowadziło w zamęt myślowy. Miałem jednak niewątpliwie jedną dobrą cechę, nieprzyjemne treści magazynowałem gdzieś w podświadomości. One tam były, ale nie miały prawa się ujawniać. Na zewnątrz objawiało się to pewną beztroską, która z kolei narażała mnie na zarzuty braku uczuć prawdziwie ludzkich. Trzeba podkreślić, że jak na moje ówczesne wykształcenie, konfrontowany byłem z nie lada problemami. Znacznie później spostrzegłem, że wszystkie te tak krytyczne wobec mnie osoby w gruncie rzeczy czyniły to z myślą o mnie. Szkoda, że taka świadomość zawsze przychodzi zbyt późno.

Inne zajęcie, którego też nie lubiłem, to było noszenie drewna z lasu. Mieszkaliśmy w sercu Borów Tucholskich. Do lasu mieliśmy od 300 m do kilometra, zależnie, dokąd chciało się pójść. Niemcy przez całą wojnę rabowali najlepsze drewno, odpadów zatem było co niemiara. Drwale często przygotowywali żywiczne odnóżki, które najchętniej zbieraliśmy, ale trzeba było po nie iść z workiem, który napełniony, strasznie uciskał w plecy. Za to w zimie było ciepło. Wolałem jechać wozem do lasu po dwumetrowe wałki, niż chodzić po obrzynki. Kiedyś w zimie spędziłem z koniem w lesie cały dzień, przy stałe sypiącym śniegu i co najmniej dziesięciostopniowym mrozie. Już chciano mnie iść szukać. Spóźniłem się, bo w czasie jazdy pod górkę drewno zsunęło mi się po oblodzonej skrzyni wozu, a koń marzył i nie chciał stać w miejscu. Miałem wtedy może niecałe 12 lat. Nie wyobrażam sobie, by dziś przeciętny chłopak, wychowany, jak ja, po miejsku, mógł podołać takiemu zadaniu. Co by na to rodzice powiedzieli? To były inne czasy. Złe, ale hartowały. Jakiż byłem dumny, kiedy sztywny z zimna zajechałem tą furą pod dom już dobrze o zmroku. Matka stała i cicho płakała. Ciotka coś mruczała

pod nosem, że nie powinni byli pozwolić chłopakowi jechać. Sęk w tym, że sam chciałem, byle potem nie musieć chodzić z workiem. Bo w końcu to i nie honor jak dziad po prośbie. Szybko nasiąkało się wioskowymi wartościami. Właściwie nigdy się ich do końca później człowiek nie pozbył. Coś pozostało.

Bardzo polubiłem pracę w polu, zwłaszcza z końmi. Rzadko mnie do tego dopuszczano, dlatego starałem się zjednać sobie parobków – to pojęcie wtedy wcale nie było tak pejoratywne jak dziś, oznaczało po prostu najemnego robotnika. Pracować nie lubiłem i jeśli mogłem, stosowałem się do porzekadła niemieckiego, które łatwo zapadło mi w pamięć: *Wer die Arbeit kennt und sich nicht drückt, der ist verrückt*⁶⁷. Dlaczego więc do pewnych prac tak mnie ciągnęło? Chciałem pokazać, że mogę dorównać dorosłym chłopakom, wykonującym odpowiedzialne prace, a te zawsze związane były z koniem. Bratanie się ze starszymi ode mnie parobkami zmuszało do przejmowania ich sposobu bycia. Matka nad tym bolała, zwłaszcza kiedy słyszała, jak wrastam w gwarę. Nie rozumiała zasady, że jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać jak one. Dopiero w gimnazjum uświadomiłem sobie, jak mizerna była ta moja wojenna edukacja. Poza szkołą, której zawdzięczałem dość gwarowy niemiecki i tabliczkę mnożenia, były inne sposobności, ode mnie całkowicie niezależne, które pozwalały trochę się doksztalać, choćby tylko w wybranych dziedzinach.

Toczyła się wojna i zewsząd docierały wiadomości o jej przebiegu, sprawy te jednak wydawały się dość odległe. U nas nie było bombardowań. Niekiedy przyjeżdżał jakiś żołnierz na urlop. Jeśli to był ktoś z III grupą, zatem w istocie Polak, można się było od niego dowiedzieć sporo ciekawych rzeczy. Wrażenie robiły też coraz liczniejsze zawiadomienia o śmierci *für Führer, Volk und Vaterland*⁶⁸. Moje doksztalcanie geograficzno-strategiczne wzmogło się w zupełnie nieoczekiwany sposób. Pasałem krowy w pobliżu pastwiska, na którym urzędował ów ruski spod Witebska. Był on bardzo ciekaw sytuacji na froncie wschodnim. Namawiał mnie, bym przynosił gazetę „Deutsche Rundschau”⁶⁹, wychodzącą w Bydgoszczy i dość łatwo do zdobycia, i tłumaczył mu OKW Berichte (sprawozdania Głównej Komen- dy Wehrmachtu). Były to już, po Stalingradzie⁷⁰, wiadomości w zasadzie mocno

⁶⁷ Niem. Kto robotę zna i jej nie unika, ten ma bzik.

⁶⁸ Niem. dla wodza, narodu i ojczyzny.

⁶⁹ „Deutsche Rundschau” – dziennik niemiecki wychodzący w Polsce, przeznaczony dla mniejszości niemieckiej w Bydgoszczy. Pierwszy numer pisma ukazał się 5 VI 1920. Od 8 IX 1939 pismo stanowiło organ prasowy NSDAP w Bydgoszczy. Ostatni numer wydrukowano 22 XII 1944.

⁷⁰ Bitwa pod Stalingradem (23 VIII 1942 – 2 II 1943) – jedna z największych bitew drugiej wojny. Zakończona zwycięstwem Armii Czerwonej nad Wehrmachtem. Miała kluczowe znaczenie dla dalszego przebiegu wojny, gdyż Niemcy stracili wtedy definitywnie inicjatywę na froncie wschodnim.

upiększane, ale o tym nie mogłem mieć pojęcia. Pewną trudność sprawiał język. Z mojej strony była to mieszanina polskiego z nabytymi od tego pana wyrazami rosyjskimi czy białoruskimi. Szło nam coraz lepiej. Tłumaczyłem mu, jak umiałem, treść owych komunikatów, a on mi wyjaśniał położenie geograficzne walk i pewne sprawy związane z Armią Czerwoną. Kiedy Niemcy „planowo opuszczali zajmowane stanowiska, by skrócić front i przygotować lepsze linie obronne”, albo gdy toczyli „ciężkie walki obronne” (schwere Abwehrkämpfe), oznaczało to, że dostają w skórę. To mi właśnie ów mój towarzysz tłumaczył, posiłkując się mapkami, zwykle zamieszczanymi przy komunikatach. Dziwne wydawało mi się tylko to, że im dalej na zachód parli Sowietci, tym mój rozmówca stawał się coraz bardziej nerwowy, a nawet okazywał wyraźny strach. W całej pełni ujawniło się to w styczniu 1945 r., kiedy front zbliżył się do nas. Pytałem go o przyczynę, ale nie chciał powiedzieć, tylko gorąco mnie zapewniał, że *ruskije charoszyje ludzi*⁷¹. Oczywiście nie wiedziałem, że według kryteriów Stalina był on kolaborantem. Ciekaw jestem, jaki los spotkał jego i rodzinę. Z Pruszcza wyruszył wozem konnym na wschód niemal nazajutrz po zajęciu wsi przez Armię Czerwoną. Okazało się, że wśród żołnierzy znalazł znajomka, a może krewnego, który mu to ułatwił.

Z upływem czasu coraz mniejszy był strach przed Niemcami. Podział szkoły na oddział dla Polaków i dla Niemców stwarzał pole do konfliktów. W pewnym okresie dała o sobie znać niezwykle silna wrogość między polskimi uczniami i dziećmi z dworca, przeważnie z rodzin niemieckich, oraz niektórymi z ongiś polskich, a teraz zaszeregowanych do III grupy (eingedeutscht). Trudno mi w tej chwili zrekonstruować właściwe przyczyny tej zwady, najprawdopodobniej były to szykany Niemców, na ogół bowiem zdarzało się tak, że kiedy oni opuszczali szkołę, my do niej wchodziliśmy. Na wąskich schodach dochodziło do szturczańców i wyzwisk. Nauczycielka mało się tym przejmowała. My, wsioki, czyli dzieci polskie, porobiliśmy sobie pydy, korbacze czy bykowce. Tak nazywano kunsztownie skonstruowane bicz, składające się na ogół z gumowej rurki, niekiedy sprężyny, w którą nawleczony był surowy rzemień, zwykle zwędzony znanemu we wsi rymarzowi Szymańskiemu, nie bez udziału jego syna Macha (nie pamiętam imienia), wszystko zaś zakończone pękawką, czyli rozstrzępioną włóczką czy grubą nicią bawełnianą, co sprawiało, że można było z tego bicia strzelać i puszczać

⁷¹ Ros. Rosjanie to dobrzy ludzie.

kamienie. Była to zatem broń groźna, tym bardziej że można się nią było owinąć pod koszulą, a w razie potrzeby dobyć nagle i użyć. Kilka razy na czarnej drodze ze wsi do dworca, ścieżce biegnącej przez pola i długiej na prawie kilometr, doszło do spotkania obu zwalczających się grup, co na ogół kończyło się na kilku razach i wielu wyzwiskach. Pewnego razu – musiało to być przed żniwami, bo żyto było już tak wysokie, iż można było się w nim ukryć – ktoś nas ostrzegł, że „dworczeni” mają się na nas zacząć w owym zbożu w nadziei, że będzie nas mała grupka. Oczywiście nastąpiła pełna mobilizacja i poszło nas wielu. W połowie drogi posypały się na nas najpierw kamienie, a potem runęła lawa napastników. Ponieważ wzięli nas w dwa ognie, a w dodatku wielu z nas nie miało przy sobie swoich pejców, znaleźliśmy się w opresji. Zostałem wyeliminowany dość szybko ciosem kamieniem czy może innym twardym przedmiotem tuż nad oko. Do dziś noszę bliznę po przecięciu brwi. Polscy parobkowie pracujący na pobliskim polu, słysząc nasze wrzaski, przyszli nam w sukurs z widłami i z czym kto miał pod ręką. Niemcy szybko pierzchli, wielu jednak było dość mocno poturbowanych, podobnie zresztą jak wielu pośród naszych.

Rodzice niemieccy interweniowali ponoć w Gostycynie na policji, gdzie wszakże nie kwapiono się do jakiejś energiczniejszej akcji. Policjant o nazwisku Bogacki (po wojnie pozostał w tej okolicy, ponieważ podobno współpracował z partyzantami, tak słyszałem, ale czy tak było?), który jeździł na wielkim srokatym koniu, oświadczył jedynie – co sam słyszałem – że jeśli takie zdarzenia się powtórzą, sprawcy pobiegną uwiązani do konia do Gostycyna, a później się zobaczy, co z nimi należy zrobić. Nasze korbacze trzeba było starannie schować, co rozsądniejsi Polacy byli bowiem także przeciwko nam. Zresztą wszystko to działo się już pod koniec okupacji, może na przełomie 1943 i 1944 r., toteż wybrykami takimi jak nasze zbyt nie zajmowano. Chłopcy niemieccy z dworca raczej nas unikali, choć niektórzy z nich, przeciwnie, usiłowali nawet nawiązywać z nami kontakty. Chodziło głównie o wymianę dóbr. Oni mieli różne harmonijki, nożyki i podobne rzeczy, a byli bardzo łasi na jelenie rogi, czego u nas nie brakowało.

Do lasu Niemcy chodzili niechętnie. Zraził ich pewien wypadek, który zdarzył się w 1941 albo najpóźniej w 1942 r. Wiadomo było, że w lasach kryli się partyzanci, przez pewien czas przebywali w bunkrach, których kilka Niemcy zresztą wykryli. Ci okresowo przebywający w lesie, to osoby spalone, które musiały zniknąć z widoku. Na ogół podziemie (mówię wyłącznie o AK) składało się z osób żyjących jawnie, a chodzących na akcje, kiedy wypadało.

Pewnej soboty ojciec restauratora z dworca, Niemiec, do którego zresztą nikt nie miał żadnych pretensji, poszedł kilka kilometrów w las zakładać w Brdzie więcierze. Kiedy jechał rowerem wzdłuż toru kolejowego z powrotem do Pruszcza, pod jednym z wiaduktów zastąpili mu drogę jacyś mężczyźni i poprosili go, by nazajutrz po te więcierze nie przychodził, bo może mu się przytrafić coś złego. Opowiedział o tym synowi, ten jednak uznał, że należy pójść. W dodatku on sam będzie towarzyszył ojcu ubrany w mundur SA i uzbrojony w dubeltówkę czy sztucer. W niedzielę zatem poszli w kierunku Brdy. Pod wiaduktem już niedaleko rzeki pojawili się znowu jacyś mężczyźni. Jak potem opowiadał syn owego wędkarza, on pierwszy chwycił za broń i wtedy padły strzały z broni maszynowej. Zobaczył, że ojciec upadł. Rzucił się do ucieczki w kierunku nadleśnictwa, biegł na przełaj przez las. Mundur SA podarł na strzępy o gałęzie. Nie pamiętał też, czy za nim strzelano. Raczej nie.

Okolo południa wyruszyła ze stacji kolejowej w Pruszczu lokomotywa obsadzona przez kilku policjantów, którzy wystawili lufy karabinów na zewnątrz, ledwo żywi ze strachu. Zajechali na miejsce i stwierdzili, że stary kolejarz zginął nie od kuli, lecz zmarł na serce. Wokół ciała widać było ślady, które świadczyły, że chciano go ratować. Zwłoki zabrano na lokomotywę i przewieziono na stację. Potem słyszałem, że jakaś jednostka policji przeprowadziła obławę w okolicznych lasach, ale rezultatem była tylko śmierć oficera, bodajże nazwiskiem Drewanz, z obozu w Potulicach. Po uroczystościach żałobnych w Nakle trumnę zabrano do jego rodzinnego miasta w Niemczech. Jak zginął? Na ten temat krążyły legendy. Podobno w czasie całej wyprawy padł tylko jeden strzał, który trafił go w głowę. Szeptano, że to swoi go zabili, inni mówili, że to partyzant strzelił z zasadzki. Mało prawdopodobne, las bowiem przeszukano centymetr po centymetrze. Bez rezultatu.

Po tych incydentach jedynym Niemcem, którego spotykałem w lesie bez liczejszego towarzystwa, był od dawna tam zasiedziały leśniczy Lübke, starszy pan z długą białą brodą i dubeltówką na ramieniu. Nieraz go widywałem, kiedy pasłem krowy na skraju lasu. Do pasji doprowadzało go wpędzanie przez nas bydła w kulturę dębu. Krzyczał wtedy po polsku i po niemiecku, zdejmował dubeltówkę z ramienia i wrzeszczał:

– Pańdź ta krowa weg, bo ci w dupa strzela.

Jak powiadał mi bardziej doświadczony kolega, miał on nabój nabity solą. Nie sprawdziłem tego. Ten Lübke, zresztą nadzwyczaj porządny człowiek, któremu

ze strony Polaków włos z głosy by nie spadł, w chwili zbliżania się Rosjan zastrzelił swą córkę, która mu gospodarzyła, następnie zaś siebie. Mieszkał zupełnie na odludziu, w lesie, czegoż mógł się spodziewać? Zwłaszcza dla córki, której los byłby straszny, jak doświadczyło tego wiele niewiast, tak Niemek, jak i Polek.

Kiedy zaczęły się intensywne bombardowania Rzeszy, gdzieś pod koniec 1942 r.⁷², zaczęto przebąkiwać, że należy zagaścić większe mieszkania, bo przyjadą bombengeschiedigte⁷³. Pewnego dnia zjawiły się dwie panie z Berlina. Po raz pierwszy widziałem wtedy kobietę palącą papierosa i to przed domem. Wprawdzie nie spacerowała z papierosem po ulicy, jak robią to dziś panie wyzwolone z kultury, mimo wszystko sensacja, jak na owe czasy, była znaczna. Podobnej miary, jak jazda siostry diakonisy (siostry ewangelickie) na motorowerze, co widziałem jeszcze przed wojną. Wtedy wydawało mi się, że to grzech, ale widocznie siostra protestancka może sobie na takowy pozwolić.

Otóż tych wybombionych, jak nazywano ofiary bombardowań, było przejściowo we wsi kilkoro, w tym bodajże jedna rodzina, tzn. matka z dziećmi. Uderzało ich zachowanie w stosunku do Polaków, zupełnie inne niż volksdeutscheów, a nawet niektórych eingedeutschtów, Polaków, którzy dla tych czy innych racji podpisali volkslistę. Ci z Reichu uważali, że segregacja narodowościowa, surowo nakazana przez władze hitlerowskie, to jeden z idiotyzmów, w które zaplątało się wielu Niemców. Pamiętam bardzo sympatyczną panią Hoffmann, trochę sufrażystkę, która bez lęku popisywała się takimi tezami, a nawet niedwuznacznie dawała do zrozumienia, za kogo uważa Hitlera.

Bombenbeschädigte rozwinęli handel wymienny na szeroką skalę. Sami trochę przywieźli, a niekiedy przyjeżdżali ich krewni i znajomi, którzy przywozili miejskie towary, a zabierali kaczki, kury, jajka i co tam jeszcze było do zdobycia. Ten sam styl handlowania uprawiali kolejarze z Reichu, którzy często mieli przerwy w podróży w Pruszczy, wówczas ważnej stacji węzłowej (dziś nie ma jej w ogóle). Ci kolejarze podobno byli we wsi bardzo oczekiwanymi gośćmi, przywozili bowiem nie tylko towary, lecz także różne nowinki, których z gazet i radia (dostępnych zresztą tylko Niemcom) nie można się było dowiedzieć. Kiedyś o mało nie doszło do poważnej awantury z nimi, a to za sprawą inicjatywy mojej i Kazika.

⁷² Intensywne bombardowanie Niemiec rozpoczęło się na początku 1943 r. po ustaleniu aliantów w czasie konferencji w Casablance w styczniu 1943.

⁷³ Niem. poszkodowani przez bombardowania.

Nie wspominałbym o tym, gdyby cała sprawa nie ilustrowała pewnych sytuacji, jakie w czasie okupacji mogły się zdarzyć i faktycznie się zdarzały.

Pewnego wiosennego popołudnia siedzieliśmy ze wspomnianym kolegą przy płocie domu, w którym obaj mieszkaliśmy. Było to zarazem przy polnej drodze biegnącej za zabudowaniami gospodarskimi, którą także można było dojść z dworca do naszej części wsi. Akurat szli tą drogą dwaj niemieccy kolejarze, właśnie tacy przejezdni, mocno podchmieleni. Obiecali dać nam cukierki, jeśli zaprowadzimy ich w jakieś ustronne miejsce, gdzie będą mogli sobie pojeść i popić. Obaj pomyśleliśmy o tym samym. Za zabudowaniami sklepu mięsnego i masarni Rompalskich była trawka, która już w tym czasie bardzo się zieleniła, bo rosła na gnojowniku. Tam zaprowadziliśmy kolejarzy, którzy w pierwszym momencie nie zorientowali się, jaka to jest murawa i się na niej rozłożyli, wyjęli wiktuały i jakieś butelki. Po krótkim czasie jeden z nich krzyknął:

– *Donnerwetter, hier ist doch ganz nass und stinkt wie Teufel!*⁷⁴

Zanim się wygramolili i zebrali swoje manatki, wzięliśmy nogi za pas, ale korciło nas, by zobaczyć, co też tamci zrobią, dlatego co jakiś czas zatrzymywaliśmy się. Wreszcie zostaliśmy zauważeni, kiedy wbiegaliśmy na podwórze domu, gdzie mieszkaliśmy. Od razu powiedzieliśmy, co się wydarzyło, a przytomna matka Kazika poleciła nam, byśmy drogą za wsią uciekli do mojej cioci i tam się przyczaili. Tak zrobiliśmy. Schowaliśmy się w otwartym kopcu z kartoflami.

Tymczasem kolejarze wtoczyli się na podwórze, z którego nas już wywiał, i zaczęli indagować obie matki, moją i Kazika, czy nie schowały się tu jakieś dwa łobuzy, które tak ich właśnie urządziły. Pokazywali przy tym uwalane płaszcze. Ponieważ otrzymali odpowiedź negatywną, weszli do mieszkań i zaczęli je przeszukiwać. Moja matka, która mówiła biegle, bez żadnego akcentu po niemiecku, spytała jednego z nich, czy sądzi on, że dwa łobuziaki mogły się ukryć w szufladzie stołu. Niemiec wprost zaniemówił. Matka dalej:

– *Und können sie mal ihre Papiere vorzeigen, die sie berechtigen eine Haussuchung durchzuführen? Wie meinen sie, was würden sie machen, falls ich gegen sie eine Beschwerde erhebe, dass sie hier was untergeschlagen haben?*⁷⁵

Niemiec zbladł i chyba do reszty wytrzeźwiał. Ten drugi zresztą przez cały czas go mitygował, usiłując wyciągnąć z mieszkania. Potem zaczął też indagować

⁷⁴ Niem. Do pioruna, przecież tu jest całkiem mokro i śmierdzi jak diabli!

⁷⁵ Niem. Czy może pan okazać dokumenty, które pana uprawniają do przeprowadzenia rewizji domowej? Jak pan myśli, co pan uczyni, kiedy wniosę przeciwko panu zażalenie, że pan tu coś ukradł?

matkę, myśląc, że ma do czynienia z Niemką. Gdy jednak usłyszeli, że pozwalają sobie na bezprawie, bo mają do czynienia z Polakami, z którymi można robić co się komu podoba, zmienili ton. Starali się być uprzejmi, tłumaczyli się, że chcieli tylko dopaść tych *spitzbuben*⁷⁶, by im wygarbować skórę, a ponieważ widzieli, że obaj wbiegli na to podwórze, sądzili, że są właśnie stąd. Ten, który tak gorliwie myszkował po mieszkaniu, zapytał moją matkę, czy ma niemiecką volkslistę. Kiedy odparła, że nie ma i nie chce mieć, rzekł:

– *Trotzdem werde ich alles machen um sie eindeutschen zu lassen*⁷⁷.

Nie wspomnę, jaka spotkała nas nagroda za ten wyczyn. Opowiedziałem ten przypadek po to, by pokazać jak dziwni byli Niemcy. Pozwalali sobie przecież na całkowite bezprawie wobec podbitych narodów, ale rewizja na własną rękę to było coś nie do pomyślenia. Oni doskonale wiedzieli, że matka, nawet jako Polka, potrafiłaby im przysporzyć wielu kłopotów, dlatego tak spuścili z tonu, choć przecież byli poszkodowani i mogli dochodzić swego.

Myślę, że do Niemców niesłusznie się przykłada jeden schemat. Bywali różni, niekiedy potrafili także odłożyć na bok swą służbistość. Wiadomo, że za Schwarzschlachtung, czyli ubój bez zezwolenia (Schlachtscheinu), szło się do obozu koncentracyjnego lub ciężkiego więzienia, co na jedno wychodziło. Znam przypadki, kiedy ludzi kosztowało to życie. Mimo to proceder kwitł. Jeszcze przed wysiedleniami polskich gospodarzy w jednym z gospodarstw popełniono takie świńskie „morderstwo”. Wszystko szło sprawnie. W piwnicy, do której zejście było w kuchni w podłodze, kończono rozbieranie tuszy, aż tu nagle drzwi się otwierają i wchodzi schupo⁷⁸ – policjant, bodajże Wiese, starszy, stateczny pan, dość zresztą przyjemny. Sprawdzał sprzęt przeciwpożarowy. Trudno, by nie poczuł, co się święci. Powinien był od razu zapytać o Schlachtschein, on jednak z całym spokojem spisał protokół z oględzin sprzętu, następnie poprosił o przechowanie mu teczki, musiał bowiem obejść jeszcze kilka gospodarstw. Pozostawił też na podwórzu swój rower. Przestraszeni ludzie zaczęli się tymczasem zastanawiać, co dalej zrobić. Zdecydowano się usunąć mięso z domu, a policjantowi włożyć do teczki solidny kawał schabu i inne wiejskie specjały. Mimo to liczono się z tym, że sprawa może skończyć się bardzo źle. Po dłuższym czasie policjant wrócił, a zbierając się do wyjścia, kiedy poczuł ciężar teczki, zapytał:

⁷⁶ Niem. łotrów.

⁷⁷ Niem. Mimo to wszystko uczynię, by pani była eingedeutscht.

⁷⁸ Schutzpolizei, schupo – policja prewencyjna, dosł. ochronna; policja porządkowa działająca w III Rzeszy i GG w miastach powyżej 5 tys. mieszkańców. Podlegała Heinrichowi Himmlerowi.

– *Na, ist hier was gefallen?*⁷⁹

Potem wyjął 20 marek i położył na stół. Na gesty sprzeciwu gospodarzy, położył rękę na banknocie, na znak, że nie zabierze, i pogroził im palcem. Oczywiście, gdyby rzecz się wydała, byłby bardziej ukarany niż świniobójcy. Niemcom jednak także brakowało jedzenia, zwłaszcza mięsa. Byłem świadkiem sceny, która na długo pozostała w mej pamięci, obudziła bowiem we mnie współczucie dla Niemców. Pewien przejezdny kolejarz błagał moją ciotkę, by mu sprzedała kaczkę. Nie uczyniła tego, choć skomlał, użalając się nad niedolą swych dzieci, które w Reichu nie widzą porządnego jedzenia, a tylko ersatze, przez co grozi im cherlactwo, a może nawet śmierć. Ciotka powiedziała mu, że dzieci jej siostry mają jeszcze mniejsze, polskie racje żywnościowe. Na co on:

– Tak, ale wy, Polacy, lepiej sobie radzicie niż my, bo u nas jeden drugiego spieguje, tak że na czarnym rynku nic nie można dostać⁸⁰.

Było w tym wiele prawdy. Mówiła o tym także jedna ze „zbombardowanych”, wysmiewająca się ze swoich rodaków, iż na rozkaz Hitlera zachwalaliby nawet trociny jako przednie jadlo, które zresztą i tak w pewnych ersatzach zjadają.

Rzeczywistość okupacyjna rodziła reakcje, a nawet – powiedziałbym – powoli utrwalający się sposób myślenia, który sytuacje powszechnie uznawane za nie-normalne kazał traktować jako zwyczajne i całkowicie się z nimi zgadzać. Komuś wychowującemu dzieci trudno dziś uwierzyć, że chłopiec między 8 a 14 rokiem życia w ogóle nie miał kontaktu z lekarzem. Otóż ja lekarza w tym czasie widziałem tylko jeden raz. Był to dr Pokrzywiński *vel* Pock, tak się bowiem przezwiał, i ktoś mi go pokazał na ulicy w Nakle. Ciekawe, że ten rozluźniony z konieczności kontakt z lekarzem działał nawet przez pewien czas po wojnie, kiedy przez kilka lat dręczyły mnie bardzo bolesne karbunkuły – jak się później dowiedziałem – będące rezultatem silnego przemarznięcia.

Zimno towarzyszyło mi każdej zimy okupacyjnej. Mimo różnych sweterków, pończoch strasznie zresztą gryzących, bo sporządzonych z surowej owczej wełny, marzłem strasznie. Doskwierał zwłaszcza brak butów, których nie można było kupić, bo nie przysługiwał mi talon – Bezugschein czy coś podobnego. Chodziłem w drewniakach, pantinach, czyli chodakach na drewnianych spodach

⁷⁹ Niem. Czy tu coś padło?

⁸⁰ W okupowanej przez Niemców Polsce czarny rynek funkcjonował na szeroką skalę. Zob. np. T. Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, Warszawa 2010.

i z wierzchami do połowy stopy. Biegało się, więc można było wytrzymać, ale często pięty były mokre od śniegu czy kałuży.

Wracając do lekarzy, wprawdzie nie było w pobliżu prawdziwych eskulapów, ale bywali studenci medycyny, nawet po pierwszym roku z powodzeniem grający rolę „pana doktora”. Cóż, na bezrybiu... Choć trzeba też przyznać, że bywali oni skuteczni. Mnie raz jeden taki „na żywca” złożył połamany w młockarni palec. Po złamaniu nie ma śladu. Myślę, że leczenie liśćmi podbiału, ziołami urywanymi na polu czy w lesie, jakimiś wywarami z kory drzewnej, których to zabiegów często bywałem obiektem, miało swe dobre strony. Może raz czy drugi jakaś starsza pani czyniła nade mną dość zagadkowe gesty, które rzekomo miały być „niezawodnym sposobem” na takie czy inne schorzenie. Czyniono to jednak dyskretnie. Moja matka nie znosiła tego rodzaju hexerei, jak to z niemiecka nazywano, bo jako osoba głęboko religijna uważała je za rodzaj praktyk czarnoksięskich lub zgoła zabobon.

Nigdy świadomie nie byłem poddany takiej terapii, ale rad i wskazań jej dotyczących nasłuchiwałem się co nie miara. Zwłaszcza kiedy musiałem asystować przy licznych wyprawach mojej ciotki, która jako „pani sekretarka” pisywała ludziom podania i inne pisma do urzędów niemieckich. Chętnie zabierała mnie ze sobą, szczególnie wtedy, gdy trzeba było wędrować dalej, lasem. Dziś myślę, że może obawiała się iść sama, choć była to niewiasta nieustraszona (co zresztą w pewnym sensie przyczyniło się do jej przedwczesnej śmierci). Ciocia z dużą tolerancją podchodziła do tego „ciotowania” (dziś słowo to ma inne znaczenie). Raczej z humorem i ze zrozumieniem ludzi, którzy wyrosli w pewnej tradycji, a tę szanowała ponad wszystko. Przez krótki czas przed wojną pracowała na Śląsku, w Katowicach, tradycje tamtejsze uwielbiała, miała nawet strój śląski. To był folklor, który lubiła. W zamawianie i „odkazywanie” nie wierzyła, ale nie raz mówiła, że jeśli to ludziom życie ułatwia, to Pan Bóg się nie pogniewa. Przy całej swej bezkompromisowości w sprawach zasadniczych była prawdziwie tolerancyjna.

Obrazki z okupacji nasuwają się same, choć trudno je poskładać w jedną logiczną całość. Kiedy dotarło do mnie, że panowanie niemieckie może się skończyć? To było w czerwcu 1944 r. po inwazji aliantów w Normandii⁸¹. Stalingrad,

⁸¹ Inwazja w Normandii, – operacja Overlord – akcja wojskowa 6 VI 1944. Operacją dowodził gen. Dwight Eisenhower. Mimo znacznych strat zakończyła się sukcesem aliantów zachodnich.

wcześniej niż o półtora roku, wywarł inne wrażenie. Był zbyt oddalony. Zbyt mało się wiedziało o skutkach tej klęski – pisałem cały czas o sobie, nie o innych, którzy z pewnością inaczej na te sprawy patrzyli, więcej wiedzieli. Po Stalingradzie widać było wśród Niemców narastający strach. Poza tym wiele rodzin straciło swych bliskich i to najbardziej rzucało się w oczy takiemu chłopcu, jakim wówczas byłem.

Pamiętam chłopaka, syna jednego z besarabskich bauerów zajmujących wówczas gospodarstwo Pasternackich, który został zwolniony z Wehrmachtu jako gruźlik. Przychodził często na pole, gdzie pasłem krowy, siadał gdzie bądź i milczał, niekiedy całymi godzinami. Potem wstawał i po prostu odchodził. Razu pewnego przyniósł jakąś niemiecką gazetę, rozłożył ją i zaczął głośno czytać sprawozdanie z bohaterskich walk z bolszewikami. O zniszczonych czołgach, poległych i zabranych do niewoli Rosjanach. Było nas przy tym kilku pasących. Nie wiedzieliśmy, w czym rzecz, aż wreszcie Hermann, bo takie miał imię, zmiął gazetę, rzucił ją na ziemię i wrzasnął:

– *Lauter Lüge. Der Schweinhund müsste wennauch nur einen Tag in dieser Hölle verbringen, um endlich den verlogenen Maul zu halten!*⁸²

Potem zaczął opowiadać, jak jest na froncie. Mówił, że to nie bolszewicy są wrogami Niemców, ale największym ich wrogiem jest Hitler i jego psiarnia. Wszyscy milczą, bo się boją, nawet frontowi żołnierze. Jeśli ktoś zaczyna narzekać, zaraz znika w tajemniczy sposób albo niekiedy dla przykładu rozstrzelają go za defetyzm. Byliśmy oszołomieni. Przecież na urlop przyjeżdżali niekiedy żołnierze z rodzin polskich mających niemiecką volkslistę i opowiadali, jak to dostali urlop za zniszczenie czołgu, pokazując z dumą Panzerzerstörerabzeichen⁸³ – tak to się jakoś nazywało, a przedstawiało czołg na owalnej plakietce. A tu naraz taka odmiana opinii. Kiedy mówiliśmy Hermannowi, który jeszcze wielokrotnie opowiadał nam różne rzeczy, a zwłaszcza komentował niemieckie sprawozdania Kwatery Głównej (OKW-Berichte), że naraża siebie i swoją rodzinę, machał ręką. Wiedział, że nie pożyje dłużej, zmarł też w krótkim czasie.

To, co utkwilo mi w pamięci z 1944 r., ogranicza się, wyjąwszy ostatni miesiąc tego roku, do kilku zdarzeń. Po inwazji w Normandii największą sensacją był

⁸² *Niem.* Samo kłamstwo. Ten świński pies winien choćby jeden dzień przebyć w tym piekle, by zamknąć zakłamaną gębę!

⁸³ Odznaka niemiecka przyznawana za zniszczenie czołgu przez pojedynczego żołnierza. Ustanowiono ją w marcu 1942.

zamach na Hitlera 20 lipca⁸⁴. Niemcy miejscowi nabrali w tej sprawie wody w usta. Od dzieciaków można się było niejednego dowiedzieć, bo zwykle się chwaliły, głównie przewagami swoich bliskich. Tym razem opowiadały, jak to Führer uniknął śmierci, za to wrogowie jego pójda wszyscy na stryczek. Oglądaliśmy potem w gazetach przez długi czas całe strony zawierające zdjęcia osób poszukiwanych, czyli Steckbriefe. Nad taką planszą z fotografiami każdorazowo znajdowało się obwieszczenie, że każdy, kto da takiemu schronienie lub zauważywszy go, nie doniesie policji, będzie *standrechtlich erschossen*⁸⁵. Wątpię, czy w ogóle by się bawiono w wyrok sądu polowego bądź doraźnego.

Moja matka często powtarzała, że nie zabraknie mnie nigdzie, gdzie się dzieje coś, co w jakiś sposób może mi zaszkodzić. Coś w tym było, choć samo stwierdzenie wydawało mi się mocno przesadzone. Otóż wkrótce po 20 lipca 1944 r., mogło to być na początku sierpnia, ale równie dobrze wcześniej, żniwa bowiem były w pełnym toku, zdarzyło się coś, co mogło się okazać niebezpieczne dla całej naszej rodziny. Matka właśnie kończyła przygotowywać obiad, nie w naszym mieszkaniu, ale w domku cioci, stojącym tuż przy drodze prowadzącej z dworca do wsi. Mnie przykazała, bym się nigdzie nie oddalał, siedziałem zatem na płocie, coś tam strugając. Nagle ujrzałem na ścieżce mężczyznę ubranego w jasny prochowiec, w kapeluszu na głowie i z małym neseserem w ręce. Szedł bez wątpienia z dworca. Obcy we wsi rzuca się w oczy, a co dopiero ktoś w ten sposób odziany, w dodatku w nieprawdopodobny upał. Zawsze nas uczono, by pozdrawiać starszych. Ukłoniłem mu się, a on uśmiechnął się i po niemiecku zapytał mnie o drogę do Klonowa. Odpowiedziałem, że pociąg niedługo pojedzie, powinien wrócić na dworzec. Na to on:

– Chyba jednak przejdę się pieszo.

Pokazałem mu drogę do lasu i poradziłem, by szedł nad drugim torem, który biegnie w lewo. Podziękował, uśmiechnął się i poszedł. Śledziłem go, gdy szedł w dół wioski. Żywej duszy nie było na drodze. Była to pora obiadowa i żniwiarze jedli lub wypoczywali po posiłku. Wieś była absolutnie opustoszała, zatem nikt nie mógł owego mężczyzny zauważyć. Spoglądałem za nim, jak schodził

⁸⁴ Mowa o nieudanym zamachu na Adolfa Hitlera w Wilczym Szańcu 20 VII 1944, zorganizowanym przez oficerów Wehrmachtu na czele z płk. Clausem von Stauffenbergiem. Wszystkich spiskowców skazano na karę śmierci, a wyroki wykonano. Hitler wykorzystał zamach do przeprowadzenia czystki w wojsku i administracji państwowej III Rzeszy.

⁸⁵ Niem. rozstrzelany z wyroku sądu doraźnego.

drogą do pierwszego wiaduktu i znikł za nim. Pomyślałem, że dobrze zrozumiał moje objaśnienia, i szybko o tym spotkaniu zapomniałem, dalej wycinając sobie fujarkę.

Kiedy chwilę później na wezwanie matki wszedłem do kuchni, ujrzałem bodajże „Deutsche Rundschau”, którą ciocia przynosiła często z młyna. To był numer sprzed kilku dni, o ile się bowiem nie mylę, ocalała tylko pierwsza strona do czegoś tam użyta w kuchni. Wśród fotografii z listu gończego znajdowała się także podobizna mojego rozmówcy. Był to burmistrz Lipska Carl Friedrich Goerdeler⁸⁶. Pochwaliłem się zaraz mamie, z kim rozmawiałem. Ta załamała ręce i nuż mnie łąć, bo do czegoż to prowadzi, by godzinami wysiadywać na płotach, drzewach, stale przysparzając trosk i kłopotów. Miałem zakaz wychodzenia z domu, by się nie wygadać; czekaliśmy na powrót cioci z pracy.

Ta też się przestraszyła. Uradzono, że muszę przysiąc na krzyż, iż pary z ust nie puszcze. Byłem tak wychowany, że wagę takiej przysięgi znałem. Nie wiem, kiedy pierwszy raz o tym komuś powiedziałem, w każdym razie było to wiele lat po wojnie. Kiedy niedawno czytałem artykuł na temat schwywania Goerdelera (co nastąpiło gdzieś w okolicach Malborka), z łatwością mogłem sobie odtworzyć drogę jego ucieczki. To, że szukał kontaktu z rodziną Witzlebenów, bo niewątpliwie tak było, dowodzi tylko, jaką amatorszczyzną był cały ten zamach. Goerdeler chciał się ukryć w domu podobnie jak on poszukiwanego spiskowca. Brunon Zwarra⁸⁷ w swej książce *Wspomnienia gdańskiego bówki* wyraża zdziwienie, że Goerdeler nie zdołał się skontaktować w Borach Tucholskich z Polakami i że został tam zatrzymany. Jak wynika z tych wspomnień, szukał on ocalenia w Borach Tucholskich, ale nie u Polaków, których przyjacielem bynajmniej nie był.

Kolejnym przeżyciem z tego czasu było powstanie warszawskie. Stale zamieszczany na pierwszej stronie w „Deutsche Rundschau” obraz ogromnej smugi dymu z podpisem – już nie pamiętam dziś jego niemieckiego brzmienia – głoszącym, że oto z rąk bandytów ginie płonąca Warszawa. Od tej chwili do końca okupacji

⁸⁶ Carl Friedrich Goerdeler (1884–1945), niemiecki polityk konserwatywny. Nadburmistrz Lipska 1930–1937. Zmuszony przez władze III Rzeszy do złożenia urzędu. Zaangażowany w niemiecki ruch oporu przeciwko Hitlerowi. Spiskowcy przeprowadzający zamach 20 VII 1944 typowali go na kanciera po ewentualnym sukcesie akcji.

⁸⁷ Zob. B. Zwarra, *Wspomnienia gdańskiego bówki – wspomnienia własne*, t. 3, Gdańsk 1986, s. 128. Brunon Zwarra (1919–2018), autor książek o historii Gdańska. W czasie drugiej wojny więzień obozów koncentracyjnych w Nowym Porcie, Stutthofie i Sachsenhausen. Autor m.in.: *Gdańsk 1939. Wspomnienia Polaków-Gdańszczan*, wybór i oprac. B. Zwarra, Gdańsk 1984; *Wspomnienia gdańskiego bówki – wspomnienia własne*, t. 1–4, Gdańsk 1984–1996 oraz powieści *Gdańszczanie*, Gdańsk 1976.

nie zaniedbałem żadnej okazji, by przeglądać prasę niemiecką – właściwie tę wymienioną gazetę, bo tylko ona do nas docierała – niestety, bez możliwości oddzielenia ziarna od plew. Mój pogląd na powstanie warszawskie kształtował się więc w owym czasie pod wpływem propagandy niemieckiej. Nawet skłonny byłem wierzyć, że bohaterski Wehrmacht robi wszystko, by ratować biedną ludność cywilną. Nikt nie potrafił mi niczego wyjaśnić, mówiło się bowiem na ten temat półgębkiem, a często słyszało się głosy potępiające tych, którzy takie nieszczęście wywołali. Przecież to samo można było wyczytać w gazecie niemieckiej. Prawdy dowiedziałem się już w gimnazjum, gdzie znaleźli się koledzy, którzy wówczas tam byli, a nawet walczyli.

Im bliżej końca okupacji, tym bardziej nachalna stawała się propaganda niemiecka. O hasłach jej, jak: *Feind hört mit*⁸⁸, *Alle Räder müssen rollen für den Sieg*⁸⁹, *Kohlenklau*⁹⁰ itd., nie będę pisać, bo to rzeczy powszechnie znane. Warto wspomnieć o plastycznym przedstawianiu groźby inwazji bolszewizmu. W głowie chłopaka, który miał jeszcze przed oczyma plakat wiszący w polskiej szkole przed wojną, a przedstawiający bolszewika w postaci niemalże półzwierzęcia, musiał powstać zamęt. Im bliżej był front, a latem 1944 r. stanął on nad Wisłą, tym bardziej nurtowało ludzi pytanie, jak to będzie, kiedy przyjdą bolszewicy. Słyszało się też inne pogłoski.

Nie pamiętam, kiedy pojawiła się nazwa Monte Cassino⁹¹. Dla mnie Cassino przywodziło na myśl restaurację, której szyld gdzieś widziałem. Nazwiska Anders⁹² w ogóle nie było wówczas w moich rozmyślaniach, natomiast wracało stale, nawet już po katastrofie gibraltarskiej, nazwisko Sikorski⁹³. Ludzie szeptali między sobą, ale takich słuchaczy jak ja odganiano:

– Taki to nie wiadomo gdzie będzie dalej plótł, co usłyszysz. Przyjdzie czas, dowiesz się.

⁸⁸ Niem. Wróg słucha, przysłuchuje się.

⁸⁹ Niem. Wszystkie tryby muszą się obracać w celu zwycięstwa.

⁹⁰ Niem. Piętnowanie postaci złodzieja węgla.

⁹¹ Bitwa o Monte Cassino – cztery bitwy wojsk alianckich z Niemcami stoczone w okolicy klasztoru Monte Cassino we Włoszech od stycznia do maja 1944. Linie niemieckie przełamano 18 maja. W operacji brał udział 2. Korpus Polski dowodzony przez gen. Władysława Andersa.

⁹² Władysław Anders (1892–1970), generał dywizji Polskich Sił Zbrojnych. Naczelnny wódz PSZ 1944–1945 i 1946–1954. Członek Rady Trzech od 1954. Jeden z przywódców emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii.

⁹³ Władysław Sikorski (1881–1943), generał broni WP, polski wojskowy i polityk. Premier rządu RP na uchodźstwie, naczelnny wódz PSZ 1939–1943. Zginął pod Gibraltarem 4 VII 1943 w katastrofie lotniczej, której okoliczności do dziś nie zostały w pełni wyjaśnione.

Myślałem, że to coś takiego, jak z tym mówieniem po niemiecku, kiedy starsi, w tym moi rodzice, nie chcieli, żeby dzieci rozumiały. Pamiętam to jeszcze sprzed wojny. Nigdy nie śmiałem wyprowadzić ich z błędu, bo jak się miało sąsiadów Niemców z obydwóch stron podwórka i niemieckie dzieci na ulicy i boisku, to się rozumiało wszystko. Gorzej było z mówieniem, tego jednak nauczyłem się błyskawicznie w szkole, nawet nie wiem kiedy. Taki to był niemiecki, jakim we wsi mówiono. Już jako student KUL zetknąłem się z prof. Andrzejem Wojtkowskim⁹⁴, świetnym historykiem, humanistą znającym ten język w najlepszym wydaniu. Kiedy bez obawy coś mu zacząłem wyklądać, przerwał mi i powiedział:

– Księżę dobrodzieju – inaczej się do mnie nie zwracał – to straszne, jak ksiądz mówi po niemiecku, a fe, to jakaś wsiowa gwara. Nie przystoi ona człowiekowi parającemu się nauką, ksiądz nie zdałby niemieckiej matury.

To był cały kochany, nieoceniony profesor. A gdzie i jak miałbym zdać maturę niemiecką? Właśnie on zmusił mnie do wyprostowania mojej niemczyzny.

Mimo pewnych braków jako dziecko rozumiałem jednak wszystko, co przy mnie mówiono. Starsze panie poruszały niekiedy tematy wstydlive.

– *Die Tochter der.... wird wohl was bekommen, nur von wem?*⁹⁵

I uśmieszek. Raz nie wytrzymałem:

– *Jeder weiss es, dass von dem, der mit dem weißen Pferd in den Wald hinunterfährt*⁹⁶.

Nigdy więcej bym tego nie zrobił, zostałem bowiem okrzyczany jako siejący zgorszenie bachor.

– Co z niego wyrośnie, wiadomo, ręki ojca zabrakło!

Zawsze intrygowało mnie to, że starsi tak mało o nas wiedzieli. Wtrącanie niemieckich zdań z wieloznacznym spojrzeniem w kierunku rozmówcy było nie do zniesienia, dlatego tak się wówczas wyrwałem. To, że nie mówiono przy mnie o sprawach politycznych, raczej rozumiałem, choć to również denerwowało. Wiele podsłuchałem.

W młynie pracował niejaki pan Wiśniewski, z którym moja ciocia stale o czymś szeptała. Niekiedy ją odwiedzałem i niejedno usłyszałem, na przykład to, że pan

⁹⁴ Andrzej Wojtkowski (1891–1975), historyk, profesor. Wicedyrektor 1926–1928, a następnie dyrektor Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu 1928–1939. Od 1945 kierownik Katedry Historii Kultury Polskiej na KUL. Dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych KUL 1946–1947. Dyrektor biblioteki uniwersyteckiej 1944–1949. Poseł na Sejm PRL I kadencji 1952–1956. Od 1962 na emeryturze.

⁹⁵ *Niem.* Córce tych tam coś się przytrafiło, tylko od kogo?

⁹⁶ *Niem.* To każdy wie, że od tego, który na tym białym koniu jeździ do lasu.

Wiśniewski skądś ma pieniądze, które rozdaje osobom wskutek wojny niemającym środków do życia, zwłaszcza jeśli żywiciel poległ lub był w obozie. Myślałem sobie wtedy, dlaczego nam nic nie da. Dopiero po wojnie matka mi wytłumaczyła, że ciocia odmówiła przyjęcia pomocy, uważając, że są bardziej potrzebujący. Ów pan Wiśniewski, po wojnie działacz partyjny, był w podziemnej organizacji, w jakiej – trudno mi stwierdzić. Był to jednak porządny człowiek. Tak mówiła ciocia, a ona była dla mnie wyrocznią.

Piszę to wszystko, by przybliżyć sposób myślenia kilkunastoletniego chłopca w tamtych czasach oraz nieuniknione urabianie jego poglądów, charakteru, zestawu wartości, jeszcze nie do końca zrozumiałych, ale zakodowanych na stałe. (To tłumaczy, dlaczego w najgorszych czasach stalinizmu nie wstąpiłem do ZMP, mimo że mogłem się liczyć z niezdaniem matury i końcem jakiejkolwiek ambitniejszej kariery). Trudno też się dziwić, że perspektywa nadejścia bolszewików mnie przerażała, choć niełatwo mi było o tym z kimkolwiek mówić, nawet z najbliższymi. Słyszałem zawsze niezmienną odpowiedź:

– To nie twoje sprawy, tym zajmują się starsi, a ty za wiele nie gadaj, bo ścigniesz na wszystkich nieszczęście.

Przygłębił mnie już całkowicie mój przyjaciel, Rosjanin czy Białorusin, z którym pasłem krowy i któremu służyłem za interpretatora niemieckich sprawozdań wojennych. Kiedy zakomunikowałem mu, że Rosjanie stoją już na ziemiach polskich i może wkrótce tu będą, zobaczyłem, jak chłopina się przestraszył. Starał się to ukryć, ale przecież widać było, że się boi. Zapytałem, dlaczego. Nie odpowiedział wprost, ale coś wspominał, że tu pracował dla *giermańca*, a Stalin wszystko wie. Trudno mi było w to uwierzyć, ale informacja ta znowu utkwiała w głowie jak cierń.

Przeżywałem wtedy czas zwątpień w wiele rzeczy. Nad tym, co odnosiło się do Boga, nawet nie rozmyślałem. Tu wszystko było jasne i oczywiste. Ale zaczynałem wątpić, czy przeżyjemy wojnę. Coraz częściej myślałem o ojcu, uczepiłem się myśli, że on żyje i wkrótce się z nami połączy. To znowu martwiło mnie to, że ktoś z moich rówieśników żyje inaczej, w mieście, uczy się (chodziło może o tajne komplety⁹⁷), a do mnie wszyscy mówili, iż będę parobkiem, niczym więcej. Trochę mi się to nawet uśmiechało, bo parobek mógł „robić końmi”, a ja uwielbiałem konie. Jeden

⁹⁷ Tajne komplety – nauczanie prowadzone w formie nielegalnych zajęć i wykładów w czasie drugiej wojny. W tajne nauczanie zaangażowani byli nauczyciele wszystkich szczebli edukacji: od szkół powszechnych do wykładowców uniwersytetów. W Warszawie działał m.in. tajny Uniwersytet Warszawski, w Krakowie zaś tajny Uniwersytet Jagielloński.

z przymusowych parobków w wolnym czasie czytywał książki. Zapytałem go, czy tak być może, że ktoś, będąc parobkiem, będzie mógł czytywać książki. Wyśmiał mnie niemiłosiernie i oświadczył, że on nie znosi tej roboty i jak tylko będzie to możliwe, ucieknie i zacznie się uczyć. Był ode mnie może ze cztery lata starszy, ale o ileż mądrzejszy. Ja nie mogłem pojąć, iż pracę przy koniach można uważać za podłe zajęcie.

Jednym słowem, świat począł się wokół mnie walić. Uciekałem w coraz to większe obszary marzeń. Tęskniłem za sytuacjami, w których mógłbym się wyróżnić, by mnie wreszcie przestano uważać za takie zero. Nawet koledzy tak mnie traktowali, bo mimo wszystko nie chciałem tak się zabawiać jak oni. Raz spróbowałem, ale wydało się i w domu uczyniono nade mną sąd. Od tej pory myślałem, że jestem strasznym rozpustnikiem i że właściwie Bóg także mnie już osądził, a mnie nie pozostało nic, jak tylko czekać na wykonanie wyroku. To było straszne. Miałem potem problemy z przygotowaniem się do pierwszej spowiedzi, choć dobiegałem 14 roku życia. Dopiero ksiądz mi wyjaśnił, że te nasze zabawy były po prostu głupie, ale nic poza tym.

Jesień 1944 r. nie była w niczym podobna do całego ubiegłego czasu okupacyjnego. Dlaczego? Trudno to zdefiniować. Coś wisiało w powietrzu. Przede wszystkim Niemcy zachowywali się dziwnie. Tak, jak gdyby nie zależało im nawet na solidnym przeprowadzeniu zbiorów jesiennych. To się po prostu czuło. W szkole więcej lekcji wypadało, niż się odbywało. Zabierali ludzi na kopanie rowów przeciwczołgowych i to wcale nie gdzieś tam daleko, ale pod Toruniem. Moja najstarsza siostra też musiała jechać. Opowiadała, że pilnujący ich przymykali oczy na wiele spraw, których by dawniej nie puścili płazem. Jednym słowem, działo się coś niezrozumiałego.

Boże Narodzenie minęło jednak spokojnie. Obie siostry były w domu, jedna wróciła z okopów, drugą Erdmannowie zwolnili na święta do domu – zaraz potem musiała wracać. Umówiliśmy się, że na początku stycznia do niej przyjdę. Gospodarze niemieccy mnie już znali, bo kilkakrotnie tam gościłem, i tym razem także mnie zapraszali. Była to, jak już wspominałem, zacna rodzina. Siostrę traktowali jak własną córkę.

Pamiętam śmieszne zdarzenie, o którym ona sama opowiadała matce. Erdmannowie wysyłali ją do Fortbildungsschule (szkoły dokształcającej) do Mąkowarska, czego z reguły Polakom wzbraniano, dla bezpieczeństwa więc chodziła tam w towarzystwie innych młodych. Był wśród nich chłopak pracujący w gospodarstwie

z nakazu arbeitsamtu. Wydawał mi się on człowiekiem bardzo sympatycznym, był nieco starszy od siostry, liczył może około 20 lat. Erdmannowa widocznie spostrzegła, że chłopak za bardzo interesuje się siostrą i powiedziała jej, iż on nie jest dla niej odpowiedni i ma go unikać. Inaczej pracodawczyni będzie musiała porozmawiać z naszą matką. Krysia była oburzona, bo ani w głowie jej był flirt. Świadczy to jednak o tym, jak odpowiedzialni to byli ludzie.

Któregoś dnia w styczniu 1945 r., najprawdopodobniej było to w piątek, 19 stycznia, wybrałem się do Dzidzienka do siostry. Nie było to nic nadzwyczajnego, odwiedzałem ją dość często, a pobyt u niej był zawsze interesujący. Państwo Erdmannowie, a szczególnie gospodarz domu, byli ludźmi bardzo miłymi i nie przejawiali żadnej niechęci do Polaków, co można było obserwować także w ich odnoszeniu się do polskiej służby. Pamiętam, że w czasie drogi potwornie zmarzłem, mróz bowiem trzymał tęgi, a w dodatku nasypało sporo śniegu. Oczywiście całe 8 km szedłem pieszo.

W Mąkowarsku miałem się zatrzymać u mocno starszych siostr o nazwisku Mydlach. To był punkt postojowy za każdym razem, gdy chodziliśmy do kościoła, dopóki żył ks. Tyrakowski. Lubiłem ich dom, była to stara chatka, przypominająca mi dom Baby-Jagi. Gorsze było wysłuchiwanie stale tych samych wspomnień, sięgających głęboko w XIX w., kiedy szalał kulturkampf, przez obie panie dobrze pamiętany. W Mąkowarsku, gdzie było aktywnych wówczas na przemian kilku księży misjonarzy czy też tajnie działających w kulturkampfie kapłanów, niejedno się w tym czasie wydarzyło, ale mnie te opowieści niewymownie nudziły. Gonił ich żandarmów za księżmi była dla mnie przede wszystkim niezrozumiała. Co innego, kiedy nas gonił bahnschutz⁹⁸ – policja kolejowa – bo paśliśmy krowy przy torach kolejowych, ale pogoń za księdzem? To całkowicie przekraczało moją wyobraźnię. Gdyby nie szacunek, jaki żywiłem dla obu dam, sądziłbym, że zmyślają. Czyż mogłem wiedzieć, że historie te staną się w przyszłości inspiracją dla tematu mojej rozprawy doktorskiej? W każdym razie, idąc wtedy do Dzidzienka, do pań tych nie wstąpiłem.

Na miejscu u siostry zastałem wszystko w najlepszym porządku. Z kilkuletnim chłopcem Erdmannów jeździliśmy na sankach. Tak minęła sobota. W niedzielę gospodarze nie pojechali do kościoła ewangelickiego w Mąkowarsku, bo pan Erdmann musiał nagle wyjechać. Nie mówili, dokąd jedzie, ale widać było nerwowość.

⁹⁸ Bahnschutzpolizei – niemiecka policja ochrony kolei; formacja policyjna w nazistowskich Niemczech w czasie drugiej wojny, wykorzystywana do ochrony kolei w Europie Wschodniej.

O tym, że walki toczą się już w rejonie Bydgoszczy i Torunia (odległość od Bydgoszczy wynosiła w prostej linii 48 km), nie miałem pojęcia, podobnie jak moja siostra. Gdzieś koło południa przyjechał na rowerze, czy może na koniu, mężczyzna, który przywiózł polecenie pana Erdmanna, by natychmiast pakować wozy i być w pogotowiu do wyjazdu najpóźniej w poniedziałek; sam obiecał przybyć, skoro tylko będzie to możliwe. Nakazał też, bym ja natychmiast wracał do Pruszcza, Krysia zaś miała jechać z nimi, by pomóc pani Erdmannowej w opiece nad dziećmi. Wydaje się jednak, że to ostatnie polecenie pochodziło raczej od pani, po trzech dniach bowiem właśnie Erdmann zwolnił moją siostrę i pozwolił odejść do domu, nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za jej bezpieczeństwo.

W domu powstały rejewach, lament, bieżanina. Pakowano w pośpiechu rzeczy. Byłem tylko zawadą. Pani domu nakładła do walizeczki kiełbas wędzonych, boczku i chciała zaraz wyprowadzić mnie w drogę. Nie chciałem iść bez siostry, ale wytłumaczono mi, że ona przyjdzie nazajutrz, po odjeździe rodziny Erdmannów. Wierzyłem w to święcie, ale – jak później opowiadała siostra – natychmiast po moim odejściu Erdmannowa, płacząc, objęła moją siostrę i powołując się na przywiązanie do dzieci, błagała, by jej nie opuszczała. Powiedziała wtedy, że jej mąż jest zmobilizowany do volkssturmu⁹⁹, który ma zabezpieczać ewakuację Niemców.

Byłem już wtedy w drodze. Było wściekle zimno, ale nie czułem tego w ogóle. Stale się oglądałem za siebie, czy czasem nie jedzie sowiecki czołg. Do Mąkowskiej prowadziła polna wyboista droga. Odległość nie przekraczała 3 km. Dla mnie jednak droga ta wydawała się nie mieć końca. Więcej biegłem, niż szedłem.

W Mąkowsku, na skraju wsi, koło mleczarni stał posterunek cywilów z opaskami na ramieniu i dubeltówkami oraz inną ręczną bronią. Zatrzymano mnie, indagując, skąd, dokąd, co mam w walizeczce. Nie wiedziałem, jak się tłumaczyć. Nie miałem pojęcia, że pan Erdmann także tu jest. Wymieniłem jego nazwisko. Tamci porozumieli się i jeden poszedł ze mną kilkanaście kroków do skrzyżowania w pobliżu kościoła. Tam stał pan Erdmann. Ujrawszy mnie, najpierw wypytał o sytuację w swoim domu, a kiedy ją przedstawiłem, zawahał się i po chwili oznajmił:

– *Du kannst ruhig nach Hause gehen*¹⁰⁰.

⁹⁹ Volkssturm – formacja niemiecka o charakterze pospolitego ruszenia, powołana rozkazem Hitlera z 25 IX 1944. Jej żołnierze brali udział w walkach na froncie zachodnim, gdzie zwykle poddawali się bez walki; uczestniczyli także w obronie przed wojskami sowieckimi, wówczas przeważnie walczyli zaciekle, m.in. w obronie Kostrzyna, Kołobrzegu, Wrocławia i Berlina.

¹⁰⁰ Niem. Możesz spokojnie iść do domu.

- *Und was wird mit meiner Schwester sein, was soll ich meiner Mutter sagen?*¹⁰¹
- *Die wird auch bald kommen*¹⁰².

Ostatni raz go wtedy widziałem. Nie wiem, czy przeżyli on i jego rodzina. Szkoda, gdyby zginęli, bo byli dobrymi ludźmi.

Kiedy ruszyłem w kierunku Pruszcza, dogonił mnie jakiś chłopak z Hitlerjugend i odprowadził aż do skraju wsi. Wyraźnie dawał mi do zrozumienia swoją wyższość. Na pożegnanie powiedział:

- *Na, Kleiner, eile jetzt unter den Rock deiner Mutter*¹⁰³.

Ubodło mnie to, bo chłopak był może w moim wieku, może nieco starszy, ale położyłem uszy po sobie i ruszyłem w drogę.

Do majątku Motyl był kawałek drogi; prowadziła ona stromo w dół, w dolinę małej rzeczki, w której często się kąpaliśmy, a potem stromo pięła się aż do wiaduktu kolejowego i poczty. Prawie przy moście na rzeczce Sępólna, zwanej potocznie Sępolenką, ujrzałem na szosie ciągnik z wielkim działem i kilku żołnierzy. Jeden z nich coś majstrował przy ciągniku. Zrobiło mi się nieswojo. Szedłem jednak, a kiedy ich mijalem, przywitałem się:

- *Guten Tag*¹⁰⁴.

Nikt mi nie odpowiedział, ale jeden zastąpił drogę i zapytał:

- Skąd, dokąd?

Zacząłem się tłumaczyć, że pan Erdmann z Dzidzienka kazał mi iść do Pruszcza, gdzie mieszkam, że ów pan Erdmann jest właśnie w Mąkowsku i stoi z dubel-tówką na skrzyżowaniu. Ten indagował dalej:

- Po co on tam stoi?
 - Chyba po to, by bronić wsi.
 - Przed kim?
 - Nie wiem.
 - A czy wiesz, że możesz nie dojść do wsi, bo ci ruski czołg dupę rozjedzie?
- Na to inni, siedzący na lawecie działa i jedzący, ryknęli śmiechem. Jeden wrzasnął:
- *Mensch, der Erdmann setzt sich doch für ihn ein, meinst du nicht?*¹⁰⁵

Wówczas ten indagujący mnie spoważniał i rzekł:

¹⁰¹ Niem. A co będzie z moją siostrą, co mam powiedzieć matce?

¹⁰² Niem. Ona też wnet przyjdzie.

¹⁰³ Niem. No, mały, spiesz teraz pod spódnicę matki.

¹⁰⁴ Niem. Dzień dobry.

¹⁰⁵ Niem. Człowieku, przecież ten Erdmann się nim zajmie, nie sądzisz?

– Es ist mir scheissegal was einer mit der Jagdflinte da vor hat, du sollst dich einfach hier nicht herumtreiben, weil die Russen wirklich bald hier werden. Hau jetzt ab, so schnell wie möglich¹⁰⁶.

Oczywiście nie trzeba mi było dwa razy tego powtarzać. Ale oglądałem się, czy mi nie strzelą w plecy, zwłaszcza że jeden trzymał na kolanach pistolet maszynowy. Oni jednak kiwali mi ręką, a potem w ogóle nie zwracali na mnie uwagi. Biegłem teraz pod górę, zupełnie nie czując zmęczenia, choć pot zalewał mi oczy. Tak dobiegłem do poczty i nagle znalazłem się w zupełnie innym świecie.

Przy ładnej, mroźnej pogodzie szosą od wsi do poczty spacerowały zakochane pary. Mój widok musiał być straszny, bo obstępiono mnie, pytając natarczywie, skąd i dlaczego tak zziąjany biegnę. Nie mogłem wydobyć głosu, tylko pokazywałem ręką za siebie, mamrocząc:

– Ruski...

Zasypano mnie pytaniami, ale ja uporczywie powtarzałem, że zaraz mogą pojawić się Rosjanie, a koło Motyla stoi działo, w Mąkowsku zaś volkssturm być może już z nimi walczy. Któryś z mężczyzn wziął mnie na bok i zaczął mi perswadować:

– Idź do domu, ale nie mów nikomu tego, co tu powiedziałeś, gdyż we wsi jest spokojnie i Niemcy mogą się zdenerwować z powodu takich wieści.

Widziałem, że nikt mi nie wierzył. Rzeczywiście, we wsi panował spokój. Kiedy zdałem relację matce, jak się rzeczy mają, wpadła w rozpacz. Chciała iść do Dzi-dzienka po siostrę, ale ciocia, która właśnie nadeszła, odradziła jej to i oświadczyła, że nazajutrz pójdzie sama. Jednak następnego dnia panował spokój, a Niemcy, choć zaczęli się pakować, przebąkiwali coś o odwołaniu ewakuacji.

Tak minęły dwa, może trzy dni. Chyba drugiego dnia po moim powrocie zjawiła się Krysia. Radość była nieopisana, ale wieści, jakie przyniosła, były groźne. Podczas gdy u nas był spokój, w Mąkowsku, oddalonym zaledwie o 5 km, panowała sytuacja niemalże frontowa. Siostrę przeprowadził aż na bezpieczną drogę pan Erdmann, volkssturm działał już wspólnie z jakimś oddziałem wojska. Kontrolowano wszystkich cywilów niemiejsowych. Siostra opowiadała, że przy niej legitymowano dwóch mężczyzn, których następnie odprowadzono za stóg i słyszać było strzały.

Już w dniu powrotu siostry nadeszły rozkazy od kreisleitera, by wszyscy Niemcy opuścili wieś. Ja oczywiście nie mogłem usiedzieć w domu. Bez ustanku

¹⁰⁶ Niem. Mam to gdzieś, co zamierza jakiś tam z fuzją myśliwską, masz się tu nie kręcić, bo Rosjanie mogą się pokazać bardzo szybko. Teraz uciekaj co sił w nogach.

biegałem, wbrew biadaniom matki, chcąc wszystko na własne oczy zobaczyć. Przede wszystkim podniecała mnie perspektywa przeczuwanych zmian, nowości. Koło plebanii, gdzie mieszkał treuhänder, pakowano wóz. Jechała z nimi także nasza nauczycielka. Stała teraz z walizką i czekała na załadowanie jej bagażu. Pomogłem jej w tym, a ona spytała:

– Cieszysz się, że odjeżdżam?

Odpowiedziałem całkowicie szczerze, że nie. Ona na to:

– Dobrze mi tu było z wami.

Nam z nią też. Była najlepsza ze wszystkich nauczycieli.

Niemcy wyjeżdżali zwartą kolumną dopiero koło wieczora. Pozostał tylko większy gospodarz, jednoręki Teske. Nie chciał słyszeć o ewakuacji. Nie wiem, czy i jaką miał rodzinę. Mieszkał u wylotu drogi na Kamienicę i Gostycyn. Był zamknięty w sobie. Podobno później był internowany w Koronowie. W obozie przejściowym także milczał i nieustannie spacerował. Tam też zmarł.

W dniu ewakuacji doskwierał straszny mróz. Gałęzie były grubo oszronione. Piękny widok, ale nie czas na jazdę wozem konnym. Nazajutrz większość wozów wróciła. Okazało się, że niektórzy mieszkańcy gospodarstw leżących poza wsią, na tzw. wybudowaniach, w ogóle nie wyjechali. Tak było z siostrą jednego z Hannemannów, mieszkającą – o ile się nie mylę – w gospodarstwie gdzieś pod Bagienicą, za bagnami.

Otóż ów Hannemann (gruby, w przeciwieństwie do chudego) dopadł mnie na ulicy i zażądał, bym pojechał do jego siostry i powiedział jej, iż natychmiast ma przybyć z całym dobytkiem do niego, do Pruszcza. Dał mi konia i zagroził, że jeśli ucieknę, to mnie znajdzie i zastrzeli. Na dowód pokazał jakiś sztucer. Bałem się, ale podniecała mnie perspektywa jazdy na koniu.

Do wybudowania nie dotarłem bez przygód, koń bowiem się spłoszył i zrzucił mnie, ale zasy były tak wielkie, że sam też w nich utkwiał i mogłem swobodnie znowu go dosiąść. Gorzej było u wspomnianej pani (nazwiska nie pamiętam), która podobnie jak jej córki była całkiem beztroska. Stwierdziła, że jej brat to panikarz, ale ja i koń podobamy się jej i po prostu zabiera nas ze sobą. Odjedzie nie zaraz, ale dopiero, kiedy się zapakują, może jutro, może później. Wyraźnie w ogóle nie miała zamiaru jechać. Na szczęście po jakimś czasie przybył, już nie wiem jakim środkiem lokomocji, jej brat, co dla mnie było o tyle niekorzystne, że zabrał mi konia i kazał pieszo wracać do wsi. Ogromnie się wtedy zmachałem i do domu dotarłem całkowicie mokry, a właściwie zamarznięty, śnieg bowiem topniał na mnie i natychmiast zamarzał.

Matka nałożyła na mnie areszt domowy, a ciocia orzekła, że taki głupi chłopak to może tej wojny nawet nie przeżyć. Ten argument nieco mnie otrzeźwił. Ale wydarzenia biegły jedno po drugim. Rankiem następnego dnia Niemców już we wsi nie było. Tym razem na dobre. Pojawił się za to samochód wojskowy. Przywiózł kilkunastu żołnierzy, którzy rozstawili się z pancerfaustami¹⁰⁷ w różnych punktach wsi wzdłuż szosy Koronowo–Tuchola. Stali tak przez dzień i noc, oglądani ze wszystkich stron – głównie przez nas, chłopaków – ale rozmowni nie byli. Znikli tak jakoś niepostrzeżenie ze swych stanowisk, a przez wieś od Bydgoszczy w kierunku Tucholi zaczęły się ciągnąć całe eszelony ciężarówek, wlokących się najwyżej 20 km/godz. Obładowane były różnym sprzętem, całymi stertami tornistrów wojskowych i dobrem zgoła cywilnym. Broni prawie nie było widać. Na tych stertach różnych przedmiotów leżeli żołnierze, okutani, niektórzy nawet na słomie i pod słomą. Wielu było rannych. Nie pamiętam, ile to trwało, ale dłużej niż dzień. Kolumna była tak zwarta, że trudno było przejść na drugą stronę szosy. Żołnierze byli apatyczni. W każdej ciężarówce było widać jednego, niekiedy dwóch bardziej rzeźkich i uzbrojonych, przeważnie w szoferce lub na jej stopniach. Jeden, taki młody, zadziorny, wywijał pistoletem maszynowym i wołał do nas, stojących na poboczu:

– *Wartet auf uns, wir kommen bald wieder!*¹⁰⁸

Nikt się nie odezwał. Ludzie zachodzili w głowę, co to za pochód widm. Oczywiście nie wiedzieliśmy, że to resztki jednostek armii „Mitte”¹⁰⁹, pobitych w rejonie Bydgoszczy i Torunia. Jedno wydawało się pewne. Za dzień, dwa zjawia się Rosjanie i bez jednego strzału zajmą wieś. Któż mógł przypuszczać, że są to rachuby całkowicie bezzasadne.

Zaledwie przeciągnęły te niedobitki, wieś zajął oddział w sile może kompanii, należący do jakiejś jednostki SS¹¹⁰. Zjawili się nagle i w niczym nie przypominali

¹⁰⁷ Pancerfaust – niemiecki bezodrzutowy granatnik przeciwpancerny jednokrotnego użytku. Był bronią taną, niezwykle skuteczną i prostą w obsłudze.

¹⁰⁸ *Niem.* Czekajcie na nas, wkrótce powrócimy!

¹⁰⁹ Grupa Armii „Środek” – niemiecka grupa armii utworzona przed inwazją na Związek Sowiecki w 1941. W lipcu 1944 rozbita na Białorusi. Odtworzona w styczniu 1945 i pokonana przez wojska sowieckie nacierające po przełamaniu frontu na Wiśle w 1945. W ostatniej fazie jej istnienia dowodził nią feldmarszałek Ferdinand Schörner.

¹¹⁰ Die Schutzstaffel der NSDAP (SS) – niemiecki oddział ochronny NSDAP; paramilitarna i początkowo elitarna formacja nazistowska podległa NSDAP. Utworzona na rozkaz Hitlera w 1925. Odegrała zasadniczą rolę w walce z opozycją wewnętrzną w NSDAP w 1934. W 1936 utworzono zmilitaryzowane jednostki dyspozycyjne, przekształcone w Waffen SS. Oddziały SS brały udział w drugiej wojnie już od momentu kampanii wrześniowej. Od 1943 były uznawane za jednostki elitarne w armii

zdemoralizowanych żołnierzy, których oglądaliśmy przez prawie dwa dni. Szedłem z jednego końca wsi na drugi do cioci, kiedy dwóch żołnierzy chwyciło mnie po prostu za kołnierz i kazało się prowadzić do gospodarstwa, gdzie dostaną coś do jedzenia. Tłumaczyłem, że Niemcy wszyscy wyjechali, ale mogą pójść, zobaczyć – może gdzieś coś znajdą. Zaprowadziłem ich do gospodarstwa Gerta, zamożnego bauera, przy końcu wsi. Myszkowali wszędzie, ale niczego nie znaleźli. Żli, klęli na czym świat stoi. Wreszcie jeden zajrzał do chlewa. Były tam tylko jakieś owce, gdzie się podział inny inwentarz, nie wiadomo. Bałem się okrutnie, gdyż mimo kilkakrotnych prośb, nie pozwolono mi odejść. Wyzwolił mnie jakiś rozkaz, który otrzymali. Odchodząc, powiedzieli, że mam na nich czekać, bo zaraz wrócą. Ale ja z miejsca dałem drapaką, bałem się jednak wychodzić z domu, bo myślałem, że będą mnie szukali. Trudno się dziwić.

Koniec okupacji jawił się dla mnie, wówczas trzynastolatka, jako odmiana, na którą się czekało może zbyt długo i dlatego jej perspektywa budziła zaciekanie, a zarazem obawy, co dalej, jak to będzie: czy tu, w Pruszczy, czy też gdzie indziej. U nas w domu o tym się nie mówiło. Zresztą nie mieliśmy już własnego kąta, o ojcu myśleliśmy już jako o nieżyjącym. To były naprawdę trudne pytania i nie na moją głowę.

Okupacja nauczyła mnie jednego. Należy pilnować się, żeby cię nie złapali, bo stale czyniło się coś nielegalnego. To były drobne sprawy. Dla Niemców nic nie było jednak drobną sprawą, dlatego unikało się ich, jak tylko było można. Kontakty z miejscowymi Niemcami – niektórzy przybyli w czasie wojny z Altreichu¹¹¹ – były prawie żadne, gdyż Niemcy, nawet dzieci, uważali za stosowne na każdym kroku dawać do zrozumienia, że jesteś czymś niższym i jeśli już, to tylko powinieś od nich się uczyć, jak postępować. Tymczasem gołym okiem można było dostrzec, że niemieccy koledzy szkolni byli daleko mniej sprawni niż przeciętny polski chłopak wiejski.

Najgorsze były relacje z niektórymi Polakami, którzy zapisali się na niemiecką listę narodowościową. Wielu chłopców nawet nie wiedziało, że rodzice taką listę podpisali, ale chodzili oni do szkoły z Niemcami i to też coś znaczyło. Najczęściej słabo znali niemiecki, dlatego bywali lekceważeni i po pewnym zauroczeniu narodem panów, wracali do swych polskich kolegów.

niemieckiej, choć ich formacje miały zróżnicowany poziom. W 1947 Międzynarodowy Trybunał w Hadze uznał SS za formację zbrodniczą, winną ludobójstwa i zbrodni wojennych.

¹¹¹ Niem. terytoria należące do III Rzeszy przed 1938.

Nie miałem specjalnie warunków do utrzymywania szerszych kontaktów, bo albo pasłem bydło, albo robiłem coś innego. Praca ta polegała głównie na najbardziej dla mnie atrakcyjnym zajęciu, na powożeniu końmi, względnie na wykonywaniu lżejszych robót polowych. Ogromnie byłem z siebie dumny, kiedy zradliłem pole ciotki, około 20 arów. Również powożenie sankami w czasie zimy było dla mnie uciechą nie lada, tym większą zresztą, że zazdrościli mi tego wszyscy koledzy. Może właśnie perspektywa pożegnania się z tymi przyjemnościami wpływała na mój dość ambiwalentny stosunek do zmiany miejsca pobytu po wojnie. Pierwsze wakacje w 1945 r., kiedy byłem już w liceum, spędziłem więc na starych śmiecach, w Pruszczu, kierując wierzchem zaprzęgiem kosiarki w czasie żniw. Dopiero harcerstwo odwróciło całkowicie moje zainteresowania tym, co nazwać by można *vita rustica*¹¹², choć w czasie wojny nie była ona bynajmniej *beata*¹¹³.

Takie rozważania przyszły znacznie później. W styczniu 1945 r. miała się rozegrać ostatnia dla nas batalia w tej wojnie, walka o Pruszczyk. Zdawałoby się – nic nieznacząca wieś, a jednak zdobycie jej nie przyszło łatwo i sporo kosztowało.

Walki o Pruszczyk

Następnego dnia widać było, że Niemcy szykowali jakieś pozycje obronne, ale tylko od strony szosy w kierunku Bydgoszczy. Dom, w którym mieszkaliśmy, był trzeci z rzędu po prawej stronie. Niepokojące było to, że szosą od Bydgoszczy w ciągu całego dnia nie przejechał żaden pojazd.

Musiąco to być 1 lub 2 lutego (chronologię tę można by ustalić). Wieczorem uparłem się, by iść na podwórze do sławojki, chociaż matka nie chciała się zgodzić. Wreszcie moja najstarsza siostra powiedziała, że również wyjdzie, poszliśmy zatem razem. Było bardzo ciemno. Idealna wprost cisza, tylko z oddali słychać było terkotanie, jak nam się wydawało, traktora. Ponieważ niekiedy takie gąsienicowe ciągniki wyciągały z lasu lory z drewnem, które potem dalej transportowały duże samochody na gaz drzewny, sądziliśmy, że to właśnie coś takiego. Ale o tak późnej porze? Podeszliśmy do bramy i próbowaliśmy otworzyć furtkę, kiedy stanął przy niej żołnierz w hełmie i spytał, dokąd chcemy iść. Zobaczyłem, że przed bramą stał oparty na nóżkach karabin maszynowy. Żołnierz kazał nam zaraz wracać do domu i nie wychodzić. Siostra zapytała go, dokąd tak późno jedzie traktor, a on

¹¹² Łac. życie wiejskie.

¹¹³ Łac. szczęśliwa. Rzeczownik „życie” po łacinie jest rodzaju żeńskiego.

się zdziwił, o jaki traktor jej chodzi. Oświadczył, że to terkotanie to nie traktor, tylko karabin maszynowy w Mąkowsku.

Wróciliśmy do domu i podnieśliśmy alarm. Było nas w domu trzy rodziny na piętrze i dwie na parterze. Wszyscy zbiegliśmy do bardzo ciasnej piwnicy. Pani Karolczykowa, matka mojego kolegi Kazika, chciała zostawić małą córeczkę, już śpiącą, na piętrze w łóżeczku, ale w ostatniej chwili zabrała ją także do piwnicy. Siedzieliśmy tam nie wiem jak długo i już niektórzy, sądząc, że to fałszywy alarm, chcieli wracać do mieszkań, kiedy nagle usłyszeliśmy huk i cały dom się zatrzęsł. Na szczęście to był jedyny pocisk z małego działka, który tej nocy trafił w dom. Kiedy rano weszliśmy na górę, w łóżeczku małej Jadzi leżały cegły i gruz wybite przez pocisk. Mała, gdyby została na miejscu, już by nie żyła.

Siedząc w piwnicy, chwilę po owym wybuchu usłyszeliśmy warkot motoru i strzały karabinowe. W pewnym momencie także rosyjskie głosy. Wyraźnie Niemcy z Rosjanami gonili się wokół domu. Jednemu z Rosjan noga osunęła się w zagłębienie okna piwnicznego i na chwilę uwięzła między deskami. Widać było, a raczej się czuło, że właściciel buta tkwiącego w tej jamie usiłuje się uwolnić. Wreszcie się udało. Tupot, potem krzyk bólu i kroki zaczęły się oddalać w głąb wsi. Po godzinie albo może więcej znowu słychać było bliskie strzały i nawoływania rosyjskie. Najwyraźniej Rosjanie wycofywali się w kierunku poczty i dworca.

Nad ranem wszystko ucichło. Nie śmieliśmy wychodzić z piwnicy. Wreszcie starszy pan, Patyna, który był jedynym mężczyzną w naszym gronie, postanowił wyjść. Twierdził, że skoro go „pod Verdunem”¹¹⁴ nie zabili, to i tu nic mu nie będzie. Po chwili wrócił i zawołał wszystkich na górę. Przed domem stał czołg. Zaczęto się zastanawiać: niemiecki czy też rosyjski. Wszyscy żołnierze byli ubrani w białą maskującą odzież. Jak tu rozpoznać? Ktoś się już wyrwał witać Rosjan, kiedy zauważyłem krzyż na wieżyczce. A więc Niemcy.

Starszy pan zapytał, czy możemy już wyjść z piwnicy. Powiedziano, że tak, ale mamy chodzić tylko pod osłoną murów, bo Rosjanie są na dworcu i będzie ostrzał. Na dworze zobaczyliśmy najpierw zabitego Rosjanina, przewieszonego przez płot sąsiadów. Na polu za domem, pod górką do kisowni (żwirowni), leżeli zabici Rosjanie. Kilku, może nawet kilkunastu. Jeden się jeszcze ruszał, ale Niemiec stwierdził, że nic mu już nie pomoże, a kto tam pójdzie, będzie zastrzelony.

¹¹⁴ Bitwa pod Verdun – jedna z najbardziej krwawych batalii pierwszej wojny, toczona w 1916 w okolicach Verdun, zakończona zwycięstwem armii francuskiej. W czasie walki zginęło około 338 tys. żołnierzy niemieckich i około 348 tys. żołnierzy francuskich.

Radził wszystkim przenieść się na drugi koniec wioski, bo tu, jak twierdził, będzie jeszcze bitwa. Uczyniliśmy to, niestety, a potem się okazało, że wszystkie ataki szły właśnie na tamtą część wsi.

Nowe miejsce znaleźliśmy w solidnej piwnicy gospodarstwa pani Romanowej Pasternackiej, w świńskiej kuchni. Miejsce to opuścili Niemcy besarabscy, osiedleni tu po wywiezieniu właścicielki. Chwilowo było bezpańskie. Przebywała z nami w piwnicy także ta rosyjska czy białoruska rodzina, o której już była mowa. Ludzie ci pracowali w tym gospodarstwie w czasie wojny.

Już pierwszego dnia można się było przekonać, że dostaliśmy się z deszczu pod rynnę. Szkoła i kościół, stanowiące właściwie jeden kompleks w środku wsi, były od naszej kryjówki oddalone o około 50–80 m. Zaraz się dowiedzieliśmy, że w szkole zainstalowali się niemieccy żołnierze, nie ci sami, którzy poprzednio obsadzili wieś, ale młodzi chłopcy, przeważnie z Bawarii. Podobno ich dowódcą był kapitan, ale nigdy go nie widziałem. Była to chyba kompania piechoty z dwoma czołgami i jedną lub dwiema armatami. W szkole, gdzie była solidna piwnica, schroniło się wiele osób, których domy znajdowały się w sąsiedztwie, ale nie miały piwnic lub podpiwniczenia były słabe. Najdziwniejsze, że siedział w tej piwnicy także mój pierwszy okupacyjny nauczyciel pan Thiess, który – jak wieść niosła – z ostatniego urlopu po prostu nie wrócił już do jednostki. Gdyby ktoś to ujawnił, byłby on niewątpliwie rozstrzelany jako dezter, tymczasem nie tylko doczekał nadejścia Rosjan, ale został wyrwany z ich rąk przez wstawiennictwo kilku Polaków. Pod oświadczeniem stwierdzającym jego lojalność wobec Polaków podpisały się m.in. moja matka i ciocia.

Następnego dnia przekonaliśmy się, że przekroczenie drogi jest niemożliwe. Z wiaduktu kolejowego, z którego był widok na całą ulicę we wsi, strzelał rosyjski ckm, z dworcowej wieży ciśnień również odzywał się karabin maszynowy i chyba nawet lekkie działko. Dojście do szkoły było odcięte. Dało się tam dotrzeć boczną uliczką, biegnącą obok gospodarstw Wejny i Radtkego. Od nas – przez zabudowania gospodarskie, głównie stodoły Pasternackich (nie tych, w których obejściu się schroniliśmy, ale z nimi sąsiadujących) i Wejnów. Jeśli chciało się iść do szosy przelotowej, przy której znajdowało się opuszczone przez nas mieszkanie, a gdzie znajdowała się też piekarnia Płotków, z konieczności niekiedy nawiedzana, trzeba było przemykać się pod płotami zabudowań aż do kuźni Zielińskiego, dalej można było iść względnie bezpiecznie.

Najtrudniej było dotrzeć do krów, które trzeba było doić. Obory znajdowały się w czterech gospodarstwach po przeciwległej stronie ulicy i konieczne było jej

przekroczenie, a tam czyhał ckm z wiaduktu. Moja najstarsza siostra Gabrysia pracowała u bauera zajmującego gospodarstwo Roszczynialskiego. Wiadomo, że chciała ulżyć biednym krasulom, a i mleko było potrzebne, zwłaszcza dla dzieci, nie tylko w naszej piwnicy, gdzie było tylko jedno małe dziecko, lecz także w szkole, gdzie przebywało ich kilkoro. Wszystkie czynności niezbędne do utrzymania się przy życiu były zarazem wielkim dla życia zagrożeniem. Kiedy dowiedzieliśmy się o ciężkim zranieniu jednego z ukraińskich robotników, mało było chętnych do takich wypraw.

Moja ciocia nie znała chyba w ogóle uczucia strachu. Chodziła wszędzie, mówiąc, że opatrność Boża mocniejsza jest niż kule. Opowiadała, że w czasie pierwszego ataku, dopiero kiedy wokół jej domu zaczęły wybuchać granaty, pomyślała, że pójdzie do solidniejszej piwnicy w domu sąsiadów, Schreiberów. Gdy niosąc przed sobą pościel, wychodziła z furtki własnego podwórka, zobaczyła przed sobą trzy świecące punkty. Były to pociski, uderzyły one jednak w płot znajdujący się nad jej głową.

Każdy z nas musiał, a trochę także chciał się przewietrzyć, bo w ciasnej piwnicy, w której trzeba było leżeć na ziemniakach, trudno było wytrzymać. Byli wprawdzie tacy, którzy wychodzili na powierzchnię tylko do kuchni, gdzie można się było umyć i załatwić inne potrzeby. Mnie po kilku dniach ogarnęła dziwna śpiączka. Pewnego razu w nocy pocisk artyleryjski z dworca trafił w dach naszej kuchni. Na strychu było zboże, które po prostu zostało wymiecione. Z dachu nie pozostało nic, ale sufit był betonowy i wytrzymał. Oczywiście dom był mocno zrujnowany. Ciekawe, że mimo potwornego huku i gruzu sypiącego się do piwnicy, nie obudziłem się. Spałem względnie wygodnie, bo na stercie ziemniaków pod schodami. Nikt nie chciał zająć tego miejsca, bano się bowiem, że przy trafieniu schody mogą się zawalić. Tego miejsca już do końca pobytu w piwnicy nie opuściłem.

Pewnego dnia przyszedł do nas jakiś mężczyzna – nie pamiętam, kto to był. Przyniósł wieści, że Rosjanie są na dworcu, na lizjerze lasu, a konkretnie usadowili się za obu nasypami kolejowymi, bardzo blisko wsi. Z drugiej strony są w Bagienicy, Kloni i w zabudowaniach (gospodarstwach poza wsią) wzdłuż szosy tucholskiej. Każdy, kto znał choćby trochę topografię okolicy, wiedział, że oznacza to zamknięcie Pruszcza w kotle. Jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy, co to oznacza. Rychło się przekonaliśmy.

Niemcy byli dość rozmowni, a z tego, co mówili, wynikało, że otaczają ich wprawdzie nieznaczne siły sowieckie, ale wydostać się ze wsi ani nie mogą, ani nie mają prawa. Będą się tu bronić. Jeżeli jednak nadejdą większe siły, zwłaszcza

czołgi, to sprawa będzie przegrana. Ktoś podobno spytał raz ich dowódcę, czy mają jakieś zamiary wobec cywilów? Ten odpowiedział, że nie i nie wierzy, by dostali w tej sprawie jakiegokolwiek rozkazy, bo nawet radio mają uszkodzone przez pocisk sowiecki.

– No, a gdyby jakieś dla nas niebezpieczne rozkazy nadeszły?

Oficer rozłożył ręce.

– Żle wam nie życzę, ale rozumie pan...

Zatem sprawa była przynajmniej o tyle jasna.

Któregoś – bodaj piątego – dnia wieczorem, może około godz. 22.00 oprócz tej leniwej wymiany ognia usłyszeliśmy warkot i dudnienie czołgu. Posuwał się wzdłuż ulicy w kierunku lasu. Wydaje się, że nie wyjechał poza niemiecki cmentarz wojskowy z 1939 r. (obecnie cmentarz parafialny, położony na skraju wsi). Oddał dwa albo trzy strzały i się wycofał w rejon szkoły – można było sądzić po odgłosach.

W nocy obudziła nas gwałtowna strzelanina. Walczono w środku wsi, jak się później okazało, głównie wokół kościoła, na cmentarzu przykościelnym. Budynek bardzo ucierpiał od granatów ręcznych. Po jakiejś godzinie odgłosy strzelaniny zaczęły się oddalać, a wreszcie wszystko zamilkło. Do rana nie spaliśmy.

Chyba ciocia wyszła pierwsza i bez przeszkód dotarła do swojego domu (głównie by wydoić kozę). Po powrocie powiedziała, że naprzeciw jej pola, tuż przy domu Januszewskich, leżą dwa zabite konie i jakieś żelastwo. Żelastwem okazało się działo 40 mm. Widocznie Rosjanie przyciągnęli je drogą od dworca i tam zostało ono rozbite. Na parkanie cmentarnym leżały przewieszone zwłoki sowieckiego żołnierza, podobno jedynego poległego tej nocy. Ludzie w szkole przeżyli prawdziwe piekło, bo nad ich głowami odbywał się ten taniec Rosjan i Niemców, podobno gonili się wokół kościoła i w kościele, co doprowadziło do zrujnowania jego wnętrza.

Oficer niemiecki, który coraz częściej przesiadywał z ludźmi w piwnicy, uspokajał. Twierdził, że ataku już nie będzie. Nastąpi tylko ten ostatni, to, co było w nocy, było bowiem tylko rozpoznaniem, a nie zamiarem zdobycia wsi. Dziwnie się ci Niemcy zachowywali. Ostrzegali ludzi wychodzących na zewnątrz, wskazywali najniebezpieczniejsze punkty. Sam widziałem, jak kiedyś jeden z nich, stojąc w szczytowym oknie szkoły, wołał do kogoś:

– *Leg dich nieder!*¹¹⁵

¹¹⁵ Niem. Kładź się!

Wykonywał przy tym gwałtowne ruchy ręką. Dowiedzieliśmy się też, że wyprawa nocna czołgu miała na celu zbadanie możliwości przebicia się do Kamienicy polem między lasem a szosą. Już po zajęciu wsi przez Rosjan znaleźliśmy na tym polu poległego żołnierza niemieckiego. Był w mundurze czołgisty.

9 albo 10 lutego rano usłyszeliśmy od strony lasu bardzo silny warkot. Początkowo myśleliśmy, że to silnik samolotowy, ale grzmot stale rósł – tak że w końcu trudno było zrozumieć mówiącego. Podeszliśmy do bramy obejścia, w którym znajdował się nasz schron, i zauważyliśmy, że w oknie domu Jagły stał niemiecki żołnierz, paląc papierosa i spoglądając w kierunku lasu. Ktoś krzyknął do niego:

– *Was ist da los?*¹¹⁶

– *Klar, die Russen werfen die Panzer an*¹¹⁷ – odpowiedział.

Potem zszedł z parapetu okiennego i położył na nim dwa pancerfausty. Zaśmiał się i zawołał:

– *Und das zur Begrüssung*¹¹⁸. *Und ihr, habt ihr keine Blumen um euren Befreiern ein Willkommen zu bereiten; von wegen, auch eine Befreiung, werdet erst Mal sehen*¹¹⁹.

Ten wisielczy humor wkrótce go opuścił, w pewnym momencie wrzasnął bowiem coś w głąb izby, a w naszą stronę warknął:

– *Los, macht euch aus dem Staub, es geht schon los, keiner soll auf der Strasse bleiben*¹²⁰.

Znacząco podniósł do góry pistolet maszynowy. Nie musiał dwa razy powtarzać.

Zeszliśmy do piwnicy, ale na krótko. Słyszał było zewsząd warkot silników i strzelaninę. Na progu naszego domu strzelał niemiecki karabin maszynowy, a jego nóżki uderzały o betonowy próg, wydając bardzo denerwujący dźwięk. W pewnym momencie ktoś głośno krzyknął i tupot nóg oznajmił, że strzelec się wycofał. Niemal natychmiast ktoś silnym uderzeniem wyważył resztki drzwi do naszej kuchni. Moja ciocia, jak zawsze przezorna, szybko otworzyła włącz do piwnicy i stanęła oko w oko z Rosjaninem, który mierzył w nią bagnetem. Na pytanie *Gdzie Niemcy?*¹²¹ ciocia oświadczyła, że są tu sami cywile, kobiety i dzieci i że ma sam

¹¹⁶ Niem. Co tam się dzieje?

¹¹⁷ Niem. Jasne, Rosjanie zapuszczają czołgi.

¹¹⁸ Niem. A to na powitanie.

¹¹⁹ Niem. A wy, nie macie kwiatów, by waszym oswobodzicielom zgotować powitanie? Myślałby kto, wyzwolenie, jeszcze zobaczycie.

¹²⁰ Niem. No już, znikajcie, już się zaczyna. Na ulicy ma nikogo nie być.

¹²¹ Ros. Gdzie są Niemcy?

zajrzeć do piwnicy. Ale nie chciał. Kazał pojedynczo wychodzić. Kiedy już wszyscy wyszli, spytał, czy nikt się nie ukrył. Zaprzeczyliśmy. Wziął granat i udawał, że chce go wrzucić, ale nikt nawet nie drgnął. Wtedy się zaśmiał:

– *Choroszo*¹²². – Następnie pytał: – *A wy wieście poliaki?*¹²³

Zażądał papierów. Matka pokazała kenkartę¹²⁴. Znał ten dokument i poklepał matkę po plecach. Sąsiadka, mając III grupę, miała ausweis niemiecki. Matka za nią powiedziała, że dokumenty tej kobiety się spaliły. On jednak nie zwracał na to uwagi. Weszło więcej żołnierzy, wszyscy spoceni, zdenerwowani – pamiętam, że ktoś dał im do picia wielki słój wiśni w soku, a żołnierz po prostu wziął ten słój i wyrzucił go przez okno – pytał natomiast o *bumagę*¹²⁵. Nikt nie wiedział, o co chodzi, ale sąsiadka udawała, że czegoś szuka – niepomna słów mojej matki – i niechcący wydobyła z kieszeni różaniec. Kiedy go ujrzał, zaśmiał się, poklepał ją także po ramieniu i rzekł:

– Już dobrze, wierzę ci, żeś Polka, *giermancy* tego nie mają.

Inni żołnierze wcale się nami nie przejmowali. Jedni oczyszczali jeszcze wieś z Niemców, inni już się gdzieś umieszcowali, żeby zapalić, zjeść. Jeden podpity – to był już drugi rzut natarcia – nastawił radiotelefon i z jakiejś niemieckiej stacji złapał muzykę taneczną. Zaczął prosić do tańca. Nasi Rosjanie, czy może raczej Białorusini, gdzieś się zaraz wynieśli. Po pewnym czasie zobaczyłem, jak ściska się on z jakimś żołnierzem. Do mnie mrugnął znacząco i szepnął:

– *Ziemplak*¹²⁶.

Podobno tegoż dnia na furce wyjechali w kierunku wschodnim.

Z najstarszą siostrą chcieliśmy się dostać do naszego mieszkania. Trudno było przecisnąć się ulicą, bo cała była zapchana wozami wojskowymi wszelkiego typu i rodzaju. Wokół wsi paliły się zabudowania i trafione czołgi. Co chwila wybuchała w nich amunicja. Doszliśmy wreszcie do narożnika domu Tarlacha, a tu w najlepsze wrzała walka. Niemcy bronili się jeszcze koło warsztatu stelmacha Stróżewskiego i gdzieś w ogrodzie. Jakiś rosyjski oficer z naganem rzucił się na nas i powalił na ziemię; coś wrzeszczał, ale nie słyszeliśmy co. Wreszcie pokazał kierunek, z którego

¹²² Ros. Dobrze.

¹²³ Ros. Czy wszyscy jesteście Polakami?

¹²⁴ Kenkarta – dokument tożsamości wydawany obligatoryjnie przez okupacyjne władze niemieckie na mocy rozporządzenia gubernatora Hansa Franka z 26 X 1939 wszystkim nieniemieckim mieszkańcom GG.

¹²⁵ Ros. dokument urzędowy.

¹²⁶ Ros. krajan.

przyszliśmy. Musieliśmy wrócić. Dopiero po południu poszliśmy wszyscy. Przed piekarnią Płotków leżał zabity Niemiec. Każdy czołg, który przejeżdżał, a jechało ich sporo, za punkt honoru stawiał sobie, by po trupie przejechać gąsienicą. Po dwóch dniach ktoś widłami zebrał kupkę łachmanów i spłaszczony hełm i zakopał to wszystko w rowie. Tyle zostało po człowieku, synu, może mężu, może ojcu?

W pierwszej chwili trudno się było połapać w tym, co się wokół działo. Niby wieś była zdobyta, ale niekiedy wybuchały pociski, chyba z granatników, na co nikt nie zwracał uwagi. Wzdłuż zabudowań jeździły małe samochody pancerne, mające w wieżyczce karabin maszynowy. Wyglądały jak zabawki, ale były groźne. Łamiąc po drodze drzewa, jakiś czołg przejechał przez sad i zawrócił gwałtownie przed bramą naszej chwilowej kwatery, bryzgając na kilka metrów błotem. Tego dnia po raz pierwszy tej zimy była silna odwilż. Byłem ochlapany błotem od stóp do głów, ale czołgista, który ukazał się we włązie, śmiejąc się, powiedział:

– *Niczewo*¹²⁷ – i dał mi piękną zapalniczkę. Niestety bez benzyny. Spytał, czy mam *spiczki*¹²⁸. Nie wiedziałem, co to takiego. Pokazał grubego skręta z gazety. Domyśliłem się, o co chodzi. O dziwo, miałem w kieszeni kilka pudełek, nacierający żołnierze mieli bowiem pełne kieszenie zapalek i dawali, ile kto chciał.

Ten pierwszy dzień „wolności” jest trudny do opisania. Rosjanie weszli koło południa, ale w kierunku Kamienicy, na równych jak stół polach można było zauważyć poruszające się czołgi, czasami strzelające. Jeden z Niemców usiłował się wymknąć na transporterze opancerzonym, ale małeńkie, ciągnione przez żołnierzy działko trafiło go z odległości może 300 m. Pojazd stoczył się do rowu i przewrócił na bok. Z kierowcy, jak się przekonaliśmy później, pozostały kawał skóry z pleców i jakieś resztki ciała nie do zidentyfikowania. Wszystko to obserwowaliśmy – my, chłopcy – nie bacząc na padające nieraz pociski. Żołnierze sowieccy nieustannie na nas pokrzykiwali, starali się zapędzić nas w obręb podwórek, ale bez rezultatu. Dopiero po kilku godzinach, kiedy się już ściemniało, pojawili się *regulirowszczyki*¹²⁹ (przeważnie żołnierki) i nastał jakiś ład. Ale zaraz pojawili się żołnierze i nakazali ewakuację. Kiedy tak wspominam ten chaos panujący, co by nie powiedzieć, w strefie frontowej, w której była wieś, trudno zrozumieć, jak można było tym przemierzającym tłumem różnych broni dowodzić? Wydaje

¹²⁷ Ros. nie szkodzi.

¹²⁸ Ros. zapalki.

¹²⁹ Ros. żołnierze z chorągiewkami, kierowali m.in. ruchem wojsk. Często tę funkcję wykonywały kobiety.

się, że wiele odbywało się na żywioł, co z kolei pociągało niepotrzebne ofiary wśród żołnierzy.

Armia Czerwona miała zapewne zorganizowaną sieć lazaretów wojskowych, usytuowanych przy większych jednostkach, jednak na tym odcinku frontu, który przechodził przez naszą wieś, opieka sanitarna nad rannymi była co najmniej prymitywna. W domu, w którym mieszkaliśmy, w jednej z izb na parterze urządzono coś w rodzaju szpitalika. Urzędowały w nim żołnierki, lekarki czy sanitariuszki. Ciężej rannych chwilowo umieszczano na obalonych na podłogę szafach albo wprost na podłodze. Łżej ranni czekali na opatrunek na podwórzu, siedząc w topniejącym śniegu, niekiedy wprost na ziemi. Pamiętam taki widok: pod oknem siedział na kawałku kłosa żołnierz, który jedną dłonią ścisnął kikut drugiej, kiwał się rytmicznie i nucił jakąś piosenkę. Nie reagował na nic. Siedział tak przez wiele godzin, aż przyszła jedna z tych lekarek i się nim zajęła. Potem przez kilka dni przywożono rannych i opatrywano ich na tych prowizorycznych pryczach. Punkt ten zwinięto już po naszym powrocie z Motyla, gdzie przebywaliśmy kilka dni.

Mieliśmy okazję przyjrzeć się losowi żołnierzy sowieckich na froncie, gdyż teren, na którym przebywaliśmy, stanowił tyły nacierającej armii. Magazynowano tu paliwo, amunicję i ogólnie zaopatrzenie. Los tych ludzi był nie do pozazdroszczenia. Większość z nich żywiła się jakimś własnym sposobem, bo do kuchni polowej, przez pewien czas działającej na naszym podwórzu, mało który przychodził, a kucharze rozdawali ludziom całe góry gotowanego ryżu.

Pierwsze chwile „wolności”

Nasze mieszkanie, biedne, ale już trochę przez te trudne lata zaopatrzone w najniezbędniejsze rzeczy, zostało spustoszone. Resztki naszej nędzy schowane w piwnicy – wywleczone i zabrane lub zniszczone. W domu – jak już wspominałem – mieścił się lazaret polowy. Lekarki paradowały w nocnych koszulach, znalezionych w mieszkaniach – trochę były te koszuliny podobne do strojów bałowych. Mimo wszystko chcieliśmy pozostać na naszych śmieciach, ale przyszedł jakiś oficer czy podoficer i oświadczył, że musimy uchodzić na wschód, czyli do Motyla, bo tu będzie jeszcze bój. Nie pomogły lamenty kobiet, płacz dzieci. Zjawili się jeszcze inni żołnierze i przypilnowali, żebyśmy natychmiast ruszyli w drogę. O zabranii czegokolwiek, prócz węzła, nie było mowy.

Do Motyla były dobre 2 km, ale szliśmy pod prąd. Naprzeciw nas ciągnęły kolumny samochodów, pieszych oddziałów, nawet biedki zaprzężone w jednego

konika z woźnicą żołnierzem, obładowane skrzynkami, chyba amunicją strzelecką. Na poboczu szosy znajdowały się sterty skrzyń z amunicją artyleryjską, a na polach po prawej stronie drogi ustawiono haubice z zadartymi lufami, które niekiedy strzelały gdzieś w kierunku Tucholi. Na rozwidleniu dróg, gdzie w prawo odchodziła polna droga do Bagienicy, w miejscu, gdzie kiedyś stał krzyż, zwalony w 1939 r. przez Niemców, zobaczyliśmy całkowicie rozbity czołg, przy którym leżały ciała czterech czy pięciu żołnierzy. Wszystko to sprawiało ponure wrażenie. Musieliśmy iść rowem, brnąć w wodzie, ponieważ była już odwilż. W drucianym koszu na zmianę niesiono małą Jadzię, która trzymała się czerwonymi od zimna rączkami i spoglądała szeroko otwartymi oczkami na ten dziwny zapewne dla dziecka świat, zapominając nawet o płaczu. Żołnierze w przejeżdżających samochodach coś do nas krzyczeli, widać było, że szczególnie interesowała ich nasza pasażerka z kosza. Któryś tam nawet coś jej rzucił, ale gdzieżby w takim zamieszaniu można było to podnieść? Cała droga była tak uciążliwa.

Wreszcie dotarliśmy do Motyla. Był to folwark i młyn. Z zabudowań mieszkalnych – tylko czworaki. Na szczęście ciocię znano tam dobrze, przecież przez całą wojnę pracowała w młynie. Zaraz w pierwszym domu otrzymaliśmy kwatery. Największy pokój zajmował pułkownik sowiecki, podobno dowódca dywizjonu katiusz, które stały na pobliskim polu. Mały pokoik zajmowaliśmy my, w sumie siedem osób, ciocia bowiem znalazła sobie w pobliżu jakieś lokum, gdzie tylko sypiała, a cały dzień spędzała z nami. W kuchence rezydowała właścicielka mieszkania. W ciągu dnia jakiś żołnierz gotował posiłki pułkownikowi.

Zaczynaliśmy „uczyć się” Rosjan. Już na pierwszy rzut oka jasne było, że żaden schemat tu się nie sprawdzi. Pułkownik był człowiekiem zamkniętym w sobie, mało się odzywał, cały pokój miał wyklejony afiszami obrazującymi zbrodnie Niemców w Rosji. Komuś zwierzył się, że stracił matkę, żonę i małą córeczkę. Z zawodu był nauczycielem. Żołnierze bali się go jak ognia. Każdy, kto wsunął głowę w szparę drzwi z tradycyjnym „można?”, ujrawszy go, znikał natychmiast. Jego kucharz, kierowca i ordynans w jednej osobie starał się być niezwykle potulny i uprzejmy, ale pewnej nocy nasza gospodyni weszła do nas do pokoju i nie chciała wracać do siebie. Mojej mamie powiedziała, że żołnierz ten krzątał się koło kotliny, niby coś pichcił dla swego szefa, ale kiedy ona ze zmęczenia zasnęła na swym legowisku pod stołem, zaczął manipulować koło jej nogi. Rano przyszedł, poprosił, żeby wracała do kuchni i nie bała się, gdyż on tylko czegoś szukał, nie chciał zrobić jej żadnej krzywdy.

Ja także miałem przygodę. Bardzo pragnąłem uruchomić daną mi przez czołgistę zapalniczkę. W naiwności swojej poprosiłem w Motylu kierowcę rosyjskiego o trochę benzyny, sądząc, że nada się do tego zwykłe paliwo silnikowe. Bardzo chętnie się zgodził, ale postanowił sam napełnić zapalniczkę i się ulotnił. Zacząłem go szukać i następnego dnia znalazłem. Poproszony o zwrot, najpierw tłumaczył mi, że zapalniczka jest *trofiejna*¹³⁰, zatem należy się jemu. Kiedy powiedziałem, że poskarżę się oficerowi, nic nie mówiąc, poszedł do szoferki. Myślałem, że po zapalniczkę, ale wyszedł z pepeszą. Na dalszy ciąg nie czekałem.

Po raz pierwszy w życiu zetknąłem się wtedy ze zjawiskiem gwałtu seksualnego. Właściwie każda kobieta, nie wyłączając nieletnich dziewcząt i starszych kobiet, była na to narażona. Wypadki takie zdarzały się nie tylko na terenach niemieckich, gdzie były nagminne, ale także u nas¹³¹. Dopóki mieszkał obok pułkownik, nic nikomu nie groziło, ale po trzech dniach ruszył on ze swym wojskiem dalej. Nie wiem już kto, chyba moja ciocia, pytała go, jak się obronić przed złą przygodą? Potwierdził, że dyscyplina w wojsku jest pod tym względem słaba, gdyż wielu jest maruderów. Poradził, by kobiety nie stroiły się i udawały starsze niż są, a w końcu dał nam kartę z wykaligrafowanym po rosyjsku napisem: tyfus. Mieliśmy mieć ją zawsze na drzwiach. Rzeczywiście pomagało. Raz tylko dwóch weszło, żeby się przekonać, gdzie są chore osoby. Ponieważ jedna z moich sióstr i nasza sąsiadka leżały okutane w łóżku, zaraz się wycofali.

Nasz pobyt w Motylu trwał około tygodnia. Najpierw ktoś poszedł na zwiady i przekonał się, że w Pruszczu życie toczy się normalnie. Natychmiast postanowiliśmy wracać. Akurat jechał samochód wojskowy, a kierowca, wyjątkowo uczciwy człowiek, bezinteresownie ofiarował się nas podwieźć. Kobiety trochę się bały, bo stale podkreślał, że to zakazane, ale on mimo wszystko nam współczuje, bo nas *giermancy* prześladowali. Jeszcze jedna rzecz, której się nauczyliśmy – właściwie nauczyły się panie, bo przecież mężczyzn nie było, w naszym towarzystwie był jeden stary człowiek i dwóch wyrostków – to umiejętnie kłamać. Pierwsze pytanie Rosjan brzmiało zazwyczaj:

– *A gdzie mąż?*¹³²

¹³⁰ Ros. zdobyczna.

¹³¹ Gwałty żołnierzy sowieckich na kobietach w czasie ofensywy sowieckiej w 1945 przybrały masowy charakter; ich brutalność i natężenie zwiększały się wraz ze zbliżaniem się do przedwojennej granicy polsko-niemieckiej.

¹³² Ros. Gdzie jest mąż?

Nie można było powiedzieć, że zabity czy nieobecny. Trzeba było zawsze mówić, że pracuje i zaraz przyjdzie. Kiedy już byliśmy w Pruszczu, znalazł się jeden taki, który o różnych porach dnia przychodził i pytał sąsiadkę o męża. Dziwił się, że go nigdy nie ma i że tak długo pracuje.

Po powrocie do mieszkania znaleźliśmy je całkowicie ogołocone, podobnie ciocia swój domek. Zresztą dom, w którym mieszkaliśmy, pełnił przez pewien czas, jak już nadmieniałem, funkcję szpitala wojskowego. Współczuć trzeba było rannym żołnierzom, którzy na słocie przed domem czekali na opatrzenie, niekiedy na operację, siedząc na ziemi, niekiedy śpiąc po prostu w błocie. Operowano na przewróconych szafach odzieżowych. Były to niekiedy operacje poważne, gdyż zdarzało się, że wynoszono i gdzieś zagrzebywano kończyny.

W jedynym pokoju, naszym wojennym mieszkaniu, przebywało jedenaście osób, w tym trzy młode dziewczyny. Moja matka ustawiła w rogu szafę odzieżową w ten sposób, że za nią był trójkąt wolnej przestrzeni, a wnęka okienna z jednej strony pozwalała się tam szybko wślizgnąć. Podłogę w tym miejscu wyścielono kawałkiem materaca. Drzwi wejściowe do pokoju były zawsze założone stertą dwóch lub trzech sienników, które trzeba było usuwać, gdy ktoś chciał wejść. Jeśli byli to żołnierze, usuwanie trwało tak długo, aż dziewczęta znikły za szafą. Słaba to była kryjówka, ale ważne, że skuteczna. Swoją drogą na krótki czas. Niektórzy bystrzej przychodzili pytać:

– *A gdzie doczki?*¹³³

Bo przecież w ciągu dnia niekiedy je widzieli. Moja mama miała, jej zdaniem, bardzo chytrą odpowiedź:

– *Doczki poszły do wujka pod lasem.*

Nawiedzał nas często pewien młody żołnierz, ponieważ jego samochód, salonka *komandira*¹³⁴, stał w podwórzu. Kiedy matka i jemu zaserwowała takie wytłumaczenie nieobecności dziewcząt, roześmiał się, poklepał ją po plecach i powiedział:

– Dobrze, mów tak, ale nie chciej, bym w to wierzył. Ja twoim córkom nic złego nie zrobię, ot, chcę pogadać jak młody z młodymi, ale przed innymi strzeż.

Rzeczywiście dobry to był chłopak, choć mocno pił. Odwiedzał nas często, a kiedyś wyznał mamie, że podoba mu się moja siostra Krysia i przychodzi, żeby na nią popatrzeć. Obiecał, że gdy będzie wracał z Berlina, to wstąpi, poprosi

¹³³ Ros. Gdzie są córki?

¹³⁴ Ros. dowódca.

*mamaszę*¹³⁵ o jej rękę i zawiezie Krysię do Moskwy, skąd pochodził. Zapewniał, że ma skończone liceum, że rodzice jego są bardzo porządnymi ludźmi i będą się cieszyć, że on będzie miał taką żonę. Matka śmiała się i mówiła mu nieraz:

– Wołodia, ale ty pijesz, a ja takiego zięcia nie chcę.

Zarzekął się, że po wojnie nie ruszy wódki. Mało z tego wszystkiego rozumiałem, ale chodziło mi po głowie, że jeśli on tak interesuje się dziewczynami, to jaki z niego żołnierz? No cóż, miało się te niecałe 14 lat. W sumie był to dobry chłopak. Obawialiśmy się Rosjan, on jednak wzbudzał ogólną sympatię i chętnie widzieliśmy go u siebie. Takich *bojcow*¹³⁶ można było spotkać częściej, choć raczej były to wyjątki.

Następnego dnia po naszym powrocie, dość późnym wieczorem – jeszcze kryjówka za szafą nie była gotowa – posłyszeliśmy tupot nóg na schodach. Do pokoju weszło może czterech, może pięciu oficerów, jak się okazało, od majora do pułkownika. Zapytali grzecznie, czy mogą na trochę się przysiąść, bo nad ranem idą do walki.

– Ciasno tu u was – stwierdzili – ale nam to nie przeszkadza, chcemy pobyc między ludźmi.

Jeden wyszedł i po chwili przyniósł z kuchni polowej pojemnik gotowanego ryżu i ogromny kawał gotowanej wołowiny. Wszystko dla nas. Sami kazali zaparzyć herbaty, którą oczywiście przynieśli ze sobą. Zaczęła się łamana rozmowa. Jeden z nich mówił trochę po polsku, twierdził, że nazywa się Sienkiewicz i jest krewnym tego *pisatiela*¹³⁷. Oczywiście nikt mu nie wierzył. Inni zaczęli nas wypytywać, jak to było w czasie wojny, czy straciliśmy kogoś. Matka powiedziała, że nasz ojciec najpewniej został zabity. Kiwali głowami. Wreszcie jeden, zdaje się najwyższy rangą, zapytał:

– A czego spodziewacie się teraz?

Ktoś rzucił:

– Będzie znowu Polska, wolność.

– Tak, tak – powiedział ten oficer. – Jest już Polska.

Wyciągnął gazetę polską, chyba „Żołnierza Wolności”¹³⁸ czy coś w tym guście, oraz 20 zł, położył to przed nami i oświadczył, że to dar dla nas. Taki banknot otrzymał każdy.

¹³⁵ Ros. mama.

¹³⁶ Ros. żołnierz.

¹³⁷ Ros. pisarz.

¹³⁸ „Żołnierz Wolności” – dziennik ludowego Wojska Polskiego wydawany w latach 1943–1991. Pismo założone z inicjatywy Związku Patriotów Polskich na potrzeby propagandowe formującej się 1. Dywizji Piechoty im. Tadeusza Kościuszki. Pierwszy numer ukazał się 12 VI 1943. W latach 1945–1950 był

– A więc – powiada – jest Polska, to znaczy *prawicielstwo polskoje, ludi ruskije*¹³⁹.
Inny dodał:

– *Nu Jewrejew tożę*¹⁴⁰.

Nikt do końca nie rozumiał, co mają na myśli. Ten najstarszy ciągnął dalej, mniej więcej w ten sposób:

– Mielicie ziemię, nie będziecie jej mieć, kołchoz robią. Mielicie kościół, nie będzie, bo to burżuazyjny przeżytek. Mielicie swobodę chodzić, gdzie się podoba, a teraz władza pozwoli albo i nie. Oto wasz raj, taki jak u nas, a u nas *oczeń płocho*¹⁴¹.

Inni słuchali i potakiwali, uśmiechając się smętnie. Któryś nie chciał być gorszy i też nas pocieszał:

– O – pokazał – u was jakie *stancy*¹⁴². Miejskie, dostatnie, a u nas ludzie w ziemiankach żyją i zadowoleni, jeśli się nikt ich nie czepia.

Tak toczyła się rozmowa i rozumieliśmy coraz lepiej, o czym oni mówią. Nie wiem jednak, czy ktokolwiek wierzył, że tak się stanie. Gdzieś około godz. 4.00–5.00 przyszedł po nich żołnierz, zabrali się więc i poszli. Jeden cofnął się już z klatki schodowej i powiedział po cichu:

– Ja wiem, że Polacy to nie komuniści, tak jak i my nie jesteśmy, ale jeśli komuś powtórzycie, co słyszeliście, to wrócimy i...

Zrobił przy tym wymowny gest. Dość szybko zatem uświadomiono nas co do rozkoszy komunizmu¹⁴³. Zaraz też praktycznie usiłowano nas wdrażać w obowiązki wobec niego. Komendant placu, jakiś Kozak, zarządził szarwark¹⁴⁴. Kobiety, jeśli szły, to tylko te najstarsze. Zatem wyrostki i starsi panowie. Szarwark polegał na dojeniu krów, których całe stada przepędzano w kierunku wschodnim. Mleko, ponieważ było sowieckie, nie mogło być oddawane ludziom, a to, którego nie zużyli sowieci, musiało być wylane. Oczywiście nie wylano nawet litra, bo w miejscu udoju stał tłum z naczyniami i mimo grózb koniuchów (tak nazywaliśmy tych ruskich kowbojów) ludzie zabierali nam udojone mleko. My, dojarze, rozkładaliśmy ręce na znak, że boimy się rozwścieczonych kobiet.

wydawany jako „Polska Zbrojna”, by następnie powrócić do pierwotnej nazwy. Oprócz problematyki wojskowej prezentował aktualne stanowisko partii komunistycznej w Polsce. Po wydarzeniach Marca 1968 pismo uważano za organ betonu partyjnego.

¹³⁹ Ros. rząd polski, ludzie rosyjscy.

¹⁴⁰ Ros. No i Żydów także.

¹⁴¹ Ros. bardzo źle.

¹⁴² Ros. mieszkania, domy.

¹⁴³ Nawiązanie do ironicznego określenia używanego m.in. przez Leopolda Tyrmanda.

¹⁴⁴ Przymusowe świadczenie w postaci pracy fizycznej, np. budowy dróg, mostów.

Innym rodzajem szarwarku było usuwanie śladów wojny, na ile było to w naszej mocy. Polegało to na przykład na wyciąganiu hakami resztek popalonych i rozerwanych ciał ze spalonych czołgów, ale to było sporadyczne. Krowiarze natomiast umyślili kiedyś, że mamy w majątku Szewsa na wybudowaniu wyrzucać z obór nawóz, grzbiety krów bowiem prawie sięgały sufitu. Nie wiem dlaczego, ale wtedy zapędzono do pracy także sporo młodszych kobiet i dziewcząt. Było nas przynajmniej 20 osób. Przez cały dzień ciężkiej pracy nie dostaliśmy ani jedzenia, ani picia. Kiedy domagaliśmy się przerwy i posiłku, jeden z pilnujących nas obrzydliwych typów, śmiejąc się znacząco, powiedział, że jeść dostaną tylko kobiety, ale po pracy, ponieważ one pójdą na *gulianie*¹⁴⁵, a my do piwnicy. Fakt, że się z tym zdradził, był opatrnościowy. Uradzono zaraz, że zajmiemy go czymkolwiek, a tymczasem jeden chłopak wymknie się przez gnojownik i popędzi do wsi, by zawiadomić ludzi, co tu może nastąpić.

Faktycznie zmobilizował niemalże całą wioskę. Wszyscy poszli pod kwaterę komendanta placu i domagali się, by nas natychmiast uwolnił. Jakoś się nie kwapił, wreszcie chyba telefonicznie zrugął tych naszych koniuchów, a po nas wysłał milicjanta, miejscowego chłopaka, którego spotkaliśmy, gdy już cali i zdrowi wracaliśmy do domu.

W czasie, kiedy we wsi gotowano nam odsiecz, odmówiliśmy dalszej pracy. Żądaliśmy, by przyszedł sierżant dowodzący krowiarzami. W oczekiwaniu na niego siedzieliśmy z długimi widłami w bramie obory, dając do zrozumienia, do czego narzędzia te mogą posłużyć. Rozmowy trwały długo i dopiero kiedy wszyscy żołnierze poszli do dworu, zdecydowaliśmy się opuścić oborę położoną w pewnej od niego odległości i co sił w nogach ruszyliśmy ku wsi. Byliśmy w szczerym polu, w dodatku pokrytym topniejącym śniegiem. Krowiarze z daleka straszili nas wycelowanymi karabinami, a jeden demonstracyjnie strzelał z pepeszy do gołębnika. Dotarliśmy jednak szczęśliwie do wsi, po drodze minęliśmy jadącego na rowerze milicjanta.

Niedługo po wkroczeniu Rosjan, kiedy już powołano milicję złożoną z miejscowych wolontariuszy¹⁴⁶ (kto ją powołał, trudno powiedzieć, chyba władze wojskowe), polecono stawić się koło szkoły wszystkim mężczyznom, którzy mieli

¹⁴⁵ Ros. spacer, zabawa, hulanie.

¹⁴⁶ Milicja Obywatelska (MO) – formacja mundurowa o charakterze policyjnym, powstająca od lipca 1944 na ziemiach polskich zdobytych przez wojska sowieckie. Formalnie powołano ją dekretem PKWN z 7 X 1944. Jej głównym zadaniem było utrzymanie porządku społecznego. Kadre stanowili żołnierze GL/AL oraz działacze komunistyczni. Jej pierwszym dowódcą był Franciszek Jóźwiak. Rozwiązana w 1990 i przekształcona w Policję.

niemiecką volkslistę, i oczywiście Niemcom. Z tych ostatnich był tylko wspomniany już Teske. Wybrano kilka osób, według jakiego klucza, też trudno powiedzieć, i oświadczono im, że jako obywatele niemieccy będą czasowo internowani. Zdaje mi się, że komuś udało się uciec i w ten sposób uniknąć być może najgorszego. Marek Sass¹⁴⁷ pisze w swej książce poświęconej ks. Józefowi Bruskiemu¹⁴⁸, że deportowano wówczas do ZSRS siedem osób. Liczba tych, którzy podlegali wówczas wspomnianej rejestracji, z pewnością była większa.

Jeden przypadek był wszakże całkowicie odosobniony. Mieszkająca z konieczności w naszym pokoju sąsiadka z dwojgiem dzieci została pewnego dnia zawiadomiona przez oficera sowieckiego, że ma się przygotować do podróży, gdyż jako Niemka, której mąż jest w Wehrmachcie, podlega internowaniu. Moja matka, na ogół unikająca wszelkich drastycznych sprzeczek, pokazała oficerowi swoją kenkartę i oświadczyła, że kobieta ta jest Polką, niemówiącą nawet po niemiecku (co było prawdą), a mąż został przymusowo wcielony do wojska niemieckiego. Rodzina ta wspierała wielu Polaków, między innymi nas. Matka dodała, że zadenuncjowali sąsiadkę właściciele domu, którzy sami mieli volkslistę, ale za nieodebranie ausweisu niemieckiego w obawie, by syn nie musiał iść do wojska, trafili na kilka tygodni przed wyzwoleniem do obozu przejściowego w Potulicach. Rosjanin rozumiał, co matka mówiła. Nie zaprzeczył też, gdy chodzi o źródło denuncjacji, ale nie mógł pojąć, jak można było coś takiego zrobić. Przyznał otwarcie, że mała dziewczynka, jeszcze chyba nawet nie dwuletnia, nie przeżyłaby. Obiecał porozmawiać ze swym zwierzchnikiem i przyjść ponownie. Na wszelki wypadek radził się spakować. Matka na to, że w takim razie spakujemy się także my i pójdziemy razem z nią. Nie wiedzieliśmy wtedy jeszcze, co oznacza niebieskie denko czapki, jakie nosili funkcjonariusze GPU¹⁴⁹. Taką czapkę miał właśnie wspomniany kapitan. Przyszedł ponownie dopiero wieczorem, ale z wesołą miną. Poklepał matkę po ramieniu i powiedział, że dobrze zrobiła, interweniując. Posiedział trochę i ponarzekał, że Polacy jedni na drugich donoszą

¹⁴⁷ Marek Sass (ur. 1969), historyk-regionalista, doktor nauk humanistycznych. Autor wielu prac dotyczących pogranicza borawicko-krajeńskiego.

¹⁴⁸ Zob. M. Sass, *Ks. kan. Józef Bruski, proboszcz z Pruszcza. Życie i dzieło*, Bydgoszcz 2003, s. 36. Józef Bruski (1912–1984), ksiądz diecezji chełmińskiej. Święcenia kapłańskie 1937. Proboszcz parafii w Pruszczu.

¹⁴⁹ Państwowy Zarząd Polityczny przy Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej (GPU – Gosudarstwennoje Politiczeskoje Uprawlieni-je) – państwowa policja polityczna w RFSSR utworzona 6 II 1922 z przekształcenia Czeki. W listopadzie 1923 przeformowana w Zjednoczony Państwowy Zarząd Polityczny (OGPU), którego oddziały w republikach nosiły nazwę GPU.

i stąd tyle nieszczęścia. Z pewnością miał rację, bo wielu ludzi wysłano wtedy w ten sposób do Rosji. Znaczna ich część nie wróciła.

Nasuwa się pewne spostrzeżenie. Otóż gdyby Niemiec miał rozkaz zabrać kogoś, aresztować czy dostarczyć dokądkolwiek, nic by go przed tym nie powstrzymało, nawet gdyby sam delikwentowi szczerze współczuł. Enkawudzista postąpił inaczej. GPU to była policja polityczna, takie polowe gestapo, która w określonych okolicznościach miała także władzę nad cywilami w zdobytym kraju. Głównie zajmowała się ludźmi sowieckimi, innymi słowy: wojskiem, dlatego mylnie sądzono, że jest to tylko żandarmeria wojskowa. Owszem, taką funkcję GPU także pełniło. Po pewnym czasie zauważyliśmy, że żołnierze bali się jak ognia tych z niebieskimi denkami. Ci zaś byli lepiej umundurowani, niekiedy bez dystynkcji i działali pojedynczo albo w małych zespołach. Tak to widzieliśmy z zewnątrz. Oficerowie przeżyli się przed nimi, także przed tymi bez dystynkcji.

Wnioski wyciągaliśmy na podstawie własnych obserwacji, gdyż Rosjanie, wyjąwszy wspomnianych oficerów, albo w ogóle unikali rozmów z nami, albo zachwalali wszystko, co rosyjskie. Na naszym podwórku stał zaparkowany samochód z agregatem prądotwórczym, który dostarczał prąd do prowizorycznego lazaretu. Pamiętam, jak jeden z kierowców tłumaczył nam, że niebieski napis „USA” na podwoziu oznacza „Ubił Stalin Adolfa”. Nawet my wtedy wiedzieliśmy, co litery te oznaczają. Ktoś mu powiedział, że rzecz jest amerykańska, ale on zaprzeczał gwałtownie i chciał na potwierdzenie swych słów sprowadzić nam oficera.

Koniec naszej epopei prusieckiej wiązał się z opuszczeniem mieszkania, które zajmowaliśmy w domu pani Głowczewskiej. Był to jeden pokój bez wygod, których w owym czasie nie znano na wsiach w ogóle. Po chwilowym dobrym współżyciu z właścicielką nastąpił czas permanentnych nieporozumień. Moja matka nie potrafiła się wyklócać, dlatego często widziałem ją płaczącą. Nie wiedziałem dlaczego, ale z biegiem czasu zrozumiałem, że warunkiem zgody z właścicielką była nieprzyjaźń z jej wrogami. Za takowych uważała wszystkich swoich lokatorów, w sumie cztery rodziny łącznie z nami. Mogliśmy w ciągu dnia przebywać w domu cioci Toli na drugim końcu wsi, ale okazja do wymówek w rodzaju „idźcie srać do Motyla” (miejsce pracy cioci) była zawsze. Bywały znacznie bardziej dosadne wyrażenia, nie brakowało więc powodów do udręki. Fakt ten znacznie osładzał nam rozstanie z Pruszcem, z którym w czasie okupacji się zżyliśmy, a może raczej ja. Matka i siostry, które wyczuwały mój nastrój, wprost nie mogły wyjść ze zdumienia, że tak sobie to miejsce upodobałem.

Dziś, kiedy sobie pewne sprawy usiłuję uporządkować, wydaje mi się, że po prostu bałem się zmiany, choć z drugiej strony podświadomie jej pragnąłem. Może też żal mi było opuszczać piękne Bory Tucholskie, z którymi wiązało się tak wiele wspomnień. To były tereny walk z 1939 r., a w lesie znajdowały się mogiły żołnierskie – nawiedzane w czasie okupacji, przystrajane polnymi kwiatami. Można też było znaleźć części wyposażenia wojskowego. Słowem, miejsce wielu tajemnic i niespodzianek. Zamiana tego na miasto, właściwie miasteczko, gdzie nic się nie działo, była wprost nie do pomyślenia. Inna sprawa, może najbardziej odstręczająca od wyjazdu, to były stałe utyskiwania matki i siostr, że wyrasta ze mnie parobek, a powinienem się uczyć. Trudno mi było w tym wszystkim się połapać. Słowem, jakość okupacyjnej edukacji dawała znać o sobie i dopiero znacznie później doszedłem do wniosku, że gdyby nie konieczność opuszczenia wsi, znalazłbym się na mieliźnie. Kiedy po latach, już jako ksiądz, odwiedziłem Pruszcz, pewna pani, dobrze mi znana z czasów okupacji, zagadnęła naiwnie:

– Ach, popatrz tylko, co z ciebie wyrosło, a myślałam, że będziesz u Pasternackich przy koniach.

Tak mnie po prostu postrzegano.

Do Nakła

Pod koniec lutego otrzymaliśmy przepustkę, z którą mogliśmy się udać do Nakła nad Notecią. Nie mieliśmy ojca, domu ani żadnej własności, a tam byli przynajmniej krewni – siostra mojej mamy, Melania, i jej rodzina – Trybuszewscy. Najpilniejszą sprawą było znalezienie jakiejś szkoły. Ciocię Teodoziję spotkało nieszczęście. Gdy uciekała przez pole przed goniącymi ją Rosjanami, wpadła do rowu, na którym załamał się lód. Cała zmoczona, dopiero po pewnym czasie dotarła do domu. Za kilka dni poczuła się źle i odtąd już słabła coraz bardziej. Lekarze stwierdzili zapalenie czy gruźlicę jelit. Właściwie ani pewnego rozpoznania, ani tym bardziej leczenia być nie mogło, gdyż nie tylko brakowało odpowiednich lekarzy – jeszcze większy był niedostatek leków. Właściwie poza najkonieczniejszymi nie było ich w ogóle, zwłaszcza stosowanej już wówczas penicyliny. Zmarła w październiku 1945 r. w Nakle, dokąd się przeniosła, żeby być z nami. Jej śmierć to był kolejny cios, niestety nie ostatni.

Chciałbym poświęcić kilka słów naszej podróży, gdyż dziś już mało jest ludzi, którzy potrafią sobie taką odyseję wyobrazić. Do Bydgoszczy można było się dostać tylko transportem wojskowym, zatem sowiecką ciężarówką. Można było

stać na drodze i próbować zatrzymać samochód, ale było to ryzykowne i nigdy nie wiadomo było, czego taki kierowca mógł zażądać. Najlepiej było umówić się z kierowcą, którego się znało, a to oznaczało, że trzeba szukać go na miejscu. Okazja mogła się szybko nie nadarzyć.

W jaki sposób dostaliśmy się na samochód, tego nie umiem powiedzieć, po prostu się tym nie interesowałem. Wiem tylko, że podróż odbywała się z przygodami. Najpierw była po drodze awaria samochodu, następnie targi z szoferem, a wreszcie musiał on jeszcze gdzieś wstąpić i coś załatwić. Do oddalonej o 48 km Bydgoszczy jechaliśmy bodajże przez cały dzień.

Z Bydgoszczy (gdzie ktoś miał nas oczekiwać, ale się nie zjawił, chyba przez nieporozumienie, a może nie mógł nas odszukać na zatłoczonym dworcu?) mieliśmy jechać koleją do Nakła nad Notecią. Odcinek był krótki, niewiele ponad 30 km, ale pociągi nie kursowały. Głównie szły transporty wojenne, a niekiedy jakiś kombinowany skład cywilny, który ogłaszano nagle, bez uprzedzenia. Ludzie koczowali na stacji i kiedy ktoś krzyknął: – Pociąg w kierunku Gdyni (lub innej miejscowości) – wszyscy się zrywali i biegli na peron, względnie na tory, gdzie stały wagony. Często tych, którzy już wsiedli, wypraszano, bo to wcale nie ten pociąg. Niekiedy z powodu przepuszczania transportu wojskowego taki skład stał dzień lub dłużej na torach, a nikt nie myślał nawet o opuszczaniu wagonów. Trafiliśmy na stację, gdzie w holu głównym na posadzkach palono ogniska i warzono strawę. Ludzie siedzieli ciasno na swych tobołach, bo mnóstwo chętnych tylko czyhało, żeby coś ukraść. Co jakiś czas we dnie i w nocy chodziły patrole sowieckie. Sowietci świecili w oczy, niby szukając ukrywających się Niemców, a głównie wypatrując dziewcząt lub młodszych kobiet. Często nachalnie zapraszali na czaj i jeszcze inne lepsze rzeczy, a ustępowali dopiero, kiedy mężczyźni zdecydowanie wskazywali im drogę odwrotu. Niekiedy grozili, że wrócą w większej gromadzie.

Całą noc spędziliśmy na dworcu. Jeden alarm zapowiadający pociąg w kierunku Piły, a więc przez Nakło, okazał się fałszywy. Nie zdążyliśmy nawet wyjść na peron, a już cała jego powierzchnia była zapchana ludźmi. To dało nam przedsmak kłopotów, jakie towarzyszyć mogą naszemu „zawagonowaniu się”. Na szczęście nasz bagaż to tylko worek, walizka i węzełek, a było nas cztery osoby, więc przynajmniej z tym kłopotu nie było.

Rano zaczął padać śnieg z deszczem, było przeraźliwie zimno. Nagle znowu rozeszła się pogłoska, że na taki a taki peron wjedzie pociąg w kierunku Piły. Mało kto się ruszył, ale my jakoś zareagowaliśmy. Już wydawało się, że znowu

ktoś zrobił sobie kawę, a tu wtaczają się wagony, częściowo zajęte, ale kilka było wolnych – z tym że były to odkryte lory z ażurowymi bokami, sięgającymi mniej więcej na wysokość średniego mężczyzny. Takimi wagonami przewożono świnie i bydło. Nie wahaliśmy się. Ktoś dopomógł i byliśmy w środku. Nikt nie chciał stać przy ścianie wagonu, bo wiało i zaczął deszcz ze śniegiem. Pociąg, o dziwo, ruszył natychmiast i w ciągu godziny byliśmy na miejscu.

Było to jakoś późnym popołudniem albo nawet wieczorem, bo wiem, że w mroku – światła w mieście jeszcze nie było, zresztą trwała wojna i obowiązywało zaciemnienie. Brodziliśmy w kałużach, zmierzając na ul. Staszica (w czasie wojny Adolf-Hitlerstrasse) do krewnych, jedynego miejsca, w którym mieliśmy nadzieję się zatrzymać. Rzecz jasna nie byli oni uprzedzeni, bo ani poczta, ani inne środki komunikacji nie działały. W ogóle ludzie szukali się po omacku, umieszczając zaawizowania o swoim pobycie gdzie się dało. Najpewniejsze jednak było lokum znane sprzed wojny. O takim myśleliśmy, gdy chodzi o naszych krewnych z Nakła. Ciocia jakimiś sobie znanymi drogami dowiedziała się, że przeżyli.

Wszystko od nowa w „wolnej” Polsce

W Nakle okazało się wszakże, że dom, w którym mieszkali Trybuszewscy, spalił się wskutek działań wojennych. Zajęli oni przy ul. Mickiewicza willę Niemca, Wiesnera, który uszedł przed frontem. Zresztą zjawili się tam także inni mieszkańcy, m.in. rodzina z Równego, ale to znacznie później. Krewni zajmowali parter, a my jeden z pięciu pokoi, nie mieliśmy dostępu do kuchni ani łazienki, która zresztą służyła także innym celom. Było ciasno, ale po warunkach okupacyjnych nawet ten kąt wydawał się luksusem. Całe szczęście, że ustęp był osobno, nie z łazienką, i mieścił się poza obrębem mieszkania, w korytarzu wejściowym.

Nasze nakielskie zakwaterowanie wtedy właściwie nie różniło się zbyt od okupacyjnego. Gotowało się w pokoju, w którym się gnieździliśmy we czwórkę, a nawet przez pewien czas w piątkę, bo chora ciocia Tola ostatnie tygodnie przeleżała u nas. Nie mogłem zrozumieć, że nie znalazła miejsca u swej drugiej siostry, zajmującej w tym mieszkaniu wraz z rodziną dwa lub trzy pomieszczenia. Miejsca nie mieli też zbyt wiele, ale w porównaniu z nami była to przestrzeń znaczna. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby, a my mieliśmy wówczas wszystko darowane i chętnie nam o tym przypominano. Przy tym miało się wrażenie, że jesteście uciążliwymi gośćmi, bo w końcu każdy powinien jakoś sam się urządzić, a my, tzn. głównie matka, nie mieliśmy żadnej siły przebicia. To był naprawdę trudny czas.

Matka nie nadawała się do pracy zawodowej. Wprawdzie przez pewien czas przed wojną była zatrudniona na pocztach, ale zawsze chorowała na serce i teraz nie miała odwagi podjąć pracy. Najstarsza siostra, Gabrysia, znalazła zajęcie w centrali telefonicznej, później przeszła do ZUS, najpierw w Nakle, potem w Bydgoszczy, gdzie pracowała aż do momentu, kiedy – ciężko chora na białaczkę – w 1959 r. lub rok później musiała przejść na rentę chorobową. (Zmarła 9 stycznia 1962 r.) Wczesną jesienią 1945 r. Gabrysia zachorowała na tyfus, wówczas powszechnie panujący. Jakoś wyszła z tego, ale białaczka, która ujawniła się później, z pewnością była pozostałością tamtej choroby. Bytowo byliśmy zdani na to, co zarabiała – renta, jaką matka dostała po ojcu, była symboliczna. O ile sobie przypominam, przez lata całe było to 108 zł. Tę kwotę można, jeśli chodzi o jej moc nabywczą, porównać z taką sumą w 2014 r.

Młodsza siostra, Krystyna (ur. 1928), miała się uczyć. Zaczęła chodzić do szkoły doksztalcającej, po której mogła podjąć dalszą naukę w gimnazjum lub innej szkole średniej, z tym że przerabiałaby skrócony kurs, jak zresztą wielu czyniło. Niestety, 13 listopada 1945 r. zabrał ją tyfus, wtedy, jak wspomniałem, choroba grasująca na kształt epidemii. Miesiąc wcześniej, 6 października, odeszła ciocia Teodozja.

W czasie, kiedy zmarła moja siostra Krysia, dostaliśmy wiadomość, że ekshumują rozstrzelanych pod Igłami k. Chojnic i że należy pojechać, by zidentyfikować wykopane wraz ze szczątkami przedmioty, a tym samym swoich bliskich. Nikt oczywiście nie mógł pojechać. Ale kurtka z podbiciem z baranka należała do mojego ojca. Dowiedzieliśmy się tego z fragmentu dostarczonego nam protokołu. Szczątki ojca spoczęły prawdopodobnie wraz z innymi na cmentarzu parafialnym w Rytlu. Czy jednak na pewno? Tego nie dowiemy się już nigdy.

Po wielu latach, bodajże w końcu XX w. zjechałem na cmentarz w Rytlu. Z trudem odnalazłem grób ekshumowanych w Dolinie Śmierci. Odrapane obmurowanie i tablica, nawet krzyża nie było. Widać było, że nikt o to nie dbał. Mam wyrzuty sumienia, że nie znalazłem czasu, by lepiej zadbać o miejsce pochówku ojca, ale przypadł mi w udziale obowiązek sprawienia nagrobków na czterech grobach rodzinnych, chociaż dziadkowie mieli więcej wnuków. Czy jest to wystarczające wytłumaczenie? Tak zaniedbanego grobu pomordowanych przez Niemców Polaków, jak ten w Rytlu, nie spotkałem nigdzie. Smutne to i o czymś świadczy.

Początek nowej rzeczywistości w Nakle był zatem tragiczny. Nikt z nas nie miał siły przebicia, trudno też było liczyć na czyjąś pomoc. Ludzie bezwzględni i zapobiegliwi potrafili jakoś się urządzić, nam bieda zaglądała w oczy. Matka

otrzymała po ojcu mikroskopijną emeryturę, nazwaną tak z racji śmierci ojca z rąk okupanta. Gdyby nie praca siostry, po prostu nie mielibyśmy co jeść. Ubranie pochodziło, przynajmniej w moim wypadku, z różnych darowizn od litujących się dawnych znajomych. Były to rzeczy używane i często znoszone, ale przecież nie miałem się w co ubrać. Najsolidniejszą częścią mojej garderoby była damska bluzka w białą-czarną kratkę, znaleziona jeszcze w Pruszczu, gdzieś na polu. Tego samego pochodzenia były stare wojskowe buty i niemiecki płaszcz wojskowy, który trzeba było przerobić na płaszcz zimowy, co za darmo uczynił znajomy krawiec, pan Mroczek. Z trudem wbiłem się w stare ubranie, jeszcze z czasów okupacji, by pójść do pierwszej komunii świętej. Spodnie, ongiś granatowe, sprawiały wrażenie wyrudziałych kąpielówek, a między marynarką, której rękawy sięgały nieco poniżej łokci, i owymi spodniami wystawała koszula. Nie wiem, gdzie się podziało zdjęcie w tym ubraniu, a warto by je było zachować.

Pierwsza komunia takich maruderów jak ja, a było ich sporo, odbyła się w gimnazjalnym kościele św. Stanisława, przejętym przez katolików zborze ewangelickim¹⁵⁰. Kiedy wróciliśmy do domu, pierwszą rzeczą było zrzucenie ubrania i przywdzianie starych łachów. Matka bolała nad tym, bo wypada w taki dzień chodzić w odświętnym ubraniu. To prawda, ale jak można było w nim wytrzymać, skoro ramiona trzeba było mieć stale nieco uniesione w górę, tak piły rękawy pod pachami, a o nachyleniu się nawet nie mogło być mowy.

Byłem w tym czasie w jakimś nastroju naznaczonym z jednej strony rezygnacją, z drugiej buntem, gdyż względna samodzielność w czasie okupacji nagle zmieniła się w całkowitą bezradność. W dodatku nowym kolegom działo się o wiele lepiej, bo mieli ojców. Ubierali się jak inni, a więc nie odróżniali się, podczas gdy mój przyrodzivek wyraźnie odbiegał od reszty. Był albo prymitywny, bo szyty po domowemu, albo staroświecki, gdyż otrzymywałem od dobrych ludzi rzeczy sprzed kilku, a niekiedy kilkudziesięciu lat, niemodne i znoszone. W tamtych czasach modne były szerokie spodnie pokrywające czubek buta – to był szyk. Ja pierwsze długie spodnie otrzymałem w darze po jakimś dziadku, wąskie fajki, w których trudno było się pokazać w szkole, bo zaraz sypały się komentarze. Kiedy ociągałem się z ich przywdzianiem, spotykałem się z wymówkami mamy, że nie doceniam dobroci ludzi, którzy mnie obdarowali i tym podobne. Matka

¹⁵⁰ Kościół św. Stanisława w Nakle nad Notecią znajduje się przy ul. Skargi. Świątynię dla ewangelików wybudowano w 1895. W 1945 została przejęta i odbudowana ze zniszczeń wojennych przez katolików.

doskonale zdawała sobie sprawę z mojego niedostatku, toteż często popłakiwała, co czyniło nastrój w naszym mieszkaniu jeszcze cięższym do zniesienia. Odzienie jednak jest, jak postrzegam to nawet dziś, bardzo ważnym czynnikiem budującym samopoczucie człowieka. Dopiero dwa lata po wojnie, kiedy byłem harcerzem i mogłem już nosić mundur harcerski, ta kwestia przestała być dla mnie problemem. To było – oczywiście latem – świetne wyjście, gdyż mundur nosiło się z dumą i wszędzie, nie wyłączając szkoły.

Tak naprawdę, to mój żywot w wolnej Polsce rozpoczął się w momencie, kiedy przekroczyłem mury Państwowego Liceum i Gimnazjum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią¹⁵¹. Były to mury stare, pruskie, czerwone, powstałe z kontrybucji wyduszonej przez Bismarcka od pokonanej w 1870 r. Francji. W Nakle takich budynków było sporo, zwłaszcza należących do PKP, a także poczta i to nasze gimnazjum, ongiś męskie gimnazjum klasyczne.

Istniejące od 1876 r. męskie gimnazjum klasyczne miało renomę zarówno w czasach zaboru, jak i w okresie międzywojennym. Inna rzecz, że gimnazja w ogóle kiedyś miały zupełnie inny prestiż aniżeli dziś i bynajmniej nie chodzi o ich deprecjację wskutek ostatniej reformy. Właściwie, gdy pisze się „ostatniej”, nie wiadomo, którą ma się na myśli, gdyż od roku szkolnego 1949/1950 nieustannie reformowano szkolnictwo. Teraz, w III Rzeczypospolitej, zadaje mu się jedynie ostateczne ciosy.

W mieście takim jak Nakło gimnazjum i liceum, wypuszczające rokrocznie 20–30, a nawet więcej maturzystów, były kuźniami inteligencji. Nie wszyscy szli na dalsze studia. Ci, którzy pozostawali na miejscu i włączali się w życie zawodowe, mieli cenzus wykształcenia i nie chodzi tu tylko o papier, ale o solidną wiedzę i szerokie zainteresowania. Matura była pewną nobilitacją, stąd też była ona każdorazowo wydarzeniem nie tylko dla samych abiturientów i ich rodzin, lecz także dla bez mała całej społeczności miejskiej. Po zdanych egzaminach wczorajsi uczniowi na dobę przejmowali miasto. Urządzano imprezy, głównie na ulicach, obchodzono lokale, racząc się winem; niejeden wtedy po raz pierwszy na ulicy zapalił papierosa. Nigdy się to nie przydarzyło naszym damom, wtedy

¹⁵¹ I Liceum i Gimnazjum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią znajduje się przy ul. Gimnazjalnej. Powstało w 1862 jako gimnazjum pruskie. W 1920–1939 funkcjonowało jako Państwowe Gimnazjum im. Bolesława Krzywoustego. Po drugiej wojnie przekształcono je w liceum ogólnokształcące, przy którym działało również gimnazjum. Zob. szerzej: J. Znaniecka, *Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią*, Żnin 1989; *130 lat Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią*, red. B. Kasperkiewicz, Nakło nad Notecią 2006.

jeszcze bowiem miały one dla siebie sporo szacunku. Ludzie, nawet całkiem obcy, podchodzili do maturzystów bawiących się *sub iove*¹⁵², gratulowali, wypytywali o plany. Zwyczaj utrzymywał się nawet w pierwszych latach Polski ludowej, potem coraz bardziej zanikał, ograniczano się do balu maturalnego. Owszem, był taki i za moich czasów. Nudny i oficjalny, a tamto to spontaniczna zabawa, upust radości po harówce i niewątpliwym sukcesie.

Wybiegłem zbyt naprzód, a przecież trzeba *ab initio*, co jest jakby trochę za mgłą. Mam na myśli początek w Polsce wyzwolonej od Niemców (trudno mi pisać samo „wyzwolonej”, bez tego uzupełnienia). W księdze jubileuszowej na 120-lecie gimnazjum nakielskiego, wydanej w 1996 r.¹⁵³, nie ma historii tej szkoły. We wstępie zaznaczono, że jeszcze w czasie trwania wojny, w kwietniu 1945 r. przyjęto 260 uczniów. Tak z pewnością było, pamiętam bowiem, że było już dość ciepło, gdy rozpoczynaliśmy naukę. Zaraz w marcu, kiedy przybyliśmy do Nakła, matka powiedziała mi, że naukę zacznę w normalnym trybie, w przeciwieństwie do moich siostr, z których jedna po trzeciej klasie gimnazjum przedwojennego musiała, niestety, pracować, byśmy mieli utrzymanie, druga zaś chciała uczyć się w trybie przyśpieszonym, względnie wieczorowym. Miała wtedy niemal 18 lat. Wolałbym zacząć robić coś konkretnego, np. podjąć naukę w rzemiośle, co wtedy umożliwiałoby szybkie zdobycie intratnego zajęcia, ale zarówno matka, jak i siostry nie chciały o tym słyszeć.

– Niech chociaż jedno z nas się wykształci – mówiono mi. Cóż, kiedy moje siostry były zdolniejsze ode mnie, a mnie do nauki nie ciągnęło. W czasie okupacji w niej nie zasmakowałem, a nawyku sprzed wojny ówczesny drugoklasista nie miał. Dlatego też mało dbałem o egzamin wstępny do gimnazjum, który odbył się na przełomie marca i kwietnia. Matka i siostry błagały mnie, bym się uczył, ale nie było z czego i nie było z kim. Starsza siostra usiłowała mi coś tam wbić w głowę, ale tyle było innych atrakcji! Kompania kumpli w parku Strzelnicy (tak nazywano park i usytuowaną w nim strzelnicę), broń, zbierana tu i tam na poboju. Czego tam w sumie nie było? Co jakiś czas przytrafiało się nieszczęście z powodu rozerwanego granatu, nieopatrznego strzału. Tworzyły się domorośle armie, które walczyły ze sobą w pobliskiej Katarynce – lasku oddalonym od miasta bardziej niż park Strzelnicy. Nie powiem, bym gustował w „wojskach” takiego

¹⁵² *Lac. pod gołym niebem.*

¹⁵³ Chodzi o tom: *120 lat Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią*, red. B. Kasperkiewicz, Nakło nad Notecią 1996.

czy innego wodza, w środowisku moich kolegów wyśmiewano się bowiem z nich i szydzono. Może trochę z zazdrości, więcej chyba ze strachu przed rodzicami, którzy słusznie niepokoiли się tymi wyczynami. Najważniejszą rolę w temperowaniu tych niezmiernie głupich wybryków, naśladowujących toczącą się wojnę, odegrało jednak gimnazjum. Nie dlatego, że pochłaniało mój czas – tego miałem nawet w nadmiarze – ale z racji twardej dyscypliny, jaką odznaczały się ówczesne szkoły.

Warto dziś o tym przypomnieć, jako że według nowej pedagogiki pojęcie dyscypliny w szkołach nabrało znaczenia czysto teoretycznego. Nie chcę się zagłębiać w dociekanie racji, jakimi się kierowali i kierują reformatorzy systemu szkolnego, prowadzi to bowiem do wniosków mogących przerazić człowieka nawet najbardziej odpornego na zaskoczenia. Sam odczułem skutki reformy, która stopniowo, bodajże od 1950 r., obniżała poziom szkół średnich, zwłaszcza poprzez wprowadzenie zasady szkoły ogólnokształcącej, a następnie skrócenie czasu nauki do 4 lat. Mianowicie przeniesiono jeden rok do klas ósmych szkół podstawowych, a jeden po prostu skasowano. Uczęszczałem jeszcze do gimnazjum sześcioletniego, ale byliśmy królikami doświadczalnymi w zakresie modyfikacji programu, dlatego chodziłem do następujących klas: wstępnej, pierwszej, drugiej, dziewiątej, dziesiątej A1, dziesiątej i jedenastej. Mój rocznik poniósł stosunkowo niewielkie straty, kolejne ucierpiały bardziej, zarówno pod względem braków erudycyjnych, jak i metodologicznych. Dość raźnie zanikało pamięciowe opanowywanie pewnych partii materiału, a zastępowało je nie wiadomo co. Chodziło chyba o jakąś dedukcję na podstawie dyskursywnej analizy materiału, inaczej mówiąc – jak to wtedy dumnie brzmiało – uczenie się rozumowe. Jak gdyby poprzednie pokolenia jakąś inną częstką swego jestestwa zdobywały wiedzę. Skutek był jeden: maturzyści coraz mniej umieli. Tak już pozostało, a „postęp” w tej dziedzinie jest dziś jeszcze większy.

Co innego, gdy chodzi o dyscyplinę w szkole. Ta utrzymywała się przez długie lata powojenne. Nosiliśmy jeszcze mundurki, oczywiście ci, których było na to stać – mnie na przykład nie. Każdy jednak musiał nosić tarczę i to nie tylko w szkole, dlatego przy wejściu stał często dyżurny nauczyciel i podwładał tarcze na rękawach, badając, czy nie są na zatrzaskach. Częścią ubioru była też czapka uczniowska ze znacznikiem i kolorem stosownym dla danej grupy. Początkowo niebieskim dla gimnazjum, czerwonym dla liceum, potem – po reformach i zlikwidowaniu gimnazjum – już tylko czerwonym. Czapkę należało nosić obligatoryjnie. Obowiązywała też uczniów „godzina policyjna” i latem po godz. 21.00, a zimą po 20.00

nie wolno im było szlifować bruku. Uczeń zauważony o takiej porze musiał się tłumaczyć, a nawet musieli to czynić jego rodzice. Pomyśleć, że wielu z nas miało doświadczenia wojenne jak człowiek dorosły. Uczniowi nie wolno było chodzić na imprezy publiczne, na zabawy. Bez zgody szkoły nie mógł też działać w klubach sportowych. Uczennicom nie wolno było nosić trzewików na wysokim obcasie, malować się, kręcić włosów.

Kiedys historyczka, pani Eufemia Rudziejewska¹⁵⁴, popularnie zwana Femcią, poleciła dziewczynie mającej ondulację pójść zmyć włosy wodą i dopiero wrócić do szkoły, bo szkoła – twierdziła – nie jest salonem piękności ani salą balową. Było to dziewczę może już dwunastoletnie. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, by uznać takie postępowanie nauczycielki za uwłaczające godności ucznia. Tak stanowił regulamin szkoły i nie było dyskusji.

Uczeń strofowany przez nauczyciela za wykroczenie musiał go przeprosić, bo maturzysta, jak mówiono, to człowiek kulturalny, nie tylko wykształcony. Uczniowie przyłapani na paleniu papierosów w ubikacji, *notabene* położonej na dziedzińcu szkolnym, a nie w gmachu szkoły, musieli się gęsto tłumaczyć. Wielu trwało w tym nałogu już od okupacji. Nic nie pomogło. Palenie na ulicy było prawie równoznaczne z wydaleniem ze szkoły, zwłaszcza jeśli się powtarzało. Naloty, zwłaszcza profesora od francuskiego, pana Bernarda Mulewskiego¹⁵⁵, na ów domek położony na dziedzińcu szkolnym, a przeznaczony do zgoła innych celów, były niespodziewane i zawsze owocne. Było jeszcze wiele innych obostrzeń, ale niech wystarczą te, by uzmysłowić nam dziś, do jakiego poziomu zesła szkoła w czasach, które rzekomo nadrobiły zapóźnienia tamtej zacofanej epoki. I pomyśleć, że dzisiejsze rozprężenie i niemoc wychowawcza chwalone są jako przejaw postępu i szacunku dla człowieka.

Nie można twierdzić, że ówczesna szkoła była oazą spokoju i porządku. Uczeń był takim samym młodym, niesfornym człowiekiem jak zawsze. Jest jednak pewna różnica. Był w domu wychowany w szacunku dla drugiego człowieka, zwłaszcza nauczyciela, którego autorytet, jeśli ten sam go nie zniszczył, szedł zaraz po rodzicielskim. Poza tym ludzie byli wtedy mniej rozkapryszeni i roszczeniowi. Jeśli zdarzały się wykroczenia, a ich przecież nie brakowało, nie mogły one pozostać bezkarne. Zdarzało się niekiedy nieprzyjemne faworyzowanie jednych uczniów,

¹⁵⁴ Eufemia Rudziejewska uczyła historii w szkole w Nakle w latach 1945–1950.

¹⁵⁵ Bernard Mulewski uczył w szkole w Nakle od 1945, lecz nie udało się ustalić do kiedy. Zmarł w czerwcu 1957 w Gnieźnie.

a gnębienie innych, choć na ogół nauczyciele tego unikali. Nawet w takich sytuacjach uczeń starał się zachowywać taktownie, w każdym razie ani on, ani jego rodzice nie atakowali nauczyciela w sposób urągający kontaktom międzyludzkim. Co najwyżej mógł interweniować wychowawca, ale wszystko odbywało się bez rozgłosu.

Wyznać muszę, że dopiero obcowanie z nowo poznanymi kolegami, bardziej „miejsko” wyrobionymi, sprawiło, że zacząłem realnie myśleć o pójściu do gimnazjum. Co do egzaminu wstępnego, to jeden z kumpli, uchodzący za eksperta naukowego, orzekł bezapelacyjnie:

– Nic nie będą wymagać, a tylko zapytają o kilka spraw.

To stawiało sprawę edukacji w zgoła innym świetle. Na egzamin wstępny udałem się więc beztrzesko. Co prawda zaraz po wejściu na korytarz doznałem niemiłego uczucia, iż jestem tu w ogóle niepotrzebny. Królował tam woźny, pan Głaczyński, człowiek o gołębiu sercu, ale groźnej, zawsze nieco zatroskanej minie. Zapytał mnie, do której klasy zdaję? To zupełnie zbiło mnie z pantałyku. Skąd miałem wiedzieć? Spojrzał na mnie tak lekceważąco, że straciłem cały rezon. Powiedział tylko:

– Idź do pana dyrektora.

– Gdzie?

Machnął ręką w kierunku pokoju nauczycielskiego.

Kiedy tam wszedłem, wpadł na mnie z impetem starszy pan z siwymi włosami na jeża i z miejsca obsztorcował, że wszedłem do pokoju, w którym, jak się wyraził, „tylko na takich jak ja czekają”. Zapomniałem języka w gębie. Mówię mu:

– Ja na egzamin...

– A inni na wycieczkę?

– Gdzie ten egzamin?

Wtedy wziął mnie energicznie za ramię i wepchnął do klasy naprzeciwko. To był późniejszy gabinet biologiczny. W klasie panował niesamowity tłok i wrzask. Egzaminowali pan Kniasiakowski, kierownik Szkoły Podstawowej nr 1, i pani Kamińska, przedwojenna nauczycielka. Nie wiedziałem w ogóle, co się tam dzieje. Pytali nauczyciele, był jeden czy drugi, których nazwisk nie pamiętam, wszyscy jednak ze szkoły podstawowej. Wreszcie ktoś mnie popchnął w kierunku stołu, gdzie kazano mi szybko siadać, i już pada pytanie:

– Czy ptaki należą do ssaków?

– Nie wiem.

Nauczyciel coś mruczał, wreszcie zapytał:

- Co wiesz o ptakach?
- Że latają...
- To już coś. A wiesz, dlaczego latają?
- Bo mają powietrze w kościach.
- Kto ci to powiedział?
- Uczyłem się – skłamałem gładko. Popatrzył na mnie, uśmiechnął się i rzekł:
- Może coś z ciebie będzie.

Podszedł do nas pan Knasiakowski i zapytał:

- Co z nim?
- Do wstępnego, a może pierwszej, zobaczymy, co będzie z polskim.

Muszę przyznać, że egzamin stracił w moich oczach wiele z tej grozy, jaka go otaczała. Wyszedłem na korytarz, gdzie obstąpili mnie przygodni koledzy, pytając, jak tam idzie, co ich interesuje. Kiedy powiedziałem, że ptaki, spojrzano na mnie z góry i któryś rzucił:

- To wsiowy, nie słyszycie, jak mówi?

Rzeczywiście mówiłem gwarą z Borów Tucholskich. Często się ze mnie wyśmiewano. O mało co byłbym zakończył egzamin na tych ptakach, bo nikt mnie nie poinformował, że będzie jeszcze jeden – z polskiego. Prowadził mnie instynkt stadny, dokąd szli inni, tam szedłem i ja. Wprowadzono nas, grupę około 50 osób, do klasy tuż przy schodach na parterze. Siedzieliśmy dosłownie jeden na drugim. Jakaś pani z trudem uciszyła klasę, po czym podała na tablicy temat wypracowania: *Opisz wiosnę*. Temat prosty i zarazem skomplikowany, bo co tu pisać? Wiosna to wiosna, wiadomo. Słyszę szepty:

- Ty, o co chodzi? Co masz, pokaż mi swoją kartkę...

Co miałem pokazać? Sam byłem w kropce. Wreszcie nauczycielka, która chodziła wzdłuż rzędów, podeszła i do mnie. Zapytałem nieśmiało, co mam pisać, a ona na to:

- Co widziałeś tej wiosny.

Sprawa się wyjaśniła. Zacząłem opisywać. Wszystko jak było. Jak waliły działy i katusze, paliły się czołgi. Słowem, wojna w całej grozie. Było o czym opowiedzieć i chętnie się na ten temat rozwodziłem. Aż cztery strony zeszytowe nagryzmoliłem i byłem z siebie zadowolony. Siedziałem do końca, nie wychylając się, ale od dłuższego czasu już tylko udawałem, że piszę. Koledzy i koleżanki z wypiekami na twarzy wzrokiem prosili o zmiłowanie i podrzucenie czegoś, ale jak mógłbym sprzedać moją własną i tylko moją wiosnę? Skąd kto inny może wiedzieć o tym,

jak odróżnić jęk pocisku armatniego od moździerzowego? Po prostu to do ściągania się nie nadaje.

Wychodziłem z egzaminu dumny z siebie. Pytano jeszcze tabliczki mnożenia, ale to akurat wbili nam do głowy w niemieckiej szkole i nigdy potem nie byłem tak dobry w matematyce, jak na tym egzaminie. Był tylko jeden szkopuł. Na pytanie siedem razy osiem musiałem najpierw po niemiecku podać sobie po cichu rezultat i dopiero powtórzyć po polsku, zatem sechsfundfünfzig¹⁵⁶, a dopiero potem pięćdziesiąt sześć. To odwrócenie porządku dawało się przez dłuższy czas we znaki. Nauczyciel, ów pan z siwym językiem na głowie, dość energiczny na ogół, był jednak wyrozumiały. Wiedział o tym „przeliczniku”.

Na wyniki nie czekało się długo, zaledwie kilka dni. Dowiedziałem się, że zdałem do klasy wstępnej. Rok szkolny – nietypowy, bo rozpoczęty w kwietniu – miał trwać do końca lipca; następnie miesiąc wakacji i od września już normalne funkcjonowanie szkoły. Jedni zatem robili w tym czasie zwyczajną klasę, większość pierwszą, i spora grupa klasę wstępną. Nie wypadłem na egzaminie najgorzej, zwłaszcza z polskiego, bo miałem tylko 12 błędów ortograficznych. Zważywszy, że było to po jednej klasie szkoły polskiej przed wojną i bez żadnej nauki w czasie okupacji, trzeba przyznać, że tamte polskie szkoły były coś warte. Pocięchą dla mnie było to, że największa liczba błędów w wypracowaniu wynosiła 140. Nie wiem, do ilu błędów przyjmowano, ogromna liczba ubiegających się została jednak odesłana do szkoły podstawowej. Po dwóch, może trzech tygodniach od rozpoczęcia nauki wezwał mnie pełniący wówczas obowiązki dyrektora profesor Gapiński i oznajmił, że zaszła pomyłka. Pomyłono nazwiska i do klasy pierwszej zamiast mnie poszedł jakiś chłopak, który zdał do wstępnej. On zresztą zupełnie zrezygnował, zatem mogę przejść do klasy pierwszej, ale muszę nadrobić materiał.

W domu zaczęto się zastanawiać, co zrobić, wreszcie zdecydowano zrezygnować z tej możliwości, bo ktoś powiedział, że nie dam rady z łaciną. Pozostałem we wstępnej. Do dziś żałuję, bo łacina to był mój ulubiony przedmiot. Gdybym wtedy poszedł do pierwszej, zdawałbym maturę humanistyczną i to o rok wcześniej – zamiast tej bezsensownej ogólnokształcącej w 1951 r., w dodatku socjalistycznej. Najgorzej wychodzi się na kontaktach z krewnymi. Moje przejście do klasy pierwszej najbardziej kontestowała kuzynka, która robiła kurs przyspieszony.

¹⁵⁶ Niem. pięćdziesiąt sześć.

Nauka w klasie wstępnej wydawała mi się bajecznie łatwa. Oprócz wspomnianego pana Gapińskiego, który uczył matematyki i potrafił swym pozornie surowym sposobem bycia rozśmieszyć każdego (z kolei uśmiech na twarzy ucznia był dla niego wprost obelgą), bardzo charakterystyczną osobowością była pani Eufemia Rudziejewska, ucząca historii i mówiąca ze wspaniałym akcentem. Pałała papierosy w długiej szklanej lufce i dyszkantem – w chwilach szczególnego napięcia przechodzącym w bas – mówiła „Grecia”, „Azia”, „fakti”, „pitam”. Uczyła świetnie, ale miała *lorgnon*¹⁵⁷ i nie widziała niczego, co nie było dalej niż 2 m od niej. Zatem w pierwszej ławce można było jeść i w ogóle robić, co się podoba. Biada tym w ostatnich ławkach.

Pewnego razu (nie wiem, czy to było we wstępnej czy w pierwszej) chłopcy już w czasie lekcji kończyli rozpoczętą na przerwie grę w karty. Jeden krzyknął podniecony:

– Solo!

Pani profesor źle to zrozumiała i było tłumaczenie się przed dyrektorem, którym był świetny już wtedy historyk pan Kazimierz Bieliński¹⁵⁸ – wilnianin, jak i pani Rudziejewska. Potrafił bardzo dosadnie porównać delikwenta do jakiegoś szczególnie mu niemiłego zwierzęcia, podobnie zresztą jak profesor Gapiński, który upodobał sobie mały i aplikował poszczególne ich odmiany w zależności od płci, aparycji i innych cech winowajcy. Oczywiście lubiliśmy go i jeśli nie używał języka obrazowego, troskaliśmy się o jego zdrowie. Był to człowiek niezwykłej wprost dobroci, którą – nie wiadomo dlaczego – pokrywał dość komiczną surowością.

Krótko, chyba tylko do 1946 r., uczył nas polonista, pan Władysław Rydzewski¹⁵⁹, zwany królikiem, bo ruszał wąsikami. Miał zwyczaj nazywać nas hebesami. Nikt się nie obrażał, bo nikomu nawet nie przyszło do głowy, iż to łacińskie słowo oznacza tępaka. Muszę przyznać, że jego lekcje z literatury staropolskiej zapadły mi dobrze w pamięć. W zasadzie wtedy głównie zapamiętywało się na lekcji, bo zeszytów było jak na lekarstwo, książek w ogóle, a pamięć była wyposzczona w czasie okupacyjnej przymusowej bezczynności¹⁶⁰.

¹⁵⁷ Przyrząd optyczny.

¹⁵⁸ Kazimierz Bieliński był dyrektorem Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią 1945–1950.

¹⁵⁹ Wacław Rydzewski uczył w szkole w Nakle 1945–1947.

¹⁶⁰ Wł. słodkie nieróbstwo, miłe próżnowanie.

Biologii i później przez rok – na szczęście, tylko przez rok – języka francuskiego uczyła pani Eugenia Czabanowska. Była żoną świętego polonisty z tytułem doktora, który później został profesorem na UMK w Toruniu. Nie znosiła mnie po prostu organicznie, a przez to ja nie znosiłem biologii i francuskiego. Miłość do tego ostatniego przedmiotu odzyskałem już w klasie II, kiedy zaczął nas uczyć niezwykle surowy, ale świetny romanista, profesor Bernard Mulewski. Byłem u niego raz na wozie, raz pod wozem, ale miał on szczególny sposób pocieszania:

– Zieliński, *vous ne faites pas rien, mais votre français n'est pas mal. Voilà, d'ou votre censure*¹⁶¹.

Mówił tak niezależnie od tego, czy ocena była dostateczna czy dobra. Bywały takie i takie. Oczywiście na lekcji nie wolno było powiedzieć słowa po polsku. Kiedy dziś obserwuję nauczanie języka obcego, a sam uczyłem go przez dobrych kilkanaście lat, widzę bezsensowne lekceważenie wiedzy pamięciowej. Otóż my musieliśmy znać wszystkie odmiany czasowników nieregularnych. W książce *Aux quatre coins de la France*¹⁶² było ich bodajże 64. Bez ich znajomości nie można mówić po francusku. Wymagało to pamięciówki, na co zżymaliśmy się, ale jakież to było słuszne!

Religii w tych pierwszych latach uczył ks. Kazimierz Zachman¹⁶³. Miałem pecha, bo i on mnie nie lubił. Co więcej, usiłował mi dowieść, że jestem durniem.

Nie byłem, choć nie miałem przesadnego kultu dla nauki. Pewne przedmioty lubiłem, zwłaszcza filologiczne. Był wśród nich też język rosyjski, dobrze uczony przez młodego nauczyciela, pana Błażuka¹⁶⁴. Szkoda, że nie umiał on utrzymać powagi, ale przez rok wiele mnie nauczył.

Profesor Feliks Kamiński¹⁶⁵ uczył nas łaciny. Klasykę miał we krwi i gdyby potrafił utrzymać porządek w klasie, jego lekcje byłyby arcyciekawe, choć i tak takie dla mnie były. Nie mogłem sobie pozwolić na podręcznik Auerbacha i Dąbrowskiego¹⁶⁶, ale z notatek i uważnego słuchania potrafiłem utrwalić gramatykę łacińską i dziś, po ponad 70 latach, znam ją jak wtedy. Jakoś zdobywałem niemieckie wydania Teubnera autorów łacińskich: Cyserona, Salustiusza, zwłaszcza

¹⁶¹ Fr. Zieliński, ty nic nie robisz, ale twój francuski nie jest zły. Oto skąd ta ocena.

¹⁶² Chodzi o podręcznik do nauki języka francuskiego: O. Cieślińska, H. Nieniewska, *Aux quatre coins de la France*, Warszawa 1946.

¹⁶³ Kazimierz Zachman (1912–?), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1941. Uczył w szkole w Nakle religii 1945–1947.

¹⁶⁴ Zdzisław Błażuk uczył języka rosyjskiego w szkole w Nakle 1949–1952.

¹⁶⁵ Feliks Kamiński uczył łaciny w szkole 1938–1939 i 1945–1968.

¹⁶⁶ Chodzi o podręcznik: M. Auerbach, K. Dąbrowski, *Gramatyka łacińska. Podręcznik dla wszystkich klas gimnazjalnych*, Lwów 1934.

zaś ulubionego Cezara. *Commentarii de bello Gallico*¹⁶⁷ czytałem jak kryminał, nieraz sprawdzając słówko. Mowy Cycerona, które tłumaczyliśmy w obszernym wyborze, to były istne łamigłówki, ale jakże przyjemnie było je rozwiązywać, wyjaśniając niuanse gramatyczne. Kiedyś, wyrwany do tłumaczenia, zacząłem właśnie w ten sposób, ale nie wiem, dlaczego profesor zdenerwował się i kazał mi siadać. Zapytał jakąś koleżankę, która wyrecytowała znany na pamięć tekst i dostała jedynkę (najwyższy stopień; czwórka to była ocena niedostateczna), a na dodatek prezentację złotego zęba w miłym profesorskim uśmiechu. Bywało, że na świadectwie miałem z łaciny „dostatecznie”, podczas gdy osoby, którym pisałem na kilka lekcji naprzód bryki, dostawały „bardzo dobrze”. Któraś z koleżanek wyznała to wszystkowi profesorowi po maturze. Nie chciał wierzyć i był zdruzgotany, bo był to człowiek z gruntu uczciwy. Spytał mnie:

– Dlaczego pan mi niczego nie wyjaśnił?

Po maturze mówiono do nas *per* pan. Odpowiedziałem:

– Bo pan profesor każde moje odezwanie się traktował jako prowokację.

Tak rzeczywiście było.

Lubiłem szalenie historię, zarówno w wydaniu pani Rudziejewskiej, jak i profesora Marciniaka¹⁶⁸, przedwojennego nauczyciela tego gimnazjum, który właśnie wrócił z obozu koncentracyjnego. U niego nie było mowy o ściąganiu, u pani Rudziejewskiej – owszem. Robiło się to tak: zeszyt z lekcją przypinało się do kołnierza siedzącego przed pytanym kolegi i wszystko szło gładko, jeśli pytany nie był dryblasem.

Kiedyś odpowiadał kolega C., wysokie chłopisko. Przed nim siedział mały chłopina. Ten pytany nie mógł dojrzeć, co tam w zeszycie nagryzmołono, mruczał więc:

– Podnieś się, podnieś się...

Tamten w półprzysiadzie już nie mógł utrzymać się na nogach, a nauczycielka:

– A co tam sąsiad wstawa? A pan C. co tam mruczy, ja *fakti pitam*, niech siada.

Wyrósł, wszystko w nogi poszło.

Grzmocili potem malca, ale co miał robić?

Pan Marciniak miał kostyczny humor. Kiedy ktoś ziewał, mówił:

– Te, idź do domu, poproś ojca, by cię dał opasać obręczą, bo pęknieysz.

¹⁶⁷ Chodzi o pamiętniki Juliusza Cezara z wojny galijskiej prowadzonej w latach 58–50 p.n.e. Zob. I. Cesar, *Commentarii de bello Gallico*, Wilno [1930].

¹⁶⁸ Franciszek Marciniak uczył historii w szkole w Nakle 1921–1939 i 1945–1969.

W klasie była jakaś jego krewna, dziewczyna wprost złota, ale stale coś przegryzała. Tej przygadywał najbardziej, zawsze z aluzją do jej okrągłutkiej sylwetki. Był to nauczyciel starej daty, uczył z Nankego¹⁶⁹. Nowe podręczniki, wchodzące wtedy do programu, pokazał i na tym koniec. Do partii chyba nie należał, ale był lojalny, podobnie jak nigdy nie opuścił mszy świętej, zawsze w ławce z przodu w kościele św. Wawrzyńca¹⁷⁰. Przed wojną, wraz z zamęczonym w obozie proboszczem nakielskim, ks. Ignacym Geppertem¹⁷¹, był autorem ciekawej monografii pt. *Kraina i Nakło*¹⁷². Wiele mu zawdzięczam, ale mam też za złe, że ani trochę nie usiłował rozniecić zainteresowania swoim przedmiotem, który lubiłem na drugim miejscu po filologii. Raz czy drugi spytałem go o coś, ale zbył mnie dość złośliwą uwagą, mniej więcej w tym guście, że dobrze będzie, jeśli nauczę się z zeszytu, bo na więcej mnie nie stać. Było stać, ale nie było człowieka, któremu w tej szkole można by to powiedzieć. Sława historyczna, dyrektor Bieliński, *alias* Bies, był zbyt wysoko i był zbyt nerwowy. Miał też wiele kłopotów, nie będąc komunistą ani nie udając takowego.

Z nauczycieli, których szanowałem i których się nie bałem zagadnąć, wymienić muszę profesora Jana Gorączkę¹⁷³, świetnego matematyka. Jeślim się tego przedmiotu nie nauczył, to tylko i wyłącznie z mojej winy. Gorączko, człowiek jeszcze młody, jak fama głosiła – z gór, lubił grać w nogę. I co ważniejsze, potrafił. Znać było od razu, że matematyka to dziedzina, w której orientuje się w większym zakresie, aniżeli wymagano od nauczyciela w gimnazjum. Chyba nie należał do partii i wyraźnie osłaniał takich jak ja, nieprawomyślnych. Był przez rok moim wychowawcą, wspominam go jako człowieka mającego dobre podejście do młodzieży, ale jej niekokietującego. Może wtedy nie wszystko potrafiłem należycie ocenić, ale z perspektywy czasu dostrzega się to wyraźniej.

¹⁶⁹ Czesław Nanke (1883–1950), historyk polski. Nauczyciel w elitarnym VIII Państwowym Gimnazjum im. Kazimierza Wielkiego we Lwowie 1913–1939. Od 1925 wykładowca UJK we Lwowie, gdzie w 1938 został profesorem tytularnym. Autor wielu podręczników do nauczania historii na poziomie gimnazjalnym i licealnym. W 1945 zmuszony do opuszczenia Lwowa, następnie został nauczycielem w liceum w Gumiskach. Od 1947 docent etatowy na UJ.

¹⁷⁰ Kościół parafialny św. Wawrzyńca w Nakle nad Notecią znajduje się przy ul. Kościelnej. Pierwsza wzmianka o jego istnieniu pojawiła się w 1109.

¹⁷¹ Ignacy Geppert (1884–1942), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1911. Kapelan WP 1920–1921. Proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Nakle nad Notecią 1931–1939. Więziony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie zmarł.

¹⁷² I. Geppert, *Kraina i Nakło. Studja i rozprawy wydane z okazji pięćdziesięciolecia Gimnazjum imienia Bolesława Krzywoustego w Nakle*, Nakło–Wyrzysk 1926.

¹⁷³ Jan Gorączko uczył matematyki w szkole w Nakle 1947–1979.

Niektórych nauczycieli po prostu się unikało, wiedząc, że tak są nieprzychylnie nastawieni. Z braku sympatii dla nauczyciela rodziła się również awersja do przedmiotu przez niego nauczanego. Tak było z biologią, której uczyła mnie pani Zofia Cieślowska¹⁷⁴, skądinąd doświadczona i dobra nauczycielka. Miała swoje uprzedzenia i na to nie było rady. Z reguły dostawałem stopień dostateczny, raz nawet niedostateczny na półroczu. Już nie wiem, w której klasie przed wywiadówką zapowiedziała, że kto chce poprawić ocenę, może przyjść po południu do gabinetu na dodatkowy egzamin. Kiedy się tam udałem, zrobiła zdziwioną minę:

– Ty na egzamin?

Miała bardzo nieprzyjemny głos. Skinąłem głową, ale byłem gotów po prostu uciec. Już jednak zadawała mi pytanie, potem jeszcze kilka. Odpowiedziałem na wszystkie. Pani profesor nawet na mnie nie spojrzała. Na wywiadówce był stopień dobry. Na świadectwie znowu dostateczny, mimo że ani razu nie byłem pytany. A więc bywało i tak.

Zupełnie mi się nie układało z polonistką, panią Wandą Obniską¹⁷⁵. Nawiasem mówiąc, niewiasta ta, celując we mnie palcem, rzekła pewnego razu:

– Ty nigdy nie będziesz pisał.

Nie wiem, co miała na myśli. Donosów do UB nie pisywałem, to prawda, ale co innego – zdarzało się. Pominę ten temat, bo trzeba by sporo powiedzieć. Tu już wchodziły w grę problemy natury politycznej, w pewnym momencie pani ta stała się bowiem orędowniczką młodzieży należącej do ZMP i aktywnie działającej. W mojej klasie kilkoro kolegów i koleżanek nie należało do związku, mimo że wychowawcą naszym był pan Czesław Wachowicz¹⁷⁶, nauczyciel WF, potem także nauki o Polsce współczesnej. Bardzo aktywny partyjnie i manifestujący swój komunizm świeżej daty. Tak było do matury – ku wielkiemu zmartwieniu wychowawcy. Nie zauważyłem, by inni nauczyciele mieli nam to za złe. Nawet pan Marciniak, który swoją klasę do ZMP po prostu zapisał, a protestującym uczniom swym cichym, ale złowrogim głosem oznajmił, że to zarządzenie odgórne. Nie każdy się jednak do niego stosował.

Przez rok fizyki uczył mnie człowiek niezwykle i warto go tu uwiecznić. Nie był nauczycielem zawodowym, tylko absolwentem naszego gimnazjum, studentem

¹⁷⁴ Zofia Cieślowska uczyła biologii w szkole w Nakle 1921–1939 i 1945–1961.

¹⁷⁵ Wanda Obniska od 1949 uczyła w szkole w Nakle języka polskiego.

¹⁷⁶ Czesław Wachowicz uczył w szkole w Nakle wychowania fizycznego 1930–1939 i 1945–1950; dyrektor LO w Nakle 1950–1970.

fizyki na Uniwersytecie Poznańskim. Nazywał się Włodzimierz Błażejowski¹⁷⁷, rodzina znana w Nakle. Nadzwyczaj skromny, wobec każdego uprzejmy, mówił bardzo cicho, a o dziwo klasa, zwykle niesforna, uważnie go słuchała. Bo też potrafił uczyć jak nikt inny. Mielśmy przed nim fizyka i po nim również, nazwiska pomine, ale żaden się do niego nie umywał. Nawet mnie potrafił zapalić do swego przedmiotu. Szkoda, że pracował tak krótko. Spotkałem go kiedyś, już chyba po maturze, i porozmawialiśmy. Pytałem, dlaczego nie został w szkole. Odpowiedział, że nie czuł się dobrze, bo wydawało mu się, że nie potrafi przekazać nauczanych treści. Co zrobić? Później wielokrotnie się przekonałem, że naprawdę dobrzy fachowcy mieli o sobie tak samo skromne mniemanie, a fuszery wręcz odwrotne.

Szkola średnia mnie rozczarowała, bo widziałem, że wystarczy być konformistą, a można wszystko osiągnąć – wcale nie trzeba być dobrym w nauce.

Wypada jeszcze wspomnieć o prefekcie, a właściwie o dwóch prefektach. Pierwszym był ks. Kazimierz Zachman. Człowiek o dość dużym obyciu, ponoć pisał też poezje, ale nauczaniem religii interesował się raczej marginesowo. Był zarazem wikariuszem i to przez pewien czas jedynym na obie nakielskie parafie. Nie wiem, dlaczego dawał mi do zrozumienia, że jestem drapichrustem, może nawet gorzej. To jego przekonanie niekiedy owocowało dostatecznym stopniem z religii. Do mojej matki jego krytyczne opinie o mnie docierały za pośrednictwem moich kuzynek. Uważał mnie za głupca. Kiedy po latach, będąc już profesorem nadzwyczajnym na KUL, zastępowałem go w jedną z niedziel w Gozdowie, gdzie był proboszczem, udawał, że nic z tych czasów nie pamięta. Ale pamiętał i czuł się w moim towarzystwie na ogół nieswojo. Myślę, że ksiądz ten przykładał wielką wagę do standardu życia. Mój był wtedy opłakany, co widać było po ubiorze oraz – jeśli ktoś miał okazję bliżej się przyjrzeć – moim szkolnym posiłku, składającym się często z dwóch kromek chleba pomoczonego mlekiem i posypanego cienko cukrem. Nigdy nie byłem ministrantem, nie licząc służenia na mszach szkolnych, a i to dopiero za czasów następnego prefekta. Pewnie odstręczała mnie rażąca niesprawiedliwość tego nauczyciela religii. Miał w kręgu swoich przyjaciół małomiasteczkowe elity, które nobilitował ponad miarę i które dzięki tej znajomości budowały swój wielkopański, w ich przekonaniu, styl życia.

Kiedy później spotykałem osoby, które poróżniły się z Panem Bogiem, bo jakiś ksiądz coś im powiedział nie tak jak trzeba albo okazał się człowiekiem

¹⁷⁷ Włodzimierz Błażejowski uczył w szkole w Nakle fizyki 1948–1949.

nietaktownym, myślałem, że przecież mogłem i ja tak potraktować moje niefortunne kontakty z prefektem, ale jakoś nigdy na to nie wpadłem. Jedno, co mnie raziło i wtedy, i później, to fakt, że człowiek ten oceniał ludzi według ich sytuacji materialnej. Przecież wiedział dobrze, dlaczego w takich, a nie innych warunkach się znalazłem. Koniec. R.I.P.

Kiedy w 1948 r. (a może już od jesieni 1947) zastąpił go ks. Kazimierz Warda¹⁷⁸, wielu odetchnęło z ulgą. Był to zupełnie inny kaliber człowieka i kapłana. Przede wszystkim świetnie uczył. Organizował nabożeństwa gimnazjalne, nie tylko niedzielne, wszędzie bywał z młodzieżą. Był z nami w Czersku-Twarożnicy w 1948 r. na obozie harcerskim, który był naszym pożegnaniem z I Nakielską (gimnazjalną) Drużyną Harcerzy, zanim została ona zlikwidowana przez władze komunistyczne.

Księdzu Wardzie też podpadłem i to zaraz na pierwszej lekcji. Po odmówieniu modlitwy jakoś zbyt wcześnie usiadłem, kiedy on właśnie się odwracał. Zrugął mnie jako ateusza, który nie chce się modlić, ale wkrótce spostrzegł swą pomyłkę, wspólnie uśmialiśmy się z incydentu i dalej już panowały między nami pokój i harmonia.

Kiedys, może w maju 1948 r., przed końcem roku szkolnego, podszedł do mnie, gdy wychodziłem ze szkoły, i zapytał, jakie mam warunki materialne. Odrzekłem powściągliwie, ale zgodnie z prawdą, że bogato nie jest, ale już jakoś sobie radziemy. Dał mi wtedy kilkaset złotych, bym mógł pojechać na obóz harcerski. To był jedyny taki gest, jaki mnie spotkał. Potem niekiedy starał się pomagać mi także jako klerykowi.

Władze szkolne spowodowały, że dostał wilczy bilet, co zmusiło księdza prymasa do wysłania go na studia pedagogiczne na KUL. Zdobył magisterium z pedagogiki, doktoratu nie chciał robić, choć mógłby z powodzeniem, bo miał w tej dziedzinie wiele do powiedzenia. Pociągała go jednak praca z młodzieżą, zwłaszcza z dziećmi przedszkolnymi, z którymi znajdował wspólny język w sposób wręcz zdumiewający. Uczył później w seminarium gnieźnieńskim katechetyki i był jednocześnie proboszczem w Świątkowie pod Żninem, zatem na swoich Pałukach, skąd pochodził.

Ksiądz Warda był ulubieńcem młodzieży, a jeszcze bardziej dzieci. W przedszkolu spędzał wiele czasu. Obserwując maluchy i bawiąc się z nimi, zbierał materiał

¹⁷⁸ Kazimierz Warda (1918–2011), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, filozof. Święcenia kapłańskie 1946. Studiował pedagogikę na KUL 1952–1955. Proboszcz parafii w Świątkowie i Juncowie 1955–1957, Marzeninie i Grzybowie 1957–1958, Łagiewnikach i Pomarzanach 1958–1965 i w parafii św. św. Marcina i Mikołaja w Bydgoszczy 1965–1982. Po przejściu na emeryturę w 1983 był rezydentem w parafii NMP Królowej Polski w Żninie. Kanonik gremialny Kapituły Kolegiackiej w Kruszwicy. Nauczyciel w szkole w Nakle 1947–1951.

do pracy magisterskiej. Po ukończeniu przeze mnie seminarium nie miałem z nim bliższego kontaktu, ale wspominam go jako człowieka o wielkim sercu i silnej woli działania. Nic dziwnego, że władze komunistyczne, a w gimnazjum pani polonistka w sposób szczególny uwzięły się na niego. Nie podpisał on apelu sztokholmskiego¹⁷⁹, za co wielu nauczycieli religii, w tym i jego, usunięto ze szkół. Głównym grzechem ks. Wardy był jednak wpływ, jaki miał na młodzież. Nakłonił kilku uczniów z ZMP do napisania paszkwili w gazecie. Ogłoszono go gorszycielem młodzieży, ponieważ maturzystów przyjmował wielkim pucharem, w którym mieściło się ponad pół litra wina i z którego każdy upijał łyżek. Miało to symbolizować naszą wspólnotę. Ciekawe, że zarzuty pochodziły od ludzi, którzy za kołnierza nie wylewali.



Należy też powiedzieć kilka słów o proboszczach nakielskich. W parafii św. Wawrzyńca funkcję tę pełnił ks. Ignacy Klimacki¹⁸⁰, który do Nakła przyszedł w 1940 r. jako młody kapłan i pracował tam przez całą okupację, obsługując praktycznie cały powiat wyrzyski. Początkowo, tuż po wojnie zajmował się także parafią św. Stanisława, która istniała już przed 1939 r. Nie miała jednak własnego kościoła, a w 1945 r. przejęła kościół poewangelicki przy ul. ks. Piotra Skargi. Proboszczem w tym kościele

Zdjęcie licealne
autora, około
1948 r.

¹⁷⁹ Apel sztokholmski – orędzie przedstawione w czasie III sesji Kongresu Obrońców Pokoju 25 III 1950. Treść apelu wpisywała się w założenia propagandowe Związku Sowieckiego. Podpisy pod apelem zbierano w całym bloku wschodnim na polecenie ZSRS. Na ziemiach polskich za akcję zbierania podpisów odpowiedzialny był Komitet Obrońców Pokoju działający na poziomie centralnym. Miał on swoje struktury na szczeblu wojewódzkim, miejskim, powiatowym, gminnym, gromadzkim, a nawet blokowym. W ciągu dwóch miesięcy – do 18 VI 1950 – apel sztokholmski według danych komunistów miało podpisać 18 mln Polaków. Złożenia asygnaty pod apelem sztokholmskim wymagano również od Kościołów i związków wyznaniowych, a ewentualną odmowę złożenia podpisu traktowano jako poparcie dla „imperialistów amerykańskich” i sprzeciw wobec „pokojoyej polityki” ZSRS. Wielu duchownych mimo presji nie złożyło podpisu pod apelem, co wiązało się najczęściej z różnymi represjami (m.in. usunięciem ponad 500 księży ze szkół) lub wpisaniem do kartoteki UB jako wrogi element.

¹⁸⁰ Ignacy Klimacki (1908–1988), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1933. Proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Nakle nad Notecią 1942–1987.

został w 1948 r. ks. Dobromir Ziarniak¹⁸¹, który właśnie wrócił z obozu w Dachau. Do 1950 r. należałem do parafii św. Wawrzyńca, a po przeprowadzce na ul. Bydgoską – do parafii św. Stanisława.

Obaj proboszczowie bardzo się od siebie różnili. Ksiądz Klimacki był sangwinikiem, mocno rubasznym, co niekiedy bywało uciążliwe. U parafian miał jednak mir, dbał bowiem bardzo o duszpasterstwo i potrafił z każdym porozmawiać. Ksiądz Ziarniak był człowiekiem dość zamkniętym w sobie, poddającym się nastrojom. Trudno mu było dogodzić, potrafił spokojnym głosem bardzo zbesztać człowieka. Choć nigdy nie robił tego w stosunku do parafian, to takie właśnie mam doświadczenia z czasów kleryckich, do czego jeszcze powrócę. Obaj ci duszpasterze porozumiewali się ze sobą na pozór łatwo, ale w istocie był to właśnie raczej pozór dobrego współżycia. Różnili się charakterami tak mocno, że musiało dochodzić do spięć.

Ksiądz Klimacki miał poza tym pewne nawyki, które łatwo było wykorzystać jako materiał do różnego rodzaju krotochwil. Pewnego razu z okazji imienin ks. Ziarniaka byliśmy zaproszeni na kawę – byłem wtedy klerykiem, podobnie jak o trzy lata ode mnie starszy Alfons Siuda¹⁸². Siedzimy przy stole. Księdza Klimackiego ani jego wikariuszy jeszcze nie było. Ksiądz Warda, znany kawalarz, powiada, że w międzyczasie przemówi zamiast księdza Ignacego, a wszyscy mamy uważać, czy przemówienie tegoż, kiedy się zjawi, będzie od tego wzorca odbiegało. Był może w połowie, kiedy dzwonek oznajmił przybycie księży od św. Wawrzyńca. Po chwili rzeczywiście wstaje ks. Klimacki i zaczyna swą przemowę prawie dosłownie tak, jak to uczynił ks. Warda. Wszyscy, nawet sztywny zazwyczaj solenizant, śmieją się. Mówca w pewnym momencie się zdenerwował i mówi:

– A gadajcie sobie sami, śmieją się, jakby się czego najedli, blekotu choćby.

Tłumaczono mu, dlaczego wszyscy się bawili, ale on twierdził, że co roku co innego mówi; stracił humor i niedługo zabawił.

¹⁸¹ Dobromir Ziarniak (1906–1985), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1931. Proboszcz parafii w Brześciu nad Bugiem 1936–1939. W czasie drugiej wojny więzień obozu koncentracyjnego Dachau. Proboszcz parafii św. Stanisława w Nakle nad Notecią 1948–1960. Proboszcz parafii św. Jana Apostoła w Mogilnie 1960–1968. Proboszcz parafii św. Mikołaja w Inowrocławiu 1968–1981.

¹⁸² Alfons Siuda (1927–1991), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1954. Wikariusz w kościele metropolitalnym w Gnieźnie 1954–1957. Wikariusz w parafii NSPJ w Bydgoszczy 1957–1958; w parafii Strzydzewiec 1961–1968. Administrator, a następnie proboszcz parafii św. Małgorzaty Panny i Męczennicy i Matki Bożej Szkaplerznej w Śmiłowie 1968–1980. Proboszcz parafii w Gołańczy 1980–1991.

W 1950 r. ks. Warda został przez władze pozbawiony prawa nauczania religii w szkole. Za pretekst posłużyła – jak już zaznaczyłem – jego odmowa podpisania apelu sztokholmskiego. Też go nie podpisałem, doraźnie skutków nie odczułem, później – owszem, i to bardzo. Przez ostatni rok chodziliśmy na religię do zakrystii kościoła św. Stanisława. Były to warunki trudne, ale większość klasy brała udział w lekcjach, choć zetempowcy nie powinni byli tego czynić.

Do gimnazjum cignęło mnie tylko z racji koleżeństwa. Było sporo kolegów, których do dziś wspominam. Bliskie kontakty utrzymywałem jednak tylko z niektórymi. Z pewnością byli to Mietek Błaszczński z Krukówka, Hass i Górecki z Wieszek nad Notecią, Kazik Zięba w Paterka, Zdzychu Michalski z Nakła, Kazik i Roman Gałdyńscy, początkowo także (dopóki nas nie rozdzielił ZMP i koleżeństwo to całkowicie się nie zerwało) Jurek Wachowicz, syn wychowawcy i dyrektora. Byli tacy, których rychło zabrała gruźlica, np. Geniu Bednarek. Było kilka wspaniałych dziewcząt. Ważnymi dla mnie osobami były Wiesia Neumannówna, a także jej sąsiadka Gizela Zygmantowska, obie bardzo zdolne uczennice. Pierwsza przeszła na ostatni rok do technikum do Poznania i kontakt się urwał. Ale to były takie sztubackie wzdychanki, nic prócz tego. Mógłbym oczywiście wymienić znacznie więcej kolegów, ale nie z wszystkimi kontakt był aż tak bliski. Poza tym wiele się zmieniło od 1948 r., kiedy na scenę wszedł ZMP, a niektórzy koledzy, jak się rychło miało okazać, nie tylko byli aktywistami, lecz także donosili na swoje otoczenie. Nie są to czcze słowa albo domysły. Doświadczyłem tego na własnej skórze i to bardzo boleśnie.

Na celowniku UB

Pierwszy raz zetknąłem się z tym w 1949 r. Było to w październiku lub może nawet listopadzie. Szedłem w okolicach gimnazjum, już nie wiem dokąd, kiedy podszedł do mnie kolega z klasy. Nie wymienię nazwiska, bo nie mógłbym o nim nic dobrego powiedzieć, niech wystarczą inicjały M.P. (obecnie akta IPN dowodnie pokazują, jak haniebną rolę odgrywał ten człowiek). Mało mieliśmy ze sobą wspólnego i to z wielu względów. W poprzednich latach był kimś w rodzaju moderatora Krucjaty Eucharystycznej i zachowywał się jak zagorzały dewot, którego to gatunku ja po prostu nie znosiłem. Z chwilą powstania ZMP stał się z kolei jego nie mniej zagorzałym aktywistą i wrogiem Kościoła. W dniu Bożego Ciała ostentacyjnie mijał procesję i niosąc pod pachą koc, zmierzał nad rzekę. I oto ów kolega podchodzi do mnie – dopiero później uświadomiłem sobie, że był

podenerwowany – i powiada, żeby z nim wstąpił do zarządu powiatowego ZMP, mieszczącego się w budynku naprzeciw gimnazjum. Początkowo wahałem się, czy wchodzić do tej jaskini, bo tylko tak można było określić ów odrażający lokal z nadętymi aparaczkami, których się znało jako notorycznych zbijobruków. Ale on twierdził, że ma ze mną do pogadania i potrzebuje tylko kilku minut, by tu załatwić sprawę, a potem pójdziemy sobie gdzie indziej. Wszedłem z nim, ale prawie natychmiast zniknął mi z oczu. Zamiast niego podszedł do mnie brunet, około czterdziestki, w ceratowym brązowym płaszczu i zapytał:

– Nazywacie się Zieliński?

Nie znośiłem, kiedy ktoś zwracał się do mnie *per* wy, dlatego odparowałem:

– Zdaje się, że jestem sam.

– Pójdziecie dwa kroki przede mną, do komisariatu MO, nie oglądać się, iść prosto przed siebie.

Zaprotestowałem, ale on chwycił mnie za ramię, spojrzał groźnie i powtórzył, żeby wykonać jego rozkaz i nie dyskutować, bo może być jeszcze gorzej. Jednocześnie wyciągnął jakąś legitymację i powiedział szeptem, iż jest z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Wyrzysku¹⁸³. Ustąpiłem. Kątem oka zobaczyłem, że kolega, który mnie doprowadził, wychodzi na ulicę, ani się na mnie nie oglądając. Szedłem ul. Gimnazjalną, następnie przez rynek na Pocztową, do komendy MO, gorączkowo przemyśliwując, o co chodzi. O praktykach UB się słyszało, ale dotąd nie miałem z ubowcami żadnej styczności. Kiedy weszliśmy do gmachu komendy, mój konwojent pogadał cicho z jednym z milicjantów, który dziwnie na mnie spojrzawszy, otworzył drzwi do jednego z pomieszczeń. Wprowadzono mnie, kazano usiąść za stołem i czekać. Za chwilę nadszedł ten ubowiec, który mnie przyprowadził, i spytał, czy wiem, za co mnie przymknęto? Wyjaśnił od razu, że stąd nie wychodzi się tak sobie do domu:

– Pojedziemy do Wyrzyska lub nawet do Bydgoszczy na Chodkiewicza (tam była główna mordownia UB)¹⁸⁴ i zobaczymy, co z ciebie zostanie.

Odpowiedziałem, że absolutnie nie wiem, dlaczego mnie tu trzyma. Zaczął się urągliwie śmiać i wymieniał mi moje „grzechy”: próby rozbijania pochodów

¹⁸³ Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Wyrzysku utworzono w marcu 1945. Podlegał Wojewódzkiemu Urzędowi Bezpieczeństwa Publicznego (WUBP) woj. pomorskiego/bydgoskiego. Jego pierwszym kierownikiem był Jan Skowroński.

¹⁸⁴ Przy ul. Chodkiewicza 32 w latach 1946–1956 znajdowała się siedziba WUBP woj. pomorskiego/bydgoskiego. W 1957 budynek na swoje potrzeby przejęło bydgoskie ZOMO. W czasie drugiej wojny funkcjonował w tym miejscu areszt gestapo dla Polaków.

pierwszomajowych, szydzenie z godła radzieckiego w klasie. Rzeczywiście, pani Obniska kiedyś na lekcji rozważała, jakie kotyliony przygotować na bal szkolny, więc podsunąłem pomysł użycia gwiazdy oraz młota i sierpa. Okrzyknięto mnie reakcjonistą, sługusem imperialistycznym itd. Józef Łabędzki¹⁸⁵, bo tak się ponoć nazywał ów utrwalacz władzy ludowej w Polsce, wyliczał mi całą litanie moich wykroczeń, przy każdym podając lata odsiadki. Trudno było mi zaprzeczać, wszystko bowiem, co mówił, było prawdą. Byłem zdumiony, skąd oni to wszystko wiedzą, wiele moich wypowiedzi antyreżimowych miało miejsce w bardzo wąskim gronie kolegów.

Nie wiem, jak długo trwało to przesłuchanie, z pewnością kilka godzin. Było już dość późno, kiedy mój dręczyciel oświadczył, że zajechał „gazik” i pojedziemy do Bydgoszczy (czy do Wyrzyska, dziś już nie pamiętam dokładnie, które z tych miast wymienił). Mnie dręczyła tylko jedna myśl – należało powiadomić matkę. Była chora na serce i bałem się, że może jej się stać coś złego, jeśli nie wrócę do domu. Prosiłem zatem, żeby pozwolono mi poinformować matkę, żebyśmy mogli po prostu wstąpić do mojego mieszkania. Strasznie mnie zbeształ. Mówił coś o wrogach Polski i Związku Radzieckiego, dla których nie ma litości itd. Kazał mi jednak z powrotem usiąść. Miałem napisać swój życiorys. Potem podyktował mi oświadczenie, iż nikomu nie zdradzę treści odbytej rozmowy oraz będę lojalny wobec Polski robotniczo-chłopskiej¹⁸⁶. Tu palnął mi takie rzewne nawet trochę kazanie, ile to krwi ona kosztowała, oczywiście najlepszych synów ojczyzny. Lojalność, pisałem dalej, polega na tym, że ujawnię bez litości każdego wroga. Trochę się wahałem, czy to podpisać, ale nie dał mi czasu. Naglił, że on już musi jechać i albo otrzyma ode mnie to oświadczenie, albo zabiera mnie ze sobą. Podpisałem. Wtedy schował papier do kieszeni i rzekł:

– No to teraz masz zadanie. Za dwa tygodnie spotkasz się ze mną przy pomniku radzieckim w parku i dasz mi kartkę podpisaną „krakowiak”, a na tej kartce napiszesz, co mówił na lekcjach ks. Warda.

Powiedziałem mu, że tego nie uczynię i że nie o czymś takim mówiliśmy. Lojalność wobec Polski rozumiem inaczej, jako rzetelną dla niej pracę, w moim wypadku naukę. Coś na to odburknął i zagroził:

¹⁸⁵ Józef Łabędzki – pracownik UB, szybko zwolniony z pracy w resorcie. Kwerenda archiwalna w zbiorach IPN wykazała brak jegoteczki personalnej.

¹⁸⁶ Była to stała praktyka w wypadku przesłuchań prowadzonych przez UB.

– Przyjść musisz, a jeśli nie przyniesiesz, to patrz – i pokazał mi pistolet TT, który wyjął spod płaszcza.

Znalazłem się na ulicy i wtedy dopadły mnie wątpliwości. Było zbyt późno, by pójść do księdza. Następnego dnia poprosiłem go o rozmowę i wyznałem mu wszystko. Bardzo mi pomógł. Przede wszystkim nie wyraził zdziwienia. Następnie poradził mi, żeby w żadnym wypadku nie dawać sfigowanych informacji. Muszę pójść na spotkanie i powiedzieć, że szpiclem nie będę.

– Jeśli postąpisz inaczej, znajdziesz się w sytuacji niektórych kolegów, którzy są konfidentami.

A więc wiedział. Dał mi jeszcze kilka rad, które były niezwykle trafne. Moje zaufanie do niego od tego czasu było wprost bezgraniczne.

W oznaczony dzień poszedłem do parku. Ów pan siedział na ławce. Kiedy chciałem się przysiąść, zerwał się i syknął:

– Zgłupiałeś? Masz mi dać donos!

– Nie ma donosu i nie będzie.

– Pamiętasz, co ci wtedy pokazałem? – rozchylił połę płaszcza i znowu zdemonstrował tetetkę. Wyrażnie się spieszył. Zobaczyłem, że koło przejazdu kolejowego stał willys, wyraźnie na niego czekali. Ponieważ skierowałem się w aleję prowadzącą do ul. Dąbrowskiego, wstał i on z ławki i dosłownie zasyczał:

– Jeszcze się zobaczymy, ale wtedy będziesz inaczej śpiewał.

Kiedy już byłem na ulicy i uświadomiłem sobie, że nie proponował nawet następnego spotkania, nabrałem przekonania, że sprawa rozeszła się po kościach. Tak dobrze jednak nie było.

Wkrótce po tych perypetiach urządzano w sali Strzelnicy akademie, chyba ku czci rewolucji październikowej¹⁸⁷. To zawsze odbywało się w listopadzie. Śpiewałem w chórze gimnazjalnym. Dyrygował nasz kochany Gapa, jak nazywaliśmy profesora Gapińskiego. Był on po prostu chory, kiedy musiał w takich imprezach uczestniczyć, był na granicy wybuchu. Musiał zapewne wypić piwo przed występem dla dodania sobie animuszu, bo kiedy byliśmy za sceną, serwował takie teksty:

– Dzieci kochane, nie gapcie się na mnie tak, jak gdybym to ja chciał tu śpiewać. To każą ci z Torunia (kuratorium, nienazywane nigdy inaczej). Te! – i ruch palcem w którymś kierunku – ja ci zaraz ten twój głupi uśmiech z gęby zmażę. Idź, mało, powiedz im, że nie chcesz śpiewać.

¹⁸⁷ Rocznicą rewolucji październikowej była świętem państwowym w Polsce rządzonej przez komunistów.

Byliśmy w siódmym niebie, dziś by się rzekło, że mieliśmy świetny ubaw. Odkąd jednak znaleźliśmy się na scenie, nie uśmiechnąłem się nawet, kiedy dyrygent przez omyłkę, a może i nie, wyjął z kieszonki marynarki do dyrygowania zamiast batuty cygaro. W pierwszym rzędzie siedział mój ubowiec. Świdrował mnie swoimi czarnymi jak węgiel oczami i – jak mi się zdawało – dawał mi jakieś znaki. Nasz występ skończył się na krótko przed zakończeniem akademii. Wyskoczyłem oknem wychodzącym na park Strzelnicy i przez dawny cmentarz ewangelicki pogałem al. Mickiewicza do domu. Wydawało mi się, że ktoś mnie goni, ale nie byłem tego pewny.

Od tego czasu zawsze starałem mieć się na baczności. Kiedy tylko wywęszyłem ubowca, już mnie w pobliżu nie było. Najgorzej było w szkole, ale minęły święta Bożego Narodzenia, potem przyszła wczesna wiosna, a nic się nie działo. Pewnego razu, mieszkaliśmy jeszcze przy al. Mickiewicza pod 15, naprawialiśmy z kuzynem rower przed bramą domu, na podjeździe. Podszedł do nas bardzo młody człowiek, prawie mój równolatek, kędzierzawy blondynek. Przystanął, zaczął się przyglądać naszej robocie, ale powoli przysuwał się do mnie i w pewnym momencie szepnął mi w ucho:

– Chodź na bok, obok szpitala, muszę ci coś przekazać.

Nie zdążyłem nawet zapytać, kim on jest, a już go nie było. Poszedłem w kierunku szpitala, przy którym się zatrzymał. Wyjął legitymację UB i poinformował mnie, że w poniedziałek mam się stawić w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa w Wyrzysku. Spytałem, czy ma jakieś wezwanie, a on na to, że lepiej, bym pojechał bez niego. Jeśli się nie stawię, to będę aresztowany, a oni po prostu nie chcą robić szumu. Był dosyć uprzejmy, rzadkość u ówczesnych ubowców. Nawet jakby mi współczuł.

– Zrobisz, jak zechcesz – rzekł w końcu. – Ale tu podpisz, że ci wezwanie ustne przekazałem.

Co było robić? Powiedziałem matce, że wzywają mnie w charakterze świadka do Wyrzyska, ale matczyśko wiedziało dobrze, jak to jest. Zaczęły się lamenty. Miałem trzy albo cztery dni. Umyślnie tak robili, żeby zmiękczyć delikwenta. W międzyczasie, był to już kwiecień, zrobiło się ciepło.

W wyznaczony poniedziałek pojechałem autobusem do Wyrzyska, ubrany jak na Syberię. Przez rynek do Urzędu było kilkadziesiąt kroków. Był to ponury, czerwony, niewielki zresztą budynek, jeszcze z czasów pruskich, obecnie już nieistniejący. Znajdował się po drugiej stronie rynku, na wprost kościoła. Wstąpiłem do

kościół pomodlić się przed nieznanym, a potem od razu poszedłem na portiernię czy wartownię.

Siedziało tam kilku młodych żołnierzy. Spyтали mnie, kim jestem, czy mam jakiś papier, po co przyszedłem itp. Nie mogliśmy się dogadać, bo oni mnie stale pytali, do kogo mam się zgłosić, a tego to ja nie wiedziałem. W pewnym momencie wpadł do wartowni jakiś cywil, rozejrzał się i wrzasnął na mnie, że nie wolno mi tu siedzieć. Powinienem przejść do salki w głębi budynku. Sam mnie tam zaprowadził i pogroził, żebym się stamtąd nie ruszał, bo zaraz ktoś po mnie przyjdzie. Wszystko to działo się może około godz. 11.00. Siedziałem w tej salce, nie wiem, ile godzin. Co chwilę ktoś przychodził, oglądał mnie, wypytywał i orzekał, że to nie do niego. W pewnym momencie powiedziałem kolejnemu „ogładcowski”, że najchętniej to pojechałbym do domu. To wprawiło go w niezwykłą wściekłość. Zaczął mi wygrażać, co drugie słowo było „skurwysyn” i jeszcze gorsze epitety. Roztaczał przede mną wizję mojego w tym domu pobytu, jak mi w dupę dadzą i co z niej pocieknie. Spytałem go w przerwie tej filipiki, czy on w ogóle wie, o co się mnie obwinia. Na to on, że jeśli kogoś tu wsadzą, to już musi to być bandzior, który morduje synów ludu pracującego.

– Oto ja – powiada – syn chłopca analfabety teraz mogę bić w mordę takich jaśnie panów jak ty, bo taka jest sprawiedliwość dziejowa. Teraz my wam pokażemy...

Myślałem jeszcze, że jakaś rozmowa jest możliwa, więc tłumaczę mu, że sam jestem biedakiem i nieraz nawet cierpię głód. Ale on dalej swoje, że jestem klasowo obcym elementem, a ten musi być po prostu... i zrobił ruch ręką mogący oznaczać skrócenie karku. Wreszcie poszedł sobie. Byłem przerażony.

Za jakiś czas przyszedł zupełnie inny typ niż poprzedni. Mały, przysadzisty łysiejący blondyn, zabawnie kolebał się przy każdym kroku i kręcił karkiem, jak gdyby chciał się z czegoś wyswobodzić. Podszedł do mnie z uśmiechem na twarzy i zapytał niezwykle łagodnie, czy to ja jestem tym gimnazjalistą z Nakła? Podałem nazwisko. Skinął głową i powiedział, żebym szedł przed nim. Nie szliśmy daleko, na parterze otworzył drzwi i znowu wpuścił mnie przodem.

Był to niewielki pokój, w którym stały szafa, biurko, krzesło za biurkiem, a przed nim zydeł. Pierwsze, co zauważyłem, to były drzewce od sztandarów obu drużyn harcerskich przy naszym gimnazjum, męskiej i żeńskiej. Nie kazał mi zdjąć płaszcza i posadził na zydlu. Od razu pokazał mi dwa pękate skoroszyty, mówiąc, że zawierają one materiał na mnie wystarczający na mniej więcej 10 lat odsiadki. No, może dzięki wyrozumiałości władzy ludu pracującego będzie

to 8 lat. Ale (ciągnął dalej tę wstępną przemowę) władza jest wyrozumiała i bierze wgląd na mój młody wiek, zatem jeśli przestanę się wygłupiać i zacznę dawać dowody patriotyzmu, to może nawet warunkowo się mnie zwolni. Udałem, że nie rozumiem, o co chodzi, i z ochotą wyraziłem gotowość bycia patriotą. Na to on:

– Wiedziałem, że ten, który cię w Nakle przesłuchiwał, to bałwan, ale on już u nas nie pracuje.

Była to prawda, bo ten pan został kierownikiem restauracji mieszczącej się w domu, w którym mieszkalem. Nadal udawałem głupiego, twierdząc, że tamten mnie oszukał i wymagał rzeczy, do których ja się nie zobowiązałem. Na to on, ciągle łagodnie:

– Możesz o tym zapomnieć. To, co tam było, nie jest ważne. Teraz inaczej załatwimy sprawę. U ciebie się nie przelewa, zatem dostaniesz co miesiąc pieniądze, byś mógł się uczyć i wyrosnąć na człowieka.

Kamień spadł mi z serca, że tamto to już sprawa załatwiona. Ale co temu powiedzieć? Zacząłem od tego, że jestem wierzący, a to nie pozwala mi szkodzić bliźnim. Roześmiał się, o mało nie spadł z krzesła. Zapytał:

– Ale gdyby ci twoja wiara i ksiądz kazali mnie zabić, to byłoby już całkiem co innego, co?

Stwierdziłem, że to, co mówi, to coś zupełnie niemądrego. Pokiwał głową.

– Myślałem, że wieczornym autobusem wrócisz do domu, ale ty pojedziesz gdzie indziej, nie dziś, nie jutro... Wyskakuj z paska, sznurowadeł i połóż na stole to, co masz w kieszeniach.

Płaszcz i czapkę pozwolił zabrać. Kiedy to zrobiłem, wezwał strażnika, który mnie zaprowadził do piwnicy, gdzie były maleńkie boksy aresztu. Na początku schodów była ciężka żelazna brama, która robiła wiele hałasu przy zamykaniu i otwieraniu. Wkrótce się przekonałem, jakie to było dobrodziejstwo. Strażnik, stale nucąc *Daždliwym wieczierom*, rosyjską piosenkę o pilotach, wepchnął mnie do takiej celki. Pokazał nad drzwiami mały otwór, w którym stał emaliowany kubek; prycza była przypięta do ściany. Powiedział, że spuścić można dopiero po capstrzyku. Leżeć, siedzieć nie wolno, zresztą, nie było na czym. Na podłodze celki było wilgotno, okazało się, że to olej, bardzo ślisko. Strażnik postać chwilę. Wydawało mi się w mroku (tylko na korytarzu paliła się czterdziestka), że kiwał nade mną głową. Westchnął i spytał:

– Na chuj wam to było?

To był jedyny gest współczucia, z jakim spotkałem się w tym królestwie nowo wykreowanej władzy. Muszę jednak przyznać, że podniosło mnie to na duchu. W następne dni, kiedy zgrzytał klucz w drzwiach mojej celi, a zdarzało się to kilka razy na dobę, zawsze wypatrywałem owego strażnika. Chyba raz mnie wyprowadzał do kibla na podwórzu. Wtedy przeżyłem chwilę o wiele bardziej przykrą niż przesłuchania.

Dzień był ciepły, słoneczny. Kuśtykałem w butach bez sznurowadeł, trzymając opadające spodnie w garści. Trzeba było omijać bajora błotne. W oknach siedziały pracowniczki UB, biuralistki, i bezlitośnie szydziły z tych biedaków tak ponizanych, a niektórych – bez nadziei na przetrwanie. Przecież tam byli ludzie, którzy potem mieli procesy i których skazywano na długoletnie więzienie, nie wiem, czy któryś z nich nie miał zasądzonej kary śmierci. Te kobiety wyjątkowo zapadły mi w pamięć. Przez dłuższy czas może zbyt uogólniałem nabytą wówczas niechęć.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, kiedy tylko strażnik pierwszy raz przekręcił klucz w zamku mego boksu i na górze rozległ się łoskot zamykanych żelaznych drzwi, to spuściłem pryczę i usiadłem na niej. Tak już pozostało, nawet kiedy następnie strażnik przychodził. Tylko raz mnie zresztą napomniął, żebym się nie kładł. Oznaczało to, że siedzieć można, nawet wbrew regulaminowi. Siedzę zatem i nasłuchuję ciszy, która nagle nastąpiła. Myśli były niewesołe. Nauka w gimnazjum wzięła w łeb, kto wie, co ze mną zrobią. Kłopot, jak matka to zniesie. Ciszę zmąciły nagle głosy, wyraźnie dochodzące z piwnicy. Ktoś dość głośno pytał:

– Ty, nowy, skąd jesteś. Co tam na wolności? Za co cię zamknęli?

Pomyślałem, że to prowokacja, ale zaraz odezwał się drugi i trzeci głos. Któryś oznajmił:

– Albo mu już dołożyli, albo niemowa.

Potem znów ktoś:

– Dajcie mu spokój, posiedzi, to nabierze ochoty do gadania.

Wreszcie odezwałem się, zapytałem, kim są. Któryś się roześmiał, coś tam odpowiedział, ale nie na pytanie, które rzeczywiście było niemądre. Dowiedziałem się, że jest ich kilku, że co jakiś czas wywożą do Bydgoszczy, że biją. O tym miałem się wkrótce przekonać, kiedy prowadzony na przesłuchanie, widziałem młodego chłopaka zalanego krwią, stojącego na korytarzu twarzą do ściany. Spytałem, czy można tak rozmawiać, czy nikt tego nie słyszy. Okazało się, że nie i trzeba tylko uważać na to, jak się na górze zamykają żelazne drzwi, a także czy

po tym oddalają się kroki. Na ogół do piwnicy schodził tylko jeden strażnik, łatwo zatem było to kontrolować.

Dopiero następnego dnia rano przyszedł po mnie strażnik. Płaszcz kazał zostawić w celi. Wprowadził mnie do pokoju owego grubaska, który mnie przyjmował, i pozostawił samego. Po dłuższym czasie przyszedł mój śledczy. Pouczył mnie, że w czasie rozmowy z nim muszę siedzieć na taborecie, trzymając ręce spuszczone wzdłuż tułowia. Pierwszą moją czynnością było napisanie życiorysu i potem przy każdym przesłuchaniu powtarzało się to samo¹⁸⁸. Na biurku leżały przed nim owe dwa grube skoroszyty, które on leniwie wertował. Co rusz spoglądał na mnie, uśmiechał się kpiąco, kiwał głową, niekiedy mruczał:

– A to skurwysyn wyprawiał kawały, my mu też wyprawimy.

Nagle skoczył jak oparzony, sięgnął po drzewce sztandarów harcerskich, stojące za nim w rogu pokoju, podetknął mi pod nos ich groty i zapytał:

– No, mów, gdzie są sztandary, kto je ukrył?

W harcerstwie byłem, ale ponad funkcję zastępowego nigdy nie awansowałem. O sztandarach wiedziałem, że znikły, ale kto i gdzie je ukrył? Odrzekłem, że w ogóle nie wiedziałem, że sztandary skradziono, takiego właśnie użyłem słowa, ale ubo wiec jakoś na to nie zwrócił uwagi. Uspokoił się dość szybko. W ogóle zauważyłem, że on jakoś sztucznie odgrywał napady wściekłości. Zaczął systematycznie przeszukiwać owe skoroszyty, odczytywać z nich poszczególne donosy i pytać, gdzie i kiedy to czy tamto powiedziałem. Byłem zupełnie szczery, odpowiadając, że nie pamiętam, że w ogóle coś takiego mówiłem, a co dopiero – gdzie i kiedy. Ale on chełpił się, że UB wie wszystko i wydusi ze mnie zeznania:

– Nie będziemy dekonspirować naszych ludzi, by takiego gnojka jak ty usadzić, sam podasz to sądziemu na talerzu.

Przyszło mi wtedy do głowy, by żądać konfrontacji z donosicielami. Oczywiście wyśmiał mnie. Im więcej jednak czytał mi tych donosów, tym bardziej zacząłem sobie przypominać, że faktycznie takie rozmowy miały miejsce. Niekiedy pamiętałem nawet niektóre uczestniczące w nich osoby. Zacząłem się bać. Byłem też potwornie zmęczony. Przesłuchanie trwało już kilka godzin, siedem, może osiem. Pod koniec mój śledczy zaczął okazywać znużenie, a może i znudzenie, ziewał, nieraz wygłaszał sentencje:

¹⁸⁸ Wielokrotne spisywanie życiorysu przez osobę poddaną śledztwu było stałą metodą przesłuchań UB, mającą na celu przyłapanie przesłuchiwanego na nieścisłościach w zeznaniach.

– Tu człowiek musi się męczyć z takim bandytą, a praca dla Polski czeka. Wiesz, jakim jesteś szkodnikiem?

Nie wiem, co zrobił, czy przycisnął dzwonek, czy było to z góry umówione, ale w pewnym momencie wszedł strażnik i zabrał mnie do celi. Był już wieczór. Przy-niesiono jakąś zupę, ale jej nie tknąłem. Po jakimś czasie strażnik zaczął nalewać do kubków nad drzwiami jakąś ciecz. Zapytał przez drzwi, czy miska jest już pusta. Kiedy zobaczył, że oddaję nietkniętą, zapytał, dlaczego nie jem, czy zupa była niedobra.

– Nie jestem głodny...

Przyniósł mi za chwilę dwa kawałki suchego chleba; zjadłem z apetytem. W następne dni jadłem, co mi dawano. Zupa podobno pochodziła z pobliskiego hotelu i była po prostu resztką z tamtejszej kuchni. Zaraz po kolacji położyłem się, choć ów capstrzyk był chyba o godz. 21.00. Nikt jednak do nas tego wieczora nie zajrzał.

Nazajutrz znowu wzięto mnie na przesłuchanie. Ten sam śledczy – tym razem oświadczył mi, że prowadzi tu dział młodzieżowy – kontynuował wczorajszy przegląd donosów. Uparcie twierdziłem, że szpicle kłamią, a ja nigdy takich rzeczy nie mówiłem. W pewnym momencie ubowiec uznał, że kogoś tam obraziłem i należy mi się gimnastyka, która polegała na przysiadach z rękami uniesionymi w górę i liczeniem. Każde przerwanie liczenia powodowało, że trzeba było zacząć od początku. W sumie zrobiłem może około 50 przysiadów i odmówiłem dalszego ćwiczenia. Usiadłem na podłodze wysmarowanej olejem. Śledczy groził, że dostanę łanie, nawet wezwał strażnika, ale kiedy ten się zjawił, polecił mu tylko przynieść coś do picia. Usiłował mnie następnie skłonić do siedzenia na nodze odwróconego taboretu. Oczywiście tego nie zrobiłem. Przez cały dzień wałkował tylko donosy, natomiast ani razu nie wspomniął o mojej odmowie współpracy. Pod wieczór zapowiedział, że to, co nastąpi jutro, zadziwi mnie i zaskoczy. Wyraźnie groził, a zarazem napominał, żebym się wyspał, bo wyglądam, jak gdybym już zdychał.

Spać jednak nie mogłem i następnego dnia, a była to już środa, byłem w złej kondycji. Mój śledczy zamknął ostentacyjnie skoroszyty i oświadczył, że to głupstwa, ale jeśli za nie można dostać minimum 5 lat, to co dopiero za sprawki, które dziś zostaną ujawnione. Muszę przyznać, że wiadomość ta poderwała mnie, choć byłem bardzo zgnębiony. Zaraz miało się pokazać, w czym rzecz. Otrzymałem kilka kart papieru, pióro, kałamarz. Rutynowo już napisałem życiorys, następnie zaś ubowiec zaczął dyktować mi mniej więcej następujący tekst: ja, niżej podpisany, w żaden sposób nieprzymuszony, ale kierując się skrucą z powodu aktu zdrady ojczyzny ludowej, stwierdzam, co następuje. Od dłuższego czasu mam kontakt

z dywersantami, m.in. zrzuconymi na teren Polski przez Amerykanów, i przekazuję im ważne dla obronności państwa informacje. Otrzymałem też i przekazałem dalej bliżej nieznanym mi osobom broń i inne materiały dywersyjne, których przeznaczenia nie rozpoznałem itp. Było tego prawie dwie bite strony kancelaryjnego papieru. Kiedy skończyłem, ubowiec formalnie wydarł mi z rąk zapisany arkusz i triumfalnie oznajmił, że teraz to i czapa być może. Zwróciłem mu uwagę, że przecież nie podpisałem tego „zeznania”. Spojrzał na nie i wyraźnie się stropił. Chwilę milczał, a potem powiedział:

– To nic, ważny jest charakter pisma. – I zaraz dodał: – Podpiszesz mi to, ale przy świadku, bo mógłbyś podrzeć. Już ja was znam, dywersanci.

Położył przed sobą moje „zeznanie” i zaczął wypytywać, gdzie się kontaktowałem ze spadochroniarzami, gdzie przechowuję rzeczy przez nich wręczone, komu je przekazywałem. Patrzyłem na niego i spytałem wreszcie, czy mówi poważnie, bo przecież obaj wiemy, że to wszystko lipa. Obrzucił mnie stekiem przekleństw. Co ja sobie w ogóle myślę, by jego, oficera Wojska Polskiego, frontowego żołnierza pomawiać o takie świństwa. Znowu kazał mi robić przysiady, ale zbytnio nie nalegał, toteż nie ruszyłem się z miejsca. Po pewnym czasie wstał zza biurka, stanął przy oknie, spoglądając na podwórze, i mruczał:

– Pojechałoby się na ryby, a tu musisz się męczyć z takim skurwysynem.

Kiedy zwróciłem mu uwagę, że nie ma prawa poniewierać moją matką, nie zrozumiał.

– Kto tu mówi o twojej matce?

Podobnie, kiedy groził, że może mi się coś stać, a ja mu na to, że z moim ojcem też się coś stało, a konkretnie Niemcy go gdzieś w lesie zamordowali. Żachnął się, że porównałem go z Niemcami:

– My tak jak oni nie robimy, mamy inne metody.

Chyba jednak zauważył, że wdając się dyskusję, traci punkty. Nie wracał do mojego „zeznania”, tylko zapytał, dlaczego nie należę do ZMP i namawiam innych, by nie wstępowali?

– Do ZMP nie mogę należeć jako wierzący katolik.

Machnął na to ręką. Sam też był wierzący, ale skoro Pius XII współpracował z Hitlerem¹⁸⁹, to trzeba sobie wiarę wybić z głowy. Trudno mi było z nim

¹⁸⁹ Podkreślanie współpracy Piusa XII z III Rzeszą było jednym z elementów propagandy antykościelnej nie tylko w Polsce, lecz także w całym bloku wschodnim.

polemizować, nie miałem zbyt wielu argumentów. Co do przeszkadzania innym we wstępowaniu do ZMP, zaprzeczyłem, bym coś takiego robił. Rozmowa tego dnia była dłuższa niż poprzednio, ale przeskakiwał z tematu na temat. Kiedy widziałem, że zaczął zbierać powoli swoje rzeczy, coś mi strzeliło do głowy i poprosiłem o moje „zeznanie”. Zainteresował się, dlaczego ma mi je dać.

– Ponieważ chcę je podpisać.

Chwilę dumał, następnie zapytał, czy naprawdę tego chcę? Kiedy potwierdziłem, popatrzył na mnie i rzekł:

– Ty naprawdę jesteś głupi?

Przekazał mnie strażnikowi i powiedział mu, czego nie zrozumiałem:

– Jutro na górę.

Tamten skinął głową, a prowadząc mnie po schodach do piwnicy, szepnął do mnie:

– Przygotuj na jutro dupę.

I znowu długo w nocy rozmyślałem, co mnie czeka następnego dnia. Myślę dziś, że każde słowo tam wypowiedziane było ukartowane. Chodziło o eskalację strachu i niepewności u więźnia.

W czwartkowy ranek wzięto mnie nie do pokoju na parterze, ale poprowadzono na piętro, do biura, gdzie siedziały owe kobiety, widziane pierwszego dnia w drodze do kibla. Tym razem nie wyśmiewały się, tylko obojętnym i pogardliwym wzrokiem odprowadziły mnie za obite wołokiem drzwi. Za biurkiem siedział mężczyzna około 40–45 lat, śniady i z fryzurą podobną do szczotki; najbardziej jednak uderzały oczy, zupełnie jak woda, bez wyrazu. Było w nich zarazem coś, co młodego, jak ja wówczas, człowieka po prostu porażało. Siedział nieruchomo i zapytał kogoś stojącego za moimi plecami:

– To ten?

– Ten.

Poznałem, to mówił mój śledczy. Chciałem się obejrzeć, ale powstrzymał mnie wrzask tego zza biurka, tytułowanego komendantem. Równocześnie ktoś z tyłu pchnął mnie w ramię i warknął:

– Nie oglądać się, siedzieć prosto, ręce wzdłuż stołka.

Komendant:

– A może chcecie usiąść na nodze?

Padało pytanie za pytaniem. Na moje repliki nie było czasu, aż do momentu, kiedy komendant wrzasnął:

– Otwórz pysk, faszysto, bo ci go tak otworzymy, że już nie zamkniesz. Myślisz, że z władzy ludowej można sobie robić żarty? Ty nas jeszcze nie znasz, ale dziś poznasz, to pewne.

Dotąd nie użył żadnego wulgarного słowa, nawet zgromił strażnika, który pozwolił sobie na przerywnik „kurwa”.

Komendant poruszył sprawę, o której śledczy ani razu nie wspomniał. Zapytał:

– Znacie takiego a takiego, który was w Nakle zwierbował?

Odpowiedziałem, iż znam, ale on mnie nie zwierbował, tylko oszukał. Komendant na to:

– Nieważne, on już z wami nie będzie rozmawiał, tu zainstalujemy was w inny sposób. Macie słuchać oficera, który was przesłuchuje i żadnych sztuczek, bo zakopimy. Zapomnij o tym, co było w Nakle. Nie chcemy cię gnoić, ale musisz być nam pomocny.

Po tej przemowie patrzył na mnie i jednocześnie położył pistolet na biurku, zakręcając go zręcznie tak, że obrócił się kilka razy i zatrzymał rękojeścią w moją stronę. Następnie wyjął z szuflady jakiś papier i oznajmił, że to jest deklaracja, którą muszę podpisać. Odpowiedziałem, że sprawę stawiam jasno: niczego nie podpiszę, mogę iść siedzieć, o ile mi się udowodni przestępstwo, ale Polska to nie okupacja hitlerowska, zatem czekam na wyrok sądu. Komendant wstał, podszedł do mnie i chciał kopnąć w nogę taboretu, na którym siedziałem, czy może nawet kopnąć, ale ja się zerwałem, obracając się zarazem ku drzwiom, gdzie stali mój śledczy oraz dwaj żołnierze, jeden z pepeszą, drugi z jakimś gumowym węzem. Komendant dosłownie dostał szału: na jego skinienie jeden z żołnierzy chwycił mnie za ramiona i usiłował rzucić na ów taboret. Jakoś nie doszło zaraz do bicia, a tymczasem szybko wypaliłem, że muszę koniecznie o czymś powiadomić. Pozwolono mi na to i wtedy gorączkowo zacząłem szukać pomysłu. Palnąłem, że mam kuzyna w Warszawie w MBP¹⁹⁰ i że on wie, gdzie się obecnie znajdują. Jeśli włos mi z głowy spadnie, on się o tym dowie i się o mnie upomni. Mówiłem dalej, że jestem niewinny, a będę cierpiał jedynie za odmowę szpiclowania. Komendant zaśmiał się i zapytał, jak

¹⁹⁰ Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MBP) – instytucja powołana 1 I 1945 na bazie funkcjonującego od połowy 1944 Resortu Bezpieczeństwa Publicznego Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego (RBP PKWN). Zostało zlikwidowane 7 XII 1954 i przekształcone w Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego. Podlegały mu Urzędy Bezpieczeństwa Publicznego (w skrócie nazywane UB). Głównym zadaniem MBP było zwalczanie przeciwników politycznych komunistów polskich oraz utrzymanie porządku publicznego. Instytucja odpowiedzialna za masowe represje na Polakach 1945–1955.

zamierzam udowodnić to w sądzie? Odparłem, że są przecież pewne metody werbowania i wystarczy, bym zeznał, jak to było w moim przypadku, a uwierzą mi.

– W dodatku funkcjonariusz poinformował mnie o trybie pracy dla was, wcale nie pytając, czy się na to zgadzam.

Zapanowało milczenie. Komendant dał znak i wyszli wszyscy prócz śledczego. Próbowano mnie pytać o nazwisko tego kuzyna. Była to nieprzemyślana mistyfikacja, której żałowałem już w chwilę po tym, jak się nią zasłoniłem. Powiedziałem, że zakazał mi wymieniać jego nazwiska, ale jest pułkownikiem. Nie wiem, jak to się stało, że dali się na to nabrać, ale komendant poszeptał coś ze śledczym, po czym powiedział głośno, tak żebym słyszał:

– A z tym chujem trzeba coś zrobić, najlepiej na Wały.

Oznaczało to odesłanie do Bydgoszczy, gdzie na Wałach Jagiellońskich mieścił się sąd i chyba więzienie śledcze¹⁹¹.

Powędrowaliśmy ze śledczym do jego pokoju. Nagle wydał mi się on prawie przytulny. Śledczy miał minę wprost tragiczną. Kręcił głową, rozkładał ręce, biadał nade mną, że taki ciężki los mnie czeka. Pochylił się przez biurko ku mnie i prawie wyszeptał, czy mógłbym mu podać nazwisko owego kuzyna, którego on powiadomi o mojej sprawie, ponieważ jakieś chody mogą być potrzebne. Kiedy powiedziałem mu, że wystarczy mnie zwolnić, by skończyły się wszystkie kłopoty, znikła zaraz jego troskliwość, a zastąpiły ją pogrożki.

– Jeśli tak – rzucił – to jedziesz dziś na Wały.

Wyjął jakiś różowy formularz i zaczął wypisywać moje dane. Pisał dość długo, a kiedy usłyszał za oknem warkot samochodu, wyjrzał i rzekł:

– No, mamy już łazik, wkrótce pojedziecie. Trzeba będzie przynieść wasze palto i czapkę, oddamy wam też pasek i sznurowadła. Szkoda, ale wasz upór was zgubił. My tu nie chcemy waszej szkody, rozumiecie.

Nic na to nie odpowiedziałem. Więc on zaczął od nowa, że mógłbym dziś przenocować w celi, a jutro do domu, bylebym tylko wyjawiał nazwisko. Ja też swoje przez cały czas, bo co miałem robić, skoro kuzyna nie było. Zaczął mnie wypytwać o moją rodzinę, więc łągałem dalej, że niektórzy moi krewni byli w czasie wojny w ZSRS, że są komunistami, ale reszta rodziny z nimi nie utrzymuje kontaktu.

¹⁹¹ W latach 1945–1954 przy ul. Wały Jagiellońskie 10 znajdowało się Więzienie Karno-Śledcze w Bydgoszczy. W jego celach przetrzymywano przeszło kilkaset żołnierzy i członków podziemia niepodległościowego, którzy poddawani byli przesłuchaniom i okrutnym torturom. Wykonano tam co najmniej 72 wyroki śmierci.

Czułem, że płacze mi się to wszystko i lada chwila skończy się ta maskarada. Z pewnością rozszyfrowałby mnie komendant¹⁹². Mówiono o nim, że to Żyd, czego nie udało mi się jednak zweryfikować. Mój śledczy był, jak się wydaje, człowiekiem dość leniwym i prymitywnym. Odniosłem wrażenie, że sprawa ta w ogóle go nie obchodziła. Czekałem na transport, a tu na podwórzu znowu zawarczał samochód i odjechał. Spytałem z głupia frant, czy czasem nasz samochód nie odjechał. A co z Wałami? On na to:

– Chcesz tam jechać, gówniarzu?

Ja na to, że przecież wypisał ten nakaz wyjazdu.

– Co wypisałem, można podrzeć – i uczynił to, drąc w drobne kawałeczki różowy formularz. Zatem nie na Wały. Poszedłem natomiast później niż zazwyczaj do piwnicy.

Następnego dnia strażnik, który mnie wyprowadzał, kazał zabrać wszystkie rzeczy, jakie miałem w celi. Spytałem go, czy idę do domu.

– Iść – idziesz, a czy do domu, czy do ogrodu za kibelem, to się okaże. Szef na ciebie mocno wkurwiony, uważaj.

Śledczy powitał mnie złym humorem i zawył, choć wcześniej zawsze mówił cicho:

– Kto kazał przynieść ten zawszony paltot?

Kazał mi pisać, jak zwykle, życiorys, zaznaczając, że jeśli jedno słówko nie będzie się zgadzało, to popływam w kiblu. Coś za wiele było tej kiblowej tematyki. Zaczęło się maglowanie o kuzyna. Ubowiec po prostu biadolił:

– Jak ty możesz tak dręczyć swoją biedną matkę? Ona w głowę zachodzi, gdzie jesteś. A ty o takie głupstwa się upierasz.

Ja na to:

– Matka moja przecież wie, gdzie jestem. Jeśli kuzyn wie, to ona ma nie wiedzieć?

– Ach, ty gnido! – wrzasnął. – To my tu cię chcemy ratować, a ty w ten sposób? Czy ci nasz funkcjonariusz nie powiedział, że masz nikomu nie mówić, dokąd i na jak długo wyjeżdżasz? Myślałem, że ci coś do łba włożę i sobie pójdziesz, ale widać tobie trzeba rzeczywiście dobrze w dupę dać.

Zadzwoił po strażnika i wyekspediował mnie do celi. Wtedy po raz pierwszy byłem całkowicie załamany. Tak to na mnie wpłynęło, że położyłem się i przespałem całą noc. Rano strażnik, ten sam co dnia poprzedniego, musiał mnie obudzić.

¹⁹² Piotr Korsak (1920–?), szef PUBP w Wyrzysku 1949–1952 (jako p.o. 6 V 1949 – 30 XI 1951). Następnie m.in. szef PUBP we Włocławku 1952–1954 i kierownik sekcji Wydziału IV WUBP/WUdsBP w Bydgoszczy 1954–1956.

Kazał mi znowu zabrać rzeczy i powiedział, że pojedę na niedźwiedzie. Ale śmiał się przy tym i powtórzył:

– Jeszcze nikt szefa tak jak ty nie wkurwił. Coś ty za jeden?

Mój śledczy był w nastroju podniosłym i zarazem łaskawym. Na wstępie rzekł, że ma w dupie mojego pierdolonego kuzyna. Szef też jest mocny.

– A ciebie prędzej czy później i tak zgarną, ale inni, nie my, i wtedy będziesz do mnie jak do ojca tęsknił. Oczywiście gdybyś podpisał współpracę, byłbyś kimś, miałbyś forszę, awans, a tak będziesz gównem, no może kamienie tłuc ci pozwolą. Matura? Owszem musisz ją zdawać, bo my tak chcemy, i jak się będziesz opierdalał, bo niby czeka cię mamer, to ja cię znajdę.

To ostatnie powtórzył kilkakrotnie. Zaraz pomyślałem, że to nie najgorszy z tej bandy. Kazał mi po tym prologu usiąść i wygłosił istną katechezę, jak to państwo robotników i chłopów dba o wszystkich.

– Wiemy – ciągnął – że jesteś biedny. Chcieliśmy ci podać rękę, ale ty wolisz lizać łapy kleru. Jeszcze jest czas, byś zawrócił z tej drogi, potrzeba nam takich jak ty. Damy cię na studia, nie będziesz obijdupą, zajdziesz wysoko. Nie musisz być w urzędzie (tj. UB), bo w każdym miejscu potrzebujemy nie oportunistów (ulubione jego słowo), ale chłopów z jajami. Czy myślisz, że ktoś się tu oparł, jak mu dupę przypiekliliśmy? A kto cię kapował? Twoi koledzy. Bo się zesrali w portki, kiedyśmy ich tu przemaglowali. A ty, w mordę cię raz i drugi, mówiłeś – nie – i gotów byłeś jechać na Wały. Swoją drogą dlatego, że nie wiesz, jak tam kości łamią. Mogliby być z ciebie ludzie, tylko jesteś za głupi.

Widać było, że upaja się swoją przemową. Opowiedział też o sobie: małe gospodarstwo, kilkoro rodzeństwa, nieskończona szkoła, ale ojczyzna wzywa i się idzie. Kiedy skończył, czekał, jak zareaguję. Byłem w trudnej sytuacji, nie chciałem popsuć wszystkiego, jak poprzedniego dnia. Bąkałem coś o tym, jak byłem wychowany, i choć nie będę kapował, to nie jestem też wrogo nastawiony do państwa. Kiedy się wyuczę, oddam to, co państwo mi daje. W inny sposób chcę się wywdzięczać. Jeszcze raz usiłował z innej beczki: czy moje sumienie może być spokojne, jeśli nie przeszkodzę innym działać na szkodę państwa, które jest własnością robotników i chłopów?

W pewnym momencie spojrzał na zegarek, który zawsze z namaszczeniem wyjmował z kieszeni, i powiedział:

– No, dziś sobota, fajrant, a ty masz za godzinę ostatni autobus do Nakła.

Wstał, wypisał mi przepustkę, oczywiście musiałem przedtem napisać zobowiązanie, że będę milczał na temat mojej bytności w PUBP. Wyszedł ze mną do

wartowni i oddał przepustkę, skinął mi ręką i odszedł w głąb korytarza. Strażnicy otoczyli mnie i pytali, jak było, ale zbyłem ich, tłumacząc, do czego musiałem się zobowiązać. Jeden z nich rzekł:

– Lepiej każdemu tak gadaj, byś drugi raz tu nie przychodził. Miałeś, chłopie, szczęście.

Wyszedłem na rynek i musiałem usiąść na jednej z ławek. Nogi odmówiły mi posłuszeństwa, ale wiedziałem, że trzeba jak najprędzej dojść do dworca autobusowego, położonego może 100 m dalej. Dowlokłem się z trudem. W dodatku panowała prawie letnia aura. Kiedy już kupiłem bilet i zamierzałem iść na przystanek, zobaczyłem mojego śledczego. Szedł z rękoma na plecach, rozglądając się. Zmartwiałem, ale postanowiłem upewnić się, czy to po mnie. Umyślnie wyprostowałem się, podchodząc do autobusu, tak że musiał mnie widzieć. Udawał jednak, że mnie nie dostrzega. W przejściu tylko rzucił:

– Nie bądź głupi, zdaj maturę.

Dziwny człowiek. Stale później miałem wrażenie, że coś mu zawdzięczam, i mam to przekonanie nadal po ponad 60 latach.

Jechałem do Nakła, a dręczyła mnie myśl, że nie wstąpiłem w Wyrzysku do kościoła. Nie uczyniłem tego także w Nakle, zaraz na przystanku bowiem spotkałem kogoś znajomego. Spojrzał na mnie i zapytał, czy nie jestem chory i dlatego jestem w tym ciężkim płaszczu. Nie odpowiedziałem nic, ale wiedziałem, że nie pora na pokazywanie się w mieście. Przechodząc obok gimnazjum – umyślnie szedłem okrężną drogą, z nadzieją, że spotkam moją sympatię – usłyszałem grającą orkiestrę i tańczących w auli. Był jakiś bal, nie pamiętam już jaki. Może studniówka starszej klasy? Któraś z koleżanek wybiegła na chwilę na ulicę. Zobaczywszy mnie, zapytała, dlaczego nie jestem na balu. Spojrzała uważniej i szybko odeszła. Później powiedziała mi, że wyglądałem jakoś niesamowicie. Chyba m.in. dlatego, że przez niemal tydzień nie goliłem się i prawie się nie myłem.

Nie muszę mówić, co się działo w domu, kiedy otwarłem nagle drzwi. W tamtych czasach UB opuszczało się w inny sposób. Matka po przywitaniu mnie najpierw spytała, czy zgodziłem się na współpracę (o sprawie z Łabędzkim wiedziała). Odparłem, że nie. Matka na to:

– Gdyby było inaczej, nie miałbyś wstępu do domu.

Nigdy potem o tym nie rozmawialiśmy.

Rozpisałem się o tym nieco szerzej, bo o tego rodzaju praktykach pisze się mało i raczej niechętnie, gdy chodzi o tych, którzy je musieli przeżyć. Dziwiło mnie

to, że nie usiłowano mi wmówić tajnej organizacji. Wprawdzie raz śledczy wspomniał o rozbiciu „całej waszej grupy, a zatem nie warto milczeć”, ale więcej do tego nie wracał. Z UB od tego czasu nie miałem żadnej styczności

aż do krótkiego spotkania na dwa tygodnie przed maturą z chłopakiem, którego znałem jako ministranta i o nic go nie podejrzewałem. Podszedł do mnie, kiedy czytałem sobie coś na ławce w al. Mickiewicza, i powiedział, że jeśli podpiszę deklarację wstąpienia do ZMP, to zdam maturę, jeśli nie – to przepadnę. Ja mu na to, że wszystko być może, on jednak, co mogę mu zagwarantować, nie zda matury nigdy. Odszedł bez słowa.



Procesja Bożego
Ciała w Nakle
nad Notecią,
1950 r.

Ostatnie spotkanie z UB było w seminarium, kiedy zrobili nalot pod pretekstem szukania ulotek Świątły¹⁹³. Wtedy aresztowali na pół roku trzech kolegów, a kilkunastu przesłuchiwali przez cały dzień w gnieźnieńskim UB¹⁹⁴, mieszczącym się *notabene* w dawnym gmachu domu księży emerytów, wybudowanym na krótko przed wojną i zabranym Kościołowi po wojnie. Była to bezbarwna paplanina, której szczegółów nawet nie warto wspominać. Byłem pośród około 20 kolegów, których wtedy wezwano na przesłuchanie. Nie minę się z prawdą, mówiąc, że szedłem bez najmniejszej obawy, a nawet z pewnym zaciekawieniem, jak będzie tym razem. Jedno mogę stwierdzić – pod koniec 1955 r. to nie było już to samo UB co 5 lat wcześniej. Trzem aresztowanym kolegom też nie wytoczono procesu. W późniejszych latach nigdy się nawet nie zastanawiałem, co odpowiedziałbym funkcjonariuszowi SB, gdyby namawiał mnie do współpracy. Nigdy wszakże takiej propozycji nie otrzymałem, przynajmniej *expressis verbis*. Na rozmowy niby prywatne po prostu się nie godziłem. Czy dysponowali informacjami o moich perypetiach w Wyrzysku? Tego nie dowiedziałem się nigdy.

¹⁹³ Chodzi o ulotki zawierające informacje przekazane w audycjach Radia Wolna Europa przez płk. Józefa Świątłę, wysokiej rangi funkcjonariusza MBP, który zbiegł w 1953 na Zachód. W programach ujawniał on ukrywane przez komunistów zbrodnie popełniane przez MBP.

¹⁹⁴ Chodzi o PUBP w Gnieźnie podlegający WUBP w Poznaniu. Jego siedziba znajdowała się przy ul. Chrobrego 40.

Nie wiadomo, jakie materiały z przesłuchań się zachowały, ale w IPN w Bydgoszczy są niektóre sprawozdania PUBP w Wyrzysku z lat czterdziestych i pięćdziesiątych¹⁹⁵. Oto fragment jednego z nich (cytowane sprawozdanie przepisane zostało bez zmian):

Doniesienie poufne dnia 6 III 1950 r. pamiętam powiedział Zieliński do Stachowiaka z gimnazjum w klasie X po zawieszeniu portretu Marszałka Rokossowskiego w klasie Zieliński szturmując mnie łokciem i wypowiada się do Stachowiaka wskazując palcem na marszałka Rokossowskiego mówiąc po co ten miglanc tu wisi. Stachowiak może podać więcej świadków. Drugi fakt zapodać można, że Zieliński zrobi kotylion na zabawę wyrażając się z drwinami przed całą klasą za humorystyczny że zrobi gwiazdę pięcioramienną sierp i młot na numerku w ten sposób wyszydzać godło ZSRR.

Adnotacja funkcjonariusza:

Za tymi doniesieniami materiał ten został wykorzystany do werbunku scharakteryzować zasadnicze zmiany zaszły na poszczególnych obiektach.

W innym sprawozdaniu donosiciel relacjonował akademię ku czci Lenina, podczas której miałem rozśmieszać otaczających mnie kolegów. Siedział zbyt daleko, żeby słyszeć, co mówiłem, zalecał jednak zapytać o to kolegę Michalskiego.

Kolejna notatka z 1 lipca 1949 r., napisana przez Józefa Łabędzkiego, zatytułowana: „Należą do organizacji klerykalnych”. Pośród czterech jako nr 3 wymieniony jest:

Zieliński Zygmunt, zam. Nakło, matka wdowa siostra pracuje w Spółdzielni „Zgoda”.

Ta ostatnia informacja nie była prawdziwa, gdyż siostra pracowała w ZUS. Przytoczone teksty pokazują, jak prymitywne były osoby pracujące wówczas w UB. Bardzo często nie tylko ortografia, ale także styl języka polskiego były do tego stopnia wadliwe, że trudno było zrozumieć treść dokumentu. Oskarżenia czerpane z donosów miały służyć do werbowania tych, których dotyczyły. Doświadczyłem tego na własnej skórze i wiem, że tak postępowano w stosunku do innych kolegów, niejednego mógłbym nawet wymienić z nazwiska.

¹⁹⁵ Zob. Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej, Oddział w Bydgoszczy (dalej: AIPN By), 064/1-71, Sprawozdania miesięczne szefa PUBP w Wyrzysku do szefa WUBP w Bydgoszczy z lat 1945–1954.

Chciałbym podzielić się pewną refleksją, szczególnie dziś istotną. Często w związku z lustracją wrzuca się do jednego worka osoby, które uległy w czasach UB (do 1956 r.) i te, które były TW w czasach SB. Jest to wielki błąd. Metody UB były bardzo drastyczne, żeby nie powiedzieć wprost: bandyckie. SB działało na innych zasadach. Pracowali tam przeważnie ludzie, którzy nabrali pewnej ogłady i mieli jakieś wykształcenie¹⁹⁶. Oczywiście nie znaczy to, że nie popełniali przestępstw, ale w wypadku werbunku agentów trzymali się zasady pewnej dobrowolności, choć wymuszonej różnymi okolicznościami. Tylko ktoś przekonany do tego, co robi, mógł się okazać pożyteczny¹⁹⁷. Ze współpracą wiązał się także konkretny zysk: zapłata w brzęczącej monecie, stypendium, lukratywne stanowisko itp. Dlatego decyzja o byciu TW po 1956 r. jest dla mnie szczególnie odrażająca. Uważam, że niedokonanie lustracji leży u podstaw słabości tego państwa i społeczeństwa, zarzonego trwale oportunistą i wypranego z wartości takich jak patriotyzm, przyzwoitość, honor. Jeśli osoby takie po 1989 r. biorą się do retoryki patriotycznej, często jeszcze podlanej sosem religijności, świadczy to tylko o tym, do jakiego stopnia Polska Ludowa zdołała zrealizować swoje zadania i wychować, jak określano, „człowieka socjalistycznego”. Takim się stał i takim pozostał, czyli nieprawdziwym.

Do matury

Moje pojawienie się w szkole zostało zauważone przez kolegów, choć raczej nie wypytywano mnie o powody tygodniowej nieobecności. Wychowawca też ten temat jakoś omijał. Usprawiedliwienia w każdym razie nie dostarczyłem. Niespotykany wówczas wypadek, by uczeń przez tydzień nieobecny w szkole nie był indagowany o usprawiedliwienie. Wszystko wskazywało na to, że domyślano się przyczyny mojej absencji. Nieco później – nie mogę sobie przypomnieć, kiedy dokładnie,

¹⁹⁶ Poziom wykształcenia funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa w latach 1944–1956 był bardzo niski (oprócz niewielkiej grupy kierownictwa). Po 1956 sytuacja zaczęła się zmieniać. Od lat siedemdziesiątych dbano o to, by wszyscy oficerowie pionów zajmujących się działaniami operacyjnymi wymierzonymi w Kościół katolicki i opozycję mieli wyższe wykształcenie.

¹⁹⁷ Na temat tych uwarunkowań szerzej zob. F. Musiał, *Podręcznik bezpieki. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)*, Kraków 2018. Wspomnianej zasady „pewnej dobrowolności” przestrzegano szczególnie przy werbowaniu do współpracy agenturalnej osób duchownych. Szerzej zob.: Ł. Marek, *Psychologia werbunku kapłanów* [w:] *Kościół katolicki w czasach komunistycznej dyktatury. Między bohaterstwem a agenturą*, t. 3, red. J. Szczepaniak, M. Lasota, Kraków 2010, s. 81–99; *Instrukcje, wytyczne, pisma Departamentu IV Ministerstwa Spraw Wewnętrznych z lat 1962–1989. Wybór dokumentów*, red. i oprac. A. Dziurok, F. Musiał, Kraków–Katowice 2017.

choć chyba byłoby to ważne – ów wychowawca, który był zarazem dyrektorem, zapytał, czy nie uważam, że trzeba by w klasie maturalnej przenieść się do innej szkoły. Wymienił liceum pedagogiczne w Chojnicach. Zainteresowałem się, czy z moim światopoglądem i moimi przekonaniami politycznymi mógłbym w ogóle brać w rachubę taką szkołę i następnie otrzymać posadę nauczyciela. Wprost na to nie odpowiedział, tylko że sam powinienem wiedzieć, iż po tym, co zaszło, moja szansa na maturę w Nakle jest nikła, a on z kolei nie chciałby, bym całkowicie musiał z niej zrezygnować. Pytany, co ma na myśli, mówiąc: „Po tym, co zaszło”, wzruszył ramionami i powiedział coś w rodzaju, iż jestem niepoprawny. Może użył innego słowa i chyba dodał, że nie będzie mógł mi pomóc. Bardzo mnie to zastanowiło. Ubowcy na ogół trzymali swoje sprawy w tajemnicy, ponadto zaś śledczy nie wydawał się obłudnikiem, nalegając bym robił maturę. Doszedłem do wniosku, że dyrektor chce się mnie pozbyć, bo sam nie chce mieć trudności. Dał mi czas do namysłu. Po kilku dniach, gdy spotkałem go na dziedzińcu szkoły, skorzystałem z okazji i oznajmiłem mu, że pójde szukać miejsca gdzie indziej, jeżeli mnie z gimnazjum relegują. Żywo zaprzeczył, by coś takiego miało nastąpić. On po prostu sugerował mi bezpieczne wyjście, ale decyzję muszę podjąć sam. Odparłem, że mam prawo do uczenia się w tej szkole. Nie zareagował na to i nigdy do tematu nie wracaliśmy.

W 1949 r., zamiast pójść w czasie wakacji „na brygadę” do Służby Polsce¹⁹⁸, zaangażowałem się w Cukrowni Nakło do kontraktacji rzepaku i pomiarów buraka cukrowego. Była to uciążliwa praca, na cały tydzień wyjeżdżało się w teren. Mieliśmy bodajże jedenaście powiatów do obsługi, w tym kilka na Ziemiach Odzyskanych. Przy kontraktacji można było nadto zarobić sankcję prokuratorską, należało bowiem wykonać plan, za co był odpowiedzialny kontraktowicz. Niewykonanie uważano za sabotaż i grożono prokuratorem, najpierw jednak śledztwo przeprowadzało UB. Nie wiem, czy ktokolwiek to przechodził, ale groźba wisiła nad każdym z nas. Korzyści materialne były spore: pensja oraz rozliczenie delegacji. Ponieważ ludzie nas żywili i dawali noclegi na ogół darmo (choć okropnie lichy), mieliśmy te pieniądze dla siebie.

Dużo by o tym pisać, zwłaszcza że pracowałem w ten sposób przez trzy ostatnie ferie letnie, łącznie z pomaturalnymi. Gospodarze uważali nas za młodych

¹⁹⁸ Powszechna Organizacja „Służba Polsce” – państwowa organizacja paramilitarna w Polsce ludowej dla młodzieży w wieku 16–21 lat. Utworzono ją na podstawie ustawy sejmowej z 25 II 1948.

komunistów, zetempowców, do których nienawiść była powszechna. Dopiero kiedy się udowodniło, że jest się katolikiem o poglądach mikołajczykowskich¹⁹⁹, następowała pełna symbioza i wracało zaufanie. Cała akcja kontraktowania była bez sensu, kazano nam wymuszać na chłopach sianie rzepaku na gruntach, gdzie on w ogóle się nie udawał. Na Ziemiach Zachodnich gospodarzyli repatrianci zza Bugu, którzy tej plantacji w ogóle nie znali, często zatem marnowano grunty i zarówno plantatorzy, jak i cukrownia ponosili straty. Nie można było tego wytłumaczyć nawet inspektorom, którym podlegaliśmy. Powtarzali oni tylko, że za rzepak do mamra nie pójda, albo po prostu brutalnie nas rugali jako wrogów ustroju. O ile wiem, żaden z nich nie miał przekonań komunistycznych, ale oportunizm był wtedy najlepszą tarczą ochronną.

Niekiedy w czasie kontraktacji zdarzały się sceny wręcz komiczne. Otóż w jednej wsi w okolicy Złotowa zaszedłem do gospodarstwa, gdzie w stodole starszy mocno jegomość wraz z wnuczką zrzucali zboże z wozu. Gospodarz pozdrowił mnie słowami: „Cześć pracy”, i zaprosił na pogawędkę. Rychło wyłożyłem mu cel mej wizyty, mianowicie, że partia oczekuje od niego, by zasiał hektar rzepaku. On się skwapliwie zgodził i wygłosił przemówienie na cześć „Polski chłopów i robotników”, dla której żadna ofiara nie jest zbyt wielka. Spytałem go, gdzie ten rzepak posieje, na co odrzekł, iż o tym zadecyduje syn, który tu się wkrótce zjawi. Wołałem po podpisaniu polówki uciec.

Trzeba pamiętać, że wówczas na tych terenach zakontraktowanie nawet 10 arów rzepaku to był sukces, a 25 to właściwie niedościgłe marzenie. Cóż dopiero cały hektar? Byłem już u męża zaufania, który właśnie odradzał mi wstępowanie do zagród Ukraińców przesiedlonych tam w czasie akcji „Wisła”, kiedy zdyszany, nadbiegł ów syn. Najpierw rzucił się na mnie z wymówkami, że oszukał starego człowieka, a kiedy mu powiedziałem, jak to on mnie gorąco agitował, zaczął mnie błagać, bym zredukował kontraktację choćby do 25 arów, bo ani on, ani ojciec na uprawie się nie znają, a nadto ich ziemia do tego się nie nadaje. Oczywiście poszedłem mu na rękę, ale spytałem zarazem, dlaczego jego ojciec jest takim komunistą? Ten chwycił się za głowę.

– Panie – rzekł – on jak mało kto ich nienawidzi, ale dostał w Sowietach swoje i teraz tak gada, a ludzie go według tego sądzą.

¹⁹⁹ Chodzi o sympatyzowanie z działalnością kierowanego przez Stanisława Mikołajczyka PSL, które było jedyną legalną partią opozycyjną w pierwszych latach rządów komunistów w Polsce.

W innej wsi w tej samej okolicy sołtys, bardzo miły człowiek, siedzący na polniemieckim gospodarstwie, nie miał nawet łóżek w mieszkaniu, spał z rodziną na deskach przykrytych słomą i kożuchami. Kiedy spytałem go, dlaczego się nie urządzi, przecież ma piękny dom, obejście, podsumował:

– Panie, Stalin dał, Stalin zabierze, ja nawet po drewno do lasu nie pojadę, bo stodoła wielka, to i drewna w niej wiele.

Poprosiłem go o skierowanie na nocleg, bo przecież u niego spać nie mogłem, nie było po prostu miejsca. Dał mi kartkę „do Niemców” na wybudowanie. Pojechałem tam. Kiedy się zbliżałem, wszyscy dotąd siedzący na ławce przed domem znikli. Tylko stara babcia ciekawie mi się przyglądała. Przywitałem się:

– *Gelobt sei Jesus Christus!*²⁰⁰

Na to ona po polsku:

– Na wieki wieków. A pan Niemiec?

– Nie, ale podobno wy Niemcy, więc w waszym języku chciałem was pozdrowić.

Na to z domu wyszli inni mieszkańcy i nuże tłumaczyć, jak wraz z księdzem Domańskim z Zakrzewa²⁰¹ walczyli o polskość i byli prześladowani, a teraz każą im się wynosić, przezywają od Niemców. Płakali rzewnymi łzami. Co miałem powiedzieć? Obiecałem wstawiennictwo w gminie, ale nawet tam nie dotarłem, a sołtys następnego dnia mi oświadczył:

– Niech pan im nie wierzy, to niemiachy, oni codziennie podwórko wodą zmywają.

To był argument. Kiedy później mierzyłem plantację z mężem zaufania (który okazał się oficerem marynarki wojennej z czasów wojny, a wtedy siedział cicho na wsi, by go UB nie aresztowało, jak wielu tego doświadczyło i zainkasowało kary śmierci lub długoletniego więzienia), ten nowo upieczony rolnik opowiadał mi niestworzone rzeczy o tym, jak nowi władcy robili wszystko, by te przypadłe Polsce ziemie zdewastować, a autochtonów przepędzić. Po wielu latach na Warmii przeżyłem szok, kiedy starzy autochtoni, mający już w kieszeni niemieckie papiery repatriacyjne, opowiadali mi, jak ludzie bez sumienia i jakichkolwiek kompetencji, za to z legitymacją PPR lub PZPR w kieszeni, gnoili zasłużonych bojowników o polskość tych ziem. Pomiary i kontraktacje to była twarda szkoła życia. Kiedy

²⁰⁰ *Niem.* Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

²⁰¹ Bolesław Domański (1872–1939), ksiądz diecezji chełmińskiej, doktor filozofii, działacz Związku Polaków w Niemczech. Święcenia kapłańskie 1895. Proboszcz parafii św. Marii Magdaleny w Zakrzewie 1903–1939. Niezwykle aktywny w organizacjach polskich pod zaborem pruskim, zaangażowany 1918–1920 w działania mające na celu przyłączenie ziemi złotowskiej do Polski. Prezes Związku Polaków w Niemczech 1933–1939. Jeden z głównych organizatorów I Kongresu Związków Polaków w Niemczech w 1938.

konfrontowało się te obserwacje z tym, co pisały gazety, trudno było zachować spokój, ale ja, nauczony „rekolekcjami” w wyrzyskim UB, wolałem milczeć.

Opowiadano mi też niekiedy o przebiegu referendum 1946 r.²⁰² i styczniowych wyborów do sejmu 1947 r.²⁰³ Aż wierzyć się nie chciało, że stosowano wobec Bogu ducha winnych ludzi tak brutalne represje. O moje wyczyny w czasie wyborów dopytywano się podczas przesłuchania w Wyrzysku dość intensywnie. Poza rozdawaniem kartek mikołajczykowskich (nr 4) nie miałem w tym większego udziału. Może tylko ten, że wieczorem w parku popsuliśmy, ja i kilku kolegów, ormowcowi starego mosina²⁰⁴ (był to egzemplarz jeszcze z wojny japońskiej 1905 r.). Oczywiście w UB o tym nie wiedzieli, a ja zbyt szczerzy też nie byłem. Rozdawania kartek wyborczych nie mogłem się wyprzeć, gdyż zbyt wielu mieli na to świadków.

Praca w cukrowni, na ogół prawie wyłącznie terenowa (w biurze pracowaliśmy tylko wyjątkowo), była dla mnie bardzo ważnym doświadczeniem wejścia w realne

²⁰² Komuniści polscy, wsparci przez wojsko i doradców sowieckich, 30 VI 1946 sfalszowali zorganizowane przez siebie referendum. Uczestnicy plebiscytu mieli udzielić odpowiedzi na trzy pytania: „Czy jesteś za zniesieniem senatu?”; „Czy chcesz utrwalenia w przyszłej konstytucji ustroju gospodarczego zaprowadzonego przez reformę rolną i unarodowienia podstawowych gałęzi gospodarki krajowej z zachowaniem ustawowych uprawnień inicjatywy prywatnej?” oraz „Czy chcesz utrwalenia zachodnich granic państwa polskiego na Bałtyku, Odrze i Nysie Łużyckiej?”. Nad sfalszowaniem wyników referendum czuwała specjalna grupa wysłana przez Stalina 20 VI 1946 do Warszawy, dowodzona przez płk. Arona Pałkina, naczelnika Wydziału D Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MGB) ZSRS, zajmująca się fałszowaniem i przetwarzaniem dokumentów. Władze komunistyczne zorganizowały przed plebiscytem dużą akcję propagandową pod hasłem „3 x TAK” – w odpowiedzi na zadane pytania. Opozycja i podziemie niepodległościowe, aby odróżnić się od komunistów, nawoływały do głosowania „nie” na jedno, dwa bądź trzy pytania. Polskie Stronnictwo Ludowe wezwało do głosowania „nie” na pytanie o zlikwidowanie senatu i „tak” na dwa pozostałe. Oficjalne wyniki sfalszowanego referendum władze ogłosiły dopiero 12 VII 1946. Rzeczono w plebiscycie wzięło udział 85 proc. uprawnionych. „Tak” na pierwsze pytanie miało odpowiedzieć 68,2 proc. uczestników referendum, na drugie pytanie – 77,3 proc., a na trzecie pytanie – 91,4 proc. Według historyków w skali całego kraju odpowiedź twierdzącą na trzy pytania udzieliło nie więcej niż 27 proc. głosujących. Był to sprawdzian przed sfalszowaniem wyniku wyborów do sejmu w 1947.

²⁰³ Wybory parlamentarne do Sejmu Ustawodawczego przeprowadzono 19 I 1947. Sfalszowano je przy pomocy aparatu policji politycznej oraz wojsk NKWD i za pomocą metod wypróbowanych przy referendum z 1946. Wpłymano na ich wynik również za pomocą masowych represji, m.in. pozbawiono praw wyborczych ponad 400 tys. osób. Według oficjalnych wyników na Blok Demokratyczny (grupujący partię komunistyczną i jej satelickie partie) głosowało 80,1 proc., na PSL – 10,3 proc., Stronnictwo Pracy – 4,7 proc., PSL „Nowe Wyzwolenie” – 3,5 proc. Zachowane źródła nie pozwalają na odtworzenie prawdziwego wyniku wyborów. Na podstawie danych ze stu obwodów (na ponad 6 tys.) na PSL oddano 63 proc. głosów, a na listę Bloku – 27 proc.

²⁰⁴ Karabin Mosin wz. 27 – skonstruowany pod koniec XIX w. przez Siergieja Mosina karabin powtarzalny. Był (w tej wersji i kolejnych) podstawowym uzbrojeniem rosyjskiej, a następnie sowieckiej piechoty od lat pięćdziesiątych XIX do lat pięćdziesiątych XX w., gdy zastąpił go karabin szturmowy AK.

życie. Zetknąłem się z ludźmi bardzo różnego pokroju, o różnych poglądach i zasadach moralnych. Były to niekiedy osoby o wysokim poziomie kulturalnym, szukające schronienia na wsi, z dala od urzędów i od swej własnej historii, zwłaszcza wojennej, chociaż nie tylko. Kiedy indziej zwyczajni kombinatorzy, którzy chcieli, korzystając z niestabilnej sytuacji, zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych, obłowić się i pójść dalej.

W pewnej wsi koło Człuchowa, gdzie gospodarstwa poniemieckie zajęli prawie wyłącznie rolnicy z Wielkopolski, którzy zorganizowali swój własny ośrodek maszynowy, można było zauważyć względny dobrobyt. W sąsiedniej wsi z każdego kąta wyglądała nędza, a w żniwa specjalny wóz jeździł po wódkę do spółdzielni, ludzie zaś pomstowali na te poznańskie pyry, które tylko by szarpały, a liczyły każde ziarno i każdego ziemniaka. Kiedy zauważyłem, że tam jest porządek i już po żniwach, a tu dopiero ostrzą kosy, machnęli ręką:

– Pan chyba też z nich, to co tu gadać?

Bywało i tak, że właściciel gospodarstwa, które z wyglądu sprawiało wrażenie folwarcznego, skwapliwie godził się na moje namowy, żeby zakontraktować kilkadziesiąt arów rzepaku.

– Zasiałbym nawet kilka hektarów, ale przy moich 80 morgach (20 ha) mam jednego konia i jałówkę, kilka kur i żadnej świni, bo tak mnie domiarami wykończyli jako kułaka. Nie pragnę niczego bardziej, jak tego, żeby ktoś przyszedł i zabrał ten cały majdan, bo ja już tu gospodarzyć nie będę, a oddawałem państwu więcej dostaw niż cała wieś.

Przerażająca była ta podłość i głupota władz, które do odmierzania zasiewów używały ideologii i wytyczały drogę gospodarzowi, który od pokoleń pracował na swoim kawałku ziemi.

Muszę powiedzieć, że kiedy w latach dziewięćdziesiątych przebywałem trochę na wsi w Lubuskiem, zauważyłem jeszcze ślady tej niegospodarności i to bardzo liczne, często żenujące. Może zawiniła polityka rządu, który ludzi tam osiedlonych nie uwłaszczył i tym samym ugruntował w nich przekonanie, że siedzą na poniemieckim, a zatem nie do końca swoim. Nadto przecież ziemie te stanowiły poletko doświadczalne dla PGR²⁰⁵, państwowej własności rolnej, największej głupoty, jaką

²⁰⁵ Państwowe Gospodarstwo Rolne (PGR) – forma socjalistycznej własności ziemskiej w Polsce w latach 1949–1993; gospodarstwo rolne, którego właścicielem było państwo. W 1949 władze komunistyczne rozpoczęły przymusową kolektywizację, polegającą na zrzeszaniu chłopów w rolniczych spółdzielniach produkcyjnych. W 1956 na fali odwilży z około 10 tys. spółdzielni pozostało 1,5 tys.

popęłił komunizm. Spółdzielnie produkcyjne miały szansę rozwoju i prosperowania, pod warunkiem że byłyby naprawdę spółdzielniami, a nie przyczółkiem ideologicznym, mającym na celu zamianę chłopą w robotnika. Dużą przeszkodą w szerzeniu ruchu spółdzielczego na wsi były odniesienia do wzorców kołchozowych. Wszystko, co stamtąd pochodziło, z góry było odrzucane i to niemalże zgodnie, także przez większość partyjnych. Na rdzennie polskich terenach akcja kolektywizacji była krótka i mało skuteczna, dlatego szkody nie są tak dotkliwe. Na Ziemiach Zachodnich spustoszenie jest do dzisiaj nie do odrobienia. Patrzyłem wtedy na jego pełny „rozkwit”, jeśli można tak powiedzieć. To ostatecznie ugruntowało moją niechęć do komunizmu, a zarazem wzbudzało coraz większą pogardę dla ludzi, którzy z oportunistu lub zaślepienia stawali w szeregach jego pionierów.

Czas kontraktacji to była prawdziwa szkoła życia i ekonomii politycznej w innym niż oficjalne wydaniu. Była to też niekiedy szkoła przetrwania. Kiedyś byłem tak zmęczony po „obrobieniu” jednej z wsi, że jadąc rowerem do następnej, zboczyłem na drogę polną i ułożyłem się na odpoczynek w rowie osłoniętym sporym krzakiem. Sądziłem, że to dobra kryjówka. Rower położyłem obok siebie i przywiązałem kierownicę do dłoni. Gdyby ktoś chciał go zabrać, musiałby mnie obudzić. Obudziłem się po kilku godzinach. Teczke miałem pod głową, więc była, rower przywiązany też był na miejscu, ale portmonetki w kieszeni spodni nie było. Chyba trzy dni przeżyłem w terenie bez grosza przy duszy. Bywało i tak.

Na dwa ostatnie lata przed maturą taka edukacja bardzo obciążała moją, jakże niewyrobioną jeszcze, psychikę. Nie umiałem dostosować się do otoczenia. Mimo mojej najlepszej woli dochodziło do scysji w czasie lekcji czy w ogóle na terenie szkoły. Arogancja działaczy zetempowskich prowokowała do ripost, a niekiedy także czynów. Miałem już doklejoną etykietkę reakcjonisty, każdy zatem mógł się na mnie wyżywać. Do 1948 r. oparciem było harcerstwo. Po jego likwidacji tacy jak ja znaleźli się poza marginesem krzykliwej grupy kolegów w koszulach zetempowskich lub mundurach SP. Nie mogłem ani na chwilę zapomnieć, że każde moje spotkanie było odnotowywane w Wyrzysku. W tym czasie bardzo się wyobcowałem ze społeczności gimnazjalnej, a zbliżyłem do kolegów spoza szkoły, znanych mi z harcerstwa. Od tego czasu datuje się moja przyjaźń z Edwardem Górnikiewiczem, byłem drużynowym „Trójki” przy Szkole Podstawowej nr 1. Te więzy przetrwały aż do jego śmierci przed kilkoma laty, a właściwie trwają nadal w postaci kontaktów z jego rodziną. Wspominam także innych kolegów z tego środowiska, przeważnie rzemieślniczego, wolnego od służalczości wobec

władz komunistycznych. Mogę śmiało powiedzieć, że te kontakty dały mi na nowo poczucie pewności siebie. Nauczyłem się też czegoś, co do dziś stanowi niejako wyznacznik mojego stosunku do ludzi. Było to wartościowanie według kryteriów charakterologicznych, a nie klanowych. *Notabene* wielu z tych kolegów pozaszkolnych odznaczało się nieprzeciętną inteligencją, a przede wszystkim niezależnością sądów, czego od ówczesnych adeptów przyszłej nomenklatury nie można było w żadnym wypadku oczekiwać.

Wielkim błędem z mojej strony było poniechanie walki o lepsze wyniki w nauce. Może zresztą nie o wyniki chodziło, w wielu dziedzinach bowiem, zwłaszcza humanistycznych, nie czułem kompleksu niższości wobec kolegów z czołówki. Kiedy jednak przeglądałem moje świadectwa, a zachowały się wszystkie, i liczę stopnie dostateczne, to jest ich prawie 90 proc. w skali wszystkich lat gimnazjalnych. Nawet z łaciny najczęściej miałem taki stopień, choć nauczyciel był świetny, a ja do poduszki czytywałem *De bello gallico* Cezara, i jeszcze dziś, po ponad 60 latach, potrafię wyjaśnić każde zjawisko gramatyczne, nie mówiąc o praktycznym posługiwaniu się tym językiem. Dlaczego więc tak liche oceny? Sam wielokrotnie siebie o to pytałem i nadal zapytuję. Odpowiedzi w pełni zadawalającej nie znajduję. Porównując się z innymi kolegami i koleżankami klasowymi, choćby tylko w wymienionym przedmiocie, widziałem, że większość nigdy nie wyszła poza wyuczenie pamięciowe tłumaczenia. A jednak mieli stopnie dobre i bardzo dobre. Szkoda, że wówczas nie potrafiłem walczyć o sprawiedliwe oceny i poddałem się jakiemuś fatalizmowi. Przez długi czas dalszych studiów w seminarium duchownym i na uniwersytecie z trudem musiałem wyzbywać się niewiary we własne siły, a szacunku dla szkoły średniej nie odzyskałem, prawdę mówiąc, do dziś. Kiedy później sam w niej uczyłem, mogłem obserwować zjawisko duszenia samodzielnego myślenia. Tylko wyjątki pośród nauczycieli postępowały odwrotnie, ale też nie znajdowały one bynajmniej zrozumienia we własnych szeregach.

Ostatnie lata w gimnazjum były zatem bezbarwne, także gdy chodzi o zmieniających się nauczycieli. Niektórych, obecnych u nas przez krótszy czas, z niczym w ogóle nie kojarzę i trudno mi cokolwiek o nich napisać. Może tyle, że czasem potrafili zdobyć się na rezerwę wobec odgórných nacisków mających na celu zbolszewizowanie szkoły. Inaczej tego nazwać nie można, jeśli zważy się, że tylko i wyłącznie to, co radzieckie, było stawiane na piedestał.

Kiedyś powiedziałem na lekcji nauki o Polsce współczesnej o jakiejś zasłudze Piłsudskiego. Nauczyciel, nasz wychowawca, bardzo delikatnie, ale tak,

by wszyscy to zauważyli, zgromił mnie i wyjaśnił, że to właśnie Piłsudski dokonał najazdu na ZSRS, wysługując się rządowi imperialistycznemu. Kiedy

próbowałem dalej pytać o rok 1920, kolega siedzący za mną chwycił mnie za pasek od spodni i posadził w ławce. Do dziś jestem mu za to wdzięczny. Dalsza rozmowa z tym nauczycielem odbyła się na lodowisku szkolnym. Zapytałem, czy przed wojną nie był wielbicielem Piłsudskiego, w przeciwieństwie do mojego ojca, który za Marszałkiem nie przepadał. Łagodnie, ale stanowczo udzielił mi pouczenia:

– Człowiek musi iść z prądem, pod prąd nie pójdzie się długo i nie zajdzie się daleko.

Byłem wtedy bardzo młody i z pewnością brakowało mi wiedzy, ale jednego byłem pewien, iż tą drogą nie pójde nigdy. Dziś, po z górą półwieczu od tamtej rozmowy, nadal nie mogę pojąć takiej recepty na życie.

Na szczęście ani mi wówczas do głowy nie przychodziło, żeby odejść ze szkoły i szukać szczęścia gdzie indziej. Już pisałem o propozycji matury w liceum pedagogicznym. To nie wchodziło w rachubę. Kiedy byłem w dziesiątej klasie, pojawili się podchorążowie ze Szkoły Oficerskiej Wojsk Pancernych z Wrocławia²⁰⁶ i toruńskiej Oficerskiej Szkoły Artylerii²⁰⁷. Werbowali,

Uczniowie klasy Xb Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią po lekcji religii w kościele, 1950 r.



²⁰⁶ Chodzi o Oficerską Wyższą Szkołę Wojsk Pancernych i Zmechanizowanych – szkoła wojskowa sił zbrojnych Polski ludowej. Utworzona w 1951 na bazie Oficerskiej Szkoły Broni Pancernej w Poznaniu. Oprócz kształcenia oficerów dla wojsk pancernych przygotowywano tam dowódców wojsk zmechanizowanych. W 1954, w dziesiątą rocznicę powstania, szkoła otrzymała imię hetm. Stefana Czarnieckiego. W czerwcu 1956 podchorążowie wzięli udział w stłumieniu zamieszek społecznych w Poznaniu. W 1957 kształcenie oficerów wojsk zmechanizowanych przejęła Oficerska Szkoła Piechoty nr 1 we Wrocławiu. Spowodowało to zmianę nazwy szkoły w Poznaniu na Oficerską Szkołę Wojsk Pancernych. W tym samym czasie zlikwidowano Techniczną Oficerską Szkołę Wojsk Pancernych w Giżycku i przygotowywaniem kadr technicznych wojsk pancernych zajęła się wyłącznie szkoła oficerska w Poznaniu.

²⁰⁷ Oficerska Szkoła Artylerii (OSA) – szkoła kształcąca kandydatów na oficerów artylerii. Powołano ją 30 III 1945. Szkole 12 X 1954 nadano imię gen. Józefa Bema. Rozwój artylerii WP, a zwłaszcza wprowadzenie na jej uzbrojenie broni raketowej, spowodował zmiany w profilu kształcenia podchorążych OSA. W ich wyniku minister obrony narodowej rozkazem nr 44/MON z 21 VII 1965 przemianował szkołę od 30 VIII 1965 na Oficerską Szkołę Wojsk Rakietowych i Artylerii.

obiecywali złote góry. Był to czas, kiedy najchętniej uciekłbym z Nakła. Przez chwilę myślałem, żeby się w ten sposób wydostać, a potem się zobaczy. Nie wiedziałem, jak bardzo skomunizowane jest wojsko. Bardzo mi to odradzała matka. Poszedłem też na rozmowę z księdzem prefektem. Przyjął to bardzo spokojnie, ale powiedział bez ogródek:

– Musisz się z jednym liczyć. Będziesz musiał być posłuszny oficerowi politycznemu. Czy widzisz, jak potajemnie do spowiedzi przychodzą urlopowicze z tych szkół?

Owszem, widziałem. Byli między nimi także moi koledzy. To zadecydowało, że nie poszedłem ani do Wrocławia, ani do pobliskiego Torunia. Ileż warte jest wsparcie dobrą radą! Tego wyboru żałowałbym przez całe życie.

W ostatniej klasie – jedenastej – zaraz na początku roku nastąpiło coś, co o mało nie zwichnęło mojej i tak już zagrożonej kariery. Na lekcji polskiego, korzystając z chwilowej nieobecności w klasie polonistki, pani Obniskiej, ktoś z kierownictwa ZMP zaczął omawiać jakąś akcję wyraźnie wymierzoną w uczęszczających na lekcje religii, które wówczas już odbywały się w zakrystii kościoła św. Stanisława. Wybuchła kłótnia, w czasie której ktoś nazwał mnie reakcjonistą, terroryzującym kolegów i koleżanki, przeszkadzającym im we wstąpieniu do ZMP. Było wtedy szesnaście takich osób, a nasza matura miała być pierwszą maturą socjalistyczną. Okropnie się zdenerwowałem, a ponieważ akurat trzymałem w dłoni kredę, rzuciłem nią przez całą klasę w tablicę. Właśnie w tym momencie do klasy weszła polonistka. Kreda przeleciała jej przed nosem. Spytała, kto to zrobił. Wstałem natychmiast i usiłowałem ją przeprosić, wyjaśnić, że nie miałem zamiaru w jakikolwiek sposób jej urazić. Nie dała mi dojść do słowa. Zaczęła histerycznie krzyczeć, że to bandytyzm, że chciałem ją tą kredą uderzyć, że ona to poruszy gdzie trzeba i muszę być ukarany. Oczywiście było, że gdyby zrobił to któryś z jej ulubieńców, ze śmiechem pogroziłaby mu palcem i byłoby po krzyku. Ale reakcjonista i – o czym dobrze wiedziała – ktoś, komu mocno po piętach deptało UB, był wdzięcznym przedmiotem ataku. Na koniec dziesiątej klasy,



Uczniowie klasy Xb Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią. Stoją od lewej: Lemański, Hass, Adamski, autor, siedzą: Błaszczyski, Zięba. W środku: N.N., 1950 r.

rok przed maturą, miałem stopień odpowiedni ze sprawowania i znalazłem się w gazetce ściennej jako przykład reakcjonisty. Wisiałem w głównym

korytarzu dość długo. Podłe to były czasy, kiedy różnego rodzaju wazeliniarze i szpicle wyżywali się w gorliwym zwalczaniu elementu obcego klasowo.

Muszę przyznać, że wiele kłopotów narobiłem sobie sam, ponieważ nieraz puszczały mi nerwy. Tak było w wypadku zatargu z nauczycielem chemii, którym w zastępstwie był pan K., student chemii z UAM, urodzony naklanin. Postawił mi na półro-



Uczniowie klasy maturalnej po lekcji religii w kościele.
W środku: ks. prefekt Kazimierz Warda, Nakło nad Notecią, 1950 r.

cze roku szkolnego 1949/1950 stopień niedostateczny z chemii, chociaż ani razu mnie nie pytał. Być może podejrzewał mnie o kawał, jaki zrobiono mu kiedyś z pewnym doświadczeniem, które skończyło się potężnym wybuchem i dość głośną awanturą. Nie byłem w to jednak zamieszany i nawet nie wiedziałem, kto to zrobił. Ów nauczyciel, nie wiem dlaczego, wręczał nam świadectwa półroczne. Kiedy zobaczyłem niedostateczną ocenę z chemii, zmiałem świadectwo i wyszedłem z klasy.

Dyrektor, wtedy jeszcze pan Bieliński, wezwał moją matkę i skarżył się na mój brak opanowania. Matka bardzo to przeżyła, ale powiedziała dyrektorowi, że uczeń, raz w taki czy inny sposób napiętnowany, zawsze będzie bezbronny. Była to prawda, której skutków doświadczałem na własnej skórze. Dyrektor potwierdził wówczas przy matce, że to się zgadza, ale on jest ostateczną instancją, nie tylko dla uczniów, lecz także dla nauczycieli, którzy być może sobie nie radzą. Zatem wiedział, jak się sprawy miały. Miał też rację, że moja reakcja była niemądra i dowodziła braku kultury. Zawsze brano to za złe uczniowi, rzadziej nauczycielowi. W końcu szkoła wychowywała uczniów, a nie nauczycieli. Dyrektor Bieliński był wybitną osobowością i jako pedagog, i jako wychowawca. Dla mnie był niekwestionowanym autorytetem. Wezwał mnie zaraz po tej rozmowie. Najpierw, jak miał w zwyczaju, naskoczył na mnie:

– Co ty sobie, głupi byku, myślisz? Że ja ci skórę uratuję, a biedną matkę chcesz jeszcze bardziej pognać? – i w tym stylu jeszcze chwilę przemawiał. Uspokoił się wreszcie i zaczął z innej beczki. Że on jest tu stale szpiegowany i zagrożony i niektórzy tylko czekają, żeby go oskarżyć o tolerowanie wybryków, jakich tacy jak ja się dopuszczają itp. Kiedy poprosiłem o głos i dyrektor mi go udzielił, oświadczyłem, że nauczyciel chemii, z którym była ta cała awantura, źle uczy, a właściwie nie uczy wcale. Rozgniewał się ponownie, ale nie zaprzeczył. Zasugerował, żebym takie uwagi zachował dla siebie. Przy całym moim ówczesnym braku doświadczenia jedno było dla mnie jasne: dyrektor był po mojej stronie. To bardzo dodało mi otuchy.

W klasie maturalnej zdałem sobie sprawę, że nagonka, której celem byłem i której uniknąć nie mogłem, nie idąc na kompromis z lobby ideologicznym, może doprowadzić do niepowodzenia przy egzaminie dojrzałości i uniemożliwić mi jakiegokolwiek dalsze kształcenie się. Trzeba było zaangażować się w jakieś prace społeczne. Usiłowałem coś robić w PCK²⁰⁸, zbierałem zioła, liście, zgłaszałem się do każdego zadania, do którego werbowano w ramach tej organizacji. Ale opiekunką koła PCK była pani Cieślowska, dla mnie rafa nie do przebycia. U niej liczyły się tylko jednostki dobrze ugłaskane, z dobrymi tatusiami, ładnie ubrane, zawsze przymilnie grzeczne. Nic z tego jakos się mnie nie czepiło. Moje wysiłki szły na marne.

Kiedy z jakiejś okazji nagrodzono działaczy PCK, okazywało się, że ci, którym na niczym nie zbywało, otrzymali ładne rzeczy z ubioru i inne ciekawe przedmioty, ja zaś i kilku mi podobnych dostaliśmy patyki, które miały być obsadkami do piór, ale żadne stalówki do nich nie pasowały. Oczywiście, znowu naraziłem się pamiętliwej nauczycielce, bo wygłupiając się, chodziłem z kilkoma kolegami po dziedzińcu szkolnym z owymi obsadkami w uszach. Podobno był to widok komiczny, ale nie dla tej pani, która uznała, że tak zachowują się niewdzięczne łobuzy.

Pojęcie wdzięczności jest, jak widać, dość pojemne. Byłem rozgoryczony, bo brakowało mi wszystkiego, a potraktowano mnie jak żebraka, podczas gdy

²⁰⁸ Polski Czerwony Krzyż (PCK) – najstarsza polska organizacja humanitarna będąca członkiem Międzynarodowego Ruchu Czerwonego Krzyża i Czerwonego Półksiężycza. Zajmuje się udzielaniem pomocy humanitarnej w czasie klęsk i wojen, pomocą socjalną, nauką świadczenia pierwszej pomocy, prowadzi zabezpieczenia medyczne na imprezach masowych, propaguje ideę honorowego krwiodawstwa, rozpowszechnia wiedzę o międzynarodowych prawach konfliktów zbrojnych. Władze Polski ludowej pozbawiły PCK autonomii. Od 1948 PCK miał systematycznie ograniczaną przez władze możliwość działania w zakresie opiekuńczym i leczniczym. Państwo przejęło od PCK majątek stowarzyszenia w postaci m.in. szpitali, prewentoriów, sanatoriów, izb zdrowia, przychodni lekarskich i dentystycznych, stacji opieki nad matką i dzieckiem oraz stacji pogotowia ratunkowego.

osoby dobrze sytuowane były nieproporcjonalnie do ich zaangażowania obdawowane i publiczne wychwalane. Powiem tylko, że do zbierania określonego gatunku liści, co odbywało się późną jesienią, potrzebowano właśnie takich łobuzów jak ja. Trudno było narażać młodzież delikatną i dobrze ubraną na zimno i słotę. Może to, co piszę, jest zgryźliwe, ale niech czytelnik zważy, że piszę to po półwieczu z górą, a moje odczucia są niezmiennie takie same: zarówno wtedy, jak i teraz. To przecież coś znaczy.

Niekiedy niesprawiedliwość, jakiej się doznawało w szkole, bolała wprost nieznośnie. Któregoś roku w ramach pomocy świątecznej przed Bożym Narodzeniem rozdawano piękne granatowe marynarki, nadesłane bodajże z Kanady. Były to, jak się później okazało, trencze oficerskie czy może mundurki z jakiejś szkoły wojskowej. Ja dosłownie nie miałem w co się ubrać i tak bardzo liczyłem, że – jako rzeczywiście ubogi – otrzymam taką marynarkę. Najpierw obdzielono kolegów, którzy byli dobrze sytuowani i dobrze widziani, resztę rzucono takim jak ja. Były to wszystko okrycia tak małe, że chyba żaden z kolegów nie mógł ich przywdziać. Bardzo boleśnie to przeżyłem. Takie wydarzenia dystansowały człowieka od społeczności, w której przychodziło mu żyć.

Zatem takie „synekury” jak PCK i podobne w moim wypadku nie zdały się na nic. Pograżały tylko jeszcze bardziej. Rada się jednak znalazła. Trwała wtedy walka z analfabetyzmem²⁰⁹, polegająca na tym, że w szkołach organizowano kursy czytania i pisania. Dyrektorką Szkoły Podstawowej nr 2 była pani Wachowiczowa, żona mojego wychowawcy, następnie dyrektora gimnazjum. Była to osoba, której zalety trudno przecenić. Przede wszystkim nie trzeba było się obawiać, że to, co mówi, nagle straci aktualność. Zgłosiłem się do niej z propozycją objęcia jednego kursu w ramach czynu społecznego. Zgodziła się bardzo chętnie i dała mi do zrozumienia, iż orientuje się, jak bardzo potrzeba mi takiego glejtu, choćby częściowo wyrównującego inne moje liczne braki. Zacząłem uczyć, a w klasie byli zarówno moi rówieśnicy (i nieco ode mnie młodszy), jak i tacy, którzy mogli z powodzeniem być moimi dziadkami. Przeważali mężczyźni. Prawie wszyscy mnie znali, zatem o jakimkolwiek autorytecie belferskim nie mogło być mowy.

²⁰⁹ Intensywną akcję walki z analfabetyzmem władze Polski ludowej przeprowadziły w latach 1949–1951. Na ten temat zob. szerzej: S. Mauersberg, M. Walczak, *Szkolnictwo polskie po drugiej wojnie światowej (1944–1956)*, Warszawa 2005, s. 249–253; M. Budnik, *Walka z analfabetyzmem w Polsce Ludowej i jej realia w świetle wybranych dokumentów Ministerstwa Oświaty oraz Biura Pełnomocnika Rządu do Walki z Analfabetyzmem*, „Acta Universitatis Lodziensis, Folia Litteraria Polonica” 2013, s. 31–41.

Mimo kilku scysji stosunki z grupą układały się jednak dobrze. Zwłaszcza starsi kursanci byli bardzo wdzięczni, gdy już trochę potrafili pisać, bo z czytaniem szło łatwiej. Ponieważ patronat nad tym przedsięwzięciem miały związki zawodowe, przewodniczący powiatowy często zaglądał do szkoły i wyraźnie mnie sobie upodobał. Kiedyś spytał, jakie mam trudności i dlaczego? Wiele mu nie zdradziłem, ale on się domyślał i rzekł:

– Nie przejmuj się niczym, jakoś to będzie, jesteś fajny chłopak, bo mało gadasz, a swoje robisz.

Powiem, wyprzedzając opowiadanie, że był on czynnikiem społecznym na maturze²¹⁰ akurat w dniu, w którym ja zdawałem. Moje szczęście, że nie był nim sekretarz Komitetu Powiatowego PZPR, który tę funkcję na ogół wykonywał osobiście. Wtedy gdzieś wyjechał.

Kursy dla analfabetów przywróciły mi poczucie względnego bezpieczeństwa. W szkole wiedziano, jak działałem, i nawet ten czy ów burknął, że dobrze, kiedy element się włącza. Myślałem sobie później, że gdyby nie owe kursy, uznano by mnie bezapelacyjnie za element aspołeczny. Na jednym z zebrań zarządu szkolnego ZMP tak o mnie mówiono, a wyznał mi to kolega z klasy, zdeklarowany komunista, syn naczelnika więzienia w Trzeciewnicy czy w Potulicach, Stachowiak, reemigrant z Francji. Bardzo zdolny uczeń i właściwie dobry kolega, mimo różnic światopoglądowych. Powiedział mi wtedy, że on się w takie rzeczy nie bawi, ale są tacy, którzy szkodzą dla różnych korzyści. Można było wyczuć, że nie ma ich w wielkim poważaniu. Dał mi też do zrozumienia, że tacy jak on nigdy nie szpiclują, szpicli bowiem się kupuje. Pomyślałem, że w tej dziedzinie wiem jednak więcej od niego. Swoją drogą chyba i on wiedział, jakie perypetie przeżywałem z UB. Twierdzić tego nie mogę, ale wywnioskowałem to z jego półsłówek. Rozmowę naszą pamiętam, odbywała się wieczorem pewnego jesienno dnia w jednej z bram domu przy ul. Bydgoskiej. Zdaje się, że w domu tym mieściła się piekarnia, do dziś jeszcze czuję w nozdrzach zapach świeżego chleba, który zalatywał wtedy z głębi podwórza. Wyżej przedstawiłem odkryte w IPN opinie wyrzyskiego UB o mnie. Było tam też doniesienie tegoż kolegi.

Takich komunistów, jak ten mój kolega, więcej właściwie nie znałem. Wszyscy pozostali to byli karierowicze lub osobnicy, którzy koniecznie chcieli uchodzić

²¹⁰ Członkami każdej komisji egzaminacyjnej na maturze byli działacze partyjni, którzy mieli czuwać nad „postawą moralno-polityczną” zdających. Osoby te niejednokrotnie decydowały o ocenie egzaminu.

za ideowych, ale nikt im nie wierzył, począwszy od wierchuszki ZMP, a kończąc na bliskim ich otoczeniu. Ci byli nie do zniesienia. Najlepszy dowód, że tak było, to odejście od pracy organizacyjnej większości aktywistów gimnazjalnych, skoro tylko znaleźli się na studiach. Tak przynajmniej później słyszałem od kolegów, którzy studiowali w Poznaniu, Gdańsku, Wrocławiu. Trzeba jednak pamiętać, że z tego pokolenia wyszli także aparaczczyki czasów Gomułki, a zwłaszcza Gierka, kiedy korupcja w szeregach partyjnych sięgnęła szczytu. W moim otoczeniu takich głośnych bonzów nie było, ale kilku mniejszych można by się doliczyć.

Do matury w 1951 r. podchodziłem jak do przedsięwzięcia, którego uniknąć nie można było, ale w którego powodzenie nie miało się odwagi wierzyć. W moim wypadku nie wiadomo było, co czyniło ją bardziej nierealną – moja kartoteka polityczna czy też fakt, że w ostatnim roku zreformowano szkoły średnie, przemieniając je na ogólnokształcące. Odpadała matura humanistyczna, której bym się nie bał, i matematyczno-fizyczna, dla mnie i dla wielu kolegów rzecz zgoła niewyobrażalna. Podobnie zresztą mogli się czuć koledzy i koleżanki przygotowujący się do matury matematyczno-fizycznej, z tym że przedmioty, nie wiadomo dlaczego nazywane ścisłymi, dominowały w nauczaniu, a języków obcych, do których byli przygotowani humaniści, i tak się w czasie tej nowej matury nie zdawało. Przedmioty były następujące: pisemne egzaminy dla wszystkich z języka polskiego i matematyki oraz ustne z obu wymienionych przedmiotów, fizyki, historii oraz nauki o Polsce i świecie współczesnym. W wypadku matur kierunkowych humaniści zdawaliby zamiast matematyki i fizyki język obcy i wybrany przedmiot. Zmiana zatem była znacząca, a zważywszy, że reforma nas zaskoczyła, nasz rok był bowiem pierwszy, który taką maturę zdawał, można sobie wyobrazić nastroje.

Musiałem jakoś nadgonić matematykę, którą traktowałem po macoszemu, mimo że profesor Jan Gorączko, świetny nauczyciel, robił, co mógł, żeby mi tę dziedzinę przyswoić. Wydaje mi się zresztą, że i on był w odniesieniu do mnie pesymistą, do tego stopnia, że nawet niezbyt pilnie egzekwował ode mnie zadania domowe. Jeżeli o coś mógłbym mieć pretensję, to jedynie o to, ale winą i tak była całkowicie po mojej stronie. Na jakieś dwa miesiące przed maturą zacząłem się niepokoić moimi brakami w matematyce. Do fizyki podchodziłem dość niefrasobliwie. Uczył jej wtedy niedawno do Nakła przybyły pan Gajtkowski²¹¹, którego nie zdążyliśmy jeszcze poznać. Nie była to już fizyka niezapomnianego

²¹¹ Alfons Gajtkowski uczył fizyki w szkole w Nakle w latach 1950–1975.

pana Błazejewskiego. Ale z czasów jego belfrowania sporo pamiętałem i może to mnie trochę uspiło. Matematykę starałem się nadganiać i szło mi całkiem dobrze. Pomagali mi doskonali matematyk, Mietek Błaszczński i Tadek Ziółkowski, trochę swobodny w sposobie bycia, ale zdolny i zwłaszcza w matematyce potrafiący dziecinnie łatwo tłumaczyć zawiłe sprawy. Tym dwóm kolegom wiele zawdzięczam, zwłaszcza Tadekowi, z którym na trzy dni przed pisemną maturą przerobiłem po dwa zadania z każdego działu algebry i na egzaminie pisemnym miałem jedno z tych zadań, a drugie, łudząco podobne, przypadło mi w czasie egzaminu ustnego. Zacząłem energicznie rozwiązywać, a profesor Gorączko, spacerujący między rzędami stolików ustawionych w auli, coraz to zaglądał mi przez ramię i mruczał:

– No proszę, kto by myślał – miał taki trochę nienakielski sposób wymawiania pewnych głosek.

Jedno z zadań na egzaminie pisemnym mylnie przepisałem z tablicy i sobie je przez to utrudniłem. Było to coś z logarytmami i wynik wychodził mi zupełnie, nawet dla mnie, niewiarygodny. Fakt ten, odkryty zaraz po egzaminie pisemnym, bardzo mnie przygnębiał, wszystko wskazywało bowiem na to, że poprawnie przepisane zadanie nie stanowiłoby dla mnie problemu. Wokół Gorączki krążyłem jak sęp, by się czegoś dowiedzieć, ale on, kiedy tylko widział, że się zbliżam, zawsze gdzieś mi umykał. Kiedyś kopaliśmy piłkę na dziedzińcu szkolnym, a profesor jak zawsze chętnie parę razy nogę przyłożył. Dłużej grać nie chciał, bo jak twierdził, musi poprawiać te niebotyczne bzdury, któreśmy napisali. Zobaczywszy mnie, zaśmiał się urągliwie i powiedział:

– Zieliński to scęgólny baran, bo sobie utrudnił zadanie, nie potrafiąc przepisać poprawnie z tablicy.

Skorzystałem z okazji i spytałem, czy warto się przygotowywać do ustnego. A ten znowu:

– Patscie go, tak mówi, jakby się przygotowywał do pisemnego.

Po cichu dodał:

– Mógłbym ci postawić czwórkę²¹², ale siedziałbyś tu o rok dłużej, a tego bym nie zniósł, he, he, he.

Taki był, ale gniewać się na niego nie można było, bo widać było, że życzy człowiekowi dobrze. Wspominam go zawsze ze szczególną sympatią.

²¹² Niedostatecznie.

Ustna matura odbywała się wtedy w ten sposób, że wchodziło się przed komisję i zdawało wszystkie przedmioty. Zwykle trwało to do trzech godzin. Szedłem jak na ścięcie. Pierwszy jasny promyk, to był czynnik społeczny, przewodniczący związków zawodowych, który pokiwał mi przyjaźnie ręką. Ten gest postawił mnie na nogi. Człowiekowi temu też tego nigdy nie zapomniałem, chociaż wyleciało mi z głowy jego nazwisko.

Prognozy nie były dobre. Już pięć osób oblało maturę, szósta w dniu, w którym i ja zdawałem. Zadanie z matematyki miałem jedno z tych, które mi Tadek wyjaśnił, zatem zrobiłem je szybko. Gorączko cały czas stał przy tablicy i kręcił głową, ale już nie kpił. Widziałem w jego oczach chyba podziw. Następnie robiłem zadanie z fizyki. Pan Gajtkowski miał minę surową, a ponieważ zawahałem się przy jednym z wzorów, zaczął nerwowym szeptem coś do mnie mówić. Co to było, nie wiedziałem ani wtedy, ani dziś nie wiem. W pewnym momencie profesor Gorączko zainteresował się moim zadaniem, oparł się na stole stojącym obok tablicy i zaczął po swojemu przygadywać, ale zarazem nacisnął na właściwy klawisz i ruszyłem. Gajtkowski coś mu wymawiał, ale ten mnie nie odstępiał, aż zrobiłem zadanie. Chodziło tam m.in. o prędkość głosu i w zdenerwowaniu zacząłem pisać 340 c..., chcąc pisać centymetrów, a Gorączko na to:

– To chyba mucha tak leci.

Gajtkowski zaś:

– Proszę nie podpowiadać.

– No właśnie, kolega cały czas mówi.

Aż się skręcałem ze strachu, ale ten dyskurs omal mnie nie rozśmieszył.

W wypadku języka polskiego byłem na straconej pozycji, bo pani Obniska oświadczyła *ex cathedra*:

– Ty pisać nie potrafisz i nigdy się nie nauczysz.

Jakoś piszę, choć może nie tak, jak sobie ta pani to wyobrażała. Egzamin był bezbarwny, coś z pozytywizmu. Pytał następca pani Obniskiej profesor Godlewski, nazywany – nie wiadomo dlaczego – Gandhim. W przeciwieństwie do poprzedniczki był to człowiek o poglądach raczej wówczas niepoprawnych, w dodatku praktykujący katolik. Jako polonista niczym szczególnym się nie wyróżniał.

Z historii pytał pan Marciniak. Z góry nastawił się do mnie na nie. Mówił matowym, cichym głosem, patrzył przy tym mniej więcej na czubek mojej głowy, co raczej wykluczało dialog. Skakał z tematu na temat po całym XIX w. i stale uzupełniał pytanie dociekaniami jakichś szczegółów, choć innych pytał żenująco

ogólnikowo. Pan Gorączko usiadł na krześle obok mnie i po cichu zapytał egzaminatora, czy wszystkich tak szczegółowo pyta? Wreszcie otworzył podręcznik w miejscu, gdzie było coś z mojego tematu i położył mi go na kolanach. Sytuacja była napięta, bo o mało nie doszło do kłótni między obu profesorami. Na szczęście egzamin dobiegł końca. Profesor Gorączko głośno powiedział:

– No, Zieliński, gdybyś był tak dobry w matematyce...

Oczywiście dostałem stopień dostateczny. Była to tak rażąca niesprawiedliwość, że nawet nie czułem się urażony. Gorączko po egzaminie kręcił głową i swoim zwyczajem powtarzał:

– Coś niezwykłego, coś niezwykłego...

Wreszcie przyszła kolej na naukę o Polsce i świecie współczesnym. Pytał dyrektor, pan Wachowicz:

– Czy w Związku Radzieckim istnieją klasy?

Byłem na to pytanie przygotowany, nawet nie wiem dlaczego, ale dręczyło mnie ono od dłuższego czasu i starałem się dużo na ten temat czytać. Odpowiedź nie mogła być jednoznaczna, bo społeczeństwo komunistyczne czy zmierzające do komunizmu było bezklasowe, gdy chodzi o stosunek do narzędzi produkcji, natomiast ze względu na specyfikę socjologiczną, jak byśmy dziś powiedzieli, były dwie klasy ludu pracującego: miast i wsi. A w sumie nazywało się to sojuszem robotniczo-chłopskim. Dyrektor kręcił się na krześle i zaczął mi przerywać. Mówił, że upraszczam, bo w gruncie rzeczy istnieje tylko jedna klasa, robotnicza, a i to przy założeniu społeczeństwa bezklasowego klasą tego nazwać nie można. Broniełem się, jak umiałem, m.in. przypominając, że jeśli istnieje świadomość klasowa, to musi istnieć klasa. Zacząłem się powoływać na klasyków, choć Bogiem a prawdą trochę blefowałem. Wreszcie wpadłem na pomysł wykorzystania kołchozów, gdzie spółdzielcy byli współwłaścicielami ziemi, podobnie jak robotnicy zakładów, w których pracowali. Decydowała własność kolektywna, a ona nie sprzeciwiała się istnieniu dwóch klas i wykluczała sprzeczności między nimi, co charakteryzowało klasy w kapitalizmie. Dyrektor patrzył na mnie jak na heretyka, a wtem czynnik społeczny się odezwał i spytał mnie, czy należę do ZMP. Zaprzeczyłem. A on na to:

– Chciałbym, by każdy zetempowiec tak był uświadomiony politycznie. Gratuluje.

Już wiedziałem, że matura zdana. Dyrektor dla zachowania twarzy powiedział, że jeszcze by popytał.

– Ale skoro uważacie – gest w kierunku przewodniczącego – że wystarczy, to niech tak będzie.

Zaraz po ogłoszeniu wyników popędziłem do domu, gdzie matka czekała z niecierpliwością. Siostry nie było w domu, pracowała w ZUS w Bydgoszczy, dokąd codziennie dojeżdżała. W domu nie mogłem usiedzieć, pobiegłem do kościoła, następnie jeszcze gdzieś. Po prostu chciałem uwierzyć, że poszło. W mojej sytuacji trudno było o pewne prognozy. Zdawałem w ostatnim dniu.

Był zwyczaj, że po zakończeniu egzaminów maturalnych miasto należało do maturzystów. Łatwo było nas rozpoznać, mieliśmy bowiem nasze czapki gimnazjalne albo ozdobione na denku kolorowym wyszyciem, albo denko było przecięte na krzyż i rogi odgięte na zewnątrz, tak, że tworzyła się koperta, w której tłem była podszewka czapki. Częstsze były wyszywanki. Co dziewczęta robiły ze swymi beretami, tego nie pamiętam. Już po południu tegoż dnia chodziliśmy grupami po mieście, odwiedzaliśmy zwłaszcza profesorów, niekiedy także innych prominentów – śpiewając pod oknami, wywabialiśmy ich na zewnątrz. Kto pozwolił się wywieść z domu, ten musiał wędrować z nami. Tak było z łacinnikiem profesorem Feliksem Kamińskim. Wołaliśmy pod jego oknami:

– *Veni amice*²¹³ – i jeszcze inne łacińskie aforyzmy. Wzbraniał się, ale kiedy dziewczęta zaczęły prosić, złamał się i wyszedł. Chyba tego żałował, bo nie pozwoliliśmy mu odejść do późnego wieczora.

Nie pamiętam, by innych udało się wywabić. Poszliśmy jednak na ul. Potulicką do naszego czynnika społecznego. Zasłużył na to, bo dzięki niemu nastrój na maturze był wspaniały. Wyszedł do nas wyraźnie uradowany. Odśpiewaliśmy kilka piosenek, a on wyniósł nam kilka butelek dobrego wina. Mieliśmy tego trunku (o wódce nie było mowy) pod dostatkiem, niektórzy już nabrali trochę tej sztucznej wesołości, wzbudzonej nadmiarem wina, ale od przybytku głowa nie bolała.

Trudno dziś sobie przypomnieć, gdzie dokładnie chodziliśmy. Byliśmy – nie wszyscy, bo w końcu ideologia miała tu też coś do powiedzenia, a jeśli nie ona, to obawa przed utratą łaski panujących – u prefekta ks. Kazimierza Wardy i piliśmy wino z jednego wielkiego szklanego kielicha, do którego zmieściła się niemal cała butelka *Lacrimy*, obrzydliwie słodkiej. Kielich krążył w kółku, siedzieliśmy na podłodze, ksiądz wśród nas, i ryczeliśmy na całe gardło *Górala*, *Ognisko* i podobne piosenki. Potem rozniosło się po mieście, że ksiądz rozpija młodzież. Wiem,

²¹³ *Łac.* Chodź, przyjacielu.

od kogo ta plotka wyszła, ale nie powiem, bo przyczyną „oburzenia” tej pani nie było bynajmniej rzekome pijaństwo u prefekta, ale jego uwagi na temat jej szczodroblowości wobec niektórych uczniów. Kto te czasy pamięta i był w gildii, ten wie, o co chodzi, reszta wiedzieć nie musi.

Niewiele przypominam sobie z tego dnia, może dlatego, że był to dzień mojej matury i zmęczenie było potworne. Tadek Ziółkowski, jak zawsze przedsiębiorczy i już pod muchą, dokonał małej secesji i przejął przywództwo nad grupą, w której ja też się znajdowałem. Przechodziliśmy właśnie obok baru mlecznego w rynku. Tadek rzucił hasło:

– Na lody!

Oczywiście zostało to przyjęte z entuzjazmem. Lody były wspaniałe, ale do dziś nie wiem, kto za nie płacił. Pytałem następnie po kolei wszystkich kolegów, nikt nie wiedział. Może fundowała firma, co wcale nie byłoby takie dziwne, gdyż mieszkańcy Nakła okazywali nam na każdym kroku życzliwość. Niejeden mówił:

– Jesteście naszą dumą.

Gdzież te czasy? Jak bardzo wszystko potaniało i spowszedniało. Pomyśleć, że maturzysta wówczas już był zaliczany do inteligencji!

Niektórzy koledzy i koleżanki świętowali do rana dnia następnego. Nikt się nie upił, choć dobre humory mieliśmy wszyscy. Byli wśród nas przyjaciele Bachusa, którzy później ulegli temu nałogowi, ale nie do pomyslenia było, by maturę uczcić ordynarnym pijaństwem. I znowu przeskok o ponad 50 lat, dziś ze studniówki uczniów wynoszą. *Tempora mutantur et nos mutamur in illis*²¹⁴. Nie dotrzymałem kroku tym najwytrwalej balującym. Emocjonujący egzamin, wypite wino i wielogodzinne wędrówki dały mi się we znaki. Ponadto moja siostra wróciła po południu z pracy i czułem potrzebę bycia z nią. W końcu to jej ciężka praca umożliwiła mi naukę.

Był także, choć nieco później, bal maturalny. Zaprosiłem – i to właśnie w dniu owego pomaturalnego świętowania – spotkaną zupełnie



Grób rodziny
Zielińskich
w Nakle nad
Notecią

²¹⁴ Łac. Czasy się zmieniają, a my zmieniamy się wraz z nimi.

przypadkowo koleżankę z młodszej klasy E.G. Znałem ją, ale nigdy bliżej się nie przyjaźniliśmy, choć była bardzo miła i z pewnością mogła kogoś zainteresować. Wiem, że uraziło to inną dziewczynę, która być może spodziewała się zaproszenia, wyświadczyła mi bowiem kiedyś wielką przysługę. Podczas pobytu na kontraktacji w pobliżu miejscowości, gdzie mieszkali jej rodzice, miałem wypadek rowerowy, który doprowadził do przedarcia moich spodni w dość krępującym miejscu. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, a w dodatku bardzo silnie zbiłem łokieć i kolano, ucierpiał także rower. Przypomniałem sobie adres tej dziewczyny i z duszą na ramieniu zapukałem do drzwi. Na szczęście to ona otworzyła. Kiedy mnie ujrzała, zaczęła się dosłownie ślaniać ze śmiechu. Zawołała matkę i śmiały się obie. Już miałem obrócić się na pięcie i odejść, kiedy Marysia chwyciła mnie za łokieć i wciągnęła do sieni. Następnie zawiodła przed lustro i powiedziała:

– Popatrz, jak wyglądasz, i pośmiej się sam z siebie.

Rzeczywiście, widok był żałosny. Na nieszczęście nie było w domu spodni, które by mogły mi posłużyć. Matka Marysi umyśliła, że w slipach usiądę za stołem i przykryję dół mego ciała obrusem. W tym czasie Marysia zacerowała spodnie iście po mistrzowsku. Po sutym posiłku i naprawieniu roweru ruszyłem dalej. Pewnie to ona byłaby moją drugą połową na balu maturalnym, ale to przypadkowe spotkanie i moja zbyt podłana wylewność sprawiły, że stało się inaczej. Niczego nie mogłem już naprawić.

Bal maturalny zupełnie się nie udał, przynajmniej gdy chodzi o mnie i moją partnerkę. Nigdy nie miałem pociągu do tańca, a prawdę mówiąc, tańczyć nie potrafiłem. Werbowałem tancerzy dla mojej „dziewczyny”, a ona wyraźnie była tym zdegustowana. Odprowadziłem ją nad ranem na pociąg i zupełnie nie potrafiłem sprostać sytuacji. Nie miałem takich możliwości finansowych, jak wielu innych moich kolegów, także pod tym względem zawiodłem na całej linii. To drobne, jak by się mogło wydawać, niepowodzenie niejednokrotnie w życiu przychodziło mi na myśl i budziło zażenowanie. Nigdy później tej dziewczyny nie spotkałem i nie zrobiłem nic, by jakoś wynagrodzić tę moją niezręczność.

Ówczesny bal maturalny w niczym nie przypominał dzisiejszych imprez tego typu. Przede wszystkim nie było wtedy na ogół par w stylu mój chłopak, moja dziewczyna. Były kontakty koleżeńskie, były też sympatie, ale na palcach można było policzyć związki o poważniejszym charakterze, które później kończyły się małżeństwem. Bal taki był czysto koleżeńską imprezą, co sprawiało,

że dla wielu był tak atrakcyjny. Przede wszystkim większość chciała się wytanńczyć. Była okazja, gdyż każdy i każda musieli przyjść z partnerem czy partnerką, nie była to więc zwykła zabawa gimnazjalna, jaka odbywała się raz, dwa razy do roku. Żadna dziewczyna ani żaden chłopak nie podpierali ściany. Gorzej było takim jak ja, którzy tańczyć nie umieli lub nie lubili. Najlepiej byłoby nikogo nie zapraszać. Na balu maturalnym tak być nie mogło. Stąd moje niepowodzenie, które mnie jakoś podłamało, bo przekonałem się, że nie nadaję się do towarzystwa rówieśników. W pewnym sensie ułatwiło mi to później – choć nie tylko to – podjęcie ważnej decyzji życiowej.

Trudno tak po prostu opisać moje uczucia po zdaniu matury. Nie tylko z racji osiągniętego powodzenia. Moja matura naprawdę wisiała na włosku. Byłem przeznaczony na odstrzał. I nagle wszystko przestało być ważne, już mnie nie mogli dosięgnąć. Wprawdzie oświadczone mi, że studia i tak nie są dla mnie, bo liczy się postawa ideologiczna, ale jeszcze się nad tym nie zastanawiałem. Przyszłość była niejako za mgłą. Jeżdżąc po kontraktacjach, myślałem, że trzeba wybrać się do Gniezna i się rozejrzeć, ale nie formułowałem jakiegoś konkretnego zamiaru. To był dziwny czas. Najdziwniejsze było to, że w podświadomości tkwiła już decyzja, ale nie mogła się jeszcze przebić do stanu konkretnego. Nie myślałem w ogóle o innych studiach uniwersyteckich i to bynajmniej nie z tej racji, iż faktycznie miałem wilczy bilet. Nie miałem po prostu żadnych planów. Pytano mnie później nieraz, czy wahałem się między jednym a drugim rozwiązaniem. Otóż nie, takich wahań nie było. Była natomiast swoista ospałość, gdy w grę wchodziły konkretne czyny, np. w tym czy tym dniu pojedę i się zgłoszę. Nawet konieczna w tym wypadku rozmowa z proboszczem czy prefektem nie przychodziła mi do głowy, choć z drugiej strony znowu w jakimś zakamarku podświadomości czała się myśl, że trzeba przecież pójść. Odpowiedź przychodziła zazwyczaj w postaci świadomej zwłoki. Może jutro, pojutrze, byle nie dziś. Nie mogłem sobie później tego nastroju wytłumaczyć. I chyba do dziś nie potrafię.



Drużyna piłkarska w Nakle nad Notecią, około 1949 r.

Człowiek dojrzały

Nazajutrz po maturze zaczęły się zwykłe, codzienne troski. Kilka tygodni wcześniej musieliśmy wypełnić formularze i zadeklarować kierunek studiów. Rzecz jasna, nie podałem żadnego. Wychowawca pytał mnie kilkakrotnie, czy to przeoczenie, czy też świadome pominięcie. Wybrnąłem, że mnie nie stać na studia i będę pracować. Kiedyś spytał:

– A może do Gniezna?

Wiadomo, że chodziło o seminarium. Odpowiedziałem wtedy całkiem szczerze, że nie wiem. Rzeczywiście nie wiedziałem. Myśl taka przychodziła mi do głowy, już o tym pisałem. Wiedziałem, że decyzją pozytywną sprawiłbym wielką radość matce. Ale bałem się, ponadto nie wiedziałem, czy zdołam zrezygnować z życia rodzinnego. Z dziewczętami bliższych kontaktów nie miałem, choć były sympatie, w pewnym okresie jedna nawet dość absorbująca. Ta osoba postąpiła później zgoła sprzecznie z moimi przekonaniem, a wielką wagę przykładam do zgodności w dziedzinie światopoglądowej, nawet politycznej. Ponadto mieszkała już w innym mieście. Rzadko się widywaliśmy. W czasie ostatniego spotkania uświadomiłem sobie, że jest to już ktoś inny; można by podsumować, że skończył się sen, a przebudzenie wymagało jakiejś inicjatywy. W którym kierunku? Pytanie wracało, ale odpowiedź odsuwałem na jutro, pojutrze. W każdym razie nie było kogoś ani czegoś konkretnego, co mogłoby być poważną alternatywą. Chwilowo dałem sobie z tymi myślami spokój.

Rodzina Karolczyków, naszych sąsiadów z czasów wojny, mieszkała w Pruszczu Pomorskim, naszej siedzibie sprzed wojny. Jeździłem tam w czasach gimnazjalnych. Pracowaliśmy z Kazikiem w warsztacie stolarskim jego ojca, głównie pomagając robić trumny. Osiągnąłem znaczną biegłość w tym fachu i potem, już jako ksiądz, w czasie pogrzebów na pierwszy rzut oka odróżniałem klapinosy od solidnych „opakowań”. Bezwzględny autorytetem w dziedzinie stolarstwa był dla mnie nie szef warsztatu, ale jego czeladnik, Antek (nazwiska nie pamiętam). Przemięty, kulturalny człowiek, od nas o dobre dziesięć lat starszy. Był uosobieniem cierpliwości, a jego uśmiech łagodził wszelkie spory, które wskutek krewkości szefa niekiedy wybuchały. Otóż po maturze otrzymałem wiadomość, że Antek się żeni, gdzieś koło Łowina. Do kontraktacji pozostało jeszcze trochę czasu, a ciągnęło świeżo upieczonego maturzystę pokazać się na starych śmieciach. Pojechałem.

Na wesele wyruszyliśmy z Kazikiem rowerami po nieprzespanej nocy (trzeba było w odstępach dwóch godzin wstawać i pociągać trumnę kolejną politurą). Wesele jak wesele, zwłaszcza na wsi. Wiele jedzenia, hałas, tańce, rozgardiasz. Ludzi

nie znałem, poza tym przeliczyłem się z moimi możliwościami jako tancerz. Nigdy tańczyć nie lubiłem i też nie potrafiłem, jedno z drugim idzie w parze. A tu takie panie dobrze po czterdziestce (lub nieco przed) upodobały mnie sobie i nuże ciągnąć w tany. Wreszcie Kazik mnie wyswobodził. Siedliśmy potem w kącie w młodszym towarzystwie. Przyszedł też pan młody i przyniósł butelkę „taty z mamą”. To był taki modny wówczas trunek, który składał się ze spiritusu, wody i soku wiśniowego. Jak mocne to było, trudno powiedzieć, ale smakowało łagodnie i piło się jak taką trochę wyrazistszą oranżadę. Antek nie był pijakiem, zapewniał nas też, że trunek jest nieszkodliwy. Faktycznie, kilka kieliszczków, tzw. stopek, nie zrobiło na mnie wrażenia. Muszę wyznać, że wódkę piłem wtedy pierwszy raz w życiu.

Było już dość późno, kiedy dwie dziewczyny, siostry z gospodarstwa położonego w linii prostej może o niecały kilometr od weseliska, zapragnęły pójść do domu. Wiadomo, następnego dnia trzeba było iść do pracy. Były to bardzo sympatyczne wiejskie dziewczyny. Jedna z nich jakoś się ulotniła, chyba poszła z chłopakiem, a ta druga oglądała się za kimś, kto by ją odprowadził. Prawie wszyscy byli trochę zawiani, a zresztą tańczono do upadłego. Poczułem się kimś ważnym, a nadto chciałem jakoś odskoczyć od tańczących. Zaoferowałem swe usługi jako osoba towarzysząca. Zgodziła się nader chętnie.

Poszliśmy. Droga wiodła miedzą i polną ścieżką, a więc rosa, mokro, trochę takie gliniaste błotko, ciemno. Dziewczyna radziła sobie lepiej, ale ja miałem na sobie jedyne dobre ubranie – to z matury, kupione za moje zarobione na kontraktacji pieniądze – i bardzo lekkie trzewiki. Zacząłem żałować swej rycerskości, ale co było robić? Trzeba było brnąć dalej. Wreszcie doszliśmy do jakiegoś płotu grodzącego przyzagrodową łączkę. Nieopodal był dom mojej heroiny. Znajdowaliśmy się na polnej, ale suchej, ubitej drodze. Trochę księżyc nam przyświecał, mogłem ocenić poniesione straty. Spodnie podwinąłem, więc jakoś ocalały, ale buty były w opłakanym stanie, całe oblepione gliną, przemoczone. Dziewczyna coś przebąkiwała, że trzeba wysuszyć, ale nie chce budzić rodziców, którzy – nie wiadomo dlaczego – na weselu nie byli. Zbyt skomplikowane było to wszystko. Powiedziałem jej, że lepiej pójde teraz inną drogą, a nie na przełaj i jakoś będzie. Była zatroskana, zapraszała, żeby wstąpić następnego dnia. Nawet dobrze nie wiedziałem, jak wyglądała, bo było ciemno, a na weselu nie przyglądaliśmy się sobie.

Kiedy wróciłem, pani Karolczykowa wsiadła na mnie, że zniszczyłem ubranie, buty, że się rozchoruję, że gdzieś za dziewczynami się uganiam. Nic dziwnego, że zaszyliśmy się z Kazikiem w jakimś kącie i nuże próbować rozkosznego „taty

z mamą". Dobrze to było, nawet za dobre. I za wiele. W pewnym momencie zachciało mi się bardzo spać. Zamiast jednak gdzieś na siano powędrowałem, prowadzony przez jakąś dość energiczną damę, na „parkiet”, czyli na klepisko. Nasłuchiłem się przy tym na temat zepsucia dzisiejszej młodzieży, która gdzieś po kątach chła, podczas gdy stateczne kobiety, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, wygniatają ławki pod ścianą. Wszystko docierało do mnie jakby z oddali. Coraz bardziej czułem się w innym świecie. Na chwilę wróciła świadomość, bo usłyszałem wyraźnie głos mojej tancerki, która do kogoś mówiła:

– No, ten jest już gotowy.

To były ostatnie moje doznania na tym weselu. Pamiętam, że czuliłem się jeszcze do psa uwiązanego przy stodole i dopiero następnego dnia dowiedziałem się, że jest to straszny ludojad. Rzeczywiście, ujrzawszy mnie, wprost zaczął się pienić. Widocznie stosował ulgę tylko dla weselników.

Obudziłem się na sianie następnego dnia, około obiadu. Czułem się „świetnie”. Kazik, który był w takim samym stanie, też skądś się wygrzebał. Mieliśmy tylko kanadyjki (to były takie wdzianka) i każdy w kieszeni pomplki od roweru. Rowerów ani śladu. Inni goście sobie na nich pojechali. Szliśmy zatem prawie 10 km pieszo. Dobrze nam to zrobiło. Ślubowaliśmy nie pić więcej wódki. Nie wiem, jak on, ale ja przez wiele lat się tego trzymałem, nie pijąc absolutnie niczego poza winem.

Wakacje prusieckie szybko się skończyły. Trzeba było wracać. Żadnej decyzji co do mojej przyszłości nie podjąłem. Zaczęły się kontraktacje i pomiary. Jeździłem po terenie, ale myślami byłem gdzie indziej. Kiedyś spotkałem jednego z kolegów kontraktowiczów. Był to człowiek niewiele starszy ode mnie, ale już żonaty, miał chyba dwoje dzieci. Postanowiliśmy do końca tygodnia trzymać się razem i obrabiać obydwa tereny – jego i mój. Dużo rozmawialiśmy ze sobą. Pytał mnie, co będę robił. Zdobyłem się na szczerłość i zwierzyłem mu się z moich dylematów. On bez wahania powiedział, żebym poszedł „na księdza”, bo kobieta, rodzina, to żaden miód, ale każdy przekonuje się o tym po czasie. Dziś te argumenty wydają mi się płaskie, wtedy do mnie przemówiły. Może to spotkanie było decydujące? Później, gdy byłem klerykiem, spotykałem tego człowieka często w czasie wakacji. Zawsze rozmawialiśmy, często mnie pytał:

– A co, dobrze ci wtedy poradziłem?

Odpowiedź nie była łatwa i chyba nigdy nie będzie, bo życie nie wie dzie tak prostymi ścieżkami jak schematy ludzkich myśli. Spotkałem na kontraktacji – i to w tym samym mniej więcej czasie – człowieka, który bardzo chciał mieć mnie

za zięcia. Muszę przyznać, że nie oferował byle kogo, ale ten pierwszy, pesymista, był już nie do przebicia.

Decyzja była w zasadzie podjęta, zwlekałem z jej urzeczywistnieniem. Przyszła jeszcze jedna próba, może najpoważniejsza. Otóż pewnej soboty po powrocie z terenu, wyszorowaniu się i po „odtrzaśnięciu się” w jakiś modny strój, wyszedłem do miasta, by spotkać kolegów. Pierwszy nawinął się Tadek Ziółkowski. Miał wenę i ciągnął mnie do restauracji, bo może coś dobrego postawić. Byłem po weselu (ślub abstynencki dopiero zaczynał kiełkować), zatem z ciężkim sercem odmówiłem. On wcale się nie zmartwił, tylko poprowadził mnie do gimnazjum. Przrzekłem sobie jednak, że noga moja nie przekroczy progu budy. Miałem złe przeżycia z rozdaniem świadectw. A było to tak niedawno.

Na rozdanie przybyłem niemalże wprost z pracy, z cukrowni, skąd zresztą nie chciano nam dać nawet kilku godzin zwolnienia. Na auli dyrektor, czy może pan Marciniak, odczytał nazwiska maturzystów, którzy nie dostaną w czasie uroczystości świadectw, ponieważ nie uregulowali swych zobowiązań wobec szkoły. Prawie jak jeden mąż wymienieni wstali z miejsc i na oczach wszystkich opuścili aulę. Wyszedł za nami profesor Marciniak i – jak zwykle, zduszonym głosem – zaczął reprimendę, a przez cały czas jej trwania wpatrywał się we mnie. Dowiedzieliśmy się, że przez sześć lat zatruliśmy atmosferę tej szkoły i czynimy to w ostatnim dniu swego pobytu w niej. Musimy zapłacić, cośmy szkole winni, to dostaniemy świadectwa. Nie wytrzymałem. Siedzieliśmy na podłodze korytarza. Wstałem i wygarnąłem:

– To nie my zatruliśmy atmosferę szkoły, ale ona zatrulała nam życie. Sam czułem się pariasem tylko dlatego, że nie mam właściwego światopoglądu i że jestem biedny, że nie mam już ojca, który przyszedłby i powiedział, co myśli o panujących tu porządkach. Szkole jestem winien – ciągnąłem dalej – trzydzieści kilka złotych za zbitą szybę, ale nastąpiło to na treningu, który nie powinien się odbywać pod oszkloną salą gimnastyczną. Nie zapłacę, bo nie mam sumienia, by matkę, która po zamordowanym przez Niemców mężu otrzymuje 108 zł renty, prosić o pieniądze. Na sali świadectwa nie chcę i na salę nie wrócę, ale spróbujcie tylko czynić w tej materii dalsze trudności. Pojadę nawet do ministerstwa, ale świadectwo dostanę.

Wyszedł profesor Gorączko. Był bardzo zaaferowany. Zaczął nam robić wyrzuty, ale przyznał też, że rozumie bezsens tej sprawy i uważa ją za złośliwość, powinniśmy jednak wykazać więcej rozsądku i zgodzić się na kompromis. Polegał on w końcu na tym, że w sekretariacie musiałem napisać podanie o zwolnienie z zapłacenia przypadającej na mnie należności, a motywowałem to ubóstwem.

Otrzymałem świadectwo. Do dziś żałuję, że wręczającemu nie podałem ręki. Młodość nie zawsze podszeptuje właściwe rozwiązania. Czyż można się dziwić, że wtedy z Tadeuszem nie chciałem wejść do gmachu gimnazjalnego?

Tymczasem Tadek zaklinał mnie na wszystko, bym tylko z nim wszedł. Ma coś do załatwienia, a tam są typy, które będę się go czepiał, zatem miałem robić za coś w rodzaju ochroniarza; jak tu koledze odmówić? Wchodzimy, a on kieruje się wprost do gabinetu biologicznego. Tam już w żadnym wypadku wejść nie chciałem, ale nalegał, otworzył drzwi, wpuścił mnie przed sobą, a sam pozostał na korytarzu.

Patrzę, a tu stół nakryty zielonym suknem, za stołem siedzi kilku panów i wita towarzysza, który spełnia swój obywatelski obowiązek i zgłasza się na egzamin Wszechnicy Radiowej. Owszem, takie coś istniało i korzystałem ze skryptów tej instytucji, ale żadnego wykładu nie wysłuchałem i w ogóle nie byłem słuchaczem owej Wszechnicy. Wszystko to usiłowałem tym panom wytłumaczyć, podobnie jak to, że nie jestem towarzyszem. Przewodniczący czteroosobowego gremium dobrotliwie się uśmiechnął, jowialnie skinął głową i rzekł, iż każdy obywatel to człowiek, z czym można było się zgodzić bez trudu, a nadto, że świadectwo tej Wszechnicy to więcej niż matura, bo „mając je w rękę, idziesz na studia i żadne punkty za pochodzenie i inne takie nic cię nie obchodzą”.

Egzamin zdawałem z następujących przedmiotów: materializm dialektyczny i historyczny, historia ruchu robotniczego, historia literatury polskiej. Prawie matura. W trakcie egzaminu zaczęło mi zależeć na tym, by wypaść jak najlepiej. Na koniec przewodniczący po naradzie z komisją egzaminacyjną orzekł, że zdałem z wynikiem dobrym z plusem. Dlaczego na świadectwie wystawionym w Warszawie 15 czerwca 1951 r. widnieje stopień dobry bez plusa? Nie wiem. Może dlatego, że w trakcie rozmowy po egzaminie wyszło na jaw, że jestem wierzący. Wprawdzie przewodniczący orzekł, że to nie szkodzi, ale zawsze skaza była.

Nie wiem, kto jeszcze zdawał egzamin Wszechnicy, nikogo nie spotkałem. Tadek czekał na mnie. Goniłem go przez całą ul. Lipową aż do jego mieszkania przy ul. Dąbrowskiego, ale nie miałem do niego żalu. On z kolei wszędzie opowiadał, jak im największego reakcjonistę doprowadził na egzamin z marksizmu. Takie to były wówczas igry. Tadek poszedł na WAT²¹⁵ i został inżynierem. Miał po temu wszelkie dane.

²¹⁵ Wojskowa Akademia Techniczna (WAT) – państwowa, cywilno-wojskowa uczelnia techniczna w Warszawie. Została powołana ustawą z 22 III 1951. Uczelnia miała na początku pięć fakultetów, następnie osiem. Były to następujące kierunki kształcenia: wojsk pancernych, artyleryjsko-techniczny, wojsk

Muszę szczerze wyznać, że papier taki miesiąc wcześniej byłby przyczyną moich niemałych wątpliwości. Zwlekałem z decyzją pójścia do stanu duchownego i nie mogę o sobie powiedzieć, jak wielu moich kolegów, że tylko o tym marzyłem, nie robiłem jednak żadnych innych planów, jeśli chodzi o studia. Ostatecznie poszedłbym na jakąś filologię. Znowu dało mi to wiele do myślenia. Radzono, bym się zgłosił na uniwersytet, bo teraz dostanę się na pewno, drogę miałem otwartą i to bez żadnych zastrzeżeń co do pochodzenia czy światopoglądu. Tak to ludzie planują, ale Pan Bóg decyduje.

Zakrawa na ironię losu, że świadectwo z egzaminu, który powinni zdać najgorliwsi zwolennicy komunizmu, a zdał go człowiek uznany za wcielenie reakcji, przyspieszyło nie tyle samą decyzję, ile konkretne kroki w kierunku jej urzeczywistnienia.

A więc jednak seminarium

Zgłoszenia do seminarium duchownego w Gnieźnie były możliwe chyba do końca sierpnia. Z mojego rocznika maturalnego drogę tę zamierzało obrać czterech kolegów: Ludwik Gładyszewski²¹⁶ z Wysokiej, Leon Lemański²¹⁷ z Sadek, Kazimierz Zięba z Paterka i ja. Kontaktowałem się w tej sprawie tylko z Ziębą. On również zwlekał, tamci dwaj już wcześniej się zgłosili. Pamiętam, że w czasie jednej z moich podróży z ramienia cukrowni zajechałem do Wysokiej i odwiedziłem Ludwika. Nie byliśmy bliskimi kolegami, choć z tej samej klasy. Ludwik dobrze się uczył, był zawsze grzeczny, poprawny, jego mama była nauczycielką. Same przeciwieństwa. Teraz zdawał się nas zbliżać do siebie wspólny los. O ile sobie przypominam, o seminarium nie rozmawialiśmy. Czas szybko upływał. W pewnym momencie Ludwik poszedł do kuchni, by przynieść herbatę rzekomo się zaparzającą – rodziców nie było w domu – ale wrócił zaaferowany, bo się okazało, że zapomniał wstawić wodę na ogień. Mnie było już pilno i tak się rozstaliśmy.

inżynierskich, wojsk lotniczych, wojsk łączności, wojsk samochodowych, uzbrojenia i radiolokacji. Siedziba WAT znajduje się na warszawskim Bemowie przy ul. gen. Witolda Urbanowicza 2.

²¹⁶ Ludwik Gładyszewski (1932–2009), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, filolog, tłumacz. Świecenia kapłańskie 1957. Wykładowca języków klasycznych w Wyższym Seminarium Duchownym (WSD) w Gnieźnie od 1963. Doktorat 1972. Sekretarz Komisji KEP ds. Nauki Wiary od 1994. Kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 1999.

²¹⁷ Leon Lemański (1932–1989), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii św. Mikołaja w Łabiszynie 1957–1966, następnie w Juncewie 1966–1970. Proboszcz parafii w Kozielsku 1970–1977, Rynarzewie 1977–1983, Jarocinie i wicedziekan jarociński 1983–1989.

Spotkałem się z Kaziem Ziębą i umówiliśmy się, że w którąś sobotę sierpnia pojedziemy do Gniezna zgłosić się do seminarium. Ksiądz prefekt miał dać nam świadectwa moralności. Przegapiłem to i dopiero 29 lipca, po przyjeździe z pracy zacząłem szukać prefekta. Był na imieninach Marty, matki jednego z kleryków. Wpadłem tam jak Piłat w credo. Ksiądz mnie wysłuchał i rzekł, że da mi to pismo następnego dnia. Poszedłem do proboszcza, księdza prałata Ziarniaka i ten namaszczonego tonem zaczął mnie pouczać, jak mam się zachowywać w Gnieźnie, co mi wolno, a czego nie. Tak mnie przestraszył, że gotów byłem zrezygnować. Na szczęście prefekt trochę wyśmiał te pouczenia i podsumował, że prałat wszystko chciałby mieć na wysoki połysk, nie mogę jednak powiedzieć, żeby mnie to całkowicie uspokoiło.

Którejś soboty zwiąłem po prostu z pracy, tzn. przyjechałem o dzień wcześniej z terenu, i pojechaliśmy z Kaziem do Gniezna. Byliśmy tam po raz pierwszy. Seminarium zrobiło na nas dość ponure wrażenie. Siedzieliśmy w rozmównicy, kiedy wszedł ksiądz – na oko pięćdziesięcioletni (faktycznie miał wtedy 46 lat) – i zapytał nas, po co przyjechaliśmy. Nie wiedzieliśmy, kto to jest. Prałat Ziarniak prosił, żebym przekazał od niego ukłony księdzu rektorowi Pacynie²¹⁸. Kiedy to zrobiłem, ksiądz (jak się okazało – właśnie rektor) jakby się zaniepokoił. Spytał raz jeszcze, kto co przekazał, zupełnie jakby nie wiedział, kim jest prałat Ziarniak.

Musieliśmy napisać podania adresowane do księdza prymasa Wyszyńskiego, wypełnić formularz i zapoznać się wstępnie z wykazem rzeczy, które kandydat ma przywieźć ze sobą do seminarium. Wykaz był po łacinie. Jeden punkt brzmiał dla nas dość komicznie: *habeasne instrumenta ad edendum propria*²¹⁹. Tryb był pytający, bo można było własnych sztuców nie mieć, ale seminarium musiało być o tym uprzedzone. Ksiądz rektor skrupulatnie nadzorował naszą pisaninę i zdawał się porzucać swą początkową urzędową sztywność. Obiad otrzymaliśmy również w rozmównicy, a przyniósł go kasztelan (furtian) Michał, kochane chłopisko, jak się później przekonaliśmy. Michał był kiedyś lokajem u jakiegoś księcia czy hrabiego i etykieta to był jego konik. Tego wszystkiego dowiedzieliśmy się jednak znacznie później.

²¹⁸ Józef Pacyna (1906–1985), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Od 1937 wykładowca i w latach 1947–1963 rektor WSD w Gnieźnie (z przerwą 1953–1956 w okresie uwiecznienia prymasa Wyszyńskiego). Pełnił też inne funkcje w archidiecezji, m.in. sędzia i egzaminator posynodalny, cenzor ksiąg religijnych. Proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Gnieźnie 1963–1982.

²¹⁹ Łac. Czy masz sztuce?

Rektor kazał nam udać się na badania lekarskie do doktora Szałkowskiego. Dziwiliśmy się, że bardzo serio monitował nas, byśmy się tam zachowali poważnie. Mnie żarty nie były w głowie, a Kazio był wystraszony wprost nieprawdopodobnie. Stale mi do ucha powtarzał:

– Więcej stąd, to nie dla mnie.

Po roku faktycznie dotrzymał słowa, ale pozostał sobą – dobrym, szlachetnym człowiekiem.

Poszliśmy na ul. Dąbrówki, gdzie mieszkał doktor. Wdrapaliśmy się na strome schody i pukaliśmy w ciemności do różnych drzwi – bez odzewu. Wreszcie ktoś dyszkantem zapytał:

– Kto, do kogo, po co?

Nie wiem już, który z nas odpowiedział:

– My z seminarium od księdza rektora, kandydaci.

I znowu głos, wyraźnie zdenerwowany:

– Kandydaci już byli, teraz już za późno.

– Panie doktorze, ale ksiądz rektor nas przysłał.

Długa cisza, potem drzwi się otworzyły i stanął w nich staruszek. Popatrzył na nas ponuro, niechętnie wpuścił do przedpokoju i kazał czekać. Po chwili wyszedł w białym kitlu i zaprosił do gabinetu. Badał dość długo, nieustannie utyskując. A to, że wydechu nie potrafimy zrobić, a to znowu, że nie nabieramy powietrza w płuca, jak należy. Coś pisał i spoglądał na mnie z troską, w końcu rzekł:

– No, ja panu wystawię świadectwo zdrowia, ale nie wiem, czy pan się nada...

To samo usłyszał kolega.

Poszliśmy na ul. Seminaryjną 2. Ksiądz rektor czekał już wyraźnie zniecierpliwiony. Zapytał, dlaczego zgłosiliśmy się po terminie. Odpowiedziałem, że obowiązuje dyscyplina pracy, a my pracujemy do połowy września w cukrowni, zatem i tak jesteśmy tu nielegalnie. Zadał nam wiele pytań, niektóre były dość kłopotliwe. Jedno brzmiało szczególnie brzydko:

– Kto was przysłał do seminarium?

Pytał indywidualnie, a jeśli piszę tu w liczbie mnogiej, to dlatego że obaj mieliśmy identyczne pytania. O wizytę u lekarza wypytywał dość szczegółowo i wcale się nie wydawał zaskoczony, gdy przedstawiałem dość barwnie nasze perypetie. Stwierdził tylko, że jest to lekarz seminaryjny i bardzo zasłużony, dlatego lepiej się nie dziwić, bo tak jest i będzie. Trzeba będzie do tego przywyknąć. Miał zwyczaj

powtarzać pewne zdania czy słowa kilka razy. Na pytanie, kto nas przysłał, odparłem dość naiwnie, że ksiądz proboszcz. Uśmiechnął się i zapytał już trochę rozbawiony:

– A sam nie chciał przyjechać?

Ja na to, że owszem, ale musiałem się poradzić księdza prałata, bo nie wiedziałem, jak te sprawy załatwić. On drążył dalej:

– Od kiedy ma chęć wstąpienia do seminarium? (Używał trzeciej osoby).

Powiedziałem, że chciałem już nawet kiedyś wstąpić do niższego seminarium, które wtedy jeszcze istniało w Gnieźnie, tuż obok wyższego, jednak proboszcz mojej poprzedniej parafii, ks. Klimacki, odradził. Na tym rektor zakończył.

Wracalem do domu w dziwnym nastroju. Trzeba było jakoś wyobrazić sobie życie seminaryjne. Nawiązanie kontaktu z klerykami nakielskimi, Rysiem Komczyńskim²²⁰ (wówczas już na drugim roku), Alfonsem Siudą (po trzecim roku) czy Tadeuszem Różewiczem²²¹ (który wstąpił do seminarium po roku czy dwóch na polonistycę Uniwersytetu Poznańskiego), było sprawą oczywistą, ale oni bynajmniej moich wątpliwości nie rozwiali. Opowiadali o tym, jaki rygor panuje w Gnieźnie i jak łatwo podpaść. Miałem w tym taką wprawę, że powinienem spodziewać się najgorszego. Różne rzeczy odstraszały, np. zakaz swobodnego wychodzenia do miasta. Człowiek czuł się już dorosły, a tu nagle znowu pełna kontrola. Wszystko to okazało się zupełnie nieistotne, ale kto wtedy mógł o tym wiedzieć?

Im bardziej zbliżał się koniec września i dzień wyjazdu, tym więcej wątpliwości się pojawiało. Budziła się zarazem ciekawość, jak to będzie. Wikary od św. Wawrzyńca, ks. Tadeusz Semrau²²², wielki kpiarz, spotkał mnie kiedyś na ulicy i zagadnął, czy już jestem gotowy. Odpowiedziałem, że prawie tak.

– Na wszelki wypadek weź bilet powrotny.

²²⁰ Ryszard Komczyński (1932–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii św. Antoniego Padewskiego w Bydgoszczy 1957–1965, w parafii św. Mikołaja w Inowrocławiu 1965–1966. Proboszcz parafii w Chlewiskach 1966–1972, w Srebrnej Górze 1972–1980.

²²¹ Tadeusz Różewicz (1927–1978), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Notariusz w Kurii Metropolitalnej w Gnieźnie (KMG) i kapelan bp. Lucjana Bernackiego od 1957. W wyniku wypadku w 1958 do końca życia pozostał częściowo niepełnosprawny. Wysłany w 1958 na KUL na studia, których nie ukończył z powodu złego stanu zdrowia. Rektor kaplicy publicznej pw. Nieustającej Adoracji Bożego Ciała w parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Bydgoszczy, kapelan siostr franciszkanek Wieczystej Adoracji 1961–1978.

²²² Tadeusz Semrau (1917–1979), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1947. Proboszcz parafii św. Mikołaja w Dźwiersznie Wielkim (dekanat łobzениcki) 1952–1979.

Bardzo długo to pamiętałem. Dotąd pamiętam. Nie było w tym złej woli, ale to deprymowało.

Kiedy moi uczniowie później przychodzili do mnie oznajmić, że się wybierają do seminarium, traktowałem ich niezwykle serio. Około dziesięciu z nich zostało księżmi. Każdemu mówiłem, że to inna szkoła niż uniwersytet, nie mówiąc już o szkole średniej, ale można tam wytrzymać i nawet bardzo dobrze się czuć. Pod jednym warunkiem: że człowiek wie, czego chce. Musi się nastawić na życie, które będzie wiódł po ukończeniu nauki, bo dopiero tam czeka go ciężka próba. Seminarium to swoista cieplarnia. Po opuszczeniu jej roślina musi się zaaklimatyzować. Ci, którzy uważali, że byle przebyć naukę, a potem to już będzie wszystko proste, przeważnie tego seminarium nie ukończyli. Przyczyny były różne, ale główna to błędne oczekiwania.

Miałem kolegę, który mógłby zostać całkiem dobrym księdzem, ale przez cały trymestr prawie się nie uczył. Mówił, że jeśli Pan Bóg go chce, to i tak zda egzaminy. Oczywiście przepadł. Gniezno opuszczał z żalem. Pytaliśmy go, dlaczego, skoro robił wszystko, by tak się to skończyło. A on na to:

– Bo szkoda mi, że nie będę z wami, nigdy jeszcze takich kumpli nie miałem.

Motywy dobre i piękne, ale na obóz, a nie do seminarium, gdzie trzeba było przyswoić zasadę: *respice finem*²²³. Dopiero dziś widzę, jak wielu kolegów nie było przygotowanych na różne trudności, a to głównie dlatego, że księża ich lekomyślnie wprowadzali w błąd, źle informując o tym, co ich czeka. Jeden, również po roku wyeliminowany, powiedział mi, że grunt to nie wychylać się, udawać posłuszeństwo, a swoje robić. Nie miałem wtedy żadnego doświadczenia, trudno mi jednak było uznać słuszność tej maksymy. On wszakże zapewniał, że zdradził mu to w zaufaniu poważny kapłan. Znałem tego kapłana i kiedyś zapytałem, czy tak rzeczywiście mówił. On na to:

– Owszem, nabijaliśmy się z tego chłopaka, bo był bardzo naiwny.

Koszt tej zabawy to zmarnowany rok życia. Czy rzeczywiście zmarnowany? Ktoś, kto w seminarium był cztery lata, zanim wystąpił, mówił potem, że bez tych lat niczego w życiu by nie osiągnął. A był uczonym, dobrym specjalistą. Wychodzili jednak także ludzie sfrustrowani, którzy nigdy się nie odnaleźli i stale wracali do tej chwili, kiedy musieli opuścić seminarium, jako do początku wszystkich swych niepowodzeń. Winy doszukiwali się w postępowaniu innych, przeważnie

²²³ Łac. bierz wzgląd na cel.

przełożonych. Niekiedy było w tym sporo racji, ale zawsze w pierwszej kolejności zawinili oni sami. Widać to dopiero po latach, kiedy emocje już opadły i pozostała tylko pamięć o faktach.

Zapędziłem się w przyszłość, tymczasem dopiero siedzę w pociągu relacji Nakło–Gniezno. To był lokalny ekspres z wagonami sprzed I wojny światowej, mającymi drzwi z boku, przez które konduktor wchodził z zewnątrz do przedziału, a poruszał się po zewnętrznej stronie ściany wagonu po biegnącym wzdłuż niego stopniu. Klerycy zajmowali dwa przedziały, a nawet trzy. Nie były one zamykane, zatem można było rozmawiać, wspólnie śpiewać. W Nakle wsiadali klerycy jadący z Łobzenicy – był tam wielki ich wysyp – a także z innych pobliskich miejscowości. Pierwszy przejazd pamiętam dobrze. Z Łobzenicy jechali starsi, z drugiego roku. Niezwykle poważny, onieśmielający Władek Kierzek²²⁴. Nabrałem do niego respektu, gdy zareagował na lekko frywolny kawał ostrą reprimendą i różańcem, który wyjął i patrząc na mnie surowo jak na jawnogrześznika, zaczął szeptem odmawiać. Mniej posągowi byli inni, np. Leszek Zakrzewski²²⁵, nie mówiąc o pierwszorocznych, a było ich sporo: żywy jak srebro Henio Młotkowski²²⁶, serdeczny w swej jowialności Geniek Sikora²²⁷, zwany później powszechnie, choć nie wiadomo dlaczego, Agapitem, Jasio Tadych²²⁸, malutki Franek Kokowski²²⁹. Był też Niemiec Gerhard Klies, który potem wyjechał do Niemiec. Chyba nikogo nie pominąłem. Z wymienionych kolegów kursowych nie żyje już ani jeden.

²²⁴ Władysław Kierzek (1930–2017), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii archikatedralnej gnieźnieńskiej 1957–1962. Proboszcz parafii św. Mateusza w Ostrowie nad Gopłem od 1962 i parafii Świętego Ducha we Wrześni 1972–2000.

²²⁵ Leszek Zakrzewski (1930–2019), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii św. Jakuba w Wągrowcu, w Gołańczy, Ślesinie, Gnieźnie, Korycie, Bydgoszczy i ponownie w Wągrowcu. Rektor kościoła w Jabłówku, podlegający parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Chomętowie 1969–1974. Proboszcz parafii w Jabłówku 1974–2011. Od 2011 na emeryturze.

²²⁶ Henryk Młotkowski (1933–1996), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w Kruszwicy 1957–1966, Solcu Kujawskim 1966–1969. Proboszcz parafii w Polanowicach 1969–1984, w Kaczanowie 1984–1996.

²²⁷ Eugeniusz Sikora (1931–1985), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz i nauczyciel religii w Żninie 1957–1966, wikariusz w parafii św. Wojciecha w Bydgoszczy 1966–1969. Proboszcz kościoła św. Kazimierza w Łochowie 1969–1985.

²²⁸ Jan Tadych (1932–2004), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, doktor teologii. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii w Inowrocławiu 1957–1958, w Damasławku 1958–1959, w Strzyżewcu 1960–1961, w parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kruszwicy 1961–1962. Proboszcz parafii św. Mikołaja we Wszemborzu 1966–1979, Matki Bożej Królowej Polski w Żninie 1979–1982, Inowrocławiu-Szymborzu 1982–1989, Żydowie 1989–2004. Założyciel i prezes od 1993 archidiecezjalnego stowarzyszenia na rzecz wspierania powołań kapłańskich.

²²⁹ Franciszek Kokowski (1932–1994), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii św. Józefa Oblubieńca NMP w Inowrocławiu 1957–1964, w parafii NSPJ w Bydgoszczy 1964–1994.

Z roku na rok w pociągu nas ubywało i przybywało. Nie zawsze jechał z nami poważny wuj Genia Sikory, Józef Fons²³⁰, były nauczyciel, o szesnaście lat ode mnie starszy, któremu nigdy nie ośmieliłem się powiedzieć *per ty*. Został wyświęcony trzy lata przed nami. Do starszej generacji łobżeniczaków należał też Franciszek Kobs²³¹, wyświęcony w 1953 r., młodszy od Fonsa o sześć lat, dla nas jednak i tak był prawie dinozaurem. Ci „starsi” panowie, jeśli jechali z nami pociągiem, to raczej w osobnych przedziałach.

Pierwsza podróż w nieznanie nowego życia skończyła się w dorożce konnej, która ze stacji w Gnieźnie pędziła co koń wyskoczy, obładowana walizami, na których dumnie siedział jeden z naszych. Reszta szła pieszo. Na progu seminarium niekiedy pojawiali się ksiądz rektor i dziekan kleryków, wówczas alumn drugiego roku, ubrany w sutannę, który był dla nas alfą i omegą. Mnie witał w ten sposób niejaki Józef Glemp²³². Dlaczego dziekanem był kleryk drugiego roku? Bowiem do 1953 r. seminaria w Gnieźnie i w Poznaniu były połączone. W Gnieźnie były dwa lata filozofii dla obu archidiecezji, a w Poznaniu – cztery lata teologii.

Podróż do Gniezna upływała nam zawsze w świetnym nastroju, wesoło, trochę może nawet za głośno. Nieraz podróżni zwracali na nas uwagę, ale zawsze z ogromną sympatią. Czuliśmy się beniaminkami. Klerycy to był rzadko oglądany fenomen. Minęły czasy, kiedy tak serdeczna była więź między ludem Bożym a klerem lub choćby tylko tymi, którzy kiedyś chcieli stanąć przy ołtarzu.

Czułem się zażenowany ową manifestacyjną czołobitnością, okazywaną nam niekiedy przez starsze osoby. Byłem tak wychowany, że w obecności starszych nie odważałem się nawet jako pierwszy zabrać głosu. Tymczasem traktowano nas jak księży, odkąd na drugim roku zaczęliśmy nosić sutanny. Zawsze prosto- wałem, tłumaczyłem, że jestem klerykiem i do święceń mi jeszcze bardzo daleko. Na niewiele się to zdało, dla ludzi bowiem zasada *habitus facit clericum*²³³ była

²³⁰ Józef Fons (1914–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1954. Wikariusz w parafii w Kosztowie 1957–1958. Proboszcz parafii w Węglewie 1958–1980.

²³¹ Franciszek Kobs (1920–1996), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1953. Prokurator WSD w Gnieźnie od 1958, referent ds. majątkowych przy kurii metropolitalnej. Proboszcz parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Łeknie i św. Mikołaja w Tarnowie Pałuckim od 1963.

²³² Józef Glemp (1929–2013), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Student prawa kanonicznego i świeckiego w Rzymie 1958–1964; doktor obojga praw. Referent w Sekretariacie Prymasa Polski (SPP) w Warszawie; kapelan i sekretarz prymasa Stefana Wyszyńskiego od 1967. Biskup diecezjalny warmiński 1979–1981. Arcybiskup metropolita gnieźnieński 1981–1992, arcybiskup metropolita warszawski 1981–2006; prymas Polski 1981–2009; przewodniczący KEP 1981–2004; kardynał od 1983.

²³³ Łac. sutanna czyni księdzem.

nie do obalenia. W seminarium przed tym powiedzeniem dodawano zawsze *non*²³⁴, zatem sens był odwrotny do suponowanego przez ludzi. Nawet już po święceniach, w początkowym okresie mego kapłaństwa, unikałem wszelkiej arbitralności, co zresztą także w późniejszych czasach nie uległo

zmianie. Zawsze z zakłopotaniem odbierałem taką arbitralność dostrzeganą w postępowaniu kolegów. Zauważyłem też, że im mniej ktoś „postąpił” w studium, tym bardziej był pewny siebie.

Zastanawiam się często, co czułem wtedy w pociągu do Gniezna, który był w pewnym sensie pociągiem mego przeznaczenia. Trudno to odtworzyć, a przecież to ważne. Większość

kolegów, jak ja pierwszorocznych, przejawiała trochę sztuczną wesołość. To mnie zupełnie nie przekonywało. Nie byłem skłonny do radosnych uniesień. Wydawało mi się, że oto zapada kłamka, a ja wcale nie jestem pewien, czy naprawdę tego chcę. Zawsze się dziwiłem, kiedy klerycy opowiadali, jak to radośnie przeżywali swe wstąpienie do seminarium i jak zawsze tylko o tym marzyli. Zwłaszcza że po latach jeden czy drugi powiesił sutannę na kołku. Zdarzało się to przecież niejednokrotnie i to właśnie u tych kiedyś tak radośnie witających progi seminaryjne. Oczywiście takich myśli wtedy w pociągu nie miałem, ale byłem nieco ogłuszony i może nawet wystraszony własną decyzją. Moje obawy podzielał chyba tylko Kazik Zięba, siedzący jak ja, raczej w milczeniu, na drewnianej ławie pociągu.

Do kapłaństwa

Trudno jest opisać pierwszy dzień w seminarium, a jednak trzeba, bo był to dzień niezapomniany. Nie ze względu na jakieś wielkie wzloty ducha, wręcz przeciwnie, raczej z racji marnej prozy, jaką zazwyczaj jest on pisany. Proza ta wyrażała się w bardzo lichym łożku w pokoju numer 67 na trzecim piętrze, z widokiem na kłarownię i zapaszką od niej często zalatującym, była bowiem oddalona zaledwie o jakieś 200–300 m od płotu ogrodu seminaryjnego. Łóżko było spuścizną po niemieckiej



Seminarium
gnieźnieńskie.
Od lewej: Stanisław
Wenerski,
Jan Tądy,
autor, 1953 r.

²³⁴ Łac. nie.

szkole policyjnej, mieszczącej się w tym gmachu w czasie wojny. Było żelazne, miało deski zamiast sprężyn i źle wypchany siennik.

Gdyby wszyscy dzielili mój łóżkowy los, byłoby pół biedy, ale wnet zobaczyłem, że w innych pokojach niekiedy spotyka się wyrko ze sprężynami, a nawet materacami. Kiedy podzieliłem się swymi zastrzeżeniami z moimi kondormitorami, czyli współmieszkańcami, Stasiem Wenerskim²³⁵ i Frankiem Stasiem²³⁶, poznaniakiem z drugiego roku, ten ostatni spojrzał na mnie złośliwie i zapytał, czy ja przypadkiem nie pomyliłem adresu i zamiast do dobrego hotelu nie zbłądziłem do tej budy? Stasiu nabożnie milczał, ale widziałem, że z ogromną dezaprobatą przyjął moje niezadowolenie. Kiedy już się lepiej poznaliśmy, nie omieszkął mi wyjaśnić, że święci, których żywoty on w przeciwieństwie do mnie znał na wylot, gorsze znosili katusze i to z własnej woli. Stasik jako starszy, mający zawsze inne zdanie, powiedział mu wtedy, żeby nie zabierał głosu w sprawach, na których się nie zna, a do mnie mruknął, że na tego chudego trzeba uważać.

Symbioza nasza niczym jednak nie była zakłócona, dyskusje przeciągały się niekiedy nawet po modlitwach, kiedy obowiązywało *silentium*²³⁷. Sprowokowało to naszego sąsiada Sufryda²³⁸ do zawiadomienia nas, iż gdyby takie łamanie świętego milczenia się powtarzało, on będzie musiał rozwiązać wynikły stąd problem sumienia poprzez konsultację z ojcem duchownym, którym był ks. Stanisław Szymański²³⁹.



Ksiądz Stanisław Szymański, ojciec duchowny seminarium gnieźnieńskiego, 1952 r.

²³⁵ Stanisław Wenerski (1930–2011), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii Chrystusa Wieczystego Kapłana w Gnieźnie 1957–1959, w Wyrzysku 1959–1964, w parafii św. Józefa Rzemieślnika w Bydgoszczy 1964–1968, parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Bydgoszczy 1968–1973. Proboszcz parafii św. Andrzeja Boboli w Sicienku 1973–1975. Od 1975 pracował w Austrii.

²³⁶ Franciszek Stasik (1929–2007), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii w Czarnkowie, Ostrowie Wielkopolskim, Ostrzeszowie, Zbąszyniu i Międzychodzie 1956–1967. Proboszcz parafii w Parkowie 1967–1975, Trębaczowie 1975–1990, Chojnie nad Wartą 1990–1994.

²³⁷ Łac. cisza.

²³⁸ Leon Sufryd (1926–2001), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii Chrystusa Króla i Zwiastowania NMP w Poznaniu 1961–1969. Proboszcz parafii św. Elżbiety w Jutrosinie 1977–1988.

²³⁹ Stanisław Szymański (1901–1964), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1927. Ojciec duchowny i wykładowca w WSD w Gnieźnie od 1948, profesor zwyczajny nauk teologicznych, cenzor ksiąg religijnych.

Była to postać tak znacząca, że należy jej się szczególna uwaga. Do wojny był prefektem w żeńskim gimnazjum, wojnę przeżył w Dachau, gdzie był królikiem doświadczalnym, co później doprowadziło też do jego śmierci. Podobno oboje jego rodzice byli głuchoniemi. Czy miało to wpływ na jego sposób bycia, trudno powiedzieć, ale był to niewątpliwie człowiek o bogatym życiu wewnętrznym, choć bez potrzeby manifestowania tego na zewnątrz. Może dlatego miał dwa oblicza, jedno przeznaczone dla zbiorowości – w tym wypadku my ją stanowiliśmy – a drugie w kontaktach osobistych. O ile na ambonce potrafił grzmieć i wyrzucać za burtę wszelkie kompromisy, to w rozmowie z klerykiem był pełen umiaru i daleki od sądów czy pochopnych rad. Wywarł na mnie ogromny wpływ.

Jeszcze jedno trzeba dodać, by szkic sylwetki był kompletny. Ksiądz Szymański, znany powszechnie jako papa, był cholerykiem. Zdawał sobie z tego sprawę i nawet widać to było na zewnątrz, gdyż walczył o panowanie nad sobą przy otwartej kurtynie. Potrafił swego pomocnika, bibliotekarza księgozbioru ascetycznego, zrugać za to, że wywiesił program dnia skupienia bez uzyskania jego ostatecznej aprobaty. Wracał do tego, jakby się usprawiedliwiając, że przecież należy trzymać się kompetencji. To, że rektor dał swe zezwolenie, nie miało najmniejszego znaczenia, sprawy wychowania ascetycznego bowiem to tylko i wyłącznie domena ojca duchownego. Sprawa w istocie błaha urastała więc do rangi wielkiego problemu. Co papa przez to osiągał? Jedno niewątpliwie. Rektor jak ognia bał się ingerowania w zakres działania ojca duchownego.

Pierwsze zetknięcie z papą nastąpiło w kaplicy. Napchali nas tam jak śledzi. Pierwszy rok liczył 117 kleryków z obu archidiecezji, drugi około 70 osób. Stawiano zatem ławki w każdym – dosłownie – kącie. Siedziałem w bocznej ławce na przodzie kaplicy, zaraz za fisharmonią, przy której królował organista Jerzy Dąbrowski²⁴⁰, późniejszy biskup. Kantorem dyrygującym z wysokiej ambonki był wspomniany Władek Kierzek. Pierwsze wspólne modlitwy wieczorne w kaplicy, pierwsza powitalna egzorta papy. I od razu słowa: *ad quid venisti?*²⁴¹ Wrażenie

²⁴⁰ Jerzy Dąbrowski (1931–1991), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, doktor muzykologii. Świecenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii Zwiastowania NMP w Inowrocławiu, Matki Nieustającej Pomocy w Bydgoszczy. Następnie duszpasterz w Laskach. Od 1973 współpracownik SPP, a od 1979 jego pracownik. Biskup pomocniczy gnieźnieński i wikariusz generalny archidiecezji 1982–1991. Przez wiele lat utrzymywał kontakt z SB jako TW ps. „Ignacy”, m.in. informował o przebiegu posiedzeń episkopatu Polski. Za przekazywane wiadomości otrzymywał wynagrodzenie w różnej formie.

²⁴¹ *Łac.* po co przyszedłeś?

wywierał już sam jego głos – dyszkant bardzo władczy, niemalże jak wojskowa komenda. Lubił zresztą porównywać seminarium do podchorążówki.

Ad quid venisti? zabrzmiało wprost oskarżycielsko, jakbyśmy wtargnęli tu nieproszeni. Pierwsza myśl – trzeba się zastanowić i wziąć nogi za pas. Patrzę na kolegów – doświadczonych, wszak już drugi rok tu są i w dodatku w sutannach – nie widzę szczególnych wzruszeń. Jerzy ukradkiem przekłada nuty, wydawało się, że nieznacznie mrugnął porozumiewawczo do nas, nowicjuszy. Tymczasem za powtarzanym rytmicznie *ad quid venisti?* płynie szeroki strumień rozmaitych niecnych intencji. Może one cię w te mury przywiodły? Jeśli choć jedną w sobie odkrywasz, to wycofaj się, póki czas. Chyba nawet najbardziej przekonani o swym powołaniu musieli tego wieczoru zrewidować dogłębnie swoje sumienie i także swą decyzję.

Czułem się fatalnie. Nieznacznie rozglądałem się po kolegach, ale w pobliżu jeden tylko był mi znany – Kazik Zięba. Jego mina była tragiczna. Obok siedział Zyzio Zimniewicz²⁴² (niestety, zmarł przedwcześnie). Sąsiad z pokoju nr 66. Jego poważna i pogodna twarz uświadomiła mi, że czuje się tu na swoim miejscu. To, rzecz jasna, jeszcze bardziej pogłębiło moją frustrację. Po latach zarówno ówczesny ojciec duchowny, jak i rektor w szczerzej rozmowie wyjaśnili mi, że celowo stwarzali taką atmosferę. Ktoś, kto przychodzi do seminarium i chce zostać księdzem, musi się liczyć z tym, iż nie będzie miał łatwego życia. Do tego trzeba się przyzwyczajać od pierwszego seminaryjnego dnia. Obserwując kolegów już w pracy kapłańskiej, coraz bardziej przekonywałem się o słuszności takiej metody, która na tamte czasy była dobra. Czy również dzisiaj zdaje egzamin? Na to pytanie nie potrafiłbym odpowiedzieć.

Pozostając jeszcze przy postaci papy, muszę zauważyć, że był on niezwykle konsekwentny w uświadamianiu nam, co znaczy mieć czystą i szczerą intencję. Czyż mogliśmy wtedy – piszę o sobie, bo nie wiem, jak inni – w stu procentach pojąć wagę tych napomnień? Czyż wielu nie utyskiwało, że zbyt wiele ten papa grzmi, a zbyt mało wnika w nasz sposób myślenia?

Inny konik papy, powracający często w dniach skupienia, to było całkowite oddanie się w kapłaństwie, inaczej mówiąc, celibat. Chyba większości z nas wydawać się musiało, iż jeśli zdołamy się z tym problemem uporać, to wszystko inne pójdzie jak z płatka. Papa miał dziwny sposób zachęcania do celibatu. Sugerował,

²⁴² Zygmunt Zimniewicz (1932–1983), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Kapelan w Lipnicy od 1960. Następnie rezydent w Szczypiornie.

aby wejść wieczorem w małe uliczki i zaglądać w okna przesłonięte firankami, za którymi toczy się życie małżeńskie i rodzinne. Może niejednego najdzie myśl, że tam jest jego miejsce. Powinien wtedy wejść do środka i przekonać się, jak złudne jest to szczęście, często tylko pozorne, bo ilomaż trudami trzeba za nie płacić, a przecież pewności mieć nie możesz, że to, czego tak bardzo pragnąłeś, ziści się w taki sposób, jak tego oczekiwałeś.

Kiedyś, gdy tego słuchałem, naszła mnie myśl, jak to zrobić. Jak wieczorem pójść w te uliczki – wydawało mi się, że chodziło o boczne ulice willowe odbiegające od ul. Trzemeszeńskiej – skoro wyjście z seminarium o tej porze jest niemożliwe? Podzieliłem się swym spostrzeżeniem z jednym z kolegów, a on mnie wyśmiał. Stwierdził, że sam papa nigdy na takie ulice nie chadza i nie wie, o czym mówi. Kolega miał wiele racji, choć wtedy mnie nie przekonał. Rzeczywiście sposób zachwalania celibatu, jaki obrał papa, był dobry dla ludzi, którzy po przekroczeniu bramy seminaryjnej byli jak gdyby trochę ogłuszeni. Słuchało się egzort, ale raczej wyłapywało się z nich fragmenty, które nazwałbym szokującymi. Tak należy rozumieć to *ad quid venisti?*, czy w końcu także to obrzydzanie życia małżeńskiego i rodzinnego.

Metodę szokową stosował ojciec duchowny wobec gremium swych podopiecznych, ale po zupełnie inną retorykę sięgał w czasie spotkań indywidualnych. Potrafił nawet zachęcać, żeby spotkać się z jakąś dawną sympatią, skoro widział, że delikwent całkowicie o niej nie zapomniał. Jedno jest pewne, zależało mu na tym, żeby kleryk jasno rozeznał swe możliwości. Nie omijał słowa „powołanie”, ale ostrożnie je interpretował. Ważne było, kto to powołanie odkrył. Mama, babcia, ktoś z rodziny, łasy na to, żeby się pochwalić księdzem. Ostatecznie powołuje Kościół, a nie ktoś z zewnątrz ani nawet sam zainteresowany. To jednoznacznie wynikało z pouczeń papy.

Temat celibatu i wszystkiego, co się z nim wiązało, wracał niejednokrotnie, można powiedzieć, że stale, choć chyba nie była to obsesja papy. Jeśli jakąś miał, to było nią bezwzględne oddanie się Chrystusowi i Kościołowi. Zapalał się, kiedy mówił o wilkach w owczarni albo o takich, którzy pocałunkiem zdradzają Syna Człowieczego. Ciarki przechodziły po plecach na myśl, że mogłoby się kimś takim stać. *Sacerdos victima*²⁴³, *alter Christus*²⁴⁴, *forma gregis*²⁴⁵ to były pojęcia, które zadomawiały się w umysłach, choć z czasem trochę się zmieniały w schematy.

²⁴³ Łac. kapłan ofiara.

²⁴⁴ Łac. drugi Chrystus.

²⁴⁵ Łac. kształtujący trzodę.

Trudno mi było pogodzić się z aż tak wysoko podniesioną poprzeczką jak stawianie na równi kapłana z Chrystusem. Uważałem to za pewnego rodzaju przesadę, figurę retoryczną, a nawet ujmę czynioną Chrystusowi, do którego przyrównuje się słabego człowieka, nawet jeśli staje on przy ołtarzu, by ponawiać Ofiarę Krzyżową. To były poważne wątpliwości i bardzo pragnąłem, by ktoś mi je rozwiął, nie miałem jednak odwagi iść z tym do papy. Zapytany o to w czasie wakacji starszy kapłan zbył mnie napomnieniem, bym zbyt nie filozofował, bo ojciec duchowny wie, co mówi. Później jakoś sam doszedłem do wykładni, choć do dziś nie wiem, czy wyłącznie słusznej. W dziełach ascetycznych i w czasie różnych rekolekcji natykałem się bowiem na dość rozbieżne eksplikacje tej sprawy. Myślę po prostu, iż chodzi o podkreślenie unikalności kapłaństwa, co kojarzy się z analogiczną naturą misji zbawczej Chrystusa.

Można mówić, że strategia papy była koncentryczna. Po modlitwach wieczornych podawał nam punkty do medytacji porannej o godz. 6.30. Sam tę medytację prowadził, podpowiadając poszczególne punkty. Myślę, że Pan Bóg wybaczy wszystkim, którzy zasypiali. Pamiętam, że jeden z kolegów systematycznie zachłystywał się głośnym chrapnięciem, co w ciszy brzmiało jak wystrzał. Ciekawe, że ojciec duchowny dla takich słabości miał zrozumienie.

Na początku stwierdziłem, że ojciec duchowny zupełnie innym człowiekiem był na ambonce, a innym w czasie rozmowy duchownej. W czasie całego pobytu w seminarium może ze dwa razy byłem na takiej rozmowie. (Między moim drugim rokiem a ostatnim papa był na wygnaniu. Do tego jeszcze powrócę). Jedną mógłbym chyba dosłownie powtórzyć, ale była to też rozmowa, która zaważyła na całym moim życiu.

Po pierwszych rekolekcjach seminaryjnych, przeprowadzonych przez o. Hołdę²⁴⁶, redemptorystę, sporo kolegów poważnie się zastanawiało, czy pozostać w seminarium. Należałem do tej grupy. Nie dlatego, byśmy się jakoś zrywali. To były bardzo osobiste sprawy. Ojciec Hołda wylał nam na głowy kubeł zimnej wody. Może miał rację, że trzeba mocno uderzyć, by wytrącić z szeregu tych, którzy znaleźli się w nim przypadkiem, ale jego sposób mówienia i stawianie wszystkiego na płaszczyźnie:

²⁴⁶ Kazimierz Hołda CSSR (1907–1987), święcenia kapłańskie 1933. Przełożony prowincjalny redemptorystów 1953–1965. W okresie stalinowskim miał specjalne uprawnienia wikariusza generalnego. Aresztowany przez UB i więziony 1955. Przewodniczący konsulty zakonów męskich 1966–1972, przełożony redemptorystów w Warszawie 1969–1972, członek Komisji KEP ds. Zakonnych 1969–1972.

diabeł–piekło, anioł–niebo wprowadzały zamęt w myślach i obalały cały optymizm, bez którego nie można było sobie wyobrazić podejmowania przez dziewiętnastolatka tak wielkiej decyzji jak kapłaństwo. Według o. Hołdy każdą najmniejszą słabość należy eliminować, bo kryje się za nią diabeł. Od słabości nikt wolny nie był, zatem ci, którzy rozumieli to literalnie, a nie byli wolni od wątpliwości, zupełnie upadli na duchu. Koledzy w większości nie mieli tych dylematów, gdyż albo byli bardzo utwierdzeni w powołaniu, albo po prostu nie brali wszystkiego tak dosłownie.

Co do mnie, byłem zdruzgotany, w dodatku dostałem list, który narobił sporo zamieszania. Jeszcze raz kuśił alternatywą, która zlikwidowałaby wszystkie duchowe rozterki. Tak mi się przynajmniej wówczas wydawało. Walczyłem ze sobą przez pewien czas, zastanawiając się, komu się zwierzyć. Koledzy odpadali, spowiedników jeszcze za dobrze nie znałem, papy się bałem. Wreszcie przemogłem się i poszedłem do niego, wiedząc, że miał on takich klientów całe procesje i że co jakiś czas zajeżdżała dorożka i ktoś pakował na nią walizki, by udać się na dworzec.

Byłem wtedy w stawce poborowej. Powiedziano nam, że jeśli zostaniemy w seminarium, to jesteśmy wyreklamowani, ale jeśli ktoś myśli, że wystąpiwszy, po pewnym czasie nie trafi do woja, to niech sobie to z głowy wybije. Najlepiej też zrobi ten, który zaraz o tym powiadomi RKU²⁴⁷. Byłem tak pewny, że moja kariera seminaryjna się kończy, iż pewnego dnia wysłałem zawiadomienie, że nie przysługuje mi już reklamacja.

Chyba następnego dnia zdecydowałem się pójść do papy. Oczywiście z listem, bo powiedziałem sobie, że nie mogę ukryć nawet najmniejszego szczegółu. Ojciec duchowny posadził mnie przy stole, sam usadowił się tyłem do okna. Pozycja dla mnie raczej niewygodna, nie mogłem śledzić wyrazu jego twarzy. Zdziwiłem się, kiedy odezwał się do mnie po imieniu. Przecież dopiero od niecałych dwóch miesięcy byłem w seminarium. Podzieliłem się swoimi wątpliwościami, położyłem na stole list, oświadczając, że nie powinienem takich listów odbierać, skoro wszystkie drogi dotychczasowe zostały przecięte. Papa milczał, tylko zachęcał mnie, bym dalej mówił. Moim ostatnim zdaniem było:

– Muszę opuścić seminarium.

Zapytał:

– Kiedy? Jutro, dziś?

Odparłem, że jeśli to konieczne, to tak. On na to:

²⁴⁷ Rejonowa Komenda Uzupełnień.

– A skąd wiesz, że konieczne?

Powiedziałem, że przemyślałem rekolekcje i stąd moja decyzja.

– Jeśli tak dobrze przerobiłeś rekolekcje, to znaczy, że poważnie myślisz o powołaniu, mam rację?

Potwierdziłem, że tak niewątpliwie jest. Następnie zapytał, co to za list. Czytać nie chciał, zresztą list był kilkustronicowy. Wy tłumaczyłem, że jest to list od dziewczyny odkrywający przede mną sprawy, których przedtem nie byłem świadomy, i że mam prawo sądzić, że ktoś, dla kogo miałem wiele sympatii, darzy mnie uczuciem. Zapytał:

– A co teraz byś zrobił, poszedłbyś za tym?

Odparłem zupełnie szczerze, że miałbym w tym względzie więcej wątpliwości niż w odniesieniu do mego pobytu w seminarium. Zapadła cisza. Patrzył na mnie zza swych okrągłych szkielek i nic nie mówił. W pewnym momencie się roześmiał:

– Zygmuncie, gdybyś mógł siebie widzieć! Jak ty teraz wyglądasz, jak kupka nieszczęścia! Nie martw się. Też nie mogę ci nic rozstrzygającego powiedzieć. Co do rekolekcjonisty, on mówi do 200 chłopca, zatem dla siebie trzeba zabrać jedną dwusetną. Każdy swoją częśćkę. Widzisz, różni różnie jego nauki odebrali, a to, że was ruszyły, oznacza, że dobrze mówił, ale wcale nie znaczy, że jutro musisz dzwonić po dorożkę. Pojedziesz na wakacje gwiazdkowe, spotkasz swoich kolegów, nie uciekaj przed tą dziewczyną. Jeśli ona ma zwyciężyć, niech zwycięży, ale jeszcze się przecież to nie stało. Idź teraz i rób, jak gdyby nic się nie stało, bo faktycznie nic się nie stało. Jeśli po Bożym Narodzeniu przyjdiesz i powtórzysz to, co mówiłeś dzisiaj, wtedy się zastanowimy.

Wstał, poklepał mnie po ramieniu i rzekł już zupełnie innym, tym oficjalnym, rozkazującym dyszkantem:

– Nie słyszałeś dzwonka na podwieczorek? W seminarium jest to święty podwieczorek, jak każde ćwiczenie. Spiesz się, bo się spóźnisz i nic dla ciebie nie zostawią.

Z całej rozmowy tylko to ostatnie się nie zgadzało, bo podwieczorek to był dopust Boży, jako że zawsze były mielone i trochę zjełczałe skwarki, tzw. żużel, który chętnie jadały już tylko największe żarłoki.

Poszedłem na podwieczorek, ale jakoś nie czułem, że ten żużel jem, nawet mi smakował. Kamień, który przygniatał mnie od wielu dni, nagle gdzieś spadł – nie było go. Nigdy później ojciec duchowny nie zapytał mnie, czy chcę przyjść

na rozmowę, nigdy do tej rozmowy nie wrócił, a że o niej pamiętał, przekonałem się, kiedy już po święceniach wiozłem go seminaryjnym citroenem 2CV, okropnie zdezelowaną „kaczką”. Wspomniał wtedy o przypadku pewnego kleryka i powiedział:

– Nie muszę ci zbyt wiele mówić, sam miałeś takie perypetie.

Ojciec duchowny był człowiekiem, który potrafił od siebie odstręczać, ale tylko wtedy, kiedy ktoś nie umiał się zdobyć na szczerość. Tej wymagał aż do przesady. Szczerość, którą wyczuwał w rozmówcy, otwierała od razu jego wielkie i naprawdę wspaniałe serce, budziła wyrozumiałość. Później, gdy byłem na drugim i szóstym roku dziekanem kleryków, musiałem z nim mieć do czynienia w kwestiach porządkowych. Kiedy zdarzały się pewne napięcia między tym, czego wymagał rektor, a gdzie prawo wglądu miał również ojciec duchowny, zawsze potrafił z wielkim taktem dać mi do zrozumienia, bym nie stawał zbyt mocno po stronie decyzji rektorskich. Cóż zresztą za prawo i możliwość miał kleryk, by się po tej czy tamtej stronie opowiadać?

Gdy poznawałem inne seminaria, niejednokrotnie się przekonywałem, że ojciec duchowny to wprawdzie druga osoba po rektorze, ale przez alumnów postrzegany bywał jako ktoś kształtujący życie ascetyczne kleryków i niekoniecznie tak istotnie wpływający na ich losy i decyzje. Moje doświadczenia były wprost przeciwne. Ojciec duchowny miał najistotniejszy wpływ na dojście kleryka do święceń. Inny kapłan, pełniący tę funkcję w czasie „banicji” ks. Szymańskiego, człowiek ze wszech miar godny zaufania i oddany swej misji, nie miał jednak tak rozległego wpływu na kleryków jak nasz papa. Trudno powiedzieć, dlaczego tak było, prawdopodobnie istotną rolę odgrywały tu kwestie osobowościowe.

Warto przypomnieć porządek seminaryjny, bez niego bowiem zabrakłoby szkieletu, na którym niejako wspiera się każda sylwetka, tak ludzka, jak i instytucji.

Początkowo trudno się było przyzwyczaić do monotonnego porządku dnia. Wstawanie 5.45, w niedziele i święta o godzinę później. Od godz. 6.30 rozpoczynał się dzień. W sali wykładowej były modlitwy poranne i rozmyślanie, następnie przechodziło się do kaplicy na mszę św. Po mszy było śniadanie bez czytania, z wyjątkiem rekolekcji i dni skupienia, kiedy czytano jakąś lekturę pobożną. Po śniadaniu rozpoczynały się wykłady, o 12.30 był obiad. Po nim godzinna rekreacja, po niej studium, następnie o 16.00 – podwieczorek, po nim czytanie duchowne w kaplicy i studium. Kolacja była o 18.30, po czym rekreacja i jeszcze godzina studium. O 21.30 sygnał światłem ogłaszał ciszę nocną. Okresowo, w Wielkim Poście była droga

krzyżowa w piątki, nabożeństwo różańcowe w październiku, majowe w maju. Co miesiąc był dzień skupienia. Co tydzień do konfesjonału. Spowiedników można było sobie wybierać, z tym że zalecany był wybór stały. Za moich czasów do seminarium przychodzili następujący spowiednicy: ks. kanonik Henryk Raiter²⁴⁸, ks. Bogdan Pelz²⁴⁹, proboszcz ze Żnina, ks. Kazimierz Tadrzyński²⁵⁰, proboszcz z Wenecji koło Żnina, ksiądz kanonik Jan Zaręba²⁵¹, ksiądz kanonik Jan Czerniak²⁵². Poza tym dochodziło kilku franciszkanów z klasztoru gnieźnieńskiego oraz dojeżdżało kilku księży diecezjalnych. Oczywiście spowiadał też ojciec duchowny.

Na ogół nie mówi się o warunkach bytowych. Ponieważ dzisiaj trudno wyobrazić sobie lokum kleryckie bez łazienki, trzeba powiedzieć, jak było wtedy. Na trzech lokatorów pokoju była jedna miednica, wiadro na brudną wodę i konewka na czystą. O wodzie ciepłej na co dzień nie było co marzyć, była do dyspozycji jedynie podczas cotygodniowej kąpeli w łaźni. Umycie się, ogolenie, sprzątnięcie pokoju przez trzech jego lokatorów w ciągu 45 minut to był wyczyn i trzeba to było wyćwiczyć.

Życie seminaryjne było bardzo monotonne. Ale z drugiej strony stale coś się działo. Były to sensacje tak bardzo lokalne, że trzeba było już dobrze wrosnąć w tę nietypową społeczność, by się nimi ekscytować. Przede wszystkim nie mieliśmy dostępu ani do radia, ani do gazet, a telewizji jeszcze nie było. W niedzielne rekreacje do dolnej sali, swego rodzaju auli, w której odbywały się wszelkie oficjalne uroczystości, przychodził zazwyczaj operator z któregoś z kin i uruchamiał

²⁴⁸ Henryk Raiter (1906–1983), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1929. Od 1946 pełnił różne funkcje w KMG; prałat, kanonik, kustosz Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie. Proboszcz parafii archikatedralnej w Gnieźnie 1956–1981.

²⁴⁹ Bogdan Pelz (1908–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1932. Wikariusz w parafii św. Wawrzyńca w Nakle od 1932. Proboszcz parafii św. Doroty w Strzałkowie 1945, w Barcinie 1945–1957, w Żninie 1957–1968, dziekan żniński. Proboszcz parafii Wniebowzięcia NMP i św. Stanisława BM (fara) we Wrześni 1968–1980, dziekan wrzesiński. Od 1963 tajny szambelan papieski.

²⁵⁰ Kazimierz Tadrzyński (1891–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1917. Przed drugą wojną ojciec duchowny WSD w Gnieźnie. Więzień Dachau. Proboszcz parafii Narodzenia NMP w Wenecji koło Żnina 1946–1966. Kanonik honorowy Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie.

²⁵¹ Jan Zaręba (1910–1986), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, doktor teologii. Święcenia kapłańskie 1934. Kanclerz Kurii Diecezjalnej w Gorzowie 1945. Referent KMG od 1950. Oficjał Trybunału Metropolitalnego w Gnieźnie 1956, kanonik Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 1957, rekolekcjonista, duszpasterz młodzieży. Biskup pomocniczy wrocławski, sakra biskupia 1963, objęcie rządów biskupich 1970, wikariusz kapitulny diecezji od 1968 i jej administrator apostolski.

²⁵² Jan Czerniak (1906–1999), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1932. Kierownik archidiecezjalnego wydziału ds. duszpasterskich, sędzia posynodalny, dziekan od 1958. Biskup pomocniczy gnieźnieński 1958–1989. Sakra biskupia 1959. Członek Komisji Maryjnej i Komisji Duszpasterskiej KEP 1959–1981. Prepozyt kapituły gnieźnieńskiej od 1970; wikariusz generalny i kapitulny od 1981.

stary aparat projekcyjny. Najczęściej wyświetlał jakiś stareńki film, który rektor miał na składzie. Były to filmy różnej treści, niekiedy kreskówki, filmy animowane, przedwojenne filmy fabularne, jakieś kroniki. Rzadko przynoszono film z zewnątrz, a jeżeli już – to zawsze taki, którego nikt nie chciał oglądać. Szliśmy chętnie na te rekreacje, zdarzało się bowiem, że były w filmie sceny nieprzeznaczone dla naszych oczu, tzn. jakaś postać kobieca, rzecz jasna po szyję szczelnie ubrana, ale przewracająca oczyma w stronę amanta w geście zakochania. Wtedy na ekranie ukazywał się zdeformowany palec rektora, który w ten sposób sprawował akt cenzury. To był moment, na który wszyscy czekali. Wywoływał on falę wesołości, tym bardziej że było ciemno i nikt nie wiedział, kto się najbardziej tym bawi. Kiedy później byłem dziekanem, poprosiłem rektora, by nie zasłaniał obiektywu. On zdziwił się i swoim zwykłym stylem odpowiedział:



Ksiądz Józef Pacyna, rektor seminarium gnieźnieńskiego, 1952 r.

– Tak, tak... Ci, którzy robią filmy, wcale nie wiedzą, że będą one pokazywane klerykom, gdyby wiedzieli, z pewnością nie robiliby takich scen, które w seminarium absolutnie nie są potrzebne. Musimy więc to tu na miejscu naprawić. Przecież film jest pożyteczny i bez tych scen, kto by się tam z tego śmiał, film jest po to, by kleryków rekreować, a nie po to, by pokazywać tam takie dziwne rzeczy.

To był cały nasz kochany ks. prałat Józef Pacyna. Człowiek, który przez 26 lat był rektorem i nigdy nie brał urlopu, „bo rektor jest po to, by pilnował seminarium”. Sprawy kleryków traktował jak swoje własne. Przypatrywał się, w co kleryk chodzi ubrany, i potem szukał – to płaszcz, to butów, to innej części garderoby – i wołał do siebie.

– Niech przymierzy, bo akurat coś takiego się znalazło i trzeba tego koniecznie używać, bo jak się nie używa, to się psuje.

Stosował argumenty jeszcze fantastyczniejsze. Dając klerykowi zimowy płaszcz, mówił:

– Musieliśmy się o ten płaszcz postarać, bo zaziębiłby się i nie mógłby chodzić na wykłady. Kto widział tyle godzin stracić, toć by leżał może tydzień albo dłużej.

Na zewnątrz oschły, odpychający, ale kiedy klerycy masowo chorowali na grypę i salę wykładową trzeba było przerobić na infirmerię – wielkie dormitorium – podchodził do każdego, doglądał, z rękawa wyciągał jabłko czy inne łakocie.

– Akurat się znalazło, to trzeba koniecznie zjeść. Jabłko jest do jedzenia, tak, tak, do jedzenia, trzeba zjeść...

Oczekiwaliśmy z niecierpliwością przed kolacją na jego coniedzielne „instrukcje”, które były przezabawne. Mówił w nich o wszystkim – jak się psują sanitaria, a w jednej łazience wybito nawet okno.

– Tak, tak, nie wiemy kto i nieważne kto, ale majster powiedział, że kitu nie ma i nie będzie.

Pewnego razu w czasie zawodów pingpongowych czterech potężnych drabów rozparło się na wiedeńskiej drewnianej ławeczce, depozycie jakiejś ziemiańskiej rodziny, i tę ławeczkę połamało na drobne drewnienka. Rektor przejął się strasznie. W czasie drugiej z kolei instrukcji wypominał:

– Połamali, to źle. Choć jeszcze gorzej, że nie przyszli i nie powiedzieli. Przecież nic by im nikt nie zrobił złego, ale że też nie przyjdą, by się przyznać!

Na to basowym szeptem odzywa się Konrad Hildebrandt²⁵³, jeden ze sprawców:

– Trzeba było od razu tak mówić.

Rektor nie usłyszał i długo jeszcze bolał nad tym, że się nie przyznali.

Miał jedną wielką słabość, a może właśnie w tym tkwiła jego siła. Nie lubił wypuszczać kleryków do miasta, a już na wyjazd to w ogóle nie było co liczyć. Krążyła powiastka, że kleryk, który poszedł się zwolnić do dentysty, usłyszał:

– Nie trzeba iść, sklepikarz załatwi.

Czy to prawda, nie wiem, ale sklepikarz i bez tego miał pełne ręce roboty. Sam nim byłem na trzecim roku i wiem z własnego doświadczenia.

Bardzo był pamiętliwy, jeśli go ktoś choćby raz zawiódł. Podpadłem już na pierwszym roku, rektor wysłał mnie bowiem do Poznania, do dr. Kryzana, swego krewnego, który był dermatologiem, a ja miałem kłopot z łojotokiem. Pojechałem przed południem i sprawę załatwiłem w ciągu pół godziny. Miałem jeszcze, bodajże na ul. Lampego, kupić kuwety do wywoływania zdjęć, co też zabrało niewiele czasu. Mogłem już o 15.00 wracać do Gniezna, ale coś podkuśliło

²⁵³ Konrad Hildebrand (1930–1993), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii Świętej Trójcy w Bydgoszczy 1957–1964. Pełnił funkcję ekonoma kaplicy publicznej św. Józefa w Faniowie 1964–1974. Proboszcz parafii św. Stanisława BM w Bydgoszczy 1974–1993.

mnie, by pójść do kuzynostwa. Miałem zamiar pojechać pociągiem koło 17.00. Nie udało się, bo gościli mnie, perswadowali, że przecież trochę później to nic złego.

Ostatecznie wylądowałem w seminarium około godz. 22.00. Cały gmach ciemny, bałem się zadzwonić do furty. Ledwie doszedłem do drzwi, a one otwierają się same, tzn. otworzył je Michał, który oznajmił, że ksiądz rektor czeka. Trochę się denerwowałem, tym bardziej że rektor wyliczył mi pociągi, jakimi mogę wrócić, o tak późnym nawet nie wspominając. Wszedłem więc autentycznie spocony i nie potrafiłem z siebie nic więcej wydusić poza słowami:

– Ledwo zdążyłem.

Rektor zaniemówił. Spojrzał na mnie, wziął kuwety i powiedział:

– W refektarzu, we framudze okiennej jest talerz z jedzeniem.

Nigdy nic więcej na ten temat nie padło, ale do końca seminarium już mnie nigdzie nie wypuścił. Zawsze była jakaś wymówka. Kiedyś prosiłem, by mnie zwolnił na ślub w rodzinie, a on podszedł do szafy i zaczął czegoś szukać. Po chwili odwrócił się i podał mi dwie czy trzy karty z powinszowaniami.

– Rodzina wcale tak nie oczekuje, jak nam się wydaje, bardzo się cieszą, kiedy dostaną ładną laurkę, lepiej im posłać. Kiedy się jedzie na wesele, to cały tydzień stracony, bo trzy dni przed weselem się o tym myśli i trzy dni po weselu też, nie warto jechać. Wesele to nie nasza sprawa. Świeccy chcą być sami.

Więcej o zwolnienie na wyjazd nie poprosiłem. Wywody te w pewnym sensie sprawdziły się jednak później i rzeczywiście już jako ksiądz unikałem wesel. Przekonałem się, że weselnicy nie lubili, gdy ksiądz zbyt długo przesiadywał. W całej mojej karierze byłem może na trzech lub czterech weselach i to tylko godzinę, najwyżej dwie.

Zrozumiałem trochę więcej z tego niekiedy dość dziwnego wychowania seminaryjnego, kiedy przeczytałem książkę *Podręcznik alumna*, jaką sprzedawano nam w 1951 r. za symboliczną złotówkę. Była to książka oddająca wiernie sulpicjańskie metody wychowania i ascezy seminaryjnej, czyli z pierwocin seminaryjnych we Francji po soborze trydenckim, którego wzorce wychowawcze były w czasach mojego pobytu seminaryjnego jeszcze bardzo żywe. Wskazania zawarte w tej książce były zapewne bardzo wartościowe, ale raczej przystosowane do okoliczności życiowych i mentalności ludzi XVIII, a może także początków XIX w. Nas niekiedy bawiły, a w ogóle jawiły się jako anachronizm.

Seminaria były wewnętrznie zorganizowane na wzór klasztorów. Usiłowano też praktykować trochę zrutynizowaną pobożność, a nade wszystko zachować



porządek dnia. Wpajano nam przekonanie, że kto nie potrafi zachować wierności wobec niego, nie zachowa jej także w wymiarze swego stanu i misji. Było to coś, co budziło sprzeciw młodego człowieka, żądnego wypróbowania własnych inicjatyw, dążącego do przejęcia pełnej odpowiedzialności za siebie. A tu nagle ktoś inny tę odpowiedzialność dzierży, a ty ogranicz się do wypełnienia jego woli. System ten był jednak dobry o tyle, że kiedy człowiek już raz uznał konieczność pewnego porządku, a później znalazł się w sytuacji wymagającej narzucenia sobie takowego w imię podjętych zadań, to wtedy miał pełną szansę ich realizacji.

Gdy porównuję tamto seminarium z obecnym (prawda, że mało mi znany, ale na tyle, by wiedzieć, iż panuje w nim swoboda niegdyś niewyobrażalna), myślę, że jednak tamto, na które nieraz zgrzytaliśmy zębami, dawało przyszłemu kapłanowi więcej. Każdy człowiek, sportowiec, pilot samolotu, menedżer, potrzebuje treningu, a trening polega na pewnej przesadzie w stosowaniu się do norm podstawowych. Tylko sprawność operowania nimi zapewnia sukces. W ascetyce nazywa się to cnotą. Cnota to właśnie sprawność. Powiem krótko, dziś żadna szkoła nie daje sprawności, daje tylko wycinki wiedzy, mało zresztą utrwalonej. Jeśli seminarium nie daje sprawności albo daje jej zbyt mało, to bardzo źle.

Raz lub dwa razy do roku urządzane były wycieczki. Zwykle najmowano autobus lub jedną czy drugą ciężarówkę i grupa wyznaczona – całość jechać

Gmach Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie, około 1951 r.

nie mogła – udawała się gdzieś w pobliże Gniezna nad jezioro lub do parafii na zaproszenie proboszcza. Cały dzień spędzało się na świeżym powie-



Sztuka teatralna
wystawiana
przez kleryków
Wyższego Semi-
narium Duchow-
nego w Gnieźnie,
1953/1954

trzu, grając w piłkę lub organizując spontanicznie jakieś zawody. Dziś zapewne młodzież znudziłaby się szybko taką rekreacją, wtedy miało to swoją atrakcyjność.

Dużą popularnością cieszyły się przedstawienia organizowane przez alumnów. Były to zazwyczaj sztuki teatralne, zawsze zawierające jakieś odniesienia religijne, a zdarzały się, zwłaszcza w zapusty, wieczorki humoru ze skeczami i wystę-

pami domorosłych artystów i konferansjerów, odtwarzających znane lub *ad hoc* układane monologi. Bardzo często adresowano je do moderatorów, rektora. Pamiętam taki wierszyk:

A gdy na zakręcie ujrzysz dwie potężne mordy,
To wiedz, że idzie ksiądz rektor, a przed nim dwa lordy.

To była aluzja do dwóch potężnych bernardynów, z którymi rektor często przechadzał się alejami ogrodu. Jeden z nich leżał niekiedy w korytarzu pod drzwiami. Wielu wesołków, przechodząc, wołało do niego:

– Lord, daj głos!

A wtedy on zawsze raz zaszczekał. Głośnie „hau” niekiedy wywabiało rektora z jego mieszkania.

Jeśli chodzi o mnie, to jakoś mój talent aktorski uchodził uwadze. Raz otrzymałem rolę niebyt eksponowaną, bo byłem pomocnikiem kata w sztuce o Tomaszu Morusie²⁵⁴. Katem był niezapomniany Edzio Szymczak, który niestety nie dotrwał do końca studiów. Tak się złożyło, że miałem nałożyć skazańcowi kajdany, ale w ostatniej chwili spostrzeżono, że brakuje tego rekwizytu. Reżyser powiedział, że muszę tak zręcznie manipulować, by nikt

²⁵⁴ Thomas Moore (1478–1535), myśliciel angielski, pisarz Izby Lordów i kanclerz królewski. Męczennik chrześcijański. Święty Kościoła katolickiego.

nie zauważył braku tych kajdan, ale uparłem się: muszą być. Ktoś wpadł na pomysł i przyniósł z podwórza łańcuch od krowy, długi może na 3 m. Zacząłem pętać Morusowi nogi, a ten syczy:

– Przecież przewrócę się, zostaw to.

Wpadłem więc na taki pomysł, że szedłem za nim, trzymając cały zwój łańcucha w rękach. Widownia w tym dramatycznym momencie dusiła się od śmiechu, a moja kariera aktora dramatycznego była skończona.

Szczególnie miłe były wieczorki humoru. Rzecz ciekawa, ale najlepszymi aktorami komediowymi byli najpoważniejsi koledzy.

Niezapomniane były role Henia Florczyka²⁵⁵, Zygmunta Humerczyka²⁵⁶ z Poznania, Józefa Glempa – pamiętam jego rolę infirmiarza, czyli opiekuna izby chorych. Niezapomniany był Antoś Pryłowski. Mógł po prostu stanąć na scenie, nic nie mówiąc i operując wyłącznie mimiką, przedstawiał to kompletnego gamonia, to znów spryciarza lub stroskanego o coś rodzica. Sala śmiała się, nie dopuszczając go do głosu.

Szkoda, że zatarły się już w pamięci teksty pisane przez kolegów, satyry i nie tylko, ale trwa odczucie ich wysokiego poziomu i dojrzałości. Pamiętam trawestację przypowieści o perle Lecha Andrychowskiego, tekst wybitny pod względem literackim. Szkoda, że autor poszedł inną drogą. Wielkie wrażenie wywarła na mnie sztuka *W dzień sądu*, przedstawiająca sąd Piłata nad Chrystusem. Piłat, którego grał Jerzy Dąbrowski, i jego żona w wykonaniu Jana Nowaka²⁵⁷, późniejszego, a dziś już także nieżyjącego, biskupa – to były



Sztuka teatralna wystawiana przez kleryków Wyższego Seminarium Duchownego w Gnieźnie, 1954 r.

²⁵⁵ Henryk Florczyk (1923–1997), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii w Koziełsku 1956–1963. Rektor kościoła pomocniczego Niepokalanego Poczęcia NMP w Jastrzębowie 1963–1978. Proboszcz parafii NMP Nieustającej Pomocy w Zdziechowie 1978–1997.

²⁵⁶ Zygmunt Humerczyk (1926–2003), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Wikariusz w Koźminie, w Krobi, parafii św. Wojciecha w Poznaniu, św. Jana Kantego w Poznaniu, w Sołaczu 1956–1968. Administrator, a następnie proboszcz parafii św. Stanisława BM w Ceradzu Kościelnym 1968–1997. Kanonik Kapituły Kolegiackiej w Szamotułach od 2000.

²⁵⁷ Jan Nowak (1931–2002), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii w Nowej Wsi, w Smogulcu 1956–1961. Studia w Rzymie 1961–1964; doktor teologii. Wykładowca WSD w Gnieźnie od 1964, jego rektor 1970–1982. Biskup pomocniczy gnieźnieński 1982–1996. Biskup diecezjalny siedlecki 1996–2002.

postaci tak plastyczne, iż odnosiło się wrażenie, że nie jest to fikcja sceniczna, ale rzeczywistość. Przy tym trzeba dodać, że stroje wypożyczane z teatru, dekoracje pomysłowo wykonane przez kleryków tworzyły całość na poziomie wykraczającym poza ramy amatorszczyzny.

Oczywiście każdy tekst wystawiany na scenie seminaryjnej musiał przejść przez cenzurę rektorską. Kiedy byłem dziekanem, wysyłano mnie często, bym te sprawy załatwiał. Rektor, zwłaszcza gdy sam był bohaterem jakiegoś skeczu, strasznie się dziwił, że on w taki sposób, jak pokazano, załatwia interesantów. Śmiał się, kręcił głową, ale podpisywał. Zastrzegał:

– Przecież zobaczą, że ja wcale tak nie mówię, i będziecie się wstydzić.

Podobno gorzej było te sprawy załatwiać z ks. prof. Felicjanem Kłonicim²⁵⁸, który był nominalnie wicerektorem, a faktycznie kierował seminarium w czasie „wygnania” ks. Pacyny. Nie znał się na żartach i łatwo się uprzedzał. Ksiądz Pacyna nie pozwalał na złośliwe teksty pod adresem innych profesorów, zwłaszcza starszych. W szczególnej estymie miał księdza kanonika Stanisława Tłoczyńskiego²⁵⁹, nauczyciela śpiewu, dyrygenta chóru katedralnego i świetnego muzyka. Kiedyś z okazji koncertu pani Czerny-Stefańskiej²⁶⁰ w seminarium pozwoliliśmy sobie na niewinny żart. Wyraziliśmy podziw dla dworności kanonika, który podał artystce rękę, gdy schodziła ze sceny po bardzo chybottliwych stopniach. Rektor bardzo się zeźlił, a najwięcej dostało się mnie, choć nie miałem z tym nic wspólnego. Staruszek niepotrzebnie się poskarżył rektorowi:

– O co oni mnie posądzają?

Sam to słyszałem, stojąc w przedpokoju mieszkania rektorskiego. Trzeba było przeprosić, a kanonik dopytywał się, co mieliśmy na myśli, gdy mówiliśmy o jego

²⁵⁸ Felicjan Kłoniecki (1909–1990), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1933. Bibliista, doktor teologii, wykładowca w WSD w Gnieźnie 1945–1947 i od 1953, a także ASD w Poznaniu 1947–1953. Rektor WSD w Gnieźnie 1954–1956. Jeden z tłumaczy Biblii Tysiąclecia. Dziekan kapituły gnieźnieńskiej.

²⁵⁹ Stanisław Tłoczyński (1881–1958), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, kompozytor. Święcenia kapłańskie 1909. Od 1914 do końca życia dyrygent Chóru Archikatedralnego (Prymasowskiego) w Gnieźnie. Od 1916 wykładowca muzyki i śpiewu w WSD w Gnieźnie. Kanonik kolegiaty św. Jerzego w Gnieźnie, kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 1946. Redaktor *Śpiewnika kościelnego dla archidiecezji gnieźnieńskiej*.

²⁶⁰ Halina Czerny-Stefańska (1922–2001), polska pianistka, pedagog. Laureatka I edycji Konkursu Chopinowskiego w 1949. Uczestniczka najważniejszych konkursów pianistycznych na świecie. Radna miasta Krakowa 1976–1984. W latach 1981–1983 członkini prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

dworności. Ktoś odważył się wyjaśnić, że podziwialiśmy takt księdza kanonika. Rozpogodził się.

– A to co innego, muszę zaraz powiedzieć księdzu prałatowi.

I powiedział, ale rektor i tak dość długo jeszcze chodził chmurny.

Spotkania takie nie były częste. Zjawiali się niekiedy działacze katolicy z oddziałami, ale żaden jakoś nie zadomowił mi się w pamięci. Może jeden, przedstawiciel Towarzystwa Przyjaciół KUL²⁶¹, Adam Stanowski²⁶², wówczas jeszcze młody, bardzo elokwentny, pewny siebie student czy może już absolwent. Potrafił agitować na rzecz KUL, ale zbyt się zapalał i dawał do zrozumienia, że wyjaśnienia przez niego dawane są ostateczne i bezapelacyjne. Zrobił jednak na niektórych wrażenie swoją sugestywną elokwencją.

Wspominając główne wątki życia seminaryjnego, umyślnie pominąłem jeden z najważniejszych (nie licząc wychowawczej roli formacji ascetycznej). Wątek ten stanowią rekolekcje. Już nigdy potem żadne ćwiczenia duchowne nie zapadały tak głęboko w pamięć i całą strukturę duchowo-psychiczną. Znowu piszę o swoich doznaniach, zatem bez uogólnień. Wspominałem o pierwszych naukach o Hołdy. Pozostawiły one głęboki ślad, ale czy ten najważniejszy? Polegały głównie na swoistym zastraszaniu. Jeśli nie poddasz się bezwarunkowo temu, co w seminarium w ciebie wtłaczają, to jesteś skończony. Najlepiej idź jak najszybciej do cywila. Trzeba pamiętać, że był to czas przepełnionych seminariów, odsiew był konieczny. Z naszego rocznika w ciągu pierwszego roku odeszło 40, w tym mniej więcej połowa wskutek obłanych egzaminów. Rekolekcjonista miał zatem za zadanie przyczynić się także do odsiewu słabszych. Było to jednak ryzykowne, sposób potraktowania nas przez o. Hołdę płoszył bowiem głównie tych, którzy bardzo sumiennie podchodzili do swego powołania. Rozmawiałem wówczas z wieloma kolegami, którzy doszli do kapłaństwa, ale wówczas nie byli dalecy od rezygnacji. Jedno jest pewne, byliśmy tymi ćwiczeniami mocno podłamani. Papa – tak mi się dziś wydaje – długo i ostrożnie smarował te rany jakąś maścią łagodzącą.

²⁶¹ Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (TP KUL) zostało założone w grudniu 1922 przez o. Jacka Woronieckiego, ówczesnego rektora. Główny cel stanowiło zdobywanie wsparcia społecznego i materialnego dla KUL. Od początku prowadzono zbiórki pieniężne na działalność uniwersytetu.

²⁶² Adam Stanowski (1927–1990), członek Szarych Szeregów i AK, powstaniec warszawski. Po wojnie aresztowany przez UB (w związku ze śledztwem przeciw Juventus Christiana i Sodalicii Mariańskiej) i w 1951 skazany na 7 lat więzienia; zwolniony w 1955. Pracownik naukowy KUL 1957–1990. Doktorat 1969. Od 1956 działacz Klubu Inteligencji Katolickiej (KIK). W 1958–1961 i 1977–1990 redaktor „Więzi”. Opozycjonista. Senator RP 1989–1990.

Nie wszystkie rekolekcje pozostawiły wyraźny i długotrwały ślad. Były takie, o których dziś nic nie mogę powiedzieć. Na czwartym roku głosił je ks. Stanisław Poczta²⁶³, ongiś ojciec duchowny naszego seminarium, a wtedy już proboszcz w Czempiniu w archidiecezji poznańskiej. Był to niewątpliwie człowiek ciekawy, ale jak każdy hobbysta, a jego hobby była antropologia z zastosowaniem do dość skomplikowanej typologii osobowościowej, popadał w przesadę i na siłę wtłaczał swe przemyślenia innym. Przesadzał zwłaszcza w ocenach i prognozach. Nauki odbywały się wówczas w nowym audytorium nadbudowanym na drugim piętrze na dawnym solarium – tarasie. Sala była niewykończona, zimna, ławki byle jakie, co nie sprzyjało wyrobieniu odpowiedniego nastroju rekolekcyjnego. Najgorszy problem stanowił jednak sam rekolekcjonista. W czasie pierwszej nauki naszkicował temat całych rekolekcji: „Jak było, jak jest i jak będzie?”. Zaraz dał też odpowiedź:

– Było źle, jest dobrze, będzie lepiej.

W sali zrobił się szmer. Trzeba pamiętać, że był to czas szalejącego stalinizmu. Października²⁶⁴ nikt nawet nie przeczuwał. Prymas w więzieniu, a tu kleryk słyszy, że jest dobrze, a będzie lepiej. Próbował nas uczyć ojciec duchowny, wówczas już nie ks. Szymański, ale ks. Feliks Staszak²⁶⁵, dobry człowiek, lecz także hobbysta i to z programem dość rozbudowanym, apostoł zwalczania nikotyny, również promowania krajoznawstwa religijnego. W tym ostatnim odniósł spore sukcesy, w pierwszym, niestety, mierne. Oczywiście zaproszenie ks. Poczty to była jego sprawa i teraz musiał jakoś opanować audytorium. W miarę jednak jak ks. Poczta wykladał swe racje, niepokój w sali rósł. Pod koniec drugiego dnia przybył ksiądz infułat Stanisław Bross²⁶⁶, ówczesny rządca archidiecezji (jako że ksiądz prymas

²⁶³ Stanisław Kostka Poczta (1908–1990), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1933. Nauczyciel religii w Grodzisku Wielkopolskim 1933–1936. Nauczyciel religii w gimnazjum w Poznaniu 1936–1939. W czasie drugiej wojny zaangażowany w tajne nauczanie. Ojciec duchowny w WSD w Gnieźnie 1945–1948. Proboszcz parafii św. Michała Archanioła w Chwałkowie Kościelnym 1951–1961.

²⁶⁴ Chodzi o wydarzenia października 1956 r., stanowiące kulminacyjny moment odwilży w PRL.

²⁶⁵ Feliks Staszak (1914–1999), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1938. Kapelan szpitala powiatowego we Wrześni 1938–1939. Wikariusz w parafii św. Michała Archanioła w Pobiedziskach 1939. Kapelan szpitala w Opatowie 1939–1945. Proboszcz parafii w Bydgoszczy i nauczyciel religii w liceum pedagogicznym 1945–1947. Proboszcz parafii w Wągrowcu i nauczyciel w miejscowym liceum 1947–1949. Rezydent w parafii św. Wawrzyńca w Gnieźnie 1949–1950. Proboszcz parafii w Karminie 1950–1954. Ojciec duchowny w WSD w Gnieźnie 1954–1956. Proboszcz parafii św. Jakuba Apostoła w Niechanowie 1956–1977. Od 1977 na emeryturze.

²⁶⁶ Stanisław Bross (1895–1982), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1919. Jeden z organizatorów i kierowników Akcji Katolickiej w II RP. Więzień Dachau. Pracownik SPP w Warszawie 1947–1953. Infułat, od lutego 1953 drugi wikariusz generalny archidiecezji gnieźnieńskiej. Po aresztowaniu prymasa i deportowaniu bp. Lucjana Bernackiego administrował archidiecezją jako

był uwięziony), i starał się swą osobą pilnować porządku, także w następne dni. O milczeniu rekolekcyjnym można było jednak tylko marzyć, bractwo było rozdyktowane, skupienie padło, zaczęły się spory między różnymi opcjami. Jedni za Poczta, inni przeciw.

Trudno tu streszczać jego nauki, choć sporo z nich pozostało w pamięci. Posłużę się przykładem jego rozumowania w dowodzeniu, że jest lepiej niż było. Stwierdził mianowicie, że po wojnie grzechy nieczyste zmniejszyły się o 4 proc. To tylko jeden z przykładów. Ponadto dowiedzieliśmy się, jak budowa czaszki wpływa na obecność w człowieku takich czy innych skłonności. Słowem, było to bardzo ciekawe; na każdą naukę szło się w oczekiwaniu jakiejś nowej sensacji, ale czy o to właśnie chodziło? Zdania alumnów były podzielone, pewna liczba wyraźnie się jego wywodami przejęła, zwłaszcza że wprowadził on innowację w postaci dyskusji z jednym z roczników; wybrano piąty. Rezultatu sobie nie przypominam, ale było to coś niezwykłego.

Swoją drogą, jak to często bywa, do tezy rekolekcyjnej ks. Poczty wracałem niejednokrotnie i do dziś mnie ona nurtuje. Obecnie wcale nie uważam, że była ona tak z gruntu fałszywa, jak to wtedy sądziliśmy. Kościół prosperuje najlepiej, kiedy jest w ucisku. To potwierdza historia najdawniejsza i współczesna. W czasach komunizmu, zwłaszcza w okresie stalinowskim, Kościół był zwalczany i prześladowany. Wielu księży było w więzieniach, represjonowano ludzi za okazywanie związków z Kościołem. A jednak właśnie wtedy Kościół dysponował największym potencjałem. Nawet osoby obojętne stawały po jego stronie, tylko w ten sposób mogły bowiem okazać swą dezaprobatę dla reżimu komunistycznego. Ksiądz Poczta w dużej mierze miał rację.

Inne rekolekcje pamiętam jak przez mgłę. Nie znaczy to, że owoc ich nigdy nie dojrzał. Po prostu nie przechował się na czas aż tak długi. Owszem, kojarzę postaci rekolekjonistów, ale nie wiążą się z nimi żadne myśli głębiej zakotwiczone w świadomości. Może trzeba by obszerniej omówić rekolekcje prowadzone przez o. Przybylskiego²⁶⁷, dominikanina. Łączył on głębię teologiczną z prostotą aplikacji

wikariusz generalny *sede impedita* (stolica biskupia, w której biskup nie może sprawować posługi, zastępuje go więc wikariusz kapitulny). Przekraczał swoje kompetencje i doprowadził do podziałów wśród duchowieństwa. Po uwolnieniu prymasa przeszedł na emeryturę.

²⁶⁷ Bernard Przybylski OP (1907–1979), ksiądz, założyciel i kierownik Instytutu Tomistycznego oraz Polskiego Studium Mariologicznego. Świecenia kapłańskie 1933. Kapelan Stowarzyszenia Katolickiej Młodzieży Akademickiej (SKMA) „Odrodzenie”, twórca duszpasterstwa akademickiego w Poznaniu 1937–1939. Działacz konspiracyjnej organizacji „Ojczyzna”. Przeor dominikanów na Służewie 1944.

wykładanych prawd do życia, przy czym mówił bardziej o życiu już kapłańskim, aniżeli o jego fazie przygotowawczej w seminarium. Nie były to nauki podobne do wyżej wspomnianych, nie zaskakiwały atrakcyjną tematyką. Sporo się wtedy dowiedziałem o masonerii, a jak później miałem okazję stwierdzić, wywody te nie szły w nurcie obiegowych, często wręcz baśniowych opowieści o tej organizacji, lecz mówiły o naturze jej destrukcyjnego działania.

Wspomnę jeszcze dwóch rekolekjonistów. Jeden to był brązowy franciszkanin, który mówił bardzo spokojnie, niemalże usypiająco, ale jego nauki były atrakcyjne ze względu na ich praktyczność i dużą dawkę optymizmu, z jakim malował życie kapłańskie. Dziś wydaje mi się – zaznaczam jednak, że mało z tych nauk pamiętam – że portretował on życie w klasztorze. Jeszcze jeden szczegół. Otóż sympatyczne wrażenie, jakie ten zakonnik sprawiał, i wiarygodność jego pozbawionych przesady i praktycznych wskazań dotyczących wyrzeczeń w życiu kapłańskim zostały we mnie całkowicie niemal unicestwione przez drobne, na pozór, wydarzenie. Musiałem po coś wieczorem zejść do mieszkania księdza rektora. W pierwszym pokoju w skórzanym fotelu siedział nasz rekolekjonista i delectował się palonym cygarem. Dziś uważam moje ówczesne zgorszenie za przejaw ciasnego faryzeizmu, wtedy jednak wrażenie było zgoła inne.

Pozostały w pamięci rekolekcje prowadzone przez słynnego jezuitę o. Mirewicza²⁶⁸. Sama jego aparycja budziła sympatię. Wydawał się taki swojski, niemalże nam bliski w sensie rówieśnictwa. Rzeczywistość okazała się inna. Ojciec Mirewicz zaraz pierwszego dnia zapowiedział nam, że przerobi z nami mały katechizm, jest bowiem przekonany, iż go nie znamy, niezależnie od naszych postępów w teologii. Słowa dotrzymał. Zawsze wychodził od jakiejś tezy katechizmowej i rozwijał ją, jakby starał się nam udowodnić, iż nie potrafilibyśmy wyjaśnić nawet podstawowych zawartych w niej prawd. Był przy tym bardzo ironiczny, prawdę mówiąc, pokpiwał z nas, co wielu kolegów od niego odstręczyło. Nie postrzegałem tego w ten sposób, ale mniej więcej od połowy zaczynałem się nudzić. Z góry było wiadomo, co nastąpi. Rekolekjonista, zakładając, że nie potrafilibyśmy katechizmu wyjaśnić dzieciom, sam go nam w ten sposób tłumaczył.

Prowincjał 1946–1950. Twórca programu IV i V roku Wielkiej Nowenny. Uczestnik Soboru Watykańskiego II. Współtwórca i wykładowca Prymasowskiego Studium Życia Wewnętrznego.

²⁶⁸ Jerzy Mirewicz SJ (1909–1996), filozof. Świecenia kapłańskie 1938. Podczas drugiej wojny kapelan AK. Duszpasterz akademicki w Lublinie 1945–1958. Wykładowca w Collegium Bobolanum. Duszpasterz polonijny w Londynie od 1963. Redaktor Sekcji Polskiej Radia Watykańskiego 1958–1963. Redaktor „Przeglądu Powszechnego” od 1967. Wiceprezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie od 1981.

Później, czytając jego eseje i inne publikacje książkowe, odnosiłem lepsze wrażenie, niż gdy go słuchałem.

Poruszyłem jedynie wąski wycinek tego, co nazywamy zwykle formacją seminaryjną. Formacja to wszakże proces nie tylko budowy sylwetki ascetycznej, ściśle duchowej. Papa Szymański niekiedy wybiegał w przyszłość, widział nas już jako kapłanów, wyobrażał sobie różne sytuacje i testował niejako naszą gotowość stawienia im czoła. Miał bogatą wyobraźnię, natomiast mniej doświadczenia wikariackiego; proboszczem nigdy nie był. Tym bardziej podziwiać trzeba trafność wielu jego uwag.

Prawdą jest twierdzenie, że każdy przedmiot nauczany w seminarium, nawet najbardziej teoretyczny, jest budulcem kształtującym przyszłego kapłana, toteż winien jestem wyrazić uznanie większości moim wykładowcom. Nie chcę ich oceniać, a po prostu pragnę zapisać to, co pozostawili w mojej pamięci.

W czasie dwóch lat *philosophicum*, zakończonych egzaminem o takiejże nazwie, profesorów nie było zbyt wielu. Byli to: ks. dr Leon Dachtera²⁶⁹, wykładający wszystkie przedmioty filozoficzne i historię filozofii, ks. Pacyna – wykładowca etyki, ks. Bogdan Bolz²⁷⁰, nauczyciel łaciny i greki, nauczający tych przedmiotów razem z dr. Piotrowiczem²⁷¹, ks. Adam Wojtyła²⁷², kapłan diecezji podlaskiej na stałe już osiedlony w archidiecezji gnieźnieńskiej, uczył historii sztuki, ksiądz kanonik Tłoczyński był nauczycielem śpiewu kościelnego. Były to główne przedmioty w czasie dwóch lat studiów. Charakteryzować poszczególnych wykładowców jest niezwykle trudno, trzeba by uwzględnić zarówno przekazywane przez nich treści, jak i ich osobowość oddziałującą bez wątpienia równie silnie, a może nawet silniej niż one.

Najtwardszym orzechem do zgryzienia był ks. Dachtera, zwany popularnie Leosiem. Był to człowiek wówczas jeszcze przed czterdziestką, ale sprawiał wrażenie znacznie starszego. Miał dziwny sposób mówienia, trochę przez nos i ze specyficzną intonacją, znamionującą człowieka bez słuchu muzycznego – za grosz go nie

²⁶⁹ Leon Dachtera (1913–1954), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1939. Doktor filozofii. Wykładowca filozofii w WSD w Gnieźnie 1946–1954.

²⁷⁰ Adam (Bogdan) Bolz (1913–1993), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, doktor nauk humanistycznych. Święcenia kapłańskie 1938. Wykładowca liturgiki i języków klasycznych w WSD w Gnieźnie od 1945. Cereoniarz. Kanonik. Tuż przed śmiercią nominowany na członka Komisji Neolatinistycznej Komitetu Nauk o Kulturze Antycznej PAN.

²⁷¹ Ludwik Marian Piotrowicz (1886–1957), historyk starożytności, tłumacz z łaciny i greki. Doktorat 1911, habilitacja 1919, profesura 1922.

²⁷² Adam Wojtyła (1905–1970), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1932. Doktor teologii. Proboszcz parafii św. Jakuba w Modliszewku 1950–1970 i wykładowca WSD w Gnieźnie od 1950.

posiadał. Niekiedy też miał jakby spóźnioną reakcję i dopiero po pewnej chwili zaczynał się śmiać z żartu słownego czy sytuacyjnego. Skończył studia w Rzymie, gdzie uzyskał licencjat z filozofii i teologii, doktoryzował się już po wojnie na KUL. Był niewątpliwie człowiekiem ponad przeciętną miarę uzdolnionym i wydaje się, iż nie potrafił iść do przodu, rozpychając się łokciami. Pochodził z Bydgoszczy. Jego starszy brat, Franciszek, także kapłan, zginął w obozie. Najmłodszy brat był śpiewakiem operowym, bodajże w Gdańsku.

Ksiądz Dachtera prowadził wykłady w taki sposób, że perfekcyjnie opracowany materiał po prostu dyktował w tempie pozwalającym wszystko zapisać. Niekiedy zatrzymywał się i tłumaczył bardziej zawiły problem lub okraszał wykład jakimś dowcipem. Charakterystyczne było to, że albo przed jego opowiedzeniem tułów księdza zaczynał się trząść, albo też dowcip o dobrą chwilę wyprzedzał podobną reakcję. Śmiał się bezgłośnie i z małym tylko udziałem mimiki. Materiał przezeń wykładany był jasny jak słońce, ale było tego sporo, a zdania były tak skonstruowane, że opuszczenie jakiegoś fragmentu powodowało kraknę całości. Trzeba było sporo się uczyć. Nie można było nawet pomyśleć o uniku czy braniu profesora na szybkie i zawiłe mówienie. Byli tacy, którzy próbowali. Ci zazwyczaj – już zadowoleni, że dopięli swego – po dłuższym monologu własnym słyszeli pytanie:

– I co z tego?

To był przeważnie nokaut. Kto jednak odważył się dyskutować, miał szansę na zwycięstwo. Pamiętam swój pierwszy egzamin z logiki, podczas którego nie udało mi się od razu dojść do ładu z sylogizmem. Leoś uśmiechnął się i rzekł:

– To niech jeszcze raz spróbuje, jeśli wie, o co chodzi.

Spróbowałem. Nic nie powiedział. Wynik, który mi później zakomunikował rektor, brzmiał *fere bene*²⁷³. Jak na Leosia – prawie Nobel.

Chętnie żartował. Któryś z kolegów miał bardzo cienką szyję. W czasie egzaminu jakoś się pogubił i przez chwilę obaj równocześnie zaczęli mówić i jednocześnie milkli. Po dłuższym milczeniu Leoś pyta:

– A jaki ksiądz ma numer koloratki?

– 42.

Leoś tylko się roześmiał.

– Chyba na brzuchu, bo i ja mam taki numer.

²⁷³ Łac. dobrze minus.

Innym razem ktoś się skarżył, że na dole (to znaczy w kabinach pryszniców, gdzie latem dla chłodu chętnie się uczyliśmy) wszystko umiał, a tu mu nie idzie. Leos bierze swe papiery, wstaje i mówi:

– To idźmy na dół.

Kiedyś czekaliśmy za załomem muru, tuż przy klatce schodowej przed pokojem, gdzie miał egzaminować. Profesor się spóźniał, więc ktoś niecierpliwy rzucił:

– Gdzie się ten Leos podziewa?

I nagle słysząc:

– Już jestem.

Najlepszą zabawę mieliśmy, kiedy ks. Dachtera poprawiał prace pisemne *philosophicum*. Mieszkał w konwikcie, który do 1953 r. był niższym seminarium. Ktoś odkrył, że z pokoiów położonych w gmachu seminaryjnym na trzecim piętrze od strony konwiktu można było spoglądać przez niezastłonięty lufcik wprost na biurko Leosia. Kiedy czytał prace wstawał niekiedy od biurka i łapał się za głowę, chodził po pokoju, śmiał się, machał rękami, potem znowu siadał i czytał dalej. Do momentu, kiedy znowu trafił na smakowity kasek...

Pewne było, że jeśli ktoś się nauczył, to egzamin zdał. Leos nie miał uprzedzeń, nawet w stosunku do tych, którym niekiedy wymówił, że śpią na wykładzie lub robią co innego – a nie patrząc, widział wszystko. Odkrycie, że jeśli umiesz, to zostaniesz należycie oceniony, było dla mnie pierwszym w ogóle bodźcem do rzetelnej nauki. Szkoła średnia wpoila mi przekonanie, że jeśli masz złą kartotekę, choćbyś nie wiadomo jak pracował, pozostaniesz czarną owcą. Tu wszystko się odmieniło. Słaby trójkowicz w gimnazjum, tutaj załapałem się na czoło listy. Później okazało się, że i w seminarium bywali tacy, którzy mieli stopnie gotowe przed egzaminem, ale to już nie miało wpływu na moje nastawienie. Dachtera zmienił moje podejście do uczenia się – nawet nie myślałem o stopniu, ja po prostu chciałem wiedzieć.

Ksiądz Dachtera zginął w nieszczęśliwym wypadku. 26 marca 1954 r. najechała na niego ciężarówka, prowadzona przez dziewczynę niemającą nawet prawa jazdy. Samochód po prostu przygniótł go do muru. Wtedy profesor był już wykładowcą dogmatyki w seminarium gnieźnieńskim, po rozdziale w poprzednim roku seminariów archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej.

Człowiekiem gruntownie wykształconym był profesor Bolz, lektor języków klasycznych, potem wykładowca liturgiki. Był nie tylko filologiem, ale w ogóle znawcą starożytności. Doktorat z klasyki na Uniwersytecie Poznańskim uzyskał w 1960 r. Wyglądał bardzo młodo i zdarzyło się kiedyś, że kleryk, który słyszał,

że Bolz to taka sroga piła, zapytał go na korytarzu, jaki właściwie jest ten Bolz, czy rzeczywiście taki wilkołak? Profesor uśmiechnął się słodko i rzekł:

– A czy ja wyglądam na wilkołaka? Bolz jest całkowicie do mnie podobny.

Alumn ten, kiedy zobaczył go wchodzącego na katedrę, omal nie umarł. Profesor miał z nami łącinę. Kiedy pierwszy raz przyszedł na zajęcia, przyniósł mowy Cyclerona i po kolei kazał każdemu czytać po jednym zdaniu. Wiadomo, jakie są te cycerońskie okresy. Było nas w sali 117. Z reguły kazał tłumaczyć, kilku osobom odpuścił jednak tłumaczenie, m.in. mojemu koledze z klasy Lutkowi Gładyszewskiemu. Mnie także kazał usiąść po przeczytaniu tekstu. Zauważyłem potem, że też nie pytał nas tak często jak innych. Kiedyś, gdy pokręciłem coś z gramatyką, usłyszałem tylko:

– Oj, Zieliński, zbyt długo życie przywiezionym wiktem.

Później, gdy już byłem księdzem, znalazłem się przejazdem w seminarium i spotkałem ks. Bolza bodaj przy obiedzie. Spytałem go, dlaczego wtedy nie kazał nam tłumaczyć? Powiedział, że sposób czytania zawsze nieomylnie wskazuje, czy ktoś tekst rozumie czy nie.

Ogromnie cenił naukę i był niesłychanie staranny, zwłaszcza jako edytor tekstów źródłowych. Myślę, że w seminarium specjalnie nie zwracał na mnie uwagi, kiedy jednak przyjechałem kiedyś do Gniezna po habilitacji, w nieklamany sposób mi gratulował. Zawsze też zauważył jakąś moją wydaną książkę.

Ciekawym człowiekiem był dr Ludwik Piotrowicz, starszy pan, niemal całkowicie głuchy, który całe życie uczył łaciny w żeńskim gimnazjum. Był fenomenem, jeśli chodzi o pamięć. Miał wiadomości encyklopedyczne niemal z każdej dziedziny. Matematyki nauczył się sam, musiał bowiem pomóc bratanicy w przygotowaniu się do matury. Podczas matury w naszym niższym seminarium chłopcy wyrzucali kartki z zadaniami przez okno, ktoś je na przerwie wręczał Hannibalowi (taki przydomek miał profesor), a ten je w okamgnieniu rozwiązywał, mruczając pod nosem:

– A to mi poziom, żeby takie łatwe zadania na maturę dawać...

Nie potrafił zrozumieć, że ktoś mógł nie umieć greki. Nieraz, chcąc go odciągnąć od tematu, pytaliśmy o jakiegoś księdza, jak się sprawował na lekcjach greki. Hannibal zaraz się ożywił, wskazywał miejsce, gdzie tamten przed kilkoma laty siadywał, i mówił niekiedy:

– Na półroczcie miał silne dostateczne, a potem się nawet podciągnął na dobry.

– Albo: Pytałem go o tłumaczenie, bardzo łatwe, ale niewiele z tego potrafił, taki sobie. – I tracił zainteresowanie dla słabego ucznia.

Chłopaki przynosili niemieckie encyklopedie i pytali go, ilu mieszkańców ma jakaś wyspa, a on:

– W 1910 r. Brockhaus podawał tyle a tyle, ale w 1920 r. było już o tyle więcej...

Przynosił gazety informujące o wydarzeniach wojennych 1945 r. – uczył bowiem także nauki o Polsce – trzymał je w dwóch palcach i mówił:

– Wcale nie jest prawdą, co tu piszą, bo było tak...

Skąd to wiedział? Przyniósł raz na wykład podręcznik do NOP i wydziwiał całą godzinę nad błędami tam odkrytymi. Greki nie nauczył, bo absolutnie nie odróżniał tego, co trudne, od rzeczy prostych. Niekiedy, jak zaczął wyjaśniać, dopiero się wszystko do reszty komplikowało. Dobrze jednak było poznać człowieka tej miary – był to po prostu polihistor.

Ksiądz Adam Wojtyła dojeżdżał do nas z Modliszewka, gdzie był proboszczem. Z wykształcenia był teologiem, ale w Poznaniu studiował też historię sztuki i tę nam wykładał. Trzeba powiedzieć, że raczej usiłował nas nieco zarazić bakcyłem tej dziedziny. Sam może zbyt bagatelizował swój przedmiot, wielu wyciągało z tego wniosek, że nie trzeba się uczyć, a i tak będzie *valde bene*²⁷⁴. Z księdzem rektorem mieli wspólne zainteresowania, bo ks. Pacyna malował, choć się z tym nie afiszował. Poznałem ks. Adama Wojtyłę nieco lepiej później, kiedy wraz z kolegami przebywałem na wakacjach w Modliszewku na plebanii (gdzie ponoć straszyl). Miał szerokie horyzonty i szkoda, że w końcu wybrał rolnictwo jako domenę swoich zainteresowań.

Skoro już jestem przy temacie mającym związek ze sztuką kościelną, to muszę wspomnieć ks. kanclerza Edmunda Palewodzińskiego²⁷⁵, człowieka, który nie wiadomo dlaczego, autentycznie mnie lubił. Była to w moim życiu duchowym taka rzadkość, że warta odnotowania. Palewodziński uczył, już na kursach teologicznych, elementów budownictwa kościelnego i trzeba przyznać, że znał się na rzeczy. Operował pojęciami inżynierskimi, jak gdyby całe życie w tym pracował. Dzięki niemu rapicówka czy kafar pozostały już na zawsze w moim słowniku.

Innym przedmiotem, który był na obrzeżu studiów teologicznych, a raczej pastoralnych, była medycyna pastoralna. Nazwa tego przedmiotu zawsze mnie

²⁷⁴ Łac. bardzo dobry.

²⁷⁵ Edmund Palewodziński (1908–2001), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1934. W czasie drugiej wojny więzień obozów koncentracyjnych Oranienburg-Sachsenhausen i Dachau. Był wykorzystywany do eksperymentów pseudomedycznych. Od 1946 notariusz Trybunału Metropolitalnego w Gnieźnie; kanclerz kurii do 1988. Od 1952 kanonik gremialny Kapituły Kolegiackiej

intrygowała, treść wykładana odpowiadała raczej higienie, nie tylko zresztą życia kapłańskiego, ale ogólnie szeroko pojętej, bo w tamtych czasach proboszcz musiał w wielu miejscach pełnić także funkcję promotora nowości cywilizacyjnych. Za moich czasów medycynę pastoralną wykładał dr Szałkowski²⁷⁶. Nie miał on z pewnością talentów pedagogicznych ani dydaktycznych, ale jedno trzeba tu podkreślić, nie bawił się w teorię, lecz uczył rzeczy najprostszych i praktycznych. O ubikacji, łazience, urządzeniu mieszkania, dbałości o rekreację pozwalającą na odnowę organizmu, wreszcie o zagrożeniach dla zdrowia wynikających z pracy kapłańskiej. To były jedne z ciekawszych zajęć, szkoda, że doktor – staruszek – często chorował.

Psychologia dzieliła się na racjonalną i eksperymentalną. Racjonalna to była po prostu część filozofii, natomiast eksperymentalna to było nie wiadomo co. Uczył jej ks. Roman Zientarski²⁷⁷, człowiek niewątpliwie inteligentny, po studiach lowańskich²⁷⁸, choć wojna przerwała mu je po roku czy dwóch. Wojnę przeżył w Dachau. W czasie naszych studiów był proboszczem w Dąbrówce Kościelnej, sanktuarium maryjnym, do którego jako klerycy chętnie jeździliśmy na wrześnieowy odpust. Jego przedmiot to była jednak wieczna improwizacja, przekładanie własnych doświadczeń – trzeba przyznać, niemałych – na jakieś bliżej niesprecyzowane zjawiska psychologiczne. Na jednym z wykładów ktoś się zaśmiał, niezbyt zresztą głośno, kiedy profesor jako odkrycie dokonane przez esesmanów w obozie podał bodajże krzywą Gausa, którą kolega ów akurat miał przed sobą opisaną w podręczniku Baleya. Ksiądz Zientarski spojrzał na nas i powiedział z ubolewaniem:

– Księża, wśród was jest dużo chamów, śmieją się, a nas w obozie kopali w dupę, księdzem jednak było się mimo to.

Zrobiło nam się wszystkim głupio, ale dziś patrzę na to inaczej. Nie można kilkadziesiąt godzin w roku mówić o niczym i zakładać, że nie bierzemy do ręki żadnej książki.

Podobnie jak z psychologią, której brak odczułem bardzo, gdy pracowałem już w parafii, rzecz się miała z teologią pastoralną. Była także podzielona na ogólną

w Kruszwicy, od 1958 kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie. Wykładowca konserwacji zabytków w seminarium gnieźnieńskim. Kapelan harcerzy.

²⁷⁶ Leon Szałkowski, lekarz, wykładowca medycyny pastoralnej w WSD w Gnieźnie.

²⁷⁷ Roman Józef Zientarski (1907–2001), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Przed drugą wojną duszpasterz harcerzy. Więzień obozów w Buchenwaldzie i Dachau. Proboszcz parafii NMP Wniebowziętej – sanktuarium Matki Bożej Pocieszenia w Dąbrówce Kościelnej 1947–1961. Wykładowca w WSD w Gnieźnie od 1948. Proboszcz parafii Zwiastowania NMP w Inowrocławiu i dziekan dekanatu Inowrocław II 1961–1984. Od 1963 kanonik Kapituły Kolegiackiej w Kruszwicy. Brat ks. Władysława Zientarskiego.

²⁷⁸ Chodzi o studia na Katolickim Uniwersytecie w Lowanium w Belgii.

i szczegółową. Tę pierwszą wykładał ks. kanonik Jan Czerniak, późniejszy sufragan, wzór gorliwości pasterskiej. Teologia pastoralna wymaga jednak czegoś więcej, doświadczenia na szczeblach wikarego i proboszcza, a w końcu także solidnej podbudowy teologicznej, którą dają studia specjalistyczne. U naszego wykładowcy była tylko nieklamana gorliwość. Przedmiot traktowany był przez wielu jako „michałek”, czyli coś niewymagającego pracy, a winien być dyscypliną bardzo wymagającą.

Teologia pastoralna szczegółowa była ulubioną domeną ks. Felicjana Kłonieckiego, wyśmienitego biblisty, którego wykładów z Nowego i Starego Testamentu słuchało się z zapartym tchem, a egzaminy zdawało się w obliczu stałego niebezpieczeństwa, że jakiś przedmiot wyląduje na głowie chwilowo „niedysponowanego” studenta. W wykładach z Biblii ks. Kłoniecki współzawodniczył jedynie z ks. Sewerynem Kowalskim²⁷⁹, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, potem ATK, który był zarazem księdzem gnieźnieńskim i przez pewien czas dojeżdżał do nas na wykłady. Jak mawiał, do Poznania aeroplanem, a stamtąd do Gniezna pociągiem. Ksiądz Kowalski potrafił wykładać cztery godziny bez przerwy i o dziwo, nikt z kleryków za żadną cenę nie życzyłby sobie przerwy. Był to wielki erudyta, znał chyba cały świat. Potrafił swe wykłady tak plastycznie ilustrować przykładami, że słuchało się z otwartymi ustami; o notowaniu można było zapomnieć. Z dwóch powodów. Raz, że słuchanie absorbowало całkowicie, a po wtóre – był to wykład zupełnie nietypowy, pełen dygresji. Po prostu się słuchało i zapamiętywało. Do egzaminu trzeba było przeczytać kilka dobrych komentarzy, a tych po prostu brakowało. Profesor nie pytał z tego, co mówił, należało przedstawić pogląd odpowiadający stanowi wiedzy na dany temat, egzamin był zatem klęską. Przed nami, trzecim rokiem, zdawał rok czwarty. Kowalski denerwował się, ciął, gdzie popadło, połowa poszła do poprawki. I wreszcie zbliżają się litery W do Z mojego roku, zatem też ja. W chwili, gdy wchodziliśmy do pokojów prymasowskich, gdzie pytał, zadzwoniono na przerwę. Byliśmy już w środku, a ks. Kowalski do nas:

– Czyście nie słyszeli, że jest przerwa, co za beczelność!

Wymiotło nas na korytarz. Za chwilę w drzwiach staje profesor i prosi o kawę. Wiedzieliśmy, że lubi mocną, aromatyczną i dużo. Pędzimy do kuchni, ale siostra mówi, że polecenie musi wydać rektor. Ja na to:

²⁷⁹ Seweryn Kowalski (1890–1956), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, biblista. Święcenia kapłańskie 1914. Wykładowca WSD w Poznaniu 1927–1939. Więzień niemieckich obozów koncentracyjnych Dachau i Gusen. Dziekan Wydziału Teologii Katolickiej tajnego Uniwersytetu Ziemi Zachodnich w Warszawie 1943–1944. Po wojnie wykładowca WSD w Gnieźnie od 1945 oraz na Wydziale Teologicznym UW 1945–1954, a później na Akademii Teologii Katolickiej (ATK) 1954–1956, prorektor ATK. Od 1954 profesor zwyczajny. Współpracował ze środowiskiem PAX. Przetłumaczył Nowy Testament z greki (wyd. 1957).

– Proszę siostry, jeśli zaraz nie będzie kawy, zobaczy siostra, co powie ksiądz rektor. On chce, by każde życzenie ks. prof. Kowalskiego było spełnione.

Siostra coś zamruczała pod nosem, ale kawę przygotowała, do tego ciastka, kostki cukru. Nie daliśmy się wyręczyć: cała trójka – Edek Zdrojewski²⁸⁰, Staś Wenerski i ja – niesie kawę i całą resztę na pierwsze piętro. Po drodze koledzy nam trochę anyżek podebrali, ale reszta dotarła do celu. Otwieramy pierwsze drzwi, a profesor już otwiera drugie, wewnętrzne. Poczul aromat kawy. Już w innym humorze, każe stawiać wszystko na stole, a kiedy chcemy wychodzić, zaprasza nas, byśmy siadali, bo co tam przerwa, możemy sobie przecież porozmawiać. Rozmowa była wprost wspaniała, wyszliśmy ze świetnymi ocenami. Na pożegnanie zapytał:

– Jak to jest, że cały *coetus*²⁸¹ to jakieś hebesy, a was troje tacy inteligentni?

Skromność nie pozwoliła nam mu tego wyjaśnić. To samo pytanie zadał mi nazajutrz rektor, ale było ono raczej retoryczne, historię z kawą znał już od siostry. Później egzaminował ks. Kowalski w ten sposób, że należało pisemnie odpowiedzieć na kilka pytań, a dwóch kolegów na przemian musiało mu te elaboraty czytać. Oczywiście w pocie czoła poprawiali *ad hoc* błędy kolegów. Raz się na tym poznał, ale skończyło się na wymianie lektorów.

Ksiądz Kłoniecki, jak się rzekło, biblista i wykładowca tego przedmiotu, był także wspaniały, ale o tyle lepszy od ks. Kowalskiego, że prowadził wykład bardzo systematycznie i jasno. Wymagał jednak wiele i nie pomagały żadne sztuczki; w pole nie dawał się wywieść. Tak się złożyło, że ze skryptu z archeologii biblijnej wypadła mi gdzieś cała część obejmująca jedno zagadnienie. Do profesora wchodziło się na egzamin we trzech, ja byłem trzeci, miałem więc masę czasu na przygotowanie. Z przerażeniem stwierdziłem, że pytanie z archeologii stanowi dla mnie całkiem nowy problem. Inne nie wymagały przygotowania. Zacząłem gorączkowo myśleć, jak wybrnąć? Powoli przypominały się rzeczy usłyszane, przeczytane – powinno wystarczyć na ocenę choćby dostateczną.

Przyszła moja kolej. Pierwsze dwa pytania jak gdyby nie zainteresowały profesora, nacisk położył właśnie na to z archeologii. Mówiłem może 10 minut, a on słuchał bardzo uważnie, spoglądał na mnie spod oka, wreszcie przerwał i prawie gniewnie zapytał:

²⁸⁰ Edward Zdrojewski (1932–1990), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii w Damasławku 1957–1965, w parafii Miłosierdzia Bożego w Bydgoszczy 1965–1969. Proboszcz parafii we Wszedniu 1969–1985. Od 1985 na emeryturze.

²⁸¹ *Lac. kurs.*

– A co to jeszcze czytał, bo u mnie w skrypcie jest trochę inaczej?

Ośmieliłem się zapytać, czy moja odpowiedź była błędna.

– Ależ skąd – zaprzeczył. – Dziwię się tylko, skąd ksiądz to wszystko wie?

Wyjaśniłem, że właśnie z jego wykładów. Jeden z nielicznych przypadków, kiedy był ze mnie wyraźnie zadowolony. Oceny miałem u niego zawsze dobre, ale w innych sprawach potrafił być przykry.

Wykłady z teologii pastoralnej szczegółowej traktowaliśmy raczej jako taki przerwany rozrywkowy. Ksiądz Kłoniecki był uczonym, ale praktyki duszpasterskiej nie miał. Był przez krótki czas wikarym w Inowrocławiu, gdzie obsługiwał także miejscowe więzienie i z tej posługi czerpał wszystkie przykłady pastoralne, ewentualnie jeszcze z pracy w biurze parafialnym. Było to zdecydowanie za mało, by nam coś przybliżyć z trudnej pracy duszpasterskiej. Nie wiem, jak inni, ale ja już na wikariacie doszedłem do wniosku, że należy kierować się zdrowym rozsądkiem, który w kontaktach duszpasterskich jest najlepszym doradcą.

Katechetyka to była domena mojego prefekta z gimnazjum nakielskiego, ks. Kazimierza Wardy, który dopiero co skończył pedagogikę na KUL. Doskonale katecheta, praktyk, jakich mało w życiu spotkałem, mógłby nas nauczyć wiele. Pewnie tak by się stało, ale ks. Warda był człowiekiem wielkiej sumienności. Nie zdobył się na decyzję porzucenia zbytniego bagażu teorii, z których wiele odnosiło się do doktryn ogólnopedagogicznych. Wiedzieliśmy zatem wiele o Amosie Komeńskim²⁸², o Dawidzie i innych słynnych pedagogach. Mieliśmy spory zapas wiedzy teoretycznej, nie starczyło czasu na katechetykę *sensu stricto*. To była zapewne wada programowa, faktem jednak jest, że kiedy przyjechałem na pierwszą placówkę w Gołańczy i ksiądz radca Zajac²⁸³ poprosił mnie, zanim jeszcze wypakowałem walizkę, bym poszedł do kościoła, gdzie na katechizację czeka grupa dzieci, które w normalnym czasie nie przystąpiły do I komunii świętej, stanąłem przed nimi i uświadomiłem sobie, że nie znam katechizmu ks. Piotrowskiego, obowiązującego wówczas w zachodniej Polsce. To było moje zaniedbanie, ale nikt nam nie powiedział, że uczący musi znać na pamięć katechizm, wyuczenie się go było więc moją pierwszą czynnością w czasie wikariatu.

²⁸² Jan Amos Komeński, Komeniusz (1592–1670), pedagog czeski, filozof, reformator i myśliciel protestancki.

²⁸³ Ignacy Walenty Zajac (1896–1966), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1922. Proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Gołańczy i dziekan kcyński 1945–1961, radca duchowny.

Najważniejszymi przedmiotami były dogmatyka i teologia moralna. Powinno się tu wymienić także teologię fundamentalną, zwaną wówczas apologetyką, ale ta wymaga osobnego omówienia.

Dogmatykę wykładał (od scalenia seminarium w 1953 r. aż do swojej niespodzianej śmierci) ks. Dachtera. Był niewątpliwie w swoim żywiole. Filozofię objął wtedy na krótko o. Cecylian Niezgoda²⁸⁴ OFMConv, a po nim o. Mikołaj Tokarski²⁸⁵ z tegoż zakonu. Wykłady ks. Dachtery to przede wszystkim jasna synteza poszczególnych traktatów dogmatycznych z zastosowaniem tradycyjnej metody dowodzenia opartej na źródłach, których zestaw pochodzi od Melchiora Cano²⁸⁶. Nie można zatem powiedzieć, by była to teologia, w której czuć było powiew prądów zachodnich teologów, chociaż poglądy niektórych z nich przytaczał jako próby szukania nowych dróg. Pamiętać trzeba, że od soboru dzieliło nas wtedy jeszcze sporo czasu, o zamysłach soborowych Piusa XII nikt nie wiedział. Całe moje studia seminaryjne zamknęły się ponad pięć lat przed rozpoczęciem Vaticanum II²⁸⁷. Myślę jednak, że przyswajanie nam prawd dogmatycznych, dalekie wprawdzie od potrzeb, jakie stały u wrót Kościoła, a tu i ówdzie już je przekroczyły, stanowiło dobry fundament dla pracy, jaka nas czekała *hic et nunc*. O nowościach można było przeczytać w zeszytach „Znaku” czy w „Tygodniku Powszechnym”, ale szaleństwem byłoby transponować je na grunt nauczania katechizmowego, a tylko takie jest posłannictwem Kościoła. Seminarium takie właśnie wiadomości nam przekazywało, a ks. Dachtera czynił to w sposób uporządkowany i z sobie właściwym realizmem, nie odciążając nas z bagażu czysto akademickich dywagacji.

Po nim przyszedł ks. dr Jan Wollschlaeger²⁸⁸, wówczas proboszcz w Grabiu, a potem w Mielżynie, skąd łatwiej mu było dojeżdżać. Różnica w sposobie wykładu była kolosalna. Przede wszystkim ks. Wollschlaeger opierał się na opracowaniach

²⁸⁴ Cecylian Niezgoda OFMConv (1922–2003), do zakonu wstąpił w 1940. Doktor teologii. Wykładowca WSD w Gnieźnie, następnie w seminarium sercanów i seminarium franciszkanów do 1999. Przełożony krakowskiej prowincji franciszkanów oraz członek Konsulty Wyższych Przełożonych Zakonnych 1962–1965.

²⁸⁵ Mikołaj Tokarski OFMConv (1914–?), święcenia kapłańskie 1939. Doktor filozofii, wykładowca i profesor nadzwyczajny WSD w Gnieźnie od 1954. Wikariusz w parafii Wniebowzięcia NMP w Gnieźnie od 1954.

²⁸⁶ Melchior Cano OP (1509–1560), teolog hiszpański, scholastyk. Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli szkoły teologicznej w Salamance. Autor *De locis theologicis* (wydanie pośmiertne 1562).

²⁸⁷ Łac. Sobór Watykański II.

²⁸⁸ Jan Wollschlaeger (1912–1978), ksiądz, doktor, wykładowca w seminarjach duchownych. Święcenia kapłańskie 1937. Inkardynowany do archidiecezji gnieźnieńskiej w 1950. Proboszcz parafii Wszystkich Świętych w Mielżynie 1958–1978.

niemieckich, wydaje się, że głównie na Schmausie, typowym niemieckim handbuchu²⁸⁹, przeładowanym i obciążonym ogromnym aparatem naukowym, którego selekcja przychodziła wykładowcy z trudem. Nasz nowy dogmatyk był niezwykle dobrym i przystępnym człowiekiem, ale do seminarium przyszedł z wiejskiej parafii i robił wrażenie takiego typowego Privatgelehrtera, naukowca kameralnego, jakbyśmy to mogli przystępnie przetłumaczyć, który – przynajmniej początkowo – czuł się wystawiony na krytyczny ostrzał kleryków. Podpatrywano go, jak każdego, a ponieważ w sytuacjach, kiedy się nad czymś zastanawiał, zwykł był dotykać palcem nieco wystającego zęba, ukuło się od razu powiedzenie, że profesor teraz wyprowadza „dowód z zęba”. Ksiądz Wollschlaeger miał dużą wiedzę, ale nie potrafił dogmatyki, wówczas jeszcze w dużej mierze scholastycznej, sprowadzić do takiego poziomu, jaki mógłby być pomocny księdzu w pracy w parafii. Istniało zatem pewne przeciwieństwo między tragicznie zmarłym ks. Dachterą a ks. Wollschlaegerem. Ten pierwszy dawał solidny schemat może aż nazbyt rozumowo podbudowanych prawd dogmatycznych, ten drugi starał się wnikać w kwestie dyskusyjne, nie usiłując odstąpić od często nawet czysto formalnej argumentacji. To było coś w rodzaju uzasadnienia biblijnego dla pokuty, a zarazem ufności w miłosierdzie Boże w postaci odnośnika: Hiob na wiązce gnoju. Może jest to nieco złośliwe kleryckie uproszczenie, ale niewątpliwie obrazuje występujący niekiedy tok myślenia. Wielu z nas wtedy nie doceniało erudycji ks. Wollschlaegera, który studiował dogmatykę na bieżąco i miał olbrzymią wiedzę, o czym można się było przekonać, jeśli zdarzyło się, że ktoś go zapytał o jakiś interesujący go problem. Trzeba było umiejętnie go podejść, gdyż podejrzewał kleryków o chęć chwytania za słówka lub inne pułapki. Głównym problemem w seminarium był nasz brak obycia z pracą naukową. Uczyliśmy się materiału, ale sztuka debaty była nam całkowicie obca, bo też nie było seminariów tematycznych. Było jedno, metodologiczne.

Wypada zająć się kolejnym przedmiotem teologicznym, po dogmatyce najważniejszym w *rigoroso*, czyli końcowym egzaminie po piątym roku studiów, teologią moralną. To były czasy, kiedy opasły, kilkutomowy podręcznik jezuita Noldina²⁹⁰ mógł się wydawać idealny, nie było tam bowiem spraw niejasnych, a jak wiadomo, w teologii moralnej chodzi właśnie o wyjaśnienie problemów dyskusyjnych. Jednakże niejasności w Noldinowskim kompendium po prostu

²⁸⁹ Niem. podręcznik.

²⁹⁰ Chodzi o podręcznik *De principiis theologiae moralis* autorstwa Hieronima Noldina SJ (pierwsze wydanie 1906).

ginęły w morzu kazuistyki. Książka była ułożona według przykazań. To zapewne najłatwiejszy sposób rozwiązywania *casus conscientiae*²⁹¹, ale przeważnie czysto akademicki, coś w rodzaju gry, w której najrzeczniejszy wychodzi obronną ręką. Noldin był skrupulatem, a cóż dla skrupulata milsze niż eliminowanie nękających go wątpliwości, do czego jednak rozwiązywanie supełków w sumieniach w rodzaju rozważań: jeśli Kaja tak, a Kajus tak, to wtedy popełnia on *peccatum saltem leve* (zatem chodziło o ustalenie ciężkości grzechu), bynajmniej nie prowadziło. Jeśli dziś przeciętny człowiek zatracił poczucie grzechu, czyli sam zawiązuje sobie oczy i nie sprawdza, czy po drodze, którą kroczy, nie ma przepaści, to wtedy za tą przepaścią rozglądano się do tego stopnia, że niekiedy uniemożliwiało to w ogóle kroczenie naprzód. Nowocześni moralisci sięgali już do Prümera²⁹², podręcznika skonstruowanego nie w oparciu o przykazania, ale o cnoty. Był on niewątpliwie źródłem jakiejś pozytywnej wykładni moralności, nie zaś rejestrem grzechów z dokładnym ich poszufladkowaniem, z podaniem sposobów ich unikania.

W seminarium po 1953 r., mającym sześć pełnych roczników, teologię moralną objął ks. dr Kazimierz Więckowski²⁹³ – ongiś legendarny prefekt szkół bydgoskich, kontrolujący kina, czy nie siedzą w nich uczniowie na niedozwolonych filmach i o niewłaściwych porach – podówczas proboszcz w małej parafii Pawłowo pod Gnieznem. Ksiądz Więckowski doktoryzował się w Krakowie tuż przed likwidacją Wydziału Teologicznego na UJ, chyba u ks. Wichra²⁹⁴. Takich doktorów krakowskich było wówczas sporo, o niektórych nawet mówiono, że w pośpiechu zapomnieli napisać pracę doktorską. Moralista był człowiekiem skrupulatnym, niezwykle uprzejmym, mającym swe sympatie i antypatie; do tych ostatnich,

²⁹¹ Łac. przypadek sumienia.

²⁹² Chodzi o dzieła Heinricha Prümera, moralisty niemieckiego.

²⁹³ Kazimierz Więckowski (1917–1978), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1945. Doktor teologii, profesor WSD w Gnieźnie, egzaminator i sędzia posynodalny od 1954. Administrator parafii Pawłowo 1954–1970. Sędzia synodalny od 1962. Kanonik gremialny Kapituły Kolegiackiej św. Jerzego w Gnieźnie od 1963. Proboszcz parafii Łubów 1970–1978.

²⁹⁴ Władysław Wichra (1888–1969), ksiądz archidiecezji krakowskiej. Świecenia kapłańskie 1912. Doktor teologii 1915. Od 1919 zastępca profesora teologii moralnej na UJ; habilitacja 1923, profesor nadzwyczajny 1928, profesor zwyczajny 1938. Dziekan Wydziału Teologicznego UJ 1937–1939. W czasie drugiej wojny aresztowany przez Niemców podczas akcji Sonderaktion Krakau, 1939–1940 w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Po wojnie profesor na UJ aż do likwidacji Wydziału Teologicznego. Wykładowca na ATK 1954–1957, w WSD w Krakowie. Członek Kapituły Metropolitalnej na Wawelu, od 1964 jej kustosz. Zwerbowany do współpracy agenturalnej przez aparat bezpieczeństwa w 1952 jak agent/TW ps. „Honorata”. Przekazywał informacje dotyczące WSD w Krakowie. Oceniany jako wiarygodny i lojalny źródło informacji. Aktualny stan badań nie pozwala na określenie terminu zakończenia współpracy, ale trwała ona co najmniej do 1959.

na nieszczęście, należałem też ja. Miał ściśle według Noldina przygotowane wykłady, które zazwyczaj czytał, pozwalając sobie na dygresje, bo jakże inaczej przy obficie stosowanej kazuistyce? Nie lubił, kiedy ktoś do Noldina bezpośrednio sięgał, a muszę przyznać, że owe miękko oprawione, na grubym papierze drukowane tomiska jakoś mi wpadły w ręce i lubiłem je czytać, choćby ze względu na bajeczność łatwą, ale prostą łacinę. Młodość ma to do siebie, że jest nierozważna. Ktoś ze spacerowiczów ks. Więckowskiego (zwykle spacerowano po alejkach ogrodu seminaryjnego) musiał puścić farbę. Odtąd aż do *rigorosum* profesor starał się dowieść mi, że sięganie do źródeł niekoniecznie musi równać się erudycji. Moja wtedy niezła pamięć czyniła te pojedynki ciekawymi. Na *rigorosum* ks. Więckowski pytał razem z prawnikiem, ks. Janem Michalskim²⁹⁵, późniejszym biskupem pomocniczym. Podawali mnie sobie z rąk do rąk, a Michalski wprost go zachęcał, aby mi jeszcze trochę dołożył. Muszę przyznać, że ks. Więckowski zachował się wówczas po dżentelmeńsku, natomiast Michalski chciał mnie oblać, bo stwierdził, że pracę pisemną oddałem po półtorej godziny i że jest tam wszystko dosłownie jak w Bączkowiczu²⁹⁶. Sprawa poszła nawet do rektora, który wezwał mnie i zapytał, czy ściągałem. Poprosiłem, by natychmiast mnie z tego materiału przeegzaminował. Nie chciał, twierdził, że mi wierzy, ale uparłem się, prosząc nadto, by przy egzaminie był ks. Michalski. Na to rektor Pacyna nie przystał, ale sam o kilka rzeczy mnie spytał i przekonał się, że znam prawie na pamięć komentarz Bączkowicza. Wtedy poniosła mnie złośliwość i powiedziałem, że gdybym się nauczył skryptu ks. Pawelczaka²⁹⁷ z Poznania, który nasz wykładowca monotonna czytywał na wykładzie, wszystko byłoby w porządku. *Notabene*, ks. Michalski publicznie na wykładzie oświadczył, że mnie sobie zapamięta, bo zamiast słuchać tego, co on mówi, zaglądam do kodeksu prawa kanonicznego. Dziwnie się bał, żeby go nie sprawdzać. Czyżby nie wiedział, że wielu miało przepisany na maszynie skrypt ks. Pawelczaka?

Moralna mogła w zasadzie zaciekawić, podobnie jak sam sposób wykładu „Więcka” (jak go nazywano), lubił on bowiem przechodzić na grunt praktyczny,

²⁹⁵ Jan Michalski (1914–1989), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1939. Podczas wojny kapelan AK. Doktor prawa kanonicznego, referent ds. majątkowych kurii, sędzia posynodalny, wykładowca w WSD w Gnieźnie. Wikariusz generalny gnieźnieński od 1973, biskup pomocniczy gnieźnieński 1975–1989. Przewodniczący Komisji KEP ds. Duszpasterstwa Rolników od 1975. Duszpasterz Solidarności.

²⁹⁶ Chodzi o wielokrotnie wznawiany podręcznik ks. Franciszka Bączkowicza, *Prawo kanoniczne* (pierwsze wydanie: Kraków 1922).

²⁹⁷ Chodzi o skrypt autorstwa ks. Władysława Pawelczaka (1911–2003), księdza archidiecezji poznańskiej, profesora prawa kanonicznego WSD w Poznaniu.

a doświadczenie miał spore. Najlepiej wychodziła mu *praxis confessionis*²⁹⁸. Miał tu pole do popisu dla kazuistyki, którą szczerze lubił, a przy tym nie szczędziliśmy mu pytań, na które chętnie i wyczerpująco odpowiadał. To był już szósty rok studiów i inaczej podchodzono do wielu spraw, wiedząc, że można jeszcze – przynajmniej w dziedzinie praktycznej – niejedno nadrobić.

Istnym straszakiem stało się dla mnie prawo kanoniczne, które przede wszystkim było ogromnie nudne. Taka pamięciowa młócka casusów. Nic nie pomogły tu ciekawe zajęcia, jakie ks. dr Wacław Józwiak²⁹⁹ prowadził z prawa małżeńskiego. Trochę ironizujący, niby z dystansem do wykładanego przedmiotu, potrafił jednak wyegzekwować wiedzę. To, w jaki sposób prowadził zajęcia, znamionowało zarówno wiedzę teoretyczną, jak i spory zapas praktyki. Niestety, mojej abominacji do kanonistyki to wcale nie umniejszyło.

Niektóre dziedziny nie miały do nas szczęścia albo my do nich, względnie do ich nauczycieli. Do takich należała apologetyka, dziś powiedziałoby się: teologia fundamentalna. Wykładał ją za moich czasów ks. dr Jan Zaręba, późniejszy biskup włocławski. Był niewątpliwie dobry jako spowiednik seminaryjny, z apologetyką jednakże wyraźnie mu nie szło. Podobno miał to wykładać ks. Dachtera, czy nawet już zaczął? Tego dokładnie nie wiem. To, że ks. Zaręba czytał bardzo już wówczas wiekowy podręcznik Sieniatyckiego³⁰⁰, można by w końcu wybaczyć, Zaręba jednak dawał nam do zrozumienia, że jesteśmy skończonymi bałwanami, nie krępując się ani trochę i niekiedy zabawnie przekręcając czytany tekst. Czyżby nie wiedział, że wielu pod ławkami miało właśnie Sieniatyckiego, przedkładając tę lekturę nad jakieś modne wówczas dzieło literackie? To był czas stracony, choć może niezupełnie, ludzie myślący zakonotowali bowiem sobie, by w sposób nam wówczas podawany raczej nie bronić Kościoła i głoszonej przezeń prawdy. Dopiero jego następca, ks. Edmund Rosieński³⁰¹ potrafił z tego przedmiotu uczynić dziedzinę naprawdę interesującą, niestety, już nie za moich czasów.

²⁹⁸ *Lac.* spowiednictwo.

²⁹⁹ Wacław Józwiak (1919–2000), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1947. Doktor prawa kanonicznego, notariusz kurii gnieźnieńskiej od 1953, konsultor Trybunału Prymasowskiego, wykładowca WSD w Gnieźnie od 1955. Twórca i dyrektor Muzeum Archidiecezjalnego w Gnieźnie, kustosz skarbca archikatedry gnieźnieńskiej. Kanonik kapituły gnieźnieńskiej od 1968.

³⁰⁰ Chodzi o podręcznik autorstwa ks. prof. Macieja Sieniatyckiego (1869–1942), rektora UJ 1918–1919: *Apologetyka, czyli dogmatyka fundamentalna*, Kraków 1932.

³⁰¹ Edmund Rosieński (1920–1988), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1950. Doktor teologii; proboszcz parafii św. Stanisława BM w Żydowie 1954–1963. Wykładowca teologii fundamentalnej i historii filozofii ASD w Gnieźnie od 1954. Członek Wydziału Duszpasterstwa archidiecezji gnieźnieńskiej od 1957. Zastępca delegata okręgowego TP KUL

Wykłady z historii Kościoła, prowadzone przez rok, bardzo zresztą nieregularnie, przez księdza infułata Brossa, zniechęciły mnie do historii i kto wie, czy tak już nie pozostałoby na stałe, gdyby na czwartym roku nie zastąpił go ks. dr Franciszek Kryszak³⁰². Mówił głosem cichym, zachrypniętym, ale to, co mówił, warte było słuchania. Rozmawiałem się w historii. Wcześniej pasjonowała mnie psychologia i coś z tego zostało, ale historia w wydaniu ks. Kryszaka to był przedmiot, który zaciekał do tego stopnia, że zrodziła się chęć, by samemu podjąć coś twórczego w tym względzie. Na to trzeba było jednak jeszcze poczekać.

Ważne były przedmioty, które zupełnie niesłusznie traktowaliśmy jako „nie-szkodliwe”, a należały do nich liturgika i *modus celebrandi*. Liturgikę wyładał wspomniany już ks. Bolz. Może zbyt mocno podkreślał rubrycystykę, wówczas zresztą ważną. Ciekaw jestem, czy dziś któryś – poza najstarszymi księżmi – potrafiłby zrozumieć rubrycelę przedsoborową? Chyba nie. Otóż ks. Bolz, obok rubrycystyki, duży nacisk kładł na historię liturgii, *Rok Kościelny* (wtedy właśnie ukazało się nowe wydanie trzutomowe Parscha)³⁰³. Dopiero znacznie później uświadomiłem sobie, ileż to ja zyskałem dla kazań, dla przygotowywania liturgii! Jakoś w seminarium nie odczuwało się wagi tego przedmiotu, choć wykładowca był wielkiej klasy. Wielu mylnie sądziło, że ten bagaż wiadomości się nie przyda.

Modus celebrandi missae, czyli właściwie ryt lub jaśniej: sposób celebrowania mszy świętej, wpajał nam ks. kanonik Franciszek Perz³⁰⁴, także spowiednik seminarystów, człowiek wielkiej dobroci, któremu jako diakoni zrobiliśmy nieumyślnie przykrość. Kończąc zajęcia, powiedział nam, że następna godzina nie musi się już odbyć, jeśli nie chcemy. Oczywiście nie przyszliśmy, kanonik jednak przyszedł i żalił się potem przed rektorem, że go lekceważymy. Tak rozgniewanego ks. Pacynę widziałem przedtem tylko raz, kiedy poskarżył się na nas ks. kanonik Tłoczyński, o czym już wspominałem. Ja, jako dziekan, dostałem swoje *quantum*.

na archidiecezję gnieźnieńską od 1958, członek archikatedralnego koła księży rekolekcyjistów. Proboszcz parafii NSPJ w Ostrowie Mogileńskim 1963–1968. Od 1968 proboszcz parafii św. Marcina w Wyrzysku.

³⁰² Franciszek Kryszak (1913–1970), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1937. Doktor teologii; wykładowca WSD w Gnieźnie od 1954. Proboszcz parafii św. Mikołaja w Łubowie od 1949. Egzaminator posynodalny od 1951. Sędzia posynodalny, obrońca węzła małżeńskiego, członek archidiecezjalnej komisji ds. budowy kościołów i konserwacji od 1950.

³⁰³ P. Parsch, *Rok liturgiczny* (wielokrotnie wznawiany, pierwsze wydanie: 1949).

³⁰⁴ Aleksander Perz MIC (1909–1978), święcenia kapłańskie 1937. Doktor teologii, dogmatyk. Dyrektor Niższego Seminarium Duchownego (NSD) w Warszawie 1949–1954. Przełożony prowincjalny maria-nów 1958–1963. Rektor WSD marianów, sekretarz generalny zgromadzenia w Rzymie 1963–1969.



Alumni
w seminarium
gnieźnieńskim
1952/1953

Poszliśmy wtedy ze Stasiem Pohlem³⁰⁵, ceremoniarzem, przeprosić ks. Perza, a on wielce się zdziwił, bo wcale, jak twierdził, nie czuł się urażony. Nie omieszkałem tego jeszcze tego samego wieczoru oznajmić rektorowi. Nic na to nie odrzekł, tylko wzruszył ramionami.

Osobny rozdział to ks. dr Stanisław Sobczak³⁰⁶. Do seminarium przybył po promocji doktorskiej na KUL. Był moralistą, ale studiował też pod kierunkiem prof. Strzeszewskiego³⁰⁷ naukę społeczną Kościoła. Człowiek bardzo witalny, nieco może naiwny w ocenie siebie samego (bezwzględnie wymagał, żeby tytułować go doktorem). Zobaczyłem go po raz pierwszy, przybywszy do seminarium na drugi rok w 1952 r. Ponieważ rektor wybrał mnie na dziekana kleryków, nakazał mi zaraz pierwszego dnia ubrać się w sutannę, by klerycy przybyli na pierwszy rok łatwiej mogli mnie rozpoznać. Oczywiście

³⁰⁵ Stanisław Pohl (ur. 1931), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii w Pobiedziskach, Brzozie, parafii św. Józefa w Inowrocławiu-Ostrowie, Osieku nad Notecią 1957–1976. Proboszcz parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kruszewicy 1976–2005. Kanonik kapituły kolegiackiej przy bazylice Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kruszewicy od 1978. Kapelan dzieci głęboko upośledzonych w ośrodku w Łopiennie od 2005.

³⁰⁶ Stanisław Sobczak (1920–1999), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1949. Doktor teologii. Od 1953 wykładowca w WSD w Gnieźnie. Pierwszy proboszcz parafii Chrystusa Króla Wieczystego Kapłana w Gnieźnie (i budowniczy kościoła) 1957–1995.

³⁰⁷ Czesław Strzeszewski (1903–1999), profesor, ekonomista, socjolog, dziekan Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej KUL 1957–1958 i 1961–1969. Znaczący katolickiej nauki społecznej, przedstawiciel i współtwórca lubelskiej szkoły katolickiej nauki społecznej.

moje obłóczyny prywatne wyprzedziły te uroczyste, które nastąpiły wkrótce, łącznie z tonsurą i niższymi święceniami: ostiariatem i lektoratem. W sutannie czułem się nieswojo i niezręcznie. Co który kolega mnie spotkał, robił różne przytyki, chyba niektórzy nawet zazdrościli; takie małe ludzkie sprawki. W pewnym momencie zza węgła na korytarzu drugiego piętra wypadł wysoki ksiądz, bardzo zaaferowany, i nie pytając o nic, pociągnął mnie za rękaw w kierunku magazynu bibliotecznego. Magazyn ten mieścił się nad kaplicą, a przechowywane w nim były różne stare książki, na ogół nieużywane. Już nie pamiętam, czego ode mnie chciał w związku z tym pomieszczeniem, mimo moich pytań nie powiedział mi też, kim jest. Bez przerwy wydawał jakieś rozkazy, które zaraz zmieniał, a co drugie słowo to było pouczenie mnie o konieczności absolutnego posłuszeństwa. Byłem przerażony. Ośmieliłem się zapytać rektora, kim jest ten ksiądz, i dowiedziałem się, że to właśnie nowy prefekt i prokurator, czyli dyrektor administracyjny, ks. Sobczak. Rektor dodał, żebym wszystkie polecenia prefekta z nim uzgadniał. Ksiądz prefekt wołał mnie dosłownie co kilka, kilkanaście minut i przeważnie nie miał nic do zakomunikowania, tylko chciał sprawdzić to moje przezeń postulowane posłuszeństwo. Oznajmiłem mu w pewnym momencie, że muszę być osiągalny dla księdza rektora, dlatego nie mogę się u niego stale zjawiać. Przyjął to kwaśno i oświadczył, że on się postara, bym zmienił zdanie.

Ksiądz Sobczak był bardzo gorliwy, ale brakowało mu wyczucia, co i gdzie można, a co nie. Był czas, gdy przychodził na każde śniadanie, kiedy nie było czytania przy posiłku, i załatwiał sprawy porządkowe, praktycznie przez cały czas trwania śniadania. Mówił, jakie ma trudności ze spluczkami w ubikacjach czy o zapychających się rurach kanalizacyjnych. Cały refektarz aż huczał. Niekiedy dochodziło do dialogów, które wywoływały huraganowy śmiech. Pewnego razu rektor Pacyna wezwał mnie do siebie i skarcił, że jeśli nie potrafię utrzymać porządku w refektarzu, to każdorazowo będzie z nami jadał jeden z moderatorów. Bronilem się, że wprowadzić nie jada, ale bywa jeden, i zrelacjonowałem jego poczynania. Rektor poczerwieniał na twarzy, ale mimo wszystko nadal mnie atakował, że powinienem być już dawno go o tym zawiadomić. Odparłem, że nie ośmieliłbym się krytykować prefekta. Na co rektor:

– Wcale nie musi krytykować, nie, nie, wystarczy, by powiedział, co się tam dzieje.

Dodał, że odtąd wolno ogłaszać tylko to, co ma jego parafkę, a ks. Sobczak do refektarza nie będzie przychodzić. Ten ostatni jeszcze tego samego dnia zarzucił

mi, że się poskarżyłem rektorowi, na co zgodnie z prawdą odrzekłem, że rektor ma uszy i potrafi pod drzwiami refektarza stwierdzić, co się dzieje w środku.

Ksiądz Sobczak wykladał później naukę społeczną Kościoła. Nie znosił najmniejszego sprzeciwu, a za takowy uważał stawiane mu pytania. Przedmiot był tego rodzaju, iż kwestii do wyjaśnienia nie brakowało. Kiedyś mówił o sprawiedliwości społecznej i prawach człowieka do obrony wobec *iniustus agressor*³⁰⁸. Przez okno sali wykładowej widać było łąbędzie, które prokurator skądś sprowadził, a ponieważ nie upodobały sobie małego stawku w ogrodzie, uwiązał je za nogi do palików. Biedne ptaki usiłowały się zerwać i leżały w pyłe węglowym z powykręcanyimi kończynami. Jeden z kolegów, Eda Zdrojewski, wstał w pewnym momencie i spytał, czy *vexatio animalium*³⁰⁹ można porównać do niesprawiedliwości wobec człowieka i czy zwierzę ma też prawo do obrony? Profesor nie przewidywał pułapki. Zaczął wywodzić, jak zwłaszcza zwierzętom należy zapewnić ochronę. Wówczas kleryk wskazał na okno i zapytał:

– A kto zapewni ochronę tym biednym ptakom, dręczonym bez ustanku?

Powstało niezwykle zamieszanie. Zdrojewski został wyproszony z sali, za nim wyszedł profesor i zaprowadził go do rektora. W czasie przerwy ks. Pacyna wezwał mnie (znowu pod koniec piątego roku zostałem dziekanem) i zapytał, jak to było, ks. Sobczak oświadczył bowiem, że kleryk go obraził, a przeprosić nie chciał, co zresztą sam potwierdził w obecności rektora. Twierdził, że nie popełnił wykroczenia, zatem nie musi przeproszać. Sprawa, jak to się mówi, rozeszła się po kościach, ale kiedy pytałem rektora, kto – jego zdaniem – miał rację, powiedział:

– To oczywiście, ale wątpliwe jest, czy zawsze trzeba swą rację manifestować.

Ksiądz Zdrojewski, dawno już zmarły, mimo że był człowiekiem dużej inteligencji, kariery nie zrobił. Pewnie można to bez trudu zrozumieć.

Z wykładowców, o których się zaledwie otarłem, wymienilibym jeszcze ks. Szczepana Pieszczocho³¹⁰, znanego patrologa, wówczas młodego jeszcze księdza, wikariusza katedralnego. (Potem przez dziesiątki lat, aż do jego śmierci byliśmy przyjaciółmi. Kiedy to piszę, od wielu miesięcy już nie żyje). Muszę szczerze powiedzieć, że właściwie oceniłem go jako naukowca znacznie później, dopiero

³⁰⁸ Łac. niesprawiedliwie atakujący.

³⁰⁹ Łac. dręczenie zwierząt.

³¹⁰ Szczepan Pieszczocho (1921–2004), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. W czasie drugiej wojny uczestnik konspiracji. W 1942 wywieziony do Mauthausen-Gusen, gdzie przebywał do końca okupacji. Do seminarium wstąpił w 1945. Święcenia kapłańskie 1950. Doktor patrologii, w latach 1955–1995 wykładowca w WSD w Gnieźnie. Habilitacja 1993. Proboszcz parafii Żydów 1959–1989.

kiedy sam byłem już profesorem. Był nim w każdym calu, a zarazem pod prostotą bycia niejako ukrywał swe walory intelektualne. Uczył nas, jak każdy młody wykładowca, bardzo sumiennie, a jednocześnie podkreślał, że nie jego przedmiot jest najważniejszy, że są ważniejsze, ale i z tego trzeba coś umieć. To było pod koniec studiów i byliśmy już trochę zmanierowani. Gdyby nie to, mogliśmy więcej skorzystać, bo sporo wiedział. Na koniec trochę byliśmy zawiedzeni ocenami, okazało się, że cenił swój przedmiot bardziej, niż by to wynikało z tego, co mówił. Mile i z wielkim szacunkiem go wspominam.

Osobny rozdział to ks. kanonik Stanisław Tłoczyński, nauczyciel śpiewu i dyrygent chóru prymasowskiego lub katedralnego, bo nazywano go tak, i tak. Człowiek rozkochany w romantykach, zwłaszcza w Beethovenie. Tylko niewielu z nas potrafiło docenić jego gruntowne znawstwo kultury muzycznej. On sam wszystkich afonów uważał za zło konieczne i na ogół zadowolony był tylko wówczas, kiedy tamci nie śpiewali. Co do muzyki gregoriańskiej, owszem, uczyć jej musiał, ale czynił to bez większego zapалу. Miał swoje ulubione utwory, z którymi każdy musiał się zmierzyć i zyskać jego aprobatę lub bezapelacyjną reprobację. Często werdykt brzmiał:

– A niech w katedrze nie śpiewa!

Ale najpierw musiał taki udowodnić, że nie potrafi zaśpiewać poprawnie *Cum Rex gloriae, Vidi aquam, Regem cui omnia vivunt*³¹¹. Zwykle na początku ks. Tłoczyński dawał do ręki tekst z nutami i kazał każdemu śpiewać *Bogurodzicę*. Kiedy miał wątpliwości, pytał:

– Nuty zna?

Po takim egzaminie następował nabór do chóru i zarazem scholi i superscholi. Sam zostałem zakwalifikowany pozytywnie, choć kanonik mnie pytał:

– Jak może poprawnie śpiewać *Bogurodzicę*, skoro nie zna nut?

Moje zapewnienie, że się nauczę, przyjął sceptycznie, ale do chóru należałem. Dziekan był z takich obowiązków zwolniony, zatem na drugim roku nie śpiewałem. Raz chór z kanonikiem szedł na próbę i natknąłem się na nich na korytarzu. Kanonik ze wstrętem się ode mnie odwrócił, mruczając po nosem, że do chóru „to nie przyjdzie, taki dziekan od łożenia”. Na trzecim roku wróciłem do łask.

Lubiłem śpiewać w chórze, zwłaszcza w katedralnym, śpiewaliśmy bowiem naprawdę najlepszą polifonię, a śpiewały tam osoby, wobec których tacy jak ja byli

³¹¹ Kiedy Król chwałę, Ujrzałem wodę, Królowi, dla którego wszystko żyje. To przedsoborowe teksty liturgiczne.

po prostu żółtodziobami. Wielu chórzystów i chórzystek to byli prawdziwi artyści. Wspomnę niektórych bardzo mi bliskich, jak Witczakowie, Aleksander (właściwie funkcjonujący jako Lech) i Jurek, obaj już dawno nie żyją, Marcinkowscy, zwłaszcza Hilary. Bardzo byliśmy zżyci. U Marcinkowskich na ul. Dąbrówki, w ich warsztacie obrazniczym zawsze zatrzymywaliśmy się, kiedy wychodziliśmy do miasta, czyli co miesiąc lub rzadziej. Także u Jurka w warsztacie zegarmistrzowskim, gdzie pracował, chętnie bywałem. Jurek to był potężny chłop, ale jakże łagodny, pełen kultury i zawsze gotów naprawiać mój kieszonkowy zegarek marki Ruhla, bezkamieniowy enerdowski chronometr. Nieraz mówiłem:

– Jurek, daj sobie spokój...

On na to:

– A masz na nowy? Nie mów nic, naostrzy się ośki i pochodzi.

Wspaniali ludzie. Chór nas zbliżył. Początkowo byłem zagubiony, bo te szybkie trele mszy mozartowskich czy nawet spokojniejsze Haydna lub Schuberta wprawiły mnie w zamęt, nie mogłem nadążyć. Jurek wtedy stawał za mną i mówił:

– Nie bój się, zabuczę ci w ucho, to zaraz uchwycisz rytm i melodię.

Śpiewaliśmy w basach. Pamiętam spokój naszych organistów akompaniatorów, którzy musieli grać na słabych organach: pana Waberskiego ze Szkoły Muzycznej i Tadeusza Ochowiaka, bodajże studenta politechniki, ale jakże utalentowanego organistę. Szczerze podziwiałem ich za to, co potrafili wydobyć z takiego instrumentu, a przecież partytura była wprost czarna od szesnastek.

Kiedyś kanonik przyniósł mszę Schuberta, prawie niećwiczoną, jak stwierdził po otrzymaniu nut Jurek Witczak. Profesor raz na próbie zaczął, ale w pół *Gloria* przerwał, bo mu się wydawało zbyt rozwlekłe. Zastanawialiśmy się, czy mu tego nie powiedzieć, zanim się zacznie suma, ale Jurek Dąbrowski, świetny muzyk, odradził. Twierdził, że chór może to zaśpiewać, a kanonik byłby w trudnej sytuacji, nie mając innych nut. Akompaniator też jakoś się nie przestraszył.

Wszystko szło dobrze aż do motetu na ofertorium, kiedy sopran wykoczył o pół taktu. Posypały się wymówki, a na to jedna z pań wypaliła, że msza nie była ćwiczona. Staruszek zaniemówił. Zaczął coś szeptać, wreszcie oświadczył, że *Sanc-tus* śpiewamy z mszy *De Angellis*, a zatem gregoriankę. Tymczasem akompaniator zaczął już *Sanctus* ze śpiewanej mszy Szubertowskiej. Kanonik robił rozpaczliwe gesty, zasłaniał oczy, ale dyrygował. Po sumie wszystkich serdecznie przepraszał, każdemu podawał przy wyjściu z chóru rękę. Wreszcie rzekł:

– Swoją długą (nie wymawiał dobrze „r”), to się cieszę, że tak się stało, bo dopiełło tełłas stwiełdziłem, jak dobłły mam chółł.

Strasznie był dumny.

Kanonik! Nieraz sobie myślę, że dane mi było obcować z ludźmi, jakich już później nigdy nie spotkałem. Najgorsze, że człowiek nie potrafił wtedy tego docenić. On naprawdę w to wierzył i często powtarzał, że *res severa verum gaudium*³¹². Obecnie nie jestem w stanie zrozumieć tych, którzy miotanie się po estradzie jak gdyby w tańcu św. Wita i przeraźliwe wycie, byle głośniej, uważają za piękno i sztukę. *Tempora mutantur nosque non mutamur in illis* – mógłbym powiedzieć, trawestując stare porzekadło, bo wcale nie zmieniamy się wraz ze zmieniającymi się czasami.

Byłem już na szóstym roku i byłem diakonem, kiedy uwolniono księdza prymasa³¹³. Wraz z ceremoniarzem, Stasiem Pohlem, poszliśmy z polecenia ks. rektora Pacyny do ks. Tłoczyńskiego, by zapytać, czy ewentualnie zechciałby pomyśleć o muzycznej stronie powitania prymasa w Gnieźnie. Kanonik przyjął nas niezwykle serdecznie i z daleka już wołał:

– Wiem, wszystko wiem, dziękuję kochanemu Hlektolowi, że was przysłał, ale już Hlano się dowiedziałem, bo Stefcio (infułat Durzyński³¹⁴) mi powiedział, a nawet na to konto wypaliliśmy po „feminie” (takie były damskie papierosy z ustnikiem).

Jakże on się cieszył!

Zwykle miał dystans do kleryków, z wyjątkiem tych szczególnie utalentowanych muzycznie, a takich było niewielu. Zresztą i tu niekiedy występowały zawahania. Raz na imieniny kanonika nasz kolega Jasio Tadych, ambitny *musicus*³¹⁵, prowadzący taką naszą wewnętrzną scholę, wyćwiczył z nią *Alleluja* Haendla (partyturę przepisał nielegalnie z zasobu kanonika nieoceniony pod tym względem rabuś, Józio Stawski³¹⁶). Kanonika poproszono do refektarza. Wszedł i nagle stanął w obliczu Tadychowego chóru i gromkich tonów znanej kompozycji. Słuchał

³¹² Łac. prawdziwą radość daje to, co poważne.

³¹³ Prymasa Wyszyńskiego uwolniono 28 X 1956. Powrócił do Warszawy i objął swoje funkcje kościelne. Na temat okoliczności opuszczenia miejsca internowania zob. szerzej: B. Noszczak, *Okoliczności uwolnienia kardynała Stefana Wyszyńskiego z internowania w Komańczy (październik 1956)*, „Studia Prymasowskie” 2007, nr 1, s. 79–89.

³¹⁴ Stefan Durzyński (1886–1981), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1909. Przed drugą wojną współpracownik „Gazety Narodowej”, wydawnictw Chrześcijańskiej Demokracji, „Biblioteki Kaznodziejskiej”, „Przewodnika Katolickiego”. Notariusz i kanclerz kurii poznańskiej 1923–1939. Jako duszpasterz działał w konspiracji w Poznaniu 1939–1945. W latach 1946–1980 pełnił różne funkcje w KMG. Od 1958 prałat; kustosz kapituły katedralnej w Gnieźnie.

³¹⁵ Łac. muzyk.

³¹⁶ Józef Stawski (1930–1972), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii we Wrześni 1957–1964, Gołuchowie 1964–1965, parafii Świętej Trójcy w Bydgoszczy 1965–1968. Proboszcz parafii Glinno 1968–1971, w Parlinie 1971–1972.

skamieniały, a kiedy skończyliśmy, o mało się nie rozpłakał. Myśleliśmy, że tak się rozrzewnił, a on rzekł:

– Jeśli sami potłłaficie takie tłłudne zaśpiewać, to ja już nie jestem potrzebny.

Józio, którego – nieświadom jego „złodziejstw” – bardzo lubił, podszedł od razu do solenizanta i zaczął zapewniać, że bez jego nauki nic byśmy nie potrafili zaśpiewać. Nie dowierzał, spoglądał po wszystkich, a kiedy zgodnie kiwaliśmy głowami, uspokoił się i trzeźwo zapytał:

– Skąd mieliście nuty?

Już nie wiem, jak mu to wytłumaczyli.

Nieprzyjemna sprawa wiązała się z wykonaniem dużej mszy Grubera (z akompaniamentem) na pogrzebie ks. prof. Seweryna Kowalskiego. W ogóle sprawa tego pogrzebu to raczej przykre wspomnienie.

Profesor miał w Gnieźnie swoje mieszkanie w dawnym domu Akcji Katolickiej. Gdy przyjeżdżał z Warszawy na wykłady, tam się zatrzymywał. W grudniu 1956 r. zasłabł i poprosił ks. Pacynę o ostatnie sakramenty. To było późnym wieczorem, wkrótce potem ks. Kowalski zmarł. Miał dopiero 56 lat. Już następnego dnia gruchnęła w seminarium wieść, że są kłopoty z pogrzebem, bo ks. Kowalski był podobno księdzem-patriotą³¹⁷. O tym nie wiedzieliśmy. Cenzurkę taką przylepiano każdemu, kto był zatrudniony na ATK, a właśnie tam przeszedł profesor wraz z innymi ze zlikwidowanego na Uniwersytecie Warszawskim Wydziału Teologicznego. Kto zadecydował, że na pogrzeb pójdą z seminarium tylko diakoni? Czym postanowieniem egzekwie odbyły się w kościele franciszkanów, a nie w katedrze, która była właściwym dla tej ceremonii kościołem parafialnym? Ksiądz Pacyna na ten temat się nie wypowiadał, ale był przygnębiony i wyraźnie dawał do zrozumienia, że zadecydowała miejscowa kapituła, a nie prymas. Wymienił też jedno nazwisko, które tutaj ominę – każdy, świadom, kto wówczas rządził parafią katedralną, może się domyślić.

Pogrzeb profesora był ubożuchny, ale nasi *musici*³¹⁸ postanowili wykonać w czasie mszy egzekwialnej wspomnianą mszę Grubera. Akompaniować po długich

³¹⁷ Ruch księży-patriotów gromadził duchownych współpracujących w różnych formach z władzami komunistycznymi. Szczególnie aktywny był w latach 1949–1956 jako członek Komisji Księży przy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację. W okresie odwilży październikowej przerwał działalność. Wznowił ją w 1959 w kole księży przy Zrzeszeniu Katolików (ZK) Caritas. W 1961 Episkopat specjalnym listem skierowanym do duchowieństwa zabronił aktywności w strukturach ZK Caritas. Ruch księży-patriotów od tego momentu funkcjonował w coraz bardziej efemeryczny sposób.

³¹⁸ *Łac.* muzycy.

oporach zdecydował się Jurek Dąbrowski i wywiązał się z tego bez zarzutu. Dyrygował Jan Tadych. Nie była to msza trudna, ale mało ćwiczona i w końcu jednak po amatorsku wykonana. Kanonik Tłoczyński, który był jedynym posiadaczem partytury, nie mógł udawać, że nic się nie stało, od zastrzeżeń nie był też wolny rektor, zawsze stający w obronie kanonika. Za rękę nikogo nie chwycono, ale trzeba było wyjaśnić pochodzenie nut.

Nie wiem, jak sprawę zażegnano, ale nasz kurs mocno podpadł, nawet ulubieniec kanonika, Józio Stawski. Nie wiem, czy ks. Tłoczyński kiedykolwiek się domyślił, że nuty na próbach przepisywali potajemnie właśnie Stawski i Tadych. Bardzo obu lubił i cenił. No cóż, *domestici tui, inimici tui*³¹⁹. Jedno ich tłumaczy: robili to naprawdę *pro publico bono*³²⁰.

Wróćmy do spraw ogólniejszych. Szczególnie w mej pamięci zapisał się trzeci rok studiów – z kilku powodów. Jak wiadomo, we wrześniu 1953 r. uwięziony został ksiądz prymas. Między ordynariuszem (zwłaszcza osobistością tak eksponowaną jak młody jeszcze wówczas, ale dla nas już legendarny abp Stefan Wyszyński) a klerykiem była przepaść nie do przebycia. A jednak trzeba ją było choćby małym kroczkiem naruszyć. Kiedy prymas był w Gnieźnie, klerycy chadzali co ranka do kaplicy w domu biskupim usługiwać do mszy świętej. Chodzili oczywiście ci już obleczeni w sutanny.

Pewnego razu ceremoniarz Stasio Pohl powiedział, że następnego dnia przypada moja kolej. Pójdę z Geniem Sikorą, moim serdecznym druhem. Obaj byliśmy raczej mniej uzdolnieni do tak delikatnych a ważnych funkcji, tym bardziej że czuwał nad wszystkim kapelan księdza prymasa, ks. kanonik Władysław Padacz³²¹. Zawsze uśmiechnięty, potrafił jednak niekiedy zatelefonować do rektora i poinformować go, że asysta nie była zbyt zręczna. Szliśmy jak na ściecie.

We mszy św. uczestniczył także ks. infułat Bross, wikariusz generalny. Mówili sobie z prymasem po imieniu, co – muszę wyznać – wprowiło mnie w ogromnie zdumienie. Sądziłem, że biskupowi nikt, nawet matka, nie mówi „ty”.

³¹⁹ Łac. domownicy twoi twoimi wrogami.

³²⁰ Łac. dla dobra ogólnego.

³²¹ Władysław Padacz (1900–1974), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Świecenia kapłańskie 1927. Kapelan wojsk polskich we Włoszech; wicerektor Instytutu Polskiego w Rzymie i Polskiego Seminarium Duchownego 1945–1947. Rektor kościoła akademickiego św. Anny w Warszawie 1947–1952. Kapelan prymasa Wyszyńskiego 1952–1974. Wykładowca w WSD, doktor prawa kanonicznego; prałat. Oficjał sądu metropolitalnego 1964–1974. Dwukrotnie odznaczony Orderem Wojskowym Virtuti Militari.

Kiedy dziś doświadczam tego, że biskup, dawny bliski kolega, daje do zrozumienia, że należy mówić mu *pleno titulo*³²², dopiero zdaję sobie w pełni sprawę, jak potaniały urzędy, skoro trzeba je w taki sposób na piedestał windować. O prymasie Wyszyńskim słyszałem później od jednego z jego kolegów kursowych, iż nigdy nie przechodził z nimi na tytułowanie się, ale wówczas to „tykanie” z Brossem wydało się nam niemalże świętokradztwem.

Asysta nasza wypadła poprawnie. Zaraz po mszy św. zamierzaliśmy iść do seminarium, ale trzeba było czekać, aż ksiądz prymas wstanie z kłęcznika. Odmówił *Primę* brewiarzową i podniósł się. Ukłoniliśmy się i chcieliśmy odejść, a wtedy on wziął nas pod ramię, taki miał zwyczaj, i poprowadził do jadalni, żartując, że choć na ułomków nie wyglądamy, to jednak woli nas nakarmić, zanim wrócimy do seminarium. Pytał nas, jaką mamy pierwszą godzinę zajęć. Pamiętam, że była to greka. Powiedział, że ks. Bolz chyba aż tak bardzo za nami nie tęskni, a co do nas, to jest pewny, że nie tęsknimy za greką. Byliśmy zdumieni, że tak łatwo się rozmawia z tak ważnym człowiekiem.

Przy stole posadzono nas obok siebie, naprzeciw księdza prymasa, po prawej naszej siedział ks. Padacz, po lewej ks. Bross. Siostra wniosła wielki półmisek jajeczniczy. Ksiądz prymas roześmiał się.

– Widzę, że siostra mnie wygania. – I dodał: – W dzień wyjazdu zawsze jest na śniadanie jajecznicza.

Wszyscy wzięli po pół łyżki, my także, choć aż nas skręcało, tak się chciało wziąć więcej tego smakowitego dania. W seminarium było raczej zgrzebnie. Kiedy wszyscy zakończyli posiłek, ksiądz prymas zwrócił się do mnie z krótkim rozkazem:

– Wstań. – Następnie: – Podejdź do bufetu, weź półmisek z jajecznicą i podaj mi go. Następnie siadaj do stołu.

Wykonałem polecenie. Wtedy zwrócił się do kolegi:

– Podaj wasze talerze.

Jajecznicę przedzielił na pół i każdemu z nas nałożył na talerz. Usiłowaliśmy protestować, ale nieszczerze, co też zaraz zauważył. Trzeba było jeść szybko, a zarazem kulturalnie. Spociliśmy się. Ksiądz Bross chciał być równie dobry i nałożył każdemu z nas po dwa pączki, wyznać muszę, dość twarde i niesmaczne. To było całkiem zbyteczne.

³²² Łac. pełnym tytułem.

Wracaliśmy do seminarium w skowronkach. Prymas wydawał się nam wcieleniem dobroci i jakiejś niezwyklej swobody bycia. Aż do katedry zśliśmy razem z nim i z ks. Brossem. Prymas zastanawiał się nad odbudową wież i stropów. Przy katedrze rzekł do nas:

– No, idźcie teraz, bo greka na pewno już się skończyła, a za wiele nie wypada leniuchować, bo ksiądz rektor zmyje mi za to głowę.

Rektor czekał na nas i podejrzliwie zapytał, dlaczego tak długo nie wracaliśmy. Kiedy mu zdawaliśmy relację, jak się wszystko odbyło, nic nie mówił, kręcił tylko głową i pod nosem się uśmiechał. Dopiero znacznie później, kiedy byłem już na szóstym roku, wyznał mi, że wtedy ks. Padacz do niego telefonował i radził na przyszłość lepiej przygotowywać asystę. Dobry był ten rektor, że wtedy nam tego nie powiedział.

Zdarzenie to miało miejsce krótko przed aresztowaniem prymasa, chyba wiosną 1953 r. Kiedy jesienią tego roku wróciliśmy z wakacji do Gniezna, prymas był już w odosobnieniu. Rządy w diecezji sprawował wikariusz generalny, ks. infułat Stanisław Bross, gdyż sufragan bp Lucjan Bernacki³²³ także został z Gniezna usunięty i przebywał w Częstochowie.

W seminarium zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Ksiądz rektor Pacy-na wprowadzie do Bożego Narodzenia był jeszcze na swoim miejscu, ale od nowego 1954 r. został usunięty, a funkcję rektora objął sam ks. Bross, na stanowisku wicerektora pozostawiono ks. Kłonieckiego.

Ksiądz Bross otoczył się gronem ulubieńców. Należał do nich prawie cały szósty rok, przybyły po scaleniu seminarium z Poznania, doszłusowało jeszcze kilku kolegów z kursów trzeciego, czwartego, piątego i szóstego, zatem teologicznych. Ksiądz Bross postanowił zrobić ingres do katedry, co



Wizyta
św. Mikołaja
w seminarium
gnieźnieńskim,
1954 r.

³²³ Lucjan Bernacki (1902–1975), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1926. Biskup pomocniczy gnieźnieński 1946–1975. Od 1948 wikariusz generalny i kapitulny. Znany z odważnych kazań i bezkompromisowości wobec księży-patriotów. Od początku lat pięćdziesiątych do śmierci inwigilowany przez SB. Po aresztowaniu prymasa Wyszyńskiego wygłosił kazanie w jego obronie, wskutek czego został deportowany z archidiecezji. Jesienią 1956 wrócił do Gniezna i objął obowiązki wikariusza generalnego.

było wręcz szaleństwem. Nie poszedł ani rektor, ani ojciec duchowny Szymański. Nie wiem, kto był, gdyż i ja nie byłem, choć nie z własnego wyboru. Dobrze nie pamiętam, jak to było, chyba rektor nie wyznaczył wszystkich kleryków do uczestnictwa, w każdym razie wielu z nas nie było na ingresie. Nikt nas też o niczym nie informował, choć były przecieki.

Jak już wspominałem, ks. Bross przejął na krótko wykłady z historii Kościoła. Zamiast jednego z takich wykładów zwołał do największej sali, zielonej, wszystkie kursy na instrukcję, która miała bezpośredni związek z ingresem.

Tak się złożyło, że się nieco spóźniłem. Idąc do sali, zobaczyłem przed sobą kroczącego korytarzem infułata. Schowałem się za węglem przy schodach, by móc – niezauważony – wsunąć się następnie za nim do sali. Zobaczyłem, że infułat zatrzymał się w ciemnym korytarzyku przed drzwiami i coś wyjmuje z teczki. Nie miałem wyjścia i zamarłem w głębokiej framudze ubikacji profesorskiej. Teraz nie byłem widziany, wszystko natomiast mogłem śledzić, choć wskutek panującego mroku niezbyt dokładnie. Scena była tak niezwykła, że instynktownie zacząłem się lękać, by nie zostać odkrytym. Pomyślałem, że wyrzucono by mnie z seminarium.

Otóż ksiądz infułat miał w ręku piuskę i krzyż biskupi. To je na siebie nakładał, to znów zdejmował, chował do teczki i znowu stamtąd wydobywał. Był niezdecydowany. Wreszcie włożył na szyję łańcuch z krzyżem i wszedł do sali. Ja szybko za nim, na szczęście mnie nie dostrzegł. Wazelinarze zrobili mu taką klakę, że można było śmiało pójść aż na koniec sali, ale moje miejsce było bardziej z przodu.

Musieliśmy wysłuchać bardzo długiej tyrady, w której wyjaśniał nam na podstawie kodeksu prawa kanonicznego, jakiego rodzaju jest jego władza, że jest to *potestas ordinaria, plenaria, sede impedita*³²⁴. Pełna władza zwyczajna w czasie, kiedy nie może jej sprawować ordynariusz. To było proste, ale Bross tłumaczył nam, że to go uprawnia do ingresu, do noszenia wszystkich insygniów biskupich i sprawowania władzy święceń, z wyjątkiem ordynacji kapłańskiej.

W czasie przemowy, mimo sztucznie wzniesianego aplauzu i oklasków (czego wyraźnie oczekiwał), w sali panował nastrój, który wyraźnie denerwował infułata. Peszyło go to, że znaczna część kleryków nie klaskała i w milczeniu przyjmowała wszystkie wynurzenia. Raz czy drugi znacząco nawet zapytał, czyżby komuś się nie podobało to, co mówi. Był spocony. Z zaczerwienioną twarzą przekonywał,

³²⁴ Łac. władza zwyczajna, pełna, nienaruszona.

że jedynie on wie, jak w tej trudnej sytuacji postąpić, i biada, jeśli ktoś mu będzie przeszkadzać. Nawet najmłodszy się zastanawiali, kto mógłby mu przeszkadzać. Atmosfera była ciężka, a w seminarium zapanował nieznany dotąd niepokój, który wielu nie opuścił przez cały okres sprawowania władzy przez Brossa. Należałem do nich.

Nie mogliśmy z kolegami zrozumieć, o czym potajemnie często rozmawialiśmy, jak to możliwe, że klerycy w seminarium okazywali radość z powodu rządów Brossa, podczas gdy ordynariusz był więziony. Tego nie pojmowali też nasi moderatorzy i niejednokrotnie dawali temu wyraz. Wszyscy czuli, że szykowało się coś niedobrego. Ksiądz Bross często na wykładzie, który zresztą trudno było nazwać w ścisłym tego słowa znaczeniu wykładem, dezawuował rozporządzenia wicerektora, a jego samego nazywał ostentacyjnie „księdzem profesorem”. Ale to nastąpiło dopiero po usunięciu z seminarium ks. Pacyny i ojca duchownego.

W Boże Narodzenie jako chórzyci przyjechaliśmy na pasterkę i na sumę. Kiedy tradycyjnie śpiewaliśmy *Mszę koronacyjną* Mozarta, zobaczyłem ks. Pacynę, jak przemykał korytarzem parteru w kierunku kuchni. Kiedy jednak chciałem się z nim spotkać, siostra mi powiedziała, że ksiądz rektor wyjechał i że go nie będzie. Niczego nie rozumiałem. Gdy po świętach wróciliśmy do seminarium, już go nie było. Podobno raz jeszcze na krótko przyjechał, chyba po rzeczy i zniknął na prawie trzy lata.

Na 25-lecie jego kapłaństwa w tajemnicy przygotowaliśmy dla niego album, ubożuchne dzieło, ale naszej ręcznej roboty. Tylko kilka osób przy tym pracowało, m.in. Józef Glemp, podobnie jak ja, dwukrotny dziekan klerycki. O ile się nie mylę, Olek Oczachowski³²⁵ na okładce namalował panoramę seminarium. Trzeba było też sporo sprytu, by ks. Pacynie ten prezent doręczyć do Miasteczka, gdzie przebywał u swego kolegi, ks. Baranowskiego³²⁶. Takie to były złe czasy.

Po Nowym Roku seminarium musiał opuścić również ks. Szymański, nasz ojciec duchowny. Nie wytrzymał i skonfliktowany z szóstym rokiem w kwestii nowych porządków w seminarium i diecezji, wygłosił w kaplicy egzortę, której z chórką na pierwszym piętrze przysłuchiwał się Bross. Aluzje do niego były

³²⁵ Aleksander Oczachowski (1929–1999), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii Świętej Trójcy (fara) w Gnieźnie 1957–1965. Proboszcz parafii Łagiewniki Kościelne 1965–1999.

³²⁶ Jan Baranowski (1904–1964), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1930. Proboszcz parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Miasteczku Krajeńskim 1945–1964.

bardzo czytelne, tak bardzo, że na następny dzień papa został zaproszony do kurii, a dzień później już go nie było w seminarium.

Z jednej strony odwaga ojca duchownego silnie podziałała na morale wielu kleryków. Z drugiej strony pogłębiał się podział między brossowcami i całą resztą. Wkrótce po wydaleniu ojca duchownego pewnego popołudnia infulat w otoczeniu kilku swoich trabantów³²⁷ dobierał się do mieszkania papy. Klucz miał bibliotekarz ascetyczny, w przedpokoju mieszkania ojca duchownego znajdował się bowiem księgozbiór. Przypadkowo siedłem korytarzem w momencie, kiedy infulat czekał na bibliotekarza. Ukłoniłem się z daleka i chciałem to towarzystwo ominąć. Wtedy podszedł do mnie mój kolega Genio Michalczak³²⁸.

– Ksiądz infulat cię wzywa, widocznie coś zbroiłeś.

Podszedłem, a Bross złapał mnie dłonią za kark i usiłował mi go zgiąć. Nie udało się. Widziałem złość na jego twarzy, kiedy mówił swoim skrzeczącym głosem:

– Hardy jesteś, uważaj, bo ksiądz rektor cię już nie ochroni.

Miał na myśli oczywiście ks. Pacynę. W czasie wakacji pytałem ks. Ziarniaka, mojego proboszcza, co to wszystko znaczy? Nieskory był do wyjaśnień, jak to on, ale w końcu z namaszczeniem rzekł:

– Patrz i ucz się, bo czasy są trudne, być może wypadnie ci w takich żyć. Nie mów nic, bo cię wyrzucą z seminarium, a oczy miej otwarte...

Później niejednokrotnie mnie pytał, jak się to wszystko u nas układa. Był wyraźnie zatroskany. Raz powiedział jak gdyby do siebie:

– Pan Bóg mu rozum odebrał...

Domyśliłem się komu.

Cicha wojna trwała też między ks. Kłonieckim a ks. Brossem. Ten ostatni na każdym kroku upokarzał krewkiego biblistę. Pewnego razu ks. Kłoniecki zarządził jakąś imprezę, już nie pomnę jaką. Rzecz miała się zacząć za krótką chwilę w auli na dole, kiedy zjawił się ks. Bross, być może uprzedzony przez któregoś ze swoich pupilów. Wesoło gwarząc z kilkoma z nich, rzucił od niechcenia:

– Niech ktoś przekaże księdzu profesorowi (tak go zawsze tytułował), że dałem wam dziś godziny wolne. Co, cieszyście się?

³²⁷ W średniowieczu żołnierz, który należał do straży przybocznej monarchy lub jakiegoś dostojnika: tu w znaczeniu przenośnym: zwolennik jakiejś osoby.

³²⁸ Eugeniusz Michalczak (1931–2003), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1957. Rektor kaplicy publicznej Matki Bożej Bolesnej w Peterku 1966–1979. Proboszcz parafii w Mąkowie 1980–1989, parafii Opatrzności Bożej w Inowrocławiu 1989–1990.

Byłem przypadkiem świadkiem tego, jak na schodach ktoś księdzu wicerektorowi to polecenie powtórzył. Było to już na ostatnim podeście przed parterem, gdzie na wprost biblioteki stał ks. Bross. Ksiądz Kłoniecki poczerwieniał na twarzy, coś warknął, obrócił się na pięcie i poszedł na górę.

Na rozpoczęcie kolejnego roku akademickiego, mojego czwartego, Bross zebrał nas znowu w zielonej sali. Ponieważ zapytał o coś dotyczącego naszej codzienności, wstał Józef Nowaczyk³²⁹, wówczas kleryk szóstego roku, i powiedział, że ksiądz wicerektor już sprawę załatwił – mniejsza o szczegóły. Bross zapytał Józia, dlaczego to właśnie on go o tym informuje, na co otrzymał odpowiedź, iż został mianowany przez ks. Kłonieckiego dziekanem kleryckim. Na to Bross się uniósł i rzekł:

– A ja ci mówię, że nie jesteś żadnym dziekanem, bo ja nic o tym nie wiem, bym cię takowym mianował. Ksiądz profesor takiego prawa nie ma, może wam coś nakazać tylko w porozumieniu ze mną.

Wszyscy bez wyjątku odczuli wielką przykrość, bo kolega Nowaczyk był powszechnie lubiany i szanowany. Nie wiem, jak zostało to później załatwione między Brossem a Kłonieckim, ale Józio dziekanem pozostał.

Przez wszystkie lata rządów Brossa atmosfera w seminarium była bardzo niedobra. Przede wszystkim nastąpił podział wśród braci kleryckiej. Jedni byli uprzywilejowani, inni się tych uprzywilejowanych obawiali. Bali się, by nie donieśli Brossowi, co się o nim mówiło, a opinie były bardzo rozbieżne i tych negatywnych było więcej.

Bardzo byłem zdziwiony, kiedy w czasie wakacji mój proboszcz, ks. Dobromir Ziarniak, zapytał mnie któryś raz z kolei, co mówią o Brossie i jakie jest moje zdanie. Ksiądz prałat nie uważał na ogół kleryka za partnera do jakiegokolwiek rozmowy. Raczej preferował monolog, którego celem było uświadomienie klerykowi pod koniec wakacji, ileż to on ma wad i braków i jak powinien nad sobą pracować. W tym czasie było nas w parafii dwóch. Kolega Siuda był o trzy lata starszy, nie byliśmy zatem długo razem. Usiłowałem się wymigać i wskazałem na kolegę jako bardziej kompetentnego. Ale prałat machnął ręką i rzekł, że Bross go lubi i to z wzajemnością, zatem obiektywnej odpowiedzi nie otrzyma. Była to

³²⁹ Józef Nowaczyk (1927–1999), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1955. Doktor teologii. Wikariusz w parafii w Nakle nad Notecią od 1957. Notariusz KMG 1964–1976. Wykładowca w WSD w Gnieźnie 1965–1976 i od 1982. Proboszcz parafii Trzemeszno 1976–1982. Kanonik gremialny Kapituły Kolegiackiej w Kruszwicy 1976–1983. Przewodniczący Wydziału Nauki Katolickiej w KMG od 1982. Kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 1983.

prawda. Staralem się mu wszystko zwięźle i możliwie bez własnego komentarza naświetlić. Wysłuchał, na końcu podsumował:

– Źle się dzieje, trzymaj się z daleka od tych koterii, prymas prędzej czy później wróci i zrobi porządek.

Dosłownie na dwa tygodnie przed powrotem prymasa do Warszawy w 1956 r. byłem na odpuszcie w Dąbrówce Kościelnej. Bross celebrował sumę i głosił kazanie. Z jego ust wyszły wtedy słowa: „mój poprzednik”, odniesione do kard. Wyszyńskiego. Pamiętam, że po odpuszcie odwoziłem do Kiskowa braci Balcerków³³⁰, starszych już kapłanów. Jeden z nich oburzał się:

– Stasio chyba zwariował, jaki z prymasa jego poprzednik?

Dziwna jest żądza władzy. Odbiera rozsądek, a przecież ks. Bross był człowiekiem ogromnie zdolnym. Nie skalał się współpracą z reżimem, a nawet można powiedzieć, że w trudnych czasach dobrze sobie radził w rządzeniu diecezją. Zabrakło jednak jasnej oceny sytuacji i w pewnym sensie instynktu samozachowawczego.

W czasie pierwszej po przyjeździe do Gniezna w 1956 r. mszy św. celebrowanej przez prymasa w katedrze gnieźnieńskiej pełniłem funkcję diakona. Bross w czarnej sutannie i płaszczu siedział za tronem biskupim na ławeczce. Kiedy prymas dziękował kapitule, która broniła owczarni przed wilkami, było mi go serdecznie żal. Pozostał właściwie sam. Ci, których wyróżniał, oddalili się. Nie było bezpiecznie afiszować się tą znajomością. Słyszałem, że jednak dwóch, a może trzech księży, jego pupilów, dochowało mu wierności. Dobre i to.

Z wydarzeń seminaryjnych lat pięćdziesiątych jedno szczególnie utkwiło mi w pamięci. Pewnego grudniowego ranka 1955 r. przed gmach seminaryjny zjechały bodajże trzy citroeny 11, jakimi jeździła wówczas bezpieka. Wysypali się z nich ubowcy i rozpoczęli szczegółową rewizję. (Wrócili też następnego dnia, w przeddzień wyjazdu na wakacje gwiazdkowe). W trakcie rewizji okazało się, że jej powodem było znalezienie ulotek Światły w książce, która rzekomo miała pochodzić od któregoś z kleryków. Trzech kolegów: Kazimierza Śmigła³³¹, Jana Nowaka

³³⁰ Czesław Balcerk (1896–1974), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1923. Proboszcz parafii Kiskowo 1932–1964. Od 1964 na emeryturze; Zdzisław Balcerk (1889–1969), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1929. Administrator, a następnie proboszcz parafii św. Wojciecha w Bydgoszczy 1946–1969. Kanonik honorowy Kapituły Kolegiackiej w Kruszwicy.

³³¹ Kazimierz Śmigiel (ur. 1933), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wika-riusz w parafii w Wylatowie od 1957. Profesor teologii. Pracownik Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie 1965–1967. Wykładowca WSD w Gnieźnie od 1967. Dyrektor Instytutu Kultury Chrześcijańskiej im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego 1982–1989. Kanonik Kapituły Kolegiackiej św. Jerzego na Zamku Gnieźnieńskim od 1987.

i Władysława Gaszaka³³² zabrano do Bydgoszczy i osadzono w areszcie śledczym. Wypuszczono ich dopiero wiosną następnego roku. Tymczasem do UB w Gnieźnie otrzymało wezwanie kilkunastu, może nawet dwudziestu kleryków. Także ja.

UB mieściło się w zarekwirowanym Kościołowi domu księży emerytów. Wszyscy byliśmy wezwani na tę samą godzinę. Byliśmy w sutannach i przeważnie każdy miał ze sobą jakiś modlitewnik, ja zabrałem jedną część brewiarza. Dość uprzejmie zaproszono każdego do osobnego pokoju i zaczęło się przesłuchanie. Funkcjonariuszy zwieziono z kilku powiatów. Niektórzy z nich w ogóle nie wiedzieli, w czym rzecz, i nawet ostrożnie sondowali badanych alumnów.

Mnie przesłuchiwał dość nijaki mężczyzna w średnim wieku, zachowujący się na początku całkiem przyzwoicie. Usiłował tłumaczyć, dlaczego tu jesteśmy, że oczywiście z powodu własnej lekkomyślności, bo któż to zajmuje się zbiegłym pułkownikiem UB, niejakim Świątłą? Przecież to nie był nasz przyjaciel. Czy nagle się nim stał, z jakiego powodu? Tak mniej więcej wyglądała ta rozmowa. Słuchałem i uszom własnym nie wierzyłem. O tym Świątle coś wiedziałem, ale przecież radia nie mieliśmy, Wolnej Europy nie słuchałem. Zeznałem to mojemu śledczemu, a on z kolei zrobił wielkie oczy:

- Jak to, to wy nie w sprawie Świątły?
- Oczywiście, że nie.

Wtem do pokoju wpadł jak bomba jakiś inny, miejscowy funkcjonariusz, któremu tamten coś na ucho poszeptał, na co ten skoczył jak oparzony. I do mnie:

– Co wy mi tu będziecie bredzić! O Świątle nie słyshał... A kto rozprowadzał jego parszywe ulotki? Tak, tak, odpowiecie za rozpowszechnianie imperialistycznej propagandy.

Pokrzyczał jeszcze trochę, pogroził i wypadł z pokoju. Mój inwestygator spojrzał na mnie przez chwilę i wzruszył ramionami. Zapytał:

- O czym ja mam z księdzem rozmawiać?

Nie mówił mi *per* wy, gdyż tamtemu krzykaczowi oznajmiłem, że jestem tu sam, bez rodziny, toteż niech zwraca się do mnie w liczbie pojedynczej. Cóż mogłem mu powiedzieć? Czekałem cały czas, kiedy zaczną nawiązywać do moich spraw wyrzyskich, ale nie padło ani słowa na ten temat, nawet nie napomknęli. Po pewnym

³³² Władysław Gaszak (1931–2001), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafiach: św. Michała w Gnieźnie, NSPJ w Bydgoszczy, Podwyższenia Krzyża Świętego w Miasteczku Krajeńskim, Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Bydgoszczy 1957–1968. Proboszcz parafii NSPJ w Ostrowie Mogileńskim i wicedziekan dekanatu strzeleńskiego 1968–2001.

czasie mojego śledczego zastąpił młody człowiek z baranią szopą na głowie (były wtedy modne plerezy, czyli po prostu ondulacje męskie). Oświadczył mi, że i on jest studentem, ale musi tu swoje odsłużyć, a poza tym musi zarabiać. Dał mi do zrozumienia, że poprzedni mój rozmówca to ćwok, a on chce ze mną porozmawiać na tematy naukowe, jako że *sensu largo* zna trochę teologię, a bardzo dobrze filozofię i możemy sobie wiele rzeczy wyjaśnić. Zapytałem go, czy studiował muzykę, bo *largo* najczęściej się używa w nutach na oznaczenie tempa utworu. Na jego miejscu powiedziałbym *lato sensu*, na co on dobroduszenie się zgodził, ale twierdził, że *largo* lepiej mu brzmi. Dodał zaraz, że wrzaśnie na mnie, gdyby wszedł ten krzykliwy, żebym się tym nie zdziwił. Siedziałem tyłem do drzwi, więc nie widziałem, kto wchodzi. Rzeczywiście raz coś takiego się przydarzyło. Porucznik, jak go nazywano, wpadł znowu i zapytał:

– Czy puścił już farbę?

Tamten coś mu szeptał na ucho i kolejny raz porucznik szybko się wyniósł, nie zaszczyciwszy mnie nawet spojrzeniem. Kiedy zauważyłem, że dziwny jakiś ten przełożony, wzruszył ramionami i sprostował:

– Jaki on tam dziwny, w gruncie rzeczy fajny chłop, tylko straszny zgrywus i nawiasem mówiąc, żaden mój przełożony.

Byłem zdumiony, gdy zaczął psioczyć na porządki w bezpieczeństwie i gdy oświadczył, że jemu wcale na niczym nie zależy, a ta nasza historia to zupełnie do dupy. Nie komentowałem, bo stale myślałem, że bierze mnie na zwierzenia. Powiedziałem tylko, że ja ulotki Świątły na oczy nie widziałem, co było świętą prawdą, i może w to wierzyć lub nie. On machnął ręką, ale nie potwierdził, iż przyjął moje oświadczenie do wiadomości. Po chwili, o ile sobie dobrze przypominam, oznajmił:

– Z tego wszystkiego i tak nici, niezależnie od tego, co tu wszyscy zeznacie. Ja na księdza miejscu bym się przyznał, że tę zasraną ulotkę widziałem, ale jej nie czytałem.

Tego już było za wiele. Cała szczerłość i familiarność nagle przybrała zgoła inne kształty. Moje doświadczenia z Wyrzyska były wprost bezcenne. Nie dałem się złapać na „odmowę przyznania się”. Zdziwiony oświadczyłem, iż uważam poświadczenie nieprawdy za wielkie przestępstwo. A tak by było, gdybym podał do protokołu, że widziałem ulotkę Świątły. Na tym rozmowa zasadnicza się skończyła. On jakby mimochodem mruknął, że zamiast do Bydgoszczy, gdzie już wyładowali trzej moi koledzy i dokąd ja pojedę, mógłbym pojechać do matki, do Nakła na ferie gwiazdkowe. Nic na to nie odrzekłem. Mój rozmówca nad czymś

długo deliberował, w pewnym momencie nagle zapytał, czy znam skrypt do nauki społecznej Kościoła ks. Sobczaka.

– Nie znam, ale go widziałem.

– A u kogo?

– Nie powiem, bo będziecie Bogu ducha winnego człowieka maltretować.

On na to:

– My dokładnie wiemy, kto z was ma ten skrypt.

– Zatem – rzekłem – wie pan dobrze, że ja go nie mam.

– Tak, a dlaczego?

– Dlatego, że taki skrypt trzeba przepisać, a ja nie mam pieniędzy, moja matka za mojego zamordowanego ojca otrzymuje 108 zł renty.

Rozmowa o skrypcie zatem się urwała. Wrócił jednak do nauki społecznej Kościoła. Wyjął z szuflady skrypt i zaczął czytać na chybił trafił zdania, komentował je i za każdym razem wykrzykiwał:

– Jakież to głupie i tego was uczą?

Odparowałem, że wymyślili to lepsi od niego, a on powtarza tylko słowa wytycznych. Poza tym wyjmując zdania z kontekstu, niczego się nie wyjaśni. Po chwili zapytał mnie, czy wierzę w Boga? Stwierdziłem, że pytanie dziwne, ale odpowiem twierdząco. On na to:

– To głupio wierzyć w Boga. Tylu rzeczy przyjemnych trzeba się wyrzekać.

Czy to jedyny jego argument za niewiarą? Nie, że są jeszcze argumenty filozoficzne. Rozmowa stawała się coraz bardziej interesująca. Czas mijał, była już chyba 14.00, a zaczęliśmy o 8.00. Czy wie, że Boga nie ma? On na to, że tak, wie, jest o tym przekonany.

– Jakże ma pan na to argumenty rzeczowe?

– To się po prostu wie, wystarczy przyjrzeć się światu.

– Właśnie przyglądanie się światu to najpewniejszy argument przemawiający za istnieniem Boga, a pan, nie wierząc, że Bóg istnieje, musi wierzyć, że go nie ma. Zatem jest pan wierzący, tak czy owak.

Zdenerwował się i zarzucił mi operowanie sofizmatami. Przekonywałem go, że argumentowałem tylko w oparciu o niepodważalną logikę. Kręciliśmy się w koło. Wreszcie on rzekł:

– Ksiądz mnie nie nawróci, bo ja mam światopogląd materialistyczny.

Ja na to, że wcale nie zamierzam go nawracać, nie można bowiem przekonać nikogo, kto tego nie chce i nawet nie dopuszcza myśli o tym, a on straciłby

wszystko, co zdobył, gdyby zechciał spojrzeć prawdzie w oczy. Argumenty moje były dość prymitywne, ale bezapelacyjnie zbijały jego rozumowanie. Zbliżała się 16.00. Przeciągał się, ziewał, trochę pisał protokół, ale mu nie szło. Co chwila czytał mi kawałki i pytał, czy dobrze. Protokół był o niczym i miał się nijak do naszej rozmowy. Kiedy mu o tym napomknąłem, mruknął, że jest pewien schemat i tak ma być. Protokół podpisałem, udając, że w ogóle go nie czytam. Zdziwił się, bo przecież mógł napisać, że jestem szpiegiem.

– Mógł pan, ale mało mnie to wzrusza, gdyż wiem, że protokół ten i tak pójdzie do kosza.

Zaczął się wtedy nade mną użalać, że już dziś do domu nie pojadę, bo ostatni pociąg do Nakła już odszedł. Było to nieco nieściste, bo jeszcze nie odszedł, choć zdążyć na niego już bym nie mógł, zważywszy, że musiałbym pójść do seminarium, spakować się, a jak sądziłem, wicerektor ks. Kłoniecki też będzie chciał wiedzieć, o co pytali. (Nie chciał i nawet się od tego odżegnywał, ale tego przewidzieć nie mogłem). Ubowcowi powiedziałem, że przełożonemu muszę naszą rozmowę zrelacjonować. Groził mi konsekwencjami, jeśli to zrobię, ale bez przekonania. Po podpisaniu protokołu siedzieliśmy, w zasadzie milcząc. Trwało to może pół godziny, a może całą. Wyjaśnił zwłokę w ten sposób, że nie mogą puszczać wszystkich naraz, zatem co kilka minut jeden wychodzi. Wyszedłem chyba ostatni. Genio Sikora, jak zawsze pełen humoru, czekał na mnie na rogu Dąbrówki i poszliśmy do seminarium. Następnego dnia razem jechaliśmy na ferie. Opowiadał mi, że jego ubowiec nie był zainteresowany żadnymi zeznaniami. Razem wysmażyli protokół i cały dzień gadali o rybach, obaj wędkarze i to na tym samym jeziorze. Spytałem:

– Tyle czasu mogliście mówić o rybach?

Na to Agapit:

– Jeszcze było za mało, ale umówiliśmy się kiedyś na ryby.

Raczej im to nie wyszło.

Nie mógłbym stwierdzić, że wtedy z tej rozmowy wyciągnąłem jakieś zasadnicze wnioski. Jedno było pewne: to nie było już to UB z 1949 i 1950 r. Dlaczego nie zahaczyli o Wyrzysk? Wydaje mi się, że rzekoma wszechwiedza UB, wciskana każdemu, by go zastraszyć i obezwładnić, była legendą. Tam też panował bałagan, zwłaszcza w powiatówkach.

Życie seminaryjne, z jednej strony arcymonotonne, z drugiej – miało swoje niezapomniane uroki. Za uroki trzeba jednak płacić. Już zaznaczyłem, że śpiewałem w chórze katedralnym i w scholi, z wyjątkiem drugiego i szóstego roku

studiów, kiedy byłem kleryckim dziekanem. Członkowie chóru nie wyjeżdżali ze wszystkimi na wakacje wielkanocne, musieli bowiem śpiewać w czasie Wielkiego Tygodnia w katedrze. Nikt nie protestował, śpiewaliśmy przepiękne improperia Giovanniego Pierluigiego Palestriny³³³. To była jedyna taka okazja w roku.

Pewnego razu byliśmy z kolegą Sikorą, ja w chórze, on w asyście, w Gnieźnie i tak nas wzięło rankiem w Niedzielę Wielkanocną, że postanowiliśmy nie czekać na dość późne śniadanie w seminarium, tylko pójść na święcone do franciszkanów. Przyjęli nas, owszem, po bratersku. Zaprowadzili do refektarza, a tam była kawa zbożowa z mlekiem, dość czerstwy chleb i twardo gotowane jajka, już trochę zzieleniałe. Coś tam jeszcze, ale ani grama kiełbasy czy szynki. Mamlaliśmy to święcone, a potem w nogi. Agapcio kochany miał komicznie smutną minę. Powtarzał:

– Kara Boża za łakomstwo.

Pokornie wróciliśmy do seminarium, gdzie już można było spożyć coś lepszego.

O wiele ciekawsze były święta gwiazdkowe. Na ferie świąteczne wyjeżdżało się na kilka dni przed świętami, ale chórzyści musieli być w Gnieźnie na pasterce i w pierwszy dzień świąt na sumie. Szczęśliwie pociąg nakielski tak kursował, że po kolacji wigilijnej wsiadało się w Nakle około godz. 19 z minutami i po dwóch godzinach było się w Gnieźnie. W Nakle dosiadała się Łobżenica, zatem w moich czasach Władek Kierzek, Jan Tadych, Leszek Zakrzewski, niekiedy ktoś jeszcze z okolicy i powstawał niezły chórek. Były to wagony jeszcze z końca XIX w., tzw. kołoby z drzwiami na zewnątrz z każdego przedziału. Niekiedy trafiało się na wagon rodzinny, który miał wzdłuż ścian ławki, a cały środek pusty. Zwykle skupialiśmy się w jednym lub dwóch przedziałach i śpiewaliśmy kolędy na głosy. Często z sąsiednich przedziałów schodzili się pasażerowie i był po prostu koncert. Wspaniałe chwile i to odnoszenie się ludzi do nas – życzliwe, serdeczne. Sypały się pochwały:

– Nasze kloryki to potrafią śpiewać!

Nieraz dochodziło do pogawędki. Zapraszano nas na wieczory kolęd do parafii, co się niekiedy zdarzało, jeśli proboszcz o to zabiegał. Na krótko przed święczeniami, chyba na przełomie 1955/1956 byliśmy z takim koncertem w Gołanicy. Nie przeczuwałem, że będzie to moja pierwsza placówka. Wtedy nocowałem i byłem goszczony w domu państwa Witkowskich, serdecznych, zacnych ludzi. Pani Witkowska była „ciocią” dla wielu kleryków. Wtedy nie potrafiliśmy docenić tego dobrego, szczerzego serca, dziś wraca to wyrzutem.

³³³ Giovanni Pierluigi da Palestrina (1525–1594), kompozytor włoski epoki renesansu.

Boże Narodzenie w Gnieźnie miało swój urok, przede wszystkim polegający na tym, że w seminarium było nas wtedy niewielu, tylko chórzyscy i asysta, panowała wolność bez ograniczeń, nie obowiązywał regulamin, w tym gaszenie światła. Nawet moderatorzy, jeśli byli obecni, starali się nas traktować jak gości hotelowych. Bardzo wiele śpiewaliśmy. Przed pasterką musieliśmy iść do salki w kanonii ks. Tłoczyńskiego i ćwiczyć kolędy. O ile dobrze pamiętam, miał ich zharmonizowanych około osiemnastu. Tempo było odpowiednie, nie tak jak w wielu kościołach parafialnych, gdzie nie wiadomo, czy to wesoła pieśń wieszcząca narodzenie Pana czy marsz żałobny. Kanonik promieniał, z biretem przekreślonym na bok zacierał ręce i machał batutą, właściwie tylko dla pozorów, chór bowiem sam wiedział, jak śpiewać.

Mnie zawsze wykańczała prawie dwugodzinna próba przed pasterką. Salka, w której ćwiczyliśmy, była mała, nieakustyczna, dźwięk po prostu nie chciał wychodzić z gardła. Zdarzała się chrypka. Ale za nic bym tego nie oddał. W pierwszy dzień świąt na sumie śpiewana była *Msza koronacyjna* Mozarta. *Agnus Dei* brzmiało zawsze w wykonaniu jakiegoś barytonu z opery gdańskiej. Niekiedy bywali inni soliści, gnieźnianie, którzy na święta przybyli do rodziny. To była prawdziwa uczta. Każdy liturgista czy nawet muzykolog kościelny, że wymienię choćby mojego przyjaciela i sąsiada, ks. prof. Ireneusza Pawłaka³³⁴, wybitnego znawcę muzyki sakralnej, powie, że był to koncert polifoniczny z okazji mszy świętej. To prawda, mimo wszystko jako laik w tej dziedzinie pozwolę sobie sądzić, że słuchając takiej muzyki, można było uczestniczyć w liturgii wcale nie gorzej, aniżeli wtedy, kiedy pienia mocno fałszywe ranią uszy, nerwy i burzą nastrój modlitewny.

Dziś, kiedy słucham stylizowanych dyszkantów i falsetów w towarzystwie brząkania na gitarze, mniej się mobilizuję do modlitwy, aniżeli słuchając wspaniałej muzyki klasycznej, pełnej głębi i spokoju, budzącej najwspanialsze odczucia. *Signum*³³⁵ dzisiejszej bylejakości jest właśnie stępiony słuch i gusta zrozumiałe jedynie pod warunkiem, że fundamentem ich jest jakieś zamroczenie. Inaczej czyż można zrozumieć rozanielenie Michaeliem Jacksonem? Zdeformowana twarz, ubiór obłąkanego, miotanie się po scenie w konwulsjach choroby św. Wita. Pytałem

³³⁴ Ireneusz Pawlak (ur. 1935), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1960. Muzykolog. Od 1965 kierownik chóru katedralnego w bazylice prymasowskiej w Gnieźnie i wykładowca śpiewu kościelnego w WSD w Gnieźnie. Od 1970 pracownik Instytutu Muzykologii KUL. Doktorat 1976, habilitacja 1989, profesor nadzwyczajny 2001, profesor zwyczajny w 2002. Kierownik Instytutu Muzykologii KUL 1989–1991. Dyrektor Instytutu Muzykologii od 2003.

³³⁵ *Lac*. znakiem.

wielokrotnie jego fanów, gdzie jest racja tej histerii, co im się podoba? Nigdy nie otrzymałem innej odpowiedzi poza stwierdzeniem, „że to przecież Jackson”. Co się dziwić młodemu, skoro nawet prezydent RP czekał na niego, nie wiem ile czasu, mówią, że nawet godzinę, bo Michaelowi po prostu zachciało się spóźnić? To też jest miara naszych czasów, jakości autorytetów i bylejakości sięgającej od piwnicy do strychu. Pajacują zresztą nie tylko politycy, nie tylko nuworysze „ziemianie”, którzy takim czy innym kantem doszli do latyfundiów, a jedyne, co odziedziczyli po ich poprzednich właścicielach, to prezentowanie się konno i ze szpicrutą. Tyle że tamci kiedyś uważali to za rzecz tak zwyczajną, iż nie musieli pozować do zdjęcia czy do kamery TV, ci nowi zaś muszą, bo inaczej dalej byliby nikim, nawet we własnych oczach. Bylejałość wkrada się do wszystkich zakątków, nie omijając duchownych, od wikarego (a nawet już kłeryka) do hierarchy. A przyczyna jest ta, że *officium stat pro persona*³³⁶. Tutaj bierze się źródło mylnie rozumianej „wiedzy wlanej”. To teologiczne pojęcie nie odnosi się do inteligencji ani do zasobu erudycji, ale wielu tak myśli, nakładając taki czy inny biret, akademicki czy kościelny.

Daleko odeszliśmy od głównego wątku, byliśmy przecież w święta Bożego Narodzenia w Gnieźnie, w seminarium i w katedrze, śpiewaliśmy wspaniałe rzeczy i byliśmy młodzi, mimo trudnych czasów – beztroscy. Niekiedy zdarzył się jakiś rodzynek, który umiłał i tak już bogaty w wydarzenia czas. Któregoś roku w czasie sumy pontyfikalnej wówczas subdiakon, Wojtek Osiński³³⁷, przemiły kolega (zginął potem tragicznie w rozbitej przez pociąg syrence), zaśpiewał w czasie sumy pontyfikalnej lekcję w tonie żałobnym. Celebrował bp Lucjan Bernacki, zdolny śpiewak. Pędziliśmy zaraz po skończonym nabożeństwie do zakrystii, zapowiadało się bowiem niezłe przedstawienie. Biskup po celebrze zwykł był siadać w fotelu w zakrystii kanonickiej, a asysta ustawiała się półkolem. Biskup dziękował wszystkim, niekiedy robił jakieś uwagi. Tym razem był purpurowy na twarzy. Bardzo wysokim tonem zapytał:

– Gdzie jest subdiakon?

Wystąpił Wojtek, jak zawsze pełen dostojności, i się zameldował:

– Oto jestem, ekselencjo.

– Czy ksiądz jest w pełni rozumu?

³³⁶ Łac. urząd zastępuje osobowość.

³³⁷ Wojciech Osiński (1926–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1954. Wikariusz m.in. w parafii w Łeknie 1957–1964, Kotlinie 1964–1967. Proboszcz parafii w Dąbrowach Wielkich 1967–1972, Imielnie 1972–1980.

– Pozwalam sobie sądzić, że tak.

Żadną miarą nie potrafię oddać tonu tych wypowiedzi, a szkoda.

– Nakazuję, by ksiądz nigdy więcej nie był w asyście i w ogóle, by w katedrze nie ważył się śpiewać. Ale niechże mi ksiądz powie, co księdza skłoniło do śpiewania w tonie żałobnym i to w taką uroczystość?

Było to, o ile pamiętam, w Matki Bożej Gromniczej.

– Ekscelencjo – Wojtek na to – ta melodia jest urzekająca...

Tego było Bernackiemu za wiele. Wstał z faldistorium i powtórzył:

– Nigdy więcej!

Wojtek pochodził z Gniezna i nadal często bywał w asystach, ale nigdy, kiedy celebrował bp Bernacki.

Byłem w asyście na sumie, już jako diakon, a subdiakonem był kolega zupełnie pozbawiony słuchu, któremu „Tłok” (tak powszechnie nazywaliśmy kanonika Tłoczyńskiego) zakazał śpiewać w katedrze. Wtedy właśnie kanonik celebrował. Chór śpiewał bez dyrygenta jakąś łatwiejszą mszę. Śpiewano akurat *Gloria*, a siedzieliśmy jak zwykle w czasie śpiewu na sediliach, kiedy kanonik skrzywił się, jakby chciał zrobić jakąś uwagę, zwrócił się w lewą stronę, gdyż akurat spoglądał na chór. Zobaczył kolegę objętego zakazem śpiewania i całym ciałem rzucił się w fotelu, odwracając się od niego w moją stronę. Tu jakoś już wytrzymał. Półgłosem powiedział:

– Jeszcze przed wojną mówiłem sopranom, że tam jest „f”, a one ciągle się mylą.

Kiedy subdiakon śpiewał lekcję, kanonik najpierw patrzył w sufit, ale w pewnym momencie mruknął:

– Wcale umie, patrzcie, patrzcie...

Bywały sytuacje, o których chciałoby się zapomnieć. W 1955 r. w czasie procesji Bożego Ciała całe seminarium podpadło ks. infułatowi Aleksemu Brassemu³³⁸. Dziwny to był człowiek. Proboszcz katedry i dziekan kapituły miał wtedy dokładnie 54 lata. Jako młody kapłan, z wykształcenia kanonista, bardzo był podobno faworyzowany przez Hlonda i dwanaście lat po święceniach został mianowany kanonikiem kapituły gnieźnieńskiej. Trudno mi oceniać jego zasługi, ale sympatią się nie cieszył ani o nią nie zabiegał. Na kleryka patrzył jak na przezroczystą

³³⁸ Aleksy Brasse (1901–1956), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1925. Od 1937 kanonik Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie. Infułat. Usunięty z Gniezna przez Niemców w 1939, powrócił w 1945. Przewodniczący Komitetu Odbudowy Katedry Gnieźnieńskiej. Proboszcz archikatedry w Gnieźnie 1950–1956. Wykładowca prawa kanonicznego w WSD w Gnieźnie od 1954.

szybę. Nieco pochylony kulał, miał okulary chyba ponad 10 dioptrii, był szalenie nerwowo. Bali się go wszyscy i woleli nadkładać drogi, niż się z nim spotkać.

Wtedy, po procesji, nakazał nam wszystkim wejść do kościoła św. Jerzego, położonego w pobliżu katedry. Po chwili przyszedł, szczelnie zamknął drzwi, zaczął nerwowo chodzić i obrzucać nas stekiem wyzwisk. Jesteśmy, jego zdaniem, głupi, niewychowani, przynosimy wstyd sutannie i stanowi, do którego zmierzamy, że właściwie powinno się nas wszystkich wyrzucić na zbity pysk itd. Jaki był powód? Nikt z nas nie przeczuwał, że zakłóciliśmy infułatowi modlitwę, raz czy dwa bowiem ktoś go o coś zapytał. Podobno on nam dawał jakieś znaki, a myśmy nadal coś źle robili. Zauważył, że ktoś z kimś rozmawiał. Wszystko to możliwe, ale z całą pewnością nikt w czasie procesji nie zachował się niegodnie. Zdawało się, że już skończył. Ktoś podszedł do drzwi, by wyjść i znowu paroksyzm: że jeśli taka będzie jego wola, to posiedzimy tu do wieczora. Przypomnę, że w kościele był Najświętszy Sakrament. Posapał, posapał, popatrzył na nas spode łba jak na śmieci i skierował się do drzwi. Wtedy wystąpił nasz dziekan, ks. Nowaczyk (ks. Alojzy Święciechowski³³⁹ w swych wspomnieniach³⁴⁰ mylnie mi tę rolę przypisuje) i bardzo spokojnie powiedział, że przepraszamy, jeśli uchybiliśmy, ale do stawianych zarzutów się nie poczuwamy, protestujemy przeciwko takiemu traktowaniu nas i zasługujemy na inne, nawet jeśli jesteśmy tylko klerykami, choćby tylko przez szacunek należny każdemu człowiekowi. Dodał, że sprawę będzie musiał rozstrzygnąć rektor. Infułat spurpurowiał, ale widząc, że stoimy murem za dziekanem, a ten wcale się nie płoszy, wyszedł bez słowa z kościoła.

Podobno interweniował ks. Kłoniecki (do Brossa Józio nie poszedł, ale o wszystkim donieśli mu zapewne jego pupile), szczegółów nie znam. Ten przykry wypadek, w dodatku całkowicie niesprawiedliwy, wskazuje tylko na to, co może zrobić z człowiekiem władza absolutna (a wydawało mu się, że takową nad nami sprawuje), jeśli nie ma on odpowiedniego hamulca w postaci samokrytycyzmu i starannego rachunku sumienia. Dla mnie była to lekcja na całe życie i cieszę się, że tylko raz puściły mi nerwy w kościele, ale jest to – jak dotąd – moje najbardziej przykre wspomnienie.

³³⁹ Alojzy Święciechowski (1933–2010), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1958. Proboszcz parafii Strzelno i dziekan strzeleński 1980–1997. Diecezjalny duszpasterz rolników od 1983. Dyrektor Towarzystwa Czytelni Ludowych od 1993.

³⁴⁰ Chodzi o: A. Święciechowski, *Babcię naoliwić. Anegdoty z życia kapłanów i parafii*, t. 1–2, Warszawa 2000.

Uderza mnie samego, jak mało mam do powiedzenia na temat studiów, a przecież było to studium najczęściej bardzo na serio. Nauczyliśmy się dużo. Kiedy dzisiaj, prawie pół wieku po święceniach, porównuję to, co wyniosłem z seminarium, z przeciętną wiedzą młodego księdza dziś, to zasób erudycji jest na moją korzyść. To samo mówią koledzy, którzy zestarzeliz się na probostwach. A jednak czegoś brakowało. Nie mieliśmy w najmniejszym stopniu przygotowania do pracy twórczej, do pisania, do uprawiania publicystyki – prawda, że wówczas w postaci drukowanej nie do zrealizowania. Było proseminarium ogólne ks. Pacyny i kogoś jeszcze, choć nie wiem kogo, bo było to już po moich studiach. Polegało na robieniu wypisów, fiszek i wcale nie było ważne, z czego wypisujesz, byle nie było z jednej książki. Zapis był ważny, nic więcej.

Mam jeszcze część tych fiszek. Jedne z Bronsteina, jakiejś starej psychologii, inne z jakiegoś dzieła historycznego, z czegoś jeszcze. Jak to się mówi: każdy pies z innej wsi. Po co to było? Właściwie tylko po to, by umieć dokonać wypisu i zapisu. Nikt nam nie tłumaczył, na czym polega prawdziwe pisanie. A przecież chciało się coś robić, zwłaszcza na szóstym roku, kiedy było wreszcie trochę czasu na czytanie.

Biblioteka była ubożuchna, choć nam wydawała się ogromna, jako że innej jeszcze nie widzieliśmy. Bywali tacy, którzy lekturze poświęcali każdą przerwę, jak Włodek Gólnik³⁴¹, o rok wyżej ode mnie. Widzę go jeszcze, jak między spacerem przedśniadaniowym a śniadaniem w kurtce i szaliku stoi w głębokiej niszy okiennej pochylony nad książką. Inni siedzieli w czytelnii, gdzie można było w spokoju się uczyć. Ale biblioteka nie była atrakcyjna. Na drugim roku studiów, kiedy byłem dziekanem, nie miałem czasu na dodatkowe lektury. Studium do *philosophicum*, egzaminu końcowego po dwóch latach filozofii, zabierało obok obowiązków organizacyjnych cały czas. Na trzecim roku przyszły nowe przedmioty, teologiczne, i nowy tok studium, czasu jednak było trochę więcej, a namiętnie lubiłem czytać. Kiedy? Oto było pytanie. W czasie obowiązkowego studium poświęcanie się literaturze pięknej wydawało się wykroczeniem. Kiedy indziej, poza niedzielami, nie można było znaleźć chwili wolnej. A jednak się czytało.

³⁴¹ Władysław Gólnik (1929–1996), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafiach: w Witaszyczach, Janowcu, NSPJ w Bydgoszczy, Wągrowcu, Ursusie, Łowiczu, św. Antoniego Padewskiego w Bydgoszczy, w Mroczu 1956–1964. Proboszcz parafii św. Małgorzaty w Chojnie 1964–1996.

Już nie wiem, w jakich okolicznościach zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Mrugasiewiczem³⁴², będącym o rok wyżej ode mnie. (Ta przyjaźń przetrwała aż do jego śmierci w 2000 r., przed Bożym Narodzeniem. Brata rodzzonego nie miałem i to jego tak traktowałem). Zgadaliśmy się na temat czytania. Dodam, że w owych czasach nie było tak jak obecnie, iż student miał zaległości w takiej literaturze jak *Trylogia*, *Pan Tadeusz*, *Lalka* itp. Wtedy chodziło o literaturę bieżącą. Własnych książek nie miałem z powodu braku pieniędzy na ich zakup. Powiedział mi, że zawsze ma coś ciekawego. Zaproponował *Ciała i dusze* Van der Meerscha³⁴³ oraz *Noc jest moim światłem*³⁴⁴. Lektura wciągnęła mnie i dała podwalinę pod długie dyskusje, jakie później toczyliśmy z Jurkiem, przeważnie nie zgadzając się w sądach, ale było to coś, czego mi w seminarium brakowało.

Odtąd starałem się w miarę wolnego czasu, a niekiedy kradnąc coś z „kazionego”, czytać jak najwięcej. Szkoda, że nie prowadziłem zapisków, ale i tak wiele fabuł i wielu bohaterów zapełniło moją wyobraźnię. Mój późniejszy skromny księgozbiór wikariuszowski, liczący może trzysta lub coś ponad to pozycji, to była w dużej mierze literatura piękna. W seminarium zalecano literaturę teologiczną, ale kiedy się je chleb, przychodzi często ochota na ciastko. Tak było i wtedy. Znacznie później wciągnął mnie Bunsch³⁴⁵, Grabski³⁴⁶, Gołubiew³⁴⁷. Powieść psychologiczna, zawsze mi zresztą bliska, dziś zwłaszcza, musiała ustąpić powieści historycznej. Kraszewski³⁴⁸ był dla mnie zbyt rozgadany, zbyt dydaktyczny, dlatego też nie przeczytałem wszystkich jego książek, choć sumienie mówiło mi, że powinienem. Kupowało się książki w tanich edycjach, wydawane jako dodatki do gazet, na gazetowym papierze, w lichej oprawie, ale ważne było, że zadrukowany papier

³⁴² Jerzy Mrugasiewicz (1930–2000), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafiach: św. Wawrzyńca od 1957, NMP Nieustającej Pomocy w Zdiechowie 1964–1967. Proboszcz parafii Winngóra 1967–1982, parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Bydgoszczy 1982–1992, parafii Miłosław 1992–1999.

³⁴³ M. van der Meersch, *Ciała i dusze*, Warszawa 1951.

³⁴⁴ E. de Greeff, *Noc jest moim światłem*, Warszawa 1955.

³⁴⁵ Karol Bunsch (1898–1987), pisarz historyczny, tłumacz literatury niemieckiej i angielskiej. Najważniejszym jego osiągnięciem jest wielotomowy cykl powieści historycznych poświęconych okresowi Piastów.

³⁴⁶ Jan Władysław Grabski (1901–1970), pisarz, publicysta. Autor powieści historycznych pisanych w duchu katolickim. Syn Władysława Grabskiego, premiera i ministra w II RP.

³⁴⁷ Antoni Gołubiew (1907–1979), pisarz i publicysta. Po drugiej wojnie członek redakcji „Tygodnika Powszechnego”, współpracownik „Znaku” i „Odry”. Najważniejszym jego dziełem jest powieść historyczna *Bolesław Chrobry* (cztery tomy wydane w latach 1947–1974).

³⁴⁸ Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887), pisarz, publicysta, wydawca, historyk i działacz społeczny. Autor ponad dwustu powieści historycznych.

i to nie było czym. Trzeba przyznać, że PRL dbała o to, by niektóre rzeczy dotarły pod strzechy. W seminarium było bardzo niewiele literatury pięknej, a czytanie jej tak po cichu uważano za stratę czasu. My z Jurkiem sporo go traciliśmy.

Jednak sama lektura to jeszcze nie wszystko. Przez skórę się czuło, że trzeba coś zrobić, coś od siebie, oryginalnego. Na szóstym roku wielu zaczęło niepokoić nasze słabe przygotowanie homiletyczne. Kazanie wtedy uważane było za dobre, jeśli zawierało dobry, wzruszający przykład. Wypisywaliśmy te przykłady głównie z ks. Józefa Łapota³⁴⁹ (w sumie wydał sześć zbiorów przykładów do kazań³⁵⁰). Ktoś rzucił myśl przygotowania zbioru przykładów wzbogaconych o źródła zagraniczne. Bardzo koło tego chodzili Ludwik Gładyszewski, Stasio Grzechowiak³⁵¹, Józio Stawski, nasz najlepszy „maszynista”, Henio Młotkowski, Olek Oczachowski, Tadeusz Patyk³⁵². Właściwie zaangażowany był cały nasz rok. Każdy miał swoją działkę.

Chciałem się od tego wykręcić, bo znowu byłem dziekanem i rektor miał dla mnie coraz więcej roboty kancelaryjnej, a w dodatku *approbaticum*, czyli ostatni egzamin przed święceniami, do zdania. Musieliśmy mieć placet rektorski, o co oczywiście się postarałem. Nadto mogliśmy już mieć bębnowy powielacz, choć w końcu zrobiliśmy wszystko na szufladkowym. Prymitywności tego narzędzia nie da się wprost opisać, dla nas wtedy był to postęp na miarę wieku w przód.

Chodziliśmy koło naszego dzieła trochę bezradnie. Rad niekiedy udzielał ks. Franciszek Kryszak, nasz historyk i homileta, człowiek rozsądny i realista. Zachęcał, ale zawsze z tym swoim zagadkowym uśmieszkiem na twarzy. Wreszcie zadania zostały rozdzielone. Tłumaczenia wzięliśmy na siebie z Lutkiem Gładyszewskim, on głównie z francuskiego, ja z niemieckiego. Wyborem zajmowali się inni koledzy, podobnie redakcją i całą stroną techniczną. Okazało się, że pracy jest przy tym wiele. Mieliśmy w sumie 24 źródła, w tym kilka obcojęzycznych i to liczących po kilka tomów, jak cztery tomy *Homiletisches Quellenwerk* Antona Kocha czy trzy *Materialien für Prediger und Katecheten* Josefa Fuhlrotha³⁵³.

³⁴⁹ Józef Łapot (1903–1962), ksiądz diecezji warmińskiej. Święcenia kapłańskie 1926. Doktor teologii. Wicerektor WSD w Kielcach 1942–1945. Pierwszy rektor reaktywowanego po drugiej wojnie WSD w Olsztynie 1949–1958. Od 1951 kanonik Warmińskiej Kapituły Katedralnej we Fromborku.

³⁵⁰ Zob. *Słownik polskich teologów katolickich 1918–1981*, t. 6, red. L. Grzebień, Warszawa 1983, s. 368.

³⁵¹ Stanisław Grzechowiak (1933–2010), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii w Mogilnie 1957–1960. Notariusz KMG 1963–1990 (z przerwami), wicerektor WSD w Gnieźnie 1970–1985. Doktorat 1967. Członek Komisji KEP ds. Nauki Katolickiej 1975–1994. Kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 1982.

³⁵² Tadeusz Patyk (1933–?), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz parafii w Toruniu-Podgórzu 1957–1960. Wystąpił ze stanu kapłańskiego w 1960.

³⁵³ Były to niemieckie dzieła homiletyczne.

W sumie trzeba było przekopać się przez z górą 35 pozycji. Przy tej okazji każdy się czegoś nauczył, ale kosztem ogromnego wysiłku.

Patrząc na to przedsięwzięcie po latach, zadaję sobie pytanie, dlaczego przełożeni nie przedyskutowali tego z nami i nie odradzili nam pracy, która okazała się chybiona. Sam może dwa razy w całej mojej karierze z tych przykładów skorzystałem. Z punktu widzenia rozwoju homiletyki rzecz była bez znaczenia, trzeba jednak mieć na względzie ówczesne podejście do kaznodziejstwa. Przykłady, jak już wspominałem, stanowiły w kazaniu bardzo istotny element. Były one często naiwne, tendencyjne, ale chwytające za serce. Gdyby rzecz ukazała się w postaci książki, a nie odbitki powielaczowej w stu egzemplarzach, pewnie by się rozeszła jak ciepłe bułeczki. Istotnym dorobkiem tego „dzieła” było natomiast to, jak się zorganizowaliśmy, jak potrafiliśmy wspólnie i skutecznie pracować.

Nasz *Zbiór przykładów do kazań i nauk* ukazał się wiosną 1957 r. Pod tytułem widniał wykonany przez Olka Oczachowskiego szkic łodzi na burzliwym morzu, nad nią Duch Święty w postaci gołębic. Wokół łodzi pluskają się ryby, na żaglu widnieje znak Chrystusa. Pod rysunkiem napis: „Zebrali i opracowali diakoni Arcyb. Sem. Duch. Gniezno 1957”. Całość obejmowała trzy tomy, w sumie 245 stron i 687 przykładów. Jeszcze jedno trzeba tu zaznaczyć. To nasze „kursowe dziecko” przyszło na świat jako zwiastun nowej ery, zwanej gomulkową³⁵⁴. Nie poszliśmy z tym do cenzury, wydaliśmy na powielaczu, który był rejestrowany, podobnie jak później bębnowy, do rotaprintu, drukowaliśmy na nim niektóre skrypty. Podziwiałem Józia Stawskiego, który potrafił całymi dniami siedzieć przy maszynie i drukować matryce. Tam nie można było się pomylić. A na napisanej przez niego matrycy czy stronie znalezienie błędu było wprost niepodobieństwem.

Ostatni rok w seminarium miał swój specyficzny urok, nie tylko z tej racji, że już człowiek dobijał do mety. Było to powodem zadumy nad tym, jak to będzie już w pracy z tyloma wyzwaniami, które ona ze sobą będzie nieść. A że będzie – co do tego nie mogło być wątpliwości. Ten rok był inny niż poprzednie trzy. Można rzec, że był normalny. Wrócił rektor ks. Pacyna, wrócił ojciec duchowny ks. Szymański, a przede wszystkim był już znowu ordynariusz ks. prymas Wyszyński. Była nadzieja na normalność w życiu, w które mieliśmy wchodzić, na zmianę systemu, jeśli nie zasadniczą, to przynajmniej złagodzenie reżimu. Wiele się zdawało, że przecież socjalizm może współistnieć z innym światopoglądem,

³⁵⁴ Chodzi o lata 1956–1970, gdy funkcję I sekretarza KC PZPR sprawował Władysław Gomułka.

może tolerować alternatywne przekonania polityczne. To były złudzenia, równie potrzebne, co nieuniknione.



Do święceń przygotowywaliśmy się pod wieloma względami. Duchowo – i to było najtrudniejsze. Nie było też łatwe zdobycie obrazków. Kto miał szczęście i chody, przynajmniej pewną ich część sprowadzał z Włoch. Były cukierkowate, dziś bez wahania powiedziałbym, że nieładne, choć piękne. Z kolei te krajowe były przeważnie zupełnie niewyraźne, na złym papierze, jednokolorowe, zwykle brązowawe, słowem – straszdyła... Mam przed sobą taki biedniutki i część trochę lepszych, ale trudno było je dostać. Na druk potrzebne było zezwolenia cenzury. Trudności nie robiono. Obrazek z moich prymicji przedstawia Matkę Bożą trzymającą na ręku Dziecię Jezus. Napis na odwrocie głosi: „Będąc wolnym wobec wszystkich, stałem się jednak sługą wszystkich, aby pozyskać jak najwięcej dusz”, u dołu zaś: „Niech nam błogosławi

i sprzyja ze swym Synem Panna Maryja”.

Zewnętrzne przygotowania do święceń niektórych może aż nazbyt absorbowały, wydaje mi się, że wówczas wszystko i tak było jak gdyby w miniaturze w stosunku do tego, co dziś przy takich okazjach się dzieje. Czasy były nieporównanie biedniejsze i ludzie nie mieli aż tak wielkiego przywiązania do rzeczy.

Na szósty rok przyjechaliśmy już jako diakoni, wyświęceni 25 maja 1956 r. przez bp. Franciszka Jedwabskiego³⁵⁵, sufragana poznańskiego. Znowu pełniłem funkcję dziekana kleryków, ale było to wtedy o połowę łatwiejsze niż na drugim roku, kiedy było się faktycznie *primus inter pares*³⁵⁶. Diakon dla młodszych roczników to był już rekin. Gdy byliśmy na pierwszym czy

Sufragan
poznański
bp Franciszek
Jedwabski
i autor w czasie
święceń diako-
natu, 1956 r.

³⁵⁵ Franciszek Jedwabski (1895–1975), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1922. Podczas wojny więziony w Mauthausen-Gusen i Dachau. Po wojnie duszpasterz polonijny, rektor Kolegium Polskiego w Rzymie. Biskup pomocniczy poznański 1947–1975. Notariusz i kanclerz kurii archidiecezjalnej, wykładowca w ASD w Poznaniu. Wikariusz generalny i kapitułny archidiecezji 1956–1957.

³⁵⁶ Łac. pierwszy wśród równych.

drugim roku, mówiliśmy *per* ksiądz do subdiakona i diakona, którzy z Poznania każdej niedzieli przyjeżdżali do asysty w katedrze. Rzadko który pozwalał „tykać”. Później, po święceniach, to się wyrównało, ale w seminarium obowiązywała hierarchia. Gdy dziekan będący diakonem polecił coś młodszemu klerykowi, nie do pomyślenia była odmowa wykonania tego. W obrębie starszych roczników panowało pełne koleżeństwo, które wspominam jak najlepiej. Dziekan mógłby wprawdzie nadużywać swojej władzy, ale tak faktycznie jej nie miał i nie mógł mieć; był alumnem, jak każdy, a relacjonowanie rektorowi czy innemu przełożonemu tego, co się działo się między kolegami, nie wchodziło w grę. Pewne rzeczy załatwialiśmy sami.

Tak było z kolegą P., którego posądzano o picie alkoholu. Kazaliśmy mu – było nas trzech – otworzyć szafkę zamkniętą na kłódkę. Ponieważ się wzbraniał, zabraliśmy mu siłą klucz i stwierdziliśmy obecność w szafce trzech półlitrówek, z których jedna była do połowy opróżniona. Powiedzieliśmy mu, że jeśli przyjedzie na następny rok (był na drugim), sprawa pójdzie do rektora, jeśli nie, nikt się nie dowie. Nie przyjechał. Niektórzy posądzali go o to, że był kapusiem. Bogiem a prawdą, nikogo takiego pośród nas nie odkryliśmy, choć to niczego nie dowodzi. Swoją drogą w czasie przesłuchań w UB odniosłem wrażenie, że mało się orientują w tym, co się dzieje w seminarium. A mój „rozmówca” pochodził z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Gnieźnie.

Rok szósty wspominam najlepiej, bo były już zajęcia praktyczne i pachniało kapłaństwem. Egzaminy były formalnością. Trzeba było jeszcze przejść *scrutinium* przed biskupem, czyli decydującą rozmowę, i złożyć przysięgę antymodernistyczną oraz wyznanie wiary. Należało się zjawić w komży, na stole znajdowały się krzyż i zapalone świece, obok stał kapłan, z reguły rektor, i trzeba było przed nim odczytać tasiemcowaty łaciński tekst. Podejrzewam, że niektórzy go do końca nie rozumieli, bo łacina była taka sobie, a treść naszpikowana pojęciami teologicznymi, wprawdzie znanymi, ale w danym kontekście mogły się zdarzyć trudności. Po soborze watykańskim II tę bezsensowną tradycję usunięto, ale powinna ona zniknąć wcześniej, gdyż modernizm to była historia już przebrzmiała. Miało przyjść coś znacznie gorszego w teologii, ale o tym na razie nie mieliśmy zielonego pojęcia. Ciekaw jestem, jakby to było dziś z tą pierwszą przysięgą i to nie tylko z racji filologicznych kłopotów. Ile trzeba by tam zmienić z powodu narastających poglądów teologicznych współczesnych „modernistów”, nie mniej groźnych aniżeli ci z początku XX w. Z *Credo* szło już łatwiej, nie tylko językowo. Jakże można

sobie wyobrazić, żeby człowiek mający otrzymać godność kapłańską nie potwierdził uroczyście swej wiary?



Nie pamiętam, kto prowadził rekolekcje przed święceniami, w świadomości pozostał jednak i dziwnie się utrzymał pewien niedosyt, choć trudno mi dziś podać wyjaśnienie. Może sądziłem, że musi to być coś całkowicie niezwykłego, że będę poddany próbie wytrzymałości, bo przecież święcenia kapłańskie to zamknięta furtka. Tak, ten moment gnębił mnie długi czas. Przeszło dopiero w zetknięciu się

z obowiązkami parafialnymi. Wyświęcony trzy lata wcześniej Alfons Siuda tłumaczył mi, jak to będzie wspaniale, kiedy już wyjdę z seminarium. Pokazywał mi, jak się urządził, jakie ma wspaniałe radio czy inne rzeczy. Słuchając go, coraz bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że nie o to chodzi, zastanawiałem się, dlaczego nie wspomina o trudnych obowiązkach. Jako kleryk mówiłem ze trzy razy kazanie, najczęściej, bo dwa razy, na św. Szczepana. Nie szło mi, w dodatku prałat Ziarniak wylał na mnie kubeł zimnej wody.

– Ewangelię mruczałeś pod nosem – powiedział mi – ale potem to dopiero było twoje objawienie.

A ja wiedziałem, że zrobiłem tak dobrze, jak potrafiłem. Co będzie już na parafii? Z innymi kolegami nakielskimi, Tadeuszem Różewiczem i Rysiem Komczyńskim, rok przede mną wyświęconymi, kontakt miałem raczej luźny. Wikariusze w Nakle udawali wobec mnie niemalże starców, których już nic zadziwić nie może. Kiedy ich o to czy owo pytałem, kiwali głowami i mówili, że sam muszę się przekonać. Autentycznie bałem się tego momentu, kiedy klamka zapadnie.

Była też inna kwestia, która musiała mnie niepokoić. Prymicje. Ksiądz prałat Ziarniak, proboszcz parafii św. Stanisława w Nakle nad Notecią, do której należałem, powiedział mi już w czasie wakacji gwiazdkowych, że prymicje odbędą się na plebanii. Oczywiście mogłem zaprosić najbliższą rodzinę, w sumie miało być około dwudziestu osób, wliczywszy w to miejscowych księży. Mnie to odpowiadało. Poza tym nie miałem możliwości urzędowania większego przyjęcia w domu, mieliśmy bowiem w sumie dwa pokoje bez kuchni, wspólną z sąsiadami ubikację, do której poza nami prawo miały

Gwiazdka
w Nakle nad No-
tecją w parafii
św. Stanisława.
Siedzą od prawej:
ks. Dobromir
Ziarniak, autor;
ks. Ryszard Kom-
czyński, diakon
Kazimierz Gałdy-
ński. W drugim
rzędzie kleryk
Benon Kaczma-
rek (pierwszy)

trzy inne rodziny. Nie było też łazienki, bo w tym pomieszczeniu jedna z rodzin urządziła sobie kuchnię. Nie mówię nawet o wydatkach, których nie byłoby z czego pokryć. Matka miała groszową rentę po ojcu, jedyna już siostra zarabiała niewiele, a wiele kosztowało jej leczenie, chorowała bowiem na białaczkę. Zaproszenie ze strony ks. Ziarniaka było zatem wielkim dobrodziejstwem, mimo to jakoś ciężko to przeżywałem. Gdyby nie matka i siostra, a może bardziej jeszcze krewni i znajomkowie z Nakła, którzy oczekiwali na te prymicje i których nie można było zawieść, bo byli to starzy przyjaciele z harcerstwa, niezawodni, jak potem pokazał czas, wolałbym odprawić mszę świętą w Częstochowie, wypić filiżankę kawy z najbliższymi i na tym koniec. Jednak prymicje, z czego wówczas nie zdawałem sobie sprawy, to rzecz nie tylko neoprezbitera i nie on tu sobą rozporządza. To sprawa całej parafii, tych wszystkich, którzy w taki czy inny sposób towarzyszyli alumnowi na jego drodze i to nie tylko w seminarium. Odkąd wchodzi się na tę ścieżkę, ma się zobowiązania. Mówił mi o tym proboszcz, ale chyba nie do końca go rozumiałem.

Była też inna sprawa. Ksiądz Ziarniak był wzorowym duszpasterzem, ale człowiekiem surowym, wymagającym i do wszystkiego przykładał swoją, dość ciasną, miarę. Jako klerycy mieliśmy z nim niekiedy – ja, a więcej jeszcze Alfons Siuda – spięcia. Każde wakacje kończyły się spacerem na cmentarz. Kiedy padało zaproszenie na taką przechadzkę, wiedzieliśmy już, że będzie nam wygarnięte wszystko, co prałatowi wydawało się z naszej strony niewłaściwe. A miał nas na oku przez cały czas. Z Nakła można się było oddalić tylko za jego zezwoleniem.

Pracowałem zwykle w biurze parafialnym. Alfons świetnie malował, tworzył więc afisze, a także pisał na brystolu teksty, które następnie były wywieszane w kruchcie. Wszystko zawsze miało w oczach prałata jakieś mankamenty. Kiedy było gotowe, nigdy nie pochwalił, chrząknął tylko i to była cała aprobata. Dziwne to były sposoby wychowawcze. Ceniliśmy proboszcza bardzo, jego kuratela jednak mocno doskwierała. Wiedzieliśmy, że ma do nas zastrzeżenia. Zawsze wymawiał nam porywczość, zarozumialstwo. (Potem o to drugie nikt mnie w ciągu całego mojego życia nie posądził). Czy może dziwić, że ciążyło mi to – bardzo przecież uprzejme i miłe – zaproszenie na obiad prymicyjny? Jakby nie było, rzecz tę miałem z głowy.

Po Wielkanocy 1957 r. czas biegł już bardzo szybko. Z przedmiotów, które jeszcze „wykańczaliśmy”, pozostał ryt. Uczył tego ks. kanonik Franciszek Perz, znany nam jako spowiednik, człowiek ogromnej dobroci i jakby nieśmiały. Jeśli

musiał komuś zwrócić uwagę, zawsze lekko się czerwienił. Ten ryt to wcale nie był taki łatwy przedmiot. Ileż to trzeba było zapamiętać? A przepisy



Autor z siostrą
Gabriellą, 1959 r.

były wówczas bardziej rygorystyczne niż teraz. Pomyłka w czasie mszy świętej to był często *casus conscientiae*³⁵⁷. Poza tym trzeba było przejść cały mszał i cały rytuał. Sporo trzeba było umieć. Jedno, co mnie uderzyło i zawsze jakoś o tym pamiętałem, to był nacisk, jaki „dziadek” Perz, jak go na boku nazywaliśmy, kładł na powagę liturgii. O ile na zajęciach z liturgiki wszystko było w sferze przepisu, dominowała zatem strona formalna, to tu dochodziło przeżycie. Trzeba podkreślić, że wszystko

było po łacinie. Zachodziła ewentualność przekręcania słów, zwłaszcza jeśli ktoś mniej panował nad łacińskim językiem liturgicznym.

Lekcje rytu wiele mi dały, w odróżnieniu od zajęć z praktyki kaznodziej-skiej, polegających na pisemnym przygotowaniu i wygłoszeniu kazania w kaplicy wobec kolegów i profesora, w naszym wypadku ks. Franciszka Kryszaka. Schemat kazania i sposób jego wygłoszenia miały jedną wadę: było to w istocie mówienie w oderwaniu od słuchaczy i ich problemów, a nie można tego robić, nie czując zarazem zniechęcenia i niedosytu. Niektórzy popisywali się krasomówstwem rodem z XIX w. albo i jeszcze dawniejszych czasów. Słuchacze w kaplicy seminaryjnej dusili się ze śmiechu, a co miał począć biedny kaznodzieja? Wprawdzie była potem dyskusja, ale i ona niewiele dawała, każdy krytykujący bowiem musiał pamiętać o sobie i o tym, co go czeka. Jeśli ktoś skądinąd nie nauczył się porządnie głosić kazań albo nie miał wrodzonych ku temu predyspozycji, to z seminarium wyniósł niewiele.

Co do mnie, powiedziałbym wprost, że przez dwa pierwsze lata kapłaństwa na ambonie szło mi źle, a przyczyną było zbyt dosłowne trzymanie się wyuczonych zasad. Dopiero o. Wittig³⁵⁸, redemptorysta, coś mi w tym względzie wyjaśnił. Prowadził on wraz z jednym ze swych współpraci

³⁵⁷ Łac. sprawa sumienia.

³⁵⁸ Alfons Wittig CSSR (1919–1983), ksiądz, redemptorysta pochodzenia niemieckiego. Święcenia 1942. Zmarł w Stanach Zjednoczonych.

misje ludowe w parafii św. Jana w Pleszewie. Było to jesienią 1959 r., akurat w czasie, kiedy jeszcze mocno kulejąc po złamaniu nogi, powróciłem do obowiązków.

Od pierwszego dnia pracy parafialnej nie byłem zadowolony z moich kazań. Co więcej, zaczynałem odczuwać na tym tle pewien kompleks nieudolności. A przecież się przygotowywałem i stosowałem do wszelkich poznanych reguł homiletycznych. Czułem, że gdzieś tkwi błąd, ale gdzie? Doszło do tego, że zacząłem unikać mówienia kazań. W czasie choroby nie było to trudne. Słuchając o. Wittiga, Holendra z urodzenia, ale świetnie władającego językiem polskim, zauważyłem, że prowadził on coś w rodzaju dialogu z audytorium. Któregoś popołudnia zaprosiłem go do siebie na kawę i zapytałem wprost, jak dobrze mówić kazania. Czy należy przestrzegać całej tej teorii homiletycznej? Roześmiał się i poradził:

– Księżę, niech ksiądz mówi zawsze tylko na jeden temat i niech koncentruje się – oczywiście umownie – na jednym ze słuchaczy, jak gdyby ksiądz z nim rozmawiał. I nie mówić długo. To wszystko.

Dziwnie szybko pojąłem myśl misjonarza. Po pierwszym kazaniu, jakie wygłosiłem już po zakończeniu misji, zatelefonował pan Suchocki – mieszkał naprzeciwko wikariatu – i swoim charakterystycznym basem spytał:

– Jaki wpływ ma złamanie nogi na głoszenie kazań?

Odpowiedziałem:

– Kolosalny.

Zaśmiał się i rzekł:

– Jak coś się popsuje, trzeba znowu złamać nogę...

Nie wyobrażam sobie milszego sposobu wyrażenia uznania niż ten, jakiego wówczas doświadczyłem. Nauka o. Wittiga nie poszła w zapomnienie i myślę, że byłem nie najgorszym kaznodzieją.

Katechezy uczyliśmy się w dobrej szkole, bo wyładał ks. Kazimierz Warda, mój prefekt gimnazjalny. Szkoda, że był dopiero co po studiach i zbyt mocno teoretyzował, choć sam był świetnym praktykiem. Jako wikary



Autor w trakcie rekonwalescencji, 1959 r.

przekonałem się już na pierwszej lekcji z dziećmi, że nie znam katechizmu ks. Piotrowskiego, który wtedy był w użyciu.

Stosunkowo najlepiej można było opanować spowiednictwo. Ksiądz Więckowski był też głównie moralistą praktykiem, przy czym raczej noldinistą, czyli zwolennikiem teologii moralnej według Noldina. Casusy to była jego specjalność, a w tej dziedzinie cóż może być lepszego? Ze spowiedzią od początku nie było kłopotu.

Im bliżej było do święceń, tym większy był niepokój, że czegoś może później nie dostawać. Miałem świadomość luk w przygotowaniu do pracy kapłańskiej, choć trudno byłoby powiedzieć, jakie konkretnie braki mogą się ujawnić. Myślę, że dobrze, iż nie było się zbyt pewnym siebie, ale taka ocena sytuacji przychodzi po wielu, wielu latach.

Same święcenia, które odbyły się 15 czerwca 1957 r., poprzedzone były rekolekcjami; nie przypominam sobie, kto je prowadził, wiem tylko, że usiłował łagodzić obawy, które u wszystkich słusznie przeczuwał. W czasie ich trwania przeżyłem chwilę smutku, zmarł bowiem nasz gimnazjalny profesor, Bernard Mulewski, który od kilku lat mieszkał w Gnieźnie, gdzie był bodajże inspektorem szkolnym. Odwiedziłem go może ze dwa razy w czasie studiów, bo mieszkał przy ul. św. Wojciecha, bardzo blisko seminarium. Był na każdych naszych święceniach w katedrze. Zawsze stał w bocznej nawie i kiedy przechodziliśmy w procesji, nieznacznie się uśmiechał. Był nam szczerze życzliwy i jak sam powiedział, dumny, że tak wielu jego uczniów obrało stan kapłański. O ile się nie mylę, było ich aż 10. Na tak krótki czas to istotnie niemało. Pamiętam, że po święceniach diakonatu podszedł do nas, złożył nam życzenia i oświadczył, jak to on, zawsze z energią i pewnością:

– To jeszcze się zobaczymy na tych najważniejszych święceniach, a kiedy to?

Ktoś powiedział:

– Dokładnie za rok.

Tymczasem po upływie roku, na trzy dni przed święczeniami, na cmentarzu św. Piotra słyhać było żałobne melodie grane przez orkiestrę w czasie pogrzebu naszego profesora. Chcieliśmy pójść, ale nam nie pozwolono. Przerwałoby to rekolekcje, a jak mówił nam wtedy ks. Pacyna:

– Nie było takiego zwyczaju.

Znacznie później w rozmowie ze mną przyznał, że przecież mógł udzielić zgody, tylko że wtedy jakoś rutynowo tę sprawę potraktował.

Pogrzeb ten i bliskość cmentarza, na który nie można było iść, bardzo źle na mnie podziałały. Nie byłem przesądny, ale dręczyła mnie myśl, że jest to jakiś

omen. Jeszcze długo po tym wydarzeniu czułem się nieswojo. Może był to nastrój pewnego przygnębienia, które mnie ogarnęło, kiedy już było pewne, że pójdę do święceń. Nie mogłem tego zrozumieć, czekałem na tę chwilę z utęsknieniem, a teraz wszystko wydawało się trochę nierealne. Niektórzy koledzy się zastanawiali, dokąd ich kard. Wyszyński przeznaczy. Kombinowano, kto ma wpływ na obsadzanie placówek. Wiadomo już było, że nie obowiązuje regulamin z 9 lutego 1953 r. uzależniający nominacje od władz państwowych³⁵⁹. Koledzy mnie podpytywali, sądząc naiwnie, że dziekanowi rektor coś więcej powie, ale tak nie było.

Wyniki końcowych egzaminów miałem bardzo dobre, *ex aequo* z kilkoma kolegami. Z tego wnioskowano, że pójdę na wielkowiejską parafię. A mnie to nic a nic nie obchodziło, co więcej, te dywagacje powodowały u mnie jeszcze większy smutek.

W dzień święceń, na które przybyły matka i siostra, kuzynka z Poznania, Melania Wicherska, i jeszcze kilka osób, nie czułem się lepiej. Któryś z kolegów nawet zapytał, czy nie jestem chory. Inny, znany z bardzo pompatycznych gestów i słów, podszedł do mnie i manifestacyjnie zaczął mi składać życzenia z okazji dojścia do kapłaństwa, przy czym niezmiernie się zgrywał, chociaż nie powiedziałbym, że był nieszczerzy; po prostu miał taki nieco uroczysty sposób bycia. Musiałem się mieć na baczności, by mu nie rzec kilku złych słów. Udało się.

Święceń udzielał bp Lucjan Bernacki, prymas bowiem był akurat w Rzymie. Na osłodę rzekł do nas przed wyjazdem:

– Wiem, że pragniecie, bym was wyświęcił, czego i ja pragnę, ale siła wyższa przeszkadza, muszę jechać do Ojca Świętego, bo i on ciekawy, jak teraz sobie tutaj radzę. – I dodał: – możecie mnie trzymać za słowo. Ilekroć mnie poprosicie na wasz zjazd kursowy, nigdy nie odmówię.

Prosiłiśmy go dwa razy i zawsze przyjechał. Jedno z takich spotkań zapamiętałem szczególnie.

Nie mogłem sobie wyobrazić momentu rozstania z seminarium, a okazało się to bardzo zwyczajne. Na dworzec jechałem już taksówką, a nie dorożką, choć głowy bym nie dał. Zawsze myślałem, że będzie to dzień wielkiej uciechy, bo co tu ukrywać, seminarium to nie było nic atrakcyjnego. Dopiero jednak przy rozstaniu uświadomiłem sobie, że było to miejsce bezpieczne. Tu nie musiałeś o niczym

³⁵⁹ Chodzi o dekret Rady Państwa o obsadzaniu duchownych stanowisk kościelnych z 9 II 1953, Dz.U. z 1953 r., nr 10, poz. 32.

decydować, nawet do końca nie decydowałeś o swoim losie, bo wyraźnie nam zawsze mówiono, że nasze powołanie ma drugorzędne znaczenie.



Uroczystość
święceń kapłań-
skich autora,
1957 r.

Powołuje Kościół, ty musisz się na to zgodzić. Zatem nie tak, jak w ówczesnym wojsku ludowym, gdzie dominowała maksyma: „Nie matu-
ra, lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera”. Tu sama chęć szczerą by nie wystarczyła.

Było więc bezpiecznie, a teraz trzeba wyjść na otwartą przestrzeń, gdzie nie ma żadnej osłony, a pułpek wiele. Nie dawało mi to spoko-

ju. Wiele innych spraw także. Czy zdołam pozyskać zaufanie ludzi? Jak się ułoży z proboszczem? To i owo się czasami słyszało. Czy potrafię sprostać zadaniom nauczyciela religii? Słowem, wszystko jawiło się w ponurych barwach. Ciekawe, że przez ten czas mało myślałem o opatrności Bożej, później i dzisiaj tak mi bliskiej. Przecież nie muszę liczyć tylko na siebie, bo jeśli dadzą mi urząd, to będzie także siła do jego pełnienia. Podobne refleksje do mnie wtedy nie docierały. Był to czas trudny.

Nieraz wracam myślą do ostatnich dni w seminarium i do samego momentu święceń. Im więcej lat przybywa, tym częściej. We wspomnieniach innych kapłanów czytałem, że chwila ta była dla nich wydarzeniem pełnym wzniosłych przeżyć i niepisanej radości. Tak być powinno. Człowiek, chcąc te chwile odtworzyć, czyni rachunek, może nie tyle sumienia, ile ówczesnych doznań. Jedno wraca z dość dużą jasnością. Uczucie niepokoju, jaki wówczas towarzyszył człowiekowi. Jego przyczyna wcale nie jest oczywista. Nie chodziło o przyszłą pracę kapłańską. Miało się jej wyobrażenie, choć może trochę zmitologizowane. Nie chodziło też o to, że zaraz zapadnie klamka, przecież przez sześć lat się na to nastawialiśmy. I jeśli na coś z utęsknieniem się czekało, to właśnie na to. Z czego brał się więc ten niepokój? Jeżeli trafnie odtwarzam swój stan ducha po tak wielu dziesięcioleciach, to w podświadomości tkwiła obawa, że nie sprostam ideałowi kapłaństwa. Wydawało się, że człowiek tak ułomny i zmienny, a tak siebie oceniałem, może się w pewnym momencie załamać. Bałem się, że mogę porzucić kapłaństwo,

a nikomu nie można było zwierzyć się z tych obaw. Kiedy więc niektórzy koledzy okazywali wielką bez troskę i niczym nieskrępowaną radość, kiedy skupiali się całkowicie na zewnętrznych akcesoriach, mój strach przed nieznanym rósł i chętnie bym się wyobcował z tego towarzystwa, tak mi przecież skądinąd bliskiego.

Wiele lat po święceniach słyszałem od innych, iż przeżywali dokładnie to samo co ja. Zrozumiałem wtedy, że nie były to żadne sztuczki diabelskie mające odwieść mnie od kapłaństwa, ale zdrowy odruch natury. Nawet pewnego rodzaju tresura seminaryjna nie była w stanie tego zniwelować. Dziwna moja apatia trwała zresztą także przez pewien czas po święceniach.

Pierwsze kroki w kapłaństwie

Kiedy po święceniach przyjechałem do Nakła, w mieszkaniu matki poczułem się, jak gdybym był gdzieś, gdzie nie powinienem być. Osowiałość tę zauważyli najbliżsi. Sądziło się, że to z powodu prymicji, które odbyły się na plebanii staraniem księdza prałata Ziarniaka, za co zawsze zachowam dla niego wdzięczność. Wiedziałem jednak, że matka i siostra wiele by dały, żeby móc przygotować przyjęcie u siebie w domu. Nie było możliwości. Nie potrafiliśmy po stracie wszystkiego w czasie wojny odbić się od dna. Małe mieszkanko i bardzo skromne środki materialne. Wszystkich to jakoś przynębiało.

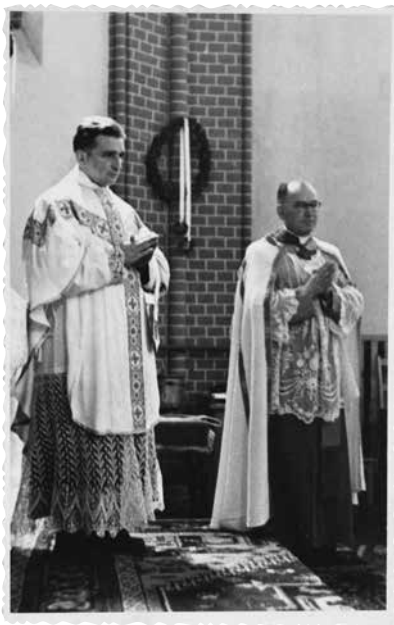
Prymicje moje odbyły się nazajutrz po święceniach, 16 czerwca, w kościele parafialnym św. Stanisława. O kazanie poprosiłem ks. Edmunda Matza³⁶⁰, wówczas proboszcza w Mroczu. W uroczystości brała udział duża część parafian, gdyż byłem w Nakle znany, a poza tym było to zawsze święto całej społeczności. Nawet ludzie, z którymi miałem mniej kontaktów, w jakiś



Wyjście z plebanii do kościoła na mszę prymicyjną. Od lewej: Aleksandra Zielińska, autor, siostra Gabriela, ks. Dobromir Ziarniak, 1957 r.

³⁶⁰ Edmund Matz (1910–1996), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1935. Administrator parafii w Mroczu 1945–1963. Proboszcz parafii w Nakle nad Notecią i dziekan dekanatu noteckiego 1963–1988. Kapelan Jego Świątobliwości.

sposób okazywali mi swe zainteresowanie. Z rodziny uczestniczyli tylko najbliżsi ze strony matki, ze strony ojca nie było nikogo. Ale było to zro-



zumiałe, wprawdzie moja babka jeszcze żyła, lecz była już bardzo wiekowa. Ze stryjów i ciotek żyło jeszcze kilka osób, ale nie utrzymywaliśmy bliskich relacji. Jedyny kuzyn, z którym w następnych latach nawiązałem bliski i serdeczny kontakt, Edmund Brozowski, i jego rodzina byli mi w owym czasie wprawdzie znani, ale się nie spotykaliśmy.

W obiedzie prymicyjnym wzięło udział może około dwudziestu osób. Nie obsypano mnie prezentami, jak to było w wypadku kilku innych kolegów. Najdroższym prezentem był szwajcarski zegarek na rękę marki Atlantic. Ksiądz Alfons Siuda podarował mi rzeźbiony przez jednego z pacjentów Dziekanki krzyż, który towarzyszy mi po dziś dzień. To jedyny prezent, który przetrwał i który sobie najbardziej cenię.

Zarówno ja, jak i matka, i siostra czuliśmy się skrępowani z powodu takiego przebiegu przyjęcia prymicyjnego, toteż szybkie jego zakończenie przyniosło wielką ulgę. Ksiądz prałat czynił wszystko, żebyśmy się czuli dobrze, ale trauma, jaką stanowiła nasza powojenna sytuacja życiowa, dawała o sobie znać na każdym kroku. Nie odbyłem też ani jednej sekundycji, jak mylnie nazywano kolejne msze św. po święceniach, coś w rodzaju drugich i kolejnych prymicji. (Tak nazywa się raczej msze św. na 25-lecie kapłaństwa). Moi koledzy objeżdżali z sekundcjami wiele parafii, swoich krewnych itp. Ja nie zgodziłem się na żadne, choć namawiano mnie może w dwóch miejscach. Takim mszom towarzyszyły niekiedy góry różnych prezentów i przede wszystkim to mnie raziło.

Krótko po święceniach, w oktawie Bożego Ciała ks. Ziarniak polecił mi odprawić nieszpory. Wtedy były one bardzo uroczyste – z okadzeniami, specjalnymi modlitwami itd. Opuściłem jakąś dodatkową modlitwę, dokładnie nie pamiętam, co to było, ale nic, co mogłoby zepsuć rytm nabożeństwa lub co mogliby zauważyć wierni. Prałat skoczył jak żbik, uklęknął obok mnie na stopniach ołtarza i po prostu zaczął mnie ostentacyjnie poprawiać.

Msza św. prymicyjna. Obok autora stoi ks. prałat Dobromir Ziarniak, proboszcz parafii św. Stanisława Biskupa i Męczennika w Nakle nad Notecią, 1957 r.

Usunąłem się na bok i pozwoliłem mu robić, co tylko chciał, on jednak w pewnym momencie półgłosem nakazał mi kontynuować, a raczej zakończyć nabożeństwo. Uczyniłem tak. Czułem potworny nietakt jego postępu. Modlitwa ta nie należała do rytu nieszpornego, a przypomnieć mi o niej miał wikariusz, ks. Władysław Dopierała³⁶¹, który chyba zapomniał to uczynić.

Po nieszpórach, nie mówiąc słowa, ukloniłem się ks. Ziarniakowi, który nerwowo spacerował po zakrystii, i wyszedłem. Ksiądz Dopierała z sobie właściwą pewnością siebie starał się rzecz zbagatelizować, ale ludzie, z którymi spotkałem się, idąc do domu, zapytywali mnie, co się stało. Matka moja była bliska płaczu. Odczytała tę reprimendę jako złe omen dla mnie na przyszłość, bo ksiądz prałat był dobrze notowany w kurii. Moje przewidywania tak dalece nie szły, ale jak się potem przekonałem, nie miałem w Gnieźnie dobrej rekomendacji.

Następnego dnia poszedłem, jak od kilku dni to czyniłem, odprawić mszę św. Ksiądz prałat po mszy zaprosił mnie na plebanie, ale głos miał znikomy, co niczego dobrego nie wróżyło. Ogarnęła mnie panika, gdy zamiast do pokoju stołowego, zaprowadził mnie do biura parafialnego, o tej porze pustego. Bez żadnego wstępu wypalił:

– Jeszcze oleje nie obeschły na twoich rękach, a już pokazujesz, co potrafisz.

Byłem tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie wiedziałem, co powiedzieć. Wyjąkałem:

– Na to, co mi ksiądz prałat wczoraj uczynił na oczach całej parafii, zareagowałem przecież tylko milczeniem, a co, zdaniem księdza prałata, powinienem uczynić?



Obiad prymicyjny. Przy stole od lewej: ks. Dobromir Ziarniak, ks. Klimacki, Aleksandra Zielińska

³⁶¹ Władysław Dopierała (1928–2006), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Wikariusz kolejno w parafii w Winnejgórze, św. Wawrzyńca w Nakle, parafii katedralnej w Gnieźnie 1956–1967. Rektor kościoła w Kaczorach 1967–1975. Od 1970 sędzia Trybunału Metropolitalnego w Gnieźnie. Proboszcz parafii w Żninie 1975–1979, parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Miasteczku Krajeńskim 1979–1986, w Wysokiej 1986–1991, Czerniejewie 1991–2004. Kapelan Jego Świątobliwości od 1994.

– Roześlony wybiegłeś z zakrystii, chociaż widziałeś, że na ciebie czekałem.

I dalej w tym stylu przez ponad godzinę. Byłem niedoświadczonym i zbyt szczerym młodym człowiekiem, który uważał, iż prostolinijność to cnota,

która nie zawodzi. To był błąd. Szczerze wyznałem, jak strasznie nas, kleryków, bolały często zupełnie niesłuszne reprimendy odbierane po każdych wakacjach. Jak jest źle, kiedy zwierzchnik nie ma nigdy dobrego słowa i traktuje człowieka – tylko dlatego, że jest młody – jak gdyby nie był on mu w niczym partnerem. Kiwał głową i zachęcał do mówienia, a ja brnąłem dalej. Powiedziałem, że to, co zrobił w czasie nie-



Uczestnicy mszy
św. prymicyjnej,
1957 r.

szporów, miało tylko jeden cel: pokazać wobec całej parafii, że jestem jeszcze praktykantem, którego on dopiero odpowiednio uformuje. Nie kryłem wielkiego szacunku, jaki dlań żywiłem, i podziwu dla jego duszpasterskich inicjatyw, ale jeszcze raz podkreśliłem, że jego metody pedagogiczne wobec nas, kleryków, były niczym innym, jak pasmem wiecznych upokorzeń, które gasiły w nas szczerłość wobec księdza prałata, a tej szczerości każdy młody człowiek pragnie najbardziej.

Po skończeniu mojej tyrady siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym zapytał, dlaczego nie poruszyłem tego wcześniej. To było dość naiwne pytanie, ale odpowiedziałem mu, iż wcześniej nie było aż tak wyrazistej okazji. Poza tym, gdyby kiedykolwiek próbował z nami czy ze mną porozmawiać poważnie, to kto wie, czy nie usłyszałby tego.

– No tak – stwierdził – Alfons (Siuda) też mi mówił, że nie miał we mnie wzorca pokory, kiedy zaleciłem mu ćwiczenie się w tej cnocie.

Tym razem nie dałem się sprowokować. Tematu nie podjąłem. Rozstaliśmy się w dość przyjaznej atmosferze. Przeprosiłem go za zbyt może jednoznaczne słowa, a on wyraził żal, że nie potrafiliśmy się inaczej dogadać. Dodał jeszcze:

– To wczorajsze musiało się tak odbyć, bo chciałeś pokazać samowolę, a tego nie wolno.

Kiedy zapytałem, na czym opiera takie przekonanie, odparł, że ks. Dopierała ściśle mnie poinstruował o programie nabożeństwa, ale ja sądziłem, że mogę zrobić według własnego widzimisię. Wyjaśniłem mu wtedy, że ksiądz nie tylko nic mi nie powiedział, ale po fakcie raczej sprawę zbagatelizował. To prałata zupełnie zamurowało. Nie kontynuował, tylko podając mi rękę, próbował się uśmiechnąć.

Wróciłem do domu w nastroju wprost fatalnym. Nie chodziło o to, że może mi zaszkodzić – o to szczerze nie dbałem. Było mi niewymownie przykro, że dałem się sprowokować. Miałem potwornego kaca moralnego. Matce i siostrze chwilo-wo nic nie mówiłem, ale dowiedziały się skądinąd, bo rzecz się jakoś

rozniosła. Najchętniej wyjechałbym zupełnie z Nakłą, ale nie było dokąd.

Rano do kościoła szedłem jak na ścięcie. Odprawiałem mszę św., ale przez szereg dni zdawało mi się, że ktoś inny obok mnie stał przy ołtarzu. Poważnie się zaniepokoiłem. Radziłem się pewnego starszego księdza, ale on sprawę zlekceważył. Stwierdził, że każdy neoprezbiter to przeżywa i że minie.

Gdzieś pod koniec czerwca przyszedł dekret z kurii. Była to nominacja na wikariusza w Gołańczy. Mała miejscina między Kcynią a Wągrowcem. Koledzy nie chcieli wierzyć. Przecież miałem lokatę u samego wierzchołka. Widziałem też w swoim otoczeniu współczujące spojrzenia. Prałat nie skomentował dekretu. Początkowo także uległem schematom myślowym, według których wikariat coś znaczący musiał być w większym mieście, najlepiej w Bydgoszczy. Rychło zmieniłem zdanie, z seminarium jednak wynosiło się pewien idealizm.

– Pójdiesz tam, gdzie poślą – przypominał nam papa Szymański. – Biskup najlepiej wie, gdzie jesteś potrzebny.

Niby tanie slogany, a sporo w nich prawdy. Mnie tylko jedno przekonywało: wszędzie są ludzie, a to oni właśnie, a nie wygody miejskie, są moim przeznaczeniem. Dziś, po prawie 60 latach od tamtych dni, mogę powiedzieć, że ten pogląd nigdy mnie nie opuścił. Całą moją praktykę życiową starałem się organizować zawsze w myśl zawartej w nim prawdy. Proboszczem nigdy



Arcybiskup Baraniak odprawa mszę niedługo po wyjściu z więzienia, 1956 r.

nie zostałem, ale uważam, że gdyby tak się stało, miałbym zadanie o wiele ważniejsze, a przede wszystkim bardziej odpowiedzialne od pracy naukowej, która stała się moim udziałem. Kiedy słyszałem wypowiedzi niektórych kolegów, iż poza profesurą nie widzą dla siebie miejsca, nie potrafiłem tego zrozumieć. Gdybym został odwołany z uniwersytetu na probostwo, jedyne, co by mnie dręczyło, to obawa, iż nie sprostam obowiązkom.

Zastanawiałem się później niejednokrotnie nad tym, dlaczego już w chwili wyjścia z katedry po święceniach poczułem w sobie tak wielką frustrację. Doszedłem po latach do wniosku, że po prostu oczekiwałem na jakąś, jakby to nazwać, namacalną transformację mojej osobowości. Nic takiego nie nastąpiło i to zrodziło poczucie czczości. Jak gdyby zawiodło coś, na co się oczekiwało bez żadnej wątpliwości, że musi się stać. Nie wiem, czy któryś z kolegów coś takiego przeżywał, choć spotkałem kapłana, który o podobnym odczuciu mi opowiadał, ale nie był to żaden z moich kolegów.

Z księdzem prałatem Ziarnikiem spotykałem się później przy różnych okazjach, ale nigdy nie wracaliśmy do tamtej sprawy. Podobno miał powiedzieć do kleryków, którzy z jego parafii byli w seminarium, żeby mnie nie naśladowali, bo to im życia nie ułatwi. Nie wiem, co miał na myśli. Kiedy na jego pięćdziesięciolecie kapłaństwa³⁶² specjalnie pojechałem do Inowrocławia, żeby mu złożyć życzenia, i zawiózłem mu wydaną moją pracę habilitacyjną, uścisnął mnie wyraźnie wzruszony. Powiedział, że moja obecność cieszy go ponad wszystko inne. Muszę stwierdzić, że ksiądz prałat miał swój sposób bycia, ale był doskonałym duszpasterzem i dobrym człowiekiem, któremu wiele zawdzięczałem. Była w nim jednak, podobnie jak to obserwowałem u innych kapłanów więźniów obozów koncentracyjnych, pewna skaza stamtąd wyniesiona. Surowość przechodząca niekiedy w bezwzględność. Spotkanie w Inowrocławiu i okazywane mi tam przez księdza prałata wzruszające wprost życzliwość i duma z moich sukcesów były dla mnie ogromną pociechą, gdyż stale gnębiła mnie myśl, że źle wobec niego postąpiłem.

W Gołańczy

Do Gołańczy pojechałem przedstawić się proboszczowi, księdzu radcy Ignacemu Zającowi. Człowiek zacny, ale schorowany mimo stosunkowo młodego wieku (miał wtedy 61 lat); w moich oczach był kompletnym starcem. Przyjął

³⁶² Ksiądz prałat Ziarniak pięćdziesięciolecie kapłaństwa obchodził w 1981.

mnie serdecznie, a pierwsze, o co zapytał, to czy czasem nie zechcę mieszkać w mieście? Nie dając mi czasu na odpowiedź, oznajmił, iż zamiar taki musiałby uznać za bardzo zły. Nie wiedziałem, o co chodzi, a rzecz się miała tak, iż mój poprzednik, ks. Mieczysław Baranowski³⁶³ (postać dość barwna, jak na wikarego już nieco leciwy jegomość, choć święceniami tylko trzy lata ode mnie starszy), korzystając z chwilowej nieobecności radcy, przeniósł się z plebanii do mieszkania w miasteczku. Kiedy poznałem plebanię, przestałem się tej decyzji dziwić. Radcy odpowiedziałem z przekonaniem, że mieszkanie wikariuszowi wyznacza proboszcz. Bardzo go to zadowoliło.

Dopytywałem się, gdzie będę mieszkać, ale radca problem bagatelizował, twierdząc, że plebania jest duża i miejsca jest dosyć. Kiedy nalegałem, by mi pokazał mój pokój, niechętnie poprowadził mnie na piętro, gdzie mieszkała już pewna rodzina, ale dwa pokoje były wolne. Większy, od szczytu, miał mi przypaść w udziale. Nie był umeblowany. W rogu stało przepiłowane na pół małżeńskie łóżko, sprzęt raczej śmieszny niż archaiczny, a obok okna masywna dębowa szafa. Z pokoju prowizoryczne małe drzwi prowadziły na strych, mocno zagracony, m.in. starymi foliarami i segregatorami z jakimiś aktami. Radca był trochę speszony, obiecywał, że umebluje pokój i przestawi piec, podobno zepsuty. Spytałem o łazienkę i ubikację. Okazało się, że łazienka jest w projekcie, a ubikacja na dworze w alejce bżowej, nieco odległa od plebanii. Wszystko to razem wzięte było dość ponure, ale czy ktoś jest w stanie zrozumieć, co czuje młody człowiek, kiedy ujrzy pokój mający być odtąd jego mieszkaniem, pierwszym samodzielnym postojem na drodze życia? Wierząc, że wszystko będzie na mój przyjazd gotowe, pełen dobrych myśli, opuściłem Gołańcz. Wspominałem po drodze na dworzec, jak na kontraktacji rzepaku byłem z kolegą właśnie w tym miasteczku. Siedzieliśmy w upale gdzieś pod płotem, popijając jakiś chłodzący napój i przymawiając przechodzącym trotuarem dziewczętom. I teraz, po siedmiu latach, przyszło mi tu pełnić funkcję duszpasterza. Przyjechawszy do domu, musiałem wszystko opowiedzieć matce. W miarę mojego opowiadania jej twarz coraz bardziej się wydłużała. W końcu matka podsumowała:

– Może to i dobrze, że dostaniesz taką szkołę, zrozumiesz, ile ja się musiałam starać, żeby z niczego stworzyć znośny dom.

³⁶³ Mieczysław Baranowski (1921–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1954. Wikariusz m.in. w parafii w Strzelnie od 1957. Proboszcz parafii Kościelec 1965–1972. Od 1972 na emeryturze.

Słowa te w pełni zrozumiałem dopiero znacznie później, ale o tym będzie mowa w swoim czasie. Widziałem, że coś matkę trapi. Kiedyś spytała mnie, jak ukończyłem studia, to znaczy, z jakimi stopniami. Powiedziałem, że byłem w czołowie. Matka na to:

– To musiałeś komuś się narazić, że trafiłeś do takiej dziury.

Coś w tym było, ale wtedy słowa te mocno mnie zabołały, bo uważałem, że każda placówka jest równie dobra, a ludzie wszędzie potrzebują księdza. Rzecz w tym, że życzliwe, a złośliwe sąsiadki wypytały matkę, gdzie mnie skierowano, a potem współczująco nadmienili, że ten czy inny mój kolega to poszedł do Inowrocławia, Bydgoszczy.

Miałem jeszcze ponad dwa tygodnie wakacji. Od owych niefortunnych niesporów czułem się nieswój, a co najbardziej mnie niepokoiło, to pewna ociężałość, kiedy przyszło mi co dzień rano przystępować do ołtarza. Nie mogłem uwierzyć, że to jest realne, że już na zawsze tak będzie, niezależnie od tego, czy podołam czy nie. Ogarniały mnie wątpliwości, czy potrafię być dla ludzi takim księdzem, jakiego oczekują i potrzebują.

Dziwna rzecz, ale wcale nie myślałem o tym, co porzuciłem. Spotykałem się z kolegami z harcerstwa, szkoły, z wieloma ludźmi, którzy teraz szukali mego towarzystwa. Odwiedzałem ich w domach rodzinnych, które już przeważnie posiadali. Wszystko było po dawnemu. Widziałem, jak urządzili sobie życie, jak rosły ich dzieci. Nie tylko w najmniejszym stopniu mnie to nie pociągało, wręcz przeciwnie, byłem przekonany, że moja częśćka jest lepsza. Nie zawsze tak samo myślałem, nadochodziły później refleksje, którym trzeba było stawić czoło. Jeśli któryś kapłan twierdzi, że nigdy takich problemów nie miał, zastanawiam się, jak tak mogło być. Człowiek co kilka lat, obojętnie, w jakim żyje stanie, rewiduje swoje życie i musi odpowiedzieć na pytanie, czy jest na dobrej drodze. Odchodzenie od kapłaństwa tłumaczę głównie rezultatem takich przemyśleń, rzadziej chwilowym zamroczeniem, np. z powodu kobiety. Jedno z drugim może iść w parze. Ani wówczas, ani potem nie przychodziła myśl o porzuceniu kapłaństwa, choć trudne chwile były.

Moje przygnębienie zaraz po święceniach odeszło bez reszty z chwilą rozpoczęcia pracy wikariuszowskiej. Jego przyczyna jest jednak sprawą, która do tychczas nie daje mi spokoju. Odpowiedzi na to pytanie nie znalazłem w ciągu 60 lat kapłaństwa. Może właśnie ten stan ducha sprawił, że uchyliłem się od sekundy, o czym już wspominałem. Przez cały urlop po święceniach siedziałem po prostu w domu. Kiedy spotykałem kolegów, którzy w emocjach objężdżali

krewnych, znajome parafie, celebrowali msze św., pozwalali obcałowywać się po rękach, kiedy widziałem ich nieklamany entuzjazm, a potem analizowałem swoją apatię, czułem się jeszcze gorzej, wręcz obawiałem się każdego następnego dnia. Później zrozumiałem, że jedyne remedium na ten stan to konkretne zadania, które wkrótce miały stać się faktem.

Nie bardzo wiedziałem, jak zacząć katechezę. A przyszło mi to robić w czasie, kiedy moje walizki stały jeszcze przed plebanią, bo na dobrą sprawę nie było miejsca, dokąd by je można było wnieść. Dzieci powiedziały, co już przerobiły; było tego niewiele. Wkrótce przekonałem się, że sam nie znam tego, czego mam uczyć, a stałe zaglądnienie do książki było uciążliwe. Pracę zacząłem więc od przyswojenia katechizmu ks. Piotrowskiego. Pomyśleć, że człowiek miał w głowie potężną porcję teologii, a tu katechizm. Pod koniec godziny lekcyjnej już bardzo dobrze rozumieliśmy się z dziećmi, które powoli oswajały się, traciły początkowy, aż nader widoczny, lęk. Kiedy spytałem, czego się bały, spoglądały jedno na drugie, ale milczały. Dopiero później odważniejsi ministranci wyznali, iż mój poprzednik potrafił w żartach niejednemu porachować kości. Nigdy w mej praktyce po ten środek nie sięgałem, a dzieci to czuły i potrafiły zachować się jak należy. Może z małymi wyjątkami, ale rażących uchybień nie było.

Na plebanię wracałem w podniosłym nastroju, który jednak minął, gdy się przekonałem, że tak naprawdę to nie mam gdzie mieszkać. Radca tłumaczył się, że zdun do pieca nie przyszedł, a meble kiedyś będą, trzeba odczekać. Spytałem zatem, gdzie mogę się ulokować. Zaproponował kozetkę w biurze, obok którego sam sypiał na podobnym łożu. To miało być chwilowe, ale już wyczułem, że chwilowe rozwiązania w tym domu szybko się utrwały. Spytałem, czy mogę zająć mały pokój z balkonem, ale okazało się, że sypiał tam chłopiec, jakiś krewniak radcy. Wobec tego ulokowałem się na odpiłowanym łożu małżeńskim, a rzeczy swoje usiłowałem włożyć do owej dość ładnej, masywnej, ale podniszczonej szafy. Przekonałem się niebawem, że niebezpieczeństwo czyha na każdym kroku. Kiedy otwierałem szafę, grube, solidne drzwi wypadły i uderzyły mnie w głowę, a potem z hukiem poleciały na podłogę – miały wyrwane zawiasy. Dorobiłem się solidnego guza. Drzwi ustawiłem pod ścianą i szafa na razie pozostała otwarta. W czasie kolacji powiedziałem radcy, co się stało, a on mruknął, że owszem, wiedział o tych drzwiach, ale zapomniał mnie poinformować. Szafa jest jakimś depozytem i będzie zabrana, dostanę nową. Była do końca, przez cały rok, całkiem przydatnym sprzętem. Z tym że przykręciłem zawiasy.

Gorzej było ze stołem, a raczej jego brakiem. Przyniesiono mi wprawdzie mały stół, na którym kiedyś krajano pokrzywy dla kaczek, ale miał liczne wyżłobione nacięcia i w żaden sposób nie można było na nim pisać. Podłożyłem tekturę, ale i to nie pomagało. Dopiero po dwóch–trzech miesiącach kupiłem za 200 zł stare biurko z całkowicie zniszczonym blatem, który znajomy stolarz, pan Józef Lijewski, zastąpił polerowanym na obrzeżach szkłem. Pan Lijewski, brat i ojciec księży, rodzina bliska plebanii, był w ogóle refugium w wielu sprawach bytowych. Promieniował zdrowym humorem, co wielokrotnie chroniło mnie przed melancholią. Biurko mi bardzo dobrze służyło, mogłem na nim postawić mój pierwszy aparat radiowy Orion, kupiony po znajomości przez pana Łucjana Strzyżewskiego na talon w kopalni soli w Wapnie. Najważniejsza była możliwość pisania, przygotowywania lekcji, których miałem w dwóch szkołach, w Gołańczy i Czesławicach, około 30 godzin tygodniowo.

Do Czesławic, odległych o jakieś 9 km, dojeżdżałem w piątki do szkoły, a w niedzielę do kaplicy mieszczącej się w pałacu, czyli dawnym domu mieszkalnym właściciela majątku, Niemca Körnera. Woził mnie dokartem³⁶⁴ pracownik PGR dzięki uprzejmości ówczesnego dyrektora tej instytucji, pana Adamskiego. Obiad niedzielny jadałem u państwa Adamskich, a w piątki gościł mnie kierownik szkoły, którego małżonka raczyła mnie smacznymi obiadami. Byłem tym wspaniałym ludziom serdecznie wdzięczny, gdyż ciężko chora siostra proboszcza nie potrafiła wyczarować tak wspaniałego jadała.

Problem najskromniejszego choćby umeblowania nie został rozwiązany przez cały czas mojego pobytu. Obok stołu i biurka zorganizowałem sobie z dwóch skrzynek na owoce przykrytych kocem coś w rodzaju stolika o dość zróżnicowanym przeznaczeniu. Najgorszą rzeczą był brak sprawnego pieca. W listopadzie, a może w końcu października, przyszedł zdun. Orzekł, że piec jest do niczego i należy postawić nowy. Robił to może dwa–trzy dni i zdawało się, że wszystko będzie dobrze. Po kilku dniach napalono i piec grzał aż miło. Któregoś dnia wracałem ze szkoły, a dzieci państwa Cieszyńskich, mieszkających w plebanii obok mnie, już po drodze zwiastowały mi radosną wieść:

– U księdza wędzarnia, piec pękł, a dymu tyle, że mama nawet nie mogła wejść do pokoju.

Rzeczywiście, zastałem panią Cieszyńską umorusaną, z załzawionymi oczami, bohatersko dotarła bowiem do okna, które udało się jej otworzyć. Miałem jeszcze

³⁶⁴ Dokart – lekki, odkryty powóz dwukołowy, jednokonny.

dwie lekcje po południu, ruszyłem zatem z powrotem do szkoły, ledwo coś przekąsiwszy. Po powrocie okazało się, że piec był niby dobry, ale komin zapchany, trzeba będzie potrudzić się i sprawdzić wszystko.

– Ale – stwierdził zdun – to praca nie na teraz, kiedy na dworze zimno.

Co robić? Radca miał kilka wyjaśnień, ale nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego dopiero po nastaniu zimy zaczął interesować się piecem, skoro w czerwcu tę sprawę postawił na czele wszystkich zadań remontowych. Przeniosłem się zatem do pokoiku z balkonem, gdzie z trudem mieściło się łożo – już nie to małżeńskie, acz przepiłowane, lecz stojące tam chyba od XIX w. Drugi sprzęt to biurko, trzeci – stół i dwa krzesła. Była jeszcze gotownia od jakiegoś kompletu mebli panieńskich. Mogłem siedzieć albo na łożku, albo na jednym z krzeseł, podobnie mógł się uplasować ewentualny gość. Najgorzej było, kiedy bp Bernacki, potężny mężczyzna, w czasie wizytacji uparł się nawiedzić mnie w pokoju. Dosłownie nie mógł się obrócić. Bardzo się zdenerwował i mimo moich zapewnień, że pokój bardzo mi odpowiada, powiedział coś przykrego radcy. Popsuło to relacje między nami w czasie moich ostatnich tygodni w Gołańczy. Ta wizytacja to osobny rozdział.

W pokoiku było o tyle lepiej, że nie nawiedzały mnie w nocy myszy, co poprzednio zdarzało się często, zwłaszcza w nocy księżycowe. Myszy lubiły baraszkować w kładących się na podłodze smugach światła księżycowego. Szczęście moje nie trwało długo.

Pod koniec listopada padały ulewne deszcze. Pewnej nocy śniło mi się, że biegnę gdzieś w ulewie. Niestety, sen był zarazem jawą. Obudziłem się mokry. Kapało na poduszkę. Był środek nocy, łóżka nie można było przesunąć, bo gdzie? Jakoś dotrwałem do rana, ale przez cały dzień, jak zawsze pełen zajęć, chodziłem nieprzytomny. Powiedziałem radcy, że musi się wystarać o mieszkanie dla mnie, bo jeśli mam pracować, muszę gdzieś mieszkać. Rozłożył ręce i twierdził, że na plebanii jest miejsca dość. Owszem, był na prawo od wejścia duży pokój, ale służył jako skład rupieci. Plebania była zresztą bardzo zdewastowana. Rada w radę ustaliliśmy, że tymczasowo dekarz załata dziurę w dachu, a przy lepszej pogodzie poprawi tę prowizorkę. Za moich czasów tego nie zrobiono.

Inny problem to załatwianie potrzeb naturalnych. Nie było dokąd z tym pójść. W sławijkach raz, że było zimno, a dwa – hasały tam czerechy szczurów z pobliskiego podwórza Gminnej Spółdzielni Samopomoc Chłopska. Kiedy padał deszcz, wychodziły na dach spichrza, by się napić. Siedząc przy obiedzie naprzeciw okna, mieliśmy taki apetyczny widok.

Nie można też było porządnie się umyć, bo była tylko miska i konewka zimnej wody. Co sobotę chodziłem do mleczarni, do zaprzyjaźnionej rodziny państwa Ziltenerów, ongiś właścicieli mleczarni. Upaństwowionej, zarządzanej ówczesnie przez ich zięcia, pana Larskiego. Tam nie tylko można było się wykąpać, lecz także dobrze zjeść i posiedzieć w kulturalnym otoczeniu. Nigdy tych ludzi nie zapomnę, tyle dobra mi wyświadczyli, w dodatku dyskretnie i delikatnie.

Wiele osób w Gołańczy z wdzięcznością wspominam. Na pierwszym miejscu wymienię wspomnianego już Łucka Strzyżewskiego, wówczas pracownika apteki w Wapnie, człowieka, któremu stan zdrowia nie pozwolił dojść do kapłaństwa, ale który żył tym niespełnionym pragnieniem. Służył radą, pomocą, przywoził z Janowca czy Wapna smakołyki, słynne janowieckie parówki i wiele innych wówczas trudno dostępnych na rynku produktów. Miał on liczne hobby, z czym trzeba było się liczyć, jeśli nie chciało się popaść w konflikt, zazwyczaj zresztą krótkotrwały.

Inna, jeszcze bardzo młoda wówczas rodzina, to państwo Kiszewscy, obydwie lekarze. Mieliśmy sobie wiele do powiedzenia, a przyjaźń nasza przetrwała do dziś, choć kontakty są rzadkie. Przed kilkoma laty odprowadzałem Longina Kiszewskiego do grobu. Zmarł nagle na serce.

Niekiedy bywałem u państwa Ośmiałowskich, mieszkających nad apteką, którą prowadził ojciec rodziny.

Muszę wspomnieć pana Józefa Woźnickiego, starego kolejarza, którego w kilka lat później pochowałem. Ileż to czasu spędziłem z nim przy pszczołach, o których wiedział wszystko. I wszystko potrafił. Zegarek, na który zegarmistrz machnął ręką, on naprawił bez trudu. Dużo mu zawdzięczam.

Pamiętam młodego wówczas nauczyciela, pana Politowskiego. Spotykaliśmy się często.

Osobny rozdział to rodzina Muszyńskich, mieszkająca wówczas w budynku dworcowym. Kazio³⁶⁵, wówczas jeszcze dziecko, później kapłan, misjonarz w Nowej Gwinei, następnie w USA, gdzie przedwcześnie zakończył życie. To właśnie on nadjechał na rowerze w dniu mego przyjazdu do Gołańczy, zatrzymał się u płotu plebanii i mierzył mnie badawczym wzrokiem. Kiedy próbowałem go przywołać,

³⁶⁵ Kazimierz Muszyński (1942–2008), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1967. Wikariusz kolejno w parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Kruszwicy, św. Józefa w Bydgoszczy i św. Marcina w Jarocinie 1967–1974. Przebywał na misjach w Paragwaju, Kongo, Brazylii 1971–1974. W latach 1974–1984 na misji w Papui-Nowej Gwinei. W 1992 wydał książkę wspomnieniową: *Dzieśięć lat wśród Papuasów*, Lublin 1992. W okresie 1985–1992 pracował w środowisku Polonii w USA, a następnie od 1992 w Wielkiej Brytanii.

odjechał. Za jakiś czas znowu się pojawił, chyba już po mojej katechizacji. Tym razem na pytanie, czy jest ministrantem, odpowiedział, że to zależy, czy będę bił. Bo jeśli tak, to w ogóle koniec z ministrantami. Byłem zdezorientowany, dlaczego miałbym bić. Uśmiechnął się:

– Za byle co można...

Oświadczyłem, że w sobotę mają przyjść wszyscy ministranci i że nigdy nikogo nie tknę palcem. Przyszli, choć niektórzy z wyraźnym ociąganiem.

Z grona nauczycielskiego także niektórych pamiętam, choćby kierownika, pana Chraplaka. To był dobry człowiek, ale między młotem a kowadłem. Był z zamiłowania organistą, ale władze szkolne zabroniły mu grać na organach w kościele. Miał specjalizację z nauczania religii, nieraz mnie hospitował z wielkim dla mnie pożytkiem, ale się skarżył, że szły na niego donosy do Wągrowca, do powiatowego inspektora szkolnego.

Z tym ostatnim miałem ciekawe spotkanie, kiedy w sierpniu pojechałem zawrzeć umowę o nauczanie religii. Spytał mnie, czy sądzę, że owoce Października utrzymają się długo? Ja na to, że czasy stalinowskie raczej już nie wrócą. Pokiwał głową.

– Wrócić nie wrócą, ale te, które idą, też będą wredne. Proszę nie mieć zbyt wiele oczekiwań. I chyba ksiądz rozumie, że trzeba tańczyć tak, jak partia zagra.

Muszę przyznać, że posądzam go wtedy o przesadę. Nie miałem racji, on ją miał.

Z grona nauczycielskiego najbardziej ceniłem panią Jadwigę Matejanek, starszą już nauczycielkę, przedwojenną sodaliskę. Nie wiem, czy kiedykolwiek spotkałem kogoś tak bez reszty dobrego. Zawsze, nawet jeśli ktoś jej dokuczył, a dokuczali nieraz, umiała coś powiedzieć na jego usprawiedliwienie, zwrócić uwagę na jego dobre strony. Uczyła w najmłodszych klasach. Dzieci nie były tak rozwydrzone, jak dzisiaj, ale bywały uciążliwe.

Spostrzegłem raz panią Jadwigę pod drzwiami klasy, dziwnie odwracającą się tyłem do korytarza. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem, że płacze. Zapytałem o przyczynę. Dzieci z klasy pierwszej były bardzo niegrzeczne, zwłaszcza dwóch chłopców, którzy uniemożliwiali prowadzenie lekcji. Chciałem zawiadomić kierownika, a on już coś zaradzi. Kierownik potrafił nieraz dać w skórę. Ona na to:

– Ależ nic podobnego, on by im trochę obił spodenki, a to takie kochane dzieci, tylko ja chyba dziś jestem jakaś słabsza, musiałam sobie popłakać i trochę się pomodliłam.

Wszedłem z nią do klasy. Zapytałem, które z dzieci zasmuciło panią nauczycielkę. Wstało dwóch chłopców. Nie potrafili wyksztusić słowa, ale wiedziałem, że mnie zrozumieli. Zapytałem jedynie:

– Czy pani nauczycielka będzie jeszcze z waszego powodu płakać?

Łzy kapiące spod opuszczonych w dół czupryn zamiast odpowiedzi. Podobno pomogło.

W gronie nauczycielskim było wiele wartościowych osób, niestety nie pamiętam większości nazwisk. Wielu nauczycieli stosowało różne kary, nie wykluczając karcenia cielesnego, w żadnym wypadku ciężkiego bicia. Chodziło o to, by niesforny uczeń się zawstydził i to okazywało się skuteczne. Rozmawiałem niekiedy z ministrantami. Poza szkołą bywali bardziej otwarci. Opowiadali mi o nauczycielach, którzy chwyтали niekiedy za różgę. Ale, o dziwo, właśnie oni mieli największy autorytet. Uczniowie zdecydowanie nie lubili, kiedy wnoszono na nich skargi do rodziców. Nieraz słyszałem, jak – zwłaszcza chłopcy – mawiali:

– Nie zna innej drogi, tylko wołać rodziców, przecież dałby mi w ucho, kiedy nawaliłem, i byłoby między nami.

Kiedy sobie pomyślę, na jakie manowce zeszła dziś szkoła, gdzie nauczyciel jest często zakładnikiem roszczeniowych dzieciaków, wobec których nie wolno stosować żadnych kar czy nawet sytuacji rzekomo ich stresujących, kiedy słyszę, jak rzecznicy praw dziecka utwierdzają je w przekonaniu, iż są one bezkarne, to strach myśleć o przyszłości tego społeczeństwa. Także nie mieliśmy do czynienia z aniołami, ale posiadaliśmy sporo środków wychowawczych. W całej mojej praktyce, a uczyłem we wszystkich typach szkół, łącznie z poprawczakiem, nie tknąłem nikogo palcem. Może niekiedy brała na to ochota, kiedy widziało się małą złośliwość, ale jakoś potrafiłem się opanować. Swoją drogą nie miałem zbyt trudnych uczniów, to też należy podkreślić.

Pracy w moim pierwszym miejscu wikariuszowskim miałem sporo – poza 30 lekcjami tygodniowo wykonywałem większość czynności duszpasterskich, ksiądz radca, astmatyk dość zaawansowany, często bowiem opadał zupełnie z sił. Starał się mnie nie przeciążać, dlatego kiedy przed Bożym Narodzeniem postanowiłem za jego zgodą urządzić raz w miesiącu nabożeństwa stanowe dla rodziców, zniechęcał mnie do tego przedsięwzięcia, jak tylko potrafił. Ale było ono konieczne, jeśli chciało się poważnie myśleć o katechizacji. Proboszcz miał wiele racji, której w swej młodszej zapalczywości nie chciałem dostrzec.

Przyszła kolęda. Miasteczko liczyło około 350 rodzin, do tego dochodziło dzieśnięć wsi, czyli niemal drugie tyle mieszkań. Załóżmy, że było około 700 mieszkań. Trudno było po południu odwiedzić więcej niż 20–22. Ponieważ ksiądz radca po pierwszym dniu kolędy zachorował i do połowy lutego przeleżał w łóżku,

kolędę sam miałem na głowie. Chodzić trzeba było ponad pięć tygodni, codziennie z wyjątkiem niedziel. Porządek dnia był następujący: wstawanie godz. 6.00, msza św. godz. 7.00 lub 7.30, śniadanie, szkoła, obiad o godz. 13.00, a od 15.00 na kolędę. Niekiedy wypadał pogrzeb i wtedy trzeba było plan modyfikować. Chodziłem przez cały ten czas jak w transie, najbardziej dokuczało mi niewyspanie. Breviarz, wówczas dwa razy dłuższy niż dziś, odmawiałem wieczorem, prawie zawsze przy tym zasypiając i budząc się. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek go opuścił, choć spowiednik tak radził. W głowie miałem przestrogi papy Szymańskiego:

– Jak zaczniesz usprawiedliwiać nieodmówienie breviarza, to odłożysz go bez usprawiedliwienia.

Czy była to modlitwa miła Bogu? Jeśli chce On płynnego odmawiania, bez drzemek, to z pewnością nie, ale czy Bóg tak właśnie to przyjmuje? Ledwo kolęda się skończyła, zaczęła się spowiedź wielkanocna, trzeba było jeździć po całym dekanacie. Właściwie dopiero po Wielkanocy można było nieco odetchnąć. Gdzieś wczesną wiosną kupiłem motocykl, używaną SHL 125³⁶⁶ na teleskopach. Ponieważ radca dał mi nieco pieniędzy z kolędy, co mi się należało, a nadto miałem trochę oszczędności, mogłem za to cudo zapłacić 7 tys. zł. To było wtedy wiele, ale motor to także był nie lada luksus, nawet taki już bardzo przechodzony.

Kupiłem ten pojazd na własną niedolę, odtąd bowiem musiałem nim jeździć do Czesławic dwa razy w tygodniu i na spowiedź po całym dekanacie. A zimnisko dawało się we znaki. O ciepłym kombinezonie można było tylko marzyć. Na szczęście ludzie nie tylko mi nie zazdrościli, ale nawet współczuli, że muszę jeździć takim marnym jednośladem. Na lepszy nie było mnie stać. Zresztą i ten był kosztem pewnego wyrzeczenia. Nie mogłem sobie sprawić potrzebnego ubrania ani kupić solidnych butów, jedna para była całkowicie zniszczona przez chodzenie po bloku i grudzie podczas kolędowania. Nabyłem więc jakieś tanie, które uszkodziły mi stopy. Chciałem przemóc buciska, niestety, one mnie przemogły.

Łatwo sobie wyobrazić, czego człowiek potrzebuje najbardziej, tkwiąc w takim młynie, zwłaszcza jeśli jest to pierwsza placówka. Trzeba odreagować, odbić się od codzienności, pożyć chwilę w innym świecie. Miałem w Gołańczy wielu znajomych, bardzo życzliwe domy, już o tym wspominałem, ale to byli z reguły ludzie bardzo zajęci. Mieli czas wtedy, kiedy ja go nie miałem. Spotkania były dorywcze.

³⁶⁶ SHL – marka motocykli produkowanych początkowo w Hucie Ludwików, a następnie w KZWM Polmo-SHL w Kielcach w latach 1938–1970. Model SHL 125 skonstruowano w 1947.

Zaraz po moim przyjeździe do miasteczka radca postanowił mnie tu i ówdzie wprowadzić. Zaszliśmy do jego krewnych, młodej wówczas ro-



dziny. W domu panował dziwny nastrój. Wszyscy byli spięci i mówili między sobą o fakcie, który wszyscy prócz mnie znali, a rzecz wydawała się dramatyczna. Zaciekałem się, o co chodzi. Okazało się, że pan domu „zmartwychwstał”. Był na jakimś kursie, naradzie czy szkoleniu, w każdym razie daleko od domu, i nagle, nie wiem już, jakim kanałem, przyszła wieść, że zmarł. Można sobie wyobrazić

reakcję. Już zbierano się do wyjazdu do miejsca rzekomej śmierci, kiedy „nieboszczyk” z radosną miną, iż wreszcie wylądował w domu, otwiera drzwi. A tu lament, płacz:

– To ty żyjesz? Jakie to szczęście!

Chłopina miał poczucie humoru, tym razem całkowicie się załamał. Nadeszliśmy właśnie na coś w rodzaju niedoszłej stypy. Wszystkim było nieswojo. Takich diwertimentów nie było jednak zbyt wiele.

Pewnego razu, a było to może w dwa miesiące po rozpoczęciu roku szkolnego, wychodząc z kościoła, natknąłem się na panią Jadwigę i nieodłącznie od niej panią Różę Mrotek, siostrę przedwojennego proboszcza gołańckiego, ks. Mrotka³⁶⁷, który zginął w obozie. Pani Róża mieszkała w rynku z panią Jadwigą. Była to dama nieco od pani Jadwigi starsza, w każdym razie niemal całkowicie bezradna. Uśmiechała się zawsze promiennie i niewiele mówiła. Pani Jadwiga zagadnęła mnie tak trochę konwencjonalnie, ale zaraz zauważyłem, że chce o czymś pomówić. I rzeczywiście. Zapytała mnie, czy nie jestem przemęczony, bo na zewnątrz daje się to zauważyć. Nie czekając na odpowiedź, powiedziała, że muszę przy najbliższej sposobności, kiedy będę miał nieco czasu, zajść do pań na kawę i bardzo dobre ciasto. Było ono dziełem trzeciej pani, chyba kuzynki jednej z wymienionych.

³⁶⁷ Edward Mrotek (1883–1942), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1911. Wikariusz w parafii w Wierzhucinie Królewskim 1911–1912, Zdunach 1912–1914. Wikariusz i administrator w parafii w Witkowie 1914–1917, wikariusz w Strzelnie 1917–1921, Chodzieży 1921–1922. Proboszcz parafii w Szamocinie 1922–1929 i Gołańczy 1929–1939. W czasie drugiej wojny więzień Dachau, gdzie zmarł w sierpniu 1942.

Procesja
z dziećmi pierw-
szokomunijnymi.
Prowadzi
ks. Ignacy Zając,
Gołańcz, 1958 r.

Nie muszę zaznaczać, że jako młokos po towarzystwie mocno starszych pań niewiele sobie obiecywałem. W jakimże byłem błędzie! Te może dwie godzinki spędzone z nimi wprowadziły mnie w zupełnie inny świat. Nie omijaliśmy żadnych tematów, także tych, które można było wówczas uznać za tabu, a należały do nich częściowo także stosunki w parafii. Ale w naszej rozmowie nie było ani grama plotki. Inna sprawa, to głęboko religijna nuta we wszystkim, co wymagało ocen, a jednak nic z fasadowości. Pani Jadwiga była przedwojenną sodaliską. Powiedziała mi kiedyś, że w gronie mocno lewicujących kolegów usiłowano niekiedy pokpiwać z niej, ale ona nigdy nie robiła uników, bo – jak twierdziła – wielu po tych naigrawankach podchodziło do niej gdzieś na boczku i wyrażało swe zażenowanie. Widziała w tym swoje zwycięstwo i chyba słusznie.



Uroczystość
pierwszej ko-
munii świętej,
Gołańcz, 1958 r.

Później zachodziłem do pań częściej. To była potrzeba, która przenosiła się także na innych, zawsze znacznie ode mnie starszych. Nie czułem specjalnie zapotrzebowania na kontakty z rówieśnikami. Pisałem już o lekarzach w moim wieku, z którymi lubiłem się spotykać. Mieliśmy zbliżone poglądy na wiele spraw. Ale intrygowali mnie ludzie starsi lub nawet bardzo starzy.

Podczas spowiedzi w Kcyni ks. Sójka³⁶⁸, tamtejszy proboszcz, później też dziekan, prosił mnie niekiedy, bym po podwieczorku nie szedł już do konfesonatu, ale bym dotrzymał towarzystwa ks. Marcinowi Zenkerowi ze Smogulca³⁶⁹ (dawniej siedziby hr. Bogdana Huttena-Czapskiego³⁷⁰, barwnej i ciekawej postaci, znaczącej w życiu politycznym zarówno Rzeszy wilhelmińskiej, jak

³⁶⁸ Kazimierz Sójka (1911–1995), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1935. Wikariusz w parafii w Inowrocławiu i Gnieźnie 1936–1939. W 1940 aresztowany przez Niemców, uciekł z transportu do Dachau. Zaangażowany w tajną pracę duszpasterską w Inowrocławiu. Proboszcz parafii w Kcyni i dziekan kcyński 1949–1968. Rektor kaplicy publicznej Chrystusa Króla w Bydgoszczy 1969–1972. Proboszcz parafii archikatedralnej w Gnieźnie 1972–1989.

³⁶⁹ Marcin Zenker (1889–1972), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1914. Wikariusz w parafii w Smolicach 1914–1915, w Rawiczu 1915–1916, w parafii katedralnej w Poznaniu 1916–1920. Proboszcz parafii w Smogulcu 1920–1940. W 1940 aresztowany przez Niemców i więziony w obozie koncentracyjnym w Dachau 1940–1945. W latach 1945–1971 ponownie był proboszczem w Smogulcu. Od 1971 na emeryturze.

³⁷⁰ Bogdan Hutten-Czapski (1851–1937), hrabia, polityk. Kurator uczelni warszawskich 1915–1918. Prezydent Związku Polskich Kawalerów Mieczowych 1926–1937. Właściciel ordynacji Smogulec.

i częściowo II Rzeczypospolitej). Ksiądz Zenker był gawędziarzem, a przy tym prawie całkowicie głuchy, stąd w konfesjonale nieprzydatny – ale łaknął towarzystwa i jeździł na spowiedź. Tylko ja gotów byłem słuchać jego jakże ciekawych historii. Pod tym względem mało się zmieniło, dziś młodzi, tak jak wówczas, nie mają cierpliwości do opowieści starszych. Ale ja byłem ciekawy. Ksiądz Zenker był postacią dość osobiłą. Pamiętał w najdrobniejszych detalach sprawy z odległej przeszłości, a nie miał całkowicie pamięci bieżącej. Kilkakrotnie zdarzyło się, że wsiadałem w Kcyni do wagonu, w którym jechał. Zawsze ogromnie się cieszył, że mnie poznał, a dziwił się, że dotąd to nie nastąpiło. Przypominałem mu jego dzieje smuguleckie, a staruszek sądził, że to ja mu o tym chcę opowiedzieć, i przerywał mi:

– Ba, a któż to wie lepiej niż ja?

Kiedy już miałem motocykl i w niedzielę po południu trochę wolnego czasu, wybierałem się często do Smogulca, choć bruk z Gołańczy do tej miejscowości był potworny.

Osobowością pod wieloma względami kontrowersyjną, ale niezwykle ciekawą był inny starszy kapłan, proboszcz w Czeszewie ks. Włodzimierz Leitgeber³⁷¹. Warto mu poświęcić nieco uwagi. Moje pierwsze z nim zetknięcie to była wizyta wstępna, którą składało się każdemu proboszczowi w dekanacie. Chyba że któryś sobie tego nie życzył i poprzestawał na telefonie.

Przybyłem do Czeszewa na rowerze. Gospodyni wahała się, czy mnie wpuścić, bo „ksiądz proboszcz czyta gazetę”. Jednak zza drzwi rozległ się gromki głos, nakazujący skierowanie mnie do pokoju, w którym ksiądz przebywał. Wszedłem. Chciałem się przywitać, ale proboszcz, leżący na kanapie w niebieskim fartuchu roboczym, cienkim szaliku i żydowskiej mycce na głowie, dał znak ręką, bym nie podchodził. Przypominał mi portret pewnego rabina, tyle że tamten siedział w fotelu, a ks. Leitgeber leżał na sofie, nogi i głowę mając na jej oparciach. Przez dłuższą chwilę czytał „Słowo Powszechne”³⁷². W pewnym momencie, nie przestając wpatrywać się w gazetę, spytał:

– Skąd jesteście?

Trochę zdetonowany, odpowiedziałem:

– Jestem tu sam, księżę proboszczu.

³⁷¹ Włodzimierz Leitgeber (1890–1963), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1914. Administrator parafii Marzenin od 1933. Proboszcz parafii św. Mikołaja w Czeszewie 1947–1961.

³⁷² „Słowo Powszechne” – dziennik ogólnopolski wydawany w latach 1947–1993 w Warszawie jako organ Stowarzyszenia PAX. Nieuznawany przez episkopat Polski za pismo katolickie; kontynuacją było „Słowo – Dziennik Katolicki” 1993–1997.

Dłuższa chwila milczenia, po czym:

– A skąd to się wziął taki przemądrzały?

– Z Nakła nad Notecią, z parafii św. Stanisława, z tego dużego czerwonego kościoła.

– Jaki duży kościół, to mała chatka w porównaniu z bazyliką gołaniecką... A jak się ma ten stary ramol?

– Który?

– No przecież chyba nie macie ich kilku. Zając, rzecz jasna!

Spytałem go, który z nich jest starszy. To go już do reszty zdenerwowało. Wreszcie odłożył gazetę i usiadł na kanapie, a do mnie rzekł:

– Czego tak stoicie?

– Nie było rozkazu siadać.

Wizyta trwała może dziesięć minut. Na koniec rzekł:

– Nie wiem, czy będziemy utrzymywać kontakt towarzyski, bo wydaje mi się, że nie dorównujecie poprzednikowi. Miecio to był ktoś!

Mówił o moim poprzedniku. Powiedziałem mu, że jedyny mogący iść w zawody z moim poprzednikiem, to chyba właśnie ksiądz proboszcz. Była to złośliwość z mej strony, znane było nikłe zaplecze intelektualne kapłana, o którym była mowa, ks. Leitgeberowi zaś z kolei inteligencji i erudycji, zwłaszcza w dziedzinie wiedzy biblijnej, nie brakowało. Wydaje mi się, że ogólnie rundę wygrałem. Na pożegnanie podał mi rękę i wspomniał coś o drogach, które prowadzić będą przez Czeszewo, i ewentualnym nawiedzaniu plebanii i kościoła, kryjącego prochy i spuściznę Karola Libelta³⁷³.

To było hobby proboszcza, które doprowadziło do ostrego zatargu z kierownikiem tamtejszej szkoły, mającym podobno zamiar pielęgnowania grobu Libelta. Rezultatem była komiczna sytuacja, obrażony na kierownika ks. Leitgeber prowadził lekcje religii zamiast w szkole – w kościele. Pensję pobierał jednak w szkole gołanieckiej. Upoważnił mnie do jej odbioru. Raz czy drugi zrobiłem to, ale kierownik pan Chraplak orzekł, że będzie mu przesyłał pensję pocztą. Na to dostał sążnisty list, pisany na kilku kartach, ksiądz bowiem (miał zresztą wspaniały charakter pisma) stawiał litery wielkie na 3–5 cm. W liście stwierdzał, że wobec uchylania się wikarego od spełniania skierowanej doń prośby, wiadomo,

³⁷³ Karol Libelt (1807–1875), doktor filozofii, mesjanista, działacz społeczny, prezes Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Uczestnik powstania listopadowego. Odznaczony Orderem Wojskowym Virtuti Militari.

w jakiej sprawie, cofa dane pełnomocnictwo. Wszyscy się uśmieali, a kierownik odpisał, iż to nie moja decyzja, ale jego spowodowała takie dostarczanie pensji. Otrzymałem potem list przeprasający za insynuację i zaproszenie do Czeszewa.

Pojechałem, ale nie dane nam było żyć w zgodzie. Leitgeber był księdzem-patriotą, czym się szczycił. Dostał jakieś odznaczenie państwowe, które mi demonstrował. Nie wytrzymałem i powiedziałem mu, co o tym myślę. Wymiana zdań była coraz ostrzejsza, wreszcie mu oznajmiłem, że gdybym lubił swego psa, tobym mu tej blachy do ogona nie przytroczył. Na pewien czas nasze relacje zanikły, a on przy każdej okazji mawiał, jacy to młodzi księża są niekulturalni i nie cenią sobie zasług, na szczęście gdzie indziej inaczej ocenianych.

Nie mogłem tego człowieka do końca zrozumieć. Był niezwykle wykształcony. Jak mało kto znał egzegezę, a nie rozumiał całej niestosowności, którą wszyscy, nawet jego parafianie, dostrzegali w jego proreżimowej postawie. Potrafił jednak zaskoczyć taką erudycją, iż trudno było go nie podziwiać. Kiedyś na zebraniu dekanalnym miał egzortę na temat: „Picie wina w Starym Testamencie”. Mówił bez zaglądania do notatek, cytując mnóstwo dzieł egzegetycznych, przeważnie niemieckich. Dał wykład tak klarowny, iż można go było bez trudu zapamiętać.

Mówiąc kazanie odpustowe, popisywał się ogromną precyzją słowa. Mogę rzec śmiało, że nie było tam nic zbędnego, a także żadnej dygresji. Szkoda, że jego egzegeza mocno trąciła szkołą protestancką. Jeszcze większa szkoda, że tak zdolny człowiek wykazywał tyle frustracji. Do duszpasterstwa właściwie się nie nadawał, a parafianie po prostu go tolerowali. Pochodził ze znanej poznańskiej rodziny kupieckiej o bogatych, sięgających początku XIX w., tradycjach. *Notabene* o korzeniach niemieckich.

Bardzo miłym, dowcipnym i skromnym człowiekiem był ks. Walerian Panek³⁷⁴, wówczas proboszcz w Panigrodzu. Maleńka figurka, były więzień Dachau, mimo to tryskający humorem, zwłaszcza przy stole odpustowym. Raz spotkało się dwóch podobnych sobie dowcipnisiów, on i ks. Jan Kupczyk³⁷⁵ z Janowca. Ksiądz Panek zakwestionował nazwisko tego ostatniego jako nieodpowiadające rzeczywistości PRL.

³⁷⁴ Walerian Panek (1902–1979), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1927. Proboszcz parafii w Węglewie 1934–1939. W czasie drugiej wojny więzień KL Dachau. Proboszcz parafii w Strzałkowie 1945–1957, w Panigrodzu 1957–1974. Od 1974 na emeryturze.

³⁷⁵ Jan Nepomucen Kupczyk (1902–1975), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1927. Proboszcz parafii w Tursku 1931–1938, parafii św. Mikołaja w Janowcu Wielkopolskim. 1946–1968.

– Powinieneś, Jasiu, nazywać się Spółdzielczyk.

A ten na to:

– A ty co? Jeszcze gorzej się nazywasz. Kto to widział Panka, przezwij się Obywatele.

Lubiłem tych panów, liczyli sobie wtedy 50 i 68 lat. W moich oczach byli ludźmi w podeszłym wieku, wręcz starcami. Dziś, kiedy to piszę, a sam jestem o kilkanaście lat starszy od starszego z nich, zastanawiam się, jak to właściwie jest z tą miarą oceny? Myślę też o tym, czy byli tak sprawni, jak ja dzisiaj. Chyba jednak nie. Jedno muszę wszakże zaznaczyć. Większość z nich reprezentowała poziom kultury, który bodajże z nimi poszedł do grobu.

Pierwsza placówka duszpasterska, mimo ogromu zajęć, nie dawała mi pełnej satysfakcji, gdy chodzi o inicjatywy duszpasterskie. Bardzo przeżyłem misję parafialną prowadzoną przez redemptorystów, którzy zainstalowali (jeśli tak rzec można) w parafii nowennę do Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Nabożeństwo rozwijało się niezwykle prężnie i przyciągało wielu ludzi. Jakże lubiłem mu przewodniczyć! Starałem się w każdą środę tak ułożyć swoje zajęcia, by nowennę móc odprawić osobiście. Ksiądz radca też ją lubił i chętnie celebrował. Miał jednak bardzo niewyraźny i słaby głos, a kościół był ogromny, mało akustyczny i nagłośnienie permanentnie zepsute. Przy tym radca miał zwyczaj zamiast kazania czytać materiały dostarczone przez redemptorystów. Łatwo się wzruszał i w czasie czytania ronił łzy, co już w ogóle niweczyło słyszalność. Nadto nabożeństwo trwało niezwykle długo, nawet do dwóch godzin. Ludzie zwracali się do mnie, bym to ja celebrował, ale cóż mogłem zdziałać przeciwko decyzji proboszcza? Były to małe dysonanse.

Imałem się też spraw, które przekraczały moje możliwości. Do nich należały jasełka, które zorganizowałem wspólnie z siostrą Ireną, serafitką. Podobno były bardzo udane, ale ileż nasłuchiwałem się od matek, gdyż jako aktorów wzięłem chyba najbardziej niesfornych uczniów z klas piątych i szóstych, a mamy przygotowały swe pociechy do ról aniołków. Było to prawdziwe wydarzenie, zwłaszcza po okresie stalinowskim, kiedy o takich rzeczach nie można było nawet marzyć.

Inna sprawa, to chór czterogłosowy, który wystąpił z kolędami na Boże Narodzenie i śpiewał w czasie procesji Bożego Ciała. Większość roboty zrobił tu pan organista Głubczyński, ale i ja w próbach uczestniczyłem. Chór nie przetrwał mojej kadencji, a szkoda, bo chętnych nie brakowało. Dlaczego mój następca,

Jasio Trojanowski³⁷⁶, mój seminaryjny kondormitor i subiekt w prowadzonym przeze mnie sklepiu, zresztą kochany kolega, tego nie kontynuował? Trudno powiedzieć, miał ku temu wszelkie dane, sam grał na skrzypcach i w ogóle był bardzo umuzykalniony.

Ostatnim akordem mojego pobytu w Gołańczy była wizytacja pasterska przeprowadzona przez bp. Lucjana Bernackiego. Znaliśmy pytania, jakie stawiał w czasie egzaminu z katechizacji, przygotowałem zatem dzieci. Biskup lubił niekiedy przyłapać pytanych na jakiejś niewiedzy. A tu nic. Stałem za nim i z nawyku raczej niż z potrzeby dawałem dzieciom znaki. Nie zauważyłem, że biskup się odwrócił i mnie obserwował. Był wyraźnie zdenerwowany i rzucił coś w rodzaju, że wikary powinien biskupowi pomagać, a nie przeszkadzać.

Wizytacja wypadła źle, bo parafia pod względem gospodarczym była w fatalnym stanie. Nie było urządzeń sanitarnych. Zamiast nich biskupowi wstawiono do pokoju fotel z wyciętą w siedzeniu dziurą, zasłoniętą gęstymi frędzlami. Nie miał gdzie się umyć, u mnie w pokoju ledwo się mieścił przy stole. Nie słyszałem tego, ale radca chyba dostał reprimendę. Ktoś mu zasugerował, że to ja naskarżyłem. Był to zupełny nonsens, ale zepsuł atmosferę.

Nie wiedziałem, czy zostanę na następny rok, biskup w tej sprawie się nie wypowiadał. Myślę, że o przeniesieniu mnie na inną parafię zadecydował pewien traf. Zostałem zaproszony do Kcyni z kazaniem na odpust Matki Bożej Królowej Polski 3 maja. Pamiętam to szczególnie dobrze, bo przybyła tam wtedy moja matka, a ja, wchodząc na ambonę w kształcie łodzi, ujrzałem ją i kilku innych naklan i z wrażenia potknąłem się o stopień i padłem na kolana. Ogromnie mnie to skonfundowało, ale w kościele odczytane zostało jako przejaw niezwyklej mej pobożności, więc raczej na moją korzyść.

Msza św. była odprawiana w kościele poklasztornym, gdzie mieścił się cudowny krucyfiks, a celebrował ją kanclerz kurii ks. Edmund Palewodziński, który *notabene* – chyba jako jedyny z kurialistów – darzył mnie wielką sympatią. Byłem mocno przejęty kazaniem, ale wypadło ono, jak mi potem mówiono, szczególnie dobrze. Sam się temu dziwiłem, gdyż na początku mojej kariery kapłańskiej, o czym już mówiłem, miałem pewne trudności w tej dziedzinie.

³⁷⁶ Jan Trojanowski (1933–2005), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1958. Wika-
riusz m.in. w parafii Miłosierdzia Bożego w Bydgoszczy od 1963. Rektor kościoła, a następnie pro-
boszcz parafii w Sicienku 1971–1973, w Wieczynie 1973–1980, we Wronowie 1985–2005.

Ksiądz Palewodziński porozmawiał ze mną po obiedzie, zaznaczając mimochodem, że kwalifikuję się na inną parafię. Był to czas, kiedy zelus wprost mnie pożerał, a w Gołańczy widziałem jakieś szczególne me posłannictwo. Toteż oświadczyłem, że jest mi dobrze i wcale nie pragnę przeniesienia. Kanclerz odrzekł, że od niego to też nie zależy, ale od księdza prymasa, który ma swoje plany wobec zdolniejszych kapłanów. Do ich liczby jakoś nigdy się nie kwalifikowałem, zatem nie przewidując rychłego przeniesienia, uspokoiłem się.

Krótko po wizytacji byłem po coś w kurii. Kanclerz zobaczył mnie przez okno i wezwał do siebie. Powiedział, bym się pakował, bo od lipca pójde na inną parafię. Nie chciał zdradzić dokąd, ale mało mnie to obchodziło. Z odejściem już się pogodziłem, gdyż byłem dość zmęczony stałym zmaganiem się z przeciwnościami, które jak to wyczuwałem, nie wychodziły od radcy, ale od ludzi obawiających się, że utracą swój wpływ na niego. Starałem się mu to uświadomić, a choć pewne spostrzeżenia przyjmował, zdawać się mogło, że zrozumieniem, to jednak nic nie wskazywało, aby miały za tym iść jakieś posunięcia natury praktycznej, które podniosłyby jego prestiż w parafii. To sprawiało, że choć do Gołańczy szczerze się przywiązałem, do odejścia szykowałem się z lekkim sercem. Za swoją fałszywie ulokowaną ufność, jaką pokładał w rzekomych przyjaciółach, radca zapłacił wielkim cierpieniem i upokorzeniami, o czym jeszcze trzeba będzie wspomnieć.

Tajemnica mojego nowego miejsca zaczynała mnie intrygować. Sprawa wyjaśniła się w połowie czerwca 1958 r., kiedy przyszedł dekret przeznaczający mnie do parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Bydgoszczy, na Szwederowie. Niewiele o parafii wiedziałem, ale koledzy pracujący w tym mieście na awans mój patrzyli sceptycznie. Najbardziej dziwiło mnie ich narzekanie na bardzo słabe uposażenie. Była to o tyle prawda, że w Bydgoszczy płacono się większy podatek, a za utrzymanie zamiast 600 zł, jak w małych miastach i na wsiach, trzeba było wyłożyć 900 zł. Tymczasem intencje mszalne były niższe niż w mniejszych miejscowościach (30–50 zł, podczas gdy w Gołańczy przeciętnie 70 zł). Poza tym była pensja szkolna. Nic więcej, ordynacja wikariuszowska bowiem przewidywała uposażenie 1000 zł plus intencje. Szkoła płaciła na ogół 1200–1300 zł przy pełnym wymiarze godzin, parafia zatem nie była wikariuszowi nic winna, prócz intencji, jakiejś nieznacznej kwoty z wypominek i podobnej z kolędy. Te ostatnie apanaże zależały na ogół od dobrej woli proboszcza i mogły być większe lub mniejsze. Do większego miasta wielu pociągało środowisko. Niektórych kolegów wabiły kontakty z inteligencją, choć często była to czysta iluzja.

Mimo trudnych warunków bytowych i pewnego nieporozumienia z proboszczem pod koniec mojego pobytu opuszczenie Gołańczy było dla mnie przykre i trudne. Pierwsza placówka przywiązuje najbardziej. Potwierdziło się to później, kiedy już byłem w Pleszewie, a nawet po moim przejściu do Lublina. Do Gołańczy wracałem najchętniej, niezależnie od tego, że musiałem tam wrócić na jakiś czas przed studiami, kiedy już takiej sielanki jak za pierwszym pobytom nie było. Ksiądz radca był człowiekiem o niezwyklej dobroci, ale czasami bezradny jak dziecko. Starałem się mu pomóc, ale nie miał on, chyba na skutek choroby, energii życiowej i wszystko odkładał na później, a przy tym dawał się wykorzystywać. Było tak choćby z podjęciem prac nad ogrodzeniem kościoła. Bardzo mu to perswadowałem, ale byli inni doradcy, bardziej wpływowi. Szkoda mi było tego człowieka, którego życie było jednym pasmem cierpień.

Bydgoszcz-Szwederowo

Pracę w Bydgoszczy rozpocząłem po urlopie, gdzieś w połowie lipca. Tam już był spory zespół. Nie jest sprawą prostą przestawienie się z placówki, gdzie się jest jedynym wikarym, na taką, gdzie kolegów jest więcej. Zależy też, jaki jest ten zespół. Na Szwederowie było nas trzech: najstarszy, zarazem prefekt szkoły średniej, ks. Józef Nowaczyk, drugi co do stażu ks. Eugeniusz Szymański³⁷⁷ i ja – najmłodszy. Byliśmy święceni rok po roku. Proboszczem był ks. Czesław Rólski³⁷⁸. Trudno go scharakteryzować. Był bardzo oficjalny i zarazem przyjacielski. Stołowaliśmy się u sióstr elżbietanek, co wymagało krótkiego spaceru, a od mieszkania proboszcza niejako odcinało. Proboszcz do biura przychodził rzadko, biuro zresztą prowadził ks. Szymański, który za to nie miał lekcji w szkole. Oczywiście najważniejszą osobą w biurze była pani rendantka. Trzeba powiedzieć, że w tak dużej parafii, liczącej wówczas około 25 tys. wiernych (pierwszy elench³⁷⁹ podający liczbę wiernych z 1996 r. wymienia liczbę 15 950, jednak liczba ulic należących do parafii nie sięga nawet połowy tej, jaka była w 1958 r.), sekretarka czy – jak niekiedy też mówiono – rendantka była pomocą

³⁷⁷ Eugeniusz Szymański (1931–2014), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafiach: św. Józefa w Osieku nad Notecią 1956–1958, Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Bydgoszczy 1958–1966, we Wrześni 1966–1974, w Słupach 1974–1981. Proboszcz parafii Rozesłania Świętych Apostołów w Brzeziu 1981–2002.

³⁷⁸ Czesław Rólski (1905–1972), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Duszpasterz parafii NSPJ w Bydgoszczy 1932–1946. Administrator, a następnie proboszcz parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Bydgoszczy (Szwederowo) 1946–1972.

³⁷⁹ Elench to rocznik podający informację na temat archidiecezji.

wprost nieocenioną. Znała sprawy parafialne na wylot, a także wiele osób bliżej współpracujących z parafią. Mogła być bardzo pomocna, ale kiedy ktoś zbyt szybko zadzierał nosa, potrafiła robić tylko to, co do niej należało. Pani, której nazwisko mi uleciało, a która wówczas u nas sekretarzowała, była skłonna do dobrej współpracy, a my nie burzyliśmy tego nastroju.

Proboszcz w czasie pierwszej wizyty, złożonej zaraz po otrzymaniu przez wikarego dekretu, omówił pokrótce wszystkie sprawy dotyczące pracy parafialnej, każdemu z nas wyznaczył konkretny jej odcinek. Mnie polecił nauczanie religii w czterech szkołach podstawowych oraz prowadzenie duszpasterstwa stanowego młodzieży męskiej. Później to się bardzo nie podobało ks. Nowaczykowi, który otrzymał dziewczęta, a lepszy kontakt miał z chłopcami. Zarzucił mi nawet, że go ubiegłem, co mnie, przyznaję, trochę dotknęło.

Poszedłem do ks. Rólskiego i powiedziałem, że chętnie zamienię się z ks. Nowaczykiem i wezmę nabożeństwa stanowe dla dziewcząt. Nie wyobrażałem sobie, że takie drobiazgi mogą prowadzić do sytuacji konfliktowych, ale tak było. Józio po prostu napadł na mnie i to w czasie posiłku, kiedy byliśmy *in corpore*³⁸⁰. Było mi przykro, bo kolega spytał mnie, czy jestem od niego bardziej doświadczony (dwa lata różnicy między naszymi święceniami), czy zamierzałem poniżyć go w oczach proboszcza? Ten, *notabene*, z góry oświadczył, że możemy się zadaniami zamienić, nie będzie miał nic przeciwko temu.

Oczywiście powiedziałem proboszczowi, że kolega nie chce zamiany, z czym tamten także bez zdziwienia się zgodził. Tymczasem, kiedy radośnie zakomunikowałem Józiowi, że pozostaje po staremu, i prosiłem, by nie miał za złe mojej pochopności, że po prostu chciałem pójść mu na rękę, tamten znowu się obruszył. Korzystając z okazji, zaprosił mnie na przechadzkę wokół kościoła, w czasie której wyjaśnił mi, że wszyscy tworzymy wspólnotę kapłańską, a on jest tu najstarszy, zatem powinienem wszystko, co dotyczy pracy, z nim uzgadniać. Także w dziedzinie katechizacji, bo on uczy w szkole średniej, a ja w podstawowych itp. Słowem, chodziło o to, bym był mu posłuszny i się nie wychylał.

Ponieważ miałem opiekę nad ministrantami, a tych było wielu, poczynawszy od przedszkolaków, a kończąc na kawalerach pod wąsem, był to też *casus*, jeśli nie *belli*³⁸¹, to na pewno *discordiae*³⁸². Starsi ministranci uczestniczyli

³⁸⁰ *Lac.* w komplecie.

³⁸¹ *Lac.* wojna.

³⁸² *Lac.* niezgoda.

w nabożeństwach stanowych młodzieży męskiej, które w końcu po dąsach Józio przejął, a byli pod moim wyraźnym wpływem. O co chodziło, nigdy się nie dowiedziałem i chyba nikt z nas nie wiedział. Nie wiadomo, jakby się to wszystko ułożyło, gdyby nie dwa wydarzenia, ale o tym za chwilę. W każdym razie z tą wspólnotą kapłańską jakoś się nie udało, ale współpraca była dobra.

Ksiądz Nowaczyk potrafił też bardzo realistycznie myśleć i działać. Jeden przykład. Nasze dochody w Bydgoszczy były tak niskie, że trudno było zaspokoić najkonieczniejsze potrzeby, utrzymanie i podatek pochłaniały właściwie całą pensję szkolną, a parafialna, gdybyśmy ją otrzymywali, nawet by nie wystarczyła. Intencje mszalne były bardzo niskie. Nie wiem, jak z kołędą i wypominkami, bo tak długo w Bydgoszczy miejsca nie zagrzałem. Pewnego razu, w czasie takiej zwyczajowej już przechadzki wokół kościoła Józio zapytał nas, mnie i Genia, co myślimy o zaproszeniu proboszcza i przedstawieniu mu naszej sytuacji. Zgodziłem się bez dyskusji, a Genio wahał się. Miał wątpliwości, czy to wypada i czy jakoś inaczej sobie nie poradzimy. Wreszcie dał się przekonać. Za kilka dni faktycznie zaproponowaliśmy ks. Rólskiemu przechadzkę i Józio bez ogródek powiedział, o co chodzi. Proboszcz podrapał się w głowę i jak to on, zaczął od słów:

– Bądźmy realistami, to, co mówicie, jest słuszne. Sam się dziwię, że dotąd nie było o tym mowy, ale ordynacja wikariuszowska³⁸³ wydana przez prymasa to też fakt, co z nią?

Trudno było zbić to jakimś argumentem. Chodziliśmy jeszcze ze dwa-trzy okrażenia i już każdy myślał, że fiasko. A tu nagle na pożegnanie ks. Rólski oznajmia ni mniej, ni więcej, że da nam dodatek, pod warunkiem że się nie wygadamy. Jeżeli dowie się, że nie dotrzymaliśmy tajemnicy, dodatku nie będzie. Określił też jego wysokość na 600 zł. Na tyle nie liczyliśmy.

Proboszcz praktykował też taki zwyczaj, że kiedy wikary miał z nim do załatwienia jakąkolwiek sprawę, dostawał zaproszenie na spotkanie. Następowало ono zawsze na terenie plebanii, z pełną kurtuazją, przy lampce tokaju. Jakże to wszystko dziś się zmieniło, żeby nie powiedzieć, potaniało. Proboszcz miał wtedy 53 lata, w naszych oczach był zatem stary. Nigdy żadnemu wikaremu nie mówił *per ty*. Podobnie zresztą jak biskup. Ten ostatni z chwilą konsekracji nie przechodził z kolegami seminaryjnymi na konwencję tytułatury, według zasady: ja tobie „ty”, ty mi „ekscelencjo”. Teraz za to żyjemy w demokracji. Dzisiaj, kiedy młody biskup

³⁸³ Ordynacja wikariuszowska określała poziom wynagrodzenia dla wikariuszy.

„tyka” do starszego od siebie księdza, a choćby nawet młodszego, który przecież także jest osobą ludzką, godną szacunku, to czego to jest wyrazem? Bynajmniej nie ojcostwa duchowego, bo ono ma inny wymiar, ale braku wychowania, a może także czegoś więcej. Po prostu, jak dawniej mówiono: brak kindersztuby. Niestety, tego nie można niczym nadrobić.

Kiedy jesienią 1958 r. przystąpiłem do realizowania kontraktów zawartych na nauczanie religii z wymienionymi szkołami, okazało się, że o warunkach ubiegłorocznych trzeba zapomnieć. Teraz starano się ściśle przestrzegać zasady, że lekcje religii odbywają się albo przed lekcjami szkolnymi, albo po nich. Mając do obsłużenia cztery szkoły, wprowadzić tylko klasy szóste i siódme, bo w innych uczyły panie katechetki, trudno było tak ułożyć plan, by nawet ucząc sześć dni w tygodniu, odbyć lekcje religii we wszystkich klasach w zgodzie z zasadą pierwszych i ostatnich godzin. Miałem szczęście, że kierownicy szkół 10, 12 i 36 wyraźnie mi sprzyjali i ułożyli rozkład lekcji bardzo dla mnie korzystny. Ale okazało się, że musi on być zatwierdzony przez inspektora oświaty.

Funkcję tę pełniła wtedy pani, która z wielką pilnością przeszkadzała w nauczaniu religii. Pod byle pretekstem nie zatwierdzała planów, dawała przy tym kierownikom do zrozumienia, iż ich rola polega nie na ułatwianiu mi życia, tylko na jego utrudnianiu. W szkołach 12 i 36 udało się jakoś tak wszystko ułożyć, by nie było powodu do odrzucenia. Pojechałem do szkoły nr 10, gdzie kierownik, pan Stachowiak, wsiadł na mnie z impetem, wykrzykując, że najpierw „to się idzie do tamtych, a tu przynosi się terminy nie do zrealizowania”. Przeraziłem się, sądząc, że napotkałem nieużytego partyjniaka. Okazał się on miłym, życzliwym i wspa- niałym człowiekiem, który po wielu perypetiach dokonał prawie niemożliwego. Powiedział mi jednak dwie rzeczy, które uzupełniły moją wiedzę o ludziach:

– Za zatwierdzenie planu dostałem po głowie od żony, a od księdza należy mi się rozgrzeszenie za pijaństwo, bez którego mój przyjaciel inspektor nie miałby odwagi tego podpisać. Pani inspektorka – kontynuował swą przemowę – nigdy by planu nie zatwierdziła, bo przed wojną była ona gorliwą sodaliską i takich jak ja uważała za diabelskie nasienie. Oto macie teraz za swoje, to wyście takie działaczki wychowali i powinniście teraz cierpieć.

Cóż miałem rzec? Miał sporo racji.

Ze szkołą nr 10 kojarzy mi się postać nauczyciela historii, którego nazwisko, niestety, uleciało z pamięci. Wyróżniał się z całego grona pewną nonszalancją, jak później zrozumiałem, pozorowaną. Był miłośnikiem swojego przedmiotu i chyba

na tym gruncie zeszyły się nasze drogi. Na przerwach często rozmawialiśmy, zawsze o historii. Ogromnie wstydziłem się mojej ignorancji, choć przecież sporo przeczytałem. On nie tylko mnie nie gasił, lecz także podsuwał lektury, zachęcał, a wszystko niby żartem. Mawiał:

– To, co wiemy, i tak nikomu nie jest potrzebne, ale co będzie, kiedy się okaże, że właśnie my tego potrzebujemy?

On mi wskazał i pożyczył książkę profesora Gerarda Labudy³⁸⁴ *Państwo Samona*³⁸⁵, odślaniającą jedną z hipotez naszej prehistorii. Stale mnie prowokował. Poruszał kwestie religijne, wiele spraw kwestionował. Wydaje się, że miał z tym problemy. Kiedy pewnego razu delikatnie próbowałem go wybadać, oświadczył, że będę pierwszy, który się o tym dowie. Wśród nauczycieli usłyszałem kiedyś komentarz, że ksiądz gustuje w niedowiarkach, też rzucony niby żartem. Któregoś dnia, na dużej przerwie w obecności większości grona historyk ten powiedział, że ptaszyna zaniósł do Inspektoratu Szkolnego wieść, jakoby był on klerykałem. Komuś się wyrwało:

– A ty co na to?

– A ja po prostu powiedziałem, że każdy przecież jest jakimś kałem...

Kiedy mnie zabierano z Bydgoszczy i poszedłem odnieść pożyczone książki, stwierdził, że żegna mnie z żalem, bo mógł porozmawiać z kimś, nie garbując bliźnim skóry. Raz czy dwa wymieniliśmy listy. Doszedłem do przekonania, że nie powinien on uczyć w szkole podstawowej, a uczył, ponieważ miał swoje poglądy, bardzo różne od obowiązujących. Takie były czasy. Pytanie, w jakim stopniu dziś są lepsze?

Pozostała jeszcze szkoła nr 22. Pojechałem tam i poszedłem wprost do pokoju nauczycielskiego, mieszczącego się na najwyższym piętrze. Nauczyciele przyjęli mnie owacyjnie, ale wicekierownik minę miał dość niewyraźną. Wziął mnie do siebie, do małego gabinetu i zapoznawszy się z moim planem w innych szkołach, rzekł bez ogródek, że on mi może zajęcia rozplanować, ale kierownik, pan B., jest komunistą rodem bodajże z Belgii i on żadnego korzystnego dla mnie ani dla katechetek rozwiązania nie podpisze. Faktycznie, po chwili zjawiły się te panie, by szukać u mnie pomocy. Spytałem pana Suberlaka, bo tak chyba nazywał się zastępca kierownika, co robić. Drapał się w głowę, namyślał, wreszcie rzekł:

³⁸⁴ Gerard Labuda (1916–2010), historyk, mediewista. Rektor UAM w Poznaniu 1962–1965. Wiceprezes Polskiej Akademii Nauk (PAN) 1984–1989. Prezes Polskiej Akademii Umiejętności (PAU) 1989–1994.

³⁸⁵ G. Labuda, *Pierwsze państwo słowiańskie. Państwo Samona*, Kraków 1949.

– Niech ksiądz codziennie rano zjawia się w gabinecie kierownika. Proszę zachowywać się tak, by wszyscy to spostrzegli.

Nic nie rozumiałem. Przecież byłem raz i właśnie on odesłał mnie do swego zastępcy. Ten obstawał przy swoim, nie wyjaśniając mi sensu takiego działania. Pomyślałem, że chce mnie spławić, ale rozpocząłem codzienne odwiedziny. Kierownik, zawsze miły, uśmiechnięty, jednak nieustępliwy, przyjmował mnie może przez trzy dni. Czwartego dnia już nie było mi dane oglądać jego oblicza, a sekretarka powiedziała mi szeptem, że zlecił tę sprawę zastępcy i on ją załatwi. Wyraźnie była podekscytowana, dając mi do zrozumienia, iż sprawy dobrze się mają.

Pobiegłem do pokoju nauczycielskiego, a tam przywitały mnie gratulacje z powodu przyjaźni, jaką darzy mnie pan B. Ponieważ Komitet Miejski PZPR ma na ten temat własne zdanie i nie podziela ogólnej radości z tej znajomości, ksiądz musi się zadowolić naszym towarzystwem. Wicekierownik pojawił się bardzo szybko z podziałem godzin dla mnie i szepnął mi do ucha, że pan B. nie życzy sobie, bym ostentacyjnie odwiedzał go w gabinecie, jedyną zatem dla mnie władzą pozostał on. Później dowiedziałem się, że pewne osoby z grona nauczycielskiego szeptały gdzie trzeba, iż pan B. bardzo zbliżył się z księdzem i w ogóle ułatwia mu życie na każdym kroku. Była to perfidia, ale jakże dla mnie miła!

Zdawałoby się, że głównym naszym zajęciem była katechizacja w szkole. W pewnym stopniu tak, ale innej pracy też było pod dostatkiem. Przede wszystkim pogrzeby. Kto miał dyżur, musiał krążyć między szkołą a cmentarzem przy ul. Kossaka albo na stojąco połknąć obiad i spędzić na cmentarzu niekiedy całe popołudnie. Inny krzyż dyżurnego to były wezwania nocne do chorego. Parafia była rozległa, taksówka najczęściej była nieosiągalna: albo dlatego, że rodzina chorego nie była w stanie zapłacić, a nas nie było stać, albo po prostu pojazdy nie zgłaszały się na postoje.

Przychodził zatem pan kościelny Pająk i dzwonił do mieszkania dyżurnego, a kiedy ten otworzył okno, obracał się zwykle na pięcie i siedł do zakrystii. Następnie obaj w komzach – ksiądz z *Sanctissimum*, a kościelny z latareczką i dzwonkiem – szli pieszo. Dobrze, jeśli na którąś z pobliskich ulic, gorzej, kiedy trzeba było iść aż pod lotnisko. Wracало się w środku nocy lub nad ranem, a tu w ciągu dnia normalne lekcje i ani chwili na drzemkę.

Pewnego razu wypadła mi taka droga około godz. 2.00 w nocy. Kościelny mruczał, że wie, kto to jest, babcia, która codziennie jest w kościele i była chyba przed kilkoma dniami u spowiedzi. Cóż było robić? Odmówić nie można ani nawet

odłożyć do rana. Po przybyciu na miejsce zobaczyliśmy, że cała rodzina przykładnie klęczy wokół łóżka. Siedząca na nim babcia z uśmiechem wykrzyknęła:

– Że też Pan Bóg dał, że właśnie ksiądz przyszedł, przecież przedwczoraj byłam u księdza u spowiedzi.

Nie opiszę tu moich doznań w tym momencie. Wezwanie tłumaczono tym, że babcia nie mogła w ogóle zasnąć, skarżyła się na serce i prosiła o księdza. Podobnych przypadków mieliśmy więcej.

Uczyłem w czterech szkołach. Szkoła Podstawowa nr 10 przy ul. Dąbrowskiego, nr 12, już nie pamiętam ulicy, ale dość daleko, w pobliżu cmentarza, nr 36 przy ul. Małgorzaty Fornalskiej³⁸⁶ i 22 przy ul. Konopnickiej. Gdyby nakreślić ich położenie topograficzne, wyszedłby taki nieco wykrzywiony i nieregularny czworobok. Oczywiście trzeba było dojeżdżać. Moja eshaelka była już sprzedana. Był pojazd parafialny, motorower Simson, nawet niezły, gdyby nie to, że permanentnie zepsuty.

Bardzo obawiałem się samego zetknięcia z uczniami tych szkół. Młodzież bydgoska nie miała dobrej opinii; nauczyciele się skarżyli. Dość szybko jednak oswoilem się z nowymi uczniami, oni ze mną też. Jedna z klas siódmych w szkole nr 22 w opinii nauczycieli sprawiała wyjątkowe problemy. Wychowawczyni, bardzo energiczna pani, ostrzegła mnie, bym się miał na baczności. Pierwsza lekcja przebiegła bez sensacji, aczkolwiek czułem jakąś ścianę między uczniami a mną. Była to już młodzież pod wąsem, sami repetenci, panny w trzewikach na wysokim obcasie, z lekkim makijażem. Porządek w klasie był idealny, ale chyba na zasadzie: zostaw nas w spokoju, to i my ciebie zostawimy.

Nie wiem już, czy była to druga czy trzecia lekcja z kolei. Zajechałem do szkoły motorowerkiem, już po drodze czułem, że złapałem gumę. Do plebanii był kawałek drogi, do rozpoczęcia lekcji kilka minut. Po lekcjach w szkole nr 22 musiałem pędzić aż pod cmentarz, do dwunastki. Co zrobić z simsonem? Wchodzę do klasy i wzrok mój padł na jednego ze starszych uczniów, już zgoła mężczyznę. Skinąłem na niego, by wyszedł ze mną na korytarz. Żachnął się.

– Co ja takiego zrobiłem?

– Nic, ale masz coś zrobić – i wytłumaczyłem, że chodzi o odprowadzenie motoroweru na plebanie. Zwróciłem się do niego o pomoc jako do człowieka odpowiedzialnego, który nie zepsuje do reszty wehikułu. Widziałem, że czuł się

³⁸⁶ Małgorzata Fornalska (1902–1944), polska działaczka komunistyczna, przez wiele lat związana z Bolesławem Bierutem, z którym miała córkę Aleksandrę. Rozstrzelana przez Niemców w lipcu 1944.

bardzo ważny. Ochoczo obiecał załatwić rzecz jak najszybciej i wrócić na lekcję. Faktycznie, zrobił to w błyskawicznym tempie. Odtąd klasa ta była dla mnie oazą wytchnienia. Wszyscy mieli zeszyty, zachowywali się wzorowo, nawet coś im do głów wchodziło. Wychowawczyni pytała mnie, jak to zrobiłem. Zapytałem ją, czy ma motorower. Niestety, nie miała.

– Więc nie mogę pani udzielić żadnej rady. Trzeba mieć jakiś pojazd od simsona wzwyż i koniecznie powinien on się zepsuć.

Zaraz na początku września ksiądz proboszcz poprosił mnie, bym rozpoczął katechizację przedkomunijną prowadzoną w kościele niezależnie od lekcji religii w szkole. Najpierw trzeba było te dzieci podzielić na grupy. Do kościoła pierwszy raz przyszło ponad 200 dzieci. Harmider był tak wielki, że własnego głosu nie można było usłyszeć. Intonowałem jakąś pieśń i wtedy była chwila wytchnienia. Ale co tu zrobić z taką masą, która w ogóle nie słucha tego, co się do niej mówi? Kilku chłopaków zaczęło na lewo i prawo rozdzielać ciosy. Jeden, wyższy o głowę od reszty, był pod tym względem szczególnie aktywny. Kiedy zwałił z nóg jakąś chudziutką dziewczynkę, a wokół zaczął się rozlegać coraz głośniejszy płacz, wyciągnąłem go z ławki, chwyciłem za ucho i poprowadziłem na sam przód przed ławki, gdzie kazałem mu klęczeć tak długo, aż się uspokoi. Przez chwilę klęczał, ale nagle zerwał się i wybiegł z kościoła. Pomyślałem, że przynajmniej będzie spokój. Nie trwał jednak długo, bo oto środkiem głównej nawy biegnie potężna niewiasta. Okazało się, że matka, a chłopiec za nią.

Kobieta podbiegła do mnie i ni stąd, ni zowąd zaczęła histerycznie wrzeszczeć. Padła na kolana czy nawet w ogóle położyła się na posadzce, wykrzykując, że jej biedne dziecko jest wszędzie prześladowane i że ona zabiera je z katechizacji itp. Starąłem się wytłumaczyć, że jej syn jest dwakroć silniejszy niż inne dzieci i nie-miłosiernie je bije, na co ona znowu, że dzieci przeżywają go od tłuściochów i on musi się bronić. Ale nie przestawała strasznie wrzeszczeć. Byłem bezradny. Po chwili, zwabiony krzykiem, wszedł proboszcz i usiłował łagodzić sytuację, też na próżno. Inne dzieci początkowo się przycisnęły, ale następnie widocznie uznały, że są świadkami świetnego widowiska, w którym po swojemu wzięły udział. Po dłuższym czasie kobieta nieco się uspokoiła i pozwoliła sobie wytłumaczyć, że synka jej nikt nie uderzył, a trzeba go było odseparować od innych, bo mogłoby się stać coś gorszego, gdyby dotkliwie pobił jakieś dziecko. Później miałem kontakt już tylko z jedną grupą i to przez krótki czas. Mój pobyt w Bydgoszczy trwał bowiem tylko do 15 listopada.

Gdzieś we wrześniu, nie wiem już czy na początku, czy pod koniec miesiąca, Genio Szymański oświadczył nam i proboszczowi, że poprosił w kurii o przeniesienie na mniejszą parafię, że czuje się zagubiony i nie ma na nic czasu, a przecież powinien się doksztalać i mieć chwilę dla siebie. Prawda, że był bardzo skrupulatny i obowiązki zajmowały mu nazbyt wiele czasu, był to jednak dobry kolega i żałowaliśmy go. Zastąpił go ks. Jerzy Dąbrowski, o rok starszy święceniami ode mnie, późniejszy biskup, tragicznie zmarły. Był to człowiek niezwykle uzdolniony, nie tylko w dziedzinie muzyki, i niezwykle koleżeński. Spędzaliśmy wspólnie wieczory. Można z nim było mówić na każdy temat, choć potrafił też być sarkastyczny, zwłaszcza jeśli trafiał na jakiegoś bufona pragnącego imponować. Dla Józia Nowaczyka był on zbyt pewny siebie, co o rok młodszemu kapłanowi jakoby nie wypadało.

Późną jesienią dość często pojawiali się w obejściu kościelnym jehowici. Mieli oni ciężki żywot, bo ludzie w większości obcesowo odpędzali ich od progu. Do mnie zawitała kiedyś para, mężczyzna i kobieta, w wieku między 30 a 40 rokiem życia. Spytałem, czy wiedzą, kim jestem. Potaknęli. Chcą ze mną rozmawiać? Owszem, chcą. Miałem wtedy Biblię hebrajską, z której coś potrafiłem przesylabizować, a także Nowy Testament grecki i Biblię w polskim tłumaczeniu. Te dwa obcojęzyczne teksty ich speszyły. Od razu przyznali, że operują tylko tekstem wydanym przez British Bible Society³⁸⁷. Nasze rozmowy, których treści nie jestem w stanie powtórzyć, trwały przez dłuższy czas. Chyba się zaprzyjaźniliśmy. Zawsze były kawa i ciasto.

Co zdołałem stwierdzić i oni później potwierdzili: cała ich wiedza opierała się na pewnych miejscach w Biblii, które pozwalały na dosłowne odczytanie, choć oczywiście ich znaczenie w kontekście było inne niż to, które oni przyjmowali. Najlepiej do tego nadawały się teksty Starego Testamentu. Niepewnie czuli się w konfrontacji z komentarzami biblijnymi, zwłaszcza gdy występowały problemy filologiczne. Kiedy raz powołałem się na grecki słownik Zygmunta Węclewskiego³⁸⁸, usłyszałem, że przecież nawet Jezus ostrzegał przed fałszywymi prorokami.

Gdzieś może po miesiącu lub nieco później odbyło się nasze ostatnie spotkanie. Przyszli jak zwykle, ale nie chcieli już dyskutować. Pogadaliśmy po prostu,

³⁸⁷ British and Foreign Bible Society (Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne) – stowarzyszenie mające status organizacji charytatywnej. Jego zasadniczym celem jest popularyzacja Biblii na całym świecie. Powstało w 1804.

³⁸⁸ Z. Węclewski, *Słownik grecko-polski* (wielokrotnie wznawiany, pierwsze wydanie: 1869).

wypiliśmy kawę, a kiedy zabierali się do wyjścia, powiedzieli, że czuli się u mnie dobrze i wiele skorzystali. Co by to miało znaczyć, nie wiem. Starsi ministranci, którzy także ich znali, powiedzieli mi potem, że na tym terenie już się nie pojawiali. Wydaje mi się, że byli to mieszkańcy Szwederowa.

Z wydarzeń niezwykłych zapamiętałam kradzież u Józia Nowaczyka. O ile ja i Jurek Dąbrowski nie mieliśmy zwyczaju zamykać pokoiów na klucz, to Józio czynił to systematycznie i stale nas napominał, że kiedyś zostaniemy okradzeni. Było to akurat w czasie spowiedzi pierwszopiątkowej. Wszyscy byliśmy w kościele. Józio musiał skorzystać z łazienki. Zrzucił płaszcz w swoim pokoju i pobiegł. Łazienka była na końcu korytarza. Musiał nie zamknąć drzwi wejściowych i oczywiście także drzwi do swojego pokoju. Po chwili poszedł z powrotem do kościoła, niczego nie zauważywszy. Dopiero po kolacji narobił alarmu. Okazało się, że z szafy zginął szary prochowiec, nie ma też radia na baterie i jeszcze jakichś drobniaków oraz około 900 zł gotówką. Schował je w kieszeni innego płaszcza, ale złodziej miał dość czasu, by je stamtąd wydobyć.

Powiadomiliśmy zaraz milicję. Przybył na plebanię oficer dochodzeniowy w towarzystwie mundurowego, który był zarazem kierowcą emki, radzieckiego motocykla z przyczepą. Wypytywanie nic nie dało, nie znaleziono bowiem świadków, których, jak się później okazało, nie brakowało, ale nikt się nie kwapił ze składaniem zeznań. Następnego dnia ten sam milicjant przybył ponownie bardzo zakłopotany, komendant polecił mu za wszelką cenę ująć sprawcę i odzyskać skradzione rzeczy. Był tym formalnie zgnębiony.

Nic by z jego śledztwa nie wyszło, ale przypadkowo spotkany kościelny powiedział mi, że rozmawiał z kobietą, która wie, kto w tym czasie wchodził na wikariat, ale sama za żadne skarby nie złoży zeznań. Pozwoliła jednak posłużyć się jej informacją. Kościelny ofiarował się wskazać mieszkanie złodzieja.

Popędziłem z tym do pokoju, w którym urzędował detektyw. O mało mnie za tę wiadomość nie uściskał. Natychmiast pojechali z towarzyszącym mundurowym funkcjonariuszem pod wskazany adres. Zaskoczenie było całkowite. Znaleziono wszystko prócz radia, które już zabrał paser, zresztą kuzyn złodzieja. Odzyskano radio w jego mieszkaniu. Nasz milicjant miał jednak z powodu tej sprawy kłopoty. W mieszkaniu złodzieja zastał jakąś niewiastę, a ponieważ wszedł sam do mieszkania, bez świadków, owa pani na komendzie oskarżyła go o próbę gwałtu. Bardzo się tym martwił, obawiał się, że dotrze to do jego żony, a poza tym przypuszczał, że komendant nie był całkowicie przekonany, że tak nie było.

Mój pobyt w Bydgoszczy skończył się nieoczekiwanie. Byłem tego dnia po dyżurze nocnym, do szkoły miałem pójść dopiero o godz. 11.00, położyłem się więc na chwilę. Wtem wchodzi do pokoju Jurek Dąbrowski i oświadcza mi, podając jakieś pismo:

– Przynoszę ci hiobową wieść, od 15 listopada idziesz do Pleszewa, do parafii św. Jana.

Ledwo zdążyłem zapoznać się z dekretem, a tu wpada proboszcz, bardzo zdenerwowany i z wymówkami. Sądził, że prosiłem o przeniesienie. Wyprowadziłem go z błędu, proponując nawet, żeby interweniował w kurii na rzecz mojego pozostania w parafii. Wydaje się, że wreszcie uwierzył, ale nie przestawał biadać. Muszę przyznać, że było mi miło, świadczyło to o jego zadowoleniu z mojej pracy. Ale w skrytości serca byłem już ciekaw nowych ludzi, miejsc i rodzaju obowiązków, oświadczone mi bowiem w piśmie kurialnym, że będę przeznaczony do nauczania religii głównie w szkołach średnich i zawodowych.

Usiłuję podsumować ten krótki, zaledwie kilkumiesięczny, pobyt w Bydgoszczy. Dla mnie było to nowe doświadczenie. Zwłaszcza współpraca z kolegami nauczyła mnie, że nie można polegać tylko na sobie, do czego przywykłem w Gołańczy, że trzeba niekiedy zrezygnować z najślusznieszych nawet własnych inicjatyw, że parcie do ich realizacji za wszelką cenę wprowadza ferment, brak wzajemnego zaufania i uprzedzenia. Dla mnie ogromne znaczenie miało to, z jaką kulturą ksiądz proboszcz postępował w kontaktach z nami. Dopiero znacznie później przekonałem się, jak cenna i rzadka to rzecz. Jeden przykład. W konfesjonale musiało być dwóch księży o godz. 6.00. To był *onus*³⁸⁹, jak się wtedy mówiło, bo człowiek młody lubi dłużej pospać. Zdarzało się więc, że – wyłączając ks. Szymańskiego, będącego zawsze o czasie na miejscu – przychodziliśmy o piętnaście minut później. Proboszcz także zawsze był w konfesjonale przed 6.00. Kiedyś w czasie wieczornego spaceru wokół kościoła zauważył tonem żartobliwym:

– Muszę się starać, by ubiec księży obecnością w konfesjonale, a wcale to nie jest łatwe, no, chyba że niekiedy.

Zrozumieliśmy. Ale taka forma zwrócenia uwagi jest zawsze do przyjęcia. Muszę tu ze skrucą wyznać, że mając konfesjonał pod chórem, w mało widocznym miejscu, nieraz to właśnie ja wślizgiwałem się spóźniony. Jakoś to dostrzegał, choć niby pilnie czytał brewiarz.

³⁸⁹ *Lac. ciężar.*

Bardzo wychowawcze było powierzanie każdemu jakiegoś odcinka pracy, za który był on odpowiedzialny. Później, kiedy jako wikariusz byłem popychany to tu, to tam, niekiedy otrzymywałem polecenia w ostatniej minucie, co zmuszało do poniechania już zaplanowanych zajęć, zrozumiałem, czym były takt i poważne traktowanie nas przez ks. Rólskiego.

Innym profitem tego krótkiego pobytu była możliwość kontaktu z wieloma kolegami, głównie starszymi stażem. Miasto liczyło wówczas dwanaście parafii, w których w sumie pracowało 51 kapłanów, nie licząc rezydentów. Osamotnienie młodego księdza jest trudne do zniesienia. W Bydgoszczy to zupełnie odpadało. Tak się składało, że w całym ówczesnym składzie wikariackim z mojego rocznika było chyba tylko dwóch, reszta to starsi, niekiedy o kilka lat. Spotkania z nimi wspominam jak najlepiej. Ksiądz Kazimierz Kaczmarek³⁹⁰, podówczas wikariusz w parafii Świętych Piotra i Pawła i prefekt szkół średnich, o pięć lat ode mnie starszy, starał się gromadzić nas w celu omawiania spraw katechetycznych, a było nad czym radzić. Bardzo mi się to podobało, podobnie jak jego otwarta i koleżeńska postawa. Dziwiłem się, że niektórzy koledzy dopatrywali się w tym chęci przewodzenia czy pouczania nas. Później zawsze darzyłem go wielką sympatią.

W tej samej parafii był kolega z jego rocznika święceń (1952), ks. Wiesław Kreisner³⁹¹. Z nim miałem później bliższy kontakt, a spotkałem go po raz pierwszy, kiedy byłem po pierwszym roku seminarium, a on był diakonem na praktyce w Nakle. Chodziliśmy na spacer, on zawsze w sutannie i pelerynce, mimo gorącego lata. Mówiłem mu oczywiście *per* ksiądz. Wydawał mi się wtedy zbyt poważny i mało komunikatywny. Jakże się myliłem.

Nasze następne spotkanie było w Bydgoszczy. Potrzebowałem porady w jakiejś sprawie radiowej czy magnetofonowej, a Wiesio był w tym względzie specem. Wybrałem się do niego. To, co zastałem, zbiło mnie z nóg. Cały pokój, który zajmował, opleciony był drutami, zastawiony maszynérią. On sam w chałacie, zaaferowany, robił dla mnie miejsce. Zacząłem moją prośbę od słów:

– Czy ksiądz mógłby mi poradzić...

Przerwał mi:

³⁹⁰ Kazimierz Kaczmarek (1922–2003), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1952. Wikariusz w parafiach: Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Bydgoszczy 1952–1960 i NSPJ w Bydgoszczy 1960–1961. Proboszcz parafii w Inowrocławiu-Szymborzu 1961–1982, parafii św. Józefa w Inowrocławiu 1982–1990. Od 1990 na emeryturze.

³⁹¹ Wiesław Kreisner (1924–1990), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1953. Wikariusz m.in. w parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Bydgoszczy 1957–1962. Proboszcz parafii w Badęczu 1962–1976, Kcyni 1976–1990.

– Skąd tyś się urwał? Nie wiesz, jak mam na imię? Jedziemy, a właściwie ciągniemy ten sam wózek. Wio, kary!

I jak zwykle u niego, niewymuszony, serdeczny śmiech. Tłumaczył mi rozwiązanie mego problemu, ale nic z tego nie zrozumiałem. Przyjść do mnie nie obiecywał, bo nie miał chwili czasu. Wierzyłem mu. Później nieraz żartowaliśmy z tych naszych przechadzek klerycko-diakańskich nad Kanał Bydgoski. Ale cóż było wówczas robić? Diakon i kleryk na drugim roku to była przepaść. Może tak było lepiej?

W czasie tych samych wakacji przybył do parafii św. Stanisława w Nakle w charakterze wikariusza ks. Władysław Gatzek³⁹². Wyświęcony w 1947 r., był dla mnie nieledwie starcem. Toteż zwróciłem się do niego z prośbą, by mówił mi „ty” jak wszyscy inni księża. On mi na to:

– Następnego dnia po święceniach, kiedy się spotkamy, mówimy sobie wzajemnie *per ty*, a teraz jesteście obaj dorośli i traktujmy się odpowiednio.

Rzeczywiście, kiedy spotkaliśmy się po kilku latach w Pleszewie, od razu mi to przypomniał i odtąd był dla mnie Władkiem. Poświęcę mu później nieco więcej miejsca, bo był to człowiek nietuzinkowy. Te na pozór mało ważne wydarzenia wywarły na mnie bardzo silny wpływ. Nigdy do żadnego kleryka nie „tykałem”, podobnie do studentów, chyba że sami o to bardzo prosili. Ale były to przypadki sporadyczne. Dziś to całkowicie zanika i ktoś, kto uważa się za wyższego „rangą”, automatycznie pozwala sobie na siermiężny paternalizm w stosunku do niżej stojących. Bardzo mnie ta maniera razi u biskupów, wielu zaś po prostu zraża, nie ma bowiem to nic wspólnego z autorytetem, a wiele z kulturą bycia.

Miłe dla mnie, choć zupełnie przypadkowe, było spotkanie z Jurkiem Mrugasiewiczem. Moja siostra w tym czasie już bardzo ciężko chorowała. Niezbędne było lekarstwo, o które było bardzo trudno. Potrzeba była nagła, siostra bowiem miała wyjechać do Poznania na leczenie i koniecznie musiała mieć leki. Zdobyłem je późnym popołudniem, ale jak tu je dostarczyć do Nakła? Odległość niewielka, ale gdybym pojechał pociągiem, nie zdążyłbym wrócić tego samego dnia. Potrzebny był motocykl. Swój już sprzedałem.

Poszedłem do najbliższej parafii Świętej Trójcy popytać, czy ewentualnie któryś z kolegów by mnie nie zawiózł. Nie wiedziałem, że Jurek jest tam od niedawna wikariuszem. Jakież było moje zdziwienie, kiedy to właśnie on otworzył mi drzwi.

³⁹² Władysław Gatzek (1920–1982), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1947. Wikariusz w parafii w Szubinie 1947–1948. Administrator parafii w Inowrocławiu-Szymborzu 1953–1961. Proboszcz parafii w Lenartowicach 1961–1982.

Przybył wtedy do Bydgoszczy z Wysokiej, gdzie miał pierwszą placówkę. Opowiedziałem mu o swoim kłopotcie, a on bez słowa wstał, podszedł do regału i podał mi kluczyk oraz rejestrację motocykla WSK, mówiąc tylko, bym się pośpieszył, jeśli dziś chcę wrócić, bo już późno i pogoda marna. Zaniemówiłem.

Nikt tego nie zrozumie, kto nie uświadamia sobie, czym był wówczas motocykl. Dla wielu było to nieziszczalne marzenie, bo na talon, bo drogi itd. A kto już ten skarb posiadał, ten strzegł go jak żrenicy oka. Krążył wtedy taki żart. Na prośbę o pożyczenie motocykla właściciel jego odpowiada:

– Gdybyś mnie prosił o pożyczenie żony, tobym się zastanawiał, ale motocykla?!

Pojechałem i po dwóch godzinach byłem z powrotem. Jurek był nieobecny, więc oddałem motocykl pod opiekę któremuś z kolegów. Zdziwił się, że Jurek dał mi motocykl. W Bydgoszczy za mojej tam bytności więcej już się nie spotkaliśmy, bo wkrótce przeniesiono mnie do Pleszewa, ale drogi nasze stale się spletały aż do jego śmierci w 2000 r.

Epizodów bydgoskich było więcej. Co warto wybrać i kogo sportretować? To problem wszystkich wspomnień. Wypada jednak odejść od spotykanych wówczas ludzi, a skupić się na charakterystyce samej pracy parafialnej. Niełatwe to zadanie. Tak wielka parafia ze stosunkowo szczupłą obsadą niesie ze sobą znaczne obciążenia, a przede wszystkim szybką rutynizację. Praca jest niejako taśmowa. Na ogół nie ma niespodzianek i z góry wiadomo, co do kogo należy, ale za to trudno indywidualnie podchodzić do ludzi i spraw.

Przed wszystkim znało się tylko nieliczną grupkę parafian, reszta była anonimowa. Chrzty – jak mówił kościelny – zwłaszcza w drugie święta Bożego Narodzenia i Wielkanocy trwały do dwóch godzin, zwykle wczesnym popołudniem, w czasie mszy św. wówczas bowiem nie chrzczono. Kolejka par chrzcielnych ustawiała się w bocznych nawach. Jak w takiej sytuacji uniknąć „taśmowości” w sprawowanym obrzędzie? Śluby w takie święta, niekiedy też w zwykłe soboty, to też był strumień par podchodzących do ołtarza w odstępach potrzebnych na odejście od ołtarza pary już zaślubionej. Mowy nie było o tym, by skierować do pary jakieś osobiste słowa, poza zawartymi w rytuale.

Najgorzej było przyzwyczaić się do odbywanych taśmowo pogrzebów. Tutaj choćby dostosowanie się do nastroju było wręcz niemożliwe, a były sytuacje, kiedy nie można było po prostu, tylko odmówiwszy modlitwy, obojętnie odejść. Pamiętam kilka pogrzebów matek małych jeszcze dzieci. Widok maleństw wpatrujących się w niknącą pod grudami ziemi trumnę musiał wzruszyć każdego. Nadziwić

się nie mogłem, kiedy organista czy grabarz spoglądali na mnie z politowaniem, bo okazywałem wzruszenie. Kto potrafi się tego wyzbyć, czyni sobie wielką szkodę. Był na nią narażony każdy ksiądz w wielkiej parafii.

Mój pobyt w Bydgoszczy był na tyle krótki, iż wprawdzie wszystkie te problemy sobie uświadomiłem, nie zdołały one jednak zdeformować mnie jako człowieka i jako kapłana. Odtąd wiedziałem, że parafie giganty nie służą ani wiernym, ani pracującym w nich kapłanom. Jedni i drudzy tworzą sobie spaczony obraz duszpasterstwa i tego, czym się winno charakteryzować życie religijne. Nie chciałem być źle zrozumiany, toteż muszę dodać, że i w takich parafiach trafiało się wiele osób o bardzo wielkim wyrobieniu duchowym. Niekiedy, śmiem to twierdzić, nie znajdowały one odpowiedniego oparcia i kierownictwa u miejscowych, stale zabieganych i „załatwiających” różne sprawy kapłanów. Później, kiedy obserwowałem wikariuszy parafii wielkomiejskich, którzy „po pracy” zmieniali się w zupełnie innych ludzi – przystępnych, niemyślących bynajmniej schematami, mających czas na życie towarzyskie – brałem poprawkę na własne doświadczenia. Tylko nielicznym udaje się zachować w stu procentach własne „ja” w takiej właśnie sytuacji. Jeśli ktoś dojdzie do przekonania, że musi „odreagować”, a należy takiego człowieka w pełni zrozumieć, to staje się urzędnikiem niezwykle sumiennym w godzinach pracy, nic więcej.

Jako remedium zalecano nam odgórnie rekolekcje wyznaczane dla kapłanów podzielonych na określone grupy. Rozpoczynając drugi rok posługi duszpasterskiej, odbyłem takie rekolekcje, były zresztą obowiązkowe. Któż odważy się pisać o tym krytycznie? Poruszałem już sprawę rekolekcji seminaryjnych, ale te różnią się zasadniczo od kapłańskich. Wielu kolegów przyjeżdżało na nie z masą spraw do załatwienia, bo przecież był to też pretekst do spotkania. Inni, wyjąłowieni tkwieniem w samotności w jakiejś dziurze, szukali towarzystwa. Cóż zdrożnego w tym, że po naukach wieczorem koledzy usiądą do brydża czy jakiejś łatwiejszej gry. Regulamin tego nie przewidywał, ale przepis swoje, a życie swoje. Właściwie nie dziwiłem się tym, którzy schodzili się na grę lub pogaduszki; tych ostatnich było więcej. W końcu była to jedna z nielicznych okazji, by podzielić się wiadomościami, niekiedy zasięgnąć rady, ale też obowiązywały skupienie, *silentium*, medytacja.

Wielu księży, może większość, w tym uczestniczyło. Im więcej upływało lat, tym bardziej się przekonywałem, że rekolekcje zaordynowane i egzekwowane przez kurię nie spełniają swojej funkcji. Wprawdzie można było przynieść zaświadczenie, że odbyło się je np. na Jasnej Górze, mimo to większość wolała jechać do Gniezna,

co było pod wieloma względami łatwiejsze i tańsze. Co stamtąd wynosili? Mając naturę dociekliwą, a przy tym nieco przekorną, pytałem niektórych kolegów, co z rekolekcji pozostaje na dłużej. Różne były odpowiedzi, przeważnie podkreślano jakość retoryki rekolekcjonisty, trafne i ciekawe przykłady. To samo zazwyczaj mówi przeciętny wierny, który z uwagą wysłuchał nauk. Wydaje się to jednak za mało, zwłaszcza że – co tu ukrywać – treść nauk bywała przeważnie banalna. Powtarzano sprawy, które każdy ksiądz znał od podszewki, może nawet w bardziej urozmaicony sposób. Na dobrą sprawę, co nowego może powiedzieć księdzu rekolekcjonista? Zwłaszcza gdy jest to zakonnik, który parafii nie zakosztował, a jeśli już, to w większym gronie konfratrów? Nie o to chodzi. Rekolekcje kapłańskie muszą poruszyć to, co faktycznie ksiądz przeżywa, co go boli, i nie można tutaj cofać się przed wysłuchaniem jego pytań. Na to przeważnie nie było czasu albo brakowało nadziei, że kaznodzieja potrafi wnikać w to, co trapi kapłana, i nie tylko powiedzieć mu: „powinieneś”, ale dodać, jak to zrobić, by było lepiej.

Rozmawialiśmy w gronie kolegów, czy nie byłoby dobrze, gdyby biskup, ordynariusz czy sufragan pojawił się codziennie na godzinkę lub dwie, by dać księżom okazję do rozmowy, nie zza biurka kurialnego. Wielu się do tego zapaliło, ale powstała wątpliwość, czy istnieje w ogóle schemat takiej rozmowy, czy ona nie przerodzi się w mentorstwo, które zamknie tej słabszej stronie usta. Może to wszystko było tylko młodzieńczym zapałem reformatorskim, ale coś w tym było. Między górą a dołami za wiele było dekretów, za mało rozmowy. Ciekawe, czy po tej degrengoladzie cyrkumskrypcyjnej lat dziewięćdziesiątych, której końca nie widać, a która miała rzekomo przybliżyć pasterza do owiec, nastąpiło rzeczywiste zbliżenie, choćby tylko między nim a jego pomocnikami, bo tak można określić szeregowych kapłanów. Osobiście jestem przekonany, że takie rozmowy zaufania z hierarchą w momencie topnienia pewnych złodowaciałości pod wpływem łaski Bożej, jaka w każdych rekolekcjach jest obecna, udaremniłyby wiele nieszczęść. Jeśli nie z hierarchą, to z ojcem duchownym. Każdy biskup z urzędu jest nim przecież.

Institucją, której do końca nie zgłębiłem, były egzaminy wikariuszowskie. O proboszczowskich nie chcę się wypowiadać, bo ich w ogóle nie doświadczyłem. Była to fikcja i to z dwóch powodów. Po pierwsze, nawet niezdanie takiego egzaminu nie powodowało dotkliwych sankcji, a jakie w ogóle wchodziły w rachubę, nie jest mi wiadome. Na pewno odsunięcie nominacji na samodzielną placówkę, ale też nie wszyscy za tym tak bardzo tęsknili. Po wtóre, księża nie mieli czasu na powtarzanie całego *pensum* seminaryjnego, a pytano jak w seminarium, według

traktatów teologicznych. Trzeba było przedłożyć także ileś napisanych przez siebie kazań, a sprawdzał to biskup podczas każdej wizytacji.

Ponieważ przez jakiś czas pisałem kazania, co zresztą negatywnie wpływało na ich jakość, pożyczano ode mnie skrypt i dawano inną okładkę z nazwiskiem delikwenta. Pewnego razu bp Bernacki odsunął go z obrzydzeniem, mówiąc, że dziwi go, jak wielu księży ma ten sam charakter pisma, te kazania oglądał już wiele razy, a ponadto należy oddać rękopis właścicielowi, bo zaraz się rozpadnie. A więc wiedział.

Zwykle na egzaminie był właśnie ów biskup. Miał on w dogmatyce kilka koników, m.in. interpretację nauki o grzechu pierworodnym. Lubił wkraczać *in medias res*³⁹³ z podchwytliwym pytaniem, na które wszyscy czekali jak na wybawienie, bo oznaczało to koniec egzaminowania przez ks. Wollschlaegera. Pytany lubował się rozwlekłością odpowiedzi, zawsze po myśli poglądów biskupa, aż wreszcie profesor pytający z rozpaczą w głosie przypominał, że mają jeszcze tyłu a tyłu do przepytania. Biskup wtedy dobrotliwie się uśmiechał i kończył pytanie zwykle uwagą:

– Musiał sobie to gdzieś dobrze przeczytać, bo mówił jak nut.

Rzecz w tym, że dopóki pracowała giełda, wcale nie musiał nigdzie czytać.

Z liturgii miałem pytanie postawione z powagą przez księdza infułata Raitera: ruchy rąk i nóg przy ołtarzu. Zapytałem, czy mogę zademonstrować. Po chwili wahania zgodził się. Koledzy, którzy zdawali przy sąsiednich stołach, krztusili się od śmiechu. Zdałem, choć nie pamiętam stopnia. Już ten pierwszy egzamin wikariuszowski wzbudził we mnie wielką frustrację. Zadałem sobie pytanie, po co to i czy tak się musi odbywać. Rozmawialiśmy z Jurkiem Dąbrowskim, który miał opinię o wiele bardziej dosadną niż ja, ale mówił mi, że nie warto tu swego zdania ujawniać, bo pomoc nie pomoże, a adnotacja o pysze może zaszkodzić. To był człowiek konsekwentny, dlatego został biskupem. Czy wówczas także miał podobne poglądy na temat egzaminów *pro approbatione*³⁹⁴, bo taka była ich oficjalna nazwa? Któż to wie?

Czy były one bez sensu? W żadnym wypadku. Chodziłoby o to, by ich przedmiotem uczynić rozsądnie wybrane partie materiału, a przede wszystkim nowo pojawiające się problemy teologiczne, które byłyby służebne wobec zadań duszpasterskich. Słyszałem, że egzamin prefektowski bardziej był zbliżony do takiej postaci. Na ile – tego nie wiem. Oczywiście bywali księża, którzy sami czytali i pogłębiali wiedzę, ale nie słyszałem, by działało to na ich korzyść na egzaminie, w życiu owszem. Któż

³⁹³ Łac. w środek spraw.

³⁹⁴ Łac. ostatni egzamin przed święceniami.

jednak o tym wiedział? Na zasadzie takiego rozwarcia między kompetencją księży a kreowaniem geniuszy diecezjalnych, którzy często po kosztownych studiach zagranicznych niczym się później nie wykazali, aczkolwiek wszystko wskazywało na to, że byli zakwalifikowani do grupy *idonei*³⁹⁵, czyli – w trochę siermiężnym tłumaczeniu – mądrali. Zawsze bardzo szanowałem kolegów, którzy w trudnych warunkach nie wypuścili z rąk książki, niekiedy zgromadzili potężne i cenne księgozbiory. Przeważnie bywali niezauważeni. Opowiem choćby o kilku.

Wspomniany tu już ks. Gatzek (od dawna spoczywający w grobie) miał wprawdzie słabość do *liquores*³⁹⁶, ale wiem dobrze, bo często go odwiedzałem, kiedy był proboszczem w Lenartowicach pod Pleszewem, że przyczyną tego była słaba wola, kiedy znalazł się w miłym towarzystwie. Ludzie go cenili, bo nawet mało zaznajomieni z szerszym katechizmem spostrzegali, że w jego kazaniach nie ma pustosłowia. Jego hobby była literatura... Niejedna szkoła chciałaby dziś mieć taki księgozbiór, jaki on posiadał. Władał biegle niemieckim, czytał po francusku. Erudycja jego mogła wpędzić w kompleksy niejednego specja uniwersyteckiego. Był wiejskim proboszczem, bo miał tę wiadomą słabość. Spytałem go, czy gdyby dano mu zajęcie odpowiadające jego zdolnościom, byłoby inaczej? Zaśmiał się. Powiedział:

– Nie krytykuję biskupa, bo co do mnie – ma rację, ale gdyby chciał, mógłby mi pomóc, bo ja ponad wszystko kocham pracę, na której się znam.

Nie dano mu tej szansy, choć w seminarium tak bardzo był potrzebny ktoś, kto przybliżyłby klerykom kulturę współczesną, nie mówiąc o kaznodziejstwie z prawdziwego zdarzenia. A znał się na tym jak mało kto. Przeoczenie czy odfajkowanie kogoś, kto może tylko potrzebował gestu, rozmowy... Odrobiny współczucia. Odwiedzałem go w czasie mych studiów. Zawsze cieszył się, mawiał:

– Pokaż, że coś potrafisz, i nie myśl, że inni potrafią lepiej niż ty.

Umówiłem się z nim na kolejne spotkanie w czasie ferii gwiazdkowych. Niestety, 10 listopada 1982 r. po wylewie krwi do mózgu zmarł. To był człowiek nieszczęśliwy, nie wiem, z jakiej przyczyny bardziej – czy z racji swej słabości, czy też niewykorzystania, odsunięcia w cień.

Nie był to przypadek odosobniony, choć nieraz udało się komuś dopiąć swego. 24 marca 2004 r. odszedł od nas do wieczności mój kursowy kolega, ks. Jan Tadych, doktor teologii, kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie, ostatnio i do

³⁹⁵ *Łac. idoneus* – zdatny, zdolny. W języku kościelnym – dobrze przygotowany.

³⁹⁶ *Łac. alkohol*.

swej śmierci proboszcz w Żydowie. Był to jeden z łobzeniczaków i moich współtowarzyszy podróży na trasie Nakło–Gniezno i odwrotnie. Pracowity i pełen pomysłów, utalentowany muzycznie. Kończył Niższe Seminarium w Gnieźnie, dające maturę bez praw państwowych. To zamykało po święceniach drogę do dalszego kształcenia się na uczelniach wymagających matury państwowej. Jasio dojeżdżał więc do liceum dla dorosłych i zdał maturę, myśląc, że to mu otworzy drogę do upragnionych studiów. Tak się nie stało. Dlaczego? Może po prostu nie miał dojścia do tego, który wprowadzał do sadzawki Siloe, a może też zbyt objawiał chęć dalszego kształcenia się i miał takie nieszkodliwe wpadki, jak np. zgłoszenie chęci dyrygowania chórem katedralnym na pogrzebie księdza kanonika Tłoczyńskiego. Poczytano mu to podobno za akt zarozumiałstwa, choć intencja jego była zgoła inna, a jakiś tam tytuł do dyrygowania miał, w seminarium bowiem prowadził scholę klerycką i był prawą ręką zmarłego kanonika. Nie trafił nawet na ławkę rezerwowych.

Kiedy w drugiej połowie lat sześćdziesiątych odwiedzałem go we Wszemborzu pod Wrześnią, gdzie był proboszczem, radził się, gdzie można by trochę na własną rękę postudiować? Interesowała go liturgika. Udzieliłem pewnych wskazówek i ułatwiłem kontakty na ATK. Od księdza prymasa otrzymał pozwolenie na studia zaoczne. W krótkim czasie zrobił magisterium i prawie bezzwłocznie zaczął myśleć o doktoracie. Wielokrotnie przyjeżdżał choćby na kilka godzin do Lublina, by skonsultować pewne problemy, zwłaszcza metodologiczne. Wreszcie promocja doktorska zakończyła tę pełną samozaparcia drogę do wiedzy. Potrafił tę wiedzę we właściwym miejscu pokazać i chyba zrezygnował z rezerwy, która przez dziesięciolecia go gnioła, bo w 1994 r. został kanonikiem gremialnym Kapituły Archikatedralnej w Gnieźnie. Bez względu na to, jak kto ocenia godności i wyróżnienia w Kościele, to jednak godność kapitulna ma w sobie duży багаż tradycji historycznej i chyba ciągle jeszcze daje możliwość współudziału w rządach diecezją. Nie jest to zatem godność tylko honorowa. Udało mu się i wielu wraz z nim się cieszyło. Innym było żal, że nie zdobyli się na taki ogrom pracy. To ludzkie, normalne. Można by wyliczyć spory poczet kolegów, którzy na drodze do tytułów naukowych mniej lub bardziej się wspięli, nieliczni dotarli do celu, ale drugiej takiej determinacji, wbrew wszystkim przeciwnościom, jaką wykazał Jan, nie potrafiłbym wskazać.

Niektórym w taki czy inny sposób tę drogę jednak zamknięto. Dziwić się nie można, biskup przede wszystkim musi dbać o zaspokojenie potrzeb duszpasterskich, kiedy zatem widzi, że kapłan proszący o skierowanie na studia, nawet zaoczne, mógłby im uchybić, powinien petentowi rzecz tę wytłumaczyć. Trzeba

przyznać, że w mojej diecezji zezwoleń tych na ogół nie odmawiano, ale też proszących o nie nie było wielu.

Jednego z kolegów ja sam skłoniłem, by na tę drogę dodatkowego wysiłku wszedł. Był to mój przyjaciel, o którym już wspominałem i jeszcze nie raz do niego powrócę, Jurek Mrugasiewicz. Odwiedziłem go w Bydgoszczy w 1964 r. w parafii Matki Bożej Nieustającej Pomocy, dokąd właśnie wtedy przyszedł na wikariat. Potem, kiedy kończyłem w 1965 r. moją pracę doktorską i przebywałem na urlopie naukowym w Nakle, bywałem u niego częściej. Zdumiały mnie jego księgozbiór i zainteresowania. Medycyna, psychologia, pedagogika. Kiedyś zaprosił mnie na spotkanie z kółkiem młodzieży szkół średnich. Był prefektem, ale do swych zadań podchodził głównie od strony duszpasterskiej, toteż katecheza miała przedłużenie w kościele albo w kręgach przyjaciół. Dyskusja przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Poruszane były tematy i padały wypowiedzi świadczące o wielkim odczytaniu, a przede wszystkim o inspiracji kapłana. Przy kolejnym spotkaniu zasugerowałem koledze, że powinien podjąć starania o studia zaoczne. Odniósł się do tego niechętnie, a wreszcie powiedział, że chciał się uczyć, ale podstawiono mu nogę. Wiedziałem nawet kto, ale przecież nie można było rezygnować. Jurek wtedy bardzo się zdenerwował:

– Kto nie potrafi mizdrzyć się, całować klamki, skrzętnie ukryć własnego zdania, jeśli je posiada, nie ma co marzyć o otrzymaniu jakichkolwiek możliwości własnego rozwoju.

Nie miałem żadnej z tych cnót, wręcz przeciwnie, uważany byłem za człowieka zbyt pewnego siebie, co należy rozumieć, że niepotrzebnie rozgłaszałem, co o tym czy tamtym sądzę. Mimo to poszedłem na uniwersytet, *notabene* wbrew własnej chęci. Nie przerywałem mu, bo w gruncie rzeczy miał rację, a moje pójście na studia to był „wypadek przy pracy”. Na czym polegał, o tym opowiem później.

Po dość ponurym monologu Jurka wróciłem do mojej propozycji i podjąłem się orędować za tą sprawą. Zgodził się z oporami. Zezwolenie na studia zaoczne otrzymał bez trudu. W Lublinie omówiłem sprawę z ks. Władysławem Piwowarskim³⁹⁷, który gotów był spotkać się z Jurkiem. Zmobilizowałem go, dopilnowałem,

³⁹⁷ Władysław Piwowarski (1929–2001), ksiądz diecezji warmińskiej. Świecenia kapłańskie 1958. Wikariusz w parafii w Giżycku, Trumiejkach, Nowej Wiosce i Juktach. Doktorat z filozofii chrześcijańskiej 1961, od tego roku pracownik KUL; habilitacja 1967; profesor nadzwyczajny 1973; zwyczajny 1982. Dziekan Wydziału Teologii KUL 1971–1972 i Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej 1973–1974. Kano-nik kapituły warmińskiej we Fromborku.

by przywiózł swoje liczne wypisy z lektur, a miał ich więcej niż na trzy prace magisterskie. Po tym spotkaniu ks. Piwowarski rzekł do mnie:

– Czy zdajesz sobie sprawę, że ten kolega mógłby bez trudu zrobić doktorat w przedmiocie *Analizy socjologiczne postaw religijnych współczesnej młodzieży licealnej*?

Tak to mniej więcej brzmiało. Powiedziałem na to, że mowy nie ma o umożliwieniu mu choćby dwuletnich studiów. Praca nad magisterium jednak ruszyła i była daleko posunięta, kiedy jesienią 1967 r. Jurka wysłano na parafię w Winnejgórze. Załamał się. Próbował tłumaczyć, prosił o niecały rok, by mógł dokończyć prawie gotową pracę, ale usłyszał, zamilczę od kogo, że magisterium to jego prywatna sprawa. Widocznie prywatną sprawą była też owocna i nowatorska praca z młodzieżą.

W Winnejgórze było mu dobrze, o tym jeszcze opowiem, bo i mnie tam było dobrze, choć przede wszystkim trzeba było chwycić za kielnię i młotek. Jurek później nieraz się śmiał, bijąc młotem w jakąś zmurszałą ścianę. Mówił:

– Widzisz, właśnie robię magisterium.

Może by je zrobił, ale po prostu zobaczył, że nikogo nic to nie obchodzi, a on staje nagle jak dziecko, któremu rozdeptano babkę z piasku, bo cóż to dla dorosłego człowieka. Później niejednokrotnie miałem się przekonać, że Kościół to wielka potęga, nie musi się liczyć z ludźmi, których mógłby wykorzystać na pożytek własny i innych.

Daleko odbiegliśmy od egzaminów wikariuszowskich. Ale chyba nie tak zupełnie bez sensu, wszak one także podobno miały służyć podnoszeniu kwalifikacji, z tym że w sposób kanonicznie porządkowany, a opowiedziane zdarzenia to ponadnormatywna inicjatywa prywatna (trochę ten język jakby zbyt peerelowski, ale i tamto działało się w PRL).

Mój pobyt w Bydgoszczy skończył się definitywnie, do tego miasta już na żadną placówkę nie wróciłem. Pojechałem najpierw, jak wypadało, do Pleszewa, by się przedstawić proboszczowi, który też dopiero co objął parafię św. Jana Chrzciciela po zmarłym ks. Sylwestrze Kineckim³⁹⁸. Był to ks. Julian Badiński³⁹⁹. Nie znaliśmy

³⁹⁸ Sylwester Kinecki (1911–1958), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1938. Administrator parafii św. Marii Magdaleny w Kwieciszewie 1945. Wikariusz w parafii archikatedralnej w Gnieźnie 1946–1949. Administrator, a następnie proboszcz parafii Ścięcia św. Jana Chrzciciela w Pleszewie 1949–1958.

³⁹⁹ Julian Badiński (1910–1983), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1934. Wikariusz w parafii Gniezno Miasto 1934–1939. Administrator kaplicy publicznej domu ss. miłosierdzia św. Elżbiety, a następnie proboszcz parafii Łopienno 1939–1958. Proboszcz parafii Ścięcia św. Jana Chrzciciela w Pleszewie i dziekan dekanatu pleszewskiego 1958–1983. Kanonik gremialny Kapituły Kolegiackiej w Kruszwicy od 1963.

się, choć spotykałem go niekiedy na odpuscie w Dąbrówce Kościelnej. Któżby jednak zapamiętał kleryka? W Pleszewie przyjął mnie dość ozięble, bardzo urzędowo, nie zatrzymywał. Wizyta się odbyła i wracaj, skąd przyjechałeś. Poszedłem do kolegi, ks. Stanisława Bryjaka⁴⁰⁰, który był w parafii wikariuszem już od roku, zatem za czasów ks. Kineckiego, dla którego miał wręcz bałwochwalczy podziw; nie bez racji.

Stasia znałem bardzo dobrze, był o rok niżej ode mnie w seminarium. Solidny, prostolinijny, trochę nieufny, w pracy niezawodny, nie lubił żadnych komplikacji i zawiłości. Staliśmy się później dobrymi przyjaciółmi. Otóż Stasiu z własnej inicjatywy, prosząc usilnie, bym się nie uprzedzał, poinformował mnie, że ks. Badziński otrzymał na mój temat bardzo negatywne referencje od swego wikariusza w Łopiennie, z którego się do Pleszewa przenosił. Ów ksiądz, mniejsza o nazwisko, dawno nie żyje, bardzo chciał z nim przejść do Pleszewa. Choć Badziński nie zdradzał gotowości zabiegania o to, do mnie się uprzedził. Wyznał Stasiowi, że wprost się mnie obawia, sam zaczyna pracę w tej parafii i chciałby mieć współpracowników uległych.

Myślę, że te niedyskrety były celowe. Miałem się tą drogą dowiedzieć, na jakich warunkach widzi on naszą współpracę. Wtedy byłem jednak bardzo zaniepokojony, jak ognia bałem się konfliktu z proboszczem. Przy tym wiedziałem, że jego serdecznym przyjacielem był ks. Hieronim Goździewicz⁴⁰¹, sekretarz prymasa Wyszyńskiego. Dodam, że faktycznie bywał on w Pleszewie stosunkowo często, ale na nasze relacje z proboszczem miało to wpływ zdecydowanie dodatni. Ksiądz Goździewicz okazywał nam, Stasiowi i mnie, wiele sympatii. Moje obawy okazały się płonne.

Po powrocie do Bydgoszczy zacząłem zbierać informacje o moim przyszłym szefie. Rólski już się na mnie nie dąsał, dał się przekonać, że nie prosiłem o przeniesienie, ale o Badzińskim wiedział niewiele. Różnica pięciu lat, jaka między nimi była (święceń – cztery lata), i nieco inne losy obu – Badziński całą wojnę był w Dachau – decydowały o braku kontaktów między nimi. Zresztą Rólski nigdy

⁴⁰⁰ Stanisław Bryjak (ur. 1930), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1958. Wikariusz w parafii Ścięcia św. Jana Chrzciela w Pleszewie 1958–1965, św. Jakuba w Wągrowcu (fara) 1965–1971. Proboszcz parafii w Świnarach 1971–1984, w Żoniu 1984–2001. Od 2001 na emeryturze.

⁴⁰¹ Hieronim Goździewicz (1911–1984), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1934. Doktor prawa kanonicznego. Duszpasterz w Chile 1941–1946. Od 1947 pracownik SPP: referent-audytory 1947–1961 i kierownik 1961–1984. Jeden z najbliższych współpracowników prymasów: Hlonda, Wyszyńskiego i Glempa. Informator, tajny współpracownik aparatu bezpieczeństwa ps. „Heniek” 1951–1958 (z przerwami). Ostatecznie uwolnił się od współpracy, dekonspirując się przed prymasem Wyszyńskim i bp. Choromańskim w 1962. Od tego czasu aż do śmierci był intensywnie rozpracowywany i inwigilowany przez SB.

o nikim nic negatywnego by nie powiedział. Inni kiwali głowami. Owszem człowiek energiczny, dobry duszpasterz, ale żelazna ręka. Takie też robił wrażenie.

Parafia pw. Ścieścia św. Jana Chrzciciela w Pleszewie

Do Pleszewa zjechałem z moimi walizkami i dwiema skrzyniami 15 listopada 1958 r. Zgodnie z obietnicą daną mi w czasie wizyty złożonej proboszczowi, o czym była już mowa, zastałem przygotowany dla mnie pokój na wikariacie, tuż obok biura parafialnego, które zajmowało dwa dalsze pomieszczenia, a końcowy pokój od pl. Kościelnego należał do Stasia. Była jeszcze wspólna łazienka i kuchnia. Można było mówić o luksusie.

Jadaliśmy na plebanii. Wieczorem, jak już się wprowadziłem, zajrzał do mnie proboszcz, by się przywitać, wrócił bowiem z jakiejś krótkiej podróży. Spytał, czy mi odpowiada umebłowanie. Owszem, było wystarczające, ale przy drzwiach stało stare czarne pianino. Poprosiłem, by je wyniesiono, gdyż chciałem zainstalować sobie dodatkowy regał na książki. Ksiądz Badziński zaraz zmienił ton z jowialnego na oficjalny i powiedział, że mieszkanie wikarego ma standardowe wyposażenie, które nie może być zmieniane na życzenie chwilowego rezydenta. Spytałem, z pewnością niepotrzebnie, czy proboszcz tak daleko sięgającej władzy nie posiada, by instrument z pokoju zabrać. Zrobił się purpurowy na twarzy, pokiwał głową i mruknął:

– Słowem, sprawdza się.

Co? Mogłem się tylko domyślać. To nieszczęsne pianino było wkrótce powodem bezsensownej scysji z proboszczem. Zawiniliśmy obaj, ja może bardziej niż on. A rzecz miała się następująco: wróciłem któregoś dnia z lekcji i nie zastałem w pokoju instrumentu. Klucz od mego pokoju mieliśmy tylko ja i pani Kasia, która była kimś w rodzaju gosposi wikariuszy. Ustaliliśmy z nią, że nikomu bez mojej wiedzy go nie udostępni. Nalegałem na to, gdyż pewnego dnia, kiedy pracowałem przy biurku, do mego pokoju weszli ksiądz proboszcz z jakimś panem i nie zwracając na mnie najmniejszej uwagi, zaczęli oglądać pianino i coś cicho szepotali. Przeczuałem, że coś planowano, stąd moja prośba do gospodyni. W końcu miałem prawo do jakiejś prywatności.

Okazało się, że proboszcz posłał po nią i musiała otworzyć drzwi, mimo że się wzbraniała i prosiła, by poczekano na mój powrót ze szkoły. Zjawiła się tuż po moim wejściu do mieszkania i roniąc łzy, przedstawiła mi całą historię. Uspokoilem ją, ale pomyślałem, że dam do zrozumienia proboszczowi, iż to ja chwilowo jestem panem swego kącika.

Podczas kolacji oświadczyłem gospodyni proboszcza, że ukradziono z mojego pokoju pianino, zatem muszę się porozumieć z księdzem proboszczem w tej sprawie. Gospodyni, dobra kobieta, ale bardzo przewrażliwiona, zaczęła lamentować i chciała natychmiast telefonować na milicję. Stanowczo jej to odradziłem, przypominając, że prosiłem ją tylko o powiadomienie nieobecnego właśnie proboszcza.

Wszystko, co w tej sprawie zrobiłem, było błędem, to przyznaję. Następnego dnia przy śniadaniu proboszcz bardzo się uniósł i mnie zwymyślał. Wysłuchałem tej tyrady spokojnie, ale kiedy on coraz bardziej się zapalał i podnosił głos, wtrąciłem, już także poirytowany, że mam silniejszy głos niż on, zatem nie warto imać się takich argumentów jak krzyk, lepiej natomiast sobie wyjaśnić, co należy rozumieć pod pojęciem kulturalnego współżycia lub choćby współegzystowania. Na to spokojnym już tonem wyłożył mi swój punkt widzenia, według którego wikariusz miał tyle praw, ile mu proboszcz udzielił, a mieszkanie wikarego jest pod kontrolą proboszcza, może on zatem wchodzić, kiedy tylko chce, nikogo o nic nie pytając. Wskazał mi też kurie, gdzie mogłem w tych sprawach zasięgnąć bliższych informacji. Odpowiedziałem na to tylko radą, by dokładnie zapoznał się z ordynacją wikariuszowską. Coś tam jeszcze wspomniał o moich skłonnościach do wszczynania nieporozumień, „o czym w Gołańczy dobrze wiedzą”. Cios był poniżej pasa. Było to zwykłe oszczerstwo, zatem nic już nie mówiąc, opuściłem jadalnię. Na odchodnym gospodyni wylała na mnie swe żale za to, że ją bezwstydnie ołgałem, co nie przystoi księdzu.

Następnego dnia po śniadaniu, które upłynęło w grobowej atmosferze, ksiądz proboszcz poprosił mnie do pokoiku obok jadalni i bardzo uprzejmie, cichym głosem rozpoczął swój komentarz do wczorajszego. Przyznał, że postąpił niewłaściwie z tym pianinem, ale pan, który je zabierał, nie chciał czekać, a on nie wiedział, kiedy wracam ze szkoły. Perswadował mi, że przecież musimy zgodnie pracować i że on tego bardzo pragnie. Ponieważ cały czas milczałem, zapytał mnie wprost, co o tym sądzę. Wstałem i powiedziałem:

– Róbmymy tak na przyszłość, a wszystko będzie dobrze.

Był bardzo zadowolony, kilka razy jeszcze zapytał, czy poważnie tak myślę, na co mu odrzekłem, że od początku pobytu w Pleszewie czuję jakiegoś jego uprzedzenie do mnie i stąd to całe zamieszanie. Zapewnił mnie, że jeśli takowe było, to koniec z tym. Na tym sprawa się skończyła. Odtąd nie mieliśmy już żadnych zadrażnień, choć ks. Badziński nie lubił ani mnie, ani Stasia. Wprost odczuć nam tego nie dawał, ale to się po prostu wiedziało. Satysfakcji doznaliśmy po wielu

latach, kiedy ktoś z bliższych pleszewskich znajomych ks. Badzińskiego powtórzył mi jego słowa:

– Tamci dwaj pierwsi mieli twarde karki, ale o nic nie musiałem się martwić ani do roboty ich zapędzać, wiedzieli, co do nich należy.

Niepotrzebne i dla nas obu, proboszcza i mnie, bardzo niemiłe zdarzenie zapewne nie miałoby miejsca, gdyby proboszcz nie był do mnie uprzedzony, a to z kolei zawdzięczałem koledze, z którym, *notabene*, nigdy nie miałem bliższej styczności, nie licząc pobytu w seminarium i jego odwiedzin w parafii leżącej blisko Nakła, co niekiedy w czasie wakacji sprawiało, że przelotnie się spotykaliśmy. Ksiądz Badziński był wymagający, ale na ogół sprawiedliwy i doceniał naszą pracę. Lubił jednak akcentować swą pozycję, co nam specjalnie nie przeszkadzało. Gdyby nie krecia robota tego kolegi, od początku między mną a proboszczem panowałaby harmonia, której później do końca mego pobytu w parafii nie brakowało. Najgorsze w tym wszystkim jest to, że takie małe scysje pozostawiają zawsze jakiś osad, który w pewnym momencie daje znać o sobie. Tak było w momencie, kiedy będąc już w sąsiedniej parafii św. Floriana, stałem się mimowolnym uczestnikiem zamieszania wokół zmiany na stanowisku proboszcza. Ale o tym później.

Któregoś z pierwszych dni mojego pobytu w parafii przy i po śniadaniu omawialiśmy z proboszczem nasz program pracy. Miałem w moim dekrete przeznaczenie do nauczania religii w liceum ogólnokształcącym i w szkole zawodowej. Był jeszcze dom poprawczy. Proboszcz musiał to zaakceptować, bo była to decyzja kurialna, ale poprawczak postanowił sam obsługiwać. Otrzymałem nadto lekcje religii w niektórych siódmych klasach Szkoły Podstawowej nr 1 i Szkoły Podstawowej nr 2.

Parafia św. Jana liczyła około 10 tys. wiernych, obejmowała siedem wsi i dwa kościoły. Obok parafialnego – poewangelicki kościół pw. Zbawiciela. W mieście była druga parafia pw. św. Floriana u wylotu ul. Poznańskiej, licząca około 3 tys. wiernych, w jej posiadaniu był drewniany kościółek na cmentarzu. Obsługiwał ją proboszcz ks. Jan Szmelter⁴⁰². W 1961 r. zostałem pierwszym wikariuszem w tej parafii.

Można sobie łatwo wyobrazić, ile pracy przypadało na każdego z nas. Dla porównania, w 1985 r. w Pleszewie były trzy parafie, obsługiwane przez ośmiu księży, przy ogólnej liczbie wiernych około 16 600. Liczba wiernych zatem wzrosła

⁴⁰² Jan Szmelter (Schmelter) (1913–1993), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1939. Administrator parafii św. Floriana w Pleszewie od 1953–1961. Wikariusz m.in. w parafii Świętej Trójcy w Bydgoszczy od 1966. Na emeryturze od 1973.

w tym czasie o około 21 proc, liczba zaś kapłanów o 100 proc. Lekcje religii do 1960 r. odbywane w szkołach, później zaś w punkcie katechetycznym położonym w olbrzymim domu parafialnym, zabierały gros czasu. Trzeba było dbać o takie ułożenie planu lekcyjnego, by nie kolidowało to z poranną spowiedzią, która trwała niekiedy do godz. 9.00. W pierwszy piątek miesiąca trzeba było odwiedzić około dwudziestu, niekiedy więcej, chorych w mieście i na wsiach. Proboszcz mówił, że duszpasterstwo jest na pierwszym miejscu, kierownicy i dyrektorzy szkół przypominali, że księża dostają pensję, więc obowiązuje dyscyplina pracy, choć religia jest przedmiotem nadobowiązkowym. I mieli rację.

Dyrektor liceum pan Jachowski był człowiekiem życzliwym, ale chyba niezbyt dobrze notowanym w partii, do której nawet nie wiem, czy należał, dlatego rzadko można było go widzieć uśmiechniętego, a często z troską na twarzy. Zaraz na początku wziął mnie na rozmowę i próbował wy badać, jak sobie wyobrażam pracę w jego szkole. Napomknął o poprzedniku, ks. Czesławie Wojciechowskim⁴⁰³, który siedział w latach pięćdziesiątych w więzieniu, bodaj do 1956 r. Wyrok dostał za jakąś tajną organizację, w której jakoby uczestniczył lub której kapelanował. To był swego czasu głośny proces kcyński. Sporo młodzieży powędrowało wtedy za kratki. Ksiądz Wojciechowski nie miał zahamowań i o swoich przeżyciach lubił opowiadać, a młodzież, wiadomo, jest ciekawa sensacji i łatwo się zapala. Nie dziw, że kiedy powiedziałem dyrektorowi, że nie mam w zanadrzu takiego programu katechetycznego, a ponadto przyznałem się lojalnie, że w szkole średniej uczę po raz pierwszy i każda wskazówka dyrektora będzie dla mnie cenna, uspokoił się zupełnie. Zawsze dyskretnie mi sprzyjał.

Dyrektora zawodówki, pana Komorowskiego, znałem nawet bliżej, choć nie jestem całkiem pewien poprawności podanego tu nazwiska. W każdym razie szedł mi we wszystkim na rękę. Nie wiem, czy jego syn opuścił seminarium, by nie szkodzić ojcu, czy też z innych powodów, był to jednak bardzo wartościowy młodzieniec. W szkołach podstawowych królował ks. Bryjak i on też miał tam najwięcej znajomości. Znałem obu kierowników, panów Zimmermanna i Budasza.

⁴⁰³ Czesław Wojciechowski (1921–1998), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1949. Wikariusz w parafii w Kcyni, prefekt miejscowego gimnazjum i liceum 1949–1950. W 1950 aresztowany przez funkcjonariuszy PUBP w Bydgoszczy. Oskarżony o przynależność do konspiracyjnej młodzieżowej organizacji „Powrót”. Skazany 21 III 1953 przez Wojskowy Sąd Rejonowy na 13 lat więzienia. We wrześniu 1955 zwolniony. Od 1956 kapelan w zakładzie dla nieuleczalnie chorych w Mielźnie prowadzonym przez dominikanki. Od grudnia 1956 do 1992 administrator, a następnie proboszcz parafii w Pleszewie.

Tego pierwszego partia zdjęła ze stanowiska, chyba za brak odpowiedniej linii politycznej i światopoglądowej.

Był jeszcze inspektor szkolny, pan W., który był naszym wrogiem. Poszliśmy kiedyś do niego do Powiatowej Rady Narodowej, wszyscy księża z dekanatu mający kontrakty ze szkołami. Chcieliśmy zapytać, czy to od niego pochodzą komunikowane nam przez kierowników szkół różne nakazy i zakazy dyskryminujące nas jako obywateli PRL? Siedzieliśmy dość długo w sekretariacie, a pani tam urzędująca, ogromnie zdenerwowana, coś bąkała, że kto wie, czy pan inspektor dziś w ogóle będzie obecny, gdy nagle do pokoju wszedł milicjant. Popatrzył na nas zdziwiony i pyta:

– A gdzie tu to zakłócenie porządku publicznego?

Sekretarka zapewnia go, że to pomyłka, ale któryś z kolegów zapytał:

– A czy tak wielu księży w Wydziale Oświaty to nie zakłócenie porządku publicznego?

Milicjant popatrzył, podumał i rzekł:

– No tak, ale zakłócenia się nie stwierdza.

Inspektor podobno dał drapakę innym wyjściem.

Najwięcej utarczek miał z nim Stasio, ja tylko raz, ale szkoły średnie podlegały pod kuratorium. Do pana Józefa Suchockiego, aptekarza z nami zaprzyjaźnionego, w którego kamienicy mieszkał, często na mnie wygadywał, że jestem złośliwy i nie okazuję mu żadnego szacunku, a o Stasiu mówił, że ten by zaraz z kłonicą przybiegł.

A było to tak. Kolega, żądny nowości technicznych, poszedł do Szkoły Podstawowej nr 2 z potężnym magnetofonem o rozmiarach i wadze średniego akumulatora samochodowego, a może nawet dwóch. Ktoś doniósł panu W., że ks. Bryjak uprawia w szkole propagandę religijną. Inspektor *stante pede*⁴⁰⁴ go wezwał i ostro oznajmił, że na przyszłość takie czyny niezgodne z konstytucją pociągną za sobą zerwanie kontraktu. Stasiu rozeźlił się i zapytał go, czy on jako człowiek XX w., na takim stanowisku, na którym powinien popierać postęp, nie wie, co to jest magnetofon? A gdzie w konstytucji jest zabronione używanie pomocy naukowych? Pyskówka była podobno ostra, co widać było po Stasiu, kiedy zjawił się na obiedzie.

To kilka małych obrazków, ukazujących tamtejszą rzeczywistość. Trudno ją opisać. Wszystko było jak gdyby – w swoisty sposób – dublowane. Nauczyciel w szkole musiał uczyć według programu, jedno zatem przekręcał, co

⁴⁰⁴ Łac. bezzwłocznie.

innego przemilczał. W domu ojciec, matka, częściej dziadek, wybiłali dzieciakowi z głowy to, czego się nauczył w szkole:

– Fałszu nie będziesz się uczył!

Nauczanie religii w szkole miało swe plusy i minusy. Młodzież nie musiała specjalnie chodzić do punktu katechetycznego, po prostu pozostawała godzinę dłużej w szkole. Jednak lekcje religii oderwane od kontaktu ze świątynią, sprowadzone do rzędu zwykłego nauczania szkolnego, jak każdy inny przedmiot, nie dają efektu ocze-

kiwanego, a przez uczniów często uważane są za zło konieczne. Co innego w zamkniętych zakładach, jak dom poprawczy, w którym także przyszło mi uczyć. Dziś nawet sam budynek przy ul. Kaliskiej już nie istnieje. A był to swego czasu zakład, w którym przebywali już nieco bardziej doświadczeni pensjonariusze, recydywiści lub tacy, którzy mieli na koncie ucieczki i podobne inicjatywy.

Długo by o tym pisać, bo była to praca stresująca, choć ogromnie ciekawa. Ksiądz proboszcz zaraz na początku, kiedy omawialiśmy czekające nas zadania, oświadczył, że bierze ją na siebie. Kiedy wyraziłem zdziwienie taką decyzją, uśmiechnął się i stwierdził, że Dachau było dobrym przygotowaniem do takich zadań. Trudno było temu zaprzeczyć.

Zajęcia były ustalone chyba w poniedziałki w godz. 17.00–19.00. Po pierwszych proboszcz zjawił się na kolacji i zakomunikował mi, że mam następnego dnia pójść do dyrektora, pana Zdrojewskiego, jak się okazało, człowieka na swoim miejscu, i zawrzeć umowę o pracę. Zdziwiony, spytałem, czy rezygnuje z lekcji. Coś mruknął pod nosem, że termin mu nie odpowiada. Po pewnym czasie jednak przyznał, że zupełnie nie udało mu się nawiązać kontaktu z pensjonariuszami poprawczaka. On swoje, a oni – owszem – siedzieli spokojnie, ale nie zwracali na niego najmniejszej uwagi.

Z dyrektorem dogadaliśmy się dość szybko. Udzielił mi kilku rad, przede wszystkim ostrzegł, żebym uważał na pierwszej lekcji, bo będą mnie testować. Na czym to miałyby polegać? Tego nie potrafił wyjaśnić. Poza tym powiedział mi bardzo mądrą rzecz, której może zrazu nie pojąłem.



Wychowanie domowe poprawczego, Pleszew, 1958 r.

– Musi ksiądz ich traktować jak normalnych ludzi, oni tego bardzo pragną i okażą wdzięczność.

Była to głęboka prawda.

W niecały tydzień nadszedł czas pierwszej lekcji. Poczułem się trochę niepewnie. W zakładzie był wówczas remont, zatem zamiast w klasie lekcja odbywała się w świetlicy, gdzie wszyscy siedzieli wokół wielkiego owalnego stołu, ja w szczycie. Siedzimy, patrzymy na siebie i cóż? Jak tu zacząć? Widzę, że dwóch czy trzech czyta gazetę. Niewiele się zastanawiając, pytam jednego, co tam nowego piszą. Speszył się trochę i bąknął, że same głupstwa, właściwie nic ciekawego. Ja na to:

– Czemu zatem czytasz, chcesz mi pokazać, jaki to z ciebie oświecony mąż, że czytać potrafisz?

Wszyscy w śmiech, on zresztą śmiał się najgłośniej. Gazety znikły. Może to punkt dla mnie? Pytam dalej, czy mają jakieś tematy, które warto by w czasie naszych zajęć poruszyć. Ktoś krzyknął:

– O tym, jak to jest w pierdlu?

Mój poprzednik, ks. Wojciechowski, więzień polityczny w latach pięćdziesiątych, o więzieniu im wiele mówił i zyskał sobie przez to ich uznanie. Odparłem, że nie mam takich doświadczeń, choć UB kilka razy mnie też dopadło, ale nie wartego opowiadania. Zatem problem stoi otworem. Mały, cherlawy chłopczyzna wyrывa się nagle, wyskakuje na środek izby i krzyczy:

– O babkach mówić, bo ja bez kobiety żyć nie mogę.

Wszyscy ożywili się i pilnie mi się przyglądają. Co tu powiedzieć? Czułem, że gdybym zaczął od napomnień, perswazji, że młody jesteś itd., byłbym zgubiony. Znowu spontaniczna myśl:

– Wierzę ci, ktoś musi ci nos wycierać, a kobiety robią to najlepiej.

Skoczył ku mnie jak żbik, z przekleństwami i wrzaskiem. Siedziałem bez ruchu z nogą założoną na nogę i spokojnie do niego:

– Nie podchodź bliżej, mój but wylądował na twojej szczęce, którą połkniesz i wysrasz.

Teraz w sali zapanował niesamowity rwetes. Dwóch potężnych osiłków chwyciło go za ubranie i nie trując się otwieraniem drzwi, po prostu nim je wybili, nieco uszkadzając zamek. Poprosiłem, by w przyszłości tego nie robili, sam sobie poradzę, a siły fizycznej nie uznaję, bo traktuję ich jak każdego ucznia. Widziałem, że przyjęli to z uznaniem. Jeden, chyba prowodyr, rzekł:

– Przecież przegrał, chciał tu być kimś ważnym, a się okazało, że taki sobie... Taki nie ma prawa podskakiwać.

Chodził później na lekcje i całkiem dobrze się zachowywał. Kiedy stopniowo poznawałem ich rodowody, bardzo im współczułem. Dotarło to chyba do nich, bo dobrze się wśród nich czułem. Byli to chłopcy przeważnie z małych miasteczek i wsi. Matki pisywały do nich, rozpoczynając list od zwrotu: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”.

Tylko kilku było z inteligenckich, zamożnych rodzin, ale ci właśnie byli najbardziej cyniczni, choć wobec mnie potrafili zachowywać się z wielką kurtuazją. To, o czym dyrektor mi niejednokrotnie mówił, iż autorytet księdza bazuje tylko na jego osobowości, sprawdzało się na każdym kroku. Mogłem ich zabierać dwa razy do roku do kościoła na spowiedź i na mszę św. Zaprosiłem pierwszy raz kapłana do pomocy w spowiadaniu (grupa liczyła około 30 osób), ale poszły do niego nie więcej niż dwie czy trzy osoby. Zachęcałem, by skorzystali z jego posługi, ale odmawiali.

Pewien przypadek był wzruszający. Jeden z najsilniejszych i najgroźniejszych pensjonariuszy podszedł do mnie do konfesjonału, prowadząc nowego, niedawno przybyłego do zakładu. Poprosił mnie, bym go wyspowiadał i dopuścił do komunii św., choć tamten nie pamięta, czy przystąpił do pierwszej spowiedzi. Dziwne to było, ale tam nie należało się niczemu dziwić. Wziąłem chłopaka na spytki; coś tam wiedział z katechizmu, znał podstawowe modlitwy. Wyjaśniłem mu, czym jest pokuta i Eucharystia i tak się odbyło jego przyjęcie do pierwszej komunii. Trwało to dobrą chwilę, ale do konfesjonału kolegi nikt nie podszedł. Natomiast w drodze do zakładu któryś zbliżył się do mnie i rzekł:

– Dobrze, że ksiądz tego szkraba załatwił, inny by mu kazał chodzić dwa lata na religię.

Taka to była mentalność.

Inny przypadek: były w parafii rekolekcje, głoszone przez jakiegoś franciszkanina. Proboszcz zażyczył sobie, żeby moi podopieczni wysłuchali jednej nauki w salce parafialnej. Tłumaczyłem, że to na nic, dyrektor tylko wzruszał ramionami. Trzeba było słuchać proboszcza. Mógłbym, co prawda, poprosić dyrektora, by nie dał pozwolenia na opuszczenie zakładu, ale byłaby to nielojalność. Owszem, siedzieli jak trusie. W pewnym momencie dwóch znikło. Chwilę byłem nieobecny i już ich nie ma. Biegałem wokół domu parafialnego przerażony, że uciekli. Po powrocie na salę odetchnąłem: są. Kiedy wracaliśmy do zakładu, ktoś mi powiedział, że próżno się bałem.

– Nie uciekli, bo tu nikt sobie na to nie może pozwolić, skoro ksiądz nas wyprowadza. Takiego po powrocie do zakładu potłukliby na miazgę. Niektórym wychowawcom tego się nie robi.

– Dlaczego?

– Bo nie...

Podczas następnej lekcji spytali, czy możemy podyskutować o rekolekcjach. Byłem w opałach. Musiałem tłumaczyć, kto to był św. Stanisław Kostka, stawiany im przez ojca franciszkanina za wzór. Kiedy wysłuchali moich wyjaśnień, podsumowali:

– Co ten gość chrzanił, przecież Stanisław to nie był żaden kot⁴⁰⁵, ale chłopak, który coś potrafił. Na kamasz do Rzymu... A ten, że nic, tylko grzeczne chłopię.

Z kolei, kiedy im z taśmy odtworzyłem kazanie misyjne o Wittiga, redemptorysty, byli zaskoczeni.

– Ale ma gwarę!

– Dał popalić...

Te i inne komentarze świadczyły o tym, że taki sposób mówienia, silny, z mocnymi przykładami, robił wrażenie, choć zapewne bardzo powierzchowne.

Jak wiele mogą popsuć ludzie opanowani chroniczną głupotą. W 1960 r. zwolniono mnie z pracy w zakładzie. Na miejsce pana Zdrojewskiego przyszedł nowy dyrektor, który zamiast mózgu miał dyrektywę komitetu partyjnego. Powiedział mi wprost, że kierownictwo (?) uważa, że oddziaływanie moje jest szkodliwe. Zupełnie co innego mówili wychowawcy. Jeden z nich, sądzę, że ongiś funkcjonariusz UB, bardzo ze mną współpracował i ubolewał nad moim zwolnieniem. Był wprawdzie jeden, młody maturzysta, który usiłował na każdym kroku mnie dyskredytować. O mało nie przyplącił tego otrzymaniem ciosu nożem, czemu zresztą, śmiem mniemać, zapobiegłem. W pierwszą Wielkanoc po moim zwolnieniu dwóch wychowanków przed rezurekcją zjawiło się w zakrystii kościoła św. Floriana, by mi złożyć życzenia świąteczne. Spytałem, jak się wydostali. Uciekli, ale obiecali zaraz wrócić. Taki gest zastępował najpiękniejsze słowa.

W Pleszewie spotkało mnie coś, czego skutki odczuwam do dziś i to coraz bardziej. Moją eshaelkę sprzedałem w Bydgoszczy, gdzie jak mi się wydawało, motor nie był potrzebny. Pieniądze się rozeszły i na kupno innego nie było mnie stać, choć brakowało mi pojazdu. Postanowiłem kupić okazjnie używany motocykl

⁴⁰⁵ Tu: fajtlapa.

Java 175, w bardzo dobrym stanie i w korzystnej cenie. Było to wiosną 1959 r. Mało go używałem, ale miałem zamiar pojechać na nim w czasie wakacji w Bory Tucholskie.

Wyruszyłem 3 lipca, na szczęście sam, bo jeden z uczniów, który miał mi towarzyszyć, nie mógł ze mną wyruszyć, chciał później dołączyć w Nakle. Dojechałem szczęśliwie do Gniezna i zatrzymałem się w seminarium, by sprawdzić coś w mechanizmie motocykla. Wyjechawszy z bramy seminaryjnej, skręciłem w lewo. Chciałem małą uliczką dotrzeć do głównej drogi. Wyprzedzałem wolno jadącą wufemkę⁴⁰⁶, na której jechało dwóch mężczyzn. Szybkość mogła wynosić 30–40 km/godz. W momencie wyprzedzania wufemka skręciła w bramę gospodarstwa ogrodniczego, obalając mnie z motocyklem.

Gdybym kolanem nie uderzył o krawężnik, nie odniósłbym żadnych obrażeń. Niestety, były one ciężkie, tzn. śródstawowe złamanie kolana. Do szpitala było kilkadziesiąt kroków. Zaraz włożono nogę w gips, a chirurg powiedział mi, że operacji nie będzie, gdyż jest tylko małe przemieszczenie, zatem jest nadzieja, że kolano będzie jakoś funkcjonować, czego po operacji spodziewać się nie można. Mądra to była decyzja, ale inwalidztwo trwałe stało się faktem, którego nie udało się w żaden sposób odwrócić. Wypadek miał miejsce 3 lipca, a ostateczne zdjęcie gipsu, który był nakładany po raz drugi w Nakle po sześciu tygodniach, nastąpiło w połowie września.

Rehabilitacji w zasadzie nie było. Przeprowadziłem ją sam, chałupniczą metodą, ale skutecznie. Chirurg nakielski, dr Rochoń, stwierdził z właściwą sobie szczerością, że rehabilitant zawodowy by tego z tak dobrym skutkiem nie dokonał. Po powrocie do Pleszewa jakiś czas chodziłem o lasce, noga puchła mi do tego stopnia, że napinała nogawki. Dopiero masaże wykonane przez doskonałego fachowca ze szpitala pleszewskiego, którego nazwisko mi uleciało, chociaż pozostała głęboka wdzięczność, całkowicie usprawniły nogę.

Pewnego dnia przyszło ze sądu gnieźnieńskiego wezwanie na proces z powodu spowodowania wypadku. Już przed wyrokiem było zatem wiadome, że ja jestem winien. Poradzono mi jednak wziąć adwokata. Ten nie orientował się na procesie w sprawie, z kolei rzeczoznawcy, których powołał sąd, stwierdzili, że świadkowie podani przez obu motocyklistów uczestniczących w kolizji kłamią i że żadną miarą nie mogli widzieć wypadku z miejsca, w którym się znajdowali.

⁴⁰⁶ WFM – polski motocykl produkowany przez Warszawską Fabrykę Motocykli w latach 1954–1966.

Chodziło o to, czy motocyklista dał znak ręką, że chce skręcać w lewo, czy też nie. Domniemanie przemawiało za tym, że nie. Sędzią był listonosz z zawodu. Wyrok brzmiał: „Winien ks. Zygmunt Zieliński zasądzony na karę 200 zł na rzecz PCK”.

Poradziłem się prawnika w Pleszewie. Po zapoznaniu się z pisemną sentencją wyroku i jej uzasadnieniem orzekł, iż jest tam tyle błędów, że zaskarżenie wyroku może dać wynik pozytywny. Sam napisał mi wstęp do skargi według obowiązującego schematu. Uparłem się, by skargę pisać osobiście. Tak też uczyniłem. Sprawa poszła do sądu wojewódzkiego w Poznaniu. Już o tym niemal zapomniałem, kiedy przyszło wezwanie na rozprawę, przy czym stawienie się nie było obowiązkowe. Mój prawnik radził jechać, zjawiłem się zatem w sali sądowej.

Sądziło trzech zawodowych sędziów. Przewodniczący spytał mnie, kto mnie reprezentuje. Odparłem, że ja sam. Wszyscy trzej spojrzeli po sobie zdziwieni. Przewodniczący pytał dalej, czy mam jakieś nowe dowody świadczące o mojej niewinności. Wyjąłem moje prawo jazdy, które z trudem odzyskałem. Nie wiadomo dla czego znalazło się ono w Komendzie Powiatowej MO we Wrześni. Na prawie jazdy była adnotacja patrolu, który zjawił się na miejscu wypadku: „Zabrano prawo jazdy 3 lipca 1959 r. za spowodowanie wypadku”. Podobne stwierdzenie widniało na wezwaniu na rozprawę do sądu w Gnieźnie. Dodałem, że kilka dni przed procesem, a może nawet wcześniej, w Gnieźnie na dworcu kolejowym dwóch moich kolegów oczekiwało w holu na pociąg. Obok nich stało dwóch mężczyzn i rozmawiało o moim wypadku, a raczej o jego skutkach dla kierowcy motocykla, który mnie uderzył. Jeden z nich powiedział:

– Nic mu nie będzie, bo to ormowiec, a tamten ksiądz.

Sąd wysłuchał moich wyjaśnień i zakończył rozprawę, oświadczając, że wyrok otrzymam w terminie późniejszym wraz z uzasadnieniem na piśmie. Chyba że zechcę kilka godzin poczekać, to ustne jego brzmienie otrzymam już dzisiaj. Przystałem na pierwszą propozycję, co wyraźnie zadowoliło przewodniczącego składu sędziowskiego.

Po stosunkowo krótkim czasie otrzymałem wyrok uniewinniający mnie i w uzasadnieniu wytykający sądowi gnieźnieńskiemu usterki proceduralne i brak podstaw do wydania jakiegokolwiek wyroku. Mnie przysługiwało teraz wniesienie oskarżenia cywilnego przeciwko uczestnikowi wypadku, byłem bowiem poszkodowanym, któremu nie dowiedziono winy. Mój prawnik pleszewski, bodajże czy nie mecenas Maciejewski, kręcił głową, czytając te dokumenty. Mówił, że gdyby sam był oskarżony, poprosiłby mnie o obronę. Nikła to była satysfakcja i raczej

symboliczna, moralna. Nikogo skarżyć nie zamierzałem. Wina tamtego motocyklisty była oczywista, bo nie zważał na drogę i nie uwzględnił mojego sygnału dźwiękowego, ale z drugiej strony nie uczynił tego rozmyślnie. Jedno, co mnie raziło, to jego usilne próby zrzućcia na mnie winy, przy czym posuwał się do ewidentnego kłamstwa.

Taki wypadek, jak każda rzecz na tym świecie, pociąga za sobą skutki bolesne i to na wielu płaszczyznach, lecz także czegoś uczy. Wyleczyłem się z mego zaufania do motocykla. Po tym wypadku może dwa albo trzy razy dosiadałem motoru. Skutek skądinąd oczywisty. Nabyłem jednak także innych doświadczeń. Przede wszystkim ujawnili się ludzie, którzy naprawdę mnie lubili i mi współczuli, ale zarazem także ci, którzy poza schadenfreude⁴⁰⁷ i łatwymi anatemami rzucanymi na mnie, nie okazali żadnego innego zainteresowania. Mówię o księżach, w tym niektórych nakielskich.

Jeden z nich przechodził obok moich drzwi w drodze do mecenasa mieszkającego piętro wyżej. Wiedział, że leżę w domu z nogą w gipsie, i nawet nie zajrzał, żeby choć minutkę ze mną pomówić, ale kto tylko chciał słuchać, był przez niego informowany, jacy to lekkomyślni są księża (niby ja), że się rozbijają na motorach. Z kolei inni ludzie, nawet nie tak mi bliscy, zaskakiwali swoją troską i życzliwością. Były to doświadczenia gorzkie, ale jak lekarstwo, skutecznie leczyły wszelkie iluzje. Później, kiedy studiowałem, spędzałem w Nakle u matki część wakacji. Unikałem wtedy tego kapłana, a on rozповідаł znowu, że zżera mnie pycha. Mogę rzec śmiało, iż wytykano mi wiele moich wad, słusznie czy może niekiedy z przesadą, ale o pychę pomówiono tylko ten jeden jedyny raz.

W 1960 r. już nie zawarto z nami umów o nauczanie religii i choć ustawa usuwająca religię ze szkół⁴⁰⁸ wyszła dopiero w następnym roku, nas rok wcześniej pozbawiono prawa wstępu do gmachu szkolnego. Parafia miała wielki dom parafialny z dużą salą widowiskową i mniejszymi pomieszczeniami, które służyły odtąd za salki katechetyczne. Jedna z tych salek pełniła funkcję świetlicy, czynnej od 1958 r., do której chętnie przychodziła młodzież licealna. Odbywały się tam spotkania dyskusyjne, a także była okazja do rozrywki, tzn. różnych gier, natomiast ani miejsce nie było na tyle obszerne, ani nasza sytuacja na to nie pozwalała, żeby urządzać tam wieczorki taneczne, o co część młodzieży zabiegała.

⁴⁰⁷ Schadenfreude – przyjemność czerpana z cudzego nieszczęścia.

⁴⁰⁸ Chodzi o Ustawę o rozwoju systemu oświaty i wychowania z 15 VII 1961.

W sali widowiskowej niekiedy urządzaliśmy przestawienia, skecze, wystawialiśmy różnego rodzaju produkcje artystyczne, przeważnie występy



Spotkanie klasy
maturalnej
autora, 1959 r.

domorosłych komików itd. Oficjalnie było to w ramach zajęć świetlicowych, gdyż na publiczne przedstawienia potrzebne byłoby zezwolenie cenzury.

Ten i ów z miasta zaglądał na takie imprezy, zresztą rzadkie. Proboszcz patrzył na nasze inicjatywy przez palce, ale bez szczególnego zachwyty. Miał ku temu powody. Była też kwestia finan-

sowa, bo świetlica kosztowała. Zabiegi czynione u ks. Badińskiego, żeby uzyskać nieco funduszy, spełzły na niczym. Nie dlatego, że był skąpy, on o tej świetlicy po prostu nie chciał nic wiedzieć, bo przewidywał, iż władze mogą się tym zainteresować, co byłoby dla niego kłopotliwe. Niestety, my, młodzi – bo ks. Stanisław brał w tych przedsięwzięciach udział – patrzyliśmy na to inaczej. Jedna i druga strona miała nieco racji. Nas do utrzymania świetlicy przynaglała młodzież, która to miejsce sobie upodobała, my z kolei uważaliśmy, że lepiej niech tu przebywa niż w innych miejscach, gdzie nawet już w tamtych czasach bywał alkohol, choć nie było narkotyków.

Usunięcie nas ze szkoły siłą rzeczy musiało spowodować także zmiany w obsadzie wikariuszowskiej. Mnie przypadały teraz liceum i szkoła zawodowa, obie placówki na terenie św. Floriana. Ksiądz Stasio odchodził z Pleszewa, a na jego miejsce przyszło dwóch wikariuszy, w tym jeden neoprezbiter. Mieli uczyć w szkołach podstawowych, od czego ja byłem już wolny. Musiałem też opuścić dotychczasowe mieszkanie.

Ponieważ parafia św. Floriana nie miała plebanii, a proboszcz mieszkał w wikariacie parafii św. Jana, powstał problem znalezienia lokum dla mnie. Mieszkająca na parterze w sąsiedztwie mieszkania kościelnego pani wyprowadziła się, a ja otrzymałem jej pokój. Bardzo mi to odpowiadało. Pracy parafialnej miałem też mieć o wiele mniej, choć jak się

później okazało nie tyle, ile się spodziewałem. Ważne było, że pozostawałem w miejscowości, w której się dość zadomowiłem. Stołowałem się u proboszcza w tym samym domu co moje mieszkanie, tylko na drugim piętrze. Muszę przyznać, że pod tym względem zyskałem, choć w poprzednim miejscu też było dobrze.

Odpadały sporadyczne posługi w kaplicy sióstr służebniczek, które w Pleszewie miały dom macierzysty⁴⁰⁹. Był tam wprawdzie kapelan, ale w przypadkach jego nieobecności nas proszono o mszę św., a częściej o nieszpory niedzielne. Niekiedy byliśmy z księdzem proboszczem zapraszani na okazyjne przyjęcia. Na tym tle powstawały czasami drażliwe sytuacje, gdy szkoła, pogrzeby i inne zajęcia uniemożliwiały niejednokrotnie udział w takich spotkaniach. Odczytywano to jako naszą niechęć do nawiedzania domu sióstr. Ksiądz Stasio miał z tym mniej kłopotów, bo jakoś planował swój czas.

Praca w parafii św. Floriana zapowiadała się ciekawie i z chęcią przyjmowałem zmianę, która miała nastąpić. Nie trzeba było szukać nowych znajomości, a te w tym czasie znaczyły bardzo dużo, gdyż o wszystko trzeba było się starać, wszystko załatwiać. Mówiło się, że kupić nie można, ale się załatwi. Miałem tam też ludzi zawsze gotowych do pomocy – nieoceniony w dziedzinie motoryzacyjnej pan Tadeusz Mostowiak, panie ze sklepu wzorcowego (rodzaj delikatesów), w ogóle mnóstwo ludzi, bez których nie można by żyć. Z wielką serdecznością myślę o rodzinie państwa Suchockich, aptekarzy, naszych sąsiadów z naprzeciwka. Trudno wprost oszacować, ile im zawdzięczaliśmy.

O młodości nawet nie wspominam. Jeszcze dziś, po ponad 50 latach, mam z niektórymi kontakt, żeby wymienić choć Corellego Świecę, Józia Góreckiego, Jurka Dewicza, Jankę, Dankę, Lutkę, nazwisk nie podaję, bo te dzisiejsze to już po mężach. To było środowisko tak mi bliskie, jak żadne inne w późniejszych czasach, ale też wzajemnie się rozumieliśmy. Wszystko to było takim trwałym i drogocennym bagażem, którego nie trzeba było się wyzbywać, przechodząc do sąsiedniej parafii. Na spotkania rocznicowe maturzystów z 1959 r. jeździłem regularnie.

⁴⁰⁹ Chodzi o Zgromadzenie Sióstr Służebniczek Niepokalanego Poczęcia NMP (służebniczki wielkopolskie, wcześniej nazywane pleszewskimi) – jedna z czterech gałęzi zgromadzenia służebniczek założonego przez Edmunda Bojanowskiego (1814–1871, beatyfikacja 1999). Dom zgromadzenia znajduje się przy ul. Bojanowskiego 1 w Pleszewie.

Parafia pw. św. Floriana w Pleszewie

Z chwilą przejścia do parafii św. Floriana pracy duszpasterskiej nieco ubyło, była to bowiem parafia około trzytysięczna. Moje przeniesienie w 1960 r. wynikało, jak już zaznaczyłem, z faktu, że liceum i szkoła zawodowa, w których uczyłem, leżały na terenie parafii św. Floriana, a usunięcie nauki religii ze szkół powodowało konieczność jej zorganizowania w parafii. Właściwie nic się nie zmieniło, uczyłem w salce domu parafialnego parafii św. Jana, ale formalności stało się zadość. Sądzę też, że chciano ks. Szmelterowi, byłemu więźniowi Dachau, często zapadającemu na zdrowiu, dać pomocnika. Czy on sam tego chciał, tego nie byłem pewny. Bywał w parafii pewien zakonnik, który służył proboszczowi doraźną pomocą, a nie wymagał starań, jakie niewątpliwie wiązały się z wikariuszem. Księdza Szmeltera znałem, ale nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów. Był to człowiek o wysokiej kulturze, ale mało komunikatywny, przynajmniej takie odnosiłem wrażenie. Miał pewne kręgi znajomych, zupełnie mi obce, toteż z miejsca nastawiłem się raczej na relacje służbowe i to zdawało egzamin przez cały czas mojej pracy w parafii św. Floriana. Bywały chwile różnych napięć, szybko rozładowywanych.

Było nas zatem w parafii dwóch. Odpadało całkowicie biuro, które ks. Szmelter sam obsługiwał. Początkowo nasze współistnienie nie zapowiadało się dobrze. Proboszcz był po obozie. Bardzo wrażliwy, nawet powiedziałbym, przewrażliwiony pod wieloma względami, i łatwo było go dotknąć czy urazić, nawet niebacznym pytaniem na tematy służbowe. Z kolei jego nieobliczalność i konieczność stałego uważania na każde słowo i gest powodowały także u mnie stałe napięcie i podrażnienie. Chyba ponadto proboszcz podejrzewał mnie o zbytnią samodzielność, początkowo bowiem bardzo podkreślał konieczność działania według obowiązującego porządku. Był przesadnie punktualny, niezwykle pilnie przygotowywał kazania, powtarzał je nawet między mszami.

Mieliśmy przy kościele – dość oddalonym od wikariatu, gdzie on i ja mieszkaliśmy – drewniany baraczek, gdzie można było się schronić między nabożeństwami. Kiedy zobaczył, że ja nie mam nawet notatek, spytał, czy wyuczam się kazań na pamięć, dodając, że on tak musi czynić, dlatego mówi z przymkniętymi oczami, by się nie rozpraszać. Odrzekłem, że niczego nie zapisuję, gdyż nie mógłbym w ogóle mówić wyuczonego tekstu. Mam kazanie dokładnie ułożone, ale nie słowo po słowie, lecz raczej problemowo.

Widziałem, że nie był tym zachwycony. Zapytałem, czy ma zastrzeżenia do tego, co głoszę na ambonie. Zaprzeczył. Kiedyś jednak, przy innej okazji zrobił

mi wykład, że należy przestrzegać zasad homiletyki, na co ja mu opisałem moje spotkanie z o. Wittgiem. Urwał naszą rozmowę, co było widowym znakiem niezadowolenia. Mieliśmy potem kilka małych spięć, ale po szczerej rozmowie uznaliśmy, że chodzi o drobiazgi. Aż do Wielkiego Postu 1961 r. panowały między nami wręcz wzorowe relacje.

Popsuło się wszystko w sposób zgoła nieoczekiwany. Okreźną drogą dowiedziałem się, że proboszcz ze względów zdrowotnych poprosił o przeniesienie go na mniejszą parafię, najlepiej wiejską. Podobno chodziło nawet o Siedlimowo. Kiedy go o to spytałem, zaperzył się, chciał wydobyć ze mnie, od kogo o tym słyszałem. Odpowiedziałem, że od dziekana (był nim ks. Aleksander Szymański⁴¹⁰, proboszcz w Kowalewie).

Już nie pamiętam dokładnie kiedy, ale z pewnością w Wielkim Poście, proboszcz zamknął się u siebie i nie wpuszczał nikogo poza panią, która odnajmowała mu dwa pokoje i go stołowała, mnie zresztą też. Jedynie kilku przyjaciół, których nazwisk wolę nie wymieniać, zachodziło do niego często. Raz udało mi się sforsować jego drzwi, ale zastałem go rozdrażnionego, protestującego przeciwko najściu w czasie, kiedy on jest cierpiący. Odtąd jednak dawał mi na piśmie ogłoszenia parafialne, wykaz intencji mszalnych na bieżący tydzień i wytyczne w innych pilnych sprawach.

Od osób trzecich dowiedziałem się, że dostał on dekret przenoszący go na parafię wiejską, ale nagle zmienił zdanie i postanowił nie pójść. Formalnie z powodu obłożnej choroby. Sprawy zaszły tak daleko, że w Wielki Czwartek, przybywszy do kościoła, zastałem zamknięte drzwi, a wokół pełno ludzi oczekujących na nabożeństwo. Tuż przed oznaczoną godziną kościelny przyniósł klucze, które po nabożeństwie miał odnieść do proboszcza. Uczyniłem to sam i zdecydowanie zażądałem powierzenia mi tych kluczy, gdyż jako kanonicznie mianowany wikariusz muszę zastępować proboszcza w sytuacjach awaryjnych. Ksiądz Szmelter bez słowa wręczył mi klucze i poszedł do swego pokoju. Trudno było przed parafianami ukryć trwający konflikt, choć nie było wiadomo, kogo z kim. Mnie zasypywano pytaniami, a ja sam nic konkretnego nie wiedziałem.

Po świątach wielkanocnych rozeszła się wieść, że parafię obejmie ks. Czesław Kurzawski⁴¹¹, proboszcz z Turska. Był on już w Pleszewie tuż po wojnie, ale o ile

⁴¹⁰ Aleksander Szymański (1906–1981), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Proboszcz parafii św. Bartłomieja w Kowalewie 1935–1980. W czasie drugiej wojny ukrywał się w GG. Szambelan papieski.

⁴¹¹ Czesław Kurzawski (1913–1974), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1941. Wikariusz w parafii Pleszew I 1945–1950. Administrator parafii Strzydzewiec 1950–1961. Proboszcz parafii św. Floriana w Pleszewie 1961–1967. Proboszcz sanktuarium maryjnego w Tursku 1967–1974.

wtedy noszono go wprost na rękach, to teraz grożono mu wywiezieniem niezbyt wygodnym pojazdem. Ksiądz tymczasem kupił dom przy ul. Poznańskiej i ogród, który nawoził. Było to ponad miarę niezręczne. Ludzie gadali, że pierwsze, co proboszcz wniósł do parafii, to nawóz.

Najgorsze było to, że byłem zawieszony między jednym a drugim proboszczem, a z boku czyhała kuria. Ksiądz Szmelter oznajmił, że już nie jest proboszczem, zatem nie muszę się tak do niego zwracać, a nowy proboszcz jeszcze parafii nie objął i choć bywał codziennie w mieście, mnie omijał. Już nie pamiętam, czy ja do niego zatelefonowałem, czy też wreszcie sam do mnie przyszedł. Spytałem go, czy nie dostrzega w parafii złego nastroju, wprost buntu. Ludzie domagają się pozostania ks. Szmeltera. Pewna grupa zjawiała się nawet u mnie, bym z nimi pojechał do Gniezna w tej sprawie. Oczywiście odmówiłem. A ks. Kurzawski na to:

– A kto rozbudza ten bunt, komu na tym zależy? – przy tym znacząco patrzył na mnie.

Oburzyłem się, wydobyłem klucze od kościoła i powiedziałem, że odtąd niech on przejmuje odpowiedzialność. Klucze kazał mi zachować do najbliższej niedzieli, która bodajże wypadała albo tuż przed albo akurat w dzień odpustu św. Wojciecha. Proboszcz oświadczył, że w tę niedzielę odprawi mszę św. o godz. 7.00 i przywita się z parafianami. Zaproponowałem, by zjawił się w kościele w czasie, kiedy ja będą odprawiał tę mszę, najlepiej w trakcie kazania, bo wiem z całą pewnością, że sporo ludzi przed mszą św. chce blokować kościół, dojdzie do awantury. Ksiądz upierał się przy swoim. Dopiero kiedy zażądałem od niego, by dał mi na piśmie swoją decyzję, zmienił zdanie i zgodził się z moją propozycją.

W niedzielę przybyłem do kościoła o 6.30. Zastałem bramę i furtkę na cmentarz zamknięte, wokół kościoła zaś stało może ponad stu ludzi. Podeszedłem do nich i spytałem, dlaczego brama jest zamknięta. Nikt się nie odezwał. Spytałem więc ponownie, bardzo spokojnym głosem, ale nadal panowała cisza. Zatem poleciłem kościelnemu, by otworzył, i powiedziałem zgromadzonym, że gdyby ktoś chciał ją ponownie zamknąć, to proszę go bardzo o porozumienie się ze mną, bo chciałbym znać motyw. Tymczasem była już godz. 6.50. Skierowałem się do kościoła, mówiąc głośno, że musimy punktualnie rozpocząć mszę św. Taki porządek wprowadził ks. Szmelter i chcemy go zachować.

Nie byłem pewny rezultatu, ale wychodząc do ołtarza, zobaczyłem wszystkich ludzi w kościele. Podczas ofiarowania spostrzegłem, że ks. Kurzawski był już w zakrystii. Poszedł do konfesjonału. Po błogosławieństwie wszedł do prezbiterium,

uprzedziłem jednak jego przemówienie i powitałem go w imieniu parafii, na co on krótko odpowiedział, zaznaczając, że przybył tu na życzenie władzy duchownej i tylko tak długo, jak ona zechce, w parafii pozostanie. Dziwna rzecz, tyle było wrzawy, pogróżek, że nie wpuszczają go do kościoła, a tymczasem wszystko odbyło się tak spokojnie. Przykro było mi tylko z tego powodu, że nowy proboszcz nie znalazł ani jednego słowa uznania dla mego wysiłku, by tak właśnie wypadło jego wejście do parafii. Mało tego, w kilka dni później niby żartem powiedział do mnie:

– No widzi ksiądz, tak się wysilaliście, a ja jednak zdołałem parafię objąć.

Już nie miałem słów, by to zdumiewające oświadczenie prostować. Była też inna przyczyna, że tego nie uczyniłem. Otóż zaraz po sumie, w dniu ingresu proboszcza, zatelefonowałem do seminarium w Gnieźnie, do księdza rektora Pacyny. Nawet nie pozwolił mi dojść do słowa. Posypał się grad wymówek, że co ja tam w Pleszewie narobiłem, że bp Bernacki publicznie mnie ganił i że jeśli chcę ocalić głowę, muszę natychmiast, dziś jeszcze, przyjechać do Gniezna.

Był to dla mnie grom z jasnego nieba. Spodziewałem się uznania od władzy duchownej, a tu nade mną zebrały się groźne chmury. Byłem kompletnie załamany. Dwóch starszych księży nie potrafiło się zdobyć na to, żeby mnie, młodego człowieka, obarczonego nie tylko całą pracą parafialną, ale w dodatku znajdującego się między młotem a kowadłem, tzn. między ich jakimiś tam sprawami, o których nie miałem pojęcia, a które z jednej i drugiej strony we mnie uderzały, potraktować choćby tylko z szacunkiem należnym każdemu, przez wzgląd na sprawiedliwość. Nie byłem nawet tyle wart, żeby proboszcz po ludzku się ze mną rozmówił, podczas gdy konferował z zakonnikiem, który wkrótce miał mu pokazać, co potrafi, gdy odchodził do cywila. W dodatku ta moja opinia w Gnieźnie, gdzie dawano wiarę różnym fałszywym oskarżeniom. Najlepszy dowód, że rektor Pacyna w to uwierzył.

Wsiadłem w pociąg, nawet nie zjadłszy obiadu, i za półtorej godziny byłem w Gnieźnie. To był dzień św. Wojciecha, a właściwie niedziela, kiedy celebrowane były uroczystości odpustowe. U rektora zastałem ojca duchownego, ks. Szymańskiego. Obaj przywitani mnie dramatycznie, jak syna marnotrawnego, nie dali dojść do głosu, a ponieważ godzina była późna, około 19.00, ks. Szymański postanowił mnie zaprowadzić do bp. Bernackiego, a ściślej, zaanonsować, gdyż biskup mógłby nie zechcieć mnie przyjąć. Miałem przygotowany opis całego przebiegu zamieszania wokół przeniesienia ks. Szmeltera. Niestety, zachowanie dziekana i dwóch proboszczów, którzy chcieli mnie obwinąć o wywołanie całego zajścia, nie wróżyło dobrze.

Biskup przyjął mnie zimno, kazał usiąść i zapytał, co mnie sprowadza o tak niezwyklej porze. Nawet słowa nie zdążyłem wymówić, kiedy on przeszedł do ataku. Nawymyślał mi i orzekł, że co do mojej winy nie ma żadnej wątpliwości. Skoro tak, odparłem, to się odwołuję do ordynariusza. Na to biskup się zaperzył i zabronił mi udania się do księdza prymasa. Trwałem przy swoim, powtarzałem, że mam prawo być wysłuchany przez rządcę diecezji. Przez cały czas trzymałem w ręce mój maszynopis. Biskup zapytał, co to jest, i poprosił, żebym dał mu ten elaborat do przeczytania. Czytając, mienił się na twarzy, to czerwieniał, to bladł. Skończył i spytał, kto potwierdzi mój opis. Powiedziałem, że cała parafia. Dodałem do tego wydarzenia owej niedzieli, kiedy ks. Kurzawski obejmował parafię.

Długo milczał, a wreszcie powiedział, że sprawa ma się inaczej, niż to wynikałoby z informacji, które do niego dotarły, że mam spokojnie jechać do domu i nikomu niczego nie wyjaśniać, on bierze sprawę w swoje ręce. Ponieważ przedtem wypominał mi, że z powodu mojej głupoty zostanę skreślony z listy księży przeznaczonych na studia, nawiązałem do tego i poprosiłem, by mnie z niej skreślono, gdyż moja siostra jest śmiertelnie chora, muszę więc pomóc jej i matce. Na to biskup zareagował dość żywo, przypomniał mi o Opatrzności i zachęcił do poddania się woli przełożonych.

Kiedy ks. Szmelter przebywał w Domu Księży Emerytów w Wągrowcu i był częściowo sparaliżowany po wylewie (zmarł w latach dziewięćdziesiątych), odwiedzałem go zawsze, gdy jechałem z Lublina do Nakła czy w ogóle w moje dawne strony. Niezwykle się cieszył z tych odwiedzin i zawsze mnie wypytywał o to, jak mi się powodzi. Chyba tylko raz wspomnieliśmy tamte wydarzenia. Było mu bardzo przykro, widziałem w jego oczach łzy.

– Niech mnie ksiądz o nic nie pyta, powiem tylko, że pewnym ludziom zależało, żeby nas skłócić, a ja, niestety, im ufałem. Wiele bym dał, żeby cokolwiek móc cofnąć, ale fakt, że ksiądz o mnie pamięta, jest dla mnie wielką pociechą, bo znaczy to, że tamto już poszło w zapomnienie.

Oby tak było. To było wiele lat po wydarzeniach, które o mało nie zwichnęły całego mojego życia. Tymczasem z złejszym sercem opuszczałem dom biskupi.

Powróciłem do seminarium i dopiero wtedy zrelacjonowałem wszystko moim dwóm opiekunom. Dowiedziałem się przy okazji, że w Gnieźnie kręcono na mnie potężny bat. Rektor nie był pewien, czy rada kurialna, przez którą szły kandydatury na studia, mnie nie skreśli. Później dowiedziałem się, że tak by się stało,

ale bp Bernacki oświadczył, że sprawa jest poza dyskusją, gdyż ksiądz prymas postanowił mnie wysłać. Nazajutrz po moim powrocie z Gniezna proboszcz dopypywał się, gdzie byłem i po co, ale musiał przyjąć, że bp Bernacki zabronił mi z kimkolwiek o tym rozmawiać. Zaintrygowało go to, podobnie jak innych księży, którzy szyli mi po cichu buty w Gnieźnie.

Może po miesiącu otrzymałem dekret kierujący mnie na studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Tego samego dnia spotkał mnie na rynku w Pleszewie dziekan, ks. Szymański, i zapytał, czy to prawda, że mam skierowanie na studia. Kiedy potwierdziłem, robił mi wymówki, dlaczego go o tym nie powiadomiłem? Sprawa była jasna, to był dekret skierowany do mnie i tak też mu powiedziałem. Kręcił głową i zaraz poszedł do ks. Badzińskiego. Ten był bardziej opanowany i udawał, że się tą sprawą w ogóle nie interesuje. Udał zdziwienie, kiedy na konferencji dekanalnej o tym mówiono.

Nie przeczę, że miałem sporo satysfakcji, ponieważ wielu kolegów, a zwłaszcza ludzi świeckich ze mną zaprzyjaźnionych, szczerze się z tego mojego „sukcesu” cieszyło. Co do mnie, byłem raczej przerażony. Jak podołam wszystkiemu, co mnie czeka? Siostra dogorywała na białaczkę, matka była sama, bezradna, brak było środków na leczenie, a ja – mimo najlepszych chęci – też nie mogłem ich dostarczyć. Chciałem w kurii prosić choćby o rok zwłoki, ale rektor Pacyna zdecydowanie się temu sprzeciwił. Chyba wiedział, co robi.

Proboszcz zmienił swe postępowanie wobec mnie. Często radził się w wielu sprawach i tak okrężną drogą usiłował mnie przekonać, że z kampanią przeciwko mnie nie miał nic wspólnego. Pewnie miał niewiele, ale nie starał się też mi pomóc i o to najbardziej miałem do niego pretensje.

Z końcem czerwca 1961 r. kończyła się moja praca w parafii św. Floriana w Pleszewie, a wcale nie było mi aż tak spieszo to miejsce opuszczać. Od pierwszego lipca 1961 r. mogłem jednak rozpocząć swój urlop, który tym razem miał trwać aż do 1 października, do rozpoczęcia zajęć na KUL. Chciałem się najpierw udać do domu, ale w przeddzień wyjazdu otrzymałem telefon od bp. Bernackiego, bym co prędzej przybył do niego na rozmowę. Z Pleszewa powinienem się wyprowadzić, już tam nie wrócę. To nie była nowina, ale po co do biskupa?

Kiedy się u niego zjawiłem i usłyszałem powód wezwania, o mało nie zemdlałem. Miałem pojechać do Gołańczy na dwa, trzy tygodnie i zaprowadzić tam porządek, odchodzący bowiem wikariusz, ksiądz K.P., podobno jakiś krewniak biskupa, dopuścił do buntu przeciwko proboszczowi Zajacowi, którego nawet

wygnano z parafii, a raczej sam z niej wyjechał do Kcyni, gdyż uległ presji pewnej części parafian. Zapytałem:

– Dlaczego ja?

– Bo ksiądz przeszedł to w Pleszewie i będzie wiedział, jak sobie poradzić, poza tym tam księdzę znają. A wreszcie nie mam kogo posłać.

To był grom z jasnego nieba. Zdążyłem tylko zawieźć rzeczy do matki do Nakła i następnego dnia pojechałem do Gołańczy. Tak lubiłem to miejsce, ale wówczas jechałem jak na ścięcie.

Ponownie w Gołańczy

Mój przyjazd do Gołańczy, tak mi się przynajmniej wydawało, nie był w żaden sposób rozgłoszony. Któż mógłby mieć interes, żeby to zrobić. Myślałem więc, że po cichu zjawię się na plebanii, rozpytam się u odchodzącego księdza, w czym rzecz, jego jak najszybciej się wyprawi na nową placówkę mu przeznaczoną i sprawa zostanie szybko i sprawnie załatwiona. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wysiadając z pociągu, wpadłem wprost w objęcia czekającego na mnie dość okazałego tłumu, witającego mnie owacjami i kwiatami. Poprowadzono mnie przez całe miasto (prawda, że niewielkie) na plebanie, której furtka częściowo była zabezpieczona drutem. Mogłem się domyślać przeciwko komu. Ogromnie mnie to przygnębiło, bo ks. Zając był dobrym człowiekiem i nie zasłużył sobie na to.

Na plebanii nie zastałem nikogo, ksiądz wikariusz bowiem jeździł po parafii i żegnał się z przyjaciółmi. W jego pokoju kilka dam, które kojarzyłem z czasu mego pierwszego pobytu w tej parafii, pakowało dobytek księży. Nie znałem ich osobiście, tylko z kościoła, więc zapytałem uprzejmie, co robią. Wyjaśniły mi powód swej obecności, z czego wynikało, że w ogóle czują się jak u siebie w domu.

Wówczas nie było komórek, nawet o zwykły telefon było trudno, dlatego musiałem cierpliwie czekać na powrót księdza Kazimierza. Przyjechał dopiero bardzo późnym wieczorem, mimo że dawałem mu sygnały przez różnych ludzi, iż muszę koniecznie pilnie się z nim widzieć. Rano powinien on znaleźć się w Jarocinie, a ja muszę omówić z nim ważne sprawy, on z kolei musi mi zdać agendy parafialne. Moje prośby pozostały jednak bez skutku.

Kiedy wreszcie się zjawił, powiedział, że parafii zdawać nie musi, bo jest to tylko jeden zeszyt z intencjami i małe pudełeczko, w którym znajdowało się kilkadziesiąt bodajże złotych. Przyjąłem to bez komentarza, ale bardzo prosiłem, by

wyjechał nazajutrz skoro świt i w Jarocinie, dokąd został przeniesiony, odprawił mszę św., ja zaś pójde na godz. 7.00 do kościoła poklasztorneho i zjem śniadanie u sióstr serafitek tam mieszkających. Ksiądz Kazimierz jakoś jasno się do mych życzeń nie ustosunkował, ale liczyłem na jego rozsądek. Był bardzo podniecony i nieustannie biadał nad losem parafii, której poświęcił tyle trudu i trosk, choć rzucano mu kłody pod nogi. Nie protestowałem, ale jeszcze raz w imię koleżeństwa prosiłem, żeby zastosował się do moich życzeń, gdyż ja muszę tu pozostać i ukoić żal parafian po jego odejściu.

Niestety, wychodząc rano przed godz. 7.00 z plebanii, zauważyłem, że w kościele trwa msza św., zatem nie pojechał wcześniej rano, jak go o to prosiłem. Starałem się jak najdłużej przeciągać śniadanie u sióstr, ale w końcu musiałem pójść na plebanie. Obie bramy były szeroko otwarte, przed gankiem stała warszawa księdza cała opleciona girlandami.

Z natury od najwcześniejszych lat nie znosiłem teatralnej pompy i towarzyszących jej wygłupów, a niestety całe życie byłem co jakiś czas skazany na asystowanie podczas takich imprez. To, co zobaczyłem, po prostu ścięło mnie z nóg. Ludzi zbyt wiele nie było, może kilkadziesiąt osób, mniej w każdym razie niż sto, ale za płotem zobaczyłem oblicza dobrze mi znanych mechaników z pobliskiego POM, którzy wyraźnie sytuacją się bawili. A cóż innego im w końcu pozostało? Pewne panie wznosiły okrzyki:

– Księdza Kazimierza nie puścimy!

On sam stał w pelerynie z wzniesionymi rękami na ganku, miał autentycznie łzy w oczach, usiłował uśmierzyć rozpacz swych zwolenniczek, a faktycznie podgrzewał i tak już gorące nastroje. Stanałem obok niego, szepnąłem mu do ucha, by wsiadł i odjechał, ale on chyba nawet tego nie słyszał. Strasznie się rozrzewnił. Pomyślałem wtedy, że przy wielu popełnionych przeze mnie błędach miałem rację, gdy z każdej parafii odjeżdżałem niepostrzeżenie. Cóż jednak należało zrobić? Najlepiej wprowadzić nastrój zabawy. Kiedy okrzyki: „Zostań z nami” nie ustawały, zapytałem:

– A ze mną co, już mnie nie lubicie?

Chwila wahania i ktoś krzyknął:

– Obaj zostańcie.

– A gdzie się pomieścimy?

Tu już zaczęło padać więcej głosów, ludzie chwycili żartobliwy ton i wysuwali różne fantastyczne projekty. W pewnym momencie powiedziałem:

– Nieszczercze chcecie zatrzymać ks. Kazimierza, gdyby tak rzeczywiście było, ukonstytuowałby się komitet, wybrano by okazalsze panie, które dyżurowałyby jedna przed przednimi kołami, druga za tylnymi. Czyż ksiądz miałby sumienie po nich przejechać?

To wystarczyło. Zaczęto zaraz typować odpowiednie jejmoście, te w panice wycofywały się z tłumu. Śmiech był ogólny, zwłaszcza dzieciaki i mężczyźni rozwijali moją radę, ubogacając ją szczegółami technicznymi. Wreszcie delikwent, widząc, że przedstawienie skończone, wszedł do samochodu i odjechał. Do tych nielicznych, którzy dotrwali do tego momentu, powiedziałem:

– Było wesele, zacznie się sprzątanie.

Pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, to usunąłem wszelkie blokady sprzed plebanii i to wcale nie własnymi rękami, poprosiłem o to parafian. Nikt się nie sprzeciwił. Następnie pojechałem do Kcyni i sprowadziłem księdza radcę Zająca. Pierwszego wieczora po jego powrocie, a wróciła z nim także obłożnie chora siostra (która wkrótce zmarła) przed plebanią rozlegały się jakieś okrzyki. Wybiegłem, ale nikogo nie dostrzegłem. Przypadkowy świadek prawdopodobnie wiedział, kim byli sprawcy. Stwierdził jednak tylko, że były to dwie osoby, nie rozpoznał, czy mężczyźni, czy kobiety. Mniejsza o to.

Radca, płacząc, prosił, bym go odwiózł do dziekana, ale nie zgodziłem się. Zresztą więcej demonstracji nie było, a coraz więcej ludzi pytało mnie, raczej z troską w głosie, jak się ułożą losy księdza radcy. To zależało od władzy duchownej. Ogłosiłem to w najbliższą niedzielę na ambonie, zastrzegając, że nie typuje się żadnych winnych, że w zamieszanie uwikłanych jest niewiele osób, że cała parafia dała wielokrotnie przykład prawdziwie chrześcijańskiej postawy. Po prostu trzeba czekać na decyzję księdza prymasa co do obsadzenia parafii i mieć zaufanie, że nikomu nie stanie się krzywda.

W czasie zebrania rady parafialnej padły propozycje, bym zgodził się na pozostanie w Gołańczy, bo ludzie mają do mnie zaufanie i sprawa szybko przycichnie. Odpowiedziałem na to, że cenię takie wyróżnienie, ale nie mogę się zgodzić na propozycję. Rad jestem, że idę na studia, a poza tym władza duchowna nie toleruje takich petycji i najgorzej na tym wychodzi zawsze ten, o którego proszą. Dodałem pół żartem, pół serio, że kto wie, czy po wielu latach nie czekałby mnie los obecnego proboszcza.

Muszę wyznać, że postawa radnych napełniła mnie otuchą. Wszyscy oświadczyli, że absolutnie przyczynią się do zaprowadzenia w parafii porządku. Zauważyłem

też z zadowoleniem, że zamęt był dziełem niewielkiej liczby osób, a reszta po prostu – częściowo biernie, a częściowo pod wpływem agitacji – zajęła postawę niezdecydowaną, niekiedy zaś aprobującą myśl o zmianie proboszcza. W rozmowach z ludźmi łatwo potrafiłem ich przekonać, że ksiądz radca, nawet jeśli brak mu było rzutkości, to jednak w trudnych czasach duszpasterzował z poświęceniem, a osobiście bynajmniej się nie dorobił. Był chory, co wpływało na jego pewną ociężałość. Ogromna większość parafian nie tylko zaaprobowała jego powrót jako rezydenta (na krótki zresztą czas, ponieważ wkrótce otrzymał miejsce w Domu Księży Emerytów w Wągrowcu), ale wyraźnie okazywała mu współczucie, co najlepiej uwidoczniło się w czasie pogrzebu jego zmarłej siostry.

Niekiedy wszakże zdarzają się wypadki, które w jednym momencie potrafią wszystko zmienić, w miejsce ustabilizowanej sytuacji stworzyć poważne zagrożenia. Tak było właśnie z tym pogrzebem. Organizowała go rodzina zamieszkała w pobliżu, a ja w miarę możliwości pomagałem. W dniu pogrzebu przybyło też kilku kapłanów, przyjaciół ks. Zajęca. Jeden z nich, ksiądz kanonik Czesław Marlewski⁴¹² z Góry pod Żninem wszedł w czasie mszy św. na ambonę, nie zapytawszy mnie o zgodę, co powinien był uczynić, i wygłosił kazanie, w którym znalazło się wiele słów potępienia pod adresem parafii. Ludzie zgromadzeni w kościele dość tłumnie, co wymownie wskazywało na zmianę ich nastawienia, zaczęli okazywać niepokój. Niektórzy wychodzili ze świątyni.

Nie wiedziałem, co począć. W zakrystii spytałem księdza dziekana Kazimierza Sojkę, kto zezwolił kaznodziei na zabieranie głosu, na co otrzymałem odpowiedź, iż bierze on na siebie odpowiedzialność za to. Lubiłem i szanowałem dziekana, bo był to dobry człowiek, ale jego słowa wywołały u mnie niekontrolowany odruch gniewu. Stanowczo oświadczyłem, że zgodnie z postanowieniem bp. Bernackiego tylko i wyłącznie ja mam prawo podejmowania decyzji i osobiście za nie odpowiadam przed władzą kościelną. Dodałem też, że modły za zbuntowaną parafię zarządzane przez dziekana w sąsiedniej Kcyni już dosyć mi przysporzyły kłopotów u wiernych.

Doszło do małej awantury, a działo się to wszystko w zakrystii, gdzie było także kilka osób, zwłaszcza starsi ministranci. Z dziekanem się później przeprosiliśmy, ale niektórzy starsi księża obecni na pogrzebie uznali, że moje zachowanie,

⁴¹² Czesław Marlewski (1894–1964), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1921. Administrator parafii Kołdrąb 1936–1938. Proboszcz parafii w Górze koło Żnina 1938–1964. Kanonik honorowy kolegiaty kruszwickiej od 1952.

wówczas bardzo przecież młodego księdza, było naganne. Sam wiedziałem, że tak było, ale wtedy byłem przekonany, że powraca zamęt w parafii.

Czekałem z niepokojem przez kilka następnych dni na reakcję parafian, ale panował spokój niczym niezmałowany. Ktoś mi potem powiedział, że moje zderzenie z dziekanem i protest przeciwko treści kazania rozniosły się po parafii. To w pełni zaspokoilo pretensje wielu osób, powszechnie bowiem uważano, że to nie ludzie, a księża byli winni zająciom. Trochę w tym było prawdy, może nawet wiele.

Okazało się, że mój optymizm sprawdzał się tylko w stosunku do ogółu parafii, natomiast był nazbyt pochopny, gdy chodzi o jednostki silnie przywiązane do przeniesionego wikariusza. Na jego powrót w charakterze rządcy parafii nie było widoków, tym bardziej że do Gołańczy przybył wikariusz w osobie ks. Władysława Kozłowskiego⁴¹³, nieco młodszego ode mnie.

Był to kapłan ogromnie sumienny i poważny, ale trochę odludek, który nie znosił osobistych kontaktów, odwiedzin. Wyglądał na trochę spłoszonego. Wtedy stołowaliśmy się u siostr serafitek. Najbliższa droga do nich prowadziła przez rynek, ale Władzio maszerował zawsze szybkim krokiem dróżką nad jeziorem, ze wzrokiem wbitym w ziemię, co prawie wykluczało jakiekolwiek spotkania z przechodniami. Martwiło mnie to, a ponieważ byliśmy w dobrych, koleżeńskich stosunkach, namawiałem go, by jakoś się „oswoił”. Nie na wiele się to przydało. Szkoda, bo miał on wiele zalet, przede wszystkim bezinteresowność, małe wymagania bytowe, co w Gołańczy wówczas bardzo się przydawało. Na dobrą sprawę, obaj nie mieliśmy jakiegось względnie porządnego lokum. Dopiero ks. Unisław Smaruj⁴¹⁴ uporządkował te sprawy.

Osoba wikarego nie dawała ludziom spokoju, zwłaszcza poważnym matronom, lubiącym znać szczegóły. Budził on żywe zainteresowanie w parafii, a przyczyną było właśnie to jego zamknięcie się w sobie. Ponieważ ja po rynku poruszałem się bez zahamowań, zdarzało mi się często przechodzić obok sklepu mięsnego pana Wachowiaka (tak to nazywano, choć pan Wachowiak był tylko kierownikiem, a nie właścicielem). Zawsze ucinałem pogawędkę z paniami stojącymi w kolejce przed otwarciem sklepu. Pewnego razu jedna z nich zagadnęła mnie właśnie o wikarego.

⁴¹³ Władysław Kozłowski (1932–1989), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1960. Wikariusz w parafii w Gołańczy od 1960. Proboszcz parafii Chomętowo 1965–1969. Wikariusz w parafii Świętej Trójcy w Bydgoszczy 1969–1977. Proboszcz parafii w Brudzewie 1977–1989.

⁴¹⁴ Unisław Smaruj (1913–1976), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1938. Proboszcz parafii Świętych Szymona i Judy Tadeusza w Kołaczku i dziekan miłosławski 1945–1961. Proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Gołańczy 1961–1976. Honorowy radca duchowny od 1962.

– Czy on nas się lęka? Przecież my go lubimy, tak ładnie mówi kazanie, modli się.
– On was ma się bać? To przecież artylerzysta, kapral z wojska, ten nikogo się nie boi, tylko trzeba do niego odpowiednio podejść, bo strasznie poważny.

Spoglądały na mnie z powątpiewaniem. Niewiele się zmieniło, bo Władzio pozostał, jaki był, niezbyt towarzyski.

Dziwne, ale właśnie on przyniósł mi pewnego razu wiadomość, chyba od sióstr, że pewna grupa pań szykuje się, by prosić kurię o powrót poprzedniego wikariusza. Wpadłem na pomysł zorganizowania wycieczki do niego. Tak się składało, że na niedzielę była do wynajęcia średniego tonażu ciężarówka Lublinek i po mszy św. spora grupa parafian, głównie parafianek, wybrała się do odległego o 140 km Jarocina. Przybyli na miejsce około południa. W zasadzie nie mieli gdzie się po-dziać. Z umiłowanym księdzem widzieli się w przelocie, był zajęty w parafii.

Wrócili już bez entuzjazmu, zwłaszcza że dawne bożyszcze dało do zrozumie-nia, iż było i minęło. Trochę mi tych ludzi było żal, bo szczerze byli do tamtego przywiązani i sądzili, że będzie to zawsze w równym stopniu odwzajemnione. Myślę, że ta wycieczka zamykała pewien rozdział w życiu tamtych ludzi, a częś-ciowo także w dziejach tej parafii.

Nie wiem, czy pewne wydarzenie, które pragnę tu opisać, ma związek z ową wyprawą, nawet nie pamiętam, czy zdarzyło się przed nią czy po niej. Nie jest to zresztą ważne. Pewnego razu listonosz przyniósł mi dwa listy, oba nadane w Gołańczy. Byłem zaintrygowany. Po otwarciu znalazłem dwa anonimy, pierwsze i ostatnie, jakie dostałem w życiu. Jeden był rysunkowy, przedstawiał mnie pcha-jącego taczkę, na której siedział ksiądz radca. Podpis był mniej więcej następujący: „Wywieź tego starego czym prędzej, bo i ciebie może spotkać coś złego. Możesz tu zostać, ale bez niego”. Drugi to był tekst, w którym językiem dość zgrzebnym, ale bez większych inwektyw radzono mi, bym przestał osłaniać księdza radcę, parafia chce mieć spokój i mogę ewentualnie być tu proboszczem.

Zadziwiające były dwie sprawy. Mój konterfekt był tak udany, gdy chodzi o podobieństwo, iż musiała to robić osoba niewątpliwie utalentowana plastycz-nie. Z kolei tekst, na mniej więcej stronę papieru zeszytowego, roił się od błędów ortograficznych. Z nawyku podkreślałem je czerwonym ołówkiem.

Zastanawiałem się, co z tym zrobić. Chodziło mi o odstręczenie raz na zawsze od pisania anonimów. W sobotę, jak zwykle, miałem zbiórkę ministrantów. Zazwy-czaj poruszałem jakiś temat liturgiczny i następnie krótko mówiłem o kulturze osobistej, obowiązującej nie tylko ministranta, ale każdego na całe życie. W zeszycie

zbiórek nagle zauważyłem oba anonimy. Postanowiłem w oparciu o nie wyjaśnić, czym są anonimy i dlaczego należy powstrzymać się od ich pisania. Żaden z chłopców nie potrafił powiedzieć, czym jest anonim. Pokazałem im oba elaboraty i wyjaśniłem, w czym rzecz. Chłopcy byli ogromnie zaniepokojeni, chichotali, oglądając rysunek, robili uwagi pod moim adresem. Atmosfera, jak zawsze, była swobodna.

Po zbiórce jeden ze starszych ministrantów oznajmił, że oni bez trudu odkrywają, kto to pisał. Nie bardzo mi to odpowiadało, ale nalegał, abym mu na dwa-trzy dni pozostawił oba listy. Niedługo po tym zjawił się u mnie i wymienił dwa nazwiska autorek. Przysięgał, że to nie pomyłka. W jednym wypadku, to znaczy owego tekstu, wygadało się ponoć dziecko autorki. Obie panie okazywały mi wielką życzliwość i były dobrymi matkami. Cóż, zdarza się, że zaciętrzewienie tłumi rozsądek.

Ksiądz Smaruj mówił mi wiele lat później, że nigdy nie dostał anonimu. A więc może poskutkowało. W dwie niedziele po otrzymaniu anonimów pokazałem je bowiem na ambonie po mszy św. i wyjaśniłem, że pisanie takich listów nie licuje z powagą i kulturą człowieka, a ponadto nie powinno się robić tak wielu błędów ortograficznych, bo co jak co, ale Polska ludowa o podstawowe wykształcenie obywateli dba.

W lipcu mocno się podtrułem i leżałem z wysoką temperaturą. Podejrzewano gripę, ale zbyt długo się to ciągnęło. W tym stanie pojechałem do Barda Śląskiego, gdzie miałem kapelanować przez tydzień, może kilka dni dłużej, u sióstr prowadzących dom dziecka i myślałem przygotować się nieco do egzaminów wstępnych na KUL. Po przyjeździe do Barda nie miałem nawet siły wejść po wysokich schodach prowadzących z ulicy do klasztoru. Kompletnie wyczerpany, zjawiłem się na furcie ku przerażeniu siostry przełożonej.

Przez kilka dni prawie nic nie mogłem jeść, leżałem i tylko rano zwlekałem się na mszę św. Przychodził niekiedy do kaplicy młody lekarz obsługujący dom, chyba o nazwisku Szoltyś. Któregoś dnia podszedł do mnie i zapytał, czy nie mógłby mi w czymś pomóc, sprawiam bowiem wrażenie bardzo chorego. Pozwoliłem się zbadać i opowiedziałem, że przed z górą tygodniem, gdy przejeżdżałem bodajże przez Siewierz, kupiłem kawałek kiełbasy szynkowej, którą usiłowałem spożyć, ale po dwóch kęsach wydała mi się kwaśna i wyrzuciłem ją przez okno samochodu. Zauważyłem, że pies, który do niej podbiegł, powąchał i pozostawił. W pierwszej chwili sądziłem tylko, że to jakaś wybredna psina. Teraz zacząłem kojarzyć fakty. Otóż zaraz po powrocie z podróży odczuwałem dolegliwości, początkowo także widziałem podwójnie.

Lekarz słuchał zatroskany. Powiedział, że specjalnie przyjedzie po południu z Kłodzka, gdzie ma dyżur w szpitalu i zamierza zasięgnąć porady bardziej doświadczonego kolegi. Przyjechał faktycznie wczesnym popołudniem i zaaplikował mi jakieś leki. Oświadczył, że jeśli jelita nie ruszą w ciągu kilku godzin, to muszę pójść do szpitala. Jelita „ruszyły” gdzieś koło północy, co sprawiło, że zamiast w łóżku spędziłem czas do rana w pewnym odosobnionym miejscu.

Rano, trzymając się sprzętów, zszedłem do kaplicy. Mój dobroczyńca już tam był. Spojrzawszy na mnie, jak mi później mówił, poczuł ulgę, mój wygląd był już inny. Ja z kolei po mszy św. poczułem straszny głód i poprosiłem siostrę o jajecznicę. Kiedy lekarz zjawił się przy stole i zobaczył mnie nad tym daniem, omal nie zemdlał. Ale dojadłem już resztki. Jakoś mi nie zaszkodziło.

Z uczenia się i wypoczynku były nici. Po kilku dniach wracałem do Gołańczy, ale byłem zdrowy i to było najważniejsze.

Odpust św. Wawrzyńca, 10 sierpnia, to mój ostatni występ w Gołańczy w charakterze substytuta, jak to się mówiło na takiego, co to nie był ani wikariuszem, ani proboszczem. Ten miał objąć parafię w święto Matki Bożej Zielnej, 15 sierpnia. Tuż przed odpustem przyszedł do mnie poważny parafianin i zapytał, kto będzie kaznodzieją odpustowym. Zdziwiło mnie, dlaczego to dla niego takie ważne. On wyjaśnił, że w parafii chodzą słuchy, iż ma to być ksiądz dziekan. Nie jest on tu mile widziany i może to utrudnić objęcie parafii przez ks. Smaruję.

Powiedziałem temu panu, że ma przyjść później, bo muszę się zastanowić. W istocie, ks. Sojka sam się wprosił z kazaniem i ja się zgodziłem. Czym prędzej pojechałem do Kcyni i przedstawiłem mu sprawę. Ku mojemu zaskoczeniu nie obraził się, wręcz przeciwnie, przyznał się, że funkcję kaznodziei przyjął jako swoistą „pokutę” za pewne nierozważne kroki, które mu ludzie gołanieccy mają za złe. Doradził mi wybór innego kaznodziei, niestety, nie pamiętam już dziś, kto nim był.

Owego parafianina zapewniłem tylko, że ks. Sojka nie będzie głosił kazania, dodając, zgodnie zresztą z prawdą, że sam tego nie chciał. Z kolei wyraziłem swoją prośbę wobec owego pana. Chodziło o to, by nie było żadnych afrontów w czasie wprowadzenia nowego proboszcza, które wymaga obecności dziekana. Afrontu nie było.

Na przyjazd ks. Smaruję czekałem jak na wybawienie. Bardzo szybko doszliśmy do porozumienia. Ważne były sprawy podatkowe i kasowe, w których rozwiązaniu pomogła mi walnie siostra rendantka z parafii dziekańskiej w Kcyni. Zaczynałem

bez grosza, a odchodziłem, mając uregulowane zaległości wobec Wydziału Finansowego w Wągrowcu, popłacone wszystkie, niewielkie wprawdzie, długi i wyprowadzoną na bieżąco księgę kasową.

W związku z załatwianiem tych spraw przeżyłem śmieszne wydarzenie. Otrzymałem mianowicie pilne wezwanie do Gniezna, do kurii. Ponieważ zaraz na początku mojego pobytu w Gołańczy posłałem tam zapytanie, jak postąpić z pewnymi obcymi mi procedurami finansowo-podatkowymi, zapakowałem wszystkie dotyczące się tego materiały do małej walizeczki i ruszyłem okazją do Gniezna.

Nic sobie nie myśląc, poszedłem wprost do działu kasowego, do pana Olkiewicza⁴¹⁵. Ten zrobił wielkie oczy. Absolutnie mnie nie wzywał. Zatem o wyznaczonej godzinie udałem się do bp. Czerniaka. Przyjął mnie w mieszkaniu, gdzie byli obecni także ksiądz infułat Raiter, proboszcz katedry i kierownik działu katechetycznego. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, zwłaszcza ten ostatni miał minę niezwykle uroczystą i spoglądał na mnie jak na winowajcę. Odezwał się mniej więcej w te słowa:

– Ksiądz został tu wezwany w sprawie dotyczącej sumienia – *casus conscientiae* – i jest zobowiązany pod takimi a takimi sankcjami do mówienia prawdy i zachowania tej rozmowy w ścisłej tajemnicy.

Na stoliku stał krzyż, pomyślałem zatem, że będzie jakaś przysięga. Rzeczywiście coś o tym wspomniał, ale ja odpowiedziałem, że nie mogę przysięgać w ciemno i muszę wiedzieć, o co chodzi. A poza tym, to ja mam tu sprawę do załatwienia i to niezwykle ważną, wiąże się z nią odpowiedzialność karna obciążająca mnie osobiście, a kto wie czy również nie kurię. Mówiąc to, otworzyłem walizkę i wyłożyłem z niej wszystkie przywiezione akta. Warto było zobaczyć miny obu dostojników.

Pierwszy opanował się bp Czerniak, który oznajmił mi, że o żadnych przeze mnie wnoszonych zapytaniach nie ma pojęcia i że w takich sprawach muszę sobie radzić sam. Trudno, trzeba było zatem czekać na indagacje. Biskup Czerniak wymienił nazwisko pewnego zakonnika i zapytał, czy go znam. Ja, że owszem, często bywał w Pleszewie, a w czasie zająć w parafii św. Floriana oddał mi pewną niedźwiedźnią przysługę, mniejsza o to jaką.

Nastąpiły inne pytania, na które przeważnie nie potrafiłem odpowiedzieć, gdyż dotyczyły osobistych spraw owego zakonnika. Stwierdziłem natomiast, że człowiek ów wydawał mi się o tyle dziwny, że oprócz ks. Szmeltera nie zauważał

⁴¹⁵ Roman Olkiewicz – wieloletni kasjer KMG, zatrudniony przed drugą wojną, odznaczony 1957 orderem *Pro Ecclesia et Pontifice*.

innych księży. Pomagając przez pewien czas w parafii, gdzie praktycznie pracowałem tylko ja sam, ani razu nie miał potrzeby widzenia się ze mną poza kościołem. Dodałem, że mieszkaliśmy w tym samym domu. Natomiast co do jego pobożności, o co też pytano, mogłem tylko stwierdzić, że była bardzo manifestacyjna, rzekłbym, nawet podszyta taką tańszą dewocją. Na to obaj prałaci zrobili bardzo zdziwione miny.

Indagacja zaczynała mnie trochę denerwować, bo ciągle nie wiedziałem, w czym rzecz. Zapytałem, jaki jest powód tych wszystkich pytań. Ksiądz Raiter pouczył mnie, że moją rzeczą jest odpowiadać, a nie pytać. Tego miałem zdecydowanie dość. Oświadczyłem, że nie mogę wyrażać opinii o człowieku, którego ledwo znałem, zwłaszcza jeśli nie wiem, w jakim celu to czynię. Biskup Czerniak, jak zwykle, zaczął łagodzić. Wyjaśnił, że czynią to z polecenia eminencji, natomiast sprawa jest poważna w sensie kanonicznym i muszę im zaufać, że to, co czynią, ma swoją podstawę.

Bodajże tego samego dnia dowiedziałem się w Gnieźnie od przypadkowo spotkanego kolegi, kurialisty, że ów zakonnik wybrał wolność. Dlaczego nie mogłem się tego dowiedzieć w czasie tego przesłuchania, tego nie wiem. W kościelnych procedurach są często tajemnice niemające zgoła sensu, a chyba tylko bazujące na dawnej praktyce inkwizycyjnej. Nie mam tu na myśli inkwizycji hiszpańskiej, ale w ogóle praktykę kanoniczną. Przypuszczam, że dziś nawet w połowie nie jest to tak praktykowane, jak za moich młodych lat.

Wracając do Gołańczy z moją walizką akt, które z mozołem i pomocą bliźnich w końcu doprowadziłem do porządku, ale zdobyłem jedno cenne doświadczenie: kuria diecezjalna może mieć interes do ciebie, natomiast gorzej, jeśli jest odwrotnie. Wysnułem z tego wnioski praktyczne. W moim prywatnym archiwum, moich własnych pism inicjujących sprawę, a skierowanych do kurii, jest niezwykle mało. Tylko najkonieczniejsze sprawy. Pamiętałem o tym, co mi pewien doświadczony kapłan powiedział na progu mojej kariery duchownej:

– Nigdy nie idź skarżyć się na cokolwiek czy na kogoś do kurii, lepiej, żeby ktoś poszedł ze skargą na ciebie. Wtedy jakoś sobie poradzisz. Jeśli ty pójdziesz, to znaczy, że sprawiasz kłopot. Tego nie lubią.

Wielokrotnie się to potwierdziło.

Na mojej krótkiej drodze pracy duszpasterskiej spotkałem wielu dobrych i uczciwych ludzi. Mógłbym ich wymienić prawie co do jednego. Natomiast zastanawia mnie do dziś, czy mógłbym wyliczyć tych z przeciwnej kategorii. Może

niektórych, ale nie wiem, czy wystarczyłoby palców jednej ręki. A może tych ludzi po prostu się nie zauważa albo nie zapamiętuje?

Po odpuście trzeba było się przygotować do zdania parafii. Rozpierała mnie duma, przez ten krótki czas debet parafii był równy zeru, a w kasie było ponad 3600 zł. Musiałem teraz sam, bez wsparcia finansowego, jakoś przeżyć półtora miesiąca, które dzieliło mnie od wyjazdu do Lublina. Oszczędności miałem nikłe, około 3 tys. zł. Stypendium kurialne wynosiło 800 zł i tyleż miała wynosić opłata za konwikt. Jakoś mi to snu z oczu nie spędzało.

Przejęcie parafii nastąpiło niejako w dwóch etapach. Ksiądz Unisław Smaruj wraz ze swym bratem Stefanem⁴¹⁶, też księdzem, zjawił się w Gołańczy nieco wcześniej, *incognito*, by się zorientować w sytuacji. Niczemu się nie dziwił, niczego nie krytykował, jedynie kiedy poszedł na cmentarz i zobaczył, jak jest zapuszczony, rzekł jakby do siebie:

– Tu zaczniemy, stan cmentarza świadczy o stanie parafii.

Powiedziałem, że najpierw trzeba ratować plebanię, silniejszy deszcz może rozmoczyć ściany częściowo zbudowane z gliny. Nic nie odpowiedział. Potem sam widziałem, jak z łopatą porządkował cmentarz; a więc dał mu pierwszeństwo przed plebanią. Był ciekaw, jak będzie przebiegać jego wprowadzenie. Prosił o jak najskromniejsze wystąpienia słowne, sam zarezerwował dla siebie kazanie. Zauważyłem, że ludzie chcą go powitać z chorągwiami, chlebem i solą, może ktoś powie kilka słów. Nie protestował. Miłe dla mnie było, iż wyraził zaufanie do mojego rozsądku, czego skutki już zauważył. Czekałem zatem na 15 sierpnia z niecierpliwością i bez obaw.

Nie zawiodłem się, uroczystość była budująca, a przemówienie nowego proboszcza rozwiało resztki nieufności, jaka się jeszcze tu i ówdzie czała. Po Gnieźnie błąkała się później opowiadka, jak to niezręcznie, obcesowo i samowolnie sobie w Gołańczy poczynalem. Nie wiem, kto był autorem tej plotki, ten, kto mi ją przekazał, nie chciał tego zdradzić, i dobrze. Tak przynajmniej myślę dzisiaj, wówczas myślałem nieco inaczej, kojarzyłem tę plotkę z brakiem choćby jednego słowa uznania ze strony władzy duchownej, choć przecież skutki mojej działalności w Gołańczy były mi znane.

⁴¹⁶ Stefan Smaruj (1915–1980), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1940. Nauczyciel religii w szkołach podstawowych w Bydgoszczy od 1945. Proboszcz parafii w Magnuszewicach 1954–1959, parafii Wniebowzięcia NMP w Wągrowcu 1959–1964, w Żninie 1964–1977, św. Wawrzyńca w Gołańczy 1977–1980.

Ksiądz Smaruj postąpił inaczej. Po objęciu parafii powiedział mi, że ma ze mną do załatwienia sprawę, ale prosi mnie o odwiedzenie go przed wyjazdem na studia. Rozumiałem to, choć nie wiedziałem, o jaką sprawę chodzi. Kiedy przekazywałem mu z dumą kasę z owymi zaoszczędzonymi pieniędzmi, wysypał wszystko na stół, odłożył 600 zł i bilon, stwierdzając, że mu się przyda, mnie zaś dał pozostałe 3 tys. zł. Początkowo nie chciałem przyjąć, bo przecież swoją należność sobie potrąciłem, ale ks. Smaruj z tym swoim dziwnym uśmieszkiem zapewnił mnie, że jeśli chodzi o korzystanie z beneficjum, mam poważne braki i nie nadaję się na proboszcza, stąd moje przeznaczenie na studia to właściwa decyzja.

Jak tego chciałem, odwiedziłem go we wrześniu. Zostałem go właśnie przy karczowaniu cmentarza. Pogawędziliśmy i co mnie uderzyło, wyjawiał mi swą opinię o parafii, pod którą podpisałbym się w całej rozciągłości. Dał mi wtedy kilka książek – pozostałość po ks. Zajacu – na które zawsze miałem ochotę, m.in. Karwowskiego *Historię Wielkiego Księstwa Poznańskiego*⁴¹⁷. Na pożegnanie wręczył mi dość grubą kopertę i powiedział, że mogę liczyć w czasie studiów na pomoc finansową z jego strony w miarę jego możliwości. Słowa dotrzymał. Byliśmy stale w kontakcie aż do jego śmierci 21 grudnia 1976 r.

Gdyby nie pomoc jego i państwa Suchockich z Pleszewa, nie potrafiłbym nigdy w 4 lata i 2 miesiące od rozpoczęciu studiów specjalistycznych dojść do doktoratu. Musiałbym podejmować prace zarobkowe, by utrzymać siebie i pomagać matce, która po śmierci mojej siostry Gabrieli w styczniu 1962 r. pozostała prawie bez środków do życia.

Wyjazd na studia, egzaminy wstępne wisiały nade mną jak miecz Damoklesa. Przygotowując się do egzaminów wstępnych, nie bardzo wiedziałem, czego należy się uczyć. Nieprzytomnie zakuwałem hebrajski, *notabene* prawie całkiem mi obcy, tylko jako ochotnik bowiem uczęszczałem w seminarium na kurs tego języka. Ledwo nauczyłem się czytać, a co dopiero gramatyka, analiza tekstu. Czas do wyjazdu upłynął mi więc szybko.

Jedyny człowiek, który mnie zachęcał do studiowania, to był ks. Władysław Gatzek z Lenartowic. Odwiedziłem go pod koniec września. Kpił z tych wszystkich przestróg, których mi inni nie szczędzili, i uważał, że nie tylko dam sobie radę, ale w dodatku dobrze wypocznę. W pewnym sensie to się sprawdziło, choć co do

⁴¹⁷ S. Karwowski, *Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego*, t. 1: 1815–1852; t. 2: 1852–1863, Poznań (pierwsze wydanie: 1918–1919).

wypoczynku, to tylko połowicznie. Odwiedziłem wtedy też przyjaciół w Pleszewie i ci, jak państwo Baumgartowie czy Suchoccy, zachęcali mnie do studiów, gdyż uważali je za awans, który mi się słusznie należy. Trudno mi było pojąć, dlaczego tak się działo, ale spotkania te wwały we mnie wiele otuchy.

Inna sprawa, może bardziej dla mnie dotkliwa, to perspektywa pożegnania się z duszpasterstwem. Lubiłem je, a zwłaszcza kontakty z młodzieżą. Pocieszałem się, że zawsze znajdzie się sporo czasu i okazji, by popracować na tej niwie. Wielokrotnie się to sprawdziło. Miałem też kłopot z kilkoma sztukami mebli, wspaniałym biurkiem dębowym, które kupiłem w Pleszewie. Cieszyłem się nim, niestety, zaledwie rok. Wszystko przepadło, nawet nie wiem gdzie i jak. Zresztą dobrze, że tak się stało, bo nawet dzisiaj nie miałbym miejsca, gdzie mógłbym postawić tak wspaniały mebel. Nie był obliczony na metraż, jaki przewidziano dla Polaka w PRL, a który praktycznie dla wielu pozostał już na stałe ich przestrzenią życiową.

Konieczność rozpoczynania wszystkiego od nowa zmuszała do zastanowienia się nad dotychczasowym dorobkiem. Był on niewielki i mało wtedy uświadamiany, ale przecież istniał. Składały się nań doświadczenia, niektóre dobre, inne może nie tyle złe, co budzące niesmak do siebie samego, bo tak jest zawsze, kiedy ponoszą nas emocje, może to być nawet gorliwość, ale brakuje roztropności i opanowania. Miałem tylko jeden taki przypadek w pierwszym roku kapłaństwa, kiedy w kaplicy napiętnowałem w sposób bardzo dosadny pewne wydarzenia, bez wątpienia naganne, na które należało zareagować, ale nie tak, jak ja to zrobiłem. Później zrozumiałem, że nie wychłostałem naganego faktu, ale ludzi, którzy poprzez to mogli ponieść niemałą szkodę. Z górą 50 lat minęło, a dręczy mnie to jakby to było wczoraj. Kiedy nieraz patrzę na ludzi, którzy gwałtownie, brutalnie walczą o swoje choćby najszlachetniejsze racje, zawsze przychodzi mi na myśl ta moja wpadka. Jedyna pociecha, to świadomość, iż coś podobnego już nigdy się nie powtórzyło. Były zatem i takie doświadczenia.

Z innych, podsumowując, zauważyłbym stale potęgującą się świadomość, że zbyt mało wiem, a podejmuję się rzeczy trudnych. Tak było z kursami przedmażeńskimi. Mnie przypadła strona teoretyczna. Byłem przekonany, że mogę sprostować każdej podniesionej kwestii, ale rychło niektórzy uczestnicy kursu w sposób bardzo taktowny dali mi do zrozumienia pewne niedostatki mojego wykładu. Bogu dzięki, że nie reagowałem oburzeniem, ale milczkiem douczałem się w domu. Na zakończenie kursu powiedziano mi, że z dnia na dzień było coraz

lepiej. Wymowę tego nie od razu zrozumiałem, ale znacznie później skorzystałem z tej oceny we właściwy sposób.

Można by jeszcze długo analizować ów, jak to nazwałem, dorobek plusowy i minusowy. To byłyby tylko przykłady i byłoby ich zaledwie kilka, ale ważniejsza jest świadomość tych spraw w tamtym czasie. Już na studiach potrafiłem uniknąć wielu sytuacji dla mnie przykrych tylko dlatego, że w zanadrzu było wspomnienie tamtych sukcesów i porażek.

Na tym właściwie kończy się cała moja kariera duszpasterska. Niedługa, bo tylko czteroletnia. Potem były już tylko krótkotrwałe epizody, pomoc niektórym kolegom. Nigdy nie działałem dla zarobku, choć niekiedy za moje trudy dostawałem jakieś wsparcie finansowe. W czasie studiów sprawy materialne dały mi się dotkliwie we znaki. Poza stypendium, całkowicie pochłanianym przez konwikt, nie miałem żadnego dochodu, a musiałem pomagać matce. Powiem tylko, że dopiero w tej trudnej sytuacji poznałem wielkoduszość wielu osób, od których niczego nie oczekiwałem. Wspomniałem niektóre, ale na tym nie koniec. Ważne było też stałe umacnianie mnie na drodze, jaką z nakazu władzy duchownej musiałem obrać.

W sumie spotkałem wiele osób, wobec których mam zobowiązania. Spłacić ich nie ma możliwości. Najczęściej ludzie ci już nie żyją. Pozostaje więc pamięć w wymiarze, jaki daje świętych obcowanie. Mimo takiego wsparcia, materialnego i moralnego, czas oczekiwania na wyjazd do Lublina mało się różnił od trudnych chwil poprzedzających święcenia kapłańskie. Było znaczne podobieństwo. W jednym i drugim wypadku trzeba się było liczyć z tym, że decyzja zapadnie na resztę życia. Okazało się, że tak się stało. Czy powinno to budzić aż takie rozterki?

Chwile wahań i obaw

Po Gołańczy na półtora miesiąca musiałem się zainstalować u matki w Nakle. Znajomi bez końca pytali, czy już nie dość się nauczyłem, po co jadę tam, na wschód, do Lublina. Ktoś, kto służył w wojsku w Lublinie, opisał mi miasto w taki sposób, że nie byłem daleki od stanowczej rezygnacji ze studiów. W Nakle, w parafii św. Stanisława, proboszczem był od 1960 r. ks. Szczepan Misiak⁴¹⁸, ongiś duszpasterz Polaków we Francji, człowiek niewątpliwie inteligentny, czytany i znający świat. Miał w sobie pragmatyzm, który rozwiewał wszelkie iluzje. Studia uważał

⁴¹⁸ Szczepan Misiak (1894–1963), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1922. Proboszcz parafii św. Jana Apostoła w Mogilnie 1945–1960. Administrator parafii św. Stanisława w Nakle nad Notecią 1960–1963.

za rzecz ciekawą, ale nie widział w nich korzyści namacalnych, tzn. przede wszystkim materialnych. Zostaniesz profesorem seminaryjnym w najlepszym wypadku, ale co to daje? To był jego sposób myślenia albo może wyraz pewnej przekory, zawsze bowiem lubił umniejszać oczekiwania, swoje i cudze. Rozmawialiśmy często i w moim przekonaniu ciekawie, ale te rozmowy bardzo podważały moją chęć pójścia do Lublina. W dodatku matka była bardzo temu przeciwna. Dni mojej siostry były policzone. Nie dziwię się obawom matki, co stanie się z nią po jej śmierci. Z kolei w Gnieźnie ks. rektor Pacyna nie chciał słyszeć o mojej rezygnacji ze studiów. Powiedział mi wtedy, jak silna była opozycja przeciwko moim studiom w gremium, które miało w tej sprawie głos. Ostrzegał mnie, że jeśli zrezygnuję, wydam wyrok na siebie i mogę się spodziewać już tylko najpośledniejszych placówek. Nękały mnie też obawy, czy dam sobie radę, a może się skompromituję, i co wtedy? Jeden z kolegów, którzy o rok wcześniej rozpoczęli studia, przedstawił mi w czarnych barwach pobyt w konwiktach w trzy- albo i w czteroosobowych pokojach, bardzo absorbujące zajęcia z teologii i dodatkowo jeszcze z przedmiotu specjalizacji.

Początkowo dość niecierpliwie przyjmowałem powoływanie się starszych ode mnie na ich własne doświadczenia. Sądziłem, że potrafię to lepiej. Co więcej, chciałem natychmiast widzieć skutek. Trudno się tego pozbyć, zwłaszcza jeśli ktoś tak krótko jest na placówce, iż nie może śledzić, jak rośnie to, co posiał. Kiedy jednak raz w wakacje odwiedziłem Gołańcz, gdzie wówczas wikariuszem był nieoceniony mój kolega, kondormitor ze seminarium i subiekt w prowadzonym przeze mnie sklepiu, Jasio Trojanowski, zapytałem go, czy kontynuuje coś z moich inicjatyw duszpasterskich. Powiedział mi wprost, że radca po moim odejściu kazał wszystko przywrócić do dawnego ładu. Mówił, że wikary zawsze chce być mądrzejszy, ale on jest krótko, a proboszcz zostaje, rację zaś ma ten, który zostaje. Jasio wytłumaczył mi, że dobro robione przemocą i tak przegra. Miał rację, choć nie całkiem, radca bowiem bardzo się nacierpiał, może właśnie dlatego, że tych młodych, pragnących działać, Jasio do nich należał, topił w marazmie. To wszystko jest prawdą, niemniej obstać przy tezie, że nawet najbardziej uzasadnione akty gorliwości muszą być podejmowane z uwzględnieniem zasady *et respice finem*⁴¹⁹.

⁴¹⁹ Łac. przewiduj skutek.

Na uniwersytecie

Do Lublina

W sierpniu 1961 r. skończyło się moje zastępstwo w Gołańczy. Ksiądz Unisław Smaruj objął parafię i mogłem wyjechać do Nakła nad Notecią do matki i – już wtedy bardzo chorej – siostry Gabrieli. Na białaczkę chorowała od dziesięciu lat. Łudzono się, że jest to odmiana mniej złośliwa, a więc powtarzane co jakiś czas terapie pozwolą na jakąś tam wegetację. O względnie normalnym życiu czy pracy nie mogło być mowy. Lekarz, z którym się konsultowałem, zalecił pewien zagraniczny lek, bardzo drogi, dziś już nie pamiętam nazwy, o który się postarałem. Poprawa była chwilowa, a następnie coraz szybsza utrata sił.

Moje ostatnie tygodnie w domu przed wyjazdem do Lublina to było jedno wielkie wahanie. Matka odradzała mi studia, sam także nie miałem na nie wielkiej ochoty. Byłem już od czterech lat księdzem, wiedziałem, że nie jestem faworytem kół kurialnych. O przyszłości specjalnie nie myślałem, w perspektywie kilku lat jawiła się wizja parafii. Wieś, co najwyżej małe miasteczko, co innego było poza zasięgiem. Zresztą po pobycie w Bydgoszczy parafia wielkomińska wydawała mi się koszmarem. Lubiłem kontakt z ludźmi, jak najszerszy; ideałem było znać wszystkich wiernych. W dużej parafii miejskiej znało się wąski krąg osób. Stwarzało to mylne wyobrażenie o środowisku. Nie musiałem się specjalnie martwić, że będę miał problem z odmową objęcia takiej parafii, nie należałem bowiem do księży, których tak wysoko kwalifikowano. Wyniki studiów seminaryjnych były sprawą drugorzędną.

Problem z podjęciem studiów tkwił głównie w sytuacji rodzinnej. Gdyby siostra była zdrowa, ta sprawa by odpadała. Czy sam byłem przekonany, że to moja droga? Patrząc na to po latach, sądzę, że tak nie było. Odpowiadała mi praca parafialna i nastawiałem się na to, że będzie to cel mojego życia. Byłem bardzo przywiązany do kontaktów z kolegami i ich brak dawał mi się później we znaki. Nie wszyscy byli mi tak samo bliscy, ale takich, których lubiłem odwiedzać, było sporo. Korzystałem z każdej okazji, żeby wstąpić po drodze do tego czy tamtego. Dziwiłem się, kiedy nieraz słyszałem, iż to rzecz niezwykła, żeby ksiądz student czy potem już doktor „pospolitował” się z wiejskim parochem. Byłem zawsze przekonany i nadal tak

pozostało, że duszpasterz znaczy o wiele więcej niż profesor. Chęć niektórych kolegów do ucieczki od duszpasterstwa na rzecz stopni naukowych czy pracy naukowej budziła we mnie zdumienie.

Niektórzy, zwłaszcza mniej zorientowani, podchodzili do mnie w mym rodzinnym mieście na ulicy i gratulowali, bo przecież pójście na KUL to wyróżnienie. Jak wielu zwykło mówić – to możliwość zostania biskupem. Nieraz ujmowano to zwięźlej:

– Poszedł uczyć się na biskupa.

Śmieszyło mnie to i nigdy mi przez myśl nie przeszło, że studia ku temu prowadzą, nie obawiałem się takiej promocji. W ogóle nie wyobrażałem sobie, co będę robił potem. W Gnieźnie ani ja siebie nie widziałem, ani nie widziała mnie tamtejsza władza.

Miałem mnóstwo wątpliwości i nie było mi lekko na duszy. Wszystko, co kojarzyło się z wyjazdem do Lublina, chwilami formalnie odbierało mi chęć do życia. Gdyby wtedy postawiono mnie przed alternatywą: studia czy wikariat, bez wahania wybrałbym to drugie. Z takimi myślami zjawiłem się u księdza rektora Pacyny. Oczywiście mówiłem o swoich rozterkach, ale nie chciał słuchać. Bardzo się zdenerwował. To ostatecznie mnie przekonało. Powiedziałem sobie, że chyba wolą Bożą jest, bym poszedł na uniwersytet. Martwiłem się tylko, że mogę nie dać rady i trzeba będzie z niczym wrócić do diecezji.

Rozpytywałem starszych kolegów, którzy od roku czy dłużej studiowali, ale ich opowieści nie były zachęcające. Było o czym myśleć, zwłaszcza że dochodziła troska o sprawy bytowe. Oszczędności nie miałem żadnych, siostra praktycznie już nie zarabiała, matka miała mikroskopijną rentę, a ja miałem dostawać stypendium wystarczające jedynie na pobyt w konwikcie. To wszystko miało się objawić w pełni dopiero po rozpoczęciu nauki, ale wyobrażnia już podsuwała niepokojące obrazy.

Wątpliwość, do której prawdą a Bogiem nie bardzo chciałem się przyznać przed samym sobą, płynęła w dużej mierze z mej całkowitej niewiedzy, na czym takie studia specjalistyczne miałyby polegać. Koledzy już studiujący mówili najwięcej o pracy magisterskiej, o doktoracie, a więc trzeba będzie pisać. Dotąd spod mego pióra nie wyszła ani jedna linijka, która miałaby być gdzieś publicznie zaprezentowana. Obawiałem się nawet pisania pracy prefektowskiej, obowiązującej przy egzaminie, jaki musieli składać prefekci, bodajże w miejsce jednego czy dwóch egzaminów wikariuszowskich. Jeden ze starszych księży prefektów dał mi do

wglądu swój elaborat i tym mnie do reszty pogłębił. A tu nagle tamci mówią o pracy magisterskiej.

Kiedy jeszcze byłem na parafii, odwiedził mnie Jurek Mizerski¹, kolega z diecezji poznańskiej, który dojeżdżał na KUL i zaocznie robił magisterium. Gdy zaczął mi opowiadać, jakie to trudne, postanowiłem nigdy nie mieć takowych ambicji. I teraz okazało się, że nie ambicje, ale obowiązek zmusi mnie do tego. Nie widywałem się z kolegami, którzy mieli ze mną rozpocząć naukę, przypadkowo natomiast spotkałem w pociągu będącego świeżo po obronie ks. Witolda Tylocha² i ten wylał mi na głowę kubeł zimnej wody.

– Studia – objaśniał mi – owszem, to coś ciekawego, ale co potem? Będziesz w kurii ołówki ostrzył. Albo pójdziesz w najlepszym razie uczyć do seminarium, a wtedy żegnajcie wszelkie apetyty naukowe.

Byłem zdruzgotany. Wprawdzie inny kolega kończący studia bardziej optymistycznie to widział, ale słowa Tylocha nie dawały mi spokoju. Można więc sobie wyobrazić, jaki był mój nastrój w przeddzień wyjazdu na KUL.

Nadszedł koniec września i trzeba było udać się do Lublina, gdzie czekały egzaminy wstępne. Wyjeżdżało nas z diecezji w 1961 r. czterech: ks. Kazimierz Głów³, ks. Kazimierz Śmigiel, mój kursowy kolega, ja i ks. Wojciech Zalewski. Ten ostatni był księdzem od roku, Głów od trzech lat. Neoprezbiterów z Gniezna raczej nie wysyłano na studia. Jednakże po czterech latach kapłaństwa, o ile sobie przypominam, wysłano tylko mnie i Kazia Śmigla. Oznaczało to praktycznie zaczynanie wszystkiego od nowa. Trochę skromnego dobytku, ale w końcu przecież dobytku, kilka mebelków – wszystko to przepadło. Książki w większości uratowałem, trafiły do domu rodzinnego.

¹ Jerzy Mizerski (1931–1980), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1957. Wikariusz w parafii w Gostyniu od 1960. Kapelan kaplicy w Zakładzie Sióstr Miłosierdzia w Środzie Wielkopolskiej 1967–1972. Proboszcz parafii NSJ w Środzie Wielkopolskiej 1972–1980.

² Witold Tyloch (1927–1990), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1952. W 1959, po obronie doktoratu na KUL, odszedł z kapłaństwa. Laicki religioznawca, badacz judaizmu, biblista i qumranolog, profesor UW. W latach 1969–1973 kierownik Zakładu Afrykanistyki i Semitystyki na Wydziale Orientalistyki UW. W latach 1977–1990 kierownik Zakładu Starożytnego Bliskiego Wschodu i Hebraistyki na Wydziale Orientalistyki UW. Pod koniec lat siedemdziesiątych I sekretarz POP PZPR na Wydziale Neofilologii UW.

³ Kazimierz Głów (ur. 1933), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1958. W 1961 nie mógł wyjechać na studia do Rzymu, gdyż odmówiono mu paszportu. W 1972 doktor teologii na KUL. Wykładowca w WSD w Gnieźnie 1972–1996. Diecezjalny duszpasterz rodzin 1970–1977. Proboszcz parafii św. Jakuba Apostoła w Niechanowie 1977–1980, parafii Wniebowzięcia NMP i św. Stanisława BM we Wrześni (fara) 1980–2009. Dziekan wrzesiński 1992–2009, kanonik.

Tak się złożyło, że chociaż startowaliśmy z różnych miejsc, to równocześnie, tego samego dnia, przybyliśmy do Lublina. Już sam dworzec i otoczenie uczyniły na nas przygnębiające wrażenie. Kocie łby, zatłoczone autobusy, bo było ich jak na lekarstwo, trolejbusy, rzecz dla nas nowa. Na początku lat sześćdziesiątych miasto zaczynało być placem budowy. Ruszała Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa⁴ (LSM), tu i ówdzie również coś się działo, ale było to małe miasto i gdyby nie cztery duże uczelnie, nie byłoby czego tam szukać.

Z dworca udaliśmy się do konwiktów księży studentów, gdzie mieliśmy zamieszkać. Już nie pamiętam, jak było z rozlokowaniem, chyba załatwiał to senior konwiktów, wówczas był nim bodajże ks. Jan Krucina⁵ z Wrocławia, a seniorem gospodarczym był ks. Wiesław Kalisiak⁶ z Warszawy. Któryś z nich wskazał nam pokój w starym budynku na pierwszym piętrze, ostatni w korytarzu po prawej stronie, tuż przy łazienko-ubikacji. Przez cały rok mieszkaliśmy w tym pokoiku we trzech: Kaziu Głównym, Śmigiel i ja. Główny, aby dostać się do swego łóżka, musiał przekraczać czyjeś łóżko, nie wiem już, moje czy Kazia Śmigla. Z łazienki stale dochodził odgłos spuszczonej wody lub szum umywalki. Najgorzej było rano, kiedy ustawiała się kolejka do mycia i golenia. Trudno opisać, co się tam działo każdego ranka. Po względny „luksusie” czasów wikariackich była to istna gehenna. Pocięgą było to, że nikomu nie żyło się lepiej, może z wyjątkiem lokatorów nowego konwiktów, gdzie mieszkali się po dwóch, a nawet pojedynczo, ale i tu pokoje nie miały łazienek, były natomiast umywalki. Dzisiaj trudno mi odtworzyć tamtejsze warunki życia. Przecież musieliśmy się uczyć, przygotowywać prace itp. Każdy miał jakiś stolik, ale gdzie kłaść książki? Chyba było przy tym wszystkim trochę wisielczego humoru.

Mszę św. chodziło się odprawiać do kościoła św. Pawła, do katedry lub gdziekolwiek. W kaplicy konwiktorskiej, gdzie rządził wówczas ksiądz infułat Stanisław Kobylecki⁷, ojciec duchowny konwiktów, przy licznych ołtarzach mogli celebrować

⁴ Lubelska Spółdzielnia Mieszkaniowa – dzielnica Lublina położona na południowy zachód od centrum miasta, powstała w 1957.

⁵ Jan Krucina (ur. 1928), ksiądz archidiecezji wrocławskiej. Święcenia kapłańskie 1959. Absolwent KUL. Filozof. Doktorat 1965, habilitacja 1973, profesor nadzwyczajny 1973, profesor zwyczajny 1992. Wykładowca na KUL i we wrocławskim WSD 1965–1979, prorektor WSD we Wrocławiu 1968–1988. Rektor Papieskiego Wydziału Teologicznego we Wrocławiu 1988–1992.

⁶ Wiesław Kalisiak (1935–2006), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Święcenia kapłańskie 1958. Student teologii biblijnej na KUL 1958–1963. Duszpasterz akademicki 1974–1976. Proboszcz parafii Matki Bożej Królowej Polski w Warszawie-Aninie 1976–2006, wicedziekan aniński od 1987, dziekan od 2005. Kanonik 1992, prałat 1994.

⁷ Stanisław Kobylecki (1902–1987), ksiądz diecezji łuckiej. Święcenia kapłańskie 1926. Do 1939 wykładowca w łuckim WSD. Od października 1939 proboszcz parafii we Włodzimierzu Wołyńskim.

tylko wybrani. Wszak nie było koncelebry. Kiedy poszedłem do niego, a znał mnie z Pleszewa, gdzie przebywał jakiś czas u siostr służebniczek, powiedział, że tylko starsi mogą tu dostać miejsce. Starsi, czyli dłużej studiujący, ale bywali pośród nich młodszy ode mnie kapłaństwem. W kościele akademickim były podobne porządki, dlatego z góry zrezygnowałem z tych miejsc. Chodziło się więc o oznaczoną godzinę, bardzo wczesną, do wybranego kościoła i miało się 25–30 minut na odprawianie. Spóźnialski mógł liczyć tylko na szczęśliwy traf – czyjaś nieobecność.

Nie trzeba zbyt wybujałej wyobraźni, żeby stworzyć sobie obraz człowieka wtrąconego ze względnie normalnego życia na parafii w sytuację gorszą, aniżeli miał kleryk w seminarium. Nic dziwnego, że kto tylko mógł i miał okazję, wybywał z konwiktu na parafię, gdzie pomagał w duszpasterstwie i miał przez kilka dni lepsze warunki, nie mówiąc o kilku groszach zarobku. Brak pieniędzy, przynajmniej w moim wypadku, był powodem stałej troski. Jednak z wyjazdów duszpasterskich nie korzystałem w ogóle, obrałem bowiem za cel jak najszybsze ukończenie studiów. Na razie jako finał przewidywałem magisterium i licencjat, o doktoracie nawet nie marzyłem.

Opisane tu bardzo skrótowo warunki bytowe w konwikcie w powiązaniu z zupełnie innym niż dotąd środowiskiem, z miejscowymi ludźmi, którzy dobrze się znali, a na nas patrzyli jak na przybyszów z innego świata, sprawiały, że początkowo sam pobyt w Lublinie był uciążliwy. Przede wszystkim nie obowiązywała żadna reguła, gdy chodzi o punktualność czy w ogóle o przestrzeganie takich spraw jak umówione spotkania itp.

Pewnego razu byłem umówiony ze znacznie starszym ode mnie profesorem innej uczelni. Mieliśmy się spotkać o wyznaczonej przez niego godzinie. Zjawiłem się na miejscu punktualnie i nikogo nie zastałem. Z trudem dodzwoniłem się następnego dnia. Profesor zdziwił się bardzo, że sprawę tę poruszyłem, bo według niego nie było to nic pewnego, a tym bardziej pilnego. Szedłem do niego w czyjejś sprawie zleconej mi do załatwienia, ale już nigdy do tego nie wróciłem.

W 1940 aresztowany przez NKWD i skazany na karę śmierci, z zamianą na 25 lat łagrów. W 1942 aresztowany przez gestapo, wykupiony przez parafian w 1943. Organizował pomoc dla ofiar rzezi ukraińskich na Wołyniu. Po wojnie wraz z parafianami trafił do diecezji warmińskiej. Kanclerz kurii w Olsztynie 1945. Wikariusz kapitulny 1950. Usunięty przez władze komunistyczne 1951. Przyjęty przez prymasa Wyszyńskiego do archidiecezji gnieźnieńskiej. Do 1956 posługiwał jako kapelan szpitalny w Pleszewie oraz opiekun siostr służebniczek NMP Niepokalanie Poczętej. Ojciec duchowny w konwikcie księży studentów KUL 1957–1967. Infułat od 1965.

Potem spotykaliśmy się niejednokrotnie. Raz nawet do tamtej sytuacji nawiązał. Dał mi radę, bym nigdy zbyt poważnie nie traktował takich ustaleń. Dla mnie było to coś nie do przełknięcia. Prawda, że w końcu się przyzwyczaiłem, bo takich zdarzeń było więcej. Ale dziś, po 55 latach pobytu w Lublinie, który stał się moim miastem, nadal nie toleruję takiego postępowania. Cieszę się, że osoby ze mną umówione zjawiają się na ogół punktualnie.

Być może na tle takich zachowań wyrastały ich przeciwieństwa. Mam na myśli ks. prof. Żywczyńskiego⁸, który punktualności przestrzegał już nie tylko w wymiarze minutowym, ale wręcz sekundowym. Trzeba było mieć dobrze wyregulowany zegarek i szczęście, żeby jego chronometr działał w podobny sposób. Przychodziło się na umówioną godzinę, stało się przed drzwiami, zerkano się na sekundnik i dokładnie co do sekundy naciskało się dzwonek. Oczywiście później, kiedy już pracowałem, można było trochę poluzować ten reżim, ale naprawdę tylko trochę. Profesor potrafił spóźnialskiego w ogóle nie wpuścić albo otworzyć drzwi, spojrzeć na zegarek i spokojnie je zamknąć. Ta jego dokładność bardzo mi się podobała, szkoda, że był to raczej wyjątek.

Katolicki Uniwersytet Lubelski w tym czasie był małą, ale pełną wigoru społecznością, w której niemal wszyscy wszystkich znali. Rektor, ks. Marian Rechowicz⁹, sprawiał wrażenie niemalże ojca, często widzianego na małym kampusie, rozmawiającego ze studentami, pracownikami. Rektor wtedy nie był *rara avis*¹⁰ w obejściu uniwersyteckim, jak to dzisiaj się stało. Wszyscy wiedzieli, że kiedy wsiada do swojego citroena 2CV, to planuje wyjazd do Nałęczowa lub Krężnicy Jarej, gdzie wówczas był żeński dom akademicki. Słowem, panowały niemal rodzinne stosunki. Nie było oczywiście tej wielkiej armii pracowników administracyjnych. Podobno dziś jest ich więcej niż kadry naukowej. Liczby, którymi się operuje, są chyba nieco przesadzone, a może wręcz nieprawdziwe, bo znane z wieści gminnej, ale porównania do tamtych lat nie ma żadnego. Dla przykładu: w biurze personalnym

⁸ Mieczysław Żywczyński (1901–1978), ksiądz diecezji płockiej. Świecenia kapłańskie 1926. Historyk Kościoła, od 1946 wykładowca i współorganizator Instytutu Historii KUL. Profesor nadzwyczajny 1954, profesor zwyczajny 1966. Związany z ruchem księży-patriotów i PAX. Najważniejszym dziełem w jego dorobku była praca: *Kościół i rewolucja francuska*, Warszawa 1951.

⁹ Marian Józef Rechowicz (1910–1983), ksiądz archidiecezji lwowskiej. Świecenia kapłańskie 1933. Historyk Kościoła, rektor KUL 1956–1965, prezes TN KUL i TP KUL. W 1958 doktor *honoris causa* Uniwersytetu Katolickiego w Lille. Dzięki jego staraniom i kontaktom zagranicznym KUL został wprowadzony w 1958 do Międzynarodowej Federacji Uniwersytetów Katolickich i do L'Association Internationale des Universités. Biskup administrator apostolski archidiecezji lwowskiej z siedzibą w Lubaczowie 1974–1983.

¹⁰ *Lac*. biały kruk.

pracowały wtedy dwie osoby – Antek Kojzar i Zosia Zalewska – tylko niekiedy mieli oni do pomocy jakiegoś stypendystę. Dziś biuro to zajmuje kilka pomieszczeń. W intendenturze widywało się może trzy osoby, najwyżej cztery. Jedynie kwestura, na której czele stał pan Zefiryn Tefelski, zatrudniała pięć lub sześć osób. Na około 2 tys. studentów i 200 pracowników naukowych proporcje były właściwe.

Co jednak najważniejsze – to ówczesna niepowtarzalna atmosfera. Byliśmy wszyscy świadomi, że jesteśmy na cenzurowanym. KUL w systemie komunistycznym nie miał właściwie racji bytu. Likwidowano kolejne kierunki studiów: prawo, ekonomię, pedagogikę, filologię romańską i w ogóle kierunki filologiczne, poza polonistyką i klasyką. Była to więc uczelnia okaleczona. Na przekór temu kierunki pozostawione rozwijały się prężnie, a absolwenci – mimo wiadomych restrykcji władz przy ich zatrudnianiu – byli w wielu instytucjach naukowych kraju mile widziani. Stosowano ściśle narzucone przez państwo limity, ale po części udawało się je obchodzić. Teologia dla świeckich była rezerwuarem dla naboru na inne kierunki, głównie uprawiane na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej (dziś ten przymiotnik skreślono): socjologię i psychologię. Wykorzystywano fakt, że na drugim roku nie było ograniczeń, co umożliwiało pragnącym studiowanie na tych kierunkach, a odrzuconym wskutek limitu – przechodzenie na nie po pierwszym lub drugim roku teologii. Teoretycznie nie było z tym trudności, w praktyce zdarzały się niejednokrotnie.

Brać studencka była bardzo zintegrowana. Dotyczyło to zwłaszcza kontaktów między księżmi studentami i świeckimi. Wspólne imprezy, niekończące się dysputy, wprawdzie mniej częste niż dziś, jednak zdarzające się z różnych okazji kawki i goszczenie się. Na porządku dziennym były wyprawy do Komitetu Wojewódzkiego PZPR na prelekcje światopoglądowe i blokowanie tam dyskusji, co niekiedy kończyło się agresywnymi sprzeczkami z trabantami partyjnymi. Taka światopoglądowa wymiana zdań skończyła się kiedyś dla jednego z paulinów pobiciem, którego ślady na głowie nosi bodaj do dzisiaj. Nierzadko prelekcje wygłaszali eksksieża, co dodawało wyprawom naszych studentów pikanterii, wymiana zdań z byłym konfratrem była zazwyczaj bardziej interesująca niż z jakimś innym lektorem marksizmu. Prelegentami bywali byli zakonnik prof. Jan Legowicz¹¹,

¹¹ Jan Legowicz OFM (1909–1992), w 1930 wstąpił do zakonu. Święcenia kapłańskie 1936. W 1937 uzyskał doktorat na Uniwersytecie Albrechta i Ludwika we Fryburgu. W czasie drugiej wojny przebywał w domu zgromadzenia w Alwerni, gdzie zaangażował się w tajne nauczanie. W 1947 zwolniony przez Piusa XII ze ślubów zakonnych. W latach 1945–1948 członek PPR, od 1948 PZPR. Pracownik Uniwersytetu Łódzkiego 1948–1953, a następnie UW 1953–1979.

eksfranciszkanin prof. Włodarczyk, może także eksksiądz Józef Keller¹², ongiś profesor etyki na KUL. Trzeba przyznać, że były to jednostki nieprzeciętne i dyskusja z nimi wymagała od strony przeciwnej sporej wiedzy i elokwencji. Podobno zdarzało się, że w momentach, kiedy księża lub także świeccy dyskutanci z KUL brali górę, wkraczało coś w rodzaju służby porządkowej, która metodami dosyć agresywnymi usiłowała wykurzyć niewygodnych gości z sali. Różne o tym krążyły opowieści, nie wszystkie zapewne całkowicie ściśle. Te i inne blaski i cienie życia uniwersyteckiego poznawało się oczywiście dopiero z biegiem czasu. Zaraz po przyjeździe ważne było urządzić się w mieszkaniu.

Jak już pisałem, nie miałym problemem była msza św., koncelebry bowiem nie było. W kaplicy konwiktorskiej było wiele ołtarzy bocznych i każdy dopuszczony do tego przybytku przez ojca duchownego, księdza infułata Stanisława Kobyłeckiego, miał wyznaczoną liczbę minut. Większość księży chodziła do miasta. Mój pierwszy kościół, w którym mogłem stanąć przy ołtarzu bodajże o godz. 6.45, to była świątynia na pl. Wolności pod wezwaniem Nawrócenia św. Pawła (kościół pobernardyński). Z ówczesnym proboszczem księdzem infułatem Dąbrowskim¹³ mieliśmy tyle styczności, że widywać go można było w niedzielę o godz. 9.00. Rządził wszystkim kościelny, nazwiska nie pomnę, korpulentny jegomość, który odznaczał się specyficzną inteligencją, pozwalającą mu bezbłędnie otaksować duchownego petenta. Od jego oceny zależał los tego ostatniego, a streszczał się on w dostępie do „lepszego” lub „gorszego” ołtarza i obsługi, raczej symbolicznej. Gwoli prawdy trzeba tu dodać, że owi celebrujący księża stanowili dla kościołów lubelskich niemałe obciążenie.

Po roku przeniósłem się do katedry, gdzie kościelnymi byli dwaj Józefowie: Wideński i Wojtowicz. Obaj – barwne postaci, ten drugi ojciec księdza Kazimierza, ówczesnie proboszcza w Krasnobrodzie, dziś już nieżyjącego. Proboszczem katedry był ksiądz infułat Piotr Stopniak, człowiek niezwykle, pełen dobroci, humoru i najrozmaitszej wiedzy. Chyba miał sentyment do mnie z racji mego pochodzenia z archidiecezji gnieźnieńskiej, podobnie jak odprawiający również w katedrze kanclerz kurii ks. Wojciech Olech¹⁴ – nieco ekscentryczny, ale przy bliższym poznaniu

¹² Józef Keller (1911–2002), ksiądz. Święcenia kapłańskie 1936. Od 1954 profesor KUL. W 1958 opuścił stan kapłański. Pracownik Instytutu Filozofii i Socjologii PAN 1958–1981. Prezes Polskiego Towarzystwa Religioznawczego 1965–1973.

¹³ Józef Dąbrowski, ksiądz diecezji lubelskiej. Proboszcz parafii Nawrócenia św. Pawła w Lublinie 1956–1976.

¹⁴ Wojciech Olech (1905–1977), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Doktor filozofii. W czasie drugiej wojny więzien KL Sachsenhausen i KL Dachau. Kanclerz kurii lubelskiej 1946–1974. Kanonik kapituły lubelskiej.

zdradzający gruntowną wiedzę w wielu dziedzinach, zwłaszcza związanych ze sztuką. Był kolekcjonerem, co wielu miało mu za złe, ponieważ często zabierał dzieła sztuki z parafii. Jedyne, co go tłumaczyło, to fakt, iż kazał je odnawiać na swój koszt. Wydaje się jednak, że po jego śmierci nie wszystkich można się było doliczyć. Miałem okazję bliższego zetknięcia się z nim, z nieznanymi mi bowiem powodów zaprosił mnie do obejrzenia swojej kolekcji i poczęstował lampką tokaju. Dziwny to był człowiek. Gdy wkrótce po owej wizycie w jego mieszkaniu przyszedłem w jakiejś sprawie do kurii, do księdza infułata Stopniaka, wikariusza generalnego, nie chciał mnie wpuścić. Stał przed drzwiami prowadzącymi do biura wikariusza generalnego, rozpostarł ręce i powtarzał:

– Nie ma go, niech pan przyjdzie kiedy indziej.

To „pan” miało swą przyczynę – byłem w garniturze, choć z koloratką. Taki był.

Wybiegłem nieco wprzód, zacząłem opisywać przebieg naszego zadamawiania się. Tymczasem już następnego dnia po przyjeździe należało pójść na egzamin wstępny. Wprawdzie miałem studiować historię Kościoła, ale egzamin należało zdać także z niektórych przedmiotów teologicznych. Najgorsze były języki: greka i hebrajski.

Ksiądz prof. Feliks Gryglewicz¹⁵ egzaminował z greki. Przeczytałem jakiś tekst z listów św. Pawła i tłumaczenie z objaśnieniami gramatycznymi poszło mi jak z płatka. Już podnosiłem się z krzesła, by zrobić miejsce koledze stojącemu w kolejce za mną (kolejka ciągnęła się przez całe wielkie audytorium), kiedy ks. Gryglewicz ze swą charakterystyczną wymową dorzucił pytanie o pewną formę gramatyczną. Był to aoryst, ale zawahałem się chwilę, nie byłem pewny, czy to nie perfekt. To starczyło.

– Proszę psyjść jeszcze raz. Psyda się.

Poszliśmy później z kolegą do ks. Józefa Kudasiewicza¹⁶, podówczas młodego adiunkta, i zdaliśmy za cały lektorat, choć – jak twierdził – z Grekami mieliśmy znajomość raczej luźną.

¹⁵ Feliks Gryglewicz (1909–1991), ksiądz diecezji częstochowskiej. Świecenia kapłańskie 1932. Wikariusz w parafii w Dietrichkowicach 1934, Sulmierzycach 1934–1936, Kamieńsku 1936–1938, Sosnowcu 1939–1942, Kromolowie 1942–1944. Administrator parafii Matki Bożej Szkaplerznej w Sosnowcu 1944–1946. Proboszcz parafii w Niegowonicach 1946–1950. Biblista, docent w Katedrze Egzegezy Nowego Testamentu na Wydziale Teologicznym KUL, tłumacz Pisma Świętego. Przewodniczący Komisji Wydawniczej Encyklopedii Katolickiej 1966–1970, redaktor działu Nowego Testamentu Encyklopedii Katolickiej do 1980, redaktor naczelny serii komentarzy biblijnych KUL do Nowego Testamentu 1970–1979.

¹⁶ Józef Kudasiewicz (1926–2012), ksiądz diecezji kieleckiej. Świecenia kapłańskie 1952. Biblista, doktor teologii, od 1957 wykładowca w WSD w Kielcach i na KUL od 1961. Habilitacja 1971, profesor nadzwyczajny 1979, profesor zwyczajny 1989. Protonotariusz apostolski od 1998.

Kolejny język zdawany pierwszego dnia to hebrajski. Pytał dziekan ks. Stanisław Łach¹⁷. Strasznie się spieszył i kazał czytać z Pięcioksiagu tylko trzy zdania. Przeczytałem z rozpędu może cztery–pięć. Jakiejś formy nie wiedziałem, zresztą języka tego prawie nie znałem, bo uczyłem się go sam, a tu słyszę:

– Przyjść na lektorat.

Ja na to:

– Ależ księżę profesorze, ja mogę całą *Księgę Rodzaju* przeczytać.

Spojrzał na mnie i rzekł, jak to on, bardzo szybko:

– No to zdał.

Byłem szczęśliwy. Pozostał jeszcze egzamin u profesora, na którego seminarium się wybierałem. To był ks. Mieczysław Żywczyński. Szedłem bez strachu, bom niewiele o nim wiedział. Egzamin odbywał się w jednej z sal wykładowych. My, siedmiu kandydatów, siedzieliśmy w ławkach, on na krześle naprzeciw nas. Ponieważ mieliśmy także część pisemną z tego przedmiotu, miał w ręku nasze wypociny. Zaczął się nad nimi znęcać, mnie spytał:

– Jak to było z Lutrem i reformacją? Czy to była *felix culpa*¹⁸?

Co tu odpowiedzieć? Zacząłem:

– Reformacja przyczyniła się do rozpowszechnienia Pisma św.

– Co jest ważniejsze, czytanie Pisma św. czy zbawienie?

– Zbawienie.

– A czy reformacja – drażył dalej profesor – prowadziła do zbawienia, przecież był to bunt przeciwko Kościołowi Chrystusowemu?

Próbowałem się bronić, twierdząc, że wielu ludzi mogło się przez reformację nie zbawić, ale tego nie wiemy, a rozpowszechnienie znajomości Pisma św. było jednak wielką rzeczą. Machnął ręką. Rzucił coś o myśleniu schematami i już się mną nie interesował. Kolega Jan Związek¹⁹ zasłużył na miano jedyne, „który sporo wie”. Pytaliśmy Jasia po egzaminie, z czego się przygotował. Pokazał nam mocno zniszczony i naddarty skrypt, rzekomo ks. Żywczyńskiego, w istocie będący

¹⁷ Stanisław Łach (1906–1983), ksiądz diecezji tarnowskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Bibliista, od 1952 pracownik Wydziału Teologicznego KUL. Profesor nadzwyczajny 1956, profesor zwyczajny 1966. Organizator Szkoły Biblijnej przy KUL 1956. Konsultor Papieskiej Komisji Biblijnej 1965–1971.

¹⁸ Łac. szczęśliwa wina; określenie grzechu pierworodnego.

¹⁹ Jan Związek (ur. 1937), ksiądz diecezji częstochowskiej. Święcenia kapłańskie 1961. Absolwent KUL. W latach 1965–1969 nauczyciel religii w NSD w Częstochowie. Doktorat 1969, habilitacja 1984, profesor nadzwyczajny 1991, profesor zwyczajny 2000. Od 1969 pracownik Archiwum Diecezjalnego w Częstochowie. Od 1979 wykładowca historii Kościoła w WSD franciszkanów w Krakowie i dyrektor Archiwum Diecezjalnego w Częstochowie. Od 1986 pracownik PWT w Krakowie.

notatkami z jego wykładów w seminarium lubelskim. *Notabene*, ks. Żywczyński, kiedy mu o tym skrypcie wspomiano, wprost szału dostawał, nazywał go stekiem bzdur i błędów. Mimo to z Jasia skrypt ten zrobił erudyte.

Ostatecznie ks. Żywczyński, znudzony naszymi wywodami, o czym nie omieszkaliśmy nas poinformować, oświadczył, że cały ten egzamin i tak nie ma sensu, bo przyjechaliśmy tu po to, by dopiero się uczyć.

– No, ale jeśli zarządzili egzamin, to był egzamin.

Prawdę mówiąc, byliśmy po nim kompletnie skołowani. Okazało się, że to, co wyczytaliśmy w podręczniku ks. Józefa Umińskiego²⁰, nie jest warte funta kłaków, a my jesteśmy po prostu ignorantami. Chodzi o to, że poza Umińskim nie widzieliśmy świata, z wyjątkiem może kolegi Związka, który zdobył wspomniany skrypt. Nastrój panował minorowy. Jediną pociechą było to, że adepci drugiego seminarium, prowadzonego przez księdza rektora Rechowicza z dziedziny średniowiecza, też lepszych doświadczeń nie nabyli. Ich egzaminował ks. Bolesław Kumor²¹, wówczas już po habilitacji, jednak przez wiele lat niezatwierdzonej, zatem będący na stanowisku adiunkta. Ksiądz Kumor pytał o szczegóły, a tych przyszli studenci także nie mieli w zapasie. Zapowiadały się więc wymagające studia.

Pierwsze dni na uniwersytecie pochłaniało zapoznanie się z trybem zajęć i formalnościami, których trzeba było dopełnić, by w ogóle móc studiować. Na pozór było to proste, ale zdarzały się także pułapki. Pamiętam, że na drugim roku pod koniec pierwszego semestru poszedłem po indeks i kartę egzaminacyjną, a panie w dziekanacie oświadczyły mi, że nie jestem studentem, ponieważ czegoś tam na początku semestru nie dopełniłem. Komplikacje nie były zbyt groźne, ale do zadowolenia także nie było powodu.

Dziwny był początek moich studiów. W październiku 1961 r. panowała wspaśniała pogoda, ciepło było jak w lipcu. Konwiktorzy²² snuli się po mikroskopijnym

²⁰ Chodzi o podręcznik: J. Umiński, *Historia kościoła. Podręcznik dla szkół akademickich*, t. 1: *Chrześcijańska starożytność i wieki średnie*, t. 2: *Czasy nowożytne*, Lwów 1933–1934. Józef Umiński (1888–1954), ksiądz diecezji płockiej. Święcenia kapłańskie 1912. Kierownik Katedry Historii Kościoła w Polsce i na Rusi na Wydziale Teologicznym UJK we Lwowie 1930–1939. Od 1937 profesor zwyczajny. Po drugiej wojnie wykładowca w WSD we Wrocławiu.

²¹ Bolesław Kumor (1925–2002), ksiądz archidiecezji krakowskiej. Święcenia kapłańskie 1952. Doktorat 1954, profesor zwyczajny 1978. Pracownik KUL, specjalista w zakresie nowożytnej historii Kościoła. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (1993). Autor licznych książek i artykułów naukowych. W 1982 szambelan papieski, 1994 honorowy prałat papieski.

²² Osoby, które mieszkają w konwiktach, czyli w internacie prowadzonym przez zakonników.

kampusie; trwało zapoznavanie się, wymiana myśli krążących wokół tego, co każdego z nas tutaj czeka. Tylko niektórzy z miejsca wzięli się do pracy. Zainteresowanie ogólne budziła postać ks. Mieczysława Malińskiego²³, który godzinami siadywał na ławce pod południowym skrzydłem gmachu, w zaułku obok wejścia do kościoła, gdzie latem i zimą leżała hałda węgla. Wszak na KUL palono jeszcze w piecach, tylko część budynków miała centralne ogrzewanie. Ksiądz Maliński nie szukał z nikim kontaktu, tylko się zaczytywał, jak mi się wydaje, w jednej z książek ks. Wincentego Granata²⁴, dogmatyka i dyrektora konwiktu. Niektórzy uważali to za dziwactwo. Jednak kapłan ów był od nas o kilkanaście lat starszy i nieco inaczej pojmował czas.

Studia kampusowe natchnęły mnie pewną myślą, która okazała się wielce pożyteczna. Dowiedziałem się, że można zdać lektoraty z całego dwuletniego pensum i mieć w ten sposób sporo oszczędzonego czasu. Postanowiłem zdawać z niemieckiego i francuskiego, bo miałem te języki wystarczająco opanowane, a także z greki. Warunki były korzystne. Na francuski na przykład należało przyjąć na egzamin z wybraną książką i przygotowanymi 30 stronicami tekstu. W takim wypadku pani Martyniakowa, lektorka francuskiego, przepytowała z owego tekstu i z gramatyki. Jeśli ktoś godził się na tekst wybrany przez egzaminatorkę, odpadał egzamin z gramatyki. Oczywiście odpowiadało mi to drugie. Już nie wiem, co mi przypadło, pamiętam tylko, że nie była to książka teologiczna. Poszło gładko. Głównie chodziło o konwersację. W tej dziedzinie byłem niezły. Otrzymałem pochwałę z komentarzem, że wielu nawet połowy tego nie umie po dwóch latach lektoratu. W duchu westchnąłem za duszę prof. Mulewskiego, mego nauczyciela francuskiego z nakielskiego gimnazjum.

Nabrałem tym większej ochoty na podobny zabieg z językiem niemieckim. Wprawdzie znałem go tylko czynnie, obca mi była gramatyka, ale żadna nauka języka nie daje tego, co nabycie go poprzez otoczenie. Taka była właśnie moja

²³ Mieczysław Maliński (1923–2017), ksiądz archidiecezji krakowskiej. Święcenia kapłańskie 1949. Studiował w Krakowie, Lublinie, Rzymie, Monachium i Münsterze. Doktorat 1967. Duszpasterz w Rabce 1960–1971. Wykładowca w WSD w Krakowie od 1967. Rektor kościoła Sióstr Wizytek w Krakowie od 1977. Autor wielu tekstów i książek poświęconych tematyce religijnej, filozoficznej i teologicznej. TW SB ps. „Czarnos”, „Czarny”, „Mechanik”.

²⁴ Wincenty Granat (1900–1979), ksiądz diecezji sandomierskiej. Święcenia kapłańskie 1924. Doktor filozofii 1925, doktor teologii 1928. Wykładowca w WSD w Sandomierzu do 1958. Profesor nadzwyczajny i wykładowca na KUL 1952–1970. Rektor KUL 1965–1970. Członek TN KUL od 1954, prezes TN KUL 1963–1970. Autor około 330 publikacji naukowych, w tym monumentalnej *Dogmatyki katolickiej*.

znajomość niemieckiego. Pan Dmochowski był bardzo wymagający i pedantycznie dokładny w egzekwowaniu wymogów egzaminacyjnych. Poszliśmy z kolegą z jakimiś książkami drukowanymi szwabachą. Nasza znajomość pisma gotyckiego trochę zaskoczyła lektora, a kiedy mu powiedziałem, że przez cały rok uczono nas tego w niemieckiej szkole dla polskich dzieci na Pomorzu w czasie wojny, zdumienie jego nie miało wprost granic. Wszystko przebiegało pomyślnie dla nas do momentu, aż zapytał o jakieś zjawisko gramatyczne. Oświadczyłem, że się poddaję, o gramatyce nie mam zielonego pojęcia. Znowu zdziwienie, jak to możliwe, biegle posługiwać się językiem bez znajomości gramatyki. Ale naszej ignorancji nie można było w ten sposób nadrobić. Jaki zatem dać nam stopień? Zaproponowałem dostateczny z plusem, ale pan Dmochowski nawet o tym słuchać nie chciał. W końcu po długich dywagacjach zdecydował się na bardzo dobry.

– Przecież, prawdę mówiąc, nikt po pełnym lektoracie tak języka nie zna – uargumentował swą decyzję.

W tym miejscu pozwolę sobie na pewne wyprzedzenie chronologiczne tego opowiadania. Pod koniec drugiego czy też może trzeciego semestru okazało się, że nie powinienem mieć zaliczonego pierwszego roku studiów, ponieważ nie uczęszczałem na żaden lektorat. Wezwała mnie w celu zakomunikowania tej wiadomości prof. Leokadia Małunowiczówna²⁵, pełniąca obowiązki kierowniczkilektoratów. W tym czasie chodziłem na angielski do mgr Chołoniewskiej, niezwykle miłej osoby, ale zbyt dobrej, by wyegzekwować znajomość języka. Muszę przyznać, że się nie przykładałem, a z naszej grupy naprawdę uczył się tylko ks. Wacław Hryniewicz²⁶.

Wizyta u pani Małunowiczówny nie tylko wyjaśniła fakt uczęszczania na lektorat z angielskiego, lecz także ujawniła już zdane przeze mnie lektoraty. Pani profesor nie mogła zrozumieć, jak można mieć zaliczone lektoraty na dwa lata naprzód. Postanowiła sprawę zbadać, ale nigdy się nie dowiedziałem, czy to uczyniła.

Pani Chołoniewska, w której oczach prawie przez cały rok byłem wzorowym studentem, po sprawdzeniu, który wypadł mniej imponująco, musiała zmienić

²⁵ Leokadia Małunowiczówna (1910–1980), filolog klasyczna, badaczka antyku chrześcijańskiego. W II RP działaczka SKMA „Odrodzenie”. Po drugiej wojnie rozpoczęła pracę jako asystent w Toruniu, gdzie w 1948 uzyskała doktorat. W 1949 zwolniona z powodów politycznych. Od 1950 adiunkt na KUL. Od 1956 profesor nadzwyczajny. Od 1965 kierownik Katedry II Filologii Klasycznej.

²⁶ Wacław Hryniewicz OMI (1936–2020), śluby wieczyste 1957. Świecenia prezbiteratu 1960. Teolog, ekumenista, wykładowca na KUL. Doktorat 1966, habilitacja 1974, profesor nadzwyczajny 1984, profesor zwyczajny 1992. Współtwórca Instytutu Ekumenicznego KUL, jego wicedyrektor 1983–1997, dyrektor 1997–2005. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”.

zdanie. Ponieważ chwaliła mnie przedtem w innych grupach, teraz musiała te pochwały odwoływać. Stałem się wskutek tego osobą szeroko znaną. Dodam, że do angielskiego wróciłem już jako asystent, na lektorat prowadzony przez brata szkolnego Jana Gaczoła i panią Hagest-Gorzelakową, rodowitą Szkotkę zamężną z Polakiem. Rodzina ta później wyjechała do Wielkiej Brytanii.

Brat, później pan Gaczoł był anglistą i romanistą. Wychowany za granicą, znał te języki jak *native speaker*. Poza tym miał dar jasnego tłumaczenia zawiłości lingwistycznych. Dużo skorzystałem. Przede wszystkim zainteresowałem się językiem angielskim, stale powiększałem swój zasób słownictwa, zrozumiałem podstawowe zasady gramatyczne. Z panem Gaczołem nawiązałem później, przed jego wyjazdem do Francji, bliższą znajomość. Mogę śmiało powiedzieć, że gdyby nie on, nigdy bym angielskiego nie opanował. *Notabene*, kiedy w 1985 r. po raz pierwszy udałem się do USA, byłem przekonany, że potrafię się tym językiem posługiwać. Zostałem wyprowadzony z błędu już na lotnisku Kennedy'ego, podstawy wpojone przez pana Gaczoła zaowocowały jednak szybkim przyswojeniem sobie praktycznych umiejętności.

Kolejne pobyty w USA dopomogły w udoskonaleniu kompetencji i choć nigdy nie osiągnąłem perfekcji, to znajomość języka obiegowego i fachowego, przynajmniej w przedmiotach humanistycznych, pozwoliła mi na prowadzenie zajęć dydaktycznych po angielsku. Byłem rozumiany i rozumiałem, a to dla Amerykanów jest jedynym liczącym się wyznacznikiem. Może się to wydawać dziwne, ale ja żadnego certyfikatu językowego nigdy nie posiadałem, jednak czynnie lub biernie posługuję się przynajmniej pięcioma językami. Znam natomiast osoby mające bardzo dobre noty na świadectwach, a mierną lub żadną faktyczną znajomość języków obcych. Tajemnica przyswojenia jakiegoś języka polega na tym, że należy w pewnym sensie stale z nim żyć. Egzamin, choćby najlepiej zdany, o niczym nie świadczy. Nie można też bać się popełniania błędów, bo są one nieuniknione.

Do Bożego Narodzenia, mimo wyjazdu do chorej siostry, miałem więc bilans osiągnięć dający mi kilka godzin więcej wolnego czasu tygodniowo, aniżeli mieli inni studenci. Biskup Czerniak, który odwiedził studentów gnieźnieńskich właśnie wtedy, gdy byłem w Nakle, bardzo się zaniepokoił moją nieobecnością. Sądził, że nie poradzę sobie, a kiedy dowiedział się o zdanych lektoratach, nie mógł pojąć, jak można w ten sposób postępować. Mój sukces został uznany za porażkę. Nie dziwiło mnie potem, że biskup i proboszcz mojej rodzinnej parafii dopytywali się, czy i jak sobie radzę. Znacznie później, kiedy na początku piątego roku studiów

zbliżałem się do doktoratu, biskup zmienił zdanie i usiłował innych motywować do przyspieszenia, był bowiem zdania, że zrobienie doktoratu w możliwie najkrótszym czasie równa się uzyskaniu dobrze przygotowanych kadr. Było to oczywiście nieporozumienie, gdyż tempo pracy zależy od wielu czynników, tylko nie od pośpiechu. Ja się nie spieszyłem, tylko wykorzystywałem czas najbardziej ekonomicznie, jak się dało. Trudno było to biskupowi wytłumaczyć, ale przyznać trzeba, że jego troska o nas była bez precedensu.

Pierwszy semestr był okresem eksperymentowania. Dotyczyło to nie tylko wżywania się w atmosferę KUL, lecz także stałego dowiadywania się, gdzie i czego można się nauczyć. Od razu można było zauważyć kolegów, którzy studia postrzegali jako czas o wielorakim przeznaczeniu. Rekolekcje, „wypomózki”, czyli zastępstwa parafialne, słowem – praca. Owszem, kapłańska w pełnym tego słowa znaczeniu, ale także lukratywna. Byłem goły jak święty turecki, więc z zadowolonym patrzyłem na te wypadki kolegów, ale wiedziałem, że nie mogę przeciągać studiów, zatem nawet w czasie wakacji starałem się pracować w archiwach, bibliotekach.

Studia. Przedmioty, wykładowcy

Trochę się rozpisalem o perypetiach filologicznych, ale trzeba sobie uprzytomnić, jak wielką wagę przykładano wtedy do znajomości języków. Bez tego o pracy naukowej nie można było nawet marzyć. Oczywiście w latach studiów nie myślałem ani przez moment, że na uniwersytecie zakotwiczę się na lat z górą 40, aż do emerytury.

Moja jedyna już siostra, Gabriela, zmarła 9 stycznia 1962 r., zatem u samego początku tej drogi. Matka została zupełnie sama. Chorowita i trochę niezaradna, nie mogłaby się utrzymać bez mojej pomocy. Dostawałem z kurii 800 zł stypendium, które w całości były przeznaczone na opłacenie konwiktu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że studia muszę odbyć w najkrótszym możliwym czasie, zatem o pracy duszpasterskiej mowy być nie mogło, oczywiście poza wakacjami. Ale w wakacje trzeba było prowadzić badania archiwalne. Wchodziło w rachubę najwyżej miesięczne zastępstwo parafialne. Okoliczności te z jednej strony studziły mój zapał do studiów, z drugiej – ponaglały, żeby ukończyć je jak najszybciej.

Innym powodem wielkiego dyskomfortu był na początku brak wiary we własne siły. Spotęgował go przypadek w pewnym sensie humorystyczny, choć wówczas dla mnie niezwykle istotny. Na pierwszym seminarium prowadzonym

przez ks. Żywczyńskiego pracę magisterską na temat św. Stanisława Kostki czytał ks. Stanisław Bońkowski²⁷ z Płocka, którego wspominam z wielkim szacunkiem. Słuchając wtedy jego wywodów, poczułem się nieswojo. To, co mówił, wydawało mi się, jak na moje możliwości, niedościgłe, sprawiało wrażenie wielkiej erudycji i fantastycznych umiejętności metodologicznych. W duchu powtarzałem sobie, że napisanie takiego tekstu, jego dokumentacja to sprawy nie dla mnie, trzeba zatem jak najszybciej zwinąć żagle i poprosić księdza prymasa o jakiś wikariat. Dopiero jednak dyskusja nad czytany urywkiem pracy do reszty powaliła mnie na łopatki. Krytyka była druzgocąca, choć przecież koleżeńska, życzliwa.

Ksiądz Żywczyński przysłuchiwał się w milczeniu, niekiedy mimiką dawał znak dezaprobaty, rzadziej potakiwał. Zawsze wypowiadał się jako ostatni, po nim już nikt głosu nie zabierał. Niektóre zastrzeżenia uznał za słuszne, nawet większość z nich, ale skrytykował magistranta z zupełnie innych niż reszta dyskutantów pozycji. Chodziło, o ile się nie mylę, o cechy antropologiczne św. Stanisława przedstawione na podstawie jego portretów. Profesorowi nie podobała się interpretacja ks. Bońkowskiego i na tym w końcu skoncentrowała się cała uwaga.

Byłem przygnębiony swoim brakiem umiejętności rozpoznawania dobrych i złych stron pracy. Dużo czasu musiało upłynąć, zanim uświadomiłem sobie kryteria ocen. Dziś wydaje mi się, że to dobrze, że się stało właśnie tak. I jako student, i później jako prowadzący seminarium przekonałem się, jak łatwo przychodziła niektórym jałowa krytyka, nic niewnosząca do tematu.

Trzeba przyznać, że wówczas seminaria były miejscem niekiedy bardzo zażartych i zarazem kompetentnych dyskusji. Gdy się porównuje to ze współczesnością, trudno znaleźć jakąś analogię. Nieraz szukałem przyczyn notorycznego milczenia wielu uczestników seminarium. Bez ryzyka błędu można wskazać dwie: jedna to brak szerszej wiedzy, odczytania, a druga to hamulec przed wystąpieniem publicznym – obawa, że nie potrafi się słownie ująć postawionego problemu. Kto winien? Chyba szkoła średnia z jej formalizmem dydaktycznym, a bez dbałości o intelektualny rozwój ucznia, będący w głównej mierze procesem indywidualnym. W porównaniu do tamtych czasów seminaria lat dziewięćdziesiątych i późniejsze,

²⁷ Stanisław Bońkowski (1930–1986), ksiądz diecezji płockiej. Świecenia kapłańskie 1957. Wika-
riusz w parafii w Pułtusku 1957–1959. Absolwent KUL. Doktorat 1967. Inspektor w NSD
w Płocku i wykładowca w WSD w Płocku 1963–1969. Ojciec duchowny i wykładowca w WSD w Płocku
1969–1985. Diecezjalny ojciec duchowny 1970–1986. Proboszcz parafii św. Bartłomieja w Płoc-
ku 1985–1986.

które jeszcze pamiętam, wykazywały nie tylko małą erudycję dyskutantów, lecz także ich trudności w formułowaniu zdań w języku ojczystym.

Seminaria ks. Żywczyńskiego to osobny temat. Teraz chcę tylko zrelacjonować ich wpływ na kształtowanie się moich poglądów na studia historyczne. Zyskałem przekonanie, że muszę pracować indywidualnie i korzystać jak najwięcej ze wskazówek profesora, udzielanych zarówno na seminariach, jak i – może w większej mierze – w czasie wykładów.

Wykłady również były dla mnie zaskoczeniem. Pierwsza ich seria poświęcona była genezie rewolucji francuskiej. Czymś wręcz zaskakującym była analiza literatury przedmiotu, już sam sposób jej przeprowadzenia niezwykle angażował słuchacza. W ciągu całego semestru dowiadывaliśmy się, jak przez dziesięciolecia ewoluowała opinia historyków, a także osób z innego środowiska (dziennikarzy), zainteresowanych danym problemem. Można było śledzić powstawanie historii konfrontowane z przedstawianym w niej biegiem dziejów. To ostatnie było gestem czysto autorskim. Wywody profesora budziły dalsze, coraz szersze zainteresowania.

Kiedyś po wykładzie odważyłem się podejść do niego i zapytać, co z omawianej przezeń literatury należałoby najpierw przeczytać. Ofuknął mnie, wzruszył ramionami i powiedział krótko:

– Nic.

Po latach ponowiłem pytanie w czasie okazyjnej rozmowy przy kawie. Wyjaśnił, co miał wtedy na myśli, bo rzecz pamiętał. Omawiający historiografię nie powinien rekomendować jakiejś jednej książki. On wskazuje na smakowite kąski w wielu dziełach. Jeśli słuchacz nie może odkryć, które to są, musi wnikliwiej towarzyszyć wykładowcy. Nigdy tak skrajnie tej kwestii nie widziałem, ale jakaś racja w tym tkwiła.

Trudno tu streszczać choćby tylko wiodące wątki wykładu ks. Żywczyńskiego, warto jednak zaznaczyć, że nie faktografia tu się liczyła, ale nauka myślenia historycznego. Dopiero w czasie egzaminu okazywało się, kto tę prawdę pojął i w jakim stopniu. Po drugim semestrze, a więc po wykładach na temat rewolucji francuskiej, byliśmy w czwórkę na egzaminie. Pytanie do wszystkich było jedno:

– Dlaczego Ludwik XVI nie mógł sam nałożyć podatku na stany uprzywilejowane, ale musiał w tym celu zwołać stany generalne?

Po kolei każdy wyrażał swój pogląd. Profesor siedział, uśmiechał się i kręcił przecząco głową. Po godzinie lub nawet więcej spytał, czy rezygnujemy z odpowiedzi.

Trzech kolegów skwapliwie się zgodziło, ja milczałem. Wskazał na mnie swoim charakterystycznym ruchem brody, spoglądał przy tym pytająco. Zapytałem, czy mogę jeszcze poprosić o chwilę czasu do namysłu.

– Owszem.

Kombinowałem dalsze pół godziny. Wreszcie rzekłem, że system feudalny nie na wszystko pozwalał władcy. Popatrzył, pomyślał chwilę i spytał:

– A skąd ksiądz to wie?

Odparłem, że jest to dedukcja z tego, co dotąd powiedziałem na temat historii Francji, od średniowiecza począwszy. Nic nie odrzekł, nie stawiał też dalszych pytań, sięgnął po indeksy. Dostałem bardzo dobry, a koledzy dobry. Profesor wymagał bowiem nie tyle erudycji faktograficznej, ile myślenia historycznego.

Później – jako asystent – przynosiłem mu niekiedy nowości wydawnicze. Przeważnie były mu już znane, chodziło mi o sprowokowanie jakiejś jego uwagi. Często o dziełach powszechnie uznanych wyrażał się z lekceważeniem. O niektórych mawiał:

– Owszem, duża książka, a jaka ciężka. Autor sporo się natrudził, ale powinien gdzieś krótko napisać, o co mu chodzi.

Albo:

– Wszystko byłoby dobrze, gdyby sam wiedział, o czym pisze.

Nierzadko sądy te były niesprawiedliwe, co sam później niejednokrotnie przyznawał. Był niezwykle wyczulony na jasność wypowiedzi i rzetelny warsztat. Kompromisu nie było.

Ksiądz Żywczyński był moim głównym preceptorem, ale wiele skorzystałem także z zajęć prowadzonych przez księdza rektora Rechowicza. Rzadko przychodził na wykład. Przeważnie mówił o kulturze w średniowieczu, a zwłaszcza o uniwersytetach i nauce w ogóle. Nie miał tej swady i pięknego języka co ks. Żywczyński, wszakże wiele myśli przezeń przekazanych pozostało w pamięci. Nade wszystko potrafił zaprezentować ideę uniwersytetu z podkreśleniem, iż od średniowiecza się nie zmieniła. Gdyby dożył końca XX w., musiałby zmienić zdanie. Profesorów z prawdziwego zdarzenia można zliczyć na palcach. W przewadze są rzemieślnicy, dobrze, jeśli nie karierowicze, ci bowiem szkodzą najbardziej. Ksiądz Rechowicz był zupełnie inny niż ks. Żywczyński, ale jego obycie z kulturą w wymiarze historycznym znajdowało wyraz w jego trafnych sądach, w umiejętności streszczenia w kilku zdaniach może nie całej epoki, ale jakiegoś ważnego i kluczowego dla dziejów zjawiska.

Metodologia i nauki pomocnicze historii były w gestii księdza doktora, a za moich studenckich czasów już nawet docenta, ks. Stanisława Librowskiego²⁸. Ma on niewątpliwie zasługi w dziedzinie archiwistyki. Co do metodologii jedyną jego wskazówką było ofiarowanie nam fotokopii (ksero nie było) planów kilku swoich prac z zaznaczeniem, że jeśli podobnie będziemy pisywać, wyrosną z nas ludzie. Oczywiście nie posłuchaliśmy, pomimo to... Zajęcia ks. Librowskiego dostarczały nam też rozrywki, lubił on bowiem różnego rodzaju facecje, nie krępował się w komentowaniu poczynąń innych, najczęściej swych kolegów, niekiedy hierarchów. Było to zabawne, ale na dłuższą metę także nudne. Nie przepadaliśmy za tym, ale on miał już taką manierę i nie było na to rady. Egzaminował, stosując zasadę *acceptio personae*²⁹. W zależności od nastroju, a bez względu na wiedzę delikwenta, jeden był z miejsca profanem, drugi geniuszem. W istocie chyba jednak uważał, że tylko on zasługiwałby na dobry stopień, i jeśli szafował nimi wobec studentów, to tylko dlatego, że taka była jego wola.

Respekt czuł, zdaje się, tylko wobec ks. Żywczyńskiego. Jedyny raz widziałem ks. Librowskiego biegnącego, kiedy usiłował dopaść tego ostatniego, wychodzącego z konwiktów z obiadu. Dzierżył jakiś arkusz papieru w ręku, który ks. Żywczyński bez słowa podpisał. Opowiadałem o tej scenie kolegom i wszyscy bez wyjątku uznali mnie za kłamcę. Nikt nie wyobrażał sobie ks. Librowskiego biegnącego. Był on postacią barwną i – trzeba przyznać – nietuzinkową, toteż trzeba poświęcić mu więcej miejsca.

Słabą jego stroną była nieznanomość, poza łaciną, żadnego języka obcego. A przecież w przedmiocie przez niego nauczonym dzieła obcojęzyczne odgrywają ważną rolę; trudno całkowicie pomijać je milczeniem, co systematycznie czynił. Kiedy jednak nie wspominał o dziele Adolfa Brennekego *Archivkunde*³⁰, świeżo wydanym z uzupełnieniami w 1953 r., będącym niezastąpionym kompendium archiwistyki, zgłosiłem na zajęciach chęć postarania się o to dzieło i poprosiłem, by profesor nam je scharakteryzował. W odpowiedzi wyśmiał nas, że niby kręcimy nosem na skrypty, które on, oddając nam przysługę, dostarczył. To prawda,

²⁸ Stanisław Librowski (1913–2002), ksiądz diecezji włocławskiej. Świecenia kapłańskie 1945. Teolog i wykładowca historii Kościoła w WSD we Włocławku od 1949. Dyrektor archiwum diecezjalnego od 1947. Wykładowca na KUL od 1958. Profesor nadzwyczajny 1970, profesor zwyczajny 1975. Autor ponad 180 opracowań i edycji źródeł. Był założycielem i pierwszym redaktorem naczelnym pisma „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne” od 1959.

²⁹ Łac. względ na osoby.

³⁰ A. Brenneke, *Archivkunde. Ein Beitrag zur Theorie und Geschichte des europäischen Archivwesens*, Leipzig 1953.

że mogliśmy za jego pośrednictwem nabyć drukowane na powielaczu skrypty Moszczeńskiej³¹ i Pańkowa wspólnie z Perzanowskim³², ale w końcu byliśmy na uniwersytecie i taki stosunek do poważnej literatury przedmiotu zwyczajnie nas raził.

Podobnie zresztą rzecz się miała, gdy pokazałem na wykładzie wydane w 1961 r. dzieło pod tytułem *L'Histoire et ses méthodes* pod redakcją Charles'a Samarana³³. Nawet na to nie spojrział, a ja znalazłem się w roli jakiegoś besserwissera, który chce pokazać, co potrafi. Najgorsze było to, że niektórzy koledzy nie podzielali mego i innych zdania, iż powinniśmy się jak najwięcej nauczyć.

Kiedy przyszło do egzaminu, umówiliśmy się z jednym z kolegów, W.R. (nazwisko pominę, bo choć od niedawna nie żyje, nie wiem, czy by sobie życzył takiego rozgłosu), wzięliśmy stertę książek w językach obcych – jako lektury przez nas przerobione – i poszliśmy zdawać. Był to oczywiście z naszej strony gest niesmaczny, ale to się wie dopiero po latach. Egzaminator potraktował nas niezwykle łagodnie, w ogóle nie pytał i postawił każdemu piątkę. Nigdy się tak głupio nie czułem. Zabraliśmy całą tę bibliotekę i czym prędzej czmychnęliśmy. Lekcja z tego przeżycia jest podwójna: nietakt nigdy nie popłaca, lecz także źle się dzieje, jeżeli profesor lekceważy znajomość języków obcych.

W mojej późniejszej karierze spotykałem dwa typy uczonych: jedni udawali, że znają języki, ale kiedy przyszło do zamanifestowania tej znajomości, nigdy tych osób nie było, drudzy wyśmiewali nawet postulat opanowania języka obcego. Oczywiście nigdy nie spotkałem poważnego profesora hołdującego tego typu patriotyzmowi.

Poświęciłem ks. Librowskiemu nieco więcej miejsca, bo na to zasłużył. Nie tylko osobliwymi scenami z jego udziałem, lecz także, co należy podkreślić, praktycznymi wskazówkami, dla niejednego ważniejszymi niż jakaś skomplikowana lektura. Jego praca przy piśmie „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne”³⁴ również powinna tu zostać wspomniana.

³¹ Wanda Moszczeńska (1896–1974), historyk, metodolog. Autorka wielu podręczników.

³² S. Pańków, Z. Perzanowski, *Nauki pomocnicze historii wraz z archiwistyką i archiwoznawstwem*, Kraków 1957.

³³ *L'Histoire et ses méthodes*, red. Ch. Samaran, Paris 1961.

³⁴ Czasopismo „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne” (ABMK) ukazuje się od czerwca 1959. Inicjatorem pisma byli o. Romuald Gustaw OFM, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL, oraz ks. Stanisław Librowski, dyrektor Archiwum Diecezjalnego we Włocławku. Trzy pierwsze tomy ABMK zostały wydane jako kwartalniki. Od tomu czwartego (1962) pismo ukazuje się jako półrocznik. Założycielem i pierwszym redaktorem ABMK był ks. Librowski. Kierował pismem przez 32 lata (1959–1991), wydał

To chyba normalne, że ludzie nie we wszystkich dziedzinach są jednakowo dobrzy. Na przykład o. Romuald Gustaw³⁵ był bibliotekarzem wprost niepowtarzalnym, natomiast jako wykładowca zupełnie się nie sprawdził. Miał z nami chyba tylko dwie lub trzy godziny zajęć na temat bibliografii. Przyniósł mnóstwo różnych książek i dość chaotycznie otwierał to jedną, to drugą. Próbował je omawiać, ale stale zbaczał z tematu i wreszcie pożegnał się z nami wyraźnie niezadowolony.

Jak się później dowiedziałem od ks. Żywczyńskiego, którego o. Gustaw był admiratorem i przyjacielem, podobno w ogóle nie słuchaliśmy, co dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej do nas mówił. Nie była to prawda, zwyczajnie nie było czego słuchać. Człowiek ten wiedział więcej niż ktokolwiek inny na temat bibliografii i bibliotekarstwa w ogóle, lecz nie miał daru pedagogicznego. Nie tym mierzą się wszakże jego zasługi. W Bibliotece Uniwersyteckiej KUL powinno się znaleźć jego popiersie, witające każdego wchodzącego w jej progi. Jeśli to piszę, to z pewnością nie z powodu szczególnej mej sympatii dla o. Gustawa, który także wprost żywiołowo mnie nie znosił, a powód był jasny: zbyt często mnie widywał u ks. Żywczyńskiego. Konkurencji w tej dziedzinie nie tolerował.

Bardzo ciekawe były zajęcia prowadzone przez ks. Jana Szymusiaka³⁶, jezuitę, którego władza ludowa wydała z kraju jako obywatela Francji. Był patrologiem, ale o szerokim zacięciu ogólnohistorycznym i głębokiej erudycji. Nieco ironiczny w sposobie bycia, potrafił zainteresować tym, co mówił.

Jego współbrat, o. Andrzej Bober³⁷, mnie już wprawdzie nie uczył, ale znałem go jako niezrównanego znawcę źródeł patrystycznych i facecjonistę. Nie wiem,

60 pierwszych tomów. Jego następcą ks. Joachim Giela kierował pismem w latach 1992–1993, wydał tomy: 61 (1992) i 62 (1993). W latach 1993–1999 redaktorem naczelnym był ks. Stanisław Tylus, który wydał tomy: 63–74 (1993–2000). W latach 2001–2012 funkcję redaktora naczelnego pełnił ks. Włodzimierz Bielak, który wydał tomy: 75–98 (2001–2012). Redaktorami półrocznika byli również: Ryszard Skrzyniarz (1995–2005) oraz Artur Hamryszczak (2005–2012), który od 2013 r. pełni funkcję redaktora naczelnego.

³⁵ Romuald (Michał) Gustaw OFM (1911–1976), święcenia 1936. Historyk, bibliograf, bibliotekarz. Doktorat 1947, habilitacja 1964. Generalny bibliotekarz i archiwista bernardynów 1936–1950. Dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL 1950–1976. Współzałożyciel Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych oraz współredaktor pisma ABMK 1961–1973.

³⁶ Jan Maria Szymusiak SJ (1920–1987), urodzony w rodzinie emigrantów polskich w Niemczech, od 1924 mieszkał we Francji. W zakonie jezuitów 1941–1974. Święcenia 1950. Doktor teologii, patrolog. Od 1958 w Polsce: wykładowca w Bobolanum i na KUL. Habilitacja 1965. Współtwórca w 1969 na KUL międzywydziałowego Zakładu Badań nad Antykiem Chrześcijańskim. Władze odmówiły Szymusiakowi zatwierdzenia go na stanowisku docenta. Od 1971 kontynuował pracę naukową we Francji.

³⁷ Andrzej Bober SJ (1918–1986), do zgromadzenia wstąpił w 1932. Święcenia kapłańskie 1943. Patrolog, badacz dziejów wczesnochrześcijańskiego piśmiennictwa. Doktorat 1954. Wykładowca

czy studenci zawsze rozumieli jego wywody, był bowiem chaotyczny i zakładał u słuchaczy znajomość języków starożytnych. Miałem z nim kiedyś rozmowę, już po mojej habilitacji. Chciałem skłonić go do bardziej systematycznej pracy dydaktycznej, którą uważał za stratę czasu. Nie wiem już, kto mi tę misję powierzył, chyba wynikała z moich krótkotrwałych zajęć z patrologii. Rozłożył wówczas na łóżku masę tekstów patrystycznych i stukając w tę stertę palcem, powtarzał swoim charakterystycznym, jak gdyby zduszonym, głosem:

– To jest coś warte, to powinienem robić, a tamci przecież i tak nic z tego wszystkiego nie rozumieją.

Był to pesymizm mający tylko ograniczone uzasadnienie.

Ksiądz Teofil Chodźdło³⁸ SVD miał zajęcia z teologii fundamentalnej i choć pozostałych wykładowców przedmiotów teologicznych na ogół tutaj pomijam, to on zasługuje na uwagę, ponieważ zajmował się zagadnieniami z historii religii i nawiązywał do najnowszych badań z dziedziny etnografii terenów misyjnych. Wykładał, jak gdyby przepraszał, że nas tym absorbuje, ale przynajmniej o sobie mogę powiedzieć, że wiele z jego zajęć skorzystałem.

Podobnie do dziejów Kościoła wschodniego potrafił zapalić jezuita o. Bogusław Waczyński³⁹. Jego entuzjazm nie wszystkim się udzielał, był on bowiem nie tylko teoretykiem, teologiem raczej aniżeli historykiem, ale nade wszystko promował, wówczas jeszcze niezrozumiały, ekumenizm.

Mieliśmy obowiązek uczestniczenia w wybranych zajęciach Sekcji Historii Wydziału Humanistycznego. Sam wybrałem kilka zajęć, choć z biegiem czasu mocno się rozczarowałem do – na ogół dość rozreklamowanych – wykładowców.

na jezuickim Wydziale Teologii w Krakowie i w Warszawie, w śląskim WSD i częstochowskim WSD w Krakowie. Wykładowca na KUL 1971–1983. Autor ponad 200 prac naukowych.

³⁸ Teofil Chodźdło SVD (1909–1979), odbył nowicjat i studia filozoficzno-teologiczne w St. Gabriel w Austrii 1932–1938. Studia teologiczne na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie 1938. W 1939 wyjechał do Szwajcarii, gdzie na uniwersytecie katolickim we Fryburgu Szwajcarskim specjalizował się w zakresie etnologii i religioznawstwa. Doktorat 1942, habilitacja 1973. Od 1942 pracował jako asystent i członek Instytutu Anthropolos oraz współpracownik redakcji czasopisma „Anthropolos”. Wrócił do Polski w 1948. Wykładowca w seminarium misyjnym werbistów w Pieniężnie i w WSD w Olsztynie 1949–1958. W Pieniężnie prefekt kleryków 1954–1957. Pełnił też funkcję asystenta prowincjalnego 1957–1963 i duszpasterza w parafii Radziejewo 1949–1957. W 1957 rozpoczął zajęcia naukowo-dydaktyczne na KUL jako zastępca profesora.

³⁹ Bogusław Waczyński (1907–1981), wstąpił do jezuitów 1923. Święcenia 1933. Teolog, specjalista od Kościołów wschodnich. Wykładowca na Bobolanum w Lublinie 1937–1939 i 1942–1946. Wykładowca na KUL 1946–1952 i 1957–1967 (w 1952–1956 usunięty przez władze komunistyczne). Przełożony prowincji wielkopolsko-mazowieckiej Towarzystwa Jezusowego i wykładowca na Wydziale Teologicznym Bobolanum w Warszawie 1952–1956.

Pamiętam jeden wykład (bodajże w zastępstwie doc. Jerzego Kłoczowskiego⁴⁰), wówczas jeszcze doktora, Eugeniusza Wiśniowskiego⁴¹. Widać było, że bardzo to przeżywa, ale zaimponowała mi jego wiedza i sposób jej podania.

Bodajże najsumienniejsi uczęszczaliśmy z kolegą Kazimierzem Śmigłem na wykłady z historii średniowiecza. Jeden dotyczył kultury europejskiej wieków średnich, drugi nosił tytuł: „Zagadnienia geografii historycznej chrześcijaństwa w średniowieczu”. W czasie trzech semestrów, tyle bowiem zaliczyliśmy wymienionych zajęć, zanotowałem dwie strony zeszytowe.

Regularnie uczęszczałem na wykłady z historii Polski prof. Andrzeja Wojtkowskiego. Mówił o dziejach kultury polskiej. Jego wprost niesamowita erudycja i przywiązywanie wagi do szczegółów sprawiały, że najwyżej po 10 minutach wykładu rozpoczynały się dygresje. Wtedy należało rozsiąść się jak najwygodniej (w ławkach kulowskich!) i słuchać. Było czego. Imponowała znajomość literatury, często całymi *passusami* cytowanej z pamięci, zwłaszcza dzieł Mickiewicza, lecz także prozaików.

Mogę śmiało powiedzieć, że prof. Wojtkowski był moim preceptorem na równi z ks. Żywczyńskim. Poświęcał mi wiele czasu, a jego wskazówki były na wagę złota. Z ks. Żywczyńskim za sobą nie przepadali, ale darzyli się szacunkiem, toteż Mistrz mój w czasie pisania przeze mnie dysertacji doktorskiej posyłał mnie niekiedy do prof. Wojtkowskiego na konsultacje. Pracowałem głównie na źródłach z archiwów poznańskich. Któż znał je lepiej niż prof. Wojtkowski? Czasem jednak czułem się w jego obecności nieswojo, zwłaszcza kiedy patrząc wnikliwie w oczy, pytał:

– A czy ksiądz dobrodziej o tym słyszał?

Nie bardzo lubił, gdy odpowiadało się twierdząco. A nawet jeśli, to zawsze dodawał wiele nowych i nieznanych mi rzeczy. Obok wiedzy trzeba było od profesora czerpać jego szacunek dla prawdy historycznej i bezkompromisowość warsztatową. Marna robota nie miała u niego zrozumienia.

⁴⁰ Jerzy Kłoczowski (1924–2017), żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego. Studiował w Poznaniu i Toruniu. Doktorat 1950, profesor zwyczajny od 1967. Jeden z założycieli KIK w 1956. Wykładowca na KUL, kierownik Instytutu Geografii Historycznej Kościoła w Polsce na KUL od 1957. Dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych KUL 1968–1974. Członek rady Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej Fundacji Jana Pawła II w Rzymie 1981–1991. Zarejestrowany jako TW SB ps. „Historyk” w latach 1961–1980.

⁴¹ Eugeniusz Wiśniowski (1929–2008), historyk, mediewista, badacz dziejów Kościoła w Polsce. Doktorat 1953, habilitacja 1970, profesor nadzwyczajny 1980, profesor zwyczajny 1992. Pracownik naukowy na KUL od 1955. Kierownik Sekcji Historii KUL 1988–1992.

Profesora Wojtkowskiego wspominam nie tylko jako mego dobrodzieja, bo to on odstąpił mi mieszkanie i umożliwił pozostanie na uniwersytecie. Był dla mnie autorytetem naukowym i wpoił we mnie przekonanie, że w pracy historyka nie ma miejsca na łatwiznę. Historyk odkrywa prawdę o przeszłości. Wszelkie manipulacje nią są podwójnym złem, po pierwsze, fałszują jej obraz, a po wtóre, stwarzają podstawę do nieprawdziwych, kłamliwych ocen i sądów, najczęściej zniesławiających ludzi, którzy już nie mogą się bronić. Historia bowiem to przede wszystkim *res gestae*⁴² osób. Materialne zaplecze tego działania stanowi tylko tło, nigdy istotę rzeczy. Tę ogromną odpowiedzialność za formułowanie sądów historycznych, a nawet za uczciwe potraktowanie źródła, znać było na każdym kroku w pracy profesora i jej rezultatach. Nigdy o tym wprost nie mówił, były to dla niego sprawy oczywiste. Jedno trzeba dodać – prof. Wojtkowski był analitykiem, nie interesował się syntezą, a szkoda, gdyż przy tak wielkiej erudycji mogłaby to być panorama historii niezwykle wartości. Był zatem pod tym względem przeciwnieństwem ks. prof. Żywczyńskiego.

Było wtedy na KUL wielu wykładowców z różnych dziedzin, których chętnie by się posłuchało, ale gonił nas czas i mnóstwo przedmiotów teologicznych, które trzeba było realizować, gdyż wymagała tego przynależność naszej Sekcji Historii Kościoła do Wydziału Teologicznego. Warto było chodzić na zajęcia prof. Łosia⁴³, starożytnika, który zwłaszcza świat grecki znał nie tylko z książek. Był wszechstronnym humanistą.

Niestety, nie na wszystko starczało czasu. Nie było wtedy studiów międzywydziałowych, jakie później się pojawiły. Może tylko zakłady antyku chrześcijańskiego i źródeł średniowiecznych do filozofii (nazwy były inne) dawały możliwość poszerzenia zainteresowań, ale podobnie jak Zakład ABMK i polonijny nie wchodziły one w program studyjny. W obu ostatnich wypadkach można było stamtąd czerpać materiały do badań własnych.

Z Wydziałem Teologicznym moje studia były organicznie związane, gdyż przed powstaniem Instytutu Historii Kościoła w 1964 r. studiowaliśmy na tym wydziale, tyle że w Sekcji Historii Kościoła. Przedmioty teologiczne nawet przeważały nad

⁴² Łac. czyny dokonane.

⁴³ Stanisław Łoś (1890–1974), historyk, polityk, dyplomata. Doktorat 1913. W czasie pierwszej wojny służył w armii austro-węgierskiej. Pracownik MSZ 1918–1931. Po 1931 poświęcił się pracy naukowej. W 1944 aresztowany przez UB i uwięziony na Zamku w Lublinie. Zwolniony w 1945. Od 1946 pracownik KUL, profesor nadzwyczajny 1958. Dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych KUL 1957–1959.

historycznymi. To było wielkie obciążenie, zważywszy na duży materiał historyczny do opanowania.

Z wykładów teologicznych, a były to dogmatyka, teologia moralna, egzegeza Nowego i Starego Testamentu oraz wspomniana już teologia fundamentalna z nachyleniem na dzieje religii, najbardziej wbiły mi się w pamięć wykłady ks. prof. Antoniego Borowskiego⁴⁴, staruszka, niemalże niewidzącego. Z trudem się poruszał, dlatego zajęcia miał w ówczesnej auli, co go uwalniało od chodzenia po schodach. Prowadził wykład monograficzny na temat restytucji, a chyba także o pokucie w starożytności, typowo scholastyczny, na modłę dydaktyki stosowanej w Lowanium i Petersburgu na początku XX w. (na drugim roku studiów przejął to po nim ks. Władysław Poplatek⁴⁵ i jako temat obrał cnotę religijności). Nie wiedzieliśmy wówczas, że dojeżdżanie z Włocławka było ze strony profesora wielkim poświęceniem dla ratowania tego przedmiotu na KUL, ponieważ polityka władz zmierzała w kierunku jak największego ograniczenia samodzielnych sił naukowych na uczelni. „Dziadek” – jak go nazywaliśmy – częstował nas treściami wymagającymi od studentów sporego nakładu pracy. Egzamin nie był specjalnie trudny, o ile ktoś przebrnął przez konspekty, czyli potrafił wyrecytować cały spis rzeczy wykładu. Była to litania bardzo długa, innymi słowy specyfikacja wykładanego materiału – była bowiem ściśle przez profesora przestrzegana.

Na egzamin poszedł były wikary ks. Borowskiego. Przed wejściem kpił z tych, którzy wkuwali konspekty. Szybko jednak wyskoczył z pokoju egzaminacyjnego, który znajdował się przy zachodniej klatce schodowej – tam, gdzie obecnie jest WC. (Lokal ten na przestrzeni kilkudziesięciu lat służył zresztą różnym celom). Co się stało? Wyłożył się na konspekcie. Na szczęście nie oddał indeksu, zatem korzystając ze słabego wzroku profesora, wymknął się z pomieszczenia. Ksiądz Borowski przez cały dzień dopytywał się o tego „niecnotę”, a wieczorem jemu samemu uskarżał się na bezczelność „dzisiejszych młodych ludzi”.

– Bo wie ksiądz – mówił – żaden z moich wikariuszy na takie coś by sobie nie pozwolił.

⁴⁴ Antoni Borowski (1884–1968), ksiądz diecezji włocławskiej. Świecenia kapłańskie 1906. W 1945 organizator reaktywowanego duszpasterstwa diecezjalnego i rektor seminarium duchownego we Włocławku. W latach 1945–1949 wznowił na UW wykłady prowadzone przed wojną. Wykładowca na KUL 1957–1962.

⁴⁵ Władysław Poplatek (1907–1994), ksiądz archidiecezji lwowskiej. Świecenia kapłańskie 1931. Teolog. Doktorat 1939, habilitacja 1958, profesor nadzwyczajny 1969. Wykładowca na KUL. Kierownik Katedry Teologii Moralnej Ogólnej KUL 1957–1976, dziekan Wydziału Teologii KUL 1965–1972.

Zabawne wydarzenie, ale w sumie było przykro i głównemu aktorowi tego spektaklu, i tym, którzy stanowili jego widownię. Przecież ogromnie szanowaliśmy ks. Borowskiego. Ciekawe były jego uwagi o *acceptio personarum* przez władze kościelne. Jako przykład stawiał swego biskupa, który pozbawił go parafii. Oczywiście nie mógł już być czynnym proboszczem. Opowiadał zresztą o wielu ciekawych sprawach, jakie zdarzyły się „niedawno, gdzieś może w roku 1917”, lubił bowiem, kiedy po jakiejś godzinie wykładu ktoś z sali krzyknął:

– Prosimy o dygresyjke.

Było to zrozumiałe, gdyż ks. Borowski wyładał bez przerwy po kilka godzin. Było tak z racji jego trudności w poruszaniu się.

Wiele postaci uniwersyteckich zasługiwałoby na uwiecznienie, ale trudno zdołać się na to, kiedy znajomość była raczej powierzchowna. Pewne sprawy znałem jedynie z relacji, jak wydarzenia związane z wielkim znawcą filozofii Wschodu, ks. Franciszkiem Tokarzem⁴⁶. Jedną, szczególnie zabawną, opowiem.

Ksiądz Tokarz zwykle bywał otoczony na korytarzach uniwersytetu wianuszkami studentów. Pewnego razu namawiali go, by poszedł z nimi na kawę, bo chcą jeszcze podyskutować. Była to wielka pokusa, ale tłumaczył, że nie może, bo jakiś osioł prosił go o konsultacje. W rzeczy samej był to jakiś młodszy pracownik naukowy, bodajże nie z KUL. Mówiąc to, ks. Tokarz rozejrzał się i zauważył delikwenta.

– O, jest pan – a zwracając się do otaczających go studentów, dodał – a nie mówiłem? Nie ręczę, czy to prawda, ale do ks. Tokarza było to całkowicie podobne.

Seminaria

Najważniejszym elementem studium jest oczywiście seminarium. Uczęszczałem na dwa: z historii nowożytnej i najnowszej, prowadzone przez ks. Żywczyńskiego, oraz z historii średniowiecznej pod kierunkiem ks. Mariana Rechowicza. Często zastępował go ks. Bolesław Kumor i wtedy do znudzenia wałkował dzieje organizacji kościelnej w Polsce, nie przepuszczając żadnemu szczegółikowi. Ważne było, że ten czy ów folusz przeniesiono z jednej parafii do drugiej, a jakiś tam strumyk był granicą parafii tylko do dnia tego czy tamtego, właśnie wówczas bowiem nastąpiła nowa cyrkumskrypcja granic. Trudno było uczestniczyć czynnie

⁴⁶ Franciszek Tokarz SJ (1897–1973), święcenia 1924. Doktorat 1925, habilitacja 1957. W 1934 opuścił zakon, inkardynowany do ormiańsko-katolickiej archidiecezji lwowskiej. Wykładowca na KUL 1953–1971.

w takim seminarium, ale ks. Kumor wyznaczał poszczególne osoby do zabierania głosu. O czym tu dyskutować?

Ksiądz Rechowicz, o ile nie było kandydatów do czytania prac magisterskich lub doktorskich, albo skracał seminarium, albo prosił o referowanie jakiejś lektury. Często zgłaszałem się na ochotnika. Wiele w tym czasie czytałem, a mając dość wąskie rozeznanie w wartości czytanych dzieł, nie wahałem się ich omawiać. Jedną z lektur zaproponował ks. Rechowicz. Było to wydane bodajże w Paderborn w 1924 r. trzytomowe dzieło Gustava Schnürera *Kirche und Kultur im Mittelalter*. Już dziś nie pamiętam, który tom referowałem, dotyczył wieków od XII do XV. Może były to nawet dwa tomy. Później przeczytałem całość, w moim przekonaniu, dorównującą publikacjom Jakuba Burckhardta⁴⁷ czy Huizingi⁴⁸. Dziwiłem się później, kiedy jeden czy drugi średniowiecznik o tym dziele w ogóle nie słyszał. Dyktowane potrzebą inspiracji ks. Rechowicza były mi bardzo pomocne, dzięki nim dotarłem bowiem do wielu książek, które z pewnością bym przeoczył, mniej interesując się średniowieczem.

Teoretycznie byłem zapisany także na seminarium ks. Chodźdły, ale nie wiem, dlaczego uczestniczyłem w nim tylko jeden raz. Zaliczenie otrzymałem za pracę seminaryjną na temat początków państwa polskiego. Było to jedynie streszczenie książki Stanisława Trawkowskiego *Jak powstała Polska*⁴⁹. Było mi nieswojo, kiedy ks. Chodźdło pochlebnie się wyrażał o moim wypracowaniu, ale świadczy to raczej o wielkiej wyrozumiałości tego wykładowcy niż o poziomie mej pracy. Zresztą mój temat z jego zajęciami nie miał żadnego związku, uważał on jednak, że historycy winni robić swoje. I w pewnym sensie miał rację, *ratio studiorum* teologiczne odrywało nas bardzo od przedmiotów kierunkowych.

O seminarium ks. Żywczyńskiego już poprzednio wspomniałem. Było ono jednym z najliczniejszych, o ile w ogóle nie najliczniejszym. Zwykle uczestniczyło w nim 9–12 osób. Niekiedy dojeżdżali spóźnieni doktoranci. Odbywało się

⁴⁷ Jacob Burckhardt (1818–1897), szwajcarski historyk sztuki, literatury i kultury. Wykładowca na uniwersytecie w Bazylei, a następnie na politechnice w Zurychu. Jego najbardziej znane dzieło – *Kultura Odrodzenia we Włoszech* – mimo upływu 150 lat od pierwszego wydania wciąż pozostaje aktualne. Rozpowszechniło ono termin filozoficzny Giorgia Vasario „renesans” na oznaczenie epoki w kulturze europejskiej.

⁴⁸ Johan Huizinga (1872–1945), historyk holenderski, eseista, językoznawca. Profesor historii na Uniwersytecie w Groningen 1905–1915, w Lejdzie 1915–1942. Autor monografii *Jesień średniowiecza* (1919), w której przedstawił panoramiczny obraz kultury i życia społecznego u schyłku średniowiecza.

⁴⁹ S. Trawkowski, *Jak powstawała Polska*, Warszawa 1959.

w gmachu KUL, w Bibliotece Uniwersyteckiej, a wreszcie przez kilka ostatnich lat w mieszkaniu profesora. Na ogół czytano w czasie posiedzeń prace magisterskie czy doktorskie. Wówczas nie było na seminarium świeckich, a klerycy mieli seminarium osobno.

Prac magisterskich kleryków doglądał ks. dr Franciszek Stopniak⁵⁰, który był kimś w rodzaju wolontariusza w katedrze ks. Żywczyńskiego i mógł mieć uzasadnione nadzieje na asystenturę z chwilą, gdy taki etat zostanie utworzony. Nastąpiło to dopiero w 1964 r., kiedy powstał Instytut Historii Kościoła i zatrudniono asystentów, ale ks. Stopniak do ich grona nie wszedł. Na seminarium uczęszczał regularnie, mimo że był wikariuszem w parafii św. Pawła, a seminaria odbywały się w piątki w godz. 17.00–19.00. Kolidowało to z pracą w parafii (pierwsze piątki), ale jakoś to ks. Franciszek załatwiał. Z reguły zabierał głos i zawile tłumaczył referującemu pracę, iż jest ona nic niewarta. Niekiedy widać było, jak się wysila, by znaleźć jakiś konkretny argument na poparcie swej tezy, ale im bardziej się o to starał, tym mniej stawał się zrozumiały. Ksiądz Żywczyński słuchał, zdawałoby się, cierpliwie, ale kiedy zaczynał szybko stukać ułamaną rączką od szczoteczki do zębów, którą zawsze obracał w palcach, oznaczało to, że nastąpi wybuch. Rzadko zwymyślał dyskutanta, bo go szczerze lubił, ale zazwyczaj machał ręką i przerywał wywody jakimś nic nieznaczącym zdaniem. Patrząc po pozostałych seminarzystach, pytał wzrokiem, kto następny. Często dawał któremuś ze studentów zadanie przygotowania koreferatu do pracy, która miała być czytana. Oczywiście jej autor musiał się z takim koreferentem uprzednio porozumieć.

Pamiętam koreferat o. Damiana Synowca⁵¹ do pracy o kardynale Radziwille o. Antoniego Bazieliha⁵², redemptorysty. Trwał przez dwa kolejne seminaria, był wnikliwy i krytyczny. Jego autor musiał przewertować wiele źródeł, na których opierał się doktorant. Śmiało mogę twierdzić, że taki koreferat przewyższał merytorycznie i metodologiczne niejedno niezłe magisterium. Bardzo wiele dawał doktorantowi, ale mógł też wpędzić go w stres. Ojciec Bazieliha zaimponował nam autentyczną pokorą i szczerą wdzięcznością dla koreferenta. Zdarzało się jednak

⁵⁰ Franciszek Stopniak (1930–2001), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1953. Doktor teologii 1960. Wikariusz w parafii Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Lublinie 1960–1963. W latach 1963–1967 na studiach w Rzymie, gdzie uzyskał drugi doktorat. Habilitacja 1973, profesor nadzwyczajny 1985, profesor zwyczajny 1993. Pracownik KUL 1967–1971. Od 1971 na ATK w Warszawie.

⁵¹ Damian Synowiec OFMConv. Doktorat 1969. Brak bliższych danych.

⁵² Antoni Bazieliha CSSR (1925–2006), pierwsza profesja 1942. Święcenia 1949. Katecheta, wykładowca, prefekt. Dyrektor biblioteki prowincjalnej. Redaktor „Naszych Wiadomości”.

wręcz odwrotnie, że po rzeczowej, ale zbyt zdecydowanej krytyce inny dyplomant zachowywał w sercu urazę i to na długie lata.

Sposób prowadzenia seminarium przez ks. Żywczyńskiego nie wyróżniał się niczym szczególnym. Prace seminaryjne dawał rzadko, nie było bowiem czasu na ich egzekwowanie. Jeśli zdarzały się zajęcia wolne od czytających, mówił sam o nowościach w historiografii. To było ciekawe, wskazywał zawsze na dzieła fundamentalne i ich miejsce w dziejopisarstwie światowym. Jego słynne prelekcje pt. „Co czytać?” były prawdziwą ucztą. Wygłaszał je jednak tylko na wyraźne życzenie studentów. Niekiedy sam je prowokował, bo nadzwyczaj lubił takie spotkania. Poprosiłem go kiedyś o wykład na piśmie czy choćby o notatki. Nie zgodził się. Tłumaczył, iż być może wcale nie wymienia najważniejszych pozycji, a okaże się, że taka niepełna recepta na lekturę pójdzie w świat pod jego nazwiskiem.

Ksiądz Żywczyński był historykiem o szerokiej wiedzy i zainteresowaniach. Historią Kościoła zajmował się stosunkowo mało, choć w publikacjach jego zajmuje ona sporo miejsca. Często mawiał, że Kościół jest społecznością *sui generis*, ale mieści się w rzeczywistości ziemskiej, toteż ulega wpływom rozmaitych zjawisk i sytuacji. Jeżeli się chce go zrozumieć, należy badać w takim właśnie *milieu*. Wyrwany z rzeczywistości, w jakiej żyje i działa, nie jest zrozumiały. Może dlatego pomawiano ks. Żywczyńskiego o sekularyzm i inne odchylenia od normy uznanej przez hierarchię? Jego widzenie dziejów miało nieodpartą siłę przekonywania. Odczuwałem to od pierwszego z nim zetknięcia, daleki jednak byłem od bezkrytycznego i nieprzemyślanego powtarzania pewnych wyrwanych z kontekstu jego wykładów zdań, które faktycznie mogły czynić wrażenie pewnej napastliwości.

Kiedy ukazał się w *Polskim słowniku biograficznym* artykuł biograficzny kard. Augusta Hlonda⁵³, byłem na pierwszym roku studiów. Sekretarz księdza prymasa, a mojego ordynariusza, ks. Hieronim Goździewicz chciał mnie nakłonić do wystosowania wraz z innymi księżmi studentami z archidiecezji gnieźnieńskiej protestu z racji zniesławienia Hlonda. Odpowiedziałem, że najpierw należy mnie odwołać ze studiów, ale że potem także żadnego protestu nie podpiszę. Jako stawiający pierwsze kroki w dziedzinie historii nie czuję się powołany do atakowania uznanych autorytetów, nawet jeśli mam przeciwne zdanie. Więcej na ten temat nie było mowy. Z kolei ksiądz prymas krótko po tym zdarzeniu w rozmowie ze mną radził:

⁵³ August Hlond [w:] *Polski słownik biograficzny*, t. 9, z. 4, Wrocław 1961.

– Proszę korzystać z wiedzy i doświadczenia ks. Żywczyńskiego, to znakomity uczony.

Pytaliśmy na seminarium ks. Żywczyńskiego, czy faktycznie napisał o Hlondzie tak, jak to wydrukowano w PSB. Nie zachnął się, jak to zwykle czynił, gdy się go zbyt przyciskało do muru, tylko rzekł, że nie dotarła do niego korekta, a w ostatecznej redakcji coś zmieniono. Obiecał, że nam pokaże maszynopis. Nigdy tego nie uczynił. Później, kiedy sam pisywałem do PSB, przekonałem się, że nigdy nie zmieniano tam meritum tekstu, chyba że cenzura ingerowała. Już jako adiunkt poprosiłem o pokazanie tego maszynopisu. Ksiądz Żywczyński niezmiennie obiecywał, ale nigdy tego nie zrobił. Zatem napisał tak, jak wydrukowali. Dlaczego?

Otóż miał on pewien uraz do niektórych hierarchów. Na ile to było uzasadnione własnymi doświadczeniami, trudno powiedzieć, ale nie znosił postaci monumentalnych. Hlond do takich należał, a w wielu sprawach był rzeczywiście apodyktyczny. Nadto ks. Żywczyński krytykował kardynała za opuszczenie Polski w 1939 r. Znacznie później przyznał, że nie było w tym winy prymasa. Żywczyński świadom był swego autorytetu naukowego i skłonny był widzieć rzeczywistość kościelną pod kątem racji naukowych, co z kolei uczulało go na cenzurę kościelną nie mniej niż na państwową. Te resentymenty przenosiły się na postaci historyczne, zatem i na Hlonda. Podobnie oceniał profesor hierarchów z odleglejszych epok. W każdym razie sprawa PSB i artykułu o Hlondzie długo, a może nawet do śmierci, stanowiła dla ks. Żywczyńskiego dyskomfort. Nieraz do niej powracał, okrężną drogą dawał do zrozumienia, że należało inaczej napisać.

Ksiądz Żywczyński mało ingerował w tekst czytanych prac, zwłaszcza doktorskich. Niekiedy stawiał na marginesie wężyki, w czasie czytania autorskiego lubił mieć przed oczyma kopię tekstu. Zapytany, co taki wężyk znaczy, wykręcał się od jasnej odpowiedzi; twierdził, że jeśli autor sam nie potrafi tego odkryć, to też nie będzie umiał poprawić. Było to denerwujące i stwarzało atmosferę stałej niepewności, czy jest się na właściwej drodze. Trzeba rzec otwarcie, że do mety mógł z ks. Żywczyńskim dotrzeć tylko ktoś, kto potrafił samodzielnie myśleć i stale pogłębiał swą erudycję, stąd też sporo osób do doktoratu nigdy nie dotarło. W sumie wypromował trzynastu doktorów. Co najmniej drugie tyle zrezygnowało. Może nawet więcej. Był wspaniałym nauczycielem, ale potrafił też stanowić przeszkodę nie do przebycia dla słabszych studentów. Dobrze o tym wiedział.

Mój początek nauki był zakłócony rozwijającą się chorobą, a potem śmiercią mej siostry Gabrieli. Mało brakowało, a studia skończyłyby się w ogóle, matka bowiem, schorowana i znękana ciężkimi doświadczeniami, jakie spadały na nią od września 1939 r., obawiała się pozostać w Nakle bez opieki. Początkowo przebywała krótki czas u krewnych, a ja przygotowywałem się do powrotu do diecezji po skończonym drugim semestrze. Zamyślałem zrobić zaocznie choćby magisterium. Jednak kryzys, w jakim znalazła się matka, złagodniał i uznaliśmy, że te pozostałe dwa lata odbędę, a następnie i tak wrócę.

Okoliczności więc sprawiły, że nie angażując się w żadne inne zajęcia, rozpocząłem forsowne przygotowanie pracy magisterskiej i zarazem licencjackiej. Temat wybrałem sobie sam. Właściwie bez większego namysłu. Od dziecka słuchałem w domu z ust babci o kulturkampfie, który ona jako młoda dziewczyna przeżywała w organistówce w Mąkowarsku koło Koronowa. Opowieści te wprost mnie fascynowały. Dopytywałem się szczegółów, nazwisk księży itd. Gdy zgłosiłem temat kulturkampf profesorowi, ten spytał:

– A co ksiądz w ogóle o tym wie?

Zacząłem wtedy opowiadać to, co słyszałem od babci. Profesor patrzył na mnie zaskoczony i drążył:

– A co ksiądz czytał na ten temat?

Odparłem zgodnie z prawdą:

– Nic.

Spostrzegłem, że zaczął się denerwować. Musiałem zdradzić źródło moich informacji. Pokiwał głową.

– Ach te babcine opowiadania. No dobrze, niech ksiądz się rozgląda także za innymi źródłami, ale temat za szeroki, proszę go skonsultować z prof. Wojtkowskim.

Tak się zaczął mój, później bardzo częsty, kontakt z prof. Wojtkowskim. Pochwalił on mój patriotyzm lokalny, ale ostrzegł, że źródła są liczne i trudne, pisane szwabachą. Tego akurat się nie obawiałem. Profesor kazał mi coś po niemiecku napisać. Przyniosłem mu tekst, bodajże polemikę z jakąś niemiecką pracą. Chwycił się za głowę.

– Księżę dobrodzieju, żaden maturzysta niemiecki nie pisze tak niechlujną niemczyzną.

– Panie profesorze – ja na to – moja matura to niecałe sześć klas niemieckiej szkoły powszechnej dla Polaków na zapadłej wsi.

– Księżę dobrodzieju, proszę przeczytać kilka dobrych książek niemieckich i przyjść do mnie, bym sprawdził, na ile ksiądz wyraża się *hochdeutsch*.

Egzaminował mnie później przy każdej okazji. Temat uznał za zbyt obszerny. Stało na tym, że zajmę się administracją majątku kościelnego w archidiecezji gnieźnieńskiej w czasie kulturkampfu. Okazało się to pracochłonne i wymagało nudnej i długiej kwerendy.

Pewnego razu prof. Żywczyński zażądał, żebym na następnym seminarium przeczytał część pracy. Była w rękopisie, a maszyny do pisania nie posiadałem. Rękopis był niewyraźny, a moje czytanie przypominało sylabizowanie elementarza Falskiego w pierwszej klasie. Profesor podsumował krótko:

– Albo ksiądz czytać nie umie, albo praca do niczego.

Byłem zdruzgotany. Żeby powiedział przynajmniej jedno ludzkie słowo! Wychodząc z sali, nawet na mnie nie spojrzął, choć umyślnie stanąłem w przejściu.

Pisało się tak trochę w ciemno. Nie było wiadomo, czy robi się to jak należy, czy zgło źle. Gdy sobie uświadomię, jak moi magistranci i doktoranci mogli o każdej porze przyjść i konsultować tok swej pracy, a w wielu wypadkach pisałem im nawet poprawki na tekście, nie mogę sobie wyobrazić czegoś podobnego w odniesieniu do ks. Żywczyńskiego. Jedyna możliwość uzyskania ewentualnych wskazówek istniała w trakcie odbywanego seminarium, kiedy profesor, podsumowując dyskusję, formułował własną opinię. Miałem to szczęście, że prof. Wojtkowski miał zwyczaj wprost przeciwny, lubił poprawiać, wysuwać różne sugestie. Do niego więc chodziłem – zwłaszcza z pracą maderską – i sporo się nauczyłem. Miał jeszcze jedną ważną cechę. Był drobiazgowy, wyłapywał różnego rodzaju potknięcia, których się nie zauważało. Moją wadą była zbyt szybka praca, stąd też takich „michałków” było sporo. Myślę, że prof. Wojtkowski lepiej znał moją pracę maderską aniżeli mój promotor. Lojalnie o wszystkich konsultacjach z nim informowałem ks. Żywczyńskiego, a on je w pełni akceptował.

Magisterium, licencjat i co dalej?

Dokończyłem pisanie i na pożyczonej maszynie w czasie wakacji świątecznych w domu rodzinnym przepisałem cały tekst. Wyniósł bez mała 200 stron, a w rękopisie wydawał się tak szczupły. Maszynopis był pełen poprawek, a kopie na pelurze niewyraźne, zwłaszcza trzecia i czwarta. W dodatku bardzo niezręcznie pracę oprawiono. Słowem, wstydziłem się ją dać profesorowi. W końcu zaniósłem

egzemplarz nieoprawiony i musiałem się liczyć z tym, że w razie poprawek trzeba będzie wycinać strony i wklejać, jako że pierwsza odbitka była już oprowiona. Był to skutek pośpiechu, zupełnie zresztą niepotrzebnego, oraz braku doświadczenia. Okazało się, że koledzy radzili sobie z tym wszystkim znacznie lepiej.

Czekałem jak na mękach przez niekończące się dwa tygodnie, zanim profesor oddał mi pracę. O dziwo, nie miał żadnych uwag poza tą, że trzeba było lepiej sporządzić maszynopis, ale jak zaznaczył, „przynajmniej da się czytać”. Nie wiem, czy od początku studiów przeżywałem tak radosny dzień. W następnym tygodniu praca powędrowała do dziekanatu, a stamtąd otrzymał ją recenzent, właśnie prof. Wojtkowski. Mogłem skupić się na przygotowaniu do magisterium.

Miało się ono odbyć łącznie z licencjatem 24 lutego 1964 r. To był twardy orzech do zgryzienia, zdawać bowiem należało, nie licząc magisterium, z dogmatyki, teologii moralnej i teologii fundamentalnej. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że po zdaniu licencjatu nie otrzymaliśmy żadnego dokumentu poświadczającego ten fakt. Dyplom był tylko magisterski. Zanim to nastąpiło i zanim przekroczyłem próg pokoju Rady Wydziału, obok dziekanatu teologii, gdzie egzamin się odbywał, zaszło jeszcze jedno wydarzenie, które o mało nie odsunęło mego finału studiów na termin późniejszy.

Pewnego razu spotkałem prof. Wojtkowskiego na ulicy. Przeczytał moją pracę i miał tylko kilka drobnych uwag, do których będzie można się odnieść przed jej publikacją. Zdumiony, odpowiedziałem, że nie sądzę, by mogła być publikowana, prac magisterskich chyba nie wydaje się drukiem. Wtedy profesor zrobił zdziwioną minę i oświadczył, że przez cały czas był przekonany, iż czyta pracę doktorską. Myślałem, że żartuje, tak jednak nie było. Mówił poważnie i obiecał, że pomówi w tej sprawie z ks. Żywczyńskim.

Ten rzeczywiście na następnym seminarium zagadnął mnie, co o tym sądzę. Sam był tego samego zdania co prof. Wojtkowski, aczkolwiek nie był entuzjastą odkładania magisterium. Spytał, czy mam zebrany dodatkowy materiał, by w dwa–trzy miesiące napisać pracę magisterską liczącą kilkadziesiąt stron. Miałem materiał na temat dozorów i reprezentacji parafialnych, ale wydawał mi się niewystarczający i potrzebna by była dalsza kwerenda. Dopiero jesienią mógłbym zdawać magisterium i licencjat, ale za to w krótkim czasie odbyłaby się obrona doktorska.

Byłem w rozterce. Poszedłem jeszcze raz do ks. Żywczyńskiego i po dłuższej rozmowie wyczułem, że nie był zbyt wielkim zwolennikiem takiej roszady.

Przekonywał, że mogę napisać lepszą rozprawę doktorską niż gotowa już praca magisterska. Wskazywał na trudności formalne, trzeba będzie na nowo zatwierdzać temat, a już opracowany został zaaprobowany jako magisterski i ponowne jego zatwierdzenie jako doktorskiego może wywołać sprzeciw. Przekonał mnie. Profesor Wojtkowski był innego zdania, ale ostateczną moją decyzję przyjął ze zrozumieniem i obiecał jak najszybciej napisać recenzję pracy magisterskiej.

To nieporozumienie co do zakwalifikowania mej dysertacji miało dla mnie skutek pozytywny. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Ksiądz Żywczyński zaczął wyraźnie się mną interesować. Kiedyś zaniósłem mu do oceny krótki artykuł, który ukazał się znacznie później, bodajże po dwóch latach, w „Znaku”, a był polemiką z zamieszczoną w tym czasopiśmie rozprawą autorstwa Adama Stanowskiego na temat historii Polski. Ksiądz Żywczyński najpierw biadał nad nieporadną argumentacją, o wiele za delikatną jak na tekst recenzowany, ale oddał mi moje pierwociny bez uwag zobowiązujących do poprawy tekstu. Gdy spytałem, co powinienem zmienić, rzekł:

– Wszystko albo nic, raczej to ostatnie, bo artykuł i tak lepszy nie będzie.

Odłożyłem go *ad acta* i przeleżał dłuższy czas. Profesor po jakimś czasie zapytał, co zrobiłem z tekstem, czy go gdzieś zamieszczam. Odpowiedziałem, że przecież jest słaby i niewart tego. Zdenerwował się. Jeśli potrzebuję opinii kwalifikującej do nagrody Nobla, to takiej nie da, ale artykuł jest, jaki jest, i można go drukować. Kiedy go ujrzał w druku, zmienił zdanie na temat jego walorów i uznał, że napisany jest z zębem, chociaż można było lepiej. Ta pochwała, wyrażona w obecności jego przyjaciela, prof. Tadeusza Mencla⁵⁴, zdarzyła się wszakże już po moim zatrudnieniu na asystenturze.

Licencjat się zbliżał, a w miarę skracania się czasu oczekiwania rósł niepokój. W owych czasach nigdy nie było tak, że zdawali wszyscy. Zawsze kilka osób odpadało. Egzamin był trudny i traktowany bardzo serio, bez porównania z dzisiejszym licencjatem. Uzyskanie stopnia dostatecznego mogło

⁵⁴ Tadeusz Mencil (1912–1987), historyk, archiwista. Doktorat 1952, profesor nadzwyczajny 1968, profesor zwyczajny 1976. Pracownik Archiwum Państwowego (AP) w Poznaniu 1947–1953, organizator AP w Zielonej Górze 1953–1954, dyrektor AP w Lublinie 1954–1963. Wykładowca na UMCS w Lublinie. Kierownik Katedry Historii Polski XIX i XX w. 1957–1960, kierownik Katedry Historii Polski Nowożytnej 1960–1970, kierownik Zakładu Historii Nowożytnej UMCS 1970–1982. Organizator i dyrektor Instytutu Historii 1970–1972. Dziekan Wydziału Humanistycznego UMCS 1960–1962, 1968–1970.

wówczas satysfakcjonować. Z mojego rocznika nie zdał tylko jeden – na siedmiu zdających – bywało wszakże gorzej. Tak więc egzamin ten był wielką wiadomą.

Do sali wchodziło się po dwóch. Komisja była tak usadowiona, że zdający sobie nawzajem nie przeszkadzali. Zacząłem u ks. Wincentego Granata, zatem z dogmatyki. Materiał był olbrzymi, kilka opasłych tomów autorstwa egzaminującego. Nie wiem już, o co byłem pytany.

Najbardziej bałem się ks. Władysława Poplatka, z którym miałem małą scysję i z egzaminu semestralnego wyszedłem z trójką, mimo że odpowiedziałem na wszystkie pytania wyczerpująco. Co będzie teraz? Poplatek był pamiętliwy i ze studentami się nie cackał. Podchodziłem do niego z biciem serca. Popatrzył surowo, mruknął swoim zwyczajem:

– Jesteście, *domine*⁵⁵! – I od razu pytanie: – *De divisione peccatorum*⁵⁶.

Po łacinie. Coś mi strzeliło do głowy, żeby w tymże języku odpowiadać – wszak uczyłem się kiedyś z Noldina. Spojrzał na mnie uważnie i słuchał. Stopniowo zaczął potakiwać. Po kilku minutach zadał jakieś dodatkowe pytanie – a jakże, również po łacinie – i znowu trafił w dziesiątkę. Kątem oka obserwowałem, jak pocił się bodajże przed ks. Edwardem Kopciem⁵⁷, fundamentalistą (wtedy mówiło się: apologetą), kolega Wojtek Zalewski, czerwony jak burak, ale uśmiechnięty. Tymczasem ks. Poplatek przerwał moje wywody i oświadczył:

– *Valde bene latine locutus es*⁵⁸.

Dostałem bardzo dobry. Taki byłem uszczęśliwiony, że o mało nie wyłożyłem się u Kopcia. Musiał mnie przywołać do porządku i powtórzyć pytanie, a po cichu dodał:

– Myślisz, że jak Poplatek łaciną zaczarowałeś, to już wszystko za tobą?

Śmiał się przy tym i chyba już tylko dla przyzwoitości przez chwilę kontynuował egzamin.

Ksiądz Poplatek pamiętał ten egzamin nawet wiele lat później, kiedy byliśmy sąsiadami i żyliśmy w bardzo dobrej komitywie. Nieraz powtarzał:

– Aleś mnie wtedy, *domine*, zaskoczył!

Podawał mi też rękę bez rękawiczki, co zdarzało się niezwykle rzadko.

⁵⁵ Łac. panie.

⁵⁶ Łac. podział grzechów.

⁵⁷ Edward Kopeć (1918–1999), ksiądz. Święcenia kapłańskie 1942. Szambelan papieski.

⁵⁸ Łac. Bardzo dobrze wypowiedziałeś się po łacinie.

Od 3 marca 1964 r. byłem magistrem teologii, o czym świadczył dyplom, i zarazem licencjatem, o czym już powiadomiono mnie ustnie. Uprawniało mnie to do ubiegania się o doktorat. Jednakże szósty semestr trwał i trzeba było w sesji letniej zdać jeszcze trzy egzaminy: u ks. Żywczyńskiego z wykładu monograficznego poświęconego początkom reformacji, u ks. Rechowicza, również z wykładu monograficznego na temat ruchów umysłowych w średniowieczu i na początku czasów nowożytnych. Ksiądz Kumor egzaminował ze średniowiecznej organizacji terytorialnej Kościoła w Polsce. Do końca semestru trwało też seminarium.

Zakończenie studiów wówczas na ogół oznaczało powrót do diecezji. Doktorat robiło się już z dojazdów, aczkolwiek należało się pojawić na seminarium mniej więcej raz w miesiącu. Miałem już przynajmniej w połowie zebrany materiał do dziejów kulturkampfu w archidiecezjach gnieźnieńskiej i poznańskiej. Gromadziłem go w czasie kwerendy do pracy magisterskiej. Poradził mi to doc. Majewski z Archiwum Wojewódzkiego w Poznaniu, podobnie jak i bardzo pożyteczne dla przyszłej pracy odnotowywanie źródeł do dalszego przebadania. Około 30 proc. pracy w kierunku doktoratu było zatem za mną, a jednak wątpiłem, czy uda mi się go zrobić. Już wspomniane względy rodzinne to jeden powód, a drugi – to wieści nadchodzące z Gniezna. Jeden z kolegów, który właśnie stamtąd wrócił, powiedział, iż słyszał w kurii, jakoby chciano mnie mianować prokuratorem w seminarium, czyli pracownikiem od spraw gospodarczych.

Nie czułem w tym kierunku żadnego powołania, ale dekret byłby dekretem i trzeba by iść. Dowiedziałem się wkrótce, że rektor seminarium ks. Kazimierz Więckowski nawet nie chce o tym słyszeć i że już był w tej sprawie u prymasa. Była zatem nadzieja, że pójdę na parafię. O pracy w kurii nie mogłem nawet marzyć, zresztą byłoby to najgorsze, co mogłoby mnie spotkać. Wisiał nade mną jeszcze jeden egzamin wikariuszowski, ale o jego zdawanie mógłbym się ubiegać dopiero po otrzymaniu nowego przeznaczenia.

Zarówno ja, jak i koledzy, także już po studiach, głowiliśmy się, co z nami będzie. Snuto najróżniejsze plany. Trochę się mówiło, że od roku akademickiego 1964/1965 będzie reorganizacja studiów teologicznych, powstaną instytuty i przy każdej katedrze będą zatrudnieni asystenci. Wielu kolegów już chyba wiedziało, że mają szanse na etaty. Wydaje mi się, że byli to ks. Seweryn Rosik⁵⁹ i ks. Romuald

⁵⁹ Seweryn Rosik (1929–2010), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1955. Wikariusz w parafii w Ostrowie Wielkopolskim 1955–1959. Absolwent KUL. Teolog. Od 1964 pracownik

Łukaszyk⁶⁰, obaj z Poznania. Może i któryś z gnieźnian żywił po cichu takie nadzieje. Z pewnością nie byłem to ja, zawsze z dużą rezerwą oceniałem samego siebie. Powszechnie już mówiono, że ks. Żywczyński zatrudni ks. Franciszka Stopniaka. On sam tego nie negował.

Toteż kiedy po ostatnim w roku akademickim seminarium ks. Żywczyński poprosił, bym na chwilę został, bo chce ze mną porozmawiać, zrobiło mi się gorąco. Spodziewałem się reprimendy. Koledzy wychodzili, a ja gorączkowo szukałem w pamięci jakiejś wpadki godzącej w profesora. Nic nie przychodziło mi do głowy. Niepokój mój był tym większy, że mina ks. Żywczyńskiego nie wróżyła nic dobrego. Był wyraźnie rozdrażniony.

Kiedy zostaliśmy sami, powiedział bez wstępów:

– Urządzają jakiś instytut i trzeba zatrudnić asystentów. Nie wiem, czy to potrzebne, ale nie moja sprawa. Ma być, to będzie. Czy ksiądz chce zostać asystentem moich katedr?

Liczba mnoga nie jest tu pomyłką, gdyż formalnie istniały Katedra Nowożytnej Historii Kościoła i Katedra Najnowszej Historii Kościoła, obie oczywiście kierowane przez ks. Żywczyńskiego. Na ogół nie odróżniano tych, którzy pisali prace z czasów do rewolucji francuskiej, od zajmujących się wiekami XIX i XX.

Zaskoczenie moje musiało być tak wielkie, że profesor odczytał je z mojej miny. Dodał spieszenie, że nie muszę się zgodzić, ale jeśli odmówię, to on pozostawi wybór dziekanowi. Poprosiłem o czas do zastanowienia się. Próbowiałem wyjaśnić profesorowi moją sytuację, ale okazało się, że rozmowa była skończona.

Najpierw wybadałem w Gnieźnie, czy mam szanse na zezwolenie pozostania w Lublinie. Okazało się, że z tym nie byłoby trudności. Z matką nawet nie mogłem się porozumieć, telefonu nie można było użyć, a list to zbyt długa droga. Napisałem natychmiast. Odpowiedź dotarła z wielkim opóźnieniem, kiedy klamka już zapadła. Matka nie była zachwycona moim nowym zatrudnieniem, a zwłaszcza pozostawaniem w tak dużej odległości od niej. Czuła się już mocno bezradna.

Za kilka dni poszedłem do ks. Żywczyńskiego i oznajmiłem, że przyjmuję z wdzięcznością jego propozycję, a moje zatrudnienie zależeć będzie od zgody

naukowy KUL. Doktorat 1967, habilitacja 1976, profesor nadzwyczajny 1988, profesor zwyczajny 1992. Kierownik Zakładu Teologii Moralnej Ogólnej KUL 1979–1982.

⁶⁰ Romuald Łukaszyk (1930–1981), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1955. Wika-
riusz w parafii NMP Niepokalanie Poczętej w Poznaniu od 1955. Absolwent KUL. Doktor hab. nauk
teologicznych. Pracownik naukowy KUL, kierownik Katedry Historii Religii KUL. Redaktor ency-
klopedii katolickiej.

księdza prymasa, którą prawdopodobnie uzyskam. Ksiądz Żywczyński przyjął to bez szczególnego zainteresowania. Podkreślił, że zatrudnia asystenta na żądanie władz uniwersyteckich, ale nie znaczy to, że mogę liczyć na jakieś jego szczególne poparcie. Lubił stawiać sprawy jasno, co mi bardzo odpowiadało. Wówczas byłem jeszcze zbyt zielony, by właściwie ocenić powstałą sytuację. Z zachowania ks. Żywczyńskiego wyczułem, że asystent nie jest mu potrzebny. Powinienem się zająć czymś konkretnym, nie zdradzał jednak czym.

Zajęcia ze studentami na początek miały się ograniczać do dwóch godzin tygodniowo. Miały być czymś pośrednim między wykładem a ćwiczeniami, rodzajem konwersatorium, które przybliżyłoby studentom problematykę ustrojową, zwłaszcza w odniesieniu do XIX w. Były to więc zajęcia z nauk pomocniczych historii najnowszej. Profesor nie lubił określenia „nauki pomocnicze”, uważał, że każda gałąź historii ma własne i *ad hoc* trzeba je konstruować. Rzecz jasna, także historia Kościoła miała takowe. To całkowicie wyjaśniało moją sytuację jako pracownika dydaktycznego. Rozmowy te miały miejsce przed moim zatrudnieniem albo na jego progu, rzeczywistość miała się więc ukształtować nieco później.

Już po kilku latach uświadomiłem sobie, że gdyby w 1964 r. na Wydziale Teologicznym nie zatrudniono asystentów, wydział ten umarłby śmiercią naturalną poprzez wykruszenie się personelu uczącego. Ciekawe, czy ks. Żywczyński, wyraźnie nierad z reorganizacji wydziału, nie przewidywał tego. Później, gdy sam chciałem zatrudnić asystenta, stanowczo mi to odradzał. Może zresztą chodziło o wybraną przeze mnie osobę, ale generalnie profesor uważał, że asystent w tak małej jednostce jak Instytut Historii Kościoła jest zbędny, a nawet może przeszkadzać.

Asystentura

Formalności związane z zatrudnieniem właściwie mnie nie obchodziły, były załatwiane kanałami oficjalnymi. Także odgórnie rozwiązywano moje problemy logistyczne. O wynajęciu choćby tylko pokoju poza uniwersytetem nie mogło być mowy, pozostawał zatem konwikt, gdzie otrzymałem pokój. Udało mi się kupić niezbędne meblowanie. Na zakończenie studiów każdy z nas otrzymał z kurii gnieźnieńskiej zapomogę – o ile dobrze pamiętam – w kwocie 10 tys. zł na urządzenie się. Nie było z początku pewne, czy i ja ją otrzymam, ale bp Jan Czerniak, najprawdopodobniej w porozumieniu z księdzem prymasem, orzekł, że nie mogę stanowić wyjątku, nadal wszak należę do archidiecezji gnieźnieńskiej.

Przed wyjazdem na wakacje odbyłem rozmowę z ks. prof. Żywczyńskim i księdzem rektorem Marianem Rechowiczem. Obaj powiedzieli mniej więcej to samo:

– Jak najszybciej robić doktorat, a później podjąć zajęcia dydaktyczne w możliwie najmniejszym i nieobciążającym wymiarze i wziąć się do gruntownego studium przedmiotu.

Kiedy dzisiaj widzę, jak ledwo upieczonego doktora obarcza się wielogodzinnymi i wielorakimi zajęciami, nie daje się mu odetchnąć, zaczynam rozumieć, skąd się bierze to stałe obniżanie poziomu studiów. Ludzie ci nie mają żadnej szansy na rozwinięcie się. Bywa, że na uniwersytetach magistrom powierza się wykłady, a nawet prowadzenie seminariów. Rozumiem, że magister może niejedno samodzielnie robić na filologii, gdzie po prostu wyucza się rutynowych umiejętności niewymagających żadnych przemyśleń, ale takie uprawianie historii jest niczym innym jak partactwem, które w konsekwencji udaremnia rozwój naukowy takiego pracownika.

Muszę wyznać, że wskazówki udzielone mi przez moich preceptorów okazały się kubłem zimnej wody. Czy od razu mnie otrzeźwiły? Chyba nie. Raczej czułem się zlekceważony, poniżony. Przecież znałem doktorów, którzy robili coś lepszego niż to, co mnie chciano zlecić. Bardzo szybko się jednak przekonałem, jakie szczęście miałem, trafiając na takich przewodników. Każdy człowiek, z wyjątkiem zarozumiałych durniów, prędzej czy później poznaje prawdę o swoich możliwościach. Ja poznałem ją stosunkowo szybko, tak się bowiem złożyło, że od początku mojej asystentury nachodzili mnie różni ludzie, studenci i nie tylko. Szukali rady, jak uporać się z pracą, a niekiedy wprost po bliższe informacje na jakiś temat. To mnie zmuszało do szukania, wertowania odnośnych książek, stwarzało okazję do odkrywania braków w wykształceniu. Przez niemal osiem lat każdego przedpołudnia pełniłem dyżur w Zakładzie Historii Kościoła, wówczas jeszcze świetnie zaopatrzonemu w księgozbiór. Niestety, przeprowadzka do nowego gmachu w latach dziewięćdziesiątych doprowadziła do jego niemalże całkowitego spustoszenia. Pozostały resztki, zdekompletowane serie.

Wybiegłem nieco naprzód, a tymczasem na progu asystentury miało mnie spotkać coś, co omal nie zwichnęło całego mojego życia.

Wyczekiwane wakacje, ostatnie tak długie przed podjęciem wyznaczonych zadań, okazały się niespełnionym marzeniem. Perspektywa asystentury i wspomniana już rozmowa z obu profesorami uświadomiły mi, iż natychmiast należy podjąć przygotowania do napisania pracy doktorskiej. W archiwach poznańskich, zwłaszcza wojewódzkim, znałem już zasoby mnie interesujące. W archidiecezjalnym

trudniej było się dostać do materiału, gdyż ówczesny dyrektor archiwum ks. Stefan Hain⁶¹ uważał chcących korzystać z archiwum za swoich osobistych wrogów.

Trudno nawet opisywać arogancję, z jaką mnie traktował. Posuwał się do inwektyw i gróźb, a nawet prorocत्व, iż nigdy i tak niczego nie napiszę, zatem nie musi udostępniać mi akt. Wyrwałem, co tylko się dało, ale bez wglądu do katalogu czy inwentarza. Ksiądz Hain przeglądając je, trzymał pod stołem na kolanach, nie miało się więc pewności, co interesującego, ważnego dla kogoś było w zasobach archiwum. O tym, co mogło stanowić materiał do badań, decydował dyrektor archiwum, a nie badacz, który miał przemyślany plan kwerendy i jego realizacja była jedynym gwarantem pomyślnego wywiązania się z zadania. Takie praktyki były z gruntu chore i naganne, ale nie można było do nikogo się odwołać. Biskup nawet się nie wgłębiał w istotę sporu i z góry stawał po stronie archiwisty. Skarzyłem się ks. Pacynie, który ks. Haina dobrze znał. Powiedział mi, że próżne moje żale, gdyż nic nie można tu zrobić, ks. Hain jest ostatnią instancją. Jakże inaczej było, gdy dyrektorem został ks. prof. Marian Banaszak⁶², człowiek kulturalny i wytrawny historyk.

Ja, niestety, miałem do czynienia z pierwszym z wymienionych kapłanów. Doprowadzał mnie do rozpaczcy swymi humorami. Kiedyś spóźniłem się jakieś pół godziny, gdyż pociąg z Warszawy, którym jechałem, miał opóźnienie. Wkroczyłem do gabinetu ks. Haina, już od progu się usprawiedliwiając. Nie dał mi dojść do słowa. Oświadczył, że właściwie nie powinien ze mną rozmawiać i że jeśli się to powtórzy, nie dostanę już żadnych materiałów. Nigdzie i nigdy nie doznałem tytuł upokorzeń, ile musiałem tam znieść. Prawdziwą pociechą była miła i życzliwa atmosfera w archiwum wojewódzkim.

⁶¹ Stefan Hain (1903–1979), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1929. Wikariusz w parafii Bożego Ciała w Poznaniu 1929–1930. Prefekt i nauczyciel w gimnazjach poznańskich. Pełnił obowiązki dyrektora Archiwum Archidiecezjalnego w Poznaniu (AAP) 1933–1939. Doktorat z teologii 1939. Kustosz w AAP 1945–1964, a następnie jego dyrektor 1964–1971. Wykładowca w WSD w Poznaniu 1947–1979. Tajny szambelan papieski od 1962.

⁶² Marian Banaszak (1926–1997), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1951. Wikariusz w parafii w Środzie Wielkopolskiej 1951–1952. Absolwent UJ. Doktorat 1955, habilitacja 1972, profesor nadzwyczajny 1983, profesor zwyczajny 1989. Wikariusz w parafii w Ostrorogu 1955, a następnie w farze poznańskiej. Wykładowca w WSD w Poznaniu 1956–1997. Wicerektor seminarium 1962–1971. Dyrektor AAP od 1971. Wykładowca na ATK od 1972. Kierownik Katedry Historii Kościoła na Wydziale Teologicznym KUL 1974–1997, dziekan Wydziału Teologicznego KUL 1985–1987, dziekan Wydziału Nauk Kościelnych i Społecznych KUL od 1987. Autor ponad 600 publikacji naukowych.

Archiwum gnieźnieńskie było w trakcie porządkowania i opracowywania, do niektórych akt zatem nie można było dotrzeć. Ksiądz Władysław Zientarski⁶³, pełniący funkcję dyrektora, sam się jeszcze wówczas w zasobach nie orientował, stąd nawet przy pewnej jego życzliwości kwerenda była utrudniona. Musiałem także brać pod uwagę archiwum wojewódzkie w Bydgoszczy. Krótko mówiąc, program jak na kilka tygodni wakacji był obfity.

We wrześniu zjawiłem się na KUL. Wykorzystałem jeszcze trzy tygodnie, by powrócić do archiwów, ale zaczynał się rok akademicki i trzeba było osiąść w Lublinie. Angaż został podpisany 15 października 1964 r. Każdy asystent musiał złożyć wizytę dziekanowi, prodziekanowi i profesorom, którzy godzili się na taki gest kurtuazyjny. Dziekanem był wówczas franciszkanin o. Ludwik Krupa⁶⁴, profesor dogmatyki, prodziekanem ks. Władysław Poplatek.

Nie mogłem ustalić terminu spotkania z o. Krupą, ks. Poplatek natomiast przyjął mnie bardzo uroczyście w gabinecie dziekańskim, którym w owym czasie była sala posiedzeń Rady Wydziału. Dał mi do zrozumienia, że pamięta nasze nieporozumienia, ale od tej chwili jesteśmy współpracownikami i zaczynamy wszystko od nowa. Przypomniat mi też licencjat i moją łacińską odpowiedź. To spotkanie wlało we mnie wiele otuchy. Ksiądz Poplatek słynął z surowości i zmiennych nastrojów, tym bardziej należało sobie cenić tę jego niezwykłą uprzejmość i niemalże serdeczność.

Jeśli chodzi o plan zajęć, wszystko jeszcze wisiało w powietrzu. Instytut dopiero rozpoczynał działalność i nie bardzo wiedziano, co robić z przyjętymi do pracy asystentami. Ksiądz Żywczyński radził zachować spokój i pracować nad doktoratem. W czasie jednej z takich rozmów zapytałem go, czy nie byłoby możliwe uzyskanie bezpłatnego urlopu na dokończenie kwerendy i przejście do redagowania pracy. Nie był tym zachwycony, zwłaszcza nie potrafił zrozumieć, dlaczego ma to być urlop bezpłatny. Miał rację, ale uparłem się, by taki właśnie był. Nie chciałem, żeby ktoś mnie pomawiał o branie pieniędzy za nic.

⁶³ Władysław Zientarski (1916–1991), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Świecenia kapłańskie 1948. Wikariusz przy katedrze gnieźnieńskiej 1949–1953. Administrator parafii w Dusznie od 1953. Prokurator (ekonom) seminarium duchownego w Gnieźnie 1957–1958. Dyrektor Chóru Prymasowskiego 1959–1965. Twórca i dyrektor archiwum archidiecezjalnego (łącznie z Biblioteką Katedralną) od 1960. Kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 1963.

⁶⁴ Andrzej Ludwik Krupa OFM (1910–1992), do zakonu wstąpił w 1925. Świecenia kapłańskie 1935. Absolwent KUL. Teolog. Doktorat 1939, habilitacja 1949, profesor nadzwyczajny 1955, profesor zwyczajny 1972. Wykładowca na KUL od 1946, ATK od 1953. Prodziekan ATK 1956–1958. W 1957 powrócił na KUL. Pierwszy kierownik Katedry Mariologii KUL 1960–1980.

Szybko załatwiłem formalności z dziekanem i na początku października wyjechałem do archiwów, a po ukończeniu kwerendy do Nakła, gdzie w spokoju mogłem już pracować nad redakcją pracy. Nie miałem żadnych środków na utrzymanie, więc w niedzielę wyjeżdżałem do pomocy w sąsiednich parafiach, by zdobyć parę groszy. Z trudem wiązałem koniec z końcem. Na początku grudnia musiałem być w Lublinie na konsultacjach u ks. prof. Żywczyńskiego. Poszedłem też do zakładu i zajrzałem do znajomych, których na KUL już sporo miałem. W biurze personalnym, usytuowanym w pobliżu naszego zakładu, na mój widok bardzo się ucieszono.

– Dobrze, że się wreszcie ksiądz pojawił, leżą dla księdza zaległe pobory.

Próbowałem wyjaśnić moją sytuację, ale powiedziano mi, że urlop jest płatny. Władze uniwersyteckie uznały, że w takich jak moja sytuacjach urlop bezpłatny nie jest możliwy, pracuję bowiem w zakresie moich obowiązków. Trudno mi było w to uwierzyć, więc poszedłem do kwestury, gdzie kwestor, pan Zefiryn Tefelski, gnieźnianin, od dawna mi zatem znany, potwierdził werdykt personalnego. Prosił usilnie o odebranie poborów i podanie adresu, na który do końca urlopu, do lutego 1965 r., mają być przesyłane. Na wszelki wypadek poszedłem do dziekanatu. Tu o moim urlopie w ogóle nic nie wiadano. To był rezultat sposobu urzędowania dziekana. Radziłem się jeszcze kilku osób, co robić, ale wszyscy byli przekonani, że należy postąpić według wskazówek personalnego. Tak się nieszczęśliwie składało, że nieobecni byli zarówno dziekan, jak i prodziekan, tymczasem ja musiałem wracać.

Mój urlop skończył się po pierwszym semestrze roku akademickiego 1964/1965. Pojawiłem się zatem na początku drugiego semestru i do maja nikt mego urlopu nie kwestionował. 1 maja 1965 r. dziekan Krupa wezwał mnie do wytłumaczenia się z faktu, iż podczas urlopu bezpłatnego pobierałem pensję. Oświadczyłem mu ustnie i na piśmie, jak się sprawa przedstawiała. Okazało się jednak, że moją sprawę oceniało kilku „ekspertów”, a wśród nich prorektor Zdzisław Papierkowski⁶⁵, ks. Józef Rybczyk⁶⁶ i oczywiście o. Krupa. Zaraz po wspomnianej

⁶⁵ Zdzisław Papierkowski (1903–1980), prawnik. Doktorat 1927, habilitacja 1932, profesor nadzwyczajny 1937, profesor zwyczajny 1946; specjalista w zakresie prawa karnego. Wykładowca na KUL od 1931. Prorektor KUL 1945–1949, 1960–1968. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz medalem za zasługi dla Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

⁶⁶ Józef Rybczyk (1912–1983), ksiądz diecezji kieleckiej. Święcenia kapłańskie 1937. Prawnikanonista. Wykładowca na KUL od 1948. Habilitacja 1956, profesor nadzwyczajny 1971. Więziony przez komunistów za rzekome szpiegostwo wraz z bp. Czesławem Kaczmarkiem 1952–1955, śledztwo ostatecznie umorzono. Prorektor KUL 1956–1959, zastępca prorektora KUL 1959–1961. Dziekan Wydziału Prawa Kanonicznego KUL 1962–1974 i 1977–1978, prodziekan 1974–1977, 1979–1982. Wykładowca na PWT we Wrocławiu. Prałat od 1963.

rozmowie z dziekanem udałem się do księży Żywczyńskiego i Rechowicza. Ten pierwszy zapytał mnie o pismo potwierdzające udzielenie mi urlopu. Nie miałem, bo o. Krupa udzielił mi urlopu ustnie. Profesor na to:

– To niech on się martwi, bo od czego jest dziekanem, jeśli nie wie, na jakiej podstawie pracownika przez pół roku nie ma w pracy. To już jego sprawa.

Nie przekonywała mnie taka argumentacja, bo równie dobrze można było mnie oskarżyć o samowolne opuszczenie pracy. Rektor Rechowicz radził zachować spokój i oświadczył, że nazajutrz, 2 maja, mam się stawić przed południem w rektoracie. Poszedłem tam, nie znając owych „ekspertyz”.

Ledwie przekroczyłem próg gabinetu, napadł na mnie prorektor Papierkowski. Wykrzykiwał pod moim adresem:

– Malwersant, oszustwo, wyłudzenie... Naganne moralnie postępowanie, niegodne księdza i pracownika KUL!

Oniemiałem. Było mi wszystko jedno. Spojrzałem na o. Krupę, który nieporuszony siedział w głębokim fotelu. Ksiądz rektor kilkakrotnie usiłował mu przerwać, ale to tylko potęgowało potok inwektyw i zarzutów. Prorektor zakończył swą tyradę stwierdzeniem, że ludzi takich jak ja należy eliminować z uczelni, która szczyci się ideałami katolickimi. Nie powinienem się łudzić, że ujdzie mi to bezkarnie.

– Już władza diecezjalna obmyśli dla księdza pokutę!

Zanim ksiądz rektor zdołał zabrać głos, odezwałem się ja. To, co powiedziałem, było zapewne bezczelne, ale inaczej nie można było.

– Zarzuty pod moim adresem, łącznie z obraźliwymi dla mnie słowami pana prorektora, chcę mieć na piśmie, zamierzam oskarżyć pana i pańskich ekspertów o zniesławienie. Mam co najmniej 8–10 świadków, że nie chciałem przyjąć czekających na mnie poborów. Jak to w ogóle się stało, że ksiądz dziekan udzielił mi urlopu bezpłatnego, *notabene* bez żadnego pisma w tej sprawie, a w personalnym naliczono mi pensję? Kto powinien zawiadomić biuro personalne, że mam urlop bezpłatny, ja czy dziekan?

Spojrzałem na o. Krupę, siedział nieporuszony. Papierkowski znowu się włączył. Zarzucił mi bezczelność i brak szacunku dla starszych. Spytałem, czy on mi go okazał. Może człowiek trzydziestoletni na niego nie zasługuje, od ilu lat się w takim razie należy? Nie pozostał mi dłużny, wykrzykując, że człowiek o takich jak ja poglądach na moralność w kwestii uczciwości nie ma prawa do szacunku bez względu na wiek. Wreszcie nie wytrzymałem i wypaliłem coś, co mi podsunął ks. Żywczyński:

– Czy pan prorektor rozlicza tak samo skrupulatnie swoich protegowanych, którzy pod pozorem studiów wyjeżdżają na wakacyjne stypendia? Proszę powiedzieć, jaki dorobek naukowy przywożą? Co do mnie, mam niemal gotową pracę doktorską i to przygotowaną w czasie owego nieszczonego urlopu.

Na to Papierkowski:

– To się jeszcze okaże, czy ksiądz ma pracę.

Teraz wstał ks. Rechowicz i oświadczył:

– Księżę Zygmuncie, jest ksiądz zdenerwowany, ale się temu nie dziwię, w księdza sytuacji inaczej bym się nie czuł. Niech ksiądz uważa za niebyłe oskarżenia, które tu padły, bo ja wiem najlepiej, że są niesprawiedliwe. A co do pracy, panie prorektorze, to on ją rzeczywiście ma prawie gotową. W rekordowym tempie, wszak mamy maj 1965 r., a studia rozpoczął w październiku 1961 r. Wierzę, że mamy doskonale zapowiadającego się pracownika. Jestem też przekonany, że uzna on swą zbytnią zapalczywość okazaną panu prorektorowi i go za nią przeprosi.

Nic na to nie odpowiedziałem, a ponieważ prorektor jeszcze czegoś usiłował dowodzić, czułem się zwolniony z obowiązku przeprosin. Rektor dodał jeszcze:

– Choć nic nie przemawia za tym, że ks. Zieliński nadużył środków materialnych uniwersytetu, oświadczam, że zwróci on całą pobraną za semestr pensję, by położyć kres niesłusznym pomówieniom.

Na tym posiedzenie się skończyło. Mogłem zrozumieć prof. Papierkowskiego, nawet ks. Rybczyka, który – w wywodzie godnym lepszej sprawy – cały akcent położył na moją deprawację moralną. Mógłby ten dokument opublikować, miałby niezłą pozycję wzbogacającą te kilkanaście artykułów, którymi legitymował swą profesurę. Nie mogłem zrozumieć o. Krupy, jego zachowanie było wprost haniebne. Mimo najszczerszych chęci nie potrafiłem wzbudzić w sobie szacunku dla niego. Ksiądz Rybczyk później pośrednio się usprawiedliwiał. Ani on, ani pan Papierkowski do śmierci się nie dowiedzieli, że ks. Łach, gdy kończył swe kolejne dziekaństwo, wezwał mnie i dał wszystkie akta tej niesławnej sprawy, mówiąc, że od początku do końca zostałem sponiewierany i niech w aktach uniwersytetu nawet ślad tego nie pozostanie. Odczytując te papiery dziś, muszę nieco złagodzić moje – wówczas tak negatywne – zdanie o aktorach tej brzydkiej sprawy. Obecnie i aktorzy są gorsi i środki, jakimi się posługują, by niszczyć niewygodnych sobie ludzi, są ohydniejsze.

Pozostawała sprawa spłacenia pobranych pensji. Z czego? Z takim pytaniem zwróciłem się do rektora. Uspokoił mnie. Kazał następnego dnia przyjść do siebie

do mieszkania, gdzie wręczył mi złotą dwudziestodolarówkę. Otrzymałem za nią, oczywiście na czarnym rynku, 6 tys. zł, dokładnie tyle, ile miałem zwrócić uniwersytetowi. Ponieważ zwracałem pieniądze, wpłacając na TP KUL określoną kwotę co miesiąc, trwało to aż do końca 1965 r., akurat do mojej obrony doktorskiej. Gdzieś w połowie tego okresu powiedział mi ks. Rechowicz, bym reszty nie spłacał, gdyż nawet moi oskarżyciele doszli do wniosku, że nie było mojej winy. Spłaciłem jednak wszystko – co do grosza.

Usiłowano wtedy, jak to się mówi, jednym strzałem położyć dwa koziołki. Oto, co pisał 26 maja 1965 r. prorektor Papierkowski do księdza rektora Rechowicza: „2. Odpowiedzialność za niezawiadomienie Referatu Personalnego o urlopie bezpłatnym ks. Zielińskiego ponosi Rektor KUL, do którego kompetencji należy udzielanie urlopów dłuższych niż 2 tygodnie i któremu bezpośrednio podlega Kancelaria Rectorska wraz z Referatem Personalnym. 3. [...] Uważam poprawność urzędowania władz uniwersyteckich w tej sprawie za okoliczność dalszorzędną. Rzeczą zasadniczą jest fakt, że ks. Zieliński świadomie i bezprawnie podjął pensję asystencką za czas urlopu bezpłatnego. Pieniądze te muszą być zwrócone Kwesturze KUL. 4. [...] nie będę już zabierał głosu w tej sprawie (ks. Zielińskiego), chyba że w ewentualnej rozmowie z Księdzem Biskupem, który zezwolił ks. Zielińskiemu objąć obowiązki asystenta KUL”.

Jeśli się doda, że jest to werdykt prawnika o – podobno – wielkiej reputacji, to można mieć wyobrażenie, co znaczy przysłowie: *Summa ius, summa iniuria*⁶⁷. Prorektor usprawiedliwił dziekana, który nie dopełnił w sposób oczywisty swego obowiązku, a częścią tego zaniedbania był brak powiadomienia rektoratu o mojej prośbie o urlop. Dopiero wtedy można by oskarżać rektora. Zamiast prawa i sprawiedliwości zadziałały animozje między rektorem i prorektorem. Ostatecznie jednak wystarczyło dać rektorowi prztyczka w nos, młodego człowieka natomiast, który nie myślał o niczym innym jak tylko o spełnieniu swej powinności, chciano zniszczyć i to nie tylko w nowym miejscu zatrudnienia, ale i w diecezji. Przyłożyć mu stempel oszusta, złodzieja i kombinatora.

Usiłowano zniesławić mnie w diecezji, najpierw za pośrednictwem księdza kanonika Henryka Raitera. Znał mnie dobrze, mimo to zbierał te fałszywki w Lublinie, nie uważając za stosowne choćby tylko zamienić ze mną kilka słów w myśl

⁶⁷ Łac. Najwyższe prawo to najwyższa niesprawiedliwość.

zasady *audiatur et altera pars*⁶⁸. W Gnieźnie już wiadano, że jestem oszustem i złodziejem. W czerwcu przybył do Lublina bp Jan Czerniak, mający zwyczaj raz lub dwa razy do roku wizytować księży studentów z archidiecezji gnieźnieńskiej. Nie dał się zwieść wspomnianym stróżom porządku moralnego. Owszem, wysłuchał, ale wszystkich, także rektora, a do mnie rzekł:

– Pracować, nie słuchać, co mówią, Eminencja ma w tej sprawie swoje zdanie. Zatem doszło też do prymasa.

Trudno mi się zdobyć na obiektywny komentarz tej brudnej sprawy. Może życie jakoś lepiej sobie z tym poradziło. Wystarczy dziś, po 42 latach, przejrzeć dorobek oskarżonego wówczas o malwersację, odartego z dobrego imienia i tych, którzy tego haniebnego dzieła dokonali, rzekomo *lege artis*⁶⁹. Długo trzeba szukać, by dogrzebać się kilkunastu choćby publikacji jako owocu całego życia naukowego niejednego z nich. Jest także inna odsłona sprawy, ukazująca ludzi, którym sumienie nie pozwoliło na wyrządzenie tak wielkiej krzywdy.

Nowy rektor, ks. Wincenty Granat, mianował mnie 6 listopada 1965 r. asystentem Katedry Historii Kościoła w czasach nowożytnych na rok akademicki 1965/1966 i wyznaczył mi zajęcia: godzina tygodniowo wykładu z zakresu nauk pomocniczych do historii nowożytnej i 25 godzin tygodniowo zajęć zakładowych. To był właśnie ten błogosławiony czas na czytanie, zapowiedziany przez księży Rechowicza i Żywczyńskiego. Wynagrodzenie moje wynosiło wówczas według siódmej grupy uposażeń 1500 zł oraz dodatek specjalny w kwocie 450 zł. To był start w daleką przyszłość.

Dziś to już przeszłość. Spoglądam wstecz, ale i wokół siebie. Namnożyło się co niemiara ludzi skorych do potępień i werdyktów neronowych, wyrażanych kciukiem w dół. Wymarło wielu, którzy kiedyś sprawiedliwości nie potrafili pokazać pleców i byli ostoją słabszych i prześladowanych. Wielu dziś ustawia się twarzą do tych, którzy są na szczycie, nie zaprzatając sobie głowy takimi przeżytkami jak sprawiedliwość, honor i uczciwość. Taka jest przeważnie droga do kariery. Nieważne, kim czy czym ktoś jest, byle nie trzymał się kurczowo zasad kontrolowanych przez sumienie. Smutne czasy. W przywoływanej tu przeszłości, dalszej i tej bliższej, także wystąpią postaci, które uczelni i jej hasłu *Deo et Patriae*⁷⁰ nie przyniosły chwały.

⁶⁸ Łac. należy wysłuchać drugiej strony (podstawowa rzymska zasada prawna).

⁶⁹ Łac. według reguł sztuki.

⁷⁰ Łac. Bogu i Ojczyźnie.

Ktoś może powie, że nie trzeba rozdrapywać takich spraw, tylko skupić się na tym, co pozytywne, budujące. Ale skąd w każdym pokoleniu biorą się ludzie skorzy do tak brudnych machinacji jak wyżej opisane? Właśnie z przemilczania lub zgoła usprawiedliwiania tego rodzaju bezceństw. Jednego z moich prześladowców spytałem kilkanaście lat po wydarzeniu, co właściwie o mnie wiedział, pisząc o mojej – jak to określił – moralnej degeneracji. Czy mnie choć raz widział? Bardzo się zmieszał, a ponieważ byliśmy niejako z tych samych stron i mieliśmy czasami kontakty, musiał odpowiedzieć. Rzekł mi wtedy:

– Sprawę znałem z relacji. – Domyślałem się czyjej. – I stąd mój tak surowy werdykt. Przepraszam raz jeszcze.

A oczernienie mnie przed władzą diecezjalną i nieodwołanie tego? Przecież mogłem cierpieć z tego powodu przez całe życie. Piszę to, stale licząc na to, że ludzie nie mogą do reszty wyzbyć się sumienia i że niejeden się zawaha, zanim uczyni komuś krzywdę nie do naprawienia.

Jest jeszcze jeden aspekt tej sprawy, wprowadzie już poruszony, ale być może niedostatecznie. Śledzę obecne (lata 2010 i dalsze) łotrstwa popełniane w poczuciu posiadanej władzy i z pogwałceniem elementarnych zasad moralnych – mowa tu o naszym środowisku i o wielu innych, oczywiście uniwersyteckich – i ze smutkiem zauważam, że rzadko znajdzie się ktoś, kto otwarcie powie stop takim praktykom. Powody są różne, przeważnie wyrachowanie. Przypodobać się rektorom, a ci będą działać po linii czyichś interesów, będą liczyć na głos w wyborach. Liczne korzyści, których można się spodziewać w zamian za oportunistyczną zgodę na czyjąś krzywdę, ba, niekiedy złamanie życia. To są znamiona strasznych czasów, w jakich żyjemy, gdy moralność nie odgrywa żadnej roli nawet u tych, którzy niejako z urzędu są jej coś winni.

Sprawa wyżej opisana ukazuje ludzi, nie tylko rektora Rechowicza, którzy z mafijną dintojrą zastosowaną wobec mnie nie chcieli mieć nic wspólnego. Mało tego, postanowili czynnie się jej przeciwstawić. Działali w dobrej wierze, zdobyli się na obiektywne poznanie faktów i inna postawa w ich wypadku nie była możliwa. Mam tu na myśli środowisko uczelniane, w którym wówczas żyłem. O sprawie było głośno, ale nikt się ode mnie nie odsuwał, przeciwnie, współczuło mi i zachęcano do wytrwania. Życzliwość tych osób była dla mnie wsparciem wprost nieocenionym. Nie wiem, czy dziś można na coś podobnego liczyć. Wielu zobowiązanych do działania sprawiedliwego i bezstronnego ma te zobowiązania w głębokiej pogardzie. Jest to groźna zapaść moralna.

Pierwsze zajęcia dydaktyczne i doktorat

Na początku października 1965 r., mocno poturbowany moralnie, zacząłem pracę. Była trochę wariacka. Najpierw ta godzina nie tyle wykładu, co konwersatorium. Nie bardzo wiedziałem, czym się zajmować, nauki pomocnicze historii najnowszej nie były do końca zdefiniowane. Co do nich należało zaliczyć? Z całą pewnością neografię gotycką, ale uczenie jej kogoś, kto nie zna dostatecznie języka niemieckiego, było wręcz niemożliwe. Nadto tylko część słuchaczy zajmowała się problematyką, gdzie była potrzebna kwerenda wymagająca znajomości tego pisma.

Kiedy pracowałem w Archiwum Wojewódzkim w Bydgoszczy, do mego stołu podchodzili młodzi studenci lub może już nawet asystenci z Torunia, badający problem volkslisty. Nie mogli sobie poradzić z rękopisami pisanymi szwabachą. Drukowane teksty były do przebrnięcia, ale rękopisy sprawiały sporo kłopotu. Pytałem, czy nie uczyli się tego na studiach, przecież tym zagadnieniem zajmował się prof. Karol Górski⁷¹. Odpowiadali, że owszem, ale tylko dobra znajomość niemieckiego sprawia, że takie studia są naprawdę skuteczne.

Mieli rację, toteż w tym duchu rozmawiałem z ks. Żywczyńskim, konsultując moje pierwsze zajęcia. Profesor był zdania, że ktoś, kto chce się zajmować historią najnowszą, a ta liczy się od I wojny światowej, przede wszystkim musi się dobrze orientować w historii ustrojów i systemów archiwalnych. Chodziło oczywiście o ustroje administracyjne. Od tego zależało umiejętne zorganizowanie sobie kwerendy. Przy nieuporządkowanych w znacznej mierze archiwach kościelnych, a także innych mniejszych instytucji, nawet publicznych, trzeba było wiedzieć, czego szukać. Trzeba było znać postać i potencjalną zawartość każdej registratury kancelaryjnej. Inna sprawa, na którą profesor zwrócił mi uwagę, to postać źródła, jego rodzaje i sposoby interpretacji. Były to cenne uwagi, ale jak przygotować odpowiedni program zajęć, jakim sposobem go realizować?

Ksiądz Żywczyński dał mi do zrozumienia, że poinstruował mnie dostatecznie jasno i więcej na ten temat nie ma nic do powiedzenia. Może było to słuszne, zmusiło mnie bowiem do autorskiego opracowania zajęć. Pracowaliśmy na źródłach, głównie pruskich z XIX w., które sam nieźle znałem. Pożytek z zajęć był przede wszystkim taki, że studium struktury i kompetencji urzędów z łatwością odnajdowali potrzebne im akta i nie pozwalali się spławiać archiwistom kościelnym,

⁷¹ Karol Górski (1903–1988), historyk, działacz katolicki, założyciel KIK w Toruniu. Doktorat 1927, habilitacja 1932. Wykładowca na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika (UMK) w Toruniu od 1946. Dyrektor Instytutu Historii UMK 1959–1963.

kilku pytani o materiały, przeważnie odpowiadali, że ich nie ma. Nie zawsze wynikało to ze złej woli, często w archiwach pracowali ludzie zupełnie do tej pracy nieprzygotowani. Niektórzy z latami nabierali nawet znacznej wiedzy archiwistycznej, a inni po prostu trwali na powierzonym im posterunku, zadowoleni, że strzegą zasobów kościelnych. Prowadziłem te zajęcia do 1974 r., kiedy oddałem je zatrudnionemu na mój wniosek w kierowanej przeze mnie Katedrze Historii Kościoła w XIX i XX w. stażyście, potem adiunktowi, ks. Stanisławowi Wilkowi⁷².

Rok 1965 był dla mnie szczególnie trudny, nie tylko ze względu na sprawę nieszczęsnego urlopu. Mimo pesymistycznych wróżb prorektora Papierkowskiego w ciągu wakacji ukończyłem pisanie pracy doktorskiej. Ksiądz Żywczyński przeczytał ją w rekordowym czasie. Poprawek nie było wiele, cały tekst sam przepisałem na maszynie – z prostego powodu, jakim był brak funduszy na ten cel. Prośbę o wszczęcie przewodu doktorskiego skierowałem 1 października 1965 r. Temat pracy brzmiał: *Wykonanie ustaw majowych 1873 r. w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej 1873–1887*.

Tak się złożyło, że egzamin i obrona doktorska odbyły się 16 i 17 grudnia 1965 r. Zarówno moje, jak i kolegi Śmigła. Moimi recenzentami byli prof. Andrzej Wojtkowski i prof. Witold Jakóbczyk⁷³ z Poznania. Ten ostatni przysłał recenzję, ale czuł się niedobrze po przebytej chorobie i prosił, żeby go w czasie egzaminu i obrony ktoś zastąpił. Rada Wydziału powołała więc prof. Tadeusza Mencla z UMCS.

Warto nieco więcej powiedzieć o tym ważnym w moim życiu wydarzeniu. Zwykle na kilka dni przed egzaminem komisyjnym należało zdać prywatny egzamin u profesora. Nie był to wymysł ks. Żywczyńskiego, do momentu, kiedy w Instytucie Historii Kościoła obowiązywał licencjat z tego przedmiotu zamiast z teologii, taki egzamin zdawało się także u ks. Rechowicza. Było to konieczne, doktorat bowiem uzyskiwano z teologii w zakresie historii Kościoła.

W naszym wypadku ks. Żywczyński jakoś się nie kwapił z wyznaczeniem terminu. Poszliśmy do jego mieszkania zapytać, kiedy to nastąpi, a on przyjął

⁷² Stanisław Wilk SDB (ur. 1944), do zgromadzenia wstąpił w 1959. Pierwsza profesja 1960. Świecenia kapłańskie 1969. Teolog. Doktorat 1982, habilitacja 1992, profesor nadzwyczajny 2001, profesor zwyczajny 2003. Od 1974 wykładowca na KUL. Prodziekan Wydziału Teologii KUL 1993–1998, kierownik Katedry Historii Zakonów KUL 1995–2014, prorektor KUL 1998–2004, rektor KUL 2004–2012. Autor wielu prac z zakresu historii Kościoła katolickiego w II RP.

⁷³ Witold Jakóbczyk (1909–1986), historyk, badacz dziejów społecznych i politycznych Wielkopolski w XIX w. Pracownik naukowy Uniwersytetu Poznańskiego 1934–1939, 1945–1986 (od 1955 już pod nazwą Uniwersytet Adama Mickiewicza). Doktorat 1937. W czasie drugiej wojny żołnierz kampanii polskiej 1939 r., jeńiec niemiecki. Profesor nadzwyczajny od 1954. Członek PZPR od 1952.

nas w progu i oświadczył, że nie ma pojęcia, czego chcemy. Daliśmy spokój, nawet przez moment sądziłem, że w ogóle zrezygnował z pytania nas, ale byłby to fenomen bez precedensu.

W dniu egzaminu komisyjnego przebywaliśmy obaj w moim pokoju w konwiktach. W pewnym momencie usłyszeliśmy głośnie pukanie. Drzwi się otwierają i staje w nich ks. Żywczyński, jak zwykle z aktówką pod pachą; siedł akurat do jadalni profesorskiej.

– Co wy sobie myślicie – zaczął. – Dziś o godz. 16.00 jest egzamin komisyjny, a wy nie zgłosiliście się do mnie. Nie wiem, czy odbędzie się obrona, bo tak się nie robi.

Odjęło nam mowę. Po chwili mówię:

– Przecież byliśmy przed dwoma dniami i ksiądz profesor odprawił nas sprzed drzwi.

– Nie przypominam sobie – rzekł. – A nawet gdyby, to trzeba było przyjść ponownie.

Summa summarum, mieliśmy pójść z nim po zjedzeniu przez niego obiadu i ten egzamin zdać. Nastrój po drodze był grobowy. Profesor kroczył zamasyżycie, nie odezwał się ani słowem. Kolega Śmigiel usiłował go zagadywać, snuł przypuszczenia, że ze starożytności przecież profesor nie zapyta. On na to:

– A to niby dlaczego?

Doszliśmy na miejsce i zaraz rozpoczął się egzamin. Pierwsze pytanie dla kolegi Śmigla:

– Proszę powiedzieć o inskrypcjach katakumbowych.

Tak byłem zdenerwowany, że absolutnie nie mogę sobie przypomnieć, o co mnie pytał. Wydaje mi się, że jedno pytanie dotyczyło inkwizycji: rzymskiej i hiszpańskiej. Zaszliśmy do profesora około godz. 14.00, a zbieraliśmy się szybko na egzamin komisyjny o godz. 16.00, na KUL dotarliśmy taksówką. Był gęsty śnieg i kierowca ledwo mógł dojechać.

W sali czekali już dziekan ks. Poplatek i profesorowie Wojtkowski oraz Mencil. Szedłem na pierwszy ogień. Byłem dobrej myśli, prof. Wojtkowski na tydzień przed egzaminem powiedział mi, że mam zwrócić uwagę głównie na genezę kulturkampfu, zatem wewnętrzną sytuację w Prusach i Rzeszy. Właśnie on zaczął egzamin i zadał pytanie na temat Komisji Kolonizacyjnej⁷⁴, zwłaszcza jej

⁷⁴ Komisja Kolonizacyjna, która dysponowała znacznymi funduszami przekazywanymi przez rząd, starała się wykupić ziemię od szlachty polskiej i chłopów, a następnie osadzić na niej przybyszów

wyposażenia finansowego. Zapomniał czy zmienił zdanie? Pytanie nie było trudne, a kiedy powołując się na Andrzeja Buzka⁷⁵, wyszczególniłem sumy przeznaczone przez rząd na wykup ziemi polskiej, profesor zaczął polemizować z tym lwowskim uczonym, nie ze mną. Właściwie egzamin u niego miałem już za sobą. Pytań było więcej, ale profesor, stawiając je, tak szeroko wyjaśniał ich sens, że na odpowiedź nie było już miejsca. Sam jej udzielał.

Profesor Mencil zadał mi kilka pytań szczegółowych, dotyczących spraw gospodarczych Rzeszy i dominujących sił politycznych także w czasie kulturkampfu. Ksiądz Żywczyński, który w trakcie naszych odpowiedzi niby żartem wytykał kolegom zbytne wścibstwo, pozostał w tym żartobliwym nastroju także w czasie własnego egzaminu. Pytał raczej o rzeczy proste, niewymagające szerszego rozwinięcia. Nie wiem, czy całość trwała dłużej niż trzy kwadranse. Podobnie było w wypadku ks. Śmigła. Muszę wyznać, że zachowanie ks. Żywczyńskiego bardzo mnie zaskoczyło. Może fakt, że wałkował nas gruntownie tego popołudnia, tak na niego wpłynął? W każdym razie nie był to Mistrz w swym zwyczajnym wydaniu.

Dziekan uroczyście ogłosił wynik egzaminu i mogliśmy odpoczywać do następnego dnia, kiedy miała się odbyć obrona.

Był okres przedgwiazdkowy. W dużym audytorium na pierwszym piętrze, gdzie odbywały się obrony, było niewiele osób. Głównie pracownicy KUL, trochę kolegów. Rutynowa obrona przebiegała bez zakłóceń. Musiałem się tylko ustosunkować do recenzji prof. Wojtkowskiego – prof. Jakóbczyka nie było. Głównym problemem w ocenie prof. Wojtkowskiego był jego odmienny pogląd na genezę kulturkampfu. Przyszło mi później na myśl, że sygnalizując mi pytania, profesor miał na myśli dyskusję w czasie obrony. Chociaż przed habilitacją także otrzymałem od niego – nawet spisany na kartce – zakres materiału do szczególnego przygotowania, z czego na kolokwium nie padło nawet jedno pytanie. W czasie obrony obstawałem przy swoim poglądzie, niezupełnie moim własnym, była to bowiem opinia większości historyków, nie tylko niemieckich, lecz także polskich. Profesor, odsłaniając swą ogromną erudycję, usiłował przekonać mnie do swego

z Cesarstwa Niemieckiego. Miała służyć zakładaniu nowych wsi niemieckich w Wielkopolsce oraz na Pomorzu Gdańskim, a więc wypieraniu Polaków tam mieszkających.

⁷⁵ Andrzej Buzek (1885–1971), duchowny luterański, historyk i publicysta. Proboszcz parafii we Frydliku 1918–1919. Prefekt szkół w Cieszynie 1919–1928. Kapelan pomocniczy wyznania ewangelicko-augsburskiego Okręgu V Korpusu nr 5 1928–1939. Więzień obozów koncentracyjnych Dachau i Mauthausen-Gusen 1940–1945. W 1969 Chrześcijańska Akademia Teologiczna (ChAT) w Warszawie przyznała mu doktorat *honoris causa*. Autor wielu prac z historii Kościoła.

zdania. Byłem w trudnej sytuacji. Profesor był dla mnie niekwestionowanym autorytetem, z którym nie śmiałybym polemizować, zwłaszcza *coram publico*⁷⁶, ale przecież zdania zmienić nie mogłem. Dziekan niecierpliwił się przydługą dyskusją i zerkając na mnie, dawał do zrozumienia, że powinienem ustąpić. Coś tam jeszcze powiedziałem, profesor swoim zwyczajem znowu dał szerszą eksplikację swych wywodów i w ten sposób dobrnęliśmy do końca. Kiedy dziekan zapytał profesora, czy jest zadowolony z odpowiedzi, usłyszeliśmy:

– Owszem, bardzo cenię doktoranta, ale w tej jednej kwestii wychodzimy z sali nieogodzeni.

Głosowanie było jednomyślne na moją korzyść. Profesor po wyjściu z sali uściskał mnie i rzekł, że trzeba bronić swego zdania, nawet gdyby było błędne. Miłe to było i dziś z wdzięcznością wspominam tych ludzi, którzy potrafili nas, żółtodziobów, traktować jak partnerów.

Pierwszą moją czynnością było zawiadomienie księdza prymasa i kurii gnieźnieńskiej o odbytych doktoracie. Ksiądz bp Lucjan Bernacki pisał już z 23 grudnia:

Serdeczne gratulacje z okazji uzyskanego doktoratu z teologii na KUL. Niech to osiągnięcie będzie dla Drogiego Księdza Doktora zachętą do dalszej gorliwej pracy naukowej na chwałę Boga i pożytek Kościoła św. w duchu pokory, która jest korelatem prawdy i podstawowym warunkiem jej dociekania i poznania.

Takie słowa docierają do człowieka powoli, a odkrycie ich słuszności przychodzi niekiedy dopiero pod koniec życia. Praca na KUL ułatwiała jednak zrozumienie ich sensu, im więcej bowiem człowiek usiłował z siebie dać, tym większe spotykały go upokorzenia.

Ksiądz prymas napisał własnoręcznie na odwrocie wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej:

Wyrażam słowa mej radości z otrzymanego doktoratu i całym sercem błogosławię na dalszą pracę –

In caritate + Stefan kardynał Wyszyński, Gniezno 2 I [19]66

⁷⁶ Łac. wobec wszystkich, publicznie, jawnie.

Tego dnia, jak zwykle, księża studenci gromadzili się na audyencji u księdza prymasa w Gnieźnie. Byłem i ja na tym spotkaniu i tam wręczono mi te gratulacje, które kardynał powtórzył jeszcze ustnie. Dodał żartobliwie kilka słów na temat zachłanności KUL na ludzi, ale jak zaznaczył, uniwersytetowi też coś jest winien.

Pierwsze publikacje

W czasach, o których piszę, nie było tak łatwo cokolwiek wydrukować. Po pierwsze, wydawnictwa i czasopisma były nieliczne i miały limitowany papier, zatem małe możliwości produkcyjne, a po wtóre, cenzura skutecznie eliminowała pewne tematy. W maju 1966 r. zwróciłem się do redakcji „Znaku” o opublikowanie mojej recenzji – polemiki z artykułem Adama Stanowskiego pt. *Diecezje i parafie w XIX i XX wieku*, wydrukowanym w tymże piśmie w nr 137–138. „Znak” moją wypowiedź przyjął; ukazała się ona w 1967 r. Jednocześnie dzięki rekomendacji ks. Żywczyńskiego napisałem artykuł biograficzny o ks. Witoldzie Klimkiewicz⁷⁷ do *Polskiego słownika biograficznego*⁷⁸. Biogram ten nie jest w pełni ścisły, nie dotarłem wówczas do ważnych źródeł dotyczących ks. Klimkiewicza. Napisałem, że materiały historyczne przez niego zgromadzone w chwili jego aresztowania zostały zabrane przez gestapo i zaginęły. Po latach odnalazłem je u siostr ks. Klimkiewicza. W grudniu 1966 r. opracowałem biogram ks. Józefa Krukowskiego⁷⁹, profesora i proboszcza krakowskiego, dla *Österreichisches Biographisches Lexikon*⁸⁰.

Tę radosną twórczość zakłóciła przekazana mi poufnie informacja, że nie wypada publikować w jakichkolwiek pismach, o ile nie posiada się na to zgody ordynariusza. Do księdza prymasa nie pukałem w tej sprawie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem bp. Jana Czerniaka, który chętnie takie zadania wypełniał.

⁷⁷ Witold Klimkiewicz (1905–1942), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1930. Wikariusz w parafii w Michorzewie 1930–1931. Mantonarz w parafii św. Wojciecha w Poznaniu od 1931. Sekretarz generalny Katolickiego Związku Młodzieży 1934–1939. Teolog. Doktorat 1938. Aresztowany przez Niemców w 1939, więziony w Kazimierzu Biskupim, w 1940–1942 przebywał w obozach koncentracyjnych w Mauthausen i Dachau. Zginął w komorze gazowej w 1942.

⁷⁸ Wspomniany biogram został opublikowany w 12. tomie *Polskiego słownika biograficznego*. Zob. szerzej: <http://ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/witold-klimkiewicz>, dostęp 19 V 2019 r.

⁷⁹ Józef Krukowski (ur. 1936), ksiądz diecezji lubelskiej. Świecenia kapłańskie 1959. Prawnik i teolog. Od 1964 pracownik naukowy KUL. Doktorat 1968, habilitacja 1973, profesor nadzwyczajny 1978, profesor zwyczajny 1983. Dziekan Wydziału Teologicznego KUL 1978–1987. Członek Komitetu Nauk Prawnych PAN 1980–1984. Członek Centralnej Komisji ds. Stopni Naukowych 1990–1993. Badacz o uznanym, międzynarodowym dorobku. W latach 1969–1989 zarejestrowany przez SB jako TW ps. „Ignacy Zawadzki”.

⁸⁰ Encyklopedia austriacka, biografia narodowa osób żyjących w latach 1815–1950. Do chwili obecnej ukazało się 14 tomów, obejmujących ponad 17 tys. osób.

Trochę mnie dziwiło, w jaki sposób do odpowiednich czynników dotarła wieść o mojej aktywności wydawniczej, ale już następne tygodnie przyniosły wyjaśnienie. Otóż „Znak” przesłał mój artykuł polemiczny do zespołu, w którym pracował i w którego ramach pisał swą rozprawkę Adam Stanowski. Mój tekst przeleżał tam wiele tygodni. Dowiedziałem się o tym w listopadzie 1966 r. z pisma redakcji podpisanego przez Hannę Malewską⁸¹. Ubolewała ona nad przetrzymywaniem mojego artykułu i radziła odebrać go osobiście. Instancją, do której należało się udać, był doc. Kłoczowski. Już nie pamiętam, jak tłumaczył przetrzymanie mojego tekstu. List znanej pisarki świadczy o wielkiej kulturze niektórych osób w tamtych czasach. Jest to, niestety, przeszłość nie do odzyskania.

Uzyskanie odpowiedniego zezwolenia było poważną sprawą, ale jedynie to mogło zabezpieczyć przed różnymi interwencjami, których skutki były podobne do działania cenzury PRL. Dekretem z 24 listopada 1966 r. uzyskałem od księdza prymasa zezwolenie na „umieszczanie artykułów i recenzji w poważnych i fachowych pismach i publikacjach świeckich. Z zachowaniem wszelkich innych przepisów prawa”.

Taki dokument był mi bardzo potrzebny, gdyż w 1966 r. oddałem do druku mocno polemiczną recenzję książki *Polnische Kirchengeschichte* ks. Franza Mantheya⁸², wydanej w Hildesheim 1965 r. Recenzja ukazała się później w „Acta Poloniae Historica”⁸³ w wersji niemieckiej i w „Przeglądzie Historycznym”⁸⁴. Przypadło mi w udziale również uzupełnienie hasła: Mieczysław Halka-Ledóchowski⁸⁵ dla *Polskiego słownika biograficznego*⁸⁶. Ponieważ autorem był znany i ceniony historyk, sprawa była delikatna. Podobnie zresztą, jak z książką Mantheya.

Był to ksiądz chełmiński niemieckiego pochodzenia, ale skoligacony z polskim środowiskiem, pochodził bowiem z Brodnicy i żyli tam jeszcze jego bliscy.

⁸¹ Hanna Malewska (1911–1983), pisarska polska, autorka powieści historycznych. Redaktor naczelna miesięcznika „Znak” 1960–1973. Od 1945 publicystka „Tygodnika Powszechnego”.

⁸² Franz Manthey (1904–?), ksiądz diecezji pelplińskiej. Świecenia kapłańskie 1928. Doktorat z filozofii 1927. Wykładowca w pelplińskim WSD od 1930. Administrator parafii w Tucholi, Nowym Mieście i parafii św. Jana w Toruniu 1939–1945. Odznaczał się życzliwą postawą wobec Polaków. Od 1958 w RFN.

⁸³ Wspomniany tekst opublikowany został w t. 17. z 1968 r.

⁸⁴ Zob. Z. Zieliński, *Polnische Kirchengeschichte* [recenzja], „Przegląd Historyczny” 1967, nr 2, s. 337–341.

⁸⁵ Mieczysław Halka-Ledóchowski (1822–1902), dyplomata papieski, arcybiskup gnieźnieński i poznański. Kardynał prezbiter od 1875.

⁸⁶ Biogram kard. Mieczysława Halki-Ledóchowskiego ukazał się w 16. tomie PSB, opublikowanym w 1971 r. Drugim autorem hasła, oprócz ks. Zielińskiego, był Adam Galos.

Moi także, rodzina mego ojca wywodziła się z tego miasta. Z Mantheyami zaprzyjaźnione były moje ciotki. Z powodu tej recenzji musiałem się nasłuchać wielu krytycznych uwag, lecz *magis amica veritas*⁸⁷. Podobno sam autor komuś się tłumaczył, że nie mógł inaczej napisać, bo przechodził do RFN i musiał się jakoś zweryfikować jako Niemiec.

Dziwna to była rodzina, polsko-niemiecka. Autor rzeczony książki w czasie okupacji manifestował swą polskość (o ile to na Pomorzu było możliwe), brat jego Jan⁸⁸ był natomiast Niemcem. Po wojnie było odwrotnie. Żyjący w Rzymie Jan przyznawał się do polskości, Franz na swą ojczyznę wybrał Niemcy. Wy tłumaczeniem tego mogą być krzywdy, jakich doznał od władz komunistycznych po wojnie.

Takich księży na Pomorzu było więcej, m.in. spotkany w 1980 r. w RFN ks. Bruno Schulz, ongiś proboszcz w Czersku, z którego musiał uciekać. Sowietci w 1945 r. zapowiedzieli, iż zamordują jego i matkę, jeśli zastaną ich następnego dnia na plebanii. Skarżył mi się, że musiał opuścić Polskę, choć czuł po polsku i w polskiej kulturze widział swe miejsce. Spotkałem się z nim w Passawie na zgromadzeniu rocznym Görresgesellschaft zur Pflege der Wissenschaft⁸⁹, gdzie jako członek tego towarzystwa wygłaszałem referat. Ksiądz Schulz rozmawiał w restauracji tylko po polsku, co wywoływało pewną sensację. Maturę w Collegium Marianum w Pelplinie zdał z odznaczeniem za język polski i władał nim wspaniale. Za Polską tęsknił do końca życia. Do Passawy przybył specjalnie, ponieważ dowiedział się, że referat będzie głosić ktoś z Polski.

W sprawozdaniu za rok akademicki 1966/1967 podałem w sumie 12 publikacji, ponad połowa z nich miała się dopiero ukazać. Taki sposób sporządzania sprawozdawczości był wówczas całkowicie usprawiedliwiony, gdyż druk trwał niekiedy rok czy nawet dłużej, a zdawało się sprawę z prac wykonanych w danym roku akademickim.

⁸⁷ Parafraza sentencji łacińskiej: *Amicus Plato, sed magis amica veritas*, którą można przetłumaczyć: Platon przyjacielem, lecz większą przyjaciółką prawda.

⁸⁸ Jan Manthey (1906–1968), ksiądz diecezji pelplińskiej. Przed wstąpieniem do WSD z bł. Stefanem Frelichowskim zaangażowany w harcerstwo w Toruniu. Świecenia kapłańskie 1939. Wikariusz w kościele NMP w Toruniu w 1939; asystent stowarzyszeń katolickich. Od 1940 komisarz biskupi (odpowiednik dziekana) w Nowym Mieście Lubawskim. W styczniu 1945 uciekł z transportu do Niemiec. Doktor teologii; prałat. Brat ks. Franciszka Mantheya. Od 1955 redaktor wychodzącego w Rzymie periodyku „Sacrum Poloniae Millennium”.

⁸⁹ Towarzystwo Opieki nad Nauką Josepha Görresa jest jednym z najstarszych niemieckich towarzystw naukowych. Założone w 1876, istnieje do dziś (z przerwą w działalności w latach 1941–1948). Zasadniczym jego celem jest promowanie aktywności naukowej oraz stworzenie miejsca wymiany doświadczeń z różnych dziedzin nauki.

Adiunktura i nowe możliwości

W październiku 1966 r. zostałem starszym asystentem i zajęcia moje wyglądały następująco: 2 godz. wykładu, 2 godz. udziału w seminarium, 18 godz. zajęć zakładowych, 6 godz. pracy własnej. To w ciągu roku akademickiego, natomiast w pozostałych 12 tygodniach – 30 godz. do dyspozycji kierownika katedry, 6 godz. własna praca naukowa. Przytaczam ten rozkład zajęć, by uprzytomnić fakt troski ówczesnego kierownictwa uniwersytetu o jak najlepsze przygotowanie przyszłego samodzielnego pracownika. Obecna ekonomika w tym względzie prowadzi do zapaści naukowej. Lekceważy się niezbędny tryb dojrzewania naukowego, którego wrogiem jest przedwczesne i nadmierne obarczanie zajęciami dydaktycznymi oraz tolerowanie zatrudnienia na licznych angażach poza uczelnią, co skądinąd jest konieczne ze względu na marne uposażenie pracownika naukowego. Muszę dodać, że godziny przeznaczone do dyspozycji kierownika katedry w moim wypadku powiększały czas pozostawiony mi na badania własne. Ksiądz Żywczyński nigdy nie nadużywał mnie do jakichkolwiek prac własnych. Nawet jeśli wyraźnie oferowałem mu swe usługi, nie korzystał z tego. Gdy obserwuję, jak kierownicy katedr gnębią swych podwładnych narzucanymi im zajęciami na swój benefis, nie mogę pojąć, jak godzą to z uczciwością i honorem. Nadużywanie drugiego człowieka uwłacza jednej i drugiej stronie. Pomijam już dopisywanie się kierowników agend jako współautorów do prac swoich podwładnych pod pozorem uczestniczenia w ich badaniach. Jest to obieranie młodego człowieka z dorobku potrzebnego mu do awansów, w ten sposób przerwano wiele dobrze zapowiadających się karier naukowych. Czy stanowi to dla korzystających z takiego źródła problem sumienia?

Przeciążanie pracą asystentów i ich wykorzystywanie przez kierowników agend przypomina terminowanie w XIX–XX w., kiedy majster zatrudniał ucznia do niańczenia dzieci czy jako pomoc domową i nie kwapił się do nauki rzemiosła. Z obawy, by zbyt szybko nie zyskać w dawnym uczniu konkurenta. Podobnie postępują dziś niektórzy luminarze nauki, nie mają przy tym najmniejszych wyrzutów sumienia. To jedna z przyczyn powolnego słabnięcia kadry naukowej. Inna, może ważniejsza, to obłądna wprost polityka władz państwowych, które regulują sprawę pensum na uczelniach i wyznaczają ramy obowiązków. W ministerstwie te programy wymyślają często ludzie bez żadnego doświadczenia, młodzi absolwenci studiów, mający odpowiednie plecy, a dzięki nim – zatrudnienie.

Swego czasu chciałem załatwić jakąś sprawę w ministerstwie – było to w latach dziewięćdziesiątych – i zastałem na odpowiedzialnym stanowisku, decydującym

o stypendiach, taką właśnie młodą personę, zresztą osobiście mi znaną. Trafia się tam albo z klucza partyjnego – przekleństwo w postaci dziedzictwa komunistycznej nomenklatury – albo poprzez wujka, ciocię, nie mówiąc o innych powiązania. Musi to prowadzić do uwiadu nauki uniwersyteckiej, gdyż adepci jej nie mają żadnych szans, żeby się przygotować do twórczej pracy. Mogą do czasu ratować się wyłącznie umiejętnym pozorowaniem wypełniania pensum. Alternatywą może być znalezienie dobrze ustawionego znajomka. Wtedy kompetencje merytoryczne nie odgrywają żadnej roli. Tak czy inaczej, dla nauki w pełnym tego słowa znaczeniu jest to klęska.

Od 1 stycznia 1967 r. byłem adiunktem z takim samym wymiarem zajęć, jak wyżej podałem. Moje uposażenie wynosiło netto 3170 zł, co pozwalało na względny dostatek, a przede wszystkim na zakup książek, dodajmy, wówczas niezwykle tanich.

W kwietniu 1967 r. zostałem przyjęty do Towarzystwa Naukowego KUL⁹⁰ jako członek współpracownik. W następnych latach przyszły awanse na członka korespondenta i czynnego, ale wbrew temu ostatniemu tytułowi nigdy zbyt czynny w TN KUL nie byłem, chociaż mam kilka wydanych przez nie publikacji. Udział w sprawach organizacyjnych był domeną pewnych osób, które przejawiały zainteresowania w tym kierunku. Co do mnie, zawsze byłem zaabsorbowany konkretnymi zadaniami – czy to w dydaktyce, czy też – w czasie tu opisywanym – w badaniach naukowych.

W 1967 r. moją uwagę zaprzętała kwerenda do habilitacji. Obrąłem sobie jako przedmiot badań okres rządów abp. Leona Przyłuskiego⁹¹ w archidiecezjach gnieźnieńskiej i poznańskiej, przypadający na gorący czas Wiosny Ludów, bezpośrednio poprzedzający kulturkampf. Była to epoka bogata w wydarzenia kościelne i polityczne, przy czym następowało sprzężenie interesów, jeśli tak rzecz można, narodowego i kościelnego w Wielkim Księstwie Poznańskim. Nosiłem się z zamiarem podjęcia tego tematu jeszcze w czasie kwerendy do doktoratu, toteż swoim zwyczajem zaznaczałem sobie miejsca, gdzie znajdowały się odnośne materiały. Nauczony poprzednim doświadczeniem, poprosiłem tym razem dziekana o pisemne zezwolenie na wyjazd do archiwum w czasie wprawdzie wolnym

⁹⁰ Towarzystwo Naukowe KUL – instytucja naukowo-wydawnicza, odrębna, ale komplementarna w stosunku do KUL. Założona w 1934 przez ks. Antoniego Szymańskiego. Zob. szerzej: tnkul.pl, dostęp 19 V 2018 r.

⁹¹ Leon Przyłuski (1789–1865), arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański oraz prymas Polski 1945–1965.

od zajęć dydaktycznych, jednakże nie urlopowym. Bez trudu takie zezwolenie uzyskałem i w maju 1967 r. udałem się na miesiąc do Poznania.

W listopadzie 1967 r. postulator beatyfikacji o. Pawła Smolikowskiego⁹², o. Jerzy Mrówczyński⁹³ CR poprosił mnie o ocenę historyczną materiałów gromadzonych do celów beatyfikacyjnych. Było tego kilka opastych tomisk. Praca uciążliwa i czasochłonna, ale pierwsza w mojej praktyce, toteż robiłem to *con amore*⁹⁴. Nie taję, że oczekiwałem też od o. Mrówczyńskiego przekazania materiałów dotyczących kard. Ledóchowskiego. Było ich niewiele, choć wydaje się, że starano się pilnie o ich wyszukanie. Moje starania o te dokumenty miały podstawę w mej wiedzy o miejscu zdeponowania przez kard. Ledóchowskiego korespondencji z Poznania i Gniezna w czasie, kiedy od 1874 r. był on na wygnaniu w Rzymie. Różnymi drogami korespondencja ta trafiła po śmierci kardynała na powrót do Poznania.

Inna sprawa, która na przełomie 1967 i 1968 r. mocno mnie zajmowała, to zamierzona kwerenda w Deutsches Zentral-Archiv w Merseburgu w NRD. Ksiądz prymas udzielił mi pozwolenia na wyjazd w piśmie z 10 stycznia 1968 r. Za pośrednictwem ks. Antoniego Liedtkego⁹⁵ z Pelplina uzyskałem też zapewnienie księdza proboszcza Johanna Aranaua z Greussen, że znajdzie się dla mnie lokum w Merseburgu. Tenże kapłan przysłał mi zaproszenie, które było potrzebne do starań o wkładkę paszportową i do wyjazdu. Mieszkać miałem w plebanii parafii św. Norberta.

Przygotowania do wyjazdu okazały się bezprzedmiotowe, 27 lutego 1968 r. Państwowy Zarząd Archiwalny NRD odmówił mi dostępu do akt w Merseburgu. Ksiądz Żywczyński zwrócił się do Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych w Warszawie z prośbą o interwencję u władz NRD. Kierowniczka Biura Naukowego Naczelnej Dyrekcji Archiwów zwróciła się do energowskich władz archiwalnych ze stosownym pismem z 27 marca 1968 r. Już 5 kwietnia 1968 r. nadeszła ponowna odmowa. Konsultowałem się w tej sprawie z prof. Jakóbczykiem z Poznania. Powiedział mi wprost, z właściwą mu szczerością, że istnieją dwa powody odmowy

⁹² Paweł Smolikowski CR (1849–1926), do zgromadzenia wstąpił w 1867. Śluby wieczyste 1873. Misjonarz w Bułgarii i Grecji. Rektor Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie 1892–1895, 1898–1902. Generał zmartwychwstańców 1895–1905. Sługa Boży.

⁹³ Jerzy Mrówczyński CR (1927–2008), doktor teologii i historyk. Wicepostulator procesu beatyfikacyjnego ks. Pawła Smolikowskiego CR.

⁹⁴ Wł. z miłością.

⁹⁵ Antoni Liedtke (1904–1994), ksiądz diecezji pelplińskiej. Święcenia kapłańskie 1929. Doktorat z historii sztuki 1931. Wykładowca w WSD w Pelplinie od 1931. Dyrektor biblioteki seminarialnej 1935–1981 (z przerwą w czasie drugiej wojny). Kierownik Archiwum Diecezji Chełmińskiej 1936–1962. Wicerektor seminarium 1946–1949, rektor 1961–1970. Prałat domowy Jego Świątobliwości od 1958. Protonotariusz apostolski od 1962.

– że jestem księdzem i że pracuję na KUL. Radził mi się jednak nie martwić, ale jak najszybciej przesłać mu spis sygnatur potrzebnych mi akt, a on sprowadzi je do Poznania. Poinformował mnie, że jest to często praktykowany sposób.

Faktycznie, akta nadeszły nadspodziewanie szybko, a prof. Jakóbczyk, choć początkowo wzbraniał się dać mi je do Lublina w celu zmikrofilmowania, w końcu uległ moim prośbom. Nie wyjeżdżając do NRD, mogłem mieć wszystkie potrzebne mi materiały. Podaję to jako jeden z przykładów życzliwości osób bardzo aktywnych partyjnie, do których profesor bez wątpienia należał. Mam dla niego ogromną wdzięczność nie tylko za to, lecz także za wiele cennych rad, jakich mi udzielał, goszcząc mnie często w swoim domu rodzinnym.

Przy okazji wzmianki o tej sprawie muszę zaznaczyć, że na ogół w placówkach naukowych w PRL spotykaliśmy się, my – księża, a także, jak sadzę, inni pracownicy KUL, z niezwykłą życzliwością i gotowością niesienia pomocy. Kolega mój, który szukał materiałów w Zakładzie Historii Partii, nie tylko uzyskał dostęp do poszukiwanych źródeł, ale za darmo mu je zmikrofilmowano. Miałem styczność z kilkoma profesorami o mocnej pozycji partyjnej i zawsze doznawałem z ich strony pomocy. Szczególnie cenię sobie moją przyjaźń z prof. Czesławem Madajczykiem⁹⁶. Nie zdziwiłem się, gdy w materiałach IPN przeczytałem negatywną opinię o nim władz partyjnych. Był członkiem PZPR, ale właściwie to był pepeesowiec.

Porównując życzliwość takich osób z postawą tych ludzi, którzy w niektórych archiwach kościelnych utrudniali badaczom życie, zadawałem sobie pytanie, jakie były tu i tam motywacje. Z wielkim żalem wspominam odpowiedź, jaką uzyskałem z sekretariatu kard. Glempa, do którego zwróciłem się z osobistym listem (byliśmy kiedyś kolegami seminaryjnymi) o udostępnienie mi materiałów na temat inicjatyw duszpasterskich kard. Wyszyńskiego w archidiecezji gnieźnieńskiej. Sekretarz kardynała odmówił mi w jego imieniu i odesłał do materiałów drukowanych w „Wiadomościach Archidiecezji Gnieźnieńskiej”. Dla profesora uniwersyteckiego o dorobku, jakim się już wówczas legitymowałem, był to policzek. Nie mogłem zrozumieć, z jakiego powodu kard. Glemp uniemożliwił mi dostęp do akt prymasowskich, podczas gdy wielu historyków świeckich taki

⁹⁶ Czesław Madajczyk (1921–2008), historyk, nauczyciel akademicki. Docent 1955, profesor nadzwyczajny 1963, profesor zwyczajny 1973. Członek PZPR od 1948. Wykładowca w Wyższej Szkole Nauk Społecznych przy KC PZPR 1954–1958 i Wojskowej Akademii Politycznej 1954–1956. Pracownik naukowy IH PAN w Warszawie od 1956. Członek korespondent PAN od 1979, członek rzeczywisty od 1991.

dostęp uzyskiwało i to bez ograniczeń – nawet do takich źródeł, które były objęte dłuższą karencją. Owocem takiego postępowania władz kościelnych jest często niefachowa publikacja materiałów archiwalnych. Gdy porównuję te publikacje z taką serią, jak „Akten deutscher Bischöfe”, wydawaną w RFN, mam poczucie pewnego zażenowania. Wychodzi na to, że w Polsce nie ma historyków zdolnych do wydania źródeł z właściwym aparatem naukowym.

Przy okazji starania się o wkładkę paszportową dostałem wezwanie do komendy milicji, a faktycznie SB przy ulicy Narutowicza. Przyjmował mnie funkcjonariusz, który się nie przedstawił. Zaczął mnie indagować o cel wyjazdu, ale widać było od razu, że nie to go interesuje. Znienacka postawił mi pytanie, kto będzie rektorem po ks. Granacie. Zrobiłem zdziwioną minę.

– Czy nie bierze mnie pan za kogoś innego, bo coś adiunkt może o tym wiedzieć?

On na to:

– Ale przecież słyszy się, co ludzie mówią.

– To niech pan idzie do stołówki uniwersyteckiej, bo tam jest centrala plotek. Tylko nie wiem, czy się pan połapie, o czym mówią, bo jeden gada przez drugiego.

Następnie spytał mnie, kto pracuje na budowie gmachu KUL. Cóż mogłem odpowiedzieć? Chodziło mu o Mostostal, którego dźwig był z daleka widoczny. Chciał się dowiedzieć, jakie przedsiębiorstwo. Poradziłem, by poszedł i zapytał robotników. Coś mruczał, że nie lubi się pętać po budowie. Na tym rozmowa się skończyła.

Kilka lub kilkanaście dni później zadzwonił do mnie jakiś kapitan i zapraszał na kawę do kawiarni. Odpowiedziałem, że z mężczyznami się nie umawiam. Spytał:

– A z kobietami?

– Przynajmniej byłoby to zgodne z naturą...

– Ależ ksiądz jest cyniczny – usłyszałem.

Wkrótce potem znowu telefon. Dzwonił pan z komendy.

– Z jakiej? – pytam.

– Z Narutowicza.

– Nie wiem, jaka tam jest komenda. Czy może straż pożarna?

– Nie, MSW.

– A więc o co chodzi?

– Mamy takie auta po remoncie, możemy wypożyczyć na weekend.

– Czy jesteście teraz czymś w rodzaju organizacji charytatywnej?

– Nie, ale tak z życzliwości zapytuję...

– Nie, nie potrzebuję auta. Dziękuję.

Takie to były naiwne sposoby uwodzenia. Na długi czas miałem spokój od tych panów i co mnie zawsze dziwiło, nigdy później z okazji starania o paszport nie było rozmowy. Podobnie jak przy oddawaniu paszportu. Wiem, że niektóre osoby były indagowane.

Perspektywa odejścia z KUL i problem mieszkania

W 1968 r. omal nie zakończyła się moja kariera na KUL. Do matki dojeżdżałem co pewien czas, ale daleka i uciążliwa podróż nie pozwalała mi bywać u niej zawsze, kiedy była taka potrzeba. Palącą sprawą było zatem uzyskanie mieszkania w Lublinie, gdzie mógłbym zamieszkać razem z nią. Przeciąganie istniejącej sytuacji w nieskończoność niczego nie rozwiązywało.

Starania o mieszkanie rozpocząłem we wrześniu 1967 r. Do rektora ks. Wincentego Granata wystosowałem pismo, w którym pokrótce przedstawiłem moją sytuację. Zupełnie bez przekonania prosiłem o jakiegokolwiek lokum, gdyż nie mając możliwości przyjęcia u siebie matki, będę zmuszony zrezygnować z pracy na KUL. Jednakże brak mieszkań był tak dotkliwy, a rodzin czekających na przydział tak wiele, że rektor praktycznie nie mógł mi pomóc w moich kłopotach. Staranie o mieszkanie spółdzielcze było wprawdzie możliwe, ale należało mieć na to zgodę wielkiego kanclerza. Biskup Kałwa⁹⁷ udzielił mi jej na początku grudnia 1967 r. Mój list do rektora pozostał bez odpowiedzi. Przeczynałem wprawdzie jej możliwą treść, ale nie mogłem niczego w sprawie mieszkania przedsięwziąć, nie znając stanowiska rektora. Dopiero pod koniec kwietnia 1968 r. na moje ponowne zapytanie ksiądz rektor odpisał: „Już nieraz komunikowałem ustnie, że Rektorat KUL bardzo chętnie pomoże w formie pożyczki pieniężnej Księdzu Adiunktowi w uzyskaniu mieszkania”.

O przyznaniu mieszkania z puli kulowskiej nie mogło być mowy. O pożyczce dowiedziałem się dopiero z zacytowanego listu, była to jednak wiadomość godna zastanowienia. Szybki rekonesans przeprowadzony w kołach zorientowanych w kwestii uzyskania mieszkań spółdzielczych zgasił mą krótkotrwałą nadzieję. Czas oczekiwania to minimum kilka lat, mojego problemu to zatem nie rozwiązywało.

⁹⁷ Piotr Kałwa (1893–1974), ksiądz diecezji kieleckiej. Świecenia kapłańskie 1916. Wykładowca w WSD w Kielcach i na KUL, profesor KUL od 1935. Podczas drugiej wojny więziony przez Niemców na Zamku Lubelskim 1939–1940. Wikariusz generalny i kanonik kapituły kieleckiej od 1942. Biskup diecezjalny lubelski i wielki kanclerz KUL od 1949.

Postanowiłem szukać pracy gdzie indziej. Pierwotną myśl, by poprosić księdza prymasa o jakąś placówkę w diecezji, zastąpił inny pomysł, zresztą przez kogoś mi podsunięty. Spróbowałem skontaktować się z ATK i ewentualnie tam starać się o pracę. Wybadałem możliwość uzyskania ze-



Uroczystość
50-lecia KUL.
Siedzą od lewej:
bp Piotra Kałwa,
prymas Polski
kard. Stefan
Wyszyński,
kard. Karol Woj-
tyła, abp Antoni
Baraniak,
bp. Józef Kowal-
ski, 1968 r.

zwolenia od księdza prymasa i okazało się, że można było na nie liczyć. Najpierw w maju 1968 r. zapytałem listownie księdza rektora ATK Józefa Iwanickiego⁹⁸ o możliwość pracy. Odpowiedział niemal natychmiast, zaprosił na rozmowę.

Przyjął mnie bardzo życzliwie i oświadczył, że praca dla mnie się znajdzie, a co do mieszkania, to musi się zorientować, nie jest bowiem w tej sprawie na bieżąco. Poleciał mi

skontaktować się z dziekanem ks. Stanisławem Olejnikiem⁹⁹. Ten wszakże oświadczył mi, że mieszkania to pięta achillesowa ATK. Uczelnia cierpi bardzo na tym, że większość jej pracowników dojeżdża. Słowem, sprawa była skończona. Podziękowałem ks. Iwanickiemu za życzliwość, ale zamiana Lublina na Warszawę nie rozwiązywała moich problemów.

Księdzu rektorowi Granatowi przedstawiłem szczerze podejmowane przeze mnie starania o przejście na ATK oraz ich negatywny wynik. Po zakończeniu roku akademickiego 1967/1968 poinformowałem go, że w najbliższym czasie zwrócę się do mego ordynariusza o decyzję w sprawie mojej osoby. Ksiądz Granat nie wydawał się przejęty, a do mnie odnosił się bardzo życzliwie.

⁹⁸ Józef Iwanicki (1902–1995), ksiądz diecezji włocławskiej. Świecenia kapłańskie 1936. Profesor filozofii i logiki. Od 1946 wykładowca na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL. Związany z ruchem księży-patriotów. Rektor KUL 1951–1956 (po aresztowaniu ks. Antoniego Słomkowskiego). Od 1954 wykładowca i 1965–1972 rektor ATK.

⁹⁹ Stanisław Olejnik (1920–2014), ksiądz diecezji łódzkiej. Świecenia kapłańskie 1944. Doktorat 1948, habilitacja 1954, profesor nadzwyczajny 1973, profesor zwyczajny 1980. Wykładowca w WSD we Włocławku 1953–2002, od 1950 Wydziału Teologicznego UW, potem ATK i w latach 1958–1968 KUL. Członek Międzynarodowej Komisji Teologicznej w Rzymie 1968–1973, Komisji KEP ds. Nauki Katolickiej 1967–1975, Rady Naukowej KEP 1974–1987. Przewodniczący Sekcji Teologów Moralistów w Polsce 1964–1975.

Ksiądz Żywczyński, który śledził bieg wydarzeń związanych z moimi kłopotami, nie widział żadnego wyjścia. Na krótko przed emeryturą wołałby utrzymać *status quo* w katedrze, ale rozumiał moją sytuację. Radził jednak, bym nie podejmował pochopnych decyzji, w każdym razie nie przed upływem wakacji. W jednej z rozmów powiedział, że już nowego współpracownika nie zatrudni.

– A po moim odejściu na emeryturę niech robią, co chcą.

Zapewnił mnie też, że gdyby mógł mi w czymś pomóc, mogę na niego liczyć. To było pierwsze jego takie odezwanie się do mnie – gdy składał mi propozycję objęcia asystentury, oznajmił, że nie powinienem liczyć na jego poparcie. Nieopatrznie się odezwałem, że przecież na moje miejsce mógłby za-

trudnić ks. Franciszka Stopniaka, który bardzo tego pragnie. Riposta była nieprzyjemna:

– Może ksiądz, jeśli musi, odejść, ale rad mi ksiądz nie powinien udzielać.

To było w jego stylu.

Uważając, że odejście moje z Lublina jest tylko kwestią czasu, zacząłem intensywną kwerendę do pracy habilitacyjnej. Pragnąłem w tym celu wykorzystać ostatnie, jak mi się wydawało, tak długie wakacje. Odwiedzałem kilkakrotnie prof. Wojtkowskiego, starałem się skorzystać z jego niewydanej jeszcze części *Bibliografii historii Wielkopolski*¹⁰⁰. Po śmierci żony łatwiej go było spotkać w bibliotece niż w domu. Pewnego razu zapytał mnie, jak to miał w zwyczaju, co robię i jakie mam plany. Opowiedziałem, że noszę się z zamiarem powrotu do Wielkopolski. Bardzo był z tego powodu niezadowolony.

– Ksiądz doktor odejść nie może, co się stanie z Instytutem Historii Kościoła?

Trochę mnie rozśmieszył, bo nigdy nie uważałem się za tak ważną osobę, która może mieć wpływ na losy Instytutu Historii Kościoła. Zresztą



Uroczystość
50-lecia KUL.
Siedzą od lewej:
autor, ks. Hrbcza
ze Słowacji,
ks. Zielarko,
N.N., 1968 r.

¹⁰⁰ A. Wojtkowski, *Bibliografia historii Wielkopolski*, Poznań 1995.

przyszłość pokazała, że nie miał racji. Instytut nigdy nie potrzebował moich usług; poza kierowaniem katedrą nie pełniłem w nim żadnej funkcji.

Nasza rozmowa odbyła się na początku września, a 14 tegoż miesiąca 1968 r. prof. Wojtkowski wystosował do księdza rektora Granata następujące pismo:

Magnificencjo, Księżu Rektorze!

W przekonaniu, że dla Uniwersytetu naszego byłoby bardzo korzystne związanie na stałe z nim Księdza Doktora Zygmunta Zielińskiego, autora cennych prac z dziedziny historii Kościoła na Ziemiach Zachodnich w okresie najbardziej dla niego przełomowym, a niemogącego uzyskać mieszkania, w którym mógłby zamieszkać z matką, potrzebującą opieki, jestem gotów zwolnić swoje mieszkanie przy ul. Sławińskiego, z którego Magnificencja przyrzekł mnie nie ruszać, i ulokować się częściowo w pokoiku, w mieszkaniu mojego zięcia, męża najmłodszej mej córki, oraz w pokoju na ul. Chopina, który by Magnificencja zechciał przydzielić. Na wypadek przyznania mieszkania mojego przy ul. Sławińskiego komuś innemu, a nie ks[iędzu] doktorowi Zielińskiemu, powyższe zobowiązanie moje staje się nieważne.

Z wyrazami poważania

Prof. dr Andrzej Wojtkowski

Ksiądz Granat wezwał mnie i zakomunikował treść tego listu, nie wspominając jednak o klauzuli wyłączności, jaką zawarował sobie prof. Wojtkowski. Zapytał mnie, czy gotów byłbym na jakąś zamianę, ponieważ na ofiarowane mi lokum reflektuje wiele osób mających pierwszeństwo. Wymienił państwa Turowskich, którzy mieszkali w tej samej klatce schodowej, ale na trzecim piętrze. Oświadczyłem, że zgadzam się bez wahania.

Bodajże tego samego dnia odwiedzili mnie w konwikcie pan Grzegorz Lenartowski z kimś jeszcze i w imię wartości społecznych wzywali, bym zrezygnował z mieszkania w ogóle – jako ksiądz muszę brać wzgląd na innych. Nieco mnie to zdziwiło i zapytałem, czy ich zdaniem ksiądz nie ma w ogóle prawa do osobnego lokum. Coś mi wywodzili, że mogę się starać o lokum gdzieś na plebanii, w klasztorze. Widziałem, że do niczego to nie prowadzi, więc poinformowałem ich o mojej rozmowie z ks. Granatem.

Czekałem kilka dni na propozycję zamiany, ale okazało się, że interweniował prof. Wojtkowski, który stanowczo się temu przeciwstawił i oświadczył

to w mojej obecności księdzu rektorowi. Ponieważ z różnych stron naciskano, bym nie brał mieszkania po prof. Wojtkowskim, bo wywoła to powszechne zgorzienie, poszedłem do profesora i zapytałem go wprost, czy jednak nie byłoby wskazane, bym się zgodził na zamianę. Reflektanci na jego lokum nie dadzą za wygraną. Profesor bardzo się zirytował i powiedział, że za nic nie zgodzi się na takie rozwiązanie. Jeśli mieszkanie nie zostanie przyznane mnie, to on cofa swoją ofertę.

Tymczasem 16 września 1968 r. do rektoratu wpłynęło pismo państwa Turowskich z prośbą o przekazanie im lokalu po prof. Wojtkowskim. Pomijam argumentację, z której wynikało, jak naganne jest, że jako ksiądz mający tylko matkę na utrzymaniu staram się o dwupokojowe mieszkanie, że pragnę uzyskać mieszkanie tylko na pierwszym piętrze i że – co było już całkowitym fałszem – prof. Wojtkowski zostawił swe lokum uniwersytetowi do dyspozycji. Z dalszych wywodów wynikało, że w ogóle nie mam do niego prawa, są bowiem inni, którzy winni je uzyskać w pierwszej kolejności. Ten ostatni argument do mnie trafiał i muszę wyznać, że gdyby nie prof. Wojtkowski, prawdopodobnie w ogóle zrezygnowałbym z pozostania w Lublinie.

Tymczasem ksiądz rektor Granat wezwał mnie ponownie i oświadczył, że ze sprawą tego mieszkania nie chce mieć nic wspólnego, żadne zadowalające rozwiązanie nie wchodzi w rachubę. Albo je otrzymam i będzie nagonka na księży i kierownictwo uniwersytetu, albo zrezygnuję i pozostanie w nim prof. Wojtkowski. Zamęt będzie tak czy tak. We wszystkich sprawach radził mi zwracać się do prorektora Stanisława Papierkowskiego. Poszedłem do niego wprost od księdza rektora. Słuchał mnie i milcząc, mi się przyglądał. Wreszcie zapytał:

– I co ksiądz ma zamiar zrobić?

– Co mi pan prorektor poradzi, to zrobię.

Pomyślał chwilkę i rzekł:

– Jeśli ksiądz mieszkania nie weźmie, ci sami, którzy teraz pomstują na księdza, powiedzą, żeś ksiądz głupi. Jeśli ksiądz mieszkanie weźmie, powiedzą, żeś łobuz. Co lepsze? Osobiście wolałbym, by mnie nazywano łobuzem, bo łobuzów szanują, a głupich mają gdzieś.

Poszedłem jeszcze do ks. Żywczyńskiego. Ten mnie wprost wyśmiał.

– Ta katolicka społeczność jest bardziej antyklerykalna niż Komitet Centralny. Jak nie będą księdzu zazdrościć mieszkania, to pozazdroszczą powietrza, którym ksiądz oddycha.

Za kilka dni, w czasie których zagadywało mnie wiele osób, głównie świeckich, zachęcając z kolei do przyjęcia propozycji prof. Wojtkowskiego, poszedłem do prorektora i oświadczyłem, że lokum przyjmuję. Pismo rektora przyznające mi mieszkanie po prof. Wojtkowskim otrzymałem 24 października 1968 r. Napisano tam: „Przychylając się do prośby Księdza Doktora, przydzielam mu mieszkanie nr 90 na I piętrze”.

O mieszkanie to nie prosiłem ani ustnie, ani tym bardziej na piśmie. Zresztą ta drobna nieścisłość nie miała znaczenia. Na początku grudnia dotarł do mnie protest skierowany do Senatu Akademickiego KUL, a podpisany przez Konstantego Turowskiego¹⁰¹, Henryka Piersę¹⁰², Kazimierza Wójcika¹⁰³ i Jerzego Gałkowskiego¹⁰⁴. Odsądzano tam od czci i wiary prof. Wojtkowskiego: „Odrzucenie godziwej i słusznej propozycji dr. K. Turowskiego przez prof. Wojtkowskiego jest sprawą Jego sumienia. Podobnie jak postępowanie ks. dr. Z. Zielińskiego, który jako kapłan powinien być szczególnie uwrażliwiony na problem **ludzkiego** załatwiania tego rodzaju spraw [...]. Wiadomość o przyznaniu mieszkania rodzinnego ks. dr. Z. Zielińskiemu wywołała duże poruszenie w naszej społeczności uniwersyteckiej. Trudno oczywiście przewidzieć, jakie będą dalsze konsekwencje wytworzonej sytuacji, o ile Wysoki Senat nie uzna za właściwe podjęcie decyzji respektującej potrzeby pracowników uniwersytetu posiadających liczne rodziny, według propozycji zgłoszonej przez dr. K. Turowskiego”.

Ton pisma i niedwuznaczna pogróżka w nim zawarta przekonały wreszcie także ks. Granata, że uleganie presji każdego, kto potrafi głośniej krzyczeć, nie ma sensu. Był to człowiek tak daleki od stosowania metod, jakimi posługiwali się ludzie w stosunku do niego, że szczerze bolał nad tą sprawą. Przytoczone tu

¹⁰¹ Konstanty Turowski (1907–1983), działacz społeczny, publicysta. Przed drugą wojną działacz SKMA „Odrodzenie”, ChUR i ChZZ. Współzałożyciel „Tygodnika Powszechnego”. W 1945–1946 jeden z sekretarzy generalnych SP, poseł do KRN. Aresztowany i skazany w 1948 na 15 lat więzienia; zwolniony 1956. Redaktor „Zeszytów Naukowych KUL” i dyrektor Wydawnictwa TN KUL 1957–1973. Członek założyciel KIK w Lublinie, współpracownik ODiSS i „Ładu”. Współzałożyciel PZKS.

¹⁰² Henryk Piersa, filozof, wykładowca i profesor KUL, specjalista z zakresu filozofii przyrody.

¹⁰³ Kazimierz Wójcik (ur. 1932), psycholog, historyk filozofii. Doktorat 1971. Pracownik naukowy KUL 1963–1995, zatrudniony w Katedrze Filozofii Starożytnej i Wczesnego Średniowiecza (od 1989 w Katedrze Filozofii w Polsce).

¹⁰⁴ Jerzy Gałkowski (ur. 1937), filozof, nauczyciel akademicki. Pracownik naukowy KUL. Doktorat 1967, habilitacja 1979, profesor nadzwyczajny 1990, profesor zwyczajny 1998. Do 2009 r. kierował Katedrą Etyki Społecznej i Politycznej KUL. Był członkiem wielu gremiów, m.in. Komitetu Dyrekcyjnego Bureau Internationale Catholique de l'Enfance, Société Internationale Thomas d'Aquin, Rady Naukowej Instytutu Jana Pawła II KUL, polskiej sekcji UNESCO, Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej (Lublin) oraz TN KUL.

„memoriały” trochę mnie przestraszyły. Obawiałem się, że gdy sprowadzę tu matkę, mogą ją spotkać jakieś afronty, co przy jej usposobieniu byłoby fatalne. Przy okazji opłatka czy podobnego spotkania zapytałem ks. Granatę, czy nie byłoby lepiej, bym się wycofał. Rektor jednak nie chciał dyskutować. Uważał, że presja na niego wywierana miała tak oczywiste podszycie antyklerykalne, iż nie można tego tolerować ani się przed tym ugiąć.

Muszę zaznaczyć, że poza jednym sygnatariuszem owego listu, inni szybko otrząsnęli się z niechęci do mnie, a z państwem Turowskimi z czasem nawiązała się bardzo bliska relacja. Świadczyliśmy sobie różne uprzejmości. Częstym gościem u mojej matki była matka pani Turowskiej. O tamtych zajęciach nie wspominano, raz tylko pan Turowski rzucił mimochodem, że aby zabierać głos w jakiejś sprawie, trzeba zawsze znać ją od podszewki. Wiadomo, co miał na myśli. Byłem mu wdzięczny za te słowa.

Zarówno wtedy, kiedy sprawa ta się toczyła, jak i później, nie miałem za złe tym osobom, że w taki czy inny sposób chciały udaremnić przejęcie przeze mnie mieszkania po prof. Wojtkowskim. Byłem i jestem przekonany, że miały rację, i nie mogę dopatrzeć się w ich postępowaniu antyklerykalizmu. Z Grzesiem Lenartowskim byłem zaprzyjaźniony i jak mogłem, wspierałem go w trudnym dla niego czasie, gdy nie miał na KUL zatrudnienia. Później nieraz rozmawialiśmy na ten temat i byliśmy zgodni w jednym, mianowicie, że decydowała wola prof. Wojtkowskiego. Jakie nim kierowały racje, trudno powiedzieć, choć z pewnością miały podłoże osobistych urazów.

Sprawa mieszkania zakończyła się z końcem 1968 r. Wymagało ono gruntownego remontu, czego jednak nie dokonano. Do dziś trzeba tamten brak nadrabiać, a mimo tylu zabiegów standard lokum pozostawia wiele do życzenia. W następnym roku udało mi się sprowadzić matkę i mogłem kontynuować pisanie pracy habilitacyjnej.

Przekonanie matki do przeprowadzki wymagało nie lada dyplomacji. Trudno się dziwić, w tym wieku – matka liczyła wtedy 72 lata – trudno adaptować się w nowym otoczeniu. Mieszkania w Nakle nie chciała się pozbywać i moja zgoda na to ostatecznie skłoniła ją do przyjazdu do Lublina. Przez wiele lat wakacje spędzała w Nakle.

Moja praca nad habilitacją nabrała tempa. Otrzymałem w międzyczasie z Rzymu mikrofilm akt nuncjatury monachijskiej z XIX w. dotyczący okresu rządów abp. Przyłuskiego. Przytoczę tu pewną ciekawostkę. Zmikrofilmowania tych akt

mógł dokonać tylko o. Eugeniusz Reczek¹⁰⁵, dyrektor Instituto degli Studi Ecclesiastici¹⁰⁶ w Rzymie, a skłonić go do tego mógł tylko ksiądz prymas. Do niego też udałem się w tej sprawie. W niecały miesiąc po moim piśmie Sekretariat Prymasa Polski skierował odpowiednie pismo do ks. Reczka. Dzisiaj nie do pomyślenia byłaby taka troska o jakiegoś adiunkta kwerendzistę. Ksiądz prymas Wyszyński interesował się nawet drobiazgami związanymi z naszą – moją i innych kolegów spod jego jurysdykcji – pracą. Dla niego nikt nie był mało ważny, nikogo nie traktował jako uciążliwego petenta.

Niejednokrotnie zwracałem się do księdza prymasa Wyszyńskiego w sprawach niezbyt ważnych, ponieważ bp Czerniak przypominał nam zawsze:

– Eminencja interesuje się tym, co robicie, i cieszy się, kiedy zwracacie się do niego w zaufaniu.

Na zaproszenie bp. Czerniaka zgłosiliśmy się – wszyscy lubliniacy – 2 stycznia na audyencję noworoczną. Ksiądz prymas przyjął nas śniadaniem. Był wyraźnie zmęczony, ale ze swoim znanym uśmiechem rzekł:

– Skoro już jesteście, to musimy porozmawiać.

Wtedy odezwał się ks. Nowaczyk:

– Eminencjo, nie mieliśmy zamiaru zabierać Mu czasu, trudzić naszą obecnością, ale ks. bp Czerniak, zapraszając nas, zapewniał, że Eminencję cieszy nasza obecność.

Prymas serdecznie się uśmieł. Podeszliśmy go, to co ma teraz powiedzieć? Chyba tylko tak, jak jest.

– Jesteście bliscy mojemu sercu i raduję się, was widząc, choć nieraz nawet tak miłe chwile niosą ze sobą trud.

Nie zdradzę tu jakiegoś sekretu, przypominając, jak ujmujący w obcowaniu był ksiądz prymas Wyszyński. W czasie każdej rozmowy z kimś notował nieznacznie na wąskich paskach papieru jej treść. Po latach potrafił nawiązywać do mało znaczącej, a wówczas poruszonej sprawy.

¹⁰⁵ Eugeniusz Reczek SJ (1916–1971), do jezuitów wstąpił w 1934. Święcenia kapłańskie 1950. Delegowany przez prymasa Wyszyńskiego organizator i pierwszy kierownik Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie od 1958. Prowadził kwerendę poloników w archiwach zagranicznych, m.in. watykańskim, oraz rejestrował je i mikrofilmował. Współpracował z Sekcją Polską Radia Watykańskiego. Redaktor czterech tomów serii „Sacrum Poloniae Millennium”.

¹⁰⁶ Instytut Studiów Kościelnych w Rzymie – polska instytucja kościelna powołana w 1958 z inicjatywy prymasa Wyszyńskiego w celu odzyskiwania i gromadzenia archiwaliów polskich rozszaniach po całym świecie. Organizatorem i pierwszym kierownikiem instytutu był o. Eugeniusz Reczek. Od 1970 ma status instytucji papieskiej.

Moje miejsce na seminarium ks. prof. Żywczyńskiego. Habilitation

W ciągu 1970 r. miałem nadzieję ukończyć pisanie pracy habilitacyjnej i już od początku roku rozglądałem się za wydawcą. Będąc w Warszawie pod koniec stycznia przy okazji jakiejś prelekcji w warszawskim KIK, odwiedziłem redakcję „Więzi”. Rozmawiałem, już teraz nie wiem, z panem Wieczorkiem¹⁰⁷ czy też z panem Eską¹⁰⁸ na temat pisanej przeze mnie książki. Wydawało mi się, że wzbudziła pewne zainteresowanie. Po miesiącu, nie mając od nich żadnej wiadomości, przypomniałem się listownie. Odpowiedzi długo nie było, nadeszła dopiero 27 czerwca 1970 r. i była negatywna. Wydanie mojej książki komplikowałoby bardzo wąski plan wydawniczy, o czym decydował Urząd do Spraw Wyznań. Odstraszała też jej niewątpliwa deficytowość.

Było to już po mojej rozmowie z księdzem prymasem, która odbyła się 24 czerwca. W piśmie skierowanym do prymasa na 10 dni przed audiencją wspominałem jeszcze o pewnych możliwościach wydania pracy w Bibliotece „Więzi”. W trakcie rozmowy z księdzem prymasem sprawa ta wróciła, choć odniosłem wrażenie, że ksiądz kardynał wolałby tego tematu uniknąć. Pytał o charakter pracy. Pokazałem mu jej konspekt i plan. Uważnie przestudiował i rzekł, że nie sądzi, by Biblioteka „Więzi” była właściwym edytorem takiej rozprawy, mającej ściśle naukowy charakter. Nie wypadało mi polemizować, ale powiedziałem, że współpracuję z „Więzią” i mam szacunek dla wielu spotykanych zarówno tam, jak i w ogóle w KIK osób. Prymas się skrzywił i odparł, że owszem, są tam ludzie godni szacunku, ale jest też wiele śmieci, a jednych od drugich nie jest łatwo odróżnić, zwłaszcza bez głębszego doświadczenia. Zapytałem zatem, czy wolno mi pisywać w „Więzi”. Odpowiedział, że tak, ale książki tam wydawać nie radzi. Oczywiście nie wiedziałem wówczas, że „Więź” nie będzie reflektować na wydanie książki i gotów byłem nalegać na zgodę prymasa. Ksiądz prymas wskazał jednak Wydawnictwo św. Wojciecha jako wydawcę, dając wyraźnie do zrozumienia, iż rozmowa na temat „Więzi” jest zakończona.

¹⁰⁷ Wojciech Wieczorek (1928–2012), dziennikarz i publicysta. Członek redakcji „Więzi” od 1958, pełnił funkcję kolejno: sekretarza redakcji, zastępcy redaktora naczelnego i redaktora naczelnego 1981–1989. W 1990 ambasador w NRD, pracownik Ambasady RP w Berlinie 1990–1991.

¹⁰⁸ Juliusz Eska (1927–1997), dziennikarz i publicysta. Walczył w powstaniu warszawskim. Pracownik IW PAX 1952–1955. Członek redakcji „Więzi” od 1958, zastępca redaktora naczelnego 1958–1992. Zajmował się przede wszystkim tematyką kościelną. W latach 1946–1955 informator UB ps. „Antek” (miał za zadanie rozpracowywać środowiska katolików świeckich). Od 1969 ponownie podjął współpracę z aparatem bezpieczeństwa jako TW ps. „Teolog” (nieznana jest data jej zakończenia).

Co do św. Wojciecha, to miałem już wiosną z tym wydawnictwem rozmowy, które do niczego nie doprowadziły. Byli oni zainteresowani małymi drukami (katechizmy, śpiewniczki, modlitewniki) mającymi duży zbył i dającymi zysk. Prymas ze spokojem, coś pisząc, powiedział, że ma nadzieję przekonać pana Żyndę¹⁰⁹ i ks. Bielerzewskiego¹¹⁰ do zmiany zdania. Na tym właściwie temat się wyczerpał.

Zwróciłem się w lipcu do Pallottinum z propozycją wydania książki, ale poza długą epistołą opisującą trudności przeżywane przez wydawnictwo i radą wydrukowania książki na małej poligrafii nic nie wskórałem. O daremnych staraniach doniosłem księdzu prymasowi, bo sobie tego życzył, i postanowiłem szukać sposobu opublikowania pracy w KUL. Tymczasem 31 kwietnia 1971 r. ksiądz prymas wystosował pismo do Księgarni Świętego Wojciecha, w którym nie tylko wyraził życzenie opublikowania przez wydawnictwo mej książki, ale motywował to racjami wręcz dezawuuującymi całą argumentację ks. Bielerzewskiego, bardziej stosowną dla drobnego kupca niż szefa tak wielkiej katolickiej instytucji wydawniczej. Pisał m.in.

Ponieważ dalsze losy tej pracy nie są mi obojętne także ze względu na jej autora, jak i dla przedstawianych w niej zagadnień, które dotyczą przecież niezmiernie bogatego i brzemennego w wydarzenia okresu dziejów Archidiecezji Poznańskiej i Gnieźnieńskiej, byłbym wdzięczny PT Wydawnictwu za informacje o aktualnym stanie sprawy druku pracy ks. dr. Zielińskiego.

Mając odpis tego pisma, byłem pewny, że ks. Bielerzewski zmieni zdanie o mej pracy wyrażone w bardzo przykryj dla mnie formie. Tak się stało i 10 maja powiadomił mnie o przyjęciu jej do druku „na życzenie księdza prymasa”. Niespodziewanie jeszcze w 1970 r. chęć jej wydania zgłosiło Towarzystwo Naukowe KUL. Może dziwić fakt, że mimo tej opcji nie przerwałem innych starań o wydanie książki, ale trzeba wziąć pod uwagę ogrom trudności, jakie napotykała w tym czasie każda publikacja katolicka. Starania szły więc kilkoma torami. Mogłem jednak spokojnie kończyć prace redakcyjne.

¹⁰⁹ Bolesław Żynda (1904–1988), wydawca, pracownik Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.

¹¹⁰ Ludwik Bielerzewski (1905–1999), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1930. Wikariusz w parafii w Kępnie 1930–1932, w Gostyniu 1932–1934, w Opalenicy 1934–1936, św. Marcina w Poznaniu 1936–1938. Proboszcz parafii Luboń 1938–1940, 1945. W latach 1940–1945 więzień obozów koncentracyjnych Dachau i Gusen. Proboszcz parafii Brody Poznańskie 1946–1952, św. Michała Archaniola w Poznaniu 1952–1977. Dyrektor Wydawnictwa św. Wojciecha 1963–1981. Autor wspomnień *Ksiądz nie zostaje sam*, Wrocław 1993.

Książka ukazała się w 1973 r. Spóźniona, już nie do przyjęcia, decyzja Wydawnictwa św. Wojciecha postawiła mnie w bardzo przykrych sytuacjach. Wycofanie z TN KUL było niemożliwością. Porozumiałem się z wydawnictwem i wyjaśniłem sprawę. Nie byli zmartwieni, ale zasugerowano mi, że nie powinienem działać z takim pośpiechem. Wydawnictwo potrafiło w nieskończoność zwlekać z odpowiedzią na korespondencję. Poza tym niczym nieuzasadnione lekceważenie okazywane przez ks. Bielerzewskiego nie tylko mi, lecz także innym osobom ubiegającym się o druk, odstręczało od tej instytucji, ogólnie też postrzeganej raczej jako przedsiębiorstwo handlowe, któremu promowanie pewnej kategorii opracowań po prostu było obce. Podobno książdz prymas, kiedy się dowiedział o mojej decyzji, miał powiedzieć:

– Trudno go zadowolić.

Oczywiście sumitowałem się przed nim w liście, ale zapewne swoje myślał, o ile tej drobnej sprawie w ogóle poświęcał dalszą uwagę. Troskliwość, z jaką książdz prymas wspierał wówczas młodego i mało znaczącego księdza, wynikała, moim zdaniem, nie tylko z jego stosunku do podległych mu kapłanów, lecz także ze zrozumienia dla nauki i rzetelnego jej uprawiania. Dowodem na to były jego słowa, które padły podczas jednej z audiencji:

– Korzystaj jak najwięcej z wiedzy ks. Żywczyńskiego, to człowiek wielkiej nauki, no może trochę dziwny.

Przecież wiedziałem, że prymas nie miał powodów, by lubić mego profesora. Gdy mu to powtórzyłem, nic nie powiedział, ale nigdy potem nie słyszałem krytycznych uwag pod adresem kardynała, co przedtem niekiedy się zdarzało. Przeciwnie, byłem raz świadkiem dyskusji na temat rządzenia Kościołem, w której jeden z obecnych przy rozmowie księży zarzucił, że prymas jest zbyt apodyktyczny, bo nawet biskupom dyktuje, co mają robić. Na to ks. Żywczyński:

– Czy zdaniem księdza ma pozwolić, by każdy szedł swoją drogą? Proszę jeszcze powiedzieć, dokąd by ona zaprowadziła.

Od roku akademickiego 1969/1970 otrzymałem więcej zajęć dydaktycznych, doszedł bowiem wykład kursoryczny z historii Kościoła powszechnego na pierwszym i drugim roku teologii dla studium podstawowego (kurs „B”), zaś godziny zakładowe zmniejszyły się do dziesięciu. Pozostałe składowe angażu pozostały bez zmian. W następnym roku akademickim doszły ćwiczenia na pierwszym roku kursu „B”, godzin zakładowych pozostało zaledwie pięć. Do pensum liczył się także udział w seminarium, dwie godziny w tygodniu.

Seminarium prowadzone przez ks. Żywczyńskiego miało doprowadzić głównie do powstania pracy doktorskiej lub magisterskiej. Niemożliwe było natomiast prowadzenie pracy badawczej nad określonym tematem, który stanowiłby opracowanie zbiorowe. Nie było na to czasu, dlatego też w chwilach wolnych od referowania prac, a takich było niewiele, albo ktoś *ad hoc* referował coś, co miał akurat na warsztacie, albo profesor omawiał nowości wydawnicze w dziedzinie historii, przeważnie zagraniczne, albo brał do referowania temat kiedyś komuś zadany, że tak powiem, dla zapchania dziury. Gdy w seminarium obowiązkowo brał udział asystent czy adiunkt, musiał się on liczyć z koniecznością zabrania głosu, do którego wprawdzie nie był wzywany, jak to czynił na seminarium ks. Kumor, ale rozumiało się to samo przez się. Uchybienia w tym względzie prędzej czy później spotkały się z naganą profesora. Pierwsze seminaria po moim zatrudnieniu dały mi się nieco we znaki.

Pewnego razu nie przybył doktorant dojeżdżający, który miał czytać swoją pracę. Profesor, licząc na jego obecność, nie przewidział chyba żadnego innego wystąpienia ani własnej inicjatywy. Zwykle w takich momentach prezentował jakąś książkę. Tym razem zwrócił się do mnie i w bardzo miły sposób poprosił mnie, bym poszedł do Biblioteki Uniwersyteckiej, czyli do sąsiedniego budynku, ponieważ seminarium odbywało się w mieszkaniu profesora, i przyniósł te dwa czasopisma, które na bieżąco odnotowują literaturę teologiczną.

– No wie ksiądz doktor, które to są, bo w końcu tylko dwa czynią to systematycznie.

Oblał mnie zimny pot, bo nie śmiałem zapytać o tytuły, a nie wiedziałem, co miał na myśli. Poszedłem do czytelni czasopism i rozglądam się bezradnie. Na dyżurze była bardzo sympatyczna pani, która widząc moje zakłopotanie, zapytała, w czym mogłaby pomóc. Powiedziałem, że ks. Żywczyński prosi o dwa czasopisma odnotowujące na bieżąco publikacje teologiczne. Ona na to:

– Ach tak, to te, które zawsze przegląda, gdy przychodzi tutaj.

Podeszła do półki i podała mi „Theologische Literaturzeitung”¹¹¹ i „Theologische Revue”¹¹². Miałem ochotę ją uściskać.

¹¹¹ „Theologische Literaturzeitung” – najstarsze i najbardziej obszerne czasopismo teologiczne i religioznawcze w Niemczech. Założone w 1876 w Lipsku. Obecnie wydawane przez Evangelische Verlagsgesellschaft. Pierwszym redaktorem naczelnym był Emil Schürer.

¹¹² „Theologische Revue” – niemieckie czasopismo teologiczne i religioznawcze, wydające jedynie recenzje. Założone w 1902. Związane z Katolickim Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu w Münster. Pierwszym redaktorem naczelnym był Franz Diekamp.

W skowronkach pobiegłem do mieszkania profesora, który już od progu z zainteresowaniem zapytywał, czy udało mi się znaleźć te pisma, bo zupełnie zapomniał podać mi tytuły. Kiedy mu je wręczyłem, bez słowa wziął oba do ręki i zaczął kartkować, wyszukując recenzje, na które chciał zwrócić uwagę. Po pewnym czasie spytał, skąd wiedziałem, o które periodyki mu chodziło.

– Przecież ksiądz profesor zaznaczył, że są tylko dwa takie, jakże mógłbym przynieść inne?

Taki test mojej sprawności nigdy się już nie powtórzył. Nie mogę twierdzić z całą pewnością, że był on zamierzony, gdyż profesor często pewne sprawy wzmiankował, zakładając, że słuchacze orientują się, w czym rzecz. Wydaje się jednak, że nie były to małe roztargnienia, lecz celowe sprawdzanie, co kto wie. Sprawdziany takie zdarzały się często prof. Wojtkowskiemu, który lubił „odpytywać” nawet na wykładzie, a najbardziej narażony był właśnie obecny asystent czy adiunkt. Konikiem profesora była literatura, zwłaszcza poezja Mickiewicza. Miał zwyczaj pytać, skąd wzięty jest jakiś przytoczony przez niego fragment. Oczywiście poddawani tym sprawdzianom delikwenci nie lubili tego.

Innym razem sytuacja była podobna, czyli tzw. nieobsadzone seminarium. Ponieważ w tym czasie profesor prowadził wykład monograficzny na temat reformacji, zaczął niejako do niego nawiązywać, przywoływać pewne ciekawostki. W dyskusji poruszono program społeczny anabaptystów. Ktoś zwrócił uwagę na ich inicjatywy gospodarcze, które w pewnym sensie przyczyniły się do ich ocalenia w czasie prześladowań dotyczących ich tak ze strony katolików, jak i protestantów. Jeśli ich tolerowano – to głównie za względu na ich użyteczność w gospodarce. Profesor mocno się ożywił i wyraźnie było widać, że chciałby do tej tematyki wrócić na kolejnych seminariach. W pewnym momencie wydobył ze stosu książek niewielką broszurkę pod tytułem *The Economics of Anabaptism*. Autorem był niejaki Thomas Everett. Profesor zalecał lekturę tej książki, którą uważał za przełomową w badaniach nad istotą anabaptyzmu. Znał ją jednak tylko z recenzji, nie miał czasu jej przeczytać, ale sądził, że dla każdego będzie to ciekawa lektura. Język może być tu barierą, dlatego dobrze by było, gdyby ktoś ją zreferował.

Zapadło głucho milczenie. Każdy patrzył tak, by nie napotkać wzroku profesora. On chwilę ważył książkę w rękę i zwrócił się do mnie:

– Ksiądz doktor z pewnością chce to zrobić, ale sądzi, że może kto inny by się tym zajął?

Nadal trwało głuche milczenie, więc wziąłem książkę z rąk profesora. Z ciężkim sercem, bo angielskiego prawie nie znałem. Miałem na to dwa tygodnie. Może więcej, bo przecież mógł ktoś przyjechać z referowaniem pracy, ale za dwa tygodnie referat musiał być gotowy. Nawet nie wspomniałem, jak niewiele tego angielskiego wyniosłem z rocznego lektoratu, bo zarobiłbym tylko bardzo przykry komentarz. Zaraz wziąłem się do lektury, maltretując słownik i siebie samego. Po pewnym czasie szło mi lepiej i po nieco więcej niż tygodniu miałem około 40 stron zeszytowych notatek. Brała mnie pokusa, by trochę pofantazjować, ale byłoby to niebezpieczne – profesor mógł tylko udawać, że nie zna książki. Referowałem ją znacznie później, niż przewidywał termin. Książd Żywczyński zapytał, czy miałem to gotowe po dwóch tygodniach. Dziwił się, że mi się udało, ale zauważyłem, że coraz bardziej liczył się z moim zdaniem. Oczywiście nie można było na tym polegać i spać spokojnie, bo jedno potknięcie i można było spaść na samo dno.

Książd Żywczyński, przy całej swej niekwestionowanej wielkości intelektualnej – nie waham się tego z całym przekonaniem powiedzieć – nie lubił przyznawać się do pomyłek. Tak było z artykułem biograficznym o Hlondzie, a często też z ocenami pewnych osób, z których się po czasie wycofywał, chciał jednak robić wrażenie, że sąd jego był stale ten sam. Nie chcę przytaczać konkretnych zdarzeń, gdyż dotyczyłyby one osób trzecich, swego czasu powszechnie znanych, ale sam fakt należy podkreślić. Na tle tej właśnie słabostki profesora doszło do pewnego zdarzenia, które – jako jedyne zresztą – muszę z przykrością odnotować.

Zdarzyło się to na krótko przed moją habilitacją. Na seminarium zjawił się pewien doktorant z zewnątrz, mający temat raczej pastoralno-socjologiczny. Uczęszczał na seminarium ks. prof. Władysława Piwowarskiego czy też któregoś z pastoralistów, słowem kogoś, kto nie czuł się kompetentny w dziedzinie historycznej. To przywiodło doktoranta na nasze seminarium. Pracę przyniósł w zasadzie gotową, przeczytał jej fragment. Było to studium z kaznodziejstwa w końcu XVIII w. Trzeba przyznać, że dobrze się tego słuchało, ale na pierwszy rzut oka widać było zupełny brak odniesień, jakie winna mieć praca historyczna. Przede wszystkim brakowało analizy środowiska, do którego były skierowane kazania. Dyskusja była niemrawa, nie kwapiono się z zabieraniem głosu, profesor bowiem w trakcie czytania minę miał raczej ukontentowaną. Wreszcie zwrócił się do mnie i zapytał o zdanie na temat opracowania. Wysunąłem wtedy kilka poważnych zastrzeżeń. Książd Żywczyński, wyraźnie niezadowolony, zapytał wprost,

czy w takim stanie praca nadaje się na dysertację doktorską. Odpowiedziałem, że nie znam całości, ale jeśli reszta zrobiona jest według podobnych kryteriów, należy pracę przerobić. Wywołałem burzę. Profesor mnie wyśmiał i moje zdanie podał jako przykład pochopnego wyrokowania o tym, co dobre, a co złe. Czułem się sponiewierany, byłem bowiem przekonany o swojej racji. Bolało to, że reprimenda spotkała mnie w obecności seminarzystów, którzy okazywali – a przynajmniej takie odniosłem wrażenie – pewną schadenfreude.

W czwartki, kiedy profesor miał wykład, zawsze byłem w zakładzie, niezależnie od dyżuru. Na ogół były to miłe spotkania. Po tym seminarium profesor witał się i mnie ignorował. Trwało to dwa, trzy tygodnie. Pewnego razu po przywitaniu się rzekł na pół żartobliwie:

– Powinienem pana przywołać do porządku, bo pan śpi na seminariach.

Zrobiłem zdziwioną minę.

– A tak – kontynuował – bo powinien ksiądz zwrócić uwagę na pracę (tu wymienił nazwisko doktoranta), która całkowicie się nie nadaje jako studium historyczne.

Oniemiałem. Przypominałem mu moje wystąpienie i jego reakcję. On na to:

– Nie przypominam sobie, ale mógłby mi ksiądz pomóc, gdyby tylko chciał.

Otóż miałem nakłonić ks. Piwowarskiego, by przyjął tę pracę na Sekcji Pastoralnej, bo tam jest jej miejsce. Zapytałem, czemu profesor sam tego nie uczyni, przecież jest sąsiadem Piwowarskiego. Wykręcał się, że mu nie wypada, ale mnie – jako równolatkowi i koledze – jak najbardziej. Oczywiście sprawa została załatwiona. Profesor po pewnym czasie nadmienił, że nie wierzył, żeby Piwowarski tę pracę przyjął, a jednak.

Podobnych spraw było więcej, jak choćby zaatakowanie w czasie obrony doktorskiej swego własnego doktoranta, ks. Bońkowskiego, bo nie wspominał o materiałach po ks. Mańkowskim¹¹³, przekazanych mu przez profesora itp. Trzeba było niejedno łagodzić, ale profesor w gruncie rzeczy to doceniał. Może dlatego aż do jego śmierci, a więc przez siedem lat, kiedy kierowałem już jedną z katedr po nim odziedziczoną, byłem zawsze blisko niego. W każdy piątek względnie

¹¹³ Alfons Mańkowski (1870–1941), ksiądz diecezji pelplińskiej. Świecenia kapłańskie 1895. Historyk. Wikariusz lub administrator w parafii w Gniewie 1895, Tucholi 1896, Lembargu 1897, Nowej 1898–1899, Starej Kiszewie 1899–1900, Sarnowie 1901, Fordonie 1901–1903, Przysiersku 1903–1904, Lubiszewie 1904–1910, Złotowie 1910–1920. Proboszcz parafii w Radzynie Chełmińskim 1920–1923 i Lembargu 1923–1940. Członek korespondent PAU od 1929. Prezes Towarzystwa Naukowego w Toruniu 1923–1929. Członek rady *Polskiego słownika biograficznego*. W 1940 aresztowany przez Niemców i wywieziony do obozu w Stutthofie, gdzie zmarł.

sobotę oczekiwał mnie u siebie, był ciekaw, co robię na seminarium, jaki prowadzę wykład, czy nie mam trudności na wydziale.

O mojej habilitacji mówiliśmy niewiele. Pewnego razu, mniej więcej na rok przed przejściem na emeryturę, zapytał mnie znenacka, jak się przedstawia sprawa mojej habilitacji. Dodał, że powinienem się spieszyć ze skończeniem pisanie. Odpowiedziałem, że praca jest gotowa i nawet przepisana na czysto, a ostatecznie została przyjęta do planu wydawniczego TN KUL na 1972 r. Poprosiłem go o zapoznanie się z nią i ewentualne uwagi krytyczne. W ten sposób profesor otrzymał maszynopis i co mnie zdziwiło, oddał go chyba w niecały miesiąc. Miał jakieś zastrzeżenia co do wstępu, bliżej ich jednak nie sprecyzował. Radził dopisać jeden rozdział – jest to w ostatecznej redakcji rozdział trzeci – poświęcony charakterystyce społeczeństwa Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Była to cenna rada, za którą byłem profesorowi wdzięczny.

Nie muszę zaznaczać, że w związku z habilitacją byłem potwornie zapracowany. Trochę się niepokoiłem, że nie sfinalizuję habilitacji przed pójściem ks. Żywczyńskiego na emeryturę, a wiadomo było, że 1972 r. miał być nieodwołalnie ostatnim rokiem jego pracy, której czas został już przedłużony o jeden rok. W tej sytuacji wprost niemiłosiernym aktem było dodanie mi w roku akademickim 1971/1972 dwóch przedmiotów. Zawdzięczałem to zabiegom ks. Kumora, który przekonał Radę Wydziału o konieczności tymczasowego powierzenia mi wykładów z patrologii na kursie B oraz nowego przedmiotu: dziejów misji katolickich, dla studentów Instytutu Historii Kościoła. Powiedziałem ks. Żywczyńskiemu, że moja habilitacja stoi pod znakiem zapytania, jeśli chodzi o termin jej odbycia, są bowiem te dwa hamulce w postaci nowych zajęć. W dodatku wyznaczono mi w etacie cztery godziny zajęć w Zakładzie Leksykograficznym, które na szczęście rektor o. Krąpiec¹¹⁴ skreślił. Wpisano mi ponadto 26 godzin zakładowych w tygodniu. Miałem zatem cztery odrębne przedmioty dydaktyczne, w tym dwa pełnego przygotowania.

Jak na złość komplikowała się również sprawa publikacji pracy habilitacyjnej, Naczelny Zarząd Wydawnictw nie zatwierdził jej w planie wydawniczym na 1972 r., co z kolei Urząd do Spraw Wyznań tłumaczył zatwierdzeniem tego tytułu

¹¹⁴ Mieczysław Albert Maria Krąpiec OP (1921–2008), wstąpił do dominikanów w 1939. Świecenia kapłańskie 1945. Filozof, tomista, teolog. Doktorat 1946, habilitacja 1957, profesor nadzwyczajny 1963, profesor zwyczajny 1968. Od 1951 wykładowca na KUL, dziekan Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej 1958–1961 i 1969–1970. Rektor KUL 1970–1983. Współtwórca lubelskiej szkoły filozoficznej. Zarejestrowany przez SB jako TW ps. „Józef” w latach 1957–1983.

w Wydawnictwie św. Wojciecha. Generowało to dalszą korespondencję z tą instytucją, która jest jaskrawym przykładem biurokracji i braku szacunku dla człowieka. Gorzkie to słowa, ale tylko one oddają atmosferę, która dziś – po wielu latach, przypomniana z pożółkłych kartek – równie przygnębia. Wreszcie podpisałem umowę z TN KUL 13 maja 1972 r., nieco ponad dwa miesiące po kolokwium habilitacyjnym. Przeprowadzono je zatem po otrzymaniu przeze mnie „dyspensy” od wydania pracy przed przewodem.

Habilitacja odbyła się 23 marca 1972 r. Do komisji powołanej przez Radę Wydziału należeli księża: prof. Żywczyński, Rechowicz, Poplatek i Kumor. Recenzentami byli prof. Witold Jakóbczyk z Poznania, prof. Andrzej Wojtkowski i ks. Żywczyński. Kolokwium habilitacyjne odbywało się wówczas w salonach rektorskich, co sprawiało, że habilitant siedział niejako otoczony Radą Wydziału. Sprawiało to wrażenie pewnej familiarności, a może tylko tak mi się wydawało. W każdym razie szedłem na to spotkanie bez szczególnych emocji. Miałem świadomość, że każdy z uczestników może postawić pytanie po linii swych zainteresowań i tak też się stało. Pamiętam, że pytań było siedemnaście i że na jedno nie odpowiedziałem. Pytano mnie o treść książki, której nie czytałem, choć na dobrą sprawę powinienem ją znać, pośrednio bowiem odnosiła się do tematu mej habilitacji. Temat rozprawy brzmiał: *Kościół katolicki w Wielkim Księstwie Poznańskim w latach 1848–1865*¹¹⁵.

Właściwie habilitację przeżywałem dopiero po wyjściu z sali. Czekają na mnie wiele osób, m.in. panie z dziekanatu, kwestor i koledzy. Mam zdjęcie z tego momentu, na którym minę mam raczej niemądrą. Z czego to wynikało? Chyba z tego, że dopiero na korytarzu uświadomiłem sobie, że minęło to, co zawsze wydawało się nieosiągalne. Do dziś nie uważam, żeby habilitacja – a do czasów najnowszych odbywała się ona zawsze ustalonym trybem – była czymś tak przerażająco trudnym, jak to niektórzy mówią. Poinformowałem najpierw o tym wydarzeniu księdza prymasa, który 7 kwietnia 1972 r. skierował do mnie pismo następującej treści:

*Carissime*¹¹⁶,

Raduję się Twoim osiągnięciem habilitacyjnym. Niech Matka Najświętsza wspiera Cię w dalszych Twoich poczynaniach, byś mógł wydobywać

¹¹⁵ Z. Zieliński, *Kościół katolicki w Wielkim Księstwie Poznańskim w latach 1848–1865*, Lublin 1973.

¹¹⁶ Łac. najdroższy.

z dziejów to, co krzepi i uczy, mając wyrozumiałość dla błędów epok i ludzi.
Błogosławię Cię całym sercem *in caritate fraterna*¹¹⁷.

+ Stefan Kard. Wyszyński. Prymas Polski

Ksiądz prymas w takich okolicznościach nigdy się nie wyręczał maszyną do pisania i sekretarzem, co dziś jest raczej regułą. Zatwierdzenie habilitacji przez Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa i Techniki nadeszło 31 sierpnia 1972 r. Był tam dopisek, że stopień doktora habilitowanego jest ważny w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Oczywiście ta małostkowa złośliwość, jak mi wyjaśnił później pewien pracownik tegoż ministerstwa, była wymysłem jakiegoś biurokraty, nie miała żadnych podstaw prawnych, a jak się później okazało – także rzeczowych. Wkrótce powołano mnie do gremiów panowskich i nie kwestionowano ważności mego stopnia. Senat na posiedzeniu 11 października 1972 r. mianował mnie p.o. kierownikiem Katedry Historii Kościoła Nowoczesnej i Najnowszej – tak brzmiała pierwotna nazwa. W roku akademickim 1972/1973 oprócz wykładu monograficznego pt. *Kościół w zaborze pruskim w II połowie XIX w.* w Instytucie Historii Kościoła oraz wykładu kursorycznego z dziejów Kościoła od reformacji do najnowszych czasów oraz dziejów misji prowadziłem seminarium magisterskie i doktoranckie, odpadła mi natomiast patrologia. 1 maja 1973 r. ministerstwo zatwierdziło moją nominację na docenta zgłoszoną przez Senat Akademicki KUL. Fakt ten ostatecznie regulował mój status jako pracownika samodzielnego oraz kierownika Katedry Historii Kościoła w XIX i XX w. – tak w końcu została nazwana moja katedra. Jedną z dwóch, którymi kierował wcześniej ks. Żywczyński, z kolei ks. Kumor wziął Katedrę Historii Kościoła Nowożytnej. Taki podział w pełni mi odpowiadał, gdyż stwarzał możliwości badań w zakresie zamkniętej epoki, jaką stanowiły dzieje kościelne od rewolucji francuskiej po najnowsze czasy.

Kiedy dziś zastanawiam się nad stale zmieniającą się tytułaturą naukową, dostrzegam bezsens podejmowanych według widzimisię kolejnych ministrów szkolnictwa wyższego reform – niczego nie reformujących, a wszystko komplikujących. Trudno zaiste dociec racjonalnych uzasadnień tych posunięć. Kolejność stopni samodzielnych po habilitacji: docent, profesor nadzwyczajny i zwyczajny była jasna i przejrzysta. Dziś rozróżnienie między profesorem zwyczajnym a tytułarnym, uczelnianym i nadzwyczajnym powoduje zagmatwanie, w którym nie

¹¹⁷ Łac. z braterską troską.

odnajdują się nawet posiadacze tych tytułów. Nie wiadomo, skąd czerpano wzorce, ale z pewnością nie z zagranicy, którą stara się dziś naśladować nasza biurokracja. Tam wszystko – nie myślę o USA, bo tamtejsze stopnie i stanowiska uczelniane są jeszcze bardziej klarowne – nastawione jest na funkcjonalność, u nas – na czczy formalizm. Owszem, jest to potrzebne, ale głównie ludziom mającym swoje sposoby dochodzenia do stopni naukowych. Nowa procedura habilitacyjna usuwa właściwie ze sceny zainteresowanego, czyli człowieka, umożliwia natomiast radom wydziałowym ferowanie wyroków zaocznie, najczęściej bez najmniejszego nawet pojęcia o tym, nad czym głosują. Jest to więc jeden z kolejnych stopni degradacji nauki i sprowadzania jej do uznaniowej formalistyki.

Habilitacja zamyka pewien etap pracy naukowej i dydaktycznej, podczas którego aspirant do samodzielności naukowej musi niejedno znosić i chodzi jak gdyby po linie. W każdej chwili noga może się obsunąć i wtedy trudno się podnieść po upadku. Dostęp do samodzielności nie jest łatwy i wcale nie nauka stanowi tu największą przeszkodę. Jest nią możliwość stania się konkurentem dla kogoś. To takie małe ludzkie sprawki, ale mogą dokuczyć, a nawet zwichnąć komuś życie. Kiedy ja robiłem habilitację, nie były mi znane sztuczki wręcz kryminalne, mające na celu „skoszenie” kogoś, względnie wyniesienie osoby z określonej kliki, choć wiadomo, że nie ma ona odpowiednich kwalifikacji. Z biegiem czasu honor potaniał, uczciwość i nauka stały się towarem do przetargu i zaczęły się zdarzać przypadki postępowania w sprawach tak istotnych dla ludzkich losów ocierające się o kodeks karny. Przykładów nie chcę przytaczać, ale nie trzeba po nie daleko sięgać.

Pierwszy wyjazd zagraniczny

Od doktoratu do habilitacji upłynęło 6 lat i 3 miesiące. W tym czasie nie korzystałem z żadnego urlopu naukowego. Na ogół koledzy brali wolne na przygotowanie habilitacji, na jeden lub nawet dwa semestry. Także mnie było to bardzo potrzebne. Miałem zamiar wyjechać do Deutsches Zentralarchiv do Merseburga w NRD. Kwerenda w polskich archiwach była bardzo żmudna i pochłaniała cały mój wolny czas, nie pozwalając nawet na wypoczynek w czasie wakacji. O nic jednak prosić nie chciałem, nauczony złym doświadczeniem owego pierwszego urlopu przed doktoratem. Po habilitacji nadarzyła się okazja skorzystania z przyznanego mi przez Uniwersytet Katolicki w Lowanium w Belgii dziesięcioletniego stypendium. Oczywiście skorzystałem.

W wakacje poprzedzające wyjazd, który miał nastąpić na początku lutego 1973 r., uczęszczałem w Lublinie na krótki kurs odświeżenia języka francuskiego, odbywający się na Poczekajce i prowadzony przez dwoje Belgów. Należało przed wyjazdem nadrobić jak najwięcej zajęć i przygotować jakiś plan pracy w Lowanium. Z tym ostatnim miałem trudności, na badania źródłowe było mało czasu, tym bardziej że chciałem z tych trzech miesięcy wygospodarować kilka tygodni także na pobyt w Rzymie i w Paryżu. Wszak pierwszy raz udawałem się za granicę.

Być może udałooby mi się uzyskać stypendium na nieco dłuższy pobyt, ale miałem problem rodzinny, który na to nie pozwalał. Matka mieszkała już ze mną. Nie mogłem zostawić jej samej w Lublinie na dłuższy czas, pozostawało zatem tylko umieszczenie jej u krewnych i – co zrozumiałe – pobyt jej nie mógł się przeciągać. Z wyjazdu nie chciałem rezygnować. Nigdy dotąd nie byłem za granicą, a czułem przez skórę, że profesor – miałem się nim stać – musi poznać trochę szerszego świata. Dopiero znacznie później się przekonałem, w jak małym światku się tam obracałem – doświadczenia te nie od razu były w pełni uświadomione.

Niepewny był też paszport. Słyszało się, że temu i owemu odmówiono, choć nie były to znowu tak częste przypadki. Wniosek przyjęto bez jednego słowa uwagi. Urzędnik traktował mnie jak powietrze. Coś bąknął, że należy po jakimś czasie się zgłosić. Kiedy zapytałem, czy można telefonicznie, nasrożył się, ruszył ramionami i wybąkał, że mogę spróbować. Już nie wiem dziś, poszedłem tam czy też zapytałem telefonicznie. W każdym razie paszport otrzymałem. Tym razem wydający go spytał, co chcę robić w Lowanium. Szczerze odpowiedziałem, że dopiero na miejscu się zorientuję. Nic na to nie odrzekł, dodał tylko, że jedno mam sobie zakonotować. Nie wolno mi wstępować do RFN. Jeśli to uczynię, jak niektórzy, to na długo mogę się pożegnać z paszportem. Specjalnie mnie to nie obeszło, do Niemiec jechać nie zamierzałem.

Dopiero w Belgii zrozumiałem znaczenie jego słów. Uświadomiono mi, że do RFN można bez wizy przejechać z kimś samochodem, byle był on na belgijskich znakach. Podobno nie było polskiego stypendysty, który by z tego nie skorzystał. Poza mną, bo ja do Niemiec nie miałem po co jechać. Wtedy po raz pierwszy naszała mnie myśl, że ktoś musi informować SB o tym, co się dzieje w Lowanium czy w ogóle za granicą. Później w Paryżu ktoś mi wskazał sklepik w okolicy Quartier Latin i powiedział, żeby tam nie wchodził, gdyż właścicielem jest Polak, który lubi wiele mówić i spragniony jest wieści z Polski, szybko się zaprzyjaźnia, ale donosi wszystko, gdzie trzeba. Nie wierzyłem zbyt, ale do sklepiku nie poszedłem.

Czas do wyjazdu szybko zleciał, może zbyt szybko. Im bliższa była podróż, tym mniej chciało się jechać. Jakoś nie umiałem sobie tego wszystkiego wyobrazić. Koledzy, którzy już tam byli, podśmiewali się ze mnie, że taki parafianin. W Lowanium było też kilku znajomych. Napisałem dokładnie, kiedy przyjeżdżam – jechałem koleją – i miałem nadzieję, że ktoś zjawi się na dworcu.

Na dworcu w Lowanium nie było jednak żywego ducha, a jak na złość, dostałem czegoś w rodzaju zapalenia żyły w nodze. Ani stanąć, ani kroku dać – stałem na peronie na jednej nodze i czekałem. Po pewnym czasie zdobyłem się na wysiłek i kuśtykając, doczołgałem się do przechowalni bagażu, gdzie zdeponowałem dwie spore torby podróżne. Miałem tego dnia do godz. 14.00 odebrać w kwesturze stypendium i otrzymać skierowanie na kwatery. Nie wiedziałem, gdzie to jest i jak się tam udać. Spytałem kogoś, gdzie jest uniwersytet. Spojrzał na mnie zdziwiony i zatoczył ręką koło, co oznaczało, że wszędzie.

Odszedłem może ze 100 m w kierunku miasta, stale się za kimś rozglądając, kiedy zauważyłem mały samochodzik marki DAF, a za kierownicą chudą postać asystenta prof. de Smeta¹¹⁸ czy też prof. Auberta¹¹⁹, tego już nie pamiętam, Jeana-François Gilmonta¹²⁰. Stałem i kiwnąłem niezdecydowanie ręką, gdyż nie wiedziałem, czy on po mnie wyjechał i czy w ogóle mnie pozna, widzieliśmy się bowiem przedtem przelotnie jeden raz w czasie jego pobytu w Lublinie. On wszakże, zauważywszy mnie, wyraźnie się ucieszył. Zawrócił i pomógł mi wejść do samochodu, wytłumaczył, że jechał po mnie, ale coś go zatrzymało i się spóźnił.

Zabraliśmy bagaż, podwiózł mnie do kwestury i następnie na Mont César, do opactwa benedyktyńskiego, gdzie miałem zamieszkać. Po godzinie zjawili się koledzy i przywitali mnie serdecznie, wprowadzili nie na peronie, ale w pokoju. To powitanie – mimo wszystko jakże miłe – kosztowało mnie spory zapas kielbasy jałowcowej, która w moim mniemaniu miała mnie karmić przez cały pobyt w Lowanium, a także buteleczkę pejsachówki, chowaną na czarną godzinę.

¹¹⁸ Josef Maria de Smet (1916–1996), historyk Kościoła, wykładowca na Katolickim Uniwersytecie w Lowanium. Od 1956 profesor zwyczajny. Inicjator i twórca TP KUL w Belgii w 1980.

¹¹⁹ Roger Aubert (1914–2009), ksiądz belgijski, historyk, teolog. Świecenia kapłańskie 1938. Wybitnie uzdolniony, rozpoczął studia w wieku 15 lat. Doktorat 1933. Kanonik katedry św. Rumbolda w Mechelen. Profesor w seminarium w Mechelen 1944–1952. Wykładowca i profesor na KU Leuven od 1952. Członek Królewskiej Akademii Nauk w Belgii od 1968. Członek British Academy od 1980.

¹²⁰ Jean-François Gilmont (ur. 1934), historyk belgijski. Autor wielu prac naukowych z zakresu historii Kościoła, szczególnie na terenie dzisiejszej Belgii i Francji. Doktorat 1977. Wykładowca na KU Leuven od 1968. Członek Królewskiej Akademii Nauk w Belgii od 2004.

Jakże żałowałem później owej kiełbasy i to wcale nie z racji oszczędnościowych – belgijskie wyroby masarskie były po prostu niejadalne. Jeden z kolegów, bodajże ks. Jan Kracik¹²¹, który mieszkał w tym samym domu, przyniósł mi z apteki jakąś maść i dwa bandaże elastyczne. Cena była tak potworna, że postanowiłem jadać obiad co drugi dzień. Prawie tak się stało, obiady w stołówce także bowiem nie nadawały się do konsumpcji. Po tygodniu kuchciłem sam.

W związku z tym stołowaniem się we własnym zakresie miałem kilka zabawnych przygód. Oto jedna z nich. Poszedłem, chyba trzeciego dnia pobytu w Lowanium, do takiego większego sklepu samoobsługowego – rzeczy w Polsce wówczas nieznanej – i chciałem zaopatrzyć się w możliwie tanie i łatwe do przechowywania artykuły spożywcze. Miałem już sporo w koszyku i zbliżałem się do kasy. Po drodze zauważyłem na półce konserwy o bardzo kolorowej obwolucie. Bez namyślania się włożyłem dwie lub trzy do koszyka. Zmierzałem już do kasy, ale była spora kolejka, więc zacząłem czytać napisy na puszkach. Okazało się, że była to karma dla psów. Wycofałem się i odniosłem na półkę. Po powrocie do kwatery pośpieszyłem zaraz do sąsiada, włoskiego kapucyna, ogromnie sympatycznego kolegi, by mu opowiedzieć o mej przygodzie. Eugenio wysłuchał mnie i z całym spokojem oświadczył, że śmiało mogłem te konserwy wziąć, bo są dobre.

– Tu psa byle czym nie karmią. Zapytaj zresztą Jeana, sympatycznego chłopca z Afryki, mieszkającego na tym samym piętrze co my. To ten, który opowiada nam w kuchni, jak powrocie do domu zostanie zaraz ministrem czy kimś podobnym, bo po to wysłano go tu na ekonomię.

Rzeczywiście spytałem go, co sądzi o tych psich konserwach. Odpowiedział:

– *Oui, ça va*¹²².

Muszę wyznać, że na tym Zachodzie, u nas strasznie szkalowanym przez Gomułkę, wszystko wydawało mi się tak inne niż u nas w Polsce, że wywoływało to pewne onieśmienie. Kiedyś znalazłem się w bardzo międzynarodowym towarzystwie, gdzie opowiadano sobie dowcipy, a niekiedy prawdziwe zdarzenia. Bardziej śmieszne, choć zależy dla kogo. Pewien Hiszpan opowiadał, że delegacja

¹²¹ Jan Kracik (1941–2014), ksiądz archidiecezji krakowskiej, historyk. Święcenia kapłańskie 1965. Wikariusz w parafii św. Floriana w Żywcu-Zabłociu 1965–1967. Absolwent KUL. Doktorat 1972, habilitacja 1979, profesor nadzwyczajny 1990, profesor zwyczajny 1998. Wykładowca historii Kościoła na Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie (późniejszy PAT i od 2010 UPJPII) od 1973. Współpracownik „Tygodnika Powszechnego” i „Znaku”.

¹²² Fr. Tak, w porządku.

polskich architektów obecna na sympozjum nie potrafiła poradzić sobie w hotelu z urządzeniami łazienkowymi. I oczywiście pytanie do mnie:

– Czy u was są łazienki?

– Nie, u nas przed domami stoją beczki i tam ludzie się kąpią, a co do innych spraw, to też sobie radzą – odparłem.

Już do końca spotkania o nic mnie nie pytano. Chciałem jednak i ja rzec coś dobrego o własnym kraju. Cóż z tego, że pod władzą komunistów? Czytałem w jakimś biuletynie, że Stany Zjednoczone kupują u nas obrabiarki. Tę nowinę triumfalnie objawiłem. Wtedy odezwał się Włoch pracujący w EWG i wyjaśnił mi, że owszem, to prawda, ale Amerykanie kupują te obrabiarki, zresztą przed II wojną światową u nich produkowane, i dostarczają je w ramach pomocy gospodarczej do jakiegoś kraju mało rozwiniętego, w Afryce czy Azji, już dziś nie pomnę. Chcąc mnie chyba pocieszyć, dodał, że taki, a nie inny typ obrabiarek został w Polsce zamówiony specjalnie, innego bowiem w słabo technicznie rozwiniętym kraju nie można by użyć. Już się nie odzywałem w podobnych sprawach.

Moje nadzieje na spotkania z Polonią spełniły się wkrótce po przybyciu na miejsce. Zaproszono mnie na północ, do Flandrii, do miejscowości górniczej, której nazwa jakoś umknęła mi z pamięci. Przyjęcie było serdeczne. W niedzielę w kaplicy szpitalnej zebrała się spora liczba Polaków. Ksiądz, zazwyczaj dojeżdżający na niedzielne nabożeństwa, był akurat nieobecny, byłem zatem potrzebny. Później się okazało, że jemu osobiście nie byłem nazbyt potrzebny, ale to już inna sprawa.

W sobotę zaproszono mnie do szkoły sobotniej – szkoły języka i kultury polskiej. Byłem bardzo zaskoczony. Mapy, wszelkie pomoce, a przede wszystkim same treści przekazywane dzieciom – wszystko to odnosiło się wprawdzie do Polski, ale przedwojennej. Jak gdyby czas się zatrzymał na 1939 r. Najgorsze było to, że dzieci poznawały granice Polski, jakich już od 1944 r. nie było. Zrobiłem uwagę nauczycielce, ta jednak odparła, że nie może uzyskać żadnych aktualnych pomocy naukowych, nawet mapy Polski. Spytałem, czy ambasada o to nie zadbała. Odpowiedź była wymijająca. Niewiele myśląc, zatelefonowałem do radcy kulturalnego w Brukseli. Wyjaśnił mi, że usiłowali kilkakrotnie posyłać pomoce szkolne, książki itd., ale zawsze odmówiono ich przyjęcia. Obiecałem, że sprawdzę to w czasie następnej bytności wśród Polonii.

Okazało się, że faktycznie ambasada usiłowała docierać do ośrodków polonijnych i oferowała różnego rodzaju pomoce, ale w zamian za bliższe kontakty

w postaci spotkań z prelegentami czy w ogóle za nawiązanie stałej łączności, co w sumie odbierano jako próbę indoktrynacji politycznej. Ewentualną współpracę rząd belgijski mógłby uznać za niewskazaną. Dla Polaków żyjących na emigracji kontakty z władzami PRL były więc w pewnym sensie niebezpieczne, czego do końca nie rozumiałem. Kiedy mi to wyjaśniono, zaniechałem dalszych starań o aktualne mapy Polski, bo w końcu głównie o to chodziło. Może się wydawać dziwne, że za granicą były one w handlu trudno osiągalne, ale tak było. Chodziło zasadniczo o mapy ściennie.

Moja naiwność zaznaczyła się także na płaszczyźnie kościelnej. Ponieważ w czasie odwiedzin wspólnot polonijnych nasłuchiwałem się różnych skarg na – delikatnie mówiąc – kulejącą opiekę religijną ze strony duszpasterzy polonijnych, sądziłem, że należy o tym porozmawiać w Polskiej Misji Katolickiej w Brukseli, prowadzonej przez pewne zgromadzenie zakonne, mniejsza o to jakie. Kolega, członek tego zgromadzenia, odradzał mi ten kontakt, ale uparłem się i dotarłem w Brukseli do willi położonej w bocznej uliczce.

Zadzwoniłem do furtki. Długo nikt nie odpowiadał. Wreszcie przez domofon zapytano, kim jestem. Przedstawiłem się. Dłuższą chwilę panowała cisza, po czym bez słowa ktoś włączył automat otwierający furtkę i drzwi wejściowe. Za nimi bezpośrednio wznosiły się schody prowadzące na piętro. U ich wierzchołku stał mężczyzna, prawdopodobnie jeden z zakonników, i spoglądał z wyżyn na uciążliwego petenta. Spytałem o przełożonego misji. Odpowiedział, że intencji mszalnych nie ma. Bez słowa odwróciłem się na pięcie i wyszedłem z domu. Nikt mnie nie zatrzymywał. Nikt nie zapytał, po co właściwie przyszedłem. Było to przeżycie, którego nie zapomnę. Przebywając później w różnych krajach, nigdy nie zaglądałem do Polskich Misji Katolickich.

Nie byłem już także w żadnej miejscowości, gdzie mieszkwały większe grupy Polaków, choć z wieloma rodzinami utrzymywałem kontakty przez długie lata. Do Lowanium już po raz drugi nie pojechałem. Było to miejsce wakacyjne różnych uprzywilejowanych osób na KUL. Na to nie reflektowałem i wakacje zawsze spędzałem w tej samej parafii w archidiecezji gnieźnieńskiej, gdzie proboszczem był mój przyjaciel, ks. Jerzy Mrugasiewicz. Była to Winnagóra, dawny majątek i miejsce wiecznego spoczynku gen. Jana Henryka Dąbrowskiego¹²³.

¹²³ Jan Henryk Dąbrowski (1755–1818), generał. Uczestnik insurekcji kościuszkowskiej. Twórca Legionów Polskich we Włoszech. Inicjator powstania wielkopolskiego 1806. Generał Jazdy Królestwa Polskiego w 1815.

W Lowanium opadły ze mnie różnego rodzaju złudzenia. Ksiądz Marian Rechowicz, były rektor KUL, a wówczas dyrektor Instytutu Historii Kościoła, prosił mnie, bym złożył wizytę ks. prof. Rogerowi Aubertowi. Wystosował do niego krótki list polecający mnie jako rozmówcę na temat kontaktów instytutu z „Revue d'Histoire Ecclesiastique”¹²⁴. Informacje na temat bieżącej polskiej historiografii kościelnej podawane tam, a sporządzane przez Sekcję Historii na KUL, były jednostronne i całkowicie ignorowały dokonania naszego instytutu. Można było tego łatwo dowiedzieć i uzupełnić zamieszczane w tym piśmie dane na rzeczony temat. Równolegle ze mną przez dwa tygodnie przebywał w Lowanium prof. Zygmunt Sułowski¹²⁵. Skontaktowałem się z nim, chcąc zasięgnąć rady na temat wypełnienia powierzonych mi misji. Profesor Sułowski nie służył z jednoznacznego poradnictwa, a może czuł się skrępowany, jako że należał do środowiska, które informowało „Revue”. Z wypowiedzi jego wynioskowałem jednak, że należy prof. Auberta poinformować zgodnie z życzeniem ks. Rechowicza. Na wszelki wypadek zapytałem jeszcze ks. prof. de Smeta, wielkiego przyjaciela KUL i człowieka kryształowo uczciwego.

Ten zaprosił mnie na dłuższą rozmowę. Jak zwykle najpierw zapalił cygaro i usiadł wygodnie w skórzanym fotelu. Jego opinia była taka, że pójść do prof. Auberta wypada, choćby po to, by mu złożyć wizytę. Co do materii, jaką miałem w rozmowie z nim poruszyć, prof. de Smet był raczej pesymistą. Aubert, jak sądził, chce iść po linii najmniejszego oporu, a nie znając języka polskiego, przyjmuje wszystko, co mu się podsunie.

– Ksiądz Rechowicz – monologował dalej de Smet – powinien znacznie wcześniej zarekomendować osiągnięcia instytutu, a tymczasem dopuścił do opanowania Lowanium przez osoby, które starają się reklamować siebie jako jedyny ośrodek historyczno-kościelny w Polsce, bagatelizując instytut jako amatorszczyznę.

Wymienił kilka nazwisk, które tu opuszczę. Każdy, kto choć trochę zna ówczesne dzieje KUL, dobrze wie, o kogo chodzi, dla innych sprawa jest bez znaczenia. Muszę powiedzieć, że się tego nie spodziewałem. Jakakolwiek myśl o tym, że można w sposób kłamliwy przedstawiać własne środowisko i rozpowszechniać

¹²⁴ „Journal Revue d'Histoire Ecclesiastique” – międzynarodowe czasopismo naukowe (kwartalnik) wydawane przez KU Leuven, specjalizujące się w historii chrześcijaństwa.

¹²⁵ Zygmunt Sułowski (1922–1995), historyk i socjolog. Absolwent UJ. Pracownik naukowy KUL od 1952. Doktorat 1953, na stanowisku docenta w 1953, profesor nadzwyczajny 1969, profesor zwyczajny 1986. Kierownik Katedry Dziejów Średniowiecznych i Nauk Pomocniczych Historii od 1962 (po jej podziale kierownik Katedry Metodologii i Nauk Pomocniczych Historii). Prodziekan Wydziału Nauk Humanistycznych 1957–1959 i 1966–1968, dziekan 1964–1971. Autor ponad 200 publikacji naukowych. Przeszedł na emeryturę w 1990.

taki obraz w świecie, była mi nie tylko obca, ale wprost wstrętna. Od tego czasu moje kontakty z Sekcją Historii na Wydziale Humanistycznym KUL ograniczały się wyłącznie do kontaktów personalnych, miałem tam bowiem wypróbowanych przyjaciół, niemających nic wspólnego ze sprawami, o których wyżej najogólniej wspominam.

Do ks. Auberta udałem się bezpośrednio po rozmowie z ks. de Smetem. Wszystko odbyło się tak, jak ten ostatni przepowiedział. Aubert zapoznał się z listem ks. Rechowicza i moim pisemnym referatem na temat dokonania instytutu. Pokiwał głową i rzekł:

– Być może tak jest, jak to panowie przedstawiacie, ale dla mnie ważne jest, bym z jednego źródła uzyskiwał dane do czasopisma, które wydaję. *S'il n'en est pas vrai, tant pire*¹²⁶. – Dodał następnie: – Nie dla mnie, ale dla was gorzej.

Godzinna rozmowa uświadomiła mi jedno: świat, do którego wielu Polaków łąsiło się niemalże na kolanach, nie rozumiał nas i nie chciał zrozumieć, a największe głupstwo napisane w języku kongresowym bardziej ceniono niż arcydzieło wydane po polsku. Była to dla mnie ważna lekcja, z jednej strony zdałem sobie sprawę z tego, że przyjmowanie z bezkrytycznym zachwytem wszystkiego, co zachodnie, jest pętaniem naszych własnych inicjatyw, którym sami nie dowierzamy. Z drugiej – zrozumiałem, że profesor ze słowiańskiego kraju, który nie zna choćby trzech języków zachodnich, nie ma prawa głosu, choćby był geniuszem. Nie znałem wówczas angielskiego, sądziłem, że francuski i niemiecki wystarczą. Angielski jednak był wytrychem, podczas gdy te dwa zaledwie kluczykami. Podjąłem wtedy postanowienie nauczania się angielskiego. Udało się, choć wymagało sporo trudu.

Na zawsze utkwіło mi w pamięci moje, a właściwie nasze, bo i ks. Jana Kracka, spotkanie z ks. abp. Bolesławem Sloskāns¹²⁷. Hierarcha ten, aresztowany przez bolszewików w czasie rewolucji 1917 r., został skazany na śmierć i następnie, bodajże w 1923 r., wymieniony przez Polskę czy może Łotwę, gdyż był Łotyszem, za jakichś komunistów. Trudno mi teraz przypomnieć sobie, kiedy wyjechał za granicę. Od wielu lat przebywał w Lowanium, gdzie mieszkał w tym samym opactwie benedyktyńskim, w którym i ja wtedy przebywałem. Zauważyłem

¹²⁶ Fr. Jeśli nie jest to zgodne z prawdą, tym gorzej.

¹²⁷ Boļeslavs Sloskāns (1893–1981), ksiądz łotewski. Świecenia kapłańskie 1917. Administrator diecezji mohylewskiej i mińskiej od 1926. W 1930 aresztowany przez Sowietów i zesłany na Syberię. Zwolniony w 1933. W latach 1933–1944 mieszkał na Litwie, od 1944 w Belgii. Wizytator apostolski dla katolików białoruskich od 1952. Sługa Boży. W 2000 rozpoczął się jego proces beatyfikacyjny.

wkrótce po przyjeździe, że co jakiś czas z Mont César w kierunku miasta schodzi wysoki, szczupły ksiądz, zawsze w sutannie z małą teczką w ręce. Zapytałem z ciekawości, kto to jest. Furtian powiedział, że abp Sloskāns. Kojarzyłem go z abp. Cieplakiem¹²⁸, także ongiś wymienionym więźniem bolszewickim.

Postanowiliśmy z kolegą poprosić go o rozmowę. Zagadnięty, spojrzał początkowo nieufnie i widać było, że pragnie krótko odmówić. Zapytał jednak, skąd jesteśmy i co tu robimy. Kiedy usłyszał, że z Polski, z Krakowa oraz z Gniezna i Lublina, wyraźnie się ożywił i obiecał zawiadomić nas, gdy będzie gotów na rozmowę. Za kilka dni zaprosił nas do siebie. Mieszkał w starej części budynku, ale małe mieszkanie miał pięknie urządzone antykami, było w nim sporo książek w różnych językach. Okazało się, że pięknie mówi po polsku. Spytany, skąd ta znajomość, wyjaśnił, że w Rosji katolikami byli przeważnie Polacy, a wśród nich pracował. Sam był Łotyszem. Chcieliśmy, by nam coś opowiedział o swych perypetiach z bolszewikami, ale okazało się to w sumie dość banalne, co sam zresztą podkreślał. Miał nadzieję, że Rzym go jakoś wykorzysta. Nie mówił o tym wyrażnie, ale całe jego zachowanie znamionowało gorycz i zawód. Zdawać się mogło, że bardzo go interesowało to, co robimy, jak również sytuacja Kościoła w krajach komunistycznych. Spodziewaliśmy się jeszcze jednego zaproszenia, ale nie nastąpiło. Arcybiskup Sloskāns był imponującą postacią, niezwykle opanowany, oszczędny w słowach, a zarazem odnosiło się wrażenie, że sporo wie. Chyba wiele czytał, o czym zresztą świadczył pokaźny księgozbiór. O sobie mówił, że zamiast wielkich i trudnych zadań spotkało go nieróbstwo i przykra myśl, że jest komuś ciężarem. Usiłowaliśmy zaprzeczać, ale uśmiechnął się tylko i powiedział, że jakoś radzi sobie bez pociechy czy coś w tym rodzaju.

Po raz pierwszy spotkałem człowieka o tak wysokiej randze w hierarchii, całkowicie wyłączonego z życia. Mówiono mi później, że udzielał się w duszpaSTERSTWIE. Odniosłem jednak wrażenie, że się czegoś obawiał. Był bardzo czujny. A może podejrzewał, że byliśmy nasłani przez komunistów. Po tym spotkaniu wyraźnie nas unikał. Ponieważ ostatnie dwa tygodnie pobytu mieszkalem na tym

¹²⁸ Jan Feliks Cieplak (1857–1926), ksiądz diecezji kieleckiej. Świecenia kapłańskie 1881. Doktor teologii 1901. Biskup pomocniczy mohylewski od 1908, administrator diecezji mohylewskiej od 1914. Represjonowany przez władze carskie, a następnie sowieckie. Arcybiskup tytularny od 1919. Aresztowany przez Sowietów w 1920 i 1922. W 1923 skazany w procesie pokazowym na karę śmierci. Pod naciskiem władz polskich i międzynarodowej opinii publicznej wyrok zmieniono na 10 lat więzienia. W 1924 wydany ze Związku Sowieckiego. W 1925 otrzymał nominację na arcybiskupa wileńskiego. Nie zdążył jednak objąć urzędu przed śmiercią. Sługa Boży. Od 1952 toczy się jego proces beatyfikacyjny.

samym piętrze i w tym samym skrzydle co on, zauważyłem kiedyś, wychodząc z pokoju, że drzwi do jego mieszkania, już otwarte, jak gdyby miał wychodzić, nagle się zamknęły.

O systematycznej pracy naukowej w czasie pobytu w Lowanium właściwie nie mogło być mowy. Przede wszystkim był to pobyt w sumie zaledwie sześciotygodniowy. Poza tym materiały z zakresu moich zainteresowań znajdowały się w archiwach, głównie w Brukseli. Musiałbym się tam zatrzymać. Ze stypendium, jakie otrzymywałem (w sumie niecałe 400 dolarów), nie mogłem o tym marzyć. Chciałem wykorzystać wyjazd zagraniczny dla przetarcia sobie ścieżek na przyszłość. Paryż i Rzym stanowiły może bardziej atrakcyjny cel niż Lowanium.

Postanowiłem bliżej zapoznać się z zawartością czasopism historycznych ukazujących się w krajach zachodnich, a także z literaturą reglamentowaną w Polsce jako cimelia. Takie działy w bibliotekach naukowych wówczas istniały, a korzystanie z nich było uzależnione od wielu zezwoleń i obwarowane warunkami, zwłaszcza gdy chodzi o cytowanie.

Biblioteka Uniwersytecka w Lowanium była właśnie w trakcie podziału, otwarto bowiem frankofoński uniwersytet w Louvain la Neuve i tam też przenoszono część zbiorów bibliotecznych. Dotarcie do niektórych tytułów było utrudnione, ale moja znajomość niemieckiego i jakieś – mętne, co prawda, ale jednak – wiadomości na temat Górnika Zabrze utorowały mi drogę do niejednej książki oraz kserokopiarki. Wówczas były to maszyny skomplikowane w obsłudze i często niesprawne. Oczywiście używanie ich kosztowało w zależności od jakości świadczonych usług. Zanim zdobyłem wiedzę na ten temat, zrobiłem wiele nieczytelnych kopii. Muszę przyznać, że pracując codziennie, zebrałem sporo materiału. Myślałem wówczas o jakimś podręczniku historii Kościoła. Mało z tamtejszych wypisów później wykorzystałem, choć ogólnie trzeba stwierdzić, że warto było się trudzić. Przede wszystkim dawało to duże doświadczenie w korzystaniu z różnych zbiorów, a następnie było pomocne w przygotowywaniu wykładów.

Szczerze muszę wyznać, że kwerendę biblioteczną prowadziłem, ponieważ zobowiązywało mnie do tego stypendium. O wiele więcej dało mi poznawanie życia na zachodzie, a przede wszystkim posoborowego Kościoła. Czasem trudno było w ogóle się zorientować, czy jakaś *réunion*¹²⁹ odbywana w kościele jest jeszcze katolicka czy też ekumeniczna. Często msza św. była dodatkiem do takiej

¹²⁹ Fr. spotkanie.

imprezy. Celebrans siedział na ławce pośród innych uczestników, dobrze jeśli w stule, bywało jednak, że w przybrudzonym swetrze lub wiatrówce. Niby to była Eucharystia, ale nic z tradycji kościelnej w niej nie było. Zapytanie o zasady liturgiczne budziło wielkie zdziwienie i zaraz następowało pytanie:

– Skąd ksiądz przybył?

– Z Polski.

Jeśli w rozmowie uczestniczyło kilka osób, spoglądały po sobie znacząco i w najlepszym razie wypowiadały zdawkowe:

– *A oui*¹³⁰.

Raz jeden w Amsterdamie po mszy św. u dominikanów serwowano pod chórem kawę, ciastka i palono tytoń, jakiś pan częstował mnie cygarem. Kiedy podziękowałem, zaznaczając, że to nie jest miejsce stosowne do palenia cygar, odpowiedział mi, że w domu ojca wolno dzieciom czynić, co im się podoba. Zaop nowałem. Stwierdziłem, że przecież ojciec może od dzieci wymagać szacunku. On na to:

– Wy w Polsce boicie się Boga niby policjanta, ale wcale Go nie szanujecie.

Trochę prawdy w tym było, ale pomyślałem, że lepiej już się bać, niż robić z Boga farsę, a tak było w opisanym wypadku.

W jakiejś dyskusji mocno zaatakowano prymasa Wyszyńskiego. Było na sali kilku Polaków, ale nikt się nie odezwał. To byli ludzie zachłyśnięci nowościami zachodnimi i całkowicie wobec nich bezkrytyczni. Zwłaszcza kilka pań, które oszczędzę i nie wymienię nazwisk, bo jeszcze i teraz są aktywne w mediach, biegają po różnych zebraniach jak gdyby w jakimś paroksyzmie owocującym potrzebą nieustannego dyskutowania i pomysłami obrazoburczymi, w ich mniemaniu torującymi reformę Kościoła w Polsce. Którejś z tych dam zwróciłem uwagę na czerwone gwiazdy, młoty i sierpy – inicjały RAF¹³¹ wymalowane na murach budynków uniwersyteckich. Nie zrobiło to wrażenia. Przeciwnie, dowiedziałem się, że należy wyjść z zaścianka i podjąć dyskusję z każdym. Wiadomo, że z tymi europejskimi hunwejbunami¹³² wkrótce podjęli dyskusję policja i prokuratorzy, gdyż hasła zamieniły się w terror. Ludzie, o których tu mowa, próbowali szerzyć taki mit soborowego Kościoła zachodniego w Polsce, jednak nawet część „elit” okazywała tym

¹³⁰ Fr. tak.

¹³¹ Frakcja Czerwonej Armii (RAF) – lewicowa organizacja terrorystyczna działająca na terenie Niemiec, założona przez Andreasa Baadera i Urlikę Meinhof w 1967.

¹³² Tu: przeciwnik polityczny wykorzystujący wszelkie sposoby walki.



Msza św. w kościele w Amsterdamie, 1972 r.

nowinkom nieufność. Ogół wiernych przede wszystkim mało o tym wiedział, a skoro już się dowiadywał, przyjmował na chłopski rozum. Wielu pogardzających tym ludowym, jak by się dziś tu i ówdzie powiedziało populistycznym katolicyzmem i szczyjących się cenzurem wyższego intelektu tego roz-

sądku za grosz nie posiadało. Na szczęście na postać polskiego katolicyzmu nie miało to wpływu i nie ma do dziś, chociaż kilku biskupów polskich przyłączyło się do grona biegających za orkiestrą.

W Amsterdamie po raz pierwszy widziałem opustoszałe kościoły, które stały się schroniskiem dla narkomanów. Tam też zobaczyłem *sex shopy* i domy publiczne, jeden obok drugiego w pięknej dzielnicy, w których towar eksponowany był w oknie wystawowym. Byliśmy w sobotę i w niedzielę w tym mieście – kilku kolegów w międzynarodowym zestawie, nie brakowało nawet hinduskich księży. Jako jedyny okazywałem zdziwienie na widok tych niezwykłości. Chciano mnie jeszcze bardziej zbulwersować i zaprowadzono do drewnianego kościółka, gdzie się odbywały msze św. sprawowane przez żonatych księży. Celebrans był ubrany w wojskową wymiętą bluzę – cały jego strój liturgiczny. Tylko jeden z koncelebrujących jezuitów (nieżonaty) miał na sobie stułę. On jest, jak mi powiedziano bardzo starokatolicki. W ogóle każdy, kto np. zachowywał w piątek post (w dodatku w Wielkim Poście), był tak nazywany. Pamiętam, jak w czasie jednego z obiadów w jakimś kolegium podano w piątek mięso. Obecna tam prof. Małunowicz z KUL zapytała, czy się godzi w katolickim kolegium łamać post. Tłumaczono jej uprzejmie, że trudno dla tak wielu stołowników przygotować postne jedzenie. Obok mnie siedział bardzo znany profesor historii sztuki. Pochylił się do mnie i spytał:

– *Sind sie auch so altkatholisch*¹³³?

¹³³ Niem. Czy ksiądz też jest tak starokatolicki?

Nie byłem, zjedzenie kawałka mięsa w piątek było bowiem niczym w stosunku do zreformowanych rzekomo po soborowemu praktyk katolickich.

Przyznam, że gdyby nie pobyt w Lowanium, choćby tak krótki, nigdy do końca nie zrozumiałbym postawy prymasa Wyszyńskiego, sterującego rozumnie wprowadzaniem uchwał soboru w życie. Słyszałem wówczas tylko ujemne opinie na jego temat. Najczęściej lekceważące i uszczypliwe. Utwierdzały mnie one w przekonaniu o mądrości tego hierarchy i krótkowzroczności jego zachodnich kolegów. Wówczas także zweryfikowałem jako fałszywą dość rozpowszechnioną opinię, iż to laikat dopuszczony do głosu przez sobór był siłą napędową „reform” soborowych na Zachodzie, niosących ze sobą destrukcję życia kościelnego. Owszem, częściowo motorem tych działań byli świeccy, ale główną siłą napędową stanowili duchowni, podobnie jak część zakonów, zwłaszcza żeńskich. Rozluźnienie reguły zamiast jej uwspółcześnienia to był początek końca wielu wspólnot zakonnych. To samo obserwowałem później w USA.

Nie wszyscy księża gotowi byli wylewać dziecko z kąpielą. Mój sąsiad, wspomniany już o. Eugenio, który każdej niedzieli jeździł z posługą duszpasterską, opowiadał mi o parafiach duszpasterzowanych tradycyjnie i wykazujących żywą religijność. Młodszy księża jednak byli „postępowi”. Biskupi jak gdyby obawiali się bardziej zdecydowanych kroków wstrzymujących żywiołową i faktycznie niszczącą życie religijne reformę, a może byli przekonani, że po chwilowym fermentie katolicyzm się odnowi i okaże się zdolny do objęcia także niewierzących czy agnostyków. Tak wyjaśniał mi tę sprawę ks. de Smet, który raczej podzielał takie zdanie. Nie przekonywało mnie to, zwłaszcza że również dla niektórych polskich księży był to asumpt do praktykowania jakiejś nowej duchowości, ale kończyło się to zazwyczaj małżeństwem, jak wtedy mawiano, przyjęciem także i tego ostatniego sakramentu. Nie postrzegałem tego jako odejścia od Kościoła, bo tym faktycznie



Msza św. w kościele w Amsterdamie, 1972 r.

nie było. W moich oczach ludzie ci zasługiwali na szacunek z racji swej otwartości na potrzeby bliźnich, czego nie można było im odmówić.

Jeszcze jedna rzecz, która mnie tam zdumiewała, to ściany gmachów uniwersyteckich upstrzone czerwonymi gwiazdami, symbolami sowieckimi czy sylwetkami Marksa, Lenina i Che Guevary. Reklama Czerwonych Brygad¹³⁴ królowała wszędzie. W salkach, gdzie odbywały się zebrania takich czy innych grup, aż ociekało posoką rewolucji. Raz czy dwa poszedłem na takie spotkanie. Spytałem zapalonego bolszewika tokującego o wspaniałej wolności człowieka w ZSRR, czy był choćby tylko nad granicą sowiecką. Zdumiony, zaprzeczył.

– Zatem co pan może wiedzieć o tym, o czym pan tu mówi?

– Dużo czytam i nie to, co te kapitalistyczne świny o Związku Sowieckim wypisują, ale w oryginale, co oni tam piszą. To, co tu mówiłem, nie pochodzi z drugiej ręki...

Trudno było dyskutować z taką głupotą. Tym dziwniejsza wydawała się obecność wielu Polaków na takich zebraniach. Niektórzy właściwie nic innego nie robili. W bezkrytycznej propagandzie lewackiej, podjudzającej naiwnych, sfrustrowanych dobrobytem synków i córeczki bogatych rodziców, można było widzieć sygnał startowy dla różnych rebelii studenckich, jakich nie brakowało wówczas na Zachodzie. Swoją drogą, tamtejsze społeczeństwo wykazywało już daleko idące cechy rozkładowe, dzisiaj posunięte do stadium bliskiego końca. Młodzi przeciwko temu protestowali, to rozumiałe, ale zachwalając bolszewizm, dowodzili swej całkowitej bezbronności wobec tego, co ich mogło czekać w przyszłości, za którą tęsknili.

Pierwszy w życiu wyjazd za granicę pozostawia niezatarty ślad, nawet jeśli nic ważnego się nie wydarzyło. Kiedy ma się 41 lat, wszystko inaczej się odbiera, niż gdy jedzie się do obcych krajów w wieku szkolnym lub studenckim. W dodatku władza ludowa potrafiła nakładać ograniczenia nie do pomyślenia w wolnym świecie, np. w stosunku do mnie – zakaz wstępowania do RFN. Na szczęście inne kraje nie były objęte takim embargiem. Wizy francuską i włoską otrzymałem przed wyjazdem w Warszawie. Było to bardzo ważne, staranie się o wizy za granicą budziło u władz bezpieczeństwa podejrzenia. O co, tego nikt nie wiedział, ale indagacjom mogło nie być końca. Wiedziałem o tym i jak ognia unikałem takich ewentualności. Muszę stwierdzić, że nie bez sukcesu, nigdy bowiem, ani przed wyjazdem, ani po powrocie, nie byłem o nic wypytywany.

¹³⁴ Czerwone Brygady – włoska organizacja terrorystyczna działająca w latach 1970–1981.

W drugiej połowie marca wyruszyłem z Brukseli do Paryża. Miałem zamiar zatrzymać się w polskim seminarium duchownym, mieszczącym się wówczas przy rue des Irlandais. Był to gmach dawnego seminarium irlandzkiego, niezbyt nowoczesny, ale wygodny. Rektorem był ks. Antoni Banaszak¹³⁵ z archidiecezji gnieźnieńskiej, dawny więzień Dachau. Ksiądz prymas Wyszyński zaopatrzył mnie w listy polecające do niego i do rektora Kolegium Polskiego w Rzymie, ks. Franciszka Mączyńskiego¹³⁶. Ksiądz prymas powiedział mi, że obaj są zawiadomieni o moim przyjeździe i uczynią dla mnie, co będzie w ich mocy. Po przybyciu do Paryża dojechałem metrem do Quartier Latin, gdzie zgłosiłem się niezwłocznie u ks. Banaszaka. Oświadczył wprost:

– Uczynię dla księdza tylko tyle, ile jest w liście księdza prymasa.

Mogłem wyczuć nieco żartobliwy ton, ale zarazem czuło się, iż na więcej nie trzeba liczyć. Po przeczytaniu listu rzekł:

– Widzę, że Eminencja dla księdza hojny, to i ja taki będę.

Od tej chwili rozmowa toczyła się w bardzo przyjemnej atmosferze. Wypytywał o niektórych księży z archidiecezji gnieźnieńskiej, o moją pracę na KUL. Następnie zaprosił mnie na obiad, po czym wręczył mi pewną liczbę intencji mszalnych i oddał w ręce kochanego ks. Kazika Rembacza¹³⁷, nieco starszego kolegi z seminarium gnieźnieńskiego, który od lat, po studiach socjologii w Institut Catholique w Paryżu, pracował w seminarium polskim. Pomoc Kazia, zawsze gotowego dokąś zawieźć, coś pokazać lub po prostu pogawędzić, była nieoceniona.

Pobyty w Paryżu przeznaczyłem wyłącznie na zwiedzanie. Zresztą nie trwał on długo, bo tylko około dwóch tygodni. Ciekawiła mnie Sorbona, gdzie zupełnie zresztą przypadkowo spotkałem jezuitę o. Jana Marię Szymusiaka, byłego

¹³⁵ Antoni Banaszak (1901–1999), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1927. W czasie drugiej wojny więzień obozów w Dachau i Gusen. Organizator i rektor Polskiego Seminarium Duchownego w Paryżu 1945–1982. Wspomagał Kościół w Polsce, m.in. przekazując książki i podręczniki teologiczne. Z nominacji prymasa Wyszyńskiego delegat ds. misji polskich za granicą. Prałat papieski od 1951. Protonotariusz apostolski od 1961.

¹³⁶ Franciszek Mączyński (1901–1998), ksiądz diecezji włocławskiej. Święcenia kapłańskie 1926. Więzień obozów Sachsenhausen i Dachau; ofiara pseudomedycznych eksperymentów z malarią. Od 1945 we Włoszech. Od 1946 ojciec duchowny w Papieskim Instytucie Polskim i Papieskim Kolegium Polskim w Rzymie. Rektor Papieskiego Instytutu Polskiego 1958–1987. Pracownik Radia Watykańskiego 1947–1958. Służył pomocą prymasowi Wyszyńskiemu, gdyż pośredniczył w przeprowadzaniu różnych spraw w dykasteriach watykańskich. Od 1968 konsultor kongregacji zakonów.

¹³⁷ Kazimierz Rembacz (1927–2002), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1954. Wikariusz w parafii NSPJ w Bydgoszczy 1954–1958. Od 1958 na studiach w Instytucie Polskim w Paryżu, gdzie pozostał następnie jako wykładowca, a później wicerektor 1982–1988. Od 1988 na emeryturze.

docenta patrologii na KUL, u którego zdawałem egzamin. Ciekawa postać, dla władz komunistycznych bardzo niewygodna. Został zmuszony do opuszczenia Polski, o co miał żal do swoich współpracowników, którzy jakoby poświęcili go dla sprawy, jak to się mówi. Bardzo był jednak ciekaw Polski i uniwersytetu, z którym się związał. Wykładał w Paryżu bodajże patrologię czy historię starożytną, względnie prowadził z tych dziedzin seminarium. Nie mówił o tym zbyt jasno. Wyraźnie był przygnębiony. Żał mi go było, bo był to człowiek nietuzinkowy. Może dlatego przeszkadzał innym.

Na Sorbonę poszedłem, by posłuchać prof. Henriego-Iréné Marrou¹³⁸, wybitnego znawcy starożytności, a także autora cennych prac z metodologii historii¹³⁹. Jego studium pt. *Qu'est-ce que l'histoire*, zamieszczone w dziele wydanym przez Encyklopedie de la Pleiade pod redakcją Charles'a Samarana, zatytułowanym *L'Histoire et ses méthodes*, już zdążyłem poznać w Lublinie. Ta ostatnia pozycja, wydana zresztą także w postaci książkowej, była moim pierwszym poważnym wprowadzeniem w metodologię historii. Nie wiem, czy dziś jeszcze ktoś do tego zagląda, ale warto, bo gdyby brano pod uwagę wskazania prof. Marrou, mniej byłoby w historiografii prac nijakich lub wręcz nieważnych. Profesor mówił wtedy o św. Augustynie, podobno był to ulubiony jego temat. Zaraz można było spostrzec, że wykład stanowił zamkniętą całość. Uwagę zwracał sam sposób jego prowadzenia. Profesor miał w krtani metalową rurkę, pozostałość po operacji. Mówiąc, świstał komicznie. W dodatku mówił bardzo szybko i żywo. Pomyślałem, że będą kłopoty ze zrozumieniem. Faktycznie były, ale szybko uchwyciłem sens wykładu i wtedy było już łatwiej. Co chwilę sala przepełniona studentami i osobami w nieco już zawansowanym wieku, a więc z zewnątrz, wybuchała gromkim śmiechem. Profesor stroił komiczne miny i śmiał się z innymi z własnych dowcipów, które miały zresztą ścisły związek z głównym wątkiem. Słuchało się go fantastycznie. Podziw budziły jego erudycja i umiejętność przystępnego przedstawienia tematu. Niestety, nie miałem okazji posłuchać go po raz drugi. Następny wykład był zapowiedziany na dzień, kiedy mnie już w Paryżu miało nie być.

We Francji miałem znacznie więcej przeżyć niż w Belgii. Była całonocna wyprawa autem po Paryżu, którą zafundował nam pewien, o ile pamiętam, student

¹³⁸ Henri Irénée Marrou (1904–1977), historyk francuski, mediewista i metodolog. Badacz późnego antyku. Wykładowca na paryskiej Sorbonie od 1945.

¹³⁹ Wspomnieć należy przede wszystkim o klasycznym dziele: *O poznaniu historycznym* (pierwsze wydanie: 1968, wydanie polskie: 2011).

muzykologii, Polak na stałe mieszkający z rodzicami w RFN. Trudno to opisać, był to bowiem kalejdoskop zmieniających się sytuacji i obrazów, zarówno tych wartych uwagi, jak i tych nieistotnych, marginalnych.

W pierwszym tygodniu mojego pobytu w Paryżu zagadnął mnie ks. Plater (imię mi uleciało) i zapytał, czy bym nie pojechał z nim w sobotę i niedzielę na zastępstwo do francuskiej parafii w pobliżu lotniska Le Bourget, gdzie proboszczem był ksiądz polski, chyba o nazwisku Kuczyński. Prowadził on rekolekcje dla gimnazjalistów polskich w Paryżu, potrzebne zatem było zastępstwo. Była to mała parafia, na której terenie znajdowały się wszakże cztery kościoły i to tak usytuowane, że wszystkie były w zasięgu wzroku. Msze św. mieliśmy odprawić w dwóch kościołach w sobotę i w pozostałych dwóch w niedzielę. Pierwszy raz miałem mówić kazanie po francusku, więc trochę się denerwowałem. Plebania księdza – byłego żołnierza armii Andersa – była tak uboga, że trudno było sobie wyobrazić, jak on w ogóle mógł tam żyć. Pomyślałem, że w kościele będzie kilka starych kobiet. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zastałem kościółek pełen ludzi. Na przodzie stała cała rodzina, jak się okazało, miejscowego ziemianina. Dzieci także blisko ołtarza i nawa pełna ludzi.

Po mszy św. do zakrystii przyszło kilku parafian z zapytaniem, gdzie jest proboszcz. Wyjaśniłem, czym jest zajęty. Uspokoili się. Jeden z nich jednak powiedział:

– Słyszeliśmy, że chcą go zabrać gdzieś do Nordu. Nic z tego, tu zostanie i koniec.

W niedzielę powtórzyło się to samo w innym kościółku. Kiedy zachwycąłem się religijnością Francuzów, bo faktycznie na około 120 mieszkańców wsi w kościele było prawie 90 osób, wyjaśniono mi, że w innych parafiach jest źle, prawie nikt nie uczęszcza do kościoła. Proboszcz, o którym mowa, był w parafii od przeszło dwudziestu lat. Przez pierwsze siedem lat miał kilka osób na niedzielnej mszy św. Jednakże w konfesjonale spędzał każdego ranka około dwóch godzin. W końcu ludzie zaczęli zaglądać, co on tam robi. Odpowiadał:

– Czekam na was.

Powoli zaczęli przychodzić; w dzień powszedni trochę kobiet i dzieci, w niedzielę coraz więcej. Najtrudniej było przywabić do kościoła mężczyzn, którzy w czasie mszy św. rozprawiali przed kościołem, do którego „nie wypadało” wchodzić, bo to domena kobiet i dzieci. Teraz sami się śmiali ze swoich dawnych przesądów.

– *Notre curé, voila c'est ça!*¹⁴⁰

¹⁴⁰ Fr. Nasz proboszcz to ho, ho!

Mimo to okradziono go kilka razy, choć zastanawiałem się, co można było w tym ubóstwie ukraść. A jednak zawsze coś się znajdzie. Sam proboszcz mniej entuzjastycznie oceniał swą parafię.

– Jeszcze wiele im brak – mawiał. – Ileż to czasu sam musiałem łątać kościoły, nim wyjęli ręce z kieszeni i wzięli się pomagać.

Ale kościółki, w przeciwieństwie do zaniedbanych gdzie indziej, były w doskonałym stanie.

Dwa tygodnie minęły jak z bicia trzask i 1 kwietnia przyszło pojechać do Rzymu. Przy okazji poznałem biurokrację włoską, przy której komunistyczna mogła się wydawać liberalnym bałaganem. Koledzy w Paryżu oświecili mnie, że podróż do Rzymu koleją przez Ventimille jest o wiele droższa niż przez Chiasso. Cóż jednak zrobić, kiedy w wizie miałem wyraźnie napisane – Ventimille. Poszedłem do konsulatu włoskiego, by to zmienić. Ksiądz Banaszak nie chciał dać mi żadnej rekomendacji, ale zgodził się dać kopertę z nadrukiem Polskiego Seminarium w Paryżu. Tak uzbrojony, poszedłem z kolegą, ks. Jurkiem Bagrowiczem¹⁴¹, do konsulatu. Najpierw skierowałem się do małego boksu, w którym siedział groźnie wyglądający urzędnik. Przerwał mi w pół słowa, pokiwał przecząco ręką i oznajmił, że tego załatwić nie można. Zapytałem:

– Dlaczego?

– Bo to jest poważna kwestia dyplomatyczna.

Myślałem, że się przesłyszałem albo że coś nie tak z językiem. On jednak powtórzył to jeszcze raz i oświadczył, że przeszkadzam mu w pracy, po czym wziął się do drugiego śniadania. Jurek doradził, bym poszedł na piętro do konsula. Prowadziły tam szerokie pałacowe schody, a na nich królował ubrany jak marszałek napoleoński potężny portier. Wziąłem moją kopertę w prawą rękę, unosząc ją znacząco w górę, z nonszalancką miną ruszyłem na schody. Usłyszałem za sobą:

– Dokąd?

Podsunałem mu kopertę pod sam nos – tak, że nie mógł przeczytać – i powiedziałem:

– Od kardynała do konsula.

¹⁴¹ Jerzy Bagrowicz (ur. 1938), ksiądz diecezji włocławskiej, teolog. Świecenia kapłańskie 1962. Wika-
riusz w parafii w Sieradzu 1962–1964, Stawiszynie 1964–1965. Doktorat 1970, habilitacja 1993, pro-
fesor nadzwyczajny 1996, profesor zwyczajny 2001. Członek redakcji „Ateneum Kapłańskiego” od
1975, redaktor naczelny 1978–1997. Kapelan Jego Świątobliwości od 1989.

Portier chwilę się zawahał, a w tym czasie ja byłem już w foyer na pierwszym piętrze. Na prawo widzę tabliczkę: *Il console, dottoressa*¹⁴² taka i taka. Wchodzę śmiało i zastaję przy biurku młodą, piękną damę. Czyżby to była ta *dottoressa*? Tłumaczę szybko, że przychodzę od kardynała z Warszawy, który polecił mi jechać do Rzymu przez Chiasso, a w wizie przez omyłkę napisano Ventimille. Dziwię się, że takie są porządki, i jeszcze dziś zadzwonię do kardynała, by interweniował. Owa dama okazała się konsulem i w dodatku czarującą osobą. Zaproponowała kawę, porozmawialiśmy, ale co do zmiany punktu granicznego to nic zrobić nie może, bo decyduje ministerstwo spraw zagranicznych w Rzymie.

– Oczywiście – zgodziłem się – to trudna sprawa, ale powiedziano mi, że tylko pani może to załatwić.

– Tak, to prawda, ale muszę zatelefonować do Rzymu. A kto zapłaci za rozmowę?

– Ile to wyniesie?

Była to kwota około dwóch dolarów. Ułożyliśmy się tak, że jeśli załatwi, ja zapłacę, jeśli nie, koszty bierze na siebie konsulat. Połączenie uzyskała w kilka sekund. Rozmawiała przez pewien czas, zrozumiałem tylko słowa: *cardinale* i *prete polacco*¹⁴³. Po odłożeniu słuchawki uśmiechnęła się, wzięła mój paszport i wpisała zamiast Ventimille – Chiasso. O zapłacie nie było mowy. Wypiłem jeszcze jedną kawę i gdy już miałem wyjść, bo kolega czekał na mnie w holu, ona spytała:

– Proszę mi wyjaśnić, o co właściwie chodziło?

– O tańszy bilet.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Dobrze się domyśliłam. *Bon voyage* i do widzenia.

Odetchnąłem z ulgą, bo cena biletu była znacznie niższa, a oszczędzałem każdy grosz.

Tak więc 1 kwietnia opuściłem Paryż i nocnym pociągami przez Metz i dalej przez Szwajcarię, Chiasso udałem się do Rzymu. Miałem przesiadkę w Metzu. Konduktor na moją prośbę zamknął mnie w przedziale, w którym byłem sam, mogłem więc spać. Na żadnej granicy, ani szwajcarskiej, ani włoskiej, nie obudzono mnie, by sprawdzić paszport. Konduktor wyznał mi później, że poprosił o niebudzenie mnie, bo jestem bardzo zmęczony. Trudno mi było zrozumieć to wszystko, zwłaszcza

¹⁴² Wł. Jej Ekscelencja konsul.

¹⁴³ Wł. kardynał i polski ksiądz.

że jadąc przez Berlin Wschodni, byłem świadkiem, jak strażnicy przeszukiwali każdy przedział, nawet pusty, za pomocą specjalnych przyrządów.

Dopiero na terenie Włoch obudziło mnie walenie w drzwi przedziału. Na korytarzu stało sporo osób, całe rodziny z dziećmi. Powiedziałem, że wprawdzie to mój przedział, ale ich wpuszczę, bo jestem ludzki. Bardzo mi dziękowali. Mężczyzna, który usiadł naprzeciwko mnie, zaraz rozpoczął rozmowę. Ma sklepik w Rzymie, ale dorabia we Francji, bo ci brudni kapitaliści we Włoszech, których popiera papież, biednemu wszystko zabiorą. Dodał, że największym nieszczęściem dla Włoch i w ogóle jest papież. Spytałem, ile Włochy tracą na tym, że w Rzymie jest papieństwo. Zastanowił się i przyznał, że na tym się zarabia, ale on o to nie dba, bo jest z zasady antypapieski. Spytałem, czy jest komunistą. Zaprzeczył. Komuniści to tacy sami złodzieje jak duchowni. Spytałem, czy mu już coś ukradli, a on na to, że stale usiłują to zrobić, chcą mu bowiem zabrać jego wolność. Zapytałem, czy jest ateistą.

– O nie, tylko nie to. Ale Bóg jest tu. – I wskazał na pierś. – A nie tam. – Palec powędrował w górę.

– A może jest wszechobecny? – zapytałem.

On na to, że być może, ale go to nie interesuje.

– A w ogóle to czemu pan tyle o tym wszystkim mówi?

– Bo jestem księdzem z Polski.

– Ach, teraz już wiem, dlaczego tak bronicie papieża, to wasza specjalność.

Mimo to lubi Polaków, bo nie są tak głupi jak inni i pokazują komunistom, gdzie ich mają. Wymowny gest. Dla okazania swej sympatii w Mediolanie na stacji kupił mi sandwicza i butelkę coli. Wtedy po raz pierwszy piłem ten napój, ale nigdy w nim nie zagustowałem. Do Rzymu dojechaliśmy w dobrej komitywie, wybaczył mi moją sympatię dla papieża, choć ma też znajomego księdza, który za papieżem nie przepada.

Po wyjściu ze stacji Termini pokazał mi jeszcze, jak dotrzeć w pobliże Watykanu i tyleśmy się widzieli. Po raz pierwszy od wyjazdu z Polski doświadczyłem takiej konwersacji w pociągu. W czasie jazdy do Belgii od Hanoweru siedziałem w przedziale z jakimś Amerykaninem i bodajże Irakijczykiem. Była to dziwna para, która – jak się później zorientowałem – paliła „trawkę”. Nie znając angielskiego, nie mogłem z nimi rozmawiać, z proponowanej mi „trawki” nie skorzystałem. Od dymu bolała mnie przez pewien czas głowa. Amerykanin był potężnym chłopiskiem, jego towarzysz filigranowy, zwinny jak wąż. To on jednak o wszystkim decydował.

Choć kiedy raz wyszedł do toalety, Amerykanin spojrzał na mnie, pokazał na drzwi i popukał się w głowę. Wyszedli w Kolonii. Dalej jechałem już sam.

W Rzymie w kolegium przy *via Pietro Cavallini* przyjęcie było podobne do paryskiego. List prymasa, jakieś intencje mszalne, objaśnienie porządku domowego i oferta pomocy w sytuacjach nieprzewidzianych. Musiałem zagospodarować czas do 16 kwietnia, kiedy to miałem powrócić do kraju.

Moja sytuacja, podobnie jak w Paryżu, była bardzo wygodna dzięki studiującym wówczas w Rzymie kolegom, których zastałem w kolegium. Ksiądz Jerzy Stefański¹⁴⁴, także ksiądz gnieźnieński, wiele mi o Rzymie opowiadał. Doradzał, co w tak krótkim czasie należy koniecznie zobaczyć, a raz zaprosił na kolację do jakiejś knajpki na Zatybrzu, reklamującej się niedawno tu ponoć rozegranym melodramatem. Zazdrosny narzeczony miał jakoby strzelić do swej wybranki, a następnie uciekł na motocyklu. Dramat w końcu okazał się bezkrwawy. Do stołu podawano dopiero około godz. 22.00, mieliśmy więc czas przy aperitifie posłuchać tej rzewnej sagi.

Oprócz zwiedzania, z konieczności dość powierzchownego, zobaczenia Pawła VI niesionego na salę Nerviego na *sedia gestatoria*¹⁴⁵, pokręcenia się po sklepikach z dewocjonaliami, a nadto jednego wyjazdu poza Rzym, do Monte Cassino i Neapolu, chciałem porozglądać się w Archiwum Watykańskim. Na poważną kwerendę nie było czasu, ale jakieś źródła sobie wynotowałem. Ciekawe były moje spotkania z jezuitą ks. Hieronimem Fokcińskim¹⁴⁶, kierującym wówczas Istituto degli Studi Ecclesiastici przy *via Mecenate* 37. On mi wydeptał ścieżki do archiwum i tak wówczas, jak i później służył w tym względzie wydatną pomocą. Zaprzyjaźniliśmy się i kontakt przetrwał przez następne lata.

Pewne materiały rzymskie usiłowałem dostać już wcześniej za pośrednictwem poprzednika ks. Fokcińskiego, ks. Reczka, a także z archiwum zmartwychwstańców w Rzymie. Z uzyskaniem dokumentów, którymi byłem zainteresowany, zwłaszcza

¹⁴⁴ Jerzy Stefański (ur. 1940), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, teolog, liturgik. Świecenia kapłańskie 1965. Doktorat 1974, habilitacja 1988, profesor nadzwyczajny 2002. Wykładowca w WSD w Gnieźnie i na ATK od 1974. Konsultor watykańskiej Kongregacji ds. Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów 1984–1994. Kanonik gremialny Kapituły Prymasowskiej w Gnieźnie od 2010. Kierownik Zakładu Liturgiki i Homiletyki na Wydziale Teologicznym UMK w Toruniu 2003–2011.

¹⁴⁵ Łac. przenośny tron papieski.

¹⁴⁶ Hieronim Fokciński SJ (1937–2018), historyk i filozof. Do zakonu wstąpił 1954. Świecenia kapłańskie 1964. Od 1971 kierownik Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie. Doktorat 1978. Od 1992 relator Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych. W 2013 otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

z Kongregacji dla Spraw Nadzwyczajnych Kościoła, były wielkie kłopoty, moim zdaniem zupełnie nieuzasadnione względami merytorycznymi, ale bezsensowną praktyką, stosowaną nie tylko w Rzymie, ale w ogóle w każdym niemal archiwum kościelnym. Praktyka ta polegała na z góry negatywnej odpowiedzi na wszelkie próby zdobycia źródeł historycznych. Po prostu nie ma. Można było nawet dowieść, że to nieprawda, archiwariusz trwał przy swoim – wiedział, że od jego decyzji nie ma odwołania. Sam tego doświadczyłem i wiem, co znaczy bezsilność wobec takiego *dictum*. Dlatego właśnie pomoc ks. Fokcińskiego czy jego kolegi ks. Gramatowskiego¹⁴⁷ warte są wdzięcznego podkreślenia.

Być we Włoszech i nie pojechać na Monte Cassino to coś więcej, niż być w Rzymie i nie widzieć papieża – kiedyś często się zdarzało, że papież całymi tygodniami był dostępny jedynie dla tych, którzy mieli wstęp do Watykanu. Na Monte Cassino można było dotrzeć pociągiem w ciągu około dwóch godzin. Jechałem w przedziale z pewnym panem, który jak wielu Włochów w tym czasie, dorabiał we Francji. Po podróży byliśmy na tyle zaprzyjaźnieni, że w Cassino na stacji przedstawił mnie całej oczekującej go rodzinie i zaprosił na obiad. Nie skorzystałem z propozycji, spiesząc do klasztoru i na polski cmentarz. Poszedł więc ze mną do taksówkarza i załatwił przejazd za pół ceny, przynajmniej tak się to nazywało. Taksówkarz tłumaczył mi całą drogę, że tylko dla swego kuzyna (mego znajomego) to czyni. Rzeczywiście, wziął śmiesznie mało, chyba pięć dolarów.

Była niedziela, poszedłem więc najpierw do klasztoru, gdzie opadła mnie gromada dzieci w czarnych sutannach – uczniowie znajdującej się tam szkoły. W zakrystii natknąłem się na dwóch ojców czy braci, nie wiem, Niemców. Na moje *dictum*, kim jestem, po skrupulatnym obejrzeniu mojego celebretu, oświadczyli, że mogę mszę św. odprawić, ale za pewien czas, bo teraz wszyscy są zajęci. Ja na to, że odprawię zaraz, bo mam mało czasu, i nie w koncelebrze, tylko sam, i to w kaplicy św. Benedykta. Moja zdecydowana przemowa w języku niemieckim sprawiła, że jeden z moich rozmówców natychmiast przygotował mi szaty i ołtarz. Nie odezwali się już jednak ani słowem i traktowali mnie jak powietrze.

Po dobrej pół godzinie schodziłem już w kierunku cmentarza. Trudno opisać wrażenie, jakiego tu doznałem. Później wielokrotnie tam bywałem, celebrowałem

¹⁴⁷ Wiktor Gramatowski SJ (ur. 1928), filozof i teolog. Do zakonu wstąpił w 1948. Święcenia kapłańskie 1959. Duszpasterz akademicki w Łodzi 1966–1970. Od 1970 w Rzymie. Sekretarz Papieskiego Instytutu Studiów Kościelnych w Rzymie 1974–1978. Od 1980 pracownik w Archivum Romanum Societatis Iesu, a od 1990 jego dyrektor.

w 1991 r. mszę św. na ołtarzu stojącym pośrodku cmentarza, ale ten pierwszy raz to była kontemplacja i nic więcej. Przeszedłem między grobami, odczytując nazwiska. Każde mi coś mówiło, choć nie kojarzyłem żadnego z konkretną osobą. Doszli do tego miejsca przez pół świata i tu był kres ich marszu. Do Polski nie doszli, a gdyby nawet... Takie nachodziły mnie myśli – o naszej trudnej i bolesnej historii. Nawiedzałem później cmentarze we Flandrii, gdzie spoczywali czołgiści gen. Maczka. Także wzruszający moment. Jednak Monte Cassino to szczególne miejsce, nie waham się rzec, że sanktuarium.

Było już dobrze po obiedzie, gdy zdecydowałem się zejść ze wzgórza klasztornego. Droga licząca 8 km była wąska, same serpentyny, tu i ówdzie poza barierą pobocza napisy ostrzegające przed minami. Co chwila w dół i w górę pędzą samochody. Taksówki przy cmentarzu nie było, postanowiłem pójść pieszo. Nie wiem, czy uszedłem kilometr, a już dusiły mnie spaliny i stale musiałem się odwracać, by nie być najechanym. Było ciepło, a ja miałem na sobie czarny ortalionowy płaszcz milicyjny. Zabrałem go, bo miał podpinkę, a więc nadawał się na każdą porę. W pewnym momencie zatrzymuje się duży peugeot. Otwierają się drzwi od strony kierowcy i dama czystym bawarskim dialektem pyta:

– *Herr Pfarrer, wo wollen sie hin?*¹⁴⁸

Proponuje podwiezienie do miasta. Mam dla niej dozgonną wdzięczność i od-tąd Frau Mathilde Pichlmeier jest moją serdeczną przyjaciółką. Spotykaliśmy się później niekiedy w Niemczech, raz w Polsce, gdzie była z wycieczką, pisujemy do siebie na święta. Telefonujemy. Okazało się, że i ona udała się na wycieczkę. Hierarcha niemiecki urzędujący w Rzymie, któremu prowadziła gospodarstwo domowe, dał jej wolne.

Zajechaliśmy na szosę biegnącą do Neapolu i zatrzymaliśmy się przy małej kafejce. Zaprosiłem moją towarzyszkę na kawę i ciastko. Kawiarenka była całkowicie pusta. Siedliśmy przy stoliku blisko baru. Zamówiłem kawę i poprosiłem obsługującego o możliwość zatelefonowania do Rzymu. Chciałem powiadomić kolegium, że wrócę późno, ponieważ przyjąłem zaproszenie na jazdę do Neapolu. Moją rozmowę w języku polskim można było słyszeć w lokalu. Z panią rozmawiałem po niemiecku, z knajpiarzem po francusku. Nic dziwnego, że przyglądał mi się podejrzliwie. W pewnym momencie spytał, jakiej jesteśmy narodowości. Kiedy odpowiedziałem, zaczął machać rękoma z udanym przerażeniem, krzycząc,

¹⁴⁸ *Niem.* Księżę proboszczu, dokąd ksiądz podąża?

że Polacy z Niemcami w tym miejscu nigdy nie powinni się spotykać. Coś wykrzykiwał o Hitlerze, co z kolei postawiło na nogi moją towarzyszkę. Dopytywała się gorączkowo, o czym on mówi. Zażartowałem, że pyta, czy nie jest ona kuzynką Hitlera. Na Włocha posypał się grad inwektyw, a po chwili już byliśmy z powrotem w samochodzie. Dalsza przemowa potoczyła się w czystym dialekcie bawarskim, czyli jak twierdziła pani Pichlmeier, w najlepszej niemczyźnie, bo Prusacy wcale nie znają niemieckiego. Musiałem wysłuchać monologu o prymitywizmie Włochów, który skłania ją do porzucenia dobrej posady i powrotu do Niemiec, by dłużej nie oglądać tego brudnego bałaganu. Tyle zrozumiałem, choć mówiła znacznie więcej, z pewnością też dosadniej.

Wreszcie dojechaliśmy do Neapolu. Była może trzecia po południu. Pierwszym celem naszego zwiedzania miał być kościół św. Januarego ze słynnymi ampułkami z krwią męczennika. Przekonywałem panią, że cud św. Januarego zdarza się nie zawsze, ale jeśli tak, to tylko 19 września. Nie dała się przekonać, więc podjechaliśmy w pobliże kościoła. Zastaliśmy bramę zamkniętą – siesta. Pani Mathilde poczęła walić pięściami w metalowe drzwi, które po chwili się uchyliły i starszy pan w szparze wyszeptał dwa słowa:

– *Siesta, chiuso*¹⁴⁹.

Na to ona wsunęła w ową szparę banknot 1000-lirowy (a może większy) i drzwi się uchyliły na tyle, że mogliśmy wejść. Teraz kolej na mnie. Miałem przekonać kustosa czy kim on tam był, by pokazał nam ampułki z musującą krwią. Chwycił się za głowę, coś szybko mówił, czego zupełnie nie rozumiałem. Wreszcie zaczął wymieniać kardynałów, biskupów i innych dostojników, którzy muszą być obecni przy otwarciu relikwiarza. A dama swoje: mam go pytać, ile kosztuje i basta. Widziałem jednak, że żadne pieniądze tu nie pomogą. Kiedy powiedziałem, że jestem polskim księdzem, a ta pani jest gospodynią kardynała Schönborna¹⁵⁰ (wydaje mi się, że pośpieszyłem tu z nominacją kardynalską), ze zrozumieniem pokiwał głową. Postanowił wpuścić nas wysoko na stopnie ołtarza i pozwolił dotknąć drzwiczek relikwiarza. Moja towarzyszka była niepokieszona. Obiecywała przyjechać ze swoim chlebobawcą, który już sobie poradzi. Przyjąłem to jako wotum nieufności dla mej siły przebicia.

¹⁴⁹ Wł. sjesta, zamknięte.

¹⁵⁰ Christoph Schönborn OP (ur. 1945), do zakonu wstąpił w 1963. Świecenia kapłańskie 1970. Doktor teologii. Biskup pomocniczy wiedeński 1991–1995. Od 1995 arcybiskup koadiutor archidiecezji wiedeńskiej. Arcybiskup metropolita wiedeński od września 1995. Kardynał 1998. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Austrii od 1998.

Nasz smutek ukoili wejście na Wezuwiusz, skąd w lekko już zachodzącym słońcu rzeczywiście można było podziwiać wspaniały widok na zatokę i majaczące w oddali Sorrento. Niemka ponaglała, bo jeszcze musimy zobaczyć Pompeje. Była godz. 16.50, a punktualnie o godz. 17.00 zamykano bramy. Szybko dostaliśmy się do wnętrza i wąską uliczką dotarliśmy do jednej z willi. Dogonił nas strażnik z wielkim rewolwerem. Wrzeszczał, że jesteśmy przestępcami. Nie mamy biletów i chcieliśmy się tu ukryć, by nocą dokonać kradzieży. Tym razem pani Mathilde stanęła na wysokości zadania. Podsunąwszy mu pod nos jakiś bilecik, na którym był herb Watykanu, wrzeszczała głośniejsze niż on, a co chwila powtarzane słowo *kardinal* widocznie robiło wrażenie, bo Włoch schował broń. Dzwoniąc kluczkami, popychał nas do wyjścia. Na moje nieśmiałe zapytanie, czy nie pozwoliliby nam pooglądać choć trochę, powiedzmy, przez pół godziny, kręcił głową i powtarzał jedno słowo:

– *Domani*¹⁵¹.

Po latach byłem w Pompejach i wtedy zrozumiałem, że miał rację. Cóż moglibyśmy zobaczyć przez pół godziny?

Do Rzymu wróciliśmy około godz. 4.00. Już dobrze dniało. Ulice były wilgotne, chyba od polewaczek. Pomyślałem, że tyle wrażeń w ciągu jednego dnia to coś zupełnie niezwykłego. W dodatku – prócz biletu kolejowego w jedną stronę i taksówki – obyło się całkowicie bez wydatków. Koledzy przyznali, że tutaj trudno tak bezgotówkowo zwiedzać. Mam szczęście i powinienem w Rzymie pozostać dłużej.

Szkoda, że musiało być inaczej. Tym bardziej że zacząłem radzić sobie z włoskim. Trochę było przy tym śmiechu. Zachodzę raz do bistro i chcę zamówić sobie małą kawę z górą ubitego mleka. Proszę więc:

– *Prego un piccolo cappuccino con latte*¹⁵².

Barman błyskawicznie mnie obsłużył, ani okiem mrugnął. Przy kolacji opowiadam o moim sukcesie. Koledzy przy stole ryczeli ze śmiechu, bo zamówiłem małe cappuccino z łóżkiem. Z mlekiem byłoby *con latte*¹⁵³. Z winogronami poszło mi już lepiej, bo podsłuchiłem w sklepie, jak jedna pani kupowała i powiedziałem dokładnie jak ona. Sklepiarka nawet chciała sobie ze mną uciąć pogawędkę. Tego już jednak było za wiele.

¹⁵¹ Wł. jutro.

¹⁵² Wł. Poproszę małe cappuccino z łóżkiem.

¹⁵³ Wł. z mlekiem.

Wiele czasu pochłaniało mi czytanie nocami książek zakazanych, które bałem się przewozić do Polski. Pogryzałem sobie wtedy kupione na ulicy pepperoni – piekielnie ostre kiełbaski, które kupowałem na straganie ulicznym. Prosiłem:

– *Tre pecce*¹⁵⁴.

A sprzedawca z reguły poprawiał:

– *No, Signore, sei*¹⁵⁵.

I dawał sześć. To miłe we Włoszech, że wszędzie jest się jak u siebie w domu.

Czas w Rzymie biegł tak szybko, że aż żal było wyjeżdżać. Wsiadłem do pociągu na dworcu Termini. Byłem już zmęczony podróżami i zwiedzaniem. Zbyt wiele jak na taki krótki czas. Myślałem więc, że do Wiednia utnę sobie drzemkę. Do przedziału weszła pani około pięćdziesiątki, ale w dobrej kondycji. Ubrany byłam w garnitur i koloratkę. Lustrowała mnie przez pewien czas, aż wreszcie wprost zapytała, czy jestem księdzem. Potwierdziłem, ale zaraz dodałem, że nie mówię po włosku. Ona na to, że – owszem – mówię bardzo dobrze jak na cudzoziemca. Cóż było robić? Dowiedziałem się, że jest ona *vedova di un majore*¹⁵⁶ i jest sama, ale ma jako sublokatora *un giovane ragazzo*¹⁵⁷. Prosiła o rady duszpasterskie, a ja pocilem się, żeby tym moim doskonałym włoskim wytłumaczyć jej, że ten *ragazzo* to nic dobrego dla niej, a zapędy matczyne mogą przybrać różną postać. Przyznała mi rację, ale chciała koniecznie wydębic ode mnie oświadczenie, że sympatia do owego *ragazzo* to nic zdrożnego. Bo on też jest taki samotny i wymaga pociechy.

W Bolonii wsiadło dwóch mężczyzn, z których jeden otworzył „Unitę”¹⁵⁸. Porady duszpasterskie się skończyły, ale doszedł do mnie szept owej damy, że ten *signore*¹⁵⁹ naprzeciwko siedzący to komunista i że ona nie może na niego patrzeć, bo on nie lubi papieża, a kocha Stalina. Pan ten w pewnym momencie powiedział jej, co o niej sądzi, ale tego już nie zrozumiałem. Ostatnim towarzyszem podróży do Udine był wysoki blondyn w średnim wieku, który oznajmił, że jest potomkiem Longobardów i ma wszystkich Włochów z południa w pewnym ustronnym miejscu, bo to lenie, na których tacy jak on muszą pracować. Z drzemki nic nie wyszło.

¹⁵⁴ Wł. Poproszę trzy.

¹⁵⁵ Wł. Nie, proszę pana, sześć.

¹⁵⁶ Wł. wdowa po majorze.

¹⁵⁷ Wł. młody chłopak.

¹⁵⁸ „L’Unita” – włoski dziennik komunistyczny wydawany w latach 1924–2004. Początkowo organ prasowy Włoskiej Partii Komunistycznej. W latach 1926–1944 pismo podziemne.

¹⁵⁹ Wł. pan.

W Wiedniu miałem mieć przesiadkę, ale tak jakoś, że najlepiej było przenocować. Tak też uczyniłem, odwiedziłem przy okazji kolegę seminaryjnego, ks. Wenskiego¹⁶⁰. Ponieważ miałem małą sprawę do załatwienia w redakcji *Österreichisches Biographisches Lexikon*, podróż kontynuowałem o dzień później. Pozwalał na to bilet, o czym się upewniłem. W Polsce przesiadłem się w Katowicach na pociąg w kierunku Poznania i w ten sposób wylądowałem w Winnejgórze pod Wrześnią, gdzie u kolegi na plebanii stała moja syrena 104. Stamtąd udałem się do Warszawy, odebrałem matkę, która przebywała u krewnych, i ruszyłem do Lublina.

Byłem wówczas jeszcze zbyt niedoświadczonym podróżnikiem, żeby dostrzec uszczerbek, jaki powodowały pośpiech i zbytnia oszczędność. Wielu rzeczy godnych zobaczenia nie ujrzałem, a z wielu zrezygnowałem w obawie, że nie starczy mi środków na dalszą wyprawę. W rezultacie przywiozłem do Polski około 300 dolarów – sumę wówczas znaczną, to prawda, za granicą natomiast raczej niewielką. Mogła mi jednak umożliwić dokładniejsze zwiedzanie, zwłaszcza w Rzymie. Dopiero znacznie później w czasie kolejnych podróży doszedłem do wniosku, że w pewnych miejscach może nie będę już nigdy więcej i należy wykorzystać każdą okazję i nie żałować pieniędzy, żeby to czy tamto poznać.

Pierwsza podróż zagraniczna jest zawsze rekonesansowa. Tak było też w moim wypadku. Błędem było to stałe obliczanie, na co mnie stać, i w rezultacie często rezygnacja z czegoś ważnego. Niemniej gdybym miał udzielić rady nowicjuszowi w podróżach zagranicznych, stanowczo odradzałbym zamykanie się w archiwum czy bibliotece. To będzie dobre, kiedy się człowiek zapozna z krajem i ludźmi. Spotkałem za granicą kolegów, którzy mieli dłuższy staż niż ja, ale nie „zmarnowali” żadnego dnia na zwiedzanie czy wycieczki, bo szkoda czasu. Tego błędu nie popełniłem.

Katedra Historii Kościoła w XIX i XX w. i inne funkcje

Mój urlop tylko częściowo zakłócił zajęcia Katedry Historii Kościoła w XIX i XX w. Drugi semestr roku akademickiego 1972/1973 ledwo się rozpoczął, zatem zdołałem jeszcze nadrobić zarówno wykłady w instytucie, jak i kursoryczne, a także zorganizować prace seminaryjne. W seminarium uczestniczyło w tym roku trzynaście osób, w tym jedenaście z kursów A i B oraz jeden doktorant i jeden eksternista. Zorganizowałem kwerendę na temat prasy katolickiej w latach 1918–1939. Brało

¹⁶⁰ Jan Wenski (1930–2011), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Wikariusz w parafii św. Michała Archaniola w Poznaniu od 1959. Doktor filozofii. Od lat siedemdziesiątych pracował w Austrii. Kanonik honorowy Kapituły Metropolitalnej w Poznaniu od 2000.

w niej udział dziewięć osób uczestniczących w seminarium. Książka pt. *Bibliografia katolickich czasopism religijnych w Polsce 1918–1939*¹⁶¹ ukazała się jednak dopiero w 1981 r. Tytuł nastroczał trudności, o czym dobrze wiedziałem, słowo „religijnych” było ogranicznikiem. Wiele osób – nawet bardzo dobrze zorientowanych w zagadnieniach prasoznawczych – nie rozumiało, dlaczego po prostu nie wykazałem całej prasy katolickiej. W późniejszych recenzjach, zwłaszcza w jednej, zarzut ten został mocno wyeksponowany. Jerzy Jarowiecki¹⁶², niepodważalny autorytet w dziedzinie badań nad prasą, pisał do mnie 12 listopada 1982 r.:

Gratuluje książki, zdążyłem częściowo i pobieżnie przegłądnąć. Rzecz niezwykle użyteczna. Wiem, że jest w przygotowaniu recenzja do „Zeszytów Prasoznawczych” oraz do „Kwartalnika Historii Prasy Polskiej”. Sądzę, że będą pozytywne, ale zapowiada się dyskusja wokół pojęć prasy religijnej, katolickiej, wyznaniowej, kościelnej itp. Może rzeczywiście warto taką dyskusję podjąć.

Dyskusja taka rzeczywiście się toczyła. Byłem częściowo jej uczestnikiem. Ale pojęć tych nie wyjaśniono, o ile bowiem nie było problemu ze zdefiniowaniem prasy kościelnej czy religijnej, o tyle na prasie katolickiej wykolejały się wszelkie próby definicyjne. Istota trudności polegała na tym, że nie potrafiono ustalić kryteriów, na mocy których można by czasopisma do tej kategorii zaliczyć. Najprostsze byłoby zastosowanie kryterium kościelności, ale praktyka stosowana w przeszłości, a także w czasach, kiedy bibliografia powstawała, nastroczała tu trudności. Były wszakże czasopisma same siebie określające jako katolickie, a niemające owego placet kościelnego. Problem, na ile określenie to było samowzwańcze i poza tytułem nic nie wskazywało na katolickość pisma, a na ile można było treści periodyku uznać za katolickie, dzielił badaczy na kilka grup w zależności od tego, jak pojmowali oni atrybut katolickości. Badacze kościelni, jeśli określenie to może mieć ściśle zastosowanie, preferują zgodność między obu kryteriami: katolickością i kościelnością.

¹⁶¹ *Bibliografia katolickich czasopism religijnych w Polsce 1918–1939*, oprac. Z. Zieliński, Lublin 1981.

¹⁶² Jerzy Jarowiecki (ur. 1930), nauczyciel akademicki, filolog, literaturoznawca i prasoznawca. Profesor zwyczajny od 1985. Przewodniczący Komisji Prasoznawczej Oddziału PAN w Krakowie 1993–2007. Pracownik naukowy Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie (następnie Akademii Pedagogicznej, Uniwersytetu Pedagogicznego im. KEN). Kierownik Samodzielnego Zakładu Bibliotekoznawstwa 1978–1985, Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej 1985–1999. Dyrektor Instytutu Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej 1999–2003.

Oczywiście brak tu precyzji, dlatego też w moim przekonaniu pod jedną linią można było ująć pisma katolickie i zarazem religijne, te ostatnie bowiem z natury rzeczy placet kościelne posiadały. Problem taki pojawiał się zwłaszcza w wypadku prasy paksowskiej, która rościła sobie prawo do predykatu katolickości¹⁶³. W istocie treść tej prasy to potwierdzała, a brak placet kościelnego sprawę komplikował. Zresztą nie tylko PAX miał te trudności, bo także ChSS¹⁶⁴, ale w wypadku redagowanej przeze mnie bibliografii problem ten nie zachodził, gdyż datą graniczną był tu 1944 r. Zdawałem sobie sprawę z wątpliwości takiej argumentacji, ale po głębszym zastanowieniu nie znajdowałem innego wyjścia. Podnoszone w recenzjach zastrzeżenia przyjmowałem jednak jako merytorycznie ważne, toteż w przeciwieństwie do niektórych osób, które krytyczne uwagi przyjmowały jako przejaw niechęci wobec tak manifestacyjnego zaprezentowania potencjału katolickiego (w sumie *Bibliografia* obejmowała 1100 tytułów), byłem zdania, iż motywacja tej krytyki miała podłoże wyłącznie merytoryczne.

Jeszcze w czasie mego pobytu za granicą, 20 marca 1973 r., Instytut Migracji Polonijnej na KUL poprosił mnie o przyjęcie członkostwa tego instytutu, kierowanego wówczas przez dr. Czesława Blocha¹⁶⁵. Przed dwoma laty uczestniczyłem w zebraniu założycielskim instytutu i bez przerwy z nim współpracowałem, chociaż formalnie nie byłem jeszcze jego członkiem. Nominacja, podpisana przez sekretarza naukowego instytutu ks. dr. Piotra Tarasa¹⁶⁶, nigdy nie została odwołana, podobnie jak następna – 1 marca 1977 r. rektor o. Krąpiec mianował mnie członkiem zarządu Zakładu Duszpasterstwa i Migracji Polonijnej KUL. Zaznaczam to, ksiądz rektor Wilk bowiem dokonał destrukcji instytutu, nazwanej przez

¹⁶³ Episkopat Polski nie zaliczał periodyków związanych z PAX do prasy katolickiej.

¹⁶⁴ Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne (ChSS) – ugrupowanie społeczno-polityczne skupiające chrześcijan różnych wyznań, koncesjonowane przez władze PRL. Powstało w 1956 z grona działaczy, którzy odeszli z PAX, jako Chrześcijański Instytut Społeczny. W 1957 zmieniono nazwę na ChSS. Prezesami byli: Jan Frankowski 1968–1974, Zygmunt Filipowicz 1974–1989, Kazimierz Morawski od 1989. Przez episkopat Polski było postrzegane jako narzędzie władz do ograniczania roli społecznej Kościoła. Reprezentanci ChSS zasiadali w Sejmie PRL w latach 1957–1989. W 1989 ChSS przekształciło się w Unię Chrześcijańsko-Społeczną.

¹⁶⁵ Czesław Bloch (1927–2000), historyk, nauczyciel akademicki. Od 1960 pracownik KUL. Opiekun Koła Historyków KUL 1960–1964. Profesor KUL. Kierownik Zakładu Duszpasterstwa i Migracji Polonijnych 1979–1984. Kierownik Katedry Historii Najnowszej KUL 1984–2000. Zarejestrowany przez SB jako TW ps. „Pedagog” w latach 1962–1963.

¹⁶⁶ Piotr Taras SAC (ur. 1929), do zgromadzenia wstąpił w 1951. Pierwsza profesja 1953. Święcenia kapłańskie 1956. Katecheta przy KUL 1956–1957. Od 1958 student KUL. Doktorat 1968, habilitacja 1985. Pracownik Instytutu Duszpasterstwa i Migracji Polonijnych 1972–1987. Obecnie pracownik Wyższej Szkoły Gospodarki Euroregionalnej im. Alcide de Gasperiniego w Józefowie.

niego reorganizacją – po to tylko, by wyrzucić na bruk niewygodnych, a wówczas jedynych, gdy chodzi o pracę twórczą, pracowników: ks. dr. Sławomira Zabrania¹⁶⁷ i dr. Sabinę Bober¹⁶⁸. Podobno twierdzili oni otwarcie, iż skoro *de facto* kierowałem instytutem w czasie, kiedy kierownikiem jego był ks. dr. hab. Edward Walewander¹⁶⁹, to powinno tak być również za czasów jego następcy, ks. dr. Józefa Szymańskiego. Obłuda i przewrotność tej argumentacji polega na tym, iż obie oskarżone osoby twierdziły jedynie, iż doradzałem kiedyś ks. Walewanderowi (co było faktem, ale ks. Walewander sam mnie o to prosił) i powinienem doradzać także aktualnemu wówczas dyrektorowi, który wyraźnie sobie nie radził z prowadzeniem instytutu. Osoby te miały prawo tak twierdzić na podstawie mojego faktycznego i pomocniczego (w żadnym jednak wypadku kierowniczego) zaangażowania w instytucie. Wynikało ono z obowiązków, jakie przyjąłem na siebie, zgadzając się na propozycję z 20 marca 1973 r. i nominację rektorską z 1977 r. Obowiązki te to: utrzymanie kontaktu z instytutem, udział w posiedzeniach naukowych, prace o tematyce polonijnej (jeden artykuł na dwa lata). Tak to określono w angażu. Nigdy z tych obowiązków nie zostałem zwolniony, chociaż stwierdzić muszę, że ks. prof. Stanisław Kowalczyk¹⁷⁰ ignorował tę nominację całkowicie, a nie jest wykluczone, że w ogóle o tej mojej roli nie wiedział, w sprawach instytutu bowiem orientował się powierzchownie. Ksiądz Walewander często prosił mnie o radę i współpracę z instytutem, na co przystawałem w przekonaniu, iż mam do tego uprawnienia i przyjąłem takie zobowiązania.

¹⁶⁷ Sławomir Zabrania (ur. 1968), ksiądz diecezji częstochowskiej. Świecenia kapłańskie 1993. Wikariusz w parafii Żerki-Letnisko, a następnie parafii św. Józefa Oblubieńca w Wieluniu 1993–1996. Doktorat 2002, habilitacja 2013. Prefekt WSD w Częstochowie 2003–2005 i ponownie 2006–2008. Pracownik naukowy na Wydziale Teologicznym UKSW 2003–2005, następnie w Instytucie Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL i w Instytucie Historii Kościoła KUL 2005–2006. Od 2008 pracownik naukowy Uniwersytetu Rzeszowskiego.

¹⁶⁸ Sabina Bober (ur. 1976), historyk. Absolwentka KUL. Doktorat 2004, habilitacja 2012. Pracownik naukowy KUL od 2004.

¹⁶⁹ Edward Walewander (ur. 1947), ksiądz archidiecezji lubelskiej. Świecenia kapłańskie 1974 w Innsbrucku. Doktorat 1978. Wikariusz w parafii archikatedralnej w Lublinie od 1978. Prefekt studiów w WSD w Lublinie 1979–1983. Referent ds. misji w diecezji lubelskiej 1979–1982, referent ds. eklezjologii 1982–1986. Od 1984 sekretarz biskupa lubelskiego ds. kontaktów z zagranicą. Od 1980 pracownik naukowy KUL. Habilitacja 1995, profesor nadzwyczajny od 1997, profesor zwyczajny od 2009. Od 1997 kierownik Katedry Pedagogiki Porównawczej. Dyrektor Instytutu Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym 1990–2005.

¹⁷⁰ Stanisław Kowalczyk (ur. 1932), ksiądz diecezji sandomierskiej. Świecenia kapłańskie 1954. Filozof. Doktorat 1958, habilitacja 1968, profesor nadzwyczajny 1985, profesor zwyczajny 1991. Wykładowca w WSD w Sandomierzu od 1958. Od 1963 pracownik naukowy KUL. Kierownik Katedry Filozofii Społecznej oraz kierownik Instytutu Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym od 1984. Dziekan Wydziału Nauk Społecznych 1990–1993. Rektor WSD w Sandomierzu 1992–1995.

Zwolnienie wymienionych pracowników pod takim pretekstem było aktem bezprawia wymagającym zadośćuczynienia. Ponadto dowodzi ono, że kierownictwo uczelniane działało w stanie zawinionej ignorancji, względnie celowo eliminowało mnie ze sprawy. O nowym kierownictwie instytutu nawet nie wspominam, bo jest to problem, który czeka na swój dalszy ciąg. Nie mogę o sprawie tej pisać inaczej, dopóki nie pokaże mi się pisma odwołującego moją nominację – dotąd go nie otrzymałem. Natomiast na moją prośbę, bym mógł wziąć udział w zorganizowanej w rektoracie konfrontacji pracowników instytutu z kierownictwem uniwersytetu, ksiądz rektor Wilk odpowiedział, iż postronne osoby nie są tam przewidziane. W świetle przedstawionych tu faktów uznanie mnie za osobę postronną wydaje się co najmniej dziwne. Rzecz jednak w tym, że w mojej obecności nie można by było odbyć czegoś w rodzaju „sądu kapturowego” nad Bogu ducha winnymi ludźmi.

Ksiądz Wilk zaaranżował właśnie coś w rodzaju takiego sądu. Na ks. Sławomira Zabraniaka i Sabinę Bober spadła lawina zarzutów sformułowanych przez niego samego i przez wyznaczonych przezeń pracowników administracyjnych. Upodlający sposób traktowania tych pracowników i haniebny zwyczaj szydzenia z osób zależnych od siebie, stosowane przez ks. Wilka, nosiły wszelkie znamiona mobbingu. Najlepiej uczynił trzeci pracownik wezwany także na ten osobliwy „sąd”. Mianowicie odmówił on udziału i został za to dyscyplinarnie zwolniony z pracy. Wygrał potem w sądzie pracy, ale z KUL nie chciał już mieć do czynienia.

Ksiądz Zabraniak i pani Bober także dostali wymówienia, pozostał natomiast w instytucie, aczkolwiek nie na kierowniczym stanowisku, ks. Józef Szymański – inicjator i główny aktor w ekipie rektorskiej tego żalosego widowiska. Nie wiem, czym się kierował. Jako promotor jego doktoratu okazywałem mu zawsze życzliwość wykraczającą poza standardowe obowiązki. Do pewnego czasu jako dyrektor instytutu zasięgał moich porad, sądziłem, że z racji mojego stanowiska w zarządzie. Tuż przed opisanymi wyżej wydarzeniami starał się mnie unikać. Słyszałem, że został zwolniony z pracy. To naturalna kolej losu osób dyspozycyjnych. Doszła mnie wiadomość, że Rada Wydziału Humanistycznego KUL przeprowadziła jego habilitację na podstawie jego pracy doktorskiej, co jest bez wątpienia osobliwością naukową, ale nie dziwi, gdy się zważy, jaka instytucja tego dokonała. Nie dociekam wnikliwości recenzentów i Centralnej Komisji do Spraw Tytułów Naukowych. Z dalszych losów Instytutu Polonijnego wynika, że placówka jako jednostka wyodrębniona była przeznaczona do likwidacji. Wyznaczenie na kierownika

dr. hab. Panfila¹⁷¹, osoby całkowicie niezorientowanej w badaniach nad Polonią i w pracy dla Polonii, i marazm, jaki tę placówkę ogarnął, najlepiej o tym świadczą. Instytut Migracji i Duszpasterstwa Polonijnego wraz z odejściem ks. prof. Walewandra praktycznie przestał się liczyć jako placówka owocna na polu naukowym. To jednak jest już sprawa, która nie dotyczy opisywanej tu w skrócie afery. Wspominam o niej tylko po to, aby unaocznić metody stosowane przez ówczesne władze KUL.

Wydarzenia tu opisywane dotyczyły mnie niejako ubocznie, ale poruszam to szerzej, ponieważ *modus procedendi*¹⁷² władz uniwersyteckich stanowi niejako symptom pewnego schorzenia całej instytucji. Nie można inaczej wytłumaczyć także innych zdarzeń, których uczelnia jest widownią z wielkim dla siebie uszczerbkiem także w ostatnich czasach.

Równo 40 lat upłynęło od chwili, kiedy musiałem zdecydować się na zatrudnienie współpracownika w katedrze, którą objąłem po przejściu ks. prof. Żywczyńskiego na emeryturę. Był to, niestety, czas wielu moich błędów. Ich źródłem była bezkompromisowość i wiążące się z nią zaufanie, jakim darzyłem, często niesłusznie, niektóre osoby. Nie mogłem zrozumieć obłudy i kłamstwa. To ostatnie lekceważyłem, gdy chodziło o drobiazgi, a to był wielki błąd, bo od nich zaczyna się to kłamstwo, które następnie godzi w dobro bliźnich i zamula sumienie kłamczucha.

W 1974 r. wypłynęła sprawa zatrudnienia asystenta w mojej katedrze. Wyboru wielkiego nie miałem, bardzo trudno było uzyskać zwolnienie księdza z diecezji, o wiele łatwiej udzielali takich zwolnień do pracy na KUL przełożeni zakonni. Dwie kandydatury, które rozważałem – nazwisk nie wymienię, ponieważ osoby te żyją, a wtedy nie były świadome mych starań – z góry odpadły, sondaż dokonany u ordynariuszy wypadł negatywnie. Radziłem się ks. prof. Żywczyńskiego, który bardzo interesował się pracą katedry i chętnie udzielał mi cennych rad. W sprawach personalnych był nader ostrożny. Rozważaliśmy także inne kandydatury, ale był sceptyczny, wydawało mi się, że nawet nieco przesadnie. W końcu na placu boju pozostał jedyny kandydat – salezjanin,

¹⁷¹ Tomasz Panfil (ur. 1962), historyk, pracownik naukowy KUL. Doktorat 1989, habilitacja 2002, profesor nadzwyczajny 2003–2013. Dyrektor Instytutu Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym od 2006. Kierownik Katedry Nauk Pomocniczych Historii. Od 2017 naczelnik Oddziałowego Biura Edukacji Narodowej IPN w Lublinie.

¹⁷² Łac. tryb postępowania.

ks. Stanisław Wilk, niebrany pierwotnie pod uwagę. Konsultowałem się z jego współbratem zakonnym, nieodżałowanym ks. Stanisławem Kosińskim¹⁷³. Powiedział mi krótko:

– Przecież możesz spróbować.

To mnie przekonało. Kiedy po tej rozmowie, odbytej w Łądzie, wróciłem do Lublina i oznajmiłem mój zamiar ks. Żywczyńskiemu, ten spytał, czy asystent jest mi konieczny. Radził poczekać 3–4 lata. To było trudne do zrealizowania, gdyż jeden z profesorów w Instytucie Historii Kościoła wspominał, że moja katedra jako dopiero co powołana (co nie było prawdą, gdyż ks. Żywczyński kierował dwiema katedrami) nie powinna mieć asystenta, a można by zatrudnić kogoś na innych przedmiotach, limit kadr bowiem obowiązuje w stosunku do instytutu, a nie do poszczególnych profesorów prowadzących seminaria. Nie było to żadne oficjalne oświadczenie, ale sprawa mogła się skomplikować, bo ks. Kumor nie dawał łatwo za wygraną. Tym bardziej że temat ten swoim zwyczajem zaczął komentować wobec studentów na zajęciach ks. Stanisław Librowski¹⁷⁴. Zapytałem najpierw dziekana, potem rektora, czy możliwe byłoby zatrudnienie asystenta. W obu wypadkach bez wahania odpowiedziano mi pozytywnie. Ksiądz Żywczyński, kiedy mu oznajmiłem moją decyzję, rzekł, że nie zajmie w tej sprawie stanowiska, bo to tylko moja rzecz. Szybko zmienił temat i do sprawy już nie powracał. Zdążyłem na tyle poznać reakcje mojego Mistrza, żeby wiedzieć, iż jest innego zdania niż ja – uciął wtedy jakiś temat i demonstracyjnie zaczynał bawić się przedmiotem, który akurat miał w ręce. Tak było i tym razem. Rozmowa już się nie kleiła i po kilku zdawkowych uwagach się pożegnałem. Ksiądz Żywczyński sprawiał wrażenie, jak gdyby nie kojarzył ks. Wilka, a przecież ten pod jego kierunkiem napisał magisterium w 1971 r. i wydawało mi się, że profesor powinien mieć to w pamięci. Zazwyczaj wspominał magistrantów sprzed kilku lub kilkunastu lat. Po takim jego *dictum* wolałem sprawy więcej nie poruszać. Zofia

¹⁷³ Stanisław Kosiński SDB (1923–1991), do zgromadzenia wstąpił w 1946. Pierwsza profesja 1947. Śluby wieczyste 1950. Święcenia kapłańskie 1954. Absolwent KUL i ATK. Teolog, historyk Kościoła. Wykładowca historii w NSD w Płocku 1958–1960. Wykładowca w WSD Towarzystwa Salezjańskiego w Kutnie 1960–1961 i WSD Towarzystwa Salezjańskiego w Łądzie 1960–1991, równocześnie wykładowca w WSD Misjonarzy św. Rodziny w Kazimierzu Biskupim od 1972. Od 1982 członek Komisji Teologicznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. W 1991 mianowany wicepostulatorem w procesie beatyfikacyjnym kard. Augusta Hlonda SDB.

¹⁷⁴ Stanisław Librowski (1913–2002), ksiądz diecezji wrocławskiej. Święcenia kapłańskie 1945. Historyk. Doktorat 1951, habilitacja 1964, profesor nadzwyczajny 1970, profesor zwyczajny 1975. Duszpasterz w Zgłowiączce 1945–1946 i podwrocławskim Michelinie 1946–1956. Dyrektor archiwum kurialnego, a następnie archidiecezjalnego od 1947. Pracownik naukowy KUL od 1958.

Brzostowska¹⁷⁵, z którą utrzymywałem bliższe kontakty, spytała przy spotkaniu, czy to prawda, że mam asystenta. Odpowiedziałem, że owszem, udało mi się go zatrudnić mimo pewnych trudności.

– A co na to ks. Żywczyński?

Stwierdziłem zgodnie z prawdą, że nie okazał tym faktem zbytniego zainteresowania. Pani Zofia spojrzała w sposób, który niejednego zbijał z tropu, i podsumowała:

– No właśnie.

Widocznie nie miała sentymentu do mego współpracownika, ale nie była pod tym względem osamotniona. Natomiast opinia ks. Żywczyńskiego miała dla niej charakter niemalże dogmatu, choć niebezpiecznie było jej o tym wspomnieć. Reagowała wtedy dłuższą i niszczącą rozmówcę przemową, z której wynikało, że jest on co najmniej zapóźniony w rozwoju, a w przestrzeń między ks. prof. Żywczyńskim a nią nie może wkraczać nikt, bo i tak niczego nie zrozumie. Oczywiście prowokowałem takie alokucje, ile razy była ku temu sposobność.

Pani Zofia miała ciekawą osobowość i nieprzeciętną inteligencję, dlatego zupełnie słusznie raziły ją osoby manifestujące na każdym kroku jej brak. Rzadko się myliła, a jeśli już, to zawsze samokrytycznie i z własnej woli do tego się przyznawała. Rozmówczynią była trudną, ale mimo nieustannych sprzeczek jakoś przypadliśmy sobie do gustu. Kiedy dłuższy czas do niej nie zagłędałem, telefonowała i zimnym głosem oznajmiała, że ma do przekazania coś rzekomo bardzo ważnego, gdyż w przeciwnym wypadku nie byłoby telefonu. Oczywiście jak najszybciej musiałem jechać na ul. Pana Balcera, gdzie mieszkała. Nie znosiła płytkości, wazeliniarstwa i obnoszenia się władzą, a „cnoty” te chadzały przeważnie w komplecie. Ale daleko było wtedy do stanu, w jakim dziś to środowisko się znajduje. Dla pani Zofii nie byłoby tu miejsca, zresztą nie tylko dla niej.

Ksiądz Żywczyński aż do swej śmierci żywo interesował się moim seminarium. Musiałem opowiadać mu o każdym doktorancie. O ks. Wilku nie wspomniał ani razu. Sądziłem, że nie lubił salezjanów, ale o ile wiem, szanował ks. Kosińskiego. Może kogoś dziwić, że tak na bieżąco informowałem ks. Żywczyńskiego o swoich pracach i seminarium.

¹⁷⁵ Zofia Brzostowska, Zofia Kapuścianańska, „Supel”, „Zofia”, „Zofinder” (ur. 1923), sanitariuszka w powstaniu warszawskim na Żoliborzu w Obwodzie II Żoliborz.

Muszę zrobić małą dygresję. W czasach, gdy z adiunkta awansowałem na samodzielniego pracownika, czyli jak to się wtedy nazywało, na docenta, i obejmowałem po profesorze katedrę albo seminarium, nie do pomyślenia było, żeby następca odwracał się plecami do swego poprzednika. Relacje bywały bliższe albo bardziej oficjalne, ale zawsze były. Nie tylko na KUL, także gdzie indziej. Mój los jako emeryta był już inny, aczkolwiek nie powiem, żeby mi to specjalnie przeszkadzało. Gwoli szczerości muszę wyznać, że jednak raziło, bo nie może być inaczej. To nic, że podobne zachowanie obserwowało się w wypadku innych kolegów i innych uczelni. Jeden z profesorów wrocławskich żalił mi się, że dawni współpracownicy postępują z nim brzydko. Znałem go i podziwiałem jego troskliwość o los i karierę tych ludzi. Ale w końcu i ja robiłem dla moich współpracowników, co tylko mogłem, a było ich kilku, nie tylko w katedrze.

Do ks. Żywczyńskiego chadzałem co sobota, niekiedy w piątek po seminarium. Zawsze oferowałem mu swą pomoc, choć on nie lubił korzystać z czyichś usług, chyba że były one odpłatne. Tydzień przed śmiercią profesora, nie wiem dlaczego już w poniedziałek, a nie – jak zazwyczaj – pod koniec tygodnia, zaszedłem do niego. Był już bardzo chory. Poprosił o powiadomienie jednego z jezuitów, chciał, żeby go odwiedził. Następnie znalazł się w szpitalu, gdzie po pięciu dniach zmarł. Kontakt z profesorem to nie był obowiązek, nawet nie zaszczyt, to była taka więź, od której człowiek nie mógł i nie chciał się uwolnić. Wynikało to z wychowania, o jakim dziś nawet nie można marzyć.

Powiem tylko ku rozweseleniu, że kiedy przypadła moja pięćdziesiąta rocznica święceń, zagadnął mnie na ulicy pewien kapłan z dawnej mojej katedry, mniejsza o to, jak z nią związany. Zapytał – *notabene* kilka tygodni po jubileuszu – czy może z moim następcą przyjść i złożyć mi życzenia. Trochę byłem zdziwiony formą tego *interview*, zaprosiłem jednak uprzejmie panów do siebie po umówieniu ze mną terminu. Nadal czekam na spełnienie zapowiedzi, a mija już dziesiąty rok. O tym, co się kiedyś nazywało kindersztubą, lepiej więc dziś nie wspominać. Nieciekawe czasy nastały.

Tak więc od roku akademickiego 1974/1975 był w katedrze asystent, a ściślej mówiąc – przez jeden rok stażysta. Wtedy rozróżnienia te były mniej zauważalne. Dla mnie nie było to żadne ułatwienie. Może tylko o tyle, że wziął on znaczny udział we wspomnianej już kwerendzie przygotowującej bibliografię czasopism religijnych. Bardzo także był przydatny w przygotowaniu i przeprowadzeniu w 1975 r. sympozjum na temat: „Kościół w II Rzeczypospolitej”. Został zresztą

współredaktorem publikacji, jaka po tej konferencji się ukazała i miała później także drugie wydanie¹⁷⁶. Asystent w tamtych czasach powinien był dbać o własny rozwój naukowy i do czasu przejścia po mnie zajęć dydaktycznych ze studentami instytutu poświęconych naukom pomocniczym historii najnowszej – sam siebie kształcić, dyżurować w zakładzie, a przede wszystkim przygotowywać rozprawę doktorską. Muszę lojalnie stwierdzić, że pod tym względem całkowicie zdał egzamin. Pracował powoli, ale z dobrym rezultatem, a to przecież najważniejsze. Żeby zamknąć na razie ten temat, dodam, że pracę doktorską obronił w 1982 r., a dziesięć lat później się habilitował.

Warto opowiedzieć historię tej habilitacji. Temat brzmiał: *Episkopat Kościoła katolickiego w Polsce w latach 1918–1939*¹⁷⁷. W pewnym sensie narzuciłem mu ten temat, czego później trochę żałowałem, bo kwerenda była rozległa i się przeciągała; wychodziły coraz to nowe problemy, a czas uciekał.

Plany syntezy historii Kościoła i reformy studiów kościelno-historycznych

Byłem jeszcze długo przed emeryturą, ale miałem już pewien plan zespołowego opracowania podręcznika do historii Kościoła, przyznam, nie tyle autorski, co odziedziczony po moim Mistrzu. W ostatnich latach swego życia wspominał on często, iż gryzie go sumienie, ponieważ tak się zagłębił w historię powszechną, że zaniedbał dzieje kościelne, które były jego powołaniem. To zboczenie na tory historiografii świeckiej – jak ogólnie można ją nazwać, choć nie jest to ściśle – różnie tłumaczył. Raz, że były to doświadczenia odstrasżające od zajmowania się przeszłością kościelną. Niewątpliwie miał tu na myśli reakcję pewnych kół kościelnych na jego publikację *Kościół a rewolucja francuska*. Innym razem twierdził, że jego powołaniem była historia starożytna, bo jej poświęcił sporo czasu swych studiów, ale pewne okoliczności – m.in. kwerenda rzymska PAU, w której uczestniczył – skierowały jego uwagę na XIX w. Doszedł do przekonania, że kierunki badawcze, które sobie wytyczał, były zbyt zróżnicowane, by można je było scalić w jakiś blok tematyczny. Byłby się zajął dziejami kościelnymi zaboru rosyjskiego, zwłaszcza Królestwa Polskiego, mającymi liczne i ciekawe odniesienia do inicjatyw Stolicy Apostolskiej, charakteryzujących się nie tylko kościelnym, lecz także politycznym obliczem.

¹⁷⁶ *Kościół w II Rzeczypospolitej*, red. Z. Zieliński, S. Wilk, Lublin 1980.

¹⁷⁷ S. Wilk, *Episkopat Kościoła katolickiego w Polsce w latach 1918–1939*, Warszawa 1992.

To przeplatanie się wątków politycznych i kościelnych, dokonujące się niejako w sposób naturalny, bardzo go interesowało, izolowanie biegu dziejów kościelnych od powszechnych uważał bowiem za wielkie nieporozumienie. Tak w skrócie można streścić dywagacje na temat historiografii kościelnej rzutujszej na jego twórczość. Nie ulega wątpliwości, że pierwotnie ks. Żywczyński koncentrował się na sprawach kościelnych, aczkolwiek bez ograniczania się do obszaru polskiego, lecz sięgając do powiązań międzynarodowych. Po II wojnie światowej możliwości rozwijania tej tematyki bardzo się zawężyły, toteż profesor sięgnął po tematykę świecką. Zwłaszcza że zachęcało go do tego środowisko warszawskie, z którym był związany przez studia i seminarium u prof. Marcelego Handelsmana¹⁷⁸. Może miały na to wpływ też jego zajęcia na Wydziale Humanistycznym KUL. Był zdecydowanym przeciwnikiem ograniczania badań na Sekcji Historii tego wydziału do problematyki kościelnej, ku czemu zmierzały niektóre osoby i co było na rękę władzom PRL. Kto wie, czy nawet nie odpowiadało wprost stawianym przez nie dezcyderatom.

Do mnie profesor adresował te wynurzenia na temat historii Kościoła. Miał na uwadze pewien cel, do dziś nie wiem, czy w jego oczach realny, czy też traktowany jako idea niedosiężna. Chodziło o zmontowanie zespołu, który opracowałby dzieje kościelne. Niezbyt obszerne, co najwyżej trzytomowe, ale według najnowszego stanu wiedzy, w tym także wymogów metodologicznych. Sam byłby gotów w tym zespole uczestniczyć, służyć radą, a nawet coś napisać. Dzieło to miało być owocem przemyśleń kilku osób, scalonym następnie w jeden schemat, który byłby już podstawą do prac redakcyjnych. Uważał, że grono zaangażowane nie może przekraczać określonej liczby osób, w zasadzie tylu, ile części podstawowych będzie liczyć książka. Od angażowania większej liczby autorów odstraszała czterotomowa *Historia Kościoła w Polsce* wydana przez Pallottinum¹⁷⁹. Także edycja herderowska i międzynarodowa, tłumaczona zresztą i wydana swego czasu w języku polskim przez Instytut Wydawniczy PAX, nie mogły służyć jako wzorzec. Trzeba było zrobić coś oryginalnego. Niestety, wszelkie próby pozyskania współpracowników rozbiły się o błahe, moim zdaniem, przeszkody. Książ

¹⁷⁸ Marcelego Handelsman (1882–1945), historyk i prawnik pochodzenia żydowskiego. Jeden z najwybitniejszych historyków polskich pierwszej połowy XX w. Doktorat 1909, profesor zwyczajny 1919. Pracownik naukowy UW od 1915. Więzień obozu Gross-Rosen, gdzie zmarł.

¹⁷⁹ Chodzi o pozycję: *Historia Kościoła w Polsce*, red. B. Kumor, Z. Obertyński. Ukazała się w dwóch tomach podzielonych na dwie części (t. 1: *Do roku 1764*, cz. 1: *Do 1506 r.*, oprac. K. Dola i in., Poznań 1974; cz. 2: *Do 1764 r.*, oprac. J. Altman i in., Poznań 1974; t. 2: *1764–1945*, cz. 1: *1764–1918*, oprac. J. Altman i in., Poznań 1979; cz. 2: *1918–1945*, oprac. K. Dola i in., Poznań 1979).

Marian Banaszak był w trakcie przygotowania własnego podręcznika, podobnie ks. Kumor. Nie znaleźliśmy wtedy ich koncepcji, ale okazało się później, że w naszym projekcie chodziło o coś zupełnie innego.

Książd Żywczyński zgadzał się z tezą, że podręcznik historii Kościoła nie powinien powtarzać stereotypów w ocenie zjawisk leżących u podstaw zarówno rozwoju, jak i okresów stagnacji, a nawet cofania się Kościoła w wielu zasadniczych dziedzinach. Wydaje się, że osią takich ujęć było w jego przekonaniu przejście od Kościoła starożytnego do średniowiecznego, przy czym św. Franciszek i ruch mendykancki z jednej strony, a feudalizacja Kościoła z drugiej byłyby punktem wyjścia do badań nad rolą Kościoła w kształtowaniu się społeczeństw i układów politycznych. Renesans i jego owocowanie, a zarazem ich antynomia, jak można określić czas reformacji, musiałyby być rozważane jako kolejny etap ideologicznych przemian, na razie europejskich, i postępującej emancypacji sfery świeckiej od Kościoła. Oczywiście to, co tu prezentuję, to tylko próbki myślenia metodologicznego. Jego rozbudowanie w zakresie pełnej periodyzacji dziejów kościelnych wyznaczałoby ramy konceptu całego przedsięwzięcia.

Jedno było pewne. Takiego ujęcia dziejów kościelnych w naszej literaturze nie było wtedy i nie ma dotąd. Dzieło Josepha Lortza *Kirchengeschichte in ideengeschichtlicher Betrachtung* zmierzało w tym kierunku, ale nie znalazło naśladowców. Z kolei moja książka *Historia Kościoła. Odbicie rzeczywistości Bożej w świecie*¹⁸⁰ stanowi rozbudowany koncept wspomnianego wyżej projektu. Wskazuje na kluczowe dla dziejów Kościoła postaci i zdarzenia, a przede wszystkim sytuje Kościół w określonym *milieu* zmieniających się faz rozwojowych ludzkości. Wychwycenie czynników epokotwórczych i kształtujących proces historyczny powinno być obowiązkową normą każdego podręcznika, ale podręczników historii Kościoła w takim rozumieniu – nie licząc wyjątków – brak. Powtarzanie w opasłych foliatach stale tych samych faktów, wygładzonych, że można je uznać jedynie za deformację wiedzy o przeszłości, przyczynia się do wypaczenia myślenia historycznego. Taką wiedzę przekazują dziś w większości seminaria duchowne, a w wielu wypadkach także specjalistyczne studia historyczne na wyższych uczelniach.

Zapaść na płaszczyźnie naszej wiedzy o przeszłości ma swe źródło także w jej traktowaniu przez wielu fachowców. Brak twórczego odzewu na moją propozycję

¹⁸⁰ Z. Zieliński, *Historia Kościoła. Odbicie rzeczywistości Bożej w świecie*, Wrocław 2005. Wspomniana praca miała jeszcze wydanie 2: Poznań 2011.

ujęcia dziejów kościelnych w postaci wymienionej tu syntezy tłumacząc królującym w dalszym ciągu wśród historyków Kościoła kultem powtarzania znanych faktów i ewentualnie ciekawostek, nie zawsze potwierdzonych źródłowo. W dalszym ciągu brak pomysłów na formułowanie i eksplikację procesów dziejowych. Moja próba podjęcia tego problemu nie trafiła pod strzechy wykładowców seminaryjnych, zatem osób kształtujących myślenie historyczne kapłanów. Nie jest to pocieszające.

Z upływem czasu ks. Żywczyński, nękany chorobą, coraz rzadziej wspominał o przedsięwzięciu, a ja bałem się rozmowy na ten temat, nie potrafiłem bowiem zebrać zespołu, który mógłby owocnie współpracować. To rozproszenie sił i zupełnie nie na miejscu będący indywidualizm to były przekleństwa wielu środowisk naukowych, naszego na KUL jednak w pierwszej kolejności. Wielu zawodowych czcicieli Klio na każdą propozycję, uwagę czy wysuniętą myśl badawczą odpowiada oburzeniem. Jakże można ingerować w czyjeś zainteresowania? Tak to było odbierane. Ktoś, na szczęście nie z KUL, kiedy zaproponowałem wspólne opracowanie pewnego problemu, skarżył się, że podstępnie chcę mu odebrać temat badawczy. O ile wiem, zachował go w takim ukryciu, że nigdy nie ujrzał on światła dziennego, ale mnie przypiął łatkę łowcy cudzych osiągnięć. Można się było zniechęcić.

Nigdy do końca nie pogrzebałem myśli o zwięzłym podręczniku historii Kościoła przeznaczonym dla szerszych kręgów. Wykładając ten przedmiot ponad 30 lat dla studentów teologii, wyrobiłem sobie pogląd na to, co jest ważne, absolutnie konieczne, a co stanowi tylko balast uniemożliwiający śledzenie procesów historycznych. Zbieranie materiału zabrało mi wiele lat, ale się opłaciło. Będąc w posiadaniu wypisów z najważniejszych dzieł w tej materii, w tym także fragmentów źródłowych, zabrałem się do napisania już wspomnianej *Historii Kościoła*. Nie jest to dokładnie to, o czym myślał ks. Żywczyński, ale bez wątpienia książka ta łączy w sobie daleko idącą kompletność faktograficzną ze zwięzłością ujęcia. Jest syntezą w pełnym tego słowa znaczeniu. Rozwlekłe referowanie znanych i drugorzędnych faktów zastąpiłem tekstami źródłowymi, w liczbie około pięćdziesięciu. Wskazuję na kluczowe dla dziejów Kościoła postaci i zdarzenia, a przede wszystkim sytuuję Kościół w określonym środowisku społecznym i politycznym, czyli – jak prościej można by powiedzieć – w codzienności. Książka ma jeden mankament, wymaga pewnego czytania w pracach monograficznych, a ponieważ sposób takiego studiowania jest obecnie mało rozpowszechniony, może ona stwarzać pewne problemy poznawcze nawet dla zawodowego historyka. Zrobiłem coś,

przed czym przestrzegał ks. Żywczyński, którego pesymizm odnoszący się do zasobu wiedzy i sprawności dydaktycznej wielu historyków Kościoła, zwłaszcza nauczających adeptów kapłaństwa, był znany. W moim przekonaniu, gdyby wykładowca historii Kościoła w seminarium duchownym był nieco bardziej czytany, mógłby na bazie mojej książki prowadzić ciekawy wykład, poruszając problemy niejako z jej marginesu. To byłoby niewątpliwie owocne w kształtowaniu intelektu słuchaczy przy wykorzystaniu wiedzy o przeszłości. Nie wiem, czy którykolwiek z wykładowców seminaryjnych tak postąpił. Wymagałoby to nieco pracy twórczej, a o wiele łatwiej jest powtarzać w nieskończoność mądrości skryptowe.

Muszę tu dodać pewną uwagę wymagającą sporego samokrytycyzmu. Otóż pierwsze wrocławskie wydanie zawiera sporo niedokładności. Nie naruszają one wprawdzie w istotny sposób całości, ale są uciążliwe, nawet jeśli są to w dużej mierze literówki. Stało się tak, ponieważ zgodziłem się na opuszczenie drugiej korekty. Dwa razy mi się to zdarzyło. Za każdym razem ucierpiała książka. Żłudzenie, że za pierwszym czytaniem wyłapało się wszystkie usterki, jest zwodnicze i zawsze prowadzi do takich niedostatków.

Inna sprawa poruszana często przez ks. Żywczyńskiego to skierowanie historii Kościoła na tory badań nad wewnętrznym funkcjonowaniem Kościoła, zwłaszcza nad polem działania duchowieństwa, możliwie szeroko zakreślonym, co wysuwał na pierwszy plan. Jego zdaniem należało ukazać ten rzeczywisty aktyw Kościoła, a nie sprowadzać wszystko, co w Kościele dobrego uczyniono, tylko do sfery władzy. Za tą sugestią poszedłem i – jak śmiem mniemać – nie bez powodzenia.

Myśl o stworzeniu silnego bloku nauk historycznych poprzez zharmonizowanie badań – o nie głównie chodziło – na Sekcji Historii Wydziału Humanistycznego z Instytutem Historii Kościoła nurtowała może najbardziej ks. Rechowicza i ks. Kumora. Ksiądz Żywczyński miał w tej materii odmienne zdanie. Początkowo także byłem sceptyczny. Zdawałem sobie sprawę z tego, iż przy składzie sił naukowych tam wówczas istniejących przejście od badań czysto kościelnych na płaszczyznę historii społeczno-politycznej, a o tym myśleli obaj wymienieni profesorowie, było, niestety, nierealne. Ucieczka w tematykę kościelną, uprawianą tam z większym lub mniejszym powodzeniem, była zbyt wygodna, by ją porzucać. To, że KUL w pewnym momencie – mam tu na myśli studia historyczne – oddał pałeczkę w dziedzinie dziejów powszechnych i historii Polski, było stratą nie do odrobienia. Nie jest moją sprawą zastanawiać się tu nad tym zagadnieniem. Tym bardziej że wielu ówczesnych historyków znałem, szanowałem i z dumą mogłem nazywać kolegami

i przyjaciółmi. Niektóre pisane przez nich prace z dziedziny kościelno-historycznej były na naprawdę wysokim poziomie. Ale powstawały też studia, nie tylko zresztą na KUL, poświęcone historii Kościoła, które były *passus extra viam*¹⁸¹, bo pisanie o historii Kościoła bez choćby rudymen tarnej znajomości teologii to coś podobnego, jak zajmowanie się strategią walki bez obznajmienia z wojskiem. W czasach, o których teraz piszę, moje związki z Sekcją Historii na Wydziale Humanistycznym były już o wiele luźniejsze, aczkolwiek moja opinia o tym środowisku stale jeszcze była więcej niż pozytywna. Może stąd moje *votum separatum* w sprawie połączenie historii Kościoła na Wydziale Teologicznym z historią na humanistyce.

W końcu ks. Kumor przy moim zresztą udziale, o co natarczywie zabiegał, opracował plan kompleksowych badań nad historią Kościoła, uwzględniający zespoły wykonawcze: jeden na Wydziale Humanistycznym, drugi w Instytucie Historii Kościoła. Nie chcę się tu rozwodzić nad trybem funkcjonowania tej maszyny badawczej, ale jedno było pewne – nie będzie dublowania tematów i problemów badawczych, a dorobek historyczny środowiska kulowskiego będzie w równej mierze służył odkrywaniu przeszłości kościelnej i państwowo-narodowej. Ksiądz Rechowicz jako dyrektor Instytutu Historii Kościoła był pełen entuzjazmu dla tego projektu, który już jako gotowy dokument miał być przedłożony Senatowi KUL. Z poczucia lojalności byłem za tym, ale ani przez moment nie wierzyłem, że tak trafną rzecz uda się w tamtych warunkach zrealizować.

Ksiądz Rechowicz otrzymał nominację biskupią i tuż po Nowym Roku 1974 poszliśmy z ks. Kumorem pogratulować mu, a zarazem przedłożyć ów memoriał do podpisu, którego wcześniej nie udało się uzyskać. Ksiądz Rechowicz zawsze wszystko lubił trochę odkładać, choć niby był już zdecydowany. Tym razem było to na szkodę naszego przedsięwzięcia. Stwierdził, że jako biskupowi nie wypada mu już tego podpisywać, bo słyszał, że pan Kłoczowski zabiega, by reforma nie doszła do skutku. Czy tak było naprawdę, nie wiem, faktem jednak jest, że rektor Krąpiec, początkowo reformie przychylny, również stracił dla niej zainteresowanie. Usłyszawszy *dictum* bp. Rechowicza, zapytałem wprost, czy zmienił zdanie jako biskup. Czy biskupowi trudno podpisać coś, co uznawał za słuszne i konieczne, będąc profesorem i dyrektorem Instytutu Historii Kościoła? Trochę się zdenerwował. Powiedział, że uważa reformę za konieczną, ale jako biskup jest już poza instytutem i nie chce się angażować. Dosłownie rzekł:

¹⁸¹ Łac. krokami poza drogą. Parafraza łacińskiej sentencji: *magni passus extra viam*.

– Róbcie to sami.

Po naleganiach ks. Kumora podobno napisał na projekcie „popieram” i się podpisał. Tego jednak już nie widziałem, cała sprawa bowiem upadła, a ja zapomniałem wziąć dla siebie kopię dokumentu. Storpedowanie tego projektu moim zdaniem zadecydowało w znacznej mierze o słabości historii na KUL. Dlaczego nie dopuszczono do jego realizacji? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć. Wtedy nikt nie śmiał nawet pomyśleć, że sprzeciw mógłby być sterowany z zewnątrz. Dziś nie wydaje się to już wykluczone, takie były czasy. Władzom komunistycznym bardzo zależało na tym, by nie uprawiano historii poza założeniami filozoficzno-metodologicznymi marksistowskimi. Gdyby tak było, byłby to jeden z wielu ciósów zadanych uniwersytetowi w komunistycznej Polsce. Może kiedyś historycy dojdą do sedna sprawy w tej materii.

Sprawa połączenia historii Kościoła na Wydziale Teologicznym z Instytutem Historii na Wydziale Humanistycznym wróciła na wokandę na krótko przed moim odejściem na emeryturę. Wraz z niektórymi profesorami Instytutu Historii byłem wtedy gorącym zwolennikiem takiego rozwiązania. Projekt napotkał jednak zdecydowany sprzeciw niemal wszystkich profesorów Instytutu Historii Kościoła. Bardzo im to miałem za złe, za co ich teraz przepraszam. Po czasie musiałem przyznać im rację. Zupełnie nie orientowałem się w kondycji historii na Wydziale Humanistycznym. Nie wiem, czy połączenie obniżyłoby loty historyków Kościoła. Mój głos zresztą nie liczył się w najmniejszym stopniu. W tym czasie już tylko jedną nogą byłem w IHK. Oni mieli lepsze rozeznanie i uchronili instytut od nieprzewidywalnych perturbacji. Przede wszystkim dlatego, że wtedy w IHK wyżej stał sektor badawczy i większą uwagę zwracano na kwestię metody. Kiedy dziś śledzę poziom Instytutu Historii KUL, mogę stwierdzić tylko jedno: opatrność Boża uchroniła IHK od takiego megalomanu. Niewątpliwie zadziałałoby prawo naczyń połączonych, z oczywistą szkodą dla historii Kościoła. Nie znam dziś osiągnięć ani planów IHK, ale jestem pewien, że zarówno praca badawcza, jak i dydaktyczna mają się tam lepiej niż w Instytucie Historii. Przyczyny tego są złożone. Perspektywa bezrobocia absolwentów historii nie skłania do rzetelnego studium, a poziom sił nauczających jest adekwatny do stanu wiedzy humanistycznej w obecnych czasach. Zaledwie wyjątki starają się nie obniżać poprzeczki. Nie widać ich za bardzo w Instytucie Historii KUL.

Ksiądz Żywczyński, informowany na bieżąco o sprawie, od samego początku twierdził, że nie ma ona szans powodzenia, ponieważ uporządkowałaby sprawę

historii na KUL, a to nie leży w interesie niektórych osób, które zrobiły sobie z tej agendy własny folwark. Miał rację. Tym bardziej nalegał, żeby zrobić coś w sprawie podręcznika, ale ja po naszej przegranej podupadłem na duchu. Coraz bardziej dochodziłem do wniosku, że trzeba stworzyć zespół z osób, które nie byłyby organicznie związane z Instytutem Historii Kościoła. Myśl była przyszłościowa, rozwijające się stale seminarium i rosnąca liczba doktorantów pozwalały żywić nadzieję na jej spełnienie.

Nic dziwnego, że z habilitacją ks. Stanisława Wilka wiązałem plany wyprowadzenia historii Kościoła w instytucie z ciasnego zaułka. W 1992 r., w momencie habilitacji ks. Wilka, w katedrze doktoryzowało się już 21 osób. Wiele z powodzeniem mogło podjąć współpracę, gdyby doszło do powstania zespołu realizującego określony program. Obecność w takim gremium dwóch albo więcej pracowników samodzielnych gwarantowała sukces. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Kiedy więc pewnego dnia zatelefonował do mnie prof. Jerzy Wiślocki¹⁸² z Poznania z pytaniem, czy mój adiunkt przygotowuje habilitację na temat episkopatu międzywojennej Polski, najpierw mocno się zdziwiłem, a potem zaniepokoiłem. Niepokój, jak się okazało, nie był bezpodstawny. Usłyszawszy moje potwierdzenie, prof. Wiślocki powiedział, że jego adiunkt, dr Krzysztof K., ma gotową pracę dokładnie na ten sam temat. Dodał, że jego habilitacja to kwestia niedalekiej przyszłości, zatem jeśli wyprzedzi on ks. Wilka i zostanie zatwierdzony przez Centralną Komisję Kwalifikacyjną, to kolejna habilitacja poświęcona temu samemu zagadnieniu nie przejdzie. Co innego, gdyby obaj bronili się w tym samym czasie. Zrozumiałem, że to, co mówił prof. Wiślocki, może faktycznie zaważyć na karierze mego adiunkta.

Nie potrafiłem ukryć wdzięczności i swoistego podziwu dla lojalności poznańskiego profesora, bardzo wysoko oceniłem jego gest. Profesor Wiślocki wielokrotnie zapewniał mnie, że jest niewierzący. Oczywiście nie miało to wpływu na mój stosunek do niego, choć uważam, że nikt nie jest niewierzący. Albo wierzy, że Bóg istnieje, albo wierzy, że Go nie ma, gdyż innej wiedzy na ten temat mieć nie może. Niemniej prof. Wiślocki nie był sympatykiem kleru, co zresztą lubił przy różnych okazjach podkreślać. Jeszcze jedno warto tu dodać. Zarówno ja, jak i ks. Wilk recenzowaliśmy dosyć krytycznie książki Jerzego Wiślockiego

¹⁸² Jerzy Wiślocki (1928–2008), prawnik i historyk. W czasie drugiej wojny żołnierz AK. Więziony przez aparat bezpieczeństwa PRL w 1956. Doktorat z prawa 1963, habilitacja 1978, profesor zwyczajny 1983. Wieloletni dyrektor Biblioteki Kórnickiej PAN.

o konkordacie 1925 r.¹⁸³ i majątku kościelnym¹⁸⁴. Pewne podstawowe wartości właściwe człowiekowi nie zawsze zatem zależą od jego światopoglądu religijnego. Miałem później zgodać przeciwnie doświadczenia z osobami duchownymi, nie wyłączając, jak by się mogło wydawać, osób mi bliskich. Zdarzało się, że wierzący niejako „służbowo” w zwykłych ludzkich sprawach pokazywali zupełnie inne oblicze niż ów profesor, nie wahali się szkodzić bliźniemu *per fas et nefas*¹⁸⁵, nie gardząc kłamstwem, insynuacją. Na tych kartkach opisałem takie przypadki, można zatem poprzestać na krótkiej wzmiance.

Zaraz po telefonie z Poznania zadzwoniłem do ks. Wilka i poprosiłem go o możliwie spieszne przybycie do mnie. Powiedziałem mu, jak sprawa wygląda. Był zmartwiony. Pracę miał prawie ukończoną, ale nie widział powodu do pośpiechu. Teraz taki powód się znalazł i trzeba było działać. Poradziłem mu, żeby sprawy w pracy niekonieczne pozostawił sobie na później, ewentualnie do pełnego jej wydania, a teraz szybko zakończył to, co już ma, i wydrukował książkę. Na wydziale zrozumiano konieczność takiego załatwienia sprawy i już w czerwcu 1992 r. mogła się odbyć habilitacja.

Szansa na rozbudowę katedry?

W tym czasie moje seminarium magisterskie i doktoranckie było już stosunkowo liczne, toteż w katedrze było miejsce dla dwóch pracowników samodzielnych, jak również dla nowego asystenta. Byłem święcie przekonany, że z ks. Wilkiem stworzymy silny ośrodek badawczy nad dziejami najnowszymi Kościoła. Okazało się to moją wielką pomyłką. Dzieliłem się swoimi pomysłami z ks. Wilkiem, co przez niego przyjmowane było w milczeniu. Nigdy się w tej kwestii nie wypowiedział – ani za, ani przeciw. To było przed habilitacją, więc myślałem, że jest nią zaabsorbowany, a moje projekty po prostu przyjmuje do wiadomości. Do głowy mi nie przychodziło, że stać go będzie na to, co później uczynił.

Nie kryłem zamiaru zatrudnienia po jego habilitacji asystenta katedry. Na to stanowisko był pierwotnie przewidziany ks. Bernard Wirkus¹⁸⁶, który jako kleryk

¹⁸³ J. Wisłocki, *Konkordat polski z 1925 r. Zagadnienia prawno-polityczne*, Poznań 1977.

¹⁸⁴ J. Wisłocki, *Uposażenie Kościoła i duchowieństwa katolickiego w Polsce 1918–1939*, Poznań 1981.

¹⁸⁵ *Łac.* prawem i bezprawiem, nie przebierając w środkach. Sentencja łacińska określająca zabieg erystyczny polegający na obalaniu tylko jednego wybranego argumentu uzasadniającego daną tezę i triumfalne potem ogłoszenie, że teza nie ma podstaw, choć dyskutant nie obalił wszystkich przedstawionych argumentów.

¹⁸⁶ Bernard Wirkus (1955–1983), ksiądz diecezji pelplińskiej. Święcenia kapłańskie 1980. Historyk, regionalista. Magisterium na KUL 1980. Wikariusz w parafii w Lubawie 1980–1983, w parafii Zwiastowania Pańskiego w Chojnicach 1983.

seminarium pelplińskiego napisał wspaniałą pracę magisterską pt. *Biskupi chełmińscy – miejsca ich wiecznego spoczynku, nagrobki, epitafia, literatura elegijna*. Był to temat z pewnością podsunęty magistrantowi przez jego wykładowców ks. dr. Edmunda Piszcz¹⁸⁷, względnie ks. prof. Janusza Pasierb¹⁸⁸, ale w tym czasie magisteria z tamtejszego seminarium przeprowadzane były na KUL i firmowane przez jednego z naszych profesorów. W tym wypadku przeze mnie. Poziom pracy wskazywał nie tylko na zamiłowanie jej autora do historii, lecz także na nieprzeciętną inteligencję i dobre pióro. Marzył mi się taki właśnie pracownik naukowy w mojej katedrze. Niestety, ten młody neoprezbiter w czasie wakacji utonął w morzu.

Równocześnie z nim magisterium robił ks. Jan Walkusz¹⁸⁹. Łatwo poszło załatwienie sprawy z biskupem chełmińskim Bernardem Czaplińskim¹⁹⁰, a ks. Walkusz wszedł niejako na miejsce zmarłego kolegi. Początkowo zatrudniony był w redakcji *Encyklopedii katolickiej*, udzielał się także w pracach Katedry Historii Kościoła w XIX i XX w.

Dla mnie nastał czas większej swobody poruszania się, co skłoniło mnie do starania się o wykorzystanie urlopów sobotnich do prac w archiwach zagranicznych. W czasie moich nieobecności powierzałem pewne zajęcia zarówno ks. Wilkowi,

¹⁸⁷ Edmund Piszcz (ur. 1929), ksiądz diecezji pelplińskiej. Świecenia kapłańskie 1956. Student KUL od 1958. Doktorat z teologii 1962. Kierownik Archiwum Diecezjalnego w Pelplinie 1962–1985. Kapelan honorowy Jego Świątobliwości od 1970. Wykładowca w WSD w Pelplinie 1962–1982, w Warmińskim Instytucie Teologicznym w Olsztynie od 1985. Biskup pomocniczy diecezji chełmińskiej 1982–1985. Administrator apostolski *sede plena* diecezji warmińskiej 1985–1988. Biskup diecezjalny warmiński od 1988. Po reorganizacji struktur kościelnych w 1992 arcybiskup metropolita warmiński 1992–2006. Od 2006 arcybiskup senior.

¹⁸⁸ Janusz Pasierb (1929–1993), ksiądz diecezji chełmińskiej. Świecenia kapłańskie 1952. Wikariusz w farze w Grudziądzu i Redzie 1952. Studiował na UJ, UW, w Papieskim Instytucie Archeologii Chrześcijańskiej w Rzymie i na uniwersytecie we Fryburgu. Rezultatem studiów było uzyskanie doktoratów z teologii, archeologii i historii sztuki. Habilitacja 1964, profesor nadzwyczajny 1972, profesor zwyczajny 1978. Przez wiele lat pracował jako wykładowca na ATK i wielu innych uczelniach. W 1972 debiutował jako poeta na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Członek redakcji czasopism naukowych: „Studia Pelplińskie” (od 1968), „Studia Claromontana” (od 1981), „Nasza Przeszłość” (od 1984), „Przegląd Katolicki” (od 1988).

¹⁸⁹ Jan Walkusz (ur. 1955), ksiądz diecezji chełmińskiej. Świecenia kapłańskie 1980. Wikariusz w parafii w Osiu nad Świeciem 1980–1982, Działdowie 1982–1983, parafii NSPJ w Gdyni 1983–1984. Następnie od 1984 student KUL. Doktorat 1990, habilitacja 2002, profesor nadzwyczajny 2004, profesor zwyczajny 2010. Od 1989 pracownik naukowy KUL. Kierownik Zakładu Leksykograficznego od 1991. Od 1995 pracownik Zakładu Historii Kościoła XIX i XX w., w latach 2003–2014 jego kierownik. Dyrektor Instytutu Historii Kościoła 2004–2012. Od 2014 kierownik Katedry Historii Kościoła w Czasach Najnowszych, Metodologii i Nauk Pomocniczych.

¹⁹⁰ Bernard Czapliński (1908–1980), ksiądz diecezji chełmińskiej. Świecenia kapłańskie 1931. Biskup pomocniczy chełmiński 1948–1973. Biskup diecezjalny chełmiński 1973–1980.

jak i ks. Walkuszowi, choć nigdy nie była to opieka nad doktorantami. Chciałem prosić ks. Wilka o ewentualne konsultowanie doktorantów w czasie mego pobytu w USA na stypendium Catholic University of America w Waszyngtonie w 1991 r. Zaproponowałem im takie rozwiązanie, względnie nawet okresowe spotkania seminaryjne. Wszyscy zdecydowanie odmówili i poprosili mnie, bym na czas nieobecności wyznaczył każdemu jakiś zakres pracy. Uważam, że doktoranci kierowali się głównie chęcią uniknięcia obowiązkowego udziału w seminarium doktoranckim, choć zdziwiła mnie jednomyślność, z jaką odrzucono moją propozycję. Tak było też w czasie moich następnych wyjazdów zagranicznych. Ksiądz Wilk i ks. Walkusz konsultowali jedynie magistrantów i obaj w tym względzie wykonywali swe zadania bez zarzutu.

Tym większe było moje zaskoczenie, kiedy po powrocie z drugiego semestru wykładów na Seton Hall University w New Jersey dowiedziałem się, że ks. Wilk zgłosił projekt podzielenia mojej katedry, przy czym dla siebie przewidział dzieje Kościoła w XX w. Uważałem wtedy i obecnie także tak uważam, że siłą katedry był właśnie jej zakres chronologiczny, historia XX w. jest bowiem całkowicie niezrozumiała bez uwzględnienia wieku poprzedniego, podobnie jak zajmowanie się tylko XIX w. bez sięgnięcia wstecz, choćby do połowy XVIII w., jest trudne i pozostawia pewien niedosyt, gdy chodzi o genezę wielu zdarzeń.

Ksiądz Żywczyński miał formalnie dwie katedry historii Kościoła: nowożytnej i najnowszej. Odchodząc na emeryturę, radził mi, bym dla siebie postulował Katedrę Historii Kościoła w XIX i XX w. W trakcie naszej długiej rozmowy bardzo się do tego pomysłu zapalił i starał się, zresztą z powodzeniem, mnie do niego przekonać. Ksiądz Kumor zgłosił opcję Katedry Historii Nowożytnej Kościoła. Próbował zabrać także XIX w., ale do tego nie doszło. Już dobrze nie pamiętam, ale chyba sprzeciwił się temu ks. Rechowicz. Zdecydowanie przeciwny był też ks. Żywczyński, choć realnego wpływu na rozwiązanie tej kwestii już nie miał. Co do mnie, to muszę przyznać, że gdyby nie ten ostatni, to być może zgodziłbym się na tzw. historię najnowszą. Piszę tak zwaną, gdyż pojęcie jest nieprecyzyjne.

Ostatecznie stworzono mi katedrę obejmującą XIX i XX w., którą kierowałem aż do emerytury. Sam się przekonałem, że bardzo trudno przychodzi badania nad pierwszą połową XIX w., jeśli nie ma się zaplecza w postaci dziejów XVIII-wiecznych. Zwłaszcza jeśli bierze się na warsztat dzieje kościelne i polityczne, gdyż epoka rewolucji obejmująca przełom XVIII i XIX w. oznacza zarazem przewartościowanie wielu dziedzin życia, start nowych ideologii i pojęć kształtujących

stosunki społeczne. Przekonałem się o tym, przygotowując książkę *Papiestwo i papieże dwóch ostatnich wieków*¹⁹¹. Miałem na myśli XIX i XX w., ale zaraz nasuwał się problem, gdzie zaczyna się XIX w. Czy od Piusa VII, według kryterium chronologicznego? Byłaby to cezura sztuczna, ponieważ sytuację papieską w sposób istotny zmienił już Napoleon, gdy opanował Italię i uwięził Piusa VI. Należało więc zacząć od tego momentu, jeżeli się chciało uwzględnić wpływ rewolucji francuskiej na dzieje papiestwa i Kościoła w Europie.

Po moim powrocie z USA w czerwcu 1995 r. okazało się, że plan podziału katedry, co moim zdaniem, równałoby się jej unicestwieniu, był już gotowy, a pomyśł ks. Wilka gorliwie popierał ówczesny dziekan Wydziału Teologicznego ks. Anzelm Weiss¹⁹² i oczywiście ks. Bolesław Kumor. Nie miałem innego wyjścia, jak poddać się arbitrażowi ówczesnego rektora ks. Stanisława Wielgusa¹⁹³. Wcześniej skierowałem pismo do kierownika Instytutu Historii Kościoła ks. Zahajkiewicza. Każdy umywał ręce od tej niezwyklej sprawy. Sojusznika w instytucie nie miałem żadnego. A jeśli się takowi znaleźli, to bali się ujawnić swój pogląd.

Spotkaliśmy się u rektora: prócz mnie i ks. Wilka, obecny był ks. Kumor, ks. Weiss i ks. Marek Zahajkiewicz¹⁹⁴. Każdy przedstawił swoją rację. Ksiądz Weiss orzekł arbitralnie, że ja nie potrafię współpracować. Co miał na myśli, tego dotąd nie wiem. Pamiętam bardzo zaangażowane, a skierowane przeciwko mnie wystąpienie ks. Kumora, za które na krótko przed śmiercią bardzo mnie przepraszał.

¹⁹¹ Z. Zieliński, *Papiestwo i papieże dwóch ostatnich wieków*, Warszawa 1983. Wspomniana praca miała jeszcze trzy poprawione i uzupełnione wydania: Poznań 1986, Warszawa 1999, Poznań 2007.

¹⁹² Anzelm Weiss (ur. 1940), ksiądz diecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1963. Historyk. Wikariusz i katecheta w Międzychodzie, a następnie kapelan tamtejszego szpitala 1963–1966. Absolwent KUL. Doktorat 1974, habilitacja 1985, profesor KUL od 1992. Kierownik Zakładu Metodologii i Nauk Pomocniczych Historii Kościoła 1986–1988, od 1988 kierownik Katedry Historii Kościoła w Czasach Nowożytnych. Prodziekan Wydziału Teologicznego 1990–1993, a następnie dziekan 1993–1999.

¹⁹³ Stanisław Wielgus (ur. 1939), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1962. Wikariusz w parafii św. Tomasza Apostoła w Zamościu 1962–1963, św. Pawła w Lublinie 1963–1965, św. Mikołaja w Hrubieszowie 1968–1969. Od 1969 pracownik naukowy KUL. Doktorat z filozofii 1972, habilitacja 1980, profesor nadzwyczajny 1989, profesor zwyczajny 1992. Kierownik Katedry Historii Filozofii w Polsce 1989–2006. Rektor KUL 1989–1998. Biskup diecezjalny płocki 1999–2006. W 2006 mianowany arcybiskupem metropolii warszawskiej. W 2007 zrezygnował z urzędu na skutek oskarżeń o współpracę z SB. Zarejestrowany jako TW SB ps. „Grey”, „Adam”, „Adam Wysocki” od 1973 do połowy lat osiemdziesiątych.

¹⁹⁴ Marek Zahajkiewicz (1913–2015), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1956. Student KUL od 1956. Wikariusz w parafii Nawrócenia św. Pawła w Lublinie 1962–1966. Pracownik naukowy KUL od 1965. Doktorat 1967, habilitacja 1977, profesor nadzwyczajny od 1992. Kierownik Katedry Historii Kościoła w Średniowieczu 1975–2006. Dyrektor Instytutu Historii Kościoła 1983–2004. Dyrektor Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych 1985–2006.

Przyznawał, że było niesprawiedliwe. Ksiądz Kumor miał tylko jeden argument: miałem największą liczbę seminarzystów, bo każdy – jak twierdził – chce pisać pracę z historii najnowszej. Ksiądz Zahajkiewicz nie zabrał głosu. Liczyłem na jego poparcie, ale widocznie uznał, że lepiej trzymać się od tej sprawy z daleka, gdyż stając po mojej stronie, byłby odosobniony. Nie mam o to do niego pretensji i nigdy nie uważałem, że ktoś jest zobowiązany w jakikolwiek sposób mnie wspomagać. Ksiądz Żywczyński, zatrudniając mnie, zaznaczył, że sam muszę wypracować swą pozycję w zespole. To była dobra metoda, uodparniała na nieuzasadnione liczenie na czyjąś pomoc.

Powody dużej frekwencji na moim seminarium były inne aniżeli te, które sugerował ks. Kumor. Zarówno on, jak i ks. Stanisław Librowski czynili wszystko, by odciągać studentów z mojego, a chyba nie tylko mojego, seminarium, mimo że w instytucie obowiązywała niepisana zasada, iż do Bożego Narodzenia każdy nowo przybyły student ma mieć czas na samodzielny wybór. Nie wiem, jak inni, ale dwaj wymienieni profesorowie już w czasie egzaminów wstępnych usiłowali skłonić podejmujących studia do udziału w swoich seminariach lub wręcz pisywali do biskupów, by ci nakazywali księżom ich obieranie. Były to praktyki niezupełnie szlachetne, a przede wszystkim upokarzające nie tylko owych profesorów, ale i nas wszystkich w oczach studentów.

Zdarzyło się kilkakrotnie, że studenci pierwszego roku z mojego seminarium przychodzili do mnie mocno przestraszeni pogrózkami ze strony tych dwóch profesorów, mającymi skłonić ich do przejścia do nich. Byłem w trudnej sytuacji, gdyż nie mogłem interweniować, nie ściągając na głowy tych nieszczęśników zemsty. Zapewne nie doszłoby do tego, ale już sama taka groźba była deprymująca. Odczuwałem ogromny dyskomfort, a „łapichłopstwo” zawsze było w moim mniemaniu wstrętne i żenujące.

Uważałem też za poniżające uciekanie się do biskupów w celu podratowania własnego prestiżu i nie było przypadku, bym się posunął do tak nieciekawej praktyki. Sądziłem, że możemy podejmować inicjatywy naukowe we własnym zakresie, i byłem otwarty na wspólne działania, o czym już pisałem. Mimo to ks. Weiss w czasie rzeczonego spotkania zarzucił mi brak chęci do współpracy. W tym konkretnym wypadku współpraca miałaby polegać na współdziałaniu w niszczeniu wypracowanego przeze mnie w ciągu ponad 20 lat dorobku. O innym współdziałaniu nie mogło być mowy, gdyż to właśnie ja okazywałem dla niego wiele zrozumienia, niestety, bez odwzajemnienia. Ksiądz Wielgus przysłuchiwał

się dyskusji i w pewnym momencie z właściwym sobie temperamentem zapytał, co tak naprawdę jest przedmiotem tej rozmowy. Wydawało mi się, że pytanie kierował do mnie, odpowiedziałem zatem bez owijania w bawełnę, w czym rzecz. Na to rektor:

– Jak to może być, by ktoś żądał tego, co inny posiada?

Zapanowało milczenie. Rektor po chwili ciągnął dalej:

– Nie będzie żadnych podziałów, ks. Zieliński ma mieć katedrę, jaką miał dotychczas, a nie jest żadnym dogmatem, że po habilitacji od razu trzeba dostać swoją katedrę.

Na tym zebranie się skończyło. Do mnie rzekł rektor nieco później, bym nie godził się na żadną dyskusję na temat tu poruszony. Dał jasno do zrozumienia, co myśli o poczynaniach pewnych osób, ale można to tu bez uszczerbku dla całości pominąć.

Ksiądz Wilk, widocznie niezrażony przebiegiem rozmowy z rektorem, zwrócił się do mnie z zapytaniem, co ma teraz począć, skoro nie ma katedry. Trochę mnie to rozbawiło, ale nie chcąc zbyć go byle czym, poradziłem powołać bardzo potrzebną katedrę dziejów zakonów, do której prowadzenia on jako zakonnik ma specjalne predyspozycje. O potrzebie takiej katedry byłem głęboko przekonany. Okazało się, że trafiłem w sedno, katedrę tę ma on podobno po dziś dzień. Swoją drogą mogłem czuć się zdziwiony, a nawet dotknięty rozwiązaniem sprawy zaproponowanym nie wiadomo przez kogo, której beneficjentem miał być adiunkt mojej katedry. Nie wiem, czy on sam był wnioskodawcą, czy tylko inspirował taką myśl – nie ma to znaczenia i nigdy tego nie dociekałem.

Postawa ks. Wilka bardzo mnie zabolęła, byłem mu szczerze oddany i on dobrze o tym wiedział, a jednak po prostu to zlekceważył. Tylko to mam mu za złe. W czasie, kiedy dojrzewała jego rozprawa, poprosiłem go na rozmowę i przedłożyłem plan naszej współpracy po jego habilitacji, proponowałem samodzielne zajęcia w naszej wspólnej katedrze. Bardzo mi wtedy zależało, żeby wyjawiał swoją opinię na ten temat. Nie zareagował na to, tylko się uśmiechał. Nie wspomniał o planie rozbijania katedry. Byłem przekonany, że postępowałem wobec niego zawsze uczciwie i miałem prawo spodziewać się tego samego. Tak mi się przynajmniej wydawało. Planowałem stworzenie silnego ośrodka badań nad historią najnowszą Kościoła, w którym ks. Wilk miałby seminarium z historii Kościoła w Polsce w XX w., ja zaś resztę, tzn. powszechną i XIX w. Zgłoszona przezeń opcja i postawa członków instytutu, bez wątpienia przedkładających animozje personalne

nad jego dobro, pokrzyżowały te plany. Wyjaśnienie tej sprawy uważam za swój obowiązek, z pewnością nie ponoszę bowiem winy za to, że możliwości rozwoju katedry spełzły na niczym. Nie jest dziwne, że później trudno mi było przemóc się i zachowywać tak, jak gdyby nic się nie stało. Mój były adiunkt sam zresztą zadeptał ścieżki, które niegdyś go do mnie prowadziły.

Musiałem poświęcić nieco uwagi temu przykreemu odcinkowi mojej pracy na KUL, inaczej wiele spraw przedstawionych w tych wspomnieniach byłoby niezrozumiałych. Mój sprzeciw wobec projektu podziału katedry według pomysłu ks. Wilka lub kogokolwiek innego miał mieć swój dalszy ciąg w momencie, kiedy mój były adiunkt stanął na szczytach władzy. Najśmielsza moja wyobraźnia nie potrafiła tego przewidzieć, zresztą nawet takie przewidywania nie zmieniłyby mojej postawy. Jego życzliwość czy niechęć wobec mojej osoby były mi zawsze i są nadal całkowicie obojętne. Inaczej być nie może. Jedyną możliwą reakcją jest uodpornienie się na takie gesty, jakie mnie spotkały. Co można ofiarować komuś, kto w taki czy inny sposób jest od nas zależny? Lojalność i szczerą gotowość pomocy. W moim postępowaniu braku tego nikt mi nie może zarzucić.

Wracam do bardzo dla mnie istotnych spraw budowania samodzielnej już jednostki naukowej i dydaktycznej, jaką była kierowana przeze mnie katedra. Nie przesadzam, pisząc o budowaniu, gdyż katedra ta w 1972 r. faktycznie nie istniała. Była rzeczywistością, jak by się dziś powiedziało, czysto wirtualną.

Świeżo upieczony docent nie był specjalnie atrakcyjny dla tych, którzy robili magisterium u takiej sławy jak ks. prof. Żywczyński. Niektórzy dali mi to wyraźnie odczuć. Nazwiska pominę, choć bywali i tacy, którzy po obejściu różnych seminariów, zjawili się u mnie i osiągnęli laury doktorskie. Rozumiałem ich zresztą i nie miałem żalu, choć z trudem przychodziło mi skłecenie *quorum*. Wtedy docent nie považowałby się akceptować tytułowania go profesorem. Gdy dziś patrzę, jak profesor uczelniany sam sobie wypisuje tytuł: prof. dr hab. i umieszcza to na drzwiach gabinetu uczelnianego – a nie jest to przypadek rzadki – nie mogę wprost tego pojąć. Wysłałem kiedyś pismo do pewnego docenta do Poznania, w którym tytułowałem go profesorem. Bardzo życzliwie mi odpowiedział, ale zaznaczył, że jest docentem i ceni sobie ten tytuł, natomiast nadużycie nieprzysługującego mu tytułu nie może go satysfakcjonować. Tak było i często nadal jest, ale nie zawsze.

Przypominam sobie, jak wiele było we mnie niepewności, czy program seminarium, a zwłaszcza jego realizacja, i samo prowadzenie zajęć odpowiadają wymogom uniwersyteckim. Nie chciałem się wzorować na moim Mistrzu, u niego

można już było zaobserwować pewną rutynę, na którą początkujący mentor nie powinien sobie pozwalać. Znowu przydałaby się dygresja – dziś nie jest to tak częste.

Ksiądz Żywczyński był niezwykle zainteresowany moim seminarium. Kiedy nie udało mi się w sobotę go odwiedzić, czynił wymówki, że mu nie opowiadam o tym, co i jak robię. Dopiero znacznie później zrozumiałem, jakie było to z jego strony mądre i życzliwe. A ja z początku krępowałem się z powodu rzekomej kontroli! Jakże byłem naiwny, a może niepewny siebie, bo znając krytycyzm Mistrza, zawsze myślałem, że wyłapie wszystkie słabe strony. Jeśli nawet nic nie powie, to sobie to i owo pomyśli. W moje opowiadanie zawsze, jak gdyby od niechcenia, wpłatał uwagi dla mnie wprost bezcenne. Ile popełniłbym błędów, gdyby nie jego wskazówki. Nauczył mnie przede wszystkim – i to właśnie wówczas, nie w czasie studiów – jak się formuluje temat i jak należy powiązać z nim konstrukcję pracy. Czytając później prace doktorskie, habilitacyjne czy też publikacje innego rodzaju, już na pierwszy rzut oka mogłem ocenić warsztat i logikę wywodu. Niestety, rzadko była to czy jest ocena bez żadnych zastrzeżeń.

Zdumiewał mnie zawsze brak umiejętności formułowania tematu zauważany także u profesorów legitymujących się pokaźnym dorobkiem. W ślad za źle sformułowanym tematem, przeważnie z mankamentami logicznymi, idzie też sama konstrukcja pracy, również pięta achillesowa wielu dzieł. Otóż ks. Żywczyński był pod tym względem nieubłagany. Każdą usterkę wyłowił i skrytykował. Kto chciał, mógł się od niego nauczyć zasad obowiązujących w postawieniu problemu, innymi słowy, w werbalnym ujęciu tematu i jego rozwinięciu w postaci spisu treści pracy, bo tak można najprościej określić jej strukturę.

Jak uprawiać historię? Wykłady i seminarium – wypadkowa badań

Seminarium było wspólne dla magistrantów i doktorantów. Często dziwiono się, że łączę jedno z drugim, ale z biegiem czasu coraz bardziej się przekonywałem, że wyniki takiego seminarium są nieporównywalnie lepsze niż zajęć prowadzonych osobno dla magistrantów i osobno dla doktorantów. Jedni i drudzy korzystają. Zarówno prace doktorskie, jak i masterskie są na wyższym poziomie, nie mówiąc o utrwalaniu wiadomości metodologiczno-warsztatowych uczestników. Sprawdzian tego przyszedł znacznie później, kiedy moi doktorzy sami już mieli magistrantów. Prowadzone przez nich magisteria były znacznie staranniej niż

te, którym sam patronowałem. Od seminarzystów wymagało się sporo i bywali tacy, którzy się wykruszali, mimo to seminarium moje rosło z roku na rok. W sumie wydało 46 doktorów i około 250 magistrów i licencjatów. Około 30 osób spośród moich doktorów habilitowało się. W 2016 r. było sześciu profesorów zwyczajnych, moich byłych seminarzystów. Mogę śmiało powiedzieć, że niemal każda z tych prac przeszła przez moje ręce.

Zaufanie, którego doświadczałem ze strony mych studentów, to była największa nagroda, której nie zamieniłbym na żadną inną. Poza nagrodami za prace habilitacyjne, przyznawanymi każdemu habilitantowi, nie otrzymałem w ciągu z górą 40 lat pracy na KUL absolutnie żadnego wyróżnienia, ba, nawet dobrego słowa, które świadczyłoby o uznaniu dla mej pracy. Pracowałem za pobory i nic więcej. Wypadałoby to uznać za dyskomfort, odczuwany tym bardziej, że dwukrotnie dokonano czynów wręcz nagannych, by udaremnić przyznanie mi przewidzianych nagród – ministra edukacji i innej, już całkowicie wewnątrzuniwersyteckiej, ale przecież najbardziej prestiżowej. Nie warto o tym szerzej pisać.

Na przekór tym niegodnym machinacjom ogromną satysfakcję dawały mi zawsze bliskie i serdeczne więzi z większością mych uczniów, nacechowane zaufaniem i lojalnością. Trudno tu wymienić wszystkich moich doktorów, którzy pozostali w szczególnej pamięci. Wszystkich bez wyjątku darzę szacunkiem, bo pracowali rzetelnie i każda z prac coś do historiografii wносиła. Pierwszym moim doktorem w 1977 r. był ks. prof. dr hab. Anastazy Nadolny¹⁹⁵. Po dwóch latach doktoryzowali się ks. Stanisław Janeczek¹⁹⁶ i s. Lucyna Mistecka¹⁹⁷, w 1981 r. ks. Józef Kiedos¹⁹⁸, obecnie również profesor. Z późniejszych profesorskie szlify

¹⁹⁵ Anastazy Nadolny (ur. 1937), ksiądz diecezji pelplińskiej. Święcenia kapłańskie 1960. Wikariusz w parafii w Skarlinie 1960–1961 i w Toruniu 1961–1964. Absolwent KUL. Historyk. Od 1974 pracownik naukowy KUL. Doktorat 1977, habilitacja 1995, profesor zwyczajny 2007. Wykładowca w WSD w Pelplinie od 1981, prefekt studiów 1982–1985, dyrektor biblioteki 1981–1992. Dyrektor archiwum diecezjalnego od 1985. Członek Rady Archiwalnej przy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych 1992–1998. Od 2001 zatrudniony na UMK w Toruniu.

¹⁹⁶ Stanisław Janeczek (ur. 1951), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1975. Duszpasterz w Karczmiskach 1975–1977. Duszpasterz parafii lubelskich 1980–1988. Absolwent KUL. Doktorat 1988, habilitacja 2004, profesor nadzwyczajny od 2006, profesor zwyczajny 2011. Pracownik naukowy KUL od 1988. Prodziekan Wydziału Filozofii KUL 2005–2008, dziekan 2008–2011. Dyrektor Instytutu Historii Kultury w Średniowieczu 2005–2008. Od 2006 kierownik Katedry Historii Filozofii w Polsce w Instytucie Filozofii Teoretycznej.

¹⁹⁷ Maria Lucyna Mistecka CR (ur. 1930), brak bliższych danych.

¹⁹⁸ Józef Kiedos (ur. 1943), ksiądz diecezji bielsko-żywieckiej. Święcenia kapłańskie 1970. Teolog. Absolwent KUL. Doktorat 1981, habilitacja 1997, profesor zwyczajny 2008. Wykładowca na PWT w Krakowie, następnie UPJPII, UŚ. Obecnie na emeryturze.

uzyskali ks. Bernard Kołodziej¹⁹⁹, ks. Bogdan Stanaszek²⁰⁰, ks. Jan Pietrzykowski²⁰¹, ks. Dominik Zamiatąła²⁰², ks. Józef Wołczański²⁰³.

Ten ostatni zdobył wielkie uznanie wytrwałym i skutecznym penetrowaniem archiwaliów dotyczących dawnych wschodnich terenów Polski. Jego publikacje i udostępnianie przezeń źródeł mają zasadnicze znaczenie dla wiedzy historycznej o tamtych ziemiach. Edycja źródeł to zawsze trud trochę niewdzięczny, jeśli porównać go z dziełami autorskimi, ale edycje ks. Wołczańskiego ze względu na ich opracowanie i opatrzenie bardzo erudycyjnym aparatem są czymś wręcz wyjątkowym. Dwóch moich doktorów osiągnęło godność biskupią – Adam Szal²⁰⁴ i Mariusz Leszczyński²⁰⁵.

¹⁹⁹ Bernard Kołodziej TChr (ur. 1943), w latach 1962–1967 pracował jako górnik w kopalni węgla kamiennego „Murcki” w Katowicach. Do zgromadzenia wstąpił w 1962. Święcenia kapłańskie 1974. Wikariusz w parafii w Płotach na Pomorzu Zachodnim 1974–1976. Doktorat 1982, habilitacja 2004, profesor nadzwyczajny UAM od 2006. Wykładowca na UAM w Poznaniu 1988–2014. Kierownik Zakładu Historii Kościoła Wydziału Teologicznego od 2004. Dyrektor Instytutu Duszpasterstwa Emigracyjnego 1995–2003. Członek zarządu Światowej Rady Badań nad Polonią od 2004. Obecnie dyrektor Archiwum Towarzystwa Chrystusowego i wykładowca na UAM w Poznaniu.

²⁰⁰ Bogdan Stanaszek (ur. 1966), ksiądz diecezji przemyskiej, inkardynowany do diecezji sandomierskiej. Święcenia kapłańskie 1991. Absolwent KUL. Historyk. Doktorat 1997, habilitacja 2006, profesor nadzwyczajny 2008, profesor zwyczajny 2010. Dyrektor Archiwum Diecezjalnego w Sandomierzu 1995–2005. Wykładowca w WSD w Sandomierzu od 1998. Pracownik naukowy KUL 2003–2008. Pracownik naukowy PAT, a następnie UPJPII od 2008. Dyrektor Instytutu Historii 2009–2012. Członek Komitetu Nauk Historycznych PAN 2012–2015.

²⁰¹ Jan Pietrzykowski SDB (ur. 1954), do zgromadzenia wstąpił w 1973. Pierwsza profesja 1974. Święcenia kapłańskie 1984. Absolwent KUL. Teolog i historyk. Doktorat 1989, habilitacja 2008. Dyrektor Archiwum Salezjańskiego Inspektorii Warszawskiej od 1999. Wykładowca w WSD salezjanów w Łądz. Profesor nadzwyczajny UKSW i kierownik Zakładu Historii Kościoła w Średniowieczu na Wydziale Historii.

²⁰² Dominik Zamiatąła CMF (ur. 1967), do zakonu wstąpił 1988. Święcenia kapłańskie 1994. Absolwent PWT we Wrocławiu i KUL. Doktorat 1999, habilitacja 2010. Obecnie wykładowca i profesor nadzwyczajny UKSW.

²⁰³ Józef Wołczański (ur. 1959), ksiądz diecezji przemyskiej. Absolwent KUL. Historyk i teolog. Doktorat 1991, habilitacja 2003, profesor zwyczajny 2014. Pracownik naukowy UPJPII, kierownik Katedry Historii Kościoła XIX i XX wieku.

²⁰⁴ Adam Szal (ur. 1953), ksiądz diecezji przemyskiej. Święcenia kapłańskie 1979. Wikariusz w parafii Lutcza 1979–1982, parafii Świętej Trójcy w Krośnie 1982–1984, parafii Ducha Świętego w Przeworsku 1987–1988. Dyrektor biblioteki i wykładowca w Instytucie Teologicznym w Przemyśle. Doktorat z zakresu historii Kościoła 1990, habilitacja 2006, profesor nadzwyczajny 2008, profesor zwyczajny 2010. Rektor WSD w Przemyśle 1996–2001. Kanonik gremialny Kapituły Metropolitalnej w Przemyśle od 1999, od 2005 jej prepozyt. Biskup pomocniczy przemyski i wikariusz generalny archidiecezji 2000–2016. Arcybiskup metropolita przemyski od 2016.

²⁰⁵ Mariusz Leszczyński (ur. 1957), ksiądz diecezji przemyskiej. Święcenia kapłańskie 1983. Notariusz i archiwista kurii w Lubaczowie od 1983. Wikariusz w parafii św. Mikołaja w Lubaczowie 1983–1986, w Oleszycach 1986–1990. Proboszcz parafii w Tarnoszynie 1990–1995. Doktorat z teologii 1995. Dyrektor muzeum diecezjalnego w Zamościu od 1995. Kanonik honorowy Kapituły Katedralnej w Zamościu od 1996. Biskup pomocniczy zamojsko-lubaczowski i wikariusz generalny diecezji od 1998. Dziekan Kapituły Katedralnej od 2001. Krajowy asystent Akcji Katolickiej 2003–2013.

Niemal każdy z doktorów – jeszcze raz proszę o wybaczenie, że pomijam tu wiele nazwisk – upamiętnił się pracami drukowanymi. O Marku Budziarku²⁰⁶ (już nieżyjącym, podobnie jak s. Mistecka) trzeba by powiedzieć więcej. Spod jego pióra wyszło ponad 200 cennych prac, a habilitacyjną otrzymał z drukarni bodajże w przeddzień swej śmierci. Heroicznie walczył, mimo ciężkiej choroby do końca był przekonany, że przebrnie przez kolokwium. Bóg inaczej to rozwiązał, ale posiadanie takiego ucznia – dodajmy: zawsze lojalnego i niekryjącego może aż nazbyt wielkiej wdzięczności – musi napawać optymizmem i dumą. Ze wzruszeniem wspominam jego telefon niemal w przededniu śmierci, kiedy powiadomił mnie o ukazaniu się pracy habilitacyjnej, a właściwie pożegnał się ze mną. Takie gesty wynagradzają wszystkie doznane przykrości.

Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim – prócz już wspomnianych – pozostali: ks. Jan Walkusz, o. Roland Prejs²⁰⁷, ks. Waldemar Żurek²⁰⁸, Maria Dębowska²⁰⁹, Sabina Bober – wszyscy habilitowani. Nadto ks. Janusz Kania²¹⁰. Dorobek Sabiny Bober rósł w krótkim czasie, dlatego można go w pewnym sensie porównać z osiągnięciami śp. Marka Budziarka. Cenne są publikacje Marii Dębowskiej, specjalizującej się w dziejach Kościoła na wschodnich terenach II Rzeczypospolitej. Zresztą mógłbym to powiedzieć o każdym z moich byłych seminarzystów. Nieraz gorliwość badawczo-pisarska nie wychodzi na dobre. Myślę, że tak było właśnie w wypadku pani Bober – wypędzonej z KUL w myśl zasady, że nic nie jest bardziej groźne dla szefa niż mądrzejszy od niego podwładny. Tylko nieliczni

²⁰⁶ Marek Budziarek (1951–2006), historyk i doktor teologii w zakresie historii Kościoła, absolwent KUL, starszy kustosz i kierownik działu historii i kultury Muzeum Miasta Łodzi. Nauczyciel akademicki Akademii Teologii Katolickiej, Papieskiego Wydziału Teologicznego „Bobolanum” w Warszawie, Katedry Badań Niemcoznawczych Uniwersytetu Łódzkiego, członek prezydium Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – IPN. Założyciel i członek zarządu Oddziału Łódzkiego Związku Sybiraków. Autor 27 pozycji książkowych i około 200 publikacji naukowych.

²⁰⁷ Roland Prejs OFMCap (ur. 1956), święcenia kapłańskie 1982. Habilitacja 2006, profesor nadzwyczajny 2008, profesor zwyczajny 2010. Wykładowca w WSD kapucynów w Lublinie od 1987. Wykładowca na KUL od 2006. Kierownik Katedry Historii Kościoła w Czasach Nowożytnych i Dziejów Kościoła na Wydziale Teologicznym KUL od 2006.

²⁰⁸ Waldemar Żurek SDB (ur. 1954), teolog i historyk. Absolwent KUL. Doktorat 1995, habilitacja 2011. Pracownik naukowy KUL. Dyrektor Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych KUL.

²⁰⁹ Maria Dębowska (ur. 1954), historyk. Absolwentka KUL. Doktor habilitowana w zakresie historii. Wieloletnia pracowniczka Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych KUL. Obecnie na emeryturze.

²¹⁰ Janusz Kania (ur. 1946), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1969. Historyk i archiwista. Absolwent KUL. Doktorat z teologii w zakresie historii Kościoła 1990. Od 1980 pracownik i sekretarz naukowy Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych KUL. Pracownik Katedry Historii Najnowszej KUL. Obecnie na emeryturze.

z moich doktorów zajmowali ważne stanowiska, a mniej upodobali sobie pióro. Mam dla wszystkich równy szacunek i wdzięczność za to, że bardzo często pracują na tę szczyptę uznania dla mnie, zwłaszcza w innych środowiskach niż to, z którego wyrosli.

Gdy biorę do ręki niektóre prace byłych uczniów, np. dysertację habilitacyjną ks. Bogdana Stanaszka, zastanawiam się, czy byłoby mnie stać na tak ogromny trud, jakiego wymagała choćby sama tylko kwerenda do tego dzieła. Takie pytania rodzą pragnienie o wiele większej pokory niż ta, na jaką się człowiek może zdobyć, nawet jeśli bliźni mu w tym z całych sił pomagają. Tej pomocy nigdy mi nie odmawiano.

Podobnie czułem pewne zakłopotanie, biorąc do ręki pracę habilitacyjną i profesorską ks. Dominika Zamiaty, profesora na UKSW. Obok niego znalazł tam profesorski fotel ks. Jan Pietrzykowski. Ogromną satysfakcję dawało komunikowanie się ze mną niemal wszystkich moich doktorów zmierzających do habilitacji, choć łączyło się to z niemałym wysiłkiem z mojej strony. Dwa tylko były wyjątki. O habilitacji ks. bp. Mariusza Leszczyńskiego dowiedziałem się dłuższy czas po jej odbyciu i to z trzeciej ręki. Podobnie *ex post* dotarła do mnie wieść o habilitacji ks. Olszara²¹¹ w Katowicach.

Trudno wspomnieć wszystkich uczestników seminarium, nawet tych, którzy odeszli z KUL z doktoratem. O wielu będzie mowa przy innych okazjach. Muszę wszakże zaznaczyć, że nie tylko ja ich, ale także oni mnie sporo nauczili. Profesor, który nie chce tego przyznać, z pewnością nie jest pewny swego autorytetu. Wie dobrze, że z wieloma tematami zapoznał się właśnie dlatego, że były poruszane przez doktorantów czy nawet magistrantów. I wcale nie jest przesadą twierdzenie, iż w niektórych sprawach uczeń przerasta nauczyciela. Przyznanie tego w trakcie seminarium tylko buduje autorytet profesorski. Nigdy nie niszczy.

Wspaniale kontynuuje osiągnięcie doktorskie Danuta Wielgat²¹², popularyzując wiedzę o postaciach historycznych, tradycjach kultowych i przejawach religijności funkcjonujących we własnym środowisku i w Kościele powszechnym.

²¹¹ Henryk Olszar (ur. 1957), ksiądz diecezji katowickiej. Święcenia kapłańskie 1983. Wikariusz i katecheta w parafii Świętej Trójcy w Bielsku-Białej 1983–1985, św. Maksymiliana Kolbego w Bielsku-Białej 1985–1987, Najświętszych Imion Jezusa i Maryi w Brynowie 1993–1995, w Tychach-Czułowie 1995–1997, św. Józefa Robotnika w Józefowcu 1997–2001. Student KUL od 1987. Doktorat z teologii w zakresie historii Kościoła 1997, habilitacja 2014. Od 2001 wykładowca na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

²¹² Danuta Wielgat SMDP, teolog, historyk. Absolwent KUL. Doktorat 1991.

Do wymienionych doktorów dodać trzeba: ks. Andrzeja Gałkę²¹³ biografa abp. Chościaka Popiela (szkoda, że nie wydał on swej cennej pracy), s. Adrianę Gronkiewicz²¹⁴, ks. Joachima Giełę²¹⁵, obecnie posługującego w RFN, o. Edwarda Nocunia²¹⁶, byłego prowincjała redemptorystów, Piotra Szczudłowskiego²¹⁷, o. Michała Pielę²¹⁸, o. Bernarda Kurowskiego²¹⁹, ks. Krzysztofa Lisa²²⁰, o. Jerzego Skrabanię²²¹, obecnie wykładowcę w seminarium werbistów w RFN, ks. Henryka Olszara z Katowic, Włodzimierza Osadczego²²², ks. Andrzeja Motykę²²³, ks. Adama Szota²²⁴, ks. Wojciecha Guzewicza²²⁵, obecnie profesora, niedawno habilitowanego ks. Dariusza Wachocza-Śmierchalskiego²²⁶, również od niedawna po habilitacji,

²¹³ Andrzej Gałka (ur. 1948), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Świecenia kapłańskie 1973. Absolwent KUL. Teolog. Doktorat 1980. Dyrektor Archiwum Archidiecezjalnego w Warszawie 1987–1992. Proboszcz parafii Izabelin i dziekan dekanatu łaseckiego 1993–1994. Rektor kościoła św. Marcina na Starym Mieście w Warszawie od 1994. Kapelan warszawskiego KIK od 1994. Krajowy duszpasterz niewidomych od 1996. Przewodniczący Komisji Historycznej Metropolii Warszawskiej od 2007.

²¹⁴ Adriana Teresa Gronkiewicz MSF, absolwentka KUL. Doktor teologii w zakresie historii Kościoła.

²¹⁵ Joachim Gieła, ksiądz archidiecezji wrocławskiej. Doktorat w zakresie nauk politycznych 1990. Pracownik Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych. Obecnie wizytator kanoniczny Śląska od 2012 i kanonik Kapituły Katedralnej św. Jakuba w Görlitz.

²¹⁶ Edward Nocuń CSSR (ur. 1950), ksiądz redemptoryta, doktor historii Kościoła. Świecenia kapłańskie 1976. Absolwent KUL.

²¹⁷ Piotr Szczudłowski (ur. 1961), działacz opozycyjny w PRL. Jako licealista organizował patriotyczne wystąpienia młodzieży. Uczestnik ROPCiO od 1977. Uczestnik strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina 1980. Absolwent KUL. Doktorat w zakresie historii Kościoła 1992. Adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Gdańskiego 1992. Członek Polskiego Towarzystwa św. Tomasza z Akwinu.

²¹⁸ Michał Piel SDS (ur. 1958), ksiądz salwatorianin, doktor teologii. Świecenia kapłańskie 1984.

²¹⁹ Błażej Bernard Kurowski OFM (ur. 1957), ksiądz, franciszkanin, teolog. Świecenia kapłańskie 1984. Doktorat 1994. Przełożony prowincjalny franciszkanów 1994–2003.

²²⁰ Krzysztof Lis, ksiądz. Absolwent Wydziału Teologii KUL. Doktorat z zakresu historii Kościoła 1994.

²²¹ Jerzy Henryk Skrabania SVD (ur. 1957), ksiądz werbista, historyk Kościoła. Świecenia kapłańskie 1987. Doktorat 1997. Dyrektor wydawnictwa werbistów 1998–2003. Wykładowca w Wyższej Szkole Filozoficzno-Teologicznej w Sankt Augustin koło Bonn.

²²² Włodzimierz Osadczy (ur. 1969), historyk. Doktorat 1998, profesor nadzwyczajny KUL i PWSZ w Chełmie. Dyrektor Ośrodka Badań Wschodnioeuropejskich – Centrum Ucrainicum KUL. Kanclerz Europejskiego Kolegium Polskich i Ukraińskich Uniwersytetów 2006–2009. Członek Komisji Europy Wschodniej PAU.

²²³ Andrzej Motyka (ur. 1963), ksiądz diecezji rzeszowskiej, historyk Kościoła, archiwista. Świecenia kapłańskie 1988. Dyrektor Archiwum Diecezji Rzeszowskiej.

²²⁴ Adam Szot (ur. 1967), ksiądz archidiecezji białostockiej, historyk Kościoła. Świecenia kapłańskie 1992. Doktorat 2000.

²²⁵ Wojciech Guzewicz (ur. 1969), ksiądz diecezji elckiej. Absolwent KUL. Teolog. Doktor habilitowany, profesor nadzwyczajny UWM w Olsztynie. Dziekan Wydziału Studiów Technicznych i Społecznych UWM w Elku w kadencji 2016–2020. Autor około 500 publikacji naukowych i popularnych.

²²⁶ Dariusz Wachocza-Śmierchalski (ur. 1968), ksiądz, historyk Kościoła. Doktorat 2001, habilitacja 2015, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Szczecińskiego 2017. Adiunkt Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego.

ks. Józefa Szymańskiego, ks. Tadeusza Ceynowę²²⁷, ks. Sławomira Zycha²²⁸, ks. Alberta Warse²²⁹, ks. Pawła Zajęca²³⁰, obecnie już habilitowanego w Poznaniu, Arkadiusza Piętaka²³¹ (na germanistyce), Macieja Stępnia²³². Z satysfakcją mogę dodać, że tylko nieliczni spośród wymienionych nie podtrzymują ze mną kontaktu naukowego.

Przedewszystkim jednak trzeba podsumować wysiłek włożony w wykształcenie tych ludzi. Nie ma wątpliwości, że profesor musi dać coś z siebie, jeśli pragnie zbierać choćby skromne owoce. Ktoś kiedyś powiedział do mnie – byłem dopiero początkującym studentem na KUL – ktoś bardzo poważny, choć jak się potem okazało, wcale nie wzór do naśladowania, jeśli chodzi o pracowitość:

– Kolego (tytuł zaaplikowany wyłącznie z uprzejmości), na uniwersytecie więcej się można nauczyć, gdy się chodzi po korytarzach, niż gdy się siedzi na wykładach.

Coś w tym było, na korytarzach bowiem pracowała tzw. giełda, ale jakoś nigdy nie zauważyłem, by ci perypatetycy korytarzowi osiągnęli znaczące wyniki. Także różnego rodzaju „gościnni” seminarzyści. Przeważnie po latach wracali w domowe (diecezjalne) pielesze bez doktoratu, a czasem



Promocja doktorska ks. Adama Szota, 2000 r.

²²⁷ Tadeusz Ceynowa, ksiądz diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, historyk Kościoła. Święcenia kapłańskie 1991. Doktorat 2002. Dyrektor Archiwum Diecezjalnego w Koszalinie od 2003. Dyrektor biblioteki WSD w Koszalinie.

²²⁸ Sławomir Zych (ur. 1973), ksiądz diecezji rzeszowskiej, historyk Kościoła. Święcenia kapłańskie 1998. Doktorat 2009. Adiunkt w Instytucie Badań nad Polonią i Duszpasterstwem Polonijnym KUL od 2010. Redaktor naczelny „Rocznika Kolbuszowskiego” od 2009.

²²⁹ Albert Paweł Warso (ur. 1973), ksiądz diecezji radomskiej, historyk Kościoła. Pracownik watykańskiej Kongregacji Nauki Wiary. Postulator procesu beatyfikacyjnego Kazimierza Gruszczyńskiego, założycielki Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek od Cierpiących.

²³⁰ Paweł Zajęca OMI (ur. 1975), historyk Kościoła. Święcenia 2001. Doktorat 2006, habilitacja 2014. Członek Polskiego Towarzystwa Badań Kanadyjskich od 2007. Adiunkt w Zakładzie Historii Kościoła Wydziału Teologicznego KUL od 2008. Członek Polskiego Towarzystwa Badań nad Wiekiem Osiemnastym od 2013.

²³¹ Arkadiusz Pięta, absolwent KUL. Doktor nauk humanistycznych, językoznawca. Wykładowca w Akademii Humanistyczno-Ekonomicznej w Łodzi.

²³² Maciej Bogdan Stępień (ur. 1973), historyk Kościoła. Doktorat 2014.

nawet bez magisterium i rozgłaszali, że tylko pracusie i głąby zdobią się tytułami. Każde seminarium miało takich albo może nie aż tak zblazowanych, ale podobnie nieskutecznych absolwentów. Moje nie było wyjątkiem. Na usprawiedliwienie niektórych takich „niewypałów” dodam, że często przełożony chciał więcej, niż oni sami byli w stanie zrobić. W dużej mierze wina za niepowodzenie spada jednak na profesora. Czy mam tu coś na sumieniu?

Marzyłem o tym, by tematycznie połączyć wykład monograficzny z seminarium. Okazało się to nie całkiem niemożliwe. Temat seminarium narzucały prowadzone prace doktorskie, ale w pewnym sensie także magisterskie. Ogólnie była to tematyka objęta chronologią katedry, ale problemowo bardzo rozstrzelona. Od dziejów parafii do historii zgromadzenia zakonnego czy duszpasterstwa Polonii. Wykład monograficzny musiał mobilizować, przyciągać studentów. Sprawdzanie obecności byłoby ostatecznością, a przecież słuchaczy tych nie było zbyt wielu, dwa roczniki Instytutu Historii Kościoła i uczestnicy seminarium. W sumie kilkanaście osób w najlepszym razie.

Jako adiunkt prowadziłem zajęcia ćwiczeniowo-konwersatoryjne na temat nauk pomocniczych historii najnowszej. Ksiądz Żywczyński polecił mi szczególnie uwzględnić historię ustroju administracyjnego Polski od końca XVIII w., w tym oczywiście państw zaborczych, i w taki sposób ją wykladać, by nauczyć studentów korzystania z archiwaliów dotyczących tego czasu, chodziło zatem też o ustrój kancelaryjny. Przypuszczam, że studenci setnie się na tych zajęciach nudzili, ale niejeden, któremu przyszło zajrzeć do akt urzędów państw zaborczych, uświadomił sobie, jak ważna była dziedzina, którą wtedy omawialiśmy. Żmudne to było i wymagało sporego lokowania materiału w pamięci.

Dla mnie przygotowanie zajęć to był nie tylko trud, lecz także chodzenie po omacku. Prac teoretycznych na ten temat właściwie nie było, a to, co można było wyczytać w podręcznikach nauk pomocniczych historii, zawierało raczej ogólniki. Chodziło wszakże głównie o materiał ćwiczeniowy. Takie opracowania, jak Meisnera *Archivkunde der Neuzeit*²³³ czy Brennekego *Archivkunde*, to były dobre podstawy do takich ćwiczeń, ale należało dobierać do nich teksty. Tak się składało, że pracowałem wówczas na źródłach niemieckich z XIX w., więc do nich sięgałem, ale dla studentów to była chińszczyzna. Cały czas miałem wrażenie, że stanowią dla słuchaczy zło konieczne. Muszę jednak stwierdzić, że to studiowanie ustroju

²³³ H.O. Meisner, *Archivkunde vom. 16 Jahrhundert bis 1918*, Leipzig 1969.

dało solidną podstawę do mojej własnej kwerendy, zarówno w archiwach polskich, jak i zagranicznych, zwłaszcza w Niemczech i USA.

Chociaż w pełni doceniałem tak erudycyjnie bogate zajęcia, jak wyżej opisane, to za nic nie chciałbym podobnymi sprawami wypełnić mego wykładu monograficznego, zwłaszcza jego pierwocin. Sięgnięcie po jakąkolwiek książkę i czytanie jej fragmentów – proszę nie sądzić, że taka ewentualność jest czysto wirtualna, zdarzała się i zdarza wcale nierzadko – wydawało mi się absolutnie nie do przyjęcia. Lepiej lub gorzej, ale powinienem wyklądać to, co sam przebywałem i co mogę autentycznie skomentować. Nie było innego wyjścia, jak sięgnięcie po własne, już ukończone badania.

To był kulturkampf i dzieje Kościoła w części zaboru pruskiego w XIX w. Miałem tyle zgromadzonego materiału źródłowego, że mogłem temat rozszerzyć na cały zabór i nawet na Prusy w ogóle. Moim atutem był łatwy dostęp do źródeł proveniencji pruskiej – rękopisów pisanych szwabachą. Możliwość komentowania oryginalnych źródeł nadawała wykładowi charakter wspólnej ze studentami analizy badawczej. Chyba potrafiłem uniknąć nudy, a to już coś bardzo ważnego. Ponieważ wydawało mi się, że obranie samego kulturkampfu za przedmiot wykładu może się okazać zbyt fragmentaryczne jak na dwa semestry wykładu, postanowiłem przedstawić problem od strony nie tyle polityczno-administracyjnej, ile ideologicznej, ze wskazaniem na liberalizm jako siłę motoryczną polityki Prus i innych państw europejskich wobec Kościoła w drugiej połowie XIX w.

Wracałem do tego jeszcze dwukrotnie, w latach 1987/1988 i 1993/1994. Za każdym razem było to rozszerzenie treści wykładanej o nowe elementy badawcze. Zgodnie z tematyką mojej katedry powinienem był zająć się także XX w., ale w tym czasie interesowały mnie także dzieje Kościoła pod berłem carskim, zarówno w cesarstwie, jak i Królestwie Polskim. Miało to związek z przygotowywaną przeze mnie książką *Papiestwo i papieże dwóch ostatnich wieków*, której pierwsze wydanie ukazało się w 1983 r. Szczególnie konkordat między Rosją i Stolicą Apostolską z 1847 r. i związana z tym polityka kościelna Mikołaja I przykuwały moją uwagę. Wykład powstał więc częściowo z moich zainteresowań papiestwem, choć siłą rzeczy coraz bardziej koncentrował się na stosunkach kościelnych w cesarstwie i w Królestwie Polskim. Okazało się przy tym, jak wiele trzeba było doszukiwać się materiału, by uzupełnić wywody Adriena Boudou i innych autorów piszących na ten temat. Do problematyki kościelnej pod berłem carskim wróciłem później, badając stosunki kościelne w Królestwie Polskim

po powstaniu styczniowym. Był to temat bardzo rozbudowany, podobnie jak poprzednio wymieniony, toteż wykładany był przez cztery kolejne semestry. System taki zdał egzamin, tym sposobem bowiem dwa roczniki przedlicencjackie miały możliwość zgłębienia jakiegoś istotnego zagadnienia – czy to z historii Kościoła w Polsce, czy z historii powszechnej. Podjęte przeze mnie równoległe studia nad Kościołem w III Rzeszy skłoniły mnie do prowadzenia wykładu z historiografii tego zagadnienia. Okazało się to skomplikowane, omawiano głównie prace w językach obcych, przede wszystkim niemieckim, lecz także francuskim i angielskim. Znałem wtedy ten ostatni bardzo powierzchownie, musiałem się porządnie wziąć do pogłębienia mych umiejętności, co jednak nadspodziewanie szybko i z powodzeniem nastąpiło. Zarys tego wykładu ukazał się w książce *Katolicyzm w III Rzeszy przed sądem historii* (1992). Powinna ona zostać rozszerzona, a przede wszystkim poprawiona, spieszne jej wydanie udaremniło bowiem dokładniejszą korektę. Historiografia dziejów kościelnych w III Rzeszy była trudnym, choć interesującym, tematem wykładowym, lecz student zmierzający do doktoratu, a tacy przede wszystkim byli moi ówcześni słuchacze, powinien nadążać za tak ujętymi treściami. Niestety, tylko jednostki to potrafiły. Decydującym hamulcem była słaba albo żadna znajomość odnośnych języków, chociażby tylko niemieckiego.

O wiele więcej dał wykład na temat dziejów Kościoła w Rzeszy hitlerowskiej. Była to z konieczności konsekwencja moich badań nad literaturą i źródłami do tego zagadnienia. Myślę, że dla słuchaczy był przejrzysty i interesujący, poruszał bardzo szeroką tematykę – nie tylko europejskich dziejów politycznych, lecz także problematykę moralną i stanowisko Stolicy Apostolskiej, w szczególności Piusa XII. W zasadzie chronologicznie nie przekraczałem 1939 r., ale rola Eugenia Pacellego jako sekretarza stanu, a wcześniej nuncjusza w Niemczech, rysowała się bardzo wyraziście i nie można było całkowicie pominąć pewnych jego posunięć już w czasach jego pontyfikatu.

Moje zainteresowania dziejami Kościoła w Polsce pod panowaniem niemieckim i sowieckim znalazły wyraz w publikacjach, nie tyle może moich własnych, ile w obszernych wydanych przeze mnie tomach poświęconych życiu religijnemu w Polsce pod okupacją. Było to pokłosie sympozjum poświęconego tej tematyce. Warto zaznaczyć, że tom drugi mógł się ukazać dopiero dziesięć lat po pierwszym, w 1992 r. – były w nim teksty na temat okupacji sowieckiej, czego cenzura PRL nie przepuszczała. Zagadnienia tego nie uczyniłem przedmiotem wykładu monograficznego. Trudno mi nawet dziś powiedzieć, z jakiej przyczyny. Być może obawiałem się

zbytniego rozbudowania poruszanych problemów. A może wydawało mi się, że zbyt mało sam w tej materii przebadam, a starałem się w wykładzie monograficznym bazować w znacznym stopniu na badaniach własnych. Na ogół cykl wykładów na jakiś temat poprzedzałem rozważaniem o charakterze historiograficznym, co było tym bardziej potrzebne, im więcej omawianych dzieł było w językach obcych. Na samodzielną lekturę takich książek można było liczyć tylko w wyjątkowych wypadkach. Dziś może nie jest to mankament aż tak wyraźny jak kiedyś, ale stale obecny.

Nie miałem też zamiaru prowadzenia wykładu na temat Kościoła w PRL. Wydana przeze mnie książka *Kościół w Polsce w latach 1944–2002* (2003) niewątpliwie stanowiła impuls, by wybrane z niej zagadnienia uczynić przedmiotem wykładu zamykającego dwuletnim cyklem moją pracę dydaktyczną na KUL. Oczywiście w wykładzie znalazły się tylko małe fragmenty książki, korzystałem bowiem z okazji, by opowiedzieć raczej o jej warsztacie, czyli o tym, czego w książce nie zamieściłem albo co ledwo było zasygnalizowane w przypisach. Myślę, że spotkało się to zainteresowaniem słuchaczy, często po wykładzie otrzymywałem pytania, względnie proszono mnie o dokładniejsze wyjaśnienia.

Dzieje kościelne w PRL mają sporo opracowań, a ich liczba rośnie z roku na rok. Często są to prace oparte na bogatym materiale źródłowym, stąd ich nasycenie szczegółami może nie tyle niezbędnymi do zaprezentowania istoty poruszanego problemu, ile raczej mającymi dowodzić erudycji autora. Wielu dziełom brak jednego bardzo ważnego elementu. Ponieważ pisze się o Kościele, trzeba by na czoło wysunąć zagadnienia uwzględniające istotę jego misji. Tymczasem poprzestaje się często na rozważaniach dotyczących stosunku państwa/partii do Kościoła i odwrotnie. Kościół jawi się jako integralny czynnik przeciwwagi dla samodzierżawia państwowo-partyjnego i pod tym względem prace te mają wartość znamioną. Gubi się natomiast wewnętrzne życie Kościoła i jego znaczenie dla przetrwania katolicyzmu pod władzą komunistyczną w takiej postaci, w jakiej był on w 1989 r. Ta ostatnia data także nie zawsze jest postrzegana jako granica między różnymi sposobami obecności Kościoła w życiu publicznym. Jeden, ten z czasów PRL, charakteryzował się formalną nieobecnością Kościoła jako instytucji umocowanej prawem publicznym, drugi znosił te ograniczenia, ale zarazem rozpoczynał proces cofania się roli społecznej Kościoła, przez liberalne lobby jeszcze mniej chętnie widzianej aniżeli w pewnych okresach PRL. Te problemy należało wyjaśniać w wykładzie, przy założeniu, że nie każda lektura pomoże w poradzeniu sobie z nimi.

Chciałbym powiedzieć coś na temat uczestnictwa naszych studentów w zajęciach, tak w wykładach, jak i w seminarium. Wykład, przynajmniej w gremiach, gdzie uczyłem, nie dopuszczał dialogu ze słuchaczami – taki zwyczaj, na ogół surowo przestrzegany. Byłem temu zdecydowanie przeciwny i wielokrotnie zachęcałem do zadawania mi pytań nasuwających się podczas słuchania. Zdarzyło się może dwa–trzy razy w całej mojej praktyce, że ktoś się zgłosił. Otóż w USA, gdzie wykładałem przez dwa semestry na uniwersytecie, pytań było bez liku – o wszystko, co dotyczyło tematu. Były one niekiedy naiwne, np. mówiłem o III Rzeszy, a ktoś rzucił:

– A co powiesz o pierwszej?

Dla wykładowcy było to wyzwanie, ale zarazem zachęta do większej staranności. Kiedy w drugim semestrze miałem grupę samych prawie Latynosów, pytań nie było w ogóle. Byli nastawieni jedynie na przetrwanie. Nie chciałem w podobny sposób oceniać naszych słuchaczy, ale pewna analogia się nasuwa. Słowo „słuchacz” mimo woli oddaje sposób angażowania się w czasie wykładu.

Lubiłem wykładać, ale nie potrafiłem czytać z kartki. Nigdy nie próbowałem, poza jedynym razem na kursie języka polskiego w Rzymie, gdzie wykładając po raz pierwszy po angielsku, stresowałem się i kurczowo trzymałem się tekstu napisanego. Dygresji wszakże nie mogłem się wyrzec. Po dwóch dniach jeden z kursantów, *notabene* Anglik i w dodatku filolog, powiedział mi na ucho:

– Nie czytaj, rób tylko dygresje, to o wiele ciekawsze.

Wykład monograficzny jest bardzo ważny, kursoryczny natomiast uważam za zbyt techniczny. W jego miejsce powinny być konwersatoria. Niestety, osoby dochodzące do władzy na wydziałach jakoś nie potrafią się takimi sprawami zajmować. O kierownictwie uniwersytetu nie wspominam, ono najszybciej zapomina, po co w ogóle dana szkoła istnieje. Tendencja do likwidowania najwydajniejszych zajęć, niegdyś sporadyczna, przybiera obecnie na sile. Jeszcze gorzej jest z władzami centralnymi.

Na początku lat dziewięćdziesiątych musiałem udać się do MEN i trafiłem do biura opracowującego programy badawcze. Ujrzałem tam świeżo upieczonego magistra, który w odnośnej sprawie był alfą i omegą. Po tym doświadczeniu już nigdy nie chciało mi się wypełniać głupich kwestionariuszy badawczych czy odpowiadać na nie mniej nieporadne ankiety, od czego zależał grant lub jakiś fundusz badawczy. Dwukrotnie otrzymałem dofinansowanie z pewnej instytucji, czego owocem było wydanie dwóch książek. Nie pytano mnie jednak, dlaczego tam, a nie gdzie indziej kupowałem tusz do drukarki.

Wracam do wykładu kursorycznego. Prowadziłem go grubo ponad 30 lat. Przygotowywałem się do niego ponad dwa lata, uzupełniałem co pewien czas notatki o narastającą literaturę. Był to wielki ekspens sił i czasu, a efekt mizerny. Po zakończeniu tych wykładów okazało się, że przydały się one nie słuchaczom, lecz mnie samemu, wydałem bowiem książkę będącą zwięzłą syntezą historii Kościoła. Właśnie te wykłady uświadomiły mi, co jest istotnie potrzebne dla zrozumienia sensu i procesu dziejowego w historii kościelnej. Dlaczego uważam wykład kursoryczny za zbyt techniczny? Odpowiednie pokierowanie lekturą i wykorzystanie jej drogą konwersatoryjną mogłyby dać o wiele więcej. Przede wszystkim student przyswajałby materiał samodzielnie, więc skuteczniej niż poprzez bierne wysłuchanie wykładu i powtarzanie jego treści z notatek lub jakiegoś *ad hoc* fabrykowanego skryptu. Wszystko zresztą zależy od samego sposobu widzenia historii przez wykładowcę. Jeśli jest to jakieś kwantum faktów bez związku przyczynowego, wokół których oplata się jakieś zdarzenie (np. ciekawostki z życia Lutera, do których w najlepszym razie doczepia się jego doktrynę i bez szukania jej źródeł odnotowuje się jedynie jej sprzeczność z nauką Kościoła katolickiego), to najczęściej powstaje obraz niepełny, niewytrzymujący próby gruntowniejszego studium. *Ratio studiorum* na Wydziale Teologicznym, gdzie świeccy studenci (pięcioletni tok studiów) musieli przez cztery semestry słuchać wykładu z historii Kościoła powszechnego i w Polsce zmuszało wykładowcę do pewnej ekwilibrystyki, jeśli chciał wyłożyć całe pensum, a zarazem zainteresować słuchaczy. Mniej doświadczony wykładowca na ogół sobie z tym nie radził, przynajmniej w początkowym okresie pracy. Dopiero po latach mógł on trafić w sedno, o ile nie opanowała go rutyna. Piszę to, mając w pamięci moje własne wątpliwości i niepowodzenia, których długo nie potrafiłem zneutralizować.

Niezastępowanie wykładu kursorycznego konwersatoriami ma swą banalną przyczynę. Stare przysłowie mówi, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze. Tak jest i w tym wypadku. Spędzenie setki lub więcej osób do jednej sali i uraczenie ich półtoragodzinnym wykładem, w czasie którego mogą sobie właściwie robić, co zechcą, to wielka oszczędność pieniędzy. Utworzenie kilku lub więcej grup konwersatoryjnych wymaga zaangażowania większej liczby pracowników, a to rodzi koszty. Nauka jednak, jeśli ma być skuteczna, nie może iść w parze z oszczędzaniem. W każdym razie nie na niej.

Wszystko, co wyżej napisałem, odnoszę do siebie samego. Jeśli jest w tych stwierdzeniach krytyka bliźnich nienazwanych po imieniu, to tylko dlatego,

że droga ich nie odbiegała od mojej. Inna sprawa to pytanie, czy trapił ich ten sam co mnie niedosyt. Czy wywarł on wpływ na ich rozwój? Niech sami odpowiedzą. Wykłady kursoryczne przygotowywałem ponad dwa lata na podstawie ówczesnie najnowocześniejszych wielkich syntez, m.in. wydanego wówczas dziesięciotomowego podręcznika do historii Kościoła²³⁴. Oczywiście dla poszczególnych epok i działów historii trzeba było przywoływać inne dzieła. Bardzo cenna dla starożytności była dwutomowa historia okresu patrystycznego pióra Alcide’a Mannèsa Jacquina²³⁵. Łączenie tekstów patrystycznych z wykładem pokazuje, jak trzeba pisać publikacje historyczne. Same teksty źródłowe, oderwane od kontekstu, nie mówią wiele, natomiast wkomponowane w niego, mogą stanowić ważny czynnik mnemotechniczny. Na przykład urywki z listu biskupów polskich do niemieckich z 1965 r.²³⁶ mogą zupełnie nie zainteresować kogoś, kto zna te czasy wyłącznie z książek. Natomiast jeśli te same fragmenty umieści się w obrazie ukazującym okoliczności powstania tego dokumentu, wówczas jego treść pomaga zrozumieć czasy i ludzi.

Jeśli się chce wyklądać dzieje kursorycznie, to trzeba trzymać się jak najdalej od gotowych tekstów, choćby pochodziły od luminarzy w dziedzinie historii. Nie wystarczy tylko zestawienie faktów, przede wszystkim należy badać procesy dziejowe, ich genezę, naturę, splatające się ciągi przyczyn i skutków. Nie można z góry zakładać tez, dla których uzasadnienia buduje się następnie kunsztowne łamigłówki. Nie jestem i nigdy nie byłem badaczem średniowiecza, ale studiując podręczniki podlegające imprimatur kościelnemu, nie mogłem nigdy zrozumieć, dlaczego z góry zakładano, że wysiłki zmierzające do wyparcia mahometan z Ziemi Świętej od początku do końca kwalifikują się jako akt heroizmu

²³⁴ *Handbuch der Kirchengeschichte*, t. 1–7, red. H. Jedin, Fryburg 1962–1979.

²³⁵ A.M. Jacquin, *Histoire de l'Église*, t. 1–2, Paris 1930–1936.

²³⁶ Na temat orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 r. zob. szerzej: P. Madajczyk, *Przebaczamy i prosimy o przebaczenie...*, „Więź” 1990, nr 9, s. 112–124; *idem*, *Na drodze do pojednania. Wokół orędzia biskupów polskich do biskupów niemieckich z 1965 roku*, Warszawa 1994; W. Janowski, *Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich i obchody Tysiąclecia Chrztu Polski Państwowości Polskiej na tle stosunków państwo – Kościół w opiniach i komentarzach zachodnich środków masowego przekazu* [w:] *Millennium polskie. Walka o rząd dusz*, Warszawa 2002, s. 121–149; A. Chmiel, *Prasa krajów socjalistycznych o Orędziu biskupów polskich do biskupów niemieckich i obchodach Milenium* [w:] *Millennium polskie...*, s. 150–166; S. Stępień, *Sobór Watykański II i orędzie Episkopatu Polski do biskupów niemieckich* [w:] *Milenium czy Tysiąclecie*, red. B. Noszczak, Warszawa 2006, s. 44–51; *Wokół Orędzia. Kardynał Bolesław Kominek – prekursor pojednania polsko-niemieckiego*, red. W. Kucharski, G. Strauchold, Wrocław 2009; T. Krawczak, *Orędzie biskupów polskich w ocenie struktur partyjnych i Służby Bezpieczeństwa* [w:] *Pojednanie i polityka. Polsko-niemieckie inicjatywy pojednania w latach sześćdziesiątych XX wieku a polityka odprężenia*, red. F. Boll, W.J. Wysocki, K. Zimmer, Warszawa 2010, s. 152–157.

chrześcijan. Dlaczego wszystko, co tym przedsięwzięciom towarzyszyło, należy widzieć w kategoriach ofiary poniesionej w obronie wiary? Wprawdzie nie skąpi się w tych opracowaniach informacji na temat przebiegu wypraw krzyżowych i faktycznych celów, jakie często stawiali sobie ich organizatorzy czy uczestnicy, ale te ważne przecież okoliczności kształtowania się procesu dziejowego nie mają żadnego wpływu na kształt sądu historycznego wartościującego wyprawy krzyżowe.

Gwoli prawdy trzeba zaznaczyć, że także historiografia niejako profesjonalnie oceniająca wszystkie przedsięwzięcia kościelne czy w ogóle religijne jako działania demona zatruwającego zdrową myśl prawdziwego humanizmu – jeśli pozostaniemy przy poruszonym tu wycinku historii – wybiera z niego tylko te momenty, które pasują do kreślonego obrazu Kościoła. To samo dotyczy takich tematów, jak inkwizycja, reformacja i wiele innych.

Kiedy Joseph Lortz wydał w 1939 r. pierwszy tom *Die Reformation in Deutschland*²³⁷, panowało dość powszechne przekonanie, że książka trafi na indeks. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. Autor uwzględnił cały krajobraz chrześcijaństwa przed reformacją. Wynikało z niego, że średniowieczne struktury polityczne, a przede wszystkim społeczno-gospodarcze były do tego stopnia anachroniczne, iż zwrot ku czemuś nowemu był nieunikniony. A ponieważ Kościół był jak gdyby rusztowaniem owych struktur, trzeba było zacząć wprowadzanie tego nowego porządku od niego. Luter czy inni „reformatorzy” – dają to słowo w cudzysłowie, żaden z nich bowiem niczego nie zreformował, lecz siedł za własnym widzimisię, wcale zresztą nie tak autonomicznym, bo regulowanym przez czynniki budujące nowy ład w świecie – inspirowani byli sytuacją, która panowała nie tylko w Kościele, ale w społeczeństwach w ogóle. Ten i wiele innych, na owe czasy bulwersujących, wniosków można było wysnuć z książki Lortza.

Trzeba było czasu, by zauważono, jak mocno dociekania jego uderzały w dotychczasową historiografię katolicką, gdzie reformacja od początku do końca była dziełem szatana, a Kościół hierarchiczny po prostu odgrodził zakazony teren, by uniknąć roznoszenia się zarazy. Sobór trydencki i reforma kościelna przedstawiane są jako dzieło samoistne, dla którego reformacja była tylko katalizatorem. Znowu na ubocze, jako temat nie à propos, usuwa się sobór laterański V, którego przebieg i rezultaty dowodzą ponad wszelką wątpliwość, jak daleka była hierarchia

²³⁷ J. Lortz, *Die Reformation in Deutschland*, Freiburg im Breisgau 1939.

kościelna od myśli o reformie dokładnie w przeddzień wystąpienia Lutra. Można by takie przykłady przywoływać bez końca. Wskażę na dwa inne przypadki.

Chodzi o małą, ale bardzo rozpowszechnioną swego czasu książeczkę Alberta Erharda, bardzo znanego starożytnika, pt. *Der Katholizismus und das 20. Jahrhundert im Lichte der kirchlichen Entwicklung der Neuzeit* (1901 i wiele późniejszych wydań). Wyłania się z niej nadzwyczaj pesymistyczny obraz i to nie tyle ze względu na stan katolicyzmu, ile na jego szanse sprostania wyzwaniom świeckiej kultury, mówiąc najogólniej, nie tylko bezbożnej, ale zawłaszczającej boskie atrybuty, stawiającej człowieka w miejsce Boga. Nie zamierzam streszczać wywodów Erharda, chcę tylko zaznaczyć, że spotkał się on z krytyką ze strony zgoła sobie przeciwnych orientacji. W odpowiedzi na tę krytykę²³⁸ Erhard jeszcze wyraźniej rozwinął prognozy, które nie tylko dla katolicyzmu, lecz także dla samej wiary w Boga wypadały bardzo minorowo. Wywody znawcy starożytności chrześcijańskiej dotyczące współczesności mogły nie wzbudzić poważniejszej refleksji i wydawało się, że tak też było. Opinie o nich w kręgach kościelnych były na ogół nieprzychylnie, gdyż autor naruszał pewne tabu, obowiązujące w odniesieniu do krytyki, która mogłaby być adresowana do hierarchii.

Ani Erharda, ani Lortza nie rozliczono z ich publikacji. Podobnie było z ks. Mieczysławem Żywczyńskim z powodu jego broszurki *Kościół i rewolucja francuska* (1950), choć wiele znaczących osobistości z kręgów kościelnych książkę tę bardzo negatywnie oceniało i to ze względu na treść, czego w żaden sposób nie można zrozumieć. Sądzę, że wielu z owych krytyków wtedy także nie zdawało sobie sprawy, iż miarodajne czynniki kościelne miały profesorowi za złe, że wydał tę książkę w PAX, nie poprosiwszy o imprimatur. Uznano to za manifestację braku lojalności wobec prymasa Wyszyńskiego i w ogóle Kościoła w Polsce. O tym można by dyskutować i przyznać takiemu pogładowi sporo racji, dostrzeganie w tej pracy stanowiska antykościelnego jest natomiast absurdem. Wystarczyłoby przeczytać, mało kto jednak wówczas to uczynił. Nie brakowało takich, którzy mniemali, że tak przewrotnej publikacji nie należy nawet dotykać.

W czasie jednego z obiadów odpustowych, w którym uczestniczyłem jako student KUL, pewien bardzo dostojny kapłan, cieszący się zasłużonym autorytetem, zagadnął mnie na temat tej książki. Z góry zaznaczył, iż przedstawia ona biskupów francuskich w najgorszym i niesłusznym świetle. Zapytałem naiwnie,

²³⁸ A. Erhard, *Liberaler Katholizismus? Ein Wort an meine Kritiker*, 1902.

ilu biskupów poddano tak miazdzącej krytyce. Odpowiedzią był okrągły gest ręką, mający oznaczać, że wielu lub zgoła wszystkich. Ośmieliłem się przypomnieć, że na stu kilkudziesięciu biskupów ówczesnej Francji negatywnie zostało opisanych czterech. Z dalszej rozmowy wynikało, że ów duchowny nie tylko książki nie czytał, ale nawet jej nie widział, gdyż była to mała broszurka, a według niego pokaźne dzieło. Najtrudniej znaleźć zrozumienie w przypadkach oczywistości.

To tylko niektóre przykłady świadczące o tym, jak trudno jest uprawiać historię i ustrzec się przed powielaniem stereotypów i schematów. Co dopiero, gdy wykładowca sobie z tym nie radzi. Nieraz słyszałem młodych adeptów tej sztuki mówiących, że wykładanie to pestka, przecież są podręczniki, więc to tylko kwestia przypomnienia sobie materiału. I tak z mistrza na ucznia, z tego z kolei na szersze grono przechodzi ten wirus kasujący zdrowy ogląd dziejów, a wprowadzający jakiś ersatz i co mądrzejszych w ogóle odstręczający od historii.

Rozpisałem się o dziedzinie, która mnie samego absorbowała przez prawie pół wieku. Przyznać muszę, że nawet kiedy z roku na rok powtarzały się te same tematy, jak w wypadku wykładu kursorycznego, zawsze poświęcałem sporo czasu na jego przemyślenie, a przede wszystkim na włączenie nowych, zyskanych przez lekturę wątków, poglądów czy odkryć. Czułem jakieś niedowartościowanie własne, widząc, jak niektórzy brali teczkę ze skryptem i ruszali na wykład. Nigdy bym tak nie potrafił.

Wykłady to jednak w końcu coś, co przy odrobinie staranności, samodyscypliny i czytania można z powodzeniem i korzyścią własną i słuchaczy poprowadzić, nawet bez głębszych studiów własnych. Co innego seminaria. Pisałem już o tych, w których uczestniczyłem jako student i później pracownik naukowy. Byłem wówczas przekonany, że sam po prostu skopiuję jeden z modeli. Kiedy jednak przyszło mi organizować i potem przez dziesięciolecia prowadzić własne seminarium, wszystko zaczęło się przedstawiać inaczej, niż sobie to wykalkulowałem. Przejąłem wprawdzie zwyczaj ustalania tematów magisterskich i doktorskich we współpracy z zainteresowanymi i nie było ani narzucania tematów, ani też przyjmowania za dobrą monetę propozycji, które – jak mi się wydawało – nie miały szansy realizacji lub całkowicie wychodziły poza moje własne kompetencje. Inna żelazna zasada, również „kupiona” od Mistrza, to było bardzo dokładne analizowanie owoców kwerendy i dopiero na ich podstawie konstruowanie struktury pracy. Wielu się to nie podobało i chyba się nie pomyłę, że odejścia z seminarium następowały właśnie z tej przyczyny. Ja jednak nie ustępowałem.

Pewnego razu niedoszły doktorant przyniósł mi plan pracy mniej więcej w dwa tygodnie po otrzymaniu tematu. Zaznaczyć muszę, że – jak w każdym wypadku, tak i wtedy – wyjaśniłem delikwentowi, jak rozumiem budowanie struktury pracy. Że najpierw należy przeprowadzić kwerendę i zebrać przynajmniej 60 proc. materiału lub nawet więcej. Biorąc do ręki wręczony mi plan, zauważyłem triumfalny uśmiech na twarzy, sympatycznego zresztą, doktora i rozbawienie starych wyg seminaryjnych. Zapytałem, skąd ma ten plan. A on na to:

– Znalazłem pracę na analogiczny temat i skorzystałem z jej konstrukcji.

Naiwne i rozbajające. Umyslnie nie podaje, jaki to był temat, by nie stwarzać szansy skojarzenia go z nazwiskiem. Oczywiście pozbyłem się owego sprytnego, trzeba przyznać, ale zarazem nierokującego nadziei na poważną pracę, adepta.

Problem wyboru tematyki nie jest tak prosty, jak by się wydawało. Jeśli seminarium ma mieć jakieś oblicze metodologiczne i rozwijać pewną płaszczyznę badań, muszą być przynajmniej jeden albo dwa nurty wiodące. Liczna grupa seminaryjna, a taką miałem już od pierwszych lat istnienia katedry (później była ona zbyt liczna, bo niekiedy seminarzystów było ponad 20), powoduje zawsze rozstrzelanie tematów. Zwłaszcza że księża często przychodzili już z tematami sugerowanymi przez biskupa. To było zrozumiałe. Gdyby taki system struktury tematycznej seminarium był wyłączny, trudno byłoby mówić o najskromniejszej choćby szkole badawczej.

Płaszczyzny problemowej poświęconej wiekowi XIX w. nie potrafiłem stworzyć, na przeszkodzie stała bariera językowa. Niemiecki i rosyjski (albo jeden z tych języków) były konieczne, by móc oprzeć badania na archiwaliach. Niestety, nikt się na to nie pisał. Sam doświadczałem trudności w pozyskaniu materiałów niemieckich z XIX w. aż do habilitacji. Czytanie gotyku, zwłaszcza ręcznego, było trudne. Obserwowałem w archiwach w Poznaniu i Bydgoszczy studentów badających takie materiały – odczytanie jednej strony trwało niekiedy ponad godzinę. W takiej sytuacji, jeśli ktoś miał do przebadania kilkadziesiąt fascykułów, a bywało przecież więcej, o poważnych badaniach nie mogło być mowy. To samo, choć może w mniejszym stopniu, dotyczyło języka rosyjskiego. Trzeba było szukać tematów, do których byłyby materiały w języku polskim. Mankament ten osobiście bardzo mnie bolał. Zdawałem sobie sprawę z tego, że przecież kształcimy osoby, z których mają także wyrosnąć samodzielni naukowcy. Trudno mi sobie wyobrazić średniowiecznika bez znajomości łaciny czy w ogóle historyka mającego prowadzić

adeptów Klio, nieznającego przynajmniej jednego języka obcego w takim stopniu, by mógł w nim czytać i rozumieć więcej niż jedną stronę na godzinę.

Może to trochę złośliwy opis, ale z pewnością nie jest on wymyślony. Przez cały czas pracy w katedrze miałem dwóch, najwyżej trzech, którzy mogli się mierzyć z literaturą światową. Żaden nie pozostał na uniwersytecie. Taka sytuacja często mnie przygnębiała, miałem świadomość, że z moimi uczniami, pracowitymi zresztą i oddanymi swym badaniom, nigdzie się pokazać nie mogę. Próby wytrzymałości tych moich uczonych, jakich dostarczały spotkania z gośćmi zagranicznymi, w moim wypadku z Niemcami, były żałosne. Już samo zebranie kworum w czasie takich spotkań było wielkim trudem, nie zawsze uwieńczonym powodzeniem. Wielu wtedy chorowało. Na Sekcji Historii Wydziału Humanistycznego kilka osób posługiwało się kiepską francuszczyzną, ale ważne, że mogli się rozmówić. U nas musiałem się dwoić i troić, by gość nie odniósł wrażenia, że trafił na zebranie głuchoniemych. Oczywiście byli także poligłoci, jak prof. Wiśniowski²³⁹, świetnie znający niemiecki, czy mówiący kilkoma językami prof. Edward Zwolski²⁴⁰. Nie wspominam o starszych, bo ci znali języki obce.

Seminarium musiało pracować, trzeba było zatem szukać polskich obszarów badawczych. Już od początku mej kariery jako kierownika katedry miałem świadomość, że prasa międzywojenna jako przedmiot badawczy całkowicie leży odłogiem. Pokręciłem się nieco w Warszawie, gdzie jako członek Komitetu Nauk Historycznych PAN miałem możliwość bezpośrednich kontaktów z zajmującymi się prasoznawstwem. Wszyscy zgodnie twierdzili, że o prasie katolickiej wiadomo tyle co nic. Oczywiście od razu otwierała się dyskusja na temat samego pojęcia prasy katolickiej. Co należy do niej zakwalifikować? Trudność w jej zdefiniowaniu dziś jest taka sama jak wówczas. Sam problem wydawał mi się godny zainteresowania, nie tylko osobistego, lecz także jako jeden z tematów badań seminaryjnych. Zawsze uważałem, że z własnymi badaniami muszę iść mniej więcej równolegle z tym, co robią moi uczniowie. Rozpocząłem badania nad katolicką prasą religijną okresu międzywojennego w Polsce. Początkowo robiłem kwerendę sam, następnie pozyskałem do współpracy cztery osoby, z tego trzech moich seminarzystów.

²³⁹ Eugeniusz Wiśniowski (1929–2008), historyk, mediewista, badacz historii Kościoła. Absolwent KUL. Od 1955 pracownik naukowy KUL. Doktorat 1963, habilitacja 1970, profesor nadzwyczajny 1980, profesor zwyczajny 1992. Kierownik Sekcji Historii KUL 1988–1992.

²⁴⁰ Edward Zwolski (1932–1997), historyk, filolog klasyczny, tłumacz. Absolwent KUL. Pracownik naukowy KUL od 1955. Doktorat w Rzymie 1960, doktorat na UW 1964, habilitacja 1976, profesor nadzwyczajny 1992. W okresie PRL inwigilowany przez aparat bezpieczeństwa.

Docelowo chcieliśmy stworzyć katalog kartkowy tego rodzaju prasy katolickiej. Jednakże nie mógłby on służyć jako narzędzie szeroko zakrojonych badań nad prasą. W rezultacie powstała książka (1981) z bardzo szczegółowym opisem 1105 tytułów prasowych.

W sumie na moim seminarium na tematy związane z prasą napisano 28 (na około 200) prac magisterskich i dwie prace doktorskie (na 46). Gdy chodzi o prace magisterskie, równie wiele było tylko opracowań poświęconych parafiom. W tym wypadku inspiracje z mej strony były raczej powściągliwe. Uważałem, że dzieje parafii to zbyt ambitny temat jak na magisterium. Z reguły były to też prace o niższym poziomie (z małymi wyjątkami) niż inne. Skąd więc wzięły się tematy „parafialne”? Przeważnie chodziło o to, że jakiś proboszcz w pewnym sensie je sponsorował, a przynajmniej udostępniał materiały. Czasem decydował patriotyzm lokalny. W wypadku księży – praca na parafii, której historię warto było zgłębić. Godziłem się na takie sugestie niechętnie, ale jeśli już to nastąpiło, wymagałem szczególnej staranności. Bardzo mnie dziwiło, że niektórzy profesorowie zalecali studentom takie tematy jako łatwe. Z reguły później też zadowalali się byle czym. W rezultacie magistrant przyswoił sobie co najwyżej jakąś antymetodę, a ponadto słabo opracował temat. Rzadko można było takie dzieło wykorzystać choćby tylko dla ukazania jakiegoś fragmentu dziejów parafii i jako owoc ciężkiej niekiedy pracy bywał nie do opublikowania.

Stwierdziłem, że tematy doktorskie powinny być szerzej zakrojone i brać na warsztat jakąś ważną w historiografii sprawę. Nietrudno było spostrzec, że większość piszących prace z historii Kościoła koncentrowała się wokół diecezji i ich pasterzy, przy czym chodziło oczywiście o ordynariuszy. Duchowieństwo zazwyczaj wtedy figurowało tylko na marginesie, w każdym razie po sprawach materialnych i organizacyjnych, a co dziwniejsze, nie zawsze w powiązaniu z duszpasterstwem, które jawi się w postaci pewnej puli danych o charakterze *quasi*-statystycznym. Zastanawiałem się, jak trzeba ująć temat, by dać priorytet właśnie duchowieństwu i aby hierarchia była tu uwzględniona jako jeden z jego członów. Odradzano mi takie formułowanie problematyki, choć były także głosy wiele sobie obiecujące po takim zaprogramowaniu badań, zwłaszcza dla czasów stosunkowo mało oddalonych, do jakich zalicza się II Rzeczpospolitą.

Opracowanie dziejów duchowieństwa uznałem za klucz do zajmowania się wewnętrznymi dziejami Kościoła, tzn. ukazania misji Kościoła w jej rzeczywistej postaci, a nie tylko od strony zarządzeń czy dekretów i operowania

powszechnie stosowanymi uproszczeniami w rodzaju: biskup zbudował tyle a tyle kościołów, podniósł rangę takiej czy innej formy pobożności itp. Udział biskupa jest niewątpliwy i zapewne istotny, ale bez inicjatyw oddolnych efekty byłyby raczej jedynie na papierze. Ksiądz bez doświadczenia duszpasterskiego posłany na studia specjalistyczne będzie zawsze błędził po omacku, chyba że studiuje dziedzinę świecką. Jeśli zaś chodzi o historię Kościoła, to tu otarcie się o parafię jest wprost niezbędnym warunkiem właściwego widzenia Kościoła, bo parafia rzetelnie duszpasterzowana jest swoistą miniaturą Kościoła. Dlatego też, co wcześniej już zaznaczyłem, dzieje parafii są tematem naprawdę bardzo wymagającym.

Płaszczyzna badawcza, w której centralnym punktem miały być dzieje duchowieństwa poszczególnych diecezji, wydawała mi się najodpowiedniejszym przedmiotem pozwalającym na wypracowanie odnośnej metody badawczej, a co ważniejsze, sformułowanie tez stwarzających podstawę do formułowania tematów problemowych. Muszę tu stwierdzić – i to jest dla mnie niemałą satysfakcją – że wybór mój był trafny. Powstało w sumie osiem prac doktorskich poświęconych duchowieństwu, w tym dwie zakonnemu. Można mówić – ponieważ prace są wydane drukiem – o pewnej szkole, przy zastosowaniu tej samej metody osiągnięto bowiem wyniki różniące się od analogicznych opracowań powstałych w innych ośrodkach. Można też twierdzić, bez pomniejszania wagi tamtych prac, że nasze dawały o wiele pełniejszy obraz duchowieństwa, zwłaszcza jego wszechstronnego zaangażowania. Ślady ujęć tematów poświęconych duchowieństwu w pewnych aspektach problemowych widoczne są w pracach habilitacyjnych uczestników mojego seminarium. Pierwsza taka praca to monografia ks. Jana Walkusza²⁴¹ poświęcona duchowieństwu diecezji chełmińskiej. Na szczególną uwagę zasługuje dwutomowe dzieło ks. Bogdana Stanaszka *Diecezja sandomierska w powojennej rzeczywistości politycznej*, t. 1: *Problematyka personalno-organizacyjna*²⁴² i t. 2: *Duszpasterstwo i laicyzacja życia społecznego*²⁴³. To samo można powiedzieć o pracach ks. prof. Józefa Wołczańskiego i innych, których badania nad duchowieństwem dopomogły do ukształtowania pełnego obrazu dziejów diecezji lub jakiegoś wycinka życia kościelnego.

²⁴¹ J. Walkusz, *Duchowieństwo katolickie diecezji chełmińskiej 1918–1939*, Pelplin 1992.

²⁴² B. Stanaszek, *Diecezja sandomierska w powojennej rzeczywistości politycznej 1945–1967*, t. 1: *Problematyka personalno-organizacyjna*, Sandomierz 2006.

²⁴³ B. Stanaszek, *Diecezja sandomierska w powojennej rzeczywistości politycznej 1945–1967*, t. 2: *Duszpasterstwo i laicyzacja życia społecznego*, Sandomierz 2016.

Nie koncentrowałem się tylko na wyliczonych tu dziedzinach, temat badawczy seminarium brzmiał: „Kościoł w dziejach państw i społeczeństw”. Niekiedy słyszałem uwagi, że zajmuję się bardziej dziejami politycznymi niż kościelnymi. Pewna racja w tym była. Ale nie dotyczyło to prowadzonego przeze mnie seminarium, lecz moich osobistych badań. Poza tym byłem i jestem przekonany, że produkowanie prac hermetycznie zamkniętych w tematyce kościelnej, bez odniesienia do rzeczywistości ziemskich, mówiąc językiem *Vaticanum II*, owocuje nieostrym i jednostronnym obrazem Kościoła. Takiego Kościoła nie ma. Historyk tworzy go albo z racji czysto teologicznych założeń, albo jako rezultat swej wiedzy. Nie waham się powiedzieć, dla wielu badaczy *sacrum* i *profanum* to dwie dziedziny tak od siebie odległe, iż łączenie ich zakrawa na odzieranie Kościoła ze świętości. Dla historyka odczytanie zapisu śladów tej świętości zawsze stanowi problem. Tak jest nawet przy gromadzeniu materiałów do beatyfikacji, a co dopiero gdy w grę wchodzi te wszystkie sprawy, gdzie tak trudno rozeznaczyć, co jest działaniem Ducha Świętego, a co takiej czy innej ludzkiej przemyślności. Uważam jednak, że ponieważ w Kościele, a zwłaszcza wokół Kościoła, wiele się dzieje za sprawą obu tych przyczynowości, należy zawsze umieszczać Kościół w otoczeniu tych wszystkich ludzkich spraw, na które on pragnie wpływać i które wpływają na niego.

Przy tak dużej liczbie uczestników, nawet jeśli seminarium odbywało się co tydzień i trwało dwie godziny wykładowe, najwięcej czasu pochłaniało referowanie prac magisterskich czy doktorskich. Każdy z dyplomantów miał prawo do przynajmniej trzech wystąpień. Najpierw referował materiał i przedstawiał plan pracy, który był poddany pod dyskusję. Następnie raz i drugi – fragment pracy. Rzadko kończyło się na jednym referowaniu, natomiast bywało ich niekiedy więcej niż dwa. Niektóre prace czytano ze względu na treść. Były szczególnie ważne dla pogłębienia wiedzy ogólnej lub poruszały interesujące zagadnienia. Bywało i tak, że praca stwarzała problemy, dla których rozwiązanie potrzebna była szersza dyskusja. Wraz z upływem lat i pojawianiem się nowych generacji studentów dyskusja zaczynała kuleć. Zastanawiałem się, czemu to przypisać. Pytałem innych prowadzących semina, spoza naszego środowiska. Wszyscy odnotowali podobne zjawisko. Dlaczego tak jest? Przyczyny mogą być różne. Mniejsze obycie z występowaniem publicznym. Bardzo ważnym czynnikiem jest ogólnie zauważane zubożenie słownika studentów. Obawa przed „zacukaniem się” zamyka usta. Słyszałem takie wyznania od zainteresowanych. Ale najczęściej przyczyną chowania się za plecami kolegi jest zwykły brak odczytania, wiedzy ogólnej. W takiej sytuacji nawet postawienie pytania staje się

problemem, a cóż dopiero jakieś uwagi merytoryczne. Ci, którzy czynnie uczestniczą w dyskusji, okazują się później lepiej zorientowani niż reszta. Najgorzej jest jednak, jeśli przedmioty dyskutowane nie budzą żadnego zainteresowania.

Remedium na to jest odpowiednie pokierowanie debatą przez prowadzącego seminarium. Książd Żywczyński np. nigdy nie zabierał głosu na początku, ale zawsze jako ostatni. Tak być powinno i czyniłem podobnie. Przekonałem się jednak, że nieodzowne jest wprowadzenie, a potem rozszerzenie problematyki poruszanej przez referującego. Ośmiela i wskazuje na zagadnienia, które mogą i powinny trafić pod dyskusję. Nie zawsze chodzi o to, by podsunąć referującemu lepsze rozwiązanie. Seminarium ma uczyć krytycznego spojrzenia na poruszane problemy. Zauważyłem, że osoby, które nie potrafiły sformułować własnych spostrzeżeń, choć takowe miały, już po studiach miały wielkie trudności z pisaniem recenzji, nawet sprawozdawczych. Brakowało im pewności, czy dobrze zrozumiały myśl autora i czy to, co same mają do powiedzenia, ma jakąkolwiek wartość. Dlatego starałem się wykorzystać każdą wolną chwilę, by pokazywać i omawiać nowo wydane książki czy artykuły, zwłaszcza publikacje z periodyków zagranicznych. I znowu można było zauważyć, że niektórzy zwracali na te omówienia baczną uwagę i odnotowywali sobie tytuły, inni – niestety większość – zaledwie brali okazywane książki i artykuły do ręki i nie zaglądając do środka, odkładali.

Jeszcze jedna ważna uwaga à propos seminarium. Nie można wszystkich uczestniczących traktować jednakowo. Takie stwierdzenie może budzić zdumienie, a jednak jest ono oczywiste dla każdego, kto miał z tym do czynienia. Prowadzący seminarium, który wszystkim poświęca równie wiele uwagi, nie poświęca jej w istocie nikomu. Słyszałem o takich mistrzach na zachodnich uniwersytetach, udzielających audiencji wyjątkowo i na ogół nieczyniących wyjątków w gronie ubiegających się o to spotkanie. Wyglądało to pozornie na miarę ich wielkości, a było faktycznie swoistym wygodnictwem połączonym z całkowitą nieznajomością możliwości swoich uczniów.

Prowadzenie zajęć pod okiem profesora, asystowanie mu podczas zajęć, za które on ponosi odpowiedzialność, to wielka wygoda, która się kończy, kiedy należy samemu zasiąść za stołem wykładowcy i podejmować decyzje, czego i jak uczyć. Chciałbym wrócić do początków mej samodzielnej pracy i zacząć od banalnego stwierdzenia, że każde początki są trudne, ale zorganizowanie pracy w katedrze po takim poprzedniku, jakim był ks. prof. Żywczyński, stanowiło ryzyko mogące się odbić na całej mojej karierze uniwersyteckiej. Słyszałem głosy, że na najnowszą

historię Kościoła już nie warto iść, bo cóż mogę zaproponować po takim poprzedniku. Nie było to dla mnie przyjemne, zwłaszcza że były to opinie niektórych młodych księży studentów, na których pomoc liczyłem. Postanowiłem jednak się nie zrażać. Później jeden z nich był nawet na moim seminarium i z pewnością na tym nie stracił, bo i doktorat zrobił, i znalazł dla siebie odpowiednie miejsce i zajęcie.

Początek nie był łatwy. W roku akademickim 1972/1973 było na seminarium w sumie 13 uczestników, ale tylko jeden doktorant, reszta to byli studenci kursu B czy teologii dla świeckich. Poza tym jeden eksternista, który w tym roku akademickim uzyskał magisterium. Taki stan liczebny seminarium utrzymywał się w następnym roku, ale już w roku akademickim 1974/1975 w seminarium uczestniczyło dwunastu magistrantów, cztery osoby z kursu licencjackiego (kurs wyższy) i jeden doktorant. To było odbicie się od dna. W roku akademickim 1977/1979 na seminarium było już 38 osób, w tym 7 doktorantów, 11 magistrantów i licencjatów studium dziennego oraz 20 zaocznych.

Na pracę w ramach seminarium kładłem duży nacisk. Ksiądz Żywczyński uważał, że zajmowanie się kwestiami metodologicznymi to strata czasu, gdyż musi się z nimi zetknąć każdy piszący pracę magisterską, a zwłaszcza doktorską i sam musi posiadać odpowiednie umiejętności. Metodologia była w instytucie nauczana niejako podwójnie. Metodologię historii wykładał ks. Librowski, metodologię ogólną – ks. Stanisław Kamiński²⁴⁴. Ksiądz Żywczyński nie przykładał do tamtych zajęć większej wagi, nawet niekiedy wyrażał się o nich z pewnym pobłażaniem. Sam jednak, jak wspominałem, tym się nie zajmował. Jedyne, co lubił i robił na seminarium, przynajmniej raz do roku, to była taka jego refleksja, którą ujmował w coś w rodzaju wykładu czy konwersatorium pt. „Co czytać”. Było to bardzo ciekawe. Próbowałem to kontynuować, ale chyba nie potrafiłem tego robić choćby w połowie tak dobrze jak on. Były to jednak zajęcia lubiane przez słuchaczy. Rozpoczynając seminarium, postanowiłem poświęcić sprawom metodologicznym i metodycznym przynajmniej dwie–cztery godziny na dwa semestry. Okazało się to bardzo pożyteczne. Do końca mej pracy na KUL tego się trzymałem i o ile wiem, robi to także mój następca.

²⁴⁴ Stanisław Kamiński (1919–1986), ksiądz diecezji siedleckiej, filozof. Święcenia kapłańskie 1946. Absolwent KUL. Pracownik naukowy KUL od 1947. Doktorat 1949, habilitacja 1958, profesor nadzwyczajny 1965, profesor zwyczajny 1970. Kierownik Katedry Metodologii Nauk na Wydziale Filozofii Chrześcijańskiej KUL 1957. Dziekan Wydziału Filozofii Chrześcijańskiej w latach 1970–1975, 1977–1979 oraz 1981–1986. Autor ponad 330 publikacji naukowych.

Wobec rosnącej liczby studentów uczęszczających na seminarium nie udało mi się zrealizować seminarium tematycznego, co było wielkim moim pragnieniem. W 1974 r. zaprogramowałem temat seminarium: „Religijność w Polsce XIX wieku w świetle prasy”. Potem zmieniłem zakres chronologiczny na wiek XX. Jedynym profitem z tego był wspomniany już pomysł sporządzenia bibliografii czasopism katolickich z tego okresu. Konsultowałem pomysł z prasoznawcami, m.in. z Czesławem Lechickim²⁴⁵ z Krakowa, który nawet wygłosił na Wydziale Humanistycznym referat na ten temat. Jego rady okazały się cenne, podobnie jak innych osób z różnych środowisk, ale na ogół zniechęcano mnie, stale bowiem trwały dyskusje nad definicją prasy katolickiej. I trwają do dzisiaj. W końcu doszedłem do przekonania, że pewne jest, choć także w oparciu o subiektywne kryterium, pojęcie prasy religijnej. Tu już przymiotnik „katolicki”, określający pewną przynależność, stwarzał kategorię oczywistą.

W 1974 r. wraz z wybranymi studentami oraz osobami z zewnątrz – choć to był wyjątek – przystąpiłem do gromadzenia materiałów do tej bibliografii. Najważniejszą rzeczą była sama jej koncepcja, tzn. kryteria i forma opisu oraz ustalenie listy tytułów. Było to wyłącznie moje dzieło, stąd też uważam, że i autorstwo jest wyłącznie moje, co nie przekreśla udziału innych osób w kwerendzie. Fakt ten jest w książce wyraźnie zaznaczony. O współautorstwie natomiast osób trzecich, do czego zresztą pretenduje tylko jeden z kwerendzistów, nic nie wiem i nie wiedzą także bibliografowie odnotowujący tę książkę.

Kwerenda do bibliografii czasopism religijnych trwała kilka lat. Starałem się brać na siebie najuciążliwsze poszukiwania, a więc przede wszystkim prasę parafialną, zwłaszcza na Śląsku, gdzie jeździłem samochodem od parafii do parafii i szperałem po strychach. Proboszczowie przyjmowali mnie różnie, najczęściej gościnnie, ale o pomocy w badaniach nie mogło być mowy. Wielu oddawało mi znalezione przeze mnie egzemplarze czasopism, przez co wzbogacił się księgozbiór Biblioteki Uniwersyteckiej KUL.

²⁴⁵ Czesław Lechicki (1906–2001), prasoznawca, religioznawca, publicysta. Absolwent UJK we Lwowie. Publikował w prasie II RP już od 1924, do wybuchu drugiej wojny ukazało się kilkanaście jego książek i kilkaset artykułów. Po zakończeniu wojny pracował w „Czytelniku”, a następnie w wydawnictwie „Książka i Wiedza”. Współpracownik Zakładu Historii Czasopiśmiennictwa PAN od 1953. Informator i tajny współpracownik aparatu bezpieczeństwa 1953–1988 ps. „009”, „L”, „Nil”. Donosił m.in. na kard. Karola Wojtyłę i środowisko „Tygodnika Powszechnego”. Zob. szerzej: R. Graczyk, *Cena przetrwania. SB wobec „Tygodnika Powszechnego”*, Warszawa 2011.

Trudna była też kwerenda w bardzo zasobnej w prasę Książnicy toruńskiej. Na siebie wzięłem też przetrząsanie niektórych archiwów kościelnych i bibliotek. Zwłaszcza bogaty był mój łup w bibliotece seminarium duchownego w Warszawie. Usłyszałem od kogoś zorientowanego, że jest tam wiele kalendarzy, a tych prawie nie mieliśmy. Były luki, znany był tytuł albo fakt istnienia kalendarza, nie było natomiast egzemplarza do opisu. Tymczasem obowiązywała zasada opisu z autopsji – na tyle, na ile była możliwa do spełnienia. Z kartek katalogowych czy zapisów bibliograficznych braliśmy opis tylko z konieczności. W czasie tej pracy przekonałem się, jak wiele błędów jest w opisach katalogowych.

W bibliotece seminaryjnej w Warszawie, gdzie wtedy rządził ks. dr Bogumił Luft²⁴⁶, nie znalazłem w katalogach spodziewanych kalendarzy. Siostra obsługująca czytelników stanowczo oświadczyła, że w magazynie jest tylko to, co w katalogach. Nie chciało mi się wierzyć, ale co było robić? Stałem przy kontuarze i zaglądałem ukradkiem przez drzwi do magazynu. Wpadł mi w oko regał stojący blisko drzwi. Wydawało mi się, że widzę na półce okładkę znanego mi kalendarza. Kiedy siostra wróciła z magazynu, spytałem, czy mógłbym na tę półkę zerknąć. Oświadczyła, że nie, ponieważ są to materiały nieskatalogowane. Nie dałem za wygraną. Przez przyjaciela, ks. dr. Henryka Żochowskiego²⁴⁷, dotarłem do ks. Lufta i ten bez wahania pozwolił mi przejrzeć cały regał. Siostra była wyraźnie zdegustowana, bo jej zdaniem takie praktyki były niedopuszczalne. Miała rację, ale bardziej jeszcze niedopuszczalne było pozostawienie przez dziesiątki lat nieskatalogowanego materiału, którego na próżno się poszukuje. To, co odkryłem, przechodziło wszelkie wyobrażenia. Gdybym nie dotarł do tej półki, nie byłoby w bibliografii nawet połowy kalendarzy.

Przeoraliśmy w sumie kilkadziesiąt bibliotek i księgozbiorów, po zgromadzeniu materiału zaczęła się mordęga związana z opisem i zredagowaniem całości. Wychodziłem z założenia, że opis prócz podstawowej „główki” musi przedstawiać

²⁴⁶ Bogumił Luft, właśc. Andrzej Antoni Luft (1922–2008), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Doktor teologii w zakresie historii sztuki kościelnej. Święcenia kapłańskie 1948. Wykładowca w WMŚD w Warszawie 1963–1995. Dyrektor biblioteki seminaryjnej w Warszawie 1969–1995. Konserwator zabytków w archidiecezji warszawskiej od 1983. Członek Rady Prymasowskiej Odbudowy Kościołów Warszawy. Przez 45 lat rezydent przy kościele św. Aleksandra w Warszawie.

²⁴⁷ Henryk Żochowski (1921–1999), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Doktor teologii w zakresie historii Kościoła. Proboszcz parafii św. Jakuba Apostoła w Warszawie 1972–1995, dyrektor biblioteki seminaryjnej w Warszawie. Autor prac: *Wpływ kultu Matki Bożej na kształtowanie się ducha narodowego w perspektywie dziejów Polski*, Warszawa 1982; *Z dziejów kościoła Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny i parafii Świętego Jakuba Apostoła w Warszawie na Ochocie 1918–1998*, Warszawa 1998.

dzieje redakcyjne pisma, jego opis zewnętrzny, łącznie z wymiarem, objętością, nakładem, rodzajem problematyki i wybranymi miejscami przechowywania. Łącznie był to opis siedmiopunktowy, jeden z najbardziej wyczerpujących w podobnych bibliografiach. Opisałem 1105 tytułów. Z racji mnogości cyfr występujących w opisach bardzo kłopotliwe było sporządzenie maszynopisu (o komputerach wtedy nie myślano) i potem robienie korekty. Książka ukazała się ostatecznie w 1981 r. w nakładzie 1500 egz. Jest to warsztat dla każdego historyka, nie tylko historyka Kościoła. A pomyśleć, że idea powstała z dość błahego powodu – na seminarium tematyczne o prasie katolickiej chciałem dać studentom do ręki jakąś małą szufladkę fiszek z tytułami tej prasy.

U zarania istnienia katedry wdałem się więc w ponad pięcioletnią pracę, która bardzo mnie czasowo wyeksploatowała. Nieraz żałowałem tego przedsięwzięcia, a powodów było kilka. Jeden to konieczność prowadzenia kilku różnych tematycznie wykładów. Dla młodego wykładowcy – a takim byłem mimo moich czterdziestu kilku lat – nie jest rzeczą prostą prowadzenie wykładu monograficznego, jeśli nie ma on polegać na czytaniu własnej, a jak się to niekiedy zdarza, nawet cudzej książki. Jeśli oczywiście swego autorytetu nie chce się zawiesić tylko na posiadanym tytule i stanowisku. Mój „magazyn” naukowy nie był w tym czasie tak dobrze zaopatrzony, jak bym tego chciał. Postanowiłem wykorzystać dostępne mi monografie, mianowicie moją pracę doktorską na temat kulturkampfu w archidiecezjach gnieźnieńskiej i poznańskiej oraz pracę habilitacyjną na temat dziejów Kościoła w Wielkim Księstwie Poznańskim w czasie Wiosny Ludów i w okresie reakcji. To mi zapewniło możliwość prowadzenia wykładu opartego na źródłach przez cztery pierwsze semestry. Czułem jednak potrzebę głębszego wejścia w historię powszechną. Okazją stał się kolejny temat wykładu (1974–1975), który brzmiał: *Leon XIII wobec państw europejskich*. W trakcie wyszukiwania materiałów naszała mnie myśl, że należałoby w ogóle jakoś na nowo, w kontekście całokształtu dziejów, nie tylko europejskich, ale i światowych, ukazać papieża i Stolicę Apostolską.

Rozważany przeze mnie problem wypłynął w rozmowie z ks. Feliksem Lenortem²⁴⁸, który właśnie przygotowywał się do wydania zbiorowej pracy na temat wybitnych postaci w życiu Kościoła w Wielkopolsce (*Byli wśród nas*, Poznań 1978).

²⁴⁸ Feliks Lenort (ur. 1937), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1962. Absolwent KUL. Teolog. Dyrektor biblioteki i wykładowca w WSD w Poznaniu od 1970. Równocześnie kierownik Oddziału Rękopisów i Starodruków Biblioteki WSD w Poznaniu od 1971. Sekretarz Komisji Teologicznej Archidiecezji Poznańskiej od 1974.

Mój rozmówca bardzo mnie zachęcał, abym podjął taki ze wszech miar ważny i dotyczący kluczowych spraw w Kościele temat. Postać Leona XIII obudziła moje zainteresowanie papieżem po rewolucji francuskiej. Ze względu na badany okres kulturkampfu moim w pewnym sensie ulubionym papieżem był Pius IX. Rzecz jasna, chciało się zweryfikować powierzchowną wiedzę na temat innych pontyfików burzliwego okresu rewolucji, reakcji, restauracji i wreszcie rodzenia się demokracji we współczesnym rozumieniu. Tu zatem zaczyna się moja bardzo intensywna kwerenda obejmująca całe dzieje papieża w XIX i XX w., a właściwie od ostatniego ćwierćwiecza XVIII w.

Badania te chwilowo musiały pozostać na marginesie innych moich zajęć. Niecierpliwe ponaglenia kolegi Lenorta na nic się nie zdały, coraz wyraźniej rysował mi się długofalowy plan zajęć. Jego realizacja miała absolutny priorytet, do niego dostosowywałem wszelkie moje działania, łącznie z aktywnością katedry wychodzącą poza opłotki uniwersyteckie – mam tu na myśli planowane sympozja.

Gdy chodzi o wykłady, kolejnym tematem, który realizowałem w latach 1976–1977 były: dzieje Kościoła w Polsce w czasie rozbiorów, do utworzenia Księstwa Warszawskiego, a następnie: Kościół w zaborze rosyjskim. Tematy okazały się bardzo pojemne, więc kontynuowałem je, podzieliwszy na pewne duże fragmenty problemowe, jak negocjacje konkordatowe między Mikołajem I a Grzegorzem XVI, konkordat a sytuacja Kościoła w Królestwie Polskim, wreszcie losy Kościoła pod berłem carskim między powstaniami i po powstaniu styczniowym. Do wątków tych wracałem co jakiś czas w następnych latach. Uznałem, że rozbudowywanie raz podjętego zagadnienia i kontynuowanie go w wykładach ze stałym uwzględnianiem stanu badań i wykorzystaniem nowych źródeł jest korzystne dla słuchaczy, a jeszcze bardziej dla wykładowcy, który przy każdym powrocie do omawianego zagadnienia coraz doskonalej nad nim panuje.

Z żalem muszę stwierdzić, iż poza kilkoma mało znaczącymi artykułami o Kościele pod zaborem rosyjskim nie napisałem prawie nic, choć pękate teki materiałów zgromadzonych do wykładów aż się prosiły o jakieś obszerniejsze studium. Nie było czasu – aby go wygospodarować, trzeba by zrezygnować z innych przedsięwzięć. Nie zawsze zresztą były to prace przeze mnie planowane – istnieli ludzie, którzy bardzo dbali o to, bym miał co robić i bym robił nie to akurat, co leżało w zakresie moich zwyczajnych obowiązków.

Przed habilitacją wypadło mi objąć wykład z dziejów misji. Przede mną właściwie nikt się tym problemem nie zajmował, nie licząc zajęć o Bogusława

Waczyńskiego i o. Teofila Chodźdły. Były to jednak fragmentaryczne wzmianki, związane bądź to z Kościołem wschodnim, bądź też z antropologią misyjną. Wykład z dziejów misji, przekazany później ks. Janowi Walkuszowi po jego zatrudnieniu na stanowisku adiunkta katedry, kosztował mnie wiele przygotowań. Zająłem się misjami w XVI w. w Azji oraz na kontynentach afrykańskim i południowoamerykańskim. Podział biegł tu granicą patronatów hiszpańskiego i portugalskiego. Oczywiście można było oprzeć się na jednej z licznych monografii poświęconych tej tematyce. Swoje studia rozpocząłem od takich dzieł, jak: „Bibliografia Missionaria”²⁴⁹ i „Bibliotheca Missionum”²⁵⁰, co z kolei stawiało dalsze wymagania, więc wykład w wymiarze jednej godziny w tygodniu zajął mi bardzo wiele czasu, gdy chodzi o przygotowanie i ogólne czytanie. Muszę jednak stwierdzić, że polubiłem go i trudno mi było potem te zajęcia oddać.

Zupełnie w innej konwencji mieścił się mój wykład na kursie B teologii. Był to wykład kursoryczny, ale nic bardziej fałszywego, jak mniemanie, że nie wymagał on pracy. Po przejrzeniu istniejących na naszym rynku podręczników historii Kościoła stwierdziłem, że żadnym z nich nie można się posłużyć, by nie popełnić anachronizmu, względnie nie stawiać siebie samego w pozycji odklepującego fakty, w dodatku bez uwzględnienia niezbędnego kontekstu dziejowego. Wykłady kursoryczne prowadziłem z historii Kościoła powszechnego we wszystkich epokach, następnie już tylko od reformacji do czasów najnowszych. Historię Kościoła w Polsce miałem chyba tylko przez rok albo dwa. Do wykładów z historii Kościoła powszechnego za podstawę przyjąłem dziesięć tomów *Handbuch der Kirchengeschichte* pod redakcją Huberta Jedina. Oczywiście nie starczyło tego do skompletowania całego materiału, ale z pewnością w 80 proc. tak. W trakcie prowadzenia przez prawie 30 lat wykładu trzeba było uzupełniać jego treść zgodnie z rosnącym stanem wiedzy.

Z upływem lat stwierdzałem, że przeciętny student teologii, mający zajęcia z historii Kościoła na dwóch pierwszych latach studiów, nie potrafi opanować

²⁴⁹ „Bibliografia Missionaria” – rocznik wydawany przez Papieską Bibliotekę Misyjną od 1935, zawierający bibliografie prac wychodzących w różnych językach na temat misji, zarówno z perspektywy praktycznej, jak i teoretycznej. Książki i artykuły cytowane są w języku oryginalnym: angielskim, francuskim, niemieckim, holenderskim, włoskim, portugalskim, hiszpańskim, polskim i skandynawskim. Każdy tom zawiera około 3–3,5 tys. pozycji bibliograficznych.

²⁵⁰ „Bibliotheca Missionum” – seria wydawnicza dokumentująca katolicką działalność misyjną na wszystkich kontynentach. Pierwszy numer ukazał się w 1917 z inicjatywy Roberta Streita, który kierował pracami do 1930. Od końca lat dwudziestych funkcjonowała przy specjalnie utworzonej Pontificia Bibliotheca Missionum. Wydano ponad 30 tomów.

i przetrwać, a przede wszystkim zapamiętać nawet połowy przekazywanego mu materiału. Usiłowałem zatem przez cały czas zmieniać jego zakres, eliminować wątki, które nie miały żadnego zahaczenia ani w nabytej już wiedzy historycznej, ani tym bardziej w erudycji teologicznej. Nie wiem, czy mi się to udało. Już po przejściu na emeryturę pokusiłem się o wydanie takiej historii Kościoła, która byłaby do przyswojenia dla niehistoryka, znającego jednak na tyle teologię, by nie gubić się w podstawowych pojęciach. O książce tej wspominałem już poprzednio. Właściwie biorę tu pod uwagę jej drugie rozbudowane wydanie, gdzie w tekście znalazło się aż 50 wstawek źródłowych prezentujących najważniejsze w kościelnej historiografii źródła. W książce tej nie brak żadnego z istotnych dla dziejów kościelnych procesów historycznych, a źródła zostały tak dobrane, żeby pełniły funkcję ilustracji, zastępowały obecne w wielu podręcznikach, stale powtarzane i częściowo już zniekształcone fakty – ciekawostki. Książka w zamyśle miała pomóc seminarzystom i studentom teologii w przygotowaniu do egzaminu z historii Kościoła, jednak operowanie nią było zbyt wymagające dla wielu wykładowców, którzy na kanwie tej książki musieliby oprzeć swój autorski wykład. Daje to wiele do myślenia. Okazuje się, że jeszcze nie pora, by wyjść z tej fabularyzowanej historii kościelnej, która ma może sporo zalet, ale nie daje zrozumienia sensu dziejów kościelnych, a zatem i możliwości stawienia czoła zarzutom, z jakimi się często spotykamy.

Wykłady, obok seminarium, były tą nicią, która łączyła mnie ze słuchaczami. Lubiłem je. Wykład nie powinien być przegadany o byle czym i byle jak, ze spoglądaniem na zegarek, kiedy wreszcie można będzie skończyć to męczące dukanie. Sam niejednokrotnie na takich wykładach siedziałem jak na węglach i wstyd mi było za niefortunnego wykładowcę. Przez ponad 20 lat prowadziłem wykłady z historii Niemiec na germanistyce. Był to wykład monograficzny, mogłem zatem brać wąskie tematy i rozbudowywać je w głąb, analizować szczegółowe wątki. Pozwalało to na utrwalanie pojęć niemieckich występujących w szeroko pojętych tekstach humanistycznych, a zwłaszcza w historii. Wydaje mi się, że dawało to pewne efekty. Ucząc potem także w Wyższej Szkole Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie, miałem ćwiczenia z praktycznej nauki języka w oparciu o teksty prasowe. Prowadziłem także zajęcia z Landeskunde (nauki o kraju). Tutaj jeszcze dobitniej ujawniła się potrzeba zwracania uwagi na opanowanie języka rozumianego i mówionego, gdyż ćwiczenia mają to do siebie, że angażują w równym stopniu uczącego, co nauczanego.

Powiedzenie, że człowiek uczy się uczyć przez całe życie i do końca nie wie, czy tę sztukę opanował, jest ze wszech miar prawdziwe. Uczę od ponad 50 lat. Do 2012 r. już jako emeryt – po niemiecku w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Chełmie i dziewięć lat pracy tam uważam za ważny przyczynek do mej umiejętności pracy bezpośredniej ze studentami. Jeśli udaje mi się ich przekonać, że nawet wielkie obciążenie zadaniami warte jest zachodu, rezultat bowiem jest wręcz namacalnie uchwytny, to znaczy, że metoda uczenia jest właściwa. Muszę szczerze wyznać, że przekonanie to dotarło do mnie dopiero pod koniec mego emeryckiego nauczania.

Miałem wiele szczęścia, że omijały mnie godności i funkcje uniwersyteckie. Nie dlatego, że się od nich uchylałem, ale po prostu mnie nie potrzebowano. Nie wybierano, może nawet się bano. We wrześniu 1974 r. Senat Akademicki KUL powołał mnie na członka Senackiej Komisji Bibliotecznej. Trochę mnie ta nominacja zdziwiła, nikt mnie nie pytał, jakie jest moje zdanie, a ponadto o. Romuald Gustaw – bibliotekarz tysiąclecia, nie wahałbym się go tak nazwać, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej – w ostentacyjny wręcz sposób mnie nie znośli. Nie ujmuje to jego ogromnych zasług dla uczelni. Drugi raz o owej komisji usłyszałem, gdy również na Radzie Wydziału dziękowano mi za owocny w niej udział. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek był na jakimś posiedzeniu. Wprawdzie byłem przez prawie siedem lat dyrektorem (wtedy nazywało się to kierownikiem) Ośrodka Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych, ale o tym już opowiedziałem w innym miejscu.

Było dla mnie sprawą oczywistą, że muszę dla niektórych osób mieć więcej czasu. Byli to ci, których nie ja poganiałem, ale którzy poganiali mnie, przynosząc dobre owoce swej pracy, ale obok nich także problemy, których nie potrafili sami rozwiązać. Z góry wiedziałem, kto będzie dalej pracować i nie spocznie na laurach, a komu doktorat potrzebny jest do takiego czy innego awansu. Tylko nieliczni z moich doktorów nie utrzymywali ze mną kontaktu po promocji. Większość zgłaszała się z różnych okazji, najczęściej z jakimś nowym projektem badawczym. To był i jest sprawdzian mej teorii, iż seminarium powinno być polem uprawianym pod zasiew. Sam zasiew dokonuje się później w najrozmaitszy sposób. Jeśli jednak w sprawie uprawy pola wraca się do miejsca pierwocin, to znaczy, że nabytą metodę uznano za sprawdzoną i że warto zgłębić jej tajniki. Powroty te, skądinąd miłe, wymagają zaangażowania i wysiłku, bo nie można nikomu służyć radą i nie zawłaszczać w pewnym sensie tego, co tamten czyni, ale zapłata też jest sowita – w postaci plonu tego, co kiedyś się samemu posiało. Może jest to nieco przesadne

szukanie autoafirmacji, ale od tego nikt nie jest wolny. W pewnym sensie ma się do tego prawo, jeśli kiedyś dawało się na miarę swych możliwości, bez obawy, że się zostanie prześcigniętym. Znam przypadki i takich obaw.

W powyższym opowiadaniu moja osoba wybija się na pierwszy plan. Tak to wypada, ponieważ katedrę zacząłem organizować w 1972 r. i proces ten właściwie się nie skończył aż do chwili mego odejścia na emeryturę. Muszę jednak podkreślić rolę zespołu, który tworzył katedrę i któremu zawdzięczałem niejedno powodzenie w jej funkcjonowaniu. I jeszcze jedno: miałem komfort od chwili zatrudnienia w roli asystenta, gdyż dano mi czas, bym się przygotował do samodzielnej pracy. Nie przesadzę, jeśli stwierdzę, że połowę mego czasu zużyłem na przygotowanie zajęć. Było to możliwe, ponieważ podporządkowałem temu także moją pracę badawczą. To było dawno i na moich oczach się zmieniało. Zmiany przynosiły uwiad dojrzewania pracownika naukowego. Asystent, zarabiający grosze, zmuszony do szukania chałtury, po magisterium był obciążony kilkunastoma godzinami zajęć w tygodniu. O przygotowaniu zajęć autorskich nie mogło być mowy. Często asystent był chłopcem na posyłki kierownika agendy. Ten ostatni potrafił też dopisać się do artykułu asystenta, powiększając w ten sposób swój dorobek. To wszystko zagnieżdżyło się na uczelniach i powoli rujnuje ich poziom. Sprawia, że ktoś ambitniejszy nie chce pracy na uniwersytecie, gdyż wie, co go czeka: bieda, wyzysk i uwiad naukowy. Kiedyś mój profesor, gdy oferowałem mu pomoc, zachnął się oburzony, że zamiast robić swoje, chcę tracić czas na jakieś usługi – widzę to jako dawno i bezpowrotnie minioną epokę. Profesor Wojtkowski opowiadał o czasach chyba sprzed I wojny światowej, gdy *privatdozent*, tyle co dziś habilitowany, miewał godzinę wykładu w tygodniu. Może i przesada, ale z niego wyrastał znaczący profesor, podczas gdy z dzisiejszego zagonionego i zabiedzonego asystenta co najwyżej nauczyciel akademicki o zawężonych ambicjach sprowadzających się najczęściej do starania o kolejny awans, złapanie jakiejś nagrody, a najlepiej ucieczki w lukratywną funkcję polityczną, aby ze spokojnym sumieniem można było zawiesić naukę na kołku. Dopisywanie się do artykułu młodszego pracownika naukowego jest dziś plagą, niestety powszechnie akceptowaną. W rozmowie z jednym z wykładowców wyraziłem swoją opinię na ten temat, a on się zdziwił, bo sam też tak był taktowany. Niczego nie zrozumiał i hołduje tradycji godnej zapomnienia. Moi uczniowie nie mogą tego o mnie powiedzieć, bo jeśli coś dopisywałem, to najwyżej do ich prac.

Kierownictwo Ośrodka AMBK

– szczyt mojej kariery administracyjnej

Trudno i nudno jest snuć wspomnienia dzień po dniu. Warto byłoby spojrzeć na spotkania z ludźmi, ale i tu potrzebna byłaby ścisła selekcja. Było ich zbyt wielu, nawet tych, którzy pozostawili wyrazistszy ślad. Z konieczności zatem trzeba wybierać epizody, które nie pozostawały bez wpływu na przebieg mojej kariery życiowej. Nie ma ich wiele, a gdy chodzi o mój udział w funkcjonowaniu uniwersytetu, to jedynym takim epizodem było krótkotrwałe kierowanie przeze mnie Ośrodkiem Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych (ABMK).

Nikt nigdy nie wpadł na pomysł, by dopatrzeć się we mnie cech kwalifikujących mnie do funkcji, powiedzmy, dziekana, prodziekana czy dyrektora Instytutu Historii Kościoła. Po kadencjach na tym ostatnim stanowisku ks. Rechowicza, ks. Librowskiego i ks. Kumora wybrano najmłodszego wówczas pracownika samodzielnego w instytucie, mimo że według stażu byłem w kolejce pierwszy. Było to tak ostentacyjne, że raz na zawsze zrezygnowałem z ewentualnego przyjęcia takiej funkcji. Przyczyn ostracyzmu środowiska wobec mnie nie mogę odgadnąć. Dochodziły do mnie niekiedy słuchy, jakobym był człowiekiem nieużytym i gwałtownym, którego należy się obawiać. Może tak było, a ja tego nie zauważałem, a na ogół jednak ludzie przychodzili do mnie z zaufaniem. Nikogo nie spoliczkowałem, co innym się przydarzało, nie wyrzuciłem za drzwi, nie zwymyślałem. Legendą jest też, że wyrzuciłem za drzwi czyjś indeks. Ktoś go zostawił na stole w sali egzaminacyjnej, a ja wyniosłem na korytarz – to jedyny tego rodzaju przypadek, który sobie przypominam. Patrząc wstecz, nie potrafię dociec, dlaczego mnie tak pomijano. Mógłbym wymienić jeszcze kilka osób podobnie jak ja objętych jakąś dziwną karencją, ale nie tak szczerłą. Bywali oni przecież kierownikami instytutów, zakładów czy też sprawowali inne funkcje ogólnouniwersyteckie.

Nieświadomość moja wprawdzie nie była aż tak całkowita. W rozmowie z którymś z kolegów odkryłem coś, co przez wiele lat obecności w Radzie Wydziału nawet mi na myśl nie przyszło. Podszedł on do mnie i zapytał, czy nie zagłosowałbym na konkretnego kandydata do urzędu dziekańskiego. Spytałem, dlaczego mam na niego głosować, przecież w głosowaniu przejdzie ten, kto uzyska większość.

– No tak – powiedział – ale zwykle robi się kampanię przedwyborczą, a kandydat ubiegający się musi zapewnić sobie przychyłność rektora.

Byłem zdumiony. A zdumienie moje jeszcze się spotęgowało, kiedy się później dowiedziałem, że agitują ci, którym oferowano prodziekaństwo. Może trudno to

zrozumieć, więc wyjaśnię. Ktoś, kto ubiegał się o dziekanstwo, chcąc zdobyć dwa głosy więcej, obiecał dwóm kolegom, że gdy zostanie dziekanem, oni zostaną prodziekanami. Ci z kolei mieli za zadanie pozyskiwać głosy innych. Wprost nie do wiary, ale prawdziwe. Obserwowałem później procedury wokół wyborów i wszystko się potwierdziło. Innymi słowy, gdy się było na stołku, trzeba było wypłacać się tym, którzy pomogli nań wejść. Opowiem pewne zdarzenie, które mnie rozbawiło, ale zarazem dało wiele do myślenia.

Było to w 1983 r. Pod koniec kadencji rektorskiej o. Krąpca zauważyłem, że od pewnego czasu niektórzy ludzie, których ledwo znałem, uśmiechają się do mnie, kłaniają mi się, zagadują. Miałem kłopot, bo często nie mogłem przypomnieć nazwiska rozmówcy ani skojarzyć go z jakąś konkretną działalnością. Bywali też tacy, którzy spoglądali spoде łba i ostentacyjnie mnie unikali. Wspomniałem o tym przedziwnym zjawisku w rozmowie z prof. Czesławem Blochem. Ten uśmiechnął się tajemniczo i zacierając swoim zwyczajem ręce, rzekł:

– Widzisz, jak to zadziało?

– Co takiego? – zapytałem.

– Jakiś czas temu rozpuściłem plotkę, że jesteś przewidziany na rektora. Tu i ówdzie plotkę kupiono, bo nie jest tajemnicą, że byłeś z Glempem w seminarium i utrzymujesz z nim kontakt.

Czegoś podobnego nigdy bym nie wymyślił. Tłumaczyłem koledze, że z kard. Glempem nie mam kontaktu, odkąd został biskupem, a on ze mną o tyle, że jest moim ordynariuszem. Poza tym jestem ostatnim człowiekiem, którego promowałby na jakiekolwiek stanowisko. Profesor Bloch zaklinał mnie, bym o tym nikomu nie mówił, sytuacja wszak była zabawna, a przecież ja na tym nic nie tracę. To była prawda, a mój rozmówca dobrze wiedział, jak bardzo żądnym jestem godności i zaszczytów. Dziś mogę powiedzieć, absolutnie nie mistyfikując, że poza pracą naukową mało rzeczy mnie obchodziło, a już takie czy inne stołki – nic a nic. Uważam, że na stanowisku, na które predestynował mnie mój przyjaciel, nie sprawdziłbym się w żaden sposób. Wymaga ono kompromisowości, a ta cnota została mi oszczędzona. Oczywiście kompromis jest w wielu wypadkach konieczny, ale operowanie nim to tańczenie na cienkiej linii. I co tu dużo mówić, na wiele spraw trzeba przymykać oko. Jakoś tej zdolności nie nabyłem.

W atmosferze wytworzonej prowokacją Czesia czułem się nieszczególnie i niejednokrotnie mu to powtarzałem, ale on był innego zdania. Twierdził, że z nor wyszły różne gady i płazy – to były jego ulubione określenia. Podobno jedni

mówili, że jeśli zostanę rektorem, to tylko uciekać z KUL, inni liczyli, że mogą mi się przydać, dlatego już mnie obłaskawiali. Byłem tym wszystkim zniesmaczony, a jednocześnie zdałem sobie sprawę z tego, że po przeszło dwudziestu latach obecności w środowisku zupełnie go nie znałem. To także nie było miłe uczucie.

Tak więc było w moim życiu coś z komedii. Najczęściej zostawałem aktorem mimo woli, ale nie powiem, by mnie to tak wcale nie bawiło. Jedno mogę wyznać z ręką na sercu: nigdy nikomu żadnej godności nie zazdrościłem, denerwowało mnie natomiast, kiedy do różnych funkcji pchali się ludzie, którzy – co było ewidentne – nie służyli, ale szkodzili. Szkodzi każdy, kto postrzega kolejny szczebel swej kariery wyłącznie jako stopień drabiny, po której chce piąć się wzwyż. Jest to ohydne i szkoda, że aż tak częste. Omijanie mnie w awansach było dla mnie wielkim dobrodziejstwem. Zawsze zazdrośnie strzegłem swego prywatnego czasu, bo stwarzało to możliwości podejmowania różnych inicjatyw i ich realizowania. Traktowane poważnie i z odpowiedzialnością funkcje zabierały wiele czasu i rozumiałem kolegów, którzy sprawując je, wypadali z rytmu pracy naukowej. Nie przesadzę, że jak ognia bałem się wyboru na absorbujące stanowisko. Ze zdziwieniem jednak dowiadywałem się, że kto nie działa po linii administracyjnej, ten nie ma zasług dla uniwersytetu. Zawsze mi się wydawało, że uniwersytet stoi osiągnięciami naukowymi. Wiary tej się pozbyłem. Obserwując różne kariery, przekonałem się, że niejednokrotnie osiągnięcia naukowe były solą w oku ludzi, którzy układnością, zgadzaniem się na wszystko, co mówił i czynił ktoś ponad nimi stojący, torowali sobie drogę do urzędów – bez względu na to, czy się na nie nadawali. Ważne było, że ktoś jest bezkonfliktowy, nie ma swego zdania albo się z nim nie zdradza. Nic dziwnego, że uniwersytet zamiast zyskiwać autorytet, tracił go, a obecnie już go nie ma.

Każdy, kto był na KUL i – nie tak jak ja, prawie ślepy na otoczenie – miał oczy szeroko otwarte, wie o tych sprawach znacznie więcej i wiedział znaczenie wcześniej. Pewna autorka chlubiła się tym, że o ludziach może pisać tylko dobrze. Piękne to, ale czy możliwe? Nieprzypadkowo refleksja ta przyszła właśnie w tym momencie. Mówiąc o czymś, co sami osądzamy jako coś negatywnego – obawiam się użyć tu słowa „złego” – nie zawsze kojarzymy to z winą człowieka. A więc nie jego osądzamy, tylko jego dzieło. To, co po sobie pozostawił. I od tego nie można odejść, jeśli się chce pisać jakąkolwiek historię, a wspomnienia wszak takową są.

Nie tyle chciałym tu pokazać sposoby na robienie kariery, niemającej nic wspólnego z nauką, a karmiącej jedynie czyjąś miłość własną, ewentualnie przysparzającej nieco dóbr wymiernych, ile przyznać się do potwornej wprost naiwności, z jaką obserwowałem świat uniwersytecki wokół siebie. Wstydziłbym się spojrzeć w lustro, gdybym zabiegał o jakiś urząd dla siebie. Skąd miałbym wiedzieć, czy podołam związanym z nim zadaniom? Trzeba być bezkrytycznym wobec siebie albo bezprzykładnie pazernym, żeby sobie organizować wybory. Dziś, gdy patrzę na polityków, którzy obiecują złote góry, wiedząc, że niczego nie dotrzymają, lepiej rozumiem sprawy tych ludzików uniwersyteckich. Mimo wszystko czuję się z tym nieswojo. Może to jest jedna z przyczyn, dlaczego tak skrzętnie się izoluję.

Wróćmy do Ośrodka ABMK. W chwili, kiedy z kierowania Ośrodkiem zrezygnował ks. Bolesław Kumor, a było to w styczniu 1979 r., moje zainteresowanie tą placówką ograniczało się do dwóch spraw: wydawanego przez ks. Stanisława Librowskiego czasopisma „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne” oraz ewentualnego korzystania z posiadanych przez ABMK mikrofilmów. 27 marca 1979 r. prorektor Stefan Sawicki²⁵¹ mianował mnie z polecenia księdza rektora Krąpca dyrektorem Ośrodka ABMK. Zgodziłem się pod pewnymi warunkami. Pierwszy to pozyskanie do pracy w Ośrodku mego doktoranta, ks. mgr. Andrzeja Gałki, kapłana archidiecezji warszawskiej, na co jednak nie zgodził się później ksiądz prymas Wyszyński. Zawiadomił mnie w listopadzie, że ksiądz tego z diecezji zwolnić nie może, gdyż chciałby mu stworzyć warunki do sfinalizowania doktoratu, co w Warszawie będzie łatwiejsze, a ponadto na współpracę ks. Gałki liczy seminarium metropolitalne w Warszawie. O stylu postępowania księdza prymasa z podwładnymi księżmi niech świadczy fragment cytowanego tu listu: „Proszę, Drogi Księżu Profesorze, przyjąć z wyrozumiałością te informacje. Nie mogłem ich wcześniej podać z uwagi na trudność uzgodnienia stanowiska”.

Nigdy później żaden hierarcha tak się do mnie nie zwrócił. Na moje listy odpowiadał sekretarz. Najczęściej nie odpowiadano w ogóle. Pewien biskup, do którego pisałem ostatnio dwukrotnie (2007, 2013), także nie uznał mnie za godnego odpowiedzi. Ksiądz prymas Wyszyński widocznie miał w tym względzie przestarzałe

²⁵¹ Stefan Sawicki (ur. 1927), teoretyk i historyk literatury. Absolwent UJ i KUL. Doktorat 1960, habilitacja 1968, profesor zwyczajny od 1972. Pracownik KUL 1951–1999. Kierownik Zakładu Badań nad Literaturą Religijną 1960–1972, kierownik Katedry Historii Literatury Polskiej 1968–1976, a następnie Katedry Teorii Literatury 1976–1999, kierownik Zakładu Badań nad Twórczością Cypriana Norwida 1985–1999. Prorektor KUL 1971–1983. Prezes TN KUL 1989–1998. Członek czynny PAU od 1993.

zwyczaje. Jakież to było miłe! Szacunek okazany przez wyżej stojącego będącemu niżej to przede wszystkim zysk tego pierwszego, ale żeby tym sposobem zarabiać, trzeba mieć wiele atutów w ręku, o jakich dzisiejszy człowiek – z małymi wyjątkami – nie może nawet marzyć. Nie wyniósł ich ani z domu, ani ze szkoły. To taka dygresja, bez której tutaj nie można było się obejść.

Drugim warunkiem było rozwiązanie problemu stosunku ośrodka do Zakładu Mikrofilmowego. Mój postulat był taki, by jedno z drugim organicznie połączyć. Wreszcie trzecim warunkiem było przekazanie ośrodkowi łącznie z pracownią mikrofilmową mieszkania po ks. Żywczyńskim i dokonanie tam koniecznego remontu oraz adaptacji dla celów ośrodka. Już w maju okazało się, że s. Letycja Wojsław, prawa ręka ks. prof. Librowskiego, podziękowała za pracę w ośrodku. Nie wpłynęło to jednak na jego obsadę, gdyż faktycznie współpracowała ona wyłącznie z ks. Librowskim przy wydawaniu czasopisma.

Ośrodek AMBK, podobnie jak i czasopismo o tej nazwie, istniał od 1956 r. i był przedmiotem żywego zainteresowania kard. Wyszyńskiego. Zadania placówki skupiały się na dokumentowaniu i pracach metodologicznych w zakresie trzech instytucji kościelnych: archiwów, bibliotek i muzeów. W dziedzinie dokumentacyjnej dokonano rejestracji mikrofilmowej wielu źródeł kościelnych, choć była to akcja chaotyczna, zresztą niezupełnie z winy kierownictwa ośrodka, ale z powodu ogromnych trudności w dotarciu do archiwaliów kościelnych, a nawet starodruków. Powody tego były złożone. Były to m.in. brak opracowania odpowiednich materiałów i udostępnienia ich w archiwach i bibliotekach kościelnych oraz niedostateczne fundusze na działalność ośrodka w tym kierunku. Zresztą nie miał on własnego lokalu, nie licząc niszy, w której stał dokumator i funkcjonowali pracownicy sporządzający mikrofilmy. Dziś w tym miejscu jest ubikacja przy schodach na pierwsze piętro w skrzydle zachodnim gmachu (starego) głównego.

Istotnym powodem mego zainteresowania ośrodkiem była potrzeba uzyskiwania w nim mikrofilmów materiałów potrzebnych mi wówczas do badań. Można się było z personelem dogadać, konkretnie z panami Hałasą i Kolasą. Poprzednik ks. Kumora na dyrektorskim fotelu, ks. Józef Rybczyk, który często w tym lokalu przebywał, udawał, że robi trudności ubiegającym się o prywatne usługi dokumentalistów, ale w istocie wcale o to nie dbał. ośrodek był pożyteczny, ale raczej dla prywatnej kwerendy. Ksiądz Kumor sprowadzał i kazał mikrofilmować materiały, które były mu potrzebne do przygotowywanej monografii o organizacji kościelnej w Polsce. Sam korzystał, ale i innym nie przeszkadzał. Kto ciekaw jest szerszej

wiedzy o ośrodku, odsyłam do bardzo dobrej książki dr hab. Marii Dębowskiej *Ośrodek Archiwów, Bibliotek i Muzeów Kościelnych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego 1956–2006* (Lublin 2007).

Jak wiele podobnych inicjatyw w czasach PRL, tak i ta miała jak gdyby podwójne dno. Z jednej strony działała i wykazywała spore efekty, z drugiej *de facto* na zewnątrz nie istniała. Paradoks ten był nie do rozwiązania, władze uniwersyteckie bowiem nie miały stosownego lokalu, a chyba także dostatecznie dobrej woli, by rzecz załatwić. Ksiądz Rechowicz, będąc rektorem, uważał, że tymczasowo ośrodek ma swe miejsce na ziemi. Jednak placówką naukową faktycznie nie był, choćby dlatego, że nie miał pracowni i działającego systemu udostępnienia zbiorów. Potężnych, bo liczących kilka milionów klatek mikrofilmowych.

Ksiądz Kumor nie zdołał wymusić na rektorze Krąpcu także lepszych warunków dla ośrodka. I chyba stąd jego stanowcza decyzja ustąpienia ze stanowiska dyrektora. Wydawało mi się, że chciał skłonić rektora do pójścia za swymi postulatami. W rozmowie ze mną, raczej zupełnie przypadkowej, rektor poruszył sprawę i zagroził, że jeśli nie załatwimy tej kwestii we własnym zakresie, to on podporządkuje ośrodek Sekcji Historii na Wydziale Nauk Humanistycznych. Wszyscy zainteresowani wiedzieli, jakie będą tego skutki. Ksiądz biskup Rechowicz, zainteresowany ośrodkiem, który chwilowo miał pieczę nad aktami lwowskimi, radził mi, bym przyjął proponowaną mi przez rektora funkcję dyrektora.

Byłem w rozterce. Był to akurat czas finalizacji dwóch doktoratów i kilku dalszych w najbliższej perspektywie. Poza tym bardzo pilnie gromadziłem materiał do dziejów papieżstwa w XIX i XX w. Wszystko to jednak było do przezwyciężenia. Najbardziej bałem się, że sprawa ośrodka pozostanie nadal w martwym punkcie. Dostrzegłem rezerwę w stosunku do mnie u ks. Librowskiego, odpowiedzialnego za Sekcję Archiwalną, a jeszcze bardziej u ks. Smolenia²⁵², zawiadującego sprawami muzealnymi. Ojciec Sotowski²⁵³, mający pieczę nad działem bibliotecznym, był moim kolegą i współpraca z nim zapowiadała się dobrze. Główny problem to było zorganizowanie pracowni naukowej i dokumentacyjnej. Tak też przedstawiłem

²⁵² Władysław Smoleń (1914–1988), ksiądz diecezji tarnowskiej. Świecenia kapłańskie 1938. Historyk sztuki i teolog. Absolwent UJ. Doktorat 1946, habilitacja 1963, profesor nadzwyczajny 1966. Dyrektor Muzeum Diecezjalnego i Archiwum Kurialnego w Tarnowie 1950–1957 (pełnił jednocześnie funkcję diecezjalnego kuratora zabytków sztuki kościelnej). Kierownik Katedry Sztuki Kościelnej KUL od 1957. W 1974 r. władze kościelne wydały opracowane przez ks. Smolenia normy postępowania w sprawach sztuki kościelnej, którym nadały moc prawa kościelnego.

²⁵³ Władysław Ignacy Sotowski OFMConv (ur. 1937), ksiądz, franciszkanin konwentualny, teolog biblista. Świecenia kapłańskie 1961. Gwardian w Niepokalanowie 1989–1992.

sprawę o. Krąpcowi, który z kolei przekazał mnie w ręce prorektora Stefana Sawickiego.

W lutym 1978 r. zmarł ks. prof. Żywczyński. Mieszkanie po nim przez długi czas pozostawało niezasiedlone, istniał bowiem problem zagospodarowania jego księgozbioru i inne jeszcze okoliczności, które uchroniły od natychmiastowej konsumpcji ów tak przez wielu pożądaną kęs mieszkaniowy. Ponieważ w mieszkaniu tym pokoje mieli ks. prof. Chlewiński²⁵⁴ (do niedawna tam formalnie mieszkający, choć faktycznie od lat już poza Lublinem) i dwie inne osoby, do dyspozycji pozostawały dwa duże pokoje po ks. Żywczyńskim oraz jeden pokój od frontu, zajmowany niegdyś przez ks. Piwowarskiego i kogoś jeszcze po nim, oraz mała służbówka od podwórza. Nie licząc wspólnej kuchni, cztery pomieszczenia. Zacząłem czynić starania o ich pozyskanie na lokal dla ośrodka. Nie przypuszczałem, że rozpętam tak wielką burzę. Opisywano mnie, spadały na moją głowę gromy, że odbieram rodzinom mieszkania, że jestem typem aspołecznym itp. Jednak rektorat zaakceptował mój projekt, choć też z oporami.

Co prawda plan mój przewidywał osobny magazyn dla mikrofilmów, które jako materiał łatwopalny stanowiły spore niebezpieczeństwo, ale ks. Chlewiński nie chciał zamiany mieszkania, nawet na proponowane mu lepsze. Oczywiście wystarczyłoby sprowadzić komisję przeciwpożarową, by doprowadzić do eksmisji, ale tego nie chciałem robić. Mieliśmy gabinet dyrektora i pracowników, pomieszczenie na dokumator, pracownię i laboratorium, w którym na krótko przed moją rezygnacją stanęła samowyywoływarka najnowszej generacji, ofiarowana przez pewną panią z Niemiec, która chciała pozostać anonimowa. Sprzęt kosztował 24 tys. marek.

Notabene kilka miesięcy po moim ustąpieniu otrzymałem list od tej pani z zapytaniem, czy sprzęt dotarł. Obląłem się zimnym potem. Dałem przecież mojemu następcy, ks. Zahajkiewiczowi całą dokumentację związaną ze sprowadzeniem urządzenia i zwróciłem uwagę na konieczność podziękowania za dar, najlepiej przez kancelarię rektorską. Moja interwencja wywołała zdziwienie. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, by podziękować. Oczywiście skontaktowałem się

²⁵⁴ Zdzisław Chlewiński (ur. 1929), ksiądz diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Świecenia kapłańskie 1954. Absolwent KUL. Pedagog i psycholog. Doktorat 1963, habilitacja 1972, profesor nadzwyczajny 1988, profesor zwyczajny 1992. Pracownik naukowy KUL od 1963. Kierownik Katedry Psychologii Eksperymentalnej od 1972. Dziekan Wydziału Filozofii od 1980. Organizator reaktywowanego Wydziału Nauk Społecznych w 1981. Od 2001 na emeryturze.

z ofiarodawczynią i wyjaśniłem, że nie mam już z rzeczoną instytucją nic wspólnego, a o zaniedbaniu nie wiedziałem. Byliśmy przez pewien czas w kontakcie. Pani zrozumiała, że zaszła pomyłka.

Tak więc lokal z prawdziwego zdarzenia dla ośrodka stał się rzeczywistością. Remont trwał stosunkowo długo, co dawało czas na rozejrzenie się za ludźmi do pracy i wyposażeniem pracowni. Miałem ogromne szczęście, bo siostry zmarłychwstanki zgodziły się na pracę w ośrodku s. Lucyny Misteckiej, która właśnie obroniła u mnie doktorat. Zatrudniono ją w 1979 r. Była to osoba o wielkim poczuciu odpowiedzialności, dużej inteligencji i dobrym przygotowaniu. Przy tym miała wybitny zmysł organizacyjny. Można powiedzieć, że na jej głowie było umeblowanie pracowni i jej wystrój, a przy tym siostra gorliwie zajęła się porządkowaniem i opisywaniem akt lwowskich. Niestety, zakon tylko chwilowo zezwolił jej na pracę u nas i w 1980 r. musieliśmy ją pożegnać.

Ktoregoś dnia odwiedził mnie ks. Janusz Kania. Był po magisterium u ks. Żywczyńskiego, pracował w parafii garnizonowej i chyba poszukiwał seminarium doktoranckiego. Poprosił o zatrudnienie go. Wiadomo było, że s. Mistecka odejdzie lada dzień. Biskup Pylak²⁵⁵ z zadziwiającą ochotą wyraził gotowość zwolnienia ks. Kani z obowiązków w diecezji. Chyba tylko dla zasady obwarował to postulatem doktoryzowania się w ciągu trzech lat. Nastąpiło to dokładnie po dziesięciu latach, ale nie w tym rzecz. Otóż ks. Kania okazał się niezwykle operatywny na stanowisku sekretarza generalnego ośrodka. Kiedy będąc w USA w 1995 r., dowiedziałem się, że prof. Bloch zatrudnił go w swojej katedrze na Wydziale Nauk Humanistycznych, szczerze się zmartwiłem. Ksiądz Kania spełniał się w ośrodku i bardzo był tam przydatny. Nie była to ani dla niego, ani dla ośrodka korzystna zmiana.

W 1980 r. do obsługi dokumatora i laboratorium zatrudniłem Józefa Misiudę, a na jego miejsce przyszedł rok później Jan Koziół, z którym do-
brze mi się współpracowało aż do końca mego pobytu w ośrodku. W 1981 r.

²⁵⁵ Bolesław Pylak (1921–2019), ksiądz diecezji lubelskiej. Świecenia kapłańskie 1948. Teolog. Absolwent KUL. Pracownik naukowy KUL i wykładowca w WSD w Lublinie od 1952. Doktorat 1953, habilitacja 1969, profesor nadzwyczajny 1978, profesor zwyczajny 1987. Biskup pomocniczy lubelski 1966–1974. Wikariusz kapitulny 1974–1975. Biskup diecezjalny lubelski 1975–1992. Pierwszy arcybiskup metropolii lubelskiej 1992–1997. Od 1997 na emeryturze. Zarejestrowany przez SB jako TW ps. „Teolog” w latach 1959–1965, a następnie jako TW ps. „Bolesław” od 1971. Szerzej na temat współpracy arcybiskupa z SB i jej wpływu na jego działalność zob. M. Sobieraj, *Działania operacyjne SB wobec kurii lubelskiej w latach 1975–1989* [w:] *Aparat bezpieczeństwa wobec kurii biskupich w Polsce*, red. A. Dziurok, Warszawa 2009, s. 133–135; R. Łatka, *Rada Główna Episkopatu Polski wobec przedsięwziętej opozycji (1976–1981)*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2017, nr 1, s. 118.

doszła na stanowisko dokumentalistki Maria Dębowska, wówczas moja doktorantka (obrona w 1995 r.). Inny mój doktorant, ks. Joachim Giela, rozpoczął pracę w 1984 r. jako redaktor czasopisma ABMK (doktorat w 1989 r.). Z tymi ludźmi pracowałem i mogę o nich powiedzieć, że był to świetny zespół, gotowy do wytężonej pracy, choć każda z tych osób miała swoje cechy charakteryzujące ją jako pracownika. Można było robić coś pożytecznego.

Najbardziej absorbowały nas wówczas akta lwowskie. Biskup Rechowicz przygotowywał w Lubaczowie lokal na archiwum i zapowiadał zabranie akt. Nam z kolei zależało na opracowaniu jak największej ich części. Brakowało jednak sił. Siostra Mistecka mogła się tym zajmować jedynie w wolnych chwilach, podobnie ks. Kania. Systematycznie pracowała nad tym Maria Dębowska. W sumie niedługo to trwało, o ile sobie przypominam, bp Rechowicz zabrał archiwalia gdzieś jesienią 1980 r.

Ośrodek mikrofilmował archiwalia diecezjalne i zakonne. Były to głównie materiały średniowieczne, przede wszystkim rękopisy staropolskie, ale i akta wizytacyjne, niekiedy aż do XVIII w. Publikowane katalogi wykazywały, że materiały utrwalone na mikrofilmach, choć fragmentaryczne, wymagające uzupełnień i poszukiwań w zasobach archiwów kościelnych, nie zawsze zinwentaryzowanych (a raczej rzadziej niż częściej), stanowiły już bardzo ważny warsztat dla badaczy. Niemniej należało się zastanowić, w jakim kierunku pójść dalej. Nieodczowny w tych rachubach był wzgląd na środki finansowe, bardzo ograniczone. Uznałem, że należy zasięgnąć rady bardziej doświadczonego w tej dziedzinie ks. Kumora. Podzielał moje zdanie, że należy w ośrodku sporządzić bazę, która by zawierała kompletne zbiory z archiwów i ze starszych bibliotek, względnie innych zasobów.

Biblioteka Narodowa mikrofilmowała druki staropolskie (w ogóle starodruki) i była zainteresowana wymianą mikrofilmów, można więc było stworzyć w Lublinie równoległe z warszawskim centrum jako warsztat dla kwerendzystów. Metoda wspomnianej wymiany mogła znacznie obniżyć koszty i stwarzała realne szanse na realizację naszego programu. Kłopot był z transportem materiałów, ale ks. Kania wynalazł epoksydowe pojemniki, w których można było transportować materiały do mikrofilmowania. Wyszukał on także w jakimś magazynie bajecznie tanie metalowe szafy, w których można było bezpiecznie przechowywać foliały. Praca nie szła tak szybko, jak byśmy chcieli, przeszkody były głównie natury technicznej. Pojawiały się także inne – w postaci oporów niektórych archiwów kościelnych, niegodzących się na ryzykowne, choć ściśle ograniczone czasowo,

wypożyczanie archiwaliów. Przekonanie biskupów, bo od nich w końcu zależało powodzenie całej akcji, o konieczności jej przeprowadzenia i pożytku z tego płynącego to była poważniejsza część roboty do wykonania. Trzeba też było wypracować metodę opisu jednostek mikrofilmowanych, bo nie wszystkie odpowiadały schematowi karty ewidencyjnej. Wydaje mi się, że akcja przez nas podjęta miała szanse powodzenia, choć nie posuwała się w tempie przez nas przewidywanym.

Osobiście nie uczestniczyłem w opracowywaniu materiałów. Pracowałem w ośrodku nieetatowo, a miałem przecież katedrę i zajęcia za studentami. Natomiast coraz bardziej zauważałem, iż zadanie Ośrodka ABMK nie może polegać wyłącznie na robieniu dokumentacji mikrofilmowej i jej udostępnianiu. To zadanie było spełniane z chwilą otwarcia pracowni, a liczba odwiedzających nas badaczy rosła. Nie sądziłem też, by corocznie urządzone kursy dla archiwistów, bibliotekarzy kościelnych czy muzealników dawały efekty, jakie im przypisywano. Miałem żywy kontakt z odnośnymi ośrodkami diecezjalnymi i zakonnymi i stale dochodziły mnie głosy, zwłaszcza od archiwistów, że urządzenie tych spotkań w dotychczasowym trybie to strata czasu. Sporządziłem więc coś w rodzaju ankiety i rozesłałem do archiwów kościelnych, które były dobrze zorganizowane i działały na przyzwoitym poziomie naukowym. Poprosiłem o wskazanie ewentualnych zmian w naszej działalności na rzecz archiwów kościelnych.

Nie wiem już, ile takich listów wysłałem, dokładnie też nie powiem, ile otrzymałem odpowiedzi. Bliższy kontakt nawiązałem z ks. prof. Banaszakiem z Poznania i z ks. Janem Wysockim²⁵⁶ z Warszawy, nadto z kilkoma jeszcze archiwistami, których nazwisk nie pamiętam. Wszyscy byli zgodni co do jednego: należy stworzyć centralny ośrodek dla całej Polski, który by opracował organizację archiwów kościelnych, przynajmniej w diecezjach, i sprawował nad nimi swoisty nadzór konsultacyjno-metodologiczny. Kursy archiwalne mogłyby się odbywać w poszczególnych archiwach i polegać raczej na demonstrowaniu aniżeli na wykładach, z których nikt niczego nowego się nie dowiadywał.

Co do mojego projektu zorganizowania stażów dla naszych archiwistów w Archiwum Akt Nowych i w AGAD w Warszawie, ewentualnie w wybranych archiwach wojewódzkich, to zdania były podzielone. Zastrzeżenia zgłaszano głównie z racji trudności, jakie mogą wyniknąć ze strony władz państwowych. Optymizm rodził się z powodu rozwijającej się wówczas Solidarności, ale problem,

²⁵⁶ Jan Wysocki, ksiądz archidiecezji warszawskiej. Archiwista archidiecezji warszawskiej 1968–1987.

jakby nie było, istniał. W ten sposób dojrzewał pomysł powołania Głównej Rady Archiwalnej.

Zanim omówię tę sprawę, chciałbym poświęcić kilka słów innemu projektowi, który powstał w marcu 1981 r. w Instytucie Historii Kościoła i który został zgłoszony przez trzech profesorów: Kumora, Librowskiego i mnie. Chodziło o bliższe zintegrowanie Ośrodka ABMK z Instytutem Historii Kościoła, do czego były potrzebne odpowiednie zmiany w statucie ośrodka. Rzecz była sensowna, gdyż w pewnym stopniu można by uzyskać choćby tylko dorywczo współpracowników ośrodka, a ponadto on sam mógłby pełnić funkcję placówki ćwiczeniowej dla studentów IHK.

Senat, do którego trafił projekt, powołał w czerwcu komisję do jego zbadania. Jej członkowie – prof. Sułowski, ks. Wojtyśka²⁵⁷ i dyrektor BU KUL Andrzej Paluchowski²⁵⁸ – z pewnością byli w stanie zanalizować projekt, ale co się tyczy zadań i możliwości ośrodka, to poruszali się po omacku. Wskazywałyaby na to ekspertyza prof. Sułowskiego, wysuwającego przeciwko projektowi m.in. takie obiekcje, jak pomniejszenie rangi ośrodka przez związanie go z IHK, utrudnienie współpracy ośrodka z innymi agendami KUL oraz zbytne preferowanie spraw archiwalnych. Senat KUL zgodził się z tym, co oznaczało, że gremium to (nie tylko wtedy zresztą) nie zadało sobie trudu merytorycznej oceny ekspertyzy, co zakrawało na kpinę. Postanowiliśmy poważnie potraktować przedstawione zastrzeżenia i projekt został gruntownie przepracowany. Senat, który na początku 1983 r. otrzymał rzecz do zatwierdzenia, tym razem w ogóle nie zareagował.

Wyszło sztydło z worka. Ktoś zadziałał, by storpedować jeszcze jedną dobrą inicjatywę, o co dbały odpowiednie czynniki, nie tylko w tym wypadku. Te czynniki szczególnie interesowały się historią na KUL. Jakiegokolwiek kroki w celu podniesienia jej rangi były konsekwentnie kierowane na manowce. Mam nadzieję, że doczekam się jeszcze czasu, kiedy stanie się jawne, kto wtedy pociągał

²⁵⁷ Henryk Damian Wojtyśka CP (1933–2009), w zgromadzeniu od 1950. Święcenia kapłańskie 1957. Absolwent Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego w Rzymie. Historyk Kościoła. Pracownik naukowy KUL od 1969. Habilitacja 1975. Duszpasterz akademicki w Domu na Poczekajce oraz ojciec duchowny księży studentów 1977–1980. Prodziekan Wydziału Historii Kościoła 1977–1979, prorektor ds. młodzieży 1981–1983. Kierownik ds. edytorskich Polskiego Instytutu Historycznego w Rzymie 1984–1994. Członek Papieskiego Komitetu Nauk Historycznych 1984–2004.

²⁵⁸ Andrzej Paluchowski (1933–2017), polonista. Absolwent KUL. Pracownik KUL od 1956. Starszy bibliotekarz 1966–1971. Wicedyrektor 1972–1976, a następnie dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL 1976–1997. W czasie jego kadencji zbiory biblioteki niemal się podwoiły (stan ponad 590 tys. woluminów). Odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski 2008.

za sznurki. Bo że nie był to jeden człowiek, już dobrze znany, to pewne. Było ich więcej. Już wtedy nie było wątpliwości co do tego, że padliśmy ofiarą działań dywersyjnych. Sama argumentacja komisji była tak bezsensowna, że nie można było jej traktować jako merytorycznej opinii w tej sprawie. O ile sobie dobrze przypominam, ks. Kumor namawiał mnie, by działać przez bp. Rechowicza, ale ten od chwili przyjęcia sakry biskupiej nieco się zmienił. Bardzo uważał, żeby być dla pewnych kół poprawnym i działać konformistycznie. Niczego sobie po tym nie obiecywałem i w końcu zrezygnowałem w ogóle z zabiegów o realizowanie naszego projektu.

14 lipca 1983 r. weszła w życie ustawa o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach. Od razu odezwały się głosy, że państwo przejmie archiwa kościelne. Oczywiście w PRL wszystko było możliwe, ale taka operacja była wręcz nierealna. Zasięgnąłem w Warszawie opinii w środowisku Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych u osób, którym można było zaufać, a przede wszystkim u praktyków. Mieli do mnie zaufanie, bo znaliśmy się od dłuższego czasu, z niektórymi – z Komitetu Nauk Historycznych PAN, z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Nie musiałem kluczyć, by ich zapytać, co szczerze myślą. W jednym byli zgodni: przejęcie archiwów kościelnych wymagałoby stworzenia całkiem nowej bazy organizacyjnej, a przy tym przeszkolenia całego zastępu pracowników. Jeśli taka operacja miałaby być przeprowadzona, to musiałoby to trwać co najmniej kilkanaście lat i w dodatku wymagałoby wielu środków. Na ograniczenia w tym względzie skarży się wiele archiwów państwowych. Ktoś z rozmówców zauważył, że archiwa kościelne są jednostkami autonomicznymi, podlegającymi kompetentnemu hierarsze. Nie istnieje żadna instytucja, która by je reprezentowała na zewnątrz. Gdyby takowa istniała, byłaby służą, przez którą szłyby ewentualne rozmowy z naczelnymi władzami archiwalnymi państwowymi w sprawach zasobów kościelnych. Nie było to zbyt przekonujące, ale jedno było pewne: centralna instytucja archiwalna w Kościele z pewnością nie szkodziłaby, a zysk z niej mógł być wieloraki.

Zacząłem zatem pracować nad projektem utworzenia Głównej Rady Archiwalnej. Trochę z niedowierzaniem, że warto. Dostałem jednak sygnał z terenu, że należy zwołać zebranie dyrektorów archiwów kościelnych. W listopadzie 1984 r. doszło do takiej konferencji. Jej wyniki przeszły moje oczekiwania. To nie ja zachęcałem do powołania takiej rady jako instytucji koordynującej działalność archiwów kościelnych i wspierającej je pod względem metodologicznym, domagali

się tego uczestnicy konferencji. Wskazywano też na ewentualną funkcję rady w kontaktach z państwowymi władzami archiwalnymi. Ekspertyza prawna ks. prof. Henryka Misztala²⁵⁹ była tu w pełni miarodajna. W czasie konferencji ostro piętnowano niekompetencję niektórych pracowników archiwów kościelnych, osób często w ogóle niezainteresowanych taką pracą, kierowanych do niej przez biskupa według jego własnego uznania. Wszyscy uczestnicy zebrania postulowali też praktyki archiwalne w przodujących archiwach państwowych. Zlecono mi opracowanie regulaminu Rady i przedstawienie go prymasowi Glempowi. To trwało znowu do lutego 1985 r. Regulamin był szeroko konsultowany i nie naruszał w najmniejszym stopniu władzy biskupów nad archiwami diecezjalnymi. Jedyne zastrzeżenie mogło budzić wskazanie konieczności wspomnianych praktyk archiwalnych, co zresztą łączyło się z konsultacją metodologiczną sprawowaną przez Ośrodek AMBK. Kompetencje Głównej Rady Archiwalnej także miały ścisły charakter metodologiczno-naukowy.

Trochę z duszą na ramieniu powiozłem regulamin do Warszawy, by go przedstawić kard. Glempowi. Przeczytał go uważnie i pochwalił pomysł.

– Oczywiście, rozumiesz – powiedział – że musi to zatwierdzić Konferencja Episkopatu, ale tak ważne dzieło znajdzie z pewnością uznanie w oczach biskupów, bo odejmie im sporo troski.

Z zadowoleniem przyjął też do wiadomości fakt, że regulamin został przedyskutowany z dyrektorami archiwów kościelnych.

Byłem w skowronkach. Miałem *placet* najwyższego dostojnika Kościoła w Polsce. Co więcej, uznał on nasz pomysł za pożyteczny i twórczy. Obawiałem się, że będą obiekcje z tymi praktykami, ale powiedział mi tylko, że mogą mieć trudności, bo będą się bać robić coś dla Kościoła.

Następnym miejscem, które odwiedziłem, była Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych. Szefem był wówczas prof. Marian Wojciechowski²⁶⁰. Przyjął mnie

²⁵⁹ Henryk Misztal (ur. 1936), ksiądz diecezji lubelskiej. Świecenia kapłańskie 1964. Prawnik, kanonista. Absolwent KUL. Doktorat 1968, habilitacja 1979. Kierownik Katedry Prawa Wyznaniowego 1980–2007, prodziekan 1983–1987, dziekan Wydziału Prawa Kanonicznego i Nauk Prawnych 1987–1989. Autor ponad 470 publikacji naukowych. Prowadził siedem procesów polskich kandydatów na ołtarze zakończonych beatyfikacją i sprawuje nadzór naukowy w wielu innych procesach kanonizacyjnych w Polsce.

²⁶⁰ Marian Wojciechowski (1927–2006), historyk. Absolwent Uniwersytetu Poznańskiego. Doktorat 1951, habilitacja 1966, profesor nadzwyczajny 1972, profesor zwyczajny 1981. Pracownik naukowy Uniwersytetu Poznańskiego od 1949, następnie UMK w Toruniu 1955–1969, UŚ w Katowicach 1969–1972, UW od 1969. Prezes Kuratorium Instytutu Zachodniego w Poznaniu 1979–1985. Naczelny dyrektor Archiwów Państwowych 1981–1992.

z wyraźnym zaciekawieniem, jaki mogę mieć do niego interes. Kiedy dowiedział się, o co chodzi, rzekł z pewnym zdenerwowaniem:

– Chcecie wyraźnie, by mnie partia powiesiła. Dlaczego mam dla was nadstawiać karku?

Na takie *dictum* wydukałem:

– Przepraszam. – I zabrałem się do wyjścia. Ale dyrektor jeszcze nie skończył. Podumał i zapytał:

– Ilu i na jaki czas przewiduje ksiądz praktykantów?

Trudne pytanie, bo sam nie wiedziałem. Zapytałem, czy mógłbym nieco później, po zorientowaniu się, dostarczyć konkretnych danych. Profesor nie zdziwił się.

– Tego oczekiwałem – stwierdził. – Widzę, że poważnie rozmawiamy. Załatwię, co trzeba. Teraz można więcej niż dawniej. Tylko chwilowo sprawa niech będzie między nami.

Spytał jeszcze, co na to władze kościelne. Odpowiedziałem, że ksiądz prymas jest z tego zadowolony. Widziałem, że także prof. Wojciechowski nie krył zadowolenia. Niestety, rozmowa ta miała dla mnie złe następstwa. Nie zależało mi na jakimś nieporozumieniu z moim, przecież tak uprzejmym i życzliwym, rozmówcą, a jednak do tego doszło.

Oczekiwanie na werdykt Konferencji Episkopatu było bezstresowe, więc pismo sekretarza owego gremium z 27 marca 1985 r. było gromem z jasnego nieba. Brzmiało następująco:

Konferencja nie tylko nie przyjęła regulaminu w przedłożonej redakcji, ale także nie wyraża zgody na przyporządkowanie archiwów kościelnych Ośrodkowi ABMK w Lublinie. Konferencja proponuje natomiast, aby archiwiści urzędów kościelnych mogli omawiać własne problemy w ramach sekcji powołanej przy Komisji Episkopatu do Spraw Nauki Katolickiej.

Tego się nie spodziewałem i chyba nikt z tych, którzy nad projektem pracowali. Jedno było pewne. Biskupi ani nie rozumieli intencji przyświecającej proponowanej centralnej organizacji archiwów kościelnych, ani nie byli w stanie spojrzeć poza ciasny krąg obaw o własną władzę, przez nasz projekt w najmniejszym stopniu niezagrażoną. Jeśli dosłownie interpretować przytoczone tu pismo, to jest w nim sprzeczność ze Statutem ABMK zatwierdzonym przez

prymasa Wyszyńskiego, a przede wszystkim praktyczne unicestwienie realnej pracy ośrodka. O Głównej Radzie Archiwalnej nawet nie wspomniano. Dziwne to wszystko było.

Rzecz jasna zakomunikowałem treść pisma tym dyrektorom archiwów diecezjalnych, którzy nad projektem regulaminu ze mną współpracowali. Werdykt ich był zgodny. Wyrazili przekonanie, że Konferencja Episkopatu nie zapoznała się z projektem regulaminu, ktoś go zreferował, nie zagłębiając się w jego treść, i tak powstała odpowiedź na naszą inicjatywę. Powszechne było zniechęcenie. Jeśli gremium episkopatu w taki sposób podchodziło do archiwów kościelnych, których stan pozostawiał wiele do życzenia, to znaczyło, iż na tym odcinku nie ma szans na żadną poprawę. Powołanie się na kompetencję Komisji Episkopatu ds. Nauki Katolickiej miało swój szczególny smaczek, wiadome bowiem było, że jej członkowie mieli tyle do powiedzenia, co posłowie w sejmie PRL, czyli że o jakiejś inicjatywie oddolnej nie można było marzyć. O wyjaśnieniu czy odwołaniu nie było mowy. *Roma locuta causa finita*²⁶¹. Próba podjęcia takich kroków byłaby zgodnie z przyjętą praktyką kościelną uznana za akt pychy i niesubordynacji. O jakichś obiektywnych racjach nawet nie warto było wspominać.

Cóż mogłem uczynić? Właściwie, pomijając nawet odrzucenie tak wiele obiecującego projektu, według brzmienia pisma Konferencji Episkopatu nie miałem już racji bytu w ośrodku. Potraktowano mnie gorzej niż niedorostka wyrwywającego się z jakimś niedowarzoną pomysłem. Mało tego – w podobny sposób potraktowano najbardziej kompetentnych i inicjatywnych dyrektorów archiwów kościelnych. Złożyłem na ręce rektora bp. Piotra Hemperka²⁶² rezygnację, którą skwapliwie przyjął. Trochę kpiąco spytał:

– Po co wyskakiwałeś przed orkiestrę? Żle ci było?

– Przecież nie moja, ale nasza to była sprawa, uczestniczyło w niej wielu dyrektorów archiwów kościelnych. Inicjatywa była dobra, nie naruszała prawa kościelnego, a mogła przynieść wiele pożytku tak potwornie zaniedbanej dziedzinie, jaką są archiwa kościelne.

²⁶¹ Sentencja łacińska: Rzym przemówił, sprawa zakończona. Innymi słowy: decyzja zapadła i jest niepodważalna.

²⁶² Piotr Hemperk (1931–1992), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1955. Absolwent KUL. Pracownik naukowy KUL od 1963. Prawnik, kanonista. Notariusz kurii biskupiej w Lublinie i redaktor „Wiadomości Diecezjalnych” od 1961. Doktorat 1963, habilitacja 1973, profesor nadzwyczajny 1978. Dziekan Wydziału Prawa Kanonicznego 1974–1977. Biskup pomocniczy lubelski od 1982. Rektor KUL 1983–1988.

Na to rektor uśmiechnął się i podziękował mi za pracę, bo jak sam przyznał, pod moim kierownictwem ośrodek rzeczywiście zaczął funkcjonować i stał się placówką naukową z prawdziwego zdarzenia.

– Ale – dodał – naraziłeś się niebezpiecznemu przeciwnikowi.

Owszem, zrozumiałem wtedy i później coraz częściej tego doświadczałem, że jest to przeciwnik, choć przecież być nim nie powinien.

Najbardziej przykre było to, że nawet nie dopuszczono do przedyskutowania tak ważnej sprawy. Wraz z kolegami z archiwów diecezjalnych ślęczeliśmy nad rozwiązaniem naprawdę palącego problemu większości archiwów kościelnych będących w fatalnym stanie, a w dodatku niestanowiących w najmniejszym nawet stopniu placówek przystosowanych do badań naukowych. Często archiwiści, inaczej dyrektorzy archiwów kościelnych, uważali siebie za ich udzielnych władców i złośliwie torpedowali kwerendę naukową, np. wykluczając pewne materiały pod pozorem własnych planów ich wykorzystania. Najgorsze było to, że byli oni zawsze kryci przez biskupów. Wystarczyło, że stwierdzili, iż ktoś chce wykorzystać archiwalia do walki z Kościołem. Takie przypadki zdarzają się w dalszym ciągu, gdyż panuje w naszym środowisku przekonanie, że nie kompetencje, lecz nominacja oparta na byle jakich przesłankach czyni fachowca. To jest eldorado dla ludzi ograniczonych i przyjmujących pozę bóstwa wobec interesantów, którzy w bezsilnej złości muszą odchodzić z kwitkiem, bo takie było czyjeś widzimisie. Chcieliśmy uzdrowić te chore stosunki, a potraktowano nas, konkretnie mnie, jak chłopca sięgającego zakazany owoc.

Nie mogłem zrozumieć w tym wszystkim stanowiska kard. Glempa, który w rozmowie ze mną szczerze akceptował nasz projekt, a potem nawet słowem się nie odezwał, jak gdyby nigdy z tą sprawą nie miał nic wspólnego. Takie sytuacje muszą deprimować i zniechęcać do jakiegokolwiek twórczej pracy dla dobra instytucji. Nic dziwnego, że wielu wycofuje się w prywatność i tam stara się realizować swe plany. Po opisanych wyżej zdarzeniach sam tak właśnie postąpiłem.

Tak się zakończyła moja krótka przygoda w Ośrodku ABMK. Wszystko zostało po staremu, a ja wyniosłem jedną korzyść: na przyszłość robić wszystko w pojedynkę, bez jakiegokolwiek uzależnienia od władzy kościelnej. Tam, gdzie byłoby ono wymagane, rezygnować i zaczynać coś innego. Udało mi się. Kardynała Glempa widywałem odtąd tylko na zdjęciu, nie licząc przypadkowych spotkań w przejściu. On też nigdy słowem się w tej sprawie nie odezwał. Rzecz jasna, nie musiał, dla

niego to nie była żadna sprawa. Po prostu decyzja wręcz anonimowa, gdy chodzi o człowieka nią dotkniętego.

Kiedy kilka lat później napisałem do kardynała list z prośbą o zezwolenie na korzystanie z archiwaliów dotyczących inicjatyw duszpasterskich kard. Wyszyńskiego w archidiecezji gnieźnieńskiej, otrzymałem od jego sekretarza lakoniczną odmowę ze wskazaniem na „Wiadomości Archidiecezji Gnieźnieńskiej” jako stosowne źródło. W tym samym czasie świeckim historykom z nieporównywalnym do mojego stażem udostępniano akta kościelne dotyczące tej samej osoby i to akta o wyjątkowo długiej karencji. Trzeba mieć naprawdę silną psychikę, by wytrzymać tego rodzaju dyskryminację, zwłaszcza jeśli przez kilkadziesiąt lat uczciwie się spełniało swe powinności.

Pracując ponad 50 lat naukowo dla Kościoła, bo jednak gros mojej twórczości, w tym prace promowanych przez mnie doktorów, to była przecież problematyka kościelna, ani razu nie zostałem przez władze kościelne zapytany w żadnej kwestii wchodzącej w zakres moich kompetencji, choć wiedziałem, że bywali przez episkopat pytani ludzie co najwyżej ubocznie zorientowani w sprawach kościelnych. Trzeba było mieć silną psychikę i niezachwianą wiarę, żeby spokojnie przyjmować takie „wyróżnienia”.

Casus ABMK był dla mnie cenną, choć gorzką nauką. Przekonałem się, że jeśli się ma władzę, to można nie mieć niczego poza nią. Dewastacja wielu archiwów kościelnych to zasługa suwerenów niepodzielnie nad nimi panujących. Wie o tym początkujący adept Klio, który stawia pierwsze kroki w kwerendzie archiwalnej. Gdyby było inaczej, to nasz projekt nie tylko zostałby przyjęty, ale i zasłużyłby na uznanie. Zamiast tego spuszczo mi przed nosem szlaban. A niewątpliwie ujemną stroną tego przykrego incydentu był fakt, że nie zdobyłem się na odwagę, by przeprosić prof. Wojciechowskiego. Wielokrotnie wyraźnie dawał mi odczuć, że ma mi to za złe, i słusznie. Nie wiedziałem, jak mu wytłumaczyć doznany afront bez rzucania cienia na episkopat. Byłem jeszcze zbyt młody, by móc oceniać rzeczy według miary ich istoty. Może bym i poszedł do niego, ale latem 1985 r. wyjechałem na stypendium w ramach roku sobotniego do archiwum w RFN. Potem już nie było okazji, by do sprawy wrócić.

Po mnie dyrektorem ABMK został ks. prof. Zahajkiewicz, który zachowywał się znacznie rozsądniej niż ja. Nie stwarzał problemów dla władzy jakimiś inicjatywami i spokojnie panował nad kilkoma pracownikami. Okazało się, że tak trzeba, oczywiście przy odpowiednich ambicjach naukowych i organizacyjnych

dyrektora. W tym wypadku były one po myśli episkopatu i władz uniwersyteckich, dlatego w 2015 r. uczczono ks. prof. Zahajkiewicza m.in. za długoletnie dyrektorowanie w ABMK. Powinno się z rozpędu dodać – jako uzasadnienie owego *laudum* – zorganizowanie i wyposażenie tej jednostki. *Sic nascitur gloria mundi*²⁶³.

Znowu podróże – na wschód i na zachód

Kolejnym tematem, który chcę poruszyć, są moje podróże. Wyprawa do Lozanium, Paryża i Rzymu została już opisana. Był to rekonesans. Kolejny wyjazd nastąpił w 1980 r. do RFN, gdzie w Akwizgranie uczestniczyłem w dorocznym zebraniu jako świeżo przyjęty członek Görresgesellschaft zur Pflege der Wissenschaft. Członkostwo w tym znanym i cenionym towarzystwie naukowym zawdzięczałem prof. Josefowi Beckerowi²⁶⁴, prezydentowi uniwersytetu w Augsburgu, z którym przez długie lata utrzymywałem przyjacielskie kontakty, gościłem u niego w domu, na uniwersytecie w Augsburgu i zapraszałem go do Lublina. Znajomość tę wspominam z uczuciem szczególnego zadowolenia, gdyż mieliśmy z prof. Beckerem wiele wspólnego, jeśli chodzi o spojrzenie na historię najnowszą. Wygłosiłem wówczas w Akwizgranie referat pod tytułem: *Kulturkampf w prowincji poznańskiej*. Później przez wiele lat uczestniczyłem w dorocznych zjazdach tego stowarzyszenia, jeszcze chyba dwa razy wygłosiłem referaty. Były to zawsze bardzo miłe spotkania, okazja do nawiązania wielu znajomości. Mój pierwszy pobyt w tym mieście trwał bardzo krótko, ale zdążyłem odwiedzić rodzinę znaną mi z Polski, która przesiedliła się do RFN, powoławszy się na jakieś niemieckie pokrewieństwo. Mieszkali w byłym klasztorze, który służył za chwilowy azyl dla podobnych przesiedleńców

W 1975 r. udałem się wraz z moim ówczesnym współpracownikiem, ks. Stanisławem Wilkiem, do Wilna. Odwiedziliśmy wówczas jego znajomych – państwa Tryków. Była to udana ośmiodniowa wycieczka. Jechaliśmy moją syreną 104, wygraną na książeczkę oszczędnościową PKO. Losowane były bodajże raz w roku książeczki oszczędnościowe zawierające 6 lub 9 tys. zł.

Na przejście graniczne w Terespolu-Brześciu nad Bugiem zajechaliśmy w południe. Ani żywej duszy, na parkingu tylko nasz pojazd. Pomyślałem, że szybko

²⁶³ *Lac*. Tak przemija chwała (tego) świata.

²⁶⁴ Josef Becker (ur. 1931), historyk niemiecki. Doktorat 1957, habilitacja 1969. Pracownik uniwersytetów w Karlsruhe, Augsburgu. Rektor Uniwersytetu w Augsburgu 1983–1991.

pójdzie i na kolację będziemy w Wilnie. Przez Brzeżany to kawałek drogi. W dość sporym i nowoczesnym budynku odpraw też byliśmy jedynymi pasażerami. Po półgodzinie oczekiwania, kiedy nikt do nas nie podszedł, zapukałem do jakichś drzwi i zapytałem siedzącego przy biurku urzędnika, czy mógłby nas odprawić. Spojrzał na mnie zdziwiony i zapytał:

– Dokąd się wybieracie?

– Do Wilna – odparłem.

Na to on jakby się zastanawiał przez chwilę, wreszcie powiedział:

– Zaczekajcie na kolegę.

Czekaliśmy dwie–trzy godziny, kilka razy byłem pytać się o odprawę, ale zawsze bezskutecznie. W pewnym momencie zajechał na parking autobus pełen pań dziwacznie ubranych, bo każda miała po dwa, niektóre po trzy zimowe płaszcze – a był taki męczący wrzesniowy upał. Na głowie po kilka peruk. Jakaś trupa teatralna czy co? Spytałem jedną, czy jej nie za ciepło, bo jest taka czerwona na twarzy, może dostać udaru. Strasznie się zdenerwowała i mocno mnie obsztorcowała, że niby mam patrzeć swego, bo dopiero się okaże, co ja takiego mam, i tym podobne połajanki. Gdy sala się zapełniła, wyszedł leniwym krokiem młody oficer i trzymając w rękę nasze wkładki paszportowe, wywołał nasze nazwiska. Podeszliśmy. Wtedy zapytał:

– *Kakaja wasza maszyna?*²⁶⁵

Pokazałem przez okno syrenę.

– *Da, nu podjijżajcie zdzieś*²⁶⁶ – i pokazał palcem naokoło domu, w którym się znajdowaliśmy.

Ruszyłem z impetem i o mało nie rozbiłem samochodu, drogę bowiem przecinał głęboki rów. Takich zasadzek było do wyjazdu z przejścia granicznego jeszcze kilka. Podjechałem pod rampę i zaczęło się bebeszenie bagażnika. Mieliśmy trochę prezentów, a więc peruki damskie, jakieś materiały, chustki na głowę, rajstopy, zapachy do ciast i takie inne drobiazgi. Mieliśmy jednak także pełną torbę książek religijnych, a taki towar był gorszy niż skrzynka ręcznych granatów. Poza tym wzięliśmy na drogę woreczek kiszonych ogórków, trochę jabłek i kanapki. Pokazał na te wiktuały i na duży pojemnik blaszany, kazał wrzucić. Ponieważ się odwrócił, klapnąłem tylko pokrywą kubła i wszystko poszło z powrotem do bagażnika. Reszta już go nie interesowała, zajął się książkami. Tymczasem jakiś

²⁶⁵ Ros. Jaki macie samochód?

²⁶⁶ Ros. Tak, no, podjedźcie tutaj.

osmolony *bojec* zabrał się za moje koła. W ręku miał klucz, podnośnik hydrauliczny stał obok – zamierzał najwyraźniej zdejmować koła. Podszedłem do oficera – wyglądał na Gruzina, czarnowłosa, przystojny mężczyzna i dość przystępny. Mówię do niego:

– Panie poruczniku, on mi popsuje koła, a przysięgam, że nic nie wiozę w opo-
nach.

On do mnie:

– Wszyscy tak mówią.

Grzebiąc w mojej torbie, natrafił na owe zapachy czy olejki do ciast. Mieliśmy tego kilka rygli. Ważył je w ręce i mruczał do siebie:

– *Naszi żeńszcziny chocieliby eto*²⁶⁷.

Więc ja do niego pógłosem, podsuwając mu jeden rygiel:

– *Bieri, u nas mnogo*²⁶⁸.

Nie wiem, jak rzecz zniknęła w jego kieszeni. Coś krzyknął na żołnierza i ten zaniechał manipulacji przy kołach. No, ale te książki. Po co one?

Ja do niego:

– *My swiaszczenniki, nam nada wsie czitać, siegodnia etu, zawtra druguju, panimajetie, wosiem dneij, poetomu tak mnogo kniżek*²⁶⁹.

Mówiłem, jak umiałem, po rosyjsku. Z tej mojej ruszczyzny z pewnością w duchu setnie się uśmieł. Ważył książki w ręku. Wreszcie dziwnie się uśmiechając, oddał mi torbę z książkami. Zaznaczył, że żadnej nie może brakować, gdy będziemy wracać. Owszem, mieliśmy nawet więcej, ale polskich książek nabranych z zakrystii kościelnych, gdzie były całe składowiska wspaniałej polskiej literatury.

Oficer pożegnał nas prawie przyjaźnie i wziął pod lupę zimowo ubrane niewiasty.

Wjechaliśmy do Brześcia. Od przejścia nie prowadziła żadna przyzwoita droga, tylko takie wąskie, na poły polne dróżki. Trzeba było kupić benzyny. Pytam kogoś na ulicy, gdzie jest stacja benzynowa. Wzruszył ramionami. Zatrzymujemy jakąś kobietę wychodzącą ze sklepu, ale nie zdążyła nam odpowiedzieć, bo z wyjaśnieniem zaofiarował się starszy i wyższy oficer. Stacja benzynowa nazywa się *awtozaprawoczna* i znajduje się kilka ulic dalej, ale tutaj w sklepie – *gastronomie*

²⁶⁷ Ros. Nasze kobiety chciałyby to.

²⁶⁸ Ros. Bierz, u nas jest tego dużo.

²⁶⁹ Ros. Jesteśmy księżmi. Musimy je [książki] wszystkie czytać. Dzisiaj tę, jutro inną. Rozumiecie? Osiem dni, dlatego jest tak dużo książek.

– musimy kupić *tałony*. Opiewały one na wartości 5, 10, i 20 litrów. Kupiłem te mniejsze, bo do baku syreny mieściło się 30 litrów. Olej mieliśmy ze sobą.

Wreszcie znaleźliśmy się na szosie. Oznajmiono nam na granicy, że wolno jechać tylko przez Mińsk. Straszne koło, ale co było robić. I jeszcze jedno – szybkość nie może przekraczać 80 km/h. Mniej więcej co 100 km stoi przy szosie na kolumnie taka budka jak gołębnik – GAI, czyli Gosudarstwiennaja Awtomobilnaja Inspekcija²⁷⁰. Jak za wolno pojedziesz, będą pytali, gdzie się zatrzymywałeś i po co, jeżeli zbyt szybko przejedziesz przestrzeń między stanowiskami, mogą ukarać za przekroczenie szybkości. *Gdzie tak wolno dyszyć czelawiek...*²⁷¹ – tak tam śpiewają.

GAI nas nie kontrolowała. Zatrzymaliśmy się w Berezie Kartuskiej, by się czegoś napić. Nasz pojazd wzbudził sensację i prośby dzieci o *żwaczku*²⁷². Dawaliśmy im, bo mieliśmy spory zapas. Przechodził pewien mężczyzna i widząc dzieciaki biorące od nas owe *żwaczki*, gorszył się i strofował je, że proszą o kapitalistyczne przysmaki. Dzieci jednak nic sobie z tego robiły. Kefir w gastronomii był tak wspaniały, jakiego jeszcze nie próbowałem, ale szklanki tak brudne, że piliśmy z butelki. Przy kasie potężna dama spytała półgłosem:

– *Na sprzedaż czto-nibud' priwiezli?*²⁷³

To pytanie towarzyszyło nam w całej podróży.

Jechaliśmy przez dawne polskie Polesie z monotonnym krajobrazem, co prawda dwupasmówką, ale dziurawą i przekroczenie 80 km/h mogłoby być ryzykowne. Gdzieś koło Stołpc zatrzymała nas para, starszy mężczyzna i nieco młodsza kobieta. Poprosili o podwiezienie do Mińska. Powoli zaczęła się kleić rozmowa. Mężczyzna mówił bardzo dobrze po polsku, niewiasta pochodziła z Ukrainy i mówiła tylko po ukraińsku. Spytałem naszego pasażera, skąd tak dobrze zna nasz język. Wyjaśnił, że przed wojną żył „pod Polską”.

– A jak się żyło? – pytam.

– Niczego sobie. Było co jeść, pieniędzy nie za dużo, ale poza tym dobrze było.

– A teraz?

Milczenie. Po jakimś czasie on z kolei spytał:

– Kim jesteście?

Powiedziałem, że jesteśmy księżmi z Polski. Zrobił wielkie oczy.

²⁷⁰ Ros. Państwowa Inspekcja Samochodowa.

²⁷¹ Ros. Gdzie tak swobodnie oddycha człowiek.

²⁷² Chodzi o gumę do żucia.

²⁷³ Ros. A przywieźliście coś na sprzedaż?

- Księża?
- Ano tak. A kościół tu macie?
- Owszem, jest, ale w Baranowiczach.
- Pan jest katolikiem?
- A jakże, jestem.
- Polakiem?
- Nie, Białorusinem.

Ale ma w Polsce rodzinę. Do kościoła chodzi rzadko, bo pracuje przy krowach i nie ma często wolnego w niedzielę, a i ksiądz nie zawsze jest. Jak władza sowiecka pozwoli. Spoglądałem w lusterko i zauważyłem, że tak się nam oboje przyglądają. Ona po cichu stale go pytała:

– *Szto skazał?*²⁷⁴

Coś jej tłumaczył, na co kiwała głową. Zajechaliśmy do Mińska. Poprosiłem, by nam wskazali jakiś hotel, bo robiło się późno i chcieliśmy przenocować. W centrum miasta, tam, gdzie ich wysadzaliśmy, mężczyzna pokazał nam hotel, chyba o nazwie „Czajka”, ale głowy bym nie dał. Weszliśmy do holu. Naprzeciw stanął starszy, nobliwie wyglądający pan, widocznie portier. Spytał, czy samochód, który zaparkowaliśmy niedaleko wejścia, należy do nas. Zauważył, że jest z Polski i dość obładowany. Zaofiarował się, że będzie na niego uważał, bo tu to różnie bywa. Także mówił bez akcentu po polsku. Chcieliśmy najpierw załatwić nocleg i podeszliśmy do okienka, gdzie siedziały dwie recepcjonistki. Szepnął nam do ucha:

– Uważajcie – KGB.

Podeszliśmy i poprosiliśmy o dwa pokoje na jedną noc. Spojrzały po sobie, a potem zmierzyły nas od stóp do głów. Jedna spytała, dlaczego chcemy nocować. Wyjaśniliśmy, że jesteśmy w drodze do Wilna, z Polski. Zrobiły zdziwioną minę, że chcemy się tu zatrzymać.

– *Wasze naznaczenie*²⁷⁵ to Vilnius. A zresztą nie ma pokojów, bo jest konferencja.

Mogliśmy jednak skorzystać z łazienki, którą miał nam wskazać ten sympatyczny pan. Z miejsca się nami zajął. Jakoś wymanewrował nas w niszę korytarzową i pogadaliśmy o różnych sprawach, dał nam kilka rad i ostrzeżeń i zorganizował

²⁷⁴ Ros. Co powiedział?

²⁷⁵ Ros. cel podróży.

kolację w restauracji, gdzie akurat był dancing. Zdobyliśmy jego względy gumą do żucia. Niczego więcej przyjąć nie chciał. Cieszył się, że może wnuczkowi dać najmilszy dla niego upominek w postaci tej *żwaczki*. Ponieważ naprawdę był to człowiek o wielkiej kulturze i mówił płynnie po polsku, zadałem mu pytanie, czy jest Polakiem. Zaprzeczył, ale dodał, że ma wielką sympatię dla Polski i Polaków i chciałby pośród nich żyć.

Było dość późno, kiedy wyruszyliśmy do Wilna. Trudno było się wydostać z miasta. Wszyscy mówili, że *nada na kolcewoju dorogu*²⁷⁶, ale jak się z tej obwodnicy liczącej około 40 km odbić, jeżeli nigdzie nie widać drogowskazu. Wreszcie na wiadukcie dostrzeżliśmy w świetle reflektorów przytuloną parkę. Zatrzymaliśmy się, a tamci w nogi. Wołałem, by powiedzieli, którą do Wilna. Mężczyzna odkrzyknął, że pierwsza droga na lewo. Byliśmy zatem na drodze do Mołodeczna i dalej Wilna przez Smorgonie, gdzie jak mawiano często w czasach mego dzieciństwa, istniał uniwersytet dla niedźwiedzi. O niektórych ówczesnych „inteligentach” mawiano, że kończyli tę właśnie uczelnię.

Do Wilna zbliżaliśmy się nad ranem. Na prawo od drogi dostrzegłem cmentarz na Rossie, a przed nim dwie płyty grobowe, matki Piłsudskiego i jego serca. Muszę wyznać, że opanowało mnie ogromne wzruszenie. Po chwili mijaliśmy Ostrą Bramę, tyle że od zewnętrznej strony. Trochę po omacku trafiłem na most na Wilii i już byliśmy na drodze do Jerozolimki i słynnej Kalwarii Wileńskiej, której większość stacji drogi krzyżowej Sowietci wysadzili w powietrze, bodajże w 1960 r., na rozkaz Chruszczowa. Ludzie na miejscach tych stacji wyrywali trawę, tak że widniały place nagiej ziemi. Kobieta, którą później przy tej pracy zastaliśmy, opowiadała, że czyni to stale i miała już z tego powodu kilka rozpraw i kar nałożonych przez milicję.

Do państwa Tryków zajechaliśmy około godz. 6.00. Całą noc na nas czekali, gdyż ks. Wilk telefonował z Mińska, że jesteście w drodze.

Już nie pamiętam, czy zaraz rano, czy też po południu poszliśmy do kościoła. Proboszczem był tam stary łagrowicz, Litwin, mówiący świetnie po polsku. Ogromne chłopisko. Twierdził, że przed wojną był w jakiejś przybocznej kompanii Piłsudskiego. Nazwisko mi z głowy wyleciało. Mszę św. odprawiliśmy po łacinie, bo takie miano tam mszały. W niedzielę mówiłem nawet kazanie, w garniturze i w komży ze stułą. Trochę dziwacznie to wyglądało.

²⁷⁶ Ros. trzeba na obwodnicę.

Ksiądz gościł nas po królewsku. Był chleb litewski i szynka wędzona, jaką jadłem przed wojną u babci. I opowiadania bez końca. Trudno opisywać cały pobyt. Wiele pomogła nam córka państwa Tryków, dziennikarka, ale nawet ona nie mogła sforsować dla nas drzwi biblioteki uniwersyteckiej. Nie można i koniec.

Odprowadziliśmy mszę św. w Ostrej Bramie. Litewski ksiądz nie dał nam mszału polskiego, choć był w zakrystii mszał benedyktyński. Kaplica była pełna ludzi. Popełniłem wtedy wykroczenie kanoniczne, posługując się bowiem łacińskim mszałem, tłumaczyłem teksty na polski. Po polsku śpiewaliśmy też pieśni. Niektórym łyzy ciekły z oczu. Po mszy św. proboszcz zapytał mnie, czy wiem, że tłumaczenie tekstów liturgicznych bez zatwierdzenia biskupa jest złamaniem prawa kanonicznego.

– A czy ksiądz wie, że odmowa użyczenia księgi liturgicznej w języku petenta, mimo że się ją posiada, jest niegodziwością? – mówiąc to, otworzyłem szufladę komody i wy dobyłem „benedyktyna”. Oczywiście kościelny, Polak, po cichu wskazał mi miejsce jego przechowania. Proboszcz nic nie odpowiedział, a przy pożegnaniu ciepło uściśnął mi rękę.

Odwiedziliśmy też prawosławny klasztor św. Ducha, o ile sobie dobrze przypominam. Tam spotkaliśmy się z bardzo starym zakonnikiem, liczącym ponad 90 lat, ale dość jeszcze sprawnym. Zaprosił nas do swej celi i musieliśmy wysłuchać smutnej historii tego klasztoru, gdzie po korytarzach snuli się często w stroju duchownym tajniacy, gdzie skoszarowano razem zakonników i zakonnice. Duchowny był bardzo ekumenicznie nastawiony. Mówił świetnie po polsku, bo przed wojną mieszkał w Wilnie. Był jednak Rosjaninem, dawnym oficerem carskim, i do zakonu wstąpił, gdy miał prawie 60 lat. Ten człowiek powiedział nam znamiennej rzecz. Jego zdaniem, cerkwią prawosławną zawładnął diabeł, ale jego panowanie się skończy wraz z upadkiem ZSRR. Spoglądaliśmy na niego z niedowierzaniem, a on powtórzył z naciskiem:

– Z upadkiem ZSRR. Ja tego nie dożyję, ale wy tak, wspomnijcie moje słowa. Cerkiew nie od razu się odrodzi, najpierw musi na powrót uwierzyć w Chrystusa. Musi się pozbyć fałszywych proroków, a to trwa długo. Byłem – mówił dalej – na obchodach waszego Millenium. Zobaczyłem Kościół żywy, także mój Kościół, bo my nie jesteśmy tak naprawdę oddzieleni. Chrystus w sakramentach jest tak z wami, jak i z nami. Tylko kto u nas te sakramenty prawdziwie sprawuje? To jest nasz ból.

Rozmawialiśmy długo i powiedział nam o wiele więcej, ale to, co tu przytoczyłem, było najważniejsze. Nieraz porównuję wypowiedzi owego starego zakonnika z tym bełkotem ekumenicznym, który dziś często się słyszy. Wielka i istotna różnica.

O fanatycznym wprost zwalczaniu religii niech świadczy jeszcze jedno przeżyte przez nas wydarzenie. W niedzielę siedzieliśmy jakiś czas w zakrystii kościoła w Jerozolimce, kiedy zjawilo się młode małżeństwo z kilkuletnim synkiem. Przyszli ochrzcić dziecko. Ludzie ci pochodzili z jakiejś wsi i widać było ich zabiedzenie. Zwłaszcza mężczyzna wyglądał ubogo, miał na sobie chyba dawne ślubne ubranie, wyszarżane, zakurzone i zniszczone. Proboszcz wypytywał ich o sprawy konieczne do zapisania chrztu, o to, czy się modlą, czy chodzą do kościoła. Odpowiadała przeważnie kobieta. W pewnej chwili ksiądz zapytał, czy są wierzący. Wtedy odezwał się mężczyzna:

– Dlaczego ksiądz stawia takie pytania, komu to potrzebne?

Po wyjściu tych ludzi z zakrystii proboszcz rzekł do nas:

– Widzieliście teraz, jak zastraszeni są tu ludzie. Oni są wierzący, ale nie wiedzą, czy ja czasem nie doniosę do KGB.

Zastraszenia takiego nie zaobserwowałem wśród tamtejszych Polaków. Owszem, w czasie rozmów chowano aparat telefoniczny pod pierzynę, ale poza tym nie bano się rozmów mogących zainteresować władze sowieckie.

Nie wolno nam było wyjeżdżać poza Wilno, tak nam oświadczono na granicy. Ale jak tu siedzieć przez cały czas w jednym mieście? Do Trok ktoś nas zawiózł własnym samochodem. Chcieliśmy zobaczyć też Kowno. Pojechaliśmy pociągiem z Jolą Tryk. W czasie dwugodzinnej jazdy „czytaliśmy” litewską gazetę, ani słowa nie rozumiejąc. Pasażerowie prawie nie rozmawiali.

W Kownie nie było co zwiedzać, miasto było ogromnie zapuszczone i w ogóle jakieś małe, zupełnie prowincjonalne. Z pewnością byłoby co oglądać, ale nasza sytuacja – osób, których sama obecność w tym mieście była w świetle sowieckiego prawa przestępstwem – nie pozwalała na zbyt dużą swobodę. Poprzestaliśmy na spacerze po głównej, jak się zdawało, ulicy i szukaliśmy, bardziej pani Jola niż my, jakieś restauracji, gdzie można by coś zjeść. Szybko się okazało, jak łatwo mogliśmy być zdemaskowani. Na ulicy ktoś mnie zagadnął. Udawałem niemowę. Pani Jola podeszła szybko i się rozmówiła – jak się okazało, pytano mnie o godzinę. Zjedliśmy obiad w restauracji i poszliśmy do *uniwermagu* – takiego domu towarowego, gdzie ciekawostką było to, że budowniczowie „zapomnieli”

wybudować we wnętrzu klatkę schodową na piętro i schody, bardzo wąskie, puścili po ścianie zewnętrznej. Pamiętam, że dwukrotnie musieliśmy się wycofywać z połowy schodów, bo ktoś schodził z jakąś balią.

Trochę się niepokoiłiśmy, by nas nie zdemaskowano, a nasza przewodniczka dzieliła ten niepokój. Kiedy więc zauważyliśmy taksówkę z rejestracją wileńską, zapytaliśmy, czy możemy się zabrać do Wilna. Taksówkarz czekał akurat na takich pasażerów. Pojechaliśmy za 10 rubli do Wilna – 100 km. Kierowca okazał się sympatycznym Żydem – wielu ich jeździło tam taksówkami – i opowiedział nam częściowo po polsku, częściowo po rosyjsku sporo ciekawych historyjek. Wynikało z nich, że za łapówki można dostać absolutnie wszystko. Przekonaliśmy się o tym, kupując radio czy samowar. Oczywiście nie było, ale kiedy poszliśmy z pewną starszą panią, okazało się, że jest tego towaru całe zaplecze sklepu, tyle że nie za 10 rubli, a za 13 lub nie za 20, ale za 25. Najłatwiej można było kupić złotą biżuterię, ale lepsze rzeczy też z dopłatą. Najdziwniejsze było to, że sprzedawcy wcale się nie kryli z tym rodzajem handlu.

Jeszcze jeden ciekawy akcent tej podróży to wyprawa do Ławaryszek, dużej osady około 30 km od Wilna. Proboszczował tam ks. Toporek²⁷⁷, bardzo barwna postać. Inwalida – miał zwichnięte czy złamane i krzywo zrosnięte biodro. Chodził o kulach, a najczęściej był wożony własną wołgą przez pewnego Rosjanina ożenionego z Polką, podobno inżyniera elektryka z Leningradu, ale zatrudnionego na stałe przez księdza. Sierioża, bo chyba takie miał imię, był wesoły, nie stronił od *stolicznoj*²⁷⁸ i potrafił opowiadać zabawne historie, wszystkie związane z życiem człowieka radzieckiego. Mówił śmieszną mieszaniną języków polskiego i rosyjskiego. *Babuszka*²⁷⁹ – gospodyni ks. Toporka – przyniosła na stół każdemu po ugotowanej kurze, różne grzybki, ogóreczki, no i dobrą wódeczkę. Uczta była wspaniała. Podziwiałem księdza, który w ogóle się nie bał władzy radzieckiej. Zaprotestował przeciwko powołaniu klasy rosyjskiej w miejscowej szkole polskiej, bo tylko *predsiedatiel*²⁸⁰ kołchozu był Rosjaninem, a on, jak mówił ksiądz z ambony, ma *maszynę*²⁸¹, więc niech wozi dzieci do Nowej Wilejki. Jak to wszystko księdzu uchodziło na sucho? Trudno zgadnąć. Może dlatego, że był inwalidą.

²⁷⁷ Stanisław Toporek SDB (1905–1977), do zgromadzenia wstąpił 1925. Święcenia kapłańskie 1934. Proboszcz parafii Ławaryszki po drugiej wojnie.

²⁷⁸ Rosyjski gatunek wódki.

²⁷⁹ Ros. babcia.

²⁸⁰ Ros. przedstawiciel.

²⁸¹ Ros. samochód.

Podziwiałem udział ludzi w nabożeństwach. W dniu, kiedy przyjechaliśmy, był pogrzeb. Wielki kościół był pełen ludzi. Duch polski, trochę po wileńsku czupurny.

Na każdym kroku polska mowa z charakterystycznym zaciąganiem. Na starym mieście w Wilnie wstąpiłem do mizernego warsztaciku, bo zauważyłem w oknie maszynę do pisania, a szukałem czcionki z kwadratowym nawiasem. W środku siedział bardzo stary człowiek. Okazało się, że Żyd. Zacząłem mu w łamanym rosyjskim tłumaczyć, o co chodzi. W pewnym momencie przerwał:

– Panie, mów pan w ludzkim języku. Co to, my, Polacy, mamy mówić ze sobą po rusku?

Nic mnie nigdy w życiu tak nie wzruszyło jak to spotkanie. Posiedziałem u niego sporo czasu. Narzekał:

– Za polskich czasów była bieda, ale jak człowiek zarobił kilka groszy, to wiedział, co z nimi zrobić, a teraz... Po co mi te ruble? Bierz pan, co panu potrzeba.

Nie chciał wziąć ani kopiejki, prosił tylko, by jeszcze wstąpić. Niestety następnego dnia wyjeżdżaliśmy.

W Wilnie byłem potem wiele razy. Obecnie to piękne miasto, dobrze się tam człowiek czuje, ale tamten pobyt – to było coś nie do powtórzenia. I właściwie trudno określić dlaczego.

W drodze powrotnej na granicy odprawiała nas młoda i sympatyczna celniczka. Pytała kilka razy, jakie mamy przedmioty ze złota. Jedną sztukę można mieć, a jeśli ktoś ma więcej, niech lepiej sam to ujawni, bo wtedy czeka tylko konfiskata, a przy znalezieniu czegoś nieujawnionego konsekwencją będzie zakaz przyjazdu do ZSRR na dłuższy czas. Przed nami odprawiała starsze małżeństwo. Przysięgali na wszystkie świętości, że mają tylko dwa małe pierścionki. Celniczka kazała im wynieść wszystko z auta i po kolei przesuwiała detektorem do metalu po przedmiotach. W jakimś – potwornym zresztą – misiu, w puszcze z miodem oraz w worku z kaszą wykryła prawdziwe skarby. Nie gniewała się. Powiedziała zasmuconym podróżnikom, że powinni na palec wziąć tak wielki sygnet jak ten ukryty w miodzie czy kaszy. Ich prośbę, by pozwoliła im chociaż dokonać zamiany, zbyła uśmiechem.

– *Wam nużna riskować, mienia brać, wot i wsio*²⁸².

Przyglądaliśmy się tej operacji bez cienia obawy, sami bowiem nie mieliśmy niczego ukrytego. Ona jednak dobrotliwie nas agitowała, żebyśmy ujawnili przemyt.

²⁸² Ros. Musicie ryzykować, mnie zabrać i tyle.

Tłumaczyłem, że nie opłaca się nam ryzykować takiej wpadki, bo powiadomione o tym władze polskie nie pozwoliłyby nam wyjechać na Zachód. Ona na to:

– To wam w ogóle wolno tam jechać?

– Ależ oczywiście, pod warunkiem że dostaniemy paszport i wizę.

Popatrzyła na nas i powiedziała ze smutkiem w głosie:

– Ot, mnie by starczyło do was przyjechać, może postudiować, ludzi, kraj poznać!

– Przecież jesteśmy przyjaciółmi – odparłem. – Przyjaciół się odwiedza, prawda?

Zaśmiała się tylko i pokiwała głową, ale już nas nie kontrolowała.

Przypomniałem sobie tę celniczkę i jej słowa w 1989 r. Rozmawiałem wtedy z młodym człowiekiem w Chocimiu, który prowadził w pobliżu twierdzy małą kafejkę. Związek Radziecki był już w stadium demontażu, ale KGB stale jeszcze było groźne. Wypytywał nas (byłem z mieszkańcem Baru, który wioził mnie samochodem):

– Jak tam w Polsce? Czy partia już zlikwidowana?

Był to czas okrągłego stołu, wielkich nadziei i trochę buńczucznej pewności, że zmora komunizmu wreszcie odchodzi w mrok historii. Któż się wtedy orientował, że cały ten spektakl w Magdalence i przy okrągłym stole to sztuka reżyserowana i obsadzona przez najwytrwalszych bonzów zgranego do reszty systemu? W każdym razie ja takiej wiedzy nie miałem. Trochę puszyłem się wewnętrznie, gdy ten młody człowiek mówił, że oni w ZSRR patrzą tylko na to, co się dzieje w Polsce. To jest wzorzec. Polacy muszą im pomóc rozbroić tego molocha, który uciska ich kraj od 70 lat. Spytałem, czy nie boi się tak otwarcie mówić.

– Era strachu już minęła – rzekł. – Wsadzić mogą na rok czy dwa, ale czasy, kiedy za nic dawali po 10–15 lat, też już minęły. Posiedzę chętnie, byle to wszystko się skończyło.

Dla porównania dodam, że zaledwie kilka dni przed opisanym zdarzeniem z trudem udało mi się odprawić mszę św. w katedrze we Lwowie. Administrator katedry, później biskup, o. Rafał Kiernicki²⁸³, czynił mi wymówki, że narażam go

²⁸³ Rafał Kiernicki OFMConv (1912–1995), do zgromadzenia wstąpił w 1930. Śluby wieczyste 1934. Święcenia kapłańskie 1939. Absolwent UJK we Lwowie. W 1941 aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu we Lwowie (tzw. Brygidki), skąd zbiegł. Ponownie aresztowany w 1944. Więziony w obozach w Charkowie, Riazaniu, Diagilewie, Czerepowcu i Griazowcu. W 1948 zwolniony. Otrzymał pozwolenie na pracę w archikatedrze lwowskiej, gdzie pełnił posługę aż do śmierci jako proboszcz w latach 1958–1959 i 1965–1995. W latach 1958–1965 pozbawiony możliwości wykonywania posługi kapłańskiej pracował jako stróż, a potem jako tragarz. Biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej od 1991. W 2012 rozpoczęto jego proces beatyfikacyjny.

na nieporozumienia z władzami. Znając jego przejścia i bohaterstwo z czasów komunizmu, nie dziwiłem się jego zachowaniu. I dziś też się nie dziwię, chcę tylko skonfrontować te dwa wydarzenia. Był to czas, kiedy tylko nieliczni brali na poważnie *pierestrojkę*. Głównie młodzi. Czy tak myśleli młodzi także wtedy, kiedy nas odprawiała celniczka, niemal 15 lat wcześniej? Odniosłem wrażenie, że i ona nie zgadza się z „komfortem domu niewoli”, w jakim żyła. Ale dużo musiało upłynąć czasu, zanim ludzie uznali, że samo to nie minie i że trzeba mieć odwagę powiedzieć, iż zło jest złem.

W późniejszych latach, do wiosny 1989 r. nigdy nie byłem w granicach ZSRR. Po tym roku – niejednokrotnie. Na Ukrainie, Litwie. W dawnych republikach sowieckich, a w tamtych czasach – w niepodległych państwach. Na każdym kroku dostrzeżało się zmiany, ale i myślenie kategoriami sowieckimi, tyle że już na użytek nowej rzeczywistości. To, co mnie najbardziej zaskoczyło, to jakiś nieuchwytny nastrój, aura nawet mimo woli każąca myśleć o czasach dawnej Rzeczypospolitej, także tej z międzywojnia. Bo też śladów polskich spotyka się tam co niemiara. Zadziwia, że potrafiliśmy dać tak silny zastrzyk kultury, a nie stać nas było, by związać z nią tamtejszą ludność na tyle, by zachowując swą wiarę i tradycję, nawet język, czuła się za tę kulturę współodpowiedzialna. Nacjonalizm po obu stronach dokonał spustoszenia nie do odrobienia. Zdumiewające i zarazem paradoksalne jest to, że w końcu nacjonalizm rosyjski, jeden z najbardziej agresywnych, przyjął na siebie rolę „opiekuna” nad wszystkimi nacjonalizmami, którymi bombardowano dawną Rzeczpospolitą. Ileż krwi i łez musiało wsiąknąć w ziemię, zarówno rodzinną, jak i wszystkich łagrów, by wreszcie zrozumiano, w czym tkwi sedno prawdziwej niepodległości. Może o tyle jest to dobre, że dziś nacjonalizm na dawnych naszych Kresach jest potworkiem hodowanym wyłącznie przez tych, którzy nigdy niczego nie potrafią zapomnieć ani się nauczyć.

Kiedy dziś patrzę, jak młodzi Białorusini wyciągają ufną dłoń do sąsiadów zza Bugu, przypomina mi się czas, gdy jako mały chłopiec przed wojną, w czasie manewrów słyszałem żołnierzy mówiących dziwnym dla mnie językiem, który jednak mniej więcej rozumiałem. Spytałem ojca, kim są ci żołnierze. Powiedział:

– To Poleszucy, Białorusini, bardzo dobrzy ludzie i żołnierze.

Tacy byli. Rzeczpospolita ich nie skrzywdziła. W wojsku skończyli szkołę albo zdobyli zawód. Mówili i myśleli po „tutejszemu”, po poleszucku. Nikt im tego nie zabraniał.

Bez takich myśli trudno dziś przejechać Białoruś, Ukrainę, nawet Litwę. Wszędzie możemy czuć się u siebie, odcinać kupony od kapitału, jaki tu pozostawiły poprzednie pokolenia, nie tęskniąc wcale za tym, co utraciliśmy.

Gdy przenoszę się na zachodnią rubież, odczucia moje są wręcz odwrotne. Niemcy są narodem dekadentckim w większej mierze niż inne społeczeństwa zachodnie. Wiele jest przyczyn tego faktu, ale bez wątpienia jedna z nich to amerykanizacja po II wojnie światowej, która zachodnie Niemcy dotknęła niepostrzeżenie. W Niemczech Wschodnich jeszcze gorszym zjawiskiem okazała się sowietyzacja. Tutaj utorowały jej drogę tradycje pruskie i dopomogły w powstaniu mentalności komunistycznej z większą dozą sowietyzmu, niż to można było zaobserwować nawet w ZSRR.

Pewien Austriak, którego poznałem w czasie uroczystości 50-lecia KUL, powiedział mi wówczas, czyli w 1968 r., że nie pokonali ich Sowietzi, którzy – jak wiadomo – pierwotnie zajęli Austrię, ale dopiero Amerykanie i to długo po wojnie, wprowadzając libertynizm do uporządkowanego dawniej życia opartego na zasadach chrześcijańskich.

– Kiedy – ciągnął dalej mój rozmówca – szanowany obywatel miasteczka, właściciel dużej stolarni w jej miejsce zbudował prowizoryczny budynek podzielony na małe pokoiki, w których miejscowe prostytutki przyjmowały Amerykanów, wiedziałem już, że rozpoczął się proces gnilny. O ile nie znajdzie się jakiś antybiotyk, który położy temu kres, czeka nas rozkład.

To się sprawdza na moich oczach. Niemcy, bo tam działo się podobnie, nie mają tej siły uderzenia co dawniej, ale w ich myśleniu społecznym – nie piszę o jednostkach, nawet bardzo licznych, myślących innymi kategoriami – nie ma zgody na utratę terenów na Wschodzie. I nie chodzi tu o dawne ziemie niemieckie, które stały się takimi w wyniku bezwzględnej i bogatej w środki germanizacji – chodzi o Wschód bez określonych granic. Dzisiaj mówi się o tym roszczeniu niemieckim (*deutscher Siedlungsraum*), dawniej była to przestrzeń życiowa (*Lebensraum*)²⁸⁴. Preussische Treuhand²⁸⁵ to takąż organizacja jak dawniej Deutsche Stiftung²⁸⁶. Szkoda, że większość polityków, zarówno z Niemiec – przecież są

²⁸⁴ Jedno z głównych haseł propagandy niemieckiej w czasie III Rzeszy odnoszące się do kolonizacji ziem na wschód od Odry.

²⁸⁵ Spółka niemiecka zajmująca się egzekwowaniem roszczeń mieszkańców byłych terenów Rzeszy Niemieckiej na wschodzie.

²⁸⁶ Prywatna fundacja założona w 1985 r., mająca na celu dbanie o zachowanie zabytków kultury niemieckiej.

tam ludzie myślący realistycznie – jak i z Polski, tak mało o tym wie. Takie igranie z ogniem jest niebezpieczne – dla obu stron.

Demokracja, jak to było w dwudziestoleciu międzywojennym, coraz bardziej manifestuje swoją bezsilność. Dziś nawet bardziej niż w tamtych czasach, Zachód bowiem spadł z drabiny własnych sukcesów i złamał sobie kręgosłup moralny. Ograniczenie praw jednostki, dodajmy, rzekomych, bo są one przeważnie rozumiane hasłowo, oznacza degradację dobra wspólnego. Egoizm w miejsce odpowiedzialności za to, co gwarantuje wszystkim dobro i bezpieczeństwo. Przeciwnie skorumpowaniu społeczeństwa i człowieka, który bez kłamstwa nie potrafi uzasadnić nawet najoczywistszych przysługujących mu zabezpieczeń, np. rozpowszechniane kłamstwa na temat stanu demograficznego globu po to, by wytłumaczyć najbardziej ohydne zbrodnie, a z kolei inne kłamstwo, którym jest deklarowanie bezsilności wobec klęsk trapiących znaczną część populacji globu, podczas gdy jedyną przyczyną tej apatii jest egoizm, brak woli rezygnacji z choćby małej części zysków, ten stan permanentnej i pogłębiającej się korupcji. Oto istotne źródła tego zła. Ono też rodzi jeszcze gorsze, jakim jest terroryzm. Tragedia polega na tym, iż chcąc ukarać system, terroryści uderzają w Boga ducha winnych ludzi i bynajmniej nie osiągają osób zań odpowiedzialnych. Generuje to kumulowanie się siły zła.

Jedynie porzucenie schematów myślowych opartych na tradycjach, które winno się znać po to, by ich już dłużej nie pielęgnować, może doprowadzić do rozsądnego współistnienia narodów. Bez niego przyszłość zawsze będzie niepewna. Niech mają to na uwadze kombinatorzy od różnego rodzaju „powiernictw”, bo podtrzymują ogień, który może ich pochłoniąć. Wystarczy przypomnieć, czego dorobili się Niemcy w Polsce, którzy przed 1939 r. przyzywali Hitlera, by ich oswobodził z polskiego „ucisku”. Na ogół nie pamiętają o tym, uskarżają się na wypędzenie i winią za nie tylko stronę polską lub ją w pierwszej kolejności.

Te refleksje służą przejściu do wspomnień poświęconych moim podróżom zagranicznym w kierunku zachodnim. Pierwszy wyjazd zagraniczny, nie licząc stypendium lowańskiego, nastąpił dość nieoczekiwanie. Jak już wspomniałem, od 1980 r. byłem członkiem Görresgesellschaft. Zebrania generalne odbywały się co roku i pierwsze miało miejsce w 1980 r. w Akwizgranie. Profesor Konrad Repgen²⁸⁷

²⁸⁷ Konrad Repgen (1923–2017), historyk niemiecki. Pracownik naukowy Uniwersytetu w Kraju Saary 1962–1967, następnie na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma w Bonn 1967–1988. Profesor od 1962 r. Jeden z najwybitniejszych nowożytników niemieckich, szczególnie w zakresie badań nad historią Kościoła w Europie i wojny trzydziestoletniej.

z Bonn, z którym się wówczas zetknąłem po raz pierwszy, zagadnął mnie, czy nie zechciałbym w lipcu 1982 r. w Jerozolimie wygłosić referatu na temat pomocy Kościoła w Polsce świadczonej Żydom w czasie okupacji niemieckiej. Temat był dla mnie dość obcy, ale czasu sporo i postanowiłem sprawą tą gruntowniej się zająć. Wyraziłem zgodę.

Symposium w Jerozolimie zaplanowano na 26 czerwca – 4 lipca 1982 r. Sesja nosiła tytuł „Żydzi i chrześcijanie pod wpływem socjalizmu narodowego (1919–1945)”. Organizowało ją The Historical Society of Israel²⁸⁸. Między mną a prof. Ottonem Kulka²⁸⁹, koordynatorem całego spotkania, trwała dłuższa korespondencja, organizatorom zależało bowiem na przedstawieniu przez stronę polską dwóch tematów. Jeden, zaproponowany prof. Czesławowi Madajczykowi, miał dotyczyć historiografii polskiej na temat Holokaustu, drugi – i tym miałem się zająć – byłby poświęcony stanowisku Kościoła w Polsce wobec zagłady Żydów. Nie musiałem wiele szukać, by stwierdzić, że taki temat nie wchodzi w rachubę. Ponieważ okazało się, że na symposium będę jedynym uczestnikiem z Polski, zaproponowałem jako wykonalny temat następujący: *Działalność katolickich osób konsekrowanych na rzecz Żydów w okupowanej przez nazistów Polsce*. Wymagało to ogromnej pracy, a tymczasem do 15 lutego 1982 r. należało dostarczyć do Jerozolimy teksty referatów.

Zacząłem od wertowania opracowań poświęconych Holokaustowi, a zwłaszcza wspomnień i pamiętników. Szybko się przekonałem, że są to informacje szczątkowe i na ogół się powtarzające. Zdecydowałem się więc na rozesłanie kwestionariusza do żeńskich i męskich zgromadzeń zakonnych. Nadeszło 111 odpowiedzi, przeważnie od zgromadzeń żeńskich. Sporo wspólnot zakonnych nie odesłało kwestionariuszy. Pewne materiały dostarczyło mi Yad Vashem²⁹⁰. Nazbierało się więc sporo ciekawych źródeł, ale byłem przekonany, że jeszcze wielu mi brakuje.

Opracowując temat, coraz bardziej się niepokoiłem. Może z powodu nie tyle napotykanym trudności, ile wieści, jakie docierały do mnie z różnych stron,

²⁸⁸ Organizacja naukowa zrzeszająca historyków izraelskich, powstała w 1950 r.

²⁸⁹ Otto Dov Kulka (ur. 1933), historyk pochodzenia żydowskiego, urodzony w Czechosłowacji. W czasie drugiej wojny więziony w niemieckich obozach zagłady. Do Izraela wyemigrował w 1949. Absolwent Uniwersytetu Hebrajskiego. Od 1965 pracownik naukowy Uniwersytetu Hebrajskiego. Doktorat 1975, profesor nadzwyczajny 1975, profesor zwyczajny 1991. Wykładał również na Uniwersytecie Harvarda. Członek zarządu Yad Vashem. Od 1999 na emeryturze.

²⁹⁰ Instytut Pamięci Męczenników i Bohaterów Holokaustu – instytut izraelski poświęcony żydowskim ofiarom niemieckiego Holokaustu, założony w Jerozolimie w 1953 na mocy ustawy o pamięci przyjętej przez Kneset.

a wszystkie one wróżyły złe przyjęcie przez stronę izraelską zbyt pozytywnego obrazu pomocy świadczonej Żydom. Byłem tak mało wprowadzony w tematykę, że w ogóle sobie tego nie uświadamiałem. Pewne sygnały były wprawdzie obecne w korespondencji, jaką prowadziłem z organizatorami, ale nie potrafiłem właściwie ich odczytać. Pełnej prawdy dowiedziałem się już w czasie trwania sympozjum, zwłaszcza z rozmów z niektórymi osobami w Izraelu, a jeszcze bardziej w czasie późniejszym.

Do wyjazdu do Jerozolimy przygotowywałem się, odczuwając lęk. Na Bliskim Wschodzie był to czas niespokojny, trwała właśnie ofensywa izraelska przeciwko Organizacji Wolnej Palestyny²⁹¹, kierowanej przez Jasira Arafata²⁹². Izrael zaatakował OWP na terenie Libanu. Wprawdzie wyjeżdżając do Izraela, nie miałem pojęcia, że wojna już trwa, ale groźba jej wybuchu wisiała w powietrzu. Swoją drogą i u nas był stan wojenny – okoliczności mało sprzyjające podróży.

Ziemia Święta

Cała ta wyprawa wisiała zresztą na włosku. Trwał stan wojenny. Wszelkie wyjazdy zagraniczne, z wyjątkiem przewidzianych przez władze PRL, były zawieszone. Polska nie utrzymywała stosunków dyplomatycznych z Izraelem. Wizę izraelską można było otrzymać w ambasadzie holenderskiej. Starania podjąłem w ostatniej chwili. Długo się wahałem, czy w ogóle jechać. Skontaktowałem się z prof. Madajczykiem, a on się zdziwił, że mam jakieś wątpliwości. Radził czym prędzej złożyć wniosek o paszport i starać się następnie o wizę izraelską, co – jego zdaniem – mogło sprawić sporo kłopotu. Jego rady i perswazje przełamały mój marazm i popchnęły mnie do energicznego działania.

Poszedłem, bodajże w kwietniu 1982 r., do Komendy Wojewódzkiej MO w Lublinie i złożyłem podanie o paszport do Izraela. Pierwszy i ostatni raz widziałem korytarze w paszportówce całkowicie puste, ani żywej duszy. Nie dziw,

²⁹¹ Organizacja Wolnej Palestyny (OWP) – organizacja polityczna uważająca się za reprezentanta interesów Palestyńczyków. Powołano ją w 1964 na I Palestyńskim Kongresie Narodowym we Wschodniej Jerozolimie. Inicjatorem jej utworzenia była Liga Państw Arabskich. Pierwszym przewodniczącym OWP został Ahmad asz-Szukajri. Wraz z OWP sformowano Armię Wyzwolenia Palestyny, będącą oficjalnymi siłami zbrojnymi organizacji. Od 1967 pierwszoplanową rolę w OWP odgrywa al-Fatah. W 1968 przyjęto Palestyńską kartę narodową, będącą programem ruchu, oraz statut OWP. W 1969 nowym przewodniczącym OWP został Jasir Arafat z al-Fatahu. Od lat sześćdziesiątych OWP organizuje zamachy i akcje militarne przeciwko Izraelowi.

²⁹² Jasir Arafat (1929–2004), polityk palestyński, przywódca OWP od 1969. Laureat Pokojowej Nagrody Nobla w 1994.

że wzbudziłem sensację. Wyszedł do mnie funkcjonariusz, przedstawił się jako kapitan D., obejrzał moje podanie i spytał, czy poważnie myślę o tym wyjeździe. Następnie zabrał podanie i chyba mój dowód osobisty i przez długą chwilę go nie było. Po powrocie rzekł, że komendant kazał podanie przyjąć, ale musi być dołączony program symposium. Dodał:

– Przecież nie możemy wypuścić księdza na zebranie, gdzie będą szkalować Polskę ludową – powiedział z kpiącym uśmieszkiem. A tak prywatnie dodał: – Sądzę, że paszportu nie dadzą, byłby to jakiś precedens. Proszę jednak, o ile możliwości, jeszcze dziś przynieść ten program. Rzecz i tak pójdzie do Warszawy, gdyż tu od ręki jej nie załatwią.

Kiedy się dowiedział, że program jest po angielsku, zażądał polskiego tłumaczenia. Złożyłem wszystkie potrzebne papiery. Kazał mi się zgłosić za tydzień czy też nieco później, względnie czekać na telefon.

Poszedłem tam w oznaczonym terminie. Ten sam oficer oznajmił, że Warszawa zdecydowała się na wydanie mi paszportu, ponieważ gdybym nie pojechał, nie byłoby tam nikogo z Polski.

– Profesor Madajczyk – dodał – z jakiegoś powodu nie może pojechać.

Wiedziałem o tym już wcześniej.

Paszport więc był, ale sympatyczny urzędnik nie spieszył się z jego wydaniem. Nawiązał rozmowę. Najpierw o tym, jakie mam szczęście, że mogę jechać do Ziemi Świętej. Spytałem go, czy też by go taka podróż interesowała. Przytaknął skwapliwie, ale dodał, że dopóki jest na służbie (i ileś tam lat po jej zakończeniu), nie wolno mu wyjechać. Czułem, że ma coś na wątrobie, i nie myliłem się. W pewnym momencie rzekł, że bardzo byłby zobowiązany, gdybym po powrocie napisał krótko, jak było, kto występował, o czym mówił itp. Z miejsca odmówiłem i położyłem paszport na biurku. Zrozumiał ten gest i żywo zaprotestował.

– Ależ nie, nie stawiamy żadnych warunków, to ja osobiście jestem ciekaw i sprawozdanie byłoby dla mnie personalnie.

Nic na to nie powiedziałem, choć on wyraźnie czekał na moją reakcję. Milczenie się przeciągało. W końcu się odezwałem. Tłumaczyłem, że mam zasadę, aby w żaden sposób nie współpracować z policją polityczną, obojętnie, jaka by ona była. Wyjątek stanowi tylko jakiś czyn kryminalny – wtedy musiałbym zawiadomić władze, gdyż jest to obowiązek każdego uczciwego człowieka. Wyraźnie nie sprawiał wrażenia człowieka przekonanego. Wreszcie wstał i wciąż lekko się uśmiechając, podał mi rękę.

– Tej rozmowy nie było, chyba że ksiądz po powrocie zmieni zdanie.

Przypomniało mi się, jak kiedyś w tym samym miejscu powiedział mi funkcjonariusz, iż wielu wyjeżdżających za granicę bez specjalnej zachęty oferuje złożenie sprawozdania z pobytu, gdyż władze nikogo nie zmuszają do współpracy. Nie wiadomo, czy tak akurat było, ale z tą służalczością wielu Polaków wobec władz PRL mogło być tak, jak mówił. Moim zdaniem to najmniejszy grzech. Gorzej, jeśli w ten sposób niszczone były ludzi, a to ma na sumieniu wielu TW dziś świecących w oczach swym patriotyzmem. Przy oddawaniu paszportu już go nie było, a przyjmujący nawet na mnie nie spojrzeli.

Samo sympozjum odbyło się w terminie 27 czerwca – 1 lipca. Referatów było w sumie sześć. Mój – jak się później przekonałem, przeglądając niektóre teksty wystąpień, zwłaszcza niemieckich – odbiegał od ogólnie widocznej tendencji mówienia o dwóch kwestiach. Jedną to był antysemityzm w poszczególnych krajach, przy tym z założenia przyjmowano, iż taki antysemityzm istniał oraz że jego źródła tkwiły w zasadzie w nauce i praktyce chrześcijańskiej. Drugą kwestia – to były niejako owoce tegoż antysemityzmu, czyli tępienie Żydów. W rezultacie dochodziło się do wniosku, że kościoły chrześcijańskie miały swój pośredni lub bezpośredni udział w Holokauście. Pośredni, ponieważ antysemityzm był wpisany w całą historię chrześcijaństwa. Bezpośredni polegał na milczącym, a niekiedy nawet w jakiś sposób wyrażanym przyzwoleniu na mord Żydów.

Referat Konrada Repgena o katolicyzmie niemieckim i jego stosunku do Żydów w latach 1933–1945 zawierał raczej tezy uogólniające, podbudowane wystąpieniami niektórych biskupów, zwłaszcza Michaela Faulhabera²⁹³ z Monachium. Przy tym można było tu odwołać się do wielu okoliczności, które antysemityzm niemiecki plasowały ściśle w obrębie ideologii nazistowskiej, niewielka bowiem liczba Żydów w Niemczech (około 0,6 proc. ogółu ludności) nie czyniła z ich obecności problemu strategicznego, tym bardziej że byli to przeważnie Żydzi zasymilowani i znani z patriotyzmu niemieckiego.

Rudolf Lill²⁹⁴ miał jeszcze lepszą niż Repgen sytuację, bo mówił o stanowisku katolicyzmu niemieckiego wobec Żydów w czasach Republiki Weimarskiej. Inni

²⁹³ Michael von Faulhaber (1869–1952), niemiecki duchowny katolicki. Świecenia kapłańskie 1892. Biskup diecezjalny Spirytus 1911–1917. Arcybiskup Monachium i Fryzngi od 1917. Kardynał od 1921.

²⁹⁴ Rudolf Lill (ur. 1934), historyk niemiecki. Absolwent Uniwersytetu w Kolonii. Doktorat 1962. Pracownik naukowy Niemieckiego Instytutu Historycznego w Rzymie 1962–1974. Profesor historii na Uniwersytecie w Kolonii 1974–1979, następnie na Uniwersytecie w Pasawie 1979–1983, na

referenci z Niemiec mieli tematy właściwie nienastępujące żadnej okazji do polemiki, np. Klaus Scholder²⁹⁵ mówił o judaizmie i chrześcijaństwie w ideologii i polityce narodowego socjalizmu.

Mój referat ukazujący pomoc zakonów polskich Żydom w czasie okupacji miał zdecydowanie inny charakter – traktował o pozytywnym odniesieniu do Żydów i to ze strony instytucji kościelnych, co kolidowało wyraźnie z tezą o antysemityzmie chrześcijańskim mającym jakoby wynikać z samej istoty chrześcijaństwa. I tylko mój referat miał koreferat wygłoszony przez dr. Shmuela Krakowskiego²⁹⁶ pt. *Polski Kościół katolicki a Holocaust*.

W przeddzień mojego wystąpienia dr Krakowski zaprosił mnie na kolację do swego prywatnego mieszkania i muszę powiedzieć, że spędziłem czas bardzo miło. Jego żona pochodziła z polskiej i katolickiej rodziny, a sam gospodarz wyjechał z Polski kilkanaście lat po wojnie. Nie mówił, czym się trudnił w Polsce. W Jerozolimie pracował w Yad Vashem. Jak oświecił mnie potem inny polski Żyd, Krakowski nie był do Polaków przychylnie nastawiony, ale w czasie naszego spotkania nie odczułem tego w najmniejszym stopniu.

Co do koreferatu, to Krakowski próbował trochę bagatelizować moje wystąpienie. Wspominał, że trzeba było wyjść poza temat zakonny. Sam jednak także nie wykraczał poza fakty ogólnie znane. Nie był też nastawiony na podważanie moich stwierdzeń. Odniosłem wrażenie, że po prostu pragnie osłabić pozytywną wymowę mojego wystąpienia. Ponieważ to, co mówiłem, wskazywało na zaangażowanie zakonów, zwłaszcza żeńskich, na rzecz Żydów i mogło u mniej zorientowanych słuchaczy wywoływać wrażenie *pars pro toto*²⁹⁷. Krakowski starał się niejako taki odbiór udaremnić i wskazywał na postawy ogółu katolików, a zwłaszcza Kościoła hierarchicznego. Trudno było to kwestionować. Wtedy jeszcze nie znałem mechanizmów działających na tego rodzaju spotkaniach – a uczestniczyłem później

Uniwersytecie w Karlsruhe 1983–1993 i 1996–2000, na Uniwersytecie w Bonn 1996–2006. Specjalista w zakresie historii Niemiec i Włoch w XVIII w. oraz dziejów papieżstwa.

²⁹⁵ Klaus Scholder (1930–1985), historyk niemiecki, pastor ewangelicki. Profesor Uniwersytetu w Tybindze od 1968. Autor książki *Die Kirchen und das Dritte Reich*, której dwa tomy wydał przed śmiercią (Berlin 1977 i 1985). Trzeci tom dokończył i wydał już po śmierci Scholdera jego uczeń, Gernard Besier, w 2001.

²⁹⁶ Shmuel Krakowski (1927–2018), historyk żydowski urodzony w Polsce. W czasie drugiej wojny więzień obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Oficer pionu politycznego w IWP do 1966. Pracownik Muzeum Historii Polskiego Ruchu Rewolucyjnego i kierownik archiwum w Żydowskim Instytucie Historycznym 1966–1968. W 1968 na skutek wydarzeń marcowych wyemigrował do Izraela. Absolwent Uniwersytetu Hebrajskiego. Dyrektor instytutu Yad Vashem w Jerozolimie 1978–1993.

²⁹⁷ Łac. część za całość.

w kilku innych – polegających nie tyle na wydobywaniu pozytywów w zachowaniu społeczeństw w czasie Holokaustu, ile na ukazywaniu jeśli nie współuczestnictwa w nim, to przynajmniej postawy biernej. Już w czasie wygłaszania referatu czułem na sobie spojrzenia niezwiastujące pozytywnego odzewu. W czasie takich spotkań – zauważyłem to znaczenie później – jeśli uczestnicy reprezentowali inny niż prelegent pogląd na sprawę, na ogół nie podejmowali dyskusji, ale rzecz ignorowali. To dobry sposób, jeśli nie ma się trafnych kontrargumentów, a chce się kogoś pognać.

Podczas rozmów kularowych przekonałem się, że ten i ów zna mój referat. Teksty, wprawdzie nie wszystkie, były bowiem dostępne w odbitkach. Wyczuwałem wokół siebie atmosferę skrępowania. Może byłem przewrażliwiony, w tym czasie bardzo słabo znałem angielski, a po niemiecku nie z każdym mogłem nawiązać rozmowę. O wiele łatwiej można było porozumieć się po polsku. Niektórzy nawiązywali do mego odczytu, ale jakby się usprawiedliwiając, że nie zabrali głosu na sali, gdyż zagadnienie to nie jest im zbyt znane. Miało to oznaczać, że o Holokauście mówi się tylko jako o zbrodni dokonanej na Żydach, przy czym obok sprawców istnieli także „gapie” lub wręcz pomocnicy katów, ale czy można mówić o tych, którzy ratowali? Kiedy się wskazywało na licznych Polaków Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, odpowiedź była zawsze taka sama:

– To były wyjątki.

Próbowałem w takiej dyskusji korytarzowej powoływać się na potwierdzony w wielu publikacjach izraelskich fakt, iż w uratowaniu jednego Żyda musiało uczestniczyć wiele osób, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Kiwno tylko głowami i na ogół rozmowa się kończyła.

Na tej samej sesji swój referat o stosunku kościołów chrześcijańskich do Żydów na okupowanych terytoriach ZSRR wygłaszał Icchak Arad²⁹⁸, ongiś Żyd sowiecki, sławny swego czasu partyzant i – jak mi mówiono – generał izraelski. W stosunku do mnie zachowywał się bardzo życzliwie, co dodało mi otuchy. Nawiasem mówiąc, kilka lat później napisałem dla niego laudację, kiedy odbierał na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika doktorat *honoris causa*.

²⁹⁸ Icchak Arad (ur. 1926), historyk żydowski, wojskowy. W czasie drugiej wojny działał w partyzantce sowieckiej na terenach polskich Kresów Wschodnich. W 1945 wyemigrował do Palestyny. Następnie służył do 1972 w wojsku izraelskim, gdzie uzyskał stopień generała brygady. Pracownik instytutu Yad Vashem 1972–1993.

Referat wygłosiłem po niemiecku. W trakcie chaotycznej – jak zresztą cała konferencja – dyskusji wyszła kwestia ukraińska. Dziś już nie potrafię dokładnie zrelacjonować podniesionego problemu, w każdym razie chodziło o podobne jak w wypadku Żydów zagrożenie dla Polaków w Małopolsce Wschodniej. Ni stąd, ni zowąd siedzący przy stole prezydialnym i przewodniczący posiedzeniu Shmuel Ettinger²⁹⁹ wychylił się w moją stronę i przez chwilę miałem nawet wrażenie, że mnie uderzy. Nie wiem, co go tak bardzo rozgniewało, prawdopodobnie porównanie mordy na Polakach z mordem na Żydach. Przy tym opacznie mnie zrozumiał, sądził, że wskazywałem na partyzantów sowieckich jako sprawców zabójstw Polaków, a wiadomo, że w partyzantce sowieckiej nie brakowało Żydów. Ciekawe, że Arad, który sam był w tej partyzantce, nie odezwał się ani słowem. Później w rozmowie ze mną przyznał mi rację, choć był zdania, że o tej sprawie nie można zbyt wiele powiedzieć, materiały są bowiem w ZSRR i dopiero one mogą rzucić światło na tamte wydarzenia.

Wybuch Ettingera przyjęto na ogół z zażenowaniem. Widać to było na sali. W czasie przerwy podszedł do mnie prof. Uriel Tal³⁰⁰ z Wiednia i bardzo mnie przeproszał. Tłumaczył, że Ettinger miał już gorsze wystąpienia, ale trzeba to zrozumieć, bo był on w ZSRR komunistą. Zapytałem:

– Czy już się nawrócił?

Tal się uśmiechnął i zrobił ręką ruch wyrażający wątpliwość.

– On się zdenerwował nie jako Żyd, ale jako człowiek sowiecki – skomentował w końcu profesor.

Podziwiałem jego niezwykłą kulturę i dystans do wielu kwestii zapalnych, jakie w czasie sympozjum wpływały i wywoływały ostre starcia.

Nawiązałem wtedy bliższy kontakt z prof. Richardem Gutteridge'em z Wielkiej Brytanii, pastorem anglikańskim – może dlatego, że obawiał się samotnie wychodzić do miasta, skorzystał z tego, że siedłem, i mi towarzyszył. Z wielkim niesmakiem odebrał wystąpienie Ettingera. Uważał, że z powodu braku reakcji ze strony organizatorów powinienem był natychmiast opuścić salę. Z kolei karmelita o. Daniel Rufeisen³⁰¹, Żyd uratowany przez zmartwychwstanki polskie

²⁹⁹ Shmuel Ettinger (1919–1988), historyk izraelski, dyrektor Centrum Badań nad Historią Żydowską na Uniwersytecie Hebrajskim.

³⁰⁰ Uriel Tal (1929–1984), historyk izraelski. Absolwent Uniwersytetu w Jerozolimie. Od 1977 profesor historii na Uniwersytecie Telawijskim.

³⁰¹ Daniel Rufeisen OCD (1922–1998), konwertyta, karmelita, misjonarz i tłumacz, pochodzenia żydowskiego. W czasie drugiej wojny ukrywał się w klasztorze Zmartwychwstanki w Mirze. Do

na Białorusi, który nie był świadkiem wystąpienia Ettingera, ale o nim słyszał, powiedział do mnie, że temat mój nie był tu dobrze widziany.

– I ja nie jestem tu dobrze widziany, bo jestem zakonnikiem i uratowały mnie zakonnice – dodał.

Tłumaczył mi długo, że jego zadaniem jest duszpasterstwo wśród Żydów, nawet tych nieochrzczonych, bo do wszystkich przyszedł Mesjasz, a ci, którzy nie chcą go uznać, błędzą. Nie znaczy to jednak wcale, że nie mają tej części prawdy, jaka jest zawarta w Starym Testamencie, a której Mesjasz przecież nie odrzucił. Nie wiem, czy dobrze oddałem jego myśl, ale ten drobny człowieczek budził podziw swą energią i niezłomną wiarą.

Moja obecność na sympozjum stanowiła dla mnie niemałe obciążenie psychiczne, nie mogłem bowiem zrozumieć otaczającej mnie dziwnej atmosfery. Niby wszystko było jak należy, a czuło się, że niewygodnie było zarówno organizatorom, jak i mnie samemu. Zapytywałem sam siebie, w czym tkwi przyczyna. Zrozumiałem to dopiero znacznie później, kiedy w Kanadzie wygłaszałem podobny referat w czasie spotkania polsko-żydowskiego, na którym w dodatku miały się znajdować osoby bez owego negatywnego wobec Polaków i Polski nastawienia, tak typowego dla wielu Żydów za oceanem. Tymczasem zaznaczę tylko, że pokazywanie polskiej pomocy Żydom w czasie Holokaustu generalnie nigdzie nie było przez nich akceptowane.

Chyba w drugim dniu sympozjum spotkałem przypadkowo w jednym z korytarzy Uniwersytetu Hebrajskiego – podobno składały się na ten gmach bunkry z dawnej wojny Izraela z Jordanią, dlatego krążyło się po tym budynku jak po swoistym labiryncie – pewnego pana, którego nazwiska tu nie wymienię, który podszedł do mnie i czystą polszczyzną zapytał, czy może ze mną porozmawiać. Zgodziłem się. Z miejsca, jak gdyby w pośpiechu, zaczął mi tłumaczyć, żebym się nie dziwił, że moje wystąpienie nie wywołało entuzjazmu, ale taka tematyka jest tu z góry wykluczana. Mam też uważać na miejscowe kontakty, nie są one bowiem dla mnie bezpieczne. Zapowiedział ponowne spotkanie i szybko się oddalił. Faktycznie, spotkaliśmy się jeszcze. Zdumiało mnie to, co usłyszałem. Pytałem jednego z polskich księży pracujących w Izraelu, co to mogło znaczyć. Ten wytłumaczył mi, że tu trzeba przed każdym mieć

zgromadzenia w Czernej wstąpił w 1945. Pierwsza profesja 1946. Świecenia kapłańskie 1952. W 1959 wyjechał do Izraela, gdzie do końca życia mieszkał w karmelitańskim klasztorze Stella Maris na górze Karmel w Hajfie.

się na baczności. Osobę, którą wtedy spotkałem na uniwersytecie, zachowałem w dobrej pamięci. Był to człowiek naprawdę mi życzliwy i wobec mnie lojalny.

Mszę św. odprawiałem w kaplicy Domu Polskiego na nowym mieście. Byłem jednak również w analogicznej placówce na starym mieście, gdzie nawet uczestniczyłem raz w mszy prymicyjnej dwóch czy trzech Afrykańczyków, którzy w Jeruzolimie otrzymali święcenia i cieszyli się już na powrót do swoich. Nie wiem, dlaczego siostry polskie zajęły się ich prymicjami, ale to właśnie one nakłoniły mnie, bym przybył na uroczystość i wygłosił kazanie po francusku. Drugie takie kazanie wygłosiłem w Grocie Narodzenia w Betlejem. Znalazłem się tam przypadkowo. Bazylikę Grobu Pańskiego odwiedziłem kilkakrotnie, a raz nawet – dzięki mieszkającemu w bazylice (dosłownie w pokoiku wokół kopuły) i zatrudnionemu tam polskiemu franciszkaninowi – dane mi było odprawić mszę św. w miejscu ukrzyżowania. Było to niezwykle przeżycie.

W sobotę, gdy nie miałem co robić, poszedłem do biura podróży na starym mieście. Usłyszałem księdza mówiącego po polsku, więc spytałem go, skąd jest. Odpowiedział, że pracuje wśród Polonii w Dijon i prowadzi pielgrzymkę. W grupie znajdują się osoby mówiące tylko po polsku, zatem objaśnienia przewodnika, którym był ksiądz, Afrykańczyk, student Instytutu Biblijnego, mówiący po francusku, należy tłumaczyć na polski. Ksiądz polski zapytał mnie, czy nie pojechałbym z nimi i nie tłumaczył symultanicznie objaśnień przewodnika. Byłem zachwycony. W ten sposób znalazłem się m.in. w Betlejem, gdzie był dla grupy zarezerwowany czas w bazylice Narodzenia Pańskiego, na dole, w samej grocie. Ksiądz był bardzo zmęczony i poprosił mnie o krótką homilię po polsku. Tuż przed mszą św. podszedł do mnie jeden z frankofońskich pielgrzymów i poprosił także o homilię po francusku. Koncelebrans, nasz *cicerone*, twierdził, że nie jest przygotowany, więc po prostu streściłem po francusku moją homilię polską.

Ten przypadkowy udział w pielgrzymce francusko-polskiej pozwolił mi na nawiedzenie miejsc drogich chrześcijaninowi. Z kolei dwudniowa wycieczka zorganizowana dla uczestników sympozjum dała możliwość poznania innych miejsc, nie zawsze związanych z chrześcijaństwem, a ważnych dla historii palestyńskiej. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie droga krzyżowa, w której uczestniczyłem jeden raz. Zupełnie inne miałem o tym wyobrażenie. Nabożeństwo drogi krzyżowej pośród zgietku wąskiej uliczki, gdzie na ścianach tu i ówdzie

widnieje maleńki wyżłobiony w murze krzyżyk. Zewsząd dochodzi gwar, śmiechy, ludzie kupczą w sklepikach, zajądają się jakimiś przysmakami. Obojętni, bo to dla nich chleb powszedni. A tymczasem idący, modlący się i rozpamiętujący mękę Chrystusa ludzie dopiero w tej scenerii zaczynają rozumieć, jak musiał brzmieć okrzyk tłumu: „Ukrzyżuj go!”. Jak łatwo było nawet bez wychodzenia z tłumu popchnąć Chrystusa dźwigającego krzyż, wykrzyczeć mu do ucha jakieś szyderstwo. Dopiero tam rozumie się ogrom zniewagi, jaką była droga na Golgotę. Mimo woli rodzą się pytania: czy zniewaga ta trwa nadal, po dzień dzisiejszy? Czy znieważającym jest właśnie ten tłum zalegający uliczki Jerozolimy, obojętnie reagujący na kroczących śladem Chrystusa? A może należy sięgać raczej do postaw chrześcijan na całym świecie, którzy mają mniej wrażliwości na mękę Chrystusa aniżeli zajęci sobą i tkwiący w rutynie przekupnie jerozolimscy?

Pobyt w Izraelu momentami był denerwujący, ponieważ moja osoba wzbudzała zainteresowanie pewnych osobistości, co gorsza, przeze mnie niezidentyfikowanych. Już drugiego dnia do pokoju hotelowego – w Jerozolimie mieszkalem w hotelu Uniwersytetu Hebrajskiego na Scopus Mons – ktoś zadzwonił i zapytał, czy rozmawia z ks. Zielińskim. Potwierdziłem i spytałem:

– Z kim mam przyjemność?

Rozmówca z tamtej strony zaśmiał się tylko.

– To nieważne, powiedzmy, że dziennikarz. Jak się pan czuje?

Odparłem, że nie najgorzej, i ponownie poprosiłem mego rozmówcę o przedstawienie się. Zignorował to i zaczął dociekać, w jaki sposób otrzymałem wizę izraelską. Tego już było za wiele. Odłożyłem słuchawkę. Po jakimś czasie ponownie telefon. Tym razem przy aparacie jakaś pani. Przeprosiła za pomyłkę.

– Nam zależy, by nasi goście czuli się dobrze. Pewnie trudno było panu dostać paszport, no i podróż w tak trudnych czasach... – dodała.

Akurat trwała wojna w Libanie przeciw OWP. Podziękowałem za troskę, na co głos z drugiej strony życzył mi miłego pobytu i na tym byłby koniec tych kontaktów. Tymczasem w „Nowym Kurierze” z 29 czerwca 1982 r. ukazała się notatka pod tytułem *Uczony z PRL uczestnikiem sympozjum w Jerozolimie*, a w niej rzekomo moje słowa:

Profesor Zieliński powiedział: „Otrzymałem zezwolenie na wyjazd dosłownie w ostatniej chwili”.

Zaniepokoiłem się. Po pierwsze, nic takiego nie mówiłem, a po drugie – jeśli wiadomość taka przedostanie się do Polski, może być różnie zinterpretowana, może sprawiać wrażenie jakichś moich poufnych rozmów z władzami izraelskimi. W dodatku była to ewidentna nieprawda. Natychmiast zatelefonowałem do redakcji gazety. Działo się to późnym wieczorem w czwartek, zatem tylko w piątek mogło się ukazać sprostowanie. W poniedziałek już odlatywałem do Polski, a gazetę ze sprostowaniem chciałem koniecznie zabrać do kraju. Zgłosił się niejaki pan Gutman. Nie dał mi dojść do słowa, tylko zaczął mówić o swojej radości i szczęściu, jakie go spotkało w postaci mojego telefonu. On zaraz przyjedzie, dokądkolwiek wskażę, bo on chce przeprowadzić ze mną wywiad.

– Taki jeden do pana dzwonił, ale co on tam wie, on nic nie umie. Dobrze, że nic mu pan nie mówił.

I tak dalej. Kiedy wreszcie udało mi się dojść do słowa i wyjawilem, o co mi chodzi, trochę się zmytygowałem.

– Sprostowanie? Ależ oczywiście. Będzie w piątek, ale nasze spotkanie...

– Nie będzie spotkania – odpowiedziałem, ale zapraszam pana, jeżeli będzie pan w Polsce, do siebie – do Lublina.

Jakoś nie wykazał entuzjazmu i na tym się nasza rozmowa zakończyła. W piątkowym numerze z 2 lipca 1982 r. ukazała się krótka notatka:

Profesor Zieliński czekał do ostatniej chwili na wizę wjazdową do Izraela, a nie jak podano – na zezwolenie władz PRL na wyjazd.

Z pewnością pan Gutman mógł liczyć na miłe przyjęcie w Lublinie. *Notabene* z prof. Madajczyka zrobiono w gazecie Madziaka, ale tego już nie kazałem prostować.

Pobyt w Ziemi Świętej wiązał się z wieloma przeżyciami pozanaukowymi. Wszystko było dla mnie nowe. Ludzie, miasta, atmosfera. Ogromne wrażenie zrobiła na mnie Masada. Jak gdyby człowiek się cofnął do czasów zmagania z Rzymianami – bohaterskiej walki i śmierci obrońców tego naturalnego szczytu. Ciekawość budziła surowa przyroda pustynno-górska w drodze na Masadę, do Morza Martwego, w którym kąpiel o mało nie przypłaciłem uszkodzeniem kręgosłupa, chciałem bowiem nierozważnie zanurkować. Jezioro Tyberiadzkie, obiad w gospodzie nad brzegiem i słynna „Piotrowa ryba” – wszystko to było jakby

sen na jawie. Nisze górskie, miejsce odnalezienia tekstów Qumran³⁰². Wprawdzie tylko z daleka mogłem je oglądać, ale to też było tak, jak gdyby się zajrzało za kulisy historii.

Jechaliśmy wtedy drogą, w oddali widać było Jordanię. Kierowca i zarazem *cicerone* zażartował, że może nam stamtąd posłać jakiś głośny podarunek. Nieco później, gdy mijaliśmy posterunek wojskowy, zostaliśmy poinformowani, że przed godziną była tam strzelanina. Żarty przestały być żartami. Mijaliśmy zburzone domostwa. Kierowca wyjaśnił, że domy osób, którym dowiedziono udział w zamachach czy w ogóle w zbrojnym oporze, są wysadzane w powietrze. Kiedy później w rozmowie z pewnym Izraelczykiem dziwiłem się tej represyjności, ten powiedział:

– A jak pan by się czuł, nie mogąc spokojnie zasnąć w obawie, że pocisk panu spadnie na głowę?

Pamiętam też rozmowę z panem, który okazał się profesorem matematyki na uniwersytecie. Okazał chęć rozmawiania po ukraińsku, ponieważ pochodził ze Stanisławowa. Polskiego, jak wyznał, nie zna. Tymczasem jego ukraiński to był właśnie polski. Siedzieliśmy na ławeczce przed uniwersytetem i komentowaliśmy zwycięstwo sił izraelskich nad Arafatem w Libanie. W pewnym momencie profesor rzekł:

– Ja się boję, kiedy Żydzi odnoszą zwycięstwa.

Nie rozumiałem tego, więc wyjaśnił, że w Izraelu czuje się jak na odkrytym terenie, gdzie nie ma się gdzie schronić przed pociskami, a takie zwycięstwa to też zapowiedź właśnie takich pocisków. Coś w tym było.

Wyjazd do Izraela był dla mnie bardzo pouczający – w każdym wymiarze. Przekonałem się, że Żydzi to dziś naród w pełni zmilitaryzowany. Dawne legendy o tchórzostwie Żydów trzeba było odłożyć do lamusa. Dopuszczają się oni w Palestynie wielu nieprawości wobec Palestyńczyków, ale żyją także w stałym zagrożeniu.

– Nie wiem, czy mój syn, który rano wychodzi z domu, wróci wieczorem. W każdej chwili może być powołany jako rezerwista – skarżył mi się pewien starszy człowiek.

³⁰² Rękopis z Qumran – zbiór dokumentów spisanych po hebrajsku, aramejsku i grecku zawierający fragmenty Pisma Świętego, odnaleziony w latach 1947–1956 niedaleko ruin Qumran na Zachodnim Brzegu Jordanu.



Autor
z Januszem
(Joramem)
Simonim
z Izraela, lata
osiemdziesiąte

Na uniwersytecie widziałem studentów czekających na egzamin – w mundurach, a jeden nogą przyciskał do podłogi pistolet maszynowy. Takie tam były realia.

W Izraelu poznałem wtedy bardzo sympatycznego człowieka. Był to Janusz (Joram) Simoni – historyk, nauczyciel gimnazjalny, pochodzący chyba z Częstochowy. Opowiadał

mi wiele o tym, jak został uratowany w czasie Holokaustu. Pomocy szukał głównie w klasztorach żeńskich. Szczególnie ważna była żywność, której mu nigdy nie odmawiano. Co do schronienia, sam przyznawał, że często było to niewykonalne, gdyż cały dom zakonny szedłby pod ścianę, gdyby go tam odkryto. Od niego dowiedziałem się istotnych rzeczy o realiach pomocy Żydom w okupowanej Polsce. Z kontekstu tych rozmów wynikało, że w Izraelu o tych sprawach lepiej nie mówić. Simoni był lojalnym obywatelem państwa Izrael.

Ostatnią noc przed odlotem do Polski spędziłem w domu rodzinnym pana Janusza. Prawie nie zmrużyłem oka, gdyż w ogrodzie obok jego domu odbywało się wesele. Zespół muzyczny grał same oberki, krakowiaki i mazurki, wyłącznie polska muzyka ludowa. Powiedziałem panu Januszowi, jak bardzo mnie to wzruszyło, tym bardziej że na żadnym polskim weselu takiej muzyki już nie grają. Rano odwiózł mnie na lotnisko w Tel Awiwie. Gościłem go później kilkakrotnie u siebie. Planowaliśmy nawet jakieś wspólne opracowanie na temat ratowania Żydów w Polsce, ale po jednym z pobytów w naszym kraju kontakt się urwał. Nie mogłem już śledzić dalszych losów pana Janusza. A szkoda.

Po powrocie z Ziemi Świętej przez dłuższy czas nie mogłem dojść do siebie. Nie wiem, czy to z powodu różnicy klimatycznej, czy zbyt forsownego zwiedzania. Nurtowały mnie także przeżycia związane z symposium. W następnych latach uczestniczyłem w kilku podobnych, poświęconych analogicznej tematyce, i byłem przygotowany na kontrowersyjne podejście

do poruszanej problematyki. Pamiętam takie spotkanie kilkanaście lat później w Provo w stanie Utah w USA. Było tam jedno wystąpienie Żyda, rabina Kahane³⁰³, który relacjonował, jak został uratowany dzięki abp. Szeptyckiemu³⁰⁴ we Lwowie.

– Muszę dać świadectwo – powiedział. – Wielu bowiem, którzy podobnie jak ja we Lwowie otrzymali pomoc, także od abp. Twardowskiego³⁰⁵, pomija to milczeniem.

Wyznanie przyjęto z zainteresowaniem, ale czy wpłynęło to na rewizję niejednego jednostronnego lub zgoła fałszywego oskarżenia? Mam co do tego wątpliwości. Natomiast najdrobniejszy nawet incydent świadczący o antyżydowskim nastawieniu interpretowano jako zachowanie ogółu, zrozumiałe ze względu na właściwy chrześcijaństwu antysemityzm. Taki sposób traktowania prawdy historycznej zniechęcał do udziału w podobnych imprezach. Miałem później okazję nawiązać w Stanach Zjednoczonych bliższą współpracę z organizacją, której zadaniem było wypracowanie jakiejś niepodważalnej prawdy o tamtych złych doświadczeniach, od których przecież nikt nie był wolny. Ostatecznie jednak zrezygnowałem. Trzeba by zaakceptować konformizm oparty na stereotypach. Ciekawe, że ci, którzy stereotypy zwalczają i oskarżają swych adversarzy o fałszowanie historii, sami na stereotypach tworzą własną wersję historii. Wystarczy wziąć do ręki książki Jana Grossa³⁰⁶, by się o tym przekonać.

³⁰³ Dawid Kahane (1903–1998), rabin, podpułkownik IWP. Doktor filozofii. Rabin w Tykocinie 1929, w synagodze Ose Tow we Lwowie 1929–1939. W czasie drugiej wojny powołany w skład rabinatu lwowskiego. W 1943 uciekł z obozu janowskiego we Lwowie. Od 1944 oficer w IWP. Od 1945 naczelny rabin IWP. Przewodniczący Naczelnej Rady Rabinów do 1949. W 1949 wyemigrował do Izraela, gdzie objął funkcję naczelnego rabina wojsk powietrznych. Naczelny rabin Argentyny 1969–1975. W 1975 ponownie wyjechał do Izraela.

³⁰⁴ Andrzej Szeptycki OSBM (1865–1944), duchowny greckokatolicki. Do zgromadzenia wstąpił w 1888. Biskup diecezjalny stanisławowski od 1899. Metropolita halicko-lwowski od 1901. Rzecznik nacjonalizmu ukraińskiego.

³⁰⁵ Bolesław Twardowski (1864–1944), ksiądz diecezji lwowskiej. Święcenia kapłańskie 1886. Doktor prawa kanonicznego. Proboszcz parafii w Tarnopolu 1902–1918. Biskup pomocniczy lwowski 1918–1923. Arcybiskup metropolita lwowski 1923–1944.

³⁰⁶ Jan Tomasz Gross (ur. 1947), polsko-amerykański socjolog pochodzenia żydowskiego. W 1969 wyemigrował do USA. Doktorat 1975. Wykładowca na uniwersytetach Yale, a następnie Princeton. Autor książek: *Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka*, Warszawa 2000; *Strach. Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie. Historia moralnej zapaści*, Kraków 2006; *Złote żniwa. Rzecz o tym, co się działo na obrzeżu zagłady Żydów*, Kraków 2011. Publikacje przedstawiają w sposób niezgodny z prawdą relacje polsko-żydowskie w czasie drugiej wojny i po jej zakończeniu.

Stypendium Konrad-Adenauer-Stiftung³⁰⁷.

W archiwach RFN

Tak się złożyło, że drugi mój większy wyjazd prowadził w 1985 r. do RFN, gdzie otrzymałem stypendium Fundacji Konrada Adenauera przeznaczone na badania w archiwach niemieckich.

Miałem wyjechać na cały semestr. Postanowiłem wykorzystać też część wakacji, zwłaszcza że ks. Pacyna, były rektor seminarium gnieźnieńskiego i następnie proboszcz parafii św. Wawrzyńca w Gnieźnie, w owym czasie już emeryt, postanowił zabrać się ze mną. Jechałem do Niemiec samochodem, a on chciał odwiedzić zaprzyjaźnioną rodzinę państwa Trillerów mieszkających w Bonn. Sprawa była umówiona i na początku czerwca przybyłem do Gniezna, by ustalić szczegóły.

Dowiedziałem się, że ks. Pacyna jest w szpitalu, dokąd zabrano go z objawami zaburzeń serca. Poszedłem tam niezwłocznie. Uderzyła mnie ogromna zmiana w wyglądzie prałata. Nieustannie męczyła go czkawka. Tłumaczył to jakimiś przyczynami, nie pamiętam jakimi. Interesował się problemami medycznymi i niekiedy miewał w tej materii dość niecodzienne poglądy, toteż postanowiłem raczej zasięgnąć opinii lekarza. Jednak sądziłem, że są to raczej chwilowe niedomagania. Nie pamiętam, żeby ks. Pacyna kiedykolwiek chorował. Lekarz był innego zdania. O wyjeździe księdza prałata nie mogło być mowy. Wprawdzie nie uważał, żeby stan był bardzo groźny, ale dłuższa rekonwalescencja była konieczna. Zauważyłem, że mówienie prałata męczyło. Pytanie o wyjazd byłoby nietaktem, zwłaszcza wobec tego, co powiedział lekarz. Sam chory jednak do tego nawiązał i spytał, czy nie można by wyprawy przesunąć o dwa-trzy tygodnie, w tym czasie sprawa się już wyjaśni. Zgodziłem się bez wahania, co go bardzo uspokoiło. Lekarz, którego przed wyjściem ze szpitala ponownie zapytałem o prałata, określił stan zdrowia jako poważny.

– Serce chorego jakoś nie chce się uspokoić.

Potwierdził swoją wcześniejszą opinię, że o podróży nie należy nawet myśleć. Pojechałem do kolegi Jerzego do Winnejgóry, gdzie spędzałem zazwyczaj wakacje, i postanowiłem jakiś czas zaczekać. Po dwóch albo trzech dniach otrzymałem z Gniezna telefon, że ks. Pacyna nie żyje. Zmarł 5 czerwca. Postanowiłem wyjechać

³⁰⁷ Stypendium przyznawane przez niemiecką Fundację im. Konrada Adenauera dla młodych, wybitnych naukowców.

do Niemiec zaraz po jego pogrzebie, który odbył się w rodzinnej miejscowości księdza rektora, w Przygodzicach pod Ostrowem Wielkopolskim.

Dziwny to był pogrzeb. Księży przybyło kilkudziesięciu, ale kazanie wygłosił bp Jerzy Dąbrowski, zerkając do rozłożonej na ambonie teczki personalnej ks. Pacyny, bądź co bądź, ongisiejszego rektora, któremu on też podlegał. Nie było ono niczym więcej, jak odczytaniem danych personalnych i to w sposób niedbały, właściwie bez komentarza. Siedziałem wśród kolegów w prezbiterium i co chwila któryś pytał szeptem, dlaczego to nie ja mówiłem kazanie. Wiadomo było, że utrzymywałem z ks. Pacyną kontakt także wtedy, kiedy wyraźnie był w niełasce u możnych tego świata. Już o tym pisałem, więc tylko dodam, że po pogrzebie powszechne było oburzenie wśród księży, że za tyle ofiarnej pracy nie potrafiono powiedzieć nad grobem kilku ciepłych, ludzkich słów. Smutny to był pogrzeb, jak i życie zmarłego, który miał swoje dziwactwa, jak każdy zresztą, ale seminarium był oddany bez reszty. Skąpił sobie nawet kilku dni urlopu.

Ksiądz Pacyna nie tylko zasługiwał na osobiste i serdeczne wspomnienie w czasie pogrzebu, lecz także należało przybliżyć jego sylwetkę jako uczonego. Nie pisał wiele – najpierw wojna, później praca w seminarium, absorbująca go bez reszty. Lubił osobiście doglądać wszelkich szczegółów – nieważne, że często niepotrzebnie – ale taka była jego idea zarządzania tą instytucją. Pozostawały zaledwie małe wycinki czasu na działalność naukową, ilekroć jednak – jako dziekan kleryków – wchodziłem do jego gabinetu, zawsze studiował jakieś zagraniczne czasopismo lub coś pisał. Był skryty i nigdy nie informował o swojej pracy. Może później to się zmieniło, bo bywało, że prosił mnie o wyszukanie czy nawet kupno za granicą jakiejś książki.

Gdy był już na emeryturze, może nieco wcześniej, zabrał się za tłumaczenie jakiegoś francuskiego leksykonu katolickiej nauki społecznej – niestety, zapomniałem tytułu tego dzieła. Miał już przetłumaczone w rękopisie około 1500 stron – ogromny stos papieru, który niejednokrotnie mi demonstrował. Radził się, komu można powierzyć wydanie. To było już w czasie, gdy byłem profesorem i trochę się orientowałem w rynku czytelnictwa i wydawniczym. Doradzałem ks. Pacynie, żeby uwspółcześnił tekst leksykonu, który miał już swoje lata, a nauka w tym czasie postąpiła naprzód. Wahał się, twierdził, że dzieło jest klasyczne, co oczywiście było prawdą, niemniej jego przydatność w takiej formie była ograniczona. Nie wiem, co się stało z tym tłumaczeniem po jego śmierci.

Na tle innych wykładowców seminaryjnych, może z wyjątkiem ks. Bolza, uczonego z prawdziwego zdarzenia, ks. Kłonieckiego, biblisty, czy ks. Szczepana Pieszczocho, ks. Pacyna powinien być uważany za naukowca, który był na bieżąco w swojej dziedzinie. Chociaż nie potrafił porwać słuchaczy wykładem, moim zdaniem zbyt akademickim, to jednak tych, którzy tego pragnęli, wprowadzał w tajniki pracy naukowej. Uczył, jak prowadzić badania i jak formułować myśli. Niestety, cały kierunek wykształcenia seminaryjnego nie był nastawiony na takie studium.

Cokolwiek by nie mówić na temat byłego rektora, należało odpowiednio uszanować jego pracę, a przede wszystkim umiłowanie seminarium duchownego i całkowite oddanie, jakim je darzył. Niestety, pogrzeb był tego zaprzeczeniem. Obecni na nim księża, nawet ci, którzy za ks. Pacyną nie przepadali, byli przygnębieni i zawiedzeni. Mieli za złe abp. Glempowi, ordynariuszowi archidiecezji gnieźnieńskiej, że do tego dopuścił. Nie miałem już z nim wtedy styczności, nie mogłem go zatem o to zapytać, ale przecież wiedziałem, że jako kleryk był rektorowi szczerze oddany. Być może nie potrafił okazać tej starej gwardii nieco więcej względów, bo i ks. bp Czerniak kiedyś wspomniał o tym, że czuje się jak mebel odstawiony do lamusa – jakoś tak to powiedział – a nie był zazwyczaj wylewny. Słyszałem na własne uszy, więc mogę przekazać.

Jadąc do RFN, już bez ks. Pacyny, miałem wiele czasu, żeby rozmyślać o tych wszystkich sprawach, które młodego człowieka nie tyle wówczas niepokoiły, ile zastanawiały, zwłaszcza że trudno było dociec przyczyn zjawiska znanego z łacińskiego przysłowia: *honores mutant mores*³⁰⁸. Dziś, gdy jestem starszy, niż był ks. Pacyna w chwili śmierci, przypominam sobie tamte zdarzenia i stwierdzam, że obecnie jest jeszcze gorzej. Niebawem obniżył się poziom osób wkraczających na szczyty władzy – i to pod każdym względem. Kulturę osobistą zastępuje najczęściej arogancja wyrastająca z przesadnie wygórowanego pojmowania stanowiska i związanej z nim władzy.

Do Niemiec wyjechałem pod koniec lipca. Stypendium w Konrad-Adenauer-Stiftung przyznano mi od 1 sierpnia. Droga prowadziła przez Marburg, gdzie odwiedziłem moich przyjaciół, państwa Karpów. Niepewna była sprawa mojego zakwaterowania w Bonn. Szukanie mieszkania w Albertinum, konwikcie i zarazem seminarium dla studiujących na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu w Bonn,

³⁰⁸ Łac. zaszczyty zmieniają obyczaje.

nie dało rezultatu. Stypendium nie było małe, w sumie wynosiło 8022 marki na 4 miesiące, ale podróże, koszty kwerendy (mikrofilmy, kopie, książki) pochłaniały sporo pieniędzy. Był to w Polsce, jak wiadomo, trudny czas, więc zależało mi też na oszczędzeniu pewnej sumy. Znałem przypadek, że ktoś mający stypendium w Belgii pobierał zarazem to samo co ja stypendium w Bonn. Jak to było możliwe, nie wiem do dzisiaj.

Zaraz po przyjeździe zgłosiłem się do siedziby KAS w Sankt Augustin pod Bonn i zostałem zaproszony na rozmowę, w której uczestniczyli pan Josef Thesing³⁰⁹ i pani Gabriele Hoveling, dyrektor i sekretarka fundacji. Proszono mnie o przedstawienie zarysowego planu kwerendy i wspomniano coś o sprawozdaniu na zakończenie pobytu. Chciałem rozpocząć od archiwum Auswärtiges Amt w Bonn³¹⁰, następnie popracować w bibliotekach, zwłaszcza w Institut für Osteuropa³¹¹, i wreszcie w Bundesarchiv w Koblencji³¹². Przedmiot moich studiów obejmował dzieje mniejszości niemieckiej w Polsce w okresie międzywojennym. Pan Thesing kładł bardzo wielki nacisk na znajomość języka niemieckiego u stypendystów. W pewnym momencie, kiedy po raz kolejny do tego nawiązał, spytałem żartem, czy poddawany jestem egzaminowi i czy każdy stypendysta jest tak przepytany. Odpowiedział, również się śmiejąc, że coś w tym jest, ale nie każdy przeszedł ten egzamin z powodzeniem. Pani Hoveling później powiedziała mi więcej na temat stypendystów polskich. Była to niezwykle ujmująca i życzliwa osoba, którą miło wspominam.

Pewna zasadnicza trudność zrodziła się już pierwszego dnia, kiedy zjawiłem się w archiwum przy Konrad-Adenauer-Allee. Zapytano mnie, czy mam polecenie z polskiego MSZ. Oczywiście nie miałem, bo nie wiedziałem, że o takie coś trzeba się starać i to przez uniwersytet, a nie prywatnie. Czyżbym miał tracić czas na oczekiwanie? Znając biurokrację krajów komunistycznych, sądziłem, że nie mam szans na szybkie rozwiązanie tego problemu. Kierowniczka pracowni, także niezwykle życzliwa osoba, której nazwisko chętnie bym utrwalił, ale zupełnie wypadło mi z pamięci, powiedziała następnego dnia, że rozmawiała z szefem i ten się zgodził,

³⁰⁹ Josef Thesing (ur. 1937), politolog. Członek Fundacji im. Konrada Adenauera od 1965. Dyrektor Międzynarodowego Instytutu Konrad Adenauer-Stiftung 1984–2002. Prezes Stowarzyszenia Promocji Muzeum Historii Żydów Polskich 2005–2013.

³¹⁰ Archiwum Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych RFN w Bonn.

³¹¹ Instytut Europy Wschodniej Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, założony w 1951, posiada wyspecjalizowaną bibliotekę zawierającą 360 tys. woluminów dotyczących Europy Wschodniej.

³¹² Archiwum Federalne w Koblencji gromadzi archiwa rządu federalnego i jego poprzedników, czyli centralnych władz Niemiec.

bym normalnie pracował w czasie oczekiwania na to zezwolenie. Do KUL nadeszło ono z MSZ 8 sierpnia, z KUL natomiast wysłano mi je 20 sierpnia. Na szczęście MSZ poprosiło ambasadę Polską w Kolonii o zwrócenie się do Auswärtiges Amt w celu uzyskania dla mnie potrzebnego zezwolenia, tak więc już w pierwszym tygodniu mego pobytu powitano mnie w pracowni wiadomością, iż zezwolenie nadeszło. Podziwiałem sprawność władz, zarówno warszawskich, jak i niemieckich. Mniej podziwu budził „pośpiech” dykasterii rektorskiej KUL.

Oczywiście przed załatwieniem opisanych tu spraw musiałem się postarać o *locum* na czas pobytu w Bonn. Pierwsze kroki po przyjeździe skierowałem do państwa Trillerów. Panią Anneliese³¹³, wybitnego historyka Warmii, już znałem. Jej mąż był bodajże archeologiem, wówczas już na emeryturze. Ich – a także ich dzieci – związki z Polską były bardzo żywe. Rodzina pana Trillera pochodziła z Raszkowa pod Ostrowem Wielkopolskim. Przyjęli mnie bardzo serdecznie, gotowi byli nawet czasowo udzielić mi gościny, ale pani Triller uznała, że należy próbować zdobyć coś stałego. Wpadła na pomysł, by zatelefonować do sióstr benedyktynek w sąsiedztwie na Kreuzbergu w dzielnicy Eindhoven.

Siostry ogromnie się ucieszyły, miały bowiem okazałą kaplicę publiczną, a chwilowo nie miały kapelana. Pojechałem tam jeszcze tego samego dnia i zastałem przygotowany dla mnie wygodny pokój i kolację na stole. Był to stary klasztor Benedyktynek, w którym najmłodsza siostra, będąca zarazem przełożoną, miała 65 lat, a prawie 30 sióstr to były staruszki pod osiemdziesiątkę albo powyżej. Był to klasztor klauzurowy i poza nabożeństwami miałem styczność tylko z jedną siostrą – malutką, siedemdziesięciopięcioletnią, stale zajętą i uśmiechniętą zakonnicą. Myślę, że była na prostej drodze do świętości. Żał mi jednak było, że tak bardzo jest obciążona pracą, ponieważ nie tylko dbała o mój pokój, zakrystię i kręciła się koło kuchni, ale jak się później przekonałem, oprzątała także krowę i całe spore obejście gospodarcze. Kiedyś przyłapałem ją na myciu mego samochodu, który na chwilę pozostawiłem w podwórzu. Czyniłem jej wymówki i zabroniłem tego, a za karę oświadczyłem, że będę sam odkurzał swój pokój. Strasznie się zmartwiła, ale chyba także się ucieszyła. Niby potajemnie przynosiła mi do jadalni różne smakołyki. Użała się nade mną, że muszę tak rano wychodzić do pracy, a wracam

³¹³ Anneliese Klara Triller (1903–1998), historyk, od 1933 archiwariusz w archiwum biskupim we Fromborku. W 1945 przeniosła się do Bonn, gdzie kontynuowała badania nad dziejami Warmii. Opublikowała ponad 320 publikacji naukowych. Od 1930 członek Stowarzyszenia Historyków Warmii, w latach 1956–1989 jego wiceprezes, od 1967 prezes honorowy.

późno po południu. W zasadzie często robiłem przerwę obiadową i wtedy przychodziłem na obiad do klasztoru.

Praca w archiwum była bardzo wyczerpująca. Najgorsze było to, że trzeba było się spieszyć. Wyselekcjonowałem 172 opasłe fascykuły akt, w których powinienem szukać interesującego mnie materiału. Pod koniec kwerendy zamówiłem sobie kopie niektórych dokumentów, za które zapłaciłem prawie 900 marek. Ponieważ nikt nie mógł zagwarantować, że przewiozę to bezpiecznie przez granicę, zwłaszcza NRD, poprosiłem, by pakiet z kopiami poszedł pocztą dyplomatyczną do ambasady RFN w Warszawie. O dziwo, zgodzono się na to i rzeczywiście odebrałem te materiały po powrocie do Polski. Po pewnym czasie doszłusował do mnie prof. Karol Jonca³¹⁴ z Wrocławia. Po pracy wychodziliśmy sobie niekiedy na śledzika w jakimś bistro, których na starym mieście było bez liku. Wspólnie z profesorem wyjednaliśmy u kierowniczkę pracowni, że pokazała nam oryginał mapy, która posłużyła w 1939 r. do wytyczenia rozbioru Polski przez dwóch agresorów: Niemcy i Związek Sowiecki.

W archiwum Auswärtiges Amt mogłbym pracować jeszcze dłuższy czas, ale wabiło mnie Bundesarchiv w Koblencji, dokąd wyruszyłem w połowie września. W Bonn dostałem kilka adresów i numerów telefonu, m.in. od ks. Gerharda Reifferscheida, Warmiaka, autora ciekawej książki o Kościele na Warmii w czasach III Rzeszy³¹⁵. Dał mi adres prowadzonego przez siostry pensjonatu czy czegoś w tym rodzaju, gdzie chętnie wynajmą mi na korzystnych warunkach pokój, a może też wykorzystają dla służby Bożej.

Dom był położony po prawej stronie Renu, na wzgórzu, w pięknym otoczeniu. Siostra, która mnie przyjmowała, powiedziała, że w tej chwili w domu mieszka dwóch czy trzech księży, ale dla mnie pokój też się znajdzie. Opłata rzeczywiście była symboliczna. Siostra poradziła jednak, bym zatelefonował w kilka miejsc – numery mi podała – bo tutaj w okolicy niektórzy proboszczowie chętnie przyjmą kapłana gotowego pomagać w parafii. Zgodziłem się z jej sugestią i postanowiłem zjechać do miasta, skąd bym w jedno czy drugie miejsce zatelefonował. Zastrzegłem sobie jednak możliwość powrotu.

³¹⁴ Karol Jonca (1933–2008), prawnik i historyk. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego. Doktorat 1958, habilitacja 1964, profesor nadzwyczajny 1971, profesor zwyczajny 1981. Wykładowca na UW r. od 1964. Prodziekan 1966–1972, a następnie 1972–1974 dziekan Wydziału Prawa i Administracji UW r. Autor ponad 200 publikacji naukowych. Członek założyciel Fundacji „Krzyżowa” dla Porozumienia Europejskiego w 1989. Współzałożyciel Uniwersytetu Europejskiego Viadrina we Frankfurcie nad Odrą i wykładowca na tej uczelni 1991–1993.

³¹⁵ Chodzi o G. Reifferscheid, *Das Bistum Ermland und das Dritte Reich*, Köln–Wien 1975.

Przejechawszy most na Renie, zatrzymałem się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej i zatelefonowałem do Boppard na plebanię. Proboszcz, ks. Werner Assmann, właśnie obiadował, bez większych dyskusji zatem zaprosił mnie na obiad. Jazdy było nie więcej niż 20 minut. Przyjęto mnie jak starego znajomego. Matka proboszcza wypytała mnie o dane personalne i uznała, że takiego właśnie pomocnika *Herr Pastor* poszukiwał. Otrzymałem dwa pokoje, a 16 września wikariat generalny w Trewirze udzielił mi jurysdykcji do czasowej pracy (do 27 października) w parafii św. Sewerusa w Boppard. W parafii były trzy kościoły i cztery domy starców, zatem na brak zajęcia nie narzekałem. Przy tym codziennie, od poniedziałku do piątku, wyjeżdżałem rano do archiwum w Koblencji.

Boppard jest małą miejsciną, ale położoną wśród wzgórz obrośniętych winnicami. Jest to więc kraina wina reńskiego. W czasie mego pobytu odbywał się tam Weinfest – święto wina, trwające cały tydzień, z degustacją wina u poszczególnych winiarzy, którzy obstawili swoimi stoiskami ulice. Podczas tego święta organizowane są imprezy, na które zjeżdżają się niekiedy ludzie z dalszych okolic. Jest gwarno, może aż nazbyt, bo w tym czasie jest też pozwolenie na zgiełk nocny. Moje okna wychodziły na promenadę nadreńską, ze spaniem było więc gorzej, ale w końcu zwyczaj należało uszanować. Z proboszczem musieliśmy odwiedzić każdego *Winzera*³¹⁶ i skosztować jego produktu. Sporo tego było, ale jakoś nie szło do głowy. W Boppard poznałem sporo ciekawych osób i doświadczyłem wiele życzliwości. Na zakończenie mego pobytu okulista dr Lüssem, przewodniczący Rady Parafialnej, wystosował do mnie piękny list z podziękowaniem za pracę w parafii. Pracowałem na zastępstwach przez kolejnych kilkanaście lat w kilku parafiach, ale nigdzie nie uhonorowano mnie w taki sposób.

Był to czas, kiedy w Polsce panował kryzys – nie tylko polityczny, lecz także w ścisłym tego słowa znaczeniu. Brakowało wszystkiego, zwłaszcza tego, co konieczne dla dzieci. Nigdy nie potrafiłem, będąc za granicą, uzalać się nad losem moich rodaków. Pytano mnie jednak o cierpiących niedostatek. Czy mam ich w swoim otoczeniu, czy znam takie rodziny? Zwłaszcza państwo Nattermannowie żywo się tymi sprawami interesowali. Musiałem odpowiadać zgodnie z prawdą, a potrzebujących wokół mnie nie brakowało. Pani Nattermann była aptekarką i chętnie starała się o leki. Także inne produkty i pieniądze szły do wskazanych przeze mnie osób. Wielka w tym zasługa matki pani Nattermann. Spotykaliśmy

³¹⁶ Niem. winiarza.

się, gdyż przeniosła się ona dobrowolnie do domu opieki, a ja każdy taki dom przynajmniej raz w tygodniu odwiedzałem. Dużo by pisać o nędzy ludzi, którym w sensie materialnym niczego nie brakowało.

Pytałem proboszcza, co robić, kiedy niektóre osoby zgłaszają chęć pomocy potrzebującym w Polsce. Obawiałem się, by mojego przyzwolenia na pośrednictwo nie potraktowano jako wyłudzenia, z czym zresztą, nawiasem mówiąc, może nie w Boppard, ale w innych miejscach, się spotykałem. Ksiądz Assmann nie miał nic przeciwko temu i pod koniec mego pobytu na plebanię przynoszono rzeczy, które do Polski mógłbym zabrać samochodem. Kilka razy usiłowano mi wręczyć jakieś kwoty, podkreślano przy tym, że pieniądze są przeznaczone dla mnie. Dziękowałem i informowałem ofiarodawców, że środki te zostaną rozdzielone w Polsce. Po dwóch czy trzech podobnych razach prezenty takie ustały.

Raz spotkało mnie coś, czego dotąd nie rozumiem. Siedziałem w kościele (wyjątkowo mrocznym) i odmawiałem różaniec. Było to mocno pod wieczór i poza mną nie było w świątyni żywego ducha. A jednak... Usłyszałem, że ktoś się skrada od tyłu. Sądziłem, że właśnie wszedł i chce się pomodlić. W pewnym momencie poczułem jednak czyjąś rękę, która na pulpit ławki przede mną położyła jakiś szary przedmiot. Zanim zdołałem się obejrzeć i zareagować, osoba ta – nie wiem, mężczyzna czy kobieta – przez nawę główną skierowała się ku drzwiom. Schowałem przedmiot, którym okazała się koperta, do kieszeni płaszcza i po odmówieniu różańca wyszedłem z kościoła. Spotkałem znajomego. Wstąpiliśmy do restauracyjki na kawę czy lampkę wina. Po powrocie do domu zostałem wezwany do biura w sąsiedztwie mego mieszkania – do omówienia były szczegóły pogrzebu albo coś innego. O kopercie zapomniałem i dopiero następnego dnia, wkładając płaszcz, poczułem ją w kieszeni. Jakież było moje zdumienie, kiedy odkryłem 500 marek w jednym banknocie. Szukałem jakiejś kartki, wyjaśnienia, ale koperta poza tym była pusta.

W Boppard jednym z ważnych zadań, jakie na mnie spoczywały, było odwiedzanie domów starców – Altenheimów – jak je nazywano. Trochę się tego bałem, ale wkrótce bardzo polubiłem i popołudniami, po powrocie z Koblencki z archiwum, prawie codziennie jeden z nich nawiedzałem. Zdobyłem tam niezwykle cenne dla mnie doświadczenie. Prowadziłem rozmowy ze starszymi kobietami – zakłady były w zasadzie żeńskie – na temat ich przeszłości. W 90 proc. były to osoby pochodzące ze Śląska i wysiedlone po wojnie. Panie skarżyły się, że nikt z nimi na ten temat nie chce rozmawiać, toteż miałem tam mir wprost zdumiewający.

Oczekiwano na mnie przy rozłożonych na stołach fotografiach. Dopiero wtedy zrozumiałem, jak ciężkim przeżyciem było wysiedlenie. Te stare już osoby żyły dawnymi stronami i czasami, a zdjęcia to były dróżki, które przenosiły do opuszczonych wsi, posesji, kościołów – do wszystkiego, co ci ludzie tam zostawili.

Musiało oczywiście dojść do dłuższych rozmów. Tłumaczyłem źródło tych cierpień, a także to, co przeżywaliśmy, ale rozmowa wracała zawsze na te same tory. Po prostu nie było możliwości przedstawienia się na nowe, nawet jeśli warunki życia nie nastroczały najmniejszych problemów. Potem w wielu jeszcze miejscach nawiedzałem domy opieki w Niemczech. Wszędzie było podobnie. Dopiero te doświadczenia uświadamiają, jak wielkim złem były wojna, polityka Hitlera i jej dalekosiężne skutki. To, że osoby, o których mowa, przeważnie nie kojarzyły swego nieszczęścia z III Rzeszą, a moje opowiadania o naszych cierpieniach jak gdyby puszczały mimo uszu, należy przypisać m.in. przekonaniu, iż Niemcy zostali szczególnie dotknięci skutkami wojny.

Po latach spotkałem w Kaiserswerth pana, emerytowanego prawnika, z którym toczyłem wiele rozmów. Oczywiście nie pochodził on ze wschodnich części Niemiec, nie należał do wypędzonych. Na losy swego kraju po II wojnie światowej patrzył przez pryzmat przyczyn i skutków. Tę dziwną jednostronność w ocenie skutków wojny, pewną ciasnotę spojrzenia na losy innych – a taki sposób myślenia zauważałem w Niemczech na każdym kroku – starał mi się wytłumaczyć przez pryzmat własnych przeżyć. Bardzo niewiele osób myślało jak ten pan w Kaiserswerth. Obaj zgadzaliśmy się co do jednego: zarówno narody podbite przez Niemcy – nie mam tu na myśli Żydów, bo to była zupełnie inna sprawa, to był wyrok śmierci na cały naród – jak i Niemcy w wyniku wojny, zwłaszcza na terenach zajętych przez Sowieć, doznały wielkich cierpień, przy czym niemieckie mimo wszystko nie mogą się równać z tymi, jakie zadawali Niemcy „podludziom”. Dlatego Niemcy, nawet ci bez jakiegokolwiek osobistej winy za popełnione przez III Rzeszę zbrodnie, nie mogą się równać z ofiarami jej agresji i podboju.

W rozumowaniu Niemców skarżących się na doznane cierpienia nie ma w ogóle świadomości ich rzeczywistego źródła. Nie kojarzą swych nieszczęść z olbrzymim poparciem, jakim cieszył się Hitler, z akceptacją podbojów, dopóki armia odnosiła sukcesy, z niemal powszechną zgodą na politykę rasistowską. W świadomości większości nie ma poczucia jakiegokolwiek odpowiedzialności zbiorowej i odróżnienia jej od winy, którą zbiorowość nie może być obarczona. Takie stanowisko zajmują Niemcy bez względu na ich zakwalifikowanie intelektualne. Opinie takie można

było usłyszeć z ust gospodyń wiejskich, księży, nawet naukowców – jak wspomniany w innym miejscu ks. Scholz. Stykając się z takimi poglądami na co dzień, pozbywałem się żywionych przez długi czas nadziei na jakieś wspólne stanowisko wobec tego, co spotkało nasz naród i naród niemiecki. Do rzadkości wprawdzie należały wypowiedzi, z których wynikało, że Polska sprowokowała Hitlera i że nie miał on innego wyjścia jak tylko rozpocząć wojnę, ale zdarzały się i takie przypadki. Mimo to nie zniechęcałem się i starałem się zrozumieć mentalność niemiecką, a ułatwiały mi to spotkania z licznymi osobami myślącymi inaczej. Można było od nich usłyszeć nawet wyznania w rodzaju:

– Bóg nie dopuścił, żeby Hitler wygrał wojnę. Gdyby tak się stało, zaistniałaby groźba dla całej ludzkości.

Szkoda, że tak myślą tylko wyjątki. Co do młodzieży, odrzuca ona balast najnowszej historii, co także jest groźne, w każdej bowiem chwili demagog i człowiek pozbawiony zasad moralnych, jakim był Hitler, może tam znaleźć posłuch. Myślę, że w Niemczech taka możliwość zaistniałaby, gdyby znalazły się one w ostrym kryzysie. Szukano by winnego poza własnym kręgiem, tak jak dzisiaj wskazuje się na zagrożenie ze strony Turków, którzy potrzebni byli, by budować niemiecki dobrobyt.

Pozytywnie zaskoczyła mnie – uogólniając, można powiedzieć, że u większości Niemców – jedna cecha. Ochocza pomoc potrzebującym. Czy to będą Polacy, czy Afrykańczycy lub inna nacja – ważne, by byli w potrzebie. W wypadku zbierania darów włączał się niemal każdy. Nawet tacy, którzy – co można było łatwo zauważyć – nieprzychylnie odnosili się do Polaków, w czasie stanu wojennego chętnie ofiarowywali im pomoc w postaci paczek czy systematycznego wspierania wielu rodzin. Oczywiście miałem styczność z katolikami, ale nie inaczej zachowywali się protestanci lub osoby niezwiązane z kościołem. Ciekawe byłoby poznać motywację takich postaw, ale rozmowy na ten temat nie wyjaśniały wszystkiego. Pewien starszy pan tłumaczył mi kiedyś, że pochodzi z Wałcza, gdzie rodzina jego utraciła cały dobytek, nikt z jego bliskich nigdy Polakom nie wyrządził żadnej krzywdy, ale nie ulega wątpliwości, że doznali jej od narodu, do którego i on należy. Jemu powodzi się dobrze i to zobowiązuje. Myślę, że tak rozumowało wielu pomagających Polakom, inna natomiast była motywacja wspierania np. krajów afrykańskich. Jedna ze znajomych pań mówiła mi, że taniej kawy w Aldim nie może kupować, bo byłoby to nieuczciwe. Wskazała mi taki Afrika-Laden – sklep afrykański, gdzie kawa była dwa razy droższa. Tam się zaopatrywała. Uważała,

że nie może uczestniczyć w czerpaniu korzyści z nędzy ludzi w Afryce. Czy postawę taką można by spotkać w Polsce?

Głównym celem mojego pobytu w Boppard była kwerenda w Bundesarchiv w Koblenz. Zasoby tamtejsze nie były tak bogate jak w Bonn, poza tym część materiałów była w opracowaniu i trzeba było poszukać pracownika archiwum zajmującego się daną dziedziną, by od niego uzyskać informacje niedostępne w katalogu. Muszę przyznać, że zarówno pod względem merytorycznym, jak i czysto ludzkiej życzliwości spotykałem się tylko z kompetencją i gotowością niesienia pomocy.

Mój pobyt zbliżał się do końca. Chciałem jeszcze wykorzystać pobyt w RFN na odwiedzenie kilku miejsc, na co przeznaczyłem tydzień. Byłem zaproszony przez prof. Jozefa Beckera, prezydenta uniwersytetu w Augsburgu do wygłoszenia tam wykładu. Temat kilkakrotnie się zmieniał, wreszcie stanęło na tym, że będę mówić o powiązaniu spraw kościelnych z narodowymi w Polsce pod zaborami.

Wykład odbył się na początku listopada. Przybyło nań kilku profesorów zaproszonych przez rektora i niezbyt wielu studentów. Jak wszędzie, tak i tam wykłady gościnne to był chleb powszedni i swoista zmora – kradnąca czas, a dająca niewiele, zwłaszcza kiedy audytorium nie było przygotowane do dyskusji. Tak było i tym razem. Profesor Becker wygłaszał później kilka razy wykłady gościnne w mojej katedrze na KUL. Choć mówił o bardzo interesujących sprawach takich jak hipoteka historii po stronie polskiej i niemieckiej, to zainteresowanie też było ograniczone. Dodatkową barierą był język, co w moim wypadku w Augsburgu jednak nie zachodziło.

Pobyt w Niemczech zaowocował jedną książką i kilkoma rozprawami, a ponadto dał wiele materiału do wykładów. Zamierzenia moje były szersze, planowałem pracę na temat współżycia Niemców z Polakami w XIX w. na terenach zabranych przez Prusy. O porzuceniu tego tematu po części zadecydowało ukazanie się kilku prac z tej dziedziny, zwłaszcza obszerna książka prof. Wojciecha Wrzesińskiego³¹⁷,

³¹⁷ Wojciech Wrzesiński (1934–2013), historyk, członek PZPR. Absolwent UMK w Toruniu. Pracownik Archiwum Wojewódzkiego w Olsztynie od 1955. Doktorat 1962, habilitacja 1967, profesor nadzwyczajny 1977, profesor zwyczajny 1989. Pracownik naukowy UWr od 1965. Dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego 1972–1976, dyrektor Instytutu Historycznego 1976–1981, kierownik Zakładu Historii PRL od 1977, prorektor UWr 1981–1982. Po wprowadzeniu stanu wojennego wystąpił z PZPR. W 1985 usunięty ze stanowiska kierownika Zakładu Historii PRL za działalność opozycyjną. W 1987 przywrócony na stanowisko kierownika Zakładu Historii Najnowszej. Rektor UWr 1990–1995, dyrektor Instytutu Historycznego 1996–1999. Prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego 1997–2003.

po części zaś stało się tak po prostu z braku czasu. W miarę upływu lat byłem coraz bardziej obciążony doktoratami. Doszły też inne wyjazdy zagraniczne wymagające żmudnych przygotowań.

Pierwsza podróż amerykańska

Po powrocie do kraju w listopadzie 1985 r. pozostały mi jeszcze ponad dwa miesiące urlopu sobotniego. Pomysł udania się do USA podrzucił mi mój były uczeń, a wówczas już konfrater ks. Kazimierz Muszyński, który po 12-letniej misji w Nowej Gwinei znalazł się w polskiej parafii św. Stanisława w Rochester w stanie Nowy Jork. Proboszczem tej parafii był także młodszy kolega z archidiecezji gnieźnieńskiej, ks. Andrzej Grzela³¹⁸. Przeczuwałem, że Kazio może mieć pewne trudności z wystosowaniem zaproszenia, ponieważ w parafii i w ogóle w Stanach był stosunkowo krótko. Do świadomości mej doszło to jednak już w trakcie przygotowań, które trudno było przerwać.

Inna sprawa, że od kilku lat miałem zamiar poznać Amerykę. Na drodze do jego realizacji stał obowiązek opiekowania się matką, która poza mną nikogo już nie miała na świecie.

Dalsze i dłuższe wyjazdy były więc wykluczone. Matka zmarła jednak w lipcu 1984 r. Teraz nadarzała się najlepsza okazja, by zrealizować moje zamiary.

W pierwszych dniach grudnia miałem już paszport i wizę amerykańską i mogłem ruszyć w podróż. Mój angielski był jeszcze w powijakach, toteż trochę się niepokoiłem, jak mi się uda prze-

sięść na JFK w Nowym Yorku na samolot do Rochester. Poszło jednak nadspodziewanie dobrze, tylko gapowaty pracownik na lotnisku wysłał mój bagaż



Kościół
św. Stanisława
w Rochester,
1985 r.

³¹⁸ Andrzej Grzela (1939–1987), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1963. Absolwent KUL, teolog. Wikariusz w parafii archikatedralnej w Gnieźnie od 1970. Członek Archidiecezjalnej Komisji ds. Śpiewu, Muzyki Kościelnej i Służby Liturgicznej od 1971. Misjonarz w Nowej Gwinei. Proboszcz parafii Rochester w Nowym Yorku od lat osiemdziesiątych.

zamiast do Rochester – do sąsiedniego Buffalo. Okazało się to dopiero po moim przylocie na miejsce. To była sobota, a w niedzielę dostarczono

mi walizkę z Buffalo wprost na plebanię. Gęsto się przy tym tłumaczono z pomyłki.

Ameryka to była *terra ignota*³¹⁹. Przede wszystkim trzeba było ostro wziąć się do nauki języka. Po mniej więcej tygodniu potrafiłem w biurze parafialnym spytać o coś sekretarkę. Narobiła krzyku:

– Nasz gość potrafi mówić po angielsku.



Na lotnisku
w Denver
z Jackiem Szynakiewiczem,
1985 r.

Uspokoilem ją, że to tylko jedno wydukane zdanie, ale stwierdziła, że po miesiącu będę mówił tak jak ona. Niezupełnie tak było, ale po dwóch miesiącach postępy były już zauważalne.

Nie miałem nic do roboty. Wychodzić nie było dokąd, bez samochodu bowiem nie można się było poruszać, tym bardziej że spadło sporo śniegu.



Mój pierwszy
pobyty w USA.
Pokój na plebanii
w Rochester,
1985 r.

W Rochester było wielu Polonusów. Otrzymywałem co niemiara zaproszeń, z których chętnie korzystałem, przeważnie w towarzystwie Kazia. Grudzień minął, zanim się obejrzałem. Po Bożym Narodzeniu miałem się wybrać w dalszą podróż do Denver w Colorado, dokąd zapraszał mnie pan Jacek Szynakiewicz – pochodzący z Nakła „solidarnościowy wygnaniec”, który osiadł aż tam. Znałem go jeszcze jako gimnazjalistę. O wyjeździe myślałem chętnie. Balowanie w Rochester było wprawdzie miłe, ale budziło niepokój. Bo w końcu coś ważnego robiłem? Miałem jakąś prelekcję na Uniwersytecie w Rochester, a raczej pogadankę dla Polonii, i tyle.

³¹⁹ Łac. ziemia nieznana.

Jacek wspominał coś o kilku spotkaniach w Denver, do których oczywiście doszło, ale były to też imprezy kameralne. Byłem umówiony z prof. Rożkiem³²⁰ w Boulder, ale czas był zbyt krótki, by zorganizować jakiś wykład na uniwersytecie. Profesora poznałem wcześniej na sympozjum w Polsce, a odwiedzi-ny u niego sprawiły mi wielką przyjemność. Czas pobytu w Denver także wypełniły głównie spotkania w gronie polonijnym. Poznałem wiele ciekawych osób i zwiedziłem tyle, ile można było w ciągu kilku dni. Pan Jacek dokładał wszelkich starań, by mi pobyt umilić.



Byłem zaproszony na kolację do rodziny polonijnej, której nazwiska dziś już nie jestem w stanie podać. Było na nim sporo osób, w tym także gości z Polski. W pewnym momencie usłyszałem swoje nazwisko. Początkowo sądziłem, że chodzi o kogoś innego, kto tak samo się nazywa, ale okazało się, że o mnie mowa. Otóż pewna pani miała telefon z Lublina i gdy dopytywała się o miejscowe ciekawostki, usłyszała, że okradziono mieszkanie ks. Zielińskiego. Nie omieszkałem zatelefonować do sąsiada, który potwierdził zdarzenie. Włamano się do mieszkania. Na szczęście zginęły rzeczy mało wartościowe, a sprawców ujęto następnego dnia.

Sylwester
w Rochester
z ks. Kazimie-
rzem Muszyń-
skim i przyja-
ciółmi, 1985 r.

W pamięci pozostało mi ogromne seminarium duchowne, niemal miasto, a w nim zaledwie 56 kleryków dla 6 czy nawet więcej diecezji. Połowa ludności posługuje się językiem hiszpańskim, ale pośród kleryków było tylko 6 Latynosów. Administracja tej uczelni liczyła podobno więcej pracowników, niż było studentów. Do studiów dopuszczano także kobiety. Snuło się ich sporo na kampusie. Pytałem bodajże wicerektora, jak to wszystko razem funkcjonuje. Był optymistą, choć przyznawał, że seminarium nie może nawet marzyć o zaspokojeniu potrzeb ogromnego terenu, dla którego pracuje.

³²⁰ Edward Rożek (1920–2009), historyk, od 1949 na emigracji w USA. Od 1959 profesor Uniwersytetu Kolorado w Boulder, wykładowca m.in. w Hoover Institution on War, Revolution and Peace przy Uniwersytecie Stanforda i w University of Northern Colorado w Greeley. Specjalizował się w problematyce sowietologicznej, wydał m.in.: *Allied Wartime Diplomacy. A Pattern in Poland* (1958), *Soviet Foreign Relations and World Communism* (1965).

Uderzało jedno i to nie tylko w Denver. Kiedy mówiono o widocznej dekadencji instytucji kościelnych, w tym wielu zgromadzeń zakonnych, zwłaszcza żeńskich, rozmowa przeważnie zaczynała się od słów:

– Przed soborem...

Pewnego razu spytałem mego rozmówcę, także księdza i to pamiętającego czasy przedsoborowe, czy to sobór jest źródłem tej dekompozycji. Wahał się, ale w końcu przyznał:

– Chyba nie do końca dobrze rozumiano sobór.

Był to ksiądz amerykański, bardzo dbały o duszpasterstwo, a także o osobistą ascezę. To samo powiedziała mi pewna felicyjanka, z którą kilka lat później rozmawialiśmy na podobny temat – zakonnica o bardzo wysokim poziomie duchowym. Ciekawa rzecz, biadając nad upadkiem tak prężnych ośrodków życia katolickiego, ani słowem nie wspomniała o osobach ponoszących za to odpowiedzialność, a były takie także w jej otoczeniu.

Z Denver wracałem przez Chicago. Zatrzymałem się tam na dwa lub trzy dni. Poza spotkaniem w Library and Archives-Research Center Instytutu Romana Dmowskiego³²¹ w Ameryce, gdzie uczestniczyłem w dyskusji zorganizowanej w środowisku narodowym i wygłosiłem zresztą krótką prelekcję wprowadzającą na temat: „Gdy Kościół był Ojczyzną”, zwiedziłem też potężną szkołę prowadzoną przez zmartwychwstańców. Usiłowałem zajrzeć do dokumentacji tego zgromadzenia i ojciec oprowadzający pozostawił mnie w pomieszczeniu mającym pełnić funkcję archiwum. W olbrzymich szufladach znalazłem tylko jakieś wycinki z gazet. Dopytywałem się o akta, ale pani pracująca tam nie potrafiła zrozumieć, co mam na myśli. Może mój, pożałuj, Boże, angielski był powodem jej wątpliwości. Kiedy jednak pojęła, czego szukam, wzruszyła tylko ramionami i powiedziała, że już dawno temu zrobiono tu porządk i wszystkie śmieci spalono na dole w ogrodzie.

Odwiedziłem jeszcze o. Stefana Filipowicza³²², jezuitę znanego mi z Radia Watykańskiego, a wówczas redagującego w Chicago „Posłańca Serca Jezusowego”³²³.

³²¹ Instytut im. Romana Dmowskiego powstał w Chicago w 1961 jako polska placówka emigracyjna mająca na celu popularyzację wiedzy o Romanie Dmowskim i Narodowej Demokracji. Pierwszym prezesem Instytutu był Franciszek Domański. Obecnie prezesem jest Sławomir Dąbrowski.

³²² Stefan Filipowicz SJ (ur. 1934), superior domu w Chicago 1991–1994. Zarejestrowany przez SB jako TW ps. „Janiszewski” w latach 1965–1970. Na ten temat zob. szerzej: W. Pasierbek, F. Musiał, R. Terlecki, S. Filipowicz, *Machinacje bezpieki*, „Horyzonty Wychowania” 2006, nr 2, s. 207–255.

³²³ „Posłaniec Serca Jezusowego” – miesięcznik jezuicki wydawany od 1872. Początkowo był to polski odpowiednik francuskiego „Le Messengera”, biuletynu nowego ruchu w Kościele – Apostolstwa Modlitwy. Przez ponad 140 lat istnienia pismo ewoluowało, ale jego głównym celem

Zastałem u niego prof. Władysława Chojnackiego³²⁴, co mnie szczerze ucieszyło, gdyż swego czasu, kiedy przygotowywałem bibliografię czasopism religijnych, sporo się od niego nauczyłem. W USA profesor także polował na czasopisma polonijne i u jezuitów znalazł przystań i punkt oparcia. Spędziliśmy mile kilka godzin. Wyjawiłem im moją troskę w związku z próżnym poszukiwaniem archiwaliów u zmartwychwstańców i obaj bardzo się ubawili. Nic dziwnego, przecież w USA byłem nowicjuszem, podczas gdy oni wiedzieli już, czego można, a czego nie warto szukać. Wiele lat później także poznałem ten ból, ale wówczas byłem jeszcze strasznie naiwny i myślałem po europejsku.

Bardzo chciałem odwiedzić seminarium polskie w Orchard Lake, ale czas, jakim dysponowałem, był zbyt szczupły. Na początek semestru letniego musiałem być w Lublinie. Chyba jakieś fatum ciążyło nad moją chęcią zapoznania się z tym miejscem, kilka następnych pobytów w USA także bowiem minęło bez spełnienia tego marzenia. Zawsze coś stawało na przeszkodzie.

Po powrocie do Rochester szykowałem się do wyjazdu. Na kilka dni miałem się jeszcze zatrzymać w Nowym Jorku, gdzie planowałem spotkanie z ks. Emilem Altmajerem³²⁵ i ks. Leonem Baltruckim³²⁶, proboszczem parafii św. Cyryla i Metodego na Greenpoincie. Tam też miałem do odjazdu zamieszkać. Ksiądz Altmajer pracował w jakiejś instytucji dla imigrantów, ale z ramienia władz miejskich Nowego Jorku. Jego biuro mieściło się w Domu Żołnierza przy 17 ulicy na Manhattanie. Ponieważ w tym samym domu, należącym do Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce³²⁷, mieściło się archiwum tej organizacji, a właściwie

pozostawało szerzenie kultu Serca Pana Jezusa. Edycja dla Polonii amerykańskiej zaczęła się ukazywać od 1928.

³²⁴ Władysław Chojnacki (1920–1991), historyk i bibliograf. W czasie drugiej wojny działał w konspiracji, był członkiem Narodowych Sił Zbrojnych. Absolwent Uniwersytetu Poznańskiego. Doktorat 1952, habilitacja 1966. Pracownik Instytutu Zachodniego w Poznaniu od 1945, kolejno jako bibliotekarz i kierownik biblioteki, od 1960 twórca i opiekun naukowej sekcji bibliograficznej. Kierownik Pracowni Bibliografii XIX i XX w. PAN od 1965. Autor opracowania wielu edycji źródłowych, szczególnie do dziejów Warmii i Mazur.

³²⁵ Emil Altmajer (1935–1999), ksiądz diecezji lubelskiej. Świecenia kapłańskie 1958. Absolwent KUL. Od 1975 na emigracji w USA, gdzie pracował w Slavic Polish Center w Nowym Jorku. Ksiądz Zygmunt Zieliński był autorem krótkiego nekrologu ks. Altmajera, zob. *Ks. Emil Altmajer (1935–1999)*, „Studia Polonijne” 2000, s. 273–274.

³²⁶ Leon Baltrucki (1914–2001), ksiądz, proboszcz parafii św. Cyryla i Metodego na Greenpoincie w Nowym Jorku 1968–1990. Od 1990 na emeryturze.

³²⁷ Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce (SWAP; Polish Army Veterans« Association in America) – niezależna organizacja kombatantów polskich w USA. Powstała w 1921 na zjeździe kombatantów w Ohio. Jej pierwszym prezesem został dr Teofil Starzyński. W organizacji było około 19 tys. członków.

składowisko akt znajdujących się w piwnicy i niszczących z powodu wilgoci i w ogóle nieodpowiednich warunków, ks. Altmajer i adiutant SWAP pan Eugeniusz Witt wpadli na pomysł zabezpieczenia tych materiałów i – w miarę możliwości – ich skatalogowania oraz opracowania. Przekonałem się, że były to materiały częściowo zniszczone przez wilgoć, ale ogromną większość można było uratować. Moi rozmówcy spytali mnie, czy mógłbym się tego podjąć. SWAP zapewniało stypendium w przeliczeniu na wykonaną pracę mniej więcej w wysokości 4,5 dolara za godzinę. Niższej płacy na czarno w USA nie znano, a księża amerykańscy, którzy się dowiedzieli o tej transakcji, sądzili, że albo jestem dziwakiem, albo mam takie hobby.

Uzależniłem swój udział w przedsięwzięciu od uzyskania drugiej części urlopu sobotniego, co przypadłoby na luty 1987 r. Okazało się, że z urlopu takiego mogłem skorzystać, zapowiadał się zatem drugi wyjazd do USA. Ksiądz Altmajer zasugerował, bym się starał o stypendium Fundacji Kościuszkowskiej³²⁸. Wynagrodzenie zaproponowane przez SWAP, jak sam przyznał, jest zbyt małe, a czeka mnie ciężka praca.

Złożyłem wniosek, zgodnie z wymogami dostarczyłem dane na temat mojego stanowiska i dorobku. Okazało się wkrótce, że to nie wystarczy, że wymagana jest opinia o mnie jednego lub dwóch profesorów. Wobec tego zrezygnowałem z tego stypendium i już nigdy się o nie nie starałem. W innym miejscu opisuję tę sprawę nieco szczegółowej, gdyż uważam, że warto lepiej poznać sposoby postępowania z nami. Tym bardziej – jak się później przekonałem, choć nie w związku z fundacją – że zupełnie inaczej traktowano naukowców z wielu innych krajów. Uchodziliśmy w Stanach za ludzi, których głównym celem pobytu w USA było zdobycie pieniędzy, obojętnie jakim sposobem. Moje obserwacje, niestety, fakt ten potwierdzały.

W archiwum SWAP w Nowym Jorku

Po powrocie do kraju miałem przed sobą semestr letni i całą masę prac magisterskich, a także doktorskie, nie mówiąc o normalnych zajęciach. Musiałem też zaplanować pracę na pierwszy semestr roku akademickiego 1986/1987, ponieważ w lutym 1987 r. postanowiłem ponownie udać się do USA i podjąć proponowaną mi pracę.

³²⁸ Fundacja Kościuszkowska – amerykańsko-polska instytucja kulturalno-oświatowa założona w 1925 w Nowym Jorku; przyznaje stypendia naukowcom z Polski chcącym prowadzić badania w USA, organizuje wymianę międzynarodową, podejmuje działalność popularyzującą polską kulturę i historię. Obecnie Fundacją kieruje Marek Skulimowski.

Nauczony doświadczeniem, przed wyjazdem załatwiłem – przy wydatnej pomocy ks. Emila – mieszkanie na czas pobytu w USA. W parafii na Greenpoincie nie było raczej takiej możliwości, choć do pracy miałbym blisko. Poza tym nie było też zapotrzebowania na polskiego księdza, gdyż pomagał tam ks. Emil, a ks. Baltrucki, choć urodzony

w Ameryce, także mówił po polsku bez akcentu. Wikariusz, Amerykanin polskiego pochodzenia, usiłował zataić swą znajomość polskiego. Zdemonstrowaliśmy go, umyślnie krytycznie się o nim wyrażając w jego obecności. Wystarczyło spojrzeć na jego minę, by wiedzieć, że wszystko zrozumiał.

Ksiądz Emil załatwił mi lokum w Linden w polskiej parafii św. Teresy u ks. Władysława Górskiego³²⁹, Amerykanina polskiego pochodzenia, chętnego do rozwijania duszpasterstwa w języku polskim. Nie każdy ksiądz polskiego pochodzenia tym się odznaczał, dlatego to podkreślam. Dobroć ks. Górskiego sprawiała, że jego plebania była przystanią dla wielu przyjeżdżających z Polski księży. Linden, należące już do stanu New Jersey i archidiecezji Newark, leżało w niewielkim oddaleniu od Nowego Jorku, koleją jechało się do Penn Station na Manhattanie mniej więcej pół godziny. Z biletem miesięcznym w kieszeni można było tanio podróżować.

Ksiądz Górski był zdania, i to było słuszne, że każdy, kto chce się poczuć w Ameryce jak w domu, musi się zdobyć na samodzielność, a ta z kolei skłoni go do przyswojenia sobie języka. Dlatego oznajmił mi zaraz na wstępie, że nie będzie mnie prowadzić, załatwiać moich spraw ani nie podwiezie mnie



W Archiwum Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej w Ameryce. Stoją od lewej: prof. Eugeniusz Wiśniowski, ks. Emil Altmaier, autor, 1986 r.



Kwerenda w Archiwum Stowarzyszenia Weteranów Armii Polskiej, 1986 r.

³²⁹ Władysław Górski (1927–1998), ksiądz archidiecezji Nevada (USA). Świecenia kapłańskie 1953. Proboszcz parafii św. Teresy w Linden 1980–1993. Duszpasterz głuchoniemych. Zob. szerzej: Z. Zieliński, *Ksiądz prałat kanonik Władysław Górski*, „Studia Polonijne” 1999, nr 20, s. 203–204.



Kwerenda
w Archiwum
Stowarzyszenia
Weteranów
Armii Polskiej,
1986 r.

pierwszy raz na stację kolejową, by mi pomóc kupić bilet miesięczny. Bardzo mi to odpowiadało i choć musiałem prowadzić przydługi dialog z czarnym sprzedawcą biletów, to zakupu dokonałem i raz na zawsze wiedziałem, jak to się robi.

Metoda ks. Górskiego zdawała egzamin. Skoro się przekonał, że rozumie dosyć dużo po angielsku,

a także potrafię już co nieco powiedzieć, zaproponował mi, bym w sobotę o godz. 13.00 poszedł spowiadać do konfesjonału dwujęzycznego. Kiedy wyraziłem obawę, czy dam radę, rzekł:

– Nie będziesz wiedział, dopóki nie spróbujesz.

Miał rację, odtąd chodziłem zawsze do tego konfesjonału. Dużo zyskałem językowo, mam nadzieję, że moi penitenci równie wiele duchowo. Ksiądz Górski dobrze opanował język polski, ale pozostały mu pewne nawyki gwarowe, częste u Amerykanów starszej generacji wychowanych w Ameryce przez rodziców przybyłych z Polski. Widziałem, że kiedy słuchał kazań wygłaszanych przez Polaków, odczuwał pewnego rodzaju zazdrość. Sam również lubił mówić po polsku w kościele, choć zdawał sobie sprawę z tego, że nie wyczuwa niuansów języka. Jego wikariusz, Stanisław (dziś, podobnie jak ks. Górski, zmarły), wówczas młody ksiądz, nie miał wielkiej ochoty poprawnie nauczyć się polskiego. W mowie potocznej posługiwał się nim wprawdzie niezgrabnie, ale dość biegle.

Ksiądz Górski oświadczył kiedyś po mszy św., że we wtorek nie będzie go w parafii, gdyż musi „skoknąć” do Newarku. W zakrystii uśmialiśmy się z tego powiedzonka, a on za nic nie mógł zrozumieć, dlaczego słowo „skoknąć” tak nas bawi. To samo obserwowało się u starszej generacji polonijnej. Jedna z pań, niewątpliwie osoba inteligentna, gdy po niedzielnej mszy św. zegnałem się u bramy kościoła z parafianami, zagadnęła mnie słowami:

– A skyndy jezdetu?

Tak uczyły polskiego babcie.

Atmosfera na plebanii była bardzo miła. Poza sobotami i niedzielami bywałem tam głównie wieczorami. Rano po mszy św. wyjeżdżałem do Nowego

Jorku i wracałem około godz. 18.00. Żywiłem się zasadniczo sam, gdyż kolacja na plebanii była zaplanowana na godz. 16.00 i gospodyni potem już wychodziła do domu. Mogłem po powrocie zjeść to, co znalazłem w lodówce. Na dłuższą metę odżywianie się takie było uciążliwe, bez żadnego ciepłego posiłku w ciągu dnia, nawet w niedzielę, gdyż był to dzień, w którym każdy stołował się własnym sumptem. Natomiast w sobotę wieczorem proboszcz zapraszał nas wszystkich do restauracji „Big Stash”. Miało to znaczyć „Wielki Staś”, ponieważ właścicielem był Amerykanin polskiego pochodzenia. To był mój jedyny posiłek z prawdziwego zdarzenia w ciągu tygodnia. Taką miałem pracę.

W Linden przebywał też, wówczas już jako gość, niegdysiejszy wikariusz ks. Kazimierz Torla³³⁰. Znał on chyba wszystkich w miasteczku i okolicy, a był skory do niesienia pomocy i wiele dzięki niemu zyskałem. Zjawili się także z polecenia swego biskupa dwaj młodzi księża z diecezji łomżyńskiej. Mieli się przygotować do pracy w parafii polonijnej. Oczywiście najważniejsze dla nich było opanowanie języka angielskiego. Do czasu mego wyjazdu poczynili niewielkie postępy, ale wykazywali wiele gorliwości w pracy duszpasterskiej i – co mnie wprost zadziwiło – ogromny spryt w załatwianiu różnych spraw bytowych. Kiedyś towarzyszyłem im przy zakupie toreb podróżnych. W tym czasie już dość dobrze posługiwałem się angielskim, a oni prawie w ogóle. Tymczasem to oni wypatrzyli lepsze i tańsze torby i jeszcze zdołali coś utargować.

Kupno czegoś w pewnych sklepach – mam tu na myśli zwłaszcza sklepy arabskie – nie należało do rzeczy prostych. Sprzedający bywali nachalni i wprost wmuszali pewne towary. Nawet dobrze obyci z Ameryką nie potrafili sobie z tym poradzić. Pewnego razu w Nowym Jorku poszliśmy z Kaziem Torlą i jednym z tych młodych księży do sklepu z elektroniką, bodajże na Siódmej Alei, żeby kupić antyradar. Był wtedy w modzie. Kazik autorytatywnie oświadczył, że tylko on będzie się targował, wtedy kupimy taniej. Rzeczywiście sprzedawca zszedł ze 100 na 80 dolarów. Miałem odliczone pieniądze i zapłaciłem 4 dwudziestkami. Kaziowi, który trzymał w ręku banknot 100-dolarowy, radziłem, żeby dał odliczone pieniądze, ale on zlekceważył to i dał 100. Sprzedawca dał mu antyradar i uśmiechnął się, że transakcja skończona. Gdy Kazio upomniał się o 20 dolarów, ten powiedział, że to jest *taxe* – podatek – i on nie może oszukiwać państwa. Ciekawe, że w moim wypadku takich skrupułów nie miał. A zaznaczyć trzeba, że wabił

³³⁰ Kazimierz Edward Torla (ur. 1940), ksiądz diecezji warmińskiej.

nas zapewnieniem *no tax*. Dziwne, że człowiek tak obyty z Ameryką jak Kazio dał się nabrać.

A praca w SWAP? Było gorzej, niż myślałem. Najpierw trzeba było archiwalia wynieść z piwnicy. Następnie osuszyć i poukładać według jakiegoś porządku, który można by było na pierwszy rzut oka rozszyfrować. Registratura biura, które akta te wytworzyło, nie była przejrzysta. Pod koniec okazało się, że bardzo ważne generalia, kilkadziesiąt teczek, znajdują się w kancelarii SWAP – w pomieszczeniu obok sali, w której pracowałem. Gdybym miał je wcześniej, można by prawdopodobnie o wiele sensowniej scalać akta. Nie rozumiem, dlaczego nie dostałem ich zaraz na początku. Może traktowano je jako akta bieżące i nie kojarzono z materiałami przechowywanymi w piwnicy.

Na pewien czas do pomocy w układaniu archiwum zgłosił się prof. Czesław Bloch, który również znalazł się w USA. A potem prof. Eugeniusz Wiśniowski. Obaj mieli wprowadzić inne zadania, ale musieli czekać na możliwość ich podjęcia. Dla mnie było to wielkie wsparcie, nawet w sensie koncepcyjnym, miałem bowiem wątpliwości, jak scalać akta mające luki, zatem nieobrazujące logicznego powiązania spraw, których dotyczyły. Oczywiście obok kryterium przedmiotowego trzeba było zastosować chronologiczne, gdyż tylko w ten sposób uzyskiwało się jako tako udokumentowane sprawy prowadzone przez SWAP czy przedtem Związek Hallerczyków³³¹. Najgorsze było to, że brakowało często pewnych fascykułów, w których można by śledzić daną sprawę aż do jej końca. To wymagało doszukiwania brakujących informacji po innych fascykułach i ogromnie utrudniało pracę, trzeba było czytać materiały, co pochłaniało wiele czasu. Zupełnie inaczej rzecz się miała z aktami dotyczącymi poszczególnych placówek. Tam należało jedynie oczyścić tecki i pozostawić je w stanie, w jakim były.

Kierownictwo SWAP zaproponowało mi napisanie historii tej organizacji. Oczywiście można się było o to pokusić. Poprzestać na razie na okresie zamykającym się wybuchem II wojny światowej – byłaby to zatem historia hallerczyków. Zgromadziłem materiał do takiej książki, dokonując selekcji badanych dokumentów i sporządzając kserokopie. Nazbierała się tego spora skrzynia. Obliczałem, że praca nad książką potrwać by musiała ponad dwa lata, zakładając, że piszący większość czasu poświęciłby jej powstaniu. Kiedy jednak kierownictwo SWAP

³³¹ Związek Hallerczyków – organizacja kombatancka skupiająca byłych żołnierzy Armii Polskiej we Francji oraz Górnolązaków zdemobilizowanych z Wojska Polskiego. Związek powstał w 1920, ale władze II RP zarejestrowały go dopiero w 1924. Jego honorowym przewodniczącym był gen. Józef Haller.

zaproponowało – mnie lub komuś innemu, kto podjąłby się takiego zadania – 1000 dolarów honorarium, musiałem zrezygnować. Tylko o 200 dolarów mniej, i to miesięcznie, zarabiał znajomy, który w sklepie przy Czwartej Alei rozpakowywał odzież i umieszczał ją na półkach. Co prawda pisanie pracy naukowej nie pozwala na obiektywną cenę, ale propozycja była nie do przyjęcia. W przeliczeniu na miesiące piszący miałby miesięcznie około 40 dolarów. Nawet przy ówczesnym korzystnym przeliczniku w Polsce była to suma śmieszna.

Widziałem, że moja odmowa zrobiła złe wrażenie, panowie ci sędzi, że ofiaruję mi sumę wprost niebotyczną. Jeden z nich, nazwisko zmilczę (wszyscy oni już dawno nie żyją), powiedział, że książkę tę napisze w niecały rok. Życzyłem mu powodzenia i pozostawiłem do dyspozycji wszystkie zebrane przeze mnie materiały. Koledzy byli zdania, że były one moją własnością. Nie sądziłem jednak, żeby tak być miało; przecież pracowałem w czasie, za który mi płacono. Słabo, ale zawsze. O ile wiem, nikt tych materiałów dotąd nie wykorzystał.

Kilka lat później dowiedziałem się, że całe archiwum przeze mnie spakowane przeniesiono do lokalu przy Noble Street na Greenpoincie, który służył SWAP jako jego siedziba po sprzedaży domu przy 17 ulicy na Manhattanie. To, że tak bogata organizacja kombatancka, jaką był (a może nadal jest) SWAP, nie potrafiła zadbać o swoją spuściznę, było dla mnie zagadką. Jej rozwiązanie okazało się niemożliwe. Była to tylko moja ciekawość, o tyle może usprawiedliwiona, że przecież przy aktach tych sporo się napracowałem. Nie tylko umysłowo, lecz także fizycznie. Z papieru po jego wysuszeniu ulatniał się jakiś gaz, przez co częściowo trzeba było operować w maseczce. Dodatkowa trudność to ogromna zimnica w sali, w której przebywałem, a z kolei bliżej lata – upał. W pomieszczeniu obok ćwiczył balet. Po dziś dzień mam w uszach bez ustanku powtarzającą się melodię i wieczny tupot.

Mój dorobek naukowy z wykonywanej pracy był równy zeru, lojalnie bowiem nie zabrałem stamtąd żadnych materiałów dla siebie. Napisałem na podstawie akt SWAP jakieś dwa mało znaczące artykuły. Niewątpliwym zyskiem było nabranie wprawy w angielskim, przecież nieustannie czytałem akta w tym języku. Zaczynałem też mówić.

Pewnego razu w jakiejś hurtowni na dolnym Broadwayu tanio kupiłem aparat do mierzenia ciśnienia, który okazał się towarem zbrakowanym. Zatelefonowałem do reklamacji, by dowiedzieć się, co robić. Pani Dorota Zając, przemiła i uczynna osoba pracująca w kancelarii SWAP, chciała mnie wyręczyć, ale postanowiłem sprawdzić swe siły. Wszyscy w biurze przysłuchiwali się mojej konwersacji,

notabene całkiem owocnej. Uznano, że nie pozwolę się już sprzedać w Nowym Jorku. Próba była trudna, bo nie ma nic gorszego, jak porozumieć się przez telefon, zwłaszcza jeśli pani przyjmująca reklamację robi wszystko, by się kogoś pozbyć.

Zdobyłem też inne, może mniej przydatne, kwalifikacje. Z panem Wittem chodziliśmy po 24 ulicy, gdzie były komisje meblowe, i wynajdywaliśmy metalowe regały do archiwum. Wiele się nauczyłem, jeśli chodzi o handel, gdy po drugiej stronie lady stoi kupiec z prawdziwego zdarzenia. Później bez obaw chodziłem na dolny Manhattan do sklepów o mniej wyszukanej ofercie dla mniej wykwintnej klienteli i jakoś zawsze wychodziłem z tych targów obronną ręką, niekiedy z bardzo dobrym zakupem. Inny zysk z tego pobytu w USA to poznanie materiału aktowego instytucji amerykańskich i systemu kancelaryjnego. Było to znaczne poszerzenie moich wiadomości z dziedziny nauk pomocniczych historii i doświadczenie wykorzystane później w dydaktyce.

Wtedy też przeszedłem szkołę oszczędzania. Sądziłem naiwnie, że tanie towary z 14 ulicy nie ustępują jakością tym droższym, do kupienia kilka ulic dalej. Nabyłem kilka par skarpet za niecałego dolara. Sprzedawca wcisnął mi także dwa lub trzy podkoszulki. Skarpety były – na pierwszy rzut oka – świetne, nazajutrz więc paradowałem w nich do pracy. Nie pasowało mi tylko, że w prawą stopę jest mi jakoś strasznie zimno. Zaszedłszy na miejsce, zauważyłem, że stopa jest po prostu bosa. Skarpetka spruła się od czubka i pozostał sam obrębek. Z kolei podkoszulek po wypraniu i wysuszeniu miał rozmiar dziecięcy, a po ponownym upraniu z użyciem siły przybrał kształt ogromnego worka. Proboszcz popatrzył na moje zakupy i zapytał, ile zapłaciłem za koszulkę. Kiedy podałem cenę, coś około dolara, rzekł:

– Moja nie zmienia kształtu, ale kosztowała 12 dolarów.

Frycowe, jak się zwykło mówić, trzeba płacić, ale później przynajmniej można się śmiać z innych, bo prawie każdy taką szkołę przechodził.

Wyjeżdżałem z Linden i z Nowego Jorku z pewnym żalem. Poznałem ludzi, o których mógłbym mówić tylko dobrze. Także w SWAP, choć mieli oni pewną skazę emigranta mimo woli, wszyscy bowiem należeli do emigracji powojennej. Poznałem też inne środowiska SWAP-owskie, np. w New Britain, tak bogatym w Polonię. Wspominam do dziś bliską mi rodzinę państwa Gryglewiczów, prof. Stanisława Blejwasa³³² (przedwcześnie zmarłego). Pani Gryglewiczowa była

³³² Stanislaus A. Blejwas (1941–2001), historyk i działacz Polonii amerykańskiej. Absolwent Uniwersytetu Columbia. Doktorat 1973. Wykładowca w Central Connecticut State University, kierownik Katedry Historii Polski i Polonii 1997–2001. Autor wielu prac z zakresu historii Europy Środkowo-Wschodniej.

siostrą Irki Radomskiej, która ukończyła na KUL historię sztuki. Od niej dostałem adres w New Britain i coś tam dla siostry w Ameryce przewoziłem, podobnie jak i od tej ostatniej dla obu jej siostr w Polsce, Irki i Jasi. Do New Britain zajrzałem na trzy dni już w czasie poprzedniego pobytu, zaproszony przez wspomnianego prof. Blejwasa do wygłoszenia prelekcji na miejscowym uniwersytecie.

Wspominam też płk. Witolda Urbanowicza³³³, częstego gościa w miejscu mej pracy, z którym się zaprzyjaźniłem i tak już pozostało do jego śmierci. Jakże on pięknie opowiadał o swym czynie lotniczym w czasie II wojny światowej. Wtedy też poznałem o. Michała Zembrzuskiego³³⁴, odwiedziłem amerykańską Częstochowę i – co tu mówić – zacząłem nieco rozumieć Amerykę. Muszę jednak uprzedzić moje dalsze wspomnienia i zaznaczyć, że im częściej tam zaglądałem, im więcej zobaczyłem, tym mniej rozumiałem. Pamiętam, jak w czasie tego pobytu odprowadzałem kogoś na lotnisko. Ludzie szykowali się do samolotu. Ktoś powiedział głośno:

– No, to ja już znam Amerykę.

Zapytałem:

– Jak długo pan tu był?

– Całe trzy miesiące.

Spotkałem też kogoś, kto już po półrocznym pobycie udawał, że kaleczy język ojczysty. Ameryka jest krajem pełnym niespodzianek.

Chociaż mieszkalem i trochę pomagałem w parafii polonijnej, a pracowałem w SWAP, organizacji z natury swej polonijnej, choć wygłosiłem dla Polonii kilka pogadanek, m.in. w New Britain, to z Polonią miałem styczność mocno ograniczoną. Zachodziłem niekiedy do redakcji „Nowego Dziennika” na Manhattanie, a nawet uczestniczyłem w dyskusji zorganizowanej w redakcji tego pisma przez red. Bolesława Wierzbiańskiego³³⁵. Ceniłem jego spokojny i wyważony sąd, zarówno

³³³ Witold Urbanowicz (1908–1996), wojskowy, lotnik. Generał brygady, pilot Polskich Sił Powietrznych, podpułkownik (Wing Commander) Królewskich Sił Powietrznych, as myśliwski, dowódca Dywizjonu 303. Od 1946 na emigracji w USA, gdzie pracował jako *production control executive* w liniach lotniczych American Airlines, Eastern Airlines i Republic Aviation. Od 1973 na emeryturze.

³³⁴ Michał Zembrzusi OSPPE (1908–2003), w zgromadzeniu od 1923. Świecenia kapłańskie 1934. W 1934 skierowany do placówki paulinów w Peczu na Węgrzech, gdzie pracował w latach 1934–1947, m.in. był przeorem domu. W 1947 wyjechał do Rzymu, gdzie blisko współpracował z abp. Gawliną. W 1951 przeniósł się do USA, gdzie posługiwał jako duszpasterz u zmartwychwstańek w Amsterdamie koło Nowego Jorku, a następnie w parafii św. Jadwigi w Trenton 1951–1953. W 1953 twórca amerykańskiej Częstochowy, czyli ośrodka paulinów w Doylestown w Filadelfii. Sanktuarium w Doylestown stało się najważniejszym miejscem pielgrzymkowym Polonii w USA.

³³⁵ Bolesław Wierzbiański (1913–2003), dziennikarz, działacz polonijny, wydawca. Absolwent UW. Od 1939 na emigracji we Francji i w Anglii. W czasie drugiej wojny korespondent Polskiej Agencji Telegraficznej. Założyciel Polskiej Agencji Prasowej „Światpol”. Prezes Międzynarodowej Federacji

na temat sytuacji Polonii, jak i spraw krajowych. To środowisko było jednak zdecydowanie *linksliberal*³³⁶, jakby to określili Niemcy. Nie chodzi tu o treść gazety, było tam bowiem i narodowo, i katolicko, ale u wielu starych emigrantów, tzn. powojennych, zauważało się nie tyle zdecydowaną abominację wobec PRL, co wręcz obsesyjną obawę, że znalezienie się w zasięgu władzy komunistycznej jest równoznaczne z biletem na białe niedźwiedzie. Ideologicznie ludzie ci nie odstawali od członków partii komunistycznej, wiernie pielęgnujących światopogląd materialistyczny, natomiast system rządów komunistycznych autentycznie ich przerażał. W czasie różnych spotkań towarzyskich próbowałem ten temat rozwinąć, jednak wyczułem, że moje poglądy budziły niejako podwójną ostrożność.

Z jednej strony podejrzliwie przyjmowano moje stwierdzenie, że pod władzą komunistyczną można w końcu żyć, coś pożytecznego robić i zachować swoją tożsamość – pod warunkiem że nie chce się mieć wszystkiego, niektóre dziedziny bowiem były *Nur für Parteigenossen*³³⁷ (parafrazując napisy okupacyjne *Nur für Deutsche*³³⁸). To było społeczeństwo w ścisłym tego słowa znaczeniu wyizolowane z reszty. Partyjni tworzyli klasę panujących. Po to nie należało sięgać, ale wiele innych możliwości było w zasięgu ręki. Słuchano tego z niedowierzaniem, bo ktoś tam pojechał i się mu nie udało itp. Z drugiej strony u osób tych jakąś niechęć budziło podkreślanie choćby światopoglądu chrześcijańskiego. Niby tego nie kontestowano, ale też nie można było liczyć na zaproszenie do dyskusji zmajoryzowanej przez ludzi o poglądach pokrótce tu scharakteryzowanych.

Oczywiście Polonia pod względem opcji politycznych, społecznych czy światopoglądowych jest bardzo zróżnicowana. Kto nie przywiązuje do tego wagi, może tam pojechać, by się dorobić. Gdy chodzi jednak o pracę ideową, trzeba trafić do właściwego środowiska. Inicjatywy narodowe, chrześcijańskie lub – mówiąc mniej precyzyjnie – po prostu prawicowe to różne kluby związane z parafiami, gdzie pracują księża stosunkowo niedawno przybyli z Polski. Polonia posolidarnośćciowa jest również podzielona. Nie brakuje inteligentów, którzy dbają o pielęgnację tradycji polskich, ale już w języku angielskim. Sam kiedyś byłem zmuszony do wygłoszenia w klubie polonijnym prelekcji w języku angielskim.

Wolnych Dziennikarzy 1947–1953. Od 1956 w USA. Komentator Radia Wolna Europa i Głosu Ameryki. Współzałożyciel i pierwszy redaktor naczelny nowojorskiego „Nowego Dziennika” 1971–2003.

³³⁶ Niem. liberalna lewica.

³³⁷ Niem. Tylko dla partyjnych.

³³⁸ Niem. Tylko dla Niemców.

Dostało mi się potem od uczestników świeżo przybyłych z kraju, ale organizator, młody inteligent z generacji solidarnościowej, odpierał zarzuty i twierdził, że naszymi sprawami musimy także zainteresować osoby niemówiące po polsku. Miał rację. Jeden z dyskutantów, z żalem przyznający, iż nie jest w stanie opanować języka dziadków, głosił poglądy wręcz nacjonalistyczne. Jego przywiązanie do wszystkiego, co polskie, było wzruszające. Jedno, co uderzało w tych środowiskach – nazwijmy je prawicowymi – to brak woli choćby najmniejszego kompromisu. W pewnym sensie był to rezultat stałej obawy o własną tożsamość i zniechęcające przykłady łatwego jej porzucania, co także na każdym kroku można było zaobserwować.

Wspominając różne spotkania na gruncie amerykańskim, z pewnością popełniam tu niejedną błąd w ocenie czy generalizuję, ta światopoglądowa lewicowość nie cechowała bowiem większości, a przeważnie trzeba ją kojarzyć z niektórymi środowiskami emigracji wojennej. Wydaje się, że była kontynuacją tego, co można było zaobserwować w pewnych kołach inteligenckich i półintelenckich w przedwojennej Polsce. Niedoinwestowana, zbudowana na zachowaniu pozorów religijność, bez istotnej dla religii i wiary treści. Dlatego ludzi tych można było zobaczyć na okolicznościowych nabożeństwach, których by za nic nie opuścili, ale widać było, że nie bardzo wiedzą, co się dzieje przy ołtarzu. Bywali tacy, którzy wiedząc, kim jestem, mówili mi wprost, że nic ich z religią nie wiąże. Kiedy pytałem, co ich sprowadza do kościoła, odpowiadali, że konwenans, zwyczaj lub jakiś interes. Jak powiedział jeden:

– W amerykańskiej Częstochowie niejedno można załatwić.

W moim przekonaniu byli to czyste wody materialści światopoglądowi i jak nic nadawali się na członków partii w PRL. Tylko te białe niedźwiedzie – to był problem!? Nic nie pomagało tłumaczenie, że obecnie trzeba zapłacić za bilet, żeby się tam dostać.

Wyjeżdżając latem 1987 r. z USA, byłem świadom jednego: muszę tu wrócić i choćby w małym wycinku badać warunki, w jakich rodziła się tu Polonia, stygmat jakiegoś niedowartościowania pierwszych emigrantów, jeszcze z XIX w., ciążył bowiem na ich dzieciach i wnukach. Może też to było przyczyną obcości między starą emigracją, bardzo już zamerykanizowaną, ale wyczuloną na korzenie, a tą, która wyrwawszy się z „domu niewoli” i niedostatku, przybyła za ocean po złote runo. Byłem też przekonany, że korzenie młodej generacji uschną znacznie szybciej niż tej od stulecia żyjącej na ziemi amerykańskiej.

O kontynuowaniu pracy nad archiwum SWAP nie było mowy. Organizacja ta znalazła się na jakimś zakręcie, można rzec, pokoleniowym. Wymierali rzeczywici kombatanci, a miała ich zastąpić nowa generacja. Już właściwie zastępowała. Problem polegał na tym, jaką formułę istnienia ma ona przyjąć. I nie kombatanckie sprawy, ale ogólnospołeczne wysuwały się na czoło. Zrozumiałe, że historia już nie odgrywała priorytetowej roli. Ona wróci może w kolejnym pokoleniu.

Na koniec muszę opowiedzieć historię – jak na ówczesne pobyty Polaków w USA – niecodzienną, a nawet wprost nie do wiary. A jednak się zdarzyła i może niejednemu ta historia coś podpowie, zanim zdecyduje się on przyjąć jakąś korzyść. Otóż przed moim drugim wyjazdem do USA w 1987 r. złożyłem – jak już wspomniałem – podanie o stypendium do Fundacji Kościuszkowskiej. Dopełniłem wszelkich formalności, a zwłaszcza szczegółowo udokumentowałem swoje osiągnięcia naukowe. Prawdę mówiąc, nie liczyłem zbyt na sukces. Okazało się, że istniała możliwość przyznania mi tego stypendium, podówczas w wysokości około 800 dolarów miesięcznie. To było mniej więcej tyle, ile otrzymywałem w archiwum SWAP, może nawet nieco więcej. Ucieszyłem się, gdyż stwarzało to perspektywę większych oszczędności, a jednocześnie zezwalało na podjętą pracę dla SWAP. Poproszono mnie, żebym się zgłosił do kierownika fundacji. Nazwiska w tej chwili nie pamiętam, nie był to też ktoś polskiego pochodzenia, ale rozmowa nie należała do przyjemnych.

Nie oczekiwałem żadnych szczególnych rewerencji, ale w końcu byłem profesorem nadzwyczajnym i miałem określony dorobek, którego wykaz leżał na biurku tego jegomościa. Tymczasem on, nie bawiąc się w żaden dyskurs, sucho mi oznajmił, że owszem, stypendium otrzymam, ale mam dostarczyć zaświadczenie o moich kwalifikacjach naukowych od dwóch znanych profesorów. Byłem zaskoczony. Usiłowałem wskazać na przedłożone mu moje osiągnięcia dydaktyczne i badawcze, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć. Oświadczył, że taki jest tryb postępowania w fundacji i nie ma dalszej dyskusji. Zdenerwowałem się i powiedziałem, że zaświadczenia o kwalifikacjach zdarzało mi się wydawać, ale nigdy profesorom, lecz młodszym pracownikom naukowym. Wobec takich stawianych mi warunków dziękuję za gotowość udzielenia mi stypendium, ale z niego nie skorzystam, gdyż mój honor nie jest na sprzedaż. Nie wydawał się zaskoczony ani też tego nie skomentował. Rozstaliśmy się bez szczególnych uprzejmości.

Po jakimś czasie spotkałem znajomego, który pracował bodajże w „Nowym Dzienniku”. Wiedział o sprawie. Oględnie dał mi do zrozumienia, że moja odmowa zrobiła złe wrażenie.

– Skoro dają pieniądze, to trzeba zginać kark – brzmiał komentarz.

Byłem innego zdania. W tym samym dniu spotkałem w Instytucie Piłsudskiego poważnego profesora J.B., który żalił się, że stypendium Fundacji Kościuszkowskiej nie wystarcza mu na utrzymanie. Narzekał zwłaszcza na bardzo obskurne lokum, na jakie mógł sobie pozwolić. Sądziłem, że profesor ów nie był poddany takiemu sprawdzianowi, jaki wobec mnie chciano zastosować, opowiedziałem mu zatem swoją historię. Zauważyłem na jego twarzy wyraźną przykrość. Zgodził się ze mną, że żądania fundacji stawiane stypendystom profesorom są upokarzające, ale dodał, iż sam je spełnił. Tacy już jesteśmy, że jeśli chcemy czegoś dokonać, to pozostaje tylko żebractwo, a żebrak nie może mieć honoru. Nie wiedziałem, co o tym myśleć. Był to uczony i starszy pan, jegomość poważniejszy niż ja. Za nic nie cofnąłbym tego, co zrobiłem. Byłem i jestem przekonany, że nie szanowano nas, ponieważ sami się na to zgodzaliśmy. Gdyby kilku profesorów postąpiło jak ja, z pewnością w fundacji zrewidowaliby swoje procedury. Niestety, jak się przekonałem, w Nowym Jorku byłem wyjątkiem. Nie przyjąłem też propozycji SWAP dotyczącej ewentualnego autorstwa książki o hallerczykach. Ta oferta może nie była upokarzająca, ale z wielu względów całkowicie nierealna.

Ciekawiło mnie swoją drogą, dlaczego trzeźwi w interesach ludzie proponowali tak niski ekwiwalent za pracę wymagającą nie tylko długotrwałego wysiłku, ale w dodatku wiedzy, doświadczenia badawczego, a także nakładów finansowych. Skądinąd było mi wiadome, że wynagrodzenia za o wiele mniejsze prace na rzecz organizacji bywały przesadnie wysokie, choć i to prawda, że szły do wybranych kieszeni. Doszedłem do wniosku, że inaczej oceniano prace Polaków przybywających z PRL, a inaczej miejscowych. Uważano, że dolar stoi tak wysoko, iż opłaca się Polakowi pracować cały dzień za 10 dolarów, a jeśli ktoś dostaje nieco więcej, staje się od razu bogaczem. Winę za takie myślenie ponosili w dużej mierze rodacy przybywający dla zarobku. Nieopatrznie opowiadali, jakie kokosy zbijali w USA.

Dopiero znacznie później, w czasie kolejnych pobytów za oceanem, poznałem mechanizmy rządzące inwestycjami takimi jak mój angaż w SWAP lub podobnymi. Gdyby pracę, którą tam wykonywałem, miano powierzyć komuś miejscowemu, w pierwszej kolejności szukano by osób spokrewnionych z kierownictwem, ewentualnie znajomków. Następnie uzgodniono by – przy udziale prawnika – wartość

wykonywanej pracy, spisano by umowę i określono by wysokość wynagrodzenia. Spytałem jednego z księży, Amerykanina i człowieka biegłego w interesach, co sądzi o mojej sytuacji. Odpowiedział, że nie powinienem się dziwić, gdyż przybyszów z Polski traktuje się jak tanią siłę roboczą i jeśli ktoś nie potrafi się targować, otrzymuje najniższą stawkę. Radził, żebym się na to nie godził i raczej wyszukał sobie lepiej płatną pracę fizyczną.

Miałem nawet możliwość zilustrowania sobie tego wykładu. W miejscu, gdzie pracowałem, pękła w ubikacji plastikowa rura. Zauważyłem to i zaproponowałem, że pójde do sklepu na rogu ulicy, kupię taki kawałek rury i wstawię zamiast uszkodzonej. Sekretarz się nie zgodził i wezwał hydraulika.

Przyszło dwóch. Najpierw ocenili awarię, za kilka godzin przyszli wymierzyć rurę. Następnego dnia przynieśli masę narzędzi i ów kawałek rury, który wstawili tak, jak mógł to uczynić każdy przygodny majster. Rachunek opiewał na 800 dolarów. Moje obliczenia zamykały się sumą poniżej 20 dolarów. Sekretarz jednak uważał, że słusznie postąpił.

– Każdy musi zarobić, a hydraulika bronią związku zawodowe.

Zrozumiałem, że nie mam takiej obrony, więc muszę się zadowolić zapłatą za miesiąc pracy równą honorarium hydraulika.

Można powiedzieć, że mój drugi pobyt w Ameryce był dla mnie prawdziwą szkołą życia. Jechałem z wielkim ładunkiem idealizmu, przejęty myślą o pracy dla polskiego wychodźstwa politycznego, dla kombatantów, ludzi pozbawionych ojczyzny. Idealizm w zetknięciu z rzeczywistością gasł, jego miejsce zajmowały znaki zapytania i gmatwanina myśli. Przecież w Chicago zetknąłem się z bezinteresownym patriotyzmem wielu osób. Dlaczego tam, ale już nie gdzie indziej? Może to sąd zbyt pochopny, subiektywny, bo ludzi godnych szacunku spotykało się wszędzie, choć skala oceny zawsze była bardzo indywidualna. Obracałem się w kołach endeckich. W Nowym Jorku spotykałem się z Wojciechem Wasiutyńskim³³⁹

³³⁹ Wojciech Wasiutyński (1910–1994), prawnik, publicysta, działacz narodowokatolicki, syn prof. Bohdana Wasiutyńskiego. Absolwent UW. Członek Obozu Wielkiej Polski. Od 1930 sekretarz, a następnie od 1932 redaktor naczelny pisma „Akademik”. W 1935 sekretarz redakcji „Prosto z Mostu”. Od 1935 członek RNR „Falanga”. Po wybuchu wojny przedostał się na Węgry, a następnie do Francji; od 1942 przebywał w Wielkiej Brytanii, gdzie był członkiem Komitetu Politycznego SN. Zastępca redaktora naczelnego „Myśli Polskiej” 1946–1948, redaktor naczelny 1948–1958. W 1954 przedstawiciel SN w Tymczasowej Radzie Jedności Narodowej. Kierował też biurem informacji Egzekutywy Zjednoczenia Narodowego. Od 1947 członek Centralnego Wydziału Wykonawczego SN. Był także prezesem Związku Dziennikarzy Polskich i sekretarzem Akcji Katolickiej. Zastępca kierownika nowojorskiej sekcji Radia Wolna Europa 1958–1973. Założyciel Instytutu im. Romana Dmowskiego

i jego małżonką. Odniosłem wrażenie, że wartości, jakie reprezentowali, były umocowane w tym zdrowym nurcie narodowym, który cechował znaczny odłam endecji wolnej od nacjonalizmu. Jednak wyczuwało się, że postawa ich nie zyskała powszechnej akceptacji. Trudno było uchwycić różnice ideologiczne poszczególnych grup emigracji, dostrzegalną granicą był pewien pragmatyzm modyfikujący postawy zgodnie z bieżącą potrzebą. Takich wątpliwości nie miało się w kontaktach z ludźmi zorientowanymi narodowo, widziało się tam zdrowe podejście do spraw polskich, brak cynizmu i wiele bezinteresowności.

W Nowym Jorku taki ośrodek myśli narodowej był w mieszkaniu Heleny Matkowskiej na Queensie. Spotykałem w nim przeważnie osoby ze starszej generacji. Siostra pani domu, Maria Loryś³⁴⁰, podobną działalność rozwijała w Chicago, gdzie jej syn zorganizował muzeum polskie. Obecnie pani ta mieszka w Polsce i wiele wysiłku poświęca śladom polskim na Kresach.

Mniej tego było tam, gdzie psychicznie godzono się na porządek w PRL, co kontrastowało z lękiem przed nawiedzeniem kraju, pokutującym po czasach stalinowskich i terrorze policyjnym. Nie pomagały moje wyjaśnienia, że to już minęło, a podróż na Sybir teraz trzeba by opłacić z własnej kieszeni. Czułem niekiedy, że podejrzewano mnie o jakąś agenturalność. Może przypuszczenia takie rodziły się nawet w umysłach tych, którzy potrafili znaleźć drogę do konsulatu PRL na Manhattanie? Wielu pragnęło czerpać zyski ze swego statusu polonijnego, za nic jednak nie poszłoby do konsulatu, gdyż mogło to być widziane jako kolaboracja. Tego nigdy nie potrafiłem zrozumieć.

Ksiądz Górski poprosił, abym się udał do konsulatu i postarał o zwolnienie od obowiązkowej wymiany pieniędzy księży polonijnych udających się do Polski na kursy językowe. Napisałem pismo, które on podpisał, a w którym dowodził, że księża ci nie jadą na wypoczynek, ale na naukę, która ma służyć w przyszłości pracy wśród Polonii. Zapytałem, dlaczego sam z tym listem nie chce pójść. Powiedział, że nie miałby nic przeciwko temu, ale zaraz by go okrzyknięto przyjacielem PRL. Poszedłem więc i bez zbędnego gadania uzyskałem owo zwolnienie. Urzędnik

w Nowym Jorku w 1961 i jego pierwszy prezes. Redaktor naczelny „Nowego Dziennika” 1974–1975. Na emeryturze od 1975.

³⁴⁰ Maria Mirecka-Loryś (ur. 1916), działaczka podziemia narodowego w latach 1939–1945, członkini Narodowej Organizacji Wojskowej. Komendantka główna Narodowego Zjednoczenia Wojskowego Kobiet. Od 1945 na emigracji. Członkini ZG Związku Polek w Ameryce oraz dyrektor Krajowego Zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej. Zob. także: M. Mirecka-Loryś, *Przed wszystkim Polska. Zapiski amerykańskie z lat 1952–2010*, oprac. K. Kaczmarek, R. Sierchuła, Rzeszów 2016.

wyznał, że jeśli chodzi o studia w Polsce, zwłaszcza medyczne, to najbardziej zawzięci przeciwnicy PRL przypominają sobie adres konsulatu. Muszę stwierdzić, że nie mylił się ani trochę.

Całe szczęście, że kolejne pobyty w USA nie nastreślały aż tylu spraw niezrozumiałych i zaskakujących. Potrafiłem się odnaleźć zarówno w otoczeniu amerykańskim, jak i polonijnym. Mniej udane były kontakty z niektórymi osobami przybywającymi z Polski.

Stypendium w Catholic University of America

W 1990 r. mogłem skorzystać ze stypendium Catholic University of America w Waszyngtonie. Celem moich badań, tym razem już *stricte* archiwalnych, były początki emigracji polskiej na Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Zależało mi głównie na wydobyciu w badaniach często pomijanego procesu wyodrębniania się polskich grup emigracyjnych na bazie wspólnot religijnych. Po dwutygodniowym pobycie w kampusie uniwersytetu, gdzie mieszkałem w konwencie księży marianów, i zorientowaniu się w możliwościach prac badawczych przedstawiłem mojemu opiekunowi naukowemu prowizoryczny plan kwerendy. Pierwszy przystanek to była Filadelfia.

Wiadomość o przyznaniu mi stypendium na pięciomiesięczny pobyt jako *visiting scholar*³⁴¹ w Catholic University of America otrzymałem 13 czerwca 1989 r. Suma przyznana mi wynosiła 2500 dolarów. Była to kwota pozwalająca na wyżywienie, a nie na podróże po archiwach i pokrycie kosztów kwerendy. Stypendium było pomyślane jako zasiłek dla teologów, którzy cały przyznany im czas spędzali na uniwersytecie – w takich okolicznościach uzyskane fundusze wystarczały aż nadto. Koordynatorem regulującym sprawę mego pobytu ze strony uniwersytetu był o. George F. McLean³⁴², człowiek życzliwy i bardzo miły, choć chwilami sprawiał wrażenie, jak gdyby nie do końca mi ufał. Jak się okazało, nie rozumiał zupełnie, na czym polega praca naukowa historyka i moje podróże po archiwach traktował jako wycieczki krajoznawcze.

Upprzedzam pewne wydarzenia, gdyż do wyjazdu na stypendium pozostawał jeszcze okrągły rok, a do załatwienia było mnóstwo spraw. Przede wszystkim

³⁴¹ Ang. profesor wizytujący.

³⁴² George Francis McLean OMI (1929–2016), filozof i teolog amerykański. Profesor w Katedrze Filozofii Instytutu Badań Politycznych i Katolickich na Katolickim Uniwersytecie Amerykańskim od 1958. Redaktor naukowy trzysystemowej serii wydawniczej „Dziedzictwo Kulturowe i Zmiany Współczesne”.

kwestia wysokości stypendium, ponieważ 500 dolarów w skali miesięcznej w żadnym wypadku nie mogło wystarczyć na badania archiwalne w kilku lub kilkunastu miejscowościach. Ojciec McLean był raczej przekonany, iż przez pięć miesięcy będę pracować w Waszyngtonie, w bibliotece, lub coś w tym rodzaju. To mnie w ogóle nie interesowało. Dosyć skomplikowane okazały się także warunki stawiane stypendyście przez uniwersytet, domagano się bowiem dokładnego określenia miejsc kwerendy i czasu jej trwania. Tego absolutnie nie mogłem przewidzieć – ani nie znałem zasobów archiwalnych, ani nie wiedziałem, jak się ustosunkują do moich badań władze diecezjalne. Moje doświadczenia z Polski nie pozwalały na żaden optymizm. Wprawdzie kwestia mego uposażenia wyjaśniła się i przyznano mi, podobnie jak innym stypendystom, 900 dolarów miesięcznie, nastąpiło to jednak dopiero po moim przyjeździe do Waszyngtonu.

Po rozmowie z o. McLeanem sprawa mych badań nabrała konkretnego kształtu. Powiedział, że w archiwach mogę natknąć się na liczne trudności. Nie wykluczał też bardzo skromnej zawartości archiwów, zwłaszcza że interesują mnie tak odległe czasy jak XIX w. Sam wpadł na pomysł zaopatrzenia mnie w list polecający do wszystkich placówek, w których chciałbym przeprowadzić poszukiwania. Wybrałem Nowy Jork, Newark i Filadelfię. Poradził mi też, bym się starał o lokum na plebaniach, gdzie wśród księży amerykańskich mógłbym szlifować język. Był zdania, że znam go na tyle, iż mogę swobodnie poruszać się w otoczeniu anglojęzycznym, ale stałe doskonalenie jest potrzebne.

Zupełnie przypadkowo spotkałem o. Górskiego, franciszkanina, którego brat był adwokatem w Nowym Jorku, znanym mi z poprzedniego pobytu w USA, bardzo aktywnym w środowisku polonijnym. Ojciec Górski poradził mi, bym szukał lokum raczej w parafiach aniżeli w zakonach. Przytaczał różne racje i przekonał mnie całkowicie. Potwierdziło się to w czasie mojej wizyty w klasztorze franciszkańskim na przedmieściu Waszyngtonu. Spotkałem tam pewnego ojca, z pochodzenia Polaka, mówiącego doskonale po polsku, który mi opowiedział o różnych kapłanach z Polski goszczących w tym klasztorze. Relacje te całkowicie mnie zniechęciły do szukania miejsca w klasztorach.

Po dwutygodniowym pobycie w Waszyngtonie, gdzie gościny udzielili mi księża marianie, byłem na tyle zorientowany w moich przyszłych planach badawczych, że mogłem wyruszyć do Filadelfii, by tam rozpocząć pracę w miejscowym archiwum diecezjalnym i bibliotece seminaryjnej w Overbrook. Mieszkanie i utrzymanie dostałem dzięki ogromnej życzliwości ks. proboszcza Antoniego



Kościół
św. Wojciecha
w Filadelfii,
1985 r.

Jaworowskiego³⁴³, urodzonego Amerykanina, lecz mówiącego dobrze po polsku, na plebanii parafii św. Wojciecha przy Allegheny Avenue.

Ten dwuwieżowy kościół, widoczny z autostrady prowadzącej do miasta z południowego wschodu, zwraca na siebie uwagę. Do Filadelfii zawieźli mnie ogromnie dla mnie mili państwo Brieske. Pani Lucy była z pochodzenia Polką, jej mąż, Jack, Niemcem. Ona była inicjatorką wielu ciekawych eskapad. On na ogół nic nie mówił; był kierowcą. Czasem się uśmiechał, słuchając nieustającej ani na moment konwersacji swej małżonki. Mówiła bardzo chętnie po polsku, ale swoistą polszczyzną, przeplataną gęsto słowami angielskimi i modyfikowanymi przez siebie zwro-

tami polskimi – wszak urodziła się w USA i przez całe życie pracowała w otoczeniu anglojęzycznym. Państwo Brieske, oboje już emeryci, pracowali niegdyś w Pentagonie. Dawało to im prawo wstępu do ekskluzywnego zakątka, w którym mieściły się wille słynnych generałów amerykańskich, a także kasyno, które dzięki państwu Brieske miałem okazję odwiedzić. To wymagałoby osobnego opisu, zaznaczę więc tylko, że atmosfera była nacechowana niezwykłą prostotą i wzajemną życzliwością bez względu na to, czy ludzie się znali czy nie. Państwu Brieske zawdzięczam także inne wyprawy, np. na rancho Jerzego Waszyngtona nad Potomakiem, do wspaniałego pomnika przyrody – Longwood Gardens, do Grobu Nieznanego Żołnierza.

Na cmentarz Darlington wybrałem się sam. Chciałem po prostu obejść tę ogromną nekropolię, a raczej tylko pewne jej partie. Poznanie całości wymagałoby wiele czasu i sił. Szukałem grobowca Johna Kennedy’ego. Wyobrażałem sobie potężny monument, a tu nagle jakiś murek z napisem,

³⁴³ Antoni Jaworowski (1917–2014), ksiądz, proboszcz parafii św. Wojciecha w Filadelfii.

a poniżej tabliczka z nazwiskiem – niemalże ukryta w trawie. Na mnie cmentarz ten wywarł dziwne wrażenie. Szeregi białych, jednakowych tablic, ciągnące się jak okiem sięgnąć, symbolizowały nicość jednostek wobec ogromu mocarstwa, które upomniało się o ich ofiarę. Każda z tych tablic to historia czyjegoś życia, ale tu, w tej bezimiennej masie – bo trzeba bardzo blisko podejść, by odczytać nazwisko – indywidualność ginie, pozostaje cyfra. Zupełnie inne wrażenie sprawia pomnik Weteranów Wojny w Wietnamie. Natłok nazwisk na ścianie, wzdłuż której musisz przejść, by ogarnąć wszystkie. Ta ściana to jakby żywi ludzie, których złączył wspólny los.

Długo można by pisać o kampusie przed Kapitołem. To taka swoista ściaga z historii Ameryki. Każde z leżących wokół muzeów w jakiś sposób opowiada o bogactwie tego kraju, od Muzeum Historii Naturalnej do Muzeum Lotnictwa i Przestrzeni Kosmicznej. I znowu przychodzi myśl, że Stany Zjednoczone ze swą bezwyznaniową religijnością to najdoskonalszy twór oświecenia, ale tego zapatrzonego tylko w postęp materialny – technika stanowi jego istotny element. Do rezerwuaru ducha trzeba jechać spory kawałek drogi, prawie poza miasto – do National Shrine – katedry, sanktuarium narodowego Ameryki. Odległość między świadectwem potęgi i wymiernego bogactwa a symbolem bogactwa ducha – bo tego w Ameryce bynajmniej nie brakuje – jest jednak symboliczna. Mierzona nie tylko milami.

Pokusy, przed jakimi stawiali mnie nieustannie państwo Brieske, nie tłumiliły wszakże świadomości celu mego przyjazdu do USA. Wręcz przeciwnie, im atrakcyjniejsze miejsca odwiedzałem, tym pilniej mi było do pracy.

W Filadelfii znowu uśmiechnęło się do mnie szczęście. Przebywający w parafii na praktyce kleryk Louis Kolenkiewicz jeździł codziennie do Overbrook, gdzie mieściły się nie tylko rezydencja arcybiskupa, lecz także seminarium i archiwum diecezjalne oraz bardzo bogata biblioteka, w której szczególnie interesowały mnie drukowane akta synodów północnoamerykańskich. Wydane w zgrabnych i łatwych do korzystania tomikach, stanowiły istną kopalnię wiedzy na temat sytuacji Kościoła w Stanach Zjednoczonych, w tym także problemu etnicznego, który w okresie wzmożonej imigracji z Europy w XIX w. dawał o sobie znać. Już wtedy władze kościelne konfrontowane były z problemem duszpasterstwa tych grup etnicznych. Hierarchia, przeważnie pochodzenia irlandzkiego lub niemieckiego z pewną domieszką Włochów, byłaby skłonna dążyć do asymilacji nowo przybyłych osadników. Było to jednak obliczone na kilka pokoleń, a potrzeba

opieki duszpasterskiej była paląca. Nic dziwnego, że każdy synod plenarny zajmował się tymi sprawami.

W Overbrook było także archiwum diecezjalne, jedno z lepszych, o ile nie najlepsze z tych, które w USA odwiedziłem. Mówiono mi, że była to zasługa kard. Johna Króla³⁴⁴. Jego następca, kard. Bevilacqua³⁴⁵, podobno nie przykładał już tak wielkiej wagi do archiwum, tak przynajmniej mówiono, ale nie mogłbym tego potwierdzić własnymi obserwacjami, zarówno bowiem uporządkowanie akt, jak i ich udostępnienie były bez zarzutu.

Kwerenda archiwalna mnie rozczarowała. Przykładałem do niej doświadczenia krajowe, a to jest nieporównywalne. Wydaje się, że urzędy amerykańskie, przynajmniej kościelne, energicznie „brakują” zasoby, inaczej mówiąc, po pewnym czasie po prostu niszczą materiały albo w ogóle ich nie przechowują. Tak więc łatwiej jest doszukać się zastawień pewnych agend, faktów lub sprawozdań aniżeli tego, co nazywamy *acta actorum*³⁴⁶. Skutkiem tego powstają luki w materiale i trudno śledzić jakieś ciągi spraw. Taki sposób traktowania archiwaliów widoczny jest na każdym kroku w uniwersariach – rocznicowych wydaniach czegoś w rodzaju kroniki parafialnej, chociaż nie jest to kronika w ścisłym znaczeniu. W zasadzie przedstawia krótko dzieje parafii, sylwetki duszpasterzy i aktywu parafialnego, imprezy, a przede wszystkim agendy związane z parafią – szkołę, ewentualnie inne organizacje np. Rycerzy Kolumba.

Akta personalne księży były w stosunkowo pełnym wymiarze, podobnie jak korespondencja w sprawie księży, zwłaszcza przybyłych z Polski w ślad za wychodźstwem polskim. Kwerenda z racji konieczności przeglądania na ślepo zamówionych jednostek była żmudna, a informacje od personelu archiwum – ogólnikowe i mało przydatne dla odnalezienia konkretnych interesujących mnie spraw. Aniwersaria bywają niekiedy objętościowo pokaźne, ale wpływają na to liczne zdjęcia parafian, zamieszczane w różnym formacie. Niektóre nawet na całą stronę, inne mniejsze. Intrygowało mnie, skąd to honorowanie niektórych, bo przecież nie

³⁴⁴ Jan Król (1910–1996), ksiądz amerykański polskiego pochodzenia. Święcenia kapłańskie 1937. Biskup pomocniczy Cleveland 1953–1961; arcybiskup Filadelfii 1961–1988; kardynał od 1967. Przewodniczący Konferencji Biskupów USA i Konferencji Katolickiej Stanów Zjednoczonych (1972–1974). Wielki przyjaciel Polski, wspierający inicjatywy duszpasterskie Kościoła w Polsce. Doktor *honoris causa* szesnastu uniwersytetów i uczelni wyższych.

³⁴⁵ Anthony Bevilacqua (1923–2012), ksiądz amerykański. Święcenia kapłańskie 1949. Doktor prawa kanonicznego. Biskup pomocniczy diecezji Brooklyn 1980–1983; biskup diecezjalny Pittsburgh 1983–1988; arcybiskup Filadelfii 1988–2003; kardynał od 1991. Na emeryturze od 2003.

³⁴⁶ *Lac.* zbiór ciągły dokumentów urzędowych.

wszystkich tam uwieczniono, a także co ma wpływ na wielkość fotografii. Objąśnił mi to pewien kapłan w Filadelfii. Umieszczenie zdjęcia w takim wydawnictwie uwarunkowane jest ofiarą na druk książki. Im większa ofiara, tym większe zdjęcie. Pytałem o konkretne kwoty, ale wykręcił się od odpowiedzi.

Już nie pamiętam, kto zwrócił mi uwagę na to, że w Balch Institute for Ethnic Studies³⁴⁷ znajdują się materiały dotyczące mniejszości etnicznych – albo siostra zakonna zajmująca stolik obok, albo ktoś z obsługi archiwum. Instytut mieścił się w śródmieściu, niedaleko Independence Hall, gdzie bije serce amerykańskiej demokracji. Liczne pamiątki historyczne przyciągają tam tłumy zwiedzających, choć nie tak wielkie, jak to można zauważyć w podobnych miejscach w Europie. Znałem więc to miejsce nader dobrze, a teraz miałem spędzać w parku otaczającym budynek codziennie godzinę lunchu, chrupać jakiegoś hot doga lub inny specjał. Wzdłuż ulicy stały powozy amiszów z roslymi młodzieńcami lub nie mniej dorodnymi dziewczynami na koźle. Czasem znajdowali chętnych do przejażdżki, na ogół jednak dobrze wypasione szkapy miały święty spokój.

Balch Institute był placówką małą, zawiadywał nią dyrektor, stosunkowo młody człowiek pochodzenia słowackiego, którego nazwisko zupełnie wyleciało mi z głowy. Chętnie udzielił mi informacji o zasobach bibliotecznych i wyjaśnił zasady korzystania z nich. Była to głównie prasa i różnego rodzaju druki, które były dostępne w jednym miejscu. I to był cały profit. Materiały z tego instytutu pomogły w ustaleniu pewnych okoliczności pozakościelnych, które miały bardzo wielki wpływ na kształtowanie się życia wspólnot polskich, w tym sfery religijnej.

Moje odwiedziny w Overbrook stały się pod koniec pobytu w Filadelfii nieco utrudnione. Wspaniały Lou skończył swą praktykę i fantastyczna jazda przez całe rozległe miasto jego autentycznym cadillakiem, z tym że ponad ćwierćwiecznym, musiała ustąpić kolejce nadziemnej i autobusowi. Z owej kolejki, schodzącej w którymś miejscu pod ziemię, roztaczał się istic surrealistyczny widok. Całe połacie miasta były zabudowane małymi drewnianymi domkami, zupełnie wyludnionymi. Wszystko się rozpadało. Gdzieś tam widać było krzątających się przypadkowych lokatorów, o wiele częściej jednak – pomykające szczury. Podobno wszystko to dziś jest już wyburzone i powstaje tam nowoczesna dzielnica, zatem sławna wówczas i wywołująca dreszczyk emocji Frontstreet w dawnej postaci nie istnieje.

³⁴⁷ Instytut Badań Etnicznych Balch – instytut naukowy założony w 1971 w celu dokumentowania historii i doświadczeń ponad 60 grup etnicznych zamieszkujących USA. Jego siedziba znajduje się w Filadelfii. W 2006 połączony z Instytutem Historycznym Pensylwanii.



Wizyta
w amerykańskiej
Częstochowie –
Doylestown,
1985 r.

Spędziłem kilka tygodni w Filadelfii i nie wiedziałem, że niemalże codziennie przejeżdżałem obok „rezydencji” mego kolegi z Lublina, ks. Ryszarda Hermanowicza³⁴⁸ (tragicznie zmarłego kilka lat później). Potem, w czasie pobytu w Seton Hall, byłem tam częstym gościem i mile wspominam tę gościnę i spotkania w kaplicy na modlitwie i przy każdej innej okazji osoby.

Pobyt w Filadelfii dobiegał powoli końca. Nie miałem własnego środka lokomocji i tylko raz udało mi się skorzystać z czyjejś uprzejmości, by odwiedzić położoną niedaleko amerykańską Częstochowę – Doylestown. Kilka lat później bywałem tam częstym gościem. Miejsce to, gdy się je odwiedzało pierwszy raz, nie wywierało wielkiego wrażenia. Oczekiwało się czegoś

podobnego do naszej Częstochowy. Każdy kolejny raz przynosił nowe doznania. Na mnie najsilniej oddziaływał widok grupki Afroamerykanów, którzy w drewnianym kościółku, pierwotnej świątyni na tym miejscu, klęcząc przed Czarną Madonną, odmawiali po francusku różaniec. Kiedy opuściliśmy kaplicę, nie chcąc przeszkadzać modlącym się, pewna pani powiedziała do mnie:

– Oni uważają to sanktuarium za swoje, licznie tu przybywają.

Jeszcze jedno wrażenie z Filadelfii godne jest uwiecznienia. Mieszkiałem w dzielnicy Richmond, w pobliżu portu. Była to dawna fabryczna część miasta. Pośród ciasnych uliczek co jakiś czas można było trafić na czerwone mury nieistniejącej już fabryki, a otaczały ją *rowhouses* – domy szeregowce, stykające się ścianami, dawne siedziby rodzin robotniczych, dziś zamieszkane przeważnie przez starsze samotne osoby. Coś wabiło mnie do tych uliczek. Dowiedziałem się, że mieszkali tam budowniczowie wspaniałego kościoła św. Wojciecha.

³⁴⁸ Ryszard Hermanowicz (1931–2002), ksiądz archidiecezji białostockiej, pracownik KUL, następnie działacz polonijny w Filadelfii.

Chodziłem tam w wolnych chwilach. Podczas jednej z takich przechadzek odezwała się do mnie siedząca na progu domu starsza niewiasta – po polsku, choć z wyraźnymi naleciałościami jakiejś gwary. Zaprosiła do środka. Stosunkowo obszerna izba, za nią maleńka kuchenka i schody na górę do sypialni – dwóch albo trzech pokoików z łazienką. Tak wyglądał każdy tego



typu dom. Opowiadała mi smutną historię. Urodziła się na początku XX w. już w Ameryce. Ojciec przynosił kilkadziesiąt centów dziówki. Gromadka dzieci. Zarobek dzieliło się na kupki, każda przeznaczona na co innego.

– Na budowę kościoła, a jakże, w pierwszej kolejności, bo czym byśmy byli bez naszego kościoła?

Z dalszego jej opowiadania wynikało, że w domu było bardzo biednie, ale kobieta zaprzeczyła:

– Nie, nie było biedy, na wszystko starczało, tylko ludzie nie byli tak zachłanni jak ci, którzy dziś przyjeżdżają. Nie chcieli od razu mieć wszystkiego. Ale wie ksiądz, z pewnością w porównaniu do tego, co dzisiaj zdobywają nowo przybyli, i to niekiedy z dnia na dzień, to mieliśmy jednak pewien niedostatek. Oszczędzało się na wszystkim. Żadnego zbytku.

Pomyślałem sobie, że po kilkudziesięciu latach ta pani nadal nie sprawiała wrażenia osoby zamożnej. Widocznie spostrzegła moją sceptyczną minę, bo szybko dodała:

– Ale dzieci moje mają się dobrze, każde ma piękny dom, dobrą pracę. Tylko one już kończyły szkoły amerykańskie, a nam przypominano, byśmy trzymali się polskości. To i szkoła była polska, i parafia. Wokół tylko język polski i taki kaleczony angielski z ulicy.

Więcej się od niej dowiedziałem niż z niejednej uczonej książki. Nachodziły też myśli, jak powinna wyglądać praca polonijna. Przyjeżdżali różni działacze z Polski i sądzili, że sprowadzą z powrotem na glebę ojczystą wyrodowionych Polaków. Tymczasem spotykali albo niedobitki takich, jak moja

Wycieczka
pod wodospad
Niagara, 1991 r.

rozmówczyni – bynajmniej niewynarodowiona, może bardziej polska niż mówiący czystą, współczesną polszczyzną rodak z Warszawy czy Poznania, albo też Amerykanów pełnej krwi, ale szukających korzeni, chciwych każdej wiadomości o zapadłej wsi, z której „ojce” wyjechali za ocean. Kiedy tam byłem, żywa była jeszcze radość i duma z wyboru papieża Polaka. Powrót do polskiej przeszłości był w modzie i niejedno nazwisko, już po angielsku zmodyfikowane, znowu zaczynało brzmieć po polsku.

Rodacy z kraju oczekiwali od Polonii przeważnie konkretnych dóbr. Czy dysponowali czymś mogącym tę hojność zrównoważyć? W wielu wypadkach goście z Polski popisywali się swoją wyższością, ponieważ siłą rzeczy mogli o Polsce więcej powiedzieć niż goszczący ich Amerykanie polskiego pochodzenia. To ostatnie określenie nie wszystkim się podoba, ale tylko ono jest właściwe dla Polonii zakorzenionej już w USA poprzez urodzenie. Warto dodać, że trudno było spotkać Polonusa, który – obojętnie w jakich okolicznościach i czasie znalazł się w Stanach Zjednoczonych – nie czułby i nie wyrażał wdzięczności dla tego kraju.

– To była i jest surowa matka, nie pieści, ale matka o wszystkich zatroskana – słyszałem niekiedy. Początkowo przyjmowałem to z niedowierzaniem, ale opinia się potwierdzała, zwłaszcza w wypowiedziach tych, którzy przeszli przez sowiecki raj, a nawet uszli z krajów demokracji ludowej.

Z Filadelfii wyjeżdżałem bogatszy w wiedzę o Stanach Zjednoczonych, choć jednocześnie rosła we mnie świadomość jej niedostatków. Gdy już się wydawało, że zaczynam coś dogłębnie pojmować, okazywało się, że jest nie tak, jak myślę. Posłużę się pewnym przykładem, a ponieważ nie zdradzę ani miejsca, ani osób, mogę śmiało wyłuszczyć problem, trzeba przyznać, dość skomplikowany.

Bywałem w parafiach polonijnych, gdzie czasowo gościli księża z Polski. Ponieważ zawsze pilnie starałem się doskonalić mój angielski, jeżeli tylko mogłem, przysłuchiwałem się kazaniom głoszonym przez miejscowych księży na mszach anglojęzycznych. Nie powiem, żebym napotkał choćby jedno kazanie mogące uchodzić za naukę katechizmową. Były to przeważnie różne aktualia religijne, gęsto przeplatane dowcipem, i okolicznościowe wskazania o charakterze duszpasterskim. Tylko raz słyszałem dobrą homilię teologiczną – poruszono w niej sprawy *ex professo*³⁴⁹ teologiczne. Spotkałem mnóstwo godnych szczerzej pochwały księży amerykańskich, którzy starali się być zawsze blisko

³⁴⁹ Łac. według swojej specjalności.

swych parafian – dodajmy – przybywających do świątyni niekiedy z bardzo odległych miejsc. Były to bowiem często parafie personalne. Mógłbym wymienić kilku, którzy dawali przykład ducha modlitwy, ale kaznodziejstwo różni się tam znacznie od naszego, polskiego. Kazanie musi być krótkie i takie, by się „podało”.

Kilku polskich księży, sędzę, że mogę siebie do nich zaliczyć, mówiło kazanie według wzorca polskiego. Myśleliśmy, że tak trzeba, ponieważ miejscowi księża często zbyt słabo znali język polski, by móc swobodnie się wystąpić na ambonie. Wyczułem jednak, że kazanie, na które wierni zwrócili uwagę i chwalili jego poziom, wcale nie podobało się miejscowym księżom.

Zdarzył się tylko jeden wyjątek od tej reguły. Głosiłem wtedy rekolekcje w jednej z parafii Jersey City. Ksiądz, Amerykanin polskiego pochodzenia, bardzo zresztą gorliwy kapłan, powiedział mi, że oczekuje czegoś, co by do ludzi przemówiło.

– Niech ksiądz mówi tak, jak mówiliby ksiądz u siebie w Lublinie.

Dojeżdżałem tam z Nowego Jorku po pracy w archiwum. Przez trzy dni wygłosiłem w sumie sześć nauk i dodatkowo miałem spotkanie z młodzieżą. Anglojęzyczne rekolekcje to najczęściej dwie lub trzy nauki, nie dłuższe niż kwadrans. Sam kiedyś słuchałem jednej – głoszonej przez ponoć sławnego rekolekcjonistę – i muszę przyznać, że tak świetnych dowcipów nie słyszałem nigdy przedtem. Przychodziło mi potem do głowy, że takie nauki w warunkach amerykańskich mają swoją dobrą stronę. Ludzie chętnie przyjdą do kościoła, bez obawy, że doznają nudy.

Wysilanie się, by mówić dobrze w sensie merytorycznym, a także z dobrą retoryką, nie miało specjalnego sensu. Na polskie kazania przychodzili także ludzie nieznający języka polskiego lub znający go w bardzo słabym stopniu. Kiedyś, po mszy, przy bramie kościelnej zagadnęła mnie pewna dama, której chciałem – jak każe amerykański zwyczaj – ucisnąć dłoń na pożegnanie. Po angielsku spytałem, czy zna polski, a ona zaprzeczyła.

– Dlaczego w takim razie przychodzi pani, kiedy są polskie kazania?

– Bo to tak pięknie brzmi – odpowiedziała.

Z Filadelfii wywoziłem więc garść nowych doświadczeń, choć nie wszystkie tu opisane pochodzą z tego miasta i z bardzo dla mnie gościnnej parafii św. Wojciecha. Dalsza droga prowadziła do New Jersey. Archidiecezja w Newark to miejsce, gdzie wczesne osadnictwo polskie było jednym z liczniejszych na Wschodnim Wybrzeżu. Komplikowała się sprawa zakwaterowania. Niestety, bardzo późno zwróciłem się o *locum* do ks. Władysława Górskiego w Linden, gdzie mieszkałem

poprzednio. Miał pełną plebanię księży z Polski. Wiadomo, sezon wakacyjny. Czynił mi wymówki, że zgłaszam się w ostatniej chwili. Miał rację.

Napisałem, też zresztą zbyt późno, do ks. Altmajera, który wówczas miał już swe biuro na Saint Mark's Place na dolnym Manhattanie w pobliżu kościoła św. Stanisława. Przy tym kościele także miejsca nie było, zresztą mieszkał tam już świetny historyk sztuki z Polski, prof. Andrzej Olszewski³⁵⁰, z którym później bardzo się zaprzyjaźniłem. Odwiedziłem go i jakoś nie miałem ochoty starać się o kwaterę, którą w końcu może bym uzyskał. Warunki były zbyt niekorzystne. Podziwiałem Andrzeja, że bez skargi je akceptował, ale był faktycznie tak pochłonięty architekturą, iż w mieszkaniu przebywał rzadko, raczej tam tylko nocował.

Kłopoty z zakwaterowaniem nie do końca były przeze mnie zawinione. Miałem przyręczone mieszkanie na Staten Island, przy polskiej parafii św. Stanisława, jednak ksiądz tam pracujący, *notabene* z Lublina, przez pewien czas nie odpowiadał na zapytania, czy lokum jest aktualne, a pod koniec mojego pobytu w Filadelfii oświadczył, że nie może mnie przyjąć. To właśnie było przyczyną moich gorączkowych i spóźnionych poszukiwań.

Niewątpliwie lekkomyślne potraktowanie mnie przez młodego konfratru spowodowało na mnie wiele dalszych kłopotów, ponieważ adres jego plebanii podałem na uniwersytecie jako miejsce, w którym można będzie się ze mną skontaktować. Mimo że w korespondencji z uniwersytetem podawałem aktualne adresy zamieszkania, poszukiwano mnie listownie i telefonicznie wyłącznie na Staten Island. Po prostu jakiś urzędnik nie aktualizował moich kolejnych miejsc pobytu, które musiały się zmieniać choćby z racji nawiedzania coraz to nowych archiwów. Ponieważ ze Staten Island odpowiadano, iż jestem tam nieznany, rezultat był taki, że do rektora KUL, ks. Wielgusa, wysłano pismo, że zaginąłem gdzieś w Stanach Zjednoczonych i prawdopodobnie nie wypełniam powinności wynikających ze stypendium. Pod koniec mego pobytu w USA zdołano jakoś do mnie dotrzeć bardzo okrężną drogą. Wielka była konsternacja, kiedy w rozmowie telefonicznej z o. McLeanem zreferowałem mu wszystkie miejsca pracy, a jej wyniki przygotowane na piśmie obiecałem w najbliższym czasie wysłać pocztą. Tak też zrobiłem.

³⁵⁰ Andrzej Kazimierz Olszewski (ur. 1931), historyk sztuki. Absolwent UW. Doktorat 1955, habilitacja 1985, profesor nadzwyczajny 1990, profesor zwyczajny 1994. Pracownik naukowy Instytutu Historii Sztuki PAN, a następnie Ośrodka Dokumentacji i Zabytków MKiS. Pracownik naukowy ATK 1972–2003 (od 1999 UKSW), pracownik naukowy KUL 1992–1999. Prodziekan Wydziału Nauk Historyczno-Społecznych UKSW 1999–2003. Autor ponad 160 publikacji naukowych z zakresu historii sztuki.

Nie był to przyjemny finał naprawdę bardzo pracowitego pobytu. Ojciec McLean i opiekująca się stypendystami pani Landis mieli faktycznie niemały kłopot w związku z moją mobilnością. Na ogół stypendyści wiązali swój pobyt z biblioteką uniwersytecką lub jakimś zakładem. Z całą pewnością nie miano jeszcze stypendysty prowadzącego badania historyczne. Ojciec McLean bardzo mnie przepraszał za całe zamieszanie, ale czułem, że zupełnie nie rozumiem charakteru moich badań, wcześniej zawsze miał do czynienia z teologami. Dopiero wykładając na uniwersytecie Seton Hall, zrozumiałem, że profesor historii niekoniecznie musi się zajmować badaniami.

Co do kłopotów mieszkaniowych, to zupełnie przypadkowo natknąłem się na Kazika Lichnowskiego, którego znałem z poprzedniego pobytu, a także spotykałem w Polsce, gdzie często bywał. Miał wspaniałą rezydencję w Maplewood, w północnej części New Jersey, niedaleko South Orange, gdzie mieściły się Seton Hall University oraz archiwum archidiecezji Newark. Pieszko 15 minut. Równie niedaleko był kościół, gdzie mogłem codziennie koncelebrować. W rozmowie wspomniałem mimochodem o kłopotach kwaterunkowych, a Kazik bez chwili namysłu zaproponował mi lokum u siebie, gdzie faktycznie miał sporo miejsca.

Bardzo dobrze się czułem u państwa Lichnowskich, którzy umilali mi pobyt, jak tylko potrafili. Właściwie przez cały czas byłem zajęty w archiwum. Wraciałem około godz. 17.00. Jedynie soboty i niedziele były wolne. Często wtedy wyjeżdżaliśmy w najbliższą okolicę. Pojechaliśmy odwiedzić kogoś do szpitala kardiologicznego, chyba w Fort Dix. Widziałem tam osoby po bajpasach, na drugi lub trzeci dzień po operacji spacerujące po korytarzu. Zdziwiła mnie liczba pracujących tam polskich lekarzy. Miałem też okazję w tej samej miejscowości obserwować zza drucianego płotu olbrzymie samoloty załadowywane, o ile się nie mylę, sprzętem wojskowym wysyłanym w rejon Zatoki Perskiej. Zdumienie budził fakt, że nikt nas nie legitymował ani nawet nie pytał, czym jest spowodowana nasza ciekawość. Przez chwilę sądziłem, że w USA nikt się nikim nie interesuje, że można tu po prostu wsiąknąć. Już niedługo miałem możliwość się przekonać, że wcale tak nie jest. Bywały sytuacje, kiedy FBI dyskretnie obserwowało pewne osoby i bez trudu uzyskiwało o nich informacje.

Swoją drogą, wielu spraw w USA pojąć nie mogłem. Jeśli przybysz nie stawał się anonimowy, to jak było możliwe, że tak wielu nie wyjechało wraz z upływem wizy, innymi słowy, skąd w USA tak wielu nielegalnych imigrantów. Nikt mi na to pytanie nie potrafił odpowiedzieć. Pracowałem przez dłuższy czas przez ścianę

z polskim Immigration Office. Tam mi mówiono, że tropienie nielegalnych imigrantów na zasadzie odławiania jednostkowych przypadków to dla władz zbyt drogie i absorbujące zajęcie, podczas gdy ludzie ci mogą być bardzo pożyteczni dla gospodarki. Nie warto ich rugować. Co jakiś czas jednak władze robią remanent i wtedy hurtem wyławiają tych, którzy nie rokują żadnego zysku społecznego. Innym pozwalają zostać i regulują sprawę ich stałego pobytu. Jakież to mądre i przede wszystkim pragmatyczne rozwiązanie.

Uprzedzę chronologię opowiadania i odniosę się do moich doświadczeń z granicy amerykańsko-meksykańskiej. Przejeżdżając granicę w Tijuanie, zobaczyłem za płotem z blachy falistej całe gromady młodych ludzi czekających na zmianę posterunku policji po stronie amerykańskiej, by szybko przebiec granicę. Pytałem mego towarzysza podróży, czy im się uda.

– Owszem – odpowiedział – może połowie, akurat tylu, ilu potrzeba na farmach kalifornijskich właśnie w tym czasie. Resztę wyłapią i odwiezą autobusem do granicy. Jutro pójdą ponownie, aż dopisze im szczęście. Nie mają nic do stracenia.

Żałatwiwszy mieszkanie, udałem się na kampus Seton Hall University, gdzie mieściło się archiwum archidiecezjalne. Rządził nim jowialny prałat William Noe Field. Byłem umówiony listownie, więc szedłem śmiało, uprzedzony zresztą przez ks. Górskiego, że jest to ksiądz bardzo Polakom życzliwy i podchodzi do żałatwiania spraw z humorem i bez zbędnych formalności. Ponieważ był on też dyrektorem biblioteki uniwersyteckiej, odesłano mnie z archiwum do gmachu położonego naprzeciwko. Przyjął mnie słowami:

– Jak się masz?

– Dziękuję, dobrze. Mam nadzieję, że ksiądz prałat również.

Roześmiał się i pogroził mi palcem. Dalej ciągnął po angielsku:

– Byłem z polskimi kolegami w seminarium i kilka polskich wyrazów zapamiętałem. Niektórych nie powtórzę, bo wiem, co znaczą.

Wypytał dokładnie, co mnie interesuje, coś sobie zanotował i zaprosił na następny dzień do archiwum. Akta miały być już przygotowane.

Rzeczywiście, na stole zastałem stertę poszytów z korespondencją między biskupami a księżmi polskimi, także pewną liczbę listów kierowanych do biskupów, zwłaszcza Królestwa Polskiego i Galicji. Nie były to materiały rewelacyjne, ale ukazywały trudności w pozyskaniu dla Polaków duszpasterza z prawdziwego zdarzenia. Często byli to ludzie, którym gdzieś się nie powiodło i szukali szczęścia tam, gdzie ich jeszcze nie znano. Podziwiałem znajomość łaciny u tych księży,

prawie zawsze nienaganną. Dużo korespondencji było w języku niemieckim, sporo we włoskim. Angielskich listów było znacznie mniej.

Ksiądz Field przychodził do mnie często, zaciekawiony, co udało mi się znaleźć. Trzeba przyznać, że dbał o archiwum, które było porządnie zorganizowane, choć lokalowo usytuowane dość niefortunnie. Później, kiedy wykładałem na Seton Hall, archiwum otrzymało inne, znacznie wygodniejsze, pomieszczenie.

Praca w New Jersey przekonała mnie, że przy umiejętnym przeszukaniu rejestrów archiwalnych można co nieco znaleźć, ale zarazem zrozumiałem, że takich materiałów, do jakich przywykło się w Europie, próżno szukać. Często po załatwionej nawet bardzo ciekawej sprawie, zamiast pełnej dokumentacji, pozostawało w archiwum już tylko ostateczne jej podsumowanie w postaci jakiegoś postanowienia lub zwięzłej relacji z przebiegu. Aneksy prawdopodobnie były niszczone jako zbędne przy odnotowywaniu *res gestae*.

Księża amerykańscy, z którymi rozmawiałem na temat mojej pracy, sugerowali mi zapoznanie się z archiwum diecezji nowojorskiej mieszczącym się w seminarium duchownym w Yonkers. Dostęp uzyskałem łatwo, a nawet na kilka dni bardzo dostojny lokal, gdzie mogłem zamieszkać, podobno służący zwykle biskupowi – dlatego też dyrektor administracyjny dokładnie określił czas korzystania z tego apartamentu. Zasoby archiwum nie odbiegały od tych, z którymi się już zetknąłem w poprzedniej kwerendzie. Wszystkim rządziła bardzo energiczna siostra zakonna. Na moje pytanie, czy mogę liczyć na ksero, odpowiedziała, że owszem, ale ponieważ aparat jest starej daty, to kopie są czarne, a litery białe. Zrobiłem dobrą minę do złej gry, ale pierwsze kartki przekonały mnie, że trudno będzie to później czytać.

Tak się złożyło, że późnym popołudniem zgłosił się do mnie pewien benedyktyn, który gościł u ks. d'Anjou, Polaka, syna przedwojennego dyplomaty, noszącego wtedy inne nazwisko, a proboszczującego w niedaleko położonej parafii. Otóż ów kapłan, dowiedziawszy się, że w archiwum pracuje polski ksiądz, zapragnął zaprosić mnie na kolację. Kiedy siostra zakonna dowiedziała się, z kim mam koneksje, z miejsca zmieniła swój stosunek do mnie. Zabrała mi materiały, które kopiowałem na tym przedpotopowym ksero, i powiedziała, że nazajutrz dostanę inne kopie. Spytała, skąd znam ks. d'Anjou. A kiedy odparłem, że to mój dobry znajomy, zauważyłem, iż akcje moje jeszcze bardziej wzrosły.

Następne dni to była ciężka harówka. Siostra, której po powrocie oznajmiłem, że ks. d'Anjou bardzo ceni jej kompetencje, wydobywała dla mnie coraz to nowe materiały. Podkreślała przy tym, że inny by ich na oczy nie oglądał,

bo po co je dawać komuś, kto się nie zna. Było w tym trochę prawdy. Ksiądz d'Anjou również mnie zapewniał, iż ksiądz badający w archiwum stare papiery to w Ameryce taka anomalia, że nie powinienem się dziwić, gdy będą patrzeć na mnie z niedowierzaniem. W Yonkers rewelacji nie odkryłem, ale na bezrybiu i rak ryba, dlatego korzystałem ze sposobności i kserowałem nawet mniej ważne dokumenty.

Na osobną uwagę zasługuje moja wizyta u ks. d'Anjou. Był to wybitny uczony orientalista, znawca języków i kultury orientalnej, posiadacz fantastycznego księgozbioru, były profesor Columbia University w Nowym Jorku, a także kilku innych uczelni. W czasie, kiedy byłem u niego, był już emerytem, zresztą słabował na zdrowiu, ale nadal pracował w parafii i praca ta wyraźnie mu odpowiadała. W kościele powierzonym jego pieczy – w Newport – sprawował duszpasterstwo w kilku językach: angielskim, polskim, hiszpańskim, włoskim i dwóch czy trzech innych. O ile się nie mylę, opiekował się też Żydami chrześcijanami. Kontakty miał bardzo szerokie i ekumeniczne. Postać nietuzinkowa, a jego erudycja była wprost zdumiewająca. Skarżył się, że nie ma zupełnie towarzystwa, ani tutejsi, ani ci z Polski nie interesują się tym, czym on się interesuje. Zapraszał do ponownych odwiedzin, ale mój pobyt powoli się kończył, a miałem jeszcze sporo do zrobienia. Żałował, że nie może ze mną porozmawiać o sprawach kulinarnych. Sam sobie gotował potrawy dietetyczne i miał jakiś wspaniały przepis na przyrządzanie kury. To, co zademonstrował, nie było jednak zbyt pociągające. Wolałem zdecydowanie jego wywody naukowe, niezwykle interesujące. Można było naprawdę wiele się dowiedzieć.

W seminarium było tylko kilku moderatorów, ponieważ były wakacje. Gdy opowiadałem tam o swoich poszukiwaniach, niby ze zrozumieniem kiwano głowami, ale sądzę, że moje hobby (tak to ktoś określił) było raczej przyjmowane ze zdziwieniem, iż można w takim celu przemierzać takie odległości – z Europy do USA. W Ameryce jednak nikt niczemu się nie dziwi, a jeśli nawet, to głośno tego nie manifestuje.

Moje dalsze plany przewidywały pracę w archiwum diecezji brooklyńskiej. Na moją skierowaną do kurii diecezjalnej prośbę o udostępnienie mi materiałów odpowiedział obszernie kanclerz Otto L. Garcia³⁵¹. Zapewnił o istnieniu takiej możliwości i skierował do dwóch współarchiwistów, księży Raymonda

³⁵¹ Otto L. Garcia, ksiądz amerykański z diecezji Brooklyn.

Chappetta³⁵² i Kevina Noone'a³⁵³, którzy – jego zdaniem – byli kompetentni w sprawie kwerendy. Jak w każdym wypadku w Ameryce, pierwszy kontakt musiał być telefoniczny. Trudno mi w tej chwili zliczyć, ile razy do jednego lub drugiego telefonowałem. Bez rezultatu. Kiedy próbowałem się czegoś dowiedzieć w kurii, każdy rozmówca udzielał mi innych informacji – że wyjechali na urlop, że zajęci są poza diecezją. Mimo wysiłków nie udało mi się żadnego z nich usłyszeć w słuchawce ani tym bardziej ujrzeć na oczy. Przypadkowo będąc w jednej z parafii na Brooklynie, zapytałem księdza, czy zna tych duchownych. Potwierdził i poradził zaniechać poszukiwań. Muszę koniecznie udać się do archiwum, które mieści się w budynku kurii. Nie powinienem jednak wiązać moich oczekiwań z poznaniem któregoś z tych panów, obaj pracują raczej w parafii, a archiwum zajmują się ubocznie i dorywczo. Tajemnicza to była sprawa; do dziś nie potrafię sobie wytłumaczyć, w jaki sposób te niemalże wirtualne postaci mogły się zmaterializować w wytycznych udzielonych mi przez kanclerza, natomiast całkowicie rozplynać w rzeczywistości.

Pojechałem metrem do kurii, położonej na peryferiach Brooklynu. Kolejka ponad pół godziny jechała przez nieużytki i wertepy. Otoczenie było niemalże wiejskie. W lewym, o ile pamiętam, skrzydle gmachu wskazano mi drzwi, za którymi miało się mieścić archiwum. Otworzył mi starszy kapłan, którego już sam mój widok wprawił w mocne zdenerwowanie. Pokazałem mu pismo kanclerza Garcii, ale nawet na nie nie spojrział. Z miejsca zaczął się tłumaczyć, że najsilniejsze protekcje tu nie pomogą, on bowiem nie jest kompetentny, by mi cokolwiek udostępnić. Gdy tylko zdołałem przerwać jego tyradę, poprosiłem o chwilę rozmowy. Skoro przejechałem tysiące kilometrów, by się czegokolwiek dowiedzieć o Kościele w Brooklynie, to nie można mnie po prostu odprawić z kwitkiem. Nieco się uspokoił, ale za to zaczął mnie egzaminować. Pytał, co i gdzie już zgromadziłem, do czego to ma służyć itp. Puściły mi nerwy i powiedziałem, że egzaminowaniem to ja się zajmuję, a jestem na takim etapie życia, że mnie już nikt nie będzie. Skoro otrzymałem stypendium od Uniwersytetu Katolickiego Ameryki i polecenie od władzy diecezjalnej, to mam prawo się czegoś dowiedzieć.

– Gdzie mogę spotkać księży Chappetta i Noone'a?

Na to sarkastycznie się roześmiał i rzekł krótko:

– Wszędzie, tylko nie tu, a gdybyś ich nawet spotkał, to i tak ci nie pomogą.

³⁵² Raymond Chappetto (ur. 1945), ksiądz amerykański z diecezji Brooklyn. Święcenia kapłańskie 1971. Biskup pomocniczy Brooklynu od 2012.

³⁵³ Kevin Noone, ksiądz amerykański z diecezji Brooklyn.



Prototyp
pierwszej bom-
by atomowej,
West Point,
1986 r.

Stopniowo rozmowa zaczęła nabierać jakichś ludzkich kształtów. Spytał mnie nawet, czy nie poszedłbym na lunch, ale nie chciałem tracić czasu i podziękowałem. W trakcie rozmowy okazało się, że całe – niewielkie zresztą – archiwum to sterty teczek ułożone na podłodze pod ścianą i że on ma za zadanie coś z tego zrobić. Ani nie wie, co

zawierają, ani nie ma ochoty się tym zajmować, właściwie to jest już na emeryturze i robi to z dobrej woli. Na otarcie łez ofiarował mi książkę drukowaną na rotaprincie pt. *Priests and Parishes of the Diocese of Brooklyn 1820–1990*. Książkę oczywiście wziąłem, ale poza nazwiskami i podstawowymi danymi biograficznymi księży niczego nie zawierała. Poprosił o mój adres i obiecał przysłać tom drugi, gdy tylko się ukaże, i może także inne jeszcze publikacje, ale się nie odezwał. Z dalszej rozmowy wynikało, że orientuje się nieco w europejskiej historiografii Kościoła, ale zastrzegając, bym nie porównywał do niej amerykańskiego dziejopisarstwa. Stawał się coraz bardziej uprzejmy, ale widziałem, że tylko czekał, żebym sobie poszedł. Gdy w pewnym momencie spojrzałem na zegarek, powiedział, że za pół godziny odchodzi pociąg – z nieco oddalonej stacji, ale jadąc nim, szybciej dostanę się na Manhattan. Ofiarował się podwieźć mnie samochodem do tej stacji. Przyznam, że nawet nie miałem ochoty mówić mu, co myślę o porządkach w instytucji, którą reprezentuje. Sprawiał wrażenie zażenowanego i powtarzał, że on tu nic nie znaczy. Owszem, widzi braki i miałby nawet sposób zaradzenia im, ale to nie jego sprawa i nie jego władza.

Odjeżdżając na Manhattan, byłem przygnębiony. Nie mogłem uwierzyć, że taki stan rzeczy w ogóle może istnieć. Nawet w najbardziej zaniedbanej polskiej diecezji – a wiadomo, że sprawy archiwalne także u nas są na ostatnim miejscu – nie uświadczysz czegoś takiego.

W tej części stanu Nowy Jork ani w samym New Jersey nie miałem już nic więcej do roboty. Nie zastanawiając się długo, postanowiłem pojechać nad Ontario, gdzie spodziewałem się uzyskać coś w diecezjach Rochester

i Buffalo. Ojca McLeana informowałem na bieżąco o moich planach i dokonaniach badawczych, zatem w połowie sierpnia miał informację o moim pobycie w archiwum diecezji brooklyńskiej. Musiał faktycznie być mocno zdziwiony, kiedy przesyłkę skierowaną do mnie pod ten adres zwrócono z adnotacją, że adresat jest nieznany. Wywiązała się wspomniana poprzednio korespondencja, do której wciągnięto nawet rektora KUL, w Waszyngtonie sądzono bowiem, że ja sobie gdzieś w Stanach wypoczywam. Na początku września powiadomiłem panią Landis, iż zamierzam właśnie udać się do Buffalo i Rochester. Poprosiłem o przedłużenie legitymacji (ID). Ponieważ jeszcze nie wiedziałem, gdzie zamieszkam, korespondencję prosiłem kierować na adres pana Eugeniusza Witta³⁵⁴ w Nowym Jorku.

Ostatecznie znalazłem miejsce, gdzie mogłem się zatrzymać i skąd mogłem dojeżdżać samochodem do Buffalo i Rochester. Była to parafia Cohocton, gdzie mój przyjaciel z młodych lat, ks. Kazimierz Muszyński, pełnił funkcję proboszcza. Ucieszył się z mojego przybycia – chciał lecieć do Polski, a ja mogłem go przez trzy tygodnie zastąpić w dwóch kościołach, które obsługiwał (drugi w Perkinsville). W okolicy znałem też ks. Klocka, Amerykanina polskiego pochodzenia (dziś już nieżyjącego), który ewentualnie także mógł mi udzielić noclegu. Raz tylko z tego skorzystałem, kiedy się starałem uzyskać dostęp do archiwum w Buffalo.

W Rochester, kiedy pytałem o archiwum diecezjalne, zbywano mnie różnymi wymówkami. Wreszcie pewien ksiądz pracujący w kurii powiedział mi, że sprawiam im kłopot, bo nie bardzo wiedzą, o co mi chodzi. Wszystkie



Pomnik
Tadeusza
Kościuszki,
West Point,
1986 r.

³⁵⁴ Eugeniusz Witt (1922–2015), żołnierz armii gen. Andersa. Wyszkolony jako cichociemny w Szkocji. Po zakończeniu drugiej wojny adiutant gen. Bortnowskiego. W 1949 wyemigrował do USA. Członek SWAP w Nowym Jorku 1949–1953. Od 1953 członek SPK, pełnił m.in. funkcję komendanta koła w Nowym Jorku i członka władz centralnych. Od 1970 ponownie członek SWAP. Adiutant generalny SWAP 1985–2009.



Miejsce na rzece Hudson, gdzie Tadeusz Kościuszko rozwiesił łańcuch, by zatrzymać okręty brytyjskie

informacje o parafiach polskich lub Polakach w parafiach można znaleźć w publikacjach wydawanych z okazji jubileuszu parafii. Niemalże każda może się taką książką pochwalić. Oczywiście znałem je i sporo ich miałem, ale ich wartość dla badań historycznych jest mniej więcej podobna do ustnych relacji świadków.

Z Rochester zatem zrezygnowałem. W Buffalo atmosfera była bardziej życzliwa, nawet mógłbym na krótki czas zamieszkać w jednej z parafii. Ale odległość nie była duża i wolałem dojeżdżać z Cohocton, zwłaszcza że każdego ranka odprawiałem mszę św. w czasie nieobecności Kazika. Archiwum jako takiego nie było. W kancelarii kurii biskupiej był jeden obszerny pokój z metalowymi szafami. W głębokich szufladach poustawiano teczki.

Przyjął mnie uśmiechnięty kapłan, którego funkcji nie rozeznałem. W biurze był sam i natychmiast zapytał, jak długo chcę w tym pomieszczeniu przebywać. Spojrzałem na spory rząd szaf i oświadczyłem, że co najmniej trzy-cztery godziny. Ogromnie się ucieszył. Musiał na dłuższy czas opuścić biuro i potrzebował kogoś, kogo mógłby zostawić na miejscu. Dał mi klucz i pokazał, gdzie mam go schować, gdybym wychodził wcześniej. Zdążyłem go tylko zapytać, gdzie szukać. Pokazał na szafy.

– A w jakiej cenie są kserokopie?

Mrugnął porozumiewawczo i powiedział, że dla mnie bezpłatnie. Pierwszy raz się spotkałem z tak miłym przyjęciem, choć nie mogę nic ująć przemilemu ks. Fieldowi. Przeglądając ogromne szuflady, w których spodziewałem się znaleźć ciekawe materiały, natrafiałem na mało znaczące pisma, głównie wycinki z gazet i jakieś broszury. Wszystko to nie miało jakiegos określonego porządku i żeby coś znaleźć, trzeba było przekładać papier po papierze. Wyszedłem, zanim ów uprzejmy ksiądz wrócił, ale zapowiedziałem kolejną wizytę. Miałem jeszcze nadzieję, że może starsze dokumenty przechowywane są gdzie indziej. Rozmowa z nim następnego dnia nie przyniosła

jednak oczekiwanych rezultatów. Wyjaśnił mi, że po załatwieniu jakiejś sprawy, po upływie pewnego czasu papiery z nią związane są niszczone, nie są już bowiem nikomu potrzebne, a zajmują miejsce. Powinny je przechować parafie, jeśli uważają, iż pisma te mają dla nich znaczenie. Uśmiechnąłem się tylko. Byłem w kilku, moim zdaniem, wzorowych parafiach, ale



Widok
na rzekę
Hudson

porządek znalazłem tylko w księgach dotyczących spraw finansowych. Była to już epoka upowszechniających się komputerów. Jeden z proboszczów tłumaczył mi, że w przyszłości wszystko, co nie dotyczy wiarytelnosci, po czasie zniknie z pamięci komputerowej. Wówczas jeszcze nie potrafiłem posługiwać się komputerem, więc trudno mi to było sobie wyobrazić.

Z Buffalo wywoziłem bardzo niewiele materiału, głównie spisy duchowieństwa z końca XIX w. wraz z placówkami obejmowanymi przez poszczególnych księży.

W sumie moja kwerenda archiwalna w USA, a byłem zasadniczo w archiwach kościelnych, dała mi bardzo niewiele. W Chicago, gdzie byłem tylko przejazdem, ale przeprowadziłem sondaż w sprawie ewentualnej spuścizny aktowej szkoły prowadzonej przez zmartwychwstańców, także się przekonałem, że takie pozostałości urzędowania jak korespondencja – nawet ta z władzami kościelnymi i podobne pisma – była po pewnym czasie niszczone. Teczki personalne były z reguły puste. Można było liczyć jedynie na akta dotyczące spraw majątkowych. Co jakiś czas instytucje kościelne, w tym także parafie, wydawały *memorial books* – opracowania z racji rocznic i jubileuszów. Uważano, iż taki materiał historyczny jest w zupełności wystarczający. Można było mieć co do tego wątpliwości, ale zbytnia natarczywość w poszukiwaniu źródeł była przez odpowiednie instancje kościelne źle widziana. Najlepiej przedstawiały się archiwa w Filadelfii, Yonkers (diecezja nowojorska – Manhattan) i w diecezji Newark (Seton Hall).

Mimo to nie można całkowicie lekceważyć materiałów, które przywiozłem z USA, a był ich spory karton. Do dziś nie mogę znaleźć wytłumaczenia, w jaki sposób zaginęły. Z pomieszczeń Zakładu Historii Kościoła, z Katedry Historii Kościoła w XIX i XX w., gdzie w pudłach przechowywałem materiały dotyczące Polonii amerykańskiej, część stanowiąca owoc mojej kwerendy amerykańskiej, w tym wiele tekstów z internetu, przesyłanych mi m.in. z Kanady, po prostu przepadła. Tajemnicze zniknięcie z chwilą, kiedy przechodziłem na emeryturę i opuściłem to pomieszczenie. Wszystkie inne dokumenty do mnie wróciły. Słyszałem takie powiedzenie: kto ma szkodę, ten ma grzech. Tyle można i tu powiedzieć. Bardzo żałuję, że tak się stało. Miałem plan książki na temat roli Kościoła w procesie wczesnego osiedlania się Polaków w USA. Nic z tego nie wyszło. Rezultatem mojego pobytu w Stanach jest jeden artykuł naukowy oparty na materiałach SWAP i kilka drobnych publikacji. Mało, jak na tak wielki wysiłek podjęty w badaniach archiwalnych i bibliotecznych.

Do wyjazdu ze Stanów pozostało już niewiele czasu. W Cohocton poznałem wiele ciekawych osób, w tym państwa Schneiderów mieszkających w malowniczym domku na skraju lasu. Oboje byli bardzo religijni, spotykałem ich niemal codziennie, przynajmniej Johna, w kościele. Cohocton to była wieś zamieszkała przez osadników niemieckich, ale już w którymś pokoleniu żyjących w USA, toteż występowały tam obficie nazwiska niemieckie, często bardzo zniekształcone. Była inna rodzina o tym samym nazwisku, ale pisała się w angielska Shnyder i pan, ilekroć mnie spotkał, nie omieszkął podkreślić, że pisze się przez „es” „ejdz”, czyli „sh”. Dziwna rzecz, jaką wagę przykładano do takich, zdawać by się mogło, drobiazgów.

Obie wspomniane wsie, zwłaszcza Perkinsville, były zamieszkałe głównie przez Amerykanów pochodzenia niemieckiego. Pokazywali mi stare listy od rodziny w Niemczech. Przechowywali je w laminowanych obwolutach, ale treści ich absolutnie nie rozumieli. Pochodziły z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych XIX w., niemal wszystkie wysłano z wiosek Frankonii. Miałem sporo czasu, więc wziąłem się do ich tłumaczenia. Wzbudziło to ogromne zainteresowanie. Kilka rodzin postanowiło odwiedzić okolice swych przodków. W Perkinsville zachowały się liczne tradycje niemieckie. Napisy na haftowanych ręcznikach wiszących w kuchniach. Potrafiono mi powiedzieć, co oznaczają, ale języka niemieckiego nie znał właściwie nikt. Pierwszej czy drugiej niedzieli, kiedy sprawowałem tam liturgię, ktoś się poskarżył, że od lat nie mają księdza pochodzenia niemieckiego. W zakrystii wisiało kilkanaście portretów ongisiejszych duszpasterzy – wszyscy

o typowo niemieckim wyglądzie. Po mszy św. zapowiedziałem, że przyjadę tu jeszcze tylko jeden raz przed moim powrotem do Polski, ale za to wygłoszę kazanie po niemiecku. W kościele znać było poruszenie. Później podeszli do mnie jeden ze starszych parafian oraz nauczycielka i poprosili, żebym tego nie robił, bo nikt mnie tu nie zrozumie.

Z wdzięczności za tłumaczenie listów zaproszono mnie na obiad. Do stołu podano *sauerbraten*³⁵⁵ – typowo niemieckie jedzenie. Co więcej, przyrządzone tak tradycyjnie, że nawet w Niemczech nigdy takiego nie jadłem. Powiedziałem to gospodyni, starszej już pani, a ona pochwaliła się, że przepis otrzymała od babki, która jako dziewczynka wyjechała z Niemiec. Jak się okazało, wśród Amerykanów pochodzenia niemieckiego, podobnie jak pośród starej Polonii, przywiązanie do kraju pochodzenia przejawia się w zachowaniu pewnych – nie zawsze najważniejszych – tradycji, natomiast rzadko w znajomości języka. Niezwykle ważne jest duszpasterstwo w języku kraju pochodzenia, ale ono powoli zanika, to rozdrobnienie etniczne w Kościele nie podoba się bowiem władzom kościelnym. Nie znaczy to wcale, że biskupi mający w swych diecezjach wiernych pochodzenia polskiego nie starają się choćby łamaną polszczyzną do nich przemawiać.

Z Amerykanami pochodzenia niemieckiego spotykałem się także na uniwersytecie. Niektórzy znali język, ale niechętnie się nim posługiwali. Bardzo dobrze znał go powojenny emigrant, *provost*, czyli prorektor. W czasie naszego pierwszego spotkania, mile zaskoczony, że władam płynnie niemieckim, rozmawiał ze mną w tym języku, ale był – jak mi się wydawało – jakoś dziwnie zdenerwowany i spoglądał co chwilę na drzwi. Na koniec rozmowy rzekł, że w przyszłości będziemy rozmawiać po angielsku. Uśmiechnął się i dodał, że powinienem korzystać z okazji i doskonalić mój angielski. W tym względzie miał niewątpliwie rację. Wybiegłem nieco naprzód, bo moje wykłady na uniwersytecie w South Orange miały nastąpić dopiero z górą za rok. W czasie opisywanego tu pobytu przekonałem się, że potrzeba pogłębienia tej znajomości jest paląca. Mogłem się porozumiewać bez trudu w sytuacjach codziennych, ale trwający prawie godzinę wykład to zupełnie co innego. Wymaga przede wszystkim bogatego słownictwa i operowania idiomami – moim zdaniem rzeczy najtrudniejszej i nabywanej tylko przez długą praktykę. Wprost nieocenione było obcowanie na co dzień z miejscowymi i zero kontaktów z polskojęzycznymi. W Cohocton okazji do tego nie brakowało.

³⁵⁵ Niem. pieczeń z marynowanej wołowiny, danie kuchni niemieckiej.

Ciekawe było moje spotkanie z panem Jonesem, młodym farmerem, który pewnej niedzieli po mszy św. zaproponował mi odwiedziny na swojej farmie. Kazik zachęcał mnie do przyjęcia zaproszenia, pierwszy raz nawet mnie tam zawiózł. Okazało się, że farma to był tylko dodatek, a głównym zajęciem pana Jonesa było organizowanie prywatnego muzeum śmigłowców. Miał egzemplarze jeszcze całkowicie drewniane o napędzie pedałowym, ale było też kilka nowocześniejszych, aczkolwiek mniejszych egzemplarzy. Dwa ogromne wojskowe śmigłowce stały na podwórku – były w trakcie remontu. Jeden był na chodzie i w użyciu. Właściciel muzeum, były pilot helikoptera wojskowego, chyba uczestnik wojny w Wietnamie, choć mówił o tym niechętnie, był bardzo czytany i inteligentnym człowiekiem, a przede wszystkim dobrym parafianinem. Namawiał mnie, bym pomógł mu w zakupie śmigłowca radzieckiego. Czy czasem nie M 20³⁵⁶? Nie znam się na tym, więc mogłem pomylić symbole. Prowadziłem rozmowy z dyrekcją fabryki w Świdniku, ale jakieś komplikacje w związku z transferem za granicę udaremniły prawie już sfinalizowany interes.

Przykro było wyjeżdżać, bo coraz to nowi i ciekawi ludzie przewijali się przez plebanię w Cohocton. Wokoło czuć było wielką życzliwość. Może tylko jeden mały zgrzyt w czasie pobytu Kazika w Polsce zakłócił tę miłą atmosferę. Któregoś wieczora zadzwonił telefon. Myślałem, że jak zwykle dzwoni John, więc podniosłem słuchawkę i pozdrowiłem go. A tu słyszę nieznany mi głos i pytanie, z kim rozmawia. Na to ja, że to on powinien się przedstawić.

– Jestem wikariuszem generalnym diecezji Rochester. – I podałem nazwisko.

– Czym mogę służyć?

– Czy jesteś proboszczem?

– Nie, ale go zastępuję. – I dalej że, nazywam się tak i tak, jestem tu z takiej i takiej racji. Pasterz parafii musiał nagle wyjechać na kilka dni do Polski, ale wraca już... Podałem bardzo nieodległą datę. Ponieważ mój rozmówca jak gdyby się nad czymś zastanawiał, spytałem, czy mam coś powtórzyć Casowi. On na to:

– Nie, ja sam muszę z nim później porozmawiać. Telefonuję, bo jakaś pani powiadomiła kurię, że proboszcz wyjechał, a w parafii jest ksiądz, który z nikim nie potrafi się porozumieć. Jeśli księdza miała na myśli, to nie wiem, o co tu chodzi...

– Ale ja wiem – odpowiedziałem.

– O co?

³⁵⁶ Chodzi prawdopodobnie o ciężki śmigłowiec produkcji radzieckiej model Mi-24.

– O to, że Cas ma tu pewne przyjaciółki, które chętnie by mu zrobiły coś złego, nie jest bowiem skłonny ulegać ich radom, które polegają na szczuciu go przeciwko osobom im niewygodnym.

Długo się śmiał i przepraszał, że tak obcesowo na początku do mnie się odniósł. Nie byłoby tego, gdyby Cas zgłosił mnie w kurii i zawiadomił o swoim wyjeździe. Rozmowę zakończyliśmy w najlepszej zgodzie. Już nawet mu nie wspominałem, że starałem się o dostęp do archiwum diecezjalnego i że z tej okazji chyba się już zetknęliśmy.

Sąsiadami kościoła i plebanii byli państwo Dispenza, Loree i Charlie. Mieli motel, ale już czuli się oboje emerytami i tylko sporadycznie podejmowali gości. Typowy włoski temperament i otwartość. Zaprzyjaźniliśmy się szybko i zapraszali mnie do siebie pod byle pretekstem. Kiedyś Charlie przyszedł i z tajemniczą miną oznajmił, że wieczorem będzie wielka niespodzianka na moją cześć, wkrótce bowiem wyjeżdżam i będzie smutno, jako że Cas nie ma poczucia humoru, czego mi ponoć nie brakuje. Byłem ciekaw, co to takiego.

Powitał mnie znany zapach placków kartoflanych. Charlie chwalił się, że takich placków jak on nikt nie potrafi usmażyć. W rzeczy samej, były miękkie i grube, ale wcale mi jakoś nie smakowały. Zaproponowałem więc, że zrobimy zawody, ja też chcę pokazać, co potrafię. Zgodził się skwapliwie. Zażądałem tarki i utarłem ziemniaki zamiast przerabiać je, jak robił to Charlie, w mikserze. Przyprawiłem ciasto po naszymu, a przede wszystkim smażyłem cienkie, chrupiące placuszki. Loree śmiała się z małżonką, zachwalając mój produkt. Sam gospodarz przyznał niechętnie:

– Są jadalne.

Zaraz jednak wyliczył zalety swoich własnych placków. Tego dnia przyjechała przybrana córka państwa Dispenza, niewiasta, powiedziałbym, puszysta. Placków był jeszcze kopiasty talerz, a amatorów już zabrakło, zaanektowała zatem całość i orzekła:



W Cohocton
z Charlim
i Loree Dispen-
za, 1986 r.

– Tata musi wziąć od księdza Zygmunta przepis, bo to, co on usmażył, to zupełnie co innego.

Charlie czuł się zdruzgotany. Na pociechę poprosiłem go, by poprawił moje sprawozdanie z pracy przygotowane dla Uniwersytetu w Waszyngtonie. Ogromnie się ożywił i zażądał, żebym je natychmiast przyniósł. Uważał się za łebkiego stylistę angielskiego i chyba nim był. Moje sprawozdanie trzymał dwa dni, w trakcie których dzwonił do mnie po kilka razy i zapewniał, że musi wnieść sporo poprawek, ale to dla mojego dobra, bo lepiej wypadnę na uniwersytecie. Okazało się później, że poprawek tych wcale nie było wiele, bo też tekst zawierał głównie nazwy 10 bibliotek naukowych, z których korzystałem, oraz 7 archiwów kościelnych i świeckich. Poza tym były tam adresy (w sumie 5) moich kwater oraz sumaryczna charakterystyka pozyskanych materiałów.

Ogromna skrupulatność ojca McLeana – o czym już wspomniałem – w egzekwowaniu mojej pracy naukowej, jaką winienem prowadzić jako stypendysta Catholic University of America, budziła moje spore zdziwienie, spotykałem bowiem w USA stypendystów polskich uczelni wyższych, KUL nie wyłączając, którzy w czasie swego pobytu po prostu podejmowali pracę „na czarno”. Zarabiali niekiedy sporo pieniędzy, ale w najmniejszym stopniu nie wypełniali zobowiązań wynikających ze stypendium. Nie wiem, jak ich rozliczano. Podobnie bywało ze stypendiami w zachodniej Europie, np. w wypadku Konrad-Adenauer-Stiftung, z którego też korzystałem. Podobno *conditio sine qua non*³⁵⁷ przyznania stypendium była znajomość języka niemieckiego. Wydawało się to oczywiste. Jakże inaczej można korzystać z materiałów w niemieckich archiwach i placówkach naukowych? Każdy stypendysta musiał odbyć na początku swego pobytu rozmowę z dyrektorem fundacji. Mimo wszystko znałem przypadki, że korzystający ze stypendium nie znali jednego słowa po niemiecku, w dodatku w RFN przebywali tylko tyle czasu, ile było potrzeba do podjęcia stypendium – chociaż jednym z warunków jego uzyskania była praca na terenie Niemiec. Nazywało się to potocznie zręcznością w zdobywaniu funduszy, rzekomo na pracę naukową, najczęściej po prostu na powiększenie swego stanu posiadania. Nasłuchiwałem się o takich ludziach sporo kąśliwych uwag. Sugerowano niekiedy, że to powszechna właściwość Polaków. Niezmiennie odpowiadałem, iż wina leży po stronie donatorów. Wiedzą, jak się sprawy mają, a stypendium przyznają z różnych względów, najczęściej politycznych. Nie zaprzeczali,

³⁵⁷ Łac. warunkiem niezbędnym.

ale czuć było pogardę w ich podejściu do nas. Nic nie pomagało, że przecież mnie tego zarzucić nie mogli, bo chociażby materiały zebrane w archiwum Auswärtiges Amt wysyłano mi pocztą dyplomatyczną i doskonale wiadano, jak obfity był plon mojej pracy. Działął stereotyp chytrego Polaka.

Znowu dygresja i wyraźne zamieszanie w chronologii tekstu, ale pewne sprawy są wspólne dla wielu różnych okoliczności przeżywanych za granicą i nie tylko. Należą do nich m.in. sposoby korzystania ze stypendiów, zwłaszcza zagranicznych. Można by o tym napisać opasły tom. Czy koniecznie trzeba? Chyba nie, ale problem musi być choćby odnotowany i niniejszym to właśnie czynię. Muszę dodać na chwałę innym stypendystom, że ich praca budziła wśród Niemców rzeczywisty podziw. Taką opinię słyszałem o prof. Karolu Joncy z Uniwersytetu Wrocławskiego, z którym pracowałem jednocześnie w archiwum Auswärtiges Amt. Ale o tym wspomniałem już w innym miejscu.

Wracałem do kraju z pewnym niedosytem. Bardzo wiele sobie obiecałem po Chicago, podobnie chciałem być w Orchard Lake i moje odwiedziny tam już prawie były umówione, ale mój upór, by „załatwić” archiwa na wybrzeżu wschodnim, przynajmniej w pasie od Filadelfii do Connecticut, i doznane tam niepowodzenia, zwłaszcza czekanie, zwłoka, a w rezultacie rezygnacja z tego, co nieosiągalne (Brooklyn), lub strata czasu po to, by stwierdzić, że nie było warto się trudzić – wszystko to zabrało mi czas. Zupełnie niepotrzebnie straciłem dwa tygodnie w Waszyngtonie. To było dobre dla zwiedzania, ale nie dla pracy, którą miałem wykonać. Siedziałem tam „dla przyzwoitości”, na ogół bowiem stypendyści większość czasu spędzali na miejscu, jako że badania teologiczne czy z dziedziny filozofii wymagały pracy w bibliotekach. Wśród osób dyrygujących stypendystami nie było ani jednego historyka. Nie doszło – mimo że o to zabiegałem – do spotkania z którymś z historyków zajmujących się Kościołem. Był tam podobno jakiś znaczący luminarz w tym fachu, ale chwilowo nieobecny. Spotkałem się z kilkoma socjologami.

W sposób szczególnie pozostała w pamięci rozmowa z prof. Johnem Kromkowskim³⁵⁸, który zaprosił mnie do swego zakładu na kawę. Profesor niewątpliwie był znakomitością, przewodniczył National Center for Urban Ethnic Affairs³⁵⁹, ważnej

³⁵⁸ John Kromkowski (ur. 1939), historyk i socjolog. Profesor Instytutu Nauk Politycznych i Badań Katolickich na Katolickim Uniwersytecie Ameryki. Przewodniczący National Center for Urban Ethnic Affairs od 1990. Specjalista w zakresie badań nad mniejszościami etnicznymi.

³⁵⁹ Organizacja *non profit* założona w 1970 w Waszyngtonie, zajmująca się badaniami nad funkcjonowaniem mniejszości etnicznej w miastach i promująca pluralizm kulturowy.

instytucji ogólnamerykańskiej, szukałem więc we wskazanym mi gmachu jakiegoś eleganckiego gabinetu. Może dwukrotnie przeszedłem obok otwartych drzwi pomieszczenia, w którym za stertą książek leżących na biurku siedział jakiś mężczyzna i coś pisał. Inne drzwi na parterze były pozamykane, co było zrozumiałe, gdyż było późne popołudnie, w dodatku wakacje. Zapytałem ochroniarza, który pilnie mi się przypatrywał, gdzie mogę zastać prof. Kromkowskiego. Wskazał na otwarte drzwi. Zapukałem i jeszcze nie zdążyłem przekroczyć progu, a profesor już podążył w moją stronę, zręcznie omijając książki poukładane w słupkach też na podłodze. Na niższej sterce na biurku dostrzegłem, jak to się u nas mówi, kubas kawy.

– Musisz mi wybaczyć dwie rzeczy. Po pierwsze, że już wypilem swoją kawę, którąś z kolei dnia dzisiejszego, a po drugie, że nie mówię po polsku. Trochę rozumiem, ale jeśli nie robi ci to różnicy, będziemy mówić po angielsku.

Zapewniłem go, że koniecznie muszę ćwiczyć angielski, szukam zatem okazji, by mówić w tym języku.

– O, tej ci nie zabraknie – zapewnił. – Masz kłopoty z akcentowaniem, ale znasz wiele słów, to już dobrze.

Zaczęliśmy mówić o aktualnych problemach polonijnych. Nie był na bieżąco, narzekał na przeciążenie pracą i ten mankament językowy, który na ogół nie pomaga w nawiązywaniu kontaktów polonijnych. Dał mi wtedy wydaną w 1980 r. książkę Philipa Rosena, *The Neglected Dimension. Ethnicity in American Life*. Książka ogromnie pożyteczna dla studiów nad grupami etnicznymi w USA, a zarazem tak typowo amerykańska. Aż się prosi zapoznać ze źródłami, na których autor oparł swe tezy i stwierdzenia. Owszem, są odwołania w tekście, ale nieliczne i nie zaspokajają ciekawości czytelnika zainteresowanego problemem w szerszym wymiarze. Profesor przyznawał, że jest to mankament, ale w porównaniu z bardzo trafnymi spostrzeżeniami autora, jest do wybaczenia. Później niejednokrotnie stwierdziłem, że pedantyczność w dokumentowaniu dzieła, właściwa twórczości europejskiej, w USA traktowana jest raczej jako czczy formalizm. Pewnie, że nie jest to sąd całkowicie nieuzasadniony, ale *in medio virtus*³⁶⁰.

Rozmowa z prof. Kromkowskim dała mi wiele do myślenia i należała do ważniejszych w czasie tego pobytu w USA. Przede wszystkim potwierdził on moje poglądy na pracę wśród Polonii. Często traktuje się ją jako polską enklawę za granicą. Nie rozumie się patriotyzmu amerykańskiego tych ludzi, wymaga się

³⁶⁰ *Łac.* cnota leży pośrodku.

go w stosunku do ojczyzny przodków. W wielu wypadkach dochodzą do tego oczekiwania jej wspierania materialnego albo nawet konkretnie – finansowania napotkanych rodaków. Z bardzo wielką troską mówił o najświeższej imigracji, tej z okresu stanu wojennego i czasów późniejszych. Nie chodziło tylko o roszczenia tych ludzi. One byłyby w końcu zrozumiałe, choć niekoniecznie chwalebne, ale – i to jest chyba najważniejsze – o pęd do nazbyt szybkiej asymilacji. Trzeba się asymilować, ale dopiero kiedy się zaprezentuje społeczeństwu, w które chce się wejść, swą tożsamość. To, kim jesteś. Tylko ktoś, kto pokazał, ile jest wart, może się starać o wstęp do zupełnie dla siebie nowego świata. Asymilacja nie może być automatyczna ani też zależna tylko od czasu przebywania w USA. Musi być przede wszystkim dojrzała i nie może gubić dorobku przeszłości. Wielu, niestety, chciałoby ją jak najszybciej zatrzeć. Te tematy wracały później w wielu innych rozmowach.

Ze spotkania z prof. Kromkowskim wyniosłem wrażenie, iż w USA ważna jest nie tyle forma, ile treść spotkania. Później, gdy ktoś mnie zapraszał na kawę, wiedziałem już, że nie chodzi o kawiarniane *tête-à-tête*, ale o rozmowę, załatwienie jakiejś sprawy, przy czym kawa jest tu najmniej ważna i w ogóle nie przypomina tego napoju zamawianego w europejskich lokalach. Smakoszów kawy można, a nawet trzeba przestrzec przed jej wydaniem amerykańskim.

W ogóle trzeba stwierdzić, że taki wyjazd naukowy ma w sobie wiele przypadkowości, a ważne momenty pojawiają się jak rodzynki w cięście. W USA poznałem bardzo wielu ludzi i każdy był w jakiś sposób ważny, ale dopiero jakaś rekapitulacja tych spotkań wyróżniała przypadki naprawdę coś wnoszące. Rozmowa z prof. Kromkowskim była wyjątkowa na tle wszystkich odbytych w czasie tego pobytu. Wyjaśniała sprawy, do których musiałbym docierać drogą żmudnych studiów, a i to nie wiadomo, z jakim powodzeniem. Podobnie oceniam rozmowę ze starszą kobietą w mieszkanku na Richmondzie w Filadelfii.

Pobyty mój na stypendium Catholic University of America był pracowity i ogromnie mobilny, co budziło zdziwienie, a nawet zaniepokojenie moich opiekunów w Waszyngtonie. Dotykam tu pewnego problemu związanego w ogóle z korzystaniem ze stypendiów. Gdybym siedział przez pięć miesięcy w Waszyngtonie, nikt by nie kontrolował, co robię – czytam w bibliotece powieści czy śpię. Byłbym na widoku i wszystko byłoby w porządku. Tak postępowało wielu stypendystów, okazjnie w niedziele pomagających w parafiach. Można było zmienić stypendium w długi i bardzo wygodny urlop. A sprawozdanie? Nic trudnego. Streścić kilka książek, ładnie

zredagować. Usiłowałem zebrać jak najwięcej materiału w różnych archiwach, nie mogłem zatem siedzieć na miejscu, na widoku. Budziło to niepokój i podejrzenia, że to właśnie ja zbijam bąki. Zastanawiałem się, skąd takie pomieszanie pojęć. Odpowiedź jest prosta. Mój opiekun miał do czynienia z teologami, historyk Kościoła ponoć nie korzystał dotąd ze stypendium. Wniosek wynika z tego taki, że prowadzący stypendystę winien orientować się w dziedzinie, którą tamten reprezentuje. Stypendia często są marnotrawione, niejeden traktuje je jako zasiłek pieniężny pomocny w realizowaniu innych zamierzeń, a nie tych, do których zobowiązuje stypendium. Ciekawe, że władze uczelni nie potrafią sobie z takimi sprawami poradzić.

W Kanadzie

Nie chciałem odchodzić od tematyki „zamorskiej”, napiszę więc o kolejnym wyjeździe za ocean. Tym razem miała to być Kanada. Pomysł krótkiego, bo zaledwie dwutygodniowego pobytu wyszedł od mec. Ryszarda Tyndorfa³⁶¹ z Oakville w Ontario. Mecenas, z którym byłem w kontakcie od lat, podobnie jak ja był zainteresowany stosunkiem Kościoła katolickiego w Polsce do Żydów w czasie okupacji niemieckiej, ściślej mówiąc – pomocą niesioną Żydom przez osoby i instytucje kościelne. Mój referat wygłoszony w Jerozolimie w 1982 r. poświęcony był działalności zakonów żeńskich na tym polu. W następnych latach próbowałem rozszerzyć moje zainteresowania na całe duchowieństwo i inspiracje pana Tyndorfa były tu jeśli nie decydujące, to w każdym razie bardzo ważne. Działając w ramach Kongresu Polonii Kanadyjskiej³⁶², zorganizował on zaproszenie mnie do Kanady i załatwił wszystkie formalności z tym związane. W drugiej połowie listopada miałem zaplanowane wystąpienia w następujących instytucjach: w Toronto w Klubie Inicjatyw Katolickich i w Fundacji im. Adama Mickiewicza, w Mississauga w parafii św. Maksymiliana Kolbego, w Ottawie w Fundacji Adama Mickiewicza i na Uniwersytecie Carleton oraz w Montrealu w Polish-Jewish Heritage³⁶³. Tematyka była zróżnicowana i dotyczyła pierwszych wieków chrześcijaństwa w Polsce i wpływów Kościołów zachodniego i wschodniego, genezy powstania

³⁶¹ Ryszard Tyndorf, działacz polonijny w Kanadzie, członek rady programowej czasopisma historycznego „Glaukopis”.

³⁶² Kongres Polonii Kanadyjskiej – najważniejsza organizacja Polonii kanadyjskiej założona w 1944. Zarząd Główny i Rada Kongresu mają siedzibę w Toronto. Związek liczy 13 okręgów lokalnych, które znajdują się w głównych miastach i prowincjach Kanady, wszędzie tam, gdzie istnieją większe skupiska Polonii.

³⁶³ Kanadyjska Fundacja Dziedzictwa Polsko-Żydowskiego została założona w 1988. Zrzesza Polaków i Żydów w celu lepszego poznania polsko-żydowskiej spuścizny kulturalnej.

Kościoła unickiego i obecnych relacji między Kościołem katolickim a prawosławnym w Polsce. W Montrealu mówiłem o wkładzie Kościoła w ratowanie Żydów. Tematy były nieprecyzyjne, a ponadto w ogłoszeniach zmieniono ich brzmienie i trzeba było je uściślać już wobec audytorium. Dwie prelekcje poświęcone ratowaniu Żydów, jedna w Toronto, a druga w Montrealu, wywołały – zwłaszcza ta ostatnia – dyskusję, w której pewne osoby wyrażały niezadowolenie z powodu zbyt jednostronnego, ich zdaniem, przedstawienia przeze mnie pomocy Kościoła w Polsce prześladowanym Żydom. Faktu tej pomocy nie negowano, ale trzeba go było konfrontować także z całkowicie odmiennym zachowaniem niektórych osób duchownych. Ton dyskusji mnie nie dziwił, uczestnicząc w licznych konferencjach poświęconych temu zagadnieniu, zawsze spotykałem się z podobnymi zarzutami. Nie zawsze pochodziły one od strony żydowskiej. Bywało też, że Polacy wykazywali w tym względzie więcej energii niż ocalałe ofiary Holokaustu.

Problemem zajmowałem się od kilkunastu lat i uczestniczyłem w wielu dyskusjach dotyczących stosunku duchowieństwa do Żydów w czasie wojny. Zaobserwowałem pewne zjawisko. Otóż dyskutanci żydowscy mający w tej materii coś do powiedzenia w czasie obrad wyrażali zazwyczaj poglądy powszechnie akceptowane przez środowiska żydowskie, tzn. albo umniejszali pomoc niesioną wówczas Żydom, albo wskazywali na działania przestępcze ze strony niektórych Polaków. To drugie oczywiście zachodziło, ale nie świadczyło o nastawieniu ogółu. Kiedy ci sami ludzie znaleźli się na osobności, bywało, iż prezentowali zdanie odbiegające od wypowiedzanego *in gremio*³⁶⁴. Jeden z rozmówców powiedział mi wprost, że pretensje podnoszone przez jego rodaków wynikają z traumy, o której nie mogą zapomnieć, i szukają winnych. Jego zdaniem jednakże, gdyby to Polacy znaleźli się w sytuacji, w jakiej byli wówczas Żydzi, gdyby za ich ratowanie groziła śmierć, Żydzi zapewne nie podaliby ręki prześladowanym.

– Co więcej – oświadczył – nie można by im z tego powodu czynić zarzutów.

Dlatego też osobiście, chociaż na zewnątrz trzeba było manifestować solidarność z własnym narodem, szkalowanie Polaków uważał za naganne. W końcu jeśli pewna liczba Żydów ocalała, to właśnie dzięki Polakom, podobnie jak jeśli wielu Polaków zginęło, to m.in. za ratowanie Żydów. Spytałem go, czy powtórzy to następnego dnia w czasie obrad. Nie odpowiedział nic, ale jak mówi niemieckie

³⁶⁴ Łac. zbiorowo; tu: w większym towarzystwie.

przysłowie: *Keine Antwort ist auch eine Antwort*³⁶⁵. Nie przekonał mnie swymi wywodami, ale jedno mu się udało – straciłem ochotę na poważne zajmowanie się tą tematyką. Nie warto, jeśli nie można dojść do jakiejś rozsądnej konkluzji. Polacy, którzy bezmyślnie opluwają własny naród, nawet w środowiskach żydowskich są traktowani z przymrużeniem oka. W Kanadzie, w rozmowie kularowej, ktoś opowiadał mi o pewnej pani z ŻIH, nie-Żydówce, że jej zaciekłość nie służy wcale sprawie żydowskiej, lecz jest wyrazem chęci okazania się bardziej żydowską niż jakikolwiek Żyd. To samo słyszałem później niejednokrotnie z ust Dory Kacnelson³⁶⁶, którą wspominam miło i z wielkim szacunkiem, a przecież była Żydówką w każdym calu i była z tego dumna.

Pozytywnym odzewem mego wystąpienia w Montrealu była inicjatywa Anny Poray-Wybranowskiej³⁶⁷, osobistości, której zasługi w rejestracji i dokumentacji faktów pomocy Polaków Żydom w czasie wojny oraz poniesionych z tego tytułu przez Polaków ofiar są wprost nieocenione. Z pewnością przeceniając istniejące możliwości w tym przedmiocie, ofiarowała 1200 dolarów osobie, która zajęłaby się tematem ratowania Żydów przez Polaków w czasie II wojny światowej. Jej osobista aktywność koncentrowała się na wnioskowaniu o dekorowanie Polaków odznaczeniem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata. W czasie, o którym mowa, sfinalizowała już 50 takich odznaczeń. O moim wystąpieniu pisała do rektora KUL ks. Stanisława Wielgusa:

Poruszyła mnie b[ardzo] wizyta ks. prof. Zygmunta Zielińskiego. Świetna jego praca o ratowaniu Żydów przez Kościół katolicki powinna być rozszerzona na wszystkich Polaków...

Najwyraźniej nie takiego zdania były dwie panie, jedna Żydówka, druga Polka (nazwiska pominę), które także poruszył mój referat, ale w sensie negatywnym, ponieważ nie powiedziałem nic złego o Polakach. Odpowiadając wówczas na te obiekcje, wyjaśniłem, że bynajmniej nie twierdzę, iż Polacy zawsze zachowywali

³⁶⁵ Niem. Brak odpowiedzi jest też odpowiedzią.

³⁶⁶ Dora Kacnelson (1921–2013), historyczka pochodzenia żydowskiego, slawistka, doktor literaturoznawstwa. Absolwentka Uniwersytetu Leningradzkiego. Autorka wielu prac dotyczących polskich Kresów Wschodnich.

³⁶⁷ Anna Poray-Wybranowska (1919–2013), doktor politologii, bibliotekarka, działaczka polonijna, badaczka relacji polsko-żydowskich. Od 1961 mieszkała na stałe w Kanadzie. Twórczyni organizacji charytatywnej „Pro Jusitia”. Współtwórczyni i inicjatorka powołania Komitetu dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów.

się bez zarzutu, ale temat mój nie temu zagadnieniu był poświęcony. Reakcją obu pań byłem zaskoczony. Nie sformułowały one właściwie żadnego konkretnego zarzutu wobec mnie, a raczej mej prelekcji, były tylko ogólnie zawiedzione, że w taki, a nie inny sposób przedstawiłem pomoc ludzi Kościoła Żydom w czasie okupacji. Polka, kiedy poprosiłem ją, żeby sformułowała konkretne dezyderaty dotyczące mojego wystąpienia, powtarzała tylko jedno zdanie:

– Po prostu nie wypada tak mówić...

Jej przyjaciółka – Żydówka – mówiła niewiele, ale spostrzegłem, że była także niezadowolona.

Ten sposób reagowania w podobnych sytuacjach był właściwie powszechny w czasie sympozjów poświęconych Holocaustowi. Wykluczało to jakąkolwiek rzeczową dyskusję. Uczestniczyłem w kilku takich spotkaniach i zawsze było tak samo. Jeśli nie powiedziało się czegoś złego o Polakach, dawano do zrozumienia, że wystąpienie nie zasługuje na jakąkolwiek uwagę.

Pamiętam sympozjum w Provo w Utah, gdzie także miałem referat. Zwykle, jeśli audytorium – a w większości stanowili je Żydzi – nie było zadowolone z wykładu, zwyczajnie go ignorowało, nie podejmowano nawet dyskusji. Tak było i tym razem. W kuluarach podszedł do mnie starszy pan i bardzo uprzejmie poprosił o rozmowę. Zapytał mnie, jak rozumiem antysemityzm. Zacząłem mówić o rasizmie jako źródle wszystkich ksenofobii, bo w gruncie rzeczy antysemityzm do tego gatunku wykluczeń należy. Gdy następnie wspomniałem o polityce III Rzeszy, ten pan stracił zainteresowanie dalszą rozmową i grzecznie mi oznajmił, że nie chce nadużywać mojego czasu. Oczywiście rozmowa potoczyłaby się inaczej, gdybym zaczął od antysemityzmu polskiego.

Żydzi niechętnie mówili o stosunku Niemców do nich w czasie rządów hitlerowskich. Nie chcieli dopuścić myśli, że przeciętny Niemiec popierał ich eksterminację przez reżim III Rzeszy. Nic dziwnego, skoro do czasów jej nastania Żydzi w Niemczech byli zagorzałymi patriotami niemieckimi. Z pierwszej wojny światowej to oni wynieśli najwięcej Krzyży Żelaznych. Trudno przyjąć do wiadomości odrzucone uczucie. Oczywiście niczego nie chcę uogólniać. Równie wiele miałem spotkań z Żydami myślącymi zupełnie innymi kategoriami. Wspominam zmarłego jakiś czas temu Józefa Kutrzebę³⁶⁸, którego niezwykle ciekawy pamiętnik ukazał

³⁶⁸ Józef Kutrzeba, właśc. Józef Fajszwis (1927–2013), polsko-amerykański producent filmowy i teatralny pochodzenia żydowskiego. Członek młodzieżowej grupy oporu w czasie powstania w getcie warszawskim. Po zakończeniu powstania udało mu się zbiec. Zaopiekował się nim ks. Stanisław

się także w języku polskim, prof. Bemporada³⁶⁹, panów Silvermana³⁷⁰ i Smuschkowitza, wielu spotkanych w innych okolicznościach.

Moja obecność w Kanadzie miała jednak pozytywny rezultat w zupełnie innym wymiarze. Zapoczątkowała moją współpracę z panem Tyndorfem. W internecie można znaleźć obszerną pracę na temat ratowania Żydów przez Kościół w Polsce w czasie okupacji niemieckiej. Jest tam także mój mikroskopijny wkład. Istnieje ona w wersji anglojęzycznej, oby jak najszybciej ukazała się także po polsku. Pan Tyndorf jest dobrym duchem tego przedsięwzięcia. Tytuł pracy to: *Wartime Rescue of Jews by the Polish Catholic Clergy*³⁷¹. Liczy ona ponad 350 stron bez tabel i wykresów, przy czym są to wyłącznie różnego typu źródła, w tym wiele relacji zaczerpniętych z pamiętników i publikacji żydowskich; pan Tyndorf od kilkunastu lat dokonuje uzupełnień na podstawie nowych materiałów. Moja współpraca z nim polega raczej na służeniu mu, w miarę moich możliwości, pomocą w weryfikacji pozyskanych źródeł, w żadnym zaś wypadku nie ma związku z samym redagowaniem dzieła, co jest wyłączną zasługą pana Tyndorfa.

W Toronto, gdzie zatrzymałem się w parafii św. Stanisława Kostki na Denison, prowadzonej przez księży oblatów, przeżyłem bardzo wzruszającą chwilę. Telefonicznie poprosili o widzenie ze mną dwaj panowie – Peter Silverman i David Smuschkowitz. Zjawili się punktualnie na plebanii, gdzie mieszkałem, i oświadczyli, że są Żydami, ale chcieliby zamówić mszę św. za dusze dwóch kapłanów, którym zawdzięczają życie. Umożliwili oni im ucieczkę z aresztu niemieckiego pilnowanego przez białoruskich policjantów. Sami księża nie zdecydowali się na taki krok, sądzili bowiem, że Niemcy rozstrzelają wówczas wielu parafian. Obu wymienionych jednak gorąco nakłaniali do ucieczki.

Nam to nie zaszkodzi – twierdzili – a was może uratować.

Po ucieczce dwaj panowie byli w partyzantce, a po wojnie przedostali się na Zachód. Swoje przeżycia opisali w książce pt. *From Victims to Victors*³⁷². Pan

Falkowski, który pomógł mu wyrobić dokumenty na nazwisko Józef Kutrzeba. W 1950 wyemigrował do USA. Służył w armii amerykańskiej w czasie wojny w Korei (odznaczony kilkakrotnie za odwagę). Absolwent Yale Drama School. Autor wspomnień *Kontrakt. Życie za życie* (wydanie polskie: 2011).

³⁶⁹ Jack Bemporad (ur. 1938), rabin, wykładowca, dyrektor Center for Christian-Jewish Understanding at Sacred Heart University, utworzonego w 1992 w celu promowania zrozumienia międzyreligijnego i otwarcia w relacjach chrześcijańsko-żydowskich.

³⁷⁰ Peter Silverman (ur. 1934), kanadyjski dziennikarz telewizyjny.

³⁷¹ *Wartime Rescue of Jews by the Polish Catholic Clergy. The Testimony of Survivors*, red. M. Paul, Toronto 2009.

³⁷² D. Smuschkowitz, P. Smuschkowitz, P. Silverman, *From Victims to Victors*, b.m.w., 1992.

Silverman znał całego *Pana Tadeusza* na pamięć. Trudno mi było w to uwierzyć, więc za jego zgodą dokonałem kilku testów sprawdzających, ale potwierdziły one tylko prawdziwość jego słów. Opowiadanie obu panów o ich wojennych przeżyciach, z powodzeniem mogące posłużyć jako scenariusz filmu sensacyjno-wojennego, wolne było jednak od oskarżeń i kategorycznych sądów. Nawet mówiąc o tych, którzy wydawali Żydów Niemcom, usiłowali zrozumieć ich sytuację i podejmowane decyzje, choć oczywiście nie negowali przestępczości tych czynów.

Jedna z ich opowieści uderzyła mnie szczególnie. Bardzo eksponowali najmniejsze choćby gesty pomocy świadczonej Żydom. Choćby tylko okazywane im współczucie i solidarność z nimi zyskały w ich oczach wielkie uznanie. Powtarzali, że nikt nie może wiedzieć, jak by się zachowali Żydzi, gdyby się znaleźli w odwrotnej sytuacji. Przyznawali, że wstąpili do partyzantki sowieckiej, bo nie widzieli innego wyjścia, ale z Sowietami nic poza tym ich nie łączyło. Rozmowa była przyjemna, a najbardziej wzruszająca była ich obecność w niedzielę na mszy św. odprawianej przeze mnie w intencji owych zamordowanych księży. Uratowani nie znali nawet ich nazwisk.

Wspomnę jeszcze o jednym, z perspektywy czasu już zabawnym, wydarzeniu w Montrealu. Nocleg załatwiono mi w konsulacie polskim. Był koniec listopada i panowała bardzo niska temperatura, a przy tym wiał lodowaty wiatr. Pani Wybranowska, która gościła mnie po prelekcji, zawiozła mnie do konsulatu i obiecała, że następnego dnia koło południa po mnie przyjedzie. Byłem przekonany, że w konsulacie znajdę sposobność choćby wypicia czegoś ciepłego, ale poza pokojem i pościelą nie zastałem niczego więcej. Pomyślałem sobie, że prześpię się, a rano wyjdę do miasta i coś zjem w barze.

Była to sobota albo niedziela. W każdym razie konsulat był nieczynny, a zresztą pani konsul chyba gdzieś wyjechała. Wyszedłem z pokoju i ruszyłem do drzwi wejściowych, te jednak były zamknięte na cztery spusty. Chodziłem po całym gmachu – nigdzie żywej duszy. Pukałem do jednych drzwi, to znowu innych – nikt się nie odzywał. Zaszedłem do czegoś, co mogło być portiernią lub też recepcją dla interesantów. Nikogo. Zaniepokoiłem się nie na żarty, zacząłem kombinować, jak tu wyjść na zewnątrz. Była już chyba godz. 9.00. Chodząc tak po korytarzach, usłyszałem wreszcie spoza jakichś drzwi chrząknięcie czy też kaszlnięcie. Zapukałem, ale przez dłuższą chwilę panowała cisza. Nikt nie reagował. Mocniej stuknąłem w drzwi. Po dłuższej chwili otworzyły się i stanął w nich zaspany, na pół odziany mężczyzna. Wymamrotał w moim kierunku zapytanie, czego sobie życzę. Spytałem

go, kim jest i czy nie ma tu nikogo, z kim mógłbym pomówić. Przedstawiłem się i powiedziałem, iż dopiero koło obiadu ktoś tu po mnie przyjedzie. Drapał się w głowę i powtarzał, że nikogo nie ma i chyba nie będzie, a on nic o mnie nie wie. Widziałem się z panią konsul w czasie prelekcji, zapytałem więc, czy nie ma do niej telefonu, ale tylko bezradnie na mnie spoglądał. Dałem mu spokój. Oświadczyłem, że spakuję moją torbę i za pięć minut poproszę go, by mnie wypuścił z gmachu. To go wyraźnie ożywiło, skwapliwie skinął głową i znikł w swym pomieszczeniu.

Opuściłem przed czasem „gościnny” konsulat i udałem się w kierunku miasta – konsulat był raczej na przedmieściu. Trafiłem do jakiegoś baru i pokrzepiłem się ciepłym posiłkiem. Jak już zaznaczyłem, było bardzo zimno. Miasto już z grubszą obejrzałem. Perspektywa dalszego zwiedzania w tym wietrzysku wcale mnie nie pociągała. Bilet miałem na dzień następny. Postanowiłem więc skomunikować się z panią Wybranowską i powiadomić ją, że postaram się przerejestrować bilet kolejowy na dzisiaj i wyruszyć do Toronto. Aura była tam o wiele przyjemniejsza, a nadto miałem jeszcze w planie kilka spotkań, m.in. z osobami poznanymi latem 1993 r. w czasie Szkoły Kultury i Języka Polskiego w Rzymie, w której uczestniczyłem jako wykładowca. Chciałem też porozmawiać z panem Kazimierzem Lipskim, naszym kulowskim absolwentem, mieszkającym na stałe w Kanadzie i wykonującym zawód psychologa. Znałem go dobrze z Lublina. Jako student imał się różnych prac, by móc się utrzymać. Bardzo dobrze odnawiał mieszkania i w takim charakterze kiedyś go zatrudniłem.

Teraz było to miłe spotkanie, mogliśmy wspominać czasy lubelskie, a on z kolei trzeźwo i rzeczowo charakteryzował życie Polonii kanadyjskiej, w którym żywo uczestniczył. Za kilka dni odwiózł mnie na lotnisko. Tym samym samolotem odlatywała do Polski ekipa naszych aktorów – był między nimi Jan Kobuszewski³⁷³. Kazik koniecznie chciał przywitać się z tymi, których niedawno podziwiał na scenie. Przekonałem go, by tego nie robić, miałem bowiem w pamięci pewne wydarzenie z lat sześćdziesiątych lub siedemdziesiątych. Byliśmy wówczas z kolegami na Helu, tankowaliśmy paliwo, a przed nami tankował aktor Nalberczak³⁷⁴. Podeszły do niego jakieś panienki i zaczęły szczebiotać, jakie to dla nich szczęście

³⁷³ Jan Kobuszewski (1934–2019), aktor teatralny i filmowy, kabareciarz. Absolwent PSWT. Aktor teatrów warszawskich: Młodej Warszawy (później: Klasycznego), Polskiego, Wielkiego i Teatru Kwadrat, oraz Teatru Nowego w Łodzi. Związany z kabaretami: Dudek i Olgi Lipińskiej.

³⁷⁴ Józef Nalberczak (1926–1992), aktor teatralny, filmowy i telewizyjny. Absolwent Szkoły Dramatycznej Janusza Strachockiego w Warszawie oraz PWST. Występował w teatrach warszawskich, w Teatrze im. Jaracza w Olsztynie i Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi.

spotkać taką znakomitość. Chodziło oczywiście o autografy. Coś im napisał, bez słowa zresztą, a kiedy się oddaliły, powiedział do siebie czy może do nas:

– Że też nie mogą zrozumieć, że człowiek chce побыć sam, nie zawsze na scenie.

Rozumiałem go dobrze i odmówiłem podejścia do aktorów oczekujących na samolot na lotnisku w Toronto. Kazik nie bardzo to rozumiał, chciał po prostu sprawić mi radość. Każdy pojmuję ją inaczej.

Spotkanie z Kazikiem Lipskim i jego rodziną było nie tylko miłe, ale i pouczające. Uświadomił mi, jak ciężko przez dłuższy czas ma imigrant, jeśli nie chce poprzestać na myciu szyb czy naczyń w restauracjach. On, o czym dobrze wiedziałem, robiłby to bez wahania, ale miał zarazem świadomość, że potrafi robić coś innego i to nie gorzej niż tubylcy.

Mój pobyt w Kanadzie – tym razem dłuższy niż poprzednio – był jednak tylko epizodem i nie mógłbym powiedzieć, że choćby powierzchownie poznałem ten kraj. Polacy, z którymi się tam zetknąłem, a zwłaszcza pewien starszy pan, kombatant, do którego zawitałem z Kaziem Muszyńskim w czasie naszego krótkiego wypadu do Toronto, stwierdzali raczej, iż w Kanadzie żyje się im lepiej niż w USA. Pod jakim względem? Otóż może nie bytowym, ale komfort polega na większym podobieństwie Kanady do Europy. Trudno mi to potwierdzić czy temu zaprzeczyć. Ottawa zrobiła na mnie wrażenie miasta niewątpliwie europejskiego. Może trochę też Montreal. Natomiast w najmniejszym stopniu nie Toronto, typowo amerykańskie miasto.

Szkoła Letnia Języka i Kultury Polskiej w Rzymie

Wspominałem już, że latem 1993 r. uczestniczyłem w Szkole Letniej Języka i Kultury Polskiej w Rzymie. Była to godna uwagi impreza, okazja do poznania wielu ciekawych ludzi z różnych części świata. Dzięki państwu Horchemom z Fountain Hills w Arizonie poznałem później zachód USA, m.in. Wielki Kanion, Kalifornię, a nawet kawałek Meksyku. Spotkania wieczorne w Rzymie przy Domu Polskim na *via Cassia* były niezapomniane. Opowiadania, wspólne śpiewy, a nawet skecze – każdy tworzył swój własny repertuar – sprzyjały poznawaniu się i często długotrwałym przyjaźniom. Przez lata utrzymywałem kontakt z wieloma osobami, ale czas goi rany, lecz także zaciera obrazy, toteż i te kontakty zamierały w miarę jego upływu.

Pobyt w Rzymie, krótki wprawdzie i pracowity, był także urozmaicony wieloma atrakcjami. Wszyscy się cieszyli na operę *Carmen*, którą mieliśmy oglądać



Msza św. na
cmentarzu żoł-
nierzy polskich
na Monte Cassi-
no, 1993 r.

graną na scenie pod gołym niebem. Był bardzo przyjemny, niechłodny, ale też nieupalny wieczór; widownia była pełna. Minęła godzina rozpoczęcia spektaklu, a tu nic. Co jakiś czas solista zaśpiewał arię, nie zanosiło się jednak wcale na przedstawienie operowe. Siedzieliśmy tak może z godzinę, ale nikomu się nie dłużyło, rozmawialiśmy i snuliśmy

rozmaite, niekiedy fantastyczne przewidywania, co nas tu jeszcze czeka. Wreszcie ktoś się pojawił na scenie i oznajmił, że aktorzy strajkują, opery zatem nie będzie. Obejrzymy inne występy, taką swoistą składankę. Okazało się, że było to zwykłe zapychanie dziury, a to, co produkowano na scenie, nie nadawało się do oglądania. Widownia powoli pustoszała. Byli wszakże tacy, podobno bardziej obcy w Rzymie, którzy radzili nie spieszyć się z pójściem do domu, ponieważ we Włoszech strajk może trwać tygodniami, a może zakończyć się po godzinie lub kilkunastu minutach. Tym razem był zdecydowanie dłuższy i nawet najwytrwalsi nie doczekali się spektaklu.

Zapowiedziano nam, że w niedzielę przyjmie nas Jan Paweł II. Pod wieczór udaliśmy się na dziedziniec Damazego i oczekiwaliśmy na pojawienie się Ojca Świętego. Oprócz nas w innej części dziedzińca zauważyliśmy jedynie niewielką grupę zakonnic, nikt więcej nie uczestniczył w audyencji. Snuto domysły, w jaki sposób papież się pojawi, a on wyszedł nagle z bocznych drzwi, otoczony kilkoma księżmi. Podeszedł do nas. Całą naszą grupę krótko przedstawił ks. Stefan Wylęzek³⁷⁵, organizator szkoły letniej. Byliśmy ustawieni w szeregu, Ojciec Święty przechodził wzdłuż i z każdym musiał zamienić kilka słów czy choćby się przywitać. Byłem poprzednio na kilku takich audyencjach, m.in. w 1991 r. w Castel Gandolfo z uczestnikami

³⁷⁵ Stefan Wylęzek (ur. 1948), ksiądz diecezji katowickiej. Świecenia kapłańskie 1973. Wikariusz w parafii Trójcy Przenajświętszej w Kochłowicach 1973–1976. W latach 1976–1977 studiował w Paryżu, w okresie 1977–1985 w belgijskim Lowanium; 1985–2010 przebywał w Rzymie, gdzie pełnił funkcje administratora Fundacji Jana Pawła II (1996–2010) i dyrektora Polskiego Instytutu Kultury Chrześcijańskiej. W okresie 1987–2003 był redaktorem naczelnym „Kroniki Rzymskiej”, organu prasowego Fundacji. Rektor Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii i wikariusz delegat dla Polaków w Anglii i Walii od 2010. Kapelan Jego Świątobliwości od 1998; papieski prałat honorowy od 2010.

międzywyznaniowej i międzynarodowej konferencji historycznej, organizowanej wtedy przez waldensów. Kiedy podszedłem wówczas do Ojca Świętego, spojrzał na mnie, przywitał się i cicho spytał:

– Co, też tu z tymi heretykami?

Przy tym trochę kpiąco się uśmiechał. Mógł po polsku tak powiedzieć, nikt z wokoło stojących nie mógł tego bowiem zrozumieć.

– A ekumenizm? – odparłem.

Roześmiał się i skinął tylko głową. W autobusie, gdy wracaliśmy do Rzymu, pewna pastorka kościoła reformowanego z Czechosłowacji dopytywała się, co też Ojciec Święty mi powiedział. Czyż mogłem powtórzyć? Zresztą ta dama najbardziej z nas wszystkich była przejęta audiencją. Przez cały czas jazdy z Castel Gandolfo szeptała, iż nie spodziewała się takiego przeżycia. W pewnej chwili rzekłem do niej:

– Przecież nie uznajecie autorytetu papieża?

Ona na to:

– A jaki inny autorytet w ogóle istnieje?

Dziwne to wszystko było. Wracając do audiencji na dziedzińcu Damazego – przysłała kolej na mnie. Jan Paweł II, kiedy ks. Wylęzek wymienił moje nazwisko, powiedział:

– A, czytałem *Papiestwo*. Dobrze.

Nie mogłem się powstrzymać, by nie zapytać:

– Wasza Świątobliwość, a czy nie ma w tej książce niczego przeciw wierze i moralności? Sąd z ust samego papieża jest dla mnie bardzo ważny, słyszałem bowiem głosy, że jest to książka liberalna, a nawet trącająca protestantyzmem.

Papież, który już postąpił krok w kierunku następnego uczestnika audiencji, odwrócił się, chwycił mnie za ramię i się roześmiał:

– Ach, czego to ludzie nie wymyślą...

Muszę przyznać, że byłem zaskoczony. Takich publikacji musiało dochodzić do papieża bardzo wiele, większości nie mógł przecież osobiście nawet przejrzeć, cóż dopiero przeczytać?! Widziałem, że ten krótki dialog zrobił także wrażenie na obecnych. Gdybym miał wówczas egzemplarze mojej książki, poszłyby wszystkie jak ciepłe bułeczki. Jeden z towarzyszących papieżowi kapłanów – nie wymienił nazwiska – czynił mi wymówki, szepcząc, że papieżowi nie stawia się pytań. Ciekawe, że takie embargo stosowano tylko wobec niektórych, a może inaczej – wobec niektórych go nie stosowano. Zawsze jedno było i jest dla mnie jasne: papieża trzeba chronić przed takimi może nietypowymi łowcami autografów. Sam w tym



Uczestnicy
Szkół Letniej
Języka i Kultury
Polskiej w Rzy-
mie, 1993 r.

kierunku bynajmniej nie zmierzalem i gdyby nie słowa Jana Pawła II, nigdy bym się nie odezwał. Zresztą nie zauważyłem, żeby ta krótka wymiana zdań jakoś go wzburzyła czy zdziwiła.

Mój udział w szkole letniej miał także epilog w postaci nieprzyjemnego zajścia z dziennikarzem polonijnym – wydaje mi się, że jest to właściwa kwalifikacja –

panem Wojciechem Wierzewskim³⁷⁶. Mówiono, że w czasach, kiedy działał jeszcze w PRL, był nieźle zadomowiony w układach partyjnych, z czego mu zresztą nie czyniłem wtedy i dziś nie czynię zarzutu. Nie znałem go. Z poznanych przeze mnie znacznie później publikacji jego autorstwa w prasie polskiej w Chicago – był redaktorem jakiegoś pisma – wnioskuję, że był człowiekiem myślącym kategoriami polskimi i piszącym z pożytkiem dla sprawy polskiej.

W Rzymie ten nieco krzykliwy człowiek zwracał na siebie uwagę aż nadto nerwową aktywnością, w każdej sytuacji usiłował narzucać swoje zdanie. Bywało, że w czasie rozmów przy stole nie pozwolił skończyć zdania, bo on wiedział lepiej. Takie pobłażliwo-lekceważące odnoszenie się do ludzi drażniło nie tylko mnie, zauważyłem, że wielu uczestników unikało jego towarzystwa. Zwracałem na to uwagę ks. Wylęzkowi, ale ten ugodowy z natury człowiek uśmiechał się tylko i zapewniał, że zajęcia szkoły nie trwają wiecznie i wszystko można przetrzymać. Nastawiłem się zatem na ignorowanie takich sytuacji i na ogół się udawało.

Pod koniec pobytu, w czasie dyskusji przy stole ktoś podjął temat sytuacji Polaków szukających za granicą lepszego życia. Pan Wierzewski

³⁷⁶ Wojciech Wierzewski (1941–2008), doktor polonistyki, literaturoznawca, krytyk filmowy, publicysta, działacz polonijny. Absolwent, a następnie pracownik naukowy UW. Od 1979 na emigracji w USA, wykładowca na kilku uniwersytetach amerykańskich. Redaktor „Zgody”, organu prasowego Związku Narodowego Polskiego 1985–2008. W 1979 pozyskany do współpracy z SB jako kontakt operacyjny „T” w celu rozpracowywania Polonii amerykańskiej. Informacje przez niego pozyskiwane było wysoko oceniane przez prowadzących go oficerów SB.

od razu autorytatywnie stwierdził, że w takich wypadkach honor i dumę trzeba schować do kieszeni i za wszelką cenę starać się o pozyskanie przychylności ludzi, do których należy decyzja itp. Żywo zaprotestowałem. Zwróciłem uwagę, że swą uniżonością, brakiem godności osobistej Polacy za granicą sami sobie często gotują porażkę. Poza tym wyraziłem opi-



nię, że szacunku dla siebie i dumy nie można ani kupić, ani sprzedać. Widać było, że bardzo wielu obecnych podzielało moje zdanie. Chyba ktoś z Kanady mówił, że to trudna, ale konieczna rzecz, by nie pozwolić sobą pomiatać za chwilowy zysk. Pan Wierzewski wykpił wszystkich, legitymując się swą znajomością realiów emigracyjnych. Miał zapewne wiele racji i gdyby się inaczej zachowywał, byłaby możliwa dyskusja, która wykazałaby, że w wielu sprawach jesteśmy z nim zgodni. Ale dyskusja wobec jego besserwiserstwa była niemożliwa. Ktoś mnie pociągał za rękaw, bym się wycofał, bo nie ma sensu rozmawiać w zacierzwieniu. Pewnie obaj byliśmy zacierzwieni, zarówno ja, jak i mój adwersarz. Najbardziej drażniło mnie to jego przekonanie, iż nikt poza nim nie zna realiów wychodźstwa. Pewna starsza osoba, która całe swe życie spędziła na obczyźnie, zwróciła mi uwagę, że takich jak pan Wierzewski na emigracji jest więcej, z tym że nie manifestują oni tak prowokacyjnie swoich poglądów.

Nie miałoby to dalszego ciągu, gdyby nie fakt, że krzykliwej autoreklamy pan Wierzewski nie ograniczył do spotkania rzymskiego. Opisał szkołę w artykułach w chicagowskim „Dzienniku Związkowym”³⁷⁷, a kopie wraz z ofertą własnych produkcji filmowych rozesłał do uczestników kursu, w tym także do mnie. Taki zmysł biznesu nie jest oczywiście niczym nagannym. Jednakże w artykule w „Dzienniku Związkowym” z 11–13 sierpnia 1993 r.,

Spotkanie
wieczorne
uczestników
Szkoły Letniej
Języka i Kultury
Polskiej w Rzy-
mie, 1993 r.

³⁷⁷ „Dziennik Związkowy” – najstarsza polskojęzyczna gazeta codzienna w USA. Powstała w 1908 w Chicago jako organ prasowy Związku Narodowego Polskiego i od tego czasu nieprzerwanie wychodzi. Informuje przede wszystkim o sprawach Polonii amerykańskiej ze szczególnym uwzględnieniem mieszkańców metropolii chicagowskiej.

wymieniając wykładowców kursu, według własnego widzimisię rozdysponował ich kwalifikacje. Słusznie tytułuje panów Roszkowskiego³⁷⁸ czy Olszewskiego profesorami, mnie natomiast uhonorował tytułem doktora. Wtedy byłem już od pięciu lat profesorem zwyczajnym, a na swoim koncie miałem dwudziestu doktorów wypromowanych w mojej katedrze. Zwróciłem mu uwagę na niestosowność tej informacji. Ponieważ oferował on 160-minutowe nagranie z kursu na kasecie wideo, zastrzegłem, by nie znalazły się tam żadne fragmenty mnie dotyczące. Jest to zrozumiałe, nikt nie ma prawa rozpowszechniać produkcji dotyczących osób trzecich bez ich zgody. W odpowiedzi otrzymałem bardzo arogancki list, dowodzący tylko tego, że moja ocena poziomu kultury tej osoby była słuszna.

Nie miałem najmniejszej chęci procesowania się z panem Wierzewskim ani też utrzymywania z nim jakichkolwiek kontaktów, odłożyłem więc sprawę *ad acta*. Pan Wierzewski napisał jednak obszerny list na mój temat do rektora KUL ks. Wielgusa. Były tam różne inwektywy pod moim adresem i skargi. Rektor pokazał mi list i zapewnił, że nawet nie muszę mu tłumaczyć sedna sprawy, już sama treść charakteryzuje autora jako pieniacza i człowieka bezgranicznie zakochanego w sobie. Mimo to zaniósłem rektorowi wspomniane produkcje pana Wierzewskiego, zależało mi bowiem, by miał na czym oprzeć swoją ocenę sytuacji.

Uważam, że szkoła letnia w Rzymie spełniała swe zadania i nie chodziło tylko o wykłady. Owszem, wielu uczestników traktowało je nader poważnie, ale niezmiernie istotne były kontakty, wymiana zdań na różne tematy – a to wszystko odbywało się jak gdyby na marginesie zasadniczych zajęć. Często pod wieczór szliśmy grupą do małej kawiarenki mieszczącej się o kilka kroków od Domu Jana Pawła II i tam dopiero rozpoczynały się dyskusje. Na miejscu nie było ku temu warunków, gdyż czas był zorganizowany w 100 proc. Nawet wieczory przeznaczone były na wspólne śpiewy na tarasie albo ktoś dawał jakiś występ. To było miłe i pożyteczne, ale nie wszyscy lubili w tym uczestniczyć, stąd wyprawy poza teren domu. Prawda, że znajomości zawierane w takich okolicznościach nie trwają wiecznie, jak wszystko zresztą, ale niektóre kontakty przetrwały przez długie lata.

³⁷⁸ Wojciech Roszkowski (ur. 1947), historyk i ekonomista. Autor wielu publikacji z zakresu historii najnowszej Polski. Absolwent Szkoły Głównej Planowania i Statystyki w Warszawie. Doktorat 1978, habilitacja 1987, profesor nadzwyczajny 1991, profesor zwyczajny 1996. Pracownik naukowy SGPiS w Warszawie. Od 1990 pracownik naukowy ISP PAN jako kierownik Zakładu Europy Środkowo-Wschodniej. Prorektor SGH 1990–1993. Dyrektor ISP PAN 1994–2000. Eurodeputowany w latach 2004–2009.

W rzymskiej szkole letniej uczestniczyli nie tylko Polonusi, lecz także przedstawiciele innych narodowości, zwłaszcza osoby zajmujące się kulturą. Kultura polska była głównym tematem, językiem polskim natomiast, o ile zdołałem zauważyć, większość uczestników władała na tyle, by się w nim porozumieć, i w zasadzie na tym poprzestawała. Sądzę, że podobne imprezy ogólnie mają taki cel, także te orga-

nizowane w Lublinie. Wszak niekiedy biorą w nich udział osoby w ogóle nieznające języka; wiadomo, że przez kilka tygodni żadnego języka nauczyć się nie można. W związku z tym nasuwa się pewne ciekawe spostrzeżenie. W USA zdarzyło mi się spotkać może dwa, trzy razy osoby niemające polskiego pochodzenia, ale dobrze mówiące po polsku, wielokrotnie natomiast – ludzie o polskich korzeniach, którzy żalili się, że mimo wysiłków nie potrafią opanować języka. Niektórzy porozumiewali się po polsku, ale z błędami. Na przykład mieli kłopot z czasownikami zwrotnymi – nie powiedzieli: „nudzę się”, tylko po prostu: „nudzę”. Wyjaśniałem niejednokrotnie różnicę znaczeń, ale bez rezultatu.

W zajęciach szkoły letniej w Rzymie już nigdy więcej nie wziąłem udziału. Myślę, że chętnych zawsze było sporo, więc ks. Wylęzek nie nalegał. Ja także się o to nie starałem. Z kilku powodów. Jeden, może najmniej ważny, to świadomość, że zajęcia tam prowadzone nie są zgodne z moimi zainteresowaniami. Historia tam wykładana była raczej swoistą reklamą dziejów mającą przybliżyć Polskę i pokazać jej dobre strony. Odpowiednie przedstawienie jej przeszłości faktycznie mogło się do tego walenie przyczynić. Ale trzeba było mieć żyłkę popularyzatorską, czasem zrezygnować z pewnej ścisłości. Drugi powód był istotniejszy – chciałem brać zastępstwa wakacyjne w niemieckich parafiach, głównie ze względu na język. Nie do pogardzenia był pewien zysk materialny, który w moim wypadku jednak na ogół nie przekraczał otrzymanego wynagrodzenia i najczęściej nie korzystałem z niego ja, tylko inne, bardziej potrzebujące osoby. Pobyty w Niemczech były też ciekawsze



Uczestnicy
sympozjum
polonijnego
w Rzymie,
1994 r.

aniżeli coroczne powtórki tego samego w Rzymie, nawet jeśli Wieczne Miasto uznać za muzeum o niewyczerpanych atrakcjach.

Z Rzymu, po zakończeniu zajęć w szkole letniej, pojechałem wprost do Düsseldorfu, gdzie corocznie od 1988 r. miałem zastępstwo w dekanacie Düsseldorf Nord. Dziekanem był tam ks. Friedhelm Keuser, znany dobrodziej lubelskiego seminarium. W tamtym roku zastępowałem ks. Willy'ego Hißa w Kalkum, niegdyś wiosce, a wówczas już dzielnicy Düsseldorfu. Do moich pobytów na parafiach niemieckich muszę jeszcze powrócić w sposobnej chwili. Było to także jedno z ważniejszych doświadczeń w moim życiu.

Wykłady na Seton Hall University

Na kolejne wyjazdy zagraniczne nie liczyłem, wyczerpał się bowiem limit moich urlopów sobotnich i najbliższy przypadłby na 1996 r. Sprawy potoczyły się jednak inaczej.

Pod koniec lat osiemdziesiątych, daty sobie już dokładnie nie przypominam, poznałem w Lublinie dwóch Amerykanów, z których jeden był księdzem, *notabene* konwertytą z luteranizmu, a drugi, John Grondelski³⁷⁹, studentem, a może już absolwentem teologii jednego z uniwersytetów amerykańskich. Obaj przyjechali do Polski na kurs języka polskiego. Ten drugi wytrwał w swym zamiarze nauki i po pewnym czasie wrócił do Lublina na roczne stypendium, podjął się też jakiegoś zajęcia na KUL. Jego postępy w polskim były znaczne i mógł już względnie swobodnie się porozumiewać. Jego kolega duchowny zrezygnował z zamiaru poznania języka swych przodków. Nie nawiązałem z nim kontaktu, nawet będąc w USA. John Grondelski bardzo interesował się Polską i może też pewną rolę odegrała w tym moja skromna osoba.

Nasze spotkanie było zresztą w ogóle dziwne, panowie odwiedzili mnie po przyjeździe do Lublina – oni nie znali słowa po polsku, ja po angielsku. Nie potrafię odtworzyć szczegółów początku naszej przyjaźni, ale kontakt z Johnem już się nie zerwał. W czasie jego pobytu w Lublinie ułatwiałem mu w miarę możliwości nawiązywanie znajomości z interesującymi go osobami. Wrócił do USA i przez pewien czas nie miałem od niego wiadomości.

Niespodziewanie tuż przed moim wyjazdem z Ameryki po stypendium w Waszyngtonie John zjawił się w mieszkaniu pana Witta, u którego spędziłem kilka dni

³⁷⁹ John Grondelski, doktor teologii, publicysta. Prodziekan w School of Theology, Seton Hall University.

przed odlotem. Był upał i John – ubrany w nieprzemakalny płaszcz – przyszedł spocony i zmęczony, gdyż od stacji metra do Flushing, już właściwie na krańcu Nowego Jorku, był kawałek drogi. Wtedy mi oznajmił, że ma zamiar przyjechać na rok do Lublina. Było to, o ile dobrze pamiętam, wkrótce po śmierci jego matki i poza starszą siostrą nie miał już nikogo z rodziny. To było spotkanie, które zdecydowało o łączącej nas przyjaźni, trwającej do dnia dzisiejszego.

Pomijając sprawy związane z pobytem Johna w Lublinie, dla mnie ważny był dalszy jego los po powrocie do USA. Jako że miał on doktorat z etyki społecznej na St. John's University w Nowym Jorku, bez problemu otrzymał pracę na Seton Hall University w New Jersey jako wykładowca oraz wicedziekan (*associate dean*) na Wydziale Teologicznym. W 1993 r. skontaktował się ze mną i zaproponował mi wykłady na swojej uczelni w charakterze *scholar in residence* czy – jak też się to określa – *visiting professor*. Muszę wyznać, że propozycja zajęć w języku angielskim w znacznym wymiarze godzin – czterech godzin wykładowych w tygodniu, a nadto wykładów publicznych i jednej w semestrze konferencji Rady Wydziału, co oznaczało mój wykład na określony temat i dyskusję – trochę mnie przestraszyła, ale Jasio, jak nazywaliśmy Johna w gronie znajomych, uspokajał mnie i zapewniał, że dam sobie radę, a po miesiącu będę się czuł jak ryba w wodzie. W pewnym sensie to się sprawdziło. Moje wahania były jednak poważne.

Najpierw zapytałem dziekana, czy można by tak przesunąć mój urlop sobotni, bym mógł semestr letni 1994 r. spędzić w USA, następnie semestr zimowy na KUL i znowu semestr letni 1995 r. w Seton Hall. Okazało się to możliwe. To zadecydowało, że podjąłem się wykładów na Seton Hall, a ich przedmiotem miał być katolicyzm społeczny w Europie w XIX w. Zacząłem gorączkowo przygotowywać wykłady w języku angielskim. Czasu było niewiele. Później John poprawiał te moje elaboraty. Zresztą kłopot był nie tyle z pisaniem, ze słownictwem czy gramatyką, najbardziej brakowało w tej mojej angielszczyźnie języka idiomatycznego, a tego nie nabywa się bez obcowania w środowisku *native speakers*. Najgorsza była wymowa, a w niej – akcentowanie. Tego uczyłem się przez cały pobyt na uniwersytecie i uczę się do dziś. Studentów prosiłem, by nie wahali się mnie poprawiać, ale byli zbyt wygodni, by to czynić. Zaledwie kilka razy mnie poprawiono i to w grupie wieczorowej, gdzie miałem słuchaczy starszych, przeważnie już po jakichś studiach, najczęściej dziennikarzy i nauczycieli, lecz także osoby innych zawodów. Tego wszystkiego jeszcze nie przeczuwałem, szlifując przez cały zimowy semestr roku akademickiego 1993/1994 moje przyszłe wykłady

na Seton Hall. Wprawdzie już w 1993 r. w Rzymie miewałem wykłady w języku angielskim, ale sam czułem, że nie są to najwyższe loty. Kiedyś obecny na moim wykładzie Anglik mieszkający w USA, który na kursie towarzyszył żonie – Polce, powiedział mi po zajęciach, że lepiej by było, gdybym nie czytał. Zapamiętałem to i w Seton Hall nie czytałem, zresztą z wielu względów było to tam niemożliwe. Ale o tym wszystkim przekonałem się dopiero na miejscu.

W lutym 1994 r. wyruszyłem ponownie do USA, tym razem jednak nie była to podróż w nieznane. Wiadomo było, gdzie będę mieszkał, stołował się i jakie będę miał zaopatrzenie. Nade wszystko zaś – co będę robił. Seton Hall już znałem z czasów kwerendy archiwalnej. Obok gmachu seminarium duchownego, gdzie miałem mieszkać, przechodziłem dziesiątki razy, nie przeczuwając, że będzie to mój dom na dwa semestry.

Wymogi tematyczne stawiane przez uniwersytet były bardzo szerokie. Możliwy był niemal każdy temat z nowożytnej historii Kościoła Europy Środkowej i Wschodniej, od dziejów Kościoła pod reżimem nazistowskim poprzez wojnę aż do czasów postkomunistycznych. Początkowo grupy zajęciowe były dwie. Jedna złożona ze studentów dziennych, mająca zajęcia o godz. 13.00, oraz druga – wieczorowa, której zajęcia odbywały się o godz. 19.00. Każde zajęcia były dwugodzinne, z tym że godzina lekcyjna wynosiła tu 50 minut. Do oceny studentów liczyły się: *paper*, czyli praca pisemna o objętości 10–15 stron na ustalony z profesorem temat, egzamin końcowy i uczestnictwo w zajęciach. Te podstawy ocen były w proporcji 45 proc. : 45 proc. : 5 proc. Pierwsza grupa liczyła w semestrze letnim 1994 r. 12 osób, druga była bodaj o 2 osoby mniejsza. Ponieważ wykłady były prowadzone z dziejów Kościoła w XIX w. ze szczególnym uwzględnieniem ich społecznego aspektu, a kilka osób chciało uczestniczyć w zajęciach obejmujących III Rzeszę i wojnę, poza środą, będącą moim dniem zajęć, wyznaczono sobotę na ten dodatkowy przedmiot. W sumie uczęszczały nań 3, a pod koniec semestru 2 osoby. W rezultacie zamiast 4 miałem 6 godzin tygodniowo, a wykład sobotni miał charakter kameralny. Miejscami zamieniał się w rozmowę, gdyż słuchacze mieli swoje szczególne zainteresowania i stawiali stosowne do nich pytania, wtedy o realizowaniu przygotowanego materiału nie mogło być mowy. Za to, na ile mnie było stać, zaspokoilem ciekawość słuchaczy. Przyznaję, że te zajęcia dawały mi najwięcej satysfakcji.

W semestrze letnim roku akademickiego 1995/1996, a więc już w czasie drugiego pobytu na Seton Hall, zająłem się dziejami kościelnymi XX w., a zwłaszcza

tematyką sugerowaną przez uniwersytet już na wcześniejszy semestr mego pobytu, czyli w pierwszej kolejności sprawami społecznymi. Zainteresowanie studentów wykładanymi zagadnieniami było spore, z wyjątkiem grupy Latynosów. Ci ostatni, a przynajmniej niektórzy z nich, musieli bardzo się mozolić, by zrozumieć dostatecznie wykład w języku angielskim. Te deficyty jeszcze bardziej dawały się we znaki podczas egzaminu, zwłaszcza gdy chodzi o wspomniany już *paper*. Ponieważ egzamin był pisemny, zgodziłem się, by pisali po hiszpańsku, którego to języka wprawdzie dobrze nie znałem, ale potrafiłem zrozumieć prosty tekst pisany. Niestety, także prezentowana w języku hiszpańskim wiedza tych studentów nie była znaczna. Istota ich trudności polegała na tym, że byli gorzej przygotowani do studiów niż Amerykanie. Wśród tych ostatnich o chęci zrozumienia, przyswojenia sobie materiału świadczyły częste pytania w czasie wykładu. Przerywano mi kilka, niekiedy kilkanaście razy w ciągu dwóch godzin wykładowych. U Latynosów nie pamiętam, by padło jakieś pytanie, choć na pozór ich zasluchanie mogło sugerować coś więcej niż bierność.

Zupełnie inną kategorię stanowili studenci wieczorowi. Mniej pytali w czasie wykładu, ale po jego zakończeniu zawsze długo rozmawialiśmy i musiałem pewne rzeczy wyjaśniać. Dwóch studentów w czasie pierwszego pobytu niewątpliwie się wyróżniało: Peter Wehrle, niemieckiego pochodzenia, i Peter Smutelowic, z pochodzenia Słowak. Obaj zostali kapłanami. Byłem na prymicjach tego ostatniego w Koszycach. Oba zresztą, jak później słyszałem, wysłano na dalsze studia do Rzymu. Poznałem rodziców obu studentów. Państwo Wehrle odwiedzili syna w Seton Hall. Byli zadowoleni, że mogli ze mną mówić po niemiecku. Profesor Scholz, prorektor uniwersytetu, również imigrant niemiecki w pierwszym pokoleniu, któremu złożyłem wizytę po przyjeździe do Seton Hall, rozmawiał ze mną przez moment



Wśród Polonii
na Long Island,
1994 r.

Zupełnie inną kategorię stanowili studenci wieczorowi. Mniej pytali w czasie wykładu, ale po jego zakończeniu zawsze długo rozmawialiśmy i musiałem pewne rzeczy wyjaśniać. Dwóch studentów w czasie pierwszego pobytu niewątpliwie się wyróżniało: Peter Wehrle, niemieckiego pochodzenia, i Peter Smutelowic, z pochodzenia Słowak. Obaj zostali kapłanami. Byłem na prymicjach tego ostatniego w Koszycach. Oba zresztą, jak później słyszałem, wysłano na dalsze studia do Rzymu. Poznałem rodziców obu studentów. Państwo Wehrle odwiedzili syna w Seton Hall. Byli zadowoleni, że mogli ze mną mówić po niemiecku. Profesor Scholz, prorektor uniwersytetu, również imigrant niemiecki w pierwszym pokoleniu, któremu złożyłem wizytę po przyjeździe do Seton Hall, rozmawiał ze mną przez moment

po niemiecku, a potem zaraz przeszedł na angielski. Widziałem go później wiele razy, ale już nigdy słowa po niemiecku nie powiedział, choć dawałem mu do zrozumienia, że chętnie bym z nim w tym języku rozmawiał.

Pierwszy wykład odbył się w sali konferencyjnej przy olbrzymim owalnym stole, wokół którego rozsiedli się słuchacze. Tuż obok mnie usiadła bardzo sympatyczna pani, żona prof. Totha, Węgria z pochodzenia, podczas gdy ona pochodziła z niemieckiej rodziny. Była mediewistką, ale zainteresowała się moim tematem. Powiedziała mi później, że XIX w. był dla niej zawsze *terra ignota*. Była wprost czarującą osobą, do reszty się o tym przekonałem w domu rodzinnym państwa Tothów. Siadywaliśmy tam w kręgu na podłodze – rodzina była wielodzietna, a zasada była taka, że każdy od najmłodszego do najstarszego mógł zabierać głos – i toczono dyskusje, w których zawsze ja byłem pytany. Było to jednak znacznie później, kiedy na Seton Hall już dość dobrze się zadomowiłem.

Pierwszy wykład, mający wprowadzić w pojęcia związane z Rzeszą Niemiecką 1870 r., był dla mnie wprost katorgą. Skoro tylko wspomniałem o cesarstwie, zasypano mnie pytaniami. Od kiedy ono w Niemczech? Jacy byli cesarze? Musiałem zacząć od X w., od Karolingów. A ja miałem wykład napisany i zamierzałem czytać! Nic z tego. Trzeba było improwizować. Po dwóch godzinach stwierdziłem, że przerobiłem nie więcej jak ćwierć zaplanowanego materiału. Jedno stało się oczywiste – czytać nie będzie można.

Przypomniałem sobie już tu przywoływaną rozmowę:

- Nie czytaj, rób tylko dygresje, to o wiele ciekawsze. I lepsze.
- Ależ ja mam poprawiony tekst, a obawiam się, że w swobodnym mówieniu robię wiele błędów.
- Nie tak wiele, jak ci się wydaje, i są to błędy, które popełnia większość cudzoziemców.

Trzeba było teraz tej rady posłuchać.

Powoli wchodziłem w pewną, jeszcze bardzo nieporadną, rutynę. Stałe obcowanie w jadalni i w ogóle wszędzie z osobami mówiącymi po angielsku wzbogacało słownictwo, a przede wszystkim poprawiało akcentowanie słów i melodię języka, rzecz najtrudniejszą do opanowania. Moja obawa, że przez studentów będę traktowany jak zło konieczne, zupełnie się nie potwierdziła. Często przychodzili na konsultacje albo po prostu porozmawiać, ponieważ mieszkalem w tym samym gmachu co oni. Zajmowałem na parterze apartament 118, składający się z dwóch pokoi i łazienki. Było to mieszkanie w pełni wyposażone, nawet w barek

z kilkoma butelkami. Opiekowała się nim pani Serafina, osoba pochodzenia włoskiego, bardzo rozmowna. Nauczyć się ją rozumieć oznaczało wyższy stopień opanowania języka.

Zdaje się, że lubiliśmy się wzajemnie. Dowodem sympatii z jej strony było zapraszanie mnie do mieszkania sąsiada z naprzeciwka – jak słyszałem obecnie biskupa pomocniczego – który miał kilka klatek z ptakami egzotycznymi. Odbывał się tam nieustanny, piękny i darmowy koncert. Myślałem, że każdy może dostąpić przyjemności posłuchania tych małych wokalistów, ale pewnego razu zauważyłem, że któryś z dopraszających się o to wykładowców został odprawiony z kwitkiem. Oczywiście koncertów słuchałem w czasie nieobecności gospodarza, zauważyłem jednak, że pani Serafina zapraszała mnie za jego przyzwoleniem.

Poza tym mieszkaniem i domem państwa Tothów nie byłem w żadnej innej prywatnej rezydencji. Spotkań miałem wiele, ale zawsze w jakimś lokalu, kawiarni czy restauracji. O mirze, jakim cieszyłem się wśród studentów, świadczą nie tylko dobre oceny od nich otrzymane – studenci oceniają nauczycieli po każdym semestrze, wypełniając specjalne formularze – lecz także częste zaproszenia na *lunch* czy *dinner* przez słuchaczy grupy wieczorowej. Może dlatego, że byłem z Europy i mylnie sądzono, że nie mam w USA znajomych i przyjaciół?

W USA zetknąłem się ze zjawiskiem ostatnio w Polsce nagłaśnianym, z oskarżeniami o zboczenia seksualne, częstymi także w stosunku do księży. Nigdy w mojej praktyce kapłańskiej nie obawiałem się przyjmować u siebie pojedynczych osób, zwłaszcza konfratrów. Tutaj doświadczyłem zaskakującej dla mnie sytuacji, kiedy ksiądz, także wykładowca, mieszkający o kilka mieszkań ode mnie, przyszedłszy do mnie po poradę w jakiejś sprawie, zostawił otwarte drzwi, tak że każdy przechodzący korytarzem mógł nas obserwować. Sprzeciwił się, gdy chciałem je zamknąć. Nie wyjaśnił dlaczego, ale uczynił to później ktoś inny. Byłem niezmiernie zaskoczony.

Uprowadzając bieg wydarzeń, opowiem o pewnym zdarzeniu, którego byłem uczestnikiem, a może nawet ofiarą w dzień odlotu do Polski w 1995 r., po zakończeniu drugiego pobytu w Seton Hall. Troje z moich studentów postanowiło odwiedzić mnie na lotnisko. Miałem kilka propozycji, ale wybrałem właśnie tę. Przyjechaliśmy na lotnisko sporo czasu przed odlotem i po załatwieniu formalności paszportowo-bagażowych poszliśmy do baru. Towarzyszący mi – trudno o nich mówić, że studenci, bo to byli ci z grupy wieczornej i każdy z nich pracował już zawodowo – zaproponowali piwo. Tak przyjemnie się rozmawiało, że postąpiłem

wbrew swojemu zwyczajowi powstrzymywania się od piwa, kawy i innych napojów przed każdym, nawet najkrótszym, lotem. Tym razem wypilem nie tylko piwo, lecz także ze dwie kawy.

Czas płynął szybko i ani się obejrzelśmy, a z megafonów dał się słyszeć głos wzywający pasażerów na pokład samolotu lecącego do Warszawy. Spojrzałem na zegarek. Do odlotu było mniej niż pół godziny, więc biegiem do bramki. Kiedy znalazłem się w samolocie, zaczęło mnie naciskać. Podeszedłem do stewarda i oznajmiłem mu, iż muszę iść do toalety. Stanowczo zabronił. Aż po starcie. Samolot ledwo zaczął kołować, do startu zwykle bywa jeszcze prawie godzina. Powiedziałem:

– Panie, czyż to ode mnie zależne?

– Czy pan choruje?

– W pewnym sensie źle się czuję...

Do startu odbyłem pięć takich przechadzek. Siedząca obok mnie dama spoglądała na mnie z coraz większą troską. Wreszcie cicho spytała:

– *Are you sick? Do you need help?*³⁸⁰

– *I'm fine, thank you*³⁸¹.

Mam zwyczaj, że po starcie porządkuję wszystkie swoje papiery, a więc paszport, bilet itd. Zobaczyła mój paszport i zagadnęła mnie po polsku. Okazało się, że od kilkunastu lat mieszka w Nowym Jorku, a leci odwiedzić siostrę. Ciekawość swą usprawiedliwiała zawodem. Była dentystką.

– W nagłym wypadku – rzekła – może bym coś pomogła także w innej przypadłości.

– Moja przypadłość to po prostu lekkomyślność...

I opowiedziałem zdarzenie na lotnisku. Ponieważ pani się przedstawiła, uczyniłem to samo, nie tając, kim jestem. Oczywiście rozmowa zaraz zesłała na znajomych księży. W pewnym momencie zapytała:

– Czy księżom wolno pić piwo?

Ogromnie mnie to ubawiło, więc odparłem:

– Nic mi nie wiadomo o zakazie, ale na wszelki wypadek zaraz po wylądowaniu pójde do spowiedzi.

³⁸⁰ Ang. Czy pan jest chory, potrzebuje pan pomocy?

³⁸¹ Ang. Jest w porządku, dziękuję.

Rozmawialiśmy przez całą drogę, a tematów nie brakowało. Jeszcze nigdy podróż nie minęła mi tak szybko. Może równie przyjemnie upłynął jeden z poprzednich lotów z USA, kiedy siedziałem obok młodego lekarza – sympatycznego, ale bardzo łatwowiernego. Bawiłem się wtedy zegarkiem kieszonkowym w kopercie, typowej podróbce XIX-wiecznych cebul, jak te zegarki nazywano. Dałem za niego w sklepie z różnymi atrakcjami w cenie od dolara do pięciu, bodajże przy 26 ulicy (West) w Nowym Jorku, właśnie 5 dolarów. Oglądałem go w samolocie, a sąsiad mój zapytał, czy to pamiątka rodzinna. Coś mi strzeliło do głowy i przytaknąłem.

– Chyba sporo kosztuje? – indagował mnie dalej sympatyczny lekarz.

– Owszem – odpowiedziałem – chciałem go sprzedać, ale zbyt wysoko ceniłem, choć jest tego wart.

– Czy można zapytać, ile miał kosztować?

– Pięć tysięcy dolarów.

– A można go obejrzeć?

– Proszę bardzo – rzekłem, podając zegarek. Pomyślałem, że zaraz wszystko się wyda. Ale człowiek ten obejrzał zegarek bardzo dokładnie i oddał z ciężkim westchnieniem, bo jak się okazało, sam był miłośnikiem takich antyków. Bawiłem się wyśmienicie, więc postanowiłem kontynuować „transakcję”.

– Wie pan – oświadczyłem w pewnym momencie – oddam go chyba za jakieś 500 dolarów.

Bardzo mi to odradzał, bo jakże wyrzekać się za takie pieniądze rodzinnej pamiątki. Swoją drogą jakiś zręczny oszust z pewnością mógłby go sprzedać za jakieś 100 dolarów – 1900 proc. zysku to by było coś! W końcu wyznałem mu prawdę. Patrzył z niedowierzaniem i chyba nie uwierzył.

Moje pobyty w USA, zwłaszcza te dwa w Seton Hall, obfitowały w wiele wydarzeń, z których niejedno warto by przypomnieć. Muszę jednak zacząć od początku.

Po przybyciu na miejsce złożyłem wizytę prezydentowi-kanclerzowi uniwersytetu, dominikaninowi o. Thomasowi Petersonowi³⁸². Bardzo kulturalny, starszy pan, który typową dla Amerykanów zdawkowość potrafił pokryć autentycznym zainteresowaniem osobą, z którą rozmawiał. Wypytał mnie o bieg mojej kariery

³⁸² Thomas Reginald Peterson OP (1929–2000), psycholog i teolog. W zakonie od 1949. Pierwsza profesja 1950. Świecenia kapłańskie 1957. Wykładowca na Uniwersytecie Browna w Providence 1957–1990, gdzie pełnił m.in. funkcję rektora uczelni 1971–1985. Doktorat 1968. Wykładowca na Uniwersytecie Seton Hall od 1985. Kanclerz i rektor uczelni 1987–1990. Po rozdzieleniu tych funkcji kanclerz uczelni do 2000.

naukowej, a także o warunki panujące na uniwersytecie, na którym stale wykładam. Interesował go nawet przedmiot moich wykładów na Seton Hall. Po trwającej około kwadransa rozmowie oddał mnie w ręce *provosta*, czyli prorektora, znanego już pana Scholza.

Kolejna była wizyta u dziekana szkoły teologicznej, pełniącego zarazem funkcję rektora seminarium duchownego, ks. Roberta E. Harahana³⁸³. Bardzo sympatyczny człowiek, kładący nacisk na jak najsumienniejsze spełnianie obowiązków – motyw ten wyraźnie się zaznaczał w całej rozmowie. Wyczułem, że nie był całkowicie pewny, czy zdołam się zaaklimatyzować, zwłaszcza gdy chodzi o prowadzenie zajęć w języku obcym. Kilkakrotnie powtarzał, że gdybym miał problemy, to zawsze jest do dyspozycji. Zwróciłem jego uwagę na moją bliską znajomość z Johnem Grondelskim, na co wprost nie zareagował. Rozmowa ta nie wzmocniła mego optymizmu. Powiedziałem mu to może po miesiącu w czasie jakiegoś spotkania. Śmiał się i przyznał, że trudno mu sobie wyobrazić siebie w sytuacji, w jakiej się znalazłem. Naukowcem z pewnością nie był, podobnie jak większość wykładowców w owej Szkole Teologicznej, a prościej mówiąc, seminarium duchownym. Domyśliłem się, a pewności nabrałem po rozmowach z innymi wykładowcami, że Harahan delikatnie chciał mi zasugerować, bym się nie popisywał zbytnią naukowością. Podkreślał aspekt wychowawczy studiów, i jak się potem przekonałem, przykładął doń rzeczywiście wielką wagę.

Z innymi wykładowcami miałem codzienny kontakt – wspólnie jadaliśmy. Poza posiłkami wszakże jedyną okazją do spotkania w grupie była msza św. w kaplicy, codziennie – prócz weekendów – koncelebrowana. Inne spotkania były przypadkowe. Owszem, był pokój wypoczynkowy, do którego wszyscy nauczyciele mieli dostęp i gdzie w lodówce można było przechowywać prywatne smakołyki, gdzie również były alkohole (z których prawie nie korzystano, z butelek bowiem nie ubywało), ale spotkałem w tym pomieszczeniu może tylko raz czy drugi jakiegoś kolegę. Zauważyłem, że korzystano z niego w czasie czyichś odwiedzin. W zasadzie więc nie znaleźliśmy wspólnego języka. Jedynie prof. Guarino³⁸⁴, o ile poprawnie zapamiętałem nazwisko – teolog o szerszych

³⁸³ Robert E. Harahan (ur. 1948), ksiądz amerykański diecezji Bloomfield. Święcenia kapłańskie 1974. Doktor teologii. Rektor seminarium duchownego i dziekan Wydziału Teologii na Uniwersytecie Seton Hall 1990–1995.

³⁸⁴ Thomas G. Guarino, ksiądz amerykański, absolwent Uniwersytetu Katolickiego Ameryki. Profesor teologii, wykładowca na Uniwersytecie Seton Hall. Kilkukrotnie uznawany za najlepszego wykładowcę roku na Wydziale Teologii.

zainteresowaniach, a przy tym człowiek o typowo włoskim temperamencie – chętnie nawiązywał rozmowę. Piszę oczywiście o rozmowach związanych z nauką, konwersacje towarzyskie zdarzały się częściej. Liczyłem na kontakt z historykiem, który miał urlop, ale zjawił się pod koniec mego pobytu. Nie nawiązaliśmy jednak bliższej znajomości, nie mieliśmy wspólnych tematów, choć niewątpliwie był to człowiek inteligentny i z historią Kościoła w USA obeznany.

Często siadywałem przy stole, zwłaszcza rano, z mocno starszym kapłanem niemieckiego pochodzenia, wykładającym fizykę. Po pewnym czasie udało mi się nawiązać z nim kontakt. Nie był gadułą, nie lubił wspominek. Raz mu się wymysknęło, że w czasie II wojny światowej wykonywał obliczenia, które dopiero znacznie później rozszyfrował jako fragment przygotowań bomby atomowej. Był to cień, który mocno go uwierał. Powtarzał nieraz:

– Przecież było nas wtedy więcej, ale nikt nie wiedział, po co to robimy. Może ten i ów się domyślał.

W 1995 r. brałem udział w sympozjum poświęconym Holokaustowi w Provo, w stanie Utah. Miejsce to nazywają mormońskim Watykanem. Sympozjum odbywało się na tamtejszym uniwersytecie mormońskim. Same prelekcje może nie były aż tak ciekawe, by w tak daleką drogę się udawać – z lotniska Newark trzeba było kilka godzin lecieć z przesiadką w Atlancie do Salt Lake City, a po wyładowaniu trzeba było jeszcze autobusem przejechać do Provo, co prawda już niedaleko – wizyta ta była jednak z wielu względów ważna.

Dopiero tam naocznie się przekonałem, co znaczy dobrze zorganizowana sekta, bo taką z pewnością są mormoni. Ich doktryna – opierająca się na piątej ewangelii, rzekomo przeznaczonej dla krajów zamorskich, a przekazanej w jakimś kodowanym języku przez anioła – nie jest nawet jakąś spójną legendą. Także kult – o ile można było się z nim zapoznać, uczestnicząc w nabożeństwie odprawianym w *tabernacle*, a więc wielkim budynku w kształcie namiotu – miał mało akcentów ściśle religijnych. Był to głównie koncert w wykonaniu naprawdę dobrego chóru. Centralnym punktem pomieszczenia były stojące na ścianie frontowej wielkie organy i podium stopniowo obniżające się ku widowni.

Muszę przyznać, że nabożeństwo polegające głównie na produkcjach wokalnych w wykonaniu doskonałego chóru i solistów oraz na krótkich przemówieniach robiło wrażenie. Ale charakter jego był raczej teatralny, poza tym trwało niezwykle długo. Chciałem wejść do świątyni ze słynnym złotym aniołem na wieży, ale jeden z zapytanych mężczyzn objaśnił mi bardzo uprzejmie – uprzejmość bowiem

niewątpliwie jest specjalnością mormonów – że tam odbywają się jedynie śluby. Jest mała i wypełniona kolumnami, nie mogłaby pomieścić tylu osób co ów namiot. Jako że ożenek odpadał, wnętrza świątyni nie udało mi się zobaczyć.

W hotelu, gdzie mieszkaliśmy z panem Grondelskim, młody człowiek w recepcji zapytał mnie po rosyjsku, skąd jestem. Zainteresowałem się, czy jest Rosjaninem. Odpowiedział, że nie. Jest Amerykaninem, studentem, ale dwa lata był na misjach w Rosji. Swoją drogą dobrze nauczył się języka. W czasie kolacji w restauracji hotelowej poprosiliśmy o piwo. Kelner popatrzył na nas i odszedł. Po chwili podszedł inny (a może był to kierownik sali) i spytał, czy rzeczywiście chcemy zamówić piwo i czy jesteśmy gośćmi hotelowymi. Kiedy potwierdziliśmy, przyniesiono nam to piwo, ale spoglądano jak na jawno grzeszników.

Mormoni nie uznają żadnych używek, nawet herbaty. Byłem potem w ich stołówce studenckiej. Jedzenie na pierwszy rzut oka jednostajne, ale – trzeba przyznać – smaczne. Tłumy studentów bez puszek piwa, papierosów i innych używek to widok wart uwagi. Jeszcze coś dało się zauważyć. Każdy napotkany nawet przypadkowo człowiek uprawiał tam prozelityzm, nawet przy kasie w sklepie samoobsługowym kasjerka pytała, skąd jestem, i zapraszała na jakieś spotkanie. Warto się nad tym zastanowić.

W niedzielę poszliśmy szukać kościoła katolickiego. Zapytana na ulicy kobieta wskazała nam kierunek. Miejscowa katedra to był stosunkowo niewielki kościół, obok znajdował się dom biskupi. Zastaliśmy tylko księdza pracującego w kurii, chyba kanclerza, który wprowadził nas do kaplicy domowej i zostawił, sam miał bowiem pewne obowiązki. Powiedział, że możemy się czymś po mszy św. poczęstować, a jeśli wyjdziemy przed jego powrotem, to klucz należy zostawić w umówionym miejscu. Biskupa nie było na miejscu i ksiądz zapewniał nas, że będzie bardzo żałował, iż nie mógł nas ugościć.

Dla mnie było to przeżycie wprost niezrozumiałe, jeśli porównać do analogicznej sytuacji w Polsce. Ów ksiądz był zaskoczony, kiedy wyraziłem zdziwienie z racji tak wielkiej bezpośredniości w potraktowaniu nas, w końcu pierwszy raz widzianych ludzi. Powiedział, że dom biskupi jest otwarty dla wszystkich, pasterz przecież nie może bronić dostępu do siebie. Był z nami także inny uczestnik sympozjum, przybysz z Polski. Ten w ogóle nie pojmował niczego, zwłaszcza że nie mówił i nie rozumiał po angielsku. Nie mógł się nadziwić, że pozwolono mu zaglądać do wszystkich zakamarków rezydencji biskupiej, zresztą niewielkiej

i skromnej. Usiłowałem go przekonać, że może popробować czegoś takiego w Polsce, a na pewno mu się uda, ale nie wiem, czy poszedł za moją radą.

Stan Utah jest w większości mormoński, co widać na pierwszy rzut oka. Prozelityzm jest może trochę uciążliwy dla kogoś, kto nie jest zainteresowany wyznawaną przez mieszkańców religią. Patrząc jednak na ich gorliwość w poszukiwaniu wyznawców, człowiek mimo woli chyli czoła. Nie wiem, czy moja fizis ujawniała podatność na zostanie ewentualnym prozelitą, bo kilkakrotnie byłem nagabywany, zresztą w sposób grzeczny i kulturalny, żebym się zjawił na jakimś zebraniu czy spotkaniu, gdzie mi się wyłoży jedynie słuszną i prawdziwą religię. Gdy kupowałem w supermarkecie lody, na które miał apetyt mój przyjaciel, kasjerka, miła zresztą dziewczyna, zagadnęła, skąd jestem i jak długo się zatrzymam. I zaraz zaproponowała spotkanie na mityngu, gdzie jakiś „starszy” będzie miał wykład. Był to czas, kiedy zmarł prorok, czyli głowa mormonów, i właśnie planowano wybrać nowego.

Co jeszcze zwróciło uwagę w Provo, zwłaszcza w kampusie, to zachowanie młodzieży. Muszę przyznać, że w niczym nie przypominało mało budujących scenek z innych kampusów uniwersyteckich w USA, a kilka z nich zdążyłem poznać, w jednym mieszkalem w sumie dziewięć miesięcy. Nie wiem, jak naprawdę bywa u mormonów z przestrzeganiem abstynencji od wszelkich używek. Nie wiem, co sądzić o tym, co usłyszałem w Filadelfii od kogoś, kto albo był mormonem, albo mieszkał wśród nich przez dłuższy czas. Powiedział, że w swoim gronie niektórzy potrafią zdrowo pociągnąć – nie mówiąc o wypiciu kawy czy zapaleniu papierosa – i tylko surowa dyscyplina zapobiega wydostawaniu się tych „nadużyć” na zewnątrz. Nie ręczę jednak za prawdziwość tej informacji. Podobnie ma być z wielożenstwem. Zostało ono oficjalnie zabronione, odkąd Utah stało się jednym ze stanów, ale znowu po cichu się mówi, że posiadanie drugiej czy trzeciej połowicy nie jest traktowane jako występki, tyle tylko, że nie może być umocowane prawnie. Tyle plotek o Utah.

Podróż powrotna była pełna przygód. Samolot miał odlecieć z Salt Lake City dokładnie o północy. Ktoś zawiózł nas na lotnisko, ale tam się okazało, że lotu w ogóle może nie być – od Oregonu szedł huragan. W końcu jednak zapowiedziano lot tylko z małym opóźnieniem. Pogoda była fatalna, wietrzyisko i deszcz. Ktoś słyszał, że w Atlancie, gdzie mieliśmy się przesiadać na inny samolot, nie jest lepiej.

Lecieliśmy linią „Delta”, a więc jedną z najlepszych. Podróż odbywała się spokojnie. Trochę spaliśmy, w końcu to kilka godzin lotu. Wreszcie zapowiedziano lądowanie – za mniej więcej pół godziny. Mój towarzysz smacznie spał, ja już

czuwałem. Samolot obniżał pułap lotu, aż byliśmy tak nisko, że wyraźnie było widać światła miasta, a w dole – prawie wprost pod nami – długą świetlistą wstęgę pasa startowego. Samolotem trochę rzucało, wiatr był bardzo silny, zaczął ulewny deszcz. Po chwili światła w dole znikły, a samolot znowu zaczął się unosić. Czuło się też pochylenie, a więc krążył. Ciemności wokół znowu były szczelne. Spojrzałem na zegarek. Dochodziła godz. 6.00 rano. A więc tak długo lecieliśmy, dokładnie od północy. Może samolot omijał huragan, bo wydawało mi się, że lot powinien trwać krócej. Po dobrej półgodzinie samolot znowu zaczął się zniżać, pojawiły się światła lotniska. Kolega się obudził, spojrzał na zegarek i zapytał:

– Dlaczego jeszcze nie wylądowaliśmy?

Cóż mogłem odrzec? Po prostu pogoda. Nie wspomniałem, że raz już byliśmy nad lotniskiem. Teraz faktycznie podchodziliśmy do lądowania. Poszło sprawnie. Zapowiadano fatalną pogodę i możliwość opóźnień samolotów połączeniowych. Znaleźliśmy się na lotnisku. Od razu skierowaliśmy się do sektora, gdzie mieliśmy oczekiwać na przesiadkę. Miało to trwać około godziny, minęło jednak znacznie więcej czasu, a stale pojawiał się napis, że samolot ma opóźnienie. W pewnym momencie do poczekalni, w której się znajdowaliśmy, weszło kilkoro pracowników lotniska w czerwonych marynarkach. Jedna z pań poprosiła oczekujących o przybliżenie się i cichym głosem powiedziała, że jest podejrzenie, iż w samolocie, którym przylecieliśmy, była bomba. Nie znaleziono jej w maszynie, zatem musimy się udać we wskazane miejsce, gdzie każdy musi pokazać, co ma w bagażu. Miałem tylko teczkę i to, co przy sobie, ale kolega nadał torbę podróżną.

Przed budynkiem terminalu wsadzono nas do rozklekotanego szkolnego autobusu i kilkanaście minut jechaliśmy skrajem lotniska. Zatrzymaliśmy się przed wielkim hangarem bez bocznych ścian. W środku na stołach leżały nasze bagaże. Każdy musiał podejść i w obecności pracownika otworzyć swój. Pomyślałem, że gdyby w którymś była bomba i wybuchła, nikt nie uszedłby cało. Na szczęście bomby nie było. Po powrocie na lotnisko miano nam zaraz podstawić samolot, ale kolega się zdenerwował i oświadczył, że za żadne pieniądze nie wsiądzie do samolotu linii „Delta”.

Najpierw chcieliśmy wypożyczyć samochód i pojechać nim do New Jersey, ale to prawie 2000 km. Zrezygnowaliśmy z tego projektu. Następnie chodziliśmy od jednej linii do drugiej i pytaliśmy, czy uznają ważność naszych biletów. Jedynie „Kiwi” gotowa była je uznać, ale ich samolot nie leciał do Newarku. Ostatecznie na przewiezienie nas zgodził się „Continental”. W ten sposób wieczorem, po prawie

dobowym podróżowaniu, znaleźliśmy się w Seton Hall. Nadawałem się już tylko do łóżka, ponieważ na lotnisku w Atlancie buchnął na mnie z wentylatora zimny strumień powietrza, a byłem spocony. Kosztowało mnie to kilka dni leżenia. Lekarz, który do badania nie żądał nawet zdjęcia zimowej kurtki, orzekł, że to drobiazg. Da mi lekarstwo, które zaraz postawi mnie na nogi. Zapłaciłem 10 dolarów, a ubezpieczenie dopłaciło 50. Lekarstwo musiałem wykupić we wskazanej aptece. Aptekarz, sympatyczny czarny mężczyzna, dziwił się, czytając receptę.

– Mogłeś przyjść bezpośrednio do mnie – powiedział – dałbym ci coś lepszego.

Lekarstwo rzeczywiście było tanie. Butelka syropu za dolara i tabletki chyba za 10 dolarów. Tak czy owak swoje trzeba było odleżeć. Na szczęście – bez ryzyka odwołania zajęć. Wprawdzie istniała możliwość wzięcia zwolnienia lekarskiego, ale nie było to mile widziane ani przez władze uczelni, ani przez samych studentów, gdyż studia, jak wiadomo, były płatne. Tak się jednak złożyło, że w środę, kiedy miałem zwykle zajęcia, byłem na tyle zdrowy, by te cztery godziny pobyc z studentami.

Niemal tuż przed odlotem do Polski pojechaliśmy z o. Michałem Zembruskim, paulinem, wówczas już przebywającym w amerykańskiej Częstochowie, będącej *notabene* jego dziełem, na Florydę – do zapadłej wioski nad Zatoką Meksykańską, gdzie mogliśmy zakwaterować się w domu letnim pewnego księdza i korzystać z kąpeli mineralnych (Mineral Hot Springs). Floryda mnie nie oczarowała, jedynie Orlando zrobiło wrażenie, ponieważ nie było tam widać drapaczy chmur, tylko gęstą i bujną zieleń, w której miasto po prostu tonęło. Źródła mineralne to właściwie były niewielkie, ale bardzo głębokie jeziorka, w których można było pływać, opasawszy się gumowymi wężami lub bez nich. My pływalismy bez. Ojciec Zembruski miał wtedy 86 lat, ja o ponad 20 mniej, ale to on potrafił zawsze o te pół godziny dłużej zażywać kąpeli. Były to źródła o bogatym składzie chemicznym, ale głównym składnikiem była siarka. Osób na kąpielisku nie było zbyt wiele, ale słyszało się głównie język rosyjski. W tym czasie sporo Żydów z Rosji wyjeżdżało do USA. Krewni umieszczali ich na jakiś czas w takich kurortach, raczej niedrogich, a regenerujących siły.

Cudowne były wieczory na długich drewnianych molach, na których końcu znajdowały się restauracje ze wspianiałymi daniami rybnymi. Pod stopami – dosłownie – chlupotało morze, między belkami były bowiem szerokie szpary. Przy zachodzącym słońcu na wodach zatoki odbijały się pomarańczowe lub krwistoczerwone smugi, zlewając się z niebem o tym samych barwach. Upał był

potworny. Zwłaszcza duszne były noce, kiedy nawet wyjście przed dom i siedzenie nad wodą kanału (kanałów jest tam całe mnóstwo) nie dawało żadnej ochłody. Ta lepkość powietrza bardzo dawała się we znaki. Ostrzegano przed aligatorami, które potrafiły kanałem podkraść się aż pod sam dom. Nigdy jednak takiego stwora nie widziałem, choć wiele nocnych godzin spędziłem nad wodą.

Floryda – poza wybrzeżem – sprawia smętne wrażenie. Teren podmokły, porośnięty takimi niby to krzewami, niby drzewami, jednak wcale nie bujną zielenią. Skupiska drzew, bo trudno to nazwać lasami, są anemiczne, z mocno podeschniętym listowiem. Wprawdzie widziałem tylko część Florydy, ale nic mnie tam nie zachwyliło. W Orlando byłem w dwóch mieszkaniach – typowych dla Ameryki, drewnianych i trochę jak gdyby „tymczasowych” domkach. Gościliśmy dosłownie na poobiedniej kawie u znajomych czy nawet krewnych o. Michała. Taki domek na starość na osiedlu, które można objechać na trójkołowym rowerku z bagażnikiem koszykowym z tyłu, wjechać tym rowerkiem do sklepu i dokonać zakupów – to perspektywa dla emeryta bardzo nęcąca. Słyszało się też głosy, iż straszna monotonia po prostu zamyka ludzi w domach, gdzie mogą się od wszystkiego odgrodzić, a klimatyzacja pomaga znieść zbyt natarczywą aurę. Telewizja jest wtedy wszystkim – jedynym oknem na świat, z którego się wyobcowali. Mimo to wielu kupuje sobie na starość taki właśnie domek na Florydzie. Tęsknią przede wszystkim za ciepłem. To samo obserwowałem w Arizonie, gdzie zimę spędzało wielu Kanadyjczyków. Taka wędrówka „za klimatem” jest na tej półkuli czymś normalnym – oczywiście dla ludzi, którzy potrafili zgromadzić trochę środków.

Pobyt na Florydzie miał także inny charakter. Był to czas bardzo serdecznych i pouczających rozmów z o. Michałem, z którym się zaprzyjaźniłem. Gdy obchodził 60-lecie kapłaństwa, zaprosił mnie do Doylestown z kazaniem. Bardzo to sobie ceniłem, gdyż jubilat był niewątpliwie niezwykle niezwykłym człowiekiem.

Na Wielkanoc 1994 r. udałem się do Arizony – na zaproszenie pani Matej-Horchem, którą poznałem w Rzymie na kursie języka i kultury polskiej. Nie sądziłem, że otrzymane wówczas zaproszenie tak szybko się zrealizuje. Mój pobyt w Seton Hall stwarzał ku temu wygodną okazję. Przerwa na uniwersytecie w czasie Wielkiego Tygodnia i świąt wielkanocnych pomogła mi podjąć decyzję o wyjeździe do Arizony, a konkretnie do Phoenix, niedaleko którego mieszkali Horchemowie.

Byłem oczarowany – nie tylko niezwykłym krajobrazem, na poły pustynnym, z ogromnymi kaktusami i stożkowatymi wzniesieniami, które przypominały małe wulkany. Na pustyni tej pojawiały się gdzieś tam jak gdyby miniaturowe

oazy, niekiedy wcale nie tak małe, zielone pola uprawne, gdzie na nawodnionych i odpowiednio uprawionych gruntach rosły wspaniałe warzywa, owoce i kwiaty. Samo miasto Phoenix także było zielone, pośród tej zieleni znajdował się całkowicie wkomponowany w zabudowę miejską kampus uniwersytecki. Wokół miasta na znacznych przestrzeniach rozciągał się rezerwat indiański. Można było te tereny łatwo rozpoznać, gdyż wznosiły się tam zabudowania kasyn otoczonych w miarę zapelnionymi parkingami.

Uderzał ład i porządek, którego próżno szukać na wschodzie USA. Solidniejsze, dobrze utrzymane domy, ładne osiedla. Bardzo mało ludności kolorowej. To rzucało się w oczy. W czasie nabożeństw wielkotygodniowych i Wielkanocy chodziliśmy do kościoła, wyróżniającego się niezwykle architekturą – przypominał bungalów. Sporo było księży, w tym emerytów z Kanady, którzy na zimę przybywali do cieplej i suchej Arizony.

Wyjątkowym doznaniem było dla mnie to, że rano można było niemalże prosto z łóżka wskoczyć do basenu w ogrodzie, popływać i następnie na leżaku w altance zjeść świeżo zerwanego z drzewa grejfruta. Jakże inaczej smakuje on tam aniżeli u nas – po długiej podróży i sztucznym dojrzewaniu.

Z państwem Horchemami odbyłem też wspaniałe wycieczki samochodowe nad Wielki Kanion i do Sedona Rocks, czerwonych skał górujących nad miasteczkiem o tej nazwie. W zależności od kąta padania promieni słonecznych skały przybierały fantastyczne postaci budowli czy innych kompozycji. Piękna była też wyprawa do Kalifornii, nad Ocean Spokojny. Jakaż to inna Ameryka aniżeli nazbyt rzeczowe, zabiegane, ale też szare, z naprędce skleconymi drewnianymi domkami Wschodnie Wybrzeże. Trudno to opisać. Dawne placówki misjonarskie z Indianami Nawaho sprzedającymi przyrządzany na miejscu wspaniały *Indian bread*, coś w rodzaju naleśnika z ciekłym miodem. Albo pola kwiatowe, kolorowe dywany ciągnące się w bezkresną dal.

Z panem Horchemem wyprawiliśmy się autobusem przez Tijuana do Meksyku. Inny świat. Już sama Tijuana, liczące podobno ponad milion ludności miasto, sprawiała wrażenie wielkiej wsi to wznoszącej się na wzgórzach, to opadającej w dolinki, bo takie było ukształtowanie terenu. Jechaliśmy szosą wzdłuż zatoki, z prawej strony mieliśmy morze, do którego prowadził stromy brzeg, z lewej zaś – krajobraz podgórski, falujące wzniesienia, pokryte rzadką roślinnością. Do tych wzgórz kilkanaście metrów od pobocza szosy tuliły się szałas, namioty, a niekiedy po prostu olbrzymie kartony, w których nie tylko mógł się zmieścić



Dawna franciszkańska stacja misyjna, Kalifornia, 1994 r.

przeważnie kobiety, trzymające na dłoni parę sznurowadeł, jakiś kawałek mydła, cokolwiek zresztą. Oferta była składana bez natręctwa. Ubóstwo tych ludzi przechodziło wszelkie wyobrażenie, nie zauważyłem jednak nikogo żebrzącego, a zarazem uwagę zwracała jakaś ich godność czy nawet swoista rezerwa wobec bogatych turystów. Kontrast między tymi terenami, tak nieodległymi od zasobnej Kalifornii, a tamtejszym światem dostatku, bogactwa i – tylko pozornej zresztą – beztroski trudno jest do opisanja.



Wśród Indian Novaho, Kalifornia, 1994 r.

schodziło się z dawnej misji, klasztoru i obojścia, służących za hotel. Teren tej byłej misji był czymś w rodzaju miasteczka rekreacyjnego z licznymi barami, sklepami i hotelami. Nieodłącznym elementem był zespół złożony z kilku grajków, którzy grając na przeróżnych instrumentach, najczęściej

stragan, lecz także było miejsce dla jednej lub dwóch osób. W tych improwizowanych sklepikach towaru było co niemiara. Piękne poncza, sombrera, tekstylia, wyroby skórzane, biżuteria ze srebra i półszlachetnych kamieni – słowem – ogromny wybór przedmiotów zbytku i codziennego użytku. Handel kwitł w każdym miejscu, także na ulicach miasta. Sprzedawały

Jedliśmy później obiad nad Zatoką Wielorybów – nazwaną tak, gdyż w tej cieplej zatoczce dorastają zrodzone tam wieloryby, zanim w ślad za rodzicami popłyną w kierunku Alaski. Restauracja była w kształcie szkunera wmontowanego w stromy brzeg. Można było pozostać na górnym pokładzie lub zejść prawie nad samą wodę. Czarujące miejsce. Do owego szkunera-restauracji

strunowych lub drewnianych dętach, towarzyszyli turystom, umilali im zwiedzanie i pobyt. Zazwyczaj też przez jakiś czas przygrywali podczas posiłku. Oczywiście jest na to cena umowna i nikt się od tego nie wymiguje.

Przeżyłem chwile grozy w drodze powrotnej, kiedy autobus późną nocą zajechał na punkt graniczny. Nie miałem ani paszportu, ani amerykańskiego prawa jazdy, ani wizy meksykańskiej, ani – co ważniejsze – wizy uprawniającej do powrotu na teren USA. Miałem tylko legitymację z Seton Hall, a to za mało. Tymczasem trwała kontrola podróżnych. Stanęliśmy w kolejce. Mój towarzysz radził, żeby podejść do strażników i wyjaśnić sytuację. Nie zgodziłem się. Szepnąłem:

– Kiedy Niemcy rozstrzeliwali, ci z końca nie-kiedy się uratowali.

Popatrzył na mnie pytająco, a pogranicznikom chyba sprzykrzyła się kontrola, bo któryś głośno zapytał:

– Czy wszyscy są obywatelami USA?

Najgłośniejszy, jak mogłem, krzyknąłem:

– *Yes, Sir!*³⁸⁵

Byłem uratowany.

Żywię ogromną wdzięczność dla państwa Horchemów, tak pięknych dni nie przeżywałem bowiem w czasie żadnego z pobytów w Ameryce. Nawet Floryda nie dostarczyła tak wielu wrażeń. Gdy opowiadałem

o nich rodowitym Amerykanom, mieli niekłamany podziw w oczach. Wielu z nich nigdy nie widziało Wielkiego Kanionu czy Oceanu Spokojnego. Nie



W Kolorado
u państwa
Horchemów,
1994 r.



Wielki Kanion,
Kolorado,
1994 r.

³⁸⁵ *Ang.* Tak, proszę pana!



Wielki Kanion,
Kolorado,
1994 r.

ma tam tej manii wycieczkowej, która – zwłaszcza w Europie Zachodniej – należy do programu przeciętnego zjadacza chleba. Co mnie z kolei dziwiło, to ich podróże do pobliskiego Atlantic City – po to, by sobie pograć w kasynie na maszynach, czyli automatach pieniężnych. Znałem emerytów, którzy uznawali tę jedyną rozrywkę i co jakiś czas musieli pojechać, by sobie pograć.

W czasie pobytu na Seton Hall najgorsze były weekendy, kiedy człowiek zostawał w domu sam i musiał zorganizować sobie całe zaprowiantowanie. Stołówka w soboty i niedziele była nieczynna, zresztą słusznie, gdyż kogo

miałoby obsługiwać. To jedno, a po drugie, nie było miejsca, dokąd można by się udać. Nie miałem samochodu, a poza tym, choć znajomych było nawet sporo, to na weekend często jednak wyjeżdżali. Kilka razy skorzystałem z jakiegoś zaproszenia, niekiedy zabierał mnie na przejażdżki Staszek Matejczuk, nasz absolwent kulowski, uczeń prof. Blocha, mieszkający wówczas na Borrow Park na Brooklynie. W ten sposób odwiedziłem Boston, a w okolicy tego miasta – pewnego emerytowanego polityka amerykańskiego, ponoć kiedyś ważną personę w Waszyngtonie, ale nazwiska wypadają z głowy.

Był to ciekawy człowiek, czytany, orientował się także w sprawach europejskich, co u przeciętnych Amerykanów jest ewenementem. Szkoda, że na tym jednym spotkaniu się skończyło. Staszek znał go

bliżej i usiłował z nim coś wymyślić w odniesieniu do spraw polskich. Był to czas raczkowania III Rzeczypospolitej, a widoczne było aż nadto fiasko rewolucji solidarnościowej – jak się okazało, wcale nie rewolucji, tylko



Kościół,
Kalifornia,
1994 r.

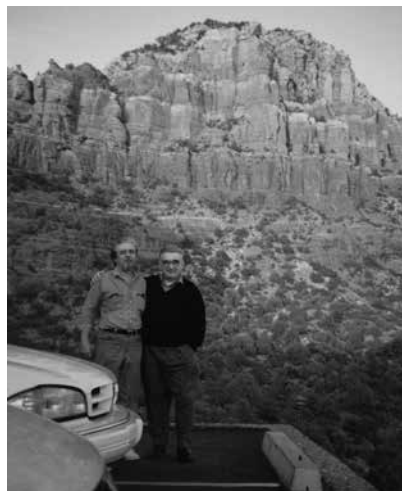
roszady na szczycie władzy. Takie sobie *do ut des*³⁸⁶. My wam oddamy rządzenie, bo nie wiadomo, co z tym począć, a wy nam dacie odpowiednią odprawę z magazynów PRL i zostawicie nas w spokoju, a nawet przyjmiecie na salony, czyli dopuścicie do władzy. Wtedy toczyliśmy zażarte polemiki, m.in. ze Staszkiem, bardzo upolitycznionym. On i jemu podobni wykluczali nakreślony wyżej scenariusz „rewolucji”, a ja od początku sceptycznie spoglądałem na skakanie przez płoty, sejmy kontraktowe³⁸⁷, hasła: „Wasz prezydent, nasz premier”³⁸⁸. To było opium dla ludu. Ale powiedzenie tego wówczas w towarzystwie, w jakim się tam obracałem, równało się herezji wartej stosu.

O wiele częściej odwiedzały mnie w Seton Hall osoby zupełnie mi nieznane, które dowiedziały się o moim pobycie z lokalnych gazet. Jedną z takich osób – pan dr Józef Kutrzeba – kilkakrotnie był moim gościem. Takich ludzi spotyka się rzadko. Urodzony w Łodzi w rodzinie żydowskiej, wychowany zarówno w poszanowaniu dla własnych tradycji, jak i w duchu obywatelskich powinności wobec ojczyzny, za którą uznawał Polskę, przeżył holocaust i znalazł się w USA. Tu skończył studia filmowe (Yale), doktoryzował się i pracował w filmie, radiu, wykładał na uniwersytecie. W artykule autobiograficznym, będącym zarazem apelem o sprawiedliwe wzajemne traktowanie się Żydów i Polaków, pisze na końcu:

³⁸⁶ Łac. daję, abyś (i ty mi) dał.

³⁸⁷ Sejm kontraktowy powstał w wyniku uzgodnień okrągłego stołu, które przewidywały 65 proc. miejsc w parlamencie dla koalicji utworzonej przez rządzących Polską komunistów.

³⁸⁸ *Wasz prezydent, nasz premier* – tytuł artykułu wstępnego Adama Michnika w „Gazecie Wyborczej” z 3 lipca 1989. W tekście tym znalazł się następujący postulat: „sojusz demokratycznej opozycji z reformatorskim skrzydłem obozu władzy”. Mocno wybrzmiało też wezwanie do podziału władzy w Polsce, przyzwolenia ze strony opozycji solidarnościowej na prezydenta wywodzącego się z PZPR (chodziło o Wojciecha Jaruzelskiego), co warunkowało wybór prezesa Rady Ministrów z kręgu Solidarności.



Red Rocks,
Arizona, 1994 r.



W restauracji
na szkunerze
nad Bay of Wales
w Meksyku,
1994 r.

Mój ojciec, prof. Izrael Fajwiszys³⁸⁹, i matka wpajali we mnie zasady etyki i moralności ludzkiej. Potem ks. Stanisław Falkowski³⁹⁰, który uratował mnie od śmierci, przekazał mi wzór miłości bliźniego. Gdy go opuszczałem, idąc w świat, pytałem, jak mu się kiedyś odwdziżyć. Odpowiedział mi: „Nawet nie próbuj, tylko przekazuj to innym”. Zawsze starałem się to czynić, choć może nie zawsze mi się udawało³⁹¹.

Prowadziliśmy długie rozmowy. Nieraz mawiał:

– Potrafimy dobrze się rozumieć, ja ani na moment nie przestałem być Polakiem, ksiądz nim jest, ja jestem Żydem, ale zarazem trochę chrześcijaninem – sam tego chciałem, ks. Falkowski ani słowem mnie nie namawiał. Ksiądz jest chrześcijaninem stuprocentowym. Zatem jak mielibyśmy się nie rozumieć? Mamy wiele wspólnego.

Bardzo bolał nad antysemityzmem, lecz także nad szkalowaniem Polski przez wielu Żydów, którzy Polski nie znali albo nie pamiętali, a powtarzali gotowe kliksze. Jedną z nich to zarzut, iż Polacy nie ratowali albo zbyt mało ratowali Żydów w czasie okupacji. Zaraz odpowiadał:

– Nie mogę sobie wyobrazić, jakby się zachowali Żydzi, gdyby ich los przypadł Polakom.

Był humanistą w każdym calu, człowiekiem o szerokiej wiedzy, ciekawym wszystkiego, co odkrył u innych, a co u siebie znajdował w pewnym niedostatku. Nasze spotkania były pewnym paradoksem: on przyjeżdżał, jak twierdził, żeby się

³⁸⁹ Izrael Fajwiszys (1887–1943), dyrygent, kompozytor, pedagog. Założyciel Żydowskiego Związku Śpiewaczego „Harmonia” w Tarnowie, członek chórów w synagogach Wiednia, Krakowa, Lwowa i Łodzi. Organizator dwóch łódzkich chórów: „Hazomir” (Słowik) i „Szir” (Pieśń). W czasie drugiej wojny zmuszony do zamieszkania w getcie warszawskim, gdzie prowadził chór. Zmarł w obozie w Poniatowie.

³⁹⁰ Stanisław Falkowski (1916–2014), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Święcenia kapłańskie 1940. W czasie drugiej wojny światowej pracował jako pomocnik proboszcza w Wyszkach oraz jako wikariusz w parafii w Nowych Piekutach i Kuczynie. Od maja 1945 do października 1946 tymczasowy administrator w parafii Jasienica (ks. Falkowski ukrywał na plebanii rannego Leona Lecha Beynara), wikariusz w parafii w Broku nad Bugiem, w Łapach, w 1948–1950 w Zambrowie. Po przerwie, spowodowanej pobytem w więzieniu (aresztowanie 4 I 1950, wyjście na wolność 4 VII 1952), wikariusz w parafii w Kobylinie, a później przez 13 lat proboszcz parafii w Nowych Chlebiotkach. Po zawale spędził trzy lata na emeryturze w Łysych, a następnie został proboszczem w Klukowie. W 1995 wydał własnym sumptem wspomnienia pt. *Tak Ojciec. 50 lat kapłaństwa w czasach niełatwych (1940–1990)*. W 1977 uhonorowany tytułem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, m.in. za uratowanie Józefa Fajwiszysa, któremu wyrobił dokumenty na nazwisko Józef Kutrzeba.

³⁹¹ J. Kutrzeba, *O roli narodu polskiego i stosunkach polsko-żydowskich w obliczu holocaustu*, „Kurier” (Nowy Jork), 22 V 1993.

ode mnie czegoś dowiedzieć, ale to ja korzystałem z jego wiedzy i doświadczenia. Potem jeszcze jakiś czas korespondowaliśmy. Dziś już nie żyje. Zmarł na początku 2013 r. O sobie mówił bardzo mało. Nie wiem, jak wyglądały jego sprawy rodzinne, nawet o pracy zaledwie wspominał. Opowiedział mi sporo o ks. Falkowskim. Mogłem się przekonać o słuszności definicji dobra: *Bonum est diffusivum sui*³⁹² – dobro doznane od tego kapłana naprawdę szeroko się rozlało. Ostatnio ukazały się w języku polskim wspomnienia Józefa Kutrzeby *Kontrakt. Życie za życie*.

Inną ciekawą postacią poznaną w Seton Hall był profesor, a zarazem rabin Jack Bemporad z Sacred Heart University w Fairfield w Connecticut, gdzie kierował Centrum Chrześcijańsko-Żydowskiego Porozumienia. Któregoś dnia zatelefonował do mnie i zapytał, czy mógłby mnie odwiedzić, ponieważ słyszał, że interesuję się sprawami polsko-żydowskimi. Zgodziłem się chętnie, choć nie miałem pojęcia, o jakie sprawy chodzi. Moje zainteresowania ograniczały się do problemu ratowania Żydów w czasie wojny przez osoby związane z Kościołem.

Profesora Bemporada widziałem lata temu w telewizji polskiej, o ile się nie mylę, z okazji jakiegoś obchodu oświęcimskiego. Może w czasie pobytu w Oświęcimiu Jana Pawła II? Wystąpił z krótkim wywiadem i miło mi było odświeżyć w pamięci jego sylwetkę. Był u mnie w Seton Hall dwukrotnie. Ciekawiły go nie tyle zaszłości historyczne, nie był bowiem pochodzenia żydowsko-polskiego, ile sprawy religii. Dla niego kluczowe problemy mieściły się w teologii. Szczególnie drążył kwestię mesjanizmu, zarówno od strony żydowskiej, jak i chrześcijańskiej. W trakcie dyskusji zapytałem go wprost, czy postać i dzieje Jezusa z Nazaretu absolutnie nie przystają do żydowskiej idei mesjańskiej. Nie zastanawiał się ani chwili. Rzekł, że nurtuje go to od wielu lat, poświęcił temu zagadnieniu wiele studiów i bliski jest przekonania, iż Jezus spełnia wszystkie kryteria, jakie Żydzi łączą z osobą Mesjasza. Spytałem go, czy mógłby z taką tezą wystąpić w swoim środowisku. Odpowiedział, że byłaby to herezja, ale w gminie, w której jest duszpasterzem, dywagacje takie są na porządku dziennym. Wyjaśnił mi fakt daleko posuniętego liberalizmu w interpretacjach teologicznych. Nie o samą teologię jednak chodzi. Są także, a może przede wszystkim, kwestie lojalności środowiskowej, jeśli można nazwać w ten sposób zawartość ideową i organizacyjną świata żydowskiego – i tu odstępstwo jest traktowane jednoznacznie. Rozumiałem, co miał na myśli. O tolerancji w tym wypadku nie mogło być mowy.

³⁹² Łac. Dobro z natury się rozlewa.

Ponieważ po raz pierwszy prowadziłem dyskusję teologiczną z Żydem, a przy tym pojęcia angielskie nie były mi tak bliskie i jednoznacznie zrozumiałe, jakby to było, gdyby rozmowa toczyła się w języku polskim, musiałem po kilka razy się upewniać, czy właściwie zrozumiałem mego rozmówcę. W końcu nie zawsze byłem pewny, czy dobrze go rozumiem, czy faktycznie tak bliscy jesteśmy w pojmowaniu Boga i naszego do Niego stosunku. A może to teologia rabina sprawiała, że nachodziły mnie takie myśli? Na jej bazie można by śmielej mówić o efektywnym ekumenizmie. Przypomniało mi się, co mi mówił w Jerozolimie o. Daniel Rufeisen. On szedł chyba tą samą drogą co prof. Bemporad. O ile go dobrze zrozumiałem, Żyd, który wyznał mesjaństwo Chrystusa, już był w jedności z Nim. Stanie się chrześcijaninem „z wody i z Ducha Świętego” było już tylko prostą konsekwencją tego faktu. Chyba nawet wspominałem o tym prof. Bemporadowi, on z kolei znał losy o. Daniela.

Kiedy później znalazłem się raz na spotkaniu, w którym uczestniczyli duchowni rzymskokatolicki, greckokatolicki i prawosławni, i przysłuchiwałem się dyskusji oraz podnoszonym problemom (jakoby spornym między tymi gałęziami chrześcijaństwa, bo przecież w żadnym wypadku nie można mówić – wyznaniem), pomyślałem, że łatwiej mi było zrozumieć się z rabinem niż ze współbraćmi, którzy przecież wszyscy uczestniczą w tej samej Krwi i tym samym Ciele Jezusa Chrystusa. Ostatecznie to historia i cały niesiony przez nią bagaż, w większości nierozpakowany, spychają na margines i zagłuszają nie tylko racje teologiczne i rozsądek, lecz także nawet Objawienie, co jak się wydaje, jest już grzechem.

W czasie pobytu w Seton Hall moje kontakty polonijne były sporadyczne. Spotykałem się z mieszkającymi w okolicy absolwentami KUL, z Benem Michalikiem i jego rodziną oraz z Gracjanem Baczą, którego dom rodzinny także kilkakrotnie odwiedzałem. Pierwszy był Amerykaninem z urodzenia o na wskroś polskiej duszy, drugi po studiach wyemigrował do USA, gdzie jako absolwent teologii chciał dalej coś robić w tej materii na uczelni. Nie udało się tego sfinalizować. W parafii polskiej w sąsiedztwie uniwersytetu byłem jeden raz, wygłosiłem w czasie mszy św. kazanie, a po mszy – prelekcję do zgromadzonych w sali pod kościołem. Całkowicie improwizowaną, ksiądz w czasie nabożeństwa po prostu ją zapowiedział. Naprędce skleciłem jakiś temat, ale audytorium i tak go zmodyfikowało. Zażądano, bym mówił o sytuacji w Polsce. Mało wiedziałem o ówczesnych aktualnościach, więc musiałem lawirować.

O wiele prościej było na spotkaniu Stowarzyszenia Polsko-Amerykańskiego w Union w New Jersey, gdzie temat był zapowiedziany zarówno mnie, jak i uczestnikom na długo przed spotkaniem. Oczywiście trzeba było mówić o Solidarności, stanie wojennym itp. To i dwa wykłady publiczne wygłoszone na uniwersytecie, na które przybyło sporo Polonusów – to cały mój kontakt z Polonią. Oczywiście pomijam osobiste znajomości.

Poza uniwersytetem miałem też raz wykład z historii Polski w college'u w Lodi w New Jersey prowadzonym przez siostry felicjanki. Było to bardzo miłe spotkanie, dla biorącej w nim udział młodzieży i temat, i prelegent stanowili swoisty przerwany w szarzyźnie dnia powszedniego. Nie wiem, dlaczego nie doszło do dalszych prelekcji. Dyrektorka szkoły, z wykształcenia psycholog, nalegała na ich kontynuację, sam byłem też na to gotów, spotkałem się bowiem z prawdziwym zainteresowaniem, co w szkołach amerykańskich, a chyba nie tylko, należy do rzadkości. Tematyka europejska jest tu jednak pewnym rarytasem, zrozumiałym mniej więcej w tym samym stopniu co dla nas Czarny Ląd.

Piszę o obu semestrach razem – nie jest to kronika, ale spojrzenie na przeżyte chwile i ludzi, z którymi się w tym czasie zetknąłem. Nieraz się zastanawiałem, czy mógłbym zamieszkać w USA na stałe albo przebywać tam i pracować przez dłuższy czas, choćby na uniwersytecie. Było mi tam dobrze, nie czułem się obco, choć zwyczaje i sposób bycia niekiedy mi nie odpowiadały. W chwilach takiego zastanowienia odkrywałem wszakże coś, czego na co dzień nie odczuwałem. W Ameryce było mi wspaniale, pod warunkiem że miałem bilet powrotny do Polski. Zawsze czułem się bardziej związany z ludźmi niż z instytucją. Do powrotu na moją uczelnię przynagłali mnie studenci, zwłaszcza doktoranci i magistranci. Bywało, że niektórzy w sprawach swych prac konsultowali się ze mną listownie. To były te względy, które nie dopuszczały myśli o pozostaniu i nigdy nawet nie starałem się wybadać możliwości jakiegoś stałego zatrudnienia.

W przeddzień wyjazdu zdarzyło się coś, co na chwilę wprawiło mnie w zameł. W kościele uniwersyteckim świętowano jubileusze kapłańskie. Najstarszy jubilat obchodził 65-lecie, najmłodszy 5-lecie. Była koncelebra z abp. McCarrickiem³⁹³,

³⁹³ Theodore McCarrick (ur. 1930), amerykański ksiądz katolicki. Świecenia kapłańskie 1958. Doktor socjologii i historyk. Dziekan na Uniwersytecie Katolickim Ameryki 1961–1963. Rektor Katolickiego Uniwersytetu Portoryko. Sekretarz arcybiskupa Nowego Jorku kard. Thomasa Cooke'a 1971–1977. Biskup pomocniczy Nowego Jorku 1977–1981; biskup diecezjalny Metuchen 1981–1986; arcybiskup Newark 1986. W 1998 objął funkcję przełożonego misji *sui iuris* w Turks i Caicos. Arcybiskup

a po niej uroczysty obiad w naszej stołówce. Ktoś powiedział arcybiskupowi, że nazajutrz opuszczam Seton Hall, że przepracowałem tu w sumie dwa semestry i mogę się uważać za *fellow*, czyli kumpla. Siedzieliśmy przy okrągłych stołach po kilka osób przy każdym. Arcybiskup zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła i zasiadł w przygodnie dobranym towarzystwie. W pewnym momencie jeden z księży zbliżył się do mojego stołu i poprosił, bym podszedł na chwilę do arcybiskupa. Ten przywitał się ze mną i rzekł:

– Widzę, że się dobrze bawisz tam, gdzie siedzisz, nie chcę cię odrywać od twoich przyjaciół, ale pomówmy choć chwilę. Jak się tu czujesz, czy odpowiadała ci praca u nas?

Odpowiedziałem, że nigdzie za granicą nie było mi tak dobrze jak tu. I mówię to z przekonania, a nie po to, by się przypodobać arcybiskupowi. On na to:

– Jesteśmy, jak sądzę, równolatkami i chyba obaj mamy jeszcze coś do zrobienia. Powiedz tylko, czy tam u siebie jesteś potrzebny.

Wyjaśniłem, że mam katedrę, mnóstwo doktorantów, rozpoczęte prace, sporo piszę. Nie sądziłem, że bardzo go obchodzą moje plany, toteż streszczałem się, jak mogłem. On jednak w pewnym momencie wstał z krzesła, chwycił mnie za ramię.

– Wiesz co? – rzekł zupełnie poważnym tonem. – Pojedź do siebie, zrób, co masz do zrobienia, i wracaj do nas.

Potrząsnął moją ręką i dodał:

– Dziękujemy za to, co tutaj robiłeś. Jeśli trzeba, napiszę o tym do twoich przełożonych.

Takie było nasze pożegnanie. Podobno *faux pas* z mojej strony było niezłożenie mu wizyty przed rozpoczęciem zajęć. Czy naprawdę to zauważył?

Kto przeszedłby obojętnie obok takich awansów ze strony hierarchy tej miary, w niedługim czasie kardynała? Oczywiście nie brałem tego dosłownie, raczej traktowałem jako wyraz pewnej sympatii i grzeczności. Koledzy amerykańscy trochę pokpiwali z tej laudacji i także oceniali ją jako przejaw dobrego humoru arcybiskupa. Pewno mieli sporo racji, ale sam fakt, że się zdobył na takie pożegnanie mnie, choć przez cały czas pobytu nie rzucałem mu się w oczy, dobrze o nim świadczy. Byłem mu za to ogromnie wdzięczny.

Waszyngtonu 2000–2006; kardynał od 2001. Oskarżony o molestowanie seksualne kleryków. Wydalony ze stanu kapłańskiego.

Do dziś nie wiem, czy to zaproszenie było zdawkowe, czy faktycznie mógłbym tam pracować. Księżę z Polski traktowano tam trochę jak zło konieczne. Nie wszyscy nasi konfratry się sprawdzili, ale też niekiedy nie było dobrej woli ze strony miejscowych, którzy z niepokojem patrzyli na przedsiębiorczość Polaków – mam na myśli duszpasterstwo. Nieważne zresztą, jaki charakter miały zaprosiny, zmusiły mnie jednak do przemyślenia pewnych spraw. Rezultat był taki, że już wiedziałem: nigdzie za granicą nie zapuściłbym korzeni.

Pobyt w Seton Hall stwarzał wiele możliwości nawiązywania kontaktów. Byłem na jednym spotkaniu, które zaowocowało krótkotrwałą współpracą, w Research Center For Religion and Human Rights in Closed Societies³⁹⁴, działającym w Nowym Jorku, ale mającym znaczenie o zasięgu światowym. Celem było przedstawienie i omówienie takich zjawisk, jak łamanie praw człowieka, rasizm, ksenofobia, brak tolerancji, ale również niedostateczna wiedza o sprawach, wobec których zajmuje się stanowisko negatywne. Dobrze było to, że uczestnicy reprezentowali bardzo zróżnicowane środowiska i poglądy, a ich wymiana odbywała się na zasadzie prezentacji stanowisk, wobec których zgłaszano uwagi, ewentualnie podejmowano dialog. Podobała mi się ta spokojna atmosfera, aczkolwiek można było dostrzec preferowanie, gdy chodzi o propozycje prelekcji na następne spotkania, tematów i osób o bardzo jednoznacznej wymowie. Już nie pamiętam kto, ale z pewnością nikt z polskich uczestników (było nas na zebraniu tylko dwóch – ja i pewien pan z Instytutu Piłsudskiego), zaproponował wyłącznie osoby z kręgów „Tygodnika Powszechnego”. Zabrałem głos i stwierdziłem, że często, gdy się chce ukazać poglądy obecne w szeroko rozumianym katolicyzmie polskim, przywołuje się w Polsce ludzi z tego środowiska. Jednak jest to obraz daleki od stanu faktycznego w tej dziedzinie, katolicyzm reprezentowany przez „Tygodnik Powszechny” jest raczej elitarny.

Pani Olga Hrubá³⁹⁵, Czeszka z pochodzenia, prezydująca nie tylko zebraniu, lecz także wspomnianemu centrum, ochoczo podchwyciła poruszony przeze mnie wątek i zapytała, kogo z Polski widziałbym jako prelegenta na spotkaniu przygotowywanym na 1999 r. w Pradze. Muszę przyznać, że mnie zaskoczyła,

³⁹⁴ Instytut naukowy utworzony w Nowym Jorku w 1972 w celu prowadzenia badań nad prawami człowieka i wolnością wyznawania religii w państwach bloku wschodniego.

³⁹⁵ Olga Hrubá (ur. 1927), czeska działaczka na rzecz praw człowieka. Od 1949 na emigracji. Jej publikacje były wydawane wśród opozycji czechosłowackiej od lat sześćdziesiątych. Lobbowała wśród władz amerykańskich na rzecz czechosłowackiej Karty 77. W 1988 odznaczona przez Ronalda Reagana za walkę o prawa człowieka.

ale pomyślałem o ks. Stanisławie Wielgusie, rektorze KUL. Wymieniłem jego nazwisko i nikt nie zgłosił sprzeciwu. Do spotkania w Pradze nie doszło, choć ks. Wielgus początkowo okazywał chęć wzięcia w nim udziału. Chyba brak czasu stanął na przeszkodzie. Ja również nie pojechałem, choć z innych względów. Nie przekonywała mnie skuteczność akcji podejmowanych przez tę organizację. Pani Hrubá pisała do mnie w lutym 1999 r.:

Celem [działalności centrum – Z.Z.] jest prostowanie pewnych poglądów i idei, które często są tu promowane i uważane wręcz za artykuł wiary – że wszyscy Polacy są antysemitami, a wszyscy Czesi rasistami i ateistami *etc.* Te zagadnienia winny być przedyskutowane we właściwej perspektywie i tam, gdzie problem istnieje, winno się podpowiadać jego rozwiązanie oraz formułować informacje dla władz Stanów Zjednoczonych i organizacji.

Nigdy nie wątpiłem w szczerą intencję pani Hrubej, ale w rozmowie ze mną przyznawała ona, iż wyeliminowanie lub zwalczanie stereotypów szkalujących Polskę czy inne nacje – zwłaszcza Europy Środkowo-Wschodniej – jest trudne. Byliśmy zgodni co do tego, że ośrodki kształtowania opinii publicznej w USA często przyjmowały wersję podsuwaną przez niektóre środowiska żydowskie, celowo lub bezwiednie przemieszczające winę za prześladowania Żydów z Niemców na narody przez nich okupowane i także niszczone, choć nie w takiej mierze i nie w takim tempie, jak tego doświadczyli Żydzi. Stąd biorą się takie dziwolągi jak „polskie obozy koncentracyjne” i inne podobne fałszywki, które trudno przypisać wyłącznie ignorancji.

Moja współpraca z centrum zakończyła się w sposób naturalny. Nie miałem możliwości podejmowania tak częstych i dalekich podróży, jak tego wymagała.

W czasie pierwszego pobytu na Seton Hall w kwietniu 1994 r. otrzymałem od prof. Czesława Madajczyka z Warszawy list o następującej treści:

Do końca maja można zgłaszać kandydatów na członków korespondentów PAN. Chcielibyśmy zgłosić kandydaturę ks. profesora jako specjalisty XIX i XX w., trzy podpisy członków PAN (warunek rozpatrzenia) są zapewnione. W najgorszym razie będzie to pierwszy przebieg (na ogół wybór przy 2 lub 3 starcie, wybory co dwa lata).

Zgłoszenie uzależniono od mojej zgody, którą oczywiście wyraziłem. Na tym się skończyło, dotąd bowiem wybór na mnie nie padł.

Moje pobyty w USA, w sumie pięć, oraz jeden w Kanadzie odegrały w moim życiu zawodowym rolę trudną do opisanía. Przede wszystkim świat za oceanem jest tak inny od Europy, że wielu rzeczy trzeba się tam uczyć pod nowa. A to z kolei ułatwia poznanie nowych form ludzkiego bytowania. Dla zrozumienia historii – nie tylko zresztą jej – ma to kapitalne znaczenie. Ameryka Północna to świat wielu kontrastów i pozornych niekonsekwencji. Świetnie zorganizowany. Mało jest miejsca na improwizację, ale z drugiej strony możesz manifestować swój sposób bycia, pielęgnować swoje zwyczaje, bylebyś się nie stał przez to uciążliwy dla otoczenia. Amerykanie przejawiają też swoisty patriotyzm, nakładający obowiązek szacunku dla pewnych symboli – flaga cieszy się tu szczególną estymą i jest obecna wszędzie, nie tylko na uroczystościach, lecz także w dzień powszedni – choć patriotyzm ten jest całkowicie odarty z sentymentalizmu. USA są w zasadzie krajem bezwyznaniowym – w tym sensie, że oficjalnie nie uprzywilejowuje się żadnego wyznania, a zarazem krajem, gdzie wiara w Boga jest fundamentem życia. Jest to wiara mocno podszyta oświeceniem, ale nie tym europejskim. Jest to raczej racjonalne łączenie trzeźwo pojmowanej rzeczywistości z prawdą fundamentalną, jaką jest Bóg. Różnie tłumaczy się napis na banknocie dolarowym: *In God we trust*³⁹⁶, ale jest w tym wyznaniu jakaś realna prawda o Ameryce.

Sympozja w Niemczech i w Szwajcarii

W 1996 r. otrzymałem zaproszenie na sesję naukową na temat: „Kościół katolicki pod dyktaturą narodowosocjalistyczną i komunistyczną w Niemczech i w Polsce 1939–1989”, zorganizowaną przez Johann Gottfried Herder Institut w Marburgu³⁹⁷ i Institut für ostdeutsche Kirchen- und Kulturgeschichte e.V. w Ratyzbonie³⁹⁸. Sesja miała miejsce w pięknie położonej niedaleko Berlina miejscowości o nazwie Bad Saarow od 28 do 31 lipca 1997 r. Udział brali znani historycy

³⁹⁶ Ang. Bogu ufamy.

³⁹⁷ Johann Gottfried Herder Institut – niemiecki ośrodek badań historycznych nad Europą Środkowo-Wschodnią utworzony w 1950 w Marburgu. Jego głównym zadaniem jest gromadzenie literatury dotyczącej Europy Środkowo-Wschodniej oraz opracowywanie źródeł do jej historii.

³⁹⁸ Institut für Ostdeutsche Kirchen- und Kulturgeschichte e.V. powstał w 1958 w Ratyzbonie. Jego głównym zadaniem jest badanie i przedstawianie historii kulturalnej i kościelnej Niemiec oraz państw Europy Środkowo-Wschodniej. Szczególną wagę przywiązywano do badania dziejów Kościoła na tych terenach i jego wpływu na kulturę.

niemieccy, jak Paul Mai³⁹⁹, Heinz Hürten⁴⁰⁰, Joachim Köhler⁴⁰¹ i inni. Z Polski obecni byli: ks. prof. Kazimierz Śmigiel, ks. prof. Jerzy Myszor⁴⁰², dr Piotr Madajczyk⁴⁰³ i kilku innych. Organizatorami byli Hans-Jürgen Karp⁴⁰⁴ z Marburga i prof. Leonid Lux z Eichstätt⁴⁰⁵. Z historyków niemieckich zjawił się także prof. Georg Strobel⁴⁰⁶ z referatem *Kościół, tradycyjny obraz Niemca i sowietyzacja Polski*. Już samo sformułowanie tematu niczego dobrego nie wróżyło. Ponieważ

³⁹⁹ Paul Mai (ur. 1935), ksiądz i historyk niemiecki. Świecenia kapłańskie 1962. Absolwent Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Doktorat 1962. Prefekt seminarium w Ratyzbonie 1963–1967. Archiwista i bibliotekarz Archiwum Episkopalnego w Ratyzbonie 1967–1971. Od 1971 jego dyrektor. Przewodniczący Stowarzyszenia Historycznego Górnego Palatynatu i Ratyzbony. Do 2015 prezes i dyrektor zarządzający Instytutu Wschodnich Kościołów i Historii Kultury. Prałat papieski od 1972.

⁴⁰⁰ Heinz Hürten (1928–2018), historyk niemiecki. Absolwent Westfalskiego Uniwersytetu Wilhelma w Münsterze. Pracownik naukowy w Szkole Bundeswehry w Koblencji, Uniwersytetu Alberta i Ludwika we Freiburgu i uniwersytetu w Münsterze. Od 1977 profesor zwyczajny na Katolickim Uniwersytecie w Eichstätt i Ingolstadt. Dziekan Wydziału Nauk Historycznych i Społecznych 1980–1982. Wicerektor uczelni w latach 1982–1993. Autor wielu prac z zakresu historii XIX i XX w.

⁴⁰¹ Joachim Köhler (ur. 1952), filozof i historyk. Absolwent Uniwersytetu Juliusza i Maksymiliana w Würzburgu i Uniwersytetu Eberharda i Karola w Tybindze. Doktorat 1982. Dyrektor wydawnictwa Stern-Bücher 1982–1993. Autor prac dotyczących filozofii Nietzschego.

⁴⁰² Jerzy Myszor (ur. 1950), ksiądz diecezji katowickiej, historyk. Świecenia kapłańskie 1975. Absolwent PAT w Krakowie. Doktorat 1985, habilitacja 1992, profesor nadzwyczajny 1996, profesor zwyczajny 2000. Wykładowca w WSD w Katowicach 1982–1988 i w Eksternistycznym Studium Teologicznym KUL w Katowicach 1982–1992. Dyrektor muzeum i archiwum diecezjalnego w Katowicach 1983–1989. Od 1992 pracownik naukowy ATK. Kierownik Katedry Historii Powszechnej Europy Środkowo-Wschodniej UKSW od 1996. Prodziekan Wydziału Kościelnych Nauk Historycznych i Społecznych 1995–1999. Członek Komisji Historycznej badającej problem inwigilacji duchowieństwa oraz księży współpracujących z peerelowską Służbą Bezpieczeństwa w latach 1949–1989. Obecnie pełni funkcję kierownika Katedry Teologii Patrystycznej i Historii Kościoła na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

⁴⁰³ Piotr Madajczyk (ur. 1959), historyk, syn prof. Czesława Madajczyka. Absolwent UW. Doktorat 1989, habilitacja 1998, profesor zwyczajny od 2003. Pracował w AAN w Warszawie i Instytucie Zachodnim, a następnie w Biurze ds. Mniejszości Narodowych i Etnicznych w Ministerstwie Kultury 1991–1994. Od 1990 pracownik naukowy ISP PAN, gdzie kieruje obecnie Zakładem Studiów nad Niemcami.

⁴⁰⁴ Hans-Jürgen Karp (ur. 1935), historyk i wydawca niemiecki. Zastępca dyrektora Instytutu Herdera w Marburgu 1973–1988. Od 1990 przewodniczący Towarzystwa Historycznego Warmii. Autor wielu publikacji dotyczących historii Europy Środkowo-Wschodniej i Kościoła katolickiego w Europie.

⁴⁰⁵ Leonid Luks (ur. 1947), historyk i filolog rosyjski. Absolwent Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie i Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Doktorat 1973, habilitacja 1981. Pracownik naukowy Uniwersytetu Fryderyka i Aleksandra w Erlangen 1978–1981, od 1981 na uniwersytecie w Monachium; Centrum Badawczego Studium Europy Wschodniej na Uniwersytecie w Bremie, od 1989 zastępca dyrektora Departamentu Europy Wschodniej Deutsche Welle w Kolonii. W 1992 wykładał gościnnie na Uniwersytecie Humanistycznym w Moskwie. W 1993 został mianowany profesorem nadzwyczajnym na Uniwersytecie w Kolonii. Dziekan Wydziału Historii Europy Środkowej i Wschodniej na Katolickim Uniwersytecie w Eichstätt.

⁴⁰⁶ Georg Strobel (1923–2010), filozof, historyk i politolog niemiecki. Absolwent Uniwersytetu Christiana-Albrechta w Kilonii. Doktorat 1955, habilitacja 1970. Wykładowca na uniwersytecie w Kilonii od 1952. Pracownik naukowy Bundesinstitut für Ostwissenschaftliche und Internationale Studien w Kolonii 1961–1975. Profesor historii i nauk politycznych Hochschule Darmstadt 1975–1989. Od 1989 na emeryturze. Autor ponad 40 książek i 190 artykułów naukowych.

referat Strobla był zapowiedziany na drugi dzień sesji, miałem okazję zamienić kilka słów z jednym z organizatorów i podzielić się obawami, jakie wzbudził we mnie tak ujęty temat. Uspokojono mnie jednak, zapewniono, że profesor niejednokrotnie już na ten temat mówił i chyba dwukrotnie nawet o tym pisał – nie było żadnych sensacji. Czas referatów był rygorystycznie ograniczony do 20 minut, ewentualnie pozwalano przedłużyć o 5 minut.

Z prof. Stroblem dyskutowaliśmy poprzedniego wieczoru. Był on z urodzenia Łódzianinem, skończył polskie gimnazjum i liceum, miał polską maturę i był przed wojną obywatelem polskim. Miał bogatą historię wojenną, jako volksdeutsch był oficerem Abwehry, a pod koniec wojny miał podobno przeprowadzić jakieś polskie oddziały partyzanckie przez Czechosłowację bodajże do Bawarii. Wiadomości te absolutnie nie są spójne. Trochę on sam o tym przebąkiwał, trochę słyszałem przy różnych okazjach, dlatego nie rękę za prawdziwość tych danych biograficznych. To, że był w służbie III Rzeszy, jest jednak pewne. Czy zawsze był – jak twierdzi – tak wiernym przyjacielem Żydów, to już sprawa warta sprawdzenia. Do lojalności wobec Polski jako jej obywatel nigdy się nie poczuwał. W tym względzie nie był wśród Niemców polskich wyjątkiem. Co mnie uderzyło w trakcie tej wieczornej rozmowy przy piwie czy lampce wina – to jego lekceważący i trochę protekcyjny ton, gdy mówił o czymkolwiek, co miało związek z Polską i Polakami. Z kolei Niemcy w jego mniemaniu byli, obok Żydów, siłą napędową racjonalnej i owocnej inicjatywy gospodarczej i kulturalnej, przynajmniej w Łodzi, która była punktem odniesienia jego dywagacji. Ponieważ niejednokrotnie w Niemczech zdarzało mi się słyszeć stereotypowe opinie na temat Polski i Polaków, traktowałem ten nieco arogancko-kabotyński występ profesora z przymrużeniem oka. Dopowiadałem mu niekiedy pół żartem, pół serio do snutych przezeń rozważań coś od siebie. W pewnym sensie przychylnie nastawiał mnie do niego fakt, iż chętnie mówił po polsku, nawet się tym popisywał i potrafił pewne cechy Polaków docenić. U niego sprowadzało się to do pewnego powiedzonka, które słyszałem też z ust Niemca zwiedzającego stary rynek w Lublinie. Chodził, fotografował i powtarzał:

– Za mało dobrej farby.

Nie cóż, miał po prostu rację. Nie było w nim z kolei tego, z czym się spotkałem u innego niemieckiego profesora, który mi opowiadał, jak się wycofywali w czasie wojny z Włoch. Zapytałem:

– Był pan pod Monte Cassino?

Potwierdził.

– Ostatecznie Polacy zdobyli wzgórze i klasztor – napomknąłem.

Twarz jego w jednej chwili stężała. Odparł krótko:

– Alianci nas wyparli.

Nie powiedziałem już ani słowa. Przecież to był człowiek o wielkim umyśle, znaczący uczony, a jednak resentymentów nie da się wyrugować. I tak też było z panem Stroblem, chociaż zbyt dobrze znał Polaków i Polskę, by upraszczać zarówno to, co dobrego miał do powiedzenia, jak i to złe. U niego to nie była kwestia prawdy o Polsce, ale jego spojrzenia na tę prawdę.

Na wykład prof. Strobla czekałem z niecierpliwością. Jego treść wprost mnie poraziła. Padały takie określenia, jak *polnisch gewordenes deutsches Gebiet Pommern und Grosspolen*⁴⁰⁷. Jeszcze gorzej potraktował dzieje kultury polskiej. W średniowieczu i w nowożytności niemiecka *Kulturarbeit*⁴⁰⁸ pozostawia ślady w Polsce, Polacy bowiem nie potrafili wypracować własnej, liczącej się kultury. Potem przyszedł polski romantyzm, a wraz z nim mesjanizm i Polacy utonęli w megalomańsko-nacjonalistycznych mrzonkach, nie dbali o nic, jak tylko o korzystanie z każdej okazji, by siać zamęt rewolucyjny, nie mieli zrozumienia ani dla litery, ani dla ducha prawa. Z jego wypowiedzi wynikało, że państwa, które władały na polskojęzycznych terenach (innymi słowy zaborcy), musieli wiele trudu włożyć w oswajanie Polaków z porządkiem prawnym. Wrogość wobec niego, podobnie jak wobec cywilizacji zachodniej, jest posiewem polskiej literatury całkowicie koncentrującej się na wbijaniu Polaków w manię wielkości i niechęć do innych narodów. Nic więc dziwnego, że Polska pozostała społecznie i gospodarczo zacofana, a jeśli ma jakiś dorobek na tym polu, to tylko dzięki tym, których rękę kasała. Polacy nie pozbyli się też pewnej dzikości i prymitywizmu, które pchały ich do pogromów Żydów i do prześladowania Niemców – po 1945 r. stało się to niejako ich codziennością. Kościół katolicki odegrał kluczową rolę w tym utrzymywaniu narodu w dzikości i wrogości wobec wszystkiego, co nie-polskie i niekatolickie. Polscy hierarchowie – Hlond⁴⁰⁹ przede wszystkim – posunęli się aż do posłużenia się kłamstwem, że Pius XII uprawomocnił ich postęпки po 1945 r. wobec hierarchów niemieckich na ziemiach niemieckich przyznanych

⁴⁰⁷ Niem. Pomorze i Wielkopolska, obszar niemiecki, który stał się polski.

⁴⁰⁸ Niem. kultura pracy.

⁴⁰⁹ August Hlond SDB (1881–1948), święcenia kapłańskie 1905. Doktor filozofii i teologii. Biskup diecezjalny katowicki 1925–1926; arcybiskup metropolita poznański i gnieźnieński 1926–1946; arcybiskup metropolita warszawski i gnieźnieński 1946–1948. Prymas Polski. Kardynał od 1927.

Polsce⁴¹⁰. Profesor wprost oskarżał Hlonda o udział w wypędzeniu Niemców i współdziałanie z komunistami.

Przytoczone przeze mnie przykłady nie oddają w pełni ogromnego ładunku pogardy i nienawiści, jakim przesycony był wykład Strobla. Nie pozwolił sobie przerwać, choć przekroczył wszelkie dopuszczalne normy czasowe, a skończył po prawie 50 minutach.

Spoglądałem na twarze najbliższych siedzących niemieckich uczestników. Uciekali wzrokiem. Profesor Hürten mówił coś swojej małżonce do ucha i kiwał głową. Doktor Karp zapraszał do dyskusji, ale nikt się nie zgłaszał. Spoglądałem na Pola-ków. Najbliżej mnie siedział dr Piotr Madajczyk i coś pilnie notował. Obaj księża nie wyglądali, jakby chcieli się odezwać. Biskup Kopiec⁴¹¹ z Opola był pierwszego dnia i w wykładzie nie uczestniczył. Zauważyłem, że dr Karp miał zamiar zagaić dyskusję, i podniosłem rękę. Byłem tak wzburzony, iż wołałbym, by ktoś przede mną zabrał głos, obawiałem się jednak, że dyskusja się rozmyje, jak to zwykle bywa, i późniejsze wypowiedzi już będą musztardą po obiedzie. Stałem przez chwilę i zacząłem mniej więcej tak:

– Nie jest mi łatwo stanąć tu i zabrać głos, będąc – stosownie do tego, co usłyszałem – członkiem narodu i Kościoła napiętnowanych prymitywizmem, brakiem jakiegokolwiek własnej kultury, a nawet w pewnym sensie przestępczych, prof. Strobel przedstawił bowiem historię Polski jako pasmo zbrodni popełnianych w imię wymaginowanego posłannictwa Polski.

Dalej punkt po punkcie zbijałem tezy wygłoszone w referacie. Skoro prof. Strobel odwoływał się – i to nierzadko – do swoich doświadczeń polskich. Ja także nie mogłem całkowicie wyeliminować z argumentacji elementów osobistych, dotyczących zarówno jego, jak i mnie. Profesor Strobel w nr. 209 „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z 1998 r. tak skomentował moje wystąpienie:

⁴¹⁰ Nawiązanie do decyzji prymasa Hlonda o ustanowieniu polskiej struktury kościelnej na Ziemiach Zachodnich w 1945.

⁴¹¹ Jan Kopiec (ur. 1947), ksiądz diecezji opolskiej, teolog. Świecenia kapłańskie 1972. Absolwent KUL. Doktorat 1982, habilitacja 1988, profesor zwyczajny 2003. Wikariusz w parafii św. Franciszka w Zabrze 1972–1974, w parafii NSPJ w Zabrze-Rokitnicy 1974–1978. Wykładowca w WSD Śląska Opolskiego w Nysie od 1982, w Diecezjalnym Instytucie Teologiczno-Pastoralnym w Opolu – filia Wydziału Teologicznego KUL od 1986, w Misyjnym Wyższym Seminarium Duchownym Księży Werbistów w Nysie 1985–1993. W WSD Śląska Opolskiego w latach 1982–1984 pełnił obowiązki prefekta, w roku akademickim 1985/1986 był zaś wicerektorem. W 1986 został dyrektorem Archiwum Diecezjalnego w Opolu. W 1994 po utworzeniu Uniwersytetu Opolskiego z Wydziałem Teologicznym został adiunktem w Katedrze Historii Kościoła i Patrologii, a w 2006 kierownikiem tej katedry. Biskup pomocniczy diecezji opolskiej 1992–2011. Biskup diecezjalny opolski od 2011.

Historyk Kościoła z katolickiego uniwersytetu w Lublinie, który jako pierwszy zabrał głos, przeszedł, nie podejmując najmniejszej próby naukowej dyskusji, do osobistych dyfamacji i wyzwisk ze wskazaniem na swój własny zły los podczas okupacji niemieckiej, przez co przy częściowym niemieckim poparciu wszystkim zamknął usta.

To kłamliwe i całkowicie zniekształcające moją wypowiedź oświadczenie najlepiej świadczy o intencji, jaka towarzyszyła wystąpieniu profesora w Bad Saarow. Jeśli chodzi o reakcję uczestników niemieckich, to bynajmniej nie w części – jak napisał – była ona skierowana przeciwko prof. Strobłowi. Jeden z uczestników, adiunkt uniwersytetu w Berlinie, wstał zaraz po mojej wypowiedzi i oświadczył, że opuszcza symposium na znak protestu, ponieważ organizatorzy specjalnie prof. Strobłowi dali dwukrotnie więcej czasu niż innym mówcom, by mu umożliwić wygłaszanie tak oburzających treści. Do mnie rzekł, że rozumie moją reakcję i nie uważa jej za zbyt gwałtowną.

Organizatorzy byli w trudnej sytuacji. Profesor Köhler usiłował sprowadzić całą sprawę do rzędu problemu metodologicznego. Sztucznie i anemicznie wypadło przywołanie św. Tomasza, którego filozofia dopomogłaby w lepszym odczytaniu cudzych myśli. Spytałem krótko:

– Czy tomizm ma receptę na inną percepcję czegoś, co zostało powiedziane w określonym zamiarze i z jasną intencją?

Profesor Strobel odpowiadał w duchu, w jakim później opisał sprawę w FAZ. Ja ze swej strony dorzuciłem, że w normalnych warunkach w ogóle nie podejmowałbym dyskusji z jego referatem, ale tutaj my, polscy uczestnicy, zostaliśmy postawieni pod pręgierzem. Ponieważ nikt z moich kolegów nie kwapił się z zabranieniem głosu, uznałem, że na mnie spada obowiązek obrony – nie prawdy, bo ta sama się broni – honoru. Miałem żal do niektórych uczestników polskich. Znaczenie później zrozumiałem, że nie tylko trudności w wysłowieniu się po niemiecku zamykały im usta. Wielu działaczy polskich na rzecz pojednania polsko-niemieckiego otrzymuje w Niemczech nagrody i odznaczenia, dlatego też, gdy chodzi o przeszłość, zwłaszcza tę najnowszą, XX-wieczną, potrafią powiedzieć *Jein*⁴¹² – to takie niemieckie powiedzonko określające kompromis.

⁴¹² *Niem.* das Jein, rzeczownik, za którego pomocą możemy powiedzieć jednocześnie „tak” i „nie”, powstał ze słowa *ja*, czyli „tak”, i ze słowa *nein*, czyli „nie”.

Muszę dodać, że w moim rozumieniu jest on paskudny, bo z prawdy w ten sposób czyni się kartę przetargową. I nie jest to moja opinia, ale pewnego Niemca, adiunkta z Monachium, z którym spotkałem się w czasie dorocznych konferencji Görresgesellschaft, badajże w 1987 r. w Göttingen. Byłem jego stwierdzeniem trochę zaszokowany, takie postawy znanych działaczy na styku polsko-niemieckim były mi bowiem całkowicie obce. Zapytał mnie w pewnym momencie, skąd jestem. Odpowiedziałem, że z Lublina. On na to:

– *Na, da haben wir doch bei uns ihren Kollegen*⁴¹³.

– *Wie heißt er?*⁴¹⁴

Wymienił nazwisko Bartoszewskiego. Nie ma nic bardziej drażliwego dla pewnych środowisk niż prawda o tym człowieku. Wyjaśniłem, że nie mam takiego kolegi. Zapytał, czy się nie obrażę, jeśli powie o nim coś krytycznego. Zapewniłem, że nie. Wtedy rzekł:

– On bagatelizuje całą nazistowską przeszłość, byle się tylko przypodobać starej generacji (ujął to dosadnie), która nie chce słyszeć o przestępstwach niemieckich. My, młodszy, tego nie znosimy.

Wtedy była to dla mnie nowość, uważałem pana Bartoszewskiego za człowieka bezkompromisowego... Ale gdy w czasie innego spotkania tegoż towarzystwa naukowego (w Ratyzbonie) przysłuchiwałem się jego dyskusji z Hansjakobem Stehlem⁴¹⁵, coś zaczęło mi świtać. Sprawa mnie zainteresowała i zacząłem ten wątek uważnie śledzić – nie tylko w odniesieniu do wymienionej osoby, lecz także innych, uchodzących za promotorów pojednania polsko-niemieckiego. Cena zawsze była ta sama: trzeba było po prostu taktownie dodać owo: *ja, aber*⁴¹⁶, kiedy była mowa o bestialstwach popełnianych na Polakach, przecież nie przez Niemców, ale przez nazistów, bo Niemcy byli przeciw albo nie wiedzieli nic o obozach, zbrodniach.

Można by mnożyć te slalomy, jakimi zjeżdżają ze śliskich tematów owi wszyscy *preisjäger*⁴¹⁷, jak tego typu ludzi z ironią nazwał także jeden z moich niemieckich

⁴¹³ Niem. No, przecież mamy u siebie pańskiego kolegę.

⁴¹⁴ Niem. Jak się nazywa?

⁴¹⁵ Hansjakob Stehle (1927–2015), historyk i publicysta niemiecki. Absolwent Uniwersytetu Johanna Wolfganga Goethego we Frankfurcie. Doktorat 1950. Pracownik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Pierwszy stały korespondent w Polsce 1958–1963. W latach 1967–1989 korespondent niemieckich nadawców (WDR), najpierw w Europie Południowo-Wschodniej, później we Włoszech i Watykanie. Autor pionierskiego studium na temat polityki wschodniej Watykanu *Die Ostpolitik des Vatikans 1971–1975* (pierwsze wydanie: 1975). Wykorzystywany przez SB jako kontakt informacyjny ps. „Rudi” (teczka pracy się nie zachowała).

⁴¹⁶ Niem. tak, ale.

⁴¹⁷ Niem. łowca nagród.

rozmówców. Epitet ten można też zresztą wyczytać w gazetach niemieckich. Nie warto się jednak tym zajmować, można się bowiem narazić na zarzut kalania autorytetów moralnych, dodam, zarzut dość niebezpieczny, bo te autorytety nie chadzą w pojedynkę, ale żerują w stadach, jak wilki. Stąd też kontratak może być, a nawet z reguły bywa, stadny. Tak było w wypadku pewnego listu, który nieopatrznie dostał się do gazet. Było to w 1996 r. W jednej z gazet niemieckich przeczytałem, że wspomniany wyżej pan B. otrzymał nagrodę diecezji w Essen (lub też instytucji z nią związanej) za zasługi dla katolickiej nauki społecznej i w ogóle dla katolicyzmu. Już dzisiaj nie pamiętam uzasadnienia, ale pewne było, iż racje były wydumane, poza tym były pewne względy, które raczej nie predestynowały nagrodzonego do miana sztandarowej postaci katolicyzmu polskiego. Oczywiście nikt na takie miano nie zasługuje, tym bardziej było dziwne, że jako *casus laudationis*⁴¹⁸ wybrano akurat katolicką naukę społeczną. Zapytałem ks. Piwowarskiego, czy zna jakieś istotne zasługi tego pana w tej dziedzinie – zdziwiło go bardzo samo pytanie. Kiedy pokazałem mu gazetę, oniemiał. To, że bp Luthe⁴¹⁹, ordynariusz diecezji Essen, został przez kogoś wyprowadzony w pole, nie ulegało wątpliwości. Potwierdzenie otrzymałem kilka lat później z ust jednego z księży niemieckich dobrze znającego biskupa. Rozmowa z ks. Piwowarskim skończyła się na tym, że wyraził on gotowość podpisania listu do bp. Luthego, zwracającego uwagę na zaszłe nieporozumienie.

List napisałem po niemiecku, starając się operować wyłącznie rzeczowymi argumentami. Zapytałem dziesięciu innych profesorów, czy byliby gotowi podpisać takie pismo. Wszyscy wyrazili gotowość. Jeden poprosił, żebym dostarczył mu polską wersję, nie był pewien, czy poprawnie zrozumie tekst niemiecki. Uczyniłem to. Następnego dnia otrzymałem telefon, że list wydrukuje „Gazeta Polska”. Nie byłem zadowolony, ale wyłącznie z tego powodu, że list był przeznaczony tylko dla bp. Luthego i może on czuć się obrażony, że tekst został udostępniony prasie.

Pominę wszystko, co nas spotkało w wyniku ogłoszenia tego listu. O autorstwo niesłusznie podejrzewano prof. Bendera⁴²⁰. Gdzie mogłem, zaprzeczałem

⁴¹⁸ *Lac.* dowód uznania, powód laudacji.

⁴¹⁹ Hubert Luthe (1927–2014), niemiecki ksiądz archidiecezji Kolonia. Świecenia kapłańskie 1953. Biskup pomocniczy archidiecezji Kolonia 1969–1991. Biskup diecezjalny Essen 1991–2002. Od 2002 biskup senior.

⁴²⁰ Ryszard Bender (1932–2016), historyk i polityk. Absolwent KUL. Doktorat 1961, habilitacja 1969, profesor zwyczajny 1985. Kierownik I Katedry Historii Nowożytnej Instytutu Historii KUL 1969–2002, prodziekan 1970–1975, a następnie dziekan Wydziału Nauk Humanistycznych 1981–1987. Sekretarz generalny TN KUL 1974–1979. Wiceprezes Lubelskiego Towarzystwa Naukowego 1987–1999.

i stwierdzałem swoje autorstwo. Nie wiem, czy ktokolwiek mi uwierzył, dlatego zaprzestałem jakichkolwiek tłumaczeń. Koledze Benderowi oświadczyłem, że może w tej sprawie złożyć publiczne oświadczenie. Nie uczynił tego. Napadli na nas fabrykanci „autorytetów moralnych”, w niewybrednych, chamskich (jak zawsze) słowach, m.in. Adam Michnik⁴²¹, Stefan Niesiołowski⁴²² i podobni luminarze naszej ówczesnej opinii publicznej. Najbardziej bolały napaści ze strony niektórych hierarchów. Kto jak kto, ale oni powinni wiedzieć dobrze, kto miał rację i mówić prawdę. Ten przypadek ostatecznie pozbawił mnie złudzeń w przedmiocie jedności i nietykalności prawdy. Nie ma jej w żadnym środowisku, nawet tym, które udzieliło sobie koncesji na jej monopol. Zawsze decyduje koniunktura. Staliśmy się przedmiotem niewybrednej, przypominającej czasy komunizmu, tego bez ludzkiej twarzy, nagonki.

Mieliśmy też satysfakcję, wiele osób nas jednak poparło. Mam listy, które wówczas dodawały mi sił do znoszenia (nie polemik, bo tych nie było) obelżywych wprost napaści. Chciano zakrzyczeć to, o czym wielu wiedziało, ale czyż wypadało przyznać, że król jest nagi? Skoro biło się mu pokłony! Inwektywy przeciwko nam brały się nie tyle z przekonania o istnieniu jakiegoś autorytetu moralnego, ile ze zwykłego skundlenia. Można się było w ten sposób przypodobać komuś, kto miał kasę z pieniędzmi albo z godnościami.

Po kilku miesiącach jako recenzent doktoratu byłem na pewnej uczelni. Powitano mnie tam jak nieboszczyka, który nagłe się pojawił. Pytano, jak zdołałem umknąć nagonce. Ktoś się odezwał:

– Wiesz, gdybym był na twoim miejscu, najbardziej dotknęłoby mnie to, że w nagonce brał udział wasz rektor.

Coś w tym było. Ksiądz Wielgus nie musiał nas bronić, ale przecież dobrze wiedział, jak wielu innych, że mieliśmy rację, a potępił, bo tak wypadało. Może bał się represji wobec uniwersytetu? To bym zrozumiał. Może żywił też inne obawy?

Wykładowca w Wyższej Szkole Dziennikarstwa im. Melchiora Wańkowicza 1997–2002, Akademii Polonijnej w Częstochowie 1997–1999. W latach 1999–2000 przewodniczący Komisji Akredytacyjnej Niepaństwowych Szkół Wyższych w Polsce. Kierownik Katedry Historii w Wyższej Szkole Pedagogicznej Towarzystwa Wiedzy Powszechnej w Warszawie 2002–2005. W 2006 wykładowca w Wyższej Szkole Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu. Radny Lublina 1973–1977. Poseł na Sejm PRL 1976–1980 i 1985–1989. Współtwórca KIK w Lublinie, od 1983 jego prezes. Senator RP 1991–1993 i 2005–2011.

⁴²¹ Adam Michnik (ur. 1946), dziennikarz, publicysta, opozycjonista w okresie PRL, działacz KOR i „Solidarności”. Poseł na Sejm 1989–1991. Redaktor naczelny „Gazety Wyborczej” od 1989.

⁴²² Stefan Niesiołowski (ur. 1944), polityk, zoolog, opozycjonista w okresie PRL, działacz Ruchu i Solidarności. Doktorat 1979, habilitacja 1990, profesor zwyczajny 2005. Poseł na Sejm 1989–1993, 1997–2001 i od 2007. Senator RP 2005–2007. Wicemarszałek sejmu 2007–2011.

W lutym 1997 r. w „Deutsche Tagespost” ukazał się list czytelnika Stefana Hartmanna⁴²³. Wypowiedź poświęcona była powiedzeniu pana Bartoszewskiego⁴²⁴, którego autor listu w dobrej wierze nazywa profesorem⁴²⁵. Powiedzenie to brzmi: „Warto być przyzwoitym”. Píše on:

Czy w tym powiedzeniu nie pobrzmiewa nieco samochwały? Także wielu Niemców, nawet członków NSDAP, było przyzwoitymi. Czy czasem Bartoszewski nie bagatelizuje powagi i okropności, jakie łączą się z relacjami polsko-niemieckimi? Wiem, że pytanie o to to jak gdyby łamanie tabu, ale jednostronne uznanie dla Bartoszewskiego na Zachodzie każe zapomnieć, że w Polsce istniało także wiele cichych, przyzwoitych i nie mniej zasłużonych osobistości, które dopomagały do niemiecko-polskiego pojednania. Myślę tu także przede wszystkim o wielu kapłanach i biskupach, licznych kontaktach poprzez Maximilian-Kolbe-Werk⁴²⁶ i całkowicie prywatnych spotkaniach w duchu skromności i szczerości bez publicznych uroczystości przyznawania nagród. A może byłoby to nawet miłsze „profesorowi” Bartoszewskiemu, gdyby przez czczenie jego osoby nie nazbyt się „odciążano”, nie czyniono łuku ponad rzeczywistym sporem o wojnę, przestępstwa, wypędzenia, cechującym niemiecko-polską przeszłość.

Przypomniały mi się zaraz słowa młodego historyka niemieckiego z Monachium o *Verhamlosung*⁴²⁷ całej niemiecko-polskiej wojennej przeszłości. To mocne słowo, ale całkowicie na miejscu.

⁴²³ Stefan Hartmann (ur. 1954), ksiądz, teolog, pisarz i publicysta niemiecki. Świecenia kapłańskie 1982. Absolwent Uniwersytetu Albrechta i Ludwika we Fryburgu. Doktorat 2004. Autor licznych prac z dziedziny teologii.

⁴²⁴ Władysław Bartoszewski (1922–2015), historyk, pisarz, publicysta i dyplomata. Więzień obozu Auschwitz; żołnierz AK w czasie drugiej wojny. Działacz opozycji w okresie PRL. Wykładowca na KUL 1973–1982 i 1984–1986. Wykładowca na uniwersytetach niemieckich: Katolickim Uniwersytecie w Eichstätt i Ingolstadt oraz w Augsburgu. Ambasador RP w Austrii 1990–1995. Minister spraw zagranicznych w 1995 i 2000–2001. Senator RP 1997–2001. Sekretarz stanu w Kancelarii Premiera RP i pełnomocnik premiera ds. dialogu międzynarodowego 1997–2015.

⁴²⁵ Autor wspomnień nawiązuje do faktu, że Władysław Bartoszewski bezprawnie posługiwał się tytułem profesora, choć nie miał nawet pełnego wyższego wykształcenia.

⁴²⁶ Stowarzyszenie założone w 1973 przez niemieckich działaczy katolickich. Celem organizacji jest niesienie pomocy ofiarom gett i byłym więźniom obozów koncentracyjnych. Od 2007 funkcjonuje jako Fundacja im. Maksymiliana Kolbego przy wsparciu episkopatów Polski i Niemiec.

⁴²⁷ Niem. zbagatelizowanie.

Sprawa „listu 10” przekonała mnie, że mafia wszędzie rządzi się tymi samymi prawami. Nie wolno naruszać ani jej terenu, ani ludzi, których chroni. Cóż innego mieliśmy w 2007 r., kiedy – zdawałoby się – najwyższy autorytet prawa którejś z kolei Rzeczypospolitej bronił ludzi utytułowanych i zarazem „utyłanych”, bronił na stołkach ich miejsca, które im się nie należało. To jest właśnie prawo mafii. Zadziałało ono w 1996 r., działo i dziś.

Po Bad Saarow pozostał mi pewien niesmak, i to nie z powodu wystąpienia prof. Strobla, lecz z poczucia naszej bezbronności widocznej właśnie w zachowaniu się polskich uczestników spotkania. Księdzu Myszorowi zwracałem uwagę na kalumnie, jakimi prelegent obrzucał kard. Hlonda. Czyż mógł biernie się temu przysłuchiwać? Mógł – i właśnie to najbardziej mnie przygnębiło. Podobnie inni. Ponownie doznałem tego samego uczucia, choć może już nie w takim natężeniu, kiedy w czasie wręczania książki pamiątkowej prof. Janowi Ziółkowi⁴²⁸ w Lublinie wśród autorów i gości zauważyłem nagle prof. Strobla. Na mój widok wyraźnie się stropił. Uprowadziłem jego ewentualną wypowiedź i zapewniłem, że na moim terenie może się czuć bezpiecznie, gdyż nawet człowiek prymitywny potrafi uszanować prawa gościa. Do dziś jednak nie wiem, co tam robił i jak się znalazł w gronie autorów książki ofiarowanej historykowi, który ze sprawami niemieckimi, o ile wiem, nigdy nie miał styczności. Oczywiście nie wiedział też, *who is who*⁴²⁹, bo jak mogłoby zapraszać tego rodzaju autora?

Być może inni więcej się najeździli po różnych kongresach, sympozjach czy konferencjach, ale w moim życiu było ich, moim zdaniem, o wiele za dużo. Z ponad połowy zaproszeń zrezygnowałem, gdyby jednak przyszło choćby po dwie–trzy strony poświęcić tym, które przyjąłem, wyszłaby wcale pokaźna książka. Trzeba by napisać także o problematyce tam poruszanej i byłoby to bez wątpienia najciekawsze. O niektórych spotkaniach warto choćby tylko wspomnieć, na przykład o spotkaniu ekumenicznym w Kappel w Szwajcarii. Odkryło się ono od 2 do 6 października 1989 r. Kappel to ważne dla wyznania helweckiego miejsce, gdzie poległ Ulrich Zwingli⁴³⁰. Dziwna rzecz, ale kiedy jako historyk Kościoła

⁴²⁸ Jan Ziółek (1931–2009), historyk. W latach 1952–1955 więziony za działalność antykomunistyczną. Absolwent KUL. Pracownik administracyjny, a następnie naukowy KUL od 1961. Doktorat 1968, habilitacja 1979, profesor nadzwyczajny 1988, profesor zwyczajny 1992. Prodziekan Wydziału Nauk Humanistycznych 1981–1987, kierownik II Katedry Dziejów Nowożytnych od 1984. Autor ponad 290 publikacji naukowych.

⁴²⁹ Ang. kto jest kto.

⁴³⁰ Ulrich Zwingli (1484–1531), kaznodzieja i teolog szwajcarski. Jeden z twórców ewangelizmu reformowanego.

zainteresowałem się tym zaraz po przybyciu na miejsce, jeden ze szwajcarskich uczestników spotkania powstrzymał nieco moje zaciekawienie. Staliśmy wtedy na czymś w rodzaju tarasu dawnego klasztoru, a teraz ośrodka spotkań religijnych. Mój rozmówca powiedział nagle, wskazując ręką za siebie na porośle krzakami wzgórze:

– Tam dokładnie zginął Zwingli, ale jest tam tylko jakiś mały pomnik, kamień czy coś w tym rodzaju i niczego więcej nie zobaczysz.

Faktycznie – nie zobaczyłem, bo następne dni były tak zajęte, że nie udało mi się podejść na to wzgórze, choć było odległe nie więcej jak kilkaset metrów. Rozmawialiśmy później o samym Zwinglim. Szwajcar nie miał wielkiego mnie-
mania o jego teologicznej kompetencji – teologię studiował łącznie około pół roku i rezultaty tego widać w jego nielicznych pismach. Był to przede wszystkim humanista, ale nie w dzisiejszym stylu. Do swoich racji gotów był przekonywać mieczem, jak wszyscy wtedy. Papież nie czynił inaczej – ani cesarz, ani nikt, kto miał władzę. Uważamy, że był patriotą szwajcarskim (choć Szwajcaria nie miała wtedy jednego patriotyzmu) i że dążąc do politycznej niezawisłości, nie mógł lekceważyć tego samego w dziedzinie religijno-kościelnej. Zauważyłem, że Zwingli nie był przedmiotem kultu. Zupełnie co innego przeżyłem w Wittenberdze w kościele zamkowym, gdzie jest grób Lutra. Tutaj kustosz na moją krytyczną uwagę o Lutrze mocno się zdenerwował.

Chciałbym jednak coś więcej powiedzieć o samym spotkaniu. Z KUL był obecny jako referent ks. prof. Władysław Piwowarski, z ATK – ks. prof. Alfons Skowronek⁴³¹, był też prawosławny bp Jeremiasz⁴³². Z Fryburga szwajcarskiego był prof. Urs Altermatt⁴³³, wyznanie helweckie reprezentowali właściwie sami pastory, w tym

⁴³¹ Alfons Skowronek (ur. 1928), ksiądz diecezji katowickiej, teolog. Świecenia 1954. Absolwent KUL. Doktorat 1964, habilitacja 1970, profesor nadzwyczajny 1977, profesor zwyczajny 1985. Pracownik naukowy ATK od 1970. Kierownik Katedry Teologii Ekumenicznej ATK 1977–1996.

⁴³² Jeremiasz Anchimiuk, właśc. Jan Anchimiuk (1943–2017), polski duchowny prawosławny, teolog. Świecenia kapłańskie 1961. Absolwent ChAT w Warszawie. Wykładowca i wychowawca w prawosławnym seminarium duchownym w Warszawie od 1968. Redaktor naczelny „Wiadomości Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego” 1971–1976. Doktorat 1977, habilitacja 1980. Kierownik Katedry Egzegezy Nowego Testamentu na ChAT od 1981. Rektor ChAT 1996–2012. Biskup wrocławski i szczeciński 1983–1997. W 1997 otrzymał godność arcybiskupa wrocławskiego i szczecińskiego, którą sprawował do śmierci. Od 1973 zarejestrowany jako TW SB ps. „Janek”. Członek Rady Krajowej PRON 1983.

⁴³³ Urs Altermatt (ur. 1944), historyk i socjolog niemiecki. Absolwent uniwersytetów w Bernie, Fryburgu i Berlinie. Profesor historii na Uniwersytecie Albrechta i Ludwika we Fryburgu 1980–2010. Rektor 2003–2007. Specjalista w zakresie badań nad systemem politycznym Szwajcarii i mniejszości narodowych.

jedna pani. Najwięcej styczności miałem z dr. Eduardem Wildbolzem⁴³⁴, proboszczem z Berna. Przemili człowiek i jeśli w ogóle spotkałem kogoś szczerze zatroskanego o ekumenizm – to właśnie jego. Pozbawiony pozy i gotowy do rozmowy na każdy temat, który mógłby przybliżyć biblijne rozumienie Kościoła i zasad wiary. Jego dystans do spekulacji teologicznej wydawał mi



się zrazu zbyt radykalny; sądziłem, że się obawiał dedukcji, która mogłaby utrudnić porozumienie na bazie rozumienia Biblii. Tutaj też wychodziło pełne uszanowanie stanowisko wobec papieża, choć zdystansowane wobec głoszonej doktryny. Zresztą takt nie pozwalał mu wypowiadać bez osłonek swych opinii w tej materii. Wiedział, że nie tylko jako ksiądz katolicki, lecz także jako Polak mam do papieża stosunek szczególny. Po zakończeniu sesji zabrał mnie na krótką wycieczkę autem, gdyż chciał jeszcze porozmawiać na pewne tematy. Zarówno postać jego, jak i słowa mam stale w jakiś sposób w pamięci.

Temat sesji brzmiał: „Czy Kościoły szerzą niepokój i podziały wśród ludzi?”. Organizatorem była Arbeitsgemeinschaft Christlicher Kirchen in der Schweiz. Arbeitsgruppe Polnisch-Schweizerisches Symposium 1989⁴³⁵. Głównym tematem był Kościół, zarówno co do swej istoty, jak i funkcji, i zadań z nim związanych. Na początku postawiono pytanie: W jakim Kościele żyjemy, czym jest ten kościół we współczesnym społeczeństwie, co czyni Kościół dla pokoju? Dalej przedmiotem dyskusji panelowej były tolerancja i wzajemne poszanowanie, jakie winna ona rodzić pośród różnych wspólnot wyznaniowych. Referaty wprowadzające miały charakter ściśle teoretyczny i służyły jako podstawa do dyskusji panelowych, które wyrażnie przeważały

Autor
z ks. Eduardem
Wildbolzem
w Szwajcarii

⁴³⁴ Eduard Wildbolz (1925–2015), pastor szwajcarski, proboszcz parafii w Bernie. Sekretarz Stowarzyszenia Chrześcijańskich Kościołów w Szwajcarii (AGCK CH) od 1971.

⁴³⁵ Grupa Robocza Kościołów Chrześcijańskich w Szwajcarii. Grupa robocza Polsko-Szwajcarskiego Sympozjum 1989.

w programie sesji. Rozłożenie jej w czasie aż na pięć dni sprzyjało wyczerpującemu potraktowaniu tematów dyskusji. Jeden dzień spędziliśmy w opactwie w Einsiedeln, jednakże nie była to wycieczka krajoznawcza, ale dzień wypełniony posiedzeniami i dyskusjami. Ekumeniczny charakter całego sympozjum dostrzegalny był na każdym kroku. Szczególnie akcentowano także modlitewną stronę spotkania. W codziennych modlitwach w kościele w Kappel przewodniczył zawsze ktoś reprezentujący jakieś wyznanie. Byłem na nabożeństwie odprawianym przez pastorkę kościoła reformowanego i raz przez pastora luterńskiego. Nie przypominam sobie, czy także prawosławny przewodniczył spotkaniu modlitwemu. Pamiętam natomiast piękne nieszpory w opactwie w Einsiedeln. W następnych latach mogłem jeszcze raz przeżyć to nabożeństwo w tym opactwie. Wrażenie pozostało niezatarte.

Niestety, później nie było mi już dane uczestniczyć w podobnych spotkaniach ekumenicznych – nie zajmowałem się już tym problemem. Z dużą troską mówiono wtedy o przyszłości ekumenizmu. Widziano ją przede wszystkim w zbliżeniu ponad podziałami dogmatycznymi. Bardzo była akcentowana wspólnotowość jako idea wiodąca we wspólnym wyznawaniu Ewangelii, ona też otwierała bramy dla przenikania chrześcijaństwa do życia publicznego. Obecności w nim sprzeciwiają się istniejące i podkreślane podziały. Wskazywano na wiele płaszczyzn życia, gdzie po prostu wystarczyło uznać Ewangelię za normę życia, bez wchodzenia w spory na tematy dogmatyczne. Szczególnie strona ogólnie tu nazwana protestancką wysuwała takie dezyderaty. Na tym tle doszło do konkretnej dyskusji, wiele wypowiedzi bowiem relatywizowało także samo kryterium bycia chrześcijaninem. Co sprawia, że ktoś nim jest? W ten sposób zahaczono o chrzest jako znak przynależności, sakramentalny znak, zatem nie symboliczny, lecz oznaczający zmianę jakościową człowieka. Dyskusja w tej kwestii zaczęła w pewnym sensie kuleć. Niektórzy wyraźnie unikali jednoznacznej odpowiedzi. Odwoływanie się do ojców reformacji też niewiele pomagało. Luteranie mieli tu raczej stanowisko jasne, choć odrzucenie sakramentów przez Lutra komplikuje zarówno jego, jak i stworzonej przezeń wspólnoty naukę o Eucharystii i chrzcie.

Przysłuchiwałem się temu już nie jako czysto akademickim rozważaniom. Wydawało mi się, że jasne postawienie sprawy chrztu jako warunku należenia do wspólnoty chrześcijańskiej, zatem także jako punktu wyjścia do ekumenizmu nie tylko w sensie ideologicznym, lecz także ściśle wyznaniowym, jest zasadniczym momentem toczącej się debaty. Dziwiłem się, że teologowie unikali

jednoznacznego pytania, czy chrzest jest konieczny, by ktoś mógł nazwać się chrześcijaninem. Zadałem więc to pytanie. Na chwilę zapadła cisza. Wszyscy spoglądali na siebie, szukając chyba tego, kto by się podjął odpowiedzi. Odezwał się któryś ze Szwajcarów. Powtórzyłem pytanie. Ktoś wtedy zapytał mnie, czy negatywna odpowiedź oznaczałaby, iż nie mamy już o czym rozmawiać. Spostrzegłem, że atmosfera się zagęszcza i większość chyba uważa, że wpuściłem szczura na przyjęcie. Sam wcale nie sądziłem, iż popełniłem nietakt. Pewne było, że bez jasnej odpowiedzi na moje pytanie dalsza dyskusja może mocno ucierpieć albo okaże się wręcz niemożliwa. Wreszcie odezwał się jeden z uczestników szwajcarskich. Nie pamiętam już, czy był to pastor Wildbolz – wydaje mi się jednak, że tak, później także dyskutowaliśmy i zapamiętałem jego opinię w tej materii. Padło zdanie, które chyba nie tylko mnie zaskoczyło:

– Chrzest nie decyduje o tym, czy ktoś przynależy do wspólnoty chrześcijańskiej.

– Zatem co?

– Wewnętrzna świadomość przynależności.

Po prostu człowiek czuje się chrześcijaninem i stara się po chrześcijańsku postępować. Ktoś zapytał:

– Na czym wobec tego wspiera się, gdy chodzi teologię, cały ruch ekumeniczny wewnątrzchrześcijański?

Odpowiedzi padały różne, ale jedno stawało się dla wszystkich jasne – sakramentalność Kościoła jest kryterium jego prawdziwości, której nic, nawet najlepsza wola ludzka, nie może zastąpić. Nie znaczy to wcale, iż nie ma żadnej wspólnej drogi z tymi, którzy „ochrzczeni” są wyłącznie swoim subiektywnym „tak” powiedzianym Ewangelii. Trudno jednak byłoby poważnie mówić o jakiegokolwiek interkomunii. Zgodził się ze mną w tej sprawie w trakcie naszych rozmów pastor Wildbolz, ale jak zawsze pojednawczy, oświadczył z uśmiechem, że i tak możemy więcej zdziałać wspólnie, niż stroniąc od siebie. Trudno było temu zaprzeczyć, choć takie podsumowanie sprowadzało się jednak do minimum. Człowiek ten wręcz zniewalał swoją życzliwością i niezmaconym spokojem, dlatego nawet takie rozbieżności nie mogły zburzyć dobrego nastroju.

Spotkanie w Kappel było bardzo istotne dla mojego pojmowania ekumenizmu. Zawsze mnie wzruszał, ale też dziwił optymizm wielu teologów (i nie tylko), którzy już się widzieli przy wspólnym Stole Pańskim z protestantami. Nie nastąpi to, dopóki się nie ustali ostatecznie, kto miał rację w XVI w. Z prawosławnymi

sprawa wygląda inaczej, oba kościoły są bowiem sakramentalne i hierarchiczne. Jest między nimi tylko historia, nic więcej.

Nie są to wszystkie moje spotkania w Niemczech i w Szwajcarii ani we Włoszech, Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych, ale o innych wzmiankuję gdzie indziej, bo skłania do tego różny kontekst.

Ludzie – spotkania – inicjatywy

Księga pamiątkowa księdza profesora Żywczyńskiego

W 1976 r. zorganizowałem wspólnie z księżmi Czesławem Bartnikiem¹, Franciszkiem Stopniakiem i Czesławem Blochem wydanie książki pamiątkowej ku czci ks. prof. Żywczyńskiego. W ówczesnych warunkach udało się nam uzyskać jeden z numerów „Roczników Teologiczno-Kanonicznych”², który w całości oddano nam do dyspozycji na artykuły składające się na książkę. Uroczystość wręczenia zaplanowaliśmy na 16 października w czytelni głównej Biblioteki Uniwersyteckiej. Rektor o. Krąpiec we wszystkim poparł nasze starania, a także przyrzekł swą obecność oraz wygłoszenie stosownego przemówienia. Wiedziałem, że łączące niegdyś obu profesorów więzy przyjaźni, a może po prostu bliskiego koleżeństwa, mocno się rozluźniły po objęciu przez o. Krąpca urzędu rektora KUL. Może to wrodzona prof. Żywczyńskiemu rezerwa do osób urzędowych w ogóle spowodowała ten całkowicie niezrozumiały rozdzźwięk, a może w grę wchodziły inne okoliczności, o których nie wiem. Ksiądz Żywczyński nie powiedział nigdy na rektora złego słowa, ale gdy się dowiedział o księdze, zachnął się i zaczął czynić mi wyrzuty, że bez jego wiedzy decyduję o czymś, co go dotyczy. Potem trochę złagodniał i choć wysuwał obiekcje, że stawiam rektora w trudnej sytuacji, bo on nie będzie chciał narazić się episkopatowi, który krzywo patrzy na profesora itd., wiedziałem, że ustąpi. Ale argumentacja ta dawała wiele do myślenia, zacząłem inaczej postrzegać ochłodzenie się stosunków między profesorami. Przed objęciem funkcji rektora przez o. Krąpca ks. Żywczyński był jego gościem. Ojciec Krąpiec dobrze gotował, a ks. Żywczyński, choć na co dzień żył aż nader ascetycznie, lubił

¹ Czesław Stanisław Bartnik (1929–2020), ksiądz diecezji lubelskiej. Święcenia kapłańskie 1953. Absolwent KUL. Teolog, filozof, publicysta. Doktorat 1956, habilitacja 1966, profesor nadzwyczajny 1974, profesor zwyczajny 1977. Pracownik naukowy KUL 1957–2004 i wykładowca w seminariach duchownych od 1957. Prefekt WSD w Lublinie 1959–1966, jego wicerektor 1966–1973. Kierownik Katedry Teologii Historii na KUL od 1969 (od 1971 Katedra Historii Dogmatów). Prodziekan Wydziału Teologicznego 1973–1975. Wykładowca w WSKSiM w Toruniu 2006–2013. Autor ponad 3,5 tys. publikacji, w tym ponad stu książek.

² „Roczniki Teologiczno-Kanoniczne” 1976, nr 23.

dobrze zjeść. Tak bliskie relacje w nowej sytuacji rektorowi Krąpcowi mogły nie do końca odpowiadać.

Miałem trochę obaw, niosąc księgę do ks. Żywczyńskiego, ale obejrzał ją i wyraźnie mu się podobała. To nie znaczy, że nie wysunął mnóstwa zarzutów. Zastrzegł, żeby na uroczystości nie było żadnych oracji. Sam obiecał wystąpienie w formie pewnych refleksji, którymi chciał się podzielić.

Nieoczekiwanie rektor poprosił mnie, bym mu przygotował konspekt przemówienia. Należało w nim zawrzeć pewne fakty dotyczące dokonań ks. Żywczyńskiego. Ojciec Krąpiec nie we wszystkim się orientował. Oczywiście napisałem ten tekst. Ksiądz rektor tylko w pewnym stopniu skorzystał z moich sugestii. Jego mowa zawierała sporo elementów osobistych. Czuć było jakieś skrępowanie i sztuczność całej sytuacji. Słuchając tego, co mówił o. Krąpiec, autentycznie się cieszyłem. Nawet przeszło mi przez myśl, że może wszystko się zmieni. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a ks. Żywczyński później o tym przemówieniu nie wspominał. Było jeszcze kilka gratulacji i dłuższa oracja ks. Bartnika. Zrezygnowałem z zabierania głosu, bo wiedziałem, że każde moje słowo przez ks. Żywczyńskiego byłoby odebrane jako powinność, a taki odbiór krępowałby także mnie. Kiedy w rozmowach z profesorem wracaliśmy do tamtych wydarzeń, przekonałem się, że moja ostrożność okazała się w pełni uzasadniona. Natomiast niepomniecznie dziwił mnie fakt, że Mistrz o samej uroczystości wyrażał się z uznaniem. W jego wypadku to ewenement godny odnotowania. Nieco później doszedłem do wniosku, że najbardziej rad był z tego, że sam mógł swoje *credo* wygłosić. Prawdę powiedziawszy, nie miałyby ku temu najmniejszej sposobności, gdyby nie ta ceremonia. Niecałe półtora roku później zmarł.

Ksiądz Żywczyński zabierał głos jako ostatni. Jak zwykle kilka razy odchrząknawszy, zaczął mówić. Jego pierwsze słowa – *in cauda venenum*³ – nie zapowiadały nic dobrego. Wśród obecnych czuć było jakieś ożywienie. Profesor pokrótce przedstawił swoją drogę życiową, nie wspominając zbytnio o sprawach bytowych, choć i takie akcenty się pojawiły. Mówił o uczonych, których uważał za swych mistrzów. Były to nazwiska, których słuchacze może nie oczekiwali, a może nawet nie znali, wśród nich Ernst Troeltsch⁴. W tym wypadku chodziło o precyzję myśli

³ *Lac.* w ogniu truciźna.

⁴ Ernst Troeltsch (1865–1923), teolog ewangelicki, filozof, socjolog i polityk niemiecki. Profesor teologii w Bonn i Heidelbergu od 1892. Członek korespondent Pruskiej Akademii Nauk od 1912. W 1914 został profesorem filozofii w Berlinie.

i sposób jej wyrażania. Bardzo ciekawy był wywód na temat własnego rozwoju naukowego. Ukazywał on, jak niezależne od człowieka jest obieranie kierunku badań i zainteresowań. Profesor mówił, co zresztą powtarzał też w innych okolicznościach, o pewnym zaniedbaniu historii Kościoła ze swojej strony, lecz także o tym, że u progu kariery naukowej najbardziej interesował go Kościół starożytny, a nawet średniowieczny. Nowożytność przyszła później na zasadzie pewnej konieczności, a zwłaszcza pod wpływem prof. Marcellego Handelsmana, do którego uczęszczał na seminarium. Potem zaś była ekspedycja rzymska PAU, w której wziął udział z zadaniem badań nad XIX w.

Wystąpienie było starannie przygotowane, zatem trudno było oczekiwać wypowiedzi pod wpływem chwilowych emocji. Pod adresem KUL padły gorzkie słowa – wtedy mi się wydawało, że zbyt gorzkie. Z biegiem lat coraz bardziej się przekonywałem, że ks. Żywczyński miał rację. Mógł się czuć zepchnięty na margines, a nawet w pewnym sensie lekceważony. Uniwersytet musi, jeśli chce być tym, czym powinien, cenić przede wszystkim naukę i tych, którzy ślubowali jej wierność, a nie hołubić kombinatorów, którzy potrafią za pomocą różnych manipulacji i pozornych, lecz krzykliwie rozgłaszanych działań promować siebie i swoje interesy. Profesor nie był łatwym człowiekiem, nazywał rzeczy po imieniu. W świecie nauki jego autorytet był niezachwiany, natomiast na KUL faktycznie potrafiono nim pomiatać. O tym także mówił w swoim wystąpieniu.

Wśród nielicznie zebranych oficjeli uniwersyteckich widoczna była konsternacja, ale reszta uczestników wyraźnie akceptowała to, co mówił. Mam taśmę z nagraniem. Wielokrotnie musiałem ją udostępniać do przegrania i to wiele lat po opisanym tu wydarzeniu.

W pewnych kręgach przemówienie ks. Żywczyńskiego wywołało zrozumiałą sensację. Na KUL można było słyszeć opinie, które tę wypowiedź bagatelizowały lub jej treść przypisywały zgorzknieniu. Ponieważ profesor określnymi drogami starał się wy badać echo swego wystąpienia, m.in. mnie dopytywał o tę sprawę, wiadome było, iż słowa jego były zamierzone i skierowane do konkretnych osób. Zdaje się, że o. Krąpiec też tak to odebrał i nawet pewnego razu to powiedział. Przed tą uroczystością ks. Żywczyński mawiał, iż KUL nie szanuje profesorów, którzy już opuścili gremium nauczające. Później niejednokrotnie kierował podobne uwagi do mnie. Trochę mnie to dziwiło, ale w końcu zrozumiałem. Chciał mi uświadomić, że taki los czeka też mnie. Jakże miałem wtedy brać to sobie do serca? Byłem młody. Widać jednak, że nikomu los taki nie został oszczędzony,

choć wiele lat minęło, zanim się przekonałem, jak słuszne i prawdziwe było każde słowo, które wypowiedział Mistrz w czytelni biblioteki KUL. Niestety środowisko, w którym działał i któremu przydawał powagi w świecie nauki, odnosiło się do niego z pewną niecierpliwością nawet w czasie, kiedy jeszcze wykładał, a co dopiero po jego odejściu na emeryturę. Bano się zwłaszcza tego, że profesor obserwował poczynania różnych „luminarzy” i miał na ich temat wyrobione zdanie. Co więcej, zdarzało się, że je upubliczniał. To zawsze była prawda, bo cokolwiek by o profesorze powiedzieć – bywał niekiedy złośliwy i trudny w rozmowie – nie tolerował mimo wszystko żadnego markowania w nauce. Tego mu niektórzy nie mogli wybaczyć. Dla wielu najlepiej byłoby, gdyby profesor taki jak ks. Żywczyński zniknął z horyzontu, żeby nie raził swoim krytycyzmem i brakiem kompromisu w sprawach zawodowych. Wtedy nawet do głowy mi nie przychodziło, że był on po prostu niewygodny jak gwóźdź w bucie. Jego wartość naukowa mało kogo interesowała, oczywiście w środowisku, w którym żył. Miał wielkie uznanie, ale poza KUL. Coś z tego spływało i na mnie, niezasłużenie zbierałem owoce tej sławy jako jego uczeń. Byli wprawdzie w naszym środowisku nieliczni, którzy chętnie powoływali się na kontakty z ks. Żywczyńskim, lepiej jednak było tego nie robić.

Kiedy z perspektywy czasu patrzę na to, co się dzieje na KUL, widzę, że nieelegancki sposób postępowania z profesorami mocno się upowszechnił. Tylko niektórzy seniorzy mają wstęp na uczelnię, ale to są ludzie *comme il faut*⁵, czyli spolegliwi wobec każdej władzy, innymi słowy, poprawni. Zrozumiałem, że trzeba trzymać się z dala od dawnego warsztatu – mam tu na myśli głównie ten żywy – ale niektórzy koledzy, będący podobnie jak ja *extra muros*⁶, żalą się nieraz po cichu, że się znaleźli na wysypisku. Szkoda mi ich, bo nie znajdzie się tam tylko ten, kto wchodzi tam, gdzie się go nie spodziewają. Gdy bywam na innych uniwersytetach, dziwi mnie obecność w zakładach i w ogóle w gmachu szkoły starych profesorów, od lat będących na emeryturze. Jeszcze nie byłem na żadnej habilitacji w innych ośrodkach – oczywiście w czasach, kiedy nie habilitowano zaocznie – na której zabrakłoby w czasie kolokwium emerytowanych profesorów. Na KUL to się zdarza, jest wręcz normą. O czymś to świadczy. Myślę niekiedy, że może tamci młodszy też nie zachwycają się starszymi, ale nie dają tego po sobie poznać – dużo jest rewerencji i miłego obejścia. Jak tu nie zazdrościć? Choć to nie bardzo po chrześcijańsku.

⁵ Fr. tacy jak trzeba.

⁶ Fr. poza obiegami.

Sympozja i spotkania

O niektórych sympozjach czy konferencjach naukowych była już mowa, ale głównie w związku z pobytami i wyjazdami zagranicznymi. Tutaj chciałbym powiedzieć kilka słów o imprezach naukowych przeze mnie organizowanych lub tych z moim udziałem, które odbyły się w kraju. Nie ulega wątpliwości, że wszystkim nam leżała na sercu historia z jak najbogatszym programem badawczym. W czasach PRL reglamentowano wszystko, od papieru poczynawszy, a skończywszy na tematyce badawczej, która była ujęta w karby cenzury. Wreszcie otrzymano niezawodne narzędzie także w postaci planu wydawniczego, zatwierdzanego przez Główny Urząd Kontroli Prasy Publikacji i Widowisk⁷. Odwołania nie było i cenne często prace się dezaktualizowały, gdy się daremnie czekało na publikację. Nic dziwnego, że preferowaliśmy tematy, które miały siłę przebicia w cenzurze. Mieściły się one na ogół w okresie wojny i okupacji niemieckiej, wówczas obowiązkowo nazywanej hitlerowską. Niemcy to przecież także i ci dobrzy – antyfaszyści, komuniści – w końcu istniała przecież NRD. Nie przeszkadzało to, że właśnie w NRD największa liczba byłych nazistów otrzymała absolucję, ponieważ łatwo potrafili oni przedzierzgnąć się z *Parteigenossen* w *Genossen*⁸ – towarzyszy.

W moim przekonaniu priorytet w formułowaniu tematów doktorskich miały dzieje duchowieństwa diecezjalnego w Polsce międzywojennej. Ta problematyka wymagała wszakże jakiegoś wstępnego rozpoznania, co najlepiej można było uczynić w gronie specjalistów zgromadzonych na jakiejś krótkiej sesji poświęconej Kościołowi w dwudziestoleciu. Do podjęcia tej tematyki zachęcały mnie również pewne wydarzenia na płaszczyźnie badawczej w środowiskach od spraw kościelnych bardzo dalekich.

W październiku 1975 r. zorganizowałem sympozjum pt. „Kościół w II Rzeczypospolitej”. Temat był w pełnym tego słowa znaczeniu dziewiczy, nie licząc wydanej w 1966 r. książki Wiesława Mysłka⁹ *Kościół katolicki w Polsce w latach 1918–1939*. Nie przeczę, że właśnie ta publikacja mocno zaważyła na ostatecznej

⁷ Centralny urząd cenzury w Polsce, utworzony w 1946 r. Zajmował się kontrolą i weryfikacją publikacji prasowych, radiowych i telewizyjnych, wydawnictw książkowych, filmów, spektakli teatralnych, widowisk oraz wystaw.

⁸ Niem. z towarzyszy partyjnych.

⁹ Wiesław Mysiek (ur. 1929), filozof, religioznawca, historyk. Absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Pracownik Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR. Autor książek propagandowych na temat relacji państwo–Kościół w Polsce. Wiceprezes Stowarzyszenia Marksistów Polskich.

decyzji przygotowania sympozjum. Mniejsze opracowania szczegółowe pojawiały się w tym czasie, ale wspomniana pozycja miała charakter syntetyczny, to raz, a po wtóre – przedstawiała sposób widzenia Kościoła – wprawdzie marksistowski, z całą tą swoistą „eklezjologią” – jako instytucji podobnej do spółdzielni względnie stronnictwa mającego zadania propagandowe. Zatem alternatywa dla tej książki, łatwo docierającej do przeciętnego czytelnika, była potrzebna. Ta myśl legła u podstaw sympozjum. Nie chciałem zacieśniać tematu do Kościoła katolickiego, dlatego profesor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie¹⁰, wtedy bodajże rektor tej uczelni, Woldemar Gastpary¹¹ wygłosił wykład o Kościele ewangelicko-augsburskim, a profesor ATK o. Eugeniusz Wyczawski¹² – o Kościele prawosławnym. Szukałem prelegenta z tej wspólnoty kościelnej, ale nie znalazłem. W sympozjum brało udział aż czterech prawników: prof. Krzysztof Skubiszewski¹³, bp Walenty Wójcik¹⁴, ks. dr Henryk Rybczyński¹⁵

¹⁰ Ekumeniczna uczelnia chrześcijańska powstała w 1954 jako kontynuacja Wydziału Teologii Ewangelickiej i Studium Teologii Prawosławnej, utworzonych po pierwszej wojnie na UW. Od roku akademickiego 1968/1969 główna siedziba uczelni znajduje się w budynku Kościoła ewangelicko-augsburskiego przy ul. Miodowej. W chwili obecnej funkcjonują dwa wydziały: Wydział Teologiczny i Wydział Pedagogiczny.

¹¹ Woldemar Gastpary (1908–1984), duchowny Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP. Zaordynowany w 1932. Absolwent UW. Teolog. Doktorat 1939, profesor zwyczajny 1972. W czasie drugiej wojny więziony w Piotrkowie Trybunalskim oraz w obozach Dachau i Oranienburg. Administrator, a następnie proboszcz parafii w Tomaszowie Mazowieckim 1945–1953, proboszcz parafii Świętej Trójcy w Łodzi 1953–1965. Prezes Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w Polsce od 1957. Pracownik naukowy UW 1949–1954, ChAT od 1954. Rektor ChAT 1965–1981. Kierownik Katedry Teologii Historycznej od 1967. Autor ponad 150 publikacji naukowych.

¹² Hieronim Eugeniusz Wyczawski OFM (1918–1993), do zgromadzenia wstąpił w 1933. Śluby wieczyste 1939. Święcenia kapłańskie 1941. Teolog. Wykładowca w studium zakonnym w Kalwarii Zebrzydowskiej 1941–1945. Od 1945 w klasztorze w Krakowie. Doktorat 1947, habilitacja 1952, profesor nadzwyczajny 1956, profesor zwyczajny 1975. Pracownik naukowy Wydziału Teologicznego UJ 1945–1954. Pracownik naukowy ATK od 1954. Gwardian konwentu krakowskiego i archiwista prowincji 1957–1960. Od 1960 na stałe w Warszawie. Dziekan Wydziału Teologicznego 1964–1966. Autor ponad 670 publikacji naukowych.

¹³ Krzysztof Skubiszewski (1926–2010), prawnik i polityk. Absolwent UP. Doktorat 1950, habilitacja 1960, profesor zwyczajny 1973. Pracownik naukowy UP 1948–1973. Prodziekan Wydziału Prawa i Administracji 1961–1963. Od 1973 pracownik naukowy Instytutu Nauk Prawnych PAN. Członek Prymasowskiej Rady Społecznej 1981–1984. Członek Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa 1986–1989. Minister spraw zagranicznych 1989–1993. Zarejestrowany przez SB jako kontakt służbowo-informacyjny „K”, a następnie TW ps. „Kosk” w latach 1961–1969. Uważany za cenne źródło informacji.

¹⁴ Walenty Wójcik (1914–1990), ksiądz diecezji sandomierskiej. Święcenia kapłańskie 1939. Absolwent KUL. Prawniki, kanonista. Doktorat 1948, habilitacja 1959, profesor nadzwyczajny 1972, profesor zwyczajny 1979. Profesor i prefekt w WSD w Sandomierzu od 1948. Wykładowca KUL 1958–1984. Biskup pomocniczy sandomierski 1961–1969 (od 1981 sandomiersko-radomski). Autor ponad 320 publikacji naukowych.

¹⁵ Henryk Rybczyński (1925–2010), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej. Święcenia kapłańskie 1953. Absolwent KUL. Doktor prawa kanonicznego i wykładowca KUL.

i prof. Adam Vetulani¹⁶. Ponadto socjolog ks. Władysław Piwowarski. Z historyków – poza wymienionymi i mną – wystąpili: ks. dr Tadeusz Śliwa¹⁷ (Kościół grecko-katolicki), bp Wincenty Urban¹⁸, dr Jerzy Pietrzak¹⁹, ks. dr Kazimierz Śmigiel. Dwa tematy dotyczyły reformy rolnej w Kościele, aż trzy konkordatu z 1925 r., jeden duszpasterstwa i jeden kard. Sapiehy.

Były to tematy nieco przypadkowe, ale pewnych zagadnień nie można było poruszać, zwłaszcza stanowiska Kościoła w kwestiach politycznych czy kontrowersji na tle światopoglądowym. Przyczyna tego tkwiła w zamiarze wydania pokłosa spotkania drukiem, a to kazało brać wzgląd na cenzurę. Książka się ukazała i – mimo moich obaw, że zostanie skrytykowana z racji pewnej wybiórczości tematów – została życzliwie przyjęta. Była często cytowana, a o zapotrzebowaniu na nią świadczy drugie jej wydanie w 1983 r.

To, z czego ani ja, ani wielu uczestników sympozjum nie zdawaliśmy sobie wówczas sprawy, a co okazało się istotne i zapewniło książce dobre przyjęcie, to była pewna interdyscyplinarność tematów. W tamtym czasie badania interdyscyplinarne były jeszcze w powijakach, ale metoda już trafiała na warsztat badaczy i głosy, które docierały do mnie nie tylko w recenzjach, wskazywały na celowość takich ujęć jak nasze.

¹⁶ Adam Vetulani (1901–1976), historyk prawa. Ochotnik w wojnie polsko-bolszewickiej. Uczestnik wojny we wrześniu 1939 r. Absolwent UJ. Doktorat 1925, habilitacja 1928, profesor nadzwyczajny 1934, profesor zwyczajny 1946. Pracownik naukowy Wydziału Prawa UJ od 1925. Kierownik Katedry Prawa Kościelnego 1934–1939, 1945–1947, kierownik Katedry Historii i Prawa Polskiego od 1947. Sekretarz generalny PAU 1957–1958. Na emeryturze od 1971. Przez wiele lat inwigilowany przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa.

¹⁷ Tadeusz Śliwa (ur. 1925), ksiądz diecezji przemyskiej. Świecenia kapłańskie 1952. Absolwent KUL. Teolog i historyk. Doktor teologii. Wykładowca w WSD w Przemyśle. Pracownik Diecezjalnego Instytutu Teologicznego od 1965. Kapelan siostr albertynek. Rezydent w parafii Przemysko-Błonie.

¹⁸ Wincenty Urban (1911–1983), ksiądz archidiecezji lwowskiej. Świecenia kapłańskie 1936. Absolwent UJK we Lwowie. Teolog i historyk. Wikariusz w parafii w Sokolnikach 1936–1938, Biłce Szlacheckiej 1938–1939 i Kamionce Strumiłowej 1939–1940. Administrator parafii Biłka Szlachecka 1940–1945. Doktorat 1947, habilitacja 1971, profesor nadzwyczajny 1973, profesor zwyczajny 1979. Kierownik Archiwum i Muzeum Archidiecezjalnego we Wrocławiu od 1946. Wykładowca w WSD we Wrocławiu od 1947. Kanonik gremialny Kapituły Katedralnej w Gnieźnie od 1952. Biskup pomocniczy gnieźnieński 1960–1967. Biskup pomocniczy wrocławski 1967–1983. Wikariusz kapitułny archidiecezji wrocławskiej 1974–1976. Autor około 500 publikacji naukowych.

¹⁹ Jerzy Kazimierz Pietrzak (ur. 1942), historyk, regionalista i polityk. Absolwent UW. Doktorat 1971, habilitacja 1981, profesor nadzwyczajny 1992, profesor zwyczajny 1997. Pracownik Zakładu Narodowego im. Ossolińskich od 1966. Pracownik naukowy UW od 1967. Senator RP 1989–1991. Dyrektor gabinetu marszałek sejmu Alicji Grześkowiak 1997–2001.

W maju 1979 r. otrzymałem od prof. Tadeusza Jędruszcza²⁰ zaproszenie na dyskusję nad książką prof. Jerzego Wisłockiego *Konkordat polski z 1925 roku* (Poznań 1977), a jednocześnie „Kwartalnik Historyczny” zwrócił się do mnie z prośbą o jej zrecenzowanie. Niewątpliwie było to swoistym pokłosem sympozjum „Kościół w II Rzeczypospolitej”. Wprawdzie książka nasza miała się dopiero ukazać, ale o sympozjum w kołach zajmujących się tą tematyką było głośno i prof. Jędruszcza nie krył, iż zaprasza mnie właśnie jako inicjatora badań historyczno-kościelnych tego okresu.

Moje wystąpienie w formie zagajenia dyskusji było zaplanowane na posiedzeniu Pracowni Dziejów Politycznych Polski Instytutu Historii PAN. Oczywiście autor książki także był uczestnikiem dyskusji. Przy ogromie pracy ta skądinąd kusząca propozycja wcale mnie nie zachwycała. Profesor Jędruszcza nalegał jednak, bym się zgodziłem, i w końcu uległem. Książkę Jerzego Wisłockiego znałem i miałem wiele uwag krytycznych dotyczących jej partii historycznych, analiza prawnicza natomiast nie budziła większych zastrzeżeń. W dyskusji, która się odbyła w drugiej połowie czerwca, uczestniczyło około dwudziestu osób. Przedstawiłem w ogólnych zarysach swoje uwagi, znacznie szerzej rozbudowane w niemal już gotowej recenzji. Musiałem sprostować wiele nieporozumień, gdy chodzi o przedstawioną w książce genezę konkordatu, a zwłaszcza dość swobodne komentarze dotyczące dziejów kościelnych, bez należytego wyczulenia na poprawność faktograficzną. W wypadku interpretacji dziejów kościelnych wiadomo było, że prof. Wisłocki ulegał całkowicie metodologii marksistowskiej, wobec czego także musiałem zgłosić pewne zastrzeżenia. W rezultacie moja krytyka była wprost druzgocąca, a ja sam w końcu poczułem się nieswojo, zwłaszcza że nikt z obecnych nie usiłował nawet ze mną polemizować. Na twarzach niektórych można było odczytać jakąś *schadenfreude*²¹.

²⁰ Tadeusz Jędruszcza (1923–1994), historyk dziejów najnowszych, członek PPR/PZPR aż do chwili jej rozwiązania. Od 1944 służył w WP, w latach 1945–1948 oficer polityczno-wychowawczy. W latach 1948–1951 służył w Komendzie Głównej Służby Polsce. W okresie 1951–1954 aspirant w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych / Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR. Absolwent UW. Doktorat 1951, habilitacja 1961, profesor nadzwyczajny 1968. Wykładowca w Wojskowej Akademii Politycznej 1954–1968. Od 1955 pracownik naukowy IH PAN. Od 1973 kierownik Zakładu Historii Politycznej Polski XIX i XX wieku w IH PAN. Kierownik seminarium magisterskiego z historii wojskowości na UW od 1974. Kierownik seminarium z historii Europy Środkowej w Szkole Zaawansowanych Badań w Naukach Społecznych w Paryżu 1978. Członek Prezydium Komitetu Nauk Historycznych PAN 1972–1982.

²¹ Niem. złośliwa uciecha.

Profesor Wiślocki zaimponował mi pogodnym przyjęciem krytyki. Owszem, polemizował z moimi tezami, ale przyznawał też, że niektóre partie swej książki potraktował ulgowo. Powiedział, że na recenzję w „Kwartalniku Historycznym” odpowie, co też uczynił. Po tym posiedzeniu usiłował mnie zaprosić na kawę, ale bardzo się spieszyłem na pociąg, on zresztą też. Wydawało mi się, że zaproszenie miało mnie przekonać, iż nie czuje on do mnie urazy.

Później moje relacje z prof. Wiślockim były pozytywne, powiedziałbym nawet – w pewnym sensie obustronnie życzliwe. Okazał się bardzo *fair*, kiedy ostrzegł mnie, że jego adiunkt kończy pracę habilitacyjną na ten sam temat co ks. Stanisław Wilk, adiunkt w mojej katedrze. To z całą pewnością ocaliło jego habilitację. Ja z kolei ułatwiałem profesorowi wstęp do archiwum kościelnego w Lublinie. Można zatem przyjąć, że to trudne i – trzeba przyznać – dość nieprzyjemne spotkanie w Instytucie Historii PAN zaowocowało dobrze. Profesor Wiślocki do tego stopnia starał się być lojalny, że prosząc o utworzenie mu drogi do archiwum kościelnego w Lublinie, ostrzegł mnie, iż jest ateistą. Trochę mnie to ubawiło – o moich kontaktach naukowych nigdy nie decydował światopogląd.

Rozgłos wywołany dysputą z prof. Wiślockim kosztował mnie znowu sporo czasu i pracy. Zaproszeń do wygłoszenia referatów na różnych konferencjach naukowych było coraz więcej i trzeba było dobrze gospodarować czasem, by go starczyło na pisanie. Do spraw międzywojnia postanowiłem wrócić później. Nie bardzo wiedziałem, czy zdołam zgromadzić referentów, których chciałbym na tym sympozjum widzieć, a poza tym zniechęcano mnie, ostrzegano, iż cenzura nie puści książki, której powstanie obiecywałem sobie w wyniku tego spotkania naukowego. Zająłem się zatem tematyką okupacyjną, która także mnie nurtowała, stanowiła niejako równoległy kierunek moich badań, po kongresie warszawskim poświęconym historii porównawczej Kościołów²² – coraz istotniejszy.

Zainteresowanie to przyszło z zewnątrz. Kościołem w czasie okupacji zajmowali się już inni: Jan Szyling²³ czy ks. Kazimierz Śmigiel. Także ks. Franciszek Stopniak po swoim przeniesieniu się na ATK organizował i podejmował badania w tym kierunku. Sądziłem, że wejście na poletko tak dobrze już uprawiane po prostu się nie opłaci. Katalizatorem przyspieszającym konkretne plany była wspomniana

²² Chodzi o warszawski Kongres Międzynarodowej Komisji Historii Porównawczej Kościołów (CIHEC).

²³ Jan Szyling (ur. 1939), historyk dziejów najnowszych. Absolwent UMK w Toruniu. Od 1963 pracownik naukowy UMK. Doktorat 1971, habilitacja 1989, profesor zwyczajny 2008. Prodziekan Wydziału Nauk Historycznych 1999–2005.

konferencja warszawska. Ujawniła ona mankamenty, jakie zauważałem później w wypadku wielu szeroko zakrojonych inicjatyw naukowych – ślizganie się po powierzchni zagadnień ponad słabo rozpoznaną faktografią. Nonszalancja skądinąd poważnych historyków często wprost raziła, kiedy mowa była o konkretach. Ich interesowały tezy i hipotezy, często bez pokrycia albo zaledwie połowicznie sprawdzalne.

Podjęta w 1977 r. przez prof. Jerzego Kłoczowskiego inicjatywa opracowania dziejów diecezji polskich w latach 1939–1949 oraz zakonów w latach 1914–1949 była ze wszech miar godna uwagi, a przede wszystkim warta realizacji. Miał się tym zająć zespół kierowany przez projektodawcę – kierownika Instytutu Geografii Historycznej Kościoła. W instytucie tym opracowano kwestionariusz dotyczący zakonów, jednak mógł on być pomocny tylko w gromadzeniu i systematyzowaniu materiałów archiwalnych dotyczących poszczególnych zgromadzeń. Do dziś ukazujące się tomy poświęcone poszczególnym wspólnotom zakonnym dowodzą, że pewna ich część zgodnie z kwestionariuszem opublikowała własne źródła. Są to prace pożyteczne, ale od nich do dziejów zakonów jeszcze daleka droga. Monografie niektórych zgromadzeń powstały często nie tylko bez związku z opisanym tu przedsięwzięciem, ale niejako w opozycji do niego. Jako przykład mogę tu podać trzytomowe dzieło s. Lucyny Misteckiej pt. *Zmartwychwstanki. Charyzmat i dzieje 1891–1991* (t. 1–3, Lublin 1999–2002). Nie licząc tej książki, z której powstaniem miałem związek tylko jako konsultant, na moim seminarium powstało 13 prac doktorskich poświęconych dziejom zakonów w podanym wyżej okresie, z tego ogromna większość (prócz jednej) ukazała się drukiem. Prace te powstawały na przestrzeni dłuższego czasu i na podstawie założeń metodologicznych zupełnie innych niż proponowane we wspomnianym kwestionariuszu. Stare przysłowie mówi: *Si duo faciunt idem non est idem*²⁴. Tak było i w tym wypadku. Gwoli prawdy trzeba powiedzieć, że kwestionariusz dany do ręki zakonnikom – często niemającym nic wspólnego z historią – w pewnym sensie ratował wykonywane przez nie w duchu posłuszeństwa zakonnego dzieło. Zdarzało się, że potencjalne autorki przychodziły do mnie i pytały, o co w tym wszystkim chodzi, ponieważ przełożona zleciła im opracowanie historii zgromadzenia, po szczegółowe wskazówki zaś odesłała do Instytutu Geografii. Tam jako zasadniczą wytyczną wskazywano kwestionariusz. Co miała zrobić osoba zupełnie

²⁴ Łac. Gdy dwaj robią to samo, to nie jest to samo.

nieobznajmiona z pracą historyka? Nie można się dziwić, że szukała pomocy, gdzie tylko było można.

Profesor Kłoczowski w swoim piśmie do mnie prosił „o wcześniejsze, jeśli to możliwe, nadesłanie na nasz adres już wykonanych opracowań, sprawozdań z prac, także tematów proponowanych wystąpień na wszystkich czterech sekcjach zjazdu warszawskiego 1978 r.”.

Chodziło tu o zjazd Komisji Historii Porównawczej Kościołów, który miał się odbyć w terminie 26 czerwca – 1 lipca 1978 r. Nawet przy najlepszej woli nie potrafilibyśmy w tak krótkim czasie przygotować prac o takim standardzie, jaki założyliśmy. Poza tym Instytut Historii Kościoła w ramach Rady Wydziału Teologicznego był jednostką autonomiczną i – jak tego dowodzą jego osiągnięcia – profesjonalną w zakresie historii Kościoła.

Profesor Andrzej Wojtkowski niejednokrotnie zwracał mi na to uwagę i zachęcał, aby w przyszłości utrzymać niezależność historii Kościoła na Wydziale Teologicznym. Trochę mnie to dziwiło. W moim przekonaniu na KUL nie powinny istnieć dwie historie. Historia Kościoła jest działem historii powszechnej, choć *sui generis*, nie można jej bowiem uprawiać bez podstawowej choćby znajomości teologii. Sądziłem, że teologowie i zarazem historycy mogą sprostać takim zadaniom. O jakiejś fuzji obu historii jednak nie można było nawet myśleć z wielu względów. Jednym z nich były zasady metodologiczne, które w niektórych przynajmniej kołach Sekcji Historii na Wydziale Humanistycznym były niemalże dogmatem, a tymczasem, pomijając ich pewną już przestarzałość, nie odpowiadały badaniom historycznym nad Kościołem uwzględniającym eklezjologię w pełnym wymiarze. Metoda Le Brasa²⁵, a więc daleko idące socjologizowanie historii, takiemu pojmowaniu historii Kościoła nie odpowiadała. Była ona ponadto bardzo niebezpieczna dla uprawiających każdą historię, a zwłaszcza historię Kościoła, gdzie imponderabilia nie mogły być skrywane za żadnymi parawanami, a już zwłaszcza za liczbami jako miarodajnym obrazem rzeczywistości. Podobno prof. Stanisław Herbst²⁶ nazywał to ze sporą dozą ironii magią cyfr. Cyfry nie tylko nie wyrażają wartości ducha, ale wręcz go przesłaniają.

²⁵ Gabriel Le Bras (1891–1970), socjolog i prawnik francuski.

²⁶ Stanisław Herbst (1907–1973), historyk, badacz dziejów nowożytnych, varsavianista. Absolwent UW i PW. Doktorat 1931, habilitacja 1946, profesor nadzwyczajny 1954, profesor zwyczajny 1961. Nauczyciel historii w gimnazjum w Pruszkowie 1933–1934. Od 1936 pracownik naukowy w Zakładzie Architektury Polskiej i Historii Sztuki PW i równocześnie pracownik Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego 1935–1939. W czasie drugiej wojny członek AK. Kierownik

Inna sprawa, która mnie niepokoiła, to administracyjne „organizowanie” owych badań nad zakonami żeńskimi, co w rezultacie sprawiło, że przełożone generalne lub prowincjalne zgromadzeń wyznaczały siostry do tej pracy, nie zważając na to, iż nie mają one żadnego przygotowania. W kilku wypadkach – jak już wspomniałem – siostra taka zgłaszała się do mnie z pytaniem, jak ma postąpić. Wie, że nie potrafi dobrze wykonać powierzonego zadania, a z drugiej strony obowiązuje ją posłuszeństwo zakonne. Główna wina za tę pożałowania godną sytuację spadała na centralne władze zakonne, które kuratelę nad badaniami powierzały osobom zupełnie nieodpowiedzialnym, w dodatku urządzającym siostrom „skazanym” na pisanie tych „dzieł” historycznych kursy instruktażowe, po których wiele uczestniczek zupełnie się gubiło w wykonywanych zadaniach. Nikt nie zwracał uwagi na to, że praca ze źródłem historycznym nieco różni się od tej w kancelarii zakonnej. Mimo wszystko pewna liczba tych opracowań się ukazała. Graniczy to prawie z cudem i jest dowodem na ogromną odpowiedzialność wykonawczyń, co z całym przekonaniem tu podkreślam. Te niedociągnięcia nie umniejszają wartości inicjatywy Zakładu Geografii Historycznej Kościoła. Należało to tylko robić bardziej systematycznie i bez narzucania arbitralnych i centralnie podporządkowanych decyzji.

Pisząc o pewnej niechęci wielu sióstr obarczonych pracą nad dziejami zakonu, relacjonuję tylko głosy, które do mnie dochodziły. Gwoli sprawiedliwości muszę też zaznaczyć, że sporo było sióstr wywiązujących się z tego obowiązku iście *con amore*, niektóre nawet połknęły bakcyła historycznego i nabrały fachowości, jaką potrafi sobie przyswoić wyłącznie hobbysta.

Wszystkie te zastrzeżenia wysuwałem już w trakcie rozwijania wspominanej tu akcji publikacyjnej na temat dziejów zakonnych. Ze zgromadzeniami męskimi rzecz się nie udała, gdyż albo przełożeni mieli własne pomysły na zadbanie o spisanie dziejów swych zgromadzeń, albo zwyciężył rozsądek ostrzegający przed podejmowaniem pracy, której rezultaty trudno było przewidzieć. Był też inny powód. Wiele zgromadzeń męskich miało już swoich fachowych historyków, a ci nie kwapili się do takiej „współpracy”, jaką im proponowano. Podobnie zresztą

Działu Dokumentacji w Państwowym Instytucie Historii Sztuki w Warszawie 1945–1946. Od 1946 pracownik naukowy UW. Kierownik Katedry Historii Polski do XVIII wieku i Nauk Pomocniczych Historii 1962–1968, kierownik Zakładu Atlasu Historycznego 1953–1961. Związany naukowo z Wojskową Akademią Polityczną w Warszawie, Mazowieckim Ośrodkiem Badań Naukowych i Żydowskim Instytutem Historycznym.

było z ogromną większością historyków Kościoła spośród duchowieństwa diecezjalnego. O tym się często mówiło i taka była wtedy rzeczywistość.

Proponowanej przez prof. Kłoczowskiego współpracy oczywiście nie mogłem przyjąć w całej rozciągłości, ale sądziłem, że potrafimy razem ułożyć jakiś sensowny program działania, i zgodziłem się na udział w kongresie CIHEC jesienią 1978 r.

Wiem, że przebiegiem kongresu interesował się prymas Wyszyński. Dotarło to do mnie nieco okrężną drogą, ale postawione pytania były wyraźne: co właściwie w tej materii się dzieje, kto i po co tym dyryguje? Pojawiła się też wzmianka o funduszach asygnowanych przez Kościół na prace Instytutu Geografii Historycznej Kościoła. To mnie przekonało, że pytania mogą pochodzić pośrednio od prymasa, który kiedyś w rozmowie ze mną jakby mimochodem spytał, czy ośrodek ten już coś konkretnego zrobił.

– Obchodzi 20-lecie istnienia i miałbym w tym uczestniczyć – tak się prymas wówczas wyraził.

Cóż miałem odpowiedzieć?

– Co do map – zaznaczyłem – to jakoś ich nie widać, ale niektóre siostry zbierają materiały do dziejów zakonów.

Tą informacją prymas nie był zaskoczony. Powiedział:

– Tak, tak, wiem. Biskup Dąbrowski nad tym czuwa.

Tak to zapamiętałem. Prymas dodał jeszcze:

– Róbcie, co do was należy.

Nie będę tutaj streszczał przebiegu kongresu, a nawet nie mógłbym tego uczynić dokładnie. Uczestniczyłem tylko w sekcji IV poświęconej Kościołowi w czasie wojny i okupacji w różnych krajach Europy. Ten fragment kongresu opisałem na łamach „Więzi” (1978, nr 9, s. 114–124), ciekawych więc odsyłam do tego tekstu. Tutaj chciałbym natomiast odwołać się do innego mojego zapisu, który nigdy nie ujrzał światła dziennego. Bardzo ciekawe byłoby też sięgnięcie do drukowanych najczęściej w „Tygodniku Powszechnym” wywiadów z uczestnikami, np. prof. Stefanem Kieniewiczem²⁷, prof. Kłoczowskim, prof. Gieysztorem²⁸, delegatem Stolicy

²⁷ Stefan Kieniewicz (1907–1992), historyk i archiwista, badacz XIX w. Absolwent UP. Doktorat 1934, habilitacja 1946, profesor nadzwyczajny 1949, profesor zwyczajny 1958. Pracownik Archiwum Skarbowego w Warszawie 1937–1944. W czasie drugiej wojny służył w AK. Od 1946 pracownik naukowy UW. Pracownik naukowy IH PAN 1953–1968. Członek korespondent PAN od 1965, członek rzeczywisty od 1970. Przewodniczący Komitetu Nauk Historycznych PAN 1969–1984.

²⁸ Aleksander Gieysztor (1916–1999), historyk, mediewista. Absolwent UW. Doktorat 1942, profesor nadzwyczajny 1949, profesor zwyczajny 1960. W czasie drugiej wojny członek ZWZ, a następnie AK. Zaangażowany w konspirację niepodległościową w pierwszym okresie rządów komunistów w Polsce

Apostolskiej prof. Maccaronem). Niektórych zdarzeń w czasie kongresu nie można było w żaden sposób wyjaśnić – nie przepuściłaby tego cenzura – i pewnie wypowiedzi, wbrew intencjom interlokutorów, częściej dezinformowały, niż oddawały istniejący stan rzeczy. Na przykład prof. Gieysztor musiał użyć całego swego kunsztu, by wyjaśnić, dlaczego impreza zapowiadzana jako „kongres” funkcjonowała następnie jako „kolokwium”. Nikomu nie trzeba tłumaczyć, co te wyrazy oznaczają i jaką rangę ma kolokwium, a jaką kongres. Tłumaczenia prof. Gieysztora nawet nie warto przytaczać, tak było sztuczne i niewiarygodne. Prawda była taka, że „protektor” kongresu, prof. Marian Wojciechowski, stanowczo zabronił używania pojęcia „kongres”, powołując się na decyzję „jakichś tam czynników”. Do całej imprezy zresztą, zwłaszcza do problematyki religijnej, odnosił się z manifestacyjnym lekceważeniem. Doskonale mu się udawało, gdyż czynił to z przekonaniem. Przedstawianie historii Kościoła jako fragmentu historii społecznej jest pewnym truizmem, ale wcale nie oddaje istoty Kościoła, tymczasem prof. Gieysztor tak właśnie scharakteryzował owoc obrad poświęconych Kościołowi.

Profesor Kłoczowski twierdził, że w Warszawie była po raz pierwszy dokonana próba spojrzenia na sytuację Kościołów w Europie w czasie II wojny światowej od strony społeczności. Było to rażące uproszczenie, a nawet mijanie się z prawdą, choć z góry zaznaczam, że nie znam roli cenzury w tym względzie i być może ona zmanipulowała tekst bez zgody autora, co się przecież zdarzało. W Warszawie na kongresie (czy kolokwium) nie było żadnych możliwości systematycznego przeglądu problematyki, panował chaos wynikły z przypadkowości dobranych tematów (sekcja IV). Tematy były albo przekrojowe, zatem relacjonujące jakiś stan badań, albo zupełnie marginalne, choć niewątpliwie ciekawe, np. referat prof. Dunin-Wąsowicza²⁹ o życiu religijnym w obozach koncentracyjnych. Również twierdzenie, że w Warszawie „po raz pierwszy” dokonano próby spojrzenia

(Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj). Pracownik naukowy w Państwowym Instytucie Historii Sztuki i Inwentaryzacji Zabytków 1945. Od 1946 pracownik naukowy UW. Dyrektor Instytutu Historycznego UW 1955–1975. Proroktor UW 1956–1959. Wicedyrektor Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Członek korespondencyjny i rzeczywisty PAN. Prezes PAN 1981–1983, 1990–1992. Członek honorowy Polskiego Towarzystwa Historycznego. Dyrektor Zamku Królewskiego w Warszawie 1980–1991. Prezes Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych 1980–1985. Prezes Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 1986–1991. Zarejestrowany jako TW ps. „Pedagog” przez wywiad PRL 1964–1971.

²⁹ Krzysztof Dunin-Wąsowicz (1923–2013), historyk, varsavianista. Absolwent UW. W czasie drugiej wojny żołnierz AK. Po 1945 działacz ZMP i PPS. Członek Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa 1988–1990. Autor ponad 400 publikacji naukowych. Odznaczony medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata.

na sytuację Kościołów w czasie II wojny światowej, jest nieprawdziwe. Przeczy temu cała spora już, choć wybiórcza historiografia tego zagadnienia powstała przed październikiem 1978 r. W dodatku ani ona, ani obrady warszawskie nie ujmują tej problematyki „od strony społeczności”. Co to właściwie znaczy? Podobnie „komercyjne” były reklamy badań, nawet jeszcze nierozpoczętych ani nigdy – jak się potem okazało – niesfinalizowanych. Mówiło się o nowych perspektywach i kierunkach takich jak biografistyka zakonów, której przewodzić miała niejaka pani Dębowska, niemająca w tej dziedzinie żadnego dorobku czy doświadczenia.

Zainteresowanie się dziejami zakonów miało chyba inspirację z zewnątrz. W 1977 r. w czasie spotkania na KUL prof. Mollette³⁰ z Paryża wraz z kilkoma obecnymi zakonnicami francuskimi przedstawiał wyniki takich badań w swoim kraju. W podobnym nurcie szły wspomniane inicjatywy podejmowane u nas. Także na kongresie warszawskim sporo o tym mówiono i można było problematykę tę owocnie rozwinąć – należało tylko robić to systematycznie, bez pośpiechu i bez posługiwania się wykonawczyniami, które do tej pracy odkomenderowano.

Gdy w dyskusji podnosiliśmy z ks. Pawlikiem sprawę vitalności Kościoła polskiego w dwudziestolecie międzywojennym i wskazywaliśmy na ten okres jako ugór warty zainteresowania badawczego, inni, np. prof. Wojciechowski, starali się nie dopuścić do rozwinęcia tego wątku, gdyż o tym okresie w dziejach Polski nie można było mówić dobrze. Już sam ten fakt świadczy o tym, iż tematyka zakonna z czasów wojny to był po prostu temat bezpieczny, który przesuwał dzieje kościelne na boczny tor.

W kuluarach kongresu (nazywajmy to spotkanie nadal w ten sposób) można było usłyszeć głosy krytyczne. Należały one do uczestników z Zachodu. Byłem na kolacji z kilkoma osobami z Niemiec, był tam też prof. Rudolf Lill, jeden z prelegentów. Ubolewał nad zbyt rozdmuchaną reklamą i pustostowiem, a także nad mierną wartością wielu wystąpień. Uderzał go także, nie tylko zresztą jego, pewien chaos tematyczny, o czym już wspominałem. Profesora Lilla znałem wcześniej i nieraz spotykałem go później. Zawsze odnosiłem wrażenie, iż był to człowiek nieulegający uprzedzeniom i oceniający sprawy od strony rzeczowej. Jego ogólna ocena kongresu zbiegała się z moimi odczuciami.

³⁰ Charles Mollette (1918–2013), ksiądz diecezji paryskiej. Świecenia kapłańskie 1943. Historyk i archiwista. Autor wielu prac z zakresu historii Kościoła katolickiego. Wieloletni członek Papieskiej Akademii Maryjnej. Założyciel Stowarzyszenia Archiwistów Kościoła we Francji 1973. Pięciokrotny laureat nagrody Francuskiej Akademii Nauk.

To, co tutaj piszę, zostało zanotowane na bieżąco. Pewne sprawy pomijam, nie chciałbym o bliźnich pisać ani słowa więcej, niż wymaga tego obraz wydarzeń – ani nieupiększony, ani też niemalowany czarnymi barwami. Kongres miał swoje plusy, choćby w postaci wzajemnego poznania się historyków różnych nacji i orientacji. Dawał też wyobrażenie o preferencjach badawczych w różnych środowiskach naukowych. Pewnie przyniósł także niejedną nową porcję wiedzy erudycyjnej. Gorzej było z interpretacją, ta bowiem – wobec tak niespójnych i fragmentarycznych tematów wystąpień – nie mogła rozwinąć skrzydeł. Zabrakło szerszej bazy syntetyzującej problemy, toteż nie można było sensownie porównać dokonujących się procesów dziejowych nawet w tak wąskiej chronologicznie epoce jak ta, którą zajął się kongres.

Dla mnie jedno było pewne. Trzeba było pójść własną drogą, aczkolwiek właśnie w kierunku poznania spraw, które na kongresie zostały zaledwie zasygnalizowane lub które w ogóle pominięto. Najpierw postanowiłem spróbować zbadać zainteresowanie religijnością w rzeczywistości okupacyjnej. Okazało się, że do udziału w takiej imprezie było wielu chętnych.

Kongres okazał się dla mnie spotkaniem bardzo owocnym. Zyskałem inspirację w kierunku badań, z których podjęciem tak długo zwlekałem, gdyż byłem przekonany, że inni już to robią i nie warto wchodzić w te zagadnienia. Uświadomiłem sobie brak pewnych elementów obrazu dziejów okupacyjnych Kościoła, a chodziło o rzecz arcyważną, bo o wewnętrzne życie Kościoła.

W 1978 r. powziąłem decyzję o zorganizowaniu późną jesienią następnego roku dużej sesji naukowej poświęconej życiu religijnemu w okupowanej Polsce. Sondażowe listy do ważniejszych osobistości w dziedzinie historii Kościoła rozsyłałem już od końca 1977 r., a zwłaszcza na początku 1978 r. Zewsząd otrzymywałem zachętę do podjęcia tematu i to z udziałem jak największej liczby autorów. Na umiędzynarodowienie tego spotkania nie było szans, chociaż referat przygotował prof. Josef Becker z Augsburga, późniejszy prezydent tamtejszego uniwersytetu. Gościł on następnie kilka razy w Lublinie i wygłaszał też wykłady ogólnodostępne. Jego referat *Watykan a sytuacja Kościoła w okupowanej Polsce* oparty był na źródłach drukowanych, niemniej przedstawiał tę kwestię z innego punktu widzenia niż historiografia polska, bez pewnych typowych uprzedzeń.

Próba pozyskania dr. Hansa-Jürgena Karpa z Instytutu Herdera w Marburgu początkowo nie rokowała. Był on gotów mówić tylko na temat Warmii, a to nas

akurat nie interesowało. W końcu jednak przygotował referat *Germanizacja czy duszpasterstwo? Duchowieństwo niemieckie z Rzeszy w duszpasterstwie na okupowanym terenie Polski*. Temat był mi bardzo bliski, w czasie okupacji sam zetknąłem się z księżmi przysłanymi na teren diecezji chełmińskiej z Reichu.

Pismo w sprawie sympozjum skierowałem do rektoratu w maju 1978 r. Ponieważ impreza ta miała być organizowana nie tylko przez moją katedrę, lecz także przez cały Instytut Historii Kościoła, pismo do rektora podpisał jego ówczesny kierownik ks. prof. Stanisław Librowski. Opisane tu wydarzenia wyraźnie wskazują, że zanim się odbył kongres warszawski, przygotowania do naszej sesji były już w toku, wyniki stołecznego spotkania jednak walnie przyczyniły się do skonkretyzowania koncepcji naszego przedsięwzięcia.

Gdy chodzi o zakony żeńskie, to rozpisałem ankietę w sprawie pomocy udzielanej przez nie Żydom. W ciągu dłuższego czasu otrzymałem odpowiedzi od 111 placówek zakonnych. Zawierają one niekiedy bardzo cenne informacje na ten temat. Oczywiście w instrukcji odnoszącej się do treści referatów przewidzianych na sympozjum był również punkt poruszający ten problem. Ze strony zakonów męskich nadeszło mniej odpowiedzi, ze znacznie większym odzewem spotkało się zaproszenie ich na sympozjum. Liczba zgłoszonych opracowań była jednakowa, gdy chodzi o zakony męskie i żeńskie. Napłynęło po dziewiętnaście zgłoszeń. Metropolie i diecezje przedwojennej Polski były reprezentowane w komplecie. Zabrakło tylko diecezji łuckiej, nie można było bowiem znaleźć autora, który by to zagadnienie opracował. W publikacji wyników sympozjum w drugim tomie *Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939–1945. Metropolie wileńska i lwowska, zakony* (Katowice 1992) znalazł się jednak tekst na ten temat autorstwa Leona Popka³¹. W tym samym tomie zamieściliśmy też artykuł ks. Tadeusza Krahe-la³² *Archidiecezja wileńska pod okupacją sowiecką*. Opracowań na temat diecezji było 27, w tym dwa referaty wprowadzające – w sumie 63 przyczynki, niektóre po raz pierwszy dotyczące bardzo delikatnych spraw okupacyjnych. Stanowiło to ogromny materiał.

³¹ Leon Popek (ur. 1958), historyk, archiwista. Absolwent KUL. Doktor historii, pracownik IPN, opiekun polskich miejsc pamięci na Wołyniu. Prezes Towarzystwa Przyjaciół Krzemieńca i Ziemi Wołyńsko-Podolskiej w Lublinie. Autor ponad 180 artykułów naukowych dotyczących historii Wołynia.

³² Tadeusz Krahel (ur. 1937), ksiądz rzymskokatolicki, doktor historii Kościoła, wykładowca w Archidiecezjalnym Wyższym Seminarium Duchownym w Białymstoku, w Studium Teologii w Białymstoku i Wilnie oraz na Papieskim Wydziale Teologicznym.

Tom pierwszy *Życie religijne w Polsce pod okupacją hitlerowską 1939–1945* ukazał się w wydawnictwie ODiSS³³ w 1982 r. Bardzo byłem niezadowolony z tytułu. Miało być „pod okupacją niemiecką”, ale cenzura tego nie lubiła, bo przecież w NRD byli „dobrzy Niemcy”. Tom drugi, dotyczący



Autor z wydawcą
Jerzym Skwarą

także ziem pod okupacją sowiecką, mógł się ukazać dopiero po dziesięciu latach. Znamienne było umieszczenie na obwolucie kolorowej mapy przedwojennej Polski. Jak mówił mi szef wydawnictwa Jerzy Skwara cenzurę udało się obejść w ten sposób, że przedłożono jej mapę w czterech częściach. Jakoś ich nie złożyli, a publikacja zyskała posmak sensacji. Redaktor Skwara ma wielkie zasługi w tym, że książka w ogóle się ukazała. Temat – jak na owe czasy – był drażliwy, a wydawnictwo nie mogło się spodziewać jakichś nadzwyczajnych zysków. Książka jednak sprzedawała się dobrze. W krótkim czasie nakład 5 tys. egz. był już wyczerpany, a w antykwariatach także trudno było ją kupić. W stosunku do obecnych czasów zjawisko wprost niespotykane.

Samo sympozjum odbyło się 12–14 listopada 1979 r. Panował pewien pośpiech wypowiedzi – tak dzieje się zawsze, gdy w jakimś spotkaniu naukowym uczestniczy tylu ludzi. Zaznaczyłem na wstępie, iż naszym zamiarem było doprowadzenie do poważnej publikacji, stąd też szkicowe przedstawienie problemu w żaden sposób nie nakładało ograniczeń na rozmiar tekstu przeznaczonego do druku. Nie wiem, czy wszystkich to przekonało. Chęć zamanifestowania w pełni osiągniętych rezultatów przeprowadzonych badań była całkowicie zrozumiała, gdyż w ogromnej większości były to badania oryginalne i oparte na materiale źródłowym mało albo w ogóle nieznanym.

Już 18 grudnia 1979 r. wydawnictwo ODiSS wyraziło chęć opublikowania materiałów z sesji, jednocześnie rektor o. Albert Krąpiec także zgłosił

³³ Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych, stowarzyszenie utworzone w kwietniu 1967 przez grupę świeckich działaczy katolickich, prowadzące działalność badawczą i wydawniczą (m.in. wydawany kwartalnik „Chrześcijanin w Świecie”), organizujące też spotkania dyskusyjne. Liderem środowiska był Janusz Zabłocki.

postulat ich druku w ramach publikacji Wydziału Teologicznego. Sprawa była kłopotliwa. ODiSS gwarantował trzy bardzo istotne rzeczy. Po pierwsze, jakość wydania, jakiej na uniwersytecie nie mógłbym w żadnym wypadku oczekiwać, łącznie z kolportażem, z którego sprawności KUL nigdy nie słyszał. Więcej, kolportaż wydawnictw KUL był beznadziejny, a mnie zależało, aby książka ta jak najszerszej się rozeszła. Po drugie, miałem zapewnione honorarium dla autorów. Na KUL zapewne byłoby ono również, ale znacznie niższe. Po trzecie, wierzyłem, że ODiSS lepiej poradzi sobie z cenzurą. Tak czy inaczej można było liczyć tylko na wydanie tomu obejmującego diecezje i zakony pod okupacją niemiecką. Nie mogło być mowy o opublikowaniu badań dotyczących metropolii wileńskiej i lwowskiej oraz zakonów związanych z tymi terenami. Tę świadomość mieliśmy od początku. Drugi tom musiał poczekać.

Zarówno sympozjum, jak i druk książki były niewątpliwym sukcesem. Podkreślali to liczni recenzenci, choć z jednym wyjątkiem. Recenzja, której autora przemilczę, podobnie jak źródło jej inspiracji, ukazała się w jednym z pism PAX-owskich i zupełnie pomijała *meritum* książki. Totalną jej krytykę osnuto natomiast wokół dywagacji na temat pojęcia „życie religijne”. *Notabene* w „Słowie Powszechnym” i WTK opublikowano też omówienia bardzo pozytywne, podobnie ocenili dzieło i jego ważny wkład do dziejów okupacji niemieckiej inni recenzenci. Owo negatywne omówienie było tak rażąco stronnicze i pozbawione jakichkolwiek racji merytorycznych, że sama redakcja pisma przywołała autora do porządku.

Osobna karta dziejów tej książki to fundusze na jej przygotowanie i wydanie. Dotyczy to zwłaszcza tomu drugiego. Nie chcę tu szczegółowo wymieniać sponsorów, ale było ich kilku, w tym także, a może przede wszystkim osoby z Polonii amerykańskiej. Wśród nich pierwsze miejsce zajmował proboszcz z Linden w stanie New Jersey ksiądz prałat Władysław Górski, który niegdyś mnie gościł. Obie książki były zbyt obszerne, by wydawnictwa ODiSS i potem Unia mogły sobie na ich wydanie pozwolić bez pomocy z zewnątrz.

Po ukazaniu się pierwszego tomu całemu zespołowi przyznano Nagrodę Naukową im. Ireny i Franciszka Skowyrów³⁴. Nastąpiło to 7 grudnia 1992 r. Trudno

³⁴ Nagroda Naukowa im. Ireny i Franciszka Skowyrów (nazwana lubelskim Noblem) – nagroda przyznawana od 1980 przez Instytut Badań Polonijnych KUL za prace naukowe związane ze środowiskiem KUL oraz badania polonijne (historia, filozofia, kultura i teologia). Wyróżniane są prace prezentujące m.in. wkład Kościoła i duchowieństwa w rozwój kultury narodowej, walkę o wolność i niepodległość Polski, sprawiedliwość społeczną i prawa człowieka. Inicjatorem jej ustanowienia był prof. Czesław Bloch.

mi było tej nagrody nie przyjąć, musiałbym decydować w imieniu całego zespołu autorskiego, a do tego nie byłem upoważniony. Profesor Bloch, kierownik Instytutu Polonijnego, będący *spiritus movens* całej sprawy, nie dawał mi zresztą w tym względzie spokoju. Dla mnie nagroda była o tyle uciążliwa, że musiałem rozdzielić 200 dolarów pomiędzy prawie 40 osób. Wielu jednak z góry zrezygnowało z części finansowej tego wyróżnienia. Do innych musiałem jechać, by wręczyć im 5 dolarów, gdyż pocztą w żaden sposób nie można było tego wysłać. Nagroda ta kosztowała mnie pewną sumę, którą w końcu musiałem wysupłać z własnej kieszeni, by nie zostać posądzonym o malwersację. Pozostał mi jednak dyplom.

Lata osiemdziesiąte obfitowały w inicjatywy naukowe o szerszym zasięgu, gdy chodzi o angażowanie się w nie różnych środowisk. Tak było w wypadku dziejów Kościoła w II Rzeczypospolitej, podobnie w odniesieniu do życia religijnego w Polsce okupowanej przez Niemców i Sowieców. Z propozycją zajęcia się zgromadzeniem zmartwychwstańców, a zwłaszcza jego historią powiązaną z losami narodu i Kościoła polskiego, zwrócił się do mnie w połowie lat pięćdziesiątych prowincjał polskiej prowincji ks. Grzegorz Treder³⁵. Sesję naukową poświęconą tym zagadnieniom, która odbyła się 21–22 października 1986 r., zorganizował KUL, a ściślej – moja katedra, ale we współpracy ze Zgromadzeniem Zmartwychwstania Pańskiego. Udało się zebrać pokaźną liczbę referentów. Oprócz zmartwychwstańców prelekcje wygłaszali m.in.: profesorowie Czesław Bloch i Jan Ziółek, ks. Stanisław Wielgus, ówczesnie rektor KUL. Także ja. Po konferencji w 1990 r. ukazał się tom pt. *Zmartwychwstańcy w dziejach Kościoła i narodu*. Znalazły się tam nie tylko referaty wygłoszone na sesji. Ksiądz Bolesław Micewski CR³⁶ napisał studium liczące prawie 90 stron, czyli ponad jedną trzecią objętości książki. Wraz z nim było jeszcze dziesięciu autorów. Można sobie wyobrazić, jakie trudności miał redaktor tomu, a z drugiej strony zrozumiałe było też to, że tak świetny znawca dziejów zmartwychwstańców, jakim był ks. Micewski, chciał dać coś więcej aniżeli tylko syntetyczne ujęcie referowanego problemu. Ostatecznie całemu dziełu dysproporcja ta nie wyszła na złe i książka jest

³⁵ Grzegorz Treder CR (ur. 1937), wstąpił do zgromadzenia księży zmartwychwstańców w Krakowie. Studiował języki klasyczne na UJ. Wykładowca łaciny i greki na uniwersytecie w Poznaniu. Prowincjał zgromadzenia księży zmartwychwstańców. Powołany do Rzymu w celu objęcia stanowiska wikariusza generalnego i wizytatora zgromadzenia księży zmartwychwstańców. Mieszka w Rzymie.

³⁶ Bolesław Micewski CR (1931–2020), ksiądz zmartwychwstańców, doktor teologii w zakresie historii Kościoła. Autor licznych publikacji na temat historii zmartwychwstańców.



małym objętościowo, ale kompletnym kompendium wiedzy o zmarłych-wstańcach.

W 1981 r. przypadała setna rocznica urodzin kard. Augusta Hlonda. Przygotowania trwały już od początku roku. Nie było to łatwe, uczestniczyły w nich wszystkie cztery prowincje salezjańskie, a każda chciała mieć swój konkretny udział. Generalnie ustalałem wszystko z księdzem generałem Czesławem Kamińskim³⁷, człowiekiem bardzo konkretnym. Bardzo aktywny był również ks. Stanisław Kosiński, który w sprawach dotyczących prymasa Hlonda miał najwięcej do powiedzenia. Ja w zasadzie tylko wszystko koordynowałem, ale każda, nawet najmniejsza rzecz, zwłaszcza jeśli wymagała zgody rektora, przechodziła przez moje ręce.

Ostatecznie sesja się odbyła 16–17 listopada 1981 r. Wygłoszono dziewięć referatów, których tematyka skupiała się całkowicie na biografii

Zjazd
historyków
Kościoła,
1981 r.

³⁷ Czesław Kamiński TChr (1914–2008), do zakonu wstąpił w 1934. Profesja wieczysta 1939. Świecenia kapłańskie 1940. Absolwent KUL. Prawnik, kanonista. Doktorat 1950. Przełożony w WSD chrystusowców w Poznaniu 1950–1960. Członek Rady Generalnej od 1950. Wika-riusz generalny od 1957. Rektor domu głównego zakonu w Poznaniu 1960–1961. We Francji 1961–1970. W Poznaniu od 1970. Przełożony generalny 1976–1983.

i poszczególnych polach działalności Hlonda. To trwające półtora dnia spotkanie nie ujawniło jakiejś nowej wiedzy, jednak osadzało tę postać, jeśli można tak powiedzieć, w kontekście czasów, w których kardynał żył i działał.

Sesje naukowe, spotkania, sympozja w kraju i za granicą mnożyły się i chociaż nie można było zadośćuczynić wszystkim propozycjom i zaproszeniom, to w wielu wypadkach trudno było odmówić i się absentować. Konieczność uczestnictwa wynikała z bieżących kontaktów.

Do ciekawszych spotkań w 1989 r. należało sympozjum zorganizowane przez ewangelickie czasopismo „Kirchliche Zeitgeschichte”³⁸ w Loccum niedaleko Minden. Samo miejsce nasuwa ciekawe skojarzenia. Jest to opactwo sprostestantyzowane w czasie reformacji, lecz w dalszym ciągu mające opata używającego insygniów tej godności. Profesor Repgen zaproponował mi udział w sympozjum zatytułowanym „Relacje między Kościołem a państwem w Europie lat pięćdziesiątych”. Byłem wtedy akurat na zastępstwie w jednej z parafii w Düsseldorfie, zatem udanie się do Loccum nie przedstawiało najmniejszej trudności. Z Polski był tam tylko ks. Helmut Juros³⁹, wówczas bodajże prorektor ATK. Wygłosił prelekcję pt. *Kościół katolicki w Polsce lat pięćdziesiątych*. Moje wystąpienie było koreferatem, a właściwie rozszerzonym głosem w dyskusji. Sympozjum było ciekawe i odkrywało wiele mało znanych wątków z dziejów Kościołów w państwach demoludów. Zwłaszcza referaty dotyczące NRD, stanowiące pewien kontrast wobec wystąpień na temat Kościołów w RFN, dla wielu uczestników były pewnym *novum*. W lipcu 1989 r. – wówczas właśnie odbywało się sympozjum – mogli się już na nim pojawić także uczestnicy z NRD.

Wkrótce po tym spotkaniu byłem uczestnikiem innej konferencji naukowej o charakterze międzynarodowym. Odbywała się ona w Warszawie od 31 sierpnia do 2 września 1989 r. i była zatytułowana „Wojna polsko-niemiecka. Początek drugiej wojny światowej”. Udział wzięło w niej wielu historyków, również z obu krajów niemieckich, z ZSRS, Belgii, Izraela, Wielkiej Brytanii, USA. Ważne było to, że po każdym referacie, którego czas nie mógł przekroczyć 20 minut (zatem było

³⁸ Niemieckie czasopismo naukowe poświęcone teologii i historii, wydawane od 1988.

³⁹ Helmut Juros SDS (ur. 1933), święcenia kapłańskie 1958. Absolwent KUL. Teolog. Doktorat 1967, habilitacja 1975, profesor nadzwyczajny 1987, profesor zwyczajny 1994. Wykładowca w WSD salwatorianów w Bagnie od 1962. Pracownik naukowy ATK od 1967. Dziekan Wydziału Teologicznego 1978–1981. Prorektor ATK 1981–1987, rektor 1987–1989. Dyrektor Instytutu Politologii UKSW 1999–2005. Członek Komitetu Nauk Politycznych PAN.

to raczej zaprezentowanie głównych tez poruszanych w podjętym zagadnieniu), następowała dyskusja.

Temat mojego wystąpienia, wygłoszonego w ostatnim dniu sympozjum w godzinach porannych, brzmiał *Watykan a Polska*. Pole do dyskusji było bardzo wąskie. Pilnowano, by dysputa nie rozszerzała się ani chronologicznie, ani merytorycznie, rzecz dotyczyła więc wyłącznie stanowiska Watykanu wobec wybuchu wojny. Zagadnienie w zasadzie w historiografii znane i mało sporne. Oczywiście niezmiennie do głosu dochodziły tu sympatie osobiste Piusa XII. W tym wypadku trudno było jednoznacznie twierdzić, że były one po stronie agresorów. Było ich przecież dwóch i po to, by jasno określić pozycję papieżstwa w tym momencie, trzeba by także poruszyć kwestię agresji 17 września. Sam temat sympozjum ograniczał się do wojny między Polską a Niemcami. Był wprawdzie referat wygłoszony przez radzieckiego historyka Roberta A. Sawuszkiną oraz prof. Eugeniusza Duraczyńskiego⁴⁰ pt. *Reakcja radziecka na wojnę polsko-niemiecką*, ale już samo sformułowanie tematu świadczy o woli ominięcia istoty problemu. Układ Mołotow–Ribbentrop z 23 sierpnia 1939 r. wykluczał takie jego ujęcie. Związek Radziecki nie zareagował na napad Hitlera na Polskę, lecz uczestniczył w nim jeszcze przed rozpoczęciem przez Niemcy działań wojennych przeciwko Polsce. Było jednak lato 1989 r., wprawdzie już po okrągłym stole i w przeddzień końca PRL, ale to wcale nie oznaczało, że można było odkłamać historię najnowszą. Zresztą nie było takiej woli wśród większości ówczesnych luminarzy nauki historycznej w Polsce i nie tylko.

Sesję organizowały Instytut Historii PAN oraz Ministerstwo Obrony Narodowej. Trzeba przyznać, że urządzony przez ministerstwo w hotelu garnizonowym bankiet, na który zapraszał szef sztabu gen. Józef Użycki⁴¹, był rzeczywiście na wysokim poziomie. Trochę nieswojo się czułem, gdy siedziałem przy stole naprzeciwko dwóch czy trzech radzieckich generałów w mundurach przywołujących operetkowe reminiscencje. Już nie pamiętam, kto wówczas zajmował miejsce obok mnie

⁴⁰ Eugeniusz Duraczyński (ur. 1931), historyk. Absolwent uniwersytetu w Moskwie. Doktorat 1965, habilitacja 1974, profesor nadzwyczajny 1982, profesor zwyczajny 1990. Pracownik naukowy IH PAN od 1966, kierownik Pracowni Drugiej Wojny Światowej od 1990. Członek PZPR od 1952. Sekretarz Komitetu Zakładowego PZPR w PAN 1980–1981. Kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR 1981–1983. Stały przedstawiciel PAN przy Rosyjskiej Akademii Nauk 1999–2005.

⁴¹ Józef Użycki (ur. 1933), generał broni WP. Absolwent Akademii Sztabu Generalnego WP i Akademii Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych ZSRR im. Klimienta Woroszyłowa w Moskwie. Szef Sztabu Generalnego i jednocześnie wiceminister obrony narodowej 1983–1990. Członek PZPR od 1951. Poseł na Sejm PRL 1980–1985. Członek WRON. Członek KC PZPR 1986–1990.

i szeptał mi do ucha niecenzuralne słowa. Psioczył na obłudę przeżywanej sytuacji, kiedy osądzało się jednego agresora, a drugi brał w tym udział w charakterze... No właśnie, w jakim charakterze? Tego jakoś nie mogliśmy rozwikłać. Powiedziałem w końcu jegomościowi, który stale zakłócał moją konsumpcję, żeby odszedł już od tematu naszego *vis-à-vis*, przecież nawet na procesie norymberskim agresor zasiadał jako oskarżyciel swego sojusznika w dziele rozpętania wojny. Dostrzegłem na obliczu mojego sąsiada pewną konsternację. Po chwili powiedział:

– A wie ksiądz, o tym nie pomyślałem...

Sadzę, że nie pomyśleli o tym także spece od historii II wojny światowej z ramienia PRL. Albo pomyśleli, ale szybko tak „nieskromne” myśli oddalili.

Wojsko w czasie przyjęcia popisało się świetną organizacją i wielkim taktem w stosunku do gości reprezentujących – jak widać z powyższego – dość rozbieżne stanowiska i środowiska. Pewien bardzo młody wiekiem pułkownik z dużą dozą humoru usadzał nas na wyznaczonych miejscach przy stole. Do mnie, wskazując na moje *vis-à-vis*, również szepnął coś w rodzaju, że każdemu potrzebna jest pokuta i umartwienie, a skoro on musi je praktykować, to tym bardziej duchowny. W sumie spotkanie upłynęło w miłej i przyjemnej atmosferze. Przynajmniej dla mnie, dały się bowiem słyszeć także głosy krytyczne, był to bowiem czas, kiedy propaganda nakazowa, jeśli jeszcze nie umarła, to leżała na łożu śmierci.

Grono czołowych historyków polskich zdołał zgromadzić w Puławach tamtejszy proboszcz ks. Jerzy Czyżewski⁴². Zorganizował on dwudniowe spotkanie poświęcone tematowi „Religijno-kościelne aspekty historii rodu Czartoryskich”, które odbyło się 12–13 października 1989 r. Mój referat *Hotel Lambert a Stolica Apostolska. Stan badań* miał wiele punktów stycznych z wystąpieniem prof. Jerzego Zdrady⁴³, który mówił o roli Hotelu Lambert w życiu religijnym emigracji. Wielu historyków, m.in. profesorowie Stefan Kieniewicz, Emanuel Rostworowski⁴⁴, Paweł

⁴² Antoni Jerzy Czyżewski (1910–1995), ksiądz, kapelan Rodzin Katyńskich Lubelszczyzny. Na rzecz Biblioteki KUL przekazał 355 woluminów książek z prywatnej biblioteki, w tym 167 obcojęzycznych.

⁴³ Jerzy Zdrada (ur. 1936), historyk. Absolwent UJ. Doktorat 1965, habilitacja 1973, profesor nadzwyczajny UJ od 1995. Pracownik Archiwum PAN w Krakowie 1959–1960. Bibliotekarz i kustosz dyplomowany PAN w Krakowie 1961–1984, pracownik naukowy WSP w Katowicach od 1963, a następnie WSP w Kielcach 1976–1979. Działacz KOR i Solidarności. W 1984 usunięty z pracy w PAN za działalność opozycyjną. Kustosz Oddziału Rękopisów w Bibliotece Jagiellońskiej do 1989. Poseł na Sejm 1989–1997. Obecnie profesor nadzwyczajny na UJ.

⁴⁴ Emanuel Rostworowski (1923–1989), historyk specjalizujący się w dziejach XVIII w. Absolwent UJ. Doktorat 1950, profesor nadzwyczajny 1961, profesor zwyczajny 1971. Od 1946 pracownik naukowy na UJ. Od 1955 adiunkt w Pracowni Badań Agrarnych IH PAN. Od 1961 kierownik Pracowni

Czartoryski⁴⁵, Ryszard Bender, Tadeusz Wasilewski⁴⁶ z Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawiło ciekawe fragmenty własnych badań lub też przegląd historiografii dotyczącej rodziny Czartoryskich. Oprócz wątków biograficzno-heraldycznych sięgających do korzeni rodu pojawiła się tematyka o szerszym spektrum historycznym, dotycząca zwłaszcza czasu rozbiorów, odkąd to datuje się rola tej rodziny w wydarzeniach dziejowych Polski. Można to spotkanie określić jako całkowicie prywatną inicjatywę, tym większe uznanie należy się jednak jej organizatorowi, który potrafił zgromadzić grono wybitnych fachowców i nadać spotkaniu charakter kameralnej wymiany myśli. Książd Czyżewski, swego czasu pracownik naukowy KUL, miał niewątpliwie wszelkie dane ku temu, by z powodzeniem takie imprezy inicjować. Już nie pamiętam, czy udało mu się zaprosić do Puław przedstawicieli rodu zza granicy. Wiem tylko, że kilka osób o tym nazwisku albo z Czartoryskimi spokrewnionych uczestniczyło w spotkaniu.

Moje zainteresowania naukowe zawsze ciążyły ku sprawom niemieckim, niekoniecznie zresztą ku ich powiązaniom z Polską, choć często ta problematyka sama się jakoś pojawiała w polu widzenia. Widać to choćby z przebiegu spotkania w Bad Saarow. Interesowałem się także tym, co działo się w Niemczech. Na początku grudnia 1991 r. wyjechałem w grupie kilkunastu osób z KUL na sympozjum do Kloster Banz koło Bambergu – do dawnego klasztoru Benedyktynów, który w owym czasie służył jako miejsce spotkań, dyskusji, może też rekolekcji i podobnych imprez. Temat sympozjum brzmiał „Wschodnio- i środkowoeuropejskie państwa i ich zbliżenie do zachodnich sąsiadów”. Organizatorem była fundacja Hanns-Seidel-Stiftung⁴⁷, będąca zarazem wydawcą czasopisma „Politische Studien”⁴⁸. W numerze 319 tegoż pisma z września–października 1991 r. ukazał się artykuł

Stosunków Międzynarodowych IH PAN. W 1964 członek Rady Naukowej IH PAN. W latach 1957–1966 sekretarz krakowskiego oddziału Komisji Historycznej PAN. W latach 1966–1969 pełnił funkcję zastępcy przewodniczącego oddziału, a następnie do 1983 r. przewodniczącego. Po rezygnacji otrzymał tytuł honorowego przewodniczącego. Od 1964 redaktor PSB.

⁴⁵ Paweł Czartoryski (1924–1999), prawnik i historyk nauki. Wydawca *Dzieł wszystkich* Mikołaja Kopernika. Pracownik w Instytucie Historii Nauki PAN. Uczestnik rozmów okrągłego stołu.

⁴⁶ Tadeusz Wasilewski (1933–2005), historyk, bałkanista, bizantynolog i dyplomata. Absolwent UW. Doktorat 1963, habilitacja 1971, profesor nadzwyczajny 1982, profesor zwyczajny 1988. Od 1955 pracownik naukowy IH UW. Kierownik Studium Doktoranckiego Wydziału Historycznego UW 1972–1983. Ambasador RP w Bułgarii 1991–1995.

⁴⁷ Fundacja niemiecka związana z partią CSU, założona w Monachium w 1966. Zajmuje się promocją zasad demokracji, praw człowieka i społecznej gospodarki rynkowej.

⁴⁸ Czasopismo naukowe wydawane przez Hanns-Seidel-Stiftung, koncentrujące się na współczesnej problematyce politycznej i społecznej.

Dietera Blumenwitza⁴⁹ pt. *Granica, która oba narody nie dzielić, a jednoczyć winna*. Na wspomnianej konferencji nie miałem żadnego wystąpienia, ale znając treść artykułu Blumenwitza – profesora na uniwersytecie w Würzburgu, mającego katedrę prawa narodów, ogólnej nauki o państwie, niemieckiego i bawarskiego prawa państwowego i nauk społecznych, zatem specjalisty niespotykanej wprost liczby dziedzin – przeczuwałem, że przynajmniej dyskusja w czasie sympozjum zahaczy o tematykę polską do tego stopnia, że można będzie pewne sprawy wyjaśnić. Zwłaszcza te związane z mniejszością niemiecką w Polsce, rozważane przez prof. Blumenwitza w dość karkołomny sposób.

Nie pomyliłem się, tematyka polska faktycznie dominowała w czasie spotkania. Zbliżenie państw byłego bloku sowieckiego do zachodnich sąsiadów to przede wszystkim również nowy kształt stosunków polsko-niemieckich. Granica na Odrze i Nysie automatycznie znalazła się w centrum uwagi. Sprawa ta miała znaczenie nie tylko w sensie rozważań historycznych czy – co u Blumenwitza wyraźnie wysuwało się na czoło – prawnych uzasadnień wejścia Polski w posiadanie Ziem Odzyskanych, ale była – co się później okazało – przygrywką do akcji wnoszenia pozwów o zwrot własności ze strony wysiedlonych Niemców lub w późniejszym czasie przybyłych do Niemiec (*Spätaussiedler*). Nic dziwnego, że w artykule Blumenwitza sprawy te znalazły sprzyjający takim poczynaniom komentarz. Jak pisze:

Utrzymująca się różnica zdań na temat podstawy prawnej granicy na Odrze i Nysie może stwarzać problemy przy przewyższaniu kwestii praktyczno-politycznych na płaszczyźnie niemiecko-polskich stosunków. Zadaniem „obszerniejszego układu”, który miał być wynegocjowany jeszcze po 14 XI 1990, miało być określenie granic tych kwestii, np. w ważnym obszarze obowiązków ochrony, jakie Republika Federalna Niemiec ma w stosunku do pozostałej na terenach Odry i Nysy ludności niemieckiej lub też w stosunku do wypędzonych z ojczyzny⁵⁰.

⁴⁹ Dieter Blumenwitz (1939–2005), prawnik niemiecki, wykładowca akademicki. Absolwent Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Doktorat 1965, habilitacja 1970. Kierownik Zakładu Prawa Publicznego na uniwersytecie w Augsburgu 1972–1976. Od 1970 profesor prawa na Uniwersytecie Juliusza i Maksymiliana w Würzburgu. Doradca Augusta Pinocheta w czasie przygotowywania przyjętej w 1980 konstytucji Chile (1979–1980). Autor wielu publikacji naukowych z zakresu prawa międzynarodowego. Zajmował się również kwestią niemieckich przesiedleńców z Polski.

⁵⁰ Zob. Z. Zieliński, *Granica przyjaźni, dialogu czy normalne sąsiedztwo?*, „Katolik” 1992, nr 9.

Oczywiście mowa tu o układzie z 17 czerwca 1991 r., który nie zawiera takich regulacji, o jakich myśli Blumenwitz. Nie ma tam mowy ani o podwójnym obywatelstwie, ani o szczególnej ochronie mniejszości niemieckiej w Polsce przez rząd RFN, tym bardziej o prawie do ojczyzny.

Oświadczenie polskiego MSZ z 2003 r. w związku z roszczeniami Niemców do majątku na terenie Polski brzmi następująco:

Zgodnie ze stanowiskiem Polski objęcie suwerenności nad Ziemiami Odzyskanymi nastąpiło na mocy umowy poczdamskiej z 2 sierpnia 1945 r. Zgodnie ze stanowiskiem niemieckim konstytutywny skutek wywarł dopiero Traktat między Rzeczpospolitą Polską a Republiką Federalną Niemiec o potwierdzeniu istniejącej między nimi granicy z 14 listopada 1990 r. Wobec powyższego, nawet przychylając się do stanowiska niemieckiego, sukcesja terytorium nastąpiła najpóźniej z momentem wejścia w życie polsko-niemieckiego traktatu granicznego z 1990 r. Znalezienie wspólnego stanowiska w powyższej kwestii między Polską a Niemcami okazało się niemożliwe. W wyniku negocjacji nad Traktatem o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy z 17 czerwca 1991 r. strony zdecydowały się na zapis punktu 5 listów ministrów spraw zagranicznych Polski i Niemiec, iż Traktat nie zajmuje się sprawą obywatelstwa i sprawami majątkowymi. Dla strony polskiej nie wynika z tego, że jest to kwestia nadal otwarta dla obu stron. Punkt 5 listów potwierdza jedynie, że strony pozostają przy dotychczasowych stanowiskach.

Podjmując w 1991 r. dyskusję z Blumenwitzem, który w swoim artykule bazował na obu wspomnianych układach Polska–RFN, nie zmierzałem do rozwijania dociekań państwowo-prawnych, lecz do wyjaśnień odnośnie do statusu mniejszości niemieckiej w Polsce, co było wówczas przedmiotem licznych debat zarówno w Polsce, jak i w Niemczech. Blumenwitz, wprowadzając w sposób dość zawołany, niemniej jednoznacznie, przemawiał za daleko idącą autonomią mniejszości niemieckiej w Polsce. Do tego stopnia rozbudowaną, że w dziedzinie współpracy ponad granicą polsko-niemiecką „inicjatywy zachodnich gmin przygranicznych mogą być w każdej chwili utracone przez Warszawę”, o ile oczywiście nie otrzymają one odpowiednio rozszerzonej autonomii. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, by dostrzec za tymi projektami urządzania współpracy

międzyregionalnej – nawet jeszcze przed wejściem Polski do UE – chęć wylan-sowania mniejszości jako swoistego państwa w państwie. Historia Polski zna wiele przykładów przypominających o rosnących apetytach w tym przedmiocie. Okres międzywojenny wystarczyłby, aby obudzić największą czujność. Pomijam tu sporą porcję demagogii zawartą w artykule Blumenwitza, zwłaszcza gdy porusza on sprawę wysiedlenia, zupełnie nie bacząc na to, kto i kiedy wpadł na pomysł wyrzucania ludności miejscowej z jej ojczyzny. Ponadto trudno mówić o przestęp-czym stalinizmie w odniesieniu do całego okresu PRL, zwłaszcza jeśli wiąże się to z postępowaniem strony polskiej wobec Niemców na swym terenie.

Znając wypowiedzi Blumenwitza, zamierzałem sprawę tę poruszyć w Kloster Banz, zwłaszcza iż dyskusja toczyła się wokół tych tematów. Nie dopuszczono mnie jednak do głosu i to w sposób tak stanowczy, że wskazywało to na chęć wyłączenia z dyskusji przez stronę niemiecką wątków, które mogłyby osłabić lub zgoła zbić argumentację würrzburskiego profesora. Postanowiliśmy z prof. Wiś-niowskim opuścić salę obrad, gdyż stronnictwo kierujących spotkaniem wydała się nam zbyt jaskrawa.

Swoje uwagi przesłałem do redakcji „Politische Studien” 18 grudnia 1991 r. z prośbą o ich opublikowanie. Odmówiono. Brak wątku mniejszościowego w cza-sie sesji tłumaczono zbyt wielką ważnością tej tematyki, wymagającej osobnej sesji. Redakcja wzięła na siebie rolę obrońcy poglądów Blumenwitza, atakowano natomiast mnie, zwłaszcza za wyrwane z kontekstu zdanie:

Najnowsza historia stosunków polsko-niemieckich [...] wskazuje na związek między kierowanym przez III Rzeszę antypolskim nacjonalizmem i stano-wiskiem mniejszości niemieckiej w Polsce.

Uznano, iż powinienem się z tego zdania wycofać. Znowu sprowadzono całą sprawę do zająć w Hoyerswerdzie⁵¹ i stwierdzono, że tamtejsze chuligańskie wybryki (*Randalieren*) i propaganda narodowosocjalistyczna to dwie różne rzeczy. Oczywiście mojej wypowiedzi nie chciano wydrukować. Powiedziano,

⁵¹ W 1991 w Hoyerswerdzie neonaziści niemieccy obrzucili kamieniami i koktajlami Mołotowa blok gasterbeiterów przy braku reakcji ze strony miejscowej policji. Zamieszki rozpętały się po zamknię-ciu dużej kopalni węgla brunatnego, jednego z największych pracodawców w mieście. Rząd rów-nież okazał się bezradny, gdyż 60 gasterbeiterów w ciągu kilku dni wywieziono do Frankfurtu nad Menem, a stamtąd deportowano do krajów pochodzenia.

że „Politische Studien” nie drukują listów od czytelników. Więcej komentarza nie trzeba. Na moje obszerne wyjaśnienie stanowiska, jakie zająłem w sprawie artykułu Blumenwitza, a – jak się okazuje – także poglądów Fundacji Seidela, wysłane do redakcji 3 marca 1992 r., nie otrzymałem odpowiedzi. Postawa organizatorów spotkania w Kloster Banz nie odbiegała od polityki CDU/CSU w stosunku do Polski. Z jednej strony były porozumienia, piękne fotosy przedstawiające Mazowieckiego⁵² w objęciach Kohla⁵³, a z drugiej twarde stanie na stanowisku rozmaitych roszczeń podbudowanych tak krętaskimi artykułami jak wspomniany tu tekst Blumenwitza. Nikogo to nie dziwiło, choć to, co nastąpiło w czasie opisanego spotkania, było jaskrawym przejawem działania cenzury wcale nie łagodniejszej, niż ta znana z czasów PRL. Nie istniała żadna rzeczowa przesłanka uniemożliwiająca udzielenie mi głosu w dyskutowanej sprawie, tyle tylko, że w myśl całkiem innych kryteriów. Polaków było tam więcej, ale tylko prof. Wiśniowski i ja zaprotestowaliśmy, opuszczając miejsce obrad. Inni pozostali. Jak mi potem mówiono, żeby nie wywoływać sensacji. Na to właśnie liczyli organizatorzy. Ich mogłem zrozumieć. Nie chcieli, żeby do głosu doszły sprawy, na które nie potrafiliby z własną korzyścią zareagować, ale czym tłumaczyć zachowanie uczestników polskich?

Z opisanego zajścia wynika, że strona polska uczestnicząca w spotkaniach poświęconych stosunkom polsko-niemieckim swobodnie mogła zajmować stanowisko jedynie wobec problemów teoretycznych, czyli niemających wpływu na aktualne interesy niemieckie. Jeśli jednak ktoś się odważył sięgnąć także po tematykę kształtującą pewne realia w myśleniu niemieckim, postępowano twardo i konsekwentnie, nie udzielano mu prawa głosu i nie dopuszczano do takiej debaty. O Polakach nie da się tego powiedzieć, na ogół bowiem czapkowali oni Niemcom w czasie takich spotkań. Byłem na niejednym i takie wrażenie wyniosłem. Miało to następnie swoje odbicie w promowaniu przez stronę niemiecką „apostołów” pojednania.

⁵² Tadeusz Mazowiecki (1927–2013), od 1946 członek Stronnictwa Pracy. Działacz Stowarzyszenia PAX 1948–1955, zastępca redaktora naczelnego dziennika „Słowo Powszechne” 1950–1952, współzałożyciel i redaktor naczelny „Wrocławskiego Tygodnika Katolików” 1953–1955. Związany ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego” i „Po Prostu”. Sygnatariusz deklaracji założycielskiej Ogólnopolskiego Klubu Postępowej Inteligencji Katolickiej. Jeden z założycieli warszawskiego KIK (1957). Redaktor naczelny miesięcznika „Więź” 1958–1981. Poseł na Sejm PRL 1961–1972. Przewodniczący Komisji Ekspertów przy Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego 1980–1981. Pierwszy premier III RP 1989–1991.

⁵³ Helmut Kohl (1930–2017), polityk niemiecki związany z CDU. Premier rządu Nadrenii-Palatynatu 1969–1976. Kanclerz RFN 1982–1998. Kształtował proces zjednoczenia Niemiec i znacząco wpłynął na proces zjednoczenia się Europy.

Jeden z niemieckich historyków młodszej generacji powiedział w latach osiemdziesiątych z drwiną, że kupienie Polaka dla takiego interesu to nic trudnego. Miał rację.

Przykre doświadczenia bynajmniej nie odstręczyły mnie od nawiązywania dialogu i kontaktów z Niemcami. Już pod koniec 1991 r. zacząłem realizację zamyśłu zwołania międzynarodowej konferencji polsko-niemieckiej. Nie chciałem jej urządzić na KUL – i to z wielu względów. Jednym z nich była trudność sprostania wszystkim powinnościom organizacyjnym. Z doświadczenia wiedziałem, że zdany będę tylko na siebie. Szczególnie wiele pracy było w związku z korespondencją z potencjalnymi uczestnikami takiego spotkania i to nie tylko ze względu na konieczność posługiwania się językiem niemieckim. Chodziło też o środki materialne, które na uniwersytecie w tym czasie nie były łatwe do pozyskania. Wszedłem więc w kontakt z Civitas Christiana⁵⁴, następczynią PAX. Miała ona jeszcze wówczas do dyspozycji ośrodek wypoczynkowo-konferencyjny w Ojrzanowie pod Warszawą. Tam więc postanowiliśmy urządzić konferencję.

Nie zależało mi na ograniczeniu tematyki do samych tylko wątków historycznych, toteż zdecydowałem się na nazwę „Niemcy–Polska. Przeszłość–Teraźniejszość–Przyszłość”. Zaplanowałem czas trwania spotkania na trzy dni, zależało mi bowiem na swobodnej, nieograniczonej czasem wymianie myśli. Podzieliłem tematykę na trzy obszary: kościelny, kulturalny i polityczny. Wygłosiłem referat wprowadzający pt. *Niemcy i katolicyzm polski w czasie II wojny światowej*. Hans-Jürgen Karp z Marburga mówił o duszpasterstwie wobec Niemców w powojennej Polsce. Natomiast tematem *Niemcy i polscy katolicy na trudnej drodze pojednania* zajął się prof. Heinz Hürten z Eichstätt.

W drugim dziale dr Wojciech Kotowski⁵⁵ z Bonn mówił o życiu kulturalnym Niemców w Polsce międzywojennej, z kolei ks. dr Anastazy Nadolny przedstawił życie kulturalne Polaków w Niemczech do 1939 r. Doktor Albrecht Lempp⁵⁶

⁵⁴ Ogólnopolska organizacja katolicka, kontynuacja Stowarzyszenia PAX. Utworzona w 1997. Prowadzi działalność społeczną i wydawniczą, w założeniu propagującą wartości katolickie.

⁵⁵ Prawdopodobnie chodzi o historyka Alberta Stefana Kotowskiego (ur. 1949). Absolwent UMK w Toruniu. Doktorat 1981, habilitacja 1996, profesor zwyczajny 2012. Stypendysta Fundacji Alexandra von Humboldta na uniwersytecie w Bonn. Od 1988 przebywa na stałe w RFN. Profesor Seminarium Europy Wschodniej Reńskiego Uniwersytetu Fryderyka Wilhelma w Bonn.

⁵⁶ Albrecht Lempp (1953–2012), doktor nauk humanistycznych, sławista, menedżer kultury, tłumacz języka polskiego. Członek Rady Fundacji Kultury Haus Europa, członek rzeczywisty Stowarzyszenia Willa Decjusza. Pracował w Deutsches Polen-Institut w Darmstadt. Wicedyrektor w Instytucie Adama Mickiewicza. Od 2003 członek zarządu i dyrektor Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

z Darmstadt, w zastępstwie Karla Dedeciusa⁵⁷, przedstawił problem wymiany kulturalnej jako szansy wzajemnego zrozumienia.

W obszarze politycznym wystąpienie prof. Antoniego Czubińskiego⁵⁸ z Poznania poświęcone było niemieckiemu i polskiemu nacjonalizmowi w latach 1918–1939, jego właściwościom i konsekwencjom. Doktor Dieter Bingen⁵⁹ z Bonn przedstawił zagadnienie *Sytuacja Polski i Niemiec jako podstawa reorientacji stosunków polsko-niemieckich*. Tematem *Niemcy–Polska–Europa* zajęą się prof. Czesław Madajczyk. Równoległy do tego wystąpienia wykład pod tym samym tytułem wygłosił prof. Bernd Martin⁶⁰ z Fryburga. Wreszcie prof. Czesław Łuczak⁶¹ z Poznania przedstawił referat *Niemcy w okupowanej Polsce – zróżnicowanie postaw*. W finansowaniu przedsięwzięcia uczestniczyły KBN oraz Civitas Christiana, a za wydanie książki płaciła Fundacja Współpracy Polsko-Niemieckiej, która także finansowała wydanie mej książki *Niemcy zarys dziejów*⁶².

⁵⁷ Karl Dedecius (1921–2016), tłumacz niemiecki, popularyzator literatury polskiej i rosyjskiej. Wcielony do Wehrmachtu w 1942. W niewoli sowieckiej 1943–1949. Od 1952 w RFN. W 1980 założyciel i pierwszy dyrektor (do 1999) Deutsches Polen-Institut (Niemiecki Instytut Kultury Polskiej) w Darmstadt. Wydał kilkadziesiąt antologii i tomów indywidualnych pisarzy. Jest edytorem 50-tomowej serii „Polnische Bibliothek” obejmującej literaturę polską od średniowiecza aż do współczesności. Łącznie tłumaczył ponad 300 poetów i prozaików. Za dzieło życia uznawana jest 7-tomowa Panorama der polnischen Literatur des 20. Jahrhunderts.

⁵⁸ Antoni Czubiński (1928–2003), historyk. Absolwent UAM. Doktorat 1959, habilitacja 1963, profesor nadzwyczajny 1968, profesor zwyczajny 1976. Aspirantura na Uniwersytecie Państwowym im. Łomonosowa w Moskwie 1955–1957. Pracownik naukowy UAM od 1958. Kierownik Zakładu Historii Ruchów Społecznych 1965–1969, Zakładu Historii Niemiec 1969–1979, Zakładu Historii Powszechnej XIX i XX wieku 1979–1998. Prodziekan 1963–1964, a następnie dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UAM 1964–1966. W 1969–1971 p.o. wicedyrektor Instytutu Historii. Członek Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”, PZPR (członek Egzekutywy KW PZPR w Poznaniu). Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych należał do grupy działaczy popierających Edwarda Gierka. W 1971 powołany na stanowisko dyrektora Instytutu Historii Polskiego Ruchu Robotniczego i prorektora Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR w Warszawie. W latach 1971–1974 redaktor naczelny kwartalnika „Z Pola Walki”. Dyrektor Instytutu Zachodniego w Poznaniu 1978–1990.

⁵⁹ Dieter Bingen (ur. 1952), politolog i socjolog niemiecki. Absolwent uniwersytetu w Bonn. Pracownik naukowy uniwersytetu w Bonn 1979–1994. Dyrektor Instytutu Niemiecko-Polskiego od 1999.

⁶⁰ Bernd Martin (ur. 1940), historyk i politolog niemiecki specjalizujący się w drugiej wojnie. Absolwent uniwersytetów w Marburgu, Berlinie i Durham w Anglii. Doktorat 1967, habilitacja 1974, profesor nadzwyczajny od 1976, profesor zwyczajny od 1979. Pracownik naukowy na uniwersytecie we Fryburgu od 1968. Dyrektor zarządzający w Departamencie Historii na uniwersytecie we Fryburgu 1980/81, 1990/91 i 1999 do 2001.

⁶¹ Czesław Łuczak (1922–2002), historyk, specjalista w zakresie historii gospodarczej. Absolwent UP. Doktorat 1949, profesor nadzwyczajny 1960, profesor zwyczajny 1966. Pracownik naukowy UP/UAM od 1948. Kierownik Zakładu Historii Gospodarczej UAM 1962–1992. Prodziekan 1956–1960 i dziekan 1960–1962 Wydziału Filozoficzno-Historycznego, prorektor 1962–1965 i rektor UAM 1965–1972. Dyrektor Instytutu Historii 1968–1981 i 1987–1990. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego Wydawnictwa Naukowego UAM. Wieloletni członek PZPR.

⁶² Z. Zieliński, *Niemcy zarys dziejów*, Katowice 2003.

Było to bardzo udane sympozjum. Przede wszystkim panowała całkowita swoboda wymiany myśli. Tematyka nie tyle była rozległa, ile dawała swobodę manewrowania we wszystkich obszarach życia. Przy tym był to zjazd ludzi o bardzo rozbieżnych światopoglądach i różnej filozofii badawczej. Jeden z uczestników, kiedy otrzymał zaproszenie, ostrzegł mnie nawet, że w żaden sposób nie jest związany z chrześcijaństwem. To mnie zupełnie nie interesowało, jego temat wymagał kwalifikacji, niekoniecznie zaś osobistego zaangażowania religijnego.

Zaprosiliśmy także Jarosława Kaczyńskiego⁶³, wówczas bodajże szefa Kancelarii Prezydenta RP. Przybył z niewielkim opóźnieniem. Zabrał głos na wstępie obrad i po 15 minutach odjechał. Był znacznie sztywniejszy niż później jako premier. Był też znacznie młodszy i tym się tłumaczy nieco sztuczna powaga, jaką manifestował. Uczestnicy liczyli na jego dłuższą obecność i głos także w wymiarze merytorycznym, jako że tematyka dotyczyła nie tylko historii, lecz także współczesności, a nawet prognozowania przyszłych rozwiązań. To ostatnie, uwidocznione w tytule sympozjum, mocno poruszyło prof. Madajczyka, który pół żartem, pół serio powiedział do mnie, że chce go zmusić do bycia futurologiem.

Organizowałem w życiu osiem sympozjów, nie licząc mniejszych posiedzeń, zwłaszcza z udziałem zagranicznych prelegentów. Mogę śmiało powiedzieć, że z rezultatów tych spotkań byłem zadowolony. Czy mógłbym to samo powiedzieć o sympozjach i konferencjach, w których uczestniczyłem? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Udział w spotkaniu w Kloster Banz można uznać za chybiony. Nieśmak pozostawał zawsze wtedy, gdy się traciło czas i marnowało siły na dalekie podróże, a potem się okazywało, że nie można było przedstawić problemu, który dotyczył tematyki konferencji i żywo interesował osobę w niej uczestniczącą, ale z jakichś powodów nie odpowiadał organizatorom.

Miło wspominać seminarium zorganizowane przez prof. Wojciecha Wrzesińskiego w październiku 1995 r. w Karpaczu, a poświęcone polskim mitom politycznym XIX i XX w. Historycy ze wszystkich ośrodków naukowych Polski przedstawiali mity funkcjonujące w społecznościach regionalnych na przestrzeni wielu epok historycznych – ich treść, pochodzenie, działanie na polu polityki, wpływ

⁶³ Jarosław Kaczyński (ur. 1949), prawnik i polityk. Działacz opozycji demokratycznej w PRL. Absolwent UW. Doktorat 1976. Pracownik naukowy w Instytucie Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego 1971–1976. Do 1981 adiunkt w białostockiej filii UW. W latach 1982–1983 pracownik BUW na etacie starszego bibliotekarza. Senator RP 1989–1991, poseł na sejm 1991–1993 i od 1997. Minister stanu i szef Kancelarii Prezydenta RP 1990–1991. Prezes Rady Ministrów 2006–2007. Kandydat na prezydenta RP 2010. Twórca i prezes partii politycznych: Porozumienie Centrum, Prawo i Sprawiedliwość.

na tożsamość narodową, światopogląd itd. Zgłosiłem swój udział z referatem *Mit Polak katolik*. Punkt ciężkości położyłem na kresowość i jej wpływ na tworzenie się stereotypów i zbitek pojęciowych zastępujących lub wręcz usuwających z pola widzenia racjonalną ocenę rzeczywistości. Było to spotkanie, które na długo pozostało w mej pamięci. Nie tylko z racji ogromnego ładunku erudycyjnego, jaki ze sobą niosło, lecz także ze względu na bliższe zetknięcie się z wieloma ludźmi, których znało się bardziej od strony pulpitu niż stołu biesiadnego. Ten ostatni był tam obficie zastawiony i właśnie ten nastrój swobodnej biesiady, sąsiadujący z wytężoną pracą w sali obrad, rodził bliskość i łatwość porozumienia, nawet jeśli dyskutanci ani na krok nie ustępowali sobie pola.

Dyskusje były bardzo ożywione. Trzeba pamiętać, że gdy się mówi o micie, zawsze istnieje obawa naruszenia czyichś przekonań albo tradycji, w jakiej się wyrosło. Weźmy choćby mit niepodległości, który tworzył się i funkcjonował w różnych okresach historycznych dziejów Polski i zawsze dotyczył najbardziej newralgicznego punktu świadomości Polaków. Był rzeczywistością sam w sobie, wyrażał rzeczywistość wirtualną w oczekiwaniu na spełnienie, wręcz życiodajną dla wszystkich. Jakże mogło nie być kontrowersji wokół zmitologizowanych postaci Piłsudskiego, Kościuszki czy innych bohaterów narodowych? A mit narodu jako siły nośnej idei niepodległościowej i państwowotwórczej? Niekiedy spotkania takie mają ogromną moc inspirującą, wyzwalają przemyślenia, do jakich trudno byłoby dojść inną drogą.

Z pewnymi wahaniami przyjąłem zaproszenie marszałka senatu Adama Struzika⁶⁴ na spotkanie mające się odbyć 6 stycznia 1996 r. w gmachu senatu, poświęcone polskiej grupie etnicznej w Niemczech. Już nie pamiętam dokładnie, kto tam występował. Przeważnie byli to politycy i dziennikarze. Przypominam sobie pana Krolla⁶⁵ i pana Bartodzieja⁶⁶ jako przedstawicieli mniejszości niemieckiej w Polsce. Było rzeczą naturalną, że konferencja ta dawała okazję do uściślenia pojęcia „mniejszość narodowa”, które stale, a zwłaszcza w czasach tak potężnych ruchów migracyjnych jak te, które dziś obserwujemy, nasuwa pewne wątpliwości.

⁶⁴ Adam Struzik (ur. 1957), polityk i samorządowiec, z zawodu lekarz. Senator RP 1991–2001. Marszałek senatu 1993–1997. Od 2001 marszałek województwa mazowieckiego. Wiceprezes PSL od 2015.

⁶⁵ Henryk Kroll (ur. 1949), polityk mniejszości niemieckiej, z zawodu lekarz. Przewodniczący Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Niemców na Śląsku Opolskim 1991–2008. Poseł na sejm 1991–2007.

⁶⁶ Gerhard Bartodziej (ur. 1940), polityk mniejszości niemieckiej, nauczyciel akademicki. Senator RP 1991–1997. Przewodniczący Rady Miasta i Gminy Strzelce Opolskie 1990–1998, 2002–2006. W 1997 przyznał się do tajnej i świadomej współpracy z SB (TW ps. „Agata” 1977–1980 i ponownie jako TW ps. „Waris” 1985–1990).

Uderzyło mnie w temacie konferencji sformułowanie „polska grupa etniczna”, a nie mniejszość. Byłem i jestem zdania, że grupa ludnościowa powstała w jakimś kraju z imigracji nie może sobie rościć pretensji do bycia mniejszością, ta jest bowiem rozumiana jako społeczność zastana na terenie posiadającym z takich czy innych przyczyn ludność „państwowotwórczą” (w niemieckim istnieje pojęcie *staatsbildende Bevölkerung*). W takim sensie można było mówić o mniejszości polskiej na Śląsku, na niektórych terenach zaboru pruskiego czy rosyjskiego. W takim też sensie istnieje dziś mniejszość niemiecka na Ziemiach Odzyskanych, zwłaszcza na Górnym Śląsku. Osobiście nie jestem przekonany, że wszyscy Górnoślązacy zgłaszający dziś akces do tej mniejszości mają coś więcej z niemczyzną wspólnego niż zwyczajną opcję na jej rzecz.

Taką opinię wyraziłem w czasie konferencji i wywołałem ripostę posła Henryka Krolla. Późne przyznanie się do pochodzenia niemieckiego wielu osób argumentował on powojennym uciskiem i zakazem uczenia się języka niemieckiego, co sprawiło, że wielu Niemców mieszkających w Polsce utraciło umiejętność posługiwania się tym językiem. Było to tłumaczenie naiwne, ponieważ mowa ojczysta jest pielęgnowana w rodzinie, a ta – nawet w najniekorzystniejszych warunkach – w naturalny sposób broni się przed wynarodowieniem. Kiedy to mówiłem, byłem już po wielu spotkaniach z późno wysiedlonymi – jest to *nota bene* bardzo mylny, wprost oszukańczy termin, nikt ich bowiem nie wysiedlał. Wyjechali sami, z własnej i nieprzymuszonej woli. Te spotkania utwierdziły mnie w przekonaniu, że oprócz obłądnej polityki władz PRL wobec autochtonów to oczekiwanie lepszego bytu w RFN, a nie żadne poczucie narodowe pchało ludzi do Niemiec. Wielu było takich, którzy woleli pozostać na miejscu i tu grać rolę Niemców. To również miało przełożenie na wymierne dobra. Konferencja przywołała we mnie mnóstwo wspomnień z dzieciństwa, gdy żyłem na terenie ludnościowo mieszanym, z silnym elementem niemieckim, i spotykałem także Polaków, którzy nie wiedzieli do końca, kim są. Częściowo wskutek tego Niemcy hitlerowskie mogły odnotować sukces w postaci volkslisty, choć problem jest oczywiście bardziej skomplikowany.

Nigdy nie mogłem się odnaleźć w tak rozmytej tematyce, jak rozważania o mniejszościach narodowych. Mniejszości polskiej w Niemczech z pewnością obecnie nie ma, choć Polaków żyje tam wielokrotnie więcej niż Niemców w Polsce. Polacy dziś mieszkający w Niemczech to niebagatelna liczba, setki tysięcy osób. Większość to nowa emigracja. Tworzy ona zapewne polską grupę etniczną,

ale czy także mniejszość? Temat godny głębszego zastanowienia. Tam z kolei istnieją mniejszości i jeśli pielęgnują swoją kulturę i tradycję, to nikt nie może mieć zastrzeżeń. Tylko czy zawsze tak bywa?

Pod wpływem opisanych tu doświadczeń żywiej zainteresowałem się mniejszością niemiecką w Polsce. W historiografii mało zajmowano się postawami katolików niemieckich w Polsce międzywojennej. Sprawy te badałem w archiwach w RFN w 1985 r., do nich więc wróciłem. W tym czasie zetknąłem się z dużym zainteresowaniem duszpasterstwem Niemców w Polsce międzywojennej. W 1992 r. ks. Kazimierz Śmigiel wydał staraniem Instytutu Herdera w Marburgu, głównie jednak z inicjatywy dr. Karpa, statystyki duszpasterstwa Niemców w diecezjach polskich⁶⁷. Materiały te były mi znane już wcześniej i stanowiły niewątpliwie poważne źródło do dziejów katolickiej części mniejszości niemieckiej w Polsce. Kwerenda w archiwach polskich i niemieckich przekonała mnie, że duszpasterstwo to tylko jeden z elementów tej historii, bynajmniej nie najważniejszy, nie pomaga też w rozpoznaniu specyfiki tej grupy etnicznej, bardzo zróżnicowanej wewnętrznie, oscylującej między różnymi formami lojalności wobec państwa polskiego (aż do pełnej), wszakże bez rezygnacji z własnego oblicza kulturowego. Tutaj trzeba wymienić działacza śląskiego dr. Eduarda Panta⁶⁸. Był on narażony na trudny wybór między lojalnością obywatela polskiego a posłuszeństwem dla celów, jakie wytyczał rząd niemiecki lub zależne od niego organizacje, np. Deutsche Stiftung. W wypadku takiego podporządkowania trzeba już mówić nie tyle o zwykłej aktywności na polu mniejszościowym, ile o określonej postawie politycznej, będącej w sprzeczności z interesem państwa polskiego.

Te zagadnienia nurtowały mnie od dobrych paru lat i skłoniły do opracowania dziejów katolickiej mniejszości niemieckiej w Poznańskim i na Pomorzu. Materiały do innych regionów Polski miałem i w dalszym ciągu mam zgromadzone, ale wydawało mi się wtedy, może mylnie, iż porównywalność zachodnich dzielnic z centralną i wschodnią Polską byłaby problematyczna, a Śląsk to sprawa całkowicie odrębna. W ten sposób powstała wydana w 2001 r. książka *Katolicka mniejszość niemiecka w Wielkopolsce i na Pomorzu 1918–1939*. Później w kilku większych artykułach

⁶⁷ *Die statistischen Erhebungen über die deutschen Katholiken in den Bistümern Polens 1928 und 1936*, oprac. K. Śmigiel, Marburg–Lahn 1992.

⁶⁸ Eduard Pant (1887–1932), nauczyciel i dziennikarz niemiecki, doktor filozofii, działacz mniejszości niemieckiej II RP. Poseł i wicemarszałek Sejmu Śląskiego 1922–1935, senator RP 1928–1935. Redaktor naczelny „Der Oberschlesische Kurier”, najpoczytniejszego dziennika niemieckiego w Polsce, wydawanego w Królewskiej Hucie (obecnie Chorzów). Przeciwnik ideologii narodowo-socjalistycznej.

sięgnąłem także do problematyki mniejszościowej Niemców rozproszonych po innych regionach Polski, zwłaszcza na Śląsku i w Galicji.

Moje zainteresowanie dziejami Prus i Niemiec z konieczności zawsze koncentrowało się na sprawach polskich. Od momentu rozbiorów nie tylko narastał antagonizm między narodami obejmujący głównie Prusy i z czasem rozciągający się na obszar całych Niemiec, lecz także rodził się problem obecności coraz większej niemieckiej grupy etnicznej na ziemiach rdzennie polskich oraz losu Polaków w bardziej zgermanizowanych częściach zaboru, jak np. na Pomorzu czy na Warmii. Badania dotyczące tych terenów podejmowane były w innych ośrodkach, zwłaszcza w Olsztynie i Toruniu.

Kontakty z Niemcami w innym wymiarze

Patrząc z perspektywy na podejmowane w latach osiemdziesiątych inicjatywy, widzę w nich pewną przypadkowość, choć wtedy tak mi się nie wydawało. Wspomnienia nie są kroniką, siłą rzeczy panuje w nich pewna wybiórczość. W 1980 r. działo się w moim życiu sporo. Nie mam tu na myśli Sierpnia '80, ale moje sprawy osobiste. Istotnym momentem była profesura nadzwyczajna przyznana mi 16 października 1980 r. Jesienią tego roku zostałem przyjęty do Görres-Gesellschaft, wygłosiłem wykład na zgromadzeniu niniejszego towarzystwa naukowego w Akwizgranie, a kilka dni później – w Marburgu w Instytucie Herdera. Były to dla mnie ważne wydarzenia, podobnie jak kontakty z historykami niemieckimi, wspomnianymi już Josefem Beckerem, Konradem Repgenem, Rudolfem Lillem, a następnie z wieloma innymi.

W styczniu 1980 r. prof. Becker z Augsburga zaproponował mi członkostwo w towarzystwie naukowym Görres-Gesellschaft zur Pflege der Wissenschaft. Doroczny zjazd w tym roku miał się odbyć w Akwizgranie. Zgodnie z panującym zwyczajem jako nowo przyjęty członek miałem wygłosić referat. W tej sprawie skontaktowałem się ze mną także prof. Konrad Repgen z Bonn, który pierwotnie przewidywał *Kulturkampf pruski* jako temat mojego wystąpienia. W końcu stało się jednak na *Kulturkampf w Poznaniu*. Wiązało się to z dodatkową pracą, choć zagadnienie nie było mi obce, opracowałem je bowiem w dysertacji doktorskiej. Do Akwizgranu miałem się wybrać 4–6 października, stamtąd zaś do Marburga z wykładem i w odwiedziny do moich przyjaciół, państwa Karpów.

Pojechałem swoim samochodem, fiatem 127. W tamtych latach była to nie lada wyprawa, zwłaszcza że trzeba było przejechać przez NRD. Jechałem przez

Ślubice, a z NRD do RFN przez Helmstedt. Nigdy nie było wiadomo, jak człowieka potraktują straż graniczna i celnicy. Muszę przyznać, że jeżdżąc wielokrotnie przez NRD, nie natrafiałem na szczególne szykany. Nawet mnie to trochę dziwiło i dopiero po latach ktoś mi uświadomił, że taryfę ulgową zawdzięczałem dość banalnej okoliczności. Miałem zasadę, że nie zatrzymywałem się na terenie NRD, przejeżdżałem od razu trasę około 340 km. To sprawiało, że na granicy we Frankfurcie nad Odrą czy w Zgorzelcu przepuszczano mnie niemal bez rewizji. Okazało się, że odnotowywano godzinę wjazdu na teren NRD i wyjazdu. Jeśli czas przejazdu był znacząco dłuższy od przewidzianego, to w rezultacie przeprowadzano dokładniejszą odprawę.

Raz jeden, było to już pod koniec istnienia NRD, wracałem przez Zgorzelec z jakiegoś zjazdu czy konferencji i miałem teczkę z materiałami, które z pewnością kwalifikowały się do zabrania. Ponadto wiozłem kilka książek teologicznych traktujących o życiu wewnętrznym, przeznaczonych zresztą dla kogoś. Zapytano mnie na granicy, czy wiozę książki. Odpowiedziałem, że owszem, mam kilka dzieł teologicznych. Celnicy zajrzeli do moich bagaży. Teczka z kompromitującymi materiałami się nie zainteresowali, książki natomiast zabrali. Próbowałem ich przed tym powstrzymać, bo zanosilo się na kilkugodzinny postój nocny. Powiedziałem, że te książki w NRD już nie mogą nikogo zgorszyć, bo stoję 2 m od granicy. Spojrzeli tylko na mnie i pojechali.

Siedziałem z żołnierzem w boksie granicznym może trzy godziny. Z nudów rozpoczęliśmy rozmowę. Narzekałem na biurokrację i ingerencję w całkiem prywatne sprawy. Chłopak milczał chwilę, tylko się uśmiechał. Naraz odwrócił się do mnie i powiedział:

– Przecież ci, którzy pojechali z książkami, są w pańskim wieku. Tacy są najgorsi. Młodzi by na to nie spojrzeli.

Miał rację.

W Akwizgranie odwiedziłem znajomych, którzy przenieśli się do Niemiec i przebywali wtedy w kwaterze dla przesiedleńców w dawnym klasztorze. Postawiłem samochód pod murem, na skrawku trawnika, zaślanego gruzem i pyłem, gdyż właśnie remontowano budynek. Przybiegł gospodarz domu z krzykiem, że dzwoni po policję, bo tu jakiś człowiek z Polski postawił wóz na *Parkgelände*⁶⁹. Moi znajomi, spuściwszy oczy, potulnie słuchali jego tyrady. Oczywiście nie

⁶⁹ Niem. na terenie parku.

obyło się bez przycinków na temat *polnische Liederlichkeit*⁷⁰. Miałem tego dość. Wrzasnąłem na niego, że tak to się zachowywali Niemcy u nas w czasie wojny, ale on powinien wiedzieć, że wojna już się dawno skończyła i obrażanie cudzoziemców w Niemczech jest obecnie karalne, tym bardziej niedozwolone są wyraźne inwektywy rasistowskie. Niech mi pokaże ów park, a sam pójdę zapłacić karę. Zaraz się uspokoił i uprzejmie poprosił, bym zabrał samochód, gdyż jeżdżą tu ciężarówki i mogą uszkodzić auto. Powiedziałem, że za godzinę samochodu już nie będzie, a wcześniej ani myślę go usuwać. Mam tu coś do omówienia z moimi przyjaciółmi, samochód zresztą nie stoi na żadnym przejeździe. Moi znajomi nie mogli wyjść ze zdumienia, bo ten człowiek dosłownie ich terroryzował.

Na marginesie tej sprawy muszę zaznaczyć, że nieczęsto spotykałem się w RFN z tak jawnie artykułowaną niechęcią do Polaków – w przeciwieństwie do NRD, gdzie w czasie podróży z moim przyjacielem ks. Jerzym Mrugasiewiczem w 1970 r. wielokrotnie odczuliśmy rezerwę w zachowaniu niektórych Niemców. Trudno było wprost coś im zarzucić, były to raczej półsłówka, gesty, niekiedy obraźliwe traktowanie w sklepach.

Pracą, którą zdecydowałem się podjąć jeszcze w 1980 r., choć jej wykonanie przypada na rok następny, był przekład książki *Kirche, Katholiken und Nationalsozialismus*⁷¹. Ukazała się ona w Topos Verlag w tymże roku i bardzo mnie zainteresowała. Był to zbiór krótkich, ale dobrze udokumentowanych studiów na temat dziejów Kościoła w III Rzeszy, a takie nazwiska jak Rudolf Morsey⁷², Dieter Albrecht⁷³, Ludwig Volk⁷⁴ gwarantowały wysoki poziom tych opracowań. Podjąłem się tłumaczenia nie tylko ze względu na moją znajomość z kilkoma autorami, zwłaszcza z prof. Repgenem. Uznałem, że książka będzie mi potrzebna do moich wykładów. Na korzystanie z niemieckiego wydania nie było co liczyć.

⁷⁰ Niem. polskiego niechlujstwa.

⁷¹ *Kirche, Katholiken und Nationalsozialismus*, red. K. Gotto, K. Repgen, Mainz 1980.

⁷² Rudolf Morsey (ur. 1927), historyk niemiecki. Absolwent Westfalskiego Uniwersytetu Wilhelma w Münster. Habilitacja 1966. Pracownik naukowy na Uniwersytecie Juliusza i Maksymiliana w Würzburgu 1966–1970. W latach 1968–1998 przewodniczący Komisji ds. Historii Parlamentaryzmu i partii politycznych w Bonn. Autor wielu prac na temat historii Niemiec.

⁷³ Dieter Albrecht (1927–1989), historyk niemiecki. Absolwent Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Doktorat 1951, habilitacja 1962, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Ottona i Fryderyka w Bambergu od 1963. Pracownik naukowy na uniwersytecie w Ratyzbonie od 1967. Autor opracowania wielu edycji źródłowych.

⁷⁴ Ludwig Volk SJ (1926–1984), jezuita i historyk niemiecki. Świecenia kapłańskie 1956. Absolwent Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Doktorat 1964. Nauczyciel w szkołach średnich 1962–1967. Od 1968 pracownik naukowy Komisji Historii Współczesnej. Opublikował wiele istotnych edycji źródłowych z zakresu historii Kościoła w Niemczech.

Nie zawiodłem się. Książka pt. *Kościół, katolicy i narodowy socjalizm* ukazała się w wydawnictwie ODiSS w 1983 r. (w obiegu znalazła się w 1984 r.).

Przetłumaczenie tej książki nie zajęło mi wiele czasu, zarówno ze względu na jej objętość (około 200 stron), jak i znajomość problematyki. Wydawnictwo chętnie zgodziło się na publikację przekładu i już w maju 1981 r. red. Jerzy Skwara nawiązał kontakt w tej sprawie z dr. Ulrichem von Hehlem⁷⁵ z Kommission für Zeitgeschichte w Bonn⁷⁶.

W czasie dorocznego spotkania Görres-Gesellschaft w 1981 r. w Passawie dr Hehl powiedział mi, bym się udał w drodze powrotnej do Matthias-Grünwald Verlag w Moguncji, aby tam odebrać honorarium za przetłumaczenie książki. Było to dla mnie zaskoczeniem, nie oczekiwałem bowiem żadnej gratyfikacji. Zresztą skromne honorarium już otrzymałem z ODiSS, o czym powiadomiłem dr. Hehla. On, widząc moje zaskoczenie, zupełnie inaczej to skomentował. Oświadczył, że te niecałe 3 tys. marek to żenująco mało, ale takie instytucje jak Inter Nationes nie płacą zbyt dobrze. Nie zachęcał mnie jednak, bym się upominał o więcej, gdyż byłoby to bezskuteczne. Nie miałem takiego zamiaru, gdyż w porównaniu z honorariami polskimi i przy uwzględnieniu ówczesnego kursu marki niemieckiej była to suma wręcz zawrotna. Nie omieszkałem mu tego powiedzieć, co z kolei wywołało jego zdumienie. Sądził, że się bardziej cenimy, zwłaszcza że było powszechnie wiadomo, jak bardzo Polacy liczyli na marki niemieckie.

Wydaje mi się, że nie do końca było tak, jak widział to mój rozmówca. W RFN bynajmniej nie szafowano pieniędzmi i na honoraria za książki naukowe nie było co liczyć. Jeden z profesorów uzasadniał całkiem przekonująco, że pensje naukowców są tak pomyślane, żeby umożliwiać im pracę naukową, której owocem są publikacje. Inaczej było w naukach technicznych, ale w humanistyce już sam fakt wydania komuś książki był dla niego gestem poparcia. O ile w czasach PRL moje honoraria, nad wyraz skromne, płacone oczywiście przez instytucje pozauniwersyteckie, były jednak znaczącym zastrzykiem finansowym, to po 1989 r. – z wyjątkiem kilku dobrze płacących wydawnictw prywatnych – można było liczyć

⁷⁵ Ulrich von Hehl (ur. 1947), historyk niemiecki, specjalista w zakresie dziejów XX w., wykładowca akademicki. Absolwent uniwersytetu w Bonn. Doktorat 1977, habilitacja 1987. Dyrektor zarządzający Komisji ds. Historii Współczesnej w Bonn 1977–1992. Pracownik naukowy uniwersytetu w Augsburgu 1989–1990, następnie na uniwersytecie w Lipsku 1992–2013. Od 2013 na emeryturze.

⁷⁶ Pozauniwersytecka instytucja badawcza zajmująca się dokumentacją i badaniami historii katolicyzmu niemieckiego w XIX i XX w. W tym celu publikuje źródła historyczne (wydania) i opracowania naukowe (rozprawy, habilitacje). Wśród najważniejszych źródeł wydanych przez Komisję znajdują się akta episkopatu niemieckiego i biskupów niemieckich w XX w.

wyłącznie na rodzaj jałmużny. Obecnie taką funkcję pełnią granty, ale zasady ich przydziału to *misterium strictum*⁷⁷.

Odebrawszy te nieoczekiwane pieniądze, pojechałem do moich przyjaciół Karpów do Marburga, skąd zamierzałem koleją wyruszyć do Polski. To był początek października. O kupnie samochodu nie myślałem, ale kiedy następnego dnia, w sobotę rano pojechałem z dr. Karpem do miasta, przed salonem samochodowym Kaletscha zauważyłem fiata 127 w kolorze czerwonym z uszkodzonymi bokiem, błotnikiem i drzwiami, poza tym jednak w doskonałym stanie. Coś mnie tknęło, żeby zapytać o cenę. Właściciel salonu odpowiedział, że samochód będzie do kupienia za tydzień za 6 tys. marek. Spytałem, ile kosztowałby w tej chwili. Pan Kaletsch zorientował się, że jestem z Polski, i zaczął żartować (a może i nie):

– Proszę mi w Polsce zorganizować odstrzał rogacza, a samochód otrzyma ksiądz darmo.

No cóż, takiego interesu nie byłem w stanie zrobić. On jednak potraktował moje pytanie poważnie i zastanawiał się nad ceną. Wreszcie powiedział, że ceni samochód na 3 tys. marek. Miał dodać używane drzwi, dwa koła oraz inne drobiazgi. Jednak i tak brakowało mi około 300 marek. Pan Karp powiedział, że chętnie mi pożyczy, i tak się też stało. Ostatecznie samochód kosztował 2900 marek.

Pan Kaletsch zachęcał, bym się przejechał w ramach testów. Chciałem wypróbować silnik, więc pojechałem na najbliższe wzniesienie. Na szczycie góry zawróciłem i gdy jechałem serpentyną, wpadłem w poślizg. Po obu stronach jezdni były metalowe bariery, a za nimi przepaść. Momentalnie oblał mnie zimny pot. Na zakręcie zdołałem jakoś opanować wóz. Nie zatrzymałbym go hamulcami, jezdnia była usłana liśćmi i niezwykle śliska. Pulsując delikatnie hamulcem, zredukowałem i tak niewielką szybkość i jak potrafiłem najostrożniej, oparłem się prawym bokiem maski o mocną metalową barierę. Miałem szczęście, z dołu nie jechał żaden samochód, inaczej mogłoby dojść do zderzenia. Na masce pozostało nieznaczące wgniecenie, ale usytuowane na rogu pokrywy silnika i niestety widoczne. Pan Kaletsch od razu je zauważył i zapytał, co się stało, więc pokrótce zdałem mu relację. Kręcił głową. Nie myślał, że tam pojadę, ale z uznaniem ocenił moje zdolności szoferskie. Z góry zaznaczyłem, że biorę samochód na warunkach, jakie sprzedający ustalił.

⁷⁷ Łac. tajemnica przynajętego.

Tym samochodem jeździłem ponad 11 lat. Zastąpił podobnego fiata, kupionego na przetargu Polmozbytu w 1976 r. Byłem z tego samochodu, który stał na placu bez kapsla wlewu paliwowego dwa lub trzy lata, zadowolony. Silnik miał bez zarzutu, jedynie co jakiś czas takim dziwnym



błotkiem zarzucało całkowicie gaźnik. Nie wiedziałem, skąd to się bierze. Na wakacjach u ks. Mrugasiewicza w Winnejgórze wraz z jego bratem, inżynierem, zdjęliśmy bak i okazało się, że jest w nim pełno różnych śmieci. Zastanawialiśmy się, skąd się tam wzięły. Było tylko jedno wytłumaczenie. Samochód długo stał na parkingu Polmozbytu i prawdopodobnie ktoś potrzebował korka od wlewu paliwa i zostawił bak otwarty. To przykład takiego niechłujstwa, jakie na każdym kroku zdarzało się w PRL, gdzie ludzie musieli kupować, co im oferowano. Braki w zaopatrzeniu wykluczały jakikolwiek wybór.

Inna wada tego samochodu to rdzewienie – również skutek tak niefortunnego parkowania przez całe lata. Nie było roku, żeby nie trzeba było robić zaprawek, a nawet łątać blach karoserii. To z kolei pociągało za sobą konieczność jej lakierowania. Dziś, mimo że wciąż kupuje się u nas wiele aut używanych, o kupnie takiej tandety nie ma mowy. Wtedy sprzedawała ją firma państwowa i nie brała żadnej odpowiedzialności za stan sprzętu. Co dziwniejsze, żeby taki samochód nabyć na aukcji, trzeba było mieć znajomości. Mogłem go kupić tylko dlatego, że pewien mechanik, który zrobił to w moim imieniu, wiedział, z kim rozmawiać. Takie opowieści można dedykować wszystkim tęskniącym za PRL, co wcale nie znaczy, że dziś w nieco zmodyfikowany sposób tego raju pod wieloma względami się nie naśladuje. Czyni to jednak przede wszystkim władza.

W 1981 r. poznałem ciekawego człowieka. Był nim ks. Helmut Holzapfel⁷⁸, dziennikarz, z zamiłowania historyk, redaktor diecezjalnej gazety

Spotkanie
po pogrzebie
ks. Jerzego Mruga-
siewicza, 2000 r.

⁷⁸ Helmut Holzapfel (1914–1984), ksiądz, teolog, dziennikarz niemiecki, z zamiłowania historyk. Święcenia kapłańskie 1938. Od 1946 redaktor naczelny „Würzburger katholischen tagesblattes”.

w Monachium. Mieszkał w Würzburgu. Poznałem go przez ks. Edwarda Walewandra, z którym znali się od lat. Do Polski przyjeżdżał bardzo często. Sam mi mówił, że był około 40 razy. Sporo też o Polsce pisał. Szczególnie jedna z jego książek zrobiła na mnie wrażenie. Był to reportaż z podróży po Ziemiach Odzyskanych, zatytułowany *Kirche zwischen Oder und Ostsee*⁷⁹. Tę książkę postanowiłem przetłumaczyć i wydać, ponieważ była to jedna z nielicznych publikacji niemieckich, jeśli nie jedyna, która ze zrozumieniem traktowała naszą obecność na tych dawnych ziemiach niemieckich. Cóż z tego, że były to ziemie słowiańskie, ale zasiedlone przez Niemców, stały się z biegiem czasu także ich ojczyzną. Holzapfel potrafił połączyć pietyzm dla dokonań swoich ziomków ze stanem rzeczy, jaki wytworzyła II wojna światowa. Dla niego ważne było, by Polacy nie zmarnowali zastanego dorobku, ale by go rozwinęli. Pisał o tych sprawach także z punktu widzenia Kościoła i katolicyzmu. Przywrócenie tych sprotestantyzowanych, często siłą i podstępem, ziem katolicyzmowi uważał za jakiś gest ekonomii Bożej. Nade wszystko wszakże cieszyła go moc tętniącego życia. Starał się ją dostrzegać na każdym kroku.

Miałem kiedyś okazję porównać jego spostrzeżenia z tym, co inny ksiądz niemiecki swoim kolegom opowiadał o Wrocławiu, który opuścił jako chłopiec. Biadał nad upadkiem miasta, nad brakiem porządku i zaniedbaniami. Mówił o tym, jak piękny niemiecki Wrocław obrócił się w ruinę. Zapytałem, kiedy to wszystko widział, czy może zaraz potem, jak Niemcy wyburzyli miasto, przemienili je w fortecę. Bez zważania na cierpienia własnej ludności. Był zaskoczony.

– Ależ ja wróciłem z Wrocławia przed tygodniem.

– I teraz wszystko to ksiądz widział, o czym tu opowiada?

– No tak, przecież teraz tam wszystko jest polskie, napisy, nowy jest wystrój miasta.

Ktoś z obecnych także był innego zdania niż ten ksiądz. Bywał we Wrocławiu i śledził jego podnoszenie się z gruzów. Nikt jednak księdza nie przekonał, bo on chciał wszystko widzieć tak, jak o tym opowiadał. A było to w połowie lat dwięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Po latach byłem we Wrocławiu z pewną starszą panią, dobrą znajomą owego kapłana. Stojąc na rynku, nie mogła ochłonąć z podziwu. Przypomniałem jej tamte biadolenia. Machnęła tylko ręką.

⁷⁹ H. Holzapfel, *Kirche zwischen Oder und Ostsee*, Würzburg 1978.

Księdzu Holzapfelowi bardzo zależało, by nastąpiło prawdziwe zbliżenie między Polakami a Niemcami. Jego książka w języku polskim pt. *Kościół między Odrą a Bałtykiem* ukazała się w 1990 r. Powinna mieć wiele wydań, a z trudem udało mi się w ogóle ją wydrukować. Nie zaobserwowałem u nas żadnego zainteresowania tą pozycją. W Instytucie Wydawniczym PAX natrafiłem na dziwny opór. W Niemczech o ks. Holzapfelu lepiej było w ogóle nie wspominać. Uchodził za dziwaka szkodliwego dla sprawy niemieckiej. Ratowało go to, że w kołach kościelnych ceniono jego kunszt dziennikarski i dzięki temu miał jakieś pole działania.

Z ks. Holzapfelem spotykałem się później wielokrotnie. Chciałbym opowiedzieć zwłaszcza o dwóch zdarzeniach.

W 1983 r. Görres-Gesellschaft urządzało roczne spotkanie we Fryburgu szwajcarskim. Postanowiłem lecieć samolotem do Frankfurtu nad Menem, a dalej podróżować koleją. Ksiądz Holzapfel, znając moje plany, zaproponował, żebym z lotniska udał się do Würzburga, by go odwiedzić, a dopiero stamtąd do Szwajcarii. Do spotkania we Fryburgu było jeszcze kilka dni, więc się zgodziłem. Krótko przed moim wyjazdem dał mi znać, że będzie czekał na lotnisku i samochodem pojedziemy do Würzburga.

Na lotnisku jednak nikogo nie zastałem. Odczekałem jakąś godzinę i poprosiłem w informacji, by dano stosowne ogłoszenie. Ponieważ nikt się nie zgłosił, zatelefonowałem do mieszkania ks. Holzapfela. Telefon odebrała gospodyni, pani Hildegarda i wysłuchiwała mnie ze zdziwieniem.

– Ksiądz – powiedziała – jest w Salzburgu na jakimś spotkaniu dziennikarzy. Nic nie mówił, że pojedzie do Frankfurtu.

Oznajmiłem jej, że wobec tego jadę do Marburga, i podałem telefon moich przyjaciół. Naśmialiśmy z nimi potem co niemiara. Znali ks. Holzapfela i czynili zakłady, iż właśnie tak się stanie.

Siedzieliśmy akurat przy kolacji, kiedy zadzwonił telefon. Odebrała pani domu, przez chwilę słuchała i uśmiechając się, spoglądała w moją stronę, po czym bez słowa podała mi słuchawkę. Usłyszałem pełen entuzjazmu głos Helmuta:

– Wspaniale, że jesteś, właśnie wróciłem z Salzburga. Było tam bardzo ciekawie...

Wpadłem mu w słowo:

- A jak ciekawie było, kiedy czekałem na ciebie na lotnisku!
- Na jakim lotnisku?
- Przecież nie w Warszawie, tylko we Frankfurcie.

– A to ci dopiero, widocznie źle się umówiliśmy, ale to się nie powtórzy. Przyjedź jutro, pogadamy sobie i pojedziesz w poniedziałek do Fryburga. Podaję ci pociąg.

Zapewnił mnie jeszcze, że będzie czekał na peronie. Oczywiście nie czekał. Poszedłem do jego mieszkania na Kardinal-Döpfner-Platz i zastałem stół nakryty do obiadu, a obok uśmiechniętego Helmuta, który powitał mnie słowami:

– Tak jak mówiłem, oczekuję przy stole obiadowym.

Oczywiście tego nie skomentowałem.

Inne zdarzenie. W grudniu 1990 r. pojechałem do Monachium. Nie pamiętam już w jakim celu. Dałem znać Helmutowi, że będę, a on obiecał, że pokaże mi groby emigrantów polskich z 1831 r. Mieliśmy się spotkać w jego redakcji i tak się też stało. Wprawdzie nie było go jeszcze, kiedy tam dotarłem, ale sekretarka wiedziała o moim przybyciu i prosiła, żebym chwilę poczekał. Helmut nadszedł i pojechaliśmy na cmentarz, gdzie tuż przy bramie po prawej stronie mieściły się dość zadbane groby powstańców listopadowych. Helmut zaproponował, żebyśmy przed pożegnaniem zjedli obiad w którejś z restauracji dworcowych, po czym każdy pojedzie w swoją stronę. Zamówiliśmy dania: on śledzia w śmietanie, ja zaś borowiki. Helmut zjadł szybciej swój posiłek i oznajmił, że idzie zobaczyć, o której dokładnie odjeżdża jego autobus. Zaznaczył, że gdyby to miało być natychmiast lub wkrótce, to już nie wróci. Na wszelki wypadek się pożegnaliśmy. Jakież było moje przerażenie, kiedy w momencie, gdy kelner przyniósł zamówione borowiki, spostrzegłem torbę podróżną Helmuta przy stoliku, a brak mojej. Wybiegłem przed dworzec i zobaczyłem autobus gotowy do odjazdu. Helmuta spostrzegłem w środku. Zapukałem w szybę, ale on myślał, że go żegnam i machał mi tylko dłonią. Pokazywałem mu jego torbę, a on ze śmiechem kiwał głową. Podbiegłem do kierowcy i prosiłem, by mnie wpuścił na chwilę, bo ktoś zamienił ze mną bagaż. Kierowca nawet nie mrugnął okiem.

– Już odjeżdżamy, proszę odejść od drzwi.

Ja przeciwnie, stałem w drzwiach i się nie ruszałem. Wreszcie Helmut zauważył to zamieszanie i podszedł. Zapytał, o co chodzi. Kiedy już wyjaśniłem, przyniósł moją torbę.

– Nic by się nie stało – rzekł, oddając. – Mam w torbie tylko szczoteczkę do zębów i przybory do golenia.

Owszem, ale w mojej było wszystko, co miałem, łącznie z paszportem.

Ponieważ poprzedniej nocy spaliśmy w tym samym hotelu naprzeciw dworca, zbudził mnie nad ranem, mocno stukając do drzwi i wykrzykując, że prezydentem w Polsce został „Walesa”. Odkrzyknąłem, że to niemożliwe, bo to nasz pracownik uniwersytecki i wcale nie startował w wyborach. W pierwszym momencie jakoś nie skojarzyłem tego z Wałęsą. Otworzyłem drzwi pokoju i wpuściłem Helmuta. Tłumaczyłem mu, że musiał się przesłyszeć, ale on się upierał. Dopiero kiedy wspomniał o Solidarności, zaświtało mi w głowie, o kogo chodzi. Całe nieporozumienie wynikało także z tego, że mój przyjaciel swoim łomotaniem w drzwi wyrwał mnie z głębokiego snu. Uśmialiśmy się potem z tego setnie.

Taki to był ten – skądinąd niezwykle – człowiek, wielki przyjaciel Polski i Polaków. Ktoś z moich znajomych niemieckich powiedział o nim, że jakoś mało jest podobny do Niemca. Może dlatego, że miał słowiańskiego przodka, choć nie Polaka, zdaje się, że słowacką babkę. Ksiądz Holzapfel nie był skupiony tylko na Polsce. Może nawet bardziej interesował się Skandynawią, zwłaszcza Szwecją, dokąd także często jeździł. Innym polem, na które kierował swą uwagę, były losy katolików żołnierzy Wehrmachtu na froncie. Korespondencję duszpasterską z nimi wydał nawet w jednym czy dwóch tomikach. Mawiał, że wielu z nich to ofiary narodowego socjalizmu na równi z innymi. Na pierwszy rzut oka nie można było dostrzec religijnych wartości w działaniu ks. Holzapfela, ale to one stanowiły istotę wszystkich jego poczynań. Do tego trzeba dodać budujące poczucie sprawiedliwości i miłości bliźniego. Jedyna skarga, jaką na niego słyszałem, pochodziła z ust jego gospodyni. Żaliła się, że ks. Holzapfel w czasie mszy św. w kaplicy domowej robił czasami czytania po polsku. Oczywiście nie rozumiała ani słowa. Podejrzewam, że czytający też nie wszystko rozumiał.

Zwracano się do mnie z licznymi propozycjami prelekcji, wykładów. W listopadzie 1985 r. Instytut Herdera zaprosił mnie z wykładem pt. *Katolicyzm i polskość 1795–1918*. Podobny wykład na temat *Kościół w dziejach narodowych Polski 1789–1819. Pojęcia i cechy charakterystyczne* miałem 7 października 1985 r. na Uniwersytecie w Augsburgu. Błąd, który się znalazł zarówno w drukowanym zaproszeniu, jak i na afiszu, polegał na tym, że nie chodziło o rok 1819, ale o 1918. Na wykładzie zjawili się kilku wybitnych profesorów, m.in. Walter Brandmüller⁸⁰,

⁸⁰ Walter Brandmüller (ur. 1929), ksiądz diecezji bamberskiej, historyk. Święcenia kapłańskie 1953. Doktorat 1963, habilitacja 1967, profesor historii Kościoła na uniwersytecie w Augsburgu 1971–1997. Od 1981 w Papieskim Komitecie Nauk Historycznych. W 1998 przewodniczący komitetu

Josef Becker, Herbert Immenkötter⁸¹, Helmut Altrichter⁸². Dyskusja po wykładzie była słaba. Okazało się, że o sprawach polskich potrafią mówić tylko ogólnie, obracać się w kręgu zagadnień powszechnie znanych. Debata jednak się kończyła, kiedy pojawiały się kwestie szczegółowe. Poza tym warto zaznaczyć jeszcze jedno. Profesorowie na ogół nie podejmowali tematów drażliwych, a takich w relacjach polsko-niemieckich nie brakowało. Wspominam w innym miejscu o spotkaniu w Bad Saarow, gdzie wykład prof. Strobla spotkał się z dezaprobatą ze strony innych uczestników. Nie znaczy to wcale, że w prywatnej rozmowie ci sami historycy nie podejmowali tematów kontrowersyjnych. Szczególne uwrażliwienie było na kwestie żydowskie. Tu regułą była daleko idąca absencja.

W 1986 r. nawiązałem kontakt z prof. Georgem Zieglerem⁸³ z Moguncji, który był odpowiedzialny za kontakty z KUL. Był to bibliista i człowiek o szerokich horyzontach humanistycznych. Jestem też głęboko przekonany, że jego dążenie do pojednania z Polakami było jak najbardziej szczere. Co mnie o tym przekonywało, to jego bezkompromisowość w tępieniu pretensji wnoszonych przez wielu przeciętnych Niemców, którzy straty poniesione przez poszczególnych obywateli niemieckich oraz przez Niemcy jako kraj uważali za akt polskiego barbarzyństwa. Ksiądz Ziegler zwrócił moją uwagę na książkę Elisabeth Ruge i Petera Rugego *Nicht nur die Steine sprechen deutsch... Polens deutsche Ostgebiete*, która ukazała się w 1985 r. Mowa tu o wmówionym poczuciu winy (należy rozumieć niemieckiej), o oryginalnie niemieckim, a sztucznie spolszczonym pochodzeniu terenów zajętych przez Polskę, o izolowaniu przebywających tam Niemców i rabunku mienia, zwłaszcza kościołów ewangelickich. Z krótkiego omówienia książki, zamieszczonego na łamach „Mainzer Allgemeine Zeitung” autorstwa Reinharta Auenera (numer z 13 marca 1986 r.), wynikało, iż jest ona prowokacyjną zachętą do dialogu polsko-niemieckiego. Oczywiście, ani ks. Ziegler, ani ja

zajmującego się koordynacją ze strony Watykanu badań nad historią Kościoła, także z udziałem historyków świeckich. W 2010 kardynał prezbiter.

⁸¹ Herbert Immenkötter, historyk niemiecki, profesor, wykładowca akademicki.

⁸² Helmut Altrichter (ur. 1945), historyk niemiecki. Absolwent Uniwersytetu Fryderyka i Aleksandra w Erlangen. Doktorat 1974, habilitacja 1982, profesor na Uniwersytecie Fryderyka i Aleksandra w Erlangen od 1990. W latach 1993–1999 przewodniczący Stowarzyszenia Historyków Wschodnioeuropejskich.

⁸³ Josef Georg Ziegler (1918–2006), ksiądz diecezji ratybońskiej, teolog. Świecenia kapłańskie 1949. Absolwent uniwersytetu w Ratyzbonie. Doktorat 1955, habilitacja 1959, profesor teologii moralnej na Uniwersytecie Jana Gutenberga w Moguncji 1961–1983. W 1983 doktor *honoris causa* ATK w Warszawie.

nie podzielaliśmy takiego zdania, trzeba by w takim wypadku przyjąć, że strona polska dopuściła się niczym nieuzasadnionego bezprawia.

Ksiądz Ziegler uważał, że należy dyskutować rzeczowo, a pomoc może tylko przebadanie procesu przejmowania świątyń protestanckich przez Kościół katolicki w Polsce. Na moim seminarium naukowym udało mi się zrealizować temat doktorski uwzględniający tę problematykę. Była to praca Piotra Szczudłowskiego⁸⁴ *Losy poewangelickich obiektów sakralnych przejętych przez Kościół rzymskokatolicki w diecezji gdańskiej po zakończeniu II wojny światowej* (1992). Autor wykazał, że wyłącznie przewłaszczenie i zagospodarowanie tych kościołów przez katolików uchroniło je od zagłady. Podobna praca powstała na temat Śląska Opolskiego. Ksiądz Ziegler nalegał na kontynuowanie prac, nie udało się jednak przebadać innych regionów Polski. Częściowo tematykę tę rozwinął, choć raczej w stylu dziennikarskim, ks. Helmut Holzapfel w książce *Kościół między Odrą i Bałtykiem*.

Zostałem zaproszony przez ks. Zieglera do Moguncji na Wielkie Dni Polskie (*Grosse Polentage*) na listopad 1987 r. z wykładem *Pruski kulturkampf z polskiej perspektywy. Próba krytycznego przeglądu najnowszej historiografii*. Był to temat bardzo mi bliski, a jak się okazało, budził też sporo zainteresowania w tamtejszym środowisku historycznym. Ostatecznie 5 listopada wygłosiłem referat pt. *Polski katolicyzm w związku z tzw. kwestią polską od końca XVIII w. do 1918 r.*, gdyż uważano, że pierwotnie wyznaczony temat jest zbyt specjalistyczny, a chodziło o naświetlenie katolicyzmu polskiego bardziej pod względem teologicznym. Pozostałe tematy były wyłącznie teologiczne. Uważam, że takie inicjatywy o wiele więcej czyniły na rzecz zbliżenia Polaków i Niemców niż czcza gadanina, która tak często zastępowała takie dochodzenie do prawdy, o jakie walczył ks. Ziegler.

W październiku 2000 r. zostałem zaproszony na konferencję naukową na Katolicki Uniwersytet w Eichstätt. Organizatorem był prof. Leonid Luks, a tytuł sesji brzmiał „Chrześcijaństwo i wyzwania totalitarne XX w. na przykładzie Rosji, Niemiec i Polski”. Trzydniowe spotkanie, trwające od piątku do niedzieli, co w Niemczech raczej rzadko się zdarza, obejmowało aż 22 wystąpienia. Dziesięciu referentów przybyło z Rosji. Dopytywałem się, czy są między nimi etniczni Rosjanie, i zapewniano mnie, że wszyscy, choć obywatele rosyjscy byli jednak pochodzenia żydowskiego. Kilku wygłaszało swój wykład w języku rosyjskim. Muszę zaznaczyć,

⁸⁴ Piotr Szczudłowski (ur. 1961), teolog i historyk. Absolwent KUL. Doktorat 1992. Działacz opozycji demokratycznej w PRL: uczestnik ROPCiO, działacz RMP, a następnie Solidarności. Inwigilowany przez SB.

że większość ich prelekcji stała na bardzo dobrym poziomie. Udział takich profesorów niemieckich, jak Heinz Hürten, Rudolf Lill, Helmut Dahm⁸⁵, Manfred Spieker⁸⁶, nadawał spotkaniu wysoką rangę. Ciekawa rzecz, że na konferencji nie zjawili się żaden z historyków Kościoła, wykładowców tegoż uniwersytetu. Ktoś powiedział mi, że tematyka jest zbyt polityczna, co nie było prawdą. Wygłosiłem wykład na temat *Katolicyzm w Polsce przed i po 1989 r.* Tekst ukazał się drukiem w 2002 r. w tomie zawierającym wszystkie wystąpienia z tego sympozjum.

Profesor Luks nadawał się jak mało kto do zorganizowania takiej sesji, był bowiem kierownikiem Centralnego Instytutu Studiów Środkowo- i Wschodnioeuropejskich na uniwersytecie w Eichstätt. Urodził się w ZSRS, maturę zdawał w Polsce i wreszcie osiadł na uniwersytecie niemieckim. Znał podstawowe dla poruszonych zagadnień języki: niemiecki, rosyjski i polski. Nadto historię obszaru, którego dotyczyło sympozjum, mówiąc obrazowo, miał we krwi.

Częstsze bywanie na Zachodzie pociągało za sobą pewne zobowiązania. Mam tu na myśli RFN. Wspominałem już o kontaktach z prof. Beckerem z Augsburga. Bardzo bliskie były także moje relacje z prof. Repgenem z Bonn. Bardzo się zaprzyjaźniłem z dr. Hansem-Jürgenem Karpem z Marburga. Pochodził z Warmii i zawsze był żywo zainteresowany dziejami tych terenów i w ogóle historią Polski. Nawiązaliśmy współpracę naukową. Wygłaszałem prelekcje w Instytucie Herdera w Marburgu, a wymienieni historycy niemieccy byli także zainteresowani polskimi środowiskami akademickimi, szczególnie KUL. Wykłady prof. Repgena odbyły się w listopadzie 1989 r. Mówił on o zadaniach historii Kościoła oraz samoświadomości katolików niemieckich po 1945 r., a także na temat życia Kościoła w III Rzeszy. Konkretnie – *Katolicyzm i narodowy socjalizm – podstawowe problemy dyskusji i badań od 1945 r. do dzisiaj* oraz *Pogrom żydowski i walka z Kościołem – 1938*. W tym samym roku z trzema wykładami wystąpił w katedrze dr Hans-Jürgen Karp z Marburga. Poruszył tematy: narodowość i wyznanie w Prusach

⁸⁵ Helmut Dahm (1913–1996), historyk i archiwista niemiecki. Absolwent uniwersytetu w Marburgu. Doktorat 1939. Od 1948 archiwista w Hauptstaatsarchiv w Düsseldorfie, następnie w Archiwum Państwowym w Düsseldorfie. Redaktor czasopisma „Der Archivar”. W 1965 sędzia archiwalny i szef administracji archiwalnej państwa w Ministerstwie Kultury Nadrenii Północnej-Westfalii. Zajmował to stanowisko aż do momentu przejścia na emeryturę w 1978. Prezes Stowarzyszenia Archiwistów Niemieckich 1967–1977.

⁸⁶ Manfred Spieker (ur. 1943), socjolog, historyk, filozof niemiecki. Doktorat 1972, habilitacja 1982. Pracownik naukowy w Instytucie Naukowym ds. Nauk Politycznych i Europejskich na uniwersytecie w Kolonii 1972–1982. Od 1983 profesor chrześcijańskiej nauki społecznej na uniwersytecie w Osnabrück. Członek CDU w latach 1974–2017.

Wschodnich i Zachodnich, katolicyzm społeczny w prowincjach poznańskiej, zachodnio- i wschodniopruskiej oraz Kościół katolicki w RFN i stosunki polsko-niemieckie.

Oprócz sfery naukowej znalazłoby się także sporo momentów, kiedy miałem kontakt z Niemcami. W RFN po 1980 r. bywałem dość często nie tylko w sprawach naukowych. Od 1988 r. wyjeżdżałem także na zastępstwa, tzn. sprawowałem duszpasterstwo w parafiach niemieckich w czasie urlopowym. Na uniwersytecie jednak moje zaangażowanie w sprawy niemieckie ograniczało się do wykładów w Sekcji Germanistyki Wydziału Humanistycznego oraz oczywiście do korzystania z wykładów profesorów z Niemiec w ramach prac mojej katedry.

W jednym wypadku była to działalność o nieco odmiennym charakterze. Chodzi tu o doktorat *honoris causa* prof. Paula Mikata⁸⁷ – wielkiej miary historyka, w pewnym sensie także teologa, prezydenta Görresgesellschaft. Już w tej chwili nie pamiętam, kto wystąpił z taką inicjatywą, ale duży udział miał w tym ks. prof. Joachim Kondziela⁸⁸. Na początku 1990 r. doszło na KUL do uroczystej promocji, podczas której wygłaszałem laudację. Potem spotykałem prof. Mikata w Düsseldorfie, w dzielnicy Stockum, gdzie mieszkał, a ja niekiedy odprowadzałem mszę św. Był wzorowym katolikiem, podobno z zamiłowania teologiem, ukończył nawet studia teologiczne. Ktoś mi opowiadał, że za młodu pracował jako ślusarz i o własnych siłach zdobył wykształcenie i tak szanowane miejsce w nauce. Odnosiłem wrażenie, że może studiował teologię, by zostać kapłanem, ale jakoś inaczej mu się życie ułożyło. W obcowaniu z ludźmi, z wyjątkiem bliskich przyjaciół, był nieco zdawkowy i sztywny, ale w sumie jawił się jako sympatyczny człowiek o wielkiej kulturze. W Stockum zamieniliśmy ze sobą zaledwie kilka słów.

⁸⁷ Paul Mikat (1924–2011), prawnik niemiecki, historyk prawa i prawa kościelnego. Absolwent uniwersytetu w Bonn. Doktorat 1954, habilitacja 1956. Od 1957 profesor prawa niemieckiego na Uniwersytecie Juliusza i Maksymiliana w Würzburgu. Do 1965 dyrektor Instytutu Prawa Niemieckiego i Instytutu Historii Prawnej Kościoła. W 1965 profesor prawa cywilnego, historii prawa i prawa kanonicznego w Ruhr-Universität Bochum aż do momentu przejścia na emeryturę w 1990. W 1962–1966 minister edukacji w landzie Nadrenia Północna-Westfalia. W 1969–1987 zasiadał w Bundestagu z ramienia CDU. Prezes Towarzystwa Naukowego Görres 1967–2007. Doktor *honoris causa* KUL 1989.

⁸⁸ Joachim Kondziela (1932–1992), ksiądz diecezji częstochowskiej. Święcenia kapłańskie 1955. Absolwent UJ i KUL. Filozof i teolog. Doktorat 1966, habilitacja 1973, profesor nadzwyczajny 1987, profesor zwyczajny 1992. Wikariusz i katecheta w Bieruniu 1955–1959. Wikariusz w parafii w Mikołowie 1962–1963. Od 1963 pracownik naukowy KUL. Kierownik Katedry Etyki Społecznej i Gospodarczej od 1975 (od 1981 Katedra Katolickiej Nauki Społecznej). Od 1981 brał udział w reaktywowaniu Wydziału Nauk Społecznych. W latach 1984–1990 p.o. dziekan Wydziału Nauk Społecznych.

Nie znaleźliśmy wspólnego tematu, choć spotykaliśmy się przez wiele lat na do-
rocznych zjazdach Görresgesellschaft.

Trudne sprawy polsko-żydowskie

W ramach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce⁸⁹ (w omawianym okresie kierowanej przez prof. Kazimierza Kąkola⁹⁰) powstał projekt opracowania *Encyklopedii walki i męczeństwa Żydów polskich w latach 1939–1945*. Zostałem powołany do zespołu autorsko-redakcyjnego, jak określono grupę historyków i uczonych innych specjalności wytypowaną do realizacji projektu. Zespół liczył 22 osoby, w tym cztery osoby żydowskiego pochodzenia i dwóch duchownych (ks. Franciszek Stopniak i ja). Założenia programowe dzieła były podane w sposób bardzo ogólnikowy, ale nie było to dziwne, gdyż w październiku 1986 r. odbyła się konferencja międzynarodowa w Warszawie poświęcona temu zagadnieniu, w styczniu 1987 r. podobną sesję zorganizował Yad Vashem w Jerozolimie. Temat żydowski stał się bardzo modny. O ile w 1982 r. w Jerozolimie byłem jedynym polskim uczestnikiem konferencji, o tyle w drugiej połowie lat osiemdziesiątych już wielu historyków polskich garnęło się do tej tematyki. Spotkanie zespołu, o którym wyżej mowa, odbyte 22 kwietnia 1986 r. w gmachu Ministerstwa Sprawiedliwości w Warszawie, poświęcone było podziemiu polskiemu w aspekcie jego stosunku do zagłady Żydów w czasie okupacji niemieckiej (wtedy nazywało się to: hitlerowskiej). Było ono w pewnym sensie kameralne i w zasadzie ograniczone do badaczy krajowych.

Konferencja, przygotowywana na październik tegoż roku, skupiała historyków i inne osoby zajmujące się kwestiami żydowskimi z całego świata. Z Izraela było sporo osób mających na swoim koncie nie tylko dorobek badawczy, lecz także walor

⁸⁹ Instytucja państwowa działająca przy Ministerstwie Sprawiedliwości, zajmująca się badaniem zbrodni niemieckich popełnionych w latach 1939–1945. W okresie 1945–1949 funkcjonująca pod nazwą Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, od 1984 Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – Instytut Pamięci Narodowej (1984–1991), a następnie Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytut Pamięci Narodowej (1991–1999). Od 1999 w strukturach IPN.

⁹⁰ Kazimierz Kąkol (1920–2016), prawnik, ekonomista, polityk i publicysta. Członek PZPR od 1957. Powstaniec warszawski. Absolwent UŁ. Doktorat 1949, profesor nadzwyczajny 1975. Od 1946 pracownik naukowy UŁ, następnie zatrudniony w Instytucie Nauk Prawnych PAN i na UW. Kierownik studium dziennikarskiego 1968–1973, do 1974 dyrektor Instytutu Dziennikarstwa UW. Redaktor naczelny czasopisma „Prawo i Życie” 1957–1974. Minister kierownik Urzędu ds. Wyznań i zastępca członka KC PZPR 1971–1980. Redaktor naczelny pisma „Związkowiec” 1984–1985. Członek Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL 1983–1989. Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu 1985–1989.

świadka, ewentualnie ofiary Holokaustu, której udało się przeżyć. Atmosfera wokół sesji była podminowana. Strona polska starała się wykazać nie tylko sam fakt ratowania Żydów przez Polaków oraz cenę, jaką za to płacili, lecz także zwracała uwagę na specyfikę warunków panujących na terenach polskich, gdzie za pomoc Żydowi bezwzględnie groziła śmierć. Badacze żydowscy, a jeszcze bardziej ci, którzy przeszli przez Holokaust, podkreślali wrogość niektórych Polaków wobec Żydów i działanie na ich szkodę, tłumacząc to antysemityzmem lub po prostu szmalcownictwem. Dyskusja właściwie prowadziła donikąd, obie strony chciały udowodnić za wszelką cenę, że mają rację. Oczywiście spotykało się Żydów, którzy wskazywali na konkretne efekty aktywności polskiej na rzecz Żydów i na to, że powinno się na właściwym miejscu usytuować niegodne zachowanie marginesu społecznego. Niewiele to jednak dawało, bo nawet mniej radykalni uczestnicy żydowscy w końcu uznali za niewłaściwe podkreślanie pomocy polskiej dla Żydów.

Spotkanie warszawskie, podobnie jak następnie jerozolimskie, miało na celu m.in. doprowadzenie do konsensusu polsko-żydowskiego w sprawie planowanej *Encyklopedii walki i męczeństwa Żydów polskich w latach 1939–1945*. Projekt opracował prof. Krzysztof Dunin-Wąsowicz, który sporządził dość schematyczny opis przewidywanego materiału. Sporo miejsca natomiast poświęcił propozycji sformułowanych przez siebie haseł. Projekt został poddany ocenie Okręgowych Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce i wywołał ostrą i w pewnych punktach zgodną krytykę. Kwestionowano zwłaszcza niejasne postawienie sprawy terytorialnego zasięgu *Encyklopedii*. Projekt był pod tym względem niekonsekwentny, preferował hasła związane z Warszawą, jeśli chodzi zaś o tereny wschodniej Polski, to sprawę traktował wybiórczo. Moje uwagi skupiały się bardziej na sformułowaniu samych haseł, moim zdaniem, często zbyt szerokich, np. hasło „kler katolicki”, lub też jednostronnie ujmujących problematykę, np. koncentrowanie się na stosunku Polaków do Żydów bez poruszenia stanowiska tych ostatnich wobec Polaków.

Z okazji konferencji w Warszawie poświęconej losom Żydów w okupowanej Polsce, a może nawet w Europie, poznałem Małgorzatę Marię Asher z domu Frydman-Mirską. Wówczas mieszkała ona w Paryżu, ale pochodziła z Warszawy. Jej cała rodzina została uratowana w czasie wojny, głównie za sprawą siostr Rodziny Maryi. Po moim referacie na temat roli zakonów w ratowaniu Żydów w Polsce, komentowanym przez jednych z uznaniem, przez innych z pretensją, że zbyt wiele zasług przypisałem polskim zakonnikom, podeszła do mnie bardzo miła pani i zaprosiła mnie na kawę. Oczywiście także zaproponowałem jej chwilkę przy kawiarnianym

stoliku, ale ona powołała się na pierwszeństwo pomysłu, czemu musiałem ulec. Opowiedziała mi swoje dzieje, ale w jej opowiadaniu było coś, czego na ogół nie słyszało się z ust polskich Żydów. Czułem, że ta osoba – od lat żyjąca za granicą, właściwie niemająca z Polską już żadnych powiązań – potrafi myśleć po polsku.

Tylko jeden raz, poza opisywanym tu przypadkiem, przeżyłem coś podobnego. To było w taksówce *sherut* z lotniska im. Bena Guriona do Jerozolimy. Wtedy była to mieszkanka Nowego Jorku, a przed wojną Krakowa, Żydówka mówiąca po tylu dziesiątkach lat piękną polszczyzną i myśląca po polsku.

Pani Asher należała do tych Żydów, którzy w Polsce przedwojennej, jeśli się do końca nie zasymilowali, to stanowiło to winę otoczenia. Rozmowa z nią była miłym odprężeniem po męczącej atmosferze sympozjum. Powiedziała mi rzecz, która mnie wtedy bardzo zainteresowała i w pewnym sensie zadecydowała o naszych późniejszych kontaktach, a mianowicie to, że ma spisane po francusku wspomnienia w formie rozmowy z pewnym dominikaninem. Obiecała mi je przesłać, co też uczyniła. Po przetłumaczeniu na język polski i przeróbce tekstu z dialogu na tekst zwarty postarałem się o wydanie tego pamiętnika pod tytułem *Niewłaściwa twarz. Wspomnienia ocalałej z warszawskiego getta* (Częstochowa 2001).

Niestety później pani Asher mocno zmieniła swoje zdanie na temat relacji polsko-żydowskich w czasie okupacji, o czym świadczy jej wypowiedź w którymś programie TVP, zasłyszana przeze mnie. Było to najwidoczniej w związku z jedną z książek Jana Tomasza Grossa.

Zarówno moje uczestnictwo w konferencji w Jerozolimie w 1982 r., jak i niektóre referaty wygłoszone przez prelegentów z Izraela w Warszawie w 1987 r. wzbudziły moje obawy, że partner żydowski będzie dążyć do takiego formułowania tekstów przeznaczonych do *Encyklopedii*, które jednoznacznie oskarżać będą Polaków o współudział w eksterminacji Żydów. Nie mniej zastrzeżeń budziły propozycje metodologiczno-heurystyczne, zwłaszcza wyłożone w referacie dr. Shmuela Krakowskiego. Preferowanie przez niego pewnej kategorii źródeł przy jednoczesnym niezauważaniu innych stawiało pod znakiem zapytania wynikłe stąd konkluzje. W swoim piśmie do prof. Kąkole pisałem:

Charakterystycznym momentem, na który szczególnie warto zwrócić uwagę, jest stałe przemilczanie lub pomniejszanie zachowań Żydów wobec Polaków w sytuacjach poruszanych przez autora (Krakowskiego), a podkreślanie zbrodniczości postaw wielkiej liczby Polaków wraz z sugerowaniem

odpowiedniej motywacji tychże postaw. Jest to stała metoda stosowana przez większość historyków izraelskich. Z kolei wielu polskich partnerów poprzestaje na próbie wyjaśnienia owych zjawisk działaniem elementów przestępczych w społeczeństwie polskim. Tymczasem warto się bliżej przyjrzeć wartości ustaleń historiografii żydowskiej podporządkowanych z góry przyjętym założeniom. Najmniejsza próba ich podważenia ze strony polskiej rodzi zawsze nieproporcjonalnie energiczną kontrakcję, przy czym z reguły unika się rzeczowej dyskusji.

W trakcie kolejnej dyskusji na temat projektu Dunin-Wąsowicza w październiku 1986 r. padły słowa:

– Edycję naszej *Encyklopedii* należy przygotowywać, mając świadomość, że wyprzedzi ją w czasie przygotowywana obecnie *Encyclopedia of the Holocaust*... Nasza *Encyklopedia* winna mieć własny żywot, niezależny od tamtej. Może stanowić na forum międzynarodowym jej pierwsze uzupełnienie, będzie szczegółowo podejmować sprawy polskie.

Dalsze wypowiedzi odnotowane w podsumowaniu dyskusji bardzo słusznie podkreślały konieczność ukazania szerokiego spektrum sytuacji Żydów w Polsce w różnych okresach historycznych i w powiązaniu z losami narodu i kraju.

Kwestia opracowania *Encyklopedii walki i męczeństwa Żydów polskich w latach 1939–1945* od samego początku napotykała trudności. Przede wszystkim problemem były finanse. Tego tematu nigdy taktownie nie poruszano. Naszym wydawcą był PWN, za równoległe prowadzonymi pracami nad encyklopedią Holocaustu pod patronatem Yad Vashem stały natomiast dwa potężne wydawnictwa: Macmillan z Nowego Jorku i Sifriat Poalim z Tel-Awivu. To przeważało. Izraelowi zależało na tym, aby jego encyklopedia była jedyną opiniotwórczą siłą w skali światowej na temat Holocaustu. Poza tym – mimo pozornej ruchliwości niektórych osób i samej Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich – trudno było dostrzec zapał dla omawianej tu sprawy, choć nie brakowało autorów, którzy mogli z powodzeniem pisać hasła, czerpiąc ze swego dorobku. Nawiasem mówiąc, taka encyklopedia w polskim wydaniu była sprawą niezmiernie ważną. Propozycja współpracy skierowana do Głównej Komisji przez wydawców *Encyclopedia of the Holocaust* na początku 1987 r. nie była wyłącznie gestem formalnym. Wiedzano bowiem doskonale, że projekt polski nie zostanie zrealizowany, a chciano skorzystać ze współpracy z kompetentnymi autorami, rozumiejącymi izraelską rację stanu.

Człowiekiem, z którym przez długi czas utrzymywałem kontakt (a nawiązałem go w czasie pobytu w Jerozolimie w 1982 r.) był Janusz (Joram) Simoni. Pracował jako nauczyciel historii, bodajże w Tel Awiwie, mieszkał na osiedlu pod miastem. Wspominam o nim w innym miejscu. Jako młody chłopak zdołał ocalić życie w getcie częstochowskim. Opowiadał mi swoją niezwykle fascynującą historię. Stale ocierał się o śmierć. O stosunku Polaków do Żydów mówił bez emocji. Byli tacy, którzy Żydowi nie podali ręki, a może nawet wydali go Niemcom, chyba jednak większość, jeśli nie mogła pomóc, to nie szkodziła. Sam mi kiedyś wyznał, że gdyby się znalazł się w sytuacji Polaka, którego Żyd prosi o pomoc, nie wie, co by uczynił. Zdecydowanie się na udzielenie pomocy mogło być wyrokiem śmierci nie tylko dla udzielającego jej, lecz także dla jego bliskich. Nie mógł się pogodzić z tym, że tak wielu Żydów zupełnie zapomniało o dobrodziejstwach doznanych od Polaków. Podkreślał zwłaszcza pomoc ze strony ludzi Kościoła.

– Ksiądz czy zakonnica – mówił – mogli bać się udzielić schronienia lub innej pomocy, ale nigdy nie wydaliby Żyda. Najczęściej to właśnie w kościołach i klasztorach uzyskiwało się pomoc doraźną, jedzenie, odzież i wskazówki, gdzie można przez jakiś czas przetrwać.

Pan Simoni, wysłuchawszy mojego referatu w Jerozolimie, gorąco namawiał, żebym podjął z nim współpracę nad monografią przedstawiającą pomoc Kościoła dla Żydów w okupowanej Polsce. Chciał nawet w tej tematyce się doktoryzować. Nie wiem, co się z nim stało, podczas ostatniej bytności w Polsce otrzymał nagłe wezwanie do powrotu i kontakt z nim się urwał. W lutym 1991 r. uczestniczył w sympozjum na KUL poświęconym tematyce „Żydzi–Polacy. Przeszłość–Terazienszość”. Temat jego referatu nie miał nic wspólnego z Holokaustem i brzmiał: *Rzut oka na problematykę źródeł kultury Żydów polskich w Izraelu*. Ten bardzo ciekawy referat, łączący w sobie doświadczenia autora z jego wiedzą na temat historii Żydów polskich, został później po pewnych przeróbkach opublikowany, zdaje się w „Chrześcijaninie w Świecie”⁹¹.

Tej sesji należy poświęcić nieco więcej uwagi. W zamiarze organizatorów spotkania, do których grona także należałem, była to impreza ogólnouniwersytecka, a nie partykularna Instytutu Historii Kościoła. Chodziło nam o zapewnienie równowagi w prezentowaniu poglądów między stroną polską i żydowską, wśród 13 prelegentów było zatem 6 Żydów. Trzeba jednak zaznaczyć, że dr Alina

⁹¹ Czasopismo katolickie wydawane przez ODiSS 1969–1997.

Cała⁹² przewyższała wszystkich prelegentów żydowskich zaangażowaniem po stronie żydowskiej, a dwa referaty (ks. Ryszarda Rubinkiewicza⁹³ i ks. Czesława Bartnika) miały charakter wybitnie teologiczny. Jeśli doda się do tego dwa wystąpienia neutralne, jedno poświęcone malarstwu żydowskiemu (Renaty Piątkowskiej⁹⁴) i Krakowowi jako miejscu spotkań polsko-żydowskich (Henryka Halkowskiego⁹⁵), to zaledwie 5 referatów mogło stanowić inspirację do dyskusji, momentami kontrowersyjnej. Było pośród nich moje wystąpienie, które wzbudziło najwięcej emocji. Postanowiłem zająć się obrazem Polski i Polaków w oczach Żydów amerykańskich i taki referat wygłosiłem.

Już w czasie mojej prelekcji w auli, gdzie odbywała się sesja, panował wyczuwalny niepokój. Przypuszczam, że niektóre osoby usiłowały inspirować spodziewaną dyskusję. Po wystąpieniu zamieniłem kilka słów z ks. Waldemarem Chrostowskim⁹⁶, który z troską oznajmił, że moje wystąpienie nie było na czasie albo powinno być inaczej ujęte, Żydzi bowiem uznają je za wymierzony w nich atak. Nie zgadzałem się z tym twierdzeniem. Po opublikowaniu artykułu w „Więzi”⁹⁷

⁹² Alina Cała (ur. 1953), historyk i działaczka feministyczna. Zajmuje się historią stosunków polsko-żydowskich w XX w. Absolwentka UW. Doktorat 1984. Pracownik naukowy Żydowskiego Instytutu Historycznego od 1985.

⁹³ Ryszard Rubinkiewicz SDB (1939–2011), do zgromadzenia wstąpił w 1956. Świecenia kapłańskie 1965. Absolwent KUL. Biblista, teolog. Doktorat z teologii biblijnej 1970, doktorat z nauk biblijnych w Papieskim Instytucie Biblijnym 1972, habilitacja 1981, profesor zwyczajny 1991. Profesor w WSD salezjanów w Krakowie. Od 1977 pracownik naukowy KUL, kierownik Instytutu Nauk Biblijnych KUL, kierownik Katedry Literatury Międzytestamentalnej i Nauk Pomocniczych Bibliistyki KUL. Autor ponad 120 publikacji naukowych.

⁹⁴ Renata Piątkowska (ur. 1958), historyk sztuki, pracownik naukowy muzeum Polin w Warszawie, główny kurator zbiorów.

⁹⁵ Henryk Halkowski (1951–2009), historyk, dziennikarz, publicysta i tłumacz. Znałca dziejów chałasydyzmu. Absolwent Politechniki Krakowskiej i UJ. Sekretarz krakowskiego oddziału Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce 1986–1996.

⁹⁶ Waldemar Chrostowski (ur. 1951), ksiądz archidiecezji warszawskiej. Świecenia kapłańskie 1976. Teolog, biblista. Absolwent ATK i Papieskiego Instytutu Biblijnego w Rzymie. Wikariusz w parafii w Ząbkach 1976–1978. Następnie 1983–1988 wikariusz w kilku kolejnych parafiach podwarszawskich. Doktorat 1983, habilitacja 1996, profesor nadzwyczajny 1998, profesor zwyczajny od 2003. Wykładowca ATK od 1987. Prorektor UKSW 1999–2002. Równoległe wykładowca UMK w Toruniu od 2001. Od 1986 uczestnik posiedzeń podkomisji, a następnie Komisji KEP ds. Dialogu z Judaizmem (jej wiceprzewodniczący w latach 1994–1996). W okresie 1990–2000 członek Międzynarodowej Rady Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau. W 1991 jeden z założycieli Polskiej Rady Chrześcijań i Żydów, której współprzewodniczył do 1998. Za działalność w radzie otrzymał w 1997 Nagrodę im. Brata Alberta (razem ze Stanisławem Krajewskim). Ustąpił z funkcji z powodu różnic dzielących go z innymi członkami rady w kwestii krzyża papieskiego postawionego w Oświęcimiu w miejscu mszy św. odprawionej w 1979 przez Jana Pawła II. W 1994 kierownik Instytutu Dialogu Katolicko-Judaistycznego, w ramach którego od 1996 wydaje półrocznik „Maqom”. Autor ponad 2 tys. publikacji.

⁹⁷ Z. Zieliński, *Spisek żydowski?*, „Więź” 1991, nr 11/12, s. 284.

i wywołanej tym faktem polemice prasowej doszedłem do wniosku, zwłaszcza pod wpływem uwag Michała Horoszewicza⁹⁸, iż pojęcie „Żydzi amerykańscy” użyte w moim wystąpieniu było zbyt uogólnieniem i mogło być dezorientujące. Dyskusja po referacie także poszła w tym kierunku, choć nie brakowało głosów w ogóle kwestionujących zasadność moich uwag o stosunku Żydów amerykańskich do Polski i Polaków. Celowała w tym wspomniana pani Cała, która do tego stopnia dała się ponieść emocjom, że spytałem jednego z żydowskich uczestników o jej pochodzenie. Odpowiedział dowcipnie, że nie jest ona Żydówką, co zresztą łatwo można było spostrzec, lecz jest bardziej katolicka niż sam papież – jeśli użyć tu tego porzekadła i przenieść je na jej stosunek do spraw żydowskich. Z perspektywy czasu mogę napisać, że nie wszyscy Żydzi w USA myśleli tak, jak to ukazywały cytowane przeze mnie artykuły w mediach amerykańskich. Nie można jednak kwestionować autentyczności tych wypowiedzi. Innymi słowy, to, co pisałem, odpowiadało prawdzie, natomiast nie odnosiło się do wszystkich Żydów w USA. Trudno powiedzieć, do jakiej ich liczby, ale z pewnością opisywane przeze mnie publikacje żydowskie o Polakach i sprawach polskich skutecznie wpływały na opinię publiczną. Moja wypowiedź zatem nie była tak nieprawdziwa, jak starali się to przedstawić jej krytycy.

Jeden z referatów wygłosiła Dora Kacnelson z Drohobycza, emerytowana profesor literatury, wspomniała znawczyni Mickiewicza, a nadto osoba niezwykle interesująca. Od tego czasu datowała się też moja z nią znajomość. (Zmarła w 2003 r. w Berlinie). Mówiła wtedy o martyrologii Żydów, zwłaszcza inteligencji żydowskiej, w Leningradzie w okresie stalinizmu. Dora Kacnelson opowiedziała mi pewną dotyczącą mnie historijkę. Kiedyś w Warszawie w środowisku żydowskim wspomniała moje nazwisko. Na to ktoś się odezwał – a było to już po wspomnianym sympozjum i po artykule w „Więzi” – że nie powinna mieć kontaktów z takim antysemitą. Jako Żydówka powinna takich ludzi unikać. Ona na to odpowiedziała:

– Zaraz poznałam, że jest antysemitą, bo gdy byłam bez grosza, dał mi 50 dolarów i postarał się o różne bardzo potrzebne rzeczy dla mnie i dla mojego męża.

⁹⁸ Michał Horoszewicz (1922–2012), inżynier technolog, dziennikarz i publicysta. W czasie drugiej wojny żołnierz AK i uczestnik powstania warszawskiego. Pracownik SGGW 1949–1958 i Instytutu Przemysłu Mleczarskiego 1958–1960. Dziennikarz w pismach: „Głos Polaka” – pierwsza połowa 1946, „Głos Wolnych” 1948–1951, „Argumenty” 1957–1981, „Człowiek i Światopogląd” 1975–1989. Publicysta w czasopiśmie: „Res Humana”, „Więź”, „Przegląd Religioznawczy”, „Maqom”, „Collectanea Theologica”. Rzecznik dialogu polsko-żydowskiego.

Było to w czasie, kiedy dopiero zaczęłam poznawać ludzi w Polsce. Wielu mnie później wspierało. Oni wszyscy, a szczególnie ks. Zieliński, muszą być antysemitami, bo tak dziwnie się wobec mnie zachowują. Nie tak jak nasi bracia z gminy żydowskiej, którzy widząc moją biedę, nie ruszyli palcem, by mi pomóc. A więc tak wygląda antysemityzm!?

Kiedy pokazywałem jej później polemiki z moim artykułem *Polska w oczach Żydów amerykańskich*, zwłaszcza przepełnione nienawiścią wypowiedzi ks. Michała Czajkowskiego⁹⁹, pokiwała głową i zapytała, czy oparłem swe spostrzeżenia wyłącznie na materiale prasowym, czy też może górę wziął mój komentarz. Dałem jej teksty, bo cóż innego mogłem zrobić? Gdy innym razem była w Lublinie, zaprosiła mnie do Hotelu Asystenckiego UMCS, w którym się zatrzymała. Kommentując moje wywody, zachęcała do dalszych badań na temat stosunku Żydów do Polaków na bazie informacji medialnych. Zdecydowanie odmówiłem. Była rozczarowana, bo jej zdaniem ze stereotypem antysemityzmu stosowanym przez Żydów i tzw. szabesgojów wobec każdego, kto powie coś, co się Żydom nie podoba, nie można się pogodzić. Trzeba na każdym kroku wykazywać jego bezsens i obłudę.

Wspominałem już poprzednio o gromach rzucanych na mnie przez osoby zainteresowane antypolskim ukierunkowaniem dialogu polsko-żydowskiego, ale to, co pisał ks. Czajkowski, jeden z najbardziej wydajnych szpicli komunistycznych, odkrywa zaplecze moralne jeśli nie samego dialogu, to z pewnością niejednego z jego uczestników. Te zdarzenia sprawiły, że tematyka polsko-żydowska stała mi się całkowicie obca.

Do pani Kacnelson starały się mnie zniechęcić osoby, których motywów działania do dziś są dla mnie niezrozumiałe. Podważano zwłaszcza jej szczerość. Sądzę, że znałem ją dość dobrze. Nigdy się to nie potwierdziło. Znałem kilku Żydów i mogę śmiało powiedzieć, że żywię do nich szacunek właśnie z tej racji, że byli zawsze w każdym calu Żydami, nie ukrywali tego i gotowi byli mówić o tym, co dobre i co złe w ich nacji. Do nich bez wątpienia należała Dora Kacnelson.

⁹⁹ Michał Czajkowski (ur. 1934), ksiądz archidiecezji wrocławskiej. Święcenia kapłańskie 1958. Absolwent KUL. Teolog, biblista. Profesor nauk teologicznych od 1995. Wikariusz i katecheta w parafii w Oleśnicy 1958–1959. Wykładowca WSD i rektor kościoła św. Marcina we Wrocławiu 1967–1972. Proboszcz parafii w Zgorzelcu 1972–1976. Wykładowca i kierownik Katedry Teologii Ekumenicznej ATK, a następnie UKSW 1976–2003. Kierownik Katedry Egzegezy i Teologii Biblijnej Starego Testamentu na Uniwersytecie Szczecińskim 2003–2006. Członek Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej

Moim zdaniem Polacy przegrali batalię o sprawiedliwy osąd ich postawy wobec Żydów w czasie okupacji, a także wcześniej, zwłaszcza w okresie międzywojennym. Zajmowałem się tą ostatnią sprawą i napisałem obszerny artykuł na ten temat opublikowany w „Dziejach Najnowszych”. Nie znalazł on odzewu, bo jak mi powiedział pewien mój żydowski rozmówca, są w nim niepodważalne pewniki, które ukazują obie strony medalu. A więc nie tylko stanowisko wobec Żydów, w tym także skrajnie im niechętnie pewnej liczby Polaków, lecz także Żydów wobec rzeczywistości polskiej. Jeśli ktoś próbuje w ten sposób naświetlać sprawę, u wielu Żydów jest na pozycji przegranej – punktem wyjścia, który oni przyjmują i przy którym twardo trwają, jest patrzenie tylko z jednej strony, z ich własnej. Polacy poza tym chcą uchodzić – oczywiście nie wszyscy – za osoby, które za wszelką cenę pragną uniknąć etykiety antysemityzmu i przeważnie nie pytają, czym ten ostatni właściwie jest w rozumieniu tych, którzy o niego oskarżają innych. Dlatego nawet w środkach masowego przekazu prezentuje się takiego pana Grossa, którego publikacje budzą tak wiele zastrzeżeń. Renomowane uczelnie i rozgłośnie honorują mało wartościowego pisarza i jego dzieło i dają tym samym prawo do mniemania, iż Polacy muszą mieć coś za uszami, skoro na własnym podwórku pozwalają się bezkarnie opluwać. Innymi słowy – nasza odwieczna lekkomyślna skłonność do samobiczowania. O tyle bardziej skora, o ile kryje się za nią nadzieja na takie czy inne korzyści. Smutne to, ale prawdziwe, a szacunku w świecie nam nie przysporzy.

Jeszcze gorsze jest to, że niemało Polaków węższy w tym korzystny dla siebie interes i wykazuje o wiele większe niż Żydzi zaangażowanie w polowaniu na polski antysemityzm. Nawet u rozsądnych Żydów budzi to niesmak i zażenowanie, gdyż są oni świadomi, że atmosfera stwarzana przez takich „sprzymierzeńców” szkodzi sprawie żydowskiej, ukazuje raczej głupotę takich osób i bezpodstawne nieustanne podgrzewanie syndromu antysemickiego. Bez ich działania w tym kierunku nikt by o antysemityzmie w Polsce dziś nie mówił. Młodszy nawet dokładnie nie wiedzą, co to jest. W umyśle współczesnego człowieka – przy założeniu, że nie jest on nawiedzony – rasa i kolor skóry, a także wiele innych atrybutów przynależnych człowiekowi, a związanych z jego rodowodem – to żadne

2000–2006. W latach 1960–1984 TW o ps. „Jankowski”, donoszący m.in. na kard. Bolesława Kominka, ks. Jerzego Popiełuszkę, Jacka Kuronia czy Jana Józefa Lipskiego.

kryteria jego oceny. Nie można całego narodu naznaczać piętnem prymitywizmu i głupoty, jakim hołdują jedynie pewne grupy i środowiska, które nie mogą być reprezentatywne.

Po ukazaniu się w 2009 r. książki Krzysztofa Jasiewicza¹⁰⁰ *Rzeczywistość sowiecka (1939–1941) w świadectwach polskich Żydów*¹⁰¹, jeden z jej recenzentów (Adam Leszczyński¹⁰²) tak rozpoczyna jej omówienie:

Prof[esor] Krzysztof Jasiewicz, znany specjalista od historii Kresów w czasie II wojny światowej, wydał książkę przygnębiającą i przykrą.

Na ponad trzech stronach wydruku recenzent streszcza książkę, wyraźnie zmierzając do następującej konkluzji:

Takie nagromadzenie antysemickich klisz zapakowanych w pseudonaukową oprawę – bo, niestety, inaczej tego nazwać nie można – jest tym bardziej przygnębiające, że w poprzednich książkach Jasiewicza go nie było. Szkoda, że autor nie pisze, jakie nowe odkrycia archiwalne przywiodły do tak radykalnej zmiany zdania [...]. Uważam, że książki nie powinny się dzielić na antysemickie i filosemickie, lecz dobre i złe. Postawmy kropkę nad i: to książka zła. Nie ze względu na temat, ale na niegodną uczonego metodę.

Profesor Jasiewicz nie musiał się tłumaczyć z postawionego mu zarzutu „pseudonaukowości”, wystarczy bowiem wziąć jego książkę do ręki, żeby się przekonać, jaki rodzaj fachowości recenzenta stoi za takim twierdzeniem. Również uczciwość wymagałaby wyjaśnienia, co recenzent miał na myśli, pisząc o „niegodnej uczonego metodzie”. Wydaje się, że pismo, które zamieściło recenzję, ma na składzie tylko ten rodzaj polemiki i argumentacji.

¹⁰⁰ Krzysztof Jasiewicz (ur. 1952), historyk, politolog, ekonomista. Absolwent Akademii Ekonomicznej w Krakowie (obecnie Uniwersytet Ekonomiczny). Habilitacja 1998, profesor zwyczajny 2005. Badacz historii Ziemi Wschodnich RP pod okupacją sowiecką, w tym losów ziemiaństwa polskiego, sowieckich warstw przywódczych, historii Żydów na Ziemiach Wschodnich, a także stosunków polsko-żydowskich. Kierownik Zakładu Analiz Problemów Wschodnich ISP PAN do 2013.

¹⁰¹ K. Jasiewicz, *Rzeczywistość sowiecka 1939–1941 w świadectwach polskich Żydów*, Warszawa 2009.

¹⁰² Adam Leszczyński (ur. 1975), historyk, dziennikarz i publicysta. Absolwent UW. Doktorat 2006, habilitacja 2017. Związany z „Gazetą Wyborczą” od 1993. Członek zespołu „Krytyki Politycznej”. Współzałożyciel portalu „Oko.press”.

Z pewnością omawiana tu książka różni się od wydanej w 2001 r. monografii Jasiewicza *Pierwsi po diable. Elity sowieckie w okupowanej Polsce 1939–1941 (Białostocczyzna, Nowogródzczyzna, Polesie, Wileńszczyzna)*. Profesor Jasiewicz ma na swoim koncie znacznie więcej prac poświęconych tematyce kresowej i wojennej. Co więcej, są to prace cenione przez stronę żydowską. Nagle jednak został on zaliczony do grona najbardziej napiętnowanych antysemityzmem autorów.

Joanna B. Michlic¹⁰³ z Lehigh University w Bethlehem, w Pensylwanii zamieściła w „Jewish Social Studies” (2007, nr 3) artykuł charakteryzujący „dwa przeciwstawne sobie trendy pojawiające się w polskiej historiografii postkomunistycznej w odniesieniu do stereotypu prokomunistycznych i prosowieckich a antypolskich Żydów. [W artykule autorka – Z.Z.] śledzi pochodzenie owego stereotypu i jego rozwój w polskiej myśli politycznej w okresie międzywojennym i jego trwanie w czasie II wojny światowej. W centrum tej analizy jest zastosowanie owego stereotypu w dyskusji na temat masakry w Jedwabnem 10 lipca 1941 r. przez czterech (etnicznych) nacjonalistycznych historyków: Marka Chodakiewicza¹⁰⁴, Bogdana Musiała¹⁰⁵, Tomasza Strzembosza¹⁰⁶ i Marka Wierzbickiego¹⁰⁷. Artykuł obraca się także wokół prób wyzwań wobec tego

¹⁰³ Joanna B. Michlic (ur. 1940), historyk amerykańska, badaczka relacji polsko-żydowskich. Absolwentka University of London. Wykładowca i profesor Lehigh University.

¹⁰⁴ Marek Jan Chodakiewicz (ur. 1962), historyk amerykański pochodzenia polskiego. Absolwent Uniwersytetu Columbia. Doktorat 2001. Pracownik naukowy Uniwersytetu Wirginii 2001–2003. Profesor w The Institute of World Politics w Waszyngtonie. W kwietniu 2005 powołany przez prezydenta George’a W. Busha do amerykańskiej Rady Pamięci Holokaustu, od 2008 kierownik Katedry Studiów Polskich im. Tadeusza Kościuszki. Od 2018 członek rady przy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Autor wielu prac z zakresu historii Europy Środkowo-Wschodniej, relacji polsko-żydowskich i Holokaustu.

¹⁰⁵ Bogdan Musiał (ur. 1960), historyk. Od 1985 w RFN, gdzie uzyskał azyl polityczny. Absolwent uniwersytetu w Hanowerze. Doktorat 1998, habilitacja 2005. Pracownik Niemieckiego Instytutu Historycznego w Warszawie 1999–2004. Pracownik naukowy IPN 2007–2010. Kierownik Katedry Studiów nad Europą Wschodnią UKSW 2010–2015. Od 2018 członek rady przy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku.

¹⁰⁶ Tomasz Strzembosz (1930–2004), historyk. Absolwent UW. Doktorat 1972, habilitacja 1982, profesor zwyczajny 1991. Pracownik Wojewódzkiego Archiwum Zakładowego w Warszawie od 1952, następnie w Archiwum Głównych Akt Dawnych, skąd został usunięty w 1953 po interwencji Koła ZMP. Pracownik Działu Oświatowego Muzeum Warszawy 1954–1966. Pracownik naukowy IH PAN od 1966, od 1982 pracownik KUL. Równolegle od 1992 pracownik ISP PAN, kierownik Samodzielnej Pracowni Dziejów Ziemi Wschodnich II RP.

¹⁰⁷ Marek Wierzbicki (ur. 1964), historyk. Absolwent KUL. Doktorat 1997, habilitacja 2006, profesor zwyczajny od 2016. Wicedyrektor liceum ogólnokształcącego w Pionkach 1990–1991. Radny miejski w Pionkach 1990–1994. Pracownik ISP PAN od 1991. Profesor KUL od 2009 i kierownik Katedry Historii Współczesnej i Ruchów Społecznych. Od 2007 pracownik naukowy Delegatury IPN w Radomiu. Autor wielu prac z zakresu historii najnowszej Polski.

stereotypu we współczesnej historiografii, podejmowanych przez Jana T. Grossa, Krzysztofa Jasiewicza, Dariusza Libionkę¹⁰⁸ i Andrzeja Żbikowskiego¹⁰⁹.

W 2007 r. zatem autorka umieszcza obok Grossa i Dariusza Libionki także prof. Jasiewicza. Nic dziwnego, że sięgnięcie przez tego ostatniego po nowe źródła i kreślony na ich bazie nie inny niż dotąd obraz społeczności żydowskiej na wschodnich kresach Rzeczypospolitej okupowanych przez Sowietów wywołały szok. Jak się okazuje, nie tyle z powodu treści tego obrazu, ile z racji zmiany stanowiska prof. Jasiewicza. Prosowieckie nastawienie znacznej części tamtejszych Żydów od dawna nie było tajemnicą. Dość poczytać nieco pamiętników z tego okresu, żeby się przekonać, że bywali Żydzi, zwłaszcza komuniści, którzy jako funkcjonariusze sowieccy dali się Polakom dobrze we znaki. We wspomnieniach nie brak i takich, którzy pomagali, chociaż uczestniczyli we władzach okupacyjnych. Tak więc Jasiewicz podbudował źródłami pewną istniejącą już wiedzę. W istocie książka jego źródłowo wzmocniła też – z pewnością wbrew intencjom autora – tezę o przyczynach antyżydowskich wystąpień ludności polskiej na tych terenach po zajęciu ich przez Niemców. To by stawiało kropkę nad i w sprawie Jedwabnego. Oczywiście jest tu raczej pozorna, nie udało się bowiem skojarzyć wystąpień antyżydowskich Polaków z działalnością antypolską Żydów pod okupacją sowiecką.

Anthony Polonsky¹¹⁰, z którym blisko współpracuje cytowana tu Joanna B. Michlic, stara się przede wszystkim usprawiedliwić zachowanie części Żydów w czasie okupacji sowieckiej, podkreślając, iż bardzo szybko pozbyli się oni sympatii

¹⁰⁸ Dariusz Libionka (ur. 1963), historyk i politolog. Absolwent KUL. Doktorat 1998, habilitacja 2013. Obecnie profesor IFiS PAN i kierownik działu naukowego w Państwowym Muzeum na Majdanku. Specjalizuje się w historii stosunków polsko-żydowskich.

¹⁰⁹ Andrzej Żbikowski (ur. 1953), historyk. Absolwent UW. Doktorat 1993, habilitacja 2006, profesor zwyczajny 2013. Pracownik naukowy ŻIH od 1985, wicedyrektor ds. nauki, edukacji i publikacji 2007–2008. Wykładał w Akademii Humanistycznej w Puławach. Pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN. Członek Centrum Badań nad Zagładą Żydów.

¹¹⁰ Anthony Polonsky (ur. 1940), historyk, specjalista w zakresie relacji polsko-żydowskich. Studiował historię i nauki polityczne na University of the Witwatersrand. W 1961 wyjechał do Wielkiej Brytanii na stypendium Rhodesa do Worcester College i St Antony's College. W 1970 został mianowany wykładowcą historii London School of Economics and Political Science. W latach następnych uzyskał w Oksfordzie doktorat z historii nowożytnej, a następnie został zatrudniony w London School of Economics and Political Science. W latach 1992–1999 pracował na Brandeis University w Waltham/Boston w Massachusetts w Stanach Zjednoczonych. W 1989 otrzymał tytuł profesora. W 1992 mianowany visiting professor w East European Jewish History at Brandeis University w Waltham. Tam pracował w latach 1993–1998. Był założycielem, a obecnie jest wiceprezesem Institute for Polish-Jewish Studies w Oksfordzie i American Association for Polish-Jewish Studies w Cambridge oraz członkiem Międzynarodowej Rady Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau.

dla nowej władzy. Zupełnie ignoruje on fakt, że Żydzi jako obywatele polscy wiatający okupantów jako wyzwolicieli dopuścili się zdrady stanu. Zarzuca się to nie tylko im, lecz także obywatelom polskim narodowości niemieckiej, którzy poszli na współpracę z okupantem.

W ujmowaniu rzeczywistości lat 1939–1941, w której uczestniczyli Polacy, Żydzi, Litwini, Białorusini, żeby wymienić tylko te nacje, nie można posługiwać się terminologią publicysty „Gazety Wyborczej”: dobra książka, zła książka. Terminologia taka nie odnosi się do książki, ale do rzeczywistości, którą ona opisuje. Z cytowanych na jej temat wypowiedzi – nawet prof. Polonsky’ego, którego w tej materii żadną miarą nie można pomówić o dyletantyzm – zdaje się wynikać, iż celowo bądź wskutek zbyt pobieżnej lektury nie uchwycono jej istotnej treści. Wydaje się, iż dlatego właśnie w 2010 r. ukazały się w „Rzeczpospolitej” dwa obszernie artykuły pozbawione interpretacji, a skupiające się wyłącznie na niekwestionowanych faktach (Piotr Zychowicz¹¹¹, *Bramy triumfalne dla Sowietów*, 17 I 2010; Krzysztof Jasiewicz, *Opór przed rzeczywistością*, 24 I 2010). Wspomniana odpowiedź na nie Polonsky’ego świadczy tylko o jego niechęci do głębszego wchodzenia w rozważany problem. W wywiadzie dla „Rzeczpospolitej”, jaki z Krzysztofem Jasiewiczem przeprowadził Piotr Zychowicz, autor omawianej tu książki kwestionuje główną tezę Polonsky’ego, że Żydzi witali entuzjastycznie Sowietów, gdyż alternatywą było wkroczenie Niemców.

Bezsens dyskusji toczonej wokół książki legitymującej się źródłami o dużej wadze dowodowej – temu przecież nie może zaprzeczyć nawet najbardziej do tego skłonny, ale szanujący autorytet faktu, polemista – a nie jakąś wolną w poglądach autora najbardziej uwidocznią artykuł Anny Pawlikowskiej¹¹² *Antysemityzm? Strach pomyśleć...* („Rzeczpospolita”, 12 II 2010). Warto zaznaczyć, że autorka jest ze środowiska „Znaku”. Z jej wywodów wynika, że prof. Jasiewicz, odżegnując się od antysemityzmu, „wygłasza zgoła antysemitckie poglądy”. Autorka z góry zakłada, że czytelnik jego książki czuje się zagubiony, skonsternowany i że ona pomoże mu się z tego stanu wydobyć. Według niej wszystko sprowadza się do tego, że prof. Jasiewicz nie lubi Żydów, a jednocześnie nie czuje

¹¹¹ Piotr Zychowicz (ur. 1980), publicysta, dziennikarz. Absolwent UW. Dziennikarz „Rzeczpospolitej” 2000–2012. Zastępca redaktora naczelnego „Do Rzeczy” i redaktor naczelny „Do Rzeczy Historia” od 2013.

¹¹² Anna Pawlikowska (ur. 1961), dziennikarka, publicystka. Absolwentka UJ. Redaktor w Fundacji Kultury Chrześcijańskiej „Znak” 2005–2014.

się antysemitą, jego niechęć wypływa z tego, iż uważa on Żydów za zdrajców narodu polskiego.

Pomijając dość mętne dywagacje na temat antysemityzmu, zyskuje się jakieś wytłumaczenie tego, co pisze Jasiewicz. Po prostu, jak chce autorka, nie lubi on Żydów. Ani tamtych z czasów okupacji sowieckiej, ani tych obecnych, zbyt roszczeniowych wobec Polski i Polaków, stale terroryzujących piętnem antysemityzmu każdego, kto nie jest po ich myśli. Nie można zanegować, że właśnie w taki sposób osoby o poglądach zbieżnych z przekonaniami autorki artykułu nadużywają pojęcia antysemityzmu. Jeśli, jak sądzi, „z dialogiem Żydów z nie-Żydami jest coś nie w porządku”, to właśnie dlatego, że każda próba rzeczowego, a z jakichkolwiek względów dla Żydów niewygodnego poruszenia tematu wprawia w ruch młot antysemityzmu, którym bezlitośnie bije się winnego takiej nieostrożności.

Jak widać na przykładzie książki Krzysztofa Jasiewicza, historia nie może pozostać po prostu historią, gdyż jej *image* rzuca się cieniem na teraźniejszość. Jeśli dotyczy ona Polski czy jakiegokolwiek narodu oprócz Żydów, to stanowi pożądany element dialogu, jeśli jest „niepoprawna”, ujawnia ich trudne sprawy – uważana jest za przejaw antysemityzmu. Czy w tej sytuacji można mówić o dialogu? Jak długo historii nie zdoła się obronić przed zawłaszczeniem na użytek teraźniejszości w ogóle, a w szczególności odpowiednio wystylizowanej, nie może być mowy o wymianie myśli – zatem i o dialogu. Historii nie można ocenzurować. Jest jaka jest. A jeśli pytania jednej strony zostaną ocenzurowane lub sformułowane na użytek faktografii dopuszczanej do głosu przez stronę zawłaszczającą cel i sposób prowadzenia dysputy, to otrzymujemy zawsze ten sam produkt: nawarstwianie się pretensji i żalów urastających do miary muru nie do przebycia.

Umyślnie relacjonuję tutaj tę niecodzienną dysputę. Trzeba dodać, że prof. Jasiewicz, bynajmniej nieznany z antysemityzmu, ma tylko tę wadę, że nie potrafi manipulować źródłem i pisze zgodnie z jego treścią. Najbardziej zdumiewające jest to, że władze PAN wzięły mu to za złe.

Na marginesie tego, co można powiedzieć o udziale niektórych Polaków w hecy antypolskiej uprawianej na kanwie wspólnych dziejów polsko-żydowskich, pragnę zwrócić uwagę – ograniczając się do ostatnich tego rodzaju wybryków – na wywiad Doroty Wodeckiej¹¹³ z dr. hab. Janem

¹¹³ Dorota Wodecka, dziennikarka „Gazety Wyborczej”. Autorka książek *Mężczyźni rozmawiają o wszystkim* (Warszawa 2010) i *Polonez na polu minowym* (Kraków 2013).

Sową¹¹⁴ z UJ. Opublikowano go na łamach magazynu świątecznego „Gazety Wyborczej”, żeby było „śmieszniej”, około 11 listopada 2013 r. pt. *Rozbiory ozna-
czały dla Polski postęp i modernizację*. Oczywiście pominięto tu takie drobiazgi
jak Konstytucja 3 maja na tle postępowych zjawisk ówczesnej Europy, a tak-
że inne „mało ważne” konstatacje, o których wie każdy średnio wykształcony
historyk, a nawet humanista. A należą tu takie fakty, jak wyjątkowe wstecz-
nictwo i zacofanie państw zaborczych w momencie dokonania zaboru, przy
czym Rosja pozostała takim państwem na przestrzeni całej epoki zaborowej.
Zapomniano o tym, że „postęp i modernizacja” Polski w wykonaniu zaborców
polegały m.in. na tym, że poza Galicją, i to od połowy XIX w., czyniono wszyst-
ko, żeby Polak nie mógł zdobyć wyższego wykształcenia w języku ojczystym,
że wszystkie instytucje państw zaborczych na terenach zaborów służyły wy-
narodowieniu Polaków i wymazaniu wszelkiej myśli niepodległościowej.
Autorzy tego wywiadu zapomnieli albo nie wiedzą, skąd się wzięło to, że po
123 latach tylu Polaków gotowych było do walki o niepodległość.

Ta wola paskudzenia dziejów Polski lub ignorancja możliwe są tylko dlatego,
że słowo „tolerancja” nabrało dziś innego znaczenia, niż miało kiedyś. Tolerancja
odnosi się do wszystkiego, co spycha w błoto nie tylko dzieje narodowe, ale samą
konsystencję narodu. Trochę udziału ma w tym polityka Unii Europejskiej, która
zamazuje odrębności, ale tylko tam, gdzie się na to pozwala. Niech by spróbowano
to czynić w stosunku do Niemców czy Francuzów, zaraz by się okazało, że się pod-
waża jakieś postępowe wartości. Czy głupota Polaków ma jakieś granice? Na ile
jest to właśnie głupota Polaków? Dziś bowiem niezwykle trudna jest odpowiedź
na proste pytanie: Kto jest kim?

Niezależnie od poplątania u wielu osób problemu ich tożsamości powinna
zwyciężać prawda wynikająca z obiektywnych źródeł. Tak jednak nie jest.

Papiestwo

Rok 1979 był dla mnie trudny pod wieloma względami. W grudniu otrzyma-
łem z Księgarni św. Wojciecha propozycję wydania dziejów papieży w czasach
nowożytnych. Ksiądz Ludwik Bielerzewski, kierujący wówczas wydawnictwem,
nie był skory do angażowania się w druk książek, które nie byłyby dochodowe.

¹¹⁴ Jan Sowa (ur. 1976), socjolog i kulturoznawca, tłumacz. Absolwent UJ. Doktorat 2006, habilitacja 2012.

Miałem próbkę jego mecenatu przy mojej pracy habilitacyjnej, toteż oferta ta była dla mnie pewnym zaskoczeniem. Zawdzięczam ją wspomnianemu już ks. Feliksowi Lenortowi, który – co trzeba przyznać – miał ogromne wyczucie rynku czytelniczego i śmiało projekty wydawnicze.

Materiał do dziejów papieństwa w okresie po rewolucji francuskiej gromadziłem od pewnego czasu, choć mało systematycznie z powodu obciążenia licznymi zajęciami. O gotowej książce nie mogło jednak być mowy. Ksiądz Bielerzewski z góry zaznaczył, że nie ma to być dzieło naukowe, ale coś w rodzaju eseju dla szerokiego kręgu czytelników. Nie odpowiadało to zupełnie moim planom. Chciałem napisać coś odbiegającego od trudno czytelnej kolubryny naukowej, ale nie rezygnować z wartości, jakie daje synteza odpowiadająca aktualnemu stanowi wiedzy. Sam jeszcze nie wiedziałem, jaką postać przyjmie w końcu moja książka. Na razie eksperymentowałem na wykładach monograficznych, gdzie dzieje papieży przeplatały się z historią społeczną, polityczną i z dziejami Kościoła jako rzeczywistości teologicznej i pastoralnej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Wydawnictwo ponaglało, żeby książkę ująć w planie na rok 1980. Było to zrozumiałe, plany zatwierdzała bowiem władza ludowa w sposób kapryśny i trzeba było z wielkim wyprzedzeniem zgłaszać tytuły. Z ciężkim sercem musiałem odpowiedzieć, że do 1980 r. w żadnym wypadku nie uda mi się złożyć pracy do druku. Nie miałem napisanej nawet jednej trzeciej tekstu, a stale musiałem przerywać pisanie, gdyż potrzebna była dalsza kwerenda. Do Księgarni św. Wojciecha zniechęcały mnie też częste sugestie przychodzące z Poznania, podpowiadające, jak pisać o papieństwie.

Dostarczyłem ks. Bielerzewskiemu część gotowego tekstu. Generalnie zgadzał się z moją koncepcją, ale deliberował nad tytułem. Najbardziej by mu odpowiadało *Papieże – poprzednicy Jana Pawła II w XIX i XX wieku*, co wydawało mi się niezręczne i mało precyzyjne. Trudno było tu oznaczyć granicę początkową – przecież nie początek XIX w. Poza tym wyczuwałem, że oczekuje się książki pisanej pod pontyfikat Jana Pawła II. Tego chciałem za wszelką cenę uniknąć, nie planowałem książki na jeden sezon. Okazało się, że miałem rację, ukazało się bowiem już czwarte jej wydanie i w krótkim czasie nakład został wyczerpany.

W lipcu 1980 r. gotowość podjęcia rozmów w sprawie wydania tej książki zgłosiła także „Więź”. Trochę za wiele było tych ofert. Z Księgarnią św. Wojciecha miałem już podpisaną umowę, co prawda, przed złożeniem tekstu nie do końca obowiązującą. Sprawa rozwiązała się niejako bez mojego udziału. Nowy

dyrektor wydawnictwa ks. Michał Maciołka¹¹⁵ powiadomił mnie w styczniu 1981 r., że wprawdzie podtrzymuje wolę wydania mojej książki, ale dopiero w przyszłym roku, chwilowo mają inny priorytet – materiały katechetyczne. To mi rozwiązywało ręce i wybawiało z trudnej sytuacji, ponieważ już na trzy tygodnie przed otrzymaniem tego pisma z Poznania zawarłem wiążącą umowę na wydanie książki *Papiestwo i papieże dwóch ostatnich wieków* z Instytutem Wydawniczym PAX. To był finał trwającej niemal dwa lata sprawy. Instytut Wydawniczy w 1983 r. wydał książkę w nakładzie 20 tys. egzemplarzy. Podobno w sprzedaży była 6 dni, może nieco dłużej, ale po miesiącu sam nie mogłem jej kupić w żadnej księgarni.

Nie wiem, dlaczego wydawnictwo nie poszło za ciosem i nie wznowiło tej pozycji natychmiast. Podobno były jakieś opory ze strony dyrekcji, czego mi nikt jednak nie potrafił wytłumaczyć. Drugie wydanie ukazało się w 1986 r. w Księgarni św. Wojciecha, niestety, bardzo źle opracione. Książka (było to wydanie w dwóch tomach) się rozpadała. Trzecie wydanie znowu ukazało się w Instytucie Wydawniczym PAX w 1999 r. Tym razem strona edytorska była bez zarzutu. Czwarte wydanie ukazało się w 2007 r. w Wydawnictwie Poznańskim. Nie muszę dodawać, że książka się rozrosła i w obecnym stanie jest większa o prawie 7 arkuszy w stosunku do pierwszego wydania, czyli liczy 53 arkusze, ponad 650 stron.

Muszę szczerze wyznać, że ks. Bielerzewski oddał mi wielką przysługę, choć mam na myśli raczej pomoc w sensie negatywnym. To właśnie on swoimi propozycjami i sugestiami uświadomił mi, że dzieje papiestwa muszą być czytelne dla ogółu, ale w żadnym wypadku nie może to być książka powierzchowna, esej czy coś w tym rodzaju. Nie może być też hagiografią, gdyż ta zazwyczaj retuszuje rzeczywistość, książka zaś miała ukazać się w czasie, kiedy Kościół – zatem papiestwo – musiał być ukazany w jego naturalnym otoczeniu, w świecie, którego dzieje zmieniały się na przestrzeni 200 lat. W ramach tych przemian ewoluował

¹¹⁵ Michał Maciołka (1936–2016), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Święcenia kapłańskie 1960. Wika-
riusz w parafii Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej, św. Jana Chrzciciela i św. Jana Ewangelisty
we Lwówku 1960–1961 i w parafii św. Jana Chrzciciela w Lesznie 1967–1968. Duszpasterz akade-
micki w Poznaniu przy parafii na Grobli 1968–1970, św. Stanisława Kostki 1970–1975 i św. Barba-
ry na Nowinie 1976–1985. Proboszcz parafii Najświętszej Maryi Panny Wniebowziętej w Oborni-
kach 1990–1999, parafii św. Stanisława Kostki w Poznaniu 1999–2012. W 2012 przeniesiony w stan
spoczynku. Zamieszkał w kanonii na Ostrowie Tumskim. Redaktor „Przewodnika Katolickiego”
1974–1980. Dyrektor Księgarni św. Wojciecha 1980–1990. Wykładowca na Wydziale Teologicznym
UAM do 2003.

także świat chrześcijański i jego centrala, bo choć papieństwo poza katolicyzmem nie reprezentuje innych wyznań chrześcijańskich, to jednak jest jedynym autorytetem w chrześcijaństwie, do którego można bezpiecznie odnieść doktrynę ewangeliczną. Zatem albo miały to być dzieje papieństwa, które weryfikowałyby jego istotę bez upiększeń i wątków sensacyjnych, albo należało przedsięwzięcia poniechać. Recepcja książki ostatecznie mnie przekonała, że miałem rację. Trafiła ona także do rąk ludzi, dla których papieństwo nie ma takiego charakteru jak dla człowieka wierzącego, a dla katolika w szczególności. W omówieniach niejednokrotnie powtarzała się adnotacja mówiąca o przekonującej sile takiego właśnie ujęcia, jakie ta książka posiada.

Sugestie ks. Bielerzewskiego, człowieka skądinąd zasłużonego dla Księgarni św. Wojciecha, szły w kierunku popularnego i ściśle religijnego ujęcia tematu. Tymczasem ja, weryfikując te sugestie z moim spojrzeniem na *historia mundi* w ogóle, dochodziłem do wniosku, iż jedynie papieństwo ujęte jako część tej historii świata może zostać przedstawione w sposób zrozumiały i dający możliwość dotarcia zarówno do czytelnika przygotowanego do takiej lektury, jak i tego, który dopiero poszukuje prawdy w tym przedmiocie, a z historią, mówiąc kolokwialnie, nie jest za pan brat.

Pierwsze wydanie spowodowało – nie licząc recenzji drukowanych – lawinę listów gratulacyjnych. Dziś przeglądam je i się dziwię, że tak wiele osób zupełnie ze mną niezwiązanych zdobyło się na tak miłe i życzliwe oceny. Była i łyżka dziegciu. W „Słowie Powszechnym” ukazało się omówienie, z którego można było wyczytać tylko jedno – jego autor nie może mi wybaczyć, że tę książkę napisałem. Podobnie jak podpisujący się nazwiskiem Romuald Sucholski, *notabene* osobistość dobrze mi znana, bo pognął on książkę *Kościół katolicki w II Rzeczypospolitej* (inny publicysta paksowski uczynił to samo z *Życiem religijnym*, t. 1). „Recenzja” *Papieństwa* była zwykłą denuncjacją mnie jako księdza wydającego w IW PAX. Miałem kilka osób, na szczęście niewiele, które polowały na wszystko, co się tylko ukazywało i było mojego autorstwa. Nie chcę wymieniać nazwisk, na nic się to nie przyda, zwłaszcza że nie wszyscy z nich żyją. Szczególnie drażniły mnie omówienia, z których jasno wynikało, że piszący nie czytał omawianej pozycji albo zna ją tylko wyrywkowo.

Nie brakowało też „życzliwych” werdyktów przekazywanych ustnie. Powiadał mi jeden z młodych księży, że jako kleryk usłyszał od jednego z profesorów, iż jest to książka protestancka.

Jeśli mowa o listach przeze mnie otrzymanych z racji ukazania się tej książki, to chciałbym jeszcze wspomnieć o uwagach ks. Hieronima Goździewicza, sekretarza prymasa Wyszyńskiego. Zgłosił on zastrzeżenia do moich wzmianek na temat konklawe, a mianowicie:

Mówił mi ks. kardynał zmarły, że po głosowaniach w kaplicy Sykstyńskiej palono nie tylko wszystkie kartki wyborcze, ale również wszystkie notatki prywatne [...], tak aby z przebiegu konklawe nie pozostało żadnego śladu i aby całkowity sekret (obowiązujący pod najsurowszymi sankcjami) został zachowany.

Wszystko to prawda, zwłaszcza gdy chodzi o dane personalne: kto i na kogo głosował, ale tego nie ma też w książce (choć domysły i w tej materii bywały często publikowane). Natomiast nie mogło być sekretem, ile głosów i w którym głosowaniu otrzymywali kandydaci, gdyż było to protokołowane. Zresztą wyniki głosowań konklawe z co najmniej ostatnich dwustu lat są znane. Czy przez jakąś niedyskrecję – to już inna sprawa.

W niemałe zdumienie wprowadził mnie list od Franciszka Szlachcica¹¹⁶, ongiś ministra spraw wewnętrznych, wysokiego funkcjonariusza partyjnego, a ówczesnie dyrektora Centralnego Biura Miar i Wag. Pisał, że z ogromnym zainteresowaniem przeczytał książkę i zaleciłby ją jako obowiązkową lekturę dla wszystkich osób pracujących w dyplomacji. Podkreślał obiektywizm i trzeźwe, pozbawione emocji oceny zawarte w książce.

Najważniejsza dla mnie jest jednak opinia Jana Pawła II – o czym już pisałem – który w czasie audiencji w 1993 r. sam o *Papiestwie* wspomniał i rzekł, że to dobra książka.

Moja własna ocena nie może być obiektywna, bo *nemo iudex in causa sua*¹¹⁷. Każde kolejne wydanie wymagało ode mnie sporego nakładu pracy, próbowałem rzecz ulepszyć, a mimo to stale czuję niedosyt i odkrywam braki, których być może czytelnicy na ogół nie dostrzegają. Z takimi pojemnymi syntezami jak *Papiestwo*

¹¹⁶ Franciszek Szlachcic (1920–1990), działacz komunistyczny. W czasie drugiej wojny członek Gwardii Ludowej / Armii Ludowej w stopniu kapitana. Członek PPR/PZPR. Absolwent AGH. Generał brygady MO. Poseł na Sejm PRL 1972–1976. W 1971 minister spraw wewnętrznych. W latach 1974–1976 wiceprezes Rady Ministrów oraz członek Rady Państwa (1972–1974).

¹¹⁷ Łacińska zasada prawna: Nikt nie jest sędzią we własnej sprawie.

jest tak, że im więcej razy czyta i przegląda je autor, tym więcej znajduje potknięć, które trzeba usunąć. W wypadku omawianej tu książki chodziło także o uzupełnienia, których wymagały kolejne pontyfikaty.

Nie wiem, czy ukaże się piąte wydanie, ale dokonałem już uzupełnień o pontyfikat Benedykta XVI. Zamierzałem zrekapitulować go na około 60 stronach. Studium nad tym pontyfikatem zmusiło mnie do zapoznania się z głównymi enuncjacjami tego papieża, nie tylko z encyklikami, lecz także przemówieniami w czasie pielgrzymek pasterskich. Uderza jego ogromna precyzja słowa i zwięzłość sformułowań. To jedno, a ponadto swoista monotematyczność w czasie poszczególnych wizyt. Papież poruszał problem szczególnie istotny na terenie, gdzie właśnie pasterzował, ale w taki sposób, że wychodziło z tego nauczanie skierowane do całego świata chrześcijańskiego, np. jego nauczanie o rodzinie. Analiza wystąpień Benedykta XVI uświadomiła mi, iż napisanie krótkiego dopowiedzenia na temat jego pontyfikatu po prostu się nie opłaca w sensie wysiłku badawczego i pisarskiego. Jeśli już, to trzeba zwięźle, ale całościowo ten pontyfikat przepracować. Tekst *Benedykt XVI, nauczyciel i pielgrzym* rósł stopniowo i urósł do ponad 200 stron, a w druku – bo książkę wydał w roku 2013 IW PAX – stron wyszło 239.

Kardynał Ledóchowski i ks. Klimkiewicz

W lipcu 1980 r. trafiłem – chyba przez pośrednictwo ks. Stanisława Kosińskiego, salezjanina z Łądu, któremu zawdzięczmy ponadstutomowy zbiór materiałów źródłowych zatytułowany „Acta Hlondiana”¹¹⁸ – do pań Klimkiewiczów w Poznaniu, siostr ks. Witolda Klimkiewicza, kapłana, który był biografem kard. Mieczysława Halki Ledóchowskiego¹¹⁹ i w wieku 39 lat został zamordowany w Dachau. Można śmiało powiedzieć, że zarówno dla tych zacnych pań, jak i dla historii było to wydarzenie opatrnościowe. Pisząc swego czasu biogram ich brata do *Polskiego słownika biograficznego*, zaznaczyłem, że gestapo podczas aresztowania zabrało i zniszczyło wszystkie materiały znalezione w mieszkaniu, zatem także te do dalszych tomów biografii kardynała. Ksiądz Klimkiewicz wydał przed wojną pierwsze dwa tomy. Jakież było moje zdziwienie, gdy jedna z pań

¹¹⁸ Monumentalny zbiór 105 tomów dokumentów dotyczących życia i działalności kard. Augusta Hlonda (każdy tom liczy około 300 stron). Za redakcję i opracowanie zbiorów był odpowiedzialny Stanisław Kosiński SDB.

¹¹⁹ Mieczysław Ledóchowski, właśc. hr. Mieczysław Jan Halka-Ledóchowski (1822–1902), arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański, prymas Polski 1866–1886, prefekt Kongregacji Rozkrzewiania Wiary 1892–1902, kardynał 1875.

wydobyła spod łóżka kilka kartonów, w których znajdowała się cała spuścizna po ks. Klimkiewiczzu.

W imieniu Biblioteki Uniwersyteckiej KUL zaproponowałem zakup całości. Panie się wahały, sądziły, że z rzeczy po zamordowanym w Dachau bracie mogą uczynić dar, ale sprzedawać!? Znałem ich sytuację materialną i postawiłem sprawę twardo. Zostanie sporządzony inwentarz spuścizny, dokonana wycena, a one otrzymają zapłatę. W ten sposób uzyskały 16 800 zł, co w tym czasie równało się niemal dwóm moim miesięcznym pensjom. Osobno, tylko do mojego rozporządzenia, otrzymałem rarytas w postaci pracy ks. Klimkiewicza napisanej po francusku i będącej w stanie druku szrotkowego w momencie wybuchu wojny. Podobno autor robił korektę jeszcze w obozie w Łądzie lub Żabikowie, gdzie Niemcy przetrzymywali księży. Tytuł tej książki brzmiał *Creation des cardinaux Lavigerie et Czacki obtenue par la Republique Francaise en 1882 en verte du soi-disant privilege de presentation au cardinalat de couronne*. Przrzekłem, że postaram się o polskie wydanie tej książki. Dotrzymałem obietnicy, w 2005 r. ukazał się przekład dokonany przez – wówczas jeszcze studentkę Uniwersytetu Warszawskiego – Annę Marię Radomską, obecnie Sumiła.

Myśl dokończenia doprowadzonej przez ks. Klimkiewicza do 1866 r. biografii kard. Ledóchowskiego nie dawała mi spokoju. Stwierdziłem, że w otrzymanych materiałach znajdują się liczne wypisy do dalszych dwóch tomów biografii. Kwerendy ks. Klimkiewicz nie zdążył jednak ukończyć, a ponadto trzeba było uzupełnić rzecz o najnowszy stan badań. Praca ta zabrała mi około sześciu lat. Pełna, uzupełniona przeze mnie biografia Ledóchowskiego ukazała się w Księgarni św. Wojciecha dopiero w 1988 r.¹²⁰ Prymas Glemp, do którego ks. Michał Maciołka, ówczesny dyrektor Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu, po prostu mnie zaciągnął, zdumiał się, kiedy otworzyłem walizkę z gotową do druku dalszą częścią biografii jego poprzednika. Chyba jego dotacja przyczyniła się do szybkiego wydania dzieła. Musiało ono być deficytowe, choć rozpisano subskrypcję, co osobiście uważałem za błąd. Książka nie rozeszłaby się wprawdzie błyskawicznie, ale z biegiem czasu znalazłaby nabywców, był to bowiem pod wieloma względami rarytas. Profesor Jerzy Pietrzak dokonał także wielkiego dzieła, wydatnie – przynajmniej w 80 proc. – uzupełniając ikonografię książki.

¹²⁰ W. Klimkiewicz, *Kardynał Ledóchowski na tle swej epoki 1822–1902*, t. 3, cz. 1–2, oprac. i wstęp Z. Zieliński, Poznań 1987.

Wydanie całościowe biografii kard. Ledóchowskiego ma swoją wagę nie tylko dla dziejów archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej, ale w ogóle dla historiografii polskiej XIX w. Postać kardynała nie ma w niej jednoznacznych odnotowań. Był to człowiek Kościoła w każdym calu, ale wychowany za granicą i zaangażowany w pracę na rzecz Kościoła powszechnego w warunkach dziewiętnastowiecznego legitymizmu, który wykluczał wszystko, co w najmniejszym choćby stopniu groziło rewolucją. Polskie aspiracje niepodległościowe za takową uważano – zatem nie bez racji uznano go za przeciwnika wszelkich narodowych dążeń Polaków. Kulturkampf uczynił go rzecznikiem społeczności polskiej w wymiarze przekraczającym obszar kościelny, choć kardynał do końca życia pozostał takim swoistym kosmopolitą kościelnym. Był postacią symboliczną w historii narodu polskiego drugiej połowy XIX w. – słusznie czy nie, kojarzono go bowiem z oporem Polaków stawianym germanizacji bismarckowskiej.

Było więc wiele racji w tym, żeby poświęcić kilka lat na odtworzenie tej partii biografii Ledóchowskiego, której autor nie dokończył, zamordowany w niemieckim kacecie.

Podjęcie tej, przyznać muszę, niewdzięcznej i wymagającej wysiłku pracy opłaciło się w sposób niespodziewany i zaskakujący, o jakim wszakże w czasie jej trwania nawet nie marzyłem. Mój doktorat traktował o kulturkampfie w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej, a więc *magna pars* pracy była poświęcona właśnie postaci Ledóchowskiego. Drukiem w książce zbiorowej ukazała się tylko część mojej dysertacji. Toteż zaskoczył mnie przed kilkoma laty prof. Witold Molik¹²¹ z Poznania propozycją wydania mojego doktoratu w całości w Wydawnictwie Poznańskim w serii „Monografie i Rozprawy”, której był redaktorem. Książka ukazała się pod tytułem *Kulturkampf w archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej w latach 1873–1887* w 2011 r. Trochę nieskromnie pozwolę sobie zauważyć, że praca ta jest jak gdyby ukoronowaniem biografii Ledóchowskiego pióra ks. Klimkiewicza. Autor ten, legitymujący się świetnym wykształceniem, znający kilka języków zachodnich, miał styl pisania historii dziewiętnastowieczny – narracyjny, bogaty w dygresje, z szeroko rozbudowanym tłem, ale jak to wówczas było w modzie, portretujący przede wszystkim wiodącego bohatera. Zresztą nic

¹²¹ Witold Molik (ur. 1949), historyk. Absolwent UAM. Doktorat 1977, habilitacja 1988, profesor zwyczajny 1999. Pracownik naukowy UAM od 1972. Kierownik Zakładu Historii Polski XIX i XX wieku w Instytucie Historii i dyrektor Centrum „Instytut Wielkopolski”. Autor ponad 300 publikacji naukowych.

dziwnego, skoro pisał biografię, wszakże ubogacenie jej studium prezentującym epokę wydaje się potrzebne. Tak więc oba przeze mnie podjęte wysiłki niejako zeszyły się ze sobą i stanowią swoistą pełnię.

Stan wojenny

13 grudnia 1981 r. nie przyszedł niespodzianie, a jednak mocno mnie zaskoczył. Pierwsze, co pomyślałem po wysłuchaniu tyrady gen. Jaruzelskiego, to była obawa, że zaczęte prace wydawnicze (a w toku było ich sporo) albo całkowicie pójdą na marne, albo trzeba je będzie odłożyć na długo. Było to strasznie egoistyczne i naiwne myślenie i natychmiast to sobie uświadomiłem, zwłaszcza po komentarzach mojej matki, w tym czasie poważnie i obłożnie chorej, która słusznie wróżyła katastrofę narodową. Przecież tak niedawno był Sierpień '80. Dla tych, którzy przeżyli 1956 r., a nawet Gierkowskie „pomoczenie”, wszystko to nie było takie proste. Pamiętam, jechaliśmy autem z moim przyjacielem, nieżyjącym już dziś księdzem Jerzym, kiedy przez radio nadawano sprawozdanie ze Stoczni Gdańskiej w sierpniu 1980 r. Milczeliśmy obaj przez dłuższą chwilę. Zapytałem:

– Co o tym myślisz?

On na to:

– Jeśli nie zapaskudzą tego krzykacze, to może to być coś niebываłego. W takim ustroju, w jakim żyjemy!

Zapamiętałem to. Kiedy już po zawieszeniu stanu wojennego ktoś z bliskich znajomych, kto był w tamtych dniach w Stoczni Gdańskiej, a jako uczeń przeżywał na Wybrzeżu Grudzień '70, opowiadał mi, co widział w czasie negocjacji z Mieczysławem Jagielskim¹²², miałem mieszane uczucia. W głębi ducha żywiłem wątplę przekonanie, że ten młody człowiek przesadza. Był to jednak, jak się miało okazać, dobry obserwator i absolutnie prawdomówny człowiek. Zrozumiałem, że miał rację, twierdząc, iż z takimi ludźmi jak Wałęsa nie można zrobić żadnej rewolucji – a to była rewolucja, podobnie jak i w 1989 r. Poza lansowaniem w sposób cwaniacki siebie i swoich spraw, poza fingowaniem ideowości i bezinteresowności tacy ludzie

¹²² Mieczysław Jagielski (1924–1997), polityk komunistyczny, ekonomista. Absolwent SGPiS w Warszawie i WSNS przy KC PZPR. Doktorat 1962. Członek PPR/PZPR. Od 1952 zastępca kierownika, 1953–1956 kierownik Wydziału Rolnego KC PZPR. W latach 1959–1981 członek KC PZPR, członek BP KC PZPR 1971–1981. W okresie 1957–1959 wiceminister (podsekretarz stanu), a następnie do 1970 minister rolnictwa, wicepremier (1970–1981) i przewodniczący Komisji Planowania przy Radzie Ministrów (1971–1975). Przewodniczący komisji rządowej prowadzącej negocjacje z Międzypartowym Komitetem Strajkowym w Gdańsku w sierpniu 1980. W 1971 stały przedstawiciel Polski przy Radzie Wzajemnej Pomocy Gospodarczej w Moskwie. Poseł na Sejm PRL 1957–1985.

jak on niczego nie potrafią. Dziś się to sprawdza, świadczą o tym nie tylko relacje jego ówczesnych współpracowników, którzy niczego się nie dorobili, lecz także rzeczywistość, w jakiej żyjemy. Różnego rodzaju hucpiarze potrzebowali właśnie takiego trybuna, za którego plecami mogli swobodnie obłować się na biednej Polsce – kraju, który ci najbiedniejsi robotnicy w jakiś sposób, na przekór idiotycznej gospodarce komunistycznej, jednak wyposażyli we wcale niebagatelne dobra. Uposażyli się zarówno odchodzący peerelowscy bonzowie, jak i ta lumpenelita, na którą tamci scedowali władzę, dla komunistów już beużyteczną – że użyję tu sformułowania Anny Pawełczyńskiej¹²³.

Nie wszyscy z partyjnej wierchuszki dostali swą działkę. Tylko ci najsprytniejsi, którzy weszli w konszachty z opozycją. Ona po zaspokojonych materialnie i zabezpieczonych przed odpowiedzialnością komuchach wdrapała się na stołki władzy. Po prostu podzielili się kosztem dobra narodowego – bo to nie było bezpieczne dobro państwowe, ale majątek wypracowany przez 45 lat przez wegetujący, źle opłacany naród. Nie byłoby to możliwe, gdyby taki „trybun” jak Wałęsa nie uwia-rygodnił owej roszady na szachownicy władzy. Powstało przy tym błędne koło, on sam stał się świętą krową dzięki nobilitacji, jaką mu przyznał masoński Zachód, nierozpoznający wartości podobnych osobistości i na tyle lekceważący Polskę, by jej taką „wielkość” pakować do historii. Inna sprawa to windowanie ludzi tego pokroju na piedestał przez rodzimych kombinatorów, którzy dobrze wiedzą, że buława wciśnięta do ręki parweniusza rychło stanie się bezwartościowym rekwizytem, natomiast korzyści osobiste osiągnięte z jego ręki jako dywidenda za jego wyniesienie są wymierne i więcej warte niż sztucznie rozdęta sława. Najbardziej przygnębia jednak to, że w poważnych mediach rzekomo poważni ludzie z poważną miną mówią o wykładach wygłaszanych przez takich „mędrców” – nie chodzi tylko o pana Wałęsę – wobec poważnych gremiów, nierzadko akademickich.

¹²³ Anna Pawełczyńska (1922–2014), socjolog kultury. W czasie drugiej wojny członek AK. Więziona na Pawiaku i w obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau i Flossenbürg. Absolwentka UW. Doktorat 1960, habilitacja 1966, profesor nadzwyczajny 1980. W październiku 1957 współzałożycielka i pierwszy dyrektor OBOP przy Komitecie ds. Radia i Telewizji (do marca 1965). We współpracy ze Stefanem Nowakiem stworzyła na UW system badawczy opinii publicznej, oparty na sieci ankierów społecznych. Prowadziła słynne badanie „Studenci Warszawy”. Jednocześnie pracowała naukowo w Katedrze Socjologii u prof. Ossowskiego na UW, gdzie zajmowała się metodami i technikami badań empirycznych (1957–1961 starszy asystent). Od 1955 członek Klubu Krzywego Koła, forum dyskusyjnego inteligencji warszawskiej. Pracownik naukowy w Pracowni Badania Kultury Współczesnej przy Instytucie Badań Literackich PAN 1965–1969, w IFiS PAN 1969–1980. Od 1980 na emeryturze. Zaangażowana w działalność opozycyjną w PRL. Przewodnicząca Rady Nadzorczej Fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie 1992–1996.

Człowiek, który skądinąd zna ich kłopoty z logicznym i poprawnym sposobem wyrażania się, może tylko pytać słowami Biblii:

– I Saul między prorokami?

Świadczy to także o powadze tych gremiów. Trzeba przyznać, że tzw. salon jest konsekwentny w meblowaniu swych wnętrz postaciami kreowanymi na ikony narodowe. Film o byłym prezydencie, a poprzednio związkowcu Solidarności – w tym wypadku było to tylko szczeblem do kariery – stawia go ponad rzędem rzeczywistych bohaterów narodowych. Film ma jednak krótki żywot, podobnie jak każdy hołd składany przez wazeliniarzy, bo cnota sama siebie broni, a fałszywki niemiłosiernie odrzuca.

Tego wszystkiego jeszcze nie można było przeczuwać w 1980 lub 1981 r. Owszem, w 1989 r. do świadomości ludzi myślących wkradał się już niepokój. Wiadome było, kto zajął się reformą Polski, a ściśle mówiąc, kreacją III Rzeczypospolitej. Ktoś powiedział mi wówczas, że Jaruzelski i Kiszcak robią dobry interes, podobnie jak ci, dla których tamci klecą nową Polskę, a ja mylnie oceniłem to jako wyjątkową zgryźliwość. Wieści o Magdalence docierały już do uszu tych, których nie ogłuszyły owacje i oklaski, ale do końca nikt nie chciał wierzyć, że można tak zachachmęcić nie byle co przecież, ale losy całego narodu. A jednak!

Najbardziej oburza dziś jawne promowanie przez rzekomych lub po prostu lipnych opozycjonistów lat osiemdziesiątych osobistości znanych ze służalczości wobec reżimu PZPR. Jakąż bezczelnością jest wystawianie ich na widok publiczny w TV i zlecanie tłumaczenia narodowi różnych machlojek. Nie mogłem szanować prezydenta, byłego aparaczyka partyjnego, nie mogę też takiego, który aparaczyka robi swoim rzecznikiem. Rozumiem, że wyborów dokonuje naród, ale trzeba by się zastanowić, na ile uwiedziony i zdezorientowany celowo kultywowaną bezmyślnością o wymiarze społecznym.

Obawa, że kroi się nowa – dla Polski zgubna – awantura, przy udziale jej głównych aktorów, do niedawna bolszewików w opcji partyjnej przemienionych w bolszewików według własnej recepty, spełniła się co do joty. Trzeba było obserwować i ostrożnie badać grunt pod nogami. Chciałem i ja działać. Poszedłem do lokalu Solidarności na KUL, sądziłem, że trzeba się w to włączyć. To, co tam zastałem, przypomniało mi lokal jakiegoś komitetu ZMP. Rozgrzane agitacją osobistości i chwytliwe hasła. Próba rzeczowej rozmowy była odbierana jako coś w rodzaju kontrrewolucji. Nawet pytanie o bezpośredni cel stojący przed Solidarnością

uniwersytecką zbywano wyrozumiałym uśmieszkiem i mrugnięciem oka do kogoś z wierchuszki. Kiedy usłyszałem, że przyszedłem zbyt późno, bo to, co ważne, już się dokonało, obróciłem się na pięcie i wyszedłem. Tyle było moich kontaktów z Solidarnością na KUL.

W czasie stanu wojennego miałem możliwość zdobywania i rozprowadzania artykułów żywnościowych. Zwracano się do mnie z argumentem, że ktoś tam działał w Solidarności. Pytałem:

- Czy jest w potrzebie? Czy są małe dzieci?
- Proszę księdza, ale to zasłużony człowiek, rozdawał ulotki...

Albo coś w tym rodzaju. Pomyślałem, że ulotek u mnie zawsze były stosy i dawałem je każdemu, kto tylko chciał. Wielu bało się nawet dotknąć.

- Wie ksiądz, za to można beknąć.

Owszem, można było, nawet bez ulotki, wystarczyła prowokacja – jak w wypadku mojego studenta, Piotra Szczudłowskiego. Jemu ulotki podrzucono, ale on i tak wiedział, za co siedzi, przypominał bowiem Polakom, co to za data 11 listopada. Widać słabo zapamiętali, skoro kilka lat później pytani na ulicy młodzi ludzie przeważnie nie wiedzieli, jaka to rocznica. NSZZ „Solidarność” uważałem za ruch świadczący o tym, że naród pozostał w swej istotnej konsystencji nienaruszony, zdrowy, a różnego rodzaju kapusie, naganiacze i oportuniści to mało znaczący margines. Raziło wszakże to, jak niektórzy ówczesni działacze „S” byli uwrażliwieni na własną karierę.

- Żeby tak zdjęcie z Wałęsą – słyszało się niekiedy.
- A po co?
- Na pamiątkę, dla dzieci.

Może naiwnie w to się wierzyło. Już jednak w 1989 r., w czasie wyborów kontraktowych – bardzo brzydkie określenie – zdjęcia te miały inną wagę i cenę. Niejednokrotnie znalazły się na słupach przydrożnych, dziś byśmy powiedzieli, billboardach. To wszystko, jak i w porę następujące wycofywanie się wielu „działaczy” z „S”, nie budziło dobrych skojarzeń.

Stan wojenny był uciążliwy, ale trzeba było dalej pracować. Nawoływano do strajku, ale jakiego? Można było nic nie robić, ale kto miał z tego pożytek? Ci, przeciwko którym się strajkowało. Pogłębiał się chaos, nędza zaglądała do niejednego mieszkania, dostarczano usprawiedliwienia dla brutalnych poczynań władz. W istocie w stanie wojennym i po nim w umysłach i pojęciach panowała ta sama degrengolada, jak w czasach PRL. I tak pozostało.

Dwa miesiące po ogłoszeniu stanu wojennego pustki w sklepach i galopujące ceny stały się zmurą społeczeństwa. Niezadowolenie usiłowano gasić łataniem budżetów domowych. W lutym 1982 r. z Referatu Personalnego KUL otrzymałem następujące pismo:

Uprzejmie zawiadamiamy, że Ksiądz Profesor będzie otrzymywał następujące rekompensaty z tytułu podwyżek cen detalicznych: 1) chleba i przetworów zbożowo-mącznych od 1 września 1981 r. – w wysokości 160 zł miesięcznie. 2) Podstawowych artykułów żywnościowych, opału i energii od 1 lutego 1982 r. – w wysokości 1050 zł miesięcznie.

Wprowadzenie stanu wojennego kojarzy mi się także z wypadkiem, który mi się zdarzył w poniedziałek nazajutrz po jego ogłoszeniu. Wyjechałem samochodem, tym dopiero co kupionym w Niemczech, a przed dwoma tygodniami odebrany od blacharza. Koło gmachu partii w głębokim śniegu, którego nikt nie sprzątał, buksował kołami wojskowy samochód terenowy. Kierowca był wyjątkowo niesprawny, a ja – nieostrożny. Sądziłem, że wjedzie on na podjazd Komitetu Wojewódzkiego PZPR, i ruszyłem w kierunku Alei Racławickich. Tymczasem kierowca wojskowego auta próbował widocznie wydostać się z kolein, cofnął i lekko się oparł na samym wierzchołku maski mojego samochodu. Oczywiście powstało wgniecenie. Chłopak bardzo się przestraszył. Gotów był nawet podać swoje dane i zapłacić za naprawę, ale machnąłem na to ręką i pojechałem dalej.

Po zawieszeniu stanu wojennego pod „orłem trzeciomajowym”, jak nazywano pomnik wystawiony na pl. Litewskim, odbywały się czasami demonstracje. Zomowcy szaleli i w gonitwach za uczestnikami zapędzali się często aż na podwórze przy ul. Sławińskiego (obecnie: Niecała). Kiedyś obserwowałem ich, jak bezradnie kręcili się po podwórzu, podczas gdy kilku demonstrantów ukryło się w jednej z klatek schodowych. ZOMO do żadnej klatki nie odważyło się wejść. W związku z tymi gonitwami opowiadano sobie różne historie, nie wiadomo, czy prawdziwe czy zmyślane.

O tym, jak zgarnęli raz Adama Stanowskiego, naszego pracownika, postać dobrze znaną. Podobno komendant SB obsztorcował tych, którzy dokonali zatrzymania:

– Teraz wy będziecie z nim rozmawiać. Zobaczycie, jak was zmęczy!

Prawda to czy nie? Tego już nikt nie dociecze. Jedna z naszych profesorek podobno szła zomowcom prosto w ręce, ponieważ też chciała być represjonowana. Bardzo ją zdenerwowało, że ci ani spojrzeli. Takie opowieści krążyły po Lublinie, a nawet poza jego opłotkami, drugą historyjkę o podobnej treści słyszałem bodaj czy nie w Warszawie.

Osobiście miałem tylko pyskówkę przez telefon. Dzwoniłem do kolegi poza Lublin i uskarżałem się, że z powodu tych głupich szlabanów na drodze człowiekowi nie chce się nigdzie jechać, choć byłaby potrzeba. Wtem w słuchawce odezwał się głos:

– Rozmowa kontrolowana. Proszę zaprzestać mówienia podobnych rzeczy.

Taka wściekłość mnie opanowała, że warknąłem, by się zamknął i zaprzestał chamskich pogwarek. Ostrzegł mnie, że mam się liczyć z wyłączeniem telefonu, i na tym się skończyło. Telefon zostawili.

Kiedyś – było to w 1984 r. w porze egzaminów, zatem może gdzieś w czerwcu – przyszedłem na obiad, który moja matka właśnie kończyła przygotowywać. Zamierzaliśmy usiąść do stołu, gdy zadzwoniono do drzwi. Otworzyłem i zobaczyłem niskiego, elegancko ubranego pana w średnim wieku. Stałem w otwartych drzwiach, więc nie mógł wejść do korytarza, choć wyraźnie zdradzał taki zamiar. Przedstawił się jako pułkownik z MSW, podał jakieś nazwisko. Na procesie w sprawie zamordowania ks. Popiełuszki rozpoznałem w nim płk. Pietruszkę¹²⁴. Wtedy nie wiedziałem, kim był mój gość. Odpowiedziałem, że mam egzaminy, muszę szybko zjeść obiad i wracać na uczelnię. Upierał się, że musi ze mną rozmawiać.

– Proszę mi zatem przysłać wezwanie urzędowe, w domu takich wizyt nie przyjmuję z zasady.

Zapytał, czy orientuję się, czym grozi taka postawa. Uśmiechnąłem się, przeprosiłem i zamknąłem drzwi. To była moja jedyna przygoda z SB w stanie wojennym. Wyjeżdżałem w tym czasie kilka razy za granicę, w tym do Izraela czy do USA (choć ten wyjazd to już po zawieszeniu stanu wojennego). Dziwiłem się, że nie usiłowano mnie z racji starań o paszport wypytywać, nic podobnego nie miało

¹²⁴ Adam Pietruszka (ur. 1938), prawnik, pułkownik SB, zastępca dyrektora Departamentu IV MSW w latach 1981–1984, naczelnik Wydziału I Departamentu IV w okresie 1979–1981, w SB od 1961. Prowadził najważniejszą agenturę rozpracowującą polski Kościół. W grudniu 1984 wydany ze służby. Uznany za winnego nakłonienia do zamordowania ks. Jerzego Popiełuszki i skazany na 25 lat więzienia (opuścił je jednak już w 1995).

jednak miejsca. Powiedziałbym nawet, że przy zdawaniu paszportu załatwiano mnie mruklawie, nieuprzejmie. Mnie to odpowiadało.

Stan wojenny spowodował powstanie coraz głębszej przepaści między ludźmi opierającymi swój byt wyłącznie na służbie reżimowi a resztą. Nie widzieli oni dla siebie żadnej alternatywy, dlatego potrafili niekiedy być bardzo niebezpieczni. Pamiętam zdarzenie, kiedy szukałem maszynistki z prawdziwego zdarzenia, ponieważ miałem do przepisania tekst nie tylko długi, lecz także najeżony cyframi, trudny i wymagający olbrzymiej wprawy w pisanie. Któryś z kolegów dał mi adres gdzieś w okolicy ulicy Lipowej. Twierdził, że znana mu osoba jest dobrą maszynistką, opiekuje się dzieckiem w domu i może pisać, a ponadto potrzebuje dodatkowego zarobku. Poszedłem i faktycznie od ręki załatwiłem sprawę. Po jakimś czasie udałem się do tej pani, żeby zapytać, jak idzie praca. Bardzo się sumitowała, ale stwierdziła, że musi zrezygnować, decyzję swą tłumaczyła bardzo zawile. Zaraz wiedziałem, że przyczyna jest inna niż ta, którą podaje, nie chciałem jednak naciskać. Kiedy już szedłem do drzwi, zatrzymała mnie. Powiedziała, że bardzo niechętnie rezygnuje, bo praca jej odpowiada, ale żąda tego mąż. Jest w ZOMO i ktoś już doniósł, że do jego mieszkania chodzi ksiądz. Kobieta zaczęła popłakiwać i skarżyć się na zajęcie małżonka.

Usiadłem i wdałem się w dłuższą rozmowę. Dowiedziałem się ciekawych rzeczy. Zomowcy byli, jej zdaniem, traktowani jak niewolnicy, których się wypuszcza na bicie i śledzi, jak to robią. Inwigilowani są oni i ich rodziny. Wielu chciałoby się z tego wypłatać, w tym także jej mąż, ale rodzina zostałaby bez środków do życia. Żał mi było tej kobiety. Męża jej widziałem raz czy dwa. Taki wiejski osiłek, ale sprawiający wrażenie spokojnego, łagodnego człowieka.

Komunizm łamał ludzi i wplątywał w sprawy, które niszczyły ich moralnie. Głupi był ten, kto myślał, że zobowiąże się do służenia, a potem ich wykiwa. Potem – to znaczy kiedy już osiągnie swoją korzyść. Puste to były rachuby. Kto raz się zaplątał, nie mógł łatwo się uwolnić. Podobnie było z tak zwanymi tajnymi współpracownikami. Niejeden myślał, że gra warta świeczki, bo stypendium, wyjazd, dobra posada. Można podpisać zobowiązanie, a potem albo dawać nic niewarte informacje, albo się wycofać. Z takich cwaniaków wyrastali później jakże wydajni i szkodliwi donosiciele. Byli we wszystkich warstwach, nie wyłączając duchownych. Dziwi mnie tylko, że człowiek w taki sposób umoczony sięgał po godności kościelne. Musiał chyba kierować się kompletną niewrażliwością na wartości, które powinny znaleźć się u podłoża takiej decyzji.

Niezapomniane spotkania i przyjaźnie, ciekawi ludzie

Sporo osób przewija się przez tę książkę, podobnie jak przez życie każdego z nas. Nie sposób przywołać choćby małej części tych, których spotkało się na swojej drodze. Trzeba by też wyróżnić pewne kategorie, ponieważ nawet bliscy ludzie nie muszą być przyjaciółmi, a przyjaciele nie muszą być osobami ciekawymi – w sensie ich atrakcyjności. Najlepiej, jeśli jedno z drugim jakoś się łączy. Tak niewątpliwie było w wypadku o. Pawła Szczanieckiego¹²⁵, benedyktyna, którego ścieżki z moimi spletały się w sposób dość zabawny, jeśli można tak powiedzieć. On by tak powiedział. Urodzony w 1917 r., a więc o czternaście lat starszy ode mnie. Poznałem go, będąc wikariuszem w Pleszewie w parafii św. Jana Chrzciciela. Ksiądz Julian Badziński, wówczas proboszcz tej parafii, zaprosił go na rekolekcje, zapowiedziane jako rekolekcje dla inteligencji.

Nasze spotkanie nie miało jakichś uderzających następstw, przynajmniej natychmiastowych. On pierwszy mnie zagadnął następnego dnia po przybyciu do Pleszewa. Zapytał, czy nie zaprosiłbym go na kawę. Ważne okazało się to, że zasiał we mnie niepokój o mój dalszy rozwój. Czy powinienem poprzestać na zwyczajnej pracy duszpasterskiej? Czy nie mam nic do powiedzenia, czym chciałbym się podzielić z innymi? O tym nigdy nie myślałem. Nawał zajęć nie pozwalał, a może nie byłem na to gotowy? Ojciec Paweł potrafił przekonywać i zarażał optymizmem. Dawał siebie za przykład. Prawie bez przerwy głosił rekolekcje czy misje ludowe, ale – jak mawiał – wystarczy godzina, żeby zahaczyć o bibliotekę, wynotować coś dla siebie, do swej pracy. Dużo czasu upłynęło, zanim



Matka autora
z o. Pawłem
Szczanieckim OSB
w Warszawie

¹²⁵ Tadeusz Paweł Szczaniecki OSB (1917–1998), historyk i liturgista. Do zgromadzenia wstąpił w 1943. Profesja wieczysta 1948. Świecenia kapłańskie 1949. Proboszcz parafii w Tyńcu 1952–1958. Absolwent KUL. Doktorat 1971. Od końca lat siedemdziesiątych prowadził badania naukowe nad historią opactwa w Tyńcu. Autor kilku prac popularyzujących jego historię.

skorzystałem z jego wskazówek i rad. Czułem, że ma rację, ale niewiele mogłem na to poradzić.

Już po wyjeździe o. Pawła byłem w odwiedzinach u naszych sąsiadów, państwa Suchockich i wspomniałem o jego zachętach. Oboje przyklasnęli pomysłowi, bym zaczął robić coś więcej. Mieli na myśli jakieś angażowanie się na polu kulturalnym. Chyba jedynie w ich domu moje przeznaczenie na studia uniwersyteckie znalazło właściwą ocenę. Bardzo wiele im zawdzięczam. Nie tylko te wieczory, kiedy można było tam obejrzeć telewizję, dopiero raczkującą, albo po prostu porozmawiać. Wspierali mnie w czasie studiów, kiedy walczyłem z niedostatkiem, pomagali mi, choć ani słowem nie wspominałem o swoich kłopotach. To był dobry i naprawdę życzliwy dom. Było w nim jeszcze jedno. To był dom z tradycjami. Znałem wiele rodzin, środowisk, osób szanowanych i ponad wszelką wątpliwość zasługujących na miano szlachetnych, ale bardzo rzadko prezentowały one ten dawny, trochę przyprószone siwizną *genre*. To są imponderabilia, choć trudno jest czasem wytyczyć granicę między banalnością i czymś wyjątkowym, własnym, co nie jest wyuczone, tylko nabyte wraz z życiem.

Kiedy znalazłem się na KUL, stale dźwięczały mi w uszach słowa o. Pawła. Nie śmiałem się do niego odezwać, znowu on pierwszy mnie odszukał. Potem sam także przyszedł na KUL, by przejść studia licencjackie i zrobić doktorat pod kierunkiem ks. Rechowicza. Ojciec Paweł miał obowiązek uczęszczania na moje zajęcia, choć był to przedmiot daleki od jego zainteresowań. Zwolniłem go, ponieważ miał ukończone cztery semestry prawa jeszcze przed wojną. Mawiał często:

– Pan Bóg mnie pokarał, wymądrzałem się wobec ciebie, to musiałem być twoim uczniem.

Zwróciłem mu uwagę na niestosowność stwierdzenia, że bycie moim uczniem to kara Boża. Wiele było z tego wesołości. Jeszcze znacznie później wspominał, jak trafnie ocenił przywilej bywania na moich zajęciach, którego ja za karę go pozbawiłem. Miał ogromne poczucie humoru.

Był częstym gościem w naszym – moim i mojej matki – mieszkaniu. Lubili się z wzajemnością. Do mojej matki zwracał się wyłącznie *per* mamó.

Pewnego razu po dniu spędzonym w bibliotece, kiedy zapominał o wszystkim, co nie było książką, wpadł do nas i już od progu zawołał:

– Mamó, głodny jestem jak wilk.

Matka szybko zerwała się z fotela i spytała, co by zjadł.

– Najlepiej jajecznicę.

W kuchni matka szeptem odezwała się do mnie:

– Z ilu jajek?

Ja na to, że sześć wystarczy. Zrobiła groźną minę, sądząc, że żartuję. Dla spokoju dodałem, że może i ja zjem. Była więc jajecznicą z sześciu jaj. Paweł zabrał się do jedzenia i już po chwili talerz był pusty. Podziękował i rzekł:

– No, pierwszy głód zaspokojony.

Trzeba było widzieć minę mojej matki.

Przyjaźń z Pawłem nauczyła mnie, co to znaczy mieć kindersztubę. On to nazywał tresurą. Opowiadał mi, że w ich domu był kamerdyner, który był chodzącą etykietą. Ojciec Pawła, kiedy się spodziewał jakichś wybitniejszych gości, zawsze go wypytywał, co, jak i kiedy należy robić. Zażartowałam, że kamerdyner ten mógłby z powodzeniem grać rolę hrabiego.

– Oj, chyba nie – padła odpowiedź. – Brakowałoby mu tej tresury, która sprawia, że pewne gesty nie są wyuczone, bo się wraz nimi wzrastało.

Przeważnie brakuje tego dzisiejszym możliwym tego świata, a tłumaczą się, że to demokracja.

Po latach, w styczniu 1984, o. Paweł pisał do mnie:

Zawsze najserdeczniej wspominam naszą przyjaźń odrodzoną w Lublinie.

Przeżyłem tam trzy najszcześniejsze lata mojej egzystencji powojennej i Ty byłeś mi najbliższy w tym czasie. Rozdzielił nas zły los i trzyma straż.

Zawsze mu mówiłem, że gdy tylko wróci do Tyńca, zostanie wprzęgnięty w zadania, które położą kres jego planom naukowym. Pisał więc w liście dalej:

Twoje przepowiednie ziściły się co do joty. Mimo to śledzę twoją pracę – i sukcesy – z największym zainteresowaniem. Imponuje mi Twoja planowość, ukoronowana teraz i wytłumaczona *Papiestwem i papieżami*. Jak Ci dziękować? Entuzjastycznie winszuję, to jest arcydzieło godne Ciebie.

Kiedy 30 lipca 1984 r. zmarła moja mama (dość nieoczekiwanie, bo nic nie wskazywało na możliwość zawału), nie mógł przyjechać na pogrzeb. Chyba sam był chory czy nawet miał operację ortopedyczną, dziś już nie pamiętam dokładnie. Wiedziałem jednak, że jego wyrazy współczucia płynęły prosto z serca.

Bardzo zróżnicowane były jego opinie o pracownikach naukowych, z którymi zetknął się na KUL. Nieraz mi mówił, że pozbył się tu wszelkich kompleksów. Miał jedną wspaniałą cechę – potrafił scharakteryzować osobę bez wyrażania radykalnej krytyki, a jednak wiadomo było, co o niej sądził. Po latach się przekonałem, że nigdy się nie mylił. Takich ludzi jak on już się nie spotyka, a może tylko ja nie mam takiego szczęścia. Jeśli tak jest, to szczerze tego żałuję, bo Paweł był dla mnie podporą w chwilach naprawdę trudnych. Był to człowiek niełatwej do oszacowania wiary, ale bez ambicji obnoszenia jej na koturnach.

W latach osiemdziesiątych miałem też częsty kontakt ze Stefanem Stablewskim¹²⁶ z Krakowa, którego raz czy drugi odwiedziłem i który także kilka razy gościł u mnie w Lublinie. Bardzo zależało mu na tym, abym napisał biografię abp. Floriana Stablewskiego¹²⁷, co nawet leżało w moich zamiarach. Ten bardzo szlachetny człowiek, prawdziwy dżentelmen starej daty, ale też doskonale wżyty w rzeczywistość Polski ludowej, nie orientował się w zawiłościach pracy historyka i sądził, że dorywczo zebrane materiały, pamiątki czy spuścizna rodzinna mogą istotnie dopomóc w szybkim opracowaniu biografii.

Zajmowałem się postacią arcybiskupa, ale nie na tyle, by dysponować poważnym *dossier* źródłowym. To, co napisałem w tej materii, to nic innego jak tylko przyczynki. Później jego krótką biografię wydał mój kolega, ks. Kazimierz Śmigiel. Arcybiskup Stablewski był osobowością, o której można jeszcze sporo napisać, głównie na temat jego działalności z czasów przed objęciem archidiecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej. Miałem wyrzuty sumienia, że nie wziętem się za badania nad nim w taki sposób, żeby jeszcze za życia jego krewnego mógł się ukazać jakiś znaczący ich rezultat.

¹²⁶ Stefan Florian Stablewski (1895–1985), rotmistrz dyplomowany WP, publicysta, działacz konserwatywny. Uczestnik wojny polsko-bolszewickiej, odznaczony Orderem Wojennym *Virtuti Militari*. Absolwent wyższej szkoły wojskowej. Walczył we wrześniu 1939 r., do 1945 przebywał w oflagu IIC w Woldenbergu. Po wojnie pracował m.in. jako akwizytor apteczny.

¹²⁷ Florian Stablewski (1841–1906), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1866. Absolwent Uniwersytetu Ludwika i Maksymiliana w Monachium. Doktorat z teologii 1866. Pracował jako duszpasterz w Wielichowie, Tarnowie Podgórnym i Śremie. W Śremie był także katechetą i nauczycielem języka hebrajskiego w gimnazjum. Usunięty z pracy w 1873 po odmowie podporządkowania się zarządzeniu wykładania religii w języku niemieckim. Objął wówczas funkcję proboszcza we Wrześni, gdzie działał jednocześnie w towarzystwach rzemieślniczych, przemysłowych i rolniczych. Wspierał też szeroko pojętą działalność kulturalną. Organizował bank ludowy w Śremie. W latach 1876–1891 sprawował mandat poselski w sejmie pruskim i działał w szeregach Koła Polskiego, m.in. występował w sprawie zachowania języka polskiego jako wykładowego w szkolnictwie. Arcybiskup metropolita gnieźnieński i poznański, prymas Polski od 1891.

Bardzo sobie ceniłem rozmowy z panem Stefanem i korespondencję z nim. Przenosiły mnie one niejako w przeszłość – dla niego stanowiącą część jego życia, dla mnie zaś już tylko historię. Podobnie jak w kontaktach z o. Pawłem miałem też ten niezwykle komfort obcowania z kulturą wrodzoną, a nie nabytą. Pan Stablewski odwiedził mnie w domu i moja matka, która nie miała przecież styczności z dworskim życiem i z wyższymi sferami, powiedziała mi później:

– Zaraz widać, że to ktoś inny niż dzisiejsze wielkości.

Na marginesie tych spotkań – było może więcej z ludźmi tego pokroju – trzeba zaznaczyć, że żadna wielkość z nominacji nie może się równać z tymi, dla których kultura jest ich własną skórą, a nie frakiem czy innym strojem. Mieczysław Jałowiecki¹²⁸ w swej ciekawej autobiografii pisze, że parweniusz – w nie wiem jak wykwintnym odzieniu i przyozdobiony wszelkimi możliwymi honorami – zawsze pozostanie parweniuszem i nadejdzie czas, gdy zachowa się odpowiednio do swej kondycji. To parafraza jego wypowiedzi, która jest i bardziej lapidarna, i druzgocąca.

W styczniu 1985 r. nawiązałem bliższy kontakt z Michałem Horoszewiczem, dobrze mi znanym z „Argumentów”, gdzie zajmował się sprawami kościelnymi. Czytywałem jego teksty regularnie. Cechowały je rygorystycznie przestrzegana rzeczowość i staranna wiedza na poruszany temat. Aczkolwiek trudno było nie dostrzegać celu tych publikacji, a było nim zwalczanie nie tyle Kościoła katolickiego, ile religii w ogóle. Na bazie wypowiedzi Horoszewicza można było jednak budować jakąś dyskusję, czego nie można powiedzieć o wielu zawodowych ateistach czy antyklerykałach.

Michał Horoszewicz proponował mi udział w publikacji *Ewolucja Kościoła katolickiego w powojennym czterdziestoleciu*. Miałaby ona postać dwugłosu, jeden głos należałby do autora katolickiego, drugi – do członka redakcji czasopisma „Człowiek i Światopogląd”, w tym konkretnym wypadku – do pana Horoszewicza. Propozycja była kusząca, ale był to czas bezpośrednio poprzedzający mój półroczny pobyt w USA. Piętrzyły się też inne zobowiązania, m.in. zlecona mi przez PWN rewizja dzieła ks. Żywczyńskiego *Historia powszechna*, t. 4. Może w zanadrzu tkwiła też obawa, że mogę się dostać na listę kontestatorów,

¹²⁸ Mieczysław Jałowiecki (1876–1962), ziemianin, agronom, dyplomata. Absolwent politechniki w Rydze i uniwersytetu w Bonn, gdzie uzyskał doktorat. Delegat rządu polskiego w Gdańsku (1919–1920). Autor wspomnień o swojej pracy w dyplomacji II RP oraz o dziejach ziemiaństwa polskiego. Autor licznych prac na temat gospodarki rolnej.

w kołach kościelnych pojawiały się bowiem głosy krytykujące moje *Papiestwo i papieża* za rzekomy liberalizm poglądów. Przekonywało mnie stwierdzenie pana Horoszewicza:

Osobiście uwolniłem się od ulegania dość u nas rozpowszechnionej koncepcji upatrywania w „papieskiej zmianie warty” w październiku 1958 r. jakiejś zasadniczej cezury w dziejach Kościoła. Nie dostrzegam tam przełomu – widzę ciągłość ewolucyjną, choć oczywiście w zróżnicowanym nasileniu.

Pogląd taki był mi bardzo bliski w czasie pisania *Papiestwa*. Co prawda tuż po wyborze Jana XXIII jego zmiana sposobu bycia, rewolucja w dziedzinie etykiety i ceremoniału mogły skłaniać do dostrzegania w tym jakichś istotnych zmian w Kościele, ale porównanie obu pontyfikatów – Piusa XII i Jana XXIII – pokazało jasno, że tak nie było. Natomiast za Jana XXIII ujawniła się silniej niż poprzednio tendencja ewolucyjnego przystosowania się Kościoła do rzeczywistości. Wprawdzie on pierwszy użył pojęcia *aggiornamento*¹²⁹, ale zjawisko takie istniało na długo przed tym. Niektórzy błędnie je rozumieją, nie chodzi tu bowiem o przystosowanie się Kościoła do ducha czasu, ale o jego zrozumienie i uwzględnienie w ewangelizacji.

Dalsze kontakty z panem Horoszewiczem potwierdziły, jak bardzo mój szacunek dla niego był uzasadniony. Nie mam prawa ani cytować tu jego bardzo osobistych wypowiedzi, ani też charakteryzować stanowiska, jakie zajął w połowie lat osiemdziesiątych – zatem wtedy, gdy upadek komunizmu można było co najwyżej przeczuwać. Pozostał sobą, ale z wielką otwartością na dialog i to wszystko, co z niego można było czerpać. W późniejszych latach bardzo sobie ceniłem jego uwagi o moich publikacjach. W wielu wypadkach jego pedantyczna faktografia korygowała moje mniej pedantyczne pomyłki. Co do jego uwag dotyczących artykułu *Polska w oczach Żydów amerykańskich* – chociaż i tu dostrzegam tylko rzeczowość (w przeciwieństwie do inwektyw ze strony wielu innych oponentów, np. ks. Michała Czajkowskiego), to wydaje mi się, że pan Horoszewicz pozwolił się uwieść powszechnemu w pewnych kołach mniemaniu, że w tych sprawach lepiej czegoś nie dopowiedzieć, aniżeli powiedzieć prawdę.

¹²⁹ Wł. uwspółcześnienie.

Moje członkostwo w Görresgesellschaft stwarzało wiele okazji do nawiązywania znajomości. Mają one to do siebie, że po pewnym czasie wygasają, jeśli nie ma – a tak jest najczęściej – bezpośredniego powodu do kontaktów. Przeglądając wizytówki, zastanawiamy się niekiedy, co się łączy z tym czy innym nazwiskiem. Pamięć nie zawsze jest tu pomocna. W moich wspomnieniach pomijam osoby, z którymi nawet przez dłuższy czas korespondowałem, ale była to zaledwie wymiana informacji bieżących lub coś w tym rodzaju.

Do ciekawszych zaliczę spotkania i kontakty z dr. Stanem Steinem z Nowego Jorku. W czasie mojej bytności w USA w latach osiemdziesiątych był to już starszy i schorowany pan. W przeszłości prowadził zajęcia na Columbia University w Nowym Jorku. Miał wykształcenie prawnicze, ale chyba bardziej był politologiem. Listy od niego stanowią ciekawą analizę sytuacji międzynarodowej, a zwłaszcza wydarzeń w Polsce. Pochodził z Pomorza i był bardzo uczulony na problem niemiecki. Także wpływy żydowskie na postrzeganie spraw polskich w świecie oceniał bardzo negatywnie. Nie był jednak antysemitą. Zresztą to określenie nie ma jakiegś rzeczowej definicji, jest raczej pałką, którą się bije po głowie niewygodnych dyskutantów czy wręcz przeciwników. W jednym z listów we wrześniu 1990 r. pisał:

Nie bardzo jestem zadowolony z tego, że doszło do zjednoczenia Niemiec, czy zjednoczony parlament niemiecki uzna Odrę i Nysę, na to musimy czekać. Ja mam pewne obawy, jeżeli większość w parlamencie będą mieli chadecy, to wątpliwe... Niemcom nie można wierzyć, a Jankesi nie zdają sobie z tego zupełnie sprawy.

Przytłaczał mnie niekiedy jego pesymizm – nawet w przewidywaniach kierunku, w jakim pójdą sprawy w Polsce – choć brak zaufania do szczerości intencji Zachodu wydawał się myśleniem racjonalnym. Dziś powiedziałbym, że na naszych oczach realizuje się jego wizja zmerkantylizowanego świata, w którym jedynym dekalogiem jest potęga dolara i płynące z tego poczucie siły i bezkarności. Wszelkie hasła w obronie praw człowieka mają na celu zakrycie jego faktycznego zniewolenia. Dopóki istnieje podział na tych, którym prawa te przysługują, oraz tych, którym się ich odmawia w imię sztucznie i *ad hoc* skleconych kryteriów, obraz przyjaznego człowiekowi świata nie jest niczym innym jak tylko kuszącym mirażem.

Nigdy nie klasyfikowałem ludzi według ich światopoglądu – religijności czy jej całkowitego braku. Wychodziłem z założenia, że należy uszanować wiarę każdego, zarówno tego, kto wierzy w istnienie Boga, jak i tego, kto wierzy, że Go nie ma. W końcu nie ma niewierzących, nie może być. Są natomiast ludzie bezmyślni. Ci nie zastanawiają się nad tym, co nie leży w zasięgu ich ręki. I obok takich osób przechodzimy obojętnie, nawet jeśli są one w jakiś sposób wpisane w nasze życie. Po prostu się nie utrwalają. Ulatniają się z naszego kręgu widzenia politycy, uczeni, ludzie – jak to się mówi – z górnej półki, a pozostają w pamięci niektórzy przeciętni zjadacze chleba. Pozostają dlatego, że udało im się powiedzieć czy zrobić coś arcyważnego.

Pamiętam wypowiedź pewnego gospodarza w czasie, gdy tworzone spółdzielnie produkcyjne, a ja jako gimnazjalista w czasie wakacji mierzyłem pola. Powiedział:

– Pewnie mnie też wezmą do kołchozu, ale ziemia ich przetrzyma...

Wtedy tego nie pojąłem, ale była to głęboka prawda. Nawet granic pól nie udało się skutecznie zaorać. Tak jest ze wszystkim. Także z tym, co dotyczy ducha. W latach czterdziestych mówiono nam, że nauka w ciągu dwudziestu lat wypłeni religię. Nie była to prawda. Nauka nie ma takiej mocy ani zamiaru. W tym kierunku idzie tylko zatracenie się człowieka w używkach dających złudzenie nasycenia, a rodzących stały niedosyt. Apetyt rośnie w miarę jedzenia. To nas gubi.

O wielu osobach, z którymi skrzyżowały się moje drogi, piszę gdzie indziej, a to, że kilka z nich wyodrębniłem, wcale nie świadczy o mniejszej wadze przykładanej do innych. Bywają jednak spotkania, które pozostawiają ślad nieporównywalny z innymi. Dlaczego tak jest? Może rolę odgrywa tu jakaś niezwykłość, jak np. bywało w czasach Polski ludowej, kiedy ktoś zawodowo zobowiązany do działania na szkodę Kościoła okazywał się bardzo pomocny czy nawet zdradzał sympatie, o które trudno go było posądzać. To coś w tym rodzaju, po prostu pewna wyjątkowość.

Człowiek pojawia się zawsze w jakimś kontekście i w ten sposób należy go odbierać, inaczej staje się niezrozumiały. Dlatego – poza tu wyodrębnionymi – pojawia się na tych kartkach mnóstwo osób, bez których narracja nie miałaby sensu. Żadne zdarzenie nie obywat się bez ludzi, bez nich nie może być historii.

Udział w gremiach naukowych i społecznych

Wiosną 1981 r. zostałem powołany do Rady Naukowej Towarzystwa Opieki nad Majdankiem¹³⁰. Z kolei biskup lubelski Bolesław Pylak 2 listopada 1983 r. mianował mnie członkiem Komitetu Honorowego Budowy Świątyni Pokoju, Pomnika Męczeństwa na Terenie Byłego Obozu Koncentracyjnego na Majdanku w Lublinie. Świątynia ta nigdy nie powstała, choć ponoć już odlano dla niej dzwony. Od samego początku projekt był nierealny. Ponieważ charakter wyznaniowy świątyni nie był określony, zachodziłaby okoliczność przeznaczenia jej także na potrzeby innych religii, władze państwowe natomiast widziałyby jej zgoła świecki charakter. Za dużo sprzecznych oczekiwań. Wiele osób, w tym także księży, mocno się jednak w tę sprawę zaangażowało.

Z moim członkostwem w komitecie nie wiązało się specjalnie dużo zajęć, trzeba było niekiedy wziąć udział w jakiejś sesji poświęconej Majdankowi, ewentualnie służyć radą w pracowni historycznej. Pewnego razu przybył na taką sesję naukową minister Kazimierz Kąkol, stojący wtedy na czele Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Zupełnie wypadło mi z głowy, co to było za spotkanie. W gmachu posiedzeń, zaraz przy wjeździe na teren Majdanka, zgromadziło się sporo uczestników spotkania, a wśród nich minister. Kiedy mnie spostrzegł, podszedł i przywitał się kordialnie. Chcąc zabłysnąć dowcipem, zapytał, czy władza duchowna wie, że uczestniczę w takich posiedzeniach. Odpowiedziałem:

– U nas nie ma takiej dyscypliny jak w partii, mogę uczestniczyć, w czym chcę. Nie wiem, czy pan mógłby sobie na coś takiego pozwolić.

Zrobił dobrą minę do złej gry i coś wymamrotał, ale niektórzy blisko stojący i słyszający ten dialog byli wyraźnie stropieni.

Kąkol miał to do siebie, że nie był sztywny i nadęty jak niektórzy bonzowie. Sam potrafił błysnąć dowcipem i nie uciekał przed nim, gdy inni mu go aplikowali. To była dobra cecha i bardzo przydatna każdemu, kto ma władzę. Nigdy do końca nie mogłem uwierzyć w jego komunizm. Tacy ludzie jak on lubili zaszczyty i reprezentatywne funkcje. Dla ich osiągnięcia gotowi byli na wiele, ale czy aż na przyjęcie

¹³⁰ Towarzystwo Opieki nad Majdankiem – ogólnopolska organizacja typu *non-profit* powstała w listopadzie 1945. Zrzesza tych, którym bliska była szeroko rozumiana idea upamiętniania ofiar niemieckiego obozu Majdanek oraz – później – prowadzenia badań naukowych nad jego historią. Towarzystwo – ściśle współpracując z Państwowym Muzeum na Majdanku w Lublinie – obecnie ma na celu opiekę nad byłym hitlerowskim obozem koncentracyjnym na Majdanku oraz zachowanie pamięci o martyrologii narodu polskiego i narodów świata doświadczonych totalitaryzmami europejskimi.

komunizmu jako recepty na życie? Znałem sporo takich i im współczułem, bo to jak chodzenie w za ciasnym ubraniu – uwiera i zatrzuwa nawet najmilsze chwile. Cechowała ich pewna gotowość pomagania instytucjom i ludziom przez reżim zwalczanym, głównie Kościołowi. Nic dziwnego, że wielu księży miało takie znajomości, a nawet przyjaźnie, i po 1989 r. lojalnie chroniło ludzi reżimowych. Swoją drogą nic złego im się nie działo, a po przejściowym paroksyzmie wywołanym zmianą ustroju niejeden z nich już jako prominent nowej ekipy mógł się takiemu kapłanowi sowicie odpłacić. Znam takie przypadki, wcale nie tak rzadkie. Nic mam nic przeciwko pomocy tym, którzy w czasach PRL potrafili mimo swej partyjności zachować przyzwoitość, ale patrząc na te roszady z punktu widzenia kryteriów politycznych, dziwię się, że prawdziwa czy rzekoma opozycja poszła na tak grzaskie układy z dawną nomenklaturą i do spółki z nią stworzyła nową. Wielu dziś się zastanawia, czy na pewno lepszą niż poprzednia.

Mogło się wydawać, że stan wojenny spowoduje zamrożenie inicjatyw i kontaktów – stało się wręcz przeciwnie. Wprawdzie dotknął on wiele środowisk twórczych, w tym naukowych, ale po pierwszym szoku wszystko wracało do normy. Osobiście mogę powiedzieć, że to, co dawniej zamykało niejedne drzwi przed księdzem, nawet jeśli zajmował się on pracą naukową mającą odniesienie nie tylko do spraw kościelnych, teraz jak gdyby straciło na znaczeniu. W listopadzie 1985 r. zostałem członkiem Komisji I i II Wojny Światowej przy Komitecie Nauk Historycznych PAN. Placówką tą kierował prof. Czesław Madajczyk, który nigdy nie zdradzał obaw przed współpracą ze mną, chociaż przez instancje partyjne zapewne nie było to mile widziane.

Pamiętam, że podczas Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w 1968 r. w Lublinie jednej z sesji przewodniczył ks. prof. Żywczyński. Po sali kina „Kosmos”, gdzie odbywały się obrady, rozeszła się wieść, że przedstawiciel KC PZPR, bodajże Józef Tejchma¹³¹, zapytał prezesa PTH prof. Stanisława Herbsta, który był gospodarzem zjazdu:

– Jak to jest, że w istniejącej rzeczywistości ksiądz przewodniczy sesji?

Profesor Herbst miał odpowiedzieć:

– Bo taka jest ta nasza rzeczywistość, panie sekretarzu.

¹³¹ Józef Tejchma (ur. 1927), historyk, działacz komunistyczny. Członek BP KC PZPR 1968–1980, dwukrotnie minister kultury i sztuki 1974–1978, 1980–1982. Minister oświaty i wychowania 1979–1980. W latach 1972–1979 wiceprezes Rady Ministrów. Poseł na Sejm PRL 1957–1980. Ambasador PRL w Grecji, Szwajcarii i na Cyprze.

Profesor Żywczyński, kiedy mu to relacjonowałem, śmiał się i podsumował:
– Do Herbsta to podobne.

W lutym 1986 r. zostałem powołany do Komitetu Redakcyjnego *Encyklopedii Pamięci Narodowej*. Cała rzecz była organizowana przez Radę Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, której przewodniczącym był wtedy gen. Roman Paszkowski¹³². Prezesurę honorową komitetu objął prof. Henryk Jabłoński¹³³. Nie pamiętam żadnego zebrania redakcyjnego, aczkolwiek niewykluczone, iż po prostu w takowym nie uczestniczyłem. Natomiast 8 kwietnia 1986 r. odbyło się na Zamku Królewskim w Warszawie posiedzenie inauguracyjne Komitetu Honorowego i Redakcyjnego *Encyklopedii*.

Na tym zebraniu nie byłem, ponieważ po pierwsze, okazało się, że cała inicjatywa pochodzi od ZBoWiD, którego prezes rady naczelnej Henryk Jabłoński sprawował główny mecenat, a koncepcja i wykonanie *Encyklopedii* leżały w gestii Wojskowego Instytutu Historycznego, którego komendantem był prof. Kazimierz Sobczak. Wolałem trzymać się od tego z daleka. We wrześniu otrzymałem bardzo ogólny projekt *Encyklopedii*. Miała ona zawierać hasła obrazujące wydarzenia związane z wojną i okupacją, następnie działalność osób i organizacji oraz „dzieła – wytwory pracy umysłu i intelektu, stanowiące kryteria tożsamości narodowej i państwowej i stymulatory świadomości historycznej, obejmujące dokonania w dziedzinie państwa i prawa, wojskowości i ruchów społecznych”.

To bardzo ogólnikowe wytyczenie zakresu tematycznego nie zostało skonkretyzowane w omówieniu kryteriów doboru haseł w ramach takiej problematyki. Można było z całą pewnością przyjąć, że niepodległość, będąca hasłem wiodącym w całokształcie programowym *Encyklopedii*, rozumiana będzie ściśle według idei zawartej w Manifeście PKWN z wykluczeniem obecnej tam zapowiedzi

¹³² Roman Paszkowski (1914–1998), generał broni, pilot WP. Oficer WP od 1936, uczestnik wojny obronnej 1939, dwukrotnie ranny podczas walk, jeniec oflagów niemieckich 1939–1945. Więzień okresu stalinowskiego 1951–1955. Dowódca 1 Korpusu Obrony Przeciwlotniczej Obszaru Kraju 1959–1962, dowódca Wojsk Obrony Powietrznej Kraju (1967–1976). Ambasador PRL w Angoli 1976–1980. Wojewoda katowicki 1981–1985. Przewodniczący Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa 1985–1990. Poseł na Sejm PRL 1985–1989. Prezes Klubu Generałów WP.

¹³³ Henryk Jabłoński (1909–2003), historyk, polityk komunistyczny. Uczestnik bitwy o Narwik i francuskiego ruchu oporu w czasie drugiej wojny. Doktorat 1934, habilitacja 1948, profesor zwyczajny 1950. Członek KC PZPR 1948–1981 oraz 1986–1990. Członek BP KC PZPR 1971–1981. Minister szkolnictwa wyższego 1965–1966 oraz w latach 1966–1972 szef resortu oświaty i szkolnictwa wyższego (podpisywał decyzje o relegowaniu „nieprawomyślnych” studentów po marcu 1968 r.). Poseł do KRN 1945–1947 i na Sejm Ustawodawczy 1947–1952 oraz na Sejm PRL wszystkich kadencji 1952–1989.

demokracji w ustroju Polski. *Encyklopedia* miała więc być podsumowaniem czterdziestolecia PRL, tym wiarygodniejszym, że dokonany na bazie szerokiego spektrum autorskiego, nie tylko zresztą w aspekcie czysto personalnym, ale raczej jako obecność wielorakich środowisk w tym dziele. Coś w rodzaju Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego¹³⁴ w przedmiocie najnowszej historii Polski, jak wiadomo, na najtrudniejszym jej odcinku od chwili powstania państwa polskiego.

Drugi powód, dla którego od takich przedsięwzięć trzymałem się z daleka, to oczywisty fakt, iż zakładano tu fałszowanie historii, które swoją obecnością należałoby firmować. Nie we wszystkich przedsięwzięciach naukowych organizowanych w PRL tak było, ale w tym wypadku – z całą pewnością. Trzeba by przede wszystkim zrezygnować z pisanie o tym, co działo się na wschodzie Rzeczypospolitej po 17 września 1939 r., nadto trzeba by przynajmniej omijać sprawę Katynia. To tylko niektóre przekłamania, bez których by się nie obyło.

Zawsze najbardziej mnie dziwił i do dziś dziwi fakt całkowitego pomijania mnie przez instytucje kościelne, które nigdy nie zgłaszały zapotrzebowania na moje usługi. Przecież mógłbym niejedno zdziałać. Nawet gdy chodziło o dokonanie czegoś ważnego, nie tylko z punktu widzenia czysto historycznego, lecz także istotnego w życiu kościelno-społecznym – a za takie coś uważam dokończenie i wydanie dzieła ks. Witolda Klimkiewicza o kard. Ledóchowskim – nikt z wodzów duchownych tym się nie przejął. Ksiądz prymas Glemp, który – trzeba mu oddać sprawiedliwość – subwencjonował Księgarnię św. Wojciecha i umożliwił wydanie dzieła, zdziwił się tylko i dopytywał, kiedy ja to wszystko robię. Odpowiedziałem żartem, że zajmuję ludzi.

Może to dobrze, że moje rodzime środowisko mnie ignorowało, bo ze strony instytucji świeckich miałem sporo propozycji wymagających dużego nakładu pracy. Komitet Nauk Historycznych PAN w osobie prof. Jerzego Topolskiego¹³⁵ zwrócił się do mnie w czerwcu 1987 r. z propozycją napisania artykułu pt. *Włochy i stosunki*

¹³⁴ Fasadowa organizacja polityczna utworzona w 1982 r. przez Wojciecha Jaruzelskiego. Miała za zadanie propagandowo prezentować szerokie poparcie społeczeństwa dla władz, szczególnie w kwestii wprowadzenia stanu wojennego. Zasiadali w niej zaufani reprezentanci środowisk społecznych i politycznych. Na czele PRON stał Jan Dobraczyński.

¹³⁵ Jerzy Topolski (1928–1998), historyk specjalizujący się w historii społeczno-gospodarczej i metodologii historii. Absolwent UP. Doktorat 1951, profesor nadzwyczajny 1961, profesor zwyczajny 1965. Pracownik naukowy UP/UAM od 1951. Wicedyrektor Instytutu Historii UAM 1968–1981, dyrektor 1981–1987. Członek korespondent PAN od 1971, członek rzeczywisty od 1977. Autor ponad 1000 publikacji naukowych. Członek PZPR.

polsko-włoskie w polskiej historiografii XX wieku. Byłby to przyczynek do księgi, która miała być zaprezentowana przez Polskę na światowym zjeździe historyków w Madrycie w 1990 r. Ostatecznie wyszedł z tego artykuł *Powojenna historiografia papieżstwa i stosunki polsko-watykańskie*, który ukazał się w książce *Polska nauka historyczna w historiografii światowej* (Wrocław 1990).

Z kolei 26–28 listopada 1987 r. Instytut Historii PAN urządzał sesję „Czynniki kształtujące świat nowoczesno-współczesny”. Mnie powierzono koreferat do referatu prof. Andrzeja Zajączkowskiego¹³⁶ pt. *Rozwój religii a proces zmian świata współczesnego*. Pozostałe wypowiedzi dotyczyły roli państwa w społeczeństwie, nacjonalizmu i narodu, działań ideologicznych, wojny i pokoju i ich wpływu na rozwój świata, podobnie techniki, gospodarki, wybitnych jednostek. Jedynym referatem poświęconym epoce było wystąpienie prof. Baszkiewicza na temat okresu od rewolucji francuskiej do współczesności z koreferatem prof. Antoniego Czubińskiego. Można powiedzieć, że w czasie tej sesji zaprezentowała się cała śmietanka nauk nie tylko historycznych, lecz także społecznych.

Przysłuchując się dyskusji i uczestnicząc w niej, pomyślałem sobie, że jednak w PRL – co prawda w schyłkowej jego fazie – możliwa jest wymiana bardzo zróżnicowanych poglądów. Wprawdzie w wąskim gronie specjalistów, ale zawsze to coś znaczyło. Jeśli byśmy próbowali porównać to z sytuacją nauki w NRD, to właściwie nie ma tu żadnego *tertium comparationis*¹³⁷. Brak jakiegokolwiek odniesienia. Tam małpowano naukę radziecką i do tego stopnia paskudzono historię własnego kraju, że prace na ten temat można było kupować jedynie jako *curiosum*. Zresztą kupowało się te książki za złotówkę. Jedynie prace z dziedziny metodologii czy regionalistyki, takiej *Landeskunde*, były coś warte. Wydawany przez VEB Deutscher Verlag Der Wissenschaften w latach siedemdziesiątych „Lehrbuch der deutschen Geschichte”¹³⁸, kilkunastotomowa kolubryna, nie przedstawiał żadnej wartości, chyba że chodziło o zapis prostych faktów. Wszystko było przefiltrowane przez sito materializmu historycznego. Takich anomalii w Polsce nie było, nawet zapoczątkowana i niedokończona w latach pięćdziesiątych tzw. panowska historia Polski w porównaniu do tamtego dzieła była okazem obiektywizmu.

¹³⁶ Andrzej Zajączkowski (1922–1994), socjolog, historyk kultury, afrykanista. Od 1978 profesor PAN i UW. Od 1981 kierownik Zakładu Krajów Pozaeuropejskich PAN. Specjalizował się w socjologii historycznej i socjologii krajów rozwijających się. Przewodniczył komitetowi redakcyjnemu rocznika „Acta Asiatica Varsoviensia”. Wykładał na uczelniach w Ghanie i Ugandzie.

¹³⁷ Łac. trzecie do porównania; trzeci element stanowiący miarę porównania dwu innych elementów.

¹³⁸ Jest to seria wydawnicza.

Wadą polskich dzieł było wykrawanie z nich tematów trefnych, a tak się składało, że właśnie one były najbardziej chodliwe.

W październiku 1987 r. zostałem powołany do Komitetu Nauk Historycznych PAN na kadencję 1987–1989. W sumie zasiadałem w tym gremium dwie kadencje, w tym jedną także w prezydium.

Rok 1986 kończył się miłym akcentem. Przyznano mi Nagrodę im. Włodzimierza Pietrzaka¹³⁹, której uroczyste wręczenie odbyło się w Pałacu Staszica 23 listopada. Ponieważ była to nagroda PAX, różnie to komentowano. Wahałem się i ja, czy ją przyjąć, ale z perspektywy czasu widzę, że słusznie postąpiłem. Uczelnia, na której przepracowałem 42 lata, nigdy nie zdobyła się na przyznanie mi jakiegokolwiek wyróżnienia, choć obsypywano nimi osoby, w których dorobku próżno by szukać ponadprzeciętnych osiągnięć. Nagród w życiu miałem zaledwie kilka i wszystkie one pochodziły spoza środowiska kościelnego. Omijały mnie nawet odznaczenia przysługujące w miarę upływu wysługi lat, będące udziałem każdego pracownika, który utrzymał się w jednym miejscu pracy i nie popełnił żadnych nadużyć. Wprawdzie kiedyś się zdarzyło, że dziekan, ks. Weiss usilnie mnie prosił o podanie danych potrzebnych do jakiegoś odznaczenia czy wyróżnienia, nic jednak z tego nie wyszło, bo do MEN wniosek z KUL już nie dotarł. Powiedziała mi o tym jedna z pracowniczek tej instytucji. Po prostu na KUL ktoś mnie skreślił i wpisał swego kumpla czy kuzyna.

Jeśli chodzi o wyróżnienia natury kościelnej, to w 2000 r. otrzymałem godność kapelana Jego Świątobliwości. Nie mogę twierdzić, iż nie cenię takiej dystynkcji, ale w moim wieku i przy moim stażu pracy oraz stanowisku trudno się cieszyć odznaczeniem, które bywa udziałem osób o ćwierćwiecze młodszych i może bez specjalnego dorobku kwalifikującego do takich wyniesień. Nie chwałę się tym tytułem. Po latach się dowiedziałem, że na arcypasterzu gnieźnieńskim odznaczenie to dla mnie i kolegi Ireneusza Pawlaka wymogli nasi koledzy diecezjalni. Pasterz opierał się, twierdził, że dla diecezji nic nie zrobiliśmy. Może miał rację, bo wszystko zależy od tego, co się rozumie pod pojęciem „zrobić”. Niekiedy ma ono całkiem wymierną konotację – i wtedy w naszym wypadku wszystko byłoby w porządku.

¹³⁹ Nagroda przyznawana przez środowisko „Dziś i Jutro”, a następnie przez Stowarzyszenie PAX. Pierwszy raz wręczona w lutym 1948. Nagroda przyznawana jest za wybitną twórczość naukową, artystyczną, literacką, osiągnięcia w pracy formacyjnej, kulturalno-społecznej i edukacyjnej, będące świadectwem uniwersalnych wartości i postaw ludzkich, chrześcijańskich i patriotycznych. Przyznawana jest w kilku kategoriach. Łącznie w latach 1948–1984 wręczono 302 nagrody.

Stale przybywało mi nowych zadań. W styczniu 1988 r. zostałem na dwa lata członkiem Rady Redakcyjnej Polskiego Słownika Biograficznego. Oczywiście dwuletnie kadencje powtarzały się w latach dziewięćdziesiątych, a jak się okazuje, nadal są ponawiane. Podobnie jak moje członkostwo w kolegium redakcyjnym „Kwartalnika Historycznego”, które wygasło, jak mi się wydaje, dopiero w 1998 r. Były z tym związane prace nie tylko o charakterze autorskim, te bowiem wykonywałem na długo przed tą nominacją, lecz także redakcyjnym – należało oceniać i uzupełniać zestawienia haseł. Zabierało to wiele czasu i pociągało za sobą pewną odpowiedzialność, zwłaszcza za kompletność w zakresie haseł poświęconych osobom duchownym.

Całkowitym zaskoczeniem była dla mnie propozycja powołania mnie do Rady Społeczno-Gospodarczej przy Sejmie PRL IX kadencji¹⁴⁰. Przewodniczącym rady był Mieczysław F. Rakowski¹⁴¹. Trochę mnie to ubawiło, ale jeszcze więcej dało do myślenia. Skąd taki pomysł, ewentualnie, kto mnie tam „zaprotegował”? Nie było to bez znaczenia. Nigdy nie szukałem kontaktów z żadnymi środowiskami politycznymi i znany byłem z mojej krytycznej postawy wobec ustroju PRL. Starałem się tu i ówdzie podpytywać, ale nie miałem źródła, któremu w tym względzie mógłbym w pełni ufać. Oczywiście, na tę propozycję nie odpowiedziałem, a przysłaną mi ankietę, regulamin rady i sprawozdanie z pierwszej połowy IX kadencji przechowuję jako swoiste kuriozum. Najciekawszy w tym wszystkim jest brak jakiegokolwiek instytucji religijnej czy kościelnej wśród wymienionych dziedzin, w których zawodowo uczestniczyli członkowie rady. W ten sposób o mało nie stałem się jednym z prominentów PRL.

Jeśli mowa o przynależności do różnych gremiów naukowych, to wielką satysfakcją był dla mnie wybór na członka zwyczajnego w Instytucie Zachodnim im. Zygmunta Wojciechowskiego. Decyzję tę oznajmił mi prof. Henryk Olszewski 16 kwietnia 1988 r.

¹⁴⁰ Ciało doradcze i opiniotwórcze Sejmu PRL powołane na mocy ustawy 26 III 1982 r. Istniało do zakończenia IX kadencji Sejmu PRL w 1989. Rada liczyła 150 członków (do 1985 – jedynie 120), powoływanych przez Sejm na okres jego kadencji spośród przedstawicieli załóg przedsiębiorstw, pracowników PGR, członków rolniczych spółdzielni produkcyjnych, zrzeszeń rolników indywidualnych, organizacji spółdzielczych, rzemieślniczych, związków zawodowych oraz stowarzyszeń twórczych i naukowych. Żaden z członków Rady nie był jednocześnie posłem, z wyjątkiem jej przewodniczącego powoływanego przez Sejm.

¹⁴¹ Mieczysław Franciszek Rakowski (1926–2008), dziennikarz, publicysta, polityk komunistyczny. Członek PPR/PZPR. Członek KC PZPR od 1972. Wiceprezes Rady Ministrów w rządzie Wojciecha Jaruzelskiego. Prezes Rady Ministrów w latach 1988–1989. Poseł na Sejm PRL 1972–1989.

Muszę też wspomnieć o mojej współpracy z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Byłem z tą instytucją związany od dłuższego czasu i muszę przyznać, że chociaż świadomie i z przyczyn obiektywnych zajmowała się ona tylko połową zbrodni dokonanych na Polakach, nie tykając tych na wschód od Bugu, to jednak nikt tam nie udawał, iż tego ewenementu nie zauważa. Profesor Czesław Pilichowski¹⁴², który przez długie lata kierował komisją, był spokojnym i zrównoważonym człowiekiem, o poglądach co prawda zgodnych z „przewodnią siłą narodu”, ale taktownym w ich wyrażaniu. 1 lipca 1988 r. ówczesny przewodniczący GKBZH w Polsce prof. Kazimierz Kąkol powołał mnie na członka tejże komisji, której tytuł uzupełniony został sformułowaniem Instytut Pamięci Narodowej. W tym samym dniu wszedłem również w skład Rady Naukowej GKBZH w Polsce oraz do Komisji Okręgowej w Lublinie.

Już w kwietniu 1990 r. zaczęły się prace nad nową ustawą o Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Przede wszystkim chodziło o zmianę nazwy tej instytucji, a następnie konsekwentnie o poszerzanie zakresu jej prac i zadań. W projekcie ustawy przewidywano nazwy: Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich oraz Główna Komisja Badania Zbrodni Stalinowskich w Polsce – Instytut Pamięci Narodowej. Obie komisje miały zadania w zasadzie niezmienione w stosunku do poprzednich, sprzed 1990 r., z tym że doszły zbrodnie stalinowskie. Natomiast jeśli chodzi o funkcje komisji, to miały się one skupić na pracach śledczych, dokumentacyjnych i badawczo-naukowych.

Dyskusje w Radzie Naukowej GKBZHwP-IPN – takim skrótem w dalszym ciągu operowano w pismach oficjalnych – nad charakterem i zadaniami tych organów trwały bez ustanku i – trzeba przyznać – były dość niemrawe, dużą rolę bowiem odgrywały w nich wątki polityczne, nie bez znaczenia dla dawnego składu zarówno Głównej Komisji, jak i Rady Naukowej. Dodać tu należy, że ze szczególną wrażliwością podchodzono do tych spraw w czasach rządów lewicy. Oczywiście skład rady ulegał pewnym zmianom. W 1994 r. nie otrzymałem zwykłego w takich razach przedłużenia kadencji, ale nominację na członka Rady Naukowej Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytutu

¹⁴² Czesław Pilichowski (1914–1984), historyk i działacz polityczny. Absolwent UP. W czasie drugiej wojny członek AK. Doktorat 1946, profesor nauk politycznych od 1972. Członek PPR/PZPR. Sekretarz generalny i dyrektor Zarządu Głównego Polskiego Związku Zachodniego w Poznaniu 1946–1950. Dyrektor Wydawnictwa Morskiego 1950–1953. Kustosz w Bibliotece PAN w Gdańsku 1953–1957. Sekretarz generalny Prezydium Rady Naczelnej Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich 1957–1965. Dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce 1965–1984.

Pamięci Narodowej. Nominacja dokonana przez Włodzimierza Cimoszewicza¹⁴³ – przewodniczącego GKBZpNP-IPN – obejmowała kadencję czteroletnią, zatem aż do kolejnej reformy tej instytucji. Nie inaczej było w okresie rządów Solidarności, wyznacznik ugrupowania politycznego wcale nie decydował o poglądach należących do niego osób. Dopiero ustawa z 18 grudnia 1998 r. postawiła w stan likwidacji tę zreformowaną w 1991 r. komisję, która wtedy ostatecznie przyjęła nazwę: Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu – Instytut Pamięci Narodowej. W 1998 r. nowa komisja została nazwana Instytutem Pamięci Narodowej – Komisją Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

25 czerwca 1998 r. odbyło się zebranie owej likwidującej się komisji pod przewodnictwem ówczesnej minister sprawiedliwości Hanny Suchockiej¹⁴⁴. Stan prac nad nową ustawą o Instytucie Pamięci Narodowej przedstawił minister Janusz Pałubicki¹⁴⁵. Podziwiałem jego znajomość tematu, ale osiągnięte wyniki prac legislacyjnych były tak niekonkretne i ogólnikowe, że wywołały bardzo rozległą dyskusję. Nie mogła ona w żaden sposób zmieścić się w dwóch godzinach przewidzianych na posiedzenie, mające w swym porządku obrad sześć punktów.

Przypomniało mi się zaraz jedno z posiedzeń, bodajże w 1995 r., któremu przewodniczył ówczesny minister sprawiedliwości Włodzimierz Cimoszewicz. Wtedy również rozważano, jaką postać powinna mieć przyszła Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, kładziono nacisk na działania prokuratorskie, ale bez wzmianki o przestępstwach popełnianych przez funkcjonariuszy Polski ludowej. Zbrodnie stalinowskie – owszem – teraz stały się przedmiotem dochodzeń, ale właściwie na tym koniec. Wielu dyskutantów stawiało pytania o przestępstwa w czasie całego trwania PRL, a nie tylko w czasach terroru stalinowskiego.

¹⁴³ Włodzimierz Cimoszewicz (ur. 1950), polityk i prawnik. Absolwent UW. Doktor nauk prawnych. Członek ZMS. Członek PZPR od 1971, następnie członek SdRP i SLD. Poseł na Sejm 1989–2005. Wicepremier i minister sprawiedliwości 1993–1995. Wicemarszałek sejmu 1995–1996. Prezes Rady Ministrów 1996–1997. Minister spraw zagranicznych 2001–2005. Marszałek sejmu 2005. Senator RP 2007–2015.

¹⁴⁴ Hanna Suchocka (ur. 1946), polityk i prawnik. Absolwentka UAM. Doktorat 1975, habilitacja 2015. Członek Stronnictwa Demokratycznego 1969–1984. Członek Unii Wolności. Poseł na Sejm 1989–2001. Prezes Rady Ministrów 1992–1993. Minister sprawiedliwości 1997–2000. Ambasador RP przy Stolicy Apostolskiej 2001–2013. Wiceprzewodnicząca Komisji Weneckiej 2015–2016.

¹⁴⁵ Janusz Pałubicki (ur. 1948), polityk, historyk sztuki. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL. Absolwent UAM. Członek ZMS 1964–1968, Zrzeszenia Studentów Polskich 1968–1973, Socjalistycznego Związku Studentów Polskich i Związku Nauczycielstwa Polskiego 1973–1980. Od 1980 członek Solidarności. Poseł na sejm i minister koordynator służb specjalnych 1997–2001.

W czasie posiedzenia w czerwcu 1998 r. pojawiły się te same problemy i znowu unikano tematu „rozliczeniowego”. Zresztą wiedzano tak mało o projektowanym nowym prawie w tej materii, że rzeczowa dyskusja była niemożliwa. Przewodniczący Rady Naukowej prof. Czesław Łuczak starał się jakoś uspokoić umysły, ale dopiero jego propozycja, by każdy, kto nie otrzymał głosu lub nie zdołał się wypowiedzieć, nadesłał swe uwagi na piśmie, rozładowała napięcie.

Leżą przede mną te moje uwagi. Wysłałem je na ręce wiceprzewodniczącego Głównej Komisji, prof. Witolda Kuleszy¹⁴⁶ nazajutrz po zebraniu, 26 czerwca 1998 r. Mój memoriał liczył cztery strony i zawierał postulat zmierzający do sprowadzenia zadań i kompetencji Głównej Komisji czy Instytutu Pamięci Narodowej do czynności śledczo-procesowych skierowanych przeciwko osobom i instytucjom, które działały na szkodę obywateli polskich i państwa polskiego. Podkreślane w tytulaturze instytucji pojęcie „naród polski” winno być w ten sposób uściślone. Akta będące wytworem władz okupacyjnych czy później peerelowskich winny być składowane i udostępniane w archiwach państwowych, do których wgląd mogłyby mieć wszystkie osoby na zasadzie zwyczajnych w takich razach uprawnień dających dostęp do materiałów archiwalnych. Tutaj tylko w ogólnym zarysie przedstawiam moje ówczesne *votum*. Nie chcę sobie przywłaszczać jego pełnego autorstwa. To, co napisałem, przewijało się w dyskusji, nawet tej jakże niepełnej i dyscyplinowanej stale brakiem czasu.

Myślę, że dzisiaj IPN nie znalazłby się w ślepej uliczce, gdyby wówczas znaleziono czas i zadano sobie trud sensownego ustalenia reguł mających obowiązywać w tej instytucji i w ogóle w rozliczaniu się z przeszłością. Dziś wielu gardłuje, by tego zaniechać. Pewnie najczęściej są to głosy osób zagrożonych zbytnią dociekliwością, ale może się zdarzyć, że mówią tak również ludzie pod każdym względem czysti, ale zarazem nieświadomi, jak wielką trucizną jest pozostawienie łatwo gnilnych śmieci. Ta przeszłość to coś porównywalnego i nie wolno jej pozostawić bez rozliczenia. Nie chodzi o zemstę czy odwet, ale o to, by nową rzeczywistość rozpoczynali i kształtowali ludzie nieobciążeni garbem niechlubnej przeszłości.

¹⁴⁶ Witold Kulesza (ur. 1950), prawnik. Absolwent UŁ. Doktorat 1982, habilitacja 1992, profesor nadzwyczajny 1992, profesor zwyczajny 2015. Od 1973 pracownik naukowy UŁ. Kierownik Zakładu Prawa Karnego Materialnego od 1992. Przewodniczący Okręgowej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi 1994–1998. W 1998 dyrektor Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Współautor ustawy o IPN. Po jej uchwaleniu 2000–2006 dyrektor nowo zorganizowanej Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

W czasie dyskusji podnoszono kwestię kompetencji IPN. Ta instytucja mia-
łaby być archiwum *sui generis*, lecz także placówką śledczo-prokuratorską. Do-
tychczas takie czynności były przewidziane tylko w stosunku do przestępców
wojenno-okupacyjnych i to z terenu okupacji niemieckiej. Siłą rzeczy nowy IPN
(czy Główna Komisja – nazwa ma tu znaczenie drugorzędne) musiałby się za-
jąć zbrodniami dokonanymi zarówno w czasie utrwalania władzy ludowej, jak
i w PRL. To już nie mogło być obojętne dla wielu osób w III Rzeczypospolitej
nadal znajdujących się przy władzy, które zostałyby rozliczone z przeszłości.
O TW i podobnych grzechach społeczeństwa wtedy nawet nie myślano, ale roz-
liczenie z nimi także musiało nadejść. Wydaje mi się, że walka z lustracją *Anno*
Domini 2007, wprzęgnięcie w nią nawet Trybunału Konstytucyjnego to odruch
panicznego strachu prominentów umoczonych we współpracę z PRL przeciwko
społeczeństwu i niepodległości tego kraju. Trybunał przyjął na siebie zadanie
zapewnienia im bezpieczeństwa i właśnie tą okolicznością podyktowane jest
ferowanie tak haniebnych werdyktów. Z tego wszystkiego w latach 1998–1999
nie w pełni zdawałem sobie sprawę, chociaż wspomniane uwagi, jakie wów-
czas przesłałem na ręce ministra sprawiedliwości, sygnalizowały istnienie tego
problemu.

Za rządów AWS, w 1999 r., minister sprawiedliwości Hanna Suchocka, *nota-*
bene moja była uczennica z liceum pleszewskiego, odwołała mnie ze składu Rady
Naukowej Głównej Komisji. Nie wiem, czy było to czyszczenie owej rady z osób,
które były związane z Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce,
czy też może – w co jednak wątpię – wpływ na to miały moje uwagi. To ostatnie
wykluczyłbym, swoje sugestie przesłało bowiem wielu członków GKBZH, a wątpię,
żeby je w ogóle ktoś czytał. Zamyśl zmian w tym organie był z góry postanowiony,
a poważna konsultacja nie była przewidziana. Opisane wyżej zebranie najlepiej
o tym świadczyło.

Gdy śledziłem próby – niestety, chyba udane – dokonania zamachu na IPN
wychodzące z szeregów Platformy Obywatelskiej i SLD, zaczynałem rozumieć
politykę wobec tej instytucji w latach dziewięćdziesiątych. Ale czyż wtedy, w cza-
sie – jak się wydawało – odrodzenia Polski po latach reżimu komunistyczne-
go, można było przypuszczać, że na wierzchołki władzy pchać się będą ludzie
skompromitowani najgorszym występkiem, jaki w życiu cywilnym można po-
pełnić – szpiclowaniem za taką czy inną opłatą? Czy można było wówczas są-
dzić, że po 20 latach od końca PRL przed kamery TV będzie się przywoływało

osobistości, o których każde zdrowe społeczeństwo starałoby się jak najszybciej zapomnieć?

Właściwie, gdyby dokładniej przyjrzeć się szachrajstwu zwanemu okrągłym stołem, można by taką przyszłość tego kraju suponować. Czym innym jednak jest walka z IPN w obronie osób na świeczniku mających zszarganą przeszłość z czasów PRL. Czego się tu broni? Mitu? A może wstyd przed światem zewnętrznym, iż takich stawiano przed narodem idoli? Jakkolwiek to nazwać, przecież tkwi w tym jakaś niesamowita wprost degradacja moralna. Tylko ona może powodować, że oczywiste argumenty zbija się hasłami czy inwektywami, a prawdę wydobytą na jaw nazywa się fałszem. Skąd my to znamy? A może dawni producenci kłamstwa i blagi spod znaku PZPR po prostu biorą na tym odcinku sprawę w swoje ręce? Wtedy staje się zrozumiałe, dlaczego taki Cenckiewicz¹⁴⁷ czy Zyzak¹⁴⁸ nie mają szans. Podobnie jak wielu innych, którzy odważą się prawdę przeciwstawić „autorytetom” niewiadomego pochodzenia.

Stosowanie dwóch miar – jednej dla wybranych prominentów, drugiej dla przysłówiowych Kowalskich – jest bodajże najgroźniejszym źródłem korupcji, jaka trapi nasze społeczeństwo. U jej podłoża leży dziedzictwo PRL. Ci, którzy wnieśli je do III Rzeczypospolitej, mają się dobrze, a ofiary reżimu komunistycznego i ci, którzy walcząc z nim, nadstawiali karku, cienko przędą. Budowniczości i utrwalacze Polski ludowej słusznie mogą patrzeć z góry na tych, którzy to ich dzieło zwalczali. Większość społeczeństwa daje na to swe przyzwolenie. Wyłania się z tego ponury wniosek – pokolenie powiązane wszelkiego rodzaju zależnościami i układami, w tym także niechlubną pracą na rzecz komunistów, jest liczniejsze, niżby się wydawało. A ci, którzy wchodzą na scenę życia publicznego, wyprani są z historii i z pamięci.

W 1990 r. także w obszarze nauki, zwłaszcza w dziedzinach organizacyjnych, dały się odczuć skutki zachodzących przemian ustrojowych. Przede wszystkim

¹⁴⁷ Sławomir Cenckiewicz (ur. 1971), historyk, publicysta. Członek Federacji Młodzieży Walczącej od 1987. Absolwent UG. Doktorat 2003, habilitacja 2011. Pracownik naukowy na UG 2003–2006. Pracownik OBEP IPN w Gdańsku 2001–2006, OBUiAD IPN w Warszawie 2006, naczelnik OBEP IPN w Gdańsku 2007–2008. Dyrektor Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego i członek Kolegium IPN od 2016. Członek rady przy Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku od 2018. Autor ponad 200 publikacji naukowych, w tym monografii: *SB a Lech Wałęsa. Przyczynek do biografii*, Warszawa 2008 (z Piotrem Gontarczykiem).

¹⁴⁸ Paweł Zyzak (ur. 1984), historyk, publicysta. Absolwent UJ. Doktorat 2016. Rozgłos zyskał dzięki książce *Lech Wałęsa – idea i historia. Biografia polityczna legendarnego przywódcy „Solidarności” do 1988 roku*, wydanej w 2009.

poszerzano skład różnych gremiów panowskich i innych o osoby spoza dawnych układów politycznych, choć nie oznaczało to wcale, że ich członkowie pochodzący z rekomendacji partii odeszli w niebyt. Tak było w dawnej NRD, ale trzeba pamiętać, że tam nauka była o wiele bardziej dyspozycyjna wobec reżimu aniżeli u nas i usuwanie z uczelni zaangażowanych komunistów nie odbywało się bez uszczerbku dla wielu dziedzin, szczególnie tak wrażliwych na ideologię jak historia. W Polsce nie stosowano tego rodzaju selekcji negatywnej, dzięki czemu nauka nie poniosła dostrzegalnych strat. Pojawiły się natomiast nowe nazwiska – osób dotąd eliminowanych przez partię.

Niekiedy takie dokooptowanie mogło być kłopotliwe dla ludzi, których dotyczyło. Dla mnie np. nie na rękę było powołanie mnie w grudniu 1990 r. do Komitetu Badań Polonii PAN. Sprawami polonijnymi zajmowałem się w ograniczonym stopniu z racji mojej pracy w archiwum SWAP w Nowym Jorku, a później w czasie kwerendy w USA w 1990 r. Miałem zamiar w tej dziedzinie coś więcej napisać, ale materiały wówczas zebrane po prostu się ulotniły. Nadto należałem od 1976 r. do zarządu Instytutu Badań nad Migracją i Duszpasterstwem Polonijnym KUL.

Już pierwsze spotkania komitetu przekonały mnie, iż jest to strata czasu, tym bardziej że należało dojeżdżać do Warszawy, a mój udział w innych gremiach panowskich dostatecznie silnie absorbował mnie w tym względzie. Nie podejmowałem zatem żadnej aktywności i mój udział w tym zespole zakończył się bodajże po dwóch dwuletnich kadencjach.

Rok 1989 był szczególnie obfity w imprezy naukowe, w których brałem udział jako prelegent. Dodać do tego trzeba zwyczajną pracę dydaktyczno-badawczą, coraz liczniejsze seminarium doktoranckie i magisterskie, a także udział w posiedzeniach Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Komitetu Nauk Historycznych PAN i innych instytucji, których byłem członkiem. Sporo pracy wymagała także przynależność do Komitetu Redakcyjnego Polskiego Słownika Biograficznego, gdzie zajmowałem się ustalaniem i weryfikacją listy haseł osobowych dotyczących Kościoła. Jeśli jeszcze uwzględnić podróże i kontakty zagraniczne, można nazbierać pokażne *dossier* świadczące o zajęciach często przekraczających możliwości.

To było powodem, dla którego musiałem odrzucić zaproszenie na posiedzenie poświęcone stanowi i perspektywie badań i edycji poloników archiwalnych Stolicy Apostolskiej. Organizował je Papieski Instytut Studiów Kościelnych, a konkretnie jego kierownik ks. dr Hieronim Fokciński. Sesja odbyła się w Warszawie

19 października 1989 r. i jeśli chodzi o tematykę, bardzo mnie interesowała. Zwłaszcza pierwsza jej część, poświęcona aktualnym (a właściwie – ówczesnym) polskim inicjatywom edytorskim. Niestety gdy chodzi o uczestnictwo w ciekawych inicjatywach naukowych, nie po raz pierwszy musiałem dokonać wyboru.

W październiku 1994 r. nic nie stało na przeszkodzie, żebym na zaproszenie PAN i Wydziału Nauk Społecznych Komitetu Nauk Historycznych wygłosił prelekcję poświęconą najnowszej historii Kościoła w Polsce w aspekcie historiograficznym. Był to temat grząski, ustanie cenzury i ogromna łatwość publikacji owocowała rosnącą liczbą domorosłych historyków, w czym celowali duchowni. Często nie umiano wykorzystać posiadanych lub zdobytych źródeł i produkowano prace nie tyle bez wartości, ile zupełnie fałszywie kreślące obraz rzeczywistości. Archiwa państwowe udostępniały źródła osobom upoważnionym do korzystania z nich, kościelne natomiast bardzo często nie udostępniały ich historykom przygotowanym do pracy naukowej, a pozwalały korzystać z nich księżom lub także świeckim pisarzom amatorom.

W mojej krótkiej prelekcji podałem przykłady takiego błędnego toru historiografii kościelnej i zastanawiałem się, co uczynić, by nie pozwolić na „rozgrzebywanie” ważnych tematów przez amatorów. Zwróciłem uwagę na niefachowe edycje ważnych źródeł kościelnych, np. w wykonaniu skądinąd zasłużonego prof. Rainy¹⁴⁹. Jakież było moje zdziwienie, kiedy prof. Krystyna Kersten¹⁵⁰ sarkastycznie zapytała, czy uważam, że należałoby zastosować jakieś środki represyjne. Muszę przyznać, że tak wielkie lekceważenie ważnego i trudnego do rozwikłania problemu odebrało mi głos.

Dopiero znacznie później przekonałem się, że inspiracje do wielu domorosłych „dzieł” płynęły w owym czasie od profesorów z liczącymi się nazwiskami, pragnących przypodobać się „czarnym”, którzy byli wówczas w modzie. Nie żerowałem nigdy na tych (chwilowych zresztą) „zmianach wyznania” i sympatiach, toteż

¹⁴⁹ Peter Raina (ur. 1935), historyk pochodzenia indyjskiego. Absolwent uniwersytetu w Oksfordzie. Doktorat 1966. Działacz opozycji w okresie PRL. Autor wielu publikacji dotyczących historii Kościoła katolickiego w Polsce po 1945 r.

¹⁵⁰ Krystyna Kersten (1931–2008), historyk. Absolwentka UW. Członek ZMP 1948–1957, PZPR 1956–1968. Doktorat 1962, habilitacja 1971, profesor nadzwyczajny 1990, profesor zwyczajny 1994. Pracownik naukowy IH PAN 1954–2008. Zaangażowana w działalność opozycyjną, od sierpnia 1980 m.in. prowadziła zajęcia z historii najnowszej Polski dla robotników i studentów. Inwigilowana i rozpracowywana przez SB od 1976. Autorka wielu prac naukowych z zakresu historii Polski w XX w.

stanowiłem jakąś dziwną odmianę czarnego, który nie potrafi docenić konwertytów. Kiedyś prof. Czubiński zapytał mnie, czy wierzę w tyle nagłych i wręcz cudownych nawróceń. Jak tu było wierzyć? Odpowiedziałem, że wierzę jedynie w Boga i porządek przez niego stworzony, nie dla wszystkich stworzeń wygodny. Powiedział mi:

– Tak trzymać!

Wykłady gości zagranicznych były ogromnie ważnym elementem dydaktycznym i wprowadzały nas w krąg kultury europejskiej, w czasach PRL zupełnie nieznany lub mało znany. Z zaprzyjaźnionymi autorami można było niekiedy także wejść w bezpośredni dialog. Na dyskusję kładliśmy wielki nacisk. Na wykłady te z konieczności uczęszczali studenci, niekiedy osoby z zewnątrz, natomiast trudno było pozyskać wykładowców. Chyba bariera językowa i obawa, że trzeba będzie się odezwać, sprawiały, iż nie było słuchaczy. Trudno to było gościom wytłumaczyć, zwłaszcza że na moje wykłady w Niemczech profesorowie przychodzili dość licznie.

W 1976 r. przypomniało sobie o mnie Towarzystwo Naukowe KUL i 14 maja zostałem przyjęty jako członek korespondent. Nigdy nie byłem zbyt czynny w tej społeczności, choć w TN KUL wydałem dwie albo trzy książki, w tym pracę habilitacyjną, za co jestem tej instytucji bardzo wdzięczny. W pierwszym okresie mojego członkostwa wygłaszałem referaty i dość regularnie uczęszczałem na zebrania. Potem to się zmieniło i mam wyrzuty sumienia, że nie udzielałem się tam bardziej. Dopiero w 2007 r. wróciłem, daj Boże na dłużej, zarówno do zebrań TN KUL, jak i do wygłaszania prelekcji, jeśli takie otrzymuję propozycje. Nie jest dla mnie żadnym usprawiedliwieniem, że nudziła mnie formalistyka tych spotkań, coraz bardziej dotkliwa. Podobnie zniechęciłem się do zebrań sprawozdawczo-wyborczych, bo wiadomo było, że funkcje były z góry uzgodnione i kandydaci tak zarekomendowani, iż wybór był pewny. Na takie spektakle nie chciało się chodzić. Okoliczności te, moim zdaniem, wpływały na swoisty marazm ogarniający w końcu gremium, które powinno jednak być zainteresowane promocją nauki. Dla wielu członków przynależność do TN KUL – zresztą do innych tego typu towarzystw także – to po prostu pozycja w wykazie godności w CV lub innej laurce *post mortem*¹⁵¹.

¹⁵¹ Łac. po śmierci.

Szkoda, że się nie powiodło

Wiosną 1990 r. zjawił się u mnie Zbigniew Kociuba¹⁵², reżyser filmowy, z ciekawą propozycją, by stworzyć film obrazujący historię naszego kraju od początków do czasów najnowszych. Szeroko rozkolportowany na kasetach, miał stanowić odtrutkę na zakłamania obecne w historii Polski i powszechnej okresu komunizmu. Jako miejsce warsztatowe, gdzie można by ewentualnie nawet kręcić całe sceny, widział reżyser właśnie KUL.

Udaliśmy się do księdza rektora Stanisława Wielgusa, który okazał zainteresowanie projektem, ale nic konkretnego nie obiecał. W moim przekonaniu pan Kociuba zbyt entuzjastycznie odnosił się do najmniejszych nawet oznak poparcia i to zarówno ze strony KUL, jak i instytucji państwowych, zwłaszcza Ministerstwa Kultury i MEN. Obiecywano mu tam środki finansowe, ale na obietnicach się kończyło. Sam gotów byłem zdobyć środki od Polonii amerykańskiej i kanadyjskiej. Od tej ostatniej nawet pewna skromna kwota wpłynęła i zaraz została skonsumowana na sfinansowanie powstającego scenariusza. Zajął się tym sam pan Kociuba, który miał dobry instynkt historyczny – uwzględniając potrzeby planu filmowego, umiał trafnie dobrać sceny i treści komentarza. Zgodziłem się pełnić funkcję konsultanta generalnego, co podkreślał reżyser. Stosownie do tego odbywaliśmy częste spotkania i omawialiśmy poszczególne partie scenariusza.

Z natury jestem człowiekiem konkretnym i tylko to, co ma atrybut pewności, może mnie skłonić do aktywności we współpracy w obojętnie jakim przedsięwzięciu. W naszym projekcie martwiły mnie stałe obietnice pozyskania środków do realizacji filmu. Pomijając osobisty wkład reżysera, faktycznie znaczący, tylko to, co sam zaplanowałem i zrobiłem, było faktem dokonanym. Najważniejsze, czyli otwarta droga do produkcji, pozostawało w sferze życzeń i trochę chyba marzeń. Muszę wyznać, że bardzo pociągała mnie myśl, iż stworzymy dzieło o doniosłej wartości społecznej. Wszak nasza historyczna świadomość w wymiarze narodu była mniej niż skromna. Pan Kociuba nawiązał kontakt z Wytwórnią Filmów Oświatowych w Łodzi¹⁵³ i wydawało się, że sprawa ruszy z miejsca. Pojechaliśmy – cała ekipa

¹⁵² Zbigniew Kociuba (1923–2012), reżyser filmowy, działacz społeczny związany z Buskiem-Zdrojem. Reżyser i scenarzysta kilkunastu filmów dokumentalnych.

¹⁵³ Wytwórnia filmowa w Łodzi została utworzona 29 XII 1949 na podstawie zarządzenia ministra kultury i sztuki. Przejęła częściowo kompetencje Instytutu Filmowego w Łodzi działającego od listopada 1945. Była jednym z największych w kraju producentów krótkometrażowych filmów szkolnych i instruktażowych oraz jedynym producentem filmów popularnonaukowych przeznaczonych dla masowego widza. Od 1994 firma nosi nazwę Wytwórnia Filmów Oświatowych i Programów Edukacyjnych. Dorobek wytwórni to około 5 tys. filmów, głównie oświatowych i dokumentalnych.

zdjęciowa z kamerą i operatorem – do Włoch, by porobić zdjęcia potrzebne do filmu.

Podróż, którą odbyliśmy samochodem z WFO w Łodzi, była fantastyczną przygodą. Oprócz kierowcy jechaliśmy: pan Kociuba, kierownik produkcji i operator oraz ja. Niestety, nie pamiętam nazwisk tych osób, mogę tylko powiedzieć, że panowała miła atmosfera wzajemnego zrozumienia. Niekiedy pan Kociuba wydawał się niezadowolony z pewnych sytuacji, całkowicie pochłaniała go bowiem troska o powodzenie naszej wyprawy. Nie wiem też, czy zawsze zgadzał się z pomysłami kierownika produkcji, w moim przekonaniu osoby bardzo sprawnej i rzeczowej, co bardzo mi odpowiadało. Nie mniej imponował też kierowca – młody człowiek doskonale dający sobie radę przy skomplikowanych manewrach na drogach i w miejscach, do których przybywaliśmy.

Pamiętam pierwszy postój po opuszczeniu granic Polski, w miejscowości Campo Rosso, tuż przy granicy ze Słowenią, ale jeszcze po stronie austriackiej. Była już godz. 22.00 i trzeba było szukać noclegu. Powiedziałem kierowcy, żeby zajeżdżał, gdy tylko pokaże się jakaś wieża kościelna. Ukazała się, ledwie wypowiedziałem te słowa, wysoka i cała oświetlona. Nie była to jednak parafia, tylko dom opieki, którym kierowały siostry zakonne. Zapytałem o przełożoną, ale rozmówczyni nie mówiła po niemiecku, jedynie po włosku i słoweńsku. Wreszcie przywołała siostrę Austriaczkę. Kiedy wyłuszczyłem nasz problem, zaraz zgodziły się nas zakwaterować, a nawet otrzymaliśmy jakiś posiłek. Na rano, na godz. 5.00, uzgodniliśmy mszę św.

Siostry zjawiły się *in corpore*, ale moi koledzy nie potrafili zerwać się tak wcześnie ze snu. Powstał problem, w jakim języku ma być sprawowana Eucharystia. Przejrzałem mszał słoweński, ale choć język podobny, to



Z ekipą filmową
w Wenecji.
Obok kamery
reżyser
Zbigniew
Kociuba

z czytaniem mogło być różnie. Wybrałem włoski. Zaznaczyłem, że języka nie znam, więc proszę o wybaczenie, jeśli pojawiają się kwestie niezrozumiałe. Po mszy św. podeszła do mnie siostra przełożona i zapytała, dlaczego powiedziałem, że nie znam włoskiego, skoro tak pięknie odprawiałem mszę św. Odpowiedzi i ja nie znałem. Chcieliśmy zapłacić za pobyt, ale siostry nie chciały o tym nawet słyszeć. Zapraszały nas do ponownych odwiedzin.

Następnego dnia dotarliśmy do Wenecji, gdzie zaparkowaliśmy na dachu jakiegoś budynku u wjazdu do miasta i dalej przemieszczaliśmy się miejskimi środkami lokomocji, nie wyłączając tramwaju wodnego czy czegoś w tym rodzaju. Na placu św. Marka zrobiliśmy masę ujęć, ale bazylika była w remoncie, tak że nawet chwilowo nie było do niej wstępu. W pewnym momencie podszedł do nas policjant, a może strażnik miejski i zapytał, w jakim celu robimy zdjęcia. Nikt poza mną nie władał żadnym językiem obcym, a ja z kolei nie znałem włoskiego. Rozumiałem sporo, ale z trudem potrafiłem powiedzieć kilka podstawowych zdań. Było to w pewnym sensie wygodne, co odkryłem właśnie w Wenecji. Wyjaśniłem owemu stróżowi porządku, że jesteśmy z Polski i robimy zdjęcia dokumentalne. Jeśli nie pozwoli się nam ich zrobić, to fragment dotyczący Wenecji będzie pominięty. Życzył nam powodzenia i nawet pozwolił się sfotografować.

Ten system działał wszędzie. Podobnie było w Padwie w słynnej auli uniwersyteckiej, gdzie pozwolono nam fotografować sufit cały pokryty herbami byłych studentów. Interesowały nas oczywiście herby polskich żaków, od średniowiecza było ich tam sporo. Rektora uniwersytetu nie było, a sekretarka miała pewne wątpliwości, czy nam na to pozwolić. Bukiet kwiatów i moja wspiana włoska przemowa do tego stopnia przełamały lody, że udostępniła nam album z herbami, podobno świętość nigdy niefotografowaną. Dzięki temu nasz kamerzysta zrobił zdjęcia o wiele dokładniejsze, niż gdyby fotografował sufit, gdzie światło załamywało się na łukach gotyckich. W Padwie ugościli nas franciszkanie. Zaoferowali wygodny nocleg, a dwaj polscy ojcowie oprowadzili nas po sanktuarium św. Antoniego, pozwalając robić zdjęcia do woli. Ta wielkoduszność zwalniająca nas od płacenia za noclegi – a kosztowały one sporo – ogromnie wsparła nasze finanse.

Z Padwy wyruszyliśmy do Rawenny, lecz czas nagiął, dlatego zbyt powierzchownie zwiedziliśmy to ciekawe z historycznego punktu widzenia i bogate w zabytki miejsce. Obiecałem sobie solennie, że tu wrócę, ale się nie udało. Z Rawenny, omijając autostradę ze względu na koszty, bocznymi drogami pojechaliśmy do Rzymu.

Była niedziela i około południa zaczęliśmy szukać miejsca, gdzie można by coś zjeść. Wszędzie suesta. Wreszcie w małym miasteczku stanęliśmy przed oberżą. Żywej duszy w środku, wszystko otwarte – korzystaj do woli. Wyszedłem na zewnątrz, obszedłem dom dookoła. Zza płotu dobiegała ożywiona rozmowa wielu osób. Zjrzałem ostrożnie przez furtkę. Dostrzegłem mnie widać sam *padrone*¹⁵⁴, bo uchylił drzwi i spytał:

– *Que cosa*¹⁵⁵?

Ja na to:

– *Sono prete polacco anche voglio mangiare*¹⁵⁶.

Kiepski to był włoski, ale *padrone* zrozumiał i zasypał mnie gradem słów, z których wynikało, że jest ciekaw, czy jestem sam. Pokazałem na samochód i powiedziałem *cinque persone*¹⁵⁷. *Padrone* podbiegł do auta i zaczął moich przyjaciół serdecznie zapraszać, czego nie trzeba im było powtarzać. Co więcej, okazało się, że w tej materii nawet świetnie rozumieli włoski. Usadzono nas przy stole, gdzie obiad spożywało około dwudziestu osób obojga płci – rodzina i krewni gospodarza.

Trudno wymienić, czego tam na stole nie było. Prosiłem moich towarzyszy podróży, żeby umiarkowanie korzystali z gościnności, ale ponieważ *padrone* martwił się, że im nie smakuje, musieli dowieść, że jest wręcz przeciwnie. Liczyłem spożywane kęsy i przez cały czas myślałem, ile to będzie kosztować. Jakież było moje zdziwienie, kiedy na pytanie, ile jesteśmy winni za tak wspaniałą ucztę, usłyszałem, że byłby to największy despekt, gdybyśmy nalegali z zapłatą. Jeszcze żaden gość u niego w domu za poczęstunek nie płacił. Żegnani jak dawni znajomi, opuszczaliśmy to gościnne miejsce i zmierzaliśmy wprost do Rzymu.

Około wieczora zawitaliśmy do Domu Polskiego na *via Cassia*. Ksiądz Jagosz¹⁵⁸ przyjmował nas bardzo serdecznie, mniej wylewne były siostry, musiały bowiem przygotować dla nas pokoje. Wkrótce uprzejmość i dowcip panów z ekipy i tu przełamały lody. W dodatku okazało się, że znam kogoś bliskiego jednej z sióstr, a w ogóle to przypomniano sobie, że przecież na *via Cassia* już gościłem. Przy okazji

¹⁵⁴ Wł. gospodarz.

¹⁵⁵ Wł. O co chodzi?

¹⁵⁶ Wł. Jestem polskim księdzem i chciałbym coś zjeść.

¹⁵⁷ Wł. pięć osób.

¹⁵⁸ Michał Jagosz (ur. 1946), ksiądz archidiecezji krakowskiej. Świecenia kapłańskie 1964. Postulator sprawy kanonizacji Sługi Bożego ks. Michała Rapacza. Dyrektor Ośrodka Dokumentacji i Studium Pontyfikatu Jana Pawła II w Rzymie 1981–1989.

uzyskaliśmy wiele cennych wskazówek, jak się zachować, żeby jak najmniej zapłacić za filmowanie. Muszę z góry zaznaczyć, że nie zapłaciliśmy ani grosza, nawet w Muzeach Watykańskich. Niestety, nie mogę sobie przypomnieć, kto nam to załatwił.

Nakręcono wtedy może dwie kasety zdjęć. Kto to później zabrał? Była to własność Wytwórni Filmów Dokumentalnych i chyba tam nagrania zostały zdeponowane. W Rzymie nie zabawiliśmy długo, koszty pobytu były jednak znaczne, ale panowie, którzy jeszcze tu nie byli, sporo obejrzeli. Poza zdjęciami mieliśmy dużo wolnego czasu.

Podróż powrotna odbywała się w iście ekspresowym tempie. Nasz świetny kierowca chciał w ciągu jednego dnia dojechać do Polski. Zbliżała się jednak godz. 22.00, a my byliśmy jeszcze 100 km na zachód od Wiednia. Mimo sprzeciwów kierowcy zaordynowałem, że ma zjechać z autostrady pierwszym zjazdem, jaki się nadarzy. W kilka minut takowy się pojawił.

Dotarliśmy do małego miasteczka, a może nawet do wsi i zaraz z brzegu dostrzegłem zajazd, a przed nim dwa samochody. Weszliśmy do środka. W ledwie oświetlonej izbie oberży zauważyłem przy stole kilku siedzących mężczyzn, pijących piwo czy może inne trunki. Spytałem, kto tu jest szefem. Spojrzeli po sobie i któryś chrząknął. W jakimś dziwnym języku podobnym do niemieckiego odpowiedział, że jest szefowa, ale trzeba ją zawołać.

– Jak to zrobić?

Wzruszył ramionami i przestał się mną interesować. Na szczęście nadeszła pani w typowym stroju – dyrdlu – i siląc się na poprawną niemieczynę, zapytała, czego pragniemy. Powiedziałem, że noclegu, czegoś do jedzenia na kolację i jutro na śniadanie.

Otrzymaliśmy pokoje jednoosobowe, urządzone w starym stylu, chyba jeszcze przedwojennym. Pościel pachniała ni to sianem, ni to ziołami, w każdym razie przypominałem sobie czas wojny i podobne zapachy na wsi, gdzie wówczas mieszkaliśmy. Byliśmy zmęczeni, więc mało kto coś zjadł. Zaniepokoiło to gospodynię, która zaglądała do nas co chwila i pytała, czy nam nie smakuje. Powiedziałem, że dzisiaj nasze możliwości są ograniczone, bo jesteśmy sfatygowani podróżą aż z Rzymu, ale jutro rano pokażemy, co potrafimy. Bardzo się dziwiła, że przebyliśmy tak daleką drogę. Delikatnie podpytywała, skąd jesteśmy. Kiedy usłyszała, że z Polski, ożywiła się. Powiedziała, że w tej miejscowości jest kilku Polaków i ona może rano po nich posłać. Tego w naszych planach jednak nie było. Poszliśmy spać, żegnani już życzliwie przez mężczyzn przy piwie.

– *Gäste aus Polen, willkommen*¹⁵⁹ – i podobne przyjazne słowa, kufel wzniesiony w górę.

Prawie wcale nie mogłem spać. Przez większość nocy huczał mi w głowie warkot samochodu. Rano znosiliśmy bagaże, a gospodyni stała już na progu jadalni i zapraszała na śniadanie. Pachniała kawa. Ten zapach, w Niemczech jakiś szczególny, był zawsze miłym powitaniem dnia. Nigdy w Polsce czy w USA tego nie doświadczyłem. Śniadanie przeszło najśmielsze oczekiwania. Chrupiące bułeczki prosto z piekarnika, *hausgemachte Butter*¹⁶⁰, a więc swojskie masło, takież twaróg i wędliny. Widziałem, że moi towarzysze łakomym okiem spoglądali na te specjały. Momentalnie opróżnili wszystkie półmiski. Nie wiedziałem, co począć. Poszedłem do kuchni i nieśmiało rzekłem, że zgłodniali koledzy trochę więcej pojedli, wszystko uregulujemy, ale potrzeba jeszcze pieczywa. Pani oberżystka promieniała. Przyniosła dwa razy więcej wiktuałów i wyraziła gotowość dalszego ich dostarczania. Ponieważ rachunek był już uregulowany, chciałem zrobić dopłatę, ale nawet słyszeć o tym nie chciała. Była zachwycona, że tak nam smakowało. Dała mi wizytówkę i zapraszała, żeby u niej się zatrzymać, ilekroć będę w Austrii. Jakoś się nie zdarzyło, ale tego masła własnej roboty chętnie bym jeszcze spróbował.

W planie były także wyjazdy do innych krajów. Miały one być zaplanowane według zapotrzebowania scenariusza. Do podróży tych jednak nie doszło, a sprawa rozbiła się o finanse. Zresztą ich brak był powodem załamania się całego przedsięwzięcia. Próbowaliśmy jeszcze w Gdańsku zainteresować naszym projektem tamtejszą wytwórnię filmową Video Studio Gdańsk Kurii Biskupiej Gdańskiej, zatem istniejącą z ramienia tamtejszej władzy diecezjalnej. 19 marca 1992 r. kierownictwo tej instytucji powiadomiło mnie, że gdy tylko otrzyma z Warszawy dokumenty sądowe o rejestracji fundacji, przystąpi „do otwarcia subkonta w związku z realizacją cyklu filmowego pt. *Polska w czasie i przestrzeni*, o czym księżda profesora niezwłocznie powiadomimy”.

Rzecz nie doszła do skutku, gdyż na to subkonto z naszej strony nigdy żadne pieniądze nie wpłynęły. Wszędzie tracono zainteresowanie naszym dziełem, kiedy okazywało się, że nie dysponujemy zapleczem finansowym. Starań o to było co niemiara. Niekiedy już się wydawało, że jakiś inwestor gotów był

¹⁵⁹ Niem. Witamy gości z Polski.

¹⁶⁰ Niem. masło domowe.

wyłożyć poważną sumę, ale chyba brak biznesplanu studził dobre chęci. Sądziłyśmy w pewnym momencie, że sprawa filmu jest na dobrej drodze, więc w „Słowie Powszechnym” (8 VIII 1991 r.) ukazała się notatka *Od Mieszka I po XXI w.* Wynikało z niej, że Biuletyn Informacyjny Biura Prasowego Episkopatu Polski podał informację o powstaniu Warsztatu Filmowego „Era”, który przystąpił do realizacji wieloodcinkowego serialu pod roboczym tytułem *Polska – dzieje narodu i państwa*. Wymieniono nazwiska reżysera i moje jako konsultanta merytorycznego. Jako realizatora podano łódzką wytwórnię. Bardzo krótko określono charakter filmu, jego przeznaczenie i krąg odbiorców. Notatka wyrażała optymizm, który wówczas nas jeszcze nie opuszczał. W miarę jak kolejne starania o sponsoring kończyły się niepowodzeniem, zaczynałem wątpić, czy piękna idea jest realna.

Usiłowałem pukać nawet do drzwi rządowych. Wówczas najwyższe stołki obsadzone były przez osoby w taki czy inny sposób związane z Solidarnością, ale o zrozumienie dla tak szlachetnego celu jak odkłamanie historii było trudno. Przekonałem się wkrótce, że nawet na szczycie stanowisk rządowych znajdowali się ludzie, którym dawny reżim komunistyczny był bliższy aniżeli nowi władarze Polski. Jedno z moich bardzo ważnych pism zamiast do rąk premiera trafiło pod sukno i odnalazło się dopiero wtedy, gdy za biurkiem prezesa rady ministrów zasiadł człowiek z dawnej nomenklatury. Oczywiście ludziom tego pokroju nie mógł leżeć na sercu taki film, jaki chcieliśmy zrobić. Tłumaczyłem to reżyserowi. Podobnego zdania byli pozyskani do współpracy historycy z innych ośrodków. Nie zdało się to na nic – Kociuba był człowiekiem, który w filmie pracował już za czasów PRL i znał sporo ludzi z tamtych czasów, mocno im ufał. Być może nie bez racji. Łączyła ich dawna współpraca, która w wielu dziedzinach mogła się układać pomyślnie. Czasy się jednak zmieniły i nikomu z dawnych prominentów, nawet tych z niższej półki za czasów komunizmu, nie zależało na tym, by reżim ten przedstawiać w złym świetle.

Ktoś starający się myśleć realistycznie mógł, a nawet powinien dostrzec anomalie naszej „rewolucji solidarnościowej”. Może jednak nie było to takie łatwe, jak się dziś wydaje? Gdy się patrzy na sprawę z perspektywy minionych kilkunastu lat, łatwiej dojść do pewnych wniosków. W tym czasie dokonała się swoista autoweryfikacja i to zarówno ludzi z obozu lewicowego, w ogromnej większości złożonego z pogrobowców reżimu peerelowskiego, jak i osób ze środowisk solidarnościowych. Przecież nie brak takich, którzy z jednych szeregów

przeszli do drugich, do ugrupowań, które jakoby przedtem zwalczali. Nie jest ważne, jak się chwilowo stronnictwa polityczne nazywają, a nawet mało znaczące jest pieczętowanie się przez nie znamieniem demokracji. Lewica – taka czy inna – właściwie nie istnieje. Jest potrzebna i pewnie się odrodzi, gdy zabraknie już pamięci o rządach komunistów i ich popleczników. Wystarczy sobie uświadomić, jak powoli, ale konsekwentnie na śmietnik postpeerelowski z własnej woli wędrowała Unia Wolności. Nie zaszło tu przewartościowanie pojęć. One były takie same za życia tej partii, jak i po jej śmierci, przecież pozostała jakaś scheda.

Dziś jest oczywiste to, czego wówczas się domyślałem. Ludzie, którym słowo „patriotyzm” parzy wargi, nigdy by nie dopuścili, żeby taki film powstał dzięki środkom, którymi oni wtedy właśnie dysponowali. Tego pan Kociuba nie chciał zrozumieć i to było jego osobistą tragedią, a także wszystkich, którzy zaangażowali się w projekt. Rozwiąłem nadzieje reżysera na pomoc ze strony Kościoła. Znałem dobrze możliwości kościelne w tym względzie, ale wiedziałem, że decydenci nie daliby grosza na nasz cel, jeśli realizacja nie byłaby objęta nadzorem czy choćby tylko kontrolą któregoś z hierarchów. Na to nikt by się nie zgodził, gdyż – jak w wielu sprawach o charakterze merytorycznym – wyznaczony kurator bez odpowiednich kompetencji to kula u nogi. Ja pierwszy byłbym temu przeciwny i każdy, kto poważnie zabiera się do jakiegoś dzieła.

Sądzę, że to moje nastawienie jest znane czynnikom hierarchicznym. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, iż przez prawie pięćdziesiąt lat pracy w zawodzie historyka ani razu nie byłem przez czynniki kościelne poproszony o konsultację w sprawach, w jakich mój zawodowy autorytet nigdzie, poza tym *milieu*, nie jest kwestionowany. Całkowicie odwrotnie było w wypadku instytucji państwowych lub świeckich w ogóle, gdzie brałem udział w większości przedsięwzięć mających odniesienie do mojej wiedzy i zdobytego doświadczenia. Musiałem więc rozczarować pana Kociubę, który tej zagadki za nic nie mógł zrozumieć. Nie tylko on zresztą.

Piszę nieco obszerniej o tej nieudanej inicjatywie, ponieważ zawsze miałem wyrzuty sumienia, że może powinienem w tej sprawie zdziałać coś więcej. Do dziś jednak nie wiem, co mogłoby się okazać skuteczne. Stare porzekadło mówi, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to zawsze chodzi o pieniądze. Tak było i tym razem. Słaba to pociecha, ale zawsze jakaś.

Ponownie na Kresach

Po upadku reżimu komunistycznego w Polsce i wobec coraz bardziej dających o sobie znać przemian w ZSRS nastała pora na wyprawy za wschodnią granicę. W 1989 r. wyjazd na Ukrainę nie był już tak trudny jak poprzednio i wielu księży tam się udawało, by podjąć pracę duszpasterską – wprowadzie nie oficjalnie, ale niejako, jeśli można tak powiedzieć, na „gościnnych występach”. Także księża z Ukrainy odwiedzali nasz uniwersytet, studiowali zaocznie lub nawet dojeżdżali regularnie. Otrzymałem zaproszenie od ks. Bronisława Biernackiego¹⁶¹ z Baru (obecnie biskupa odeskiego). Miałem się u niego zjawić, by pomóc w duszpasterstwie w czasie Wielkiego Tygodnia. Oczywiście było to nielegalne i pełnomocnik do spraw religii – tak się nazywał sowiecki wyznaniowiec – mocno się interesował, kto obcy kręci się na jego terenie i odprawia nabożeństwa. Tak było i ze mną, co sprawiło, że w Niedzielę Wielkanocną pan Bramski długo woził mnie po okolicy proboszczowską wołą. Wracaliśmy już po odwiedzeniu wskazanych przez ks. Biernackiego miejscowości, gdzie jeszcze trzeba było wysłuchać czyjejs spowiedzi lub nawet poświęcić pokarmy, ale kobieciny stojące kilkadziesiąt metrów od kościoła zatrzymały samochód i oznajmiły, że pełnomocnik je na plebanii i proboszcz kazał przyjechać później.

– Żeby on księdza nie zobaczył, bo dopytuje się.

I tak krążyliśmy może do godz. 16.00, a kiszki marsza grały, bo przecież od Wielkiej Soboty nic się nie jadło. Wreszcie za którymś nawrotem droga okazała się wolna i mogłem zasiąść za stołem. Panie z kuchni bardzo mi współczuły, ale obiecały dać coś dobrego, co specjalnie dla mnie uchroniły. Była to słonina paprykowana i mocno doprawiona. Podobno specjał, chyba jednak do niego nie dorosłem, zadowolilem się jajkiem i czymś tam jeszcze.

Proboszcz opowiadał mi, że pełnomocnik chciał zawrzeć ze mną znajomość z powodów towarzyskich, ale jakoś trudno mi było w to uwierzyć. Gdybym wiedział, że takie są jego zamiary, zaryzykowałbym wcześniejszy powrót na plebanie – ciekawiła mnie postać wyznaniowca w wydaniu sowieckim.

Zacznę jednak od początku, perypetie związane z moim wyjazdem do Baru mają bowiem swój smaczek. Do tej podróży przygotowywałem się bardzo starannie. Przede wszystkim postarałem się o książki w języku rosyjskim czy ukraińskim,

¹⁶¹ Bronisław Biernacki (ur. 1944), ksiądz diecezji ryskiej. Święcenia kapłańskie 1972. Pracował jako proboszcz parafii św. Anny w Barze. Biskup diecezjalny odesko-symferopolski od 2002.

Pismo św., modlitewniki. Wtedy drukowała je w Lublinie drukarnia diecezjalna. Zabrałem tego sporą torbę. Trasa miała wieść przez Lwów, gdzie należało wsiąść do pociągu jadącego do Odessy i wysiąść na stacji w Żmerynce. Proboszczem był tam wtedy ks. Mikołaj Hucał¹⁶², który podjął się zadania dostarczenia mnie do Baru, gdzie w Niedzielę Palmową miałem służyć w konfesjonale.

W Małaszewiczach, na stacji granicznej doszło do awantury między pogranicznikami sowieckimi a pijanym podróżnym, zachowującym się prowokacyjnie, wyraźnie zachęcany przez trzech czy czterech kompanów, z którymi podróżował. Wyprowadzono go z wagonu do budynku stacyjnego. Pociąg stał może pół godziny, dopóki delikwent nie wrócił – o dziwo – już nie wykazując żadnych oznak upojenia. Wszyscy ze zdumieniem mu się przypatrywali, a on najspokojniej w świecie ułożył się do snu i rzeczywiście smacznie spał do samego Lwowa. Usłyszałem jednak, jak przed zaśnięciem wyszeptał do jednego z kolegów:

– Czterdzieści.

Tamten pokiwał głową, uśmiechnął się i powiedział:

– Dobrze.

Można było tylko się domyślić, o co chodziło. Jedna z pań w przedziale ze zgorszeniem komentowała zachowanie rzekomego pijaka. Jaki to wstyd dla nas, Polaków, że taki w ten sposób się zachowuje. Na to ktoś z paczki tamtego zauważył, że pani z pewnością nie chciałaby być szczegółowo kontrolowana, więc raczej niech podziękuje temu, komu urąga. W duchu z wielką sympatią myślałem o „pijaku”, bo uchronił mnie od kontroli bagażu, a miałem w nim głównie owe książki religijne. Nigdy nie wiadomo, jak zareagowałiby na nie celnicy. Czy już zniesiono embargo na takie towary?

Do Lwowa dojechalismy około południa. Udałem się zaraz do kasy biletowej, by kupić bilet na pociąg do Żmerynki, który odchodził dopiero o godz. 20.00. Miałem więc sporo czasu. Panie w kasie wszczęły ze mną rozmowę. Chciały wiedzieć, jak tam w Polsce. Czy nie mam czegoś ciekawego na sprzedaż? Odpowiedziałem szczerze, że mam, ale nie na sprzedaż, lecz na rozdanie. Zaciekawily się, co mógłbym im ofiarować. Wydobyłem Biblię i modlitewnik i położyłem w okienku kasowym. W okamgnieniu obie książki zniknęły, pojawiły się natomiast panie z sąsiednich okienek. Czy i one mogłyby coś takiego otrzymać? W ten sposób rozdałem około dziesięciu książek. Jedna z urzędniczek wyszła za mną do holu i próbowała mi

¹⁶² Mikołaj Hucał OSPPE, ksiądz pochodzący z Ukrainy, święcenia kapłańskie 1987.

wręczyć kilkadziesiąt rubli. Zdecydowanie odmówiłem. Spoglądała na mnie zakłopotana. Widziałem, że się czegoś obawia, więc zdecydowałem się wyznać, kim jestem. Uśmiechnęła się, podziękowała i szybko wróciła na swoje miejsce pracy. Później pytałem w Żmerynce, co mogło być powodem jej dziwnego zachowania. Powiedziano mi, że gdybym wziął pieniądze, wszystko byłoby normalne, a tak podejrzewała prowokację. Musiała uwierzyć, że jestem księdzem, i to rozwiało jej wątpliwości.

Zupełnie niebywała rzecz zdarzyła mi się z kupnem biletu. Kasjerka zapytała, czy chcę *obszczij wagon*¹⁶³ czy jakiś inny – nie pamiętam już, jakiej nazwy użyła, bodajże *kupe*¹⁶⁴. Mój rosyjski tak daleko nie sięgał. Powiedziałem: *obszczij*. Dwa razy pytała:

– Czy na pewno?

Potwierdziłem. Spoglądała na mnie z niedowierzaniem, ale nie wyjaśniła, dlaczego mój wybór tak ją dziwi.

Sam zrozumiałem to w czasie jazdy, która była koszmarem. Wagon był nabyty. Ludzie porozkładali się do snu. Zająłem miejsce przy małym stoliku pod oknem, naprzeciw miałem matkę z córką, stłoczone na jednym siedzeniu. Bagaż umieściłem pod stolikiem i za wszelką cenę starałem się nie zasnąć. Zaduch był potworny. Okna nikt nie otworzył, a może nawet nie było jak lub nie zezwalano na to. Nie wiem. Modliłem się, żeby już w końcu była ta Żmerynka. W pewnym momencie jegomość z ogromnym gołym brzuchem i nogami w skarpetkach, który spał na górnej półce na bagaże, zsunął się jakoś tak, że trafił stopami na nasz stolik. Obie panie drzemiące dotąd *vis-à-vis* usiłowały te stopy zepchnąć, ale bez powodzenia. Nie muszę dodawać, jak wspaniały zapach uderzył w nasze nozdrza. Współpasażerki soczyście komentowały nie tylko zachowanie, lecz także wszelkie przymioty naszego chwilowego sąsiada. Mnie obecność jego kończyn dolnych o tyle pomagała, że nie musiałem się już obawiać, by przypadkiem nie zasnąć.

Po północy zacząłem uważniej śledzić mijane stacje, ponieważ około godz. 1.00 pociąg miał dojechać do Żmerynki. Był tam punktualnie. Poderwałem się do wyjścia, ale wszystkie drzwi były zamknięte na głucho, a konduktor zniknął. Gdzie go szukać? Nawet nie wiedziałem, jak go po rosyjsku wołać. Wróciłem na swoje

¹⁶³ Ros. wagon bez miejscówek.

¹⁶⁴ Ros. przedział z czterema kuszatkami.

miejsce. Pytałem, co robić. Wszyscy się pobudzili i chórem wołają, że „pan” chce wyjść. Pojawiła się wreszcie zaspana konduktorka i drapiąc się w głowę, spytała:

– *W czom dieło*¹⁶⁵?

Zobaczyła mnie i wymamrotała:

– *Nie szumi*¹⁶⁶.

Ja na to, że nie chcę jechać do Odessy. Muszę wysiąść w Żmerynce. Zgodziła się łaskawie:

– *Nu można*¹⁶⁷ – i otworzyła drzwi.

Świeże, rześkie i zimne powietrze kwietniowe przywróciło mi optymizm. Ale co tu dalej robić? Pierwsza w nocy, gdzież tu dzwonić na plebanię? Odszukałem budkę telefoniczną – właściwie kilka, ale usłużni ludzie, których sporo, o dziwo, kręciło się o tej porze na dworcu (jak się potem okazało, byli stałymi jego mieszkańcami), powiedzieli mi, że tylko jedna jest czynna. Po tym rekonesansie wszedłem do holu i usiadłem w jednej z ław, ustawionych jak w kościele lub w teatrze. Obok rozlokowali się stali domownicy dworcowi i częstowali się jadłem, co jakiś czas chodzili do czynnego baru po *czaj*¹⁶⁸.

Trzeba przyznać, że gmach dworca w Żmerynce to prawdziwe dzieło sztuki architektonicznej. Myślę, że w stylu neoklasycystycznym. Został zbudowany jeszcze w czasach carskich. Uniknął dewastacji, choć czas i brak konserwacji poczyniły w nim sporo szkód. Na tle imponującego wystroju głównej sali dworcowej nędznie wyróżniał się przyklejony do jednej ze ścian bar, a właściwie odgradzona przepierzeniem przestrzeń, w której królowała okazała dama. Sprzedawała napoje, jakieś pieczywo i nie wiem co jeszcze, bo jakoś nie miałem ochoty nawiedzać tego przybytku. Powodem było m.in. to, że musiałbym targać ze sobą torbę, co mogłoby się nie spodobać sąsiadom kocującym w pobliżu. Mogli się przecież obrazić, że nie mam do nich zaufania. A ja naprawdę go nie miałem – ani trochę.

Stacja w Żmerynce była węzłowa, rozchodziły się tu pociągi w dwóch kierunkach: do Odessy i do Kijowa. Uderzała nie ruchliwość cechująca takie dworce, ale majestatyczność ich architektury. Tego nie spotka się nawet na wielkich dworcach zachodniej Europy, gdzie w oczy rzucają się urządzenia techniczne, ale zabudowa przypomina raczej duże centrum handlowe. W Żmerynce poza bardzo obskurnym

¹⁶⁵ Ros. O co chodzi?

¹⁶⁶ Ros. Nie hałasuj.

¹⁶⁷ Ros. No można.

¹⁶⁸ Ros. herbata.

i raczej prowizorycznym barem i jedyną bodajże kasą biletową niczego takiego się nie widziało, sama budowla natomiast imponowała.

Ktoś z miejscowych ze starszej generacji wyjaśnił mi, że w Rosji gmachy publiczne, a do takich należały dworce, były jak gdyby pomnikami władzy imperatorskiej. To mogłoby się zgadzać, gdyż taką samą wymowę miało umundurowanie nawet niższych szarż urzędniczych, niekiedy aż kapiące od ozdób. Bolszewicy na jakiś czas z tego zrezygnowali, ale w czasie wojny Stalin stopniowo przywrócił nie tylko pagony, lecz także owo operetkowe umundurowanie.

O godz. 6.00 zatelefonowałem do ks. Hucała. Ogromnie się ucieszył i zapytał, czy pociąg dopiero teraz przyjechał. Kiedy się dowiedział, że siedzę na stacji od godz. 1.00, ogromnie się ubawił, on i domownicy także przez całą noc nie spali i czekali na mnie.

Była sobota rano. Miałem cały dzień, by wypocząć po przygodach w podróży i w niedzielę rano udać się do Baru, skąd przysłano po mnie samochód. Po śniadaniu poszedłem obejrzeć kościół w Żmerynce. Ujrzałem przed drzwiami świątyni grupę osób siedzących na czymkolwiek i dobywających z tobołków jedzenie. Zapytałem, skąd przyjechali. Odpowiedzieli, że z Donbasu. Myślałem, że jechali dobę, ale powiedzieli, że trzy lub cztery dni byli w podróży. Przyjechali, żeby być na Wielki Tydzień w kościele, poświęcić palmy.

Niech ktoś jadący do kościoła pół godziny wygodnym samochodem i uważający to za ofiarę ze swej strony powie, że wiara tych ludzi to tylko tradycja bez należytej świadomości! Przecież tak niekiedy mówią chrześcijanie „otwarci”. W moim przekonaniu ludzie ci odczuwali autentyczny głód czegoś, co mogłoby ich wynieść poza krąg ich nędznego bytowania. Chcieli przeżyć coś pięknego, może nawet nie stawiali na pierwszym miejscu Boga, z pewnością jednak rzeczywistość, którą ukazuje człowiekowi religia. Innymi słowy chcieli odejść od codzienności, niedającej nic poza perspektywą trudu, i od tej drogi donikąd, którą wskazuje każdy materializm, zarówno ten teoretyczny, jak i praktyczny.

Bar i okolice, a zwiedziłem je aż po Kamieniec Podolski i Chocim, to tereny tak głęboko tkwiące w historii Polski, że aż wierzyć się nie chce, iż od dawna jest to już tylko historia. Moim *cicerone* i zarazem kierowcą był pan Bramski, Polonus dawnej miary. Po drodze przeważnie odmawialiśmy różaniec z przerwami na jego jakże interesujące objaśnienia. Kiedy mijał cerkiew prawosławną, zawsze mówił:

– Któryś za nas cierpiał rany...

Zapytałem, dlaczego akurat to wezwanie wydaje mu się w tej sytuacji najbardziej właściwe. Tłumaczenie nie miało nic wspólnego z ekumenizmem, z żadną resztą teologią. Z życiem – i owszem. Nie wierzył w dialog, w co i mnie trudno bez reszty uwierzyć. Widział w prawosławiu, zwłaszcza rosyjskim, odzwierciedlenie kolejnych reżimów, od carskiego począwszy, a na bolszewickim skończywszy. Trudno mi było z takim poglądem polemizować, choć nie podzielałbym go w całej rozciągłości. Zupełnie pozbawione sensu wydaje mi się zauroczenie niektórych naszych teologów ekumenicznych, którzy bardziej niż sami prawosławni gotowi są uzasadniać ich postawę, nie bacząc na to, że jest ona zawsze wobec Kościoła katolickiego nieprzychylna, bez względu na jakiegokolwiek racje teologiczne. Historia ma tu coś do powiedzenia, choć nie powinna mieć ostatniego słowa.

Do Baru zjechałem w Niedzielę Palmową, dość wczesnym rankiem. Miejscowość półwiejskiego charakteru, ale kościół wspaniały. Z dawnych murów fortecznych pozostały ledwo dostrzegalne resztki nad brzegiem mokradła. Budynki kościelne w mieście wówczas były jeszcze okupowane przez instytucje państwowe lub w ogóle zrujnowane, wszystko to jednak miało nikłe znaczenie w porównaniu z tłumną obecnością wiernych w kościele. Barwna procesja z palmami, dziewczęta w regionalnych strojach, dziarski zastęp ministrantów. I wszystko po polsku, bo taka tradycja. Rzymski katolik mówił w kościele po polsku. Siedziałem w konfesjonale i z pewnym niepokojem spoglądałem na długie kolejki z obu jego stron. Czy potrafię wszystkich wyspowiadać? Proboszcz uspokajał:

– Poczekają do końca. Oni po to przyszli i nie odejdą z niczym. Spowiadamy do skutku.

Tak też było. Najczęściej penitent mówił po ukraińsku, ale zaraz zaznaczał, że po polsku rozumie. Całe przedpołudnie spowiadałem, mszę św. odprawiałem o godz. 11.30 lub nawet później.

Wszystko to wydawało mi się snem. Myślałem, że kult można sprawować tylko po kryjomu, ale w owym czasie wiele się zmieniło. Prawo było to samo, ale jego egzekwowanie mocno się rozluźniło. Dawniej obcy ksiądz nie mógłby oficjalnie stanąć przy ołtarzu i na ambonie. Wprawdzie robiłem to w 1975 r. w Wilnie, ale na Litwie było inaczej, zachowywano tam pozory konstytucyjnej swobody wyznania.

Ciekaw byłem wszystkiego. W poniedziałek poszedłem do pobliskiego konsumu w rynku. Był to dom towarowy, choć trzeba by do tej nazwy dać obszerny komentarz, aby odpowiednio rzecz zrozumieć. Piętrowy pusty sklep. W dziale



Mieszkańcy
okolic Baru,
1989 r.



Widok
na Dniestr
i cerkiew
w Chocimiu,
1989 r.



Mieszkańcy okolic
Baru z ks. Bronisławem
Bernackim, 1989 r.



Pan Bramski
z mieszkanką
Chocimia,
Chocim, 1989 r.



Pan Bramski
z Baru z autorem,
Chocim, 1989 r.



Widok na
zdevastowany
kościół, 1989 r.

obuwia oglądałem buty. Chyba nawet za okupacji niemieckiej na przydział dla Polaków sprzedawano lepsze. Przyglądały mi się całkowicie bezczynne ekspedientki. W pewnym momencie słyszę szept:

– Z Polski przyjechał i tu buty ogląda?!

Towar z Polski uważano tutaj za niekwestionowany luksus. Przekonałem się o tym w Chocimiu, kiedy wdałem się w rozmowę z dwojgiem młodych ludzi, którzy nieopodal twierdzy prowadzili prywatny bar. Opowiadali, jak w Polsce zaopatrzyli się w różne sprzęty.

– Tam jest wszystko – powiedział mężczyzna.

Oponowałem, ale nie chciał słuchać. Miał swoje zdanie. A przecież u nas wtedy ze wszystkim było krucho. Inny młody człowiek, którego podwoziliśmy, twierdził, że władzy radzieckiej niedługo już nie będzie i że w ciągu najwyżej roku wszyscy będą mogli wyjechać na Zachód. Zapytałem go, czy na Zachodzie na nich czekają. Wzruszył ramionami i powiedział:

– Wam się udało, to i nam się uda.

Byłem zdumiony, że człowiek wychowany w twardej bolszewickiej szkole może tak myśleć, ale to był fakt.

Na rynku barskim, na środku stał posąg Lenina z prawą ręką wyciągniętą przed siebie. Komentowano to anegdotycznie, że Iljicz stoi tyłem do uniwersamu, jakby dopiero z niego wyszedł, i ręką wskazuje na gmach komitetu partyjnego. Mówi w ten sposób:

– To wy jesteście winni, że tam nic nie ma.

Przez dwa–trzy dni objeżdżaliśmy zdewastowane kościoły. Zrobiłem wiele zdjęć. Wszędzie porządkowano teren kościelny. Łatano ściany, usiłowano doprowadzić do porządku wnętrza. W czasie sowieckim budynki kościelne służyły różnym celom. Były to kina, świetlice, szkoły czy nawet magazyny, warsztaty samochodowe, garaże. Teraz władze oddawały te ruiny, niekiedy czynniki lokalne nawet coś tam pomogły w odbudowie.

W Murafie odwiedziliśmy sędziwego ks. Antoniego Chomickiego¹⁶⁹. Żył w warunkach iście spartańskich, ale na moją uwagę odpowiedział z humorem, że jak

¹⁶⁹ Antoni Chomicki (1909–1993), ksiądz diecezji łuckiej. Świecenia kapłańskie 1935. Wikariusz w parafii w Równem 1935–1937. Proboszcz parafii w Klesowie 1937–1945. W czasie drugiej wojny współpracował z AK. W 1945 aresztowany przez NKWD i w 1946 skazany na 10 lat łagrów. Zwolniony w 1947. Proboszcz parafii w Połonnem 1947–1955, w Szarogrodzie 1955–1958. Od 1958 do śmierci proboszcz w Murafie. Nie przyjął sakry biskupiej, ponieważ obawiał się przymusowego wydalenia

ktoś przesiedział tyle lat w łagrze lub *tiurmie*¹⁷⁰ sowieckiej, to mu potem wszędzie jest dobrze. Opowiadać nie chciał. Sam fakt, że tu jest, świadczy o tym, że władza radziecka nie wszystko może – Bóg ma swoje plany i drogi. Przy pożegnaniu zapytał:

– Chce jechać bez gościnnego?

Nie wiedziałem, co to znaczy, ale przyniósł dwie mikroskopijne stopki i nalał jakiejs nalewki.

– Szoferowi nie dam, ale z konfratrem wypić muszę – rzekł, wręczając mi jedną.

To było wzruszające. Spytałem, czy mu czego nie potrzeba. Potrząsnął głową.

– Ot, przyjedźcie późnym latem, miodu dam i bardzo dobrych winogron.

Faktycznie, cały ganek prowadzący do plebanii był obrośnięty winoroślą.

W Wielką Sobotę pojechałem do Gniwania, gdzie miałem sprawować liturgię wielkosobotnią i spowiadać. Kościół był wtedy jeszcze zamieniony na browar czy coś w tym rodzaju. Nabożeństwa odbywały się w domku jednorodzinnym, w którym właścicielka połączyła dwa największe pokoje i stworzyła w ten sposób coś w rodzaju kaplicy. Sama zajmowała mały pokój z kuchnią. W tym pokoiku, siedząc na łóżku, spowiadałem.

W kaplicy panował ogromny ścisk. Ołtarz był bardzo maleńki, po prostu przyklejony do ściany, a ja do niego. Nie można się było obrócić – a przecież podczas Wigilii Paschalnej konieczność taka pojawia się wielokrotnie – bez dotknięcia przynajmniej kilku osób. Celebrację trzeba było nieco uprościć, ale polegało to głównie na ograniczeniu śpiewów. Duchota zapierała dech, mimo wszystko było to jedyne w moim życiu nabożeństwo, które przeżywałem w tak intensywny sposób, iż nie potrafiłem uchwycić pamięcią i uzmysłowić sobie wszystkich jego momentów. Wspólna modlitwa, niekiedy gdzieś cichy płacz, śpiewna kresowa polszczyzna i wielka prostota, a nawet kłujące w oczy ubóstwo wszystkiego, co mnie otaczało, łącznie z ubiorami wiernych, jakże skromniutkimi.

Na mnie oddziaływało to zniewalająco. Czułem potrzebę pełnego oddania wszystkich swoich sił tym ludziom. Jakże rozumiałem kapłanów, którzy zrezygnowali ze względnej wygody na rzecz tamtejszej pracy w obcym otoczeniu i w stanie nie wiadomo jak długo trwającej prowizorki. Byłoby jednak coś z gruntu fałszywego w uznaniu pracy tam za rodzaj wygnania, otoczenie nie było przecież obce.

z terenu USRR. Mimo braku tytułu biskupiego był przez katolików ukraińskich traktowany jako patriarcha i przywódca duchowy.

¹⁷⁰ Ros. więzienie.

Wizyta
u ks. Antoniego
Chomickiego
w Murafie. Obok
ks. Chomickiego
stoi ks. Broni-
sław Bernacki,
późniejszy
biskup Odessy



Liturgia
Wielkiej Soboty
w Gniwaniu
na Ukrainie,
w prywatnym
mieszkanu,
1989 r.





Procesja
wielkanocna
w Barze,
1989 r.



Pozostałości
wałów obron-
nych w Barze,
1989 r.

Pewnego razu zostałem zaproszony na kolację do rodziny spokrewnionej z panem Bramskim. Przy stole rozmawiano po polsku i po ukraińsku. Ciekaw byłem, kto tu jest kim. Kto Polakiem, kto Ukraińcem? Zapytałem. Zauważyłem pewną konsternację. Ktoś powiedział, że tu nie zwraca się uwagi na to, w jakim języku ktoś mówi – tak jak wypadnie. Wyjaśniono mi, że tu podział na Polaków i Ukraińców nie jest tak hermetyczny jak w okolicach Lwowa, Stanisławowa, w dawnej Galicji Wschodniej czy też – według polskiego nazewnictwa – Małopolsce Wschodniej. To dawało się łatwo zauważyć. Oczywiście nie przekreśla to istnienia świadomości czy tożsamości polskiej, to się po prostu samo przez się rozumiało.

Jeszcze jedno mnie uderzyło. Dyskretne apostołstwo laikatu. Niektóre panie uczyły katechizmu, ułatwiały kontakt z kapłanem. Po nabożeństwie w Gniwaniu podeszły do mnie dwie panie, starsza z nich przedstawiła mi młodą kobietę, jak się okazało, już żonę i matkę, z Kijowa. Chodziło o chrzest, który młoda małżonka chciała przyjąć wraz z mężem i dzieckiem, a zarazem i sakrament małżeństwa. Spytałem, czy pochodzi z rodziny o tradycjach katolickich. Odpowiedziała, że jej rodzina jest niewierząca, ale ze środowiska prawosławnego. Zaraz spiesźnie dodała, że do popa z tym nie pójdzie. Skierowałem obie do księdza proboszcza, bo przecież bez przygotowania to się odbyć nie może. O nic więcej nie pytałem, bo zauważyłem, że obie panie jakoś nie miały chęci na te tematy rozmawiać. Trudne to sprawy i gdyby tam dłużej popracować, trzeba by się niejednego nauczyć. Przede wszystkim wielkiej wyrozumiałości i współczucia dla ludzi, którym zabrano to, co najważniejsze, a nic w zamian nie dano.

Pamiętam jeszcze jedno spotkanie – w Niedzielę Wielkanocną, kiedy nie mogliśmy wrócić na plebanię i krążyliśmy z panem Bramskim po wioskach. W jednej z małych wioseczek, w chatce pięknie wybielonej i przyozdobionej na modro, czyściutkiej i jakże ubożuchnej, gdzie nawet w kotlinie kuchennej było ciemno i chłodno, siedziała na zydlu stara kobiecina z różańcem w ręku. Miałem ją wyspowiadać. Potem przez dłuższą chwilę rozmawialiśmy. Mówiła, że jest zupełnie sama, ale dobrzy ludzie nieraz pomogą.

- Dzieci?
- O, już też niemłode.
- A mąż?
- Zabrali w 1937 r. i nie wiadomo, dokąd powieźli... A może jeszcze wróci?

I pomyśleć, że dziś w Rosji i nie tylko spotkać można ludzi, którzy tęsknią do Związku Sowieckiego, a Stalina wystawiają za jego dzieła. Diabeł nie wyrządziłby

więcej szkody niż on. Krzywdą wołająca o pomstę do nieba to jedyne „dzieło” tego potwora w ludzkim ciele. Tej staruszki nie mogę zapomnieć. Jakaż wiara, ile nadziei było w słowach:

– A może jeszcze wróci?

W pamięci mam obrazek, jak w latach czterdziestych w gimnazjum zmuszano koleżankę, żeby recytowała wiersz na cześć Stalina¹⁷¹ Wisławy Szymborskiej¹⁷², a dziewczyna była jedną z repatriantek ze Związku Sowieckiego. Wszystko mi się jakoś miesza, gdy słucham peanów na temat tej wielbicielki „wodza narodów”. Nie dziwi Nobel. Nie jest wykluczone, że gdyby żył Stalin, może i jego uhonorowano by tym wyróżnieniem.

Prawie dwutygodniowy pobyt szybko minął. W drodze powrotnej jeszcze krótki pobyt w Żmerynce, gdzie także zastałem osoby z Polski pomagające prawie oficjalnie. Siostra w stroju zakonnym już wcale nie raziła.

Zatrzymałem się na jeden dzień we Lwowie. Miał się mną zająć ks. Józef Wołczański, mój doktorant, spędzający sporo czasu w tamtejszych archiwach (obecnie profesor Uniwersytetu Jana Pawła II w Krakowie). Po dających wiele nadziei doświadczeniach w Barze i okolicy kubel zimnej wody wylał na mnie ówczesny rządca katedry o. Rafał Kiernicki, franciszkanin, w którego sakrze biskupiej w niedługim czasie uczestniczyłem. Był to człowiek o zasługach wymykających się wszelkim ocenom i wartościowaniom. Przeszedł drogę wielu kapłanów na tamtych terenach – łagry, więzienie, służba stróża nocnego w parku miejskim – ale od katedry nie odstąpił.



Widok
z dewastowa-
nego pałacu
na Ukrainie.
Od lewej stoją:
John Grondelski,
autor,
ks. Edward
Walewander

¹⁷¹ Wiersz Wisławy Szymborskiej na cześć Stalina pt. *Ten dzień* (chodzi o dzień pogrzebu Stalina), „Życie Literackie”, 15 III 1953.

¹⁷² Wisława Szymborska (1923–2012), poetka, eseistka i publicystka. Studiowała polonistykę i socjologię, ale nie ukończyła tych kierunków studiów. Debiut literacki 1945 na łamach „Dziennika Polskiego”. W 1952 wydała pierwszy tom poetycki *Dlatego żyjemy*, w tym samym roku została członkiem Związku Literatów Polskich. W latach 1953–1966 kierownik działu poezji tygodnika „Życie Literackie”, następnie w latach 1967–1981 publikowała w nim felietony *Lektury nadobowiązkowe*, które pisała do 2002. W 1983 nawiązała współpracę z „Tygodnikiem Powszechnym”. Od 1988 członek PEN Clubu, od 2001 członek honorowy Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury. Członek założyciel Stowarzyszenia Pisarzy Polskich (1989). Laureatka literackiej Nagrody Nobla 1996.

Trwał na stanowisku mimo szykan i stałej groźby uwięzienia i zsyłki. Kiedy rano prosto z pociągu przybyłem do katedry, by odprawić mszę św., spotkałem się z bardzo obcesowym, żeby nie powiedzieć – niechętnym, przyjęciem z jego strony. Ogolić się i umyć mogłem tylko w korytarzyku za zakrystią, przy zlewie, nad którym sterczał kran z zimną wodą. O dopuszczeniu mnie do ołtarza nie chciał nawet słyszeć. Nie ma pozwolenia, zatem ktoś może zadenuncjować, a on ma obowiązek dbania o duszpasterstwo i nie może narażać się na ewentualne ingerencje władz.

Zrezygnowałem i już miałem wychodzić na dworzec, gdy zjawił się ks. Ludwik Kamilewski¹⁷³, wówczas wikariusz w katedrze. Przywitał mnie bardzo serdecznie i powiedział, że ks. Wołczański zaraz się zjawi. Spytał, czy już odprawiałem mszę św. Ojciec Rafał, słysząc to, ostrzegł przed konsekwencjami takiej lekkomyślności, ale ks. Ludwik zdecydował się przemycić mnie do bocznej kaplicy Matki Bożej. Powiedział, że w czasie przejścia jakoś mnie zasłoni i wszystko będzie dobrze. Tak więc po raz pierwszy w katedrze we Lwowie Najświętszą Ofiarę sprawować miałem w wielkiej konspiracji. W kaplicy było sporo osób, zatem ostrożność ta na niewiele się zdała. Ksiądz Kamilewski wyjaśnił mi, że ciężkie przejścia sprawiły, iż o. Rafał niekiedy przesadza. Było to skądinąd oczywiste i nigdy nie miałem do tego dzielnego zakonnika najmniejszej urazy. Pomyślałem tylko, jak bardzo różnią się warunki w tym samym kraju i pod tą samą władzą. W Barze i okolicy nikt się nie przejmował zakazami obejmującymi działalność religijną, we Lwowie było tak, jak tu opisano.

Z ks. Wołczańskim postanowiliśmy pójść gdzieś na śniadanie – na obiad zaprosił nas do siebie ks. Ludwik. Nie znałem w ogóle Lwowa. W pamięci miałem przeczytane teksty o tym mieście, toteż zaprosiłem ks. Józefa do hotelu George’a¹⁷⁴, kiedyś ponoć najlepszego w mieście. Już sama sala restauracyjna – podobna zresztą do wnętrza poznańskiego Bazaru – robiła przygnębiające wrażenie. Odrapane ściany, także stoliki mieszczące się w wykładanych boazerią niszach. Wszystko było okropnie zapuszczone. Ksiądz Wołczański uśmiechał się pod nosem i mruczał, że mistrzowi nie śmiał się sprzeciwić, ale doskonale wiedział,

¹⁷³ Ludwik Kamilewski (ur. 1946), ksiądz archidiecezji ryskiej. Święcenia kapłańskie 1974. Wikariusz w bazylice metropolitalnej we Lwowie 1974–1991. Proboszcz parafii w Łucku i dziekan łucki 1991–2000. Od 2000 w diecezji kijowsko-żytomierskiej. Przez rok proboszcz kościoła katedralnego św. Zofii w Żytomierzu. Obecnie proboszcz parafii św. Wacława w tym mieście. Zasłużony w sprawie odzyskiwania świątyń na cele kultu religijnego na Ukrainie w dobie *pierestrojki*.

¹⁷⁴ Reprezentacyjny hotel we Lwowie, wzniesiony w latach 1899–1901, usytuowany u zbiegu ulicy Akademickiej (obecnie: prospekt Szewczenki), pl. Mariackiego (płocza Mickiewicza) i ulicy Sienkiewicza (Mykoły Woronoho).

co zastaniemy. Zjawił się kelner i zapytał, co zamawiamy. Poprosiłem o kartę. Spojrzał zdziwiony. Powtórzyłem, że proszę o menu. Powiedział, że czegoś takiego tu nie potrzeba.

– Jest tylko chleb, masło, jajcy, czaj.

Spytałem o kawę. Spojrzał w sufit, następnie na mnie i nic nie mówiąc, oddalił się. Po chwili pojawił się z dwiema szklankami kawy i wymienionymi wiktuałami.

– Ta kawa – oświadczył – to dla was, bo jesteście z Polski. O, u was to wszystko jest inaczej.

Powiedziałem o sławie George’a sprzed wojny. Westchnął tylko:

– Niech pan nawet nie wspomina... Ale przychodźcie panowie na obiad, coś dla was wykombinuję.

Nie skorzystaliśmy, siostra ks. Kamilewskiego, z zawodu specjalistka gastronomiczna, sprawiła nam istną ucztę. Podobnie jak jej brat, który pokazał nam depozyty złożone przez rodziny polskie – dzieła sztuki rzadkiej piękności i wyjątkowej wartości.

We Lwowie byłem później kilkakrotnie. Na sakrze biskupiej, pierwszej po wojnie w tym mieście. Potem byłem z Johnem Grondelskim i ks. Edwardem Walewandrem. Wtedy odwiedziliśmy prawie już odrestaurowany cmentarz Orląt oraz cmentarz Łyczakowski, istny podręcznik historii Polski kuty w kamieniu.

Ta ostatnia podróż szczególnie wryła mi się w pamięć. Jechaliśmy samochodem Johna, starym wysłużonym nissanem wagonem, ale ze znakami CC. Pomijam już to, że wehikuł ten poruszał się sprawnie do szybkości mniej więcej 80 km/h. Potem można było cisnąć na gaz – owszem, warczał silniej, ale szybkości nie nabierał. Po drodze zatrzymywaliśmy się w kilku miejscach, m.in. w Żółkwi, gdzie rynek i okoliczne ulice były rozkopane na metr lub głębiej. Zwiedziliśmy kościół będący w trakcie odnawiania. Proboszcz, bardzo rzutki ksiądz, był dobrej myśli, na wiele rzeczy brakowało środków, ale prace powoli się posuwały.

John koniecznie chciał zwiedzić dom towarowy. Odradzałem, ale się uparł i poszliśmy. Przy wymianie pieniędzy w tamtejszym kantorze było wielkie zdziwienie panienki z obsługi, że ktoś wymienia tak dużo dolarów – około stu. Mieliśmy już opuścić ten przybytek Merkurego, gdy John podszedł do lady z materiałami i zobaczył coś w gatunku naszej bielskiej wełny, w Polsce już od dawna nie do dostania. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy sprzedawczyni, starsza pani, potwierdziła, że to rzeczywiście bielska wełna. Skąd? Z dawnych magazynów sowieckich. Kupony były bajecznie tanie. John kupił chyba ze trzy.

We Lwowie dyrygował nami Włodzimierz Osadczy. Gościła nas rodzina jego żony, a następnie dzięki znajomościom pana domu dostaliśmy pokój w hotelu koło lotniska, ponoć wyjątkowo dobrym. Owszem, spać można było, choć wieczorem w dolnej sali grano i tańczono do północy. W cenie miało być także śniadanie. Były gotowane jajka, chleb i herbata. Masła nie dostaliśmy, bo lodówka była zamknięta na kłódkę, a szefowa spóźniła się do pracy i nie było wiadomo, o której przyjdzie. Amerykanin dopytywał się o powód takiego zaniedbania, ale obsługująca nas młoda dama przyjrzała mu się ze zdziwieniem i powiedziała, że nie rozumie, dlaczego on tak się awanturuje.

– *Jajcy i czaj* jest... więc o co jeszcze chodzi? O masło? Też mi coś!

Tak nas to ubawiło, że już się o nic nie dopominaliśmy.

Samochód postawiłem – byłem kierowcą, co bardzo mi odpowiadało, gdyż samochód ze znakami CC był nietykalny – naprzeciw hotelu, na parkingu lotniska, czyli grząskim polu z budką na kolumnie w środku. Następnego dnia chcieliśmy zwiedzić okolice. Czekałem może pół godziny, gdyż parking uchodził za strzeżony i nie chciałem bez wiedzy stróża zabierać samochodu. Zniecierpliwieni – wyjechaliśmy, zanim przyszedł. Wieczorem, gdy odstawiłem auto, stróż podbiegł do mnie i powiedział, że właśnie szedł się powiesić. Myślał, że skradziono nasz samochód, a to przecież „dyplomatyczny”. Uśmiełem się, ale on był naprawdę przestraszony. Powiedziałem, że czekaliśmy na niego, ale nie nadchodził, więc pojechaliśmy. Tłumaczył się, że poszedł po papierosy, spotkał kogoś, no i... wiadomo. Dziwne to było, bo przecież ktoś mógł mu rzeczywiście zabrać nie swój samochód.

W naszej podróży krajoznawczej duże wrażenie zrobił na mnie zamek w Olecku, miejsce urodzenia Jana Sobieskiego, dobrze zachowany dzięki wysiłkom kustosza. Pan bardzo ciekawie opowiadał o tym miejscu, wcale nie uwypuklając swych zasług. Pojechaliśmy następnie do Podkamienia. Zobaczyliśmy dawny kościół dominikański, całkowicie zdewastowany – w nawie głównej rosły brzozy. Ale nie to jest najważniejsze. To miejsce przesiąknięte krwią męczeńską i naznaczone bestialstwem, które powinno być nazwane aktem dzikiego ludobójstwa. Od 12 do 16 marca 1944 r. kureń UPA pod dowództwem Maksa Skorupskiego¹⁷⁵, noszącego pseudonim „Maks”, wraz z 4. pułkiem policji SS, w którym służyli ukraińscy ochotnicy pod dowództwem niemieckim, wymordowali chroniących

¹⁷⁵ Maksym Skorupski (1912–1985), sierżant UPA, dowódca kurenia, który dokonał zbrodni w Podkamieniu.

się w kościele Polaków w liczbie około sześciuset osób. Wtedy, kiedy tam byliśmy, zbrodnię upamiętniał tylko mały krzyż z tabliczką w języku ukraińskim.

Od strony absydy kościoła była mała kaplica obsługiwana przez księży grekokatolickich. Odwiedziliśmy ich, ale byli małomówni. Z odgrozonego płotem budynku obok kościoła, chyba dawnego konwentu dominikańskiego, z okien wyglądały starsze osoby. Był to dom opieki. Jakże ubożuchno się to prezentowało i jak ciężki musiał być los tych ludzi. O nich napotkani kapłani także nie chcieli mówić. Chyba nie na rękę była im nasza wizyta, choć starali się być uprzejmi.

Z Podkamienia pojechaliśmy do Poczajowa. Ogromny klasztor z przyległościami, zwłaszcza cerkiew – słynna ławra Poczajowska. Obiekt porównywalny z Jasną Górą, kto wie, czy nie większy. Jest to główny ośrodek Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej należącej do patriarchatu moskiewskiego. Mnisi to byli głównie Rosjanie, toteż zewsząd słychać było język rosyjski. Jest to też miejsce, gdzie kuje się oręż przeciwko Kościołowi katolickiemu. Rozmawialiśmy po polsku, więc mijający nas mnich znacząco nam się przyglądał, a następnie inny jego współbrat stale się koło nas kręcił. Poczajowski monastyr leży na wzgórzu i przy dobrej pogodzie widać Podkamień. Podobno jest w tym pewna symbolika – zwycięstwo prawosławia nad katolicyzmem i w dodatku wymazanie z tej ziemi Polaków. Co to wszystko ma wspólnego z chrześcijaństwem – trudno powiedzieć. Muszę przyznać, że choć ławra urzeka swoim pięknem, to nie obudziła żadnych głębszych refleksji duchowych. Pytałem kiedyś protestanta o wrażenia, jakich doznał na Jasnej Górze. Odpowiedział, że nie jest specjalnie religijny, ale odczuł tam potrzebę modlitwy. W Poczajowie niczego takiego nie doświadczyłem. Opuściliśmy teren klasztorny i podeszedłem do straganu z dewocjonaliami i innymi przedmiotami. Pani sprzedająca spytała, skąd jesteśmy. Po uzyskaniu odpowiedzi, że z Polski, powiedziała:

– Ja u was bywała, to nie to, co tu – i wskazała na klasztor.

Trochę prowokująco rzekłem, że tu to sanktuarium ukraińskie, na co ona się roześmiała i powiedziała:

– Ale we wnętrzu Moskali...

Dziwiło mnie to nazywanie Rosjan Moskalami, bo w Polsce czegoś takiego nie ma. I to, że młodzi Ukraińcy słuchają rosyjskich piosenek i je śpiewają. W kawiarniach we Lwowie muzyka taka była, rzec można, regułą.

Trudno mi pisać o Lwowie, mało co tam widziałem. Pochodzeniem jestem daleki od tych stron, ale miasto było dla mnie zawsze – i jest nadal – stolicą polskiej kultury. Gdy się wchodzi na cmentarz Łyczakowski, zaraz od bramy wita grób Gabrieli

Zapolskiej¹⁷⁶. Jest to bardzo symboliczne. Zanim dojdzie się do cmentarza Orląt, co krok mija się nagrobki kogoś z polskiego panteonu uczonych, ludzi sztuki, społeczników. Grottger¹⁷⁷, Kętrzyński¹⁷⁸, Konopnicka¹⁷⁹, Smolka¹⁸⁰, Stanisław Stefczyk¹⁸¹, abp Teodorowicz¹⁸², Szajnocha¹⁸³ i dziesiątki innych. Nazwiska, które jeszcze dziś mają wpływ na kształt naszej polskiej kultury. Smutna jest ta pielgrzymka między grobami, może dlatego po wyjściu już nie chce się zwiedzać tak po prostu, jak czyni to każdy turysta. Trudno jest przechodzić zarośniętymi alejkami cmentarnymi i – obok zabytkowych omszałych pomników – natykać się co krok na te nowe, sowieckie. Wielkie czarne nadstawy z wytrawionym portretem zmarłego. Ma to być okazałe i ładne, ale w sąsiedztwie tych starych, wyrażających jakąś myśl, niekoniecznie religijną, nowoczesność w stylu socrealizmu razi i odpycha.

Nie potrafiłem być we Lwowie turystą. Podświadomie czułem się tam u siebie, niezrażony tym, że otoczenie było obce. To nie secesyjne kamienice i nawet nie kościoły, to zakotwiczeni w pamięci Szczepcio i Tońcio, Wesoła Lwowska Fała, której słuchołem w dzieciństwie. Rzecz ciekawa, ale Wilno, które znałem o wiele lepiej, takich skojarzeń nie budziło. Może dlatego, że zawsze było miastem bardziej zadbanym? Nie zakorzeniło się aż tak w naszym myśleniu. Lwów wraz z Dzikimi Polami wrastał w nas prozą Sienkiewicza, przez co kontrast między historią a teraźniejszością jest tu bardziej bolesny. Dziwiłem się zawsze, że ks. Władysław

¹⁷⁶ Gabriela Zapolska (1857–1921), aktorka, dramatopisarka, powieściopisarka i publicystka. Autorka m.in. *Moralności pani Dulskiej*.

¹⁷⁷ Artur Grottger (1837–1867), malarz, ilustrator, rysownik, autor słynnego cyklu kartonów o powstaniu styczniowym.

¹⁷⁸ Wojciech Kętrzyński (1838–1918), historyk, etnograf, publicysta. Absolwent uniwersytetu w Królewcu. Doktorat 1866. Wieloletni dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie (od 1876). Ojciec Stanisława Kętrzyńskiego.

¹⁷⁹ Maria Konopnicka (1842–1910), poetka, nowelistka, krytyk literacki i tłumaczka. Brała udział w walce z germanizacją i o prawa kobiet.

¹⁸⁰ Stanisław Smolka (1854–1924), historyk, współtwórca krakowskiej szkoły historycznej, syn wybitnego polityka Franciszka Smolki. Doktorat 1873, habilitacja 1875, profesor historii na UJK we Lwowie 1876–1883, następnie na UJ 1883–1902; rektor 1895–1896. Dyrektor Archiwum Krajowego Aktów Grodzkich i Ziemskich w Krakowie 1908–1919. Profesor KUL od 1918. Członek krakowskiej Akademii Umiejętności od 1881, jej sekretarz generalny w latach 1891–1902.

¹⁸¹ Stanisław Stefczyk (1861–1924), nauczyciel, ekonomista, działacz społeczny i spółdzielczy, aktywny również w ruchu ludowym. Inicjator zakładania kas oszczędnościowo-pożyczkowych, znanych później jako Kasy Stefczyka.

¹⁸² Józef Teofil Teodorowicz (1864–1938), arcybiskup lwowski obrządku ormiańskiego, teolog, polityk, poseł na Sejm Ustawodawczy, a następnie senator w II RP.

¹⁸³ Karol Szajnocha (1818–1868), pisarz, historyk, działacz niepodległościowy. Zastępca kustosa w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich od 1853, od 1856 – redaktor „Rozmaitości”. Inicjator i wydawca pomnikowego dzieła *Monumenta Poloniae Historica* oraz redaktor „Biblioteki Ossolińskich”. Największe jego opracowanie to *Jadwiga i Jagiełło*.

Poplatek, lwowiak, nie chciał tam nigdy pojechać. Pytałem go, dlaczego. Odpowiadał jakimś nieokreślonym ruchem ręki i niezmiennie tym samym zapytaniem:

– *Domine*, a co ja tam zastanę?

Gdy opowiadałem mu o moich bytnościach we Lwowie, rzucał niekiedy pytania o taki czy inny szczegół, ale nie czynił tego chętnie.

Wielokrotnie bywałem w Wilnie, raz w Grodnie, nad Niemnem, u kolebki powieści Orzeszkowej¹⁸⁴ o tym tytule, w Nowogródku, ojczyźnie Mickiewicza. Ja, człowiek zachodniej Polski, bardzo się wzruszałem, stąpając po tamtejszej ziemi. Ile w niej było polskiego potu, krwi, ilu wydała synów i córek, którzy na zawsze zapisali się w naszych dziejach. Sami siebie nazywali zamiennie Litwinami czy Rusinami, a myśleli, czuli i kochali po polsku. Godna jest spuścizna Rzeczypospolitej Obojga Narodów, a właściwie trojga albo i czworga, słusznie jest przedmiotem naszej dumy. Generał Bohaterewicz¹⁸⁵, który spoczywa w Charkowie, urodził się nad Niemnem i tam wyrastał. Był polskim patriotą, ale także „tutejszym”. Ilu takich było? Kościuszko, Traugutt, Piłsudski. Gdy się jedzie przez te okolice, gdzie wzrok zawsze ginie w mgiełce dalekich przestrzeni, nie sposób nie myśleć o Kresach. Zaludniały one niegdyś naszą wyobraźnię kształtowaną przez Sienkiewicza, Orzeszkową, Rodziewiczównę¹⁸⁶.

Z sentymentem wspominam naszą podróż z Johnem Grondelskim na Białoruś i do Wilna. Po przenocowaniu w Białymstoku udaliśmy się do Grodna, gdzie zatrzymaliśmy się w tamtejszym seminarium duchownym. Następnego dnia odwiedziliśmy bp. Aleksandra Kaszkiewicza¹⁸⁷. Naszym gospodarzem i przewodnikiem był przeżyły ks. Roman Kotlimowski¹⁸⁸ – kapłan diecezji radomskiej, od dwudziestu lat pracujący w seminarium grodzieńskim. Miasto zrobiło na mnie

¹⁸⁴ Eliza Orzeszkowa (1841–1910), pisarka epoki pozytywizmu. Autorka m.in. powieści *Nad Niemnem*. Dwukrotnie pojawiła się wśród kandydatów do literackiej Nagrody Nobla: 1904 i 1909.

¹⁸⁵ Bronisław Bohaterewicz (1870–1940), podpułkownik piechoty armii Imperium Rosyjskiego, generał brygady WP. Działacz kombatancki i społeczny. Zamordowany w Katyniu.

¹⁸⁶ Maria Rodziewiczówna (1864–1944), pisarka, działaczka patriotyczna, członkini Warszawskiego Stowarzyszenia Ziemianek.

¹⁸⁷ Aleksander Kaszkiewicz (ur. 1949), ksiądz archidiecezji wileńskiej. Święcenia kapłańskie 1976. Wikariusz w parafii Poniewież 1976–1981. Proboszcz parafii św. Ducha w Wilnie od 1981. Biskup diecezjalny grodzieński od 1991. Przewodniczący Konferencji Biskupów Katolickich na Białorusi 2006–2015.

¹⁸⁸ Roman Kotlimowski (ur. 1963), ksiądz diecezji sandomiersko-radomskiej. Święcenia kapłańskie 1988. Wikariusz w parafii św. Rodziny w Radomiu 1988–1990, w Wołkowysku 1990, św. Ducha w Wilnie 1990–1991. Wykładowca, wychowawca i moderator WSD w Grodnie od 1991. Doktorat z teologii 2004. Od tego momentu odpowiedzialny za formację stałą duchowieństwa w diecezji grodzieńskiej. Obecnie w diecezji radomskiej.



Katedra
lwowska,
1991 r.

ogromne wrażenie. Przypomniałem sobie jego bohaterską obronę przez młodzież w 1939 r. Nawet na ulicy spotykało się ludzi mówiących po polsku i odnoszących się do nas z życzliwością. Przy okazałym rynku nawiedziliśmy katedrę, która na szczęście nie nosiła żadnych oznak dewastacji bolszewickiej. We wnętrzu spotkaliśmy starszego pana, który spostrzegłszy, że jesteśmy z Polski, opowiedział nam, jak świątynia, której

groził zabór przez władze bolszewickie, była broniona przez wiernych. Bez ustanku jakaś grupa się w niej modliła. Sowietci nie śmieli wyrzucać ludzi z kościoła i wreszcie dali za wygraną.

Sprawy Kościoła w byłym ZSRS żywo mnie interesowały, jak zresztą wielu moich kolegów, którzy w tym obszarze angażowali się o wiele czynniej. Starłem się być jakoś przydatny, co przy moich zajęciach uniwersyteckich wcale nie było łatwe. W tym czasie szła w tym kierunku wielka pomoc z Zachodu, zwłaszcza z takich organizacji, jak Kirche in Not (Pomoc Kościołowi w Potrzebie)¹⁸⁹, Ostpriesterhilfe, Renovabis¹⁹⁰, nie licząc mniejszych inicjatyw. Instytucje te były jednak bardzo ostrożne i domagały się ścisłej dokumentacji budżetowej. Trzeba było wypełniać sążniste kwestionariusze. Na miejscu nie potrafiono tego zrobić, zatem przysyłano to wszystko m.in. do mnie, bym sformułował i uzasadnił wniosek o pomoc. Dostałem kilkadziesiąt takich kwestionariuszy z diecezji kamienieckiej. Najgorsze było to, że bardzo rzadko księża odnośnych parafii załączali opis zniszczeń i plan renowacji. Siedzieliśmy z ks. Edwardem Walewandrem po wiele godzin, by skompletować takie dokumenty. Na szczęście miałem wyobrażenie, jak te kościoły wyglądają, komponowaliśmy zatem trochę opisy i zestawienia potrzeb.

¹⁸⁹ Międzynarodowa organizacja pozarządowa związana z Kościołem katolickim, utworzona w 1947. W okresie zimnej wojny pomagała Kościołowi w państwach bloku wschodniego. Obecnie wspiera chrześcijan prześladowanych za wiarę. Jednym z oddziałów jest Ostpriesterhilfe.

¹⁹⁰ Niemiecka organizacja charytatywna założona w 1993, by nieść pomoc mieszkańcom Europy Środkowo-Wschodniej. Utworzona przez Centralny Komitet Katolików Niemieckich i episkopat Niemiec.

Po to, by po wypełnieniu nie odsyłać dokumentów do podpisu bp. Olszańskiemu w Kamieńcu Podolskim, trzeba było tu na miejscu starać się o podpis ordynariusza. Musiałem kiedyś jechać aż do Łomży, bo tylko tamtejszy bp Juliusz Paetz¹⁹¹ nie robił trudności i chętnie to podpisywał. Był to niemały trud i dość skomplikowana praca. Byłem zdumiony, kiedy bp Olszański wkrótce po tym, jak mu załatwiliśmy całą serię takich wniosków, przyjechał do Lublina i podobno wielu ludziom dziękował za życzliwość, a dla nas nie znalazł ani jednego słowa – ani chwili czasu, by choćby się tylko dowiedzieć, jak nam się udało to wszystko sfinalizować. Nie ma to ostatecznie znaczenia, nam leżała na sercu sprawa i tylko ona się liczyła.

Nie jestem wtajemniczony w cały proces konsumowania tych pieniędzy. W jednym wypadku wypracowany przez nas kosztorys opiewał na ponad 120 tys. marek. Była to, zważywszy kurs marki na wschodzie, suma olbrzymia. Doszły mnie słuchy, że pieniądze te były niekiedy wydawane na sprzęt elektroniczny najnowszej generacji. Dla mnie było to niepojęte. Takie przypadki mogły się zdarzać i sam kiedyś w rękach tamtejszego księdza natknąłem się na taki sprzęt, o jakim nie mógłbym nawet marzyć, ale generalnie ze środków tych korzystano w sposób właściwy.

Jeśli mowa o Kamieńcu Podolskim, to przypomina mi się zwiedzanie w 1989 r. tamtejszej katedry z charakterystyczną wieżą w kształcie minaretu. Ale nie to zwróciło wówczas moją uwagę. Katedra była wtedy w trakcie odzyskiwania jej przez Kościół i zarazem odbudowy z dewastacji, jakiej uległa. Podłogi nie było w ogóle, a zamiast niej był rozkopany grunt, właściwie dół, który zaczynano podmurowywać prawdopodobnie w celu położenia posadzki. Trzeba było poruszać się w grząskim piasku. W bocznych nawach były jeszcze pozostałości po muzeum ateizmu – gablotki z pięknymi kielichami, pacyfikałami, ikonami, opatrzone napisami w rodzaju:

Oto pozostałość po krwiopiccach, którzy z trudu wyzyskiwanych mas czepali środki na te zbytki.

Nie ręką za dosłowność, ale treść niektórych była jeszcze bardziej drastyczna.

¹⁹¹ Juliusz Paetz (1935–2019), ksiądz archidiecezji poznańskiej. Świecenia kapłańskie 1959. Absolwent KUL i uniwersytetów papieskich: Gregorianum i św. Tomasza z Akwinu. Doktor teologii. Pracownik Sekretariatu Generalnego Synodu Biskupów w Rzymie 1967–1976. Prałat antykamery papieskiej 1976–1982. Biskup diecezjalny łomżyński 1983–1996. Arcybiskup metropolita poznański 1996–2002. Od 2002 na emeryturze w wyniku skandalu związanego z molestowaniem kleryków. Zarejestrowany przez SB jako KI „Fermo” w latach 1978–1982.

W tym samym mniej więcej czasie odwiedziłem Łatyczów. W tamtejszej katedrze, podobnie jak w Kamieńcu, wewnątrz kościoła to był dół. Napotkany mężczyzna wyjaśnił, że trzeba było tak głęboko kopać, ponieważ cała katedra była zanieczyszczona smarami i olejem pędnym. Barbarzyństwo sowieckie było wprost niewyobrażalne. Sądzę, że na dawnych terenach polskich większe aniżeli w głębi kraju. Tam chodziło o całkowite zatarcie śladów kultury polskiej i łacińskiej.

Moje lata częstochowskie

Lata dziewięćdziesiąte były w moim życiorysie więcej niż mobilne. Czterokrotne pobyty za oceanem, o wiele częstsze w krajach europejskich, zwłaszcza w Niemczech czy Włoszech. Przy tym seminarium moje niezmiernie się rozrosło. W roku akademickim 1992/1993 w łączonym seminarium magisterskim i doktorskim uczestniczyło 25 osób. Później liczba ta wzrosła do ponad 30. W dekadzie tej wypromowałem 19 doktorów i prowadziłem 186 prac magisterskich – liczę tylko te, które zakończyły się zdaniem egzaminem. W dodatku podjąłem pracę w Wyższej Szkole Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie. Dojeżdżałem tam co dwa tygodnie, każdorazowo na dwa dni. Uczyłem na germanistyce historii Niemiec, *Landeskunde*, oczywiście po niemiecku.

Chyba w drugim roku moich dojazdów na przystanku autobusowym wszcząłem rozmowę ze studentami. Wracalem po zajęciach, które wówczas odbywały się dość daleko, w gmachu przy ul. Tkackiej, do seminarium duchownego, gdzie mieszkalem, korzystając z gościnności mojego kolegi ze studiów lubelskich, ks. Jana Związka. Zapytałem, czy łatwo im zrozumieć wykład. Oni na to:

- W ogóle nie rozumiemy.
- Jak więc przygotowujecie się do egzaminów?
- A tak jakoś...

Rozmowa spowodowała, że zaprogramowałem ćwiczenia praktycznej nauki języka, głównie receptywnej, w połączeniu z innymi elementami, np. leksykalnymi. Stwierdziłem, że nawet przy względnie dobrej znajomości zasad gramatycznych ludzie ci nie mają żadnego zasobu słownikowego. Nie chodziło nawet o jakieś terminy fachowe, tylko o podstawowe słownictwo. Uznałem, że nadrobić ten brak można wyłącznie przez ćwiczenia i to na bazie materiału jak najbardziej zbliżonego do języka potocznego. W tym celu studiowałem gazety niemieckie i wybierałem artykuły do ćwiczeń. Wszystko to robiłem intuicyjnie. Nie byłem filologiem z wykształcenia, a język niemiecki znałem jedynie w wymiarze praktycznym, szedłem

więc zapewne trochę pod prąd. Germaniści, z którymi sprawę konsultowałem, zdania mieli podzielone. Jedni zapalili się do tej metody, zalecającej niejako drogę na skróty, inni uważali, że za wysoko stawiam poprzeczkę i że nic z tego nie wyjdzie. Sądzę, że sposób przeze mnie praktykowany dał jednak rezultat pozytywny. Mogłem to zauważyć później, prowadząc prace magisterskie.

Czytaliśmy krótsze i w moim przekonaniu łatwiejsze artykuły i następnie, po analizie dokonanej w trakcie ćwiczeń, studenci mieli za zadanie w domu wydobyc z tych tekstów zasadniczą treść i przedstawić ją po niemiecku. Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że ta metoda wielu doprowadziła nie tylko do końca studiów, lecz także do znacznego opanowania języka. Uczyłem w tej szkole od 1991 r. przez 12 lat. W tym czasie dziewiętnaście osób pod moim kierunkiem zrobiło magisterium, a spośród nich później na uniwersytecie dwie doszły do doktoratu.

Nie jestem filologiem zawodowym, języki są moim hobby. Prowadziłem zajęcia w języku niemieckim prawie trzydzieści lat (wykłady monograficzne dla germanistów z historii Niemiec) i mam swoją teorię na temat skuteczności różnych metod uczenia. Nie zawsze są to pomysły odpowiadające zasadom glottodydaktycznym. Co do ich skuteczności – to nie mam najmniejszej wątpliwości; nie mają jej także moi uczniowie. Gdyby studenci zechcieli bardziej angażować pamięć, tempo i jakość opanowania języka byłyby nieporównanie większe. Tymczasem jednak zwyciężają czysto komercyjne i nieuczciwe reklamy, które zachęcają do uczenia się bez wysiłku lub obiecują znajomość języka w bardzo krótkim czasie. Językowi trzeba poświęcić 24 godziny na dobę. Wszędzie, gdzie jesteśmy, w każdej sytuacji ma się okazję do powtarzania znanych już rzeczy i wzbogacania ich o nowe.

Ze spacerów po Nowym Jorku zawsze przynosiłem mniej lub więcej nowych wyrażeń, poznanych znaczeń. Wystarczyło czytać na murach, szyldach, nawet w autobusie, metrze... Kiedyś spotkałem w Ameryce kolegę, który twierdził, że wystarczy znać francuski. On zna i dlatego angielski go nie interesuje. Zachęcałem go, by usiłował zrozumieć choćby anonse o odjazdach pociągów. Pokręcił głową i pozostał przy swoim. Nie on jeden. Większość ludzi tak reaguje na coś, czego nie rozumie lub co wydaje się im zbyt trudne.

Nie dziw, jeśli amatorzy tak podchodzą do nauki języka. Gorzej, jeśli źle się dzieje w nauczaniu profesjonalnym. Na KUL zastąpiono mój wykład monograficzny dla germanistów wykładem w języku polskim, podobno dlatego, żeby komuś dać godziny. Zdumiałem się, gdy w roku wprowadzenia tej innowacji, w październiku, podeszło do mnie dwóch studentów pierwszego roku i zapytało, kiedy będę

miał wykład. Powiedziałem, że w ogóle go nie będzie, ale zainteresowałem się, skąd wiedzą, że takowy był. Odpowiedzieli, że od kolegów z drugiego roku. Czy nie mógłbym się postarać, żeby ten wykład w języku niemieckim powrócił? Cóż mogłem odpowiedzieć? Czy szczerze uświadomić im, że w tym wszystkim nie chodzi o ich umiejętności, ale o godziny zajęć dla kogoś? Nie wypadało.

Po interpelacji owych studentów przypadkowo natknąłem się na ulicy na jednego z profesorów odpowiedzialnych za studia germanistyczne i opowiedziałem mu o rozmowie z tymi młodymi ludźmi. Nie komentowałem tego, bo przecież kto jak kto, ale mój rozmówca musiał rozumieć sens wykładu niemieckiego. Był widocznie skrępowany i zaczął zawile tłumaczyć, że rozdział godzin zależy od dziekana, a ten uważa, że lepiej, by wykładał nie emeryt, czyli ja, lecz czynny wykładowca – a że po polsku, to już trudno. Co można było powiedzieć na takie *dictum*?

Stałe dojazdy do Wyższej Szkoły Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie – przemianowanej wkrótce, nie wiadomo dlaczego, na Akademię Polonijną – zmuszały mnie do rezygnacji z wielu atrakcyjnych propozycji wystąpień, zwłaszcza zagranicznych. Praktycznie uczyłem tam języka, a wiadomo, że takie studium nie znosi dłuższych przerw. Co więcej, 25 stycznia 2000 r. otrzymałem tam nominację na kierownika Katedry Historii i Kultury Europejskiej. Dokument umocowany złotą pieczęcią wprowił mnie w zakłopotanie. Nie przewidziałem takiej promocji, a ponadto katedra to nie tylko nazwa, to instytucja, która musi mieć swoje pole działania i osoby działające. Nie wiedziałem, jak ten łakomy kąsek skosztować. Rychło się zresztą okazało, że rzecz była *in statu fieri*, rzekłbym obrazowo, że nawet w stanie prenatalnym.

To była pięta achillesowa tej (skądinąd niesłusznie w owym czasie przez media napastowanej) uczelni. Wiele tego typu szkół ma podobne problemy, gdyż chęć, a raczej chyba konieczność, topornego zastosowywania przepisów Unii Europejskiej każe podejmować działania pozorowane. Na płaszczyźnie tej potwornej i najczęściej bezdusznej biurokracji daje to przynajmniej chwilowe profity w postaci takiej czy innej akredytacji, a co za tym idzie – środków materialnych. Jest to plaga trapiąca polską edukację. Różnego rodzaju potworki pedagogiczne, cierpiące na ból głowy z powodu niedowartościowania skłonności homoseksualnych w szkołach, powinny raczej zająć się szkolnictwem od strony jego merytorycznych i wychowawczych zadań. Tylko czy w ogóle ten problem dociera do zaczadzonych mózgownic? Przecież całkowite zniszczenie dyscypliny szkolnej już wydaje zatrute owoce i nie może być inaczej, skoro pani psycholog, stale przywoływana

(nie wiadomo dlaczego) przed kamery TV, martwi się głównie o to, żeby dzieciaki w szkołach się „zabezpieczyły”. Wstyd i hańba! Czy ci ludzie ulegli – bo to osoba mocno starsza – trendowi sodomskiemu, czy też w jego duchu sami zostali uformowani?

Do akademii byłem i jestem szczerze przywiązany, spędziłem tam wiele czasu i włożyłem sporo wysiłku. Byłem u jej narodzin, miałem wykład inauguracyjny. Muszę jednak gwooli prawdy powiedzieć, że kult europejskości, którego próbkę tu przedstawiłem, raził mnie i zwyczajnie zakrawał na śmieszność, poza pustotą pozorów pseudonaukowości niczego bowiem sobą nie reprezentował. Rozumiem, że bez tego nie można było liczyć na żadne pieniądze, ale czy warto aż tak się odzierać z tożsamości, nawet w zamian za największego obola?

Ogromna większość szkół prywatnych dąży do zwabienia w swoje mury jak najliczniejszej grupy studentów, bo to się przekłada na możliwości finansowe. Ten werbunek z kolei wiąże się z przesadną i często niemającą żadnych realnych podstaw ofertą, która w bardzo krótkim czasie okazuje się mirażem i rodzi frustrację. Nie tylko wśród studentów, lecz także u tych wykładowców, którzy rzetelnie traktują swoje obowiązki i na tym budują swój autorytet. Tym na ogół należy tłumaczyć bardzo wielką rotację kadr, co w rezultacie obniża wyniki nauczania. Wielokrotnie zwracałem uwagę kierownictwa na te bolączki, ale z miernym albo żadnym skutkiem. Komercyjność zabijała nawet swego rodzaju instynkt samozachowawczy, który na dłuższą metę mógł decydować o być albo nie być szkoły. Bardzo zabiegałem o to, by pozyskiwać zdolniejszych absolwentów, nie obciążać ich zajęciami przekraczającymi ich możliwości, tylko zadbać o ich dalsze kształcenie aż do osiągnięcia samodzielności naukowej. Sukcesu nie odniosłem, ponieważ nie rozumiano, na jakim fundamencie stoi uczelnia. To był głos wołającego na pustyni.

Inna sprawa to tajna gradacja wynagrodzeń. Tajna, bo był niepisany zakaz ujawniania zarobków. Moje były tak niskie, iż właściwie mnie to nie obowiązywało, jako że można było na moim przykładzie uzasadnić zarobki innych, może jeszcze niższe. Ta dyferencjacja bardzo źle wpływała na nastroje wśród pracowników. Nikt z młodszych nie chciał wierzyć, kiedy wymieniałem wysokość mych poborów. To, co opowiadano sobie o zarobkach niektórych osób, niewspółmiernych do oferowanej przez nie pracy, nie nadaje się do powtórzenia, gdyż brzmi jak legenda.

Najgorsze było to, że wymagania stawiane pracownikom były wyśrubowane do ostateczności. Przy tym taki młody człowiek – nie mam oczywiście na myśli siebie, gdyż miałem już długoletni staż za sobą i samodzielność – nie miał środków

na to, żeby podnosić swoje kwalifikacje, awansować w stopniach naukowych. Był po prostu biedakiem, o czym świetnie wiedzieli niekiedy bardzo dobrze sytuowani studenci, zatem jego autorytet wobec nich był także mocno obniżony. Cóż, kiedy przepisy obowiązujące młodszych pracowników naukowych na wyższych uczelniach przewidują jak największe ich obciążenie dydaktyką. Błędne koło. Ponieważ ludzie muszą z czegoś żyć, szukają dodatkowych prac, o których uczelnia nie wie. Złe drzewo rodzi złe owoce, czyli poziom leci po równi pochyłej. Obłędne jest dziś, nie tylko w szkołach prywatnych, ustalanie pensum dla młodych pracowników. Wiadomo, że do dydaktyki uniwersyteckiej dochodzi się żmudną drogą kształcenia samego siebie. Dlatego, jak wskazuje na to moje własne doświadczenie, adepta kariery uniwersyteckiej należy obciążać zajęciami w liczbie i jakości sprzyjającej doskonaleniu samego siebie. Tak było kiedyś, kiedy człowiek dochodzący do docentury był specjalistą w pełnym wymiarze. Obecnie wystarczy, że zgromadzi punkty. Mniejsza o to, co ma w głowie. Strach myśleć, co będzie, gdy do głosu dojdą ludzie wykształceni przez tych, którzy sami już stanowią produkt zwariowanego systemu, tutaj zaledwie zasygnalizowanego.

Moja współpraca z Akademią Polonijną w Częstochowie skończyła się w czerwcu 2002 r. Zanosilo się na dłużej, we wrześniu 2001 r. ks. rektor Andrzej Kryński¹⁹² powierzył mi bowiem stanowisko kierownika Zakładu Literatury, Historii i Kultury w Instytucie Germanistyki. W wykazie zadań, jakie mi przydzielono, a wyliczono je w 13 punktach, było wszystko, co możliwe. Jeszcze więcej było rzeczy niemożliwych. Niewykonalne było pogodzenie ze sobą trzech przedmiotów będących obszarem pracy zakładu. W przedstawionym mi zakresie obowiązków była mowa o pracy *stricte* naukowej, do której był zobligowany personel – zresztą dość zmienny, w zasadzie składający się z dwóch osób – następnie o wydawnictwach naukowych i takich kontaktach z uczelniami zagranicznymi. Siedzibą zakładu była mała kłitka na drugim piętrze starego budynku, w której mieściło się kilka innych podobnych zakładów. Wszystko to było nie do przyjęcia.

Powiedziałem to otwarcie rektorowi i zasugerowałem inicjatywy w nieco mniejszym wymiarze, ale skuteczne. Przede wszystkim zwróciłem uwagę na konieczność kształcenia rodzimej kadry. Rotacja sił dydaktycznych, o naukowych

¹⁹² Andrzej Kryński (ur. 1948), ksiądz. Absolwent Katolickiego Uniwersytetu Łożańskiego. Teolog i pedagog. Doktorat 1998, habilitacja 2006. Rektor Wyższej Szkoły Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie od 1992, od 2001 rektor Akademii Polonijnej w Częstochowie.

można było tylko pomarzyć, była ogromna – profesor na ogół nie zagrzewał miejsca dłużej niż semestr, maksymalnie rok. Byłem niemalże wyjątkiem, gdyż utrzymałem się przez 11 pełnych lat. Bywało tak, że zastawałem jakiegoś funkcyjnego i umawiałem się z nim dla załatwienia ważnej sprawy na mój następny pobyt, czyli za dwa tygodnie, a po upływie tego czasu nawet śladu po nim nie było. Nie do zniesienia było przesuwanie ludzi od jednych zajęć do drugich. Niemożliwe było planowanie czegokolwiek.

Rektor zgadzał się z moimi sugestiami, ale praktycznie nie brał ich pod uwagę. Był świetnym menedżerem; potrafił przewidywać pewne sytuacje, planować, liczyć się z realiami. Już wspomniałem, że na początku kazał mi bezwzględnie prowadzić wykład po niemiecku. Upatrzyłem sobie dwóch absolwentów, którzy pod moim kierunkiem zrobili magisterium i mieli szanse uzyskać zatrudnienie na uczelni, i zaproponowałem rektorowi wysłanie ich – już jako pracowników – do Niemiec, by zebrali materiał do doktoratów. Muszę przyznać, że im to ułatwił i skończyło się to obroną obu prac. Oczywiście także inni wyjeżdżali na stypendia, ale zabrakło odpowiedniej opieki naukowej, by można było pomyśleć o regularnym przyroście rodzimych doktorów. Rektor zdawał się rozumieć powody mojego odejścia z uczelni. Rzecz była prosta. Nie miałem już tyle energii, by ciągnąć uciążliwe i częste dojazdy. Skończyłem 71 lat.

Patrząc z perspektywy czasu na warunki pracy i jej wymogi w Akademii Polonijnej, dostrzegam o wiele wyraźniej niż w tamtych czasach pewien element obecny dziś w szkolnictwie w ogóle, a zwłaszcza w szkolnictwie wyższym. To mania nawarstwiania zadań pozorowanych, o których z góry się wie, iż są niewykonalne, albo czynności wynikających z pensum pracownika, w tym wypadku kierownika zakładu. Do obowiązków kierownika należało organizowanie prac zakładowych, co wymagało współpracy zespołu, i kontrolowanie wyników – na 13 punktów 5 odnosiło się do tego typu zadań. Gdyby pracownik mający pełen wymiar etatu dydaktycznego, podobnie jak jego podwładni, w omawianym tu zakładzie miał rzetelnie wypełniać przyjęte zobowiązania, oznaczałoby to zwielokrotnienie jego zajęć i prowadziłoby do stwarzania sytuacji fikcyjnych i zreżumowanej sprawozdawczości, niemającej pokrycia w rzeczywistych osiągnięciach. I chyba o to właśnie chodziło, gdyż – przynajmniej ja – nie miałem ani środków, ani ludzi do podjęcia takiego zakresu pracy, jaki dla mnie przewidziano. Inna sprawa to moja niekompetencja zwłaszcza w przedmiocie dziejów literatury niemieckiej. Te względy wykluczały zgodę na przyjęcie proponowanego mi stanowiska.

Tryb postępowania najlepiej świadczy o niepoważnym traktowaniu zarówno spraw, jak i ludzi. Otóż datą zawarcia umowy, przeze mnie nieprzyjętej, był 28 września 2001 r. i tę samą datę nosiło rozwiązanie umowy. Zajęcia planowano na ostatnią minutę i bez porozumienia się z osobami mającymi je podjąć. Najgorsze było to, iż plany sporządzano – trudno powiedzieć, kto to czynił – na podstawie założeń apriorycznych i były one praktycznie niewykonalne.

Sprawa, która również bardzo źle mnie usposobiła do dalszej pracy w Akademii Polonijnej, to proponowane mi wynagrodzenie w wysokości 2550 zł pensji zasadniczej i 250 zł dodatku za kierowanie zakładem. Wysokość wynagrodzenia poszczególnych pracowników była objęta ścisłą tajemnicą. Przez wiele lat pracowałem za pensję nieprzekraczającą 2 tys. zł, przy czym z własnej kieszeni pokrywałem koszty dojazdu. Jedynie kwaterę na czas zajęć miałem nieodpłatnie. Byłem profesorem zwyczajnym, a nie zarabiałem nawet tyle co adiunkt. O podwyżki się nie dopominałem, nie mogę zatem skarżyć się na niesprawiedliwe wynagradzanie. Jednak pewne pogłoski na temat kilkunastokrotnie większego wynagrodzenia pobieranego przez osoby, które nawet w małej części nie były tak obciążone pracą jak ja, mocno mnie deprymowały.

Nie miałem zamiaru całkowicie zrywać ze szkołą. Raz, że przez dziesięć lat nawiązałem kontakty z ludźmi, a po wtóre, niektórzy dawni studenci, a teraz pracownicy szkoły prosili mnie, bym prowadził zajęcia na poziomie seminarium doktoranckiego. To mnie poniekąd zobowiązywało. Wabiła też praca w Chełmie, o wiele bliżej od Lublina. Państwową Wyższą Szkołę Zawodową organizował tam wówczas prof. Józef Zajac¹⁹³, do 2001 r. także zatrudniony w Akademii Polonijnej. Trzeba było jedno z drugim pogodzić.

Z Częstochową nie rozstawałem się w złym nastroju, jak to bywało w wielu wypadkach. Książd Kryński niejako wrócił do mojego pomysłu promowania młodszych pracowników. Można było dla nich zorganizować seminaria odbywające się cztery razy w roku i trwające 6–7 godzin, w czasie których przeprowadzano by ćwiczenia metodologiczne i dyskutowano by tematy prac doktorskich. Był to mój pomysł, który przez lata nie mógł znaleźć zastosowania. Podjąłem się tego. W sumie mieliśmy 25 godzin seminaryjnych w ciągu dwóch semestrów. Uważam,

¹⁹³ Józef Zajac (ur. 1947), matematyk. Absolwent UMCS w Lublinie. Pracownik Instytutu Matematyki PAN 1973–1996. Doktorat 1977, habilitacja 1994, profesor nadzwyczajny KUL od 1997. Kierownik Katedry Zastosowań Matematyki w Ekonomii. Dziekan Wydziału Ekonomii i Zarządzania Akademii Polonijnej w Częstochowie 1998–2001. Współzałożyciel PWSZ w Chełmie i jej rektor 2001–2016. Senator RP od 2011.

że były one pożyteczne i cztery osoby doprowadziły do doktoratu. Zajęcia te w postaci konwersatorium metodologiczno-humanistycznego miałyby szanse na kontynuację, pod warunkiem że kierownictwu szkoły zależałoby na kształceniu własnej kadry. Niestety, takie stanowisko spotyka się rzadko. Nie miałem tego szczęścia, choć poświęcałem sprawie bardzo wiele sił i czasu. Szkoły, niestety, coraz częściej stają się polem do robienia biznesu, niekoniecznie służącego ich rozwojowi i poziomowi, częściej będącego trampoliną do odbicia się i wskoczenia wyżej lub – w wypadku szkół prywatnych – do osiągnięcia większych korzyści finansowych.

Podsumowując moje doświadczenia z Częstochowy, muszę stwierdzić, że nie był to czas stracony w sensie jakichś moich zysków. Nie mówię o materialnych, te bowiem były prawie żadne. Pobory, jakie otrzymywałem, po uwzględnieniu kosztów dojazdu, których mi nie zwracano, były śmiesznie niskie. Nie tałem ich wysokości w rozmowach z innymi profesorami uczelni prywatnych, ale zauważyłem, że albo nie dawano mi wiary, albo patrzono na mnie z politowaniem. Co mnie tam trzymało? Chyba studenci, z których spora część rzeczywiście chciała się czegoś nauczyć. Dla nauczyciela, który lubi swój zawód, jest to ważny argument. Dziwiło mnie niekiedy i nadal dziwi, że chociaż sporo wymagałem, wielu przychodziło do mnie na seminarium. Oczywiście nie dopytywałem się o motywy, niejednokrotnie jednak słyszałem, jak mówiono, że zawsze jestem do dyspozycji. To chyba ważne, zważywszy nieprzystępność wielu nauczycieli.

Taka dyspozycyjność zupełnie nie interesuje kierownictwa uczelni. Nie mogę mówić o wszystkich, ale jeśli chodzi o te, z którymi się zetknąłem, jest to bezsporny fakt. W Chełmie nie było inaczej, choć to *désintéressement*¹⁹⁴ miało inną otoczkę werbalną, inną retorykę. Promować to, co daje pieniądze, a wartość danej dziedziny to rzecz małej wagi. Strasznie mnie takie stanowisko drażniło, bo przecież wszędzie byli ludzie czegoś konkretnego dla siebie oczekujący, tymczasem prawo do takich oczekiwań mieli tylko ci, którzy obrali sobie kierunek „złotodajny”. Najgorsze było to, że studenci szybko takie nastawienie rozszyfrowali. Można sobie wyobrazić skutki tego w ich dorosłym życiu, kiedy sami będą musieli podejmować decyzje w podobnych sytuacjach.

Nie mogę zataić, że niejednokrotnie nie wiedziałem, jak patrzeć studentom w oczy, zwłaszcza że płacili za studia. Nierzadko mówili wprost, iż nie otrzymują tego, czego się spodziewali, a przecież są tu po to, żeby zdobyć zawód. Nigdy nie

¹⁹⁴ Fr. brak zainteresowania.

zapomnę, jak pewnego razu w autobusie, którym wracałem do Lublina, natknąłem się na dwie byłe studentki, które z Częstochowy przeniosły się gdzieś na uniwersytet. To była długa litania żalów na uczelnię; nie oszczędzały wykładowców, którzy nie odbywali zajęć albo trawili czas na pogadanki niemające nic wspólnego z przedmiotem wykładanym. Niestety, w większości wypadków panie te miały bezsporną rację. Byłem zdruzgotany.

Jubileusz w suterynie

Nie wiem dlaczego, ale nigdy nie lubiłem uroczystości, jubileuszy i podobnych imprez, o ile miały one odniesienie do mnie. W 1993 r. ks. dr Jan Walkusz, w owym czasie kierownik Zakładu Leksykograficznego KUL, wspomniał mi o swym pomysśle, żeby ofiarować mi książkę pamiątkową w związku z 30-leciem pracy na uniwersytecie, a także moimi sześćdziesiątymi urodzinami. Odpowiedziałem mu trochę żartem, że jestem już po sześćdziesiątce, a znowu moje trzydzieści lat na KUL może nie dla wszystkich są godne jakichś uroczystości. Nie dziwiło mnie zbytnio, że to właśnie on pomyślał o takim wyróżnieniu dla mnie. Wówczas jeszcze nie pracował formalnie w mojej katedrze, aczkolwiek ze mną współpracował, a ja nie tałem, że widziałbym w nim przyszłego adiunkta. W lutym 1995 r., przed moim wyjazdem do USA, złożyłem pismo do Rady Wydziału wnioskujące o zatrudnienie go na pół etatu, jako że połowę miał w Zakładzie Leksykograficznym. Rozpatrzenie wniosku odsunięto do mojego powrotu z zagranicy. Trochę mnie to zdziwiło, bo właśnie na czas mojej nieobecności chciałem mieć w katedrze adiunkta. Zawsze byłem niedoinformowany, jeśli chodzi o bieżące plotki, toteż zaskoczył mnie fakt, że zjawiali się u mnie ludzie z pretensjami, że pragnę takiego angażu. Takich interwencji było sporo. Raczej je lekceważyłem, gdyż ich powód widziałem – dziś wiem, że niezupełnie słusznie – w zatargach, jakie miał w czasie swego zatrudnienia w redakcji *Encyklopedii*. Książd Walkusz został adiunktem w mojej katedrze dopiero od października 1995 r.

Zdarzały mu się małe niedokładności, na które nie zwracałem uwagi, a powinienem. Tak więc, zanim został adiunktem formalnie, gdzieś się przedstawił – i to na piśmie – właśnie jako mój adiunkt, co niezwłocznie wykorzystano, żeby dać prztyczka w nos. Kiedy przejął już po mnie katedrę, też wywiesił na drzwiach zakładu kartkę z napisem ks. prof. dr hab., choć jeszcze nim nie był. Lubił antycypować, a to zawsze było skrętnie odnotowane przez niechętne mu osoby. Natychmiast podsuwano mi te sprawy pod nos. Uważałem je za mało ważne, co się okazało błędem.

Jeśli chodzi o jubileusz, to wszystko było mocno uduziwnione. Organizował mi te obchody wolontariusz, podczas gdy do stycznia 1995 r. stanowisko adiunkta zajmował jeszcze ks. Stanisław Wilk. Nie chciałem interweniować ani wyjaśniać, ale obawiałem się ewentualnego afrontu, a nigdy świadomie nikogo nie chciałem urazić. Atmosfera nieszczerości, jaka mnie otaczała, nie sprzyjała urządzaniu jakichkolwiek uroczystości. Muszę wyznać, że dość skutecznie się przed tym broniłem, nawet kiedy jako emerytowi przyszło mi pożegnać Instytut Historii Kościoła i KUL. Powód był ten sam. Wtedy jednak uległem i ks. Walkusz przeprowadził swój zamiar. Zdołałem jedynie wymóc, żeby nie spraszał połowy świata. Uczniowie i najbliższe grono przyjaciół. Niektórzy mieli o to potem trochę pretensji – nie wiem, czy do niego, ale do mnie z całą pewnością. Bo zabrakło ich wśród autorów. Kiedy zbliżała się data wręczenia księgi¹⁹⁵ – co nastąpiło 15 grudnia 1993 r., niemal w przeddzień mojego wyjazdu do USA – wyczułem, że coś wisi w powietrzu. Ktoś życzliwy ostrzegł, że może się zdarzyć bojkot całej uroczystości przez oficjeli. Nie bardzo mnie to przejęło, ale nie chciałem skandalu.

Wręczenie urządzono w suterynie domu akademickiego przy ul. Sławińskiego (obecnie Niecała). Był to lokal długi, mały i ciasny. Uniwersytet reprezentował – tak przynajmniej powiedział – były dziekan o. Hugolin Langkammer¹⁹⁶. Dziekan i zarazem pracownik Instytutu Historii Kościoła ks. Anzelm Weiss „musiał” wyjechać, z rektoratu także nie było żywego ducha. Profesor Czesław Madajczyk, który specjalnie przyjechał z Warszawy, był skonsternowany. Znany z taktu, nic do mnie na ten temat nie mówił, ale widziałem, że sytuacja go krępowała. Niestety zbyt późno się zorientowałem, że absencje pewnych osób nie były przypadkowe. Muszę jednak wyznać, że moje doświadczenia na KUL na takie ewenementy mnie uodporniły.

Być może ks. Walkusz chciał jak najlepiej – dziś, kiedy już wiem, jak się później wobec mnie zachował, nie jestem tego tak pewny – ale wtedy nie wiedział, co w trawie piszczycy. Był młody i niedoświadczony. Gdy później byłem świadkiem

¹⁹⁵ Chodzi o księgę pamiątkową dedykowaną ks. Zielińskiemu z okazji 60. rocznicy urodzin i 30. rocznicy pracy naukowo-dydaktycznej na KUL. Zob. *Kościół i społeczność. Rewolucje, demokracje, totalitaryzmy. Studia z dziejów XIX i XX wieku*, red. J. Walkusz, Lublin 1993.

¹⁹⁶ Hugolin Helmut Langkammer OFM (ur. 1930), teolog, biblista. Świecenia kapłańskie 1955. Absolwent KUL. Doktorat 1964, habilitacja 1969, profesor nadzwyczajny od 1975, profesor zwyczajny 1982. Pracownik naukowy KUL od 1967. Prodziekan 1975–1985 i dziekan 1987–1993 Wydziału Teologicznego. Prezes Sekcji Biblijnej Komisji Nauki Wiary KEP 1976–1988. Założyciel Instytutu Biblijnego przy KUL i pierwszy jego dyrektor 1977–1986. Autor ponad 100 książek biblijnych, także w obcych językach, i ponad 500 rozpraw i artykułów naukowych.



Przyjęcie z okazji sześćdziesiątych urodzin w suterynie Domu Akademickiego w Lublinie przy ul. Niecałej 8. Przemawia prof. Czesław Madajczyk

wielkich festynów urządzanych z podobnych okazji kolegom legitymującym się poprawnością, musiałem przywoływać to, co usłyszałem na temat wartości takich inicjatyw, by zrozumieć wymowę afrontu, jaki mnie wówczas spotkał. Nie pierwszy i nie ostatni raz, to prawda. Ktoś z obecnych, podchodząc do mnie, zapytał:

– Co składać? Życzenia czy kondolencje?

Sądzę, że trochę w tym było nieporozumienia, ja bowiem bardzo sobie ceniłem właśnie tę grupkę – małą, ale za to szczerą, życzliwą, bez obłudy i fałszu. No, może z małymi wyjątkami, co przy takich okolicznościach jest chlebem powszednim.

Mówiono mi potem, że organizator nie sprostął zadaniu. Uważam, że wręcz przeciwnie, zrobił najlepiej, jak w takich okolicznościach się dało. Tak myślałem wtedy i tak myślę teraz, rozważając sam sposób urządzenia tego spotkania. To, że się przekonałem, jakich mam kolegów w instytucie, też na coś się przydało. Już wkrótce miałem przeżyć coś w rodzaju czynnego wystąpienia przeciwko mnie. O tym już wspominałem i nie myślę do tego wracać. Ksiądz Walkusz postąpił wtedy w pewnym sensie nieroztropnie. Urządzając mi tę uroczystość, naraził się przynajmniej kilku wpływowym osobom – tym bardziej musiałem docenić jego gest. Nawet w najczarniejszych snach nie przeczuwałem, że prawdziwe oblicze okaże, kiedy już obejmie po mnie katedrę, a ja zniknę z widowni, odchodząc na emeryturę. Ale na to spuścimy zasłonę milczenia – *tempora mutantur et nos mutamur in illis*.

Gdy chodzi o moje agendy na KUL, w 1988 r. Rada Wydziału Teologicznego przegłosowała moją profesurę zwyczajną. Ponad osiem lat upłynęło od otrzymania tytułu profesora nadzwyczajnego, ale ówczesny dziekan ks. Józef Homerski¹⁹⁷ z nieznanych mi przyczyn nie chciał rozpocząć procedury

¹⁹⁷ Józef Homerski (1922–2004), ksiądz diecezji tarnowskiej, teolog. Świecenia kapłańskie 1948. Absolwent UJ. Wikariusz w parafii w Gorlicach 1948–1950. Notariusz Kurii Diecezjalnej w Tarnowie 1950–1953. Doktorat 1957, habilitacja 1971, profesor nadzwyczajny 1981, profesor zwyczajny 1992. Wykładowca w WSD w Tarnowie. Pracownik naukowy KUL od 1972. Dziekan Wydziału Teologicznego 1987–1991.

postępowania o nadanie tytułu profesora zwyczajnego, ja z kolei postanowiłem się o to nie dopraszać. Zatwierdzenie Ministerstwa Edukacji Narodowej przyszło całkowicie niespodziewanie 22 grudnia 1988 r. Przed miesiącem, a może niewiele wcześniej moje dokumenty zostały złożone w CKK. Sądziłem, że dziekanat ich jeszcze nie wysłał, i 28 grudnia poszedłem, by o to zapytać. Pani kierowniczka powiedziała, że właśnie nadeszło zatwierdzenie z ministerstwa. Byłem zdumiony, takie sprawy przez CKK szły niekiedy miesiącami. Później od kogoś się dowiedziałem, że po prostu nie dawali do superrecenzji, gdyż dziwiono się, że jeszcze nie mam tytułu profesora zwyczajnego. Nie miałem o to do nikogo żalu, przywykłem do takiego traktowania na uczelni.

Odszedłem w dygresję. Pisząc o tak licznych dystrakcjach w latach dziewięćdziesiątych, nie czynię tego bez kozery. Wydaje mi się, że jakoś mniej się angażowałem wtedy na uniwersytecie. Inna sprawa, że nikt mnie o nic nie prosił, poza moim pensum dydaktycznym oczywiście. Co do pracy badawczej, to do tego nie trzeba mnie było zachęcać. Niepomierne się zdziwiłem, kiedy dotarło do mnie pismo rektora Stanisława Wielgusa, datowane 12 stycznia 1993 r. Zapraszano mnie wspólnie z innymi profesorami na spotkanie, którego celem było omówienie reformy studiów na KUL. Rektor pisał tam m.in.:

Zależy mi bardzo na tym, aby o reformach naszej Uczelni decydowali ludzie najbardziej odpowiedzialni za kształcenie młodzieży. Dlatego postanowiłem zorganizować jednodniowe spotkanie wszystkich PT Profesorów KUL poświęcone wyłącznie reformie studiów w naszej Uczelni.

Zachęcał do składania własnych projektów i zabierania głosu w dyskusji. Nie mogę sobie przypomnieć przebiegu zebrania. W czasie takich posiedzeń dyskutanci byli przeważnie ci sami, a pomysły przez nich wysuwane były ciekawe, ale niezobowiązujące – i o to właśnie chodziło. Ta sama historia była na WSJOiE w Częstochowie w Kolegium Rektorskim, do którego przez jakiś czas należałem. Dopóki się składało niegroźne wnioski czy propozycje, wszystko było w porządku, ale z chwilą, kiedy chciało się zrobić coś konkretnego i rzeczywiście potrzebnego, zapal do recepcji pomysłów gwałtownie malał. Tajemnicę funkcjonowania podobnych gremiów odkryłem znacznie później. Wyjaśnił mi to jeden z bardziej doświadczonych kolegów, który zwykle bywał zapraszany na takie imprezy:

– Należy wyczuć, co rektor ma w zanadrzu i co już właściwie zdecydował. W dyskusji należy tak się wypowiadać, aby pomysł rektorski wyglądał na najbardziej twórczy i godny realizacji. Nie należy w żaden sposób opatrywać go uwagami krytycznymi.

Ten, kto mi to powiedział, był bez wątpienia mądrym człowiekiem. Wiedział, jak sobie zapewnić awans, a już z pewnością nagrody i odznaczenia. To samo powtórzyło się w Chełmie, w szkole, do której swoją drogą bardzo się przywiązałem. Mój staż w senacie był tam bardzo krótki, ale też postępowałem nieroztropnie, bo co rusz wyskakiwałem z jakimś pomysłem. Może nawet nie swoim własnym – o tym, co proponowałem, mówiło się w kuluarach szkoły. Jeden z tamtejszych doświadczonych kolegów powiedział:

– Drażni ksiądz rektora, bo on ma inne plany i zamiary.

Kiedy już zamierzałem zaprzestać tego drażnienia, otrzymałem podziękowanie za owocną pracę w senacie. Odetchnąłem z ulgą. Oszczędzało mi to dodatkowego dojazdu do szkoły raz w miesiącu.

Nagrody i wyróżnienia za zgadywanie myśli przełożonych mnie nie interesowały. W naiwności swej, a także w uczciwym – mimo wszystko – podejściu do obowiązków nie mogłem przytakiwać czemuś, co uważałem za złe, ani przemilczać tego, co warte było jakiegoś udoskonalenia. W reformę studiów polegającą na podnoszeniu ich jakości i wydajności od dawna nie wierzyłem. W tamtych czasach może jeszcze istnieli ludzie, którzy przykładali do tego wagę i nie traktowali studiów komercyjnie, jednak podnoszenie poziomu nauki kosztem zwiększonego własnego wysiłku to było za wiele nawet dla tych lepszych.

Przekonałem się także w ostatnim czasie – chyba w ostatniej już szkole, w jakiej w moim życiu uczyłem – że ów mądry kolega miał rację absolutną. Nie trzeba domagać się rzeczy, których *naczelstwo* nie chce, chociaż byłyby one najkonieczniejsze. Stajesz się w pewnych gremiach niepotrzebny, nawet przeszkadzasz, a to już jest nie do darowania. Jeden przykład. Nawet najmłodszy nauczyciel wie, że uczenie języka w dużych grupach to strata czasu i pusty wysiłek. Wiedzieć może, ale wara, by mówił to przełożonym. Małe grupy są za drogie. Tu mamy syntezę niepowodzeń naszych studiów filologicznych.

Czy tylko filologicznych? Nie mam doświadczeń ze zbyt wielu szkół prywatnych lub tzw. wyższych nieakademickich, niebędących uniwersytetami. Jednego jestem pewny – charakter tych szkół jest przede wszystkim komercyjny. Nauczyciel, który na pierwszym miejscu stawia poziom przekazywanej wiedzy, jest – proszę



Kolejny
jubileusz
kapłański
w Pliszczynie

mi wybaczyć szczerłość – wrogiem uczelni i należy się go jak najszybciej pozbyć. Im większa kwitnie sprawozdawczość, tym bardziej iluzoryczne są składane studiującym oferty i obietnice. O pozyskiwaniu pieniędzy decyduje nie realna wydajność, ale ta na papierze.

Nauczyciele, jeśli zależy im na sytuacji bytowej, na ogół się z tym godzą, aczkolwiek wpływa to na znaczne obniżenie ich morale i z biegiem czasu – na cyniczny stosunek do obowiązków. W pewnym sensie rozumiały, bo przecież wypełniają tylko to, czego oczekuje od nich kierownictwo szkoły. Najgorsze jest to, że nawet ci, którzy mają świadomość naganności takich praktyk, nie chcą o nich mówić poza gronem zaufanych przyjaciół. Nie świadczy to o ich zobojętnieniu na problem, lecz o przekonaniu, iż każde ich słowo może stać się przyczyną końca ich kariery, a na pewno nie stanie się przyczynkiem do uzdrowienia sytuacji. Co inteligentniejsi studenci doskonale się orientują w tej praktyce mafijnej. Dlaczego nie opuszczają szkoły? Bo chcą mieć papier. Ale robią wszystko, żeby się doksztalić. Ta zaobserwowana przeze mnie praktyka napawa optymizmem, że jednak pewna część studentów opuści szkołę z należytych przygotowaniem. Szkoda, że tak często nie za sprawą szkoły. Sam byłem w sytuacji, kiedy zwierzchnik powiedział wprost:

– Oblejcie, ilu chcecie, ale od października szukajcie sobie pracy.

Pewnie, że był szczery i że to nie tylko jego вина, że tak jest. Ostrzeżenie było wymowne. Nie należy za wiele wymagać. Czasem dochodzi do tego, że nie wymaga się nic.

Lata chełmskie

Ponieważ z balu rocznicowego rezygnuję z różnych przyczyn, a między innymi dlatego, że po maturalnym byłby to jedyny bal w moim życiu, czuję jednak potrzebę jako pracownik PWSZ, zatrudniony i pracujący w niej od samego początku (ciekaw jestem, ilu poza rektorem profesorów ma taki atest?), podzielenia się tą moją skromną laudacją, składając ją na ręce Twórcy Uczelni, Pana Rektora Profesora Doktora Habilitowanego Józefa Zająca.

Jest to cytat z mojej odpowiedzi na zaproszenie na bal organizowany przez Państwową Wyższą Szkołę Zawodową w Chełmie z okazji 10-lecia jej istnienia. Przyjęcie odbyło się pod koniec roku akademickiego 2010/2011. W sierpniu lub pod koniec lipca 2011 r. udałem się do Chełma, ponieważ wskutek nowej ustawy o pracy emerytów musiałem poprosić o zwolnienie z posady, przy czym istniała możliwość dalszego mojego zatrudniania na innych warunkach. Kadrowy był przygotowany na moje odwiedziny. Oświadczył, że sprawa była omawiana z rektorem prof. Zającem. Ogólnikowo mówił o ewentualnym kontynuowaniu przeze mnie pracy, uzależnionym od naboru studentów. Nie byłem zainteresowany ponownym angażem, zwłaszcza jeśli musiałby odejść ktoś z młodszych pracowników. Kadrowy oświadczył, że ZUS woli, żeby takie rozwiązanie umowy nastąpiło 31 sierpnia, gdyż rzekomo ułatwia mu to pracę. Tak też uczyniłem w przekonaniu, że mówił prawdę. Miał już przygotowane świadectwo pracy i radził co prędzej zanieść je do ZUS.

Kiedy to uczyniłem, urzędniczka bardzo się zdziwiła. Powiedziała, że umowa powinna obowiązywać do 31 września, a świadectwo pracy ma obowiązek dostarczyć pracodawca. Byłem zdumiony. Czyżby szkoła, w której uczyłem od początku jej istnienia i wkładałem w tę pracę tyle sił i własnych środków, musiała oszczędzić na mnie jedną, ostatnią pensję? Przecież gdyby rektor poprosił mnie o podarowanie jej tych pieniędzy, uczyniłbym to bez wahania. Ale sposób takiego dorabiania się wydał mi się daleki od elegancji, delikatnie mówiąc. O uczciwości nawet nie wspomnę.

Pożegnanie z PWSZ w Chełmie odbyło się za pomocą owego świadectwa pracy. Nic, ani świstka więcej, a przecież zwykle „dziękuję” nic nie kosztuje. Rektor nie zdobył się na to. Słowa odprawy w świadectwie pracy brzmiały:

Był zatrudniony w Państwowej Szkole Zawodowej w Chełmie w okresie od 31 października 2002 do 31 sierpnia 2011 r.

Tyle! O tym, że świadomie i w sposób zamierzony chciano mnie oszukać i uciąć ostatnią pensję, świadczy fakt, iż data 31 sierpnia jako kończąca mój angaż w chwili mojego pojawienia się w biurze personalnym była już wypisana w gotowym świadectwie pracy. Wszystko to jest w gruncie rzeczy epizodem, ale jakże źle świadczy o ludziach, którzy zdradzają tak szerokie ambicje. Decydował rektor. We mnie pozostały tylko niesmak i ubolewanie, że takie indywidua nierzadko, niestety, spotykałem w mojej pracy.

W PWSZ w Chełmie jako jedyny profesor tytularny w Sekcji Germanistycznej Instytutu Neofilologii byłem kierownikiem katedry, której podlegało kilkanaście osób. Z postawą dyrekcji szkoły, kiedy już murzyn zrobił swoje, kontrastowało pożegnanie mnie po dwóch latach – bo tyle trwało przygotowanie księgi pamiątkowej *Język, Kultura, Nauka. Księga jubileuszowa na cześć ks. prof. dr. hab. Zygmunta Zielińskiego* pod redakcją Tomasza Zygmunta¹⁹⁸ – przez kolegów i koleżanki. Złożyło się na nią szesnaście artykułów. Włączyli się angliści, co dodatkowo sprawiło mi wielką radość. We wręczonym mi powinszowaniu czytamy:

Czcigodny Księżu Profesorze!

Lata wspólnie spędzone na kształceniu chełmskich germanistów pozostaną na zawsze w pamięci zespołu, którym Ksiądz Profesor kierował, tworząc przy tym ciepłą, a zarazem twórczą atmosferę pracy, opartą na wzajemnym zaufaniu i szacunku. Za stworzenie tego niepowtarzalnego klimatu pracy jak również za wskazówki i wsparcie naukowe, zespół naukowo-dydaktyczny Katedry Germanistyki wraz z Dyrekcją Instytutu Neofilologii Państwowej

¹⁹⁸ Tomasz Zygmunt, wykładowca w PWSZ w Chełmie. Dyrektor Instytutu Neofilologii i Badań Interdyscyplinarnych Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach 2006–2012. Dyrektor Instytutu Neofilologii PWSZ w Chełmie.

Wyższej Szkoły Zawodowej w Chełmie pragnie złożyć gorące podziękowanie i dołączyć najserdeczniejsze życzenia zdrowia i wszelkiej pomyślności na dalszej drodze życia dla dobra nauki.

Zwykle przy takich okazjach pisze się słowa szumne, niekiedy trochę na wyrost. Redagując te życzenia starali się tego unikać, uwypuklili tylko to, co rzeczywiście z mojej strony zostało dokonane. Tworzyliśmy zgodny zespół. Na ile ja się do tego przyczyniłem, nie wiem, ale z pewnością nie przeszkadzałem. Poza tym zawsze broniłem młodszych pracowników i chyba się nie mylę, sądząc, że miałem ich zaufanie. Daje ono znać o sobie także w czasie, kiedy od dawna już nie bywam w Chełmie. Germanistyka w ostatnim czasie upadła i nikt nie wie, czy będzie reaktywowana – brak studentów. Przyczyny tego są złożone, z pewnością nie tylko niż demograficzny na to wpływa.

Neofilologia była w szkole traktowana jak piąte koło u wozu. Była nierenowna, jak się to mówiło. Tymczasem rentowność takiego kierunku ujawnia się dopiero w postaci tego, co studenci wynoszą ze szkoły. Zawsze tylko mały procent osiąga poziom wysoki lub taki, który umożliwia dalszy rozwój w tym kierunku. Pochlebiam sobie, że od moich byłych studentów otrzymuję korespondencję z zagranicy. Niekiedy pisaną *auf gut Deutsch*¹⁹⁹. Co więcej, niektórzy znaleźli tam pracę na uczelniach. To świadczy o dobrej pracy całego zespołu germanistów chełmskich. Szkoda, że to się rozpadło.

Prowadziłem zajęcia w języku niemieckim, tak bym to nazwał, germanistą bowiem nie byłem i nim się nie stałem, chociaż wykład z historii Niemiec w języku niemieckim prowadziłem na KUL przez dobrych 20 lat. Nie wiem, dlaczego po mnie prowadzono go w języku polskim. Było to pozbawione sensu. Kierownik Sekcji Germanistyki prof. Max Stebler²⁰⁰ nie potrafił tego wytłumaczyć. Mówił coś o godzinach potrzebnych komuś z Instytutu Historii KUL. Takie uzasadnienie wydaje się dziwne, gdy się zważy, że przecież na studiach filologicznych chodzi o opanowanie studiowanego języka. Jak ma w tym pomóc wykład w języku polskim? Jak już wcześniej zaznaczyłem, nawet początkujący studenci dopominali się o wykład w języku niemieckim. Powód jest oczywisty, oczekiwali jak najwięcej.

¹⁹⁹ Niem. porządnym niemieckim.

²⁰⁰ Max Stebler (ur. 1951), germanista, historyk literatury niemieckiej. Habilitacja 1997, profesor nadzwyczajny KUL. Kierownik Katedry Kultury Krajów Niemieckojęzycznych KUL. Dyrektor Instytutu Filologii Germańskiej KUL 2002–2009.

Okazuje się, że mieli oni lepsze pojęcie o tym, co należy robić na germanistyce, niż kierujący tą sekcją humanistyki na KUL.

Dlaczego mi powierzono te wykłady? Przecież był prof. Wiśniowski, także wykładowca na germanistyce, a władający świetnie niemieckim. Mnie skłonił do podjęcia tych zajęć prof. Jerzy Jeszke²⁰¹, a zgodziłem się, ponieważ było to dla mnie pewne urozmaicenie. Prowadziłem swój wykład monograficzny dla pierwszego roku w semestrze zimowym. To była okoliczność utrudniająca, studenci przez jakiś czas się gubili, nie mogli nadążyć ze zrozumieniem. Mówiłem bardzo wolno i powtarzałem niektóre passusy innymi słowami. Z czasem polubiłem to zajęcie. Szkopuł tkwił jednak w tym, że nigdy niemieckiego się nie nauczyłem, nie licząc szkoły dla dzieci polskich w czasie okupacji. Język wpadał w ucho od wczesnego dzieciństwa, bo otoczenie było częściowo niemieckie. Mogłem uchodzić za kogoś w rodzaju *native speaker*. Szczególnie wymowa i *Umgangssprache*²⁰² w moim wykonaniu były prawdziwie niemieckie.

W Chełmie zajęcia miały nieco inny charakter. Uczyłem historii Niemiec, prowadziłem zajęcia z praktycznej nauki języka w formie ćwiczeń, w których za podstawę brałem teksty prasowe. Jest to materiał szczególnie trudny, a praca polegała na tym, że przerabialiśmy tekst, którego analizę i streszczenie jej rezultatów robił student w domu. Było to bardzo wymagające, ale zarazem każdy, kto uczciwie pracował, w stosunkowo krótkim czasie nabierał pewnej biegłości w operowaniu zwrotami, zdobywał ograniczoną, ale stale postępującą umiejętność budowania zdań.

Jedna z grup narzekała, że cotygodniowe referowanie jest ponad ich siły. Obiecałem im po miesiącu zredukować to do sprawdzianów dwutygodniowych. Zgodnie z obietnicą powróciłem do sprawy i jakież było moje zdumienie, gdy większość wolała pozostać przy dotychczasowym trybie. Już po licencjacie kilku studentów powiedziało mi, iż te ćwiczenia bardzo dały w kość, ale coś po nich zostało. Prowadziłem zajęcia trochę po omacku. Próbowałem różnych metod, ale trudno mi było wyczuć, co dla studenta jest trudne, a co łatwiejsze. Bardzo wiele znaczyły tu moje doświadczenia częstochowskie, zwłaszcza gdy chodzi o praktyczną naukę języka.

²⁰¹ Jerzy Jeszke (ur. 1933), germanista. Profesor nadzwyczajny w Instytucie Neofilologii PWSZ w Chełmie i w Instytucie Filologii Germańskiej KUL. Kierownik Instytutu Filologii Germańskiej KUL. Obecnie na emeryturze.

²⁰² *Niem.* język potoczny.

Zajęcia te miałem tylko przez pierwsze dwa lata, po czym zastąpiły mnie siły, że tak powiem, fachowe w dziedzinie germanistyki. Wykładów prowadziłem niewiele, bo najważniejsza była metoda konwersatorium. Kiedy jednak wykład był niezbędny, zawsze streszczałem go na stronie lub dwóch wydruku i dostarczałem studentom. Nie można ulegać złudzeniu, że zdołają oni coś porządnie zanotować, a studiowanie sążnistych tekstów podręcznikowych zabiera tyle czasu, że staje się fizycznie niemożliwe. Radziłem więc wybierać z książki pewne fragmenty do przestudiowania, ale całość wykładu była w streszczeniu, które im dawałem. Dla mnie była to ogromna praca. Miałem wtedy tylko jeden etat, zatem mogłem sobie na to pozwolić, podobnie jak na przygotowanie tekstów ćwiczeń, na każdy rok nowych.

Najtrudniejszą sprawą było seminarium licencjackie. Miałem od 8 do 12 chętnych, nigdy mniej. Dlaczego wybierali historię, choć mieli dwa inne ciekawe seminaria, trudno powiedzieć. Trochę mnie to gniewało, kiedy na początku roku widziałem przed moim pokojem długą kolejkę, ale zawsze udawało mi się obdzielić studentami wszystkich prowadzących seminaria. Z licencjatami trzeba było wszystko zaczynać od początku. Całą technologię pracy umysłowej, do tego metodę korzystania ze źródeł i pisania pracy. To ostatnie rozpoczynało się wraz z początkiem drugiego semestru. Wprowadziłem zwyczaj dostarczania mi każdego napisanego fragmentu pracy, który poprawiałem i wprowadzałem do dyskusji na seminarium. W ten sposób unikało się powtarzania błędów w kolejnych partiach pracy, a dodatkowo pozostali uczestnicy uczyli się zasad kompozycyjnych, stylistycznych i wzbogacali swoje słownictwo. Sądzę, że ten sposób nauczania walenie przyczyniał się do tego, że w czasie egzaminu licencjackiego zdający, który absolutnie nie przeczuwał pytania – tyle tylko, że wiedział, iż będzie nawiązywało do treści pracy – stosunkowo dobrze wyrażał się w języku niemieckim. Słabsze egzaminy pod tym względem należały do wyjątków. To sprawdzanie każdego fragmentu pracy na bieżąco zniechęcało też do zbyt dużego korzystania z internetu. Nie można było tego zupełnie wykluczyć, ale chodziło o demaskowanie prostego odpisywania. Tylko kilka razy się zdarzyło, że delikwent musiał pisać na nowo. Studenci na ogół są naiwni i sądzą, że jeśli przepiszą coś w nienagannej niemczyźnie, to zabłyszczą. Sprytniejsi starali się tę niemczyznę trochę zachwycić, ale nie jest to łatwe dla początkującego. Czytając prace, trochę się bawiłem, najczęściej jednak trzeba było poprawiać zdanie po zdaniu.

Seminaria licencjackie ujawniły dotkliwy mankament, jakim była źle zaopatrzona biblioteka. Częściowo nadrabiałem te braki sprowadzaniem tanich książek z Zentrale für Politische Bildung²⁰³. Ze swego księgozbioru germanistycznego do biblioteki podręcznej dostarczyłem ponad sto tomów, które zajęły cały regał. Studenci mogli z nich do woli korzystać, także wypożyczać do domu. Postarałem się ponadto o sprowadzenie z RFN 3 tys. tomów o różnej treści, ale zawierających wiele dzieł literackich, albumowych, historycznych i leksykalnych. Wszystkie te zabiegi były konieczne, jeśli chciało się ustawić prace licencjackie na jako takim poziomie. O wysyłaniu studentów do bibliotek w Lublinie nie można było marzyć. Kierownictwo szkoły prawdopodobnie uznało, że taka działalność profesora należy do pensum jego zajęć. W czasie dziewięciu lat przepracowanych w Chełmie sprowadziłem z Niemiec dla studentów około dwustu tomów. Przelicznik cenowy był tak korzystny, że prawie wszyscy studenci nabywali te książki. Wszelkie koszty dodatkowe brałem na siebie. Widząc, jak osoby, którym pod tym względem szedłem na rękę, paliły papierosy, niejednokrotnie się zastanawiałem, czy moja *caritas* nie chodziła błędnymi drogami, jednak nawet uzasadnione ściąganie opłat od studentów zawsze mnie odpychało. Moje książki, właściwie jedną z nich, polecałą dla studentów germanistyki, sprowadzałem z takim rabatem, że budziło to nawet zdziwienie kupujących.

Doprowadziłem do finału 70 prac licencjackich. Profit z tego miałem w postaci dodatkowego trudu i pewnych kosztów związanych ze staraniem o książki i źródła. Za seminarium odliczano w sumie, jeśli dobrze pamiętam, 10 godzin od pensum. A może doliczano? Nigdy nie mogłem się w tym połąpać. W każdym razie wynagrodzenie za tak ciężką pracę było żadne. Kolega uczący w szkole prywatnej wyśmiał mnie, kiedy mu o tym opowiadałem. On za każdy licencjat dostawał 900 zł, a i tak mówił, że go oszukują. Dodam, że tamte prace były w języku polskim. Chciałbym być tak oszukiwany. Może zresztą ta nikła szczodroblowość tylko mnie dotyczyła, bo i w Częstochowie prowadziłem 19 magisteriów i nie przypominam sobie, żeby było to honorowane.

Nie słyszałem żadnych uwag krytycznych, jeśli chodzi o mój kontakt ze studentami zarówno w Częstochowie, jak i w Chełmie. Traktowaliśmy się z szacunkiem.

²⁰³ Właśc. Bundeszentrale für politische Bildung, Federalna Centrala Kształcenia Obywatelskiego. Niemiecka agencja rządowa odpowiedzialna za edukację obywatelską, założona w 1952 jako Bundeszentrale für Heimatdienst. Pod aktualną nazwą od 1963.

Tylko w Częstochowie zdarzył się incydent, zaraz na początku mojego pobytu. Jego sprawcami byli student i studentka – para, która nie zagrzała miejsca w szkole i raczej kwalifikowała się do zgoła innych zadań aniżeli nauka, nawet taka na niższym szczeblu.

Niewątpliwym błędem z mej strony było zbyt dosłowne rozumienie haseł, jakich używało kierownictwo szkół w celu reklamowania swych usług. Obietnic było więcej, niż ma to miejsce w wypadku kolejnych gabinetów w III RP. Sądziłem, że faktycznie chodziło o poziom szkoły. Przekonałem się, niestety, zbyt późno, czym jest PR. Ponieważ w senacie zbytnio się upominałem o poważne traktowanie studiów nie tylko przez studentów, lecz także przez *naczelstwo*. Szybko podziękowano mi za udział w tym gremium PWSZ i germanistyka odtąd w ogóle nie była tam reprezentowana. Wiadomo – przedmiot deficytowy, a wymagania szefa katedry wygórowane. Wstyd się przyznać, że po kilkudziesięciu latach nauczania ktoś – w tym wypadku ja – mógł grzeszyć taką naiwnością. Ale tak było i nie można tego ukrywać.

Trzeba powiedzieć, że takie pożegnanie jak w Chełmie nie powinno dziwić. Byłem niewygodnym pasażerem. Inna sprawa, że po 40 latach z KUL odchodziłem w podobny sposób, co zresztą zrelacjonowałem w tej książce. Nie ma ucznia nad mistrza – tak samo odchodził ks. prof. Żywczyński.

Moja praca skupiała się na dydaktyce i pisarstwie. Nazywam to tak, bo jak inaczej? Niekiedy czytam, jak inni mówią o swej twórczości naukowej. Z pewnością taką uprawiali, ale jest w tym pewna nadętość. Jeśli ktoś pisze, a nie jest literatem, to – rzecz jasna – musi się na czymś oprzeć. I to jest ta praca badawcza – niewdzięczna, a zarazem ciekawa jak nic w świecie. Siedziałem miesiącami w archiwach w kraju i za granicą, mimo to nie mogłem się doczekać, aż znowu w kolejny dzień zasiądem do akt. To coś takiego jak kibicowanie. Znałem kolegów, którzy za nic nie opuściliby meczu, nawet w TV. A jak czekali, żeby wreszcie został rozegrany! Każdy ma swoje hobby, moim była praca badawcza. I ten drugi etap, kiedy rozkładało się zebrany materiał i powoli powstawał concept, plan, tekst. To już było pisanie. Stąd w streszczeniu dziedzinę tę określam jako pisarstwo. Z góry zaznaczam, że nie chodzi tylko o twórczość naukową. Na jej marginesie zawsze sytuuje się inna tematyka. Także współczesna. Jeśli chodzi o moje pisma, to nie chcę ich nazywać publicystyką, choć niewątpliwie mają takie cechy. Są to raczej obserwacje bieżących wydarzeń wymagające skomentowania. W sumie zebrało się tego sześć tomików.

Ciężka jest starość, a nie daj Boże choroba

Były także inne powinności, niemające nic wspólnego z nauką, ale nie mniej ważne, a może nawet ważniejsze. Na tym samym piętrze co ja mieszkał emeryt, dawny profesor moralista, długoletni dziekan Wydziału Teologicznego ks. Władysław Poplatek. Był bardzo sprawny i świetnie sobie radził. Mieliśmy luźny kontakt, rzadko do niego zaglądałem, bo chyba właśnie takie relacje mu odpowiadały.

Wylew krwi do mózgu spowodował paraliż. Spotkało go to w zakrystii kościoła Kapucynów, gdzie codziennie odprawiał mszę św. Księdza Władysława zabrano do szpitala policyjnego na Majdanku i trzeba było zająć się jego sprawami. Uczyniliśmy to we trójkę: Grzegorz Lanartowski, wówczas będący już na rencie były pracownik administracyjny KUL, od dawna związany z profesorem, ks. Ireneusz Pawlak, mieszkający w tym samym domu profesor muzykolog, oraz ja. Leczenie nie dawało widoków na wyjście ze stanu częściowego paraliżu uniemożliwiającego poruszanie się. Czas pobytu w szpitalu się wydłużał i właściwie nie było już powodu, by go przeciągać. W swoim mieszkaniu chory nie mógł przebywać, nie było do tego przystosowane, a ponadto wymagał stałej opieki. Zabiegaliśmy u władz uniwersyteckich o jakieś rozwiązanie. Także u biskupa diecezji zamojsko-lubaczowskiej²⁰⁴. Słyszeliśmy wyrazy współczucia, piękne słowa chrześcijańskiej pociechy, wszystko kończyło się jednak rozkładaniem rąk i bardzo mglistymi obietnicami. Podczas którychś odwiedzin w szpitalu lekarz powiedział, że sprawę trzeba rozwiązać w jak najkrótszym terminie. Szpital cierpi na brak miejsc, a chory – co mogliśmy zaobserwować sami – psychicznie źle znosi obecny stan rzeczy.

Ostatecznie uradziliśmy, że zwrócimy się do bp. Bolesława Pylaka z prośbą o jakieś lokum dla ks. Poplatka. Zgodził się bez większej dyskusji. Oddał przygotowane dla siebie mieszkanie w domu księży emerytów. Powiedział, że jeśli będzie pora, by jako emeryt sam go potrzebował, to rozwiąże się sprawę inaczej, znajdzie się coś innego.

Miał więc ks. Poplatek piękne mieszkanie ze świetną obsługą siostr i opieką pielęgniarsko-lekarską. Odwiedzaliśmy go często i obserwowaliśmy, jak powoli odzyskuje humor. W końcu zorganizowano także celebrację mszy św. przy odpowiednio wyposażonym stole. Można powiedzieć, że na swój sposób był szczęśliwy. Zawsze bardzo się cieszył z naszych wizyt i twierdził, że go wszyscy rozpieszczają. Za każdym razem kończył swój komentarz słowami:

²⁰⁴ Biskupem zamojsko-lubaczowskim był w tym czasie Jan Śrutwa.

– No, i co... właśnie...

Miał kłopoty z mówieniem, a jeszcze bardziej z jego tokiem logicznym. Zapominał słów, zastanawiał się, jak ma coś powiedzieć, po czym z rezygnacją rzucał:

– A niech tam...

Miał świadomość swej sytuacji, choć niechętnie o tym mówił. Było nam go żal, ale ciężkie chwile osładzały dobroć bp. Pyłaka i to prawdziwie ludzkie zatroskanie o los chorego.

Na początku lutego 1994 r. wyjeżdżałem do Stanów Zjednoczonych, więc poszedłem się pożegnać. Ksiądz Poplatek miał łzy w oczach. Chyba wiedział, że to już pożegnanie na dobre. Mówiłem, nadrabiając miną, że koledzy mi doniosą, jeśli ksiądz prałat nie będzie grzeczny. Uśmiechał się tylko i życzył mi powodzenia oraz szybkiego powrotu. Dwa tygodnie po moim wyjeździe zmarł. Historia ostatnich miesięcy życia tego kapłana uświadomiła mi, jak ulotne są wszystkie godności. W końcu był to znany człowiek – na uniwersytecie i nie tylko, różne osoby zabiegały o jego względy. Kiedy leżał na łożu boleści, poza nami trzema i bliskimi znajomymi spoza kręgów uniwersyteckich mało kto do niego przychodził. Kilkakrotnie niektórym jego dawnym kolegom mówiłem wprost, że dobrze byłoby go odwiedzić, ofiarowałem swoją pomoc, ale wszystko pozostało bez odzewu.

– Proszę go pozdrowić – odpowiadali.

Tyle.

Miałem stały kontakt z osobami, które dłużej czy krócej chorowały i wymagały jeśli nie stałej opieki, to z całą pewnością pamięci i wsparcia psychicznego. Jedną z nich była Zofia Brzostowska, inwalidka z powstania warszawskiego, do czasu niezwykle samodzielna i z niechęcią przyjmująca jakiegokolwiek próby pomocy. Nasz kontakt był czysto intelektualny. Podziwiałem jej zainteresowania literaturą, historią a szczególnie filologią grecką – w grece zrobiła zdumiewające postępy umożliwiające jej nawet nauczanie tego języka zgłaszających się wolontariuszy. Pani Zofia miała rozległe znajomości w Lublinie, ale szczególnie ceniła sobie, rzadkie zresztą, kontakty z prof. Żywczyńskim. Zdaje się też, że do pewnego czasu z o. Krąpcem.

Nasza znajomość zaczęła się nieco przypadkowo po moim doktoracie (1965) i wcześniejszym angażu na KUL. Bliższy kontakt nawiązałem z nią w czasie opracowania naszego księgozbioru w Zakładzie Historii Kościoła. Nasze rozmowy wyglądały tak, że najczęściej się sprzeczałyśmy. W bardzo różnych przedmiotach. Ponieważ zajmowałem się wtedy historią zaboru pruskiego, ochrzciła mnie mianem

Prusaka i tak już pozostało. Sama była warszawianką i na krótki czas nawet przeniosła się na ATK, ale dość szybko wróciła do Lublina, gdzie jednak pracy już nie podjęła. Poprzednio pracowała w bibliotekach zakładowych. Jej ostatnie lata były pełne cierpienia. Nie tylko starość, lecz także obłożna choroba przykuły ją do łóżka, co było dla niej ciężkim doświadczeniem. Kiedy ją odwiedzałem w mieszkaniu na ul. Pana Balcera, starała się utrzymać swój sarkastyczny ton wypowiedzi, ale sama stwierdzała, że to już tylko udawanie. Przemawiałem nad jej grobem.

Inny człowiek uniwersytetu, bo tak trzeba go określić, to Grzesio Lenartowski. Z KUL związany był od ukończenia studiów historycznych. Pracował w intendenturze, ale właściwie to był czynny na wielu polach, spełniał polecenia ks. rektora Rechowicza. W czasie rządów o. Krąpca stracił stanowisko, jak nazywał swój etat, i na pewien czas przeniósł się do Krakowa, gdzie pracował w „Tygodniku Powszechnym”. Wrócił jednak na KUL, ale nie uzyskał już zatrudnienia. Mieszkał pod schodami w domu akademickim przy ul. Sławińskiego (dziś Niecałej). Klatka – dosłownie – w której mieszkał, miała 1,2 m wysokości, tak że można było w niej z biedą siedzieć. Nigdy złego słowa na KUL nie powiedział, najwyżej ubolewał niekiedy, że coraz mniej ludzi pracuje „dla sprawy”. Sam był człowiekiem w ścisłym tego słowa znaczeniu ideowym. Był złotą rączką i często korzystałem z jego usług, zwłaszcza że w ten sposób można było mu pomóc, inna forma była wykluczona. Chorował ciężko na serce. Kiedy wyjeżdżałem do Niemiec na zastępstwo, był już bardzo słaby. Powiedział do mnie:

– Jedziesz? Poczekam aż wrócisz.

Począł. Zmarł w dzień po moim powrocie.

Duszpasterstwo w Niemczech

Sprawa ks. Poplatka bardzo mnie absorbowała, mimo to trzeba było spełniać obowiązki dnia powszedniego i wykonywać różne zajęcia. Jedno z drugim trzeba było pogodzić. Bywały więc sytuacje, w których opieka nad nim spadała na innych. W sumie układało się to dobrze. Oddalenie się z Lublina na dłuższy czas wszystkich osób troszczących się o chorego nie było niemożliwe, nigdy jednak taka ewentualność nie zaszła. Ja miałem pewne zobowiązania, gdyż od 1988 r. zastępowałem w czasie wakacji księdza w którejś z parafii Düsseldorfu. Wyjazd, co najmniej na jeden miesiąc, był w takiej sytuacji konieczny. Trwało to do 2001 r., a więc przez 13 lat, a zaczęło się wszystko raczej przypadkowo i wcale nie w Düsseldorfie.

Byłem kiedyś z kolegami w Garmisch-Partenkirchen i to wówczas o dwutygodniowe zastępstwo poprosił mnie proboszcz z sąsiedniej parafii w Burgrain. Zamieszkałem w plebanii. Gospodarstwo domowe prowadziła kobieta pochodzenia węgierskiego, bardzo sympatyczna i świetnie gotująca. Znaleźliśmy zawsze wspólny temat, który pojawiał się automatycznie, najczęściej w czasie spożywania posiłków. Parafia była niewielka, położona u podnóża Alp. Proboszcz był zapalonym liturgistą i bardzo mnie prosił, żebym kultywował wprowadzone przezeń zwyczaje, np. uroczyste wznoszenie księgi czytań. Ministranci byli dobrze wyszkoleni, więc nie było z tym trudności.

Zetknąłem się tam po raz pierwszy z całkowitym analfabetyzmem w sprawach religijnych. Ludzie zresztą zupełnie się z tym nie kryli. Kiedyś przyszła para zgłosić pogrzeb swej cioci. Pierwsze ich pytanie brzmiało:

– Jak można najkrócej dokonać pochówku?

Odpowiedziałem:

– Zanieść trumnę na cmentarz, włożyć do dołu i zasypać.

Popatrzyli na mnie, ale z pełną powagą pytają dalej:

– To znaczy w kościele nic się nie robi?

– Pytali państwo, jak najkrócej to zrobić – odpowiedziałem.

Byli zdezorientowani.

– Nie wiemy, jak to jest w kościele.

– Jesteście ateistami?

Wzruszenie ramion.

– Nie chodzimy do kościoła.

– Nigdy nie byliście?

On:

– Ty byłeś!

Ona:

– Nie, to właśnie ty byłeś, pamiętasz?

I wymieniała jakąś okoliczność. Pomyślałem, że biedna ta ciotka, która całe życie siedziała przy kasie baru. Biedni oni, bo nie mają zielonego pojęcia, kim właściwie są. Kiedy ustaliliśmy porządek obrzędów pogrzebowych z mszą św. poprosili, żeby nie było kazania. Zdziwiłem się, że w ogóle wiedzą coś o kazaniu, i spytałem:

– Dlaczego ma nie być?

– Bo po co to cioci?

– A może kazanie powinno być dla was?

Nic już na to na powiedzieli. Po mszy św. i ceremonii pogrzebowej podeszli do mnie – właściwie nikt poza nimi w pogrzebie nie uczestniczył, nie licząc przygodnie obecnych w kościele osób – i podziękowali.

– To było piękne i wzruszające...

– Zastanówcie się nad sobą, przecież nie żyjecie w próżni.

– Nie mamy czasu, stale coś się dzieje. Chcielibyśmy nieraz coś niezwykłego przeżyć, ale zawsze coś przeszkodzi.

Wydaje się, że gdyby tymi ludźmi ktoś się zajął, może coś by do nich dotarło. Widać było, że potrzebowali choć cząstki Absolutu, ale w żaden sposób nie wiedzieli, jaka droga do niego prowadzi. Dla nich do przyjęcia była tylko droga niewymagająca trudu, a takiej nie ma.

W tej miejscowości przeżyłem wiele ciekawych spotkań. Dopiero nabierałem doświadczenia w dziedzinie duszpasterstwa w Niemczech. Nigdy przedtem nie byłem w podobnej sytuacji, dlatego wszystko mnie ciekawiło i chciałem jak najlepiej zrozumieć tamtejszy katolicyzm. Tak teraz odległy od tego, który znałem ze studiów nad XIX w., kiedy Kościół niemiecki był wzorcowy w Europie, a może i na świecie. Tak było jeszcze w okresie międzywojennym, nawet w III Rzeszy, gdzie Kościół był pewną enklawą stosunkowo wolną od wpływów narodowego socjalizmu. Po soborze to się zmieniło i daremnie dociekać przyczyn takiego stanu rzeczy. Nic dziwnego wszakże, że z wielkim zaciekawieniem śledziłem przejawy życia religijnego w tamtej parafii. Poznawałem je stopniowo i najczęściej przypadkowo.

Pewnego razu zaszedłem do kaplicy znajdującej się na zewnątrz kościoła, gdzie zastałem kilkanaście osób sposobiących się do odmawiania wspólnego różańca. Oczywiście przyłączyłem się do nich. Po modlitwie podszedł do mnie jeden z panów i zaprosił na taki wspólny różaniec, odbywający się bodajże w każdą środę. Okazało się, że to on jest animatorem tej pobożnej praktyki, a z zawodu jest policjantem – konkretnie komendantem miejscowego posterunku.

W następną środę zaproszono mnie na mały poczęstunek. Był tam też jeden mocno starszy jegomość, bardzo maleńki człowieczek, zawsze serdecznie uśmiechnięty i skory do pogwarek. W trakcie rozmowy wyszło, że w czasie wojny służył w dywizji wysokogórskiej i stacjonował m.in. na południu Polski. Opowiadał, jak strzelali do nich partyzanci, i uważał to za wielkie przestępstwo.

– Jak to możliwe, żeby takie bandy usiłowały walczyć z wojskiem?

Zapytałem go, czy i oni strzelali do tych band. Odpowiedział, że oczywiście, przecież jako żołnierze mieli taki obowiązek. Pytałem dalej:

– A czy owi partyzanci przyszli do was, do Bawarii, i tam was ostrzeliwali, czy też wy przyszlście do ich kraju?

Zamilkł. Po chwili jednak zaczął tłumaczyć, że racja była po ich stronie. Była wojna i robili to, co im kazano, a nikt nie miał prawa atakować ich na zdobytym terenie. Nie tylko ja słuchałem tego z niedowierzaniem, także obecni przy tym inni Niemcy dziwili się jego argumentacji. Ale tak myślało wielu. W Garmisch widziałem kryty ganek prowadzący do kościoła. Na ścianach widniały setki zdjęć żołnierzy niemieckich, w tym wielu z patkami SS. Jakiś tekst głosił, że są to bohaterowie.

– Ilu z nich mordowało niewinnych ludzi bez zmrżenia oka?

Pytanie takie wywoływało zdumienie. Przecież była wojna, mieli rozkazy. Źle się robiło od takich rozmów.

W następnych latach miałem zastępstwa w Düsseldorfie z reguły w dekanacie północnym. Dziekan – był nim ks. Friedhelm Keuser – rezydował w Stockum. Jego parafia była zaprzyjaźniona z diecezją lubelską i ks. Keuser prawie co rok przyjeżdżał po Bożym Narodzeniu do Lublina. Pomagał i – o ile wiem – nadal bardzo pomaga seminarium duchownemu w Lublinie.

Regularne coroczne zastępstwa zapoczątkowałem w Kaiserswerth, najstarszej części Düsseldorfu. Właściwie było to małe, niezwykle urokliwe miasteczko, z ruinami zamku Barbarossy, z bazyliką św. Suitberta, o którym niewiele się wie – tylko tyle, że należał do misjonarzy iroszkockich i osiedlił się na wyspie na rzece Ren. Bazylika w czasie walk w 1944 r. została całkowicie zburzona i odbudowano ją, jak mi powiadano, niezupełnie w dawnej postaci. Można to było zresztą dostrzec na starych zdjęciach. Proboszczem był ks. Engelbert Ippendorf²⁰⁵ – inteligentny, ocytany i pełen humoru. Należał do tej starszej generacji kapłanów, autentycznie zatroskanej o zachowanie dawnej tradycji katolicyzmu niemieckiego. Zdawał sobie sprawę z trudności, z jakimi należy się w tym wypadku liczyć, ale gotów był w miarę możliwości stawić im czoła. To były chyba ostatnie dwa lata przed jego emeryturą.

Muszę przyznać, że miałem szczęście do mojej pierwszej placówki w Niemczech. Była to parafia dająca możliwości wżycia się w tamtejsze duszpasterstwo bez zbytniej gonitwy, która w Niemczech polega głównie na załatwianiu spraw

²⁰⁵ Engelbert Ippendorf (1928–1918), niemiecki ksiądz archidiecezji kolońskiej. Święcenia kapłańskie 1953. Proboszcz parafii w Liebfrauen 1965–1984, św. Suitbertusa w Düsseldorfie-Kaiserswerth 1984–1995 i w Düsseldorfie-Derendorf 1995–2003. Od 2003 na emeryturze.

biurowych. To jest istne przekleństwo. Ksiądz jest przede wszystkim urzędnikiem. Spotykałem takich, którym to odpowiadało, ale w wielu wypadkach wywoływało sprzeciw i frustrację. W Kaiserswerth poznałem sporo ciekawych ludzi, z którymi później utrzymywałem kontakt, a właściwie utrzymuję do dnia dzisiejszego. Trudno ich wszystkich wymienić, ale zaprzyjaźniłem się z dr Marią Gehlen, z paniami Roswithą i Elsą Simons, siostrami Hansa Simonsa z pobliskiego Kalkum, w którego rodzinie stale mieszkałem w czasie zastępstw w tamtejszej parafii. Te przyjaźnie w pełni się sprawdziły. Trwają do dziś.



Kaiserswerth
Schützenfest,
1989 r.

Pani Gehlen wystąpiła z propozycją pomagania rodzinom wielodzietnym niemającym dochodów na zaspokojenie potrzeb. Do akcji włączyła się Frauengemeinschaft St. Lambertus Kalkum, organizacja kobieca podejmująca różne inicjatywy społeczne. Jedną z nich był sklepik nazwany od imienia patrona parafii „Lambertus Lädchen”.



Sprzedawano w nim oddane w komis przedmioty, a dochód był przeznaczany na cele dobroczynne. Mogłem śledzić, ile pracy wkładano w tę działalność. Dyrygowała wszystkim pani von der Heiden, ale uczestniczyło wiele innych osób. Datki, które wynosiły niekiedy kilkaset marek, były rozdzielane między rodziny będące w potrzebie. Bardzo się starałem, żeby obdarowani napisali tym ofiarnym paniom choć kilka słów podziękowania. O ile wiem, takie gesty pociągały za sobą pomoc indywidualną, rodzina rodzinie, ale tego już nie śledziłem.

Pobyt w ogrodzie plebanii w Kaiserswerth. Stoją od lewej: referentka parafialna, ks. Engelbert Ippendorf, autor, sekretarka

Pani Gehlen deklarowała pomoc na trzy lata, pomagała zaś trzynastcie. Zarówno ją, jak i inne osoby uczestniczące w jakiś sposób w takiej akcji

dobroczynnej zapraszałem do Polski i gościłem na mój koszt. Umożliwiłem im również zwiedzanie kraju. Przede wszystkim jednak chciałem zetknąć je z rodzinami, które uzyskiwały pomoc.

Dużo trzeba by pisać o ofiarności niektórych osób, z którymi stykałem się w pracy parafialnej. Podchodziłem do tej działalności charytatywnej z pewnymi obawami, księża niemieccy bowiem, nie wszyscy oczywiście, pochopnie osądzali polskich konfratrów zainteresowanych sprawami materialnymi. Podejrzenia, że często pod pozorem pomagania innym przede wszystkim dbano o siebie, nie były bezpodstawne. Takich pomówień chciałem za wszelką cenę uniknąć. W sumieniu byłem w porządku, nie tylko nigdy niczego nie brałem, ale często także zarobione przeze mnie pieniądze szły na potrzeby bliźnich. Niektórzy okresowo pracujący w Niemczech przyjeżdżali stamtąd luksusowymi autami. Gdybym otrzymane pieniądze przeznaczał dla siebie, także mógłbym po dwóch–trzech zastępstwach kupić mercedesa w dobrym stanie. Tymczasem poza fiatem 127, którego kupiłem za honorarium, przywiozłem w 1993 r. jedenastoletniego volkswagena, który służył mi przez dalszych 11 lat. Otrzymałem go od Gertrudy Neumann. Oddała mi auto z niewielkim przebiegiem, gdyż samochód nie miał wspomagania kierownicy.

Muszę tu wspomnieć o kościelnym w bazylice w Kaiserswerth – panu Reinpfandzie (niestety uleciało mi imię, a pisowni nazwiska też nie jestem pewny). Był to już mocno starszy pan, ale bardzo energiczny, małomówny i – jak zauważyłem już pierwszego dnia – aż do przesady dokładny. Wszystko musiało być ułożone na swoim miejscu, ani centymetra w tę czy w tamtą stronę. Do mnie na początku odnosił się z przesadną rewerencją, trudno było nie dostrzec także dość wyraźnej rezerwy. Dowiedziałem się od proboszcza, że pochodził z Gdańska. Zagadnąłem go kiedyś, nawiązałem do mojego pomorskiego pochodzenia. Od tej pory wyraźnie zmienił swój stosunek do mnie.

Mieszkał przy pl. Suitberta w małym domku, świetnie zaadaptowanym do współczesnych potrzeb. W mieszkaniu miał istne muzeum, a przy tym okazał się wytrawnym znawcą sztuki, zwłaszcza średniowiecznej rzeźby i architektury sakralnej. Miał dużo bardzo wartościowych dzieł sztuki, które – jak mi opowiadał – niemalże ze śmietnika trafiły przez jego ręce do konserwatora i tak ocalały. Można powiedzieć, że w jakiś sposób się zaprzyjaźniliśmy.

Był wrogiem całej tej postępowości w Kościele. Kiedyś odbywał się ślub pary wyznaniowo mieszanej, zatem przy ołtarzu była także pastorka ewangelicka.

Ja przewodniczyłem ceremonii ślubnej, ona mówiła kazanie. Muszę przyznać – głęboko teologiczne i świetnie wygłoszone. Rozmawiałem z nią potem chwilę w zakrystii. Kościelny usunął się do sąsiedniego pomieszczenia i stamtąd nadstawiał ucha. Z nią chyba się nawet nie przywitał, choć obyło się bez ostentacji. Po wyjściu pastorki zapytałem go, jak mu się podobała. Chwilę pomilczał, po czym wyrzucił z siebie:

– *Schon, mag sein, aber die Seidenhose?!²⁰⁶*

Gdy byłem po raz kolejny w Kalkum, dowiedziałem się, że pan Reinpand ciężko chorował i znalazł się w domu opieki na starym mieście. Odwiedziłem go. Niezmiernie się ucieszył. Czuł się całkowicie osamotniony. Pokazał mi małą figurkę na półce nad łóżkiem.

– Tyle zostało mi z tych rzeczy, które tak ukochałem...

Tylko w Bogu jest to, co nie przemija. Byłem u niego jeszcze może raz czy dwa i dowiedziałem się o czymś, co w czasie naszej wspólnej pracy jakoś się nie ujawniło. Człowiek ten miał szeroką wiedzę teologiczną. Nie chciał zdradzić, gdzie i jak nabytą. Zresztą o wielu sprawach nie chciał mówić – o Gdańsku, o czasach, które tam przeżył.

Kilkakrotnie pełniłem zastępstwo w Kalkum, parafii oddalonej o 2 km od Kaiserswerth. Zaprosił mnie tam rektor kościoła, ks. dr Willy Hiss. Zarówno z nim, jak i z rodziną jego brata Huberta łączyły mnie więzy przyjaźni. Nie waham się tak tego określić. Obaj już nie żyją. Willy odszedł nagle. Znalezione go rano na progu



Jubileusz 40-lecia kapłaństwa ks. Willy'ego Hissa w kościele w Kalkum, 1989 r.



W domu państwa Hissów, Kalkum

²⁰⁶ Niem. Tak, ujdzie, ale te portki jedwabne?!

między kuchnią i jadalnią. Najpewniej późno wieczorem oderwał się na chwilę od książki, żeby coś przekąsić. W kątku ust zauważono okruszki chleba. Podobnie nagle na serce zmarł jego brat Hubert, aczkolwiek znacznie później. Obaj byli typowymi Nadreńczykami, pełni humoru i radości życia.

Willy odznaczał się dużymi walorami intelektualnymi, choć jego swojski sposób bycia mógł wprowadzać w błąd. Pozwalał mi korzystać ze swego bogatego i cennego księgozbioru. Jego kazania były oryginalne i zawsze umiejętnie nawiązujące do jakiejś konkretnej sytuacji. Był to rarytas w porównaniu z homiliami czerpanymi żywcem z tekstów drukowanych. Mało ich jednak słyszałem – kiedy tam byłem, on przebywał na urlopie. Wspólnie spędzaliśmy dwa–trzy dni przed jego wyjazdem na Węgry, gdzie odpoczywał i pomagał w działalności charytatywnej. Niekiedy kilka dni po jego powrocie, stanowiących okazje do rozmów, a nawet krótkich wycieczek, które odkrywały przede mną uroki *Rheinlandu*, wystarczało.

Trudno zapomnieć o wieczorach spędzanych na małym patio wychodzącym na ogród, istic puszczalski. Ileż tam było rozmów, a nieraz po prostu ciche zażywanie letniego wieczora. Pewnego razu Willy zerwał się z fotela trzcinowego i zawołał:

– Jedziemy na stare miasto, coś ci pokażę.

– Ależ zobacz, która godzina. Dochodzi 22.00.

– To nic, tramwajem dojedziemy w pół godziny, posiedzimy godzinkę i około północy będziemy w łóżkach.

Zaprowadził mnie do małej knajpki, gdzie wokół baru stało zaledwie kilka wysokich stołków. Barman wskazał kręte metalowe schody i weszliśmy na mikroskopijne pięterko. Były tam maleńkie stoliki na wygiętych metalowych nóżkach i takież zydle. Podano nam na jakimś wysięgniku tacę z grubymi kieliszkami napełnionym brunatnym płynem.

– To jest killepitsch– objaśnił Willy. Tylko w tej restauracyjce i przyległym sklepiku można go nabyć. Nigdzie indziej tego nie uświadczysz.

Alkohol był mocny, ziołowy. Jak na mój gust – zbyt słodki. Miał oryginalny posmak. Wydawało mi się, że to anyż, ale chyba była to mieszanina różnych ziół. Receptura była pilnie strzeżona. Spytałem o pochodzenie nazwy. Znano tylko żartobliwą wersję. W czasie nalotów alianckich, ludzie, siedząc w schronach, pokazywali palcem w górę i mówili:

– *Killer!*²⁰⁷

²⁰⁷ Niem. zabójca.

A inni, niosąc kieliszek do ust, odpowiadali:

– *Pitsch!*²⁰⁸

Ile w tym prawdy? Chyba ani odrobiny, ale turyści kupowali.

Willy przez całe życie był nauczycielem religii i dopiero jako emeryt osiadł na parafii. Był bardzo obowiązkowy. Rano, o godz. 6.00, już jechał do szpitala psychiatrycznego, gdzie odwiedzał chorych. Był to wielki szpital prowadzony dawniej przez ewangelickie diakoniski. W czasach, gdy tam bywałem, w parku szpitalnym można było zauważyć staruszki w charakterystycznych czepkach. Niektóre o lasce, inne nawet na wózkach. Dożywały starości. Pamiętam jeszcze z dzieciństwa te ewangelickie siostry, które na Pomorzu miały sporo domów. Zajmowały się pielęgniowaniem chorych. Znały swój fach pielęgniarstwa, często można było nawet zrezygnować z lekarza. Ciekawa rzecz, ale dla ruchu ekumenicznego nie miały zrozumienia i ani na krok nie odstępowały od ortodoksyjnego luteranizmu. Zastanawiałem się, czy mają narybek, bo młodych w ogóle nie dostrzegłem. W Marburgu miały dom formacyjny i tam widywałem młodsze siostry, ale na ogół skarżono się, że prowadzone przez nie dzieła z braku sióstr przechodzą w świeckie ręce lub zgola upadają.

Pracowałem także w innych parafiach, w dzielnicach Düsseldorfu: Unterrath, Hamm (zwane popularnie Kappeshamm, była to bowiem miejscowość, gdzie przeważali ogrodnicy), Angermund. Czasami zdarzało się na jedną niedzielę wyjechać gdzieś poza ten teren, bywało to jednak rzadko.

Zastępstwa na ogół nie nastroczały zbyt wielu okazji do dokładniejszego zapoznania się z miejscowością, a zwłaszcza z większą liczbą parafian skupionych wokół kościoła. Trwały zbyt krótko, chyba że powracało się tam przez kilka kolejnych lat – jak ja do Kalkum, gdzie oczywiście poznałem bliżej sporo osób. W Unterrath byłem tylko raz i mieszkalem u sióstr.

Było to zgromadzenie św. Józefa, a przełożoną była bardzo dzielna i sympatyczna s. Agnes Regina. Zakon ten prowadził zakład dla dzieci upośledzonych fizycznie i psychicznie. Już wtedy tylko dwie czy trzy siostry tam pracowały, poza tym był personel świecki. Czułem się wśród nich bardzo dobrze. Szczególnie miło przebiegały wspólne posiłki, podczas których tradycyjnie odbywało się opowiadanie różnych dowcipów i oczywiście ta rola mnie przypadała. Niekiedy kawały sytuacyjne albo jakieś wyjątkowo trudne do przełożenia na niemiecki z racji niespójności ich kolorytu z tym językiem kosztowały mnie sporo trudu, ale na ogół

²⁰⁸ Słowo ma znaczenie tylko w powiązaniu z ruchem ręki wskazującym na picie alkoholu.

się udawało. Pracując przez miesiąc w parafii – proboszcz Schmidt przez cały czas przebywał na urlopie – nie dowiedziałem się nawet, gdzie on mieszka.

Objaśniono mi później, że obsługiwał także drugi kościół i właśnie w jego pobliżu była plebania, w której rezydował. Był to typowy Nadreńczyk, mówiący dość silnym narzeczem, pełen humoru i życzliwy. W Niemczech nie ma tej przesadnej gościnności, którą my się szczycimy, toteż nasze spotkania w czasie konweniat – miesięcznych spotkań księży dekanatu – w zupełności mu wystarczały. Dziwna rzecz, ale nawet ten, w istocie żaden, kontakt z proboszczem zniwelował dystans. Spotykaliśmy się też kiedy indziej i zawsze były to spotkania serdeczne i niewymuszone.

Z Angermund miałem bliższy kontakt ze względu na dwukrotne zastępstwo, z tym że pierwszy raz były to tylko dojazdy z Kalkum na niedzielę, ponieważ proboszcz był po operacji nogi. W 2001 r. na tę właśnie parafię przypadło moje ostatnie zastępstwo.

Były tam piękne tereny spacerowe w lesie czy raczej bardzo wielkim parku, który ciągnął się aż do krańców lotniska w Düsseldorfie. Chodziłem tam często z paniami Simons. Piękne to były wyprawy. Panie Elsa i Roswitha były czarującymi rozmówczyniami i podobnie jak ja rozmiłowane w wędrownkach. Chadzaliśmy także w inne miejsca. Przeptywaliśmy Ren na promie, a potem szliśmy brzegiem rzeki prawie do portu w samym środku miasta. To były spore odległości. Trudno przywoływać nasze rozmowy, ale nie unikaliśmy żadnych tematów. Były i te z przeszłości, ale najczęściej rozmawialiśmy o czasach, w których żyliśmy. Panie były bardzo ciekawe warunków życia w Polsce. Poznały je z bliska w czasie odwiedzin w Lublinie. Jedna z siostr zetknęła się z tą rzeczywistością zbyt bezpośrednio, gdyż na Starym Mieście w Lublinie napadnięto ją, rzucono na ziemię i wyrwano torebkę. Niestety, zginął także paszport i wiele było kłopotu, by w ambasadzie niemieckiej w Warszawie uzyskać potrzebny duplikat. Panie pokazały wówczas klasę. Poszkodowana po prostu powiedziała:

– Mogło mnie to spotkać równie dobrze w Berlinie.

Hamm leżało po przeciwnej stronie miasta, w pobliżu portu na Renie i nie należało do dekanatu północnego (Stockum). Proboszczem był tam ks. Klaus Faber, przemiły człowiek wielkiej szlachetności, Niestety, ciężko chory na cukrzycę. Opiekowała się nim bardzo ofiarnie gospodyni, pani Meisner, która za mną chyba specjalnie nie przepadała. Mimo to w czasie nieobecności proboszcza nasze relacje były poprawne.

Raz tylko zdarzyła się dość przykra sprawa. W czasie swojej wędrówki rowerowej po Europie odwiedzili mnie dwaj studenci, jeden z nich był synem mojego przyjaciela prof. Jerzego Pietrzaka. Oznajmili, że chcą nocować pod namiotem na łąkach nad Renem. Poszedłem do miasteczka, by się dowiedzieć, do kogo należy łąka. Trafiłem bardzo dobrze, bo była ona własnością właściciela sklepu, z którym właśnie rozmawiałem. Oferował on już poprzednio gościnę rodzinie francuskiej, która zwróciła się do mnie o pomoc. Tym razem także zaprosił chłopców do siebie. Wy tłumaczyłem mu, że oni chcą przeżyć przygodę i przespać się pod namiotem nad rzeką. Przystał na to. Podziękowałem mu za ofertę udostępnienia im łazienki, mogli się myć w mieszkaniu przeze mnie zajmowanym. Tak się też stało.

Skąd pani Meisner się dowiedziała, że brali u mnie prysznic, tego nie mogłem dociec, w tym czasie była poza domem. Robiła mi wymówki, że wpuszczam obcych do plebanii i w dodatku pozwalam im zażywać kąpeli, a przecież woda kosztuje. Bez słowa położyłem na stole 5 marek i spytałem, czy wystarczy. Była wyraźnie urażona. Powstrzymałem się od dalszych uwag. Dotknęło mnie nie to wypomnienie ceny wody, ale pretensje z powodu wpuszczania na plebanię „obcych”. Powiedziałem jej, że byli to studenci polscy, dobrze mi znani. Z jej uwag pośrednio wynikało, iż każdy Polak zawsze stanowi zagrożenie.

Ksiądz Klaus po powrocie dowiedział się o całym zajściu, opowiedziała mu sama pani Meisner. Było mu bardzo przykro i przy niej rzekł do mnie:

– Pamiętaj, twoi goście są moimi.

Na szczęście mój pobyt tam dobiegał końca, bo chyba nie byłoby mi łatwo spotykać się z tą panią na co dzień. Muszę jednak sprawiedliwie dodać, że jej opieka nad ciężko chorym proboszczem była iście samarytańska i nie przesadzę, jeśli powiem, że to ona utrzymywała go przy życiu. Zmarł kilka lat później.

Moje kontakty z dziekanem ustały całkowicie po moim ostatnim zastępstwie w 2001 r. Myślę, że powodów było kilka. W parafii wyraźnie opowiadałem się za osobami dalekimi od „postępowego” katolicyzmu. Dziekan też był raczej tradycyjny, ale musiał np. rozprowadzić ankietę *Kirchenvolksbegehren*²⁰⁹, czyli plebiscytu, w którym wierni mieli się wypowiadać o potrzebie zmian w Kościele. Pan Simons przy dziekanie podarł te kartki na strzępy i powiedział, że takie

²⁰⁹ Niem. żądania ludu Bożego, wyrażenie woli ludu Bożego. Akcja aktywistów ruchu Wir sind Kirche (Jesteśmy Kościołem) zainicjowana na terenie Austrii, propagująca idee sprzeczne z nauczaniem Kościoła katolickiego, dążąca do rozłamu między wiernymi a władzą kościelną.

inicjatywy są źródłem upadku życia religijnego w Niemczech. Trudno się było z nim nie zgodzić, dziekan czuł się jednak dotknięty, a moja przyjaźń z państwem Simons nie była tajemnicą.

Innym powodem zaniku kontaktów mogli być pewni księża z Polski, których dziekan faworyzował, co z kolei u nich powodowało taki nieco dziecinny sposób asystowania mu. Kilka osób, oczywiście miejscowych, zwróciło na to uwagę. Rzeczywiście było to niesmaczne. Powiedziałem jednemu z nich, że nie powinien odgrywać roli maskotki, bo reprezentuje tu nie tylko siebie. Myślę, że mógł to dziekanowi powtórzyć, choć pewności nie mam.

Jeszcze inna rzecz wpłynęła na zmianę nastroju dziekana. Proszono mnie, bym się postarał o przyjęcie przez rodzinę niemiecką na miesiąc polskiego gimnazjalisty, który chciał poduczyć się niemieckiego. Chłopca wzięła pewna pani, ale traktowała go gorzej niż kiedyś niejednego robotnika przymusowego. Pośredniczył w transakcji dziekan, który miał zresztą jak najlepsze intencje. Kiedy przedstawiłem mu problem, powiedział, że rodzina jest w porządku, ale chłopak wymaga wychowania. To się nie zgadzało, dobrze znałem jego i jego dom. Powiedziałem to dziekanowi i zaznaczyłem, że pani tak negatywnie go ocenia, ponieważ nie lubi Polaków, co się później potwierdziło. Tego samego dnia zabrałem chłopca i umieściłem u znajomej polskiej rodziny, która potwierdziła bardzo dobrą opinię o nim. Widziałem, że najbardziej zabolął dziekana fakt, iż potrafiłem w ciągu kilku godzin sam załatwić sprawę. Chciał uchodzić za jedyne, który takie rzeczy potrafi. Swoją drogą, tę sprawę udało mi się załatwić raczej wyjątkowo. Rodzinę państwa Ostrowskich, która chłopca przyjęła, znałem bardzo dobrze i ceniłem niezmiennie.

O ks. Keuserze mogę mówić tylko w kategorii dobra, jakie on ludziom wyświadczał. Tak go zapamiętałem. A także jego kompletny brak uprzedzeń na punkcie narodowościowym. Myślę, że moglibyśmy lepiej się zżyć, gdyby moja taktyka była inna, gdybym częściej zasięgał jego rady, nie był tak samowystarczalny i nie miał znajomych spoza jego kręgu, a przynajmniej w takiej liczbie. Wspólnych znajomych prawie nie mieliśmy, zatem *mea culpa*²¹⁰. Pod wieloma względami dziekan zasługiwał na wielkie uznanie, a z mej strony także na wdzięczność, gdyż jak mógł, pomagał także mnie i służył z gościnności. Nie zawsze ludzie, którym świadczył dobro, odwziewali mu się tym samym. Może zbyt ufał niektórym osobom

²¹⁰ Łac. moja wina.

i stąd jego brak krytycyzmu, za który potem niepotrzebnie płacił kłopotami. Myślę o nim zawsze z wielką sympatią i wdzięcznością.

O ile duszpasterstwo pozostawiało nieco do życzenia – szczególnie zupełny brak spowiedzi i powszechne przystępowanie do komunii budziły moje zastrzeżenia, jak się okazało, niebezpodstawnie – to poziom muzyki kościelnej wprawiał w zdumienie. Nigdzie nie spotkałem organisty, który nie byłby artystą.

Wspomnienia z natury są chronologiczne, przywołują czas miniony. Istnieją jednak pewne bloki wydarzeń, jeśli tak można powiedzieć, i one narzucają pewne sekwencje w opowiadaniu. Dotyczy to zwłaszcza kontaktów z ludźmi, cyklicznie odbywających się imprez, dłuższych pobyków za granicą itp.

W Niemczech poznałem także rodzinę państwa Ostrowskich. Oboje byli konserwatorami zabytków i mieli własną pracownię. Spędziłem z nimi wiele miłych chwil i zawsze mieliśmy wspólne tematy rozmów. Była to rodzina typowo polska, całkowicie niepodatna na negatywne wpływy otoczenia, mająca swój światopogląd i ideały. Mogę mówić, że łączyła i nadal łączy nas przyjaźń. Także obecnie, kiedy znów zamieszkali w Polsce. Dzięki takim ludziom można było nawet w Niemczech czuć się swojsko. Zresztą oni także łąknęli kontaktów z rodakami. Nie skarżyli się na brak takich relacji, ale wyraźnie dawali mi do zrozumienia, iż chętnie goszczą mnie u siebie. Pan Zbyszek miał nosa, jeśli chodzi o wynajdywanie dzieł sztuki na pchlim targu, na który niekiedy z nim jeździłem. Po raz pierwszy widziałem takie targowisko. Czego tam nie było! Zwłaszcza obrazy, często mocno podniszczone i być może nierozpoznane przez sprzedających. Pan Zbyszek miał tam już swoich znajomych, stąd może niejeden opłacałny zakup.

Od 2001 r. nie jeździłem już na zastępstwa. Kuria biskupia nie ubezpieczała zastępców po siedemdziesiątym roku życia, a bez tego nie można było podpisać umowy.

Opisałem tu tylko moje duszpasterskie pobyty w Niemczech, choć nie wszystkie. W innym miejscu relacjonuję moje pobyty naukowe, z którymi także wiązały się pewne obowiązki kapłańskie, jak w Bonn-Endenich, Boppard, okazjnie także gdzie indziej. Sprawowałem Najświętszą Ofiarę i głosiłem kazanie w pobliżu Marburga w świątyni ewangelickiej udostępnianej katolikom w każdą niedzielę na jedną mszę św. Pastor był bardzo życzliwy. W czasie kazania siedział w prezbiterium i pilnie słuchał, następnie zbierał składkę. Zetknąłem się tam z prawdziwym ekumenizmem.

W dawnej budzie nakielskiej

Do środowiska, z którego się wyszło, wraca się pod wpływem jakichś szczególnych chwil, przeżyć. Może to być utrata bliskich osób. Dla mnie była to śmierć matki w lipcu 1984 r. – groby rodzinne narzuciły wewnętrzną potrzebę powrotów. Do Nakła nad Notecią zwabiło mnie jednak także coś innego. W 1996 r. szkoła, w której zdawałem maturę – nazywała się wtedy: Państwowe Liceum i Gimnazjum Ogólnokształcące im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią – obchodziła 120 lat swego istnienia.

Dyrektor Anita Kozak-Sadowska²¹¹ w bardzo serdecznych słowach zaprosiła mnie na tę uroczystość. Nie powinno mnie to dziwić, a jednak trochę... Utała się praktyka, że w czasach PRL na zjazdy absolwentów – nieliczne, ale przecież bywały – nie zapraszano księży, a wyszło nas z tego gimnazjum po wojnie około dwudziestu. Nie odczuwałem tego zbyt boleśnie, czegoż bowiem można było oczekiwać po kierownictwie szkoły, które jakiegokolwiek decyzje mogło podejmować jedynie za zgodą władz partyjnych? Mówiono mi, że na jednym z takich zjazdów koleżanka, *notabene* niekatoliczka, upomniała się o naszą obecność. Wyjaśnienia, jakie otrzymała, były mętne. Jakież inne mogły być?

Na zjazd oczywiście pojechałem, podobnie jak na następny, urządzony z okazji 130-lecia istnienia szkoły. Mało nas wówczas się zjawiło. Wiadomo, jak wielkie były między nami w szkole różnice ideologiczne. Może nie wszyscy mieli czyste hipoteki w stosunku do kolegów, UB werbowało bowiem spośród uczniów informatorów i na ogół wiedziało się, kto jest kim. Spotkania nie zawsze przebiegały w duchu szkolnego braterstwa.

Przewodniczyłem koncelebrze z udziałem chyba 17 absolwentów, a kazanie głosił ks. Ludwik Gładyszewski. Zawierało ono mocne akcenty odsyłające wstecz, ku ciężkim czasom, kiedy reżim zatruwał serca i umysły, a nie każdy zdołał tę truciznę od siebie odtrącić. We wprowadzeniu mówiłem może chwilę za długo – przeczuwałem nieco tę rozliczeniówkę w kazaniu, dlatego usiłowałem podkreślić dobrodziejstwo upływającego czasu, który łagodzi rany i każe inaczej spojrzeć na to, co niegdyś raziło, a nawet raniło. Nie myślałem, że tych kilkanaście zdań znajdzie takie uznanie i to w różnych obozach, zarówno wśród bezkompromisowych, jak i – mówiąc językiem ojców Kościoła – wśród owych *lapsi*²¹², którzy z motywacji

²¹¹ Anita Kozak-Sadowska, dyrektor I Liceum Ogólnokształcącego im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią 1992–2007.

²¹² *Łac.* upadli.



Księża absolwenci Gimnazjum i Liceum im. Bolesława Krzywoustego w Nakle nad Notecią. Przy ołtarzu: autor, ks. Ludwik Gładyszewski (z lewej) i ks. Kazimierz Kamiński (z prawej)

ideologicznej bądź z wyrachowania służyli reżimowi i bywali uciążliwi dla kolegów. Byli też tacy, którzy nie potrafili oprzeć się dobrodziejstwu ustroju lub po prostu dali się uwieść i służyli, bo tak trzeba było. Niewiele posunęło się zbyt daleko – szkodziło, denuncjowało, współpracowało z UB. Któryś z dawnych aktywistów ZMP, później także będący przy dobrym korycie reżimowym, podszedł do mnie i powiedział:

– Dobrze, że tak powiedziałeś. W kościele nie można rzucać gromów, chodzi o to, byśmy jednak czuli się kolegami.

Wyraziłem zdziwienie, że się w ogóle zjawił na mszy św. Nic na to nie odpowiedział.

W czasie obu zjazdów spotkało się wiele roczników – dziesiątki osób, co najmniej trzy pokolenia, a może więcej? Nie można było nawiązać nici porozumienia ze wszystkimi, ale atmosfera była wspaniała. Czuło się, że szkoła na powrót stara się stworzyć wspólnotę myśli i serc, być ową *alma mater*. Te wartości zniszczyła komunistyczna *urawniłowka*²¹³, nieznosząca żadnej indywidualności. Partia dawała miarę i trzeba było według niej formować siebie. Nijakość, która kiedyś zęgała opuszczających mury szkoły, teraz zdawała się już tylko historią. Oby tak było.

²¹³ Ros. zrównywanie, ujednolicanie.

Po dziesięciu latach kolejny jubileusz zgromadził zaledwie garstkę starej gwardii. Z trzech naszych klas maturalnych doliczyłem się pięciu kolegów i koleżanek. Inni już się przenieśli do lepszego świata lub – złożeni chorobą i starością – nie odważyli się wyruszyć z domu. Przeżyłem wtedy moment tyleż wzruszający, co dla mnie zabawny, chociaż kto nie znał realiów, nie uchwycił komizmu całej sytuacji. Otóż kiedy zameldowałem się jakiemuś służbiście spośród obsługujących zjazd licealistów, ten popatrzył na trzymane kartki i coś dumał niezdecydowany. Okazało się, że nie figurowałem na liście.

– Ale dlaczego, przecież zgłosiłem swoją obecność?

Zakłopotany młodzian chwilę pomyślał i zaproponował, abym się udał do biura, to się wszystko wyjaśni. Rada genialna. Poszedłem i zostałem niemalże owacyjnie powitany przez panią dyrektor – przesympatyczną osobę. Nie tylko nie zezwoliła przyjąć ode mnie opłaty zjazdowej, co stanowczo postulowałem, ale oświadczyła, że nie ma mnie na liście uczestników, ponieważ jestem honorowym gościem zjazdu. Po prostu odjęło mi mowę. Gdy ją odzyskałem, rzekłem, iż przecież swego czasu chciano mnie z tej szkoły wyrzucić czy – mówiąc delikatniej – skłonić do jej opuszczenia, a tu taki zaszczyt!? Bo że tak gest ten odebrałem, nie ma najmniejszej wątpliwości. *Fortuna variabilis – Deus mirabilis!*²¹⁴

Wspomnienia lepszych i gorszych chwil nachodzą mnie nie tylko z okazji takich jak wyżej opisane przeżyć, lecz także jako pewne odniesienie do współczesnego życia uniwersyteckiego. Dziwne te odniesienie, ale taka, niestety, jest rzeczywistość. Pod koniec kariery akademickiej z radością witałem zaproszenia do udziału w imprezach, które z moją uczelnią nie miały nic wspólnego, ma ona bowiem swoje preferencje w ocenie i honorowaniu osób. Najlepiej widać to po ostatnich doktoratach *honoris causa* czy nagrodach, których wymową powinno być uznanie dla pracy stanowiącej wkład w rozwój nauki i dokonania dydaktyczne, a nie *acceptio personae sine ratione*²¹⁵. *Ratio* – to w myśl statutu konkretne osiągnięcie odpowiednie do zadań instytucji, w której rzecz się odbywa. Używam śmiało łaciny, ponieważ dowiedziałem się ostatnio, że studium języki czy w ogóle dziedziny humanistyczne mają obowiązkowe 30 godzin tego przedmiotu. Z tego wniosek, iż znają ją dostatecznie, by tak proste zdania pojąć.

²¹⁴ Parafraza sentencji łacińskiej: *Deus mirabilis – fortuna variabilis*, Bóg czyni cuda, a los jest zmienny.

²¹⁵ Łac. działanie ze względu na osobę, bez racji.



Do budy nakielskiej wracałem chętnie i w czasach PRL bolałem trochę nad wykluczeniem nas, księży, ze spotkań. Niby oficjalnie nikt tego nie zabraniał, ale tajemnicą poliszynela było, że takie zjawienie się byłoby źle widziane przez władze szkoły. Ktoś usiłował mi wyjaśnić, że podobno nie zapraszano nas na zjazdy, żeby nie „gorszyć” młodzieży. Cóż ona może sobie

pomyśleć, widząc, ilu duchownych kończyło tę szkołę? Jeszcze którzyś ze-
chce pójść ich śladem. Nie wiem, czy tak było, ale jest to możliwe, gdyż tok rozumowania partii był taki, a nie inny. Nie chcieliśmy być intruzami. Dlaczego szkoła mimo to przyciągała? Powodów jest wiele i na ogół wymykają się one racjonalnym ocenom i kwalifikacjom. Jednym z ważniejszych jest pewna duma, że się do tej konkretnej placówki chodziło. Gdy się porówna to z dzisiejszym poziomem absolwentów – wyjmując absolutne wyjątki – można się naprawdę cieszyć tym, co szkoła nam dała. Nie wiem, jak inni ze zbliżonych do mojego roczników, ale ja w pewnych przedmiotach na nabytej wtedy wiedzy mogłem polegać i tak jest do lat najpóźniejszych. Nigdy nie nauczyłem się więcej łaciny aniżeli w liceum. Podobnie było z językiem



Spotkanie rocznicowe absolwentów (matura 1948–1951) w liceum nakielskim



Spotkanie koleżeńskie, rocznik święceń 1957

francuskim. Jeśli taka wiedza przetrwała ponad 60 lat, to warto taką szkołą się chlubić. Przyjęcie mnie na zjeździe jako gościa honorowego znaczyło dla mnie bardzo wiele, zwłaszcza że opuszczałem te mury ze swoistym wilczym biletem, bez prawa wstępu – liczyła się głównie ówczesna poprawność. Dziś niestety też tak bywa, tylko inna jest postać owej poprawności – zawsze jednak o nią chodzi.

Powrót na stare śmieci, do budy – jak obrazowo brzmiało to w naszym uczniackim języku – ma swój własny i inny dla każdego smaczek. Przejście korytarzami, po których kiedyś przemykało się galopem, a teraz kroczy się dostojnie, bo nogi nie te same. Obserwowanie najmłodszej generacji – nieopierzonej, mającej przed sobą jeszcze wiele trudów i przyjemności. To wszystko jest tak piękne, wzruszające, że trudno to wyrazić słowami. Ktoś przemierzający ze mną korytarz na parterze zagaił:

– Przepraszam, czy przy księdzu można? – I spytał nieśmiało o moje zdanie: – Jak wypada porównanie waszych dziewczyn z dzisiejszymi naszymi?

Dobre pytanie, a zwłaszcza to słowo „waszych”. Bo przecież wszystko w tamtych czasach było „nasze” i tak już pozostało. Na jednym ze spotkań, gdzie było kilka koleżanek, nieopatrznie powiedziałem:

– Ależ się zmieniliście od tamtych czasów!

To było niemądre. Padła odpowiedź:

– A ty to co? No chyba tylko tyle, że teraz jesteś miłszy.

Dowiedziałem się, że wtedy się mnie bały.

Szkoda, że każdy kolejny powrót do budy gromadzi nas już tylko garstkę i to coraz mniej liczną. I coraz więcej imion przewija się w modlitwie za tych, którzy odeszli.

Życie naukowe nie kończy się za bramą uniwersytetu

Lata 1994 i 1995 były dla mnie szczególnie trudne. Dwa semestry spędziłem w USA, a w Polsce byłem zapraszany na wiele zjazdów naukowych. Były to często spotkania o dużym ładunku naukowym. Z żalem musiałem odmówić udziału w ogólnopolskiej konferencji w związku z 50. rocznicą zakończenia II wojny światowej. Proponowany mi przez Pracownię II Wojny Światowej PAN temat *Losy Kościołów i duchownych w Europie* leżał w orbicie moich zainteresowań. Niestety, byłem wtedy za granicą (kwiecień 1995 r.). Z tego samego powodu ominęło mnie również jeszcze ciekawsze spotkanie w sierpniu 1994 r. poświęcone losom Żydów w regionie nadbałtyckim w latach 1939–1948.

Rok 1997 był na szczęście spokojniejszy niż poprzednie lata. Przede wszystkim poza wakacyjnym zastępstwem w RFN nie było dłuższych wyjazdów zagranicznych. W grudniu odbyła się kameralna (było tylko siedem wystąpień) sesja poświęcona działaniom dyplomacji polskiej w obronie niepodległości i suwerenności podczas II wojny światowej. Spotkanie zorganizowano w sali Kościuszkowskiej Instytutu Historii PAN. Wygłosiłem tam referat pt. *Watykan a Polska*. Dla mnie nie był to wielki problem, współpracowałem z prof. Waldemarem Michowiczem²¹⁶ z Łodzi przy przygotowaniu t. 5 *Historii dyplomacji polskiej*, do którego pisałem rozdział poświęcony dyplomacji watykańskiej.

Osiągnąłem wiek emerytalny i faktycznie zacząłem otrzymywać emeryturę. KUL nadal mnie zatrudniał na pełnym etacie – aż do ukończenia 72. roku życia. Nasuwają się pewne refleksje w związku z polską praktyką w tym względzie.

²¹⁶ Waldemar Michowicz (1929–2005), historyk. Doktorat 1962, habilitacja 1984, profesor nadzwyczajny 1987, profesor zwyczajny 1990. Dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UŁ 1975–1981. Prorektor ds. współpracy międzynarodowej 1990–1993. Dyrektor Instytutu Studiów Międzynarodowych 1994–2000. Członek Komitetu Redakcyjnego „Dziejów Najnowszych” od 1975. Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego „Polish Peace Research Studies”.

Zresztą nie tylko polską, bo stosowaną w wielu krajach, m.in. w Niemczech. Kiedyś w Stanach Zjednoczonych zapytałem bardzo już starego profesora, jak długo wolno mu uczyć na uniwersytecie. Odpowiedział, że zależy to od jego kondycji umysłowej i fizycznej, a także od jego woli. Nie wykluczył możliwości zasugerowania mu przez władze uczelni odejścia, ale na zasadzie wymówienia, jak w wypadku każdego innego pracownika. Myślę, że na uczelniach amerykańskich są różne zwyczaje pod tym względem i rozmaita praktyka, jednak nie wydaje mi się, by wiek decydował o przechodzeniu w stan spoczynku. Ważne jest przede wszystkim to, co dany profesor może jeszcze w nauce i w dydaktyce zdziałać.

Rzecz jest zróżnicowana w zależności od kraju i systemu kształcenia. W większości państw, w tym w Polsce, emerytura jest ściśle przykrojona do wieku. Ma to złożone przyczyny. Może najważniejszą z nich jest umożliwienie dojścia do głosu pokoleniu wstępującemu – i to jest słuszne. Przy takim podejściu jednak trzeba się niekiedy godzić z tym, że doświadczony i wydajny wykładowca w pełni sił twórczych musi ustąpić znacznie gorszemu następcy. Nie są to przypadki rzadkie, a winę za to w dużej mierze ponosi ów wymanewrowany na aut profesor, bo świadomie przysposabiał na następcę kogoś, kto nie zagrażał jego sławie. Zwykła ludzka słabość, ale w skutkach szkodliwa. Pół biedy, gdy uczelnia nie zrywa kontaktu z profesorem, ale stosownie do jego chęci i możliwości zaprasza go do współpracy. Często tak jest, ale zdarza się też odwrotnie. Na mojej dawnej uczelni emeryt to *persona non grata*²¹⁷. Owszem, widzi się niektórych dopuszczanych do jakichś zajęć, ale trudno powiedzieć, czy z racji ich kompetencji naukowych, czy też takich, a nie innych koneksji. Raczej to ostatnie.

Należy ustępować miejsca młodszym i nie zajmować stanowisk administracyjnych, kierowniczych. Swojemu następcy zaproponowałem objęcie katedry na rok przed moim odejściem na emeryturę. Chciałem, byśmy jeszcze razem – on jako kierownik, ja już tylko jako profesor pracujący w katedrze – mogli niejedno doszlifować, tak aby zaistniała pewna ciągłość nie tylko programowa, lecz także w sposobie funkcjonowania. Zasada jest jednak taka, że po oddaniu kierownictwa nie można rościć żadnych pretensji do wywierania wpływu na decyzje następcy – obojętnie kto nim jest. Czy to będzie ktoś całkowicie z zewnątrz czy też dawny podwładny, może nawet uczeń. Tego starałem się przestrzegać, mimo że ks. Wal-kusz nieraz mnie zachęcał, żebym był nieco aktywniejszy, choćby na prowadzonym

²¹⁷ Łac. osoba niepożądana.

wówczas przez niego seminarium. Uważałem, że całkowicie mi wystarcza prowadzenie doktorantów, co dawało niekiedy okazję do przewodniczenia zajęciom seminaryjnym, a to z kolei pozwalało na poruszenie tematyki ogólniejszej, nie-rzadko także do sięgania do spraw metodologicznych.

Współpraca układała się dobrze, ale wiadomo, że nie mogła trwać wiecznie. Dla pięciu doktorantów nie przysługiwało mi już prawo prowadzenia seminarium jako zajęcia zleconego. Nie do każdego profesora w podobnej sytuacji stosowano ten przepis tak rygorystycznie. W moim wypadku rektor zadbał o to, żebym ani chwili dłużej nie korzystał z nienależnego mi przywileju. Nie mam o to pretensji. Mam świadomość, że byłbym ostatnim człowiekiem na tej uczelni, wobec którego ten właśnie rektor zdobyłby się na jakikolwiek gest kurtuazyjny albo choćby tylko życzliwy. Pewnie bym nawet takowego nie przyjął. Wiadomo: *Domestici tui – inimici tui*²¹⁸.

W związku z poruszoną tu sprawą nasuwa się pewna myśl, która nie tylko mnie nurtuje. Emerytura i odejście ze sprawowanej funkcji to rzecz normalna. Rzeczą niepojętą jest natomiast jakaś niezrozumiała niechęć, dostrzegalna na niektórych uczelniach, do przywoływania starych, doświadczonych profesorów, którzy niejednego jeszcze mogliby nauczyć – i to nie tylko studentów. Rodzi się pytanie, co na uniwersytecie czy w ogóle w szkole jest najważniejsze. Bezduśne egzekwowanie przepisu, którego często nie potrafi się uzasadnić nawet u jego źródła, czy też przekazanie jak najwięcej wiedzy? Trudno na to odpowiedzieć. Jeśli racją jest tu obawa wschodzących gwiazd nauki przed przyćmieniem ich blasku, to przecież bardziej na miejscu byłoby podnoszenie własnych kwalifikacji i wydajności naukowej. Chęć jak najszybszego pozbycia się profesora, z którego uczelnia mogłaby mieć jeszcze sporo pożytku, jest po prostu irracjonalna. Coś takiego nie przystoi instytucji, w której *ratio* ma stać ponad wszystkim. Katolicki Uniwersytet Lubelski celuje w tej selekcji. Na innych uniwersytetach zaprasza się emerytów na kolokwia habilitacyjne, co skądinąd jest oczywiste, chodzi bowiem o jak najstaranniejsze sprawdzenie kwalifikacji habilitanta, tymczasem tu pomija się osoby, które często lepiej niż inni członkowie gremium habilitacyjnego potrafiliby ocenić walory adepta samodzielnej pracy naukowej. Słyszałem niedawno, że owszem, przywołano wiekowego profesora na takie kolokwium, ale w celu wybronięcia habilitanta ostro i słusznie atakowanego przez recenzenta. Jest to

²¹⁸ Łac. Najwięksi wrogowie – domownicy twoi.

zenujące i świadczy tylko o bylejakości gremium posuwającego się do tego rodzaju praktyk.

Dziwne to są rzeczy. Rozumie się je wyłącznie wtedy, gdy się przyjmie założenie, że dziś coraz mniej chodzi o naukę. Nastął czas punktowania, rankingów, pomiarów uczoności dokonywanych według nie wiadomo jakich kryteriów. Gdyby opierać swój sąd o obecnej nauce na sprawozdaniach, wykresach i ekspertyzach, to można sądzić, że osiągamy pułap, o jakim kiedyś niepodobna było nawet marzyć. Tymczasem wiedza, jaką dysponuje dzisiejszy człowiek bez zaglądania do komputera czy jakiejś instrukcji (o książce naukowej nie warto nawet wspominać), ma nader ograniczony zasięg. Nie mam w głowie, a często nie wiem nawet, gdzie powinienem szukać – tak by można ją określić. Nie znamy prawdziwego poziomu naszych uczelni ani też zasobu wiedzy studentów, wszystko bowiem pokryte jest pajęczyną mistyfikacji. Sprawozdawczość oparta na materiale informacyjnym pochodzącym od strony zainteresowanej. Formularze o dofinansowanie wprawiają w ruch całą maszynę dezinformacji. To oszustwo jest konieczne, inaczej nie można uzyskać żadnych środków, by móc skutecznie działać. Wydrwigrosze nie mają z tym najmniejszego problemu, wypełniają rubryki zgodnie z oczekiwaniami dysponenta środkami, a później nie przejmują się stroną wykonawczą. W małym palcu mają schemat sprawozdania, które zadowolili każdego biurokratę. I tak ten młyn mielący bez ziarna i mąki obraca się na okrągło. Jedni mówią, że to normalne, inni mają niepokój sumienia. Można się go jednak pozbyć, wystarczy przywołać stare porzekadło: *Mundus vult decipi, ergo decipiatur*²¹⁹.

Na marginesie tych ogólniejszych refleksji rodzi się pytanie, jakie są dzisiaj kryteria inteligenta. Kiedy przed 60 laty zdaliśmy maturę, mówiono nam, że odtąd będziemy uważani za inteligentów, a to zobowiązuje. Czy dzisiejszy maturzysta też nim jest? Jeszcze inaczej – czy dzisiejszy absolwent szkoły wyższej? Przesunęły się granice. Dziś metą jest magisterium, czyli dyplom, ale pytanie, czy jakiegokolwiek dyplomy dają atest inteligencji, jest dość kłopotliwe. Problem tkwi w kryteriach inteligencji, nie ma jedynej i obowiązującej definicji. To nie wiedza nabyta o niej decyduje. Także nie wychowanie czy raczej tresura, bo to zazwyczaj mamy na myśli, używając tego pojęcia. Tymczasem wychowanie to nie tylko wpojenie człowiekowi pewnych reguł postępowania, lecz także ukształtowanie jego osobowości, choć i to nie gwarantuje inteligencji. Więc co? W moim przekonaniu jest to

²¹⁹ Łac. Świat chce, by go oszukiwać, więc go oszukujemy.

umiejętność użytkowania całego zasobu wiedzy i doświadczenia, jakie człowiek posiada. Inteligentny może być zarówno analfabeta, jak i profesor uniwersytetu. Inteligentem się staje poprzez wejście w orbitę określonych zachowań. Można tu mówić o umiejętności znalezienia się w różnych sytuacjach i wspólnym języku z ludźmi tego samego świata. Bardzo labilna definicja, można w nią wmontować przedstawicieli różnych stanów i zawodów. Musi ich jednak łączyć niewidzialna myśl porozumienia w rzeczach zasadniczych. Może właśnie dlatego maturzyście sześćdziesiąt lat temu mówiono, iż to czy tamto mu nie przystoi? Poprzez maturę wszedł on bowiem w świat pewnych określonych norm. Oczywiście nie każdy maturzysta dorastał do tych oczekiwań, ale ważne było, że tak był postrzegany przez otoczenie.

Obecnie coś takiego jest nie do pomyślenia. Zmieniły się czasy. Miarą najbliższą prawdy w ocenie człowieka – biorąc tu jakąś dość obszerną przeciętną – jest chamstwo. Widać to w mediach, polityce, a nawet w sztuce. Dziś ludzie mało co mają sobie za złe. Przeciwnie. Platformą porozumienia jest chamstwo na poziomie szamba, zatem nawet nie równo z ziemią, lecz znacznie poniżej. Mam świadomość, że moje dywagacje mogą się wydawać pretensjonalne. Może są one reakcją na pewną bezsilność, z jaką musimy przyjmować taką rzeczywistość, co wcale nie znaczy akceptować, ale po prostu milczeć wobec arogancji i bezprzykładnego chamstwa ze strony osób, które maturę już dawno mają za sobą. One pretendują do miana wychowawców. Są, przynajmniej w swoim mniemaniu, mentorami. Wąż się na decydowanie o czyimś losie. A najgorsze, że są społecznie akceptowani, ponieważ mogą wiele. Mogą wynieść jakąś nicość na piedestał i mogą zniszczyć to, co najlepsze. Tragizm ten, w pewnym sensie zawsze obecny, w naszych czasach rozpanoszył się i stał się naprawdę groźny. Nigdy jeszcze nie było tak wspaniałej pogody dla ludzi podłej kondycji moralnej jak właśnie dziś.

Żeby odbić się od smutnych, ale jakże oczywistych konstatacji, wspomnę o odbytym w 1998 r. Sympozjum Biografistyki Polonijnej. W podtytule zaznaczono: „Losy Polaków żyjących na obczyźnie i ich wkład w rozwój kultury i nauki krajów osiedlenia na przestrzeni wieków”. Sympozjum odbyło się w Rzymie 25–26 września 1998 r. Organizatorem – jak co roku – był dr Zbigniew A. Judycki²²⁰, kierujący

²²⁰ Zbigniew Andrzej Judycki (ur. 1948), historyk, dziennikarz, biograf Polonii. Doktorat 1993, habilitacja 1993. Dyrektor wydawnictwa GSDEP w Nanterre. Dyrektor Zakładu Biografistyki Polonijnej Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie (PUNO). Profesor nadzwyczajny i prorektor Wyższej Szkoły Humanistyczno-Przyrodniczej w Sandomierzu. Inicjator i współredaktor *Ilustrowanego słownika*

wówczas na co dzień Zakładem Biografistyki Polonijnej w Paryżu²²¹. Trzeba oddać mu sprawiedliwość, iż praca jego, bynajmniej nie intratna, ma ogromne znaczenie dla promowania Polski w świecie. Wraz z małżonką Agatą stanowili całe gremium wykonawcze przedsięwzięcia zakrojonego na skalę międzynarodową i wymagającego ogromnego nakładu pracy organizacyjnej, nie mówiąc o wkładzie koncepcyjnym.

Zbyszka Judyckiego poznałem bliżej przy okazji innej zamierzonej przez niego pracy na temat kardynałów polskich, dopiero jednak sympozjum rzymskie dało mi wyobrażenie o rozmachu całokształtu jego działalności. Obok 23 prelegentów udział wzięli liczni uczeni i politycy polscy oraz działacze polonijni. Bez przesady można powiedzieć, że był to zlot prominentów różnych dziedzin i sektorów życia społeczno-politycznego. W kuluarach szeptano, że audyencja specjalna u papieża nie dojdzie do skutku ze względu na jakieś nieuregulowane sprawy małżeńskie organizatora. Spotkałem się wówczas z głosami wyrażającymi zdziwienie i oburzenie. Inne osobistości życia publicznego mające znacznie więcej problemów małżeńskich były fetowane przez wysokie czynniki kościelne, niekiedy nawet stawiane jako wzorce życia katolickiego. Pytano mnie, co o tym sędzę. Cóż mogłem powiedzieć? Albo nie istnieje jednakowa miara dla wszystkich, albo jest ta sama, ale bywa inaczej stosowana. Ogólnie czuło się dezaprobatę i zawód.

Mnóstwo poruszonych zagadnień (ja mówiłem na temat *Rzymski fragment biografii kardynała Mieczysława Halki Ledóchowskiego*) utrudniało dokonanie ujęcia syntetycznego, a mnie powierzono podsumowanie sympozjum. Musiałem wysłuchać wszystkich referatów. Inni się urywali, by pójść na miasto. Nie powiem, bym im nie zazdrościł, ale sporządziłem szczegółowe notatki z przebiegu poszczególnych sesji.

Poznałem tam kilku ciekawych ludzi, m.in. prof. Bolesława Orłowskiego²²², historyka techniki pracującego w PAN, zaskakującego szeroką wiedzą z wielu dziedzin, także tych niezwiązanych z postępem technicznym. Z prof. Orłowskim łączyła mnie przyjacielskie więzi i zawsze od nowa podziwiam jego lapidarne sądy, niby

biograficznego Polonii świata. Autor około 5 tys. haseł słownikowych z zakresu biografistyki polonijnej. Inicjator i współorganizator Międzynarodowych Sympozjów Biografistyki Polonijnej.

²²¹ Zakład Biografistyki Polonijnej PUNO działał w Londynie. Prawdopodobnie chodzi o Instytut Badań Biograficznych w Vaudricourt we Francji.

²²² Bolesław Orłowski (ur. 1934), historyk techniki. Doktorat 1977, habilitacja 1994, profesor zwyczajny 2001. Założyciel Polskiego Towarzystwa Historii Techniki 1984. Członek Rady Badań nad Polonią 1997. Członek Komisji Nauki Polskiej PAU 2003. Członek Rady IPN 2011–2016.

oczywiste, a jednak zaskakujące precyzją obserwacji i trzeźwą oceną. A wszystko to w otocze niebanalnego dowcipu. Takich ludzi nie spotyka się codziennie. Chciałbym wskazać na niego – mam nadzieję, że go to nie urazi – jako na typowy fenomen inteligencji. Dlaczego typowy? Ponieważ cechuje go coś, bez czego trudno mówić o inteligencji bez potrzeby opatrywania jej jakimś przymiotnikiem. Typowość jawi się w bezpretensjonalności. To rzadka cnota, ale jej posiadanie świadczy właśnie o tej inteligencji naturalnej, a nie nauczanej czy dziedziczonej, a jeśli – to chyba w genach. Znałem kilka takich osób, zaledwie kilka, a wśród nich wymieniałbym o. Sczanieckiego, który także mówił wspaniałe rzeczy, a niekiedy przy tym przepraszał, że się „wymądrza”. Człowiek płytki, mówiąc błyskotliwie i beztreściowo, raczej rozgląda się za poklaskiem.

Należy podkreślić bardzo dobrą organizację i świetną atmosferę spotkania rzymskiego. Bardzo wiele pod tym względem zdziałała Stacja Naukowa PAN w Rzymie, podobnie zresztą jak każda z ośmiu instytucji współpracujących z sympozjum. Bliższym kontaktom sprzyjało zakwaterowanie nas w Domu Pielgrzyma Jana Pawła II na *via Cassia*.

Przypominam sobie pożegnalną kolację, kiedy na stole pojawiły się dwa półmiski z *frutti di mare*. Większość biesiadników spoglądała na nie z wyraźnym obrzydzeniem. Siedziałem obok prof. Wiesława Ślaskowskiego. Szepnąłem mu na ucho, że być może spożycie całego tego specjału nam przypadnie w udziale. Przytaknął. Rozpocząłem od komentarza, jakie straszne wrażenie wywarł na mnie widok owych stworzeń ruszających się w wielkiej balii. Rzeczywiście widziałem coś takiego gdzieś w Ostii, gdzie przypadkowo zabłądziłem, i apetytu to wówczas nie pobudziło. Moje opowiadanie sprawiło, że półmiski pozostały prawie nietknięte. Wtedy obaj z profesorem Ślaskowskim, wzdychając z racji zadania, jakie na nas spadło, wzięliśmy się do konsumowania smakowitego dania. Towarzyszyły temu pełne dezaprobaty spojrzenia siedzących przy stole. Pamiętam, że prof. Czesław Bloch patrzył na mnie z niesmakiem i dawał do zrozumienia, że nie tylko jeść by tego nie mógł, ale nawet sam widok odbiera mu apetyt.

Epilog tej ze wszech miar udanej konferencji był, niestety, godny pożałowania. Przebieg sympozjum rejestrowała Telewizja Polonia. To, co wyprodukowała, można nazwać parodią reportażu, a miało to być po prostu udokumentowanie całego przedsięwzięcia. Tak to widział Zbyszek Judycki i taką, jak sam później twierdził, zamawiał usługę u TVP Polonia. Trudno opisać produkt przez nią przedstawiony. Jakies impresje, które nie oddawały sensu i głównych wątków spotkania, lecz



Pobyt w Wind-sorze. Stoją od lewej: ks. Leon Pietroń, autor, abp Tadeusz Gocłowski

W wypowiedziach innych wyrwano zdania z kontekstu, co pozbawiało je sensu. W tej sytuacji z pominięcia mogłem się tylko cieszyć. Cały film to był bubel, ale faktem pozostało, iż na jego podstawie wyrabiano sobie opinie o imprezie rzymskiej. Organizator pisał do mnie po ukazaniu się reportażu:

Wiele bzdur słyszeli telewizywiści, które nie powinny być pokazane. Jeżeli to może być dla nas pocieszeniem, to podobno szef TV Polonia został strasznie zrugany przez Krajową Radę za dopuszczenie tego kiczu do emisji... a wszystkie te problemy, to dlatego, że jestem „dziad” finansowy i nie mogę sam decydować, kto, jak i gdzie, licząc na pomoc innych, co nie zawsze przynosi dobre rezultaty.

TV Polonia nie uznała za stosowne pokazać organizatorowi swego produktu przed emisją. Dziś wiem, że w TVP jest to praktyka dobrze zdomowiona, dlatego nie można brać na poważnie nawet prostych relacji z wydarzeń, które na ogół trudno zmanipulować według własnego widzimisię.

Na odbywające się co jakiś czas spotkania poświęcone biografistyce polonijnej więcej nie jeździłem, choć proponowane tematy niejednokrotnie bardzo mnie interesowały, a moja sympatia dla Zbigniewa Judyckiego stanowiła dodatkowy impuls do udziału w nich. Powód rezygnacji był prozaiczny – nie potrafiłem wygospodarować czasu. Ostatnie lata przed emeryturą odznaczały się wielką aktywnością. Nie tylko w odniesieniu do planów badawczych – na ukończeniu było dziesięć doktoratów moich uczniów. Nie potrafiłem puszczać takich spraw samopas i może zbyt mocno się angażowałem,

to, co autorzy filmu za takowe uznali. Szkoda, że ich kompetencje w tej dziedzinie równały się zeru. Już sam fakt, że nie zamieszczono nawet fragmentu z mojego podsumowania, które dawało przegląd wszystkiego, co się działo na sali, świadczy o dezorientacji twórców filmu. Mnie zresztą pominięto w ogóle, choć udzielałem także wywiadu.

ale zmienić tego nie umiałem. W dalszym ciągu też jeździłem na zastępstwa do Niemiec. To bardzo komplikowało inne wyjazdy, a nawet udział w imprezach krajowych. Muszę wyznać, że równie dużym, co miłym zaskoczeniem było przyznanie mi przez kapitułę medalu „Polonia Semper Fidelis”. Nastąpiło to na sympozjum w Wiedniu w 1999 r., w którym nie uczestniczyłem. Nie wiem, czy zasłużyłem na jakiegokolwiek odznaczenie (nigdy mi żadnego nie przyznano, nawet takiego należnego za ileś lat nienagannej pracy w jednym zakładzie – widocznie moja praca była naganna), jednak to wyróżnienie zawdzięczam tylko i wyłącznie życzliwości Zbyszka. Dla biografistyki polonijnej zrobiłem niewiele. Świadomość tego miałem i mam nadal.

Z zainteresowaniem przyjąłem zaproszenie na sesję naukową zorganizowaną przez Polski Uniwersytet na Obczyźnie w Londynie²²³ z okazji dwudziestolecia pontyfikatu Jana Pawła II. Reprezentowałem Wyższą Szkołę Języków Obcych i Ekonomii w Częstochowie, w której wówczas także wykładałem. Spotkanie odbyło się w sali teatralnej Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie²²⁴ 19 grudnia 1998 r. Była to impreza jednodniowa i miała charakter raczej popularny. Chciano uczcić rocznicę papieską poprzez przywołanie licznych kwestii szczegółowych związanych z pontyfikatem i biografią papieża. Taki był też mój referat zatytułowany *Jan Paweł II – pontyfikat tajemnicy fatimskiej i jasnogórskiej*.



Arcybiskup Tadeusz Gocłowski, ks. Leon Pietroń i autor przy pomniku lotników polskich, Northolt, Londyn

²²³ Założony w 1949. Statut i nadanie praw na podstawie dekretu prezydenta RP na uchodźstwie Augusta Zaleskiego w 1952. Idea PUNO jako niezależnej od władz brytyjskich polskiej instytucji naukowej i dydaktycznej pojawiła się w 1946 w środowisku Zrzeszenia Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich w Wielkiej Brytanii.

²²⁴ Instytucja polonijna powstała z inicjatywy inż. Romana Wajdy, ufundowana przez społeczność polską Wielkiej Brytanii 1964. Główny cel to promocja kultury i sztuki polskiej. POSK zrzesza liczne organizacje, m.in.: Bibliotekę Polską, Zjednoczenie Polskie, Instytut Józefa Piłsudskiego, PUNO, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Na zakończenie sympozjum wyświetlono film w reżyserii Krzysztofa Zanussiego *Brat naszego Boga*²²⁵.

Mieszkiałem przy kościele św. Andrzeja Boboli, w polskiej parafii, gdzie miejscowy duszpasterz ks. kanonik Ryszard Juszcak²²⁶ poprosił mnie o wygłoszenie w niedzielę homilii i o pomoc w spowiedzi adwentowej. O ile pamiętam, kazanie mówiłem przed południem w czasie trzeciej mszy św. i bardzo się naspowiadałem, zwłaszcza młodych ludzi przebywających w Londynie na studiach, częściej w poszukiwaniu pracy. Kościół św. Andrzeja był dla wielu punktem oparcia, także w sensie bytowym, ponieważ księża tu pracujący byli dobrze zorientowani w rynku pracy. Zdarzył się tu zabawny wypadek. Siedząc w konfesjonale, usłyszałem znajomy głos, który należał do księdza rozpoczynającego mszę św. Widzieć go nie mogłem, gdyż konfesjonał był rodzajem boksu oddzielonego od wnętrza kościoła, do którego przylegała tylko zewnętrzna ścianka z kratką. Rozpoznałem go, z chwilą gdy rozpoczął kazanie. Był to ks. Mieczysław Maliński. Znałem go ze studiów na KUL, gdzie niekiedy wygłaszał do nas w kaplicy konferencje znane ze swej zwięzłości, przeważnie nietrwające nawet jednej minuty. Tym razem kazanie było długie i rozwlekłe. Zaczynał:

– Kiedy leciałem z... – i następowało opowiadanie o jakimś spotkaniu. – W czasie podróży do...

Po kazaniu nie było już penitentów i poszedłem do zakrystii, a tam proboszcz chodził kąta w kąt, cicho złorzecząc. Kiedy mnie zobaczył, zapytał:

– Liczył ksiądz, ile czasu gadał?

– Nie, ale zdaje mi się, że około 20 minut.

– A tu ludzie gotowi wyjść z kościoła już po 10 minutach. Ksiądz mówił poniżej 10 minut i tak trzeba.

Rzeczywiście, słyszałem kilka komentarzy, że w czasie kazania trzeba mówić na temat, a nie snuć wspomnienia. Wychodząc z kościoła, natknąłem się na kaznodzieję. Bardzo się zdziwił, gdy mnie zobaczył. Wyjaśnił, że prowadzi rekolekcje na Ealingu u marianów, a tu przyszedł, żeby sprzedać kilka swoich książek. Dziwne, jak z wiekiem zmienia się styl mówienia. Tak zwięzły i dobry, trzeba przyznać,

²²⁵ *Brat naszego Boga* – film biograficzny z 1997 o życiu św. brata Alberta CFA, na podstawie dramatu Karola Wojtyły pod tym samym tytułem.

²²⁶ Ryszard Juszcak (ur. 1942), ksiądz archidiecezji krakowskiej, kanonik. Święcenia 1966. Duszpasterz polonijny w Wielkiej Brytanii od 1976. Autor katechizmów dla dzieci i młodzieży. Kapelan Towarzystwa Przyjaciół Fundacji Jana Pawła II w Wielkiej Brytanii. Od 2003 na emeryturze. Od 2008 w Krakowie.

kaznodzieja stał się gawędziarzem na ambonie.

W Londynie byłem jeszcze dwa razy, w tym w 2001 r. jako ojciec chrzestny syna Johna Grondelskiego, także Johna – jak ojciec, który wówczas był pracownikiem konsulatu USA w tym mieście. Wtedy mogłem zwiedzić najważniejsze zabytki, a także British Museum, Museum of War, Tower i wiele in-

nych. Londyn nie wywarł na mnie specjalnego wrażenia. Jest trochę małomiasteczkowy, miejscowości, które wrastały w jego obszar, nie zmieniły bowiem swego charakteru, a były to właśnie małe miasteczka. Z Brytyjczykami trudno się było wtedy zetknąć, nie licząc kelnerów, obsługi muzeów, sprzedawców itp. Raz tylko, wędrując, przez przypadek zabrnąłem gdzieś w pobliże King's Cross, a ponieważ nie miałem mapy, podszedłem do pewnego pana, by spytać o drogę do Hammersmith. Pan, który sprawiał wrażenie magazyniera stojącego przed swym miejscem pracy, co istotnie się potwierdziło, był bardzo uprzejmy i zarazem zdziwiony, że znalazłem się w takim oddaleniu od interesującej mnie części miasta. Poinformował mnie, jak się tam dostać, i chwilę pogawędziliśmy. Przekonałem się, że opowiastki o sztywności Anglików i ich niezbyt miłym podejściu do cudzoziemców to jeszcze jedna bajka, powtarzana bezkrytycznie.

Ostatnie sympozjum, w którego przygotowaniu brałem udział, przypadało także na 1998 r. Razem z Okręgową Komisją Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Lublinie, którą reprezentował wówczas jej szef prokurator Marian Peret, zorganizowaliśmy konferencję naukową „Aparat ucisku na Lubelszczyźnie w latach 1944–1956 wobec duchowieństwa katolickiego”. Głównym celem spotkania było przedyskutowanie problemów związanych z utrwalaniem władzy ludowej w Lubelskiem. Pojawiły się one wraz z dopiero raczkującą kwerendą w byłych archiwach MSW, UBP, instytucji partyjnych oraz rządowych zajmujących się tropieniem opozycji politycznej, której istnienie i działalność łączono z duchowieństwem i Kościołem.



Chrzest Jana
Grondelskiego
w Londynie

We wrześniu 1999 r. we Wrocławiu odbył się XVI Zjazd Historyków Polskich. Nie mam nabożeństwa do tego rodzaju imprez, często bowiem – mimo ich formalnego prestiżu – merytorycznie są mało poważne. Byłem na kilku i takie odniosłem wrażenie. Oczywiście jest to okazja do spotkania wielu osób i to się opłaca, ale jeśli chodzi o poruszane zagadnienia, to albo są to wypowiedzi powierzchowne, gdyż w krótkim czasie trzeba przedstawić zbyt rozbudowany temat, albo referuje się tak szczegółowe kwestie, że nadawałoby się to raczej dla wąskiego grona specjalistów.

We Wrocławiu nie było inaczej. Referaty generalne, wygłaszane w ogromnej sali, wносиły niewiele, tym bardziej że były to tematy koncepcyjne, trochę wydumane, i nikogo specjalnie nie interesowały. Mniejsza o ich szczegółową ocenę i autorów, zresztą same powagi naukowe. W sekcjach było jak było – zależy w której. Chodziłem tu i ówdzie, ale zakotwiczylem w historii Kościoła. Ojciec Obirek²²⁷, wówczas jeszcze jezuita, dziś już były i w dodatku wieszający psy na Kościele (jak większość tego rodzaju „nawróconych”), mówiąc na temat historiografii kościelnej i próbując ukazać jej wiodące trendy, popisywał się dezynwolturą w opowiadaniu bredni. Nie wytrzymałem i zabrałem głos w dyskusji. Z pewnością zbyt mocno dałem mu do zrozumienia, co myślę o jego wywodach. Sekcji przewodniczył bp Jan Kopiec, a wspomagał go prof. Krystyn Matwijowski²²⁸. Po moim wystąpieniu podszedł do mnie z wymówkami, że tak spostonowałem duchownego. Zapytałem:

– A jak on nas potraktował? Zamanifestował swoje nieprzygotowanie, a co gorsza – brak rozeznania w ważnym temacie. Nie pozwolę sobie wmówić, że pracując prawie trzydzieści lat na uniwersytecie i prowadząc wraz z moimi uczniami rozległe badania, których wyniki można znaleźć w licznych publikacjach, do niczego nie doszedłem. Nie muszę wysłuchiwać *ad hoc* kleconych ocen, promowania popularnych, wcale nie najlepszych dzieł i nadawania im rangi drogowskazów historiografii kościelnej.

Profesor kiwał głową i ubolewał, że faktycznie referent się nie orientował, ale starał się mimo to coś powiedzieć itd. Wtedy po raz któryś z rzędu stwierdziłem, że w pewnych środowiskach nie wypada głośno krytykować duchownego, zwłaszcza jeśli jest to pieśniczerek określonych kręgów. Na ogół bywają nimi

²²⁷ Stanisław Obirek (ur. 1956), teolog, historyk, antropolog kultury. Doktorat 1994, habilitacja 1997, profesor zwyczajny 2011. Wykładowca w Ośrodku Studiów Amerykańskich UW od 2013. Ekszejuita. Z zakonu wystąpił 2005.

²²⁸ Krystyn Matwijowski (1936–2017), historyk. Doktorat 1965, habilitacja 1975. Prodziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego UW 1978–1981, dziekan 1985. Dyrektor Instytutu Historycznego UW 1990–1993.

członkowie pewnych zgromadzeń zakonnych, mających *a priori* przyznany certyfikat naukowości. Pasie nas nimi telewizja. *Notabene* nigdy nie słyszałem o Obirku jako historyku. Dzisiaj zajmuje się on wszystkim, jakoś przecież trzeba przeżyć.

Brałem później udział w panelu poświęconym historii porównawczej. Odbывał się w pięknej sali Senackiej, ale jakoś nic nie utkwiło mi w pamięci. Wszyscy byli już bardzo zmęczeni i trzeba było tę, może najbardziej interesującą, część zjazdu jakoś przetrwać.

Ciekawie zapowiadało się planowane na wrzesień 2000 r. sympozjum na temat dziejów Kościoła na Białorusi. Zgłosiłem referat *Powstanie i organizacja metropolii mohylewskiej*. Opracowałem to zagadnienie z niemałym trudem, gdyż w tej tematyce nie miałem dotąd dorobku. Artykuł został później wydrukowany – kiedy okazało się, że sympozjum nie może się odbyć. Reżim Łukaszenki uznał widocznie, że byłoby to szerzenie propagandy katolickiej i – co gorsza – polskiej. Nie wiem, jak inni autorzy, ja jednak byłem o tyle zadowolony, że temat, który opracowałem, nigdy by nie wyszedł spod mojej ręki, gdyby nie to zaproszenie. A wystosował je nie byle kto, bo sam kard. Kazimierz Świątek²²⁹. Napisał potem do mnie list, w którym zapewniał, że artykuł mój będzie przetłumaczony na język białoruski i zostanie opublikowany w wydawnictwie zbiorowym, ale zaznaczył, że sympozjum odbyć się nie może. Widać nawet taki autorytet nie był w stanie pokonać ostatniego bastionu samodzierżawia. Wprawdzie w lilipucich wymiarach, ale zawsze groźnego.

Okazana mi kurtuazja starszego i jakże utytułowanego hierarchy bardzo mnie zdziwiła. W tym samym roku zwróciłem się do kard. Glempa z prośbą o zgodę na udostępnienie mi materiałów źródłowych dotyczących inicjatyw duszpasterskich kard. Wyszyńskiego. Byłyby one bardzo przydatne podczas pisania książki *Kościół w Polsce 1944–2002* (pierwsze wydanie ukazało się w 2003 r.). Chciałem więcej uwagi poświęcić całej sferze duchowej łączącej się z pasterzowaniem prymasa – o politycznych problemach jego pontyfikatu pisano bez przerwy. Wiedziałem, że nawet najbardziej strzeżona spuścizna prymasa jest udostępniana dzięki osobistej interwencji (może lepiej nazwać to łaskawością) kard. Glempa. Pomijam naszą niegdyśszą znajomość jeszcze z ławy seminarystycznej, wydawało mi się jednak, że moje nazwisko jako historyka powinno być pewną rekomendacją.

²²⁹ Kazimierz Świątek (1914–2011), ksiądz diecezji pińskiej. Świecenia kapłańskie 1939. Więzień NKWD 1941–1954. Zesłaniec do gułagu koło Workuty. Administrator apostolski diecezji pińskiej 1991–2011. Arcybiskup mińsko-mohylewski 1991–2006. Kardynał 1994. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Rzymskokatolickiego Białorusi 1999–2006.

Myliłem się. Na mój list odpisał sekretarz księdza prymasa. Pouczył mnie o rozległości materiałów, o których przebadanie prosiłem, i poradził zapoznać się z miesięcznikiem „Wiadomości Archidiecezji Gnieźnieńskiej”.

Ktoś w moim wieku – wtedy dobieżałem siedemdziesiątki – kogo szokuje takie potraktowanie, nie może o sobie powiedzieć, że jest człowiekiem doświadczonym. Przyjaciel, któremu zwierzyłem się z mych żalów, wyśmiał mnie. Nazwał błędnym rycerzem, który chciałby, by wszystko na tym świecie było jak należy. Oczywiście nie miał racji – z pewnością nie wszystko, ale to i owo, owszem, mogłoby być. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to się dzieje, że niektórzy biskupi byli (albo raczej są, bo to trwa) gotowi udostępniać istotne dla dziejów Kościoła materiały osobom niedającym żadnych gwarancji, że potrafią się nimi właściwie i zgodnie z metodą posłużyć, a utrudniają albo wprost uniemożliwiają dostęp do nich tym, którzy swym dorobkiem dowiedli, iż wiedzieliby, jak z nich skorzystać. Nie tylko wtedy coś podobnego mnie spotkało – o kłopotach, jakich doświadczałem w latach sześćdziesiątych podczas kwerendy w Archiwum Archidiecezjalnym w Poznaniu, już wspominałem. W imię czego ktoś pragnący rzetelnie badać przeszłość musi przeżyć aż tyle upokorzeń? Najczęściej przyczyną są frustracja i zazdrość. Jeszcze raz chcę podkreślić, że – w przeciwieństwie do tych przykrych chwil doznanych na Ostrowie Tumskim – w Wojewódzkim Archiwum Państwowym w Poznaniu spotykałem się z życzliwą pomocą i zainteresowaniem tym, co robię.

We wspomnieniach trzeba z konieczności dokonywać selekcji. Każdy dzień przynosi przecież coś nowego i zazwyczaj są to rzeczy miłe, przyjemne. Zaliczam do nich kilka spotkań naukowych, a przede wszystkim zaproszenie mnie w lipcu 2000 r. z cyklem wykładów do Krynicy Górskiej. Z propozycją taką wyszedł ksiądz proboszcz Kazimierz Markowicz²³⁰, a ja trochę z ciekawości się zgodziłem. Wstyd się przyznać – nigdy wcześniej tam nie byłem. W ramach Krynickich Spotkań z Historią od 17 do 22 lipca wygłosiłem sześć prelekcji, zawsze po mszy św. wieczornej o godz. 19.30. Auditorium było przypadkowe – kuracjusze, turyści, miejscowi parafianie. Trochę się obawiałem, że moje wykłady pójdą „ponad głowami”, ale okazało się, że tematy jak najbardziej mieściły się w kręgu zainteresowań większości. Były następujące: *Katolicyzm jako element nośny świadomości historycznej; Walka z religią a mitologizacja wartości zastępczych; Kościół a polityka w PRL*

²³⁰ Kazimierz Markowicz (ur. 1948), ksiądz diecezji tarnowskiej. Świecenia kapłańskie 1972. Proboszcz parafii Wniebowzięcia NMP w Krynicy-Zdroju. Dziekan dekanatu krynickiego. Proboszcz parafii Matki Bożej Niepokalanej w Nowym Sączu od 2002. Na emeryturze od 2018.

i nazajutrz; Ekumenizm widziany od drugiej strony; Pius XII – bohater czarnej legendy; Okupacyjnych dziejów Kościoła w Polsce gorzki suplement. Każdy wątek miał niejako swój zamknięty obszar, dlatego można było uniknąć dłużyzn i wikłania się w czysto akademickie dywagacje. Całość tych prelekcji ukazała się następnie drukiem w zbiorze *Katolicyzm – człowiek – polityka. Przeszłość i teraźniejszość* (2002). W książce znalazły się także dwa dodatkowe teksty, których nie zmieszczono już w programie wykładów krynickich.

W maju 2000 r. uczestniczyłem w sesji naukowej zorganizowanej przez Instytut Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM w Poznaniu. Tak się złożyło, że z powodu opóźnień kolejowych nie dane mi było wysłuchać arcyciekawych referatów. W pierwszym dniu było ich aż siedem, mój był piąty i miał tytuł *Margines egzystencji politycznej Kościoła w PRL*. Drugiego dnia obrad, w środę, musiałem wyjechać już w południe, by zdążyć do Lublina na czwartkowe zajęcia. Szczególnie interesowałyby mnie wystąpienia na temat elit politycznych w Polsce po 1989 r. oraz wizji Polski przy okrągłym stole. Wyjeżdżałem z niedosytem. Nie wiadomo dlaczego panowała nerwowa atmosfera, wielu uczestników musiało opuścić salę obrad przed końcem sesji. Mała to jednak była dla mnie pociecha. W tym czasie odbywał się też pogrzeb prof. Nawrockiego²³¹, na którym chętnie bym się znalazł. Miałem wobec niego dług wdzięczności za jego kulturę i fachowość, jakich doświadczałem z jego strony w Archiwum Wojewódzkim w Poznaniu.

Żałuję, że nie mogłem uczestniczyć w sympozjum poświęconym miejscu i roli Kościoła wrocławskiego w dziejach Śląska. Zostało ono zorganizowane w 2000 r. przez PAT wrocławski, Instytut Historii Uniwersytetu Wrocławskiego i Dolnośląskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne. Prawda, że 27 referatów przewidzianych na dwudniową sesję niejednego mogło przerazić, ale na ogół wszystkie spotkania kościelne miały tę samą wadę: były przeładowane. Tematyka była kusząca, główną przeszkodę stanowił termin 20–21 czerwca. Trwała sesja egzaminacyjna, a ponieważ uczyłem w dwóch szkołach, nie na wiele mogłem sobie pozwolić.

Nie będę wyliczać innych spotkań, nie mniej ciekawych niż wymienione – na ogół w ciągu roku przychodziło niekiedy kilkanaście propozycji. Wielu jeździło na sesje głównie z tego powodu, by nawiązać znajomości i kontakty. Profit,

²³¹ Stanisław Nawrocki (1925–2000), archiwista, historyk. Doktorat 1960, habilitacja 1967, profesor nadzwyczajny 1977, profesor zwyczajny 1989. Archiwista w Archiwum Państwowym w Poznaniu, dyrektor tej instytucji 1973–1974. Współtwórca Oddziału Poznańskiego Stowarzyszenia Archiwistów Polskich, prezes 1972–1993. Prezes Towarzystwa Miłośników Miasta Poznania 1983–1999.



Uczestnicy
seminarium
Katedry Historii
Kościoła w XIX
i XX w., Plisz-
czyn, 2000 r.

o którym na ogół się nie mówiło. W nauce wzajemne poznanie się odgrywa wielką rolę. Takimi okazjami bywają też recenzje doktorskie lub habilitacyjne. W 2000 r. odbywała się habilitacja dr Zofii Waszkiewicz²³² na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Byłem kilkakrotnie na tej uczelni i zawsze odnosiłem wrażenie, że jest to zespół ludzi dobrze się rozumiejących i sobie życzliwych. Może jest to odczucie powierzchowne, ale nie wszędzie takie się miało, a w mojej karierze naukowej nie uczestniczyłem w habilitacjach lub doktoratach może tylko na dwóch lub trzech polskich uczelniach, zatem skala porównawcza jest dość rozległa.

Rok 2000 obfitował także w wydarzenia, których nie mógłbym zaliczyć do najprzyjemniejszych. Jedno z nich miało związek z moim udziałem autorskim w dość głośnej, choć rozpowszechnionej w wąskim gronie publikacji *Polska–Niemcy. Tysiąc lat sąsiedztwa*. Polsko-niemiecką książkę wydało w 2000 r. wydawnictwo Pagina. Była to bibliofilska edycja – w postaci ilustrowanego albumu, który miał być wręczany jako upominek prezydentom zgromadzonym w Gnieźnie w tymże roku. Przedsięwzięcie sponsorował

²³² Zofia Waszkiewicz (ur. 1944), historyk. Doktorat 1975, habilitacja 2000, profesor nadzwyczajny 2002, profesor zwyczajny 2009. Kierownik Zakładu Historii Polski i Powszechnej 1918–1944/1945 UMK w Toruniu.

prezydent Aleksander Kwaśniewski²³³. Udział w gronie pięciu autorów nie był jakimś wydarzeniem naukowym, ale trzeba przyznać, że opracowane tam tematy stanowiły syntetyczne ujęcia kluczowych zagadnień w dziejach polsko-niemieckich i można tylko żałować, że teksty te nie zostały opublikowane w bardziej dostępnej formie i szerzej rozpowszechnione. Z okazji ukazania się tej książki prezydent zaprosił jej autorów na spotkanie w Pałacu Namiestnikowskim. Nie miałem najmniejszej ochoty tam iść, ale byłem poddawany nieustannym naciskom zarówno ze strony wydawnictwa, jak i prof. Władysława Markiewicza²³⁴, który był redaktorem naukowym tomu. Perswazje nie do końca mnie przekonywały, ale ostatecznie – w nadziei, że będzie to krótkie spotkanie przy filiżance kawy, kiedy to pan Kwaśniewski powie nam „dziękuję” i na tym koniec – dałem się namówić. Swoją drogą cenię sobie pomysł prezydenta, nie każdy prominent na takowy by wpadł.

Kawa była, nawet dobrze zaparzona, ale rozmowa się przeciągnęła. Nie wiem, czy nie o drugie tyle, ile było przewidziane. Trwała ponad godzinę. Przekonałem się, że politycy, w tym wypadku prezydent, błyszczą rzeczową elokwencją tylko wówczas, kiedy mają przygotowane wystąpienie. To zresztą oczywiste. Pan Kwaśniewski zachęcał, by każdy go o coś zapytał lub poruszył jakiś problem. Skorzystałem, by zapytać, jak rząd chce naprawić straszną dla ludzi i w ogóle dla tego państwa sprawę poniesienia przeniesienia prawa własności na osoby zasiedlające Ziemię Odzyskane. Ten skandal miał swe uzasadnienie w PRL, tereny te były bowiem przewidziane do kolonizacji przez państwo, od którego obywatel, użytkownik kawałka ziemi czy nieruchomości, miał być całkowicie uzależniony. Najlepiej jako ktoś w rodzaju dzierżawcy od właściciela, czyli państwa. Dziś się strasznie zemściło i trzeba coś z tym zrobić. Odpowiedzi nie dostałem, a przecież temat był jak najbardziej aktualny, obecny w tym czasie w mediach. Padło coś o dysproporcji w zasobności Niemiec i Polski (budżet 1:10). Dziwiło mnie, że prezydent miał tak mało do powiedzenia. Ogólnie w czasie spotkania panowały zdawkowość – co zrozumiałe – i coś, co można by nazwać przysłowiową wazeliną.

²³³ Aleksander Kwaśniewski (ur. 1954), polityk. Działacz PZPR 1977–1990. Minister w rządach Zbigniewa Messnera i Mieczysława Rakowskiego 1985–1989. Założyciel SdRP. Poseł na Sejm RP 1991–1995. Prezydent RP 1995–2005.

²³⁴ Władysław Markiewicz (1920–2017), socjolog. Członek PPR/PZPR. Doktorat 1959, profesor nadzwyczajny 1966, profesor zwyczajny 1972. Dyrektor Instytutu Zachodniego w Poznaniu 1966–1973. Sekretarz Wydziału Nauk Społecznych PAN od 1972. Redaktor naczelny „Studiów Socjologicznych” od 1972. Członek Komitetu Nauk Politycznych PAN 2011.

Na ogół jednak poruszano ciekawe tematy. Jerzy Wysokiński²³⁵ pilnie notował, ale z trudem ukrywał zniecierpliwienie. Być może niepokoił go poślizg czasowy. Prezydent zachował spokój i nie było widać, żeby go martwiło przedłużające się spotkanie.

W tym samym czasie co spotkanie w pałacu prezydenckim odbywało się wydarzenie, które mocno mnie zabolalo, choć nie powinno, jeśli się weźmie pod uwagę, że jego areną był KUL. Pracowałem na tej uczelni z górą czterdzieści lat i nigdy nie interesowałem się nagrodami czy wyróżnieniami w jakiegokolwiek postaci, odznaczeniami czy też innymi oznakami uznania. Już we wczesnych latach pracy zauważyłem, że w tym środowisku absolutnie nie liczyły się dokonania na polu nauki, np. stworzenie szkoły, z której wychodzili dobrze przygotowani i utytułowani absolwenci. Znaleźli oni swe miejsce w innych uczelniach. Spośród tych, którzy się doktoryzowali w mojej katedrze, ponad 30 osób otrzymało habilitację, kilka – profesurę. Można mniemać, że te sukcesy wielu drażniły. Nagradzane były osoby, które w jakiś sposób potrafiły się przysłużyć kierownictwu lub stwarzać pozory aktywności. Rzecz zdumiewająca, ale taka krzykliwość była źródłem nieprawdopodobnych karier – mam na myśli nie tyle osiągnięcia naukowe, ile finansowe, autoreklama bowiem pociągała za sobą odpowiednie dotacje. Nabierały się na to władze uniwersyteckie i czynniki kościelne, zwykle bardzo ostrożne w szafowaniu funduszami. Kardynał Wyszyński zapytał mnie kiedyś o dorobek jednej z instytucji uniwersyteckich. Nie potrafiłem udzielić potrzebnej informacji. Na to rzekł jak gdyby sam do siebie:

– Trzeba się zorientować, bo sporo nas to kosztuje.

Dziś, po tylu latach pracy, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że otrzymałem jeden jedyny raz nagrodę za rozprawę habilitacyjną, ale nie była to nagroda w ścisłym tego słowa znaczeniu. Taką gratyfikację otrzymywali wszyscy.

Po takich doświadczeniach nie spodziewałem się już żadnego wyróżnienia, toteż zdziwiłem się, kiedy na początku drugiego semestru roku akademickiego 1999/2000 dyrektor Instytutu Historii Kościoła ks. Marek Zahajkiewicz zapytał, czy bym przyjął nagrodę ministerialną przyznawaną co jakiś czas na wniosek Rady Wydziału. Z miejsca dałem odpowiedź odmowną. Przekonywał mnie jednak,

²³⁵ Jerzy Wysokiński (1932–2017), dziennikarz, wydawca, doradca ds. politycznych i mediów prezydenta Kwaśniewskiego 1995–2005. Związany z PAP od 1952. Dyrektor Wydawnictw Normalizacyjnych 1975–1989. Twórca oficyny wydawniczej Alfa, jej dyrektor 1982–1991. Wiceprzewodniczący Porozumienia Wydawców 1987–1989. Dyrektor generalny PAP 1991–1995. Doradca prezesa PAP 1996.

że badał opinię tego gremium, będzie zgłoszona tylko moja kandydatura, zatem sprawa nie może nie przejść. Ręczył własnym honorem i powiedział, że sprawię mu osobistą przykrość, jeśli się nie zgodzę, on bowiem bardzo się w to zaangażował. Wierzyłem, że był szczery i z pewnością tak było, o czym do dziś jestem przekonany.

Sprawa trafiła na Radę Wydziału około Wielkanocy, ale co mnie zdziwiło – i nie tylko mnie – dziekan ks. Witaszek²³⁶ podał dwóch kandydatów: księdza profesora L. (nazwisko pominę) i mnie. To było coś niezwykłego, ale w końcu do zaakceptowania. Odbyło się głosowanie, w którym jednym głosem przeszła moja kandydatura. Dziekan mi pogratulował, choć widziałem, że nie był zadowolony z wyniku. Profesor L. wprowadził go swego czasu na wydział i prawdopodobnie sprawił, że został on, chyba jako najmłodszy jego pracownik, dziekanem. Odniosłem się do całej sprawy z rezerwą i prawdę mówiąc, zapomniałem o niej.

Pewnego kwietniowego dnia ks. Witaszek oznajmił mi na korytarzu w gmachu uniwersytetu, że przyznano mi nagrodę rektorską. Zdębiałem. Spytałem, dlaczego rektorską, skoro przegłosowano ministerialną. Zaczął kręcić. Powiedział, że ostateczne decyzje podejmuje komisja nagród składająca się z dziekanów i prodziekanów wszystkich wydziałów. Powiedziałem mu, że nagrody nie przyjmuję, co zakomunikuję rektorowi Szostkowi²³⁷.

Oczywiście byłem przekonany, że dziekan nie kłamał i faktycznie rzeczona komisja uznała, iż nie mnie należy się nagroda, lecz księdzu L. Okazało się później, że nie miałem racji, a przekonałem się o tym zupełnie przypadkowo. Spotkałem w pociągu młodszego kolegę, swego czasu dziekana jednego z wydziałów. Rozmowa, jak to w podróży, toczyła się wokół tematów banalnych. W pewnym momencie kolega zapytał, jak to właściwie było z tą moją nagrodą.

– Przecież byłeś w gremium, które mi jej odmówiło – odparłem – mimo wyniku głosowania w Radzie Wydziału.

Bardzo się zdumiał. Opowiedział mi, jak to wyglądało. Ksiądz Witaszek oznajmił, że Rada Wydziału przyznała nagrodę profesorowi L. Ktoś zapytał, czy czasem

²³⁶ Gabriel Witaszek CSSR (ur. 1951), teolog. Świecenia kapłańskie 1978. Doktorat 1986, habilitacja 1992, profesor nadzwyczajny 1997, profesor zwyczajny 1999. Dziekan Wydziału Teologicznego KUL 1999–2002. Dyrektor Instytutu Nauk o Rodzinie 1999–2002. Konsultor Komisji KEP ds. Uniwersytetów 2000–2002. Profesor zwyczajny Akademii Alfonsjańskiej w Rzymie 2012.

²³⁷ Andrzej Szostek MIC (ur. 1945), ksiądz marianin, filozof, etyk. Świecenia kapłańskie 1974. Doktorat 1978, profesor nadzwyczajny 1992, profesor zwyczajny 2000. Proroktor KUL 1992–1996. Rektor KUL 1998–2004. Redaktor czasopisma „Ethos”. Członek PAU. Członek Narodowego Centrum Nauki od 2016.

nie ks. Zielińskiemu, ale dziekan stanowczo zaprzeczył. Oświadczył, że dostałem mniej głosów. Trudno mi było w to uwierzyć, nie mogło mi przejść przez głowę, że dziekan mógł tak po prostu skłamać. Dziś już by mnie to nie dziwiło, gdyż o kłamstwo w tym środowisku potykamy się co krok.

Zanim się dowiedziałem o przekręcie ks. Witaszka, napisałem do rektora Szostka list, w którym wyjaśniłem całą sprawę. Odmowę przyjęcia nagrody rektorskiej motywowałem istniejącym i przyjętym zwyczajem nieudzielania takiej nagrody profesorowi z moim stażem. Ksiądz Szostek odpisał mi, wyraźnie obrażony, że pogardziłem wyróżnieniem z jego puli.

Komisja (przyznawania nagród) po to właśnie jest, by rozważyć propozycje idące z poszczególnych wydziałów, nie zaś mechanicznie przenosić wyniki głosowań Rad Wydziałów.

Innymi słowy, zdaniem rektora w moim wypadku komisja musiała skorygować uchwałę Rady Wydziału. Jeśliby tak być miało, to musiałyby się odbyć dyskusja w komisji, w której by wysunięto i przyjęto argumenty przeciwko przyznaniu mi rzeczonoj nagrody. Czyż mogłem przypuścić, że rektora uniwersytetu stać na napisanie tak obraźliwego listu do profesora, który przez tyle lat rzetelnie służył uczelni i mimo wszystko zdobył sobie w nauce polskiej nazwisko? A cóż dopiero sądzić, że rektor z własnej woli mógłby pokrywać czyjeś kłamstwo czy oszustwo? Położyłem uszy po sobie, sądziłem, że mam licznych przeciwników na różnych wydziałach i pokazali mi, co potrafią. Mimo wszystko autorytet rektorski uznawałem do tego stopnia, że przełknąłem jak gorzką pigułkę nawet tak krzywdzący werdykt. Byłem na katolickiej uczelni i z tym faktem wiązałem jakieś wyobrażenie o uczciwości, o morale. Nie posądzałbym rektora o krycie kłamstwa dziekańskiego. Istniało także inne wytłumaczenie tej zawilej sprawy: po prostu rektor nie znał związanych z nią realiów. Dlaczego zatem napisał do mnie tak nikczemny list?

Do rektora Szostka odnosiłem się zawsze z szacunkiem, choć miałem swoje zdanie na temat jego kwalifikacji niezupełnie adekwatnych do sprawowanego urzędu. Odkrywszy kulisy mojej niedoszłej nagrody, przekonałem się, że jest to człowiek mały. Kiedy dziś widzę eksponowanie tej osoby jako autorytetu w dziedzinie etyki, ogarnia mnie pusty śmiech. Dopiero znacznie później, gdy wyszła sprawa Witaszka, która spowodowała jego usunięcie z uniwersytetu, zrozumiałem,

jak dalece bezprzedmiotowe były moje oczekiwania jakiegoś rzetelnego wyjaśnienia tej przykrej sprawy. Co jednak tłumaczy postawę rektora? Przecież wyrażanie firmował oszustwo, kłamstwo. W dodatku po faryzejsku wyrażał oburzenie, jakoby wżgardził jego łaskawością. W stosunku do takich osób nie można było żywić innego uczucia niż politowanie. Napisałem do rektora ponownie, wyłuszczając całą sprawę. Rezultat był taki – bo odpowiedzi nie otrzymałem – że odtąd się nie znamy. I chwała Bogu.

Oczywiście wnioskodawca nagrody mógłby z łatwością złożyć interpelację w Radzie Wydziału i rzecz wyjaśnić, ale mogłoby go to kosztować konflikt z dziekanem, może także z rektorem, a wtedy żegnajcie order i nagrody. Zbyt wielka cena, by zdecydować się na obronę własnego honoru. Można to w końcu zrozumieć.

– *Homo est homine*²³⁸ – mawiał ks. Poplatek.

Swoją drogą za jego czy ks. Edwarda Kopcia dziekaństwa nie było pobłażania dla takich zachowań.

Nic dziwnego, że oddany w ręce osób takiego pokroju uniwersytet pogrąża się coraz bardziej w nicości i wielu zatroskanych o los katolickiej uczelni już nawet nie myśli o jej reformie – uważa ją za niemożliwą – ale rozważa perspektywę powołania nowej placówki tego typu, zasługującej na miano katolickiej.

Notabene sprawa ks. Witaszka, redemptorysty, skutkiem której musiał się on pożegnać ze stanowiskiem (oficjalnie chodziło o plagiat jego pracy habilitacyjnej, ubocznie o inne nadużycia, o których nie piszę, ponieważ nie mam w tej materii wystarczającej wiedzy) nigdy nie trafiłaby na wokandę, gdyby nie interwencja ks. prof. Ryszarda Rubinkiewicza. Pamiętam, jak pewnego wakacyjnego dnia Ryszard zatelefonował do mnie, krótko zreferował sprawę i zapytał o radę, co zrobić. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć, on zaś oświadczył, że sam z tym do wielkiego kanclerza nie pójdzie. Dzwonił po różnych kolegach, lecz wszyscy wyjechali na wakacje. W końcu ustaliliśmy, że to on pójdzie do abp. Życińskiego²³⁹ i powoła się na mnie, a ja się zjawię, gdyby arcybiskup zechciał wysłuchać także mnie.

²³⁸ Łac. Człowiek jest człowiekiem.

²³⁹ Józef Życiński (1948–2011), ksiądz diecezji częstochowskiej, teolog, filozof. Świecenia kapłańskie 1972. Doktorat z teologii 1976, doktorat z filozofii 1978, habilitacja 1980, profesor nadzwyczajny 1981, profesor zwyczajny 1988. Dziekan Wydziału Filozoficznego Papieskiego Wydziału Teologicznego w Krakowie 1988–1990. Biskup diecezjalny tarnowski 1990–1997. Arcybiskup metropolita lubelski 1997–2011. Kierownik Katedry Relacji między Nauką a Wiarą na Wydziale Filozofii KUL 1998–2011. Członek Komisji Filozoficznej PAN. Członek Rady Naukowej Fundacji Johna Templetona.

Rozmowa Ryszarda z arcybiskupem była burzliwa. Hierarcha wyraźnie chciał odsunąć decyzję *ad callendas graecas*²⁴⁰, ale Rysio twardo postawił sprawę – albo decyzja arcybiskupa, albo skarga do ministerstwa i informacja do prasy. Na takie *dictum* wielki kanclerz zgodził się na załatwienie sprawy ks. Witaszka od ręki. Nie życzyłem i nie życzę źle nikomu, ale w tym wypadku nie można było postąpić inaczej. Mam nadzieję, że kiedyś ktoś na temat tej sprawy napisze coś więcej. Chcę tu tylko dodać, że ks. Szostek mógł walczyć w lepszej sprawie zamiast kryć machlojki o. Witaszka i starać się poniżyć profesora, który nie dał ku temu najmniejszego powodu.

Od pewnego czasu przeżyciem nie do zniesienia była dla mnie ceremonia promocji i ogłaszania nominacji naukowych. Jeśli odbywała się bez przemówień, to pół biedy, ale żeby nie słuchać pustych tyrad z komicznie wzniosłymi pouczeniami, jacy to studenci mają być rzetelni i uczciwi, wychodziłem na korytarz i odczekiwałem do momentu, kiedy następowała promocja mojego doktoranta.

Jeżeli się uczestniczy przez prawie pół wieku w życiu uniwersyteckim, można się do wielu spraw przyzwyczaić, ale zarazem trudno przełknąć oznaki wyraźnej dekadencji. Te obserwujemy na wielu uczelniach, ale na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, obecnie Jana Pawła II, jest to zauważalne bardziej niż gdzie indziej. Pewien profesor z Poznania po jakimś doktoracie na KUL, gdy wychodziliśmy właśnie z gmachu uniwersytetu, powiedział do mnie:

– Trochę mi ulżyło, bo się okazuje, że nie tylko u nas króluje bylejakość, u was nie lepiej.

Nic nowego nie powiedział. Poziom kultury osobistej studentów osiągnął już dawno wskaźnik krytyczny. Jednak trzeba powiedzieć, że uniwersytet nie wychowuje – nie mniej zastrzeżeń należy skierować pod adresem kadry. Zwłaszcza młodszy pracownicy naukowcy próbują albo nie wyróżniać się wśród tych nizin studenckich, albo z głową zadartą w górę nie widzą, co się wokół nich dzieje. Wychowanie należy zorganizować. Kiedyś istniało coś takiego, byli opiekunowie poszczególnych roczników czy grup. Znali studentów i potrafili zająć się ich losem nawet na stancjach. Sam dosyć się po nich nachodziłem. Nie jest też prawdą, co nieraz dziś się słyszy, że studenci nienawidzili tej kurateli. Przeciwnie, byli bardzo wdzięczni, kiedy opiekun ich odwiedzał. Dziś przesadny czy wręcz obłądny kult wolności, czytaj – swawoli, każdą ingerencję w życie człowieka będącego jeszcze

²⁴⁰ Właśc. *ad Callendas Graecas*; odłożyć coś do terminu, który nigdy nie nastąpi.

in statu fieri uznaje za gwałt na osobie ludzkiej. Nic dziwnego, że w rezultacie takich teorii niejeden kampus zamienia się w margines społeczny i śmietnisko. Kulowski nie jest wyjątkiem.

Na porządku dziennym jest wałęsanie się na schodach przed wejściem do uniwersytetu różnego rodzaju młodzieży, która dymem palonych papierosów zasmradza cały hal, nawet windy. Smród ciągnie aż na najwyższe piętra. Dość rozpowszechnione jest palenie w ubikacjach. Słownictwo używane przez studentów obojga płci kwalifikuje się do rynsztoka. Rektorzy, dziekani, nie mówiąc o profesorach, przemykają się chyłkiem, bo nie chcą niczego widzieć i słyszeć. Raz zwróciłem uwagę studentowi, który na progu uniwersytetu co chwilę wyrzucał z siebie znany przerywnik „kurwa”. Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. Ogarnęła mnie wściekłość i powiedziałem mu kilka ostrych słów. Już na trotuarze dołączył do mnie inny student i powiedział:

– Proszę księdza, miał ksiądz szczęście. Kiedyś ktoś z profesorów postąpił podobnie, to obrzucili go stekiem wulgarnych słów, tak że w popłochu uciekł.

Napisałem o tym do rektora Szostka. Przyznał mi rację, że upadają obyczaje akademickie, a przeciwdziałanie musi być dziełem wszystkich agend uniwersyteckich. Moim zdaniem przede wszystkim powinno się zwracać uwagę na to, kogo się na uczelni zatrudnia. Nie urodzi sowa sokoła – jak mówi stare przysłowie. Dobre i to, że władza uniwersytecka dostrzega zło. Gorzej, że nie podejmuje rzeczywiście żadnych działań mających na celu jego wyeliminowanie, a przynajmniej ograniczenie zasięgu.

Katolicki Uniwersytet Lubelski jest tylko fragmentem szeroko zakrojonego demontażu katolickich wartości w życiu publicznym Polski. Trudno pojąć, dlaczego po tylu latach doświadczeń z komunistycznym totalitaryzmem miarodajne czynniki w Kościele nie potrafią czy nie chcą zauważyć roli, jaką usurpują sobie w obszarze kształtowania katolickiej opinii publicznej ludzie, którzy autorytet kościelny zastąpili własnym, a to, co nazywają prawdą, do tego stopnia nasycili swym widzimisię, iż przy największej nawet względności ocen trudno powiedzieć o nich, że wierzą tak jak Piotr i Jan Paweł II. Tego ostatniego obrali sobie za parawan, spoza którego ostrzeliwują każdego, kto odważy się w dziedzinie wiary katolickiej czarne nazwać czarnym, a białe – białym. Brak jednolitego i jasnego stanowiska episkopatu wobec tych zjawisk mąci w głowach ludziom, którzy szczerze pragną bezkompromisowo trwać przy wierze katechizmowej i nie łamać się pod naporem sprzeciwu świata absolutnie wrogiego Chrystusowi.

W lutym 2004 r. otrzymałem pismo pt. *Modlitwa w Ogrodzie Oliwnym wciąż trwa*. Nazwiska autorki nie wymienię, jest to jednak osoba doskonale zorientowana w przedmiocie przez siebie poruszonym. Był to odpis swoistego *pro memoria* skierowanego do kardynałów Glempa i Macharskiego oraz do Konferencji Episkopatu Polski dotyczącego nagrody „Ślad”. Autorka, doceniając zasługi bp. Jana Chrapka²⁴¹ dla mediów katolickich, wyrażała swój żal i oburzenie z powodu przyznania nagrody jego imienia Stefanowi Wilkanowiczowi²⁴² oraz nominowania do niej Józefy Hennelowej²⁴³ i Szymona Hołowni²⁴⁴. Fakt, że nagrodę wręczał w swej rezydencji prymas Glemp, a jej kapitułę stanowili: Krzysztof Piesiewicz²⁴⁵, ks. Adam Boniecki²⁴⁶, Marcin Przeciszewski²⁴⁷ i Zbigniew Nosowski²⁴⁸, miał wymowę jednoznaczną. Trudno się więc dziwić, że ktoś poważnie myślący o swym katolicyzmie

²⁴¹ Jan Chrapek MIC (1948–2001), ksiądz marianin, teolog. Święcenia kapłańskie 1975. Doktorat 1979. Redaktor miesięcznika „Powszechność i Praca” 1984–1986. Duszpasterz inteligencji warszawskiej. Przełożony generalny michalitów 1986–1992. Przewodniczący Konferencji Wyższych Przełożonych Męskich Instytutów Zakonnych i Stowarzyszeń Życia Apostolskiego w Polsce 1989–1992. Wykładowca na ATK od 1984, na Papieskim Uniwersytecie Gregoriańskim w Rzymie 1985–1986. Biskup pomocniczy toruński 1994–1999. Biskup diecezjalny radomski 1999–2001. Konsultor Papieskiej Rady ds. Środków Społecznego Przekazu 2001.

²⁴² Stefan Wilkanowicz (ur. 1924), filozof, publicysta, dziennikarz, działacz katolicki. Współzałożyciel KIK w Warszawie i Krakowie. Redaktor „Tygodnika Powszechnego”. Redaktor naczelny „Znaku” 1978–1994. Członek Papieskiej Rady ds. Świeckich 1977–1988. Wiceprzewodniczący Polskiego Komitetu ds. UNESCO 1999. Współautor preambuły do Konstytucji RP z 1997.

²⁴³ Józefa Hennelowa (ur. 1925), dziennikarka, publicystka, działaczka katolicka. Z „Tygodnikiem Powszechnym” związana od 1948. Członkini KIK od 1956, Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich od 1963, Amnesty International 1990–1996, Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” 1990–1996, Unii Demokratycznej 1990–1994 i Unii Wolności 1994–1999. Posłanka na sejm 1989–1993.

²⁴⁴ Szymon Hołownia (ur. 1976), dziennikarz, publicysta, działacz społeczny. Dwukrotnie przebywał w nowicjacie u dominikanów. Redaktor „Gazety Wyborczej” 1997–2000, „Newsweek Polska” 2001–2004, „Rzeczpospolitej” 2005–2006. Zastępca redaktora naczelnego „Ozonu” 2005. Felietonista m.in. „Tygodnika Powszechnego” od 2015. Dyrektor programowy Religia.tv 2007–2012.

²⁴⁵ Krzysztof Piesiewicz (ur. 1945), prawnik, polityk. Oskarżyciel posiłkowy w procesie zabójców ks. Jerzego Popiełuszki. obrońca w sprawie płk. Ryszarda Kuklińskiego. Senator RP 1991–1993, 1997–2011. Przewodniczący partii Ruch Społeczny 2002–2004. Współautor scenariuszy filmowych, w tym nominowanego do Oscara *Trzy kolory. Czerwony*. Współzałożyciel Partii Centrum 2004.

²⁴⁶ Adam Fredro-Boniecki MIC (ur. 1934), ksiądz marianin, dziennikarz. Święcenia kapłańskie 1960. Absolwent filozofii KUL. Generał zakonu marianów 1993–1999. Z „Tygodnikiem Powszechnym” związany od 1964, redaktor naczelny 1999–2011. Redaktor naczelny polskiego wydania dziennika „L’Osservatore Romano” 1979–1991. Od władz zakonnych otrzymał nakaz ograniczenia wystąpień publicznych 2011. Zakaz cofnięto w 2017, lecz jeszcze w tym samym roku ponowiono.

²⁴⁷ Marcin Przeciszewski (ur. 1958), historyk, dziennikarz. Absolwent historii UW oraz historii Kościoła katolickiego KUL. Wiceprzewodniczący Rady Międzynarodowej ruchu Wiara i Światło 1986–1991. Redaktor naczelny i prezes KAI od 1993. Działacz Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus”. Współorganizator Zjazdów Gnieźnieńskich od 2003.

²⁴⁸ Zbigniew Nosowski (ur. 1961), dziennikarz, publicysta. Absolwent socjologii UW i teologii ATK. Zastępca redaktora naczelnego „Więzi” od 1993, redaktor naczelny od 2001. Świecki audytor Synodu Biskupów w Watykanie 2001, 2005. Konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich 2002–2008. Współorganizator zjazdów gnieźnieńskich.

i zorientowany w poglądach wymienionych osób bierze za złe hierarchom Kościoła, iż firmują taką szopkę swoim autorytetem. Autorka *pro memoria* przytacza wypowiedzi wymienionych laureatów, nie można więc mieć wątpliwości, czy w ogóle zasługują oni na jakąkolwiek promocję katolicką, czy mogą służyć jako wzorzec myślenia dla katolika, którego intencją jest szacunek dla zasad, a nie ich wyszydzanie i megalomańskie narzucanie własnych norm, obojętnie jak przewrotnych, np. popieranie praktyk aborcyjnych, byle tylko zyskać poklask liberałów. Wszyscy ci ludzie byli związani z Unią Demokratyczną *vel* Unią Wolności, a losy tego ugrupowania dobitnie świadczą o bankructwie idei, na jakiej ta formacja była zbudowana. Obojętnie kto popiera takie wyróżnienia – konsekwentny katolik z tym się zgodzić nie może. Jeśli uczestniczy w tym hierarcha – zresztą niejeden, bo biskupów obecnych na wręczeniu nagrody było kilku – to w ten sposób odbiera się przeciętnemu katolikowi – a ci stanowią trzode poddaną pieczy pasterzy, a nie pastuchów, jak chce nagrodzony pan Wilkanowicz – odwagę do wyznawania wiary w sposób, jakiego wymaga Kościół. Wydaje się to tak oczywiste, iż żaden udziwniony pasterz nie powinien tu kombinować, jakby nasycić wilka i ocalić owcę.

Coraz bardziej obchodziły mnie sprawy dnia codziennego i miejsce, jakie zajmował w nich nasz katolicyzm, który przestał być bezprzymiotnikowy. Obecnie mówi się „otwarty” i ten nie wiadomo jaki, może „moherowy”, jak o pewnej opcji politycznej powiedział Donald Tusk²⁴⁹. Czymże jest ten otwarty katolicyzm? Na co jest otwarty? Na wyziewy zblazowanego zachodniego świata, w którym relatywizm zastąpił wszelkie normy, nawet te, których żadną miarą nie stworzyliśmy, z którymi przyszliśmy na świat?

Pisywałem od lat, ale w ostatnich czasach coraz więcej, w „Nowym Przeglądzie Wszechpolskim”²⁵⁰ – piśmie redagowanym do pewnego czasu przez dr Teresę Bloch²⁵¹, o wiele za mało rozpropagowanym, choć rozchodzącym się w nakładzie 5 tys. egzemplarzy. Można tam znaleźć wiele ciekawych materiałów, na ogół jednak są to tematy, które postmodernistyczna „elita” wyrzuca za burtę: patriotyzm

²⁴⁹ Donald Tusk (ur. 1957), polityk, współzałożyciel i przewodniczący PO 2003–2014. Przewodniczący Kongresu Liberalno-Demokratycznego 1991–1994. Poseł na Sejm RP 1991–1993, 2001–2014; senator 1997–2001. Wicemarszałek senatu 1997–2001, wicemarszałek sejmu 2001–2005. Prezes Rady Ministrów 2007–2014. Przewodniczący Komitetu Integracji Europejskiej 2007–2009. Przewodniczący Rady Europejskiej od 2014.

²⁵⁰ Organ prasowy Stronnictwa Ludowo-Narodowego / Przymierza Ludowo-Narodowego. Czasopismo społeczno-polityczne. Założyciel Czesław Bloch 1994. Autor był członkiem redakcji.

²⁵¹ Teresa Bloch, historyk. Doktorat 1998. Redaktorka naczelna „Nowego Przeglądu Wszechpolskiego”. Wiceprzewodnicząca Towarzystwa Kultury Narodowo-Religijnej „Polska Bogiem Silna”.

i właśnie ten bezkompromisowy katolicyzm, który w oczy kole. Stosunkowo mały zasięg pisma mi nie przeszkadza, nie publikuję w nim po to, by włączać się w dyskusje, tym bardziej w publiczne spory. Nauczyłem się jednego – nie podejmuje się polemiki, jeśli nie ma widoków na ewidentne położenie przeciwnika na łopatkę. W przeciwnym razie wypowiedź pozostaje niezauważona. Na mój artykuł *Żydzi w społeczeństwie Polski międzywojennej*, wydrukowany w „Dziejach Najnowszych” w 1995 r.²⁵², nikt nie zareagował, choć równolegle ukazywało się wiele tekstów, w których sytuację społeczności żydowskiej w ówczesnej Polsce przedstawiano w sposób wypaczony. Wymagałoby to przynajmniej przeciwstawienia się wyrażonym przeze mnie tezom. W rozmowie z kimś zainteresowanym tematyką poruszyłem tę sprawę. Odpowiedział:

– Chyba się nie spodziewasz, że się będzie zwracać uwagę na twój tekst, skoro on pewnych ludzi drażni?!

Otóż to. Mój o pokolenie ode mnie starszy przyjaciel, Ignacy Kosiński, ongiś dyrektor poznańskiej „Dessy”, któremu zawdzięczam moje zamiłowania humanistyczne, zapytany, dlaczego nic nie pisze, odparł:

– Mądry już wie to, co ja bym napisał, a dla głupich nie warto.

Wtedy widziałem w tym pewną pozę, dziś się przekonałem, że miał rację. Ale może w przyszłości ktoś zapyta, zechce się dowiedzieć, jak było dawniej. Może właśnie temu ma służyć moja publicystyka. Nie wiem, dobra czy przeciętna – nie mnie o tym sądzić.

Od pewnego czasu co dwa tygodnie pisuję komentarze do współczesności w piśmie „Polonia Semper Fidelis”, wydawanym w Nowym Meksyku. Mam świadomość, że niektóre komentarze powinny ukazać się w kraju, ale nie ma gdzie ich drukować. Tu należy uważać na wirażach. Pisma pravicowe mają swoje oblicze – czemu trudno się dziwić – ale zbyt jednoznaczne pisanie bywa dla nich niewygodne. Inna rzecz to konieczność antyszambrowania, żeby jakiś redaktor był łaskaw spojrzeć, nie mówiąc – odpowiedzieć, bo to z góry się wyklucza. Czyli lepiej trzymać się z dala.

Nie można się dziwić, że po 53 latach pracy w szkolnictwie – tyle wynosi mój staż od szkoły podstawowej poprzez liceum, szkołę zawodową, dom poprawczy aż po uniwersytet i innego rodzaju szkoły wyższe – człowiek staje się wrażliwy na treści, jakie w szkole każdego typu, nawet w przedszkolach, są przekazywane

²⁵² Z. Zieliński, *Żydzi w społeczeństwie Polskie międzywojennej*, „Dzieje Najnowsze” 1995, nr 4, s. 39–65.

młodemu pokoleniu. Pół biedy, jeśli chodzi o wybryki, tych nigdy nie brakowało, ale włosy jeżą się na głowie, kiedy od przedszkola zatruwa się człowieka teoria *gender*, prowadzącą prostą drogą do sodomii w każdej możliwej formie, a wiadomo, ile tego diabeł po świecie rozsiał. Jeśli obecnie młodzież z na ogół normalnego środowiska przychodzi na uniwersytet z takimi obyczajami, jak wyżej opisano, to czego się spodziewać po tych, którzy przyjdą za kilkanaście lat, ukształtowani według obłądnej i niehumanitarnej ideologii? Wystarczy o tym pomyśleć, aby odczuć ulgę, że się tego już nie zobaczy.

Moje związki z KUL po 2002 r. były stale jeszcze etatowe, przedłużono mi bowiem zatrudnienie, jak to się dzieje w większości wypadków, o dwa lata ponad siedemdziesiąty rok życia. W 2003 r. oddałem kierownictwo katedry ks. dr. hab. Janowi Walkuszowi, który się habilitował rok wcześniej. Bardzo mnie cieszyło, że przejście katedry odbyło się w sposób ludzki i kulturalny, co nie zawsze ma miejsce. Na tym jednak ta ludzka strona wzajemnych kontaktów się skończyła. Jak już zaznaczyłem, nie potrafiłem się wyzbyć naiwności, dlatego taką zmianę warty uznałem za swój sukces, może największy w czasie całej mojej akademickiej praktyki. Mniej więcej w tym samym czasie odbyłem telefoniczną rozmowę ze znajomym profesorem – mniejsza o nazwisko. Znany z pogody ducha, jakoś smętnie mówił o sobie. Zapytałem go, czy jeszcze działa w swoim zakładzie. Cieszył się tam ogromnym autorytetem. Jego odpowiedź mnie zaskoczyła.

– Obeszli się ze mną jak ze zbędnym meblem.

Pomyślałem naiwnie, że ze mną jest inaczej. Nie chodzi o to, jak mnie potraktowała administracja, ważni są – a przynajmniej powinni być – ludzie. Dziwne wszakże jest to, że po ponad 40 latach pracy otrzymuje się czterowierszowe pismo, którego treść przytoczę dosłownie:

Uprzejmie zawiadamiam, że w związku z art. 95 ust. 2 pkt 2 ustawy z dnia 12 września 1990 r. o szkolnictwie wyższym (Dz.U. nr 65, poz. 385 z późniejszymi zmianami) – z dniem 30 września 2004 r. ulega rozwiązaniu z Księdem Profesorem umowa o pracę na stanowisku profesora zwyczajnego.

Podpisał rektor Szostek. Cóż się dziwić? Pismo urzędowe nie przewiduje kurtuazji, poczta doręcza i sprawa załatwiona. Czy tak jest wszędzie? Chyba nie. Dlaczego jest tak w instytucji dumnej z personalizmu manifestowanego na zewnątrz jako busola wskazująca kierunek na człowieka, tego nie wiem.

Podobno ówczesny dziekan ks. Jerzy Pałucki²⁵³, niewątpliwie kierując się najlepszymi intencjami, wystosował do mnie – jak do każdego członka Rady Wydziału Teologicznego odchodzącego na emeryturę – pismo w stylu o wiele bardziej osobistym. Nie znam jego treści. Miał mi je wręczyć na zwykajnym posiedzeniu Rady Wydziału, na które zostałem zaproszony, choć nie byłem już jej członkiem i oczywiście nie zamierzałem pójść. W związku z tym doszło do pewnego *qui pro quo*, dziekan bowiem wyszedł z posiedzenia i poszukiwał mnie w gmachu uniwersytetu. Jako recenzent w przewodzie doktorskim byłem na Wydziale Humanistycznym. Ksiądz Pałucki dotarł tam ze swoim pismem i wywołał zdumienie zebranych – wręczając je, zakłócił tok obrony. Oddałem je bez czytania ks. Walkuszowi, aby zostało włączone do akt Instytutu Historii Kościoła. Może nie powinienem tego czynić, ale zimny formalizm i to segregowanie ludzi według nie do końca zrozumiałych kryteriów na takich, którym urząda się fety, i takich, którym się poświęca kilka minut posiedzenia Rady Wydziału, raczej upokarzają, aniżeli są wyrazem uznania. Tak długi czas przebywania w środowisku powinien wprowadzić uchronić człowieka od takiego przeżywania tych spraw, ale chyba nie do końca tak to działa.

Miałem w dalszym ciągu siedmiu doktorantów, w związku z tym kierownik katedry wystąpił o seminarium doktoranckie dla mnie. Nowy rektor ks. Wilk z trudem na to przystał. Nie zgodził się jednak na godzinę wykładu monograficznego, która tradycyjnie jest związana z prowadzonym seminarium. Specjalnie mnie to nie zmartwiło, choć muszę stwierdzić – i nie jest to tylko moje zdanie – że brak zrozumienia dla wagi wykładu monograficznego trapi dzisiaj wiele uczelni. Jest to oznaką zaniku zrozumienia dla twórczej roli wykładu katedry czy analogicznego, będącego rezultatem badań własnych profesora, a nie wykorzystywaniem cudzych czy po prostu czytaniem czyjegoś tekstu. Słuchacze – może nie wszyscy, ale pewna część – doskonale rozszyfrowują takich profesorów, co oczywiście nie podnosi ich autorytetu. Myślę, że często odmawianie zgody na wykład monograficzny profesora emeryta świadczy o przekształcaniu się uniwersytetu w szkołę o podstawowych zadaniach dydaktycznych. Wpływ na to mają ogólny trend upowszechnienia wykształcenia kosztem jego poziomu oraz tendencja do tworzenia elitarnych

²⁵³ Jerzy Pałucki (ur. 1955), ksiądz z diecezji włocławskiej, teolog, specjalista w zakresie teologii ojców Kościoła. Doktorat 1988, habilitacja 1996, profesor zwyczajny 2008. Prodziekan Wydziału Teologii KUL 1998–2002, dziekan 2002–2008. Sekretarz Sekcji Patologów Polskich przy Komisji KEP ds. Nauki Katolickiej 1994–1996, przewodniczący 1996–2001.

instytucji badawczo-dydaktycznych. Celem tych instytucji jest dwojake kształcenie kadry: część jest przewidziana jako lobby administracyjno-menedżerskie, a część jako środowisko twórczo-naukowe. Oczywiście jest to połączone z określonym rzędem dusz i poprawnością.

Pod koniec czerwca 2004 r. otrzymałem imienne zaproszenie na uroczyste obchody Dnia Niepodległości. Tym razem ambasada Stanów Zjednoczonych urządziła je w Lublinie, święto to bowiem już tradycyjnie było celebrowane w różnych miastach Polski. Zaproszenie zawdzięczałem Johnowi Grondelskiemu, wówczas jednemu z konsulów amerykańskich w Warszawie. Do pójścia na Zamek Lubelski, gdzie odbywało się przyjęcie, nakłonił mnie kolega. Sam nie miałem zamiaru iść, chociaż bardzo mnie do tego namawiał również obecny tam John. Poszedłem, ale nie wytrzymałem długo. Przemówienia – jak na taką okazję – takie sobie. Większość zaproszonych trzymała się w pobliżu obficie zastawionych stołów. Czego tam nie było! Skok na stoły mógł oczywiście nastąpić dopiero po zakończeniu części oficjalnej. Nawet nie byłem w stanie wyobrazić sobie aż tak wielkiego szturmu. Można było ewentualnie uszczknąć jakieś ciastko, natomiast do konkretów – to chyba po trupach. Podobnego natarcia nie doświadczyłem nawet w Senacie RP w czasie jakiejś sesji naukowej. Kolega, który namówił mnie na tę eskapadę, teraz naglił do wyjścia. Twierdził, że zbyt go upokarza widok znanych i skądinąd szanowanych osób, nagle ogarniętych tak wielkim łaknieniem. Kiedy podobne przyjęcie odbywało się w PWSZ w Chełmie, również z ambasadorem USA, o wiele łatwiej było się pożywić przy nie mniej gościnnych szwedzkich stołach. Warto jednak w czymś takim wziąć udział, wiele się można nauczyć.

Pewnym zaskoczeniem było zaproszenie mnie z referatem na międzynarodową konferencję naukową „Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego w Chełmie”. Tematyka tylko częściowo była poświęcona Manifestowi PKWN, więcej natomiast mówiło się o pierwszych chwilach Polski lubelskiej – jak chwilowo nazywano reanimowaną przez Sowietów ojczyznę. Było mnóstwo tematów krążących wokół PKWN, sam też wygłosiłem referat zatytułowany *Kościół w okresie PKWN*. Nie można powiedzieć, by nie były one ciekawe, ale pewnym nadużyciem była ucieczka w bezpośrednio po manifestie następującą przyszłość. Można to było potraktować jako skutki manifestu, który – co zresztą także wynikało z wielu wystąpień – był raczej szyldem obietnic, m.in. demokratycznego ustroju, o których jak najszybciej chciano zapomnieć. Ciekawy referat wygłosiła prof. Albina

Noskowa²⁵⁴ z Moskwy. Nosił on tytuł *Droga do powołania PKWN – rola Moskwy w świetle archiwów rosyjskich*. Nie były to rewelacje, ale z pewnością kompetentnie i na bazie dobrych źródeł przedstawione mechanizmy działające u podstaw powstania Polski komunistycznej. Z inicjatywy prof. Noskowej odbyliśmy rozmowę, zainteresowała ją bowiem moja książka *Kościół w Polsce 1944–2002*, którą jej wysłałem. Ona także ofiarowała mi dwie swoje prace, w tym jedną edycję źródeł. W liście, który do mnie później napisała, wspomina o swoim krewniaku, poległym w marcu 1945 r. w okolicach Olsztyna. Spoczywa tam w braterskiej mogile. Pisała to, by uświadomić, że w opanowywaniu Polski przez Sowieców uczestniczyli też zwykli ludzie, którzy ginęli z przekonaniem, że niosą oswobodzenie spod jarzma niemieckiego. I tak też było.

W II Kongresie Kultury Chrześcijańskiej, który odbył się 24–26 września 2004 r. na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i przebiegał pod hasłem „Chrześcijańskie inspiracje w budowaniu zjednoczonej Europy”, nie wziąłem udziału (podobnie jak w poprzednim). Spotkanie oficjalnie było organizowane przez KUL, ale pod dyktando abp. Życińskiego, czemu ani ks. Szostek, ani tym bardziej ks. Wilk nie byli w stanie, a chyba także nie zamierzali się opierać. Wystarczy zajrzeć do programu i przeczytać nazwiska referentów, by się przekonać, że nie chodziło o żadne inspiracje chrześcijańskie – a już z pewnością nie o te, które ogół katolików polskich uznałby za swoje. Śmiałbym sądzić, że dotyczy to także wielu chrześcijan. Wypada zachęcić czytelnika do odgrzebania gdzieś w szpargałach programu kongresu, gdyż nie ujmując niczego wielu tam obecnym, trudno albo wręcz niemożliwie uznać te osoby za reprezentatywne dla kultury chrześcijańskiej. Od niektórych osób słyszałem, iż są zupełnie innej orientacji, więc jeśli mówiono tam o kulturze chrześcijańskiej, to w tak rozwodnionej postaci, iż mógłby się pod nią podpisać każdy: ateista, agnostyk, a nawet mahometanin. Poza kilkoma nazwiskami nie było wśród referentów pracowników KUL. Pytałem później wielu kolegów z uniwersytetu, czy uczestniczyli w kongresie. Na ogół padała odpowiedź, że tylko zajrzeli albo nie było ich w Lublinie. Ja byłem, ale nie zajrzałem.

Jesienią 2004 r. otrzymałem kuszącą propozycję z Wyższej Szkoły Finansów i Zarządzania w Warszawie. Chodziło o współpracę przy uruchamianiu anglistyki i germanistyki. Ten drugi kierunek wchodziłby w rachubę, ale byłem już

²⁵⁴ Albina Noskowa (ur. 1936), historyk, profesor Rosyjskiej Akademii Nauk w Moskwie. Pracownik naukowy Instytutu Słowianoznawstwa Rosyjskiej Akademii Nauk. Badaczka historii najnowszej Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

zaangażowany w PWSZ w Chełmie, dokąd po zakończeniu pracy na KUL przechodziłem właśnie na jedyny już w moim wypadku etat. Praca w Chełmie bardzo mnie absorbowała, z natury rzeczy interesuje mnie tylko konkretna praca ze studentami, a to wymaga wiele wysiłku i zaangażowania, zwłaszcza gdy się prowadzi prace licencjackie czy magisterskie. U mnie na seminarium licencjackim zawsze był tłok, ponieważ studenci wiedzieli, że w każdej sytuacji mogą liczyć na moją pomoc. Oczywiście nauczyciel wykładający w wielu miejscach nie ma takich możliwości, choćby nawet od pomocy się nie uchylał. Tak już jest. Marne płace nauczycieli odbijają się rykoszetem na wynikach nauczania. Błędne koło, zwłaszcza jeśli władze oświatowe tylko formalnie usiłują podnosić kwalifikacje, co jest kiepskim pozorowaniem postępu.

Zaskoczeniem dla mnie stała się korespondencja z kardynałem Jaworskim²⁵⁵, który w listopadzie 2004 r. zwrócił się do mnie z prośbą o ocenę pewnej publikacji. Chodziło o pracę o. Celestyna Napiórkowskiego²⁵⁶, profesora KUL, dogmatyka, pt. *Więksi i mniejsi prorocy Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku*²⁵⁷. O tej pozycji dowiedziałem się dopiero z rzezonego listu. Kardynał załączył trzy pisma skierowane do autora książki, w których wytyka mu dotkliwe pominięcia, m.in. bł. abp. Bilczewskiego²⁵⁸, ks. Frankła²⁵⁹ i wielu innych. Było rzeczą oczywistą, że profesor mariolog i ekumenista podjął się zadania, które wymagało nieco wysiłku heurystycznego. Nie sposób sądzić, że swoistej klasyfikacji dokonał on na oko i pewne osoby uznał za godne miana, którego w swym dziele poskąpił innym. Gdyby tak było, to

²⁵⁵ Marian Jaworski (ur. 1926), ksiądz, teolog, filozof. Święcenia kapłańskie 1950. Doktorat z teologii 1952, doktorat z filozofii 1955, habilitacja 1966, profesor nadzwyczajny 1967, profesor zwyczajny 1976. Rektor PAT 1982–1988. Administrator apostolski w Lubaczowie 1982–1988. Arcybiskup metropolita Lwowa 1991–2008. Przewodniczący Konferencji Episkopatu Ukrainy 1992–2008. Rektor WSD we Lwowie 1997–2008. Administrator apostolski diecezji łuckiej 1996–1998. Kardynał 1998. Od 2008 arcybiskup senior archidiecezji Lwowa.

²⁵⁶ Stanisław Celestyn Napiórkowski OFMConv (ur. 1933), ksiądz, franciszkanin konwentualny, dogmatyk, mariolog, ekumenista. Doktorat 1965, profesor zwyczajny 1983. Członek Komisji KEP: ds. Ekumenizmu 1970–1994, Komisji Mieszanej Katolicko-Luterańskiej 1974–1984. Przewodniczący Sekcji Dogmatycznej Teologów Polskich 1983–1989. Kierownik Katedry Mariologii KUL do 2010. Inicjator i koordynator forów teologicznych dla teologów Europy Środkowo-Wschodniej.

²⁵⁷ *Więksi i mniejsi prorocy Europy Środkowo-Wschodniej XX wieku. Materiały I i II Forum Teologów Europy Środkowo-Wschodniej. Lublin 30 listopada – 1 grudnia 2001 r., Lublin 6–8 maja 2003 r.*, red. K. Klauza, S.C. Napiórkowski, K. Pek, Lublin 2003.

²⁵⁸ Józef Bilczewski (1860–1923), ksiądz archidiecezji krakowskiej, teolog, dogmatyk. Święcenia kapłańskie 1884. Profesor zwyczajny 1893. Dziekan Wydziału Teologii UJK we Lwowie od 1896, rektor od 1900. Arcybiskup metropolita lwowski 1900–1923. Beatyfikacja 2001, kanonizacja 2005.

²⁵⁹ Stanisław Frankl (1903–1944), ksiądz diecezji lwowskiej, teolog, dogmatyk. Święcenia 1929. Doktorat 1931, habilitacja 1935, profesor nadzwyczajny 1938. Kierownik Katedry Teologii Dogmatycznej UJK we Lwowie 1938–1939. Rektor Metropolitalnego Seminarium Duchownego we Lwowie 1939–1942.

o sprawie należałoby mówić z zażenowaniem. Ojciec Napiórkowski był, a może jest w dalszym ciągu, członkiem Forum Teologów Europy Środkowo-Wschodniej. Jak tu osądzać człowieka tak utytułowanego? W tym duchu też odpowiedziałem kardynałowi. Przyznałem mu rację, jeśli chodzi o *meritum* jego pretensji do o. Napiórkowskiego. Zazaczyłem też, że w obiegu kościelnym znajduje się sporo publikacji o wątpliwej wartości merytorycznej, a przecież nikogo z miarodajnych osób to nie razi. Przeciwnie, ludzi mających takie dzieła na swym koncie powołuje się często do specjalistycznych gremiów episkopatu, a celowo pomija się innych, legitymujących się być może lepszym dorobkiem. Sam byłem najlepszym przykładem takiego traktowania, a stwierdzenie ówczesnego przewodniczącego Rady Naukowej Konferencji Episkopatu Polski bp. Stanisława Wielgusa w liście do mnie z 9 lutego 2004 r., że jestem „bez wątpienia najwybitniejszym obecnie polskim historykiem Kościoła”, tylko dodaje pikanterii znanej praktyce ignorowania mnie i moich dokonań przez ów episkopat. Dodam, że list był odpowiedzią na moją odmowę wzięcia udziału w Kongresie Teologów Polskich. Powody tego kroku zostały już częściowo wyłuszczone. Były także inne, których wyliczanie tu uznaję za zbyt liczne, dotyczą one bowiem mojej prognozy merytorycznej doniosłości owego kongresu (która w znacznym stopniu się potwierdziła).

Do bardzo istotnych momentów ważnego dla mnie pod wieloma względami 2004 r. zaliczam spotkanie i bliższą znajomość z prof. Anną Pawełczyńską. Doszło do tego dzięki jej książce *Głowy hydry*²⁶⁰ w wyniku rozmowy na ten temat z Ryszardem Surmaczem. Okazał się on ogromnym wielbicielem autorki i gorąco mnie zachęcał do nawiązania z nią kontaktu. Odwiedziłem panią profesor w Warszawie, ofiarowałem kilka swoich książek. Od tej pory czasami u niej bywam. Co mnie zdumiewa, to jej niezwykle klarowna wizja rzeczywistości, a przy tym absolutna obojętność na wszelkie okoliczności mogące wpływać na modyfikację poglądów, odpowiadającą jakiemuś doraźnemu zapotrzebowaniu, ale sprzeczną z wewnętrznym przekonaniem. Nie wypada i koniec kropka. Wystarczy wziąć do ręki którąkolwiek z jej książek, by się przekonać, jak daleka jest od oportunizmu. Stąd też jej pomijanie i przemilczanie jej prac w mediach. Jakże inaczej, skoro panoszy się warstwa przez nią ochrzczona jako lumpenelita.

Jej wspomnienia *Koniec kresowego świata* (w znacznej części oparte na przekazach osób trzecich, zwłaszcza gdy chodzi o XIX i początki XX w.) są sagą rodziny,

²⁶⁰ A. Pawełczyńska, *Głowy hydry. O przewrotności współczesnego zła*, Lublin 2004.

która z tradycji szlacheckich, a nawet sarmackich potrafiła wejść w nowy sposób bytowania społecznego, tak typowo organicznikowski. To nie ziemiaństwo jako stan decydowało o jej być albo nie być. Jej rodzina jest tego żywym dowodem. Gdyby mi przyszło wymienić osoby, które mnie inspirowały i utwierdzały w słuszności moich poglądów na rzeczywistość – a myli się każdy, kto sądzi, że takiej inspiracji nie potrzebuje – to pani Pawełczyńska z całą pewnością do nich należy. Czy takich osób było wiele w moim życiu? Odpowiedź brzmi: nie. Takich ludzi spotyka się niezwykle rzadko i w jakiś sposób kontakty te weryfikują się z biegiem czasu. Jedni pozostają do końca, inni odpadają. W tym wypadku pomyłki być nie może.

Takim człowiekiem był z pewnością wspomniany już niemiecki kapłan Johannes Bröhl, którego nawiedzałem w Lohausen, dzielnicy Düsseldorfu. W czasie wojny był jednym z niemieckich kapłanów przysłanych na polskie Pomorze do diecezji chełmińskiej po to, by germanizować, bo taki był zamysł władców III Rzeszy. Już od pierwszego dnia zaczął się uczyć mówić po polsku, jako duszpasterz musiał bowiem znaleźć klucz do umysłów i sumień wiernych. Czy wiedział, co mu za to grozi? Z całą pewnością, ale czyż mógł czynić tak, jak tego chcieli hitlerowcy? Przecież zadaniem kapłana jest pasterzowanie, a nie pomoc w niewoleniu. W jego wyznaniu nie było nic fałszywego, przeciwnie, wielka pokora, gdy mówił, jak cierpiał, nie mogąc dostatecznie dobrze wysłowić się w języku polskim. Nic dziwnego, że Służba Bezpieczeństwa Rzeszy uznała go za niebezpiecznego szkodnika. Kiedy się o tym dowiedział z materiałów wydanych po wojnie, nie zdziwił się. Znać było słuszną dumę w jego zachowaniu.

– Domyślałem się tego już w czasie wojny – powiedział. – Sprzeniewierzyłem się celom i powierzonym mi przez III Rzeszę zadaniom, ale nie sprzeniewierzyłem się Kościołowi i sobie samemu.

Iluż ludzi może tak o sobie powiedzieć? Dlatego taka postawa jest zawsze inspirująca, wskazuje drogę w każdej rzeczywistości.

W latach siedemdziesiątych rozpowszechnił się zwyczaj przyjmowania na KUL prac pisanych w seminariach duchownych pod kierunkiem ambitniejszych wykładowców. W przedmiocie historii Kościoła było tego sporo i każdy z nas w Instytucie Historii Kościoła miał pełne ręce roboty. Wówczas magisterium formalnie nie mógł firmować doktor, musiał to robić co najmniej docent. Bywali jednak profesorowie seminaryjni, nasi absolwenci, którzy naprawdę świetnie prowadzili te prace w ramach swoich zajęć. Kilka lat później przepisy się zmieniły i im także przyznano

Obchody
600-lecia
prymasostwa
w Polsce,
2017 r.
Obok autora
bp Wojciech
Polak (z lewej),
obecnie prymas
Polski



prawo firmowania tych prac – pod warunkiem że mieli autoryzację Rady Wydziału. Osobiście postarałem się o coś takiego dla ks. dr. Tadeusza Śliwy z Przemyśla i chyba jeszcze dla kogoś. Przez wiele lat kilka razy w roku jeździłem do Przemyśla i razem z Tadkiem prowadziliśmy seminarium. Wyszły z niego takie znakomitości, jak ks. prof. Józef Wołczański, ks. prof. Stanisław Nabywaniec, ks. bp Adam Szal, żeby choć ich wymienić. Te wspólne zajęcia to był ciekawy eksperyment. W wypadku Przemyśla nie był on właściwie potrzebny, gdyż ks. Śliwa świetnie sam prowadził prace magisterskie. Ponieważ jednak ja je firmowałem, chciał, abym czasami asystowałem przy ich przygotowaniu. Bywały wszakże sytuacje, gdzie taka współpraca była potrzebna i sami występowaliśmy z propozycją jej zorganizowania. Częściej bywała to inicjatywa rektorów seminariów, np. w Gorzowie. Rektorem był tam wówczas bp Paweł Socha²⁶¹ i to właśnie jemu bardzo zależało, abym dojeżdżał na zajęcia z klerykami, którzy pisali prace dyplomowe z historii Kościoła. Uczył tego przedmiotu mój kolega ze studiów, bardzo miły i solidny ks. dr Tadeusz Salwa²⁶². Oczywiście współdziałanie uwarunkowane było

²⁶¹ Paweł Socha CM (ur. 1935), ksiądz misjonarz, teolog. Święcenia 1958. Doktorat 1969. Wykładowca i ojciec duchowny w WSD w Gościkowie-Paradyżu, rektor seminarium 1975–1978. Biskup pomocniczy zielonogórsko-gorzowski 1973–1992, biskup pomocniczy gorzowski 1992–2012.

²⁶² Tadeusz Salwa CM (1935–2012), ksiądz misjonarz, doktor w zakresie historii Kościoła. Święcenia kapłańskie 1959.

jego zgodą. Doszło do skutku i wydaje mi się, że w jego wyniku powstało kilka dobrych prac magisterskich.

Wspomnę jeszcze o pewnej sprawie, która trochę mnie bolała, ale przesadziłbym, twierdząc, że dotkliwie. Nigdy, nie licząc kilku obecności na sympozjach, nie zaangażowano mnie do żadnych prac w seminarium gnieźnieńskim, a przecież było to moje seminarium macierzyste. Było kilka racji całkiem obiektywnych. Uczyli tam znani historycy, jak ks. dr Marian Aleksandrowicz²⁶³, ks. prof. Kazimierz Śmigiel, zatem nie istniało zapotrzebowanie na regularne wykłady. Myślałem jednak niekiedy o wystęпах gościnnych – to byłoby możliwe. Może nie doszłoby wówczas do mojego totalnego wyobcowania się z diecezji? Obecnie to teren całkowicie mi nieznany i jestem tam nierozpoznawalny – z wyjątkiem tych, którzy jeszcze odrobinę czytają. Ale ilu ich dzisiaj jest? Nie spodziewałem się tego, jadąc do Lublina w 1961 r. Któryś z dawnych kolegów, który po studiach spędził życie w Gnieźnie, powiedział mi kiedyś, że nie ma czego żałować. A mnie się wydaje, że jednak jest. Prorok chciałby nim być choćby na chwilę także we własnej ojczyźnie i nieszczerze są wszelkie tego zaprzeczenia.

O tych, którzy są tak blisko, że się ich nie zauważa, a są najważniejsi

30 lipca 1984 r. zmarła moja matka. Chorowała od lat na serce, a w ostatnich czasach dokuczały jej kamienie żółciowe. Postanowiłem umieścić ją na kilka dni w szpitalu. Poradziłem się prof. Mieczysława Zakryś²⁶⁴, znanego chirurga. Odradzał operację, twierdził, że kamieni jest wiele, a więc nie są groźne. Należy je uspokoić i na herbatkach ziołowych pojeździe się dalej. Odwiedzałem ją codziennie, w poniedziałek także byłem w szpitalu. Mama czuła się dobrze, lekarz obiecał w środę ją wypisać. Postanowiłem skorzystać z tego, że jest pod opieką, i pojechałem do Siedlec i Warszawy. We wtorek zatelefonowałem do s. Krystyny, zaprzyjaźnionej z nami szarytki, która zajmowała się mamą. Powiedziała, że przed godziną matka zmarła, wracając z łazienki do pokoju. Był to ciężki cios.

Matka mieszkała ze mną przez ostatnich 17 lat. Poza nią bliskiej rodziny już nie miałem. Było kuzynostwo ze strony obojga rodziców, choć z bardzo licznych krewnych mojego ojca niewiele osób pozostało przy życiu, a i tak nie wszystkich znałem

²⁶³ Marian Aleksandrowicz (1935–2010), ksiądz archidiecezji gnieźnieńskiej, archiwista. Świecenia kapłańskie 1959. Doktorat 1963. Dyrektor Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie.

²⁶⁴ Mieczysław Zakryś (1910–2001), chirurg, profesor nauk medycznych 1972.

bliżej. Na co dzień byliśmy we dwoje i ze względu na jej zawsze obecny niepokój spowodowany chorobą serca rzadko i tylko na krótko mogłem opuszczać Lublin. Na czas dłuższych nieobecności umieszczałem matkę u krewnych w Poznaniu lub w Warszawie. Jej śmierć oznaczała nie tylko stratę najbliższej osoby, lecz także konieczność całkowitego przeorganizowania życia. Matka do ostatnich chwil była prawdziwą w każdym calu gospodynią domową. Wystarczyło stosować się do jej zaleceń i stworzonego przez nią porządku, żeby czuć się w domu dobrze. Starła się zrozumieć moją pracę, choć w głębi duszy była przekonana, że spełniłbym się lepiej w pracy parafialnej. Może i miała rację, ale raz obranej drogi nie można tak łatwo zmienić. Na tym tle występowały między nami różnice zdań. Odnosiłem wrażenie, że po prostu tęskniła do stron rodzinnych. Wielokrotnie powtarzała, że chce spocząć u boku swoich córek. Miejsce pochówku ojca było nieznane, gdzieś w Borach Tucholskich, pod Chojnicami, a może w Rytlu, gdzie pogrzebano ekshumowanych pomordowanych w Dolinie Śmierci. Czy tam rozstrzelano także mojego ojca? Pogrzeb matki odbył się zatem w Nakle nad Notecią.

Epilogu tych wspomnień być nie może, życie trwa i tak długo, jak Bóg pozwoli, musi ono w taki czy inny sposób owocować. Wydobywając z pamięci ludzi i zdarzenia, starałem się ograniczać do tych kontaktów, które pojawiały się w związku z zadaniami, jakie stawiał przede mną los. Moje sprawy osobiste zeszyły więc na dalszy plan, o ile w ogóle znalazły jakiegokolwiek odbicie. Opowiadałem o matce. Żyliśmy pod jednym dachem i było to dla mnie prawdziwym błogosławieństwem. To sprawa bardzo osobista, jej pominięcie sprawiłoby, iż w ukryciu pozostałoby źródło moich dokonań zawodowych. Miałem dzięki niej normalny dom – bez stołówek, dochodzących pomocy, troski o to, w co się ubiorę i co zjem.

Było coś jeszcze. Nie mogłem wprawdzie często i na długo wyjeżdżać za granicę, za to miałem świetne warunki do pracy. Jeśli sporo napisałem, to swój walny udział ma w tym moja matka. Mimo niespełnionych marzeń o mojej pracy duszpasterskiej doceniała przecież także moje zajęcie, zwłaszcza kształtowanie naukowe młodego pokolenia. Cieszyła się z odwiedzin studentek, z których jedną znała ze swego miasta rodzinnego. One z kolei mówiły mi, że mogą z nią porozmawiać na każdy temat. Nie dziwiło mnie to, gdyż była osobą bardzo czytającą i książka była dla niej najlepszym towarzyszem. Rozumiała, na czym polegał proces tworzenia. Studenci, którzy nawiedzali moje mieszkanie, nie zastawszy mnie, zachęceni przez matkę do poczekania na mój powrót, wdawali się z nią w rozmowę. Bardzo to lubiła, choć niekiedy utyskiwała, że musi tracić czas na bawienie moich gości.

Nie były to jednak szczerze narzekania, bo gdy zaznaczałem, że może ich przecież poinformować, kiedy wracam, i poprosić, żeby się wówczas pojawili, mruczała tylko coś pod nosem. Nie bardzo wiedziała, co na takie *dictum* odpowiedzieć. Zawsze mnie to bawiło, ale nie dawałem tego po sobie poznać, gdyż wtedy na serio się gniewała. Po takich pogwarkach ze studentami, częściej studentkami, które zresztą nie mnie, a ją odwiedzały, wyrażała zdziwienie, że tak słabo znają klasyczną literaturę polską. Były to już osoby tej generacji, która *Trylogię* i *Pana Tadeusza* często znała jedynie z bryków. Trzeba jednak przyznać, że w odcytaniu mało kto z moją matką mógł iść w zawody. Słyszałem to nawet z ust specjalistów w tej dziedzinie.

Nie była osobą łatwą, do końca życia zachowała trzeźwy umysł i niezależność sądu, były więc dysputy i polemiki. Jej krytycyzm niekiedy mnie drażnił, ale po latach muszę przyznać – i żałuję, że nie mogę jej tego powiedzieć – iż lepiej niż ja znała się na ludziach. Przeważnie miała rację, choć kiedyś uznanie tego przychodziło mi z trudem.

Jak każdy starszy człowiek w dodatku powiązany z drugą osobą więzami rodzinnymi, przekonana o swej słuszności, matka bywała niekiedy apodyktyczna. Nieuwzględnianie każdej jej opinii uważała za błąd popełniany z przekory. Może często i tak bywało, ale z drugiej strony znać było to przekonanie ludzi obarczonych wiekiem, że ich doświadczenia w dalszym ciągu są miernikiem dla współczesności. Dziś całkowicie to rozumiem, wówczas takie stanowisko drażniło i wywoływało właśnie ten odruch pewnej przekory. Nie ułatwiało to życia, człowiek miał wrażenie, że mimo wieku więcej niż dojrzałego, stale nie jest na swoim. Takie odczucia odkrywałem u wielu kolegów, którzy doświadczali troski najbliższych, i chyba jest to jakaś norma. Lekcja, jaką dają takie przeżycia, powinna owocować. U mnie, przynajmniej tak mi się wydaje, owocem jest powstrzymywanie się od narzucania komukolwiek moich rad i racji.

Im człowiek starszy, tym bardziej skłonny przywoływać ludzi z przeszłości. Jest ich tak wielu, że wymagałoby to tomu znacznie większego niż te wspomnienia. O niektórych one zaledwie trącają. Jedna osoba odegrała w moim życiu rolę porównywalną z tym, co otrzymałem od matki. To była moja siostra Gabriela, urodzona w 1925 r. i zmarła w wieku 37 lat. Walczyła z białaczką, być może nabytą w czasie okupacji, kiedy jako gimnazjalistka została zmuszona do przekraczającej jej siły pracy u bauera. Jeśli mogłem się uczyć, to dzięki niej, po wojnie bowiem Gabrysia utrzymywała dom. Sama nie mogła kontynuować nauki, mimo wybitnych zdolności matematycznych, które ujawniły się już w gimnazjum.

Spotkanie
rocznicowe
absolwen-
tów Liceum
Ogólno-
kształcącego
w Pleszewie,
2009 r.



Bardzo wiele dla mnie zrobiła i nie pozbędę się wyrzutów sumienia, iż nie zdobyłem się dla niej na coś więcej. To prawda, że wszystko, co wówczas posiadaliśmy – a było tego tak niewiele – przeznaczaliśmy na jej leczenie, ale zawsze pozostaje jakiś niedosyt. Niewymierny, gdyż jest to niedosyt serca. Szkoda, że dostrzega się to zbyt późno. Zawsze odczuwałem i chyba nadal odczuwam żal z powodu może zbyt małej uwagi, jaką poświęcałem mojej najstarszej siostrze.

Dopiero dziś widzę, jak bardzo musiała się czuć osamotniona w długotrwałej i ciężkiej chorobie, wówczas nieuleczalnej. Matka bardzo o nią dbała, można powiedzieć, że była gotowa na każdą ofiarę, ale miała inny niż siostra sposób myślenia i postrzegania świata. Wszystko traktowała w kategoriach obowiązku, nie bacząc na to, że młody człowiek pragnie od tego świata też czegoś wyłącznie dla siebie. Matczyna troskliwość przejawiała się m.in. w planowaniu dla siostry wszystkiego, od zakupów poczynawszy, a kończąc na takich czy innych niewinnych zachciankach, których trzeźwy umysł matki nie mógł pojąć. Dlatego siostra często u mnie szukała wsparcia. Chyba nie w pełni rozumiałem istotę jej problemów i byłem zbyt wygodny, by im poświęcić więcej uwagi. Może w ostatnich latach jej życia to się zmieniło, czyli o wiele za późno. To dziś wiem z pełną jasnością.

Zakończenie

Kończąc te wspomnienia, mam odczucie jakiegoś niedosytu. Trudno tak po prostu powiedzieć, że już nie będzie się pisać. Mam obecnie 89 lat i umysł w pełni sprawny. Niekiedy myślę, że pewne sprawy widzę lepiej i jaśniej niż w przeszłości. Te zapiski czytałem wiele razy, to i owo się zmieniało, choć nie w sprawach istotnych. Nieraz mi się wydaje, że trzeba usiąść i zacząć opowieść od nowa, tym razem omijając wątki życia zawodowego. Skierować całą uwagę na ludzi, z którymi miało się kontakt nieobciążony żadnym kagańcem oficjalności, powinności, i na tę drogę, na którą się wchodzi o własnych siłach, ale jej przebycie jest już najczęściej dziełem sił i sterów tylko częściowo będących w naszym władaniu. Czy można jednak obnażyć wszystkie zakamarki duszy i pamięci? Czy można pokazać pełną ich zawartość i nie ranić siebie i innych?

Chciałoby się ukazać całość życia, a jest to niemożliwe i w pewnym momencie trzeba przerwać rozpamiętywanie przeszłości. U mnie nastąpiło to wraz z zakończeniem pracy w Chełmie. Czasem zaglądam do tekstu i uzupełniam nieaktualne informacje. Trzeba to zakończyć, ale zanim rzecz nie pójdzie do druku, chwilę taką będzie się przesuwać w dalszą przyszłość. Jedno jest pewne – nie trzeba analizować tego, co się dzieje po ostatecznym odejściu od pracy zawodowej. U mnie nastąpiło to w 2011 r.

Po przeczytaniu całości czuję też pewien niesmak. Czy trzeba było o wszystkim mówić? I tak, i nie. Wspomnienia zbyt stylizowane nie mają żadnej wartości. Jeśli ktoś przedstawia tylko to, co go dobrego spotkało, to z góry wiadomo, że jest to pewna impresja, ale nie życie, choćby w najzwięźlejszym zarysie. Zatem trzeba było – jeśli nie o wszystkim, to w każdym razie o tym, co dla całokształtu życia ma istotne znaczenie.

Nie wszystko trafiło na kartki tych wspomnień. Nie są one dziennikiem, zapisem dzień po dniu, są retrospekcją obciążoną odkształceniem pamięci lub zgoła lukami, jakie się w niej mnożą wraz z upływem lat. Wiele spraw ujęto syntetycznie, żeby nie utopić treści w powodzi słów. Iluż ludzi spotkanych – ważnych – odeszło w niepamięć, a przecież w jakiś sposób się zaznaczyli i na niejedną decyzję wpłynęli. Gubi się, zaciera się to, co zbyt oddaliło się w czasie. Także ludzi to nie omija. Mam świadomość, że odniesienia do moich krewnych, z którymi przecież łączyły mnie bliskie więzy, są znikome. Może stało się tak dlatego, że mój stan duchowny wpływa na odosobnienie, zamknięcie się w kręgach zawodowych? Pewnie także inne czynniki odegrały tu rolę, choćby sporadyczność kontaktów. Nie znaczy to, iż nie

były one istotne. Może się jednak zdarzyć, że ktoś w tej książce nie odnajdzie siebie, choć przetrwała w nim świadomość czegoś wspólnie przeżytego. Te niedostatki sprawiają, że oddanie tych wspomnień do publicznej wiadomości napotyka opór.

Inna kwestia to konieczność poruszania sytuacji niekiedy bardzo przykrych, zwłaszcza jeśli zamieszane w nie były osoby trzecie. Należałoby przytoczyć dokumen-

tację usprawiedliwiającą taką, a nie inną ocenę. Tylko w nielicznych wypadkach tak postąpiłem. W sprawach dotyczących mnie osobiście zrezygnowałem z tego, gdyż nie można było przeciążyć tekstu balastem materiału dokumentacyjnego. Stąd moje wypowiedzi można uznać za subiektywne i w pewnym stopniu z pewnością takie są. Zaznaczam jednak, że odnosi się to tylko do moich spraw osobistych, nie zaś do tych, które dotyczą innych. Pisząc o sprawach trudnych, w które były zamieszane osoby trzecie, starałem się robić to jak najogólniej, niemniej nie można było uniknąć relacjonowania faktów istotnych. Omijanie ich czyni każdą relację – czy będą to wspomnienia, czy innego rodzaju opisy – bezprzedmiotową.

Rezygnuję z przywoływania zdarzeń i osób, które wkroczyły w moje życie zupełnie przypadkowo i na krótko, nie pozostawiając żadnego trwałego śladu. Spotkania takie zdarzają się codziennie i chwilowo mogą nawet mieć jakieś znaczenie. Nie poruszam też spraw dotyczących głównie tych, którzy nigdy nie upoważnili mnie do wydobywania na światło dzienne ich prywatności. Bez niej i mój udział byłby nieczytelny, chyba że zrezygnowałbym z poszanowania cudzej tajemnicy, jeśli wypowiedzianej nie wprost, to suponowanej. Jest to mankament większości wspomnień i pamiętników.

Moje archiwum osobiste to ponad czterdzieści pojemnych fascykułów mieszczących w zasadzie głównie korespondencję od lat sześćdziesiątych do chwili obecnej. Gdyby wykorzystać tu choć małą część



tych materiałów – zawierających tysiące nazwisk i tyleż wydarzeń – zajęłoby to tysiące stron. Przywołałbym niezliczoną ilość osób i sytuacji najczęściej niemających istotnego znaczenia dla kreślonego obrazu. Nie znaczy to, że zrezygnowałem z tego, ponieważ uznałem nieważność tych osób. Decydowała zwykle konieczność pominięcia epizodów rozgrywających się na marginesie wiodących wątków. Samo życie wyznacza ludziom i zdarzeniom należne im miejsce w pamięci.

W moim przekonaniu człowiek nie uświadamia sobie swego bilansu życiowego, nawet jeżeli często robi rachunek sumienia. Broni przed tym wszczepiona w naturę obawa przed koniecznością odarcia myślenia z pewnych zasłon, ukrywających klęski i niepowodzenia stale wychylające się z podświadomości, ale nigdy do końca nie uwzględniane jako elementy decydujące o udanej czy też chybionej drodze życiowej. Dlatego można zrozumieć ludzi jak ognia unikających wspomnień. Spostrzegłem to u osób, które znalazły się w brutalnych śledztwach, w więzieniu, w obozach koncentracyjnych, w łagrach. Nawet weterani wojenni bardzo często nie lubią opowiadać o swoich przeżyciach. Starał mi się to wyjaśnić jeden z weteranów i to dosyć znany. Powiedział, że nie zawsze ci, którzy znaleźli się w ekstremalnych warunkach, nawet jeśli potrafili obronić swą godność, zachowali się w sposób w pełni ich samych zadowalający. Przekonał mnie. Wystarczy zajrzeć do zakamarków własnego życia i wydobyć na wierzch sytuacje wcale nie najdrastyczniejsze, żeby się przekonać, jak bardzo pewne sprawy uwierają w pamięci.

We wstępie do całości tych wspomnień nie odniosłem się do stopnia ich wiarygodności. Nie jest on uzależniony tylko od jakości przekazu, lecz także od jego percepcji. Piszący nie może zrezygnować z wartościowania relacjonowanych wydarzeń i tu właśnie czai się zagrożenie w postaci możliwości zakwestionowania interpretacji wraz z materiałem interpretowanym. Na to nie ma rady i dlatego trzeba się pogodzić z tym, że nawet – wydawałoby się – niekwestionowane fakty będą przyjmowane co najmniej z niedowierzaniem. Chyba żadnych wspomnień taka ewentualność nie omija.

Na koniec muszę jeszcze raz odnotować pewien fakt z mojego pobytu na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim (jeszcze wtedy nie Jana Pawła II). Otóż czuję się nad wyraz wyróżniony. Nie wiem, czy znajdzie się jeszcze ktoś, kto pracował przez czterdzieści lat na tej uczelni i może się poszczycić tym, że nigdy nie otrzymał żadnej nagrody (nagroda za habilitację była zwyczajowa, a nie uznaniowa) ani żadnego odznaczenia. Jest to wyróżnienie o szczególnym wydźwięku i niezwyklej wymowie – coś w rodzaju znaczka skancerowanego w trakcie edycji.

WYKAZ SKRÓTÓW

ABMK	– „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne”
AL	– Armia Ludowa
AP	– Archiwum Państwowe
ASD	– Arcybiskupie Seminarium Duchowne
ATK	– Akademia Teologii Katolickiej
BM	– Biskupa Męczennika
CFA	– <i>Congregatio Fratres Alexiani</i> (łac. Zgromadzenie Braci Aleksjanów), aleksjanie
ChAT	– Chrześcijańska Akademia Teologiczna
ChSS	– Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne
ChUR	– Chrześcijański Uniwersytet Robotniczy
ChZZ	– Chrześcijańskie Związki Zawodowe
CM	– <i>Congregatio Presbiterorum Saeculorum Missionis</i> (łac. Zgromadzenie Księża Misjonarzy), misjonarze św. Wincentego à Paulo
CMF	– <i>Congregatio Missionariorum Fillorum Immacullati Cordis Beatae Mariae Virginis</i> (łac. Zgromadzenie Misjonarzy Synów Niepokalanego Serca Błogosławionej Maryi Dziewicy), klaretyni
CP	– <i>Congregatio Passionis Jesu Christi</i> (łac. Zgromadzenie Męki Pańskiej), pasjoniści
CR	– <i>Congregatio a Resurrectione Domini Nostri Iesu Christi</i> (łac. Zgromadzenie Zmartwychwstania Pana Naszego Jezusa Chrystusa), zmartwychwstańcy
CSSR	– <i>Congregatio Sanctissimi Redemptoris</i> (łac. Zgromadzenie Najświętszego Odkupiciela), redemptoryści
dr h.c.	– <i>doctor honoris causa</i>
FJN	– Front Jedności Narodu
GG	– Generalne Gubernatorstwo
GL	– Gwardia Ludowa
GPU	– <i>Gosudarstwiennoje Politiceskoje Uprawlenije</i> (Państwowy Zarząd Polityczny przy Ludowym Komisariacie Spraw Wewnętrznych Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej)
HJ	– Hitlerjugend
ISP PAN	– Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk
IW PAX	– Instytut Wydawniczy PAX
KEP	– Konferencja Episkopatu Polski
KI	– kontakt informacyjny
KIK	– Klub Inteligencji Katolickiej
KMG	– Kuria Metropolitalna Gnieźnieńska
KO	– kontakt operacyjny
KRN	– Krajowa Rada Narodowa

KUL	– Katolicki Uniwersytet Lubelski
IWP	– ludowe Wojsko Polskie
łac.	– łacina
MBP	– Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego
MIC	– <i>Congregatio Clericorum Marianorum ab Immaculata Conceptionis Beatissimae Virginis Mariae</i> (łac. Zgromadzenie Księży Marianów Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny), marianie
MO	– Milicja Obywatelska
MSF	– <i>Congregatio Missionariorum a Sacra Famillia</i> (łac. Zgromadzenie Misjonarzy Świętej Rodziny), misjonarze
niem.	– niemiecki
NMP	– Najświętsza Maryja Panna
NSD	– Niższe Seminarium Duchowne
NSJ	– Najświętsze Serce Jezusowe
NSPJ	– Najświętsze Serce Pana Jezusa
OCD	– <i>Fratres Discalceatorum Ordinis Beatae Mariae Virginis de Monte Carmelo</i> (łac. Zakon Braci Bosych Najświętszej Maryi Panny z Góry Karmel), karmelici bosi
ODiSS	– Ośrodek Dokumentacji i Studiów Społecznych
OFM	– <i>Ordo Fratrum Minorum</i> (łac. Zakon Braci Mniejszych), franciszkanie
OFMCap	– <i>Ordo Fratrum Minorum Capuccinorum</i> (łac. Zakon Braci Mniejszych Kapucynów), kapucyni
OFMConv	– <i>Ordo Fratrum Minorum Conventualium</i> (łac. Zakon Braci Mniejszych Konwentualnych), franciszkanie konwentualni
OMI	– <i>Oblati Mariae Immaculatae</i> (łac. Oblaci Maryi Niepokalanej), oblaci
OP	– <i>Ordo Praedicatorum</i> (łac. Bracia Zakonu Kaznodziejskiego), dominikanie
OSA	– Oficerska Szkoła Artylerii
OSB	– <i>Ordo Sancti Benedicti</i> (łac. Zakon Świętego Benedykta), benedyktyni
OSBM	– <i>Ordo Sancti Basilii Magni</i> (łac. Zakon Świętego Bazylego Wielkiego), bazylianie
OSPPE	– <i>Ordo Sancti Pauli Primi Eremitae</i> (łac. Zakon Świętego Pawła Pierwszego Pustelnika), paulini
PAN	– Polska Akademia Nauk
PAT	– Papieska Akademia Teologiczna w Krakowie
PAU	– Polska Akademia Umiejętności
PCK	– Polski Czerwony Krzyż
PGR	– Państwowe Gospodarstwo Rolne
PKWN	– Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego
PRON	– Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego
PUBP	– Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
PWSZ	– Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Chełmie
PWT	– Papieski Wydział Teologiczny

PZKS	– Polski Związek Katolicko-Społeczny
RBP	– Resort Bezpieczeństwa Publicznego
RFSRR	– Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka
RNR	– Ruch Narodowo-Radykalny
ROPCiO	– Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela
ros.	– rosyjski
SAC	– <i>Societas Apostolatus Catholici</i> (łac. Stowarzyszenie Apostolstwa Katolickiego), pallotyni
SDB	– <i>Salesiani di Don Bosco</i> (wł. Salezjanie Księdza Bosko), salezjanie
SDS	– <i>Societas Divini Salvatoris</i> (łac. Towarzystwo Boskiego Zbawiciela), salwatorianie
SGH	– Szkoła Główna Handlowa
SGPiS	– Szkoła Główna Planowania i Statystyki
SJ (SI), TJ	– <i>Societas Iesu</i> (łac. Towarzystwo Jezusowe), jezuici
SKMA „Odrodzenie”	– Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Odrodzenie”
SMDP	– <i>Congregatio Ancillarum Boni Pastoris</i> (łac. Służebnice Matki Dobrego Pasterza), pasterzanki
SP	– Stronnictwo Pracy
SPK	– Stowarzyszenie Polskich Kombatantów
SPP	– Sekretariat Prymasa Polski
SVD	– <i>Societas Verbi Divini</i> (łac. Zgromadzenie Słowa Bożego), werbiści
SWAP	– Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce
TChr	– <i>Societas Christi pro Emigrantibus Polonis</i> (łac. Towarzystwo Chrystusowe dla Polonii Zagranicznej), chrystusowcy
TN KUL	– Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
TP KUL	– Towarzystwo Przyjaciół Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego
UAM	– Uniwersytet Adama Mickiewicza w Poznaniu
UJK	– Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie
UMCS	– Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie
UMK	– Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu
UPJPII	– Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie
UW	– Uniwersytet Warszawski
UWM	– Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie
UWr	– Uniwersytet Wrocławski
WAT	– Wojskowa Akademia Techniczna
WMSD	– Wyższe Metropolitalne Seminarium Duchowne w Warszawie
WSD	– Wyższe Seminarium Duchowne
WSR	– Wojskowy Sąd Rejonowy
WUPB	– Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego
ZK Caritas	– Zrzeszenie Katolików Caritas

- „009” zob. Lechicki Czesław
- „Adam” TW zob. Wielgus Stanisław
- „Adam Wysocki” TW zob. Wielgus Stanisław
- Adamsky 247
- Adamski, uczeń 141
- Adamski, dyrektor 247
- Adenauer Konrad 524
- „Agapit” zob. Sikora Eugeniusz
- „Agata” TW zob. Bartodziej Gerhard
- Agnes Regina, s. 801
- Albert CFA 820
- Albrecht Dieter 676
- Aleksandrowicz Marian 845
- Altermatt Urs 634
- Altmajer Emil, ks. 539–541, 564
- Altman J. 433
- Altrichter Helmut 684
- Anchimiuk Jeremiasz, pop (właśc. Jan)
(TW „Janek”) 634
- Anders Władysław 64, 413, 571
- Andrychowski Lech 181
- „Antek” TW zob. Eska Juliusz
- Arad Icchak 516
- Arafat Jasir 511, 521
- Aranau Johannes, ks. 376
- Asher Małgorzata Maria z d. Frydman-
-Mirska 689, 690
- Assmann Werner, ks. 530, 531
- asz-Szukajri Ahmad 511
- Aubert Roger, ks. 399, 403, 404
- Auener Reinhart 684
- Auerbach Marian 105
- Baader Andreas 407
- Bacza Gracjan 618
- Badziński Julian, ks. 282–284, 286, 296,
303, 717
- Bagrowicz Jerzy, ks. 414
- Balcerek Czesław, ks. 216
- Balcerek Zdzisław, ks. 216
- Baley Stefan 192
- Baltrucki Leon, ks. 539, 541
- Banaszak Antoni, ks. 411, 414
- Banaszak Marian, ks. 358, 434, 488
- Baraniak Antoni, abp 241, 380
- Baranowski Jan, ks. 213
- Baranowski Mieczysław, ks. 244
- Bartnik Czesław Stanisław, ks. 639, 640, 693
- Bartodziej Gerhard (TW „Agata”, TW „Waris”)
671
- Bartoszewski Władysław 629, 632
- Baszkiewicz Jan 729
- Baumgartowie 316
- Bazielich Antoni CSSR 346
- Bączkowiec Franciszek, ks. 199
- Becker Josef 496, 534, 654, 674, 684, 686
- Bednarek Eugeniusz 113
- Beethoven Ludwig van 205
- Bem Józef 140
- Bemprad Jack 586, 617, 618
- Bender Ryszard 630, 631, 663
- Benedykt XVI (właśc. Joseph Aloisius
Ratzinger) 707
- Bernacki Bronisław, ks. 758
- Bernacki Lucjan, bp 161, 184, 221, 223, 237,
248, 259, 277, 301, 303, 307, 370
- Besier Gernard 514
- Bevilacqua Anthony, kard. 558
- Beynar Leon Lech 616
- Bielak Włodzimierz, ks. 339
- Bielerzewski Ludwik, ks. 388, 389, 702–705
- Bieliński Kazimierz 104, 107, 142
- Biernacki 13
- Biernacki Bronisław, ks. 748
- Bierut Bolesław 268
- Bilczewski Józef, abp 841
- Bingen Dieter 669
- Blejwas Stanislaus A. 546, 547
- Bloch Czesław (TW „Pedagog”) 425, 480,
486, 544, 614, 639, 658, 817, 835
- Bloch Teresa 835
- Blumenwitz Dieter 664–667
- Błaszczński Mieczysław 113, 141, 147

- Błażejowski Włodzimierz 109, 147
 Błażuk Zdzisław 105
 Bober Andrzej SJ 339
 Bober Sabina 5, 426, 427, 450, 451
 Bogacki 54
 Bohaterewicz Bronisław 767
 Bojanowski Edmund 297
 „Bolesław” TW zob. Pylak Bolesław
 Boll Friedhelm 460
 Bolz Adam (Bogdan), ks. 187, 189, 190, 201, 210, 526
 Bońkowski Stanisław, ks. 334, 393
 Borowski Antoni, ks. 343, 344
 Bortnowski Władysław 25, 571
 Borzyszkowski Józef 15
 Boudou Adrien 455
 Bramski 748, 752, 755, 760
 Brandmüller Walter, ks. 683
 Brasse Aleksy, ks. 224
 Braun Eva 42
 Brenneke Adolf 337, 454
 Brieske Jack 556, 557
 Brieske Lucy 556, 557
 Bröhl Johannes, ks. 843
 Bronstein 225
 Bross Stanisław, ks. 7, 184, 201, 209–216, 225
 Brozowski Edmund 239
 Bruski Józef, ks. 90
 Bryjak Stanisław, ks. 283, 288
 Brząkała Aleksander, ks. 44
 Brzostowska Zofia (Kapuścianańska Zofia, „Supel”, „Zofia”, „Zofinder”) 430, 792
 Budasz 288
 Budnik Magdalena 144
 Budziarek Marek 450
 Bunsch Karol 227
 Burckhardt Jacob 345
 Bush George W. 698
 Buzek Andrzej 369

 Cała Alina 693, 694
 Canaris Wilhelm 35
 Cano Melchior OP 196
 Cenckiewicz Sławomir 736
 Ceynowa Tadeusz, ks. 453

 Cezar Juliusz 106, 138
 Chappetto Raymond 569
 Chlewiński Zdzisław, ks. 485
 Chmiel Aleksandra 460
 Chodakiewicz Marek Jan 698
 Chodźdło Teofil SVD 340, 345, 475
 Chojnacki Władysław 539
 Chołoniewska 331
 Chomicki Antoni, ks. 755, 756, 758
 Choromański Zygmunt, bp 283
 Chrapek Jan MIC, bp 834
 Chraplak 250, 257
 Chrostowski Waldemar 693
 Ciechanowski Bolesław 15
 Cieplak Jan Feliks, abp 405
 Cieszyńscy 248
 Cieślińska Olga 105
 Cieślowska Zofia 108, 143
 Cimoszewicz Włodzimierz 733
 Cook Thomas, kard. 619
 Cyceron 105, 106, 189
 Czabanowska Eugenia 105
 Czajkowski Michał, ks. (TW „Jankowski”) 695, 722
 Czapliński Bernard, bp 441
 Czarniecki Stefan 139
 „Czarnos” TW zob. Maliński Mieczysław
 „Czarny” TW zob. Maliński Mieczysław
 Czartoryscy 662, 663
 Czartoryski Paweł 663
 Czerniak Jan, bp 175, 193, 312, 313, 332, 356, 363, 371, 386, 526
 Czerny-Stefańska Halina 182
 Czubiński Antoni 669, 729, 739
 Czyżewski Antoni Jerzy, ks. 662, 663

 D'Anjou, ks. 567, 568
 Dachtera Franciszek, ks. 187
 Dachtera Leon, ks. 187–189, 196, 197, 200
 Dahm Helmut 686
 Danielscy 15, 26
 Danielska Aleksandra zob. Zielińska Aleksandra
 Danielska Bronisława z d. Turowska 19
 Danielska Teodozja 19, 24, 38
 Danielski Alojzy 21

Danielski Stanisław 16
 Danielski Zygmunt 20
 Dąbrowski Jan Henryk 402
 Dąbrowski Jerzy, bp (TW „Ignacy”) 7, 168,
 169, 181, 206, 209, 269–271, 278, 326,
 525, 651
 Dąbrowski Józef, ks. 326
 Dąbrowski Karol 105
 Dąbrowski Sławomir 358
 Deckert Mariusz 5
 Dedecius Karl 669
 Dewicza Jerzy 297
 Dębowska Maria 450, 484, 487, 653
 Diekamp Franz 390
 Dispenza Charlie 577
 Dispenza Loree 577
 Dispenza, córka 577
 Dmochowski 330, 331
 Dmowski Roman 538
 Dobraczyński Jan 728
 Dola Kazimierz, ks. 433
 Domański Bolesław, ks. 135
 Domański Franciszek 538
 Dopierała Władysław, ks. 240, 242
 Duda Andrzej 9
 Dunin-Wąsowicz Krzysztof 652, 689, 691
 Duraczyński Eugeniusz 661
 Durzyński Stefan, ks. 207
 Dutkiewicz 38
 Dziurok Adam 132, 486

 E.G. 151
 Eisenhower Dwight 60
 Erdmann 69–71
 Erdmannowa 68, 69
 Erdmannowie 36, 48, 49, 67–69
 Erhard Albert 462
 Eska Juliusz (TW „Antek”, TW „Teolog”) 387
 Ettinger Shmuel 516, 517
 Eugenio, o. 400, 409
 Everett Thomas 391

 Faber Klaus, ks. 802
 Fajszwis Józef zob. Kutrzeba Józef
 Fajwiszys Izrael 616
 Falkowski Stanisław, ks. 585, 616, 617

 Faulhaber Michael von, kard. 513
 Feliński Zygmunt Szczęsny, abp 14
 „Fermo” TW zob. Paetz Juliusz
 Field William Noe, ks. 566, 567, 572
 Filipowicz Stefan SJ (TW „Janiszewski”) 538
 Filipowicz Zygmunt 425
 Florczyk Henryk, ks. 181
 Fokciński Hieronim SJ 417, 418, 737
 Fons Józef, ks. 165
 Fornalska Małgorzata 268
 Forster Albert 43, 45
 Frank Hans 81
 Frankl Stanisław, ks. 841
 Frankowski Jan 425
 Fredro-Boniecki Adam MIC 834
 Frelichowski Stefan, ks. 373
 Fuhlroth Josef 228

 Gaczol Jan 332
 Gajtkowski Alfons 146, 148
 Galos Adam 372
 Gałdyński Kazimierz, ks. 113, 232
 Gałdyński Roman 113
 Gałka Andrzej, ks. 452, 482
 Gałkowski Jerzy 384
 Gapiński 103, 104, 116
 Garcia Otto L., ks. 568, 569
 Gastpary Woldemar 644
 Gaszak Władysław 217
 Gatzek Władysław, ks. 274, 279, 315
 Gawlina Józef, abp 547
 Gehlen Maria 797
 Geppert Ignacy, ks. 107
 Gert 47, 74
 Giela Joachim, ks. 339, 452, 487
 Gierek Edward 146, 669, 710
 Gieysztor Aleksander 651, 652
 Gilmont Jean-François 399
 Glemp Józef, kard. 7, 165, 181, 213, 283, 377,
 480, 491, 494, 495, 526, 708, 728, 823, 834
 Głaczyński 101
 Gładyszewski Ludwik, ks. 159, 190, 227,
 228, 806, 807
 Głow Kazimierz, ks. 321, 322
 Głowczewska 38, 91
 Głubczyński 259

- Gocłowski Tadeusz, bp 818, 819
 Godlewski 148
 Goebbels Joseph 31
 Goerdeler Carl Friedrich 63
 Gołubiew Antoni 227
 Gomułka Władysław 146, 229, 400
 Gontarczyk Piotr 736
 Gorączko Jan 107, 147–149, 157
 Gotto Klaus 676
 Goździewicz Hieronim, ks. (TW „Heniek”) 283, 347, 706
 Gólnik Władysław, ks. 226
 Górecki Józef 113, 297
 Górnikiewicz Edward 138
 Görres Joseph 373
 Górski Karol 366
 Górski Władysław 541, 542, 553, 555, 563, 566, 657
 Grabski Jan Władysław 227
 Grabski Władysław 227
 Graczyk Roman 471
 Gramatowski Wiktor SJ 418
 Granat Wincenty, ks. 330, 352, 364, 379, 380, 382–385
 Greeff Étienne de 226
 „Grey” TW zob. Wielgus Stanisław
 Grondelski John 596, 604, 606, 761, 763, 767, 821, 839
 Grondelski John (Jan) 821
 Gronkiewicz Adriana Teresa MSF 452
 Gross Jan Tomasz 523, 690, 696, 699
 Grottger Artur 766
 Gruszczyńska Kazimiera 453
 Gryglewicz Feliks, ks. 327
 Gryglewiczowa 546
 Gryglewiczowie 546
 Grzebień Ludwik SJ 227
 Grzechowiak Stanisław, ks. 227
 Grzegorz XVI (właśc. Bartolomeo Alberto Cappellari) 474
 Grzela Andrzej, ks. 535
 Grześkowiak Alicja 645
 Guarino Thomas G., ks. 605
 Guevara Ernesto Che 410
 Gustaw Romuald (Michał) OFM 338, 339, 477
 Gutman 520
 Gutteridge Richard 517
 Guzewicz Wojciech 452
 Haendel Jerzy Fryderyk 207
 Hagest-Gorzela 332
 Hain Stefan, ks. 357, 358
 Halka-Ledóchowski Mieczysław Jan, kard. 372, 376, 707–709, 728, 816
 Halkowski Henryk 693
 Haller Józef 544
 Hałasa 483
 Hamryszczak Artur 339
 Handelsman Marcei 433, 641
 Hannemannowie 46, 72
 „Hannibal” zob. Piotrowicz Ludwik Marian
 Hanseemann Ferdynand von 16
 Harahan Robert E., ks. 604
 Hartmann Stefan, ks. 632
 Hass 113, 141
 Haydn Joseph 206
 Hehl Ulrich von 677
 Heiden von der 797
 Heinkel Ernst 28
 Hemperek Piotr, bp 493
 „Heniek” TW zob. Goździewicz Hieronim
 Hannelowa Józefa 834
 Herbst Stanisław 649, 726, 727
 Hermanowicz Ryszard, ks. 560
 Hildebrandt Konrad, ks. 177
 Hildegarda 681
 Himmler Heinrich 20, 28, 58
 Hiss Hubert 799
 Hiss Willy, ks. 799, 596
 „Historyk” TW zob. Kłoczowski Jerzy
 Hitler Adolf 17, 28, 31, 42, 46, 47, 56, 59, 61–63, 69, 73, 123, 419, 509, 532, 533, 661
 Hlond August SDB, kard. 224, 283, 347, 348, 392, 429, 626, 627, 633, 659, 660, 707
 Hoffmann 56
 Holzapfel Helmut, ks. 5, 679–681
 Hołda Kazimierz, ks. 171, 172, 183
 Hołownia Szymon 834
 Homerski Józef, ks. 780
 „Honorata” TW zob. Wicher Władysław
 Horchemowie 589, 611, 613, 614

Horoszewicz Michał 694, 721, 722
 Hoveling Gabriele 527
 Hrbcza 381
 Hrubá Olga 621, 622
 Hryniewicz Wacław OMI 331
 Hucal Mikołaj OSPPE 749, 752
 Huizinga Johan 345
 Humerczyk Zygmunt, ks. 181
 Hürten Heinz 624, 627, 668, 686
 Hutten-Czapski Bogdan 255

 „Ignacy” TW zob. Dąbrowski Jerzy
 „Ignacy Zawadzki” TW zob. Krukowski Józef
 Immenkötter Herbert 684
 Ippendorf Engelbert, ks. 796, 797
 Irene, s. 259
 Iwanicki Józef, ks. 380

 J.B. 551
 Jabłoński Henryk 727
 Jackson Michael 222
 Jacquin Alcide Mannès 460
 Jagielski Mieczysław 710
 Jągosz Michał, ks. 743
 Jakóbczyk Witold 367, 369, 376, 377, 395
 Jałowiecki Mieczysław 721
 Jan XXIII (właśc. Angelo Giuseppe Roncalli) 722
 Jan Paweł II (właśc. Karol Wojtyła) 341, 342, 380, 384, 417, 471, 590–592, 594, 617, 693, 703, 706, 743, 761, 817, 819, 820, 832, 833
 Janaczek Stanisław 448
 „Janek” TW zob. Anchemiuk Jeremiasz
 „Janiszewski” TW zob. Filipowicz Stefan
 „Jankowski” TW zob. Czajkowski Michał
 Janowski Włodzimierz 460
 Januszewscy 79
 Jarowiecki Jerzy 424
 Jaruzelski Wojciech 615, 710, 712, 728, 731
 Jasiewicz Krzysztof 697–701
 Jaworowski Antoni, ks. 556
 Jaworski Marian, kard. 841
 Jedin Hubert 460, 475
 Jedwabski Franciszek, bp 230
 Jeszke Jerzy 787

Jędruszczak Tadeusz, bp 646
 Jonca Karol 529, 579
 Jones 576
 „Józef” TW zob. Krąpiec Mieczysław Albert Maria
 Józwiak Franciszek 89
 Józwiak Wacław, ks. 200
 Judycka Agata 816
 Judycki Zbigniew Andrzej 815–818
 Juros Helmut SDS 660
 Juszcak Ryszard 820

 „K” TW zob. Skubiszewski Krzysztof
 K. Krzysztof 439
 K.P. 303
 Kacnelson Dora 584, 694, 695
 Kaczmarek Benon 232
 Kaczmarek Czesław, bp 360
 Kaczmarek Kazimierz, ks. 273
 Kaczmarek Krzysztof 553
 Kaczyński Jarosław 670
 Kahane Dawid 523
 Kaletsch 678
 Kalisiak Wiesław, ks. 322
 Kałwa Piotr, bp 379, 380
 Kamilewski Ludwik, ks. 762, 763
 Kamińska 101
 Kamiński Czesław TChr 659
 Kamiński Feliks 105, 150
 Kamiński Kazimierz, ks. 807
 Kamiński Stanisław, ks. 470
 Kania Janusz, ks. 450, 486, 487
 Kapuścińska Zofia zob. Brzostowska Zofia
 Karolczyk Kazimierz 38, 49, 154–156
 Karolczykowa 76, 155
 Karolczykowie 154
 Karolingowie 600
 Karp Hans-Jürgen 624, 627, 654, 668, 673, 678, 686
 Karpowie 526, 674, 678
 Karwowski Stanisław 315
 Kasperkiewicz B. 97, 98
 Kaszkiewicz Aleksander 767
 Kąkol Kazimierz 688, 690, 725, 732
 Keller Józef, ks. 326
 Kennedy John 556

- Kennemann Hermann 16
 Kersten Krystyna 738
 Keuser Friedhelm, ks. 596, 796, 804
 Kętrzyński Stanisław 766
 Kętrzyński Wojciech 766
 Kiedos Józef, ks. 449
 Kieniewicz Stefan 651, 662
 Kiernicki Rafał OFMConv 507, 761
 Kierzek Władysław, ks. 164, 168, 221
 Kinecki Sylwester, ks. 282, 283
 Kiszczak Czesław 712
 Kiszewscy 249
 Kiszewski Longin 249
 Klauza Karol 841
 Klies Gerhard, ks. 164
 Klimacki Ignacy, ks. 111, 112, 162, 240
 Klimkiewicz Witold, ks. 371, 707–709, 728
 Klimkiewiczówny, siostry 707
 Kłoczowski Jerzy (TW „Historyk”) 341, 372, 437, 648, 649, 651, 652
 Kłoniecki Felician, ks. 182, 193–195, 211, 214, 215, 220, 225, 526
 Knasiakowski 101, 102
 Kobs Franciszek, ks. 165
 Kobuszewski Jan 588
 Kobyłecki Stanisław, ks. 322, 326
 Koch Anton 228
 Kociuba Zbigniew 740, 741, 746, 747
 Kohl Helmut 667
 Köhler Joachim 624, 628
 Kojzar Antoni 325
 Kokowski Franciszek, ks. 164
 Kolasa 483
 Kolenkiewicz Louis 557
 Kołodziej Bernard TChr 449
 Komczyński Ryszard, ks. 162, 232
 Komeński Jan Amos (Komeniusz) 195
 Kominek Bolesław, kard. 695
 Komorowski 287
 Kondziela Joachim, ks. 687
 Konopnicka Maria 766
 Kopeć Edward, ks. 353, 831
 Kopernik Mikołaj 663
 Kopiec Jan, bp 627, 822
 Körner 247
 Korsak Piotr 127
 Kosiński Ignacy 836
 Kosiński Stanisław SDB 429, 430, 659, 707
 „Kosk” TW zob. Skubiszewski Krzysztof
 Kostka Stanisław, ks. 183, 292, 333, 586
 Kościuszko Tadeusz 571, 572, 671, 767
 Kotlimowski Roman, ks. 767
 Kotowski Albert Stefan 668
 Kotowski Wojciech 668
 Kowalczyk Stanisław, ks. 426
 Kowalski Józef, bp 380
 Kowalski Seweryn, ks. 193, 194, 208
 Kozak-Sadowska Anita 806
 Kozioł Jan 487
 Kozłowski Władysław, ks. 308
 Kracik Jan, ks. 400, 404
 Krahel Tadeusz, ks. 655
 Krakowski Shmuel 514, 515, 690
 Krankowski 20, 22, 23
 Kraszewski Józef Ignacy, bp 227
 Krawczak Tadeusz 460
 Krąpiec Mieczysław Albert Maria OP (TW „Józef”) 394, 425, 437, 480, 482, 484, 485, 639–641, 656, 792, 793
 Kreisner Wiesław, ks. 273
 Krimpenfort Otto, ks. 44
 Kroll Henryk 671, 672
 Kromkowski John, ks. 579–581
 Król John (Jan), kard. 558
 Krucina Jan, ks. 322
 Krukowski Józef, ks. (TW „Ignacy Zawadzki”) 371
 Krupa Andrzej Ludwik OFM 359–362
 Kryński Andrzej, ks. 774, 776
 Krystyna, s. 845
 Kryszak Franciszek, ks. 201, 228, 233
 Kryzan 177
 Kucharski Wojciech 460
 Kuczyński 413
 Kudasiewicz Józef, ks. 327
 Kukliński Ryszard 834
 Kulesza Witold 734
 Kulka Otto Dov 510
 Kumor Bolesław, ks. 329, 344, 354, 390, 394–396, 429, 433, 434, 436–438, 442–444, 479, 482–484, 487, 489, 490
 Kupczyk Jan Nepomucen, ks. 258

Kuroń Jacek 695
Kurowski Błażej Bernard OFM 452
Kurzawski Czesław, ks. 299, 300, 302
Kutrzeba Józef (właśc. Fajszwis Józef) 585,
586, 615–617
Kwaśniewski Aleksander 827, 828

„L” TW zob. Lechicki Czesław
Labenz (Łabędź) Walerian, ks. 43
Labuda Gerard 265
Lanartowski Grzegorz 791
Landis 565, 571
Langkammer Hugolin Helmut OFM 779
Larski 249
Lasota Marek 132
Le Bras Gabriel 649
Lechicki Czesław („009”, TW „L”, TW „Nil”) 471
Legowicz Jan OFM 325
Leitgeber Włodzimierz, ks. 256, 257
Lemański 141
Lemański Leon, ks. 159
Lempp Albrecht 668
Lenartowski Grzegorz 382, 385, 793
Lenin Włodzimierz 131, 410, 756
Lenort Feliks, ks. 473, 474, 703
Leon XIII (właśc. Gioacchino Vincenzo Raphaelo Luigi Pecci) 473, 474
Leszczyński Adam 697
Leszczyński Mariusz, bp 6, 449, 451
Libelt Karol 257
Libionka Dariusz 699
Librowski Stanisław, ks. 337, 338, 429, 444, 470, 479, 482–484, 489, 655
Lichnowscy 565
Lichnowski Kazimierz 565
Liedtke Antoni, ks. 376
Lijewski Józef 247
Lill Rudolf 514, 653, 674, 686
Lipińska Olga 588
Lipski Jan Józef 695
Lipski Kazimierz 588, 589
Lis Krzysztof, ks. 452
Lortz Joseph 434, 461, 462
Lübke 55
Ludwik XVI 335

Luft Bogumił, ks. (właśc. Andrzej Antoni Luft) 472
Luks Leonid 624, 685, 686
Lüssem 530
Luter Marcin 328, 459, 461, 462, 634, 636
Luthe Hubert, bp 630

Łabędzki Józef 115, 129, 131
Łabędź Walerian zob. Labenz Walerian
Łach Stanisław, ks. 328, 362
Łapot Józef, ks. 227
Łatka Rafał 10, 486
Łoś Stanisław 342
Łuczak Czesław 669, 734
Łukaszenka Aleksandr 823
Łukaszuk Romuald, ks. 354

M.P. 113
Maccarrone Michele 652
Mach 53
Macharski Franciszek, kard. 834
Maciejewski 295
Maciołka Michał, ks. 704, 708
Maczek Stanisław 419
Madajczyk Czesław 377, 460, 510, 512, 520, 622, 624, 669, 670, 726, 779, 780
Madajczyk Piotr 624, 627
Mai Paul, ks. 624
Majewski 354
Majkowska 20, 23
„Maks” zob. Skorupski Maksym
Malewska Hanna 372
Maliński Mieczysław, ks. (TW „Czarnos”, TW „Czarny”, TW „Mechanik”) 330, 820
Małunowiczówna Leokadia 331, 408
Manthey Franz, ks. 372, 373
Manthey Jan, ks. 373
Mańkowski Alfons, ks. 393
Marciniak Franciszek 106, 108, 148, 157
Marcinkowscy 206
Marek Łucja 132
Markiewicz Władysław 827
Markowicz Kazimierz 824
Marks Karl 410
Marlewski Czesław, ks. 307
Marrou Henri Irénée 412

Martin Bernd 669
 Martyniakowa 330
 Matej-Horchem 610
 Matejanka Jadwiga 251
 Matejczuk Stanisław 614
 Matkowska Helena 553
 Matwijowski Krystyn 822
 Matz Edmund, ks. 239
 Mazowiecki Tadeusz 667
 Mączyński Franciszek, ks. 411
 McCarrick Theodore 619
 McLean George Francis OMI 554, 555, 564,
 565, 571, 578
 „Mechanik” TW zob. Maliński Mieczysław
 Meersch Maxence van der 226
 Meger 47
 Meinhof Ulrike 407
 Meisner 802, 803
 Meisner Heinrich Otto 454
 Mencil Tadeusz 352, 367–369
 Messner Zbigniew 827
 Micewski Bolesław CR 658
 Michalczak Eugeniusz, ks. 214
 Michalikowie 618
 Michalski Jan, bp 199
 Michalski Zdzisław 113, 131
 Michlic Joanna B. 698, 699
 Michnik Adam 615, 631
 Michowicz Waldemar 811
 Mickiewicz Adam 341, 391, 694, 767
 Mikat Paul 687
 Mikołaj I 455, 474
 Mikołajczyk Stanisław 134
 Mirecka-Loryś Maria 553
 Mirewicz Jerzy SJ 186
 Misiak Szczepan, ks. 317
 Misiuda Józef 487
 Mistecka Maria Lucyna CR 448, 450, 486,
 487, 648
 Misztal Henryk 491
 Mizerski Jerzy, ks. 321
 Młotkowski Henryk, ks. 164, 228
 Molenda Liliana 16
 Molik Witold 709
 Mollette Charles, ks. 653
 Mołotow Władysław 661
 Moore (Morus) Thomas 180
 Morawski Kazimierz 425
 Morsey Rudolf 676
 Mosin Siergiej 136
 Mostowiak Tadeusz 297
 Moszczeńska Wanda 338
 Motyka Andrzej, ks. 452
 Mozart Wolfgang Amadeus 213, 221
 Mroczek 96
 Mrotek Edward, ks. 254
 Mrotek Róża 254
 Mrówczyński Jerzy CR 376
 Mrugasiewicz Jerzy, ks. 226, 274, 281, 402,
 676, 679
 Mulewski Bernard, ks. 100, 105, 236, 330
 Musiał Bogdan 698
 Musiał Filip 132, 538
 Muszyński 250
 Muszyński Kazimierz, ks. 250, 535, 537, 571,
 589
 Mydłach 68
 Mysłak Wiesław 643
 Myszor Jerzy, ks. 624, 633
 Nabywaniec Stanisław, ks. 844
 Nadolny Anastazy, ks. 6, 448, 668
 Nalberczak Józef 588
 Nanke Czesław 107
 Napiórkowski Stanisław Celestyn OFMConv
 841, 842
 Nattermannowie 530
 Nawrocki Stanisław 825
 Nervi Pier Luigi 417
 Neumann Gertruda 798
 Neumann Wiesława 113
 Nieniewska Halina 105
 Niesiołowski Stefan 631
 Nietzsche Friedrich 624
 Niezgoda Cecylia OFMConv 196
 „Nil” TW zob. Lechicki Czesław
 Nocuń Edward CSSR 452
 Noldin Hieronim SJ 197, 198, 235, 353
 Noone Kevin, ks. 569
 Norwid Cyprian Kamil 482
 Noskova Albina 840
 Nosowski Zbigniew 834

- Noszczak Bartłomiej 207, 460
 Nowaczyk Józef, ks. 215, 225, 262, 263, 270, 386
 Nowak Jan, ks. 181, 216
 Nowak Stefan 711
- Obertyński Zdzisław, ks. 433
 Obirek Stanisław 822, 823
 Obniska Wanda 108, 115, 141, 148
 Obracht-Prondzyński Cezary 15
 Ochowiak Tadeusz 206
 Oczachowski Aleksander, ks. 213, 228
 Olech Wojciech, ks. 326
 Olejnik Stanisław, ks. 380
 Olkiewicz Roman 312
 Olszański 769
 Olszar Henryk, ks. 451, 452
 Olszewski Andrzej Kazimierz 564, 594
 Olszewski Henryk 731
 Orłowski Bolesław 816
 Orzeszkowa Eliza 767
 Osadczy Włodzimierz 452, 764
 Osiński Wojciech, ks. 223
 Ossowski Stanisław 711
 Ostrowscy 804, 805
 Ostrowski Zbigniew 805
 Ośmiałowski 249
- Pacyna Józef, ks. 160, 176, 182, 186, 191, 199, 201, 203, 204, 207, 208, 211, 213, 214, 225, 229, 236, 301, 303, 318, 320, 358, 524–526
 Padacz Władysław, ks. 209, 210, 211
 Paetz Juliusz, abp (TW „Fermo”) 769
 Pająk 267
 Palestrina Giovanni Pierluigi da 221
 Palewodziński Edmund, ks. 191, 260
 Paluchowski Andrzej 489
 Pałkin Aron 136
 Pałubicki Janusz 733
 Pałucki Jerzy, ks. 838
 Panek Walerian, ks. 258
 Panfil Tomasz 428
 Pant Eduard 673
 Pańków Stanisław 338
 Papierkowski Zdzisław 360–363, 367, 383
- Papke 12, 33
 Parsch Pius 201
 Pasierb Janusz, ks. 441
 Pasierbek Wit SJ 538
 Pasternaccy 61, 77, 92
 Pasternacka Romanowa 77
 Paszkowski Roman 727
 Patyk Tadeusz, ks. 228
 Patyna 76
 Pawelczak Władysław, ks. 199
 Paweł VI (właśc. Giovanni Battista Enrico Antonio Maria Montini) 417
 Pawełczyńska Anna 711, 842, 843
 Pawlak Ireneusz, ks. 222, 730, 791
 Pawlik 653
 Pawlikowska Anna 700
 „Pedagog” TW zob. Bloch Czesław
 Pek Kazimierz MIC 841
 Pelz Bogdan, ks. 175
 Peret Marian 821
 Perz Aleksander (Franciszek) MIC 201, 202, 233
 Perzanowski Zbigniew 338
 Peterson Thomas Reginald OP 603
 Piątkowska Renata 693
 Pichlmeier Mathilde 419, 420
 Piel Michał SDS 452
 Piersa Henryk 384
 Piesiewicz Krzysztof 834
 Pieszczoch Szczepan, ks. 204, 526
 Pietroń Leon, ks. 818, 819
 Pietruszka Adam 715
 Pietrzak Jerzy Kazimierz 645, 708, 803
 Pietrzak Włodzimierz 730
 Pietrzykowski Jan SDB 449, 451
 Piętak Arkadiusz 453
 Pilichowski Czesław 732
 Piłsudski Józef 139, 140, 501, 502, 671, 767
 Pinochet August 664
 Piotrowicz Ludwik Marian („Hannibal”) 187, 190
 Piotrowski Czesław, ks. 195, 235, 246
 Piszcz Edmund, abp 441
 Pius VI (właśc. Giovanni Angelo Braschi) 443
 Pius VII (właśc. Gregorio Luigi Barnaba Chiaramonti) 443

- Pius IX (właśc. Giovanni Maria Mastai Ferretti) 474
- Pius XII (właśc. Pacelli Eugenio Maria Giuseppe Giovanni) 123, 196, 325, 456, 626, 661, 722, 825
- Piowowski Władysław, ks. 281, 392, 393, 485, 630, 634, 645
- Plater 413
- Płotkowie 77, 82
- Począta Stanisław, ks. 184, 185
- Pohl Stanisław, ks. 202, 207, 209
- Pokrzywiński *vel* Pock 59
- Polak Wojciech, abp 844
- Politowski 250
- Polonsky Anthony 699, 700
- Popiek Leon 655
- Popiel-Chościak Wincenty Teofil, abp 452
- Popiełuszko Jerzy, ks. 695, 715, 834
- Poplatek Władysław, ks. 343, 353, 359, 368, 395, 767, 791–793, 831
- Poray-Wybranowska Anna 584, 587, 588
- Pospieszalski KM 43
- Prejs Roland OFMCap 6, 450
- Prümer Heinrich 198
- Pryłowski Antoni, ks. 181
- Przeciszewski Marcin 834
- Przybyłski Bernard OP 185
- Przyłuski Leon, abp 375, 385
- Puławski Zygmunt 28
- Pylak Bolesław, abp (TW „Bolesław”, TW „Teolog”) 486, 725, 791, 792
- Radecki 13
- Radomska Irena 547
- Radtke 45, 77
- Radziwiłł Jerzy 346
- Raina Peter 738
- Raiter Henryk, ks. 175, 278, 312, 313, 363
- Rakowski Mieczysław Franciszek 731, 827
- Reagan Ronald 621
- Rechowicz Marian Józef, bp 324, 329, 336, 344, 345, 353, 356, 360–365, 367, 395, 403, 404, 436, 437, 442, 479, 484, 487, 490, 718, 793
- Reczek Eugeniusz SJ 386, 417
- Reifferscheid Gerhard 529
- Reinpfand 798, 799
- Rembacz Kazimierz, ks. 411
- Repgen Konrad 510, 513, 514, 660, 674, 676, 686
- Ribbentrop Joachim von 661
- Rochon 293
- Rodziewiczówna Maria 767
- Rosen Philip 580
- Rosieński Edmund, ks. 200
- Rosik Seweryn, ks. 354
- Rostworowski Emanuel 662
- Roszkowski Wojciech 594
- Rożek Edward 537
- Rólski Czesław, ks. 262–264, 272, 283
- Różewicz Tadeusz, ks. 162, 232
- Rubinkiewicz Ryszard, ks. 693, 831
- „Rudi” Kł. zob. Stehle Hansjakob
- Rudziejewska Eufemia 100, 104, 106
- Rufeisen Daniel OCD 517, 618
- Ruge Elisabeth 684
- Ruge Peter 684
- Rybczyk Józef, ks. 360, 362, 483
- Rybczyński Henryk, ks. 644
- Rydzewski Władysław 104
- Salustiusz 105
- Salwa Tadeusz CM 844
- Samaran Charles 338, 412
- Sapieha Adam Stefan, kard. 645
- Sass Józef 48
- Sass Marek 90
- Sawicki Stefan 482, 485
- Sawuszkina Robert A. 661
- Schmelter Jan zob. Szmelter Jan
- Schmidt 802
- Schmidt Bruno 33
- Schmidt Erich 33
- Schneider John 574
- Schneiderowie 574
- Schnürer Gustav 345
- Scholder Klaus 514
- Scholz, ks. 533
- Scholz, prof. 600, 604
- Schönborn Christoph OP 420
- Schörner Ferdinand 73
- Schroeiberowie 78

Schubert Franz 206
 Schulz Bruno 373
 Schürer Emil 390
 Szczaniecki Paweł Tadeusz OSB 717, 817
 Semrau Tadeusz, ks. 162
 Serafina 601
 Shnyder 574
 Sieniatycki Maciej 200
 Sienkiewicz 87
 Sienkiewicz Henryk 766, 767
 Sierchuła Rafał 553
 Sikora Eugeniusz, ks. („Agapit”) 165, 209, 220, 221
 Sikorski Władysław 64
 Silverman Peter 586, 587
 Simoni Janusz (Joram) 522, 692
 Simons Elsa 797, 802
 Simons Hans 797, 802, 803
 Simons Roswitha 797
 Simonsowie 804
 Siuda Alfons, ks. 112, 162, 215, 231, 233, 239, 242
 Skorupski Maksym („Maks”) 764
 Skowronek Alfons, ks. 634
 Skowroński Jan 114
 Skowyra Franciszek 657
 Skowyra Irena 657
 Skrabania Jerzy Henryk SVD 452
 Skrzyniarz Ryszard 339
 Skubiszewski Krzysztof (TW „K”, TW „Kosk”) 644
 Skulimowski Marek 540
 Skwara Jerzy 656, 677
 Sloskāns Boļeslavs, abp 404, 405
 Słomkowski Antoni, ks. 380
 Smaruj Stefan, ks. 314
 Smaruj Unisław, ks. 308, 310, 311, 314, 315, 319
 Smet Josef Maria de 399, 403, 404, 409
 Smoleń Władysław, ks. 484
 Smolikowski Paweł CR 376
 Smolka Franciszek 766
 Smolka Stanisław 766
 Smushkowitz David 586
 Smutelowicz Peter 599
 Sobczak Kazimierz 727
 Sobczak Stanisław, ks. 202–204, 219
 Sobieraj Maciej 486
 Sobieski Jan 764
 Socha Paweł CM 844
 Sojka Kazimierz, ks. 307, 311
 Sotowski Władysław Ignacy OFMConv 485
 Sowa Jan 701, 702
 Sójka Kazimierz, ks. 255
 Spieker Manfred 686
 Splett Carl Maria, bp 43
 Stablewski Florian, ks. 720
 Stablewski Stefan Florian, abp 720, 721
 Stachowiak 265
 Stachowiak, uczeń 130, 145
 Stalin Józef 53, 66, 91, 135, 136, 422, 752, 760, 761
 Stanaszek Bogdan, ks. 6, 449, 451, 467
 Stanowski Adam 183, 352, 371, 714
 Starzyński Teofil 539
 Stasik Franciszek 167
 Staszak Feliks, ks. 184
 Stauffenberg Claus von 62
 Stawski Józef, ks. 207–209, 228, 229
 Stebler Max 786
 Stefański Jerzy, ks. 417
 Stefczyk Stanisław 766
 Stehle Hansjakob (KI „Rudi”) 629
 Stein Stan 723
 Steinach Erika 28
 Stępień Maciej Bogdan 453
 Stępień Sławomir 460
 Stopniak Franciszek, ks. 346, 355, 381, 639, 647, 688
 Stopniak Piotr, ks. 326, 327
 Strachocki Janusz 588
 Strauchold Grzegorz 460
 Strobel Georg Waldemar 35, 624–628, 633, 684
 Stróżewski 81
 Struzik Adam 671
 Strzembosz Tomasz 698
 Strzeszewski Czesław 202
 Strzyżewski Łucjan 247, 249
 Suberlak 266
 Suchoccy 297, 315, 316, 718
 Suchocka Hanna 733, 735

- Suchocki 235
 Suchocki Józef 288
 Sucholski Romuald 705
 Sufryd Leon, ks. 167
 Sułowski Zygmunt 403, 489
 Sumiła Anna Maria z d. Radomska 708
 „Supeł” zob. Brzostowska Zofia
 Surmacz Ryszard 842
 Synowiec Damian OFMConv 346
 Szajnocha Karol 766
 Szal Adam, abp 6, 449, 844
 Szalkowski Leon 161, 192
 Szarota Tomasz 59
 Szczepaniak Jan, ks. 132
 Szczudłowski Piotr 452, 685, 713
 Szeptycki Andrzej OSBM 523
 Szlachcic Franciszek 706
 Szmelter (Schmelter) Jan 286, 298–302, 312
 Sołtysik 310
 Szostek Andrzej MIC 829, 830, 832, 833, 837, 840
 Szot Adam, ks. 452, 453
 Szukalscy 40
 Szyling Jan 647
 Szymański 53
 Szymański Aleksander 299, 301, 303
 Szymański Antoni, ks. 375
 Szymański Eugeniusz, ks. 262, 269, 272
 Szymański Józef 426, 427, 453
 Szymański Stanisław, ks. 167, 168, 174, 184, 186, 212, 213, 229, 243
 Szyborska Wisława 761
 Szymczak Edward 180
 Szymusiak Jan Maria SJ 339, 411
 Szyrakiewicz Jacek 536

 Śladkowski Wiesław 817
 Śliwa Tadeusz, ks. 645, 844
 Śmigiel Kazimierz, ks. 216, 321, 322, 368, 624, 645, 647, 673, 720, 845
 Śrutwa Jan, bp 791
 Światło Józef 7, 130, 216–218
 Świątek Kazimierz, kard. 823
 Świeca Corelli 297
 Święciechowski Alojzy, ks. 225

 „T” KO zob. Wierzewski Wojciech
 Tadrzyński Kazimierz, ks. 175
 Tadych Jan, ks. 164, 166, 207, 209, 221, 279
 Tal Uriel 516
 Taras Piotr SAC 425
 Tarlach 81
 Tefelski Zefiryn 325, 360
 Tejchma Józef 726
 Teodorowicz Józef Teofil, abp 766
 „Teolog” TW zob. Eska Juliusz
 „Teolog” TW zob. Pylak Bolesław
 Terlecki Ryszard 538
 Teske 72, 90
 Thesing Josef 527
 Thiess Albert 39, 40, 44, 77
 Tiedemann Henryk von 16
 Tłoczyński Stanisław, ks. 182, 187, 201, 205, 207, 209, 221, 223, 280
 Tokarski Mikołaj OFMConv 196
 Tokarz Franciszek SJ 344
 Topolski Jerzy 728
 Toporek Stanisław SDB 504
 Torla Kazimierz Edward, ks. 543
 Tothowie 600, 601
 Traugutt Romuald 767
 Trawkowski Stanisław 345
 Treder Grzegorz CR 658
 Triller 528
 Triller Anneliese Klara 528
 Trillerowie 524, 528
 Troeltsch Ernst 640
 Trojanowski Jan, ks. 259, 318
 Trybuszewscy 92, 94
 Trybuszewska Melania z d. Danielska 19, 92
 Trybuszewski Alfons 19
 Tryk Jolanta 503
 Trykowie 497, 501, 502
 Turowscy 382, 383, 385
 Turowski Konstanty 384
 Tusk Donald 835
 Twardowski Bolesław, abp 523
 Tyloch Witold, ks. 321
 Tylus 339
 Tyndorf Richard 582, 586
 Tyrakowski Antoni, ks. 44, 68
 Tyrmand Leopold 88

- Umińska 30, 32
 Umiński Józef, ks. 329
 Urban Wincenty, bp 645
 Urbanowicz Witold 547
 Użycki Józef 661
- Vetulani Adam 645
 Volk Ludwig SJ 676
- W.R. 338
 Wachocz-Śmierchalski Dariusz, ks. 453
 Wachowiak 308
 Wachowicz Czesław 108, 149
 Wachowicz Jerzy 113
 Wachowiczowa 144
 Waczyński Bogusław SJ 340, 475
 Walczak Marian 144
 Walewander Edward, ks. 426, 428, 680, 761, 763, 768
 Walkusz Jan, ks. 441, 442, 450, 467, 475, 778–780, 813, 837, 838
 Wałęsa Lech 683, 710, 711, 713
 Warda Kazimierz, ks. 110, 112, 113, 115, 142, 150, 195, 235
 „Waris” TW zob. Bartodziej Gerhard
 Warso Albert Paweł, ks. 453
 Wasilewski Tadeusz 663
 Wasiutyński Bohdan 552
 Wasiutyński Wojciech 552
 Waszkiewicz Zofia 826
 Waszyngton Jerzy 556
 Wehrle Peter 599
 Wehrlerowie 599
 Weiss Anzelm, ks. 443, 444, 730, 779
 Wejnowie 77
 Wenerski Stanisław, ks. 167, 194
 Wenski Jan, ks. 422
 Węclewski Zygmunt, ks. 270
 Wicher Władysław, ks. (TW „Honorata”) 198
 Wicherska Melania 237
 Wiedeński Józef 326
 Wieczorek Wojciech 387
 Wielgat Danuta SMDP 452
 Wielgus Stanisław, abp (TW „Adam”, TW „Adam Wysocki”, TW „Grey”) 443, 445, 564, 584, 594, 622, 631, 658, 740, 781, 824
- Wierzbiański Bolesław 548
 Wierzbicki Marek 698
 Wierzewski Wojciech (KO „T”) 592–594
 Wiese 58
 Wiesner 94
 Więckowski Kazimierz, ks. 198, 199, 235, 354
 Wildbolz Eduard 635, 637
 Wilk Stanisław SDB 5, 6, 367, 425, 427, 429, 430, 432, 439, 440, 442, 443, 445, 446, 497, 501, 647, 779, 838, 840
 Wilkanowicz Stefan 834, 835
 Wirkus Bernard, ks. 441
 Wiśłocki Jerzy 439, 440, 646, 647
 Wiśniewski 65, 66
 Wiśniowski Eugeniusz 341, 465, 541, 544, 666, 667, 787
 Witaszek Gabriel CSSR 829–832
 Witczak Aleksander (Lech) 206
 Witczak Jerzy 206
 Witkowsy 221
 Witt Eugeniusz 540, 546, 571, 597
 Wittig Alfons CSSR 234, 235, 292, 299
 Witzlebenowie 63
 Włodarczyk 326
 Wodecka Dorota 701
 Wojciechowski Czesław, ks. 287, 290
 Wojciechowski Marian 492, 495, 652, 653
 Wojsław Letycja 483
 Wojtkowski Andrzej 65, 341, 342, 349–352, 367–369, 381–385, 391, 395, 478, 649
 Wojtowicz Józef 326
 Wojtyła Karol zob. Jan Paweł II
 Wojtyła Adam 187, 191
 Wojtyska Henryk Damian CP 489
 Wollschlaeger Jan, ks. 196, 197, 278
 Wolnik 38
 Wołczański Józef, ks. 6, 449, 467, 761, 762, 844
 Woroniecki Jacek OP 182
 Woźnicki Józef 249
 Wójcik Kazimierz 384
 Wójcik Walenty, bp 644
 Wrzesiński Wojciech 534, 670
 Wyczawski Hieronim Eugeniusz OFM 644
 Wylężek Stefan, ks. 590–592, 595

Wysocki Jan, ks. 488
 Wysocki Wiesław Jan 460
 Wysokiński Jerzy 828
 Wyszynski Stefan, kard. 7, 160, 164, 207,
 209–211, 216, 229, 236, 283, 323, 370,
 377, 380, 386, 396, 407, 409, 411, 462,
 482, 483, 493, 495, 651, 706, 823, 828

 Zabłocki Janusz 656
 Zabraniak Sławomir, ks. 426, 427
 Zachman Kazimierz, ks. 105, 109
 Zahajkiewicz Marek, ks. 443, 444, 486, 496,
 828
 Zając Dorota 545
 Zając Ignacy Walenty 195, 244, 254, 256,
 303, 304, 306, 307, 315
 Zając Józef, ks. 776, 784
 Zając Paweł OMI 453
 Zajączkowski Andrzej 729
 Zakryś Mieczysław 845
 Zakrzewski Leszek, ks. 164, 221
 Zalewska Zofia 325
 Zalewski Wojciech, ks. 321, 353
 Zamiatąła Dominik CMF 6, 449, 451
 Zanussi Krzysztof 820
 Zapolska Gabriela 766
 Zaręba Jan, bp 175, 200
 Zdrada Jerzy 662
 Zdrojewski Edward, ks. 194, 204, 289, 292
 Zembrzuski Michał OSPPE 547, 609
 Zenker Marcin, ks. 255
 Ziarniak Dobromir, ks. 112, 160, 214, 215,
 231–233, 238–240, 243
 Ziegler Josef Georg 684, 685
 Zielarko 381
 Zielińska Aleksandra z d. Danielska 15, 17,
 19, 45, 238, 240
 Zielińska Anna z d. Kroker 18
 Zielińska Gabriela 234, 238, 315, 319, 333,
 348, 847
 Zielińska Krystyna 39, 95
 Zieliński 77
 Zieliński Bronisław 15
 Zieliński Mieczysław 18
 Zieliński Paweł 16, 19, 21
 Zieliński Władysław 15, 18, 19, 24
 Zieliński Zygmunt *passim*
 Zientarski Roman Józef, ks. 192
 Zientarski Władysław, ks. 192, 358
 Zięba Kazimierz, ks. 7, 113, 141, 159, 160,
 161, 165, 169
 Ziltenerowie 249
 Zimmer Klaus 460
 Zimmermann 288
 Zimniewicz Zygmunt, ks. 169
 Ziółek Jan 633, 658
 Ziółkowski Tadeusz 147, 148, 151, 157,
 158
 Znaniecka Jadwiga 97
 „Zofia” zob. Brzostowska Zofia
 „Zofinder” zob. Brzostowska Zofia
 Zwarra Brunon 63
 Związek Jan, ks. 328, 329
 Zwingli Ulrich 633, 634
 Zwolski Edward 465
 Zych Sławomir, ks. 453
 Zychowicz Piotr 700
 Zygmantowska Gizela 113
 Zygmunt Tomasz 785
 Zyzak Paweł 736

 Żbikowski Andrzej 699
 Żochowski Henryk, ks. 472
 Żurek Waldemar SDB 450
 Życiński Józef, abp 831, 840
 Żynda Bolesław 388
 Żywczyński Mieczysław, ks. 6, 8, 9, 18,
 324, 328, 329, 333–337, 339, 341, 342,
 344–348, 350–353, 355, 356, 359–361,
 364, 366–369, 371, 374, 376, 381, 383,
 387, 389, 390, 392, 394–396, 428–431,
 433–436, 438, 442, 444, 446, 447, 454,
 462, 469, 470, 483, 485, 486, 639–642,
 721, 726, 727, 790, 792

Wstęp	5
I. Młodość i praca kapłańska.....	11
Kolebka i pierwsze niepewne kroki.....	11
Rodzina	12
Szkoła powszechna (do 1939 r.).....	20
Wakacje.....	24
Wojna i ucieczka.....	26
Z powrotem w Pruszczu.....	33
Gotelp i aresztowanie ojca.....	36
Pruszcz-Bagienica – przystań okupacyjna.....	38
Walki o Pruszcz.....	75
Pierwsze chwile „wolności”	83
Do Nakła	92
Wszystko od nowa w „wolnej” Polsce	94
Na celowniku UB.....	113
Do matury	132
Człowiek dojrzwały	154
A więc jednak seminarium.....	159
Do kapłaństwa	166
Pierwsze kroki w kapłaństwie	239
W Gołńczy	244
Bydgoszcz-Szwederowo.....	262
Parafia pw. Ścięcia św. Jana Chrzciciela w Pleszewie.....	284
Parafia pw. św. Floriana w Pleszewie	298
Ponownie w Gołńczy.....	304
Chwile wahań i obaw	317
II. Na uniwersytecie.....	319
Do Lublina.....	319
Studia. Przedmioty, wykładowcy.....	333
Seminaria	344

Magisterium, licencjat i co dalej?.....	350
Asystentura.....	356
Pierwsze zajęcia dydaktyczne i doktorat	366
Pierwsze publikacje.....	371
Adiunktura i nowe możliwości.....	374
Perspektywa odejścia z KUL i problem mieszkania.....	379
Moje miejsce na seminarium ks. prof. Żywczyńskiego.	
Habilitacja.....	387
Pierwszy wyjazd zagraniczny.....	397
Katedra Historii Kościoła w XIX i XX w. i inne funkcje.....	423
Plany syntezy historii Kościoła i reformy studiów kościelno- -historycznych.....	432
Szansa na rozbudowę katedry?.....	440
Jak uprawiać historię? Wykłady i seminarium – wypadkowa badań.....	447
Kierownictwo Ośrodka AMBK – szczyt mojej kariery admini- -stracyjnej.....	479
Znowu podróże – na wschód i na zachód.....	496
Ziemia Święta.....	511
Stypendium Konrad-Adenauer-Stiftung. W archiwach RFN.....	524
Pierwsza podróż amerykańska.....	535
W archiwum SWAP w Nowym Jorku.....	540
Stypendium w Catholic University of America.....	554
W Kanadzie.....	582
Szkoła Letnia Języka i Kultury Polskiej w Rzymie	589
Wykłady na Seton Hall University.....	596
Sympozja w Niemczech i w Szwajcarii.....	623

III. Ludzie – spotkania – inicjatywy	639
Księga pamiątkowa księdza profesora Żywczyńskiego	639
Sympozja i spotkania	643
Kontakty z Niemcami w innym wymiarze	674
Trudne sprawy polsko-żydowskie	688
Papiestwo.....	702
Kardynał Ledóchowski i ks. Klimkiewicz.....	707

Stan wojenny	710
Niezapomniane spotkania i przyjaźnie, ciekawi ludzie	717
Udział w gremiach naukowych i społecznych	725
Szkoda, że się nie powiodło	740
Ponownie na Kresach.....	748
Moje lata częstochowskie	770
Jubileusz w suterynie.....	778
Lata chełmskie.....	784
Ciężka jest starość, a nie daj Boże choroba.....	791
Duszpasterstwo w Niemczech.....	793
W dawnej budzie nakielskiej	806
Życie naukowe nie kończy się za bramą uniwersytetu	811
O tych, którzy są tak blisko, że się ich nie zauważa, a są najważ- niejsi.....	845
Zakończenie.....	849
Wykaz skrótów.....	852
Indeks osób.....	855